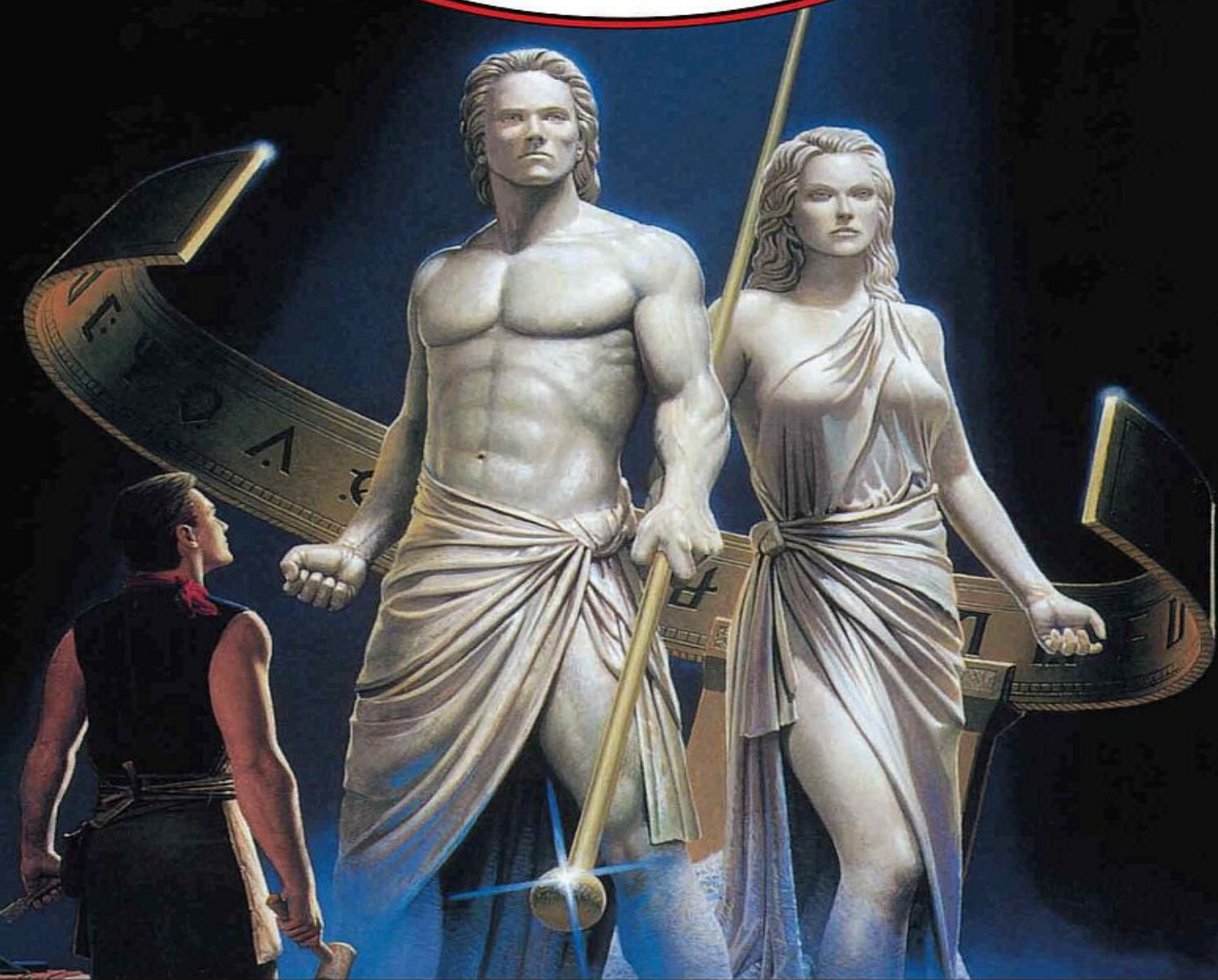


Fantasy

# NADZIEJA POKONANYCH



TERRY GOODKIND

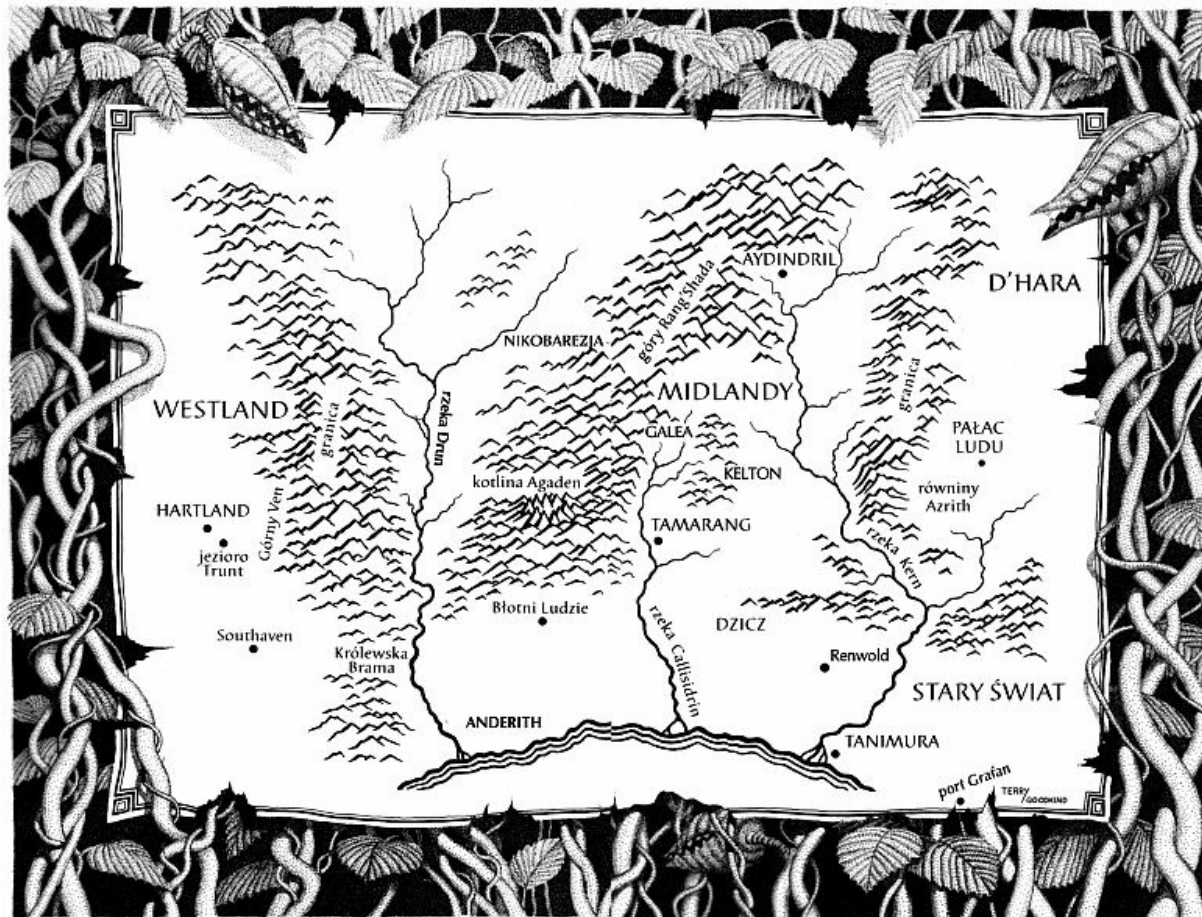
Terry Goodkind

# **Nadzieja pokonanych**

**Tom VI serii**

Przełożyła Lucyna Targosz

Dom Wydawniczy REBIS



*Russelowi Galenowi,  
mojemu pierwszemu prawdziwemu fanowi,  
za jego niewzruszoną wiarę we mnie*

# ROZDZIAŁ 1

Nie pamiętała umierania.

Z nieokreślonym uczuciem lęku zastanawiała się, czy płynące ku niej gniewne głosy oznaczają, że znów ma doświadczyć owego transcendentnego kresu - śmierci.

Jeżeli tak, to nic nie mogła na to poradzić.

Chociaż nie pamiętała umierania, przypominała sobie mgliście późniejsze pełne powagi szeptu głoszące, że umarła, że zabrała ją śmierć, ale że on przycisnął usta do jej warg i nappełnił oddechem jej znieruchomiałe płuca, że tchnął w nią swoje życie i na nowo rozniecił jej. Nie miała pojęcia, kto opowiadał o tak nieprawdopodobnym wyczynie, nie miała pojęcia, kim był ów „on”.

Tamtej pierwszej nocy, kiedy wychwyciła odległe, bezcielesne głosy, pojęła, że są wokół niej ludzie, którzy nie wierzą, że choć powróciła do życia, to przetrwa do rana. Jednak teraz wiedziała, że tak się stało; przeżyła wiele nocy, być może dzięki rozpaczliwym modłom i żarliwym przysięgom szeptanym nad nią tamtej pierwszej.

Ale chociaż nie pamiętała umierania, przypominała sobie ból sprzed utraty świadomości. Ból, którego nigdy nie zapomni. Pamiętała, jak samotnie desperacko walczyła z tamtymi mężczyznami, szczerzącymi zęby niczym zgraja dzikich psów atakujących zająca. Pamiętała grad brutalnych ciosów, który powalił ją na ziemię, kopniaki ciężkich buciorów, kiedy już upadła, i suchy trzask pękających kości. Pamiętała krew, mnóstwo krwi - na ich pięściach, na ich butach. Pamiętała przeraźliwy strach, że brakuje jej tchu, żeby krzyczeć z potwornego bólu.

Jakiś czas później - nie wiedziała, czy godziny, czy dni - kiedy leżała w obcym łóżu pod czystymi prześcieradłami i spojrzała w jego szare oczy, pojęła, że dla niektórych świat rezerwował ból o wiele gorszy od tego, który sama wycierpiała.

Nie знаła jego imienia. Straszliwa udręka, tak wyraźnie widoczna w jego oczach, uświadomiła jej, że powinna je znać. Wiedziała, że powinna znać jego imię - lepiej niż własne, lepiej niż samo życie - lecz nie znała go. Nigdy nic jej bardziej nie zawstydziło.



I od tej pory, ilekroć opuściła powieki, widziała jego oczy, widziała w nich nie tylko bezsilną udrękę, ale i blask tak niepoohamowanej nadziei, jaki mogła rozniecić jedynie szczerą miłość. I w głębi swej duszy - nawet wówczas, gdy najgorszy mrok zaćmiewał jej umysł - odmawiała zgody na to, by blask w tych oczach zgasł, kiedy zawiedzie jej wola życia.

W pewnej chwili przypomniała sobie jego imię. Przeważnie je pamiętała. Ale czasem nie. Czasami, kiedy szarpał nią ból, zapominała nawet własne.

Teraz, kiedy Kahlan słyszała, jak tamci burkliwie wymawiają jego imię, rozpoznawała je, rozpoznawała i jego. Twardo, nieustępliwie czepiała się owego imienia - Richard - i swoich wspomnień o nim, o tym, kim był, i o tym, jak wiele dla niej znaczył.

Później zaś, kiedy ludzie obawiali się, że jednak umrze, wiedziała, że będzie żyć. Musiała żyć: dla Richarda, dla swojego męża. Dla dziecka, które nosiła w łonie. Jego dziecka. Ich dziecka.

Gniewne głosy, wymawiające imię jej męża, sprawiły, że Kahlan w końcu otworzyła oczy. I zaraz je przymrużyła, porażona okropnym bólem, do tej pory tłumionym przez sen. Małą izdebkę, w której leżała, wypełniało bursztynowe światło. Nie było zbyt jaskrawe, więc domyśliła się, że albo tłumi je zasłona, albo jest już zmrok. Ilekroć się tak budziła, nie miała poczucia czasu, nigdy nie wiedziała, jak długo spała.

Poruszyła językiem w zaschniętych ustach. Ciało miała bezwładne, ciężkie od snu. Mdliło ją tak jak w dzieciństwie, kiedy zjadła trzy kandyzowane jabłka przed wyprawą na łodzi w gorący, wietrzny dzień. Teraz było właśnie tak ciepło: letni upał. Starła się całkiem wybudzić, ale świadomość odpływała, dryfowała po bezkresnym mrocznym morzu. Żołądek jej się skurczył. Musiała z całej siły powstrzymać mdłości. Aż nazbyt dobrze wiedziała, że w jej stanie mało co sprawiało taki ból jak wymioty. Powieki znów zasłoniły oczy i Kahlan zatoneła w jeszcze większym mroku.

Wzięła się w garść, zebrała myśli, ponownie zmusiła się do otwarcia oczu. Przypomniała sobie: dawali jej zioła, żeby przytłumić ból i umożliwić sen. Richard dużo wiedział o ziołach. Te napary przynajmniej pozwalały jej zapaść w letargiczny sen. A ból, choć nie tak dotkliwy, i tak był.

Ostrożnie, powoli - żeby nie poruszyć tych obosiecznych sztyletów tkwiących tu i ówdzie pomiędzy żebrami - wciągnęła głębiej powietrze.

Płuca Kahlan wypełniła woń balsamu i sosny i uspokoiła buntujący się żołądek. Nie był to aromat drzew, zmieszany z innymi zapachami lasu, z wilgocią ziemi, wonią muchomorów i cynamonowym zapachem paproci, lecz woń świeżo pociętego drewna. Kahlan skupiła wzrok i zobaczyła za nogami łóżka ścianę z jasnych, niedawno okorowanych belek; ze śladów siekiery jeszcze sączył się sok. Widać było, że drewno pocięto i ociosano w pośpiechu, ale dokładność roboty zdradzała precyzję, jaką może dać jedynie wiedza i doświadczenie.

Izdebka była malutka; w Pałacu Spowiedniczek, w którym Kahlan dorastała, tak małe pomieszczenie nie służyłoby nawet za schowek na bieliznę. No a poza tym byłoby z kamienia, jeśli nie z marmuru. Spodobała się jej ta malutka drewniana izdebka; domyślała się, że to Richard ją dla niej zbudował. Czuła się tu niemal tak bezpiecznie jak w jego ramionach. Marmur, wyniośle dostojny, nigdy jej tak nie dodawał otuchy.

Za nogami łóżka dostrzegła wyrzeźbionego ptaka w locie. Sylwetkę zarysowano kilkoma pewnymi pociągnięciami noża na płaskim fragmencie belki niewiele większym niż dłoń Kahlan. Richard dał jej coś, na co mogła patrzeć. Czasami, kiedy siedzieli przy ognisku, widywała, jak rzeźbił w kawałku drewna twarz lub zwierzę. Czuwający nad nią ptak, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, symbolizował wolność.

Dziewczyna zwróciła oczy w prawo i zobaczyła brązowy wełniany koc zasłaniający drzwi. To zza niego dolatywały gniewne, groźne głosy.

- To nie nasz wybór, Richardzie... Musimy myśleć o własnych rodzinach... o żonach i dzieciach...

Kahlan chciała się dowiedzieć, co się dzieje, i spróbowała się podeprzeć na lewym łokciu. Ale ręka nie zareagowała tak, jak powinna. Błyskawica bólu śmignęła wzdłuż kości dziewczyny i eksplodowała w barku. Kahlan wstrzymała oddech, porażona przeraźliwym bólem, i osunęła się ciężko, zanim zdołała choć na cal unieść ramię. Przyspieszony oddech sprawiał, że tkwiące w bokach sztylety raniły jeszcze dotkliwiej. Zmusiła się do zwolnienia oddechu, bo tylko tak mogła zapanować nad bólem. W końcu zelżał ból w ramieniu i klucie w żebrach; dopiero teraz cichutko jęknęła. Z wykalkulowanym spokojem spojrzała na lewą rękę. Była w łubkach. Jak tylko Kahlan to zobaczyła, przypomniała sobie. Wyrzucała sobie, że nie pomyślała o tym, zanim spróbowała się podeprzeć na łokciu. Wiedziała, że zioła

przyćmiewają jej umysł. Skoro i tak nie mogła usiąść, no i bała się kolejnego nieostrożnego ruchu, skoncentrowała wysiłki na przywróceniu jasności myślenia.

Ostrożnie przesunęła ku górze prawą rękę i otarła palcami pot z czoła, pot wywołany bólem. Stawy bolały, ale ręka była dość sprawna. Ucieszyło to Kahlan. Dotknęła opuchniętych oczu i dopiero teraz pojęła, dlaczego patrzenie ku drzwiom tak bolało. Ostrożnie muskała palcami obrzmiałą twarz. Wyobraźnia podsunęła jej czarne i sine barwy. Palce dotknęły ran na policzku - miała wrażenie, że gorące iskry sypią się na obnażone nerwy. Nie potrzebowała lustra, żeby wiedzieć, jak przeraźliwie wygląda. Ilekroć spjrzała w oczy Richarda, pojmowała, w jak fatalnym jest stanie. Tak chciała ładnie wyglądać dla niego, choćby po to, by z jego oczu zniknął wyraz cierpienia. Gdyby odczytał jej myśli, powiedziałaby:

- Nic mi nie jest. Przestań się o mnie martwić i myśl jedynie o powrocie do zdrowia.

Kahlan tęsknie przypominała sobie, jak leżała z Richardem; odpoczywali rozkosznie znużeni, czuła dotyk jego rozpalonej skóry, duża dłoń chłopaka leżała na jej brzuchu. Tak bardzo chciała go wziąć w ramiona, a nie mogła tego zrobić. Upomniła się, że to przecież tylko kwestia czasu i choć częściowego wyzdrowienia. Byli razem i to jest najważniejsze. Sama obecność Richarda dodawała otuchy i leczyła.

Zza koca osłaniającego drzwi Kahlan usłyszała Richarda. Dokładnie kontrolował głos i tak podkreślał słowa, jakby każde z nich kosztowało go fortunę.

- Potrzebujemy tylko trochę czasu...

Tamci zaczęli mówić wszyscy naraz, zapalczywie i nieustępliwie.

- To nie dlatego, że tego chcemy, Richardzie. Powinieneś to wiedzieć, przecież nas znasz... A jeżeli to ściągnie tu jakieś kłopoty? Słyszeliśmy o bitwach. Sam mówiłeś, że ona jest z Midlandów... Nie możemy pozwolić... Nie chcemy...

Kahlan nasłuchiwała, oczekując szczęku dobywanego miecza. Richard był niemal nieskończenie cierpliwy, ale brakowało mu wyrozumiałości. Cara, jego strażniczka i ich przyjaciółka, też tam pewnie była; a Carze brakowało tak cierpliwości, jak i wyrozumiałości. Jednak Richard nie dobył miecza, tylko rzekł:



- Nikogo o nic nie proszę. Chcę tylko, żeby mnie pozostawiono w spokoju w bezpiecznym miejscu, gdzie mógłbym się nią opiekować. Chciałem być w pobliżu Hartlandu, na wypadek gdyby czegoś potrzebowała. - Zamilkł. - Proszę was... tylko do czasu, aż jej się choć trochę polepszy...

Dziewczyna chciała krzyknąć do niego: „Nie! Nie waż się ich błagać, Richardzie! Nie mają prawa zmuszać cię do błagania! Nie mają prawa! Nigdy nie pojmą, na jakie poświęcenia się zdobywałeś”. Ale mogła jedynie ze smutkiem szeptać jego imię.

- Nie prowokuj nas... Wykurzymy cię ogniem, jeżeli będzie trzeba! Wszystkim nam nie dasz rady, prawo jest po naszej stronie.

Mężczyźni rzucali gromy, grozili. Kahlan spodziewała się, że teraz wreszcie usłyszy szcęk dobywanego miecza. Zamiast tego Richard spokojnie powiedział coś, czego nie dosłyszała. Zapanowała przeraźliwa cisza.

- To nie dlatego, Richardzie, że tak nam się podoba - powiedział w końcu czyjś zakłopotany głos. - Nie mamy wyboru. Musimy brać pod uwagę nasze rodziny i innych też.

- No a poza tym zrobiłeś się nagle taki ważny, w tych paradnych szatkach i z mieczem, zupełnie inny niż kiedyś, kiedy byłeś leśnym przewodnikiem - odezwał się ktoś ze szczerym oburzeniem.

- To prawda - potwierdził następny. - Nie możesz się uważać za lepszego od nas tylko dlatego, że odszedłeś stąd i zobaczyłeś trochę świata.

- Opuściłem miejsce, które mi przypisaliście - powiedział Richard. - Czy to właśnie staracie się dać mi do zrozumienia?

- Według mnie, odwróciłeś się plecami do swojej społeczności, do swoich korzeni. Uważasz, że nasze kobiety nie są dość dobre dla wielkiego Richarda Cyphera. O nie, on musiał się ożenić z kobietą z daleka. A potem wracacie sobie tutaj i chcecie się nad nas wynosić.

- Jak? Jakimi czynami? Poślubieniem kobiety, którą kocham? To, waszym zdaniem, dowód pychy? To odbiera mi prawo do życia w spokoju? Odbiera jej prawo do wyzdrowienia, do życia?

Ci ludzie znali go jako Richarda Cyphera, prostego leśnego przewodnika, a nie jako osobę, którą - jak się okazało - w rzeczywistości był, nie jako osobę, którą się stał. Był tym samym człowiekiem co wówczas, lecz oni go pod wieloma względami nigdy nie znali.

- Powinieneś klęczeć i zanosić modły do Stwórcy, żeby wyleczył twoją żonę - odezwał się kolejny. - Wszyscy ludzie to nic niewarci nędznicy. Powinieneś się modlić i błagać Stwórcę o wybaczenie złych uczynków i grzechów, bo to one spowodowały kłopoty na ciebie i twoją kobietę. A ty, zamiast się modlić, chcesz wnieść swoje kłopoty pomiędzy uczciwie pracujących ludzi. Nie masz prawa zrzucać nam na kark swoich grzechów. To nie tego chce Stwórca. Powinieneś pomyśleć o nas. Stwórca pragnie, żebyś był pokorny i pomagał innym. To dlatego tak ją doświadczył: żeby dać wam obojgu nauczkę.

- Powiedział ci to, Albercie? - spytał Richard. - Czy ten twój Stwórca przychodzi pogadać z tobą o swoich zamiarach i zwierza ci się, czego pragnie?

- On rozmawia z każdym, kto go skromnie słucha - uniósł się gniewem Albert.

- A poza tym - wtrącił się inny - można sporo dobrego powiedzieć o tym Imperialnym Ładzie, przed którym nas ostrzegasz. Gdybyś nie był taki uparty, Richardzie, tobyś to dostrzegł. Nie ma nic złego w chęci, żeby każdy był przyzwoicie traktowany. To po prostu sprawiedliwe. To po prostu słuszne. Musisz przyznać, że takie są pragnienia Stwórcy, i tego naucza również Imperialny Ład. Skoro nie dostrzegasz w Ładzie choć tej dobrej cechy, lepiej, żebyś odszedł, i to szybko.

Kahlan wstrzymała oddech.

- Niech więc się tak stanie - powiedział Richard złowieszczym głosem.

To byli ludzie, których Richard znał; zwracał się do nich po imieniu, przypominał im spędzone razem lata i wspólne sprawy. Był wobec nich cierpliwy. Jednak cierpliwość w końcu się wyczerpała i stał się nietolerancyjny.

Konie parskały i przestępowały z nogi na nogę, skórzana uprzęż chrzęściła, kiedy tamci ich dosiadali.

- Wrócimy rankiem, żeby to spalić. Lepiej, żebyśmy nie złapali w pobliżu ani ciebie, ani nikogo z twoich, bo was też spalimy.

Padło jeszcze kilka przekleństw i odjechali galopem. Tętent kopyt wstrząsnął ziemią, aż zadygotały plecy Kahlan. Nawet i to zabolowało.

Uśmiechnęła się leciutko do Richarda, choć nie mógł tego widzieć. Żałowała jedynie, że błagał o coś dla niej; dobrze wiedziała, że nigdy nie

poprosiłby o nic dla siebie.

Odsunięto koc zasłaniający drzwi i na ścianę padła plama światła. Po natężeniu blasku i jego kierunku Kahlan odgadła, że musi być koło połowy nieco pochmurnego dnia. Obok niej zjawił się Richard; jego wysoka postać rzucała cień w poprzek ciała dziewczyny. Ubrany był tylko w czarny, pozbawiony rękawów podkoszulek odsłaniający muskularne ramiona. Przy lewym biodrze, od strony Kahlan, błyski światła odbijały się od głowicy jego niezwykłego miecza. Szerokie barki Richarda sprawiały, że izdebka wydawała się jeszcze mniejsza niż przed chwilą. Gładko wygolona twarz, mocno zarysowana szczęka i zdecydowany zarys ust znakomicie pasowały do potężnej postaci. Włosy, sięgające karku, nie były ani jasne, ani ciemne. Ale to inteligencja, tak wyraźnie widoczna w jego szarych oczach, przykuła uwagę Kahlan, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy.

- Richardzie - wyszeptała - nie chcę, żebyś błagał z mojego powodu.

Kąciki jego ust wygięły się w leciutkim uśmiechu.

- Jeżeli zechcę błagać, to zrobię to. - Podciągnął koc, otulając ją dokładnie, chociaż się pociła. - Nie wiedziałem, że nie śpisz.

- Jak długo spałam?

- Jakiś czas.

Uznała, że to musiał być dłuższy czas. Nie pamiętała, jak tu dotarli ani jak budował chatę, w której leżała. Kahlan czuła się bardziej jak osiemdziesięciolatka niż dwudziestokilkuletnia dziewczyna. Nigdy przedtem nie była ranna, a przynajmniej ciężko, nigdy wcześniej nie znalazła się na granicy życia i śmierci, nigdy tak długo nie była tak rozpaczliwie bezradna. Nienawidziła tego; nie cierpiała faktu, że nie może zrobić najprostszych rzeczy. Przez większość czasu nienawidziła tego bardziej niż bólu.

Oszłomiło ją nieoczekiwane i tak całkowite doświadczenie kruchości życia, własnej kruchości i śmiertelności. Dawniej ryzykowała życie i wiele razy znajdowała się w niebezpieczeństwie, lecz kiedy teraz patrzyła wstecz, wątpiła, czy kiedykolwiek naprawdę myślała, że może się jej przydarzyć coś takiego. Zmierzenie się z tym było druzgocące. Tamtej nocy coś pękło w Kahlan - wyobrażenie o sobie, pewność siebie. Tak łatwo mogła umrzeć. Ich dziecko mogło umrzeć, nim miałyby szansę żyć.

- Coraz bardziej zdrowiejesz - rzekł Richard, jakby odpowiadał na jej

myśli. - Nie mówię tego ot tak sobie. Widzę, że zdrowiejesz.

Patrzyła mu w oczy i zbierała się na odwagę. Wreszcie zapytała:

- Skąd oni aż tutaj wiedzą o Ładzie?

- Dotarli tu ludzie uciekający przed walkami. Tu, gdzie dorastałem, też byli ludzie głoszący doktrynę Imperialnego Ładu. Ich słowa dobrze brzmiały, miały sens. Miały go dla tych, którzy nie myślą, dla tych, którzy tylko reagują. Prawda nie tak wiele znaczy - dodał po namyśle. Odpowiedział na widoczne w jej oczach, nie zadane pytanie: - Ludzie Ładu zniknęli. Ci głupcy tylko powtarzali zasłyszane słowa.

- Ale chcą, żebyśmy odeszli. Wyglądali na takich, którzy dotrzymują obietnic.

Skinął głową, ale potem znów się lekko uśmiechnął.

- A wiesz, jak stąd blisko do miejsca, w którym zobaczyłem cię po raz pierwszy? Pamiętasz?

- Jak mogłabym zapomnieć o dniu, w którym cię spotkałam?

- Wtedy nasze życie było zagrożone i musieliśmy stąd odejść. Nigdy tego nie żałowałem. To był początek mojego życia z tobą. Dopóki jesteśmy razem, nic innego się nie liczy.

Do izdebki weszła Cara i stanęła obok Richarda, dodając swój cień do jego cienia, padającego na niebieski wełniany koc, który okrywał Kahlan aż po pachy. Ciało Cary, odziane w obcisły czerwony skórzany strój, miało grację sokoła. Była, jak ów ptak, dumna, władcza, szybka i śmiertelnie groźna. Mord-Sith zawsze przywdziewały czerwony skórzany strój, kiedy spodziewały się kłopotów. Długie blond włosy Cary, splecione w gruby warkocz, były kolejnym znakiem profesji Mord-Sith, członkini elitarnej straży przybocznej samego lorda Rahla.

Richard, można by rzec, odziedziczył Mord-Sith wraz z panowaniem nad D'Hara, krainą, o której nigdy przedtem nie słyszał. Nie szukał władzy, lecz mimo wszystko mu przypadła. Teraz tak wielu ludzi było od niego zależnych. Cały Nowy Świat - Westland, Midlandy, D'Hara - był od niego zależny.

- Jak się czujesz? - Cara zapytała z prawdziwą troską.

- Lepiej - wyszeptała ochryple Kahlan, bo tylko na taki głos było ją stać.

- Nooo, skoro się lepiej czujesz - warknęła Mord-Sith - to powiedz lordowi Rahlowi, że powinien mi pozwolić, bym wykonała swoją robotę i

nauczyła odpowiedniego respektu takich ludzi jak ci tutaj. - Groźne niebieskie oczy powędrowały na moment ku miejscu, w którym stali ci rzucający groźby ludzie. - A przynajmniej tych, których bym zostawiła przy życiu.

- Posłuż się rozumem, Caro - rzekł Richard. - Nie możemy przekształcić tego miejsca w twierdzę i bronić się przez cały czas. Ci ludzie się boją. Bez względu na to, jak bardzo się mylą, widzą w nas zagrożenie swojego życia i życia swych rodzin. Nie jesteśmy tacy głupi, żeby toczyć bezsensowną walkę, której możemy uniknąć.

- Richardzie - powiedziała Kahlan, ostrożnie wskazując prawą ręką ścianę przed sobą - przecież zbudowałeś to...

- Tylko tę izbę. Chciałem, żebyś od razu miała schronienie. To nie zabrało zbyt wiele czasu. Zwyczajnie ściałem i okorowałem parę drzew. Reszty jeszcze nie postawiliśmy. Nie ma za co przelewać krwi.

O ile Richard zachowywał spokój, o tyle Cara sprawiała wrażenie, że jest gotowa pogryźć żelazo i wypluć gwoździe.

- Może byś tak powiedziała swojemu upartemu mężowi, żeby pozwolił mi kogoś zabić, nim oszaleję? Nie mogę stać bezczynnie i pozwalać, żeby bezkarnie uchodziło groźenie wam! Jestem Mord-Sith!

Cara bardzo poważnie traktowała swoje zadanie: ochronę Richarda, lorda Rahla D'Hary, i Kahlan. Kiedy w grę wchodziło życie chłopaka, Cara była zdecydowana najpierw zabić, a dopiero potem ocenić, czy to było konieczne. A to była jedna ze spraw, których Richard zupełnie nie tolerował.

Kahlan tylko się uśmiechnęła.

- Matko Spowiedniczko, nie możesz dopuścić, żeby lord Rahl ulegał woli takich głupców jak ci tutaj. Powiedz mu.

Kahlan prawdopodobnie mogłaby policzyć na palcach jednej ręki ludzi, którzy w całym jej dotychczasowym życiu zwracali się do niej po imieniu, nie dodając przynajmniej tytułu „Spowiedniczka”. Mnóstwo razy słyszała swój najwyższy tytuł - Matka Spowiedniczka - wymawiany głosem, w którym brzmiała cała gama uczuć, od pełnego czci respektu po przeraźliwy strach. Wielu kłęczących przed nią ludzi nie mogło nawet wyszeptać drżącymi wargami tych dwóch słów. Inni zaś, kiedy byli sami, szeptali je z morderczymi zamiarami. Kahlan została mianowana Matką Spowiedniczką tuż po dwudziestym roku życia - była najmłodszą Spowiedniczką

kiedykolwiek wyniesioną na to najwyższe stanowisko. Ale to było kilka lat temu. Teraz była jedyną żyjącą Spowiedniczką. Zawsze znosiła ów tytuł, pokłony, przyklękanie, cześć, strach i mordercze zamiary, bo nie miała wyjścia. A poza tym była Matką Spowiedniczką - przez sukcesję i wybór, z prawa, z obowiązku i dlatego, że przysięgła.

Cara zawsze zwracała się do niej „Matko Spowiedniczko”. Jednak w ustach Mord-Sith te słowa brzmiały inaczej niż u reszty ludzi. To było niemal wyzwanie, prowokowanie sumiennym oddaniem, lecz z nutką kpiącej czułości i przywiązania. Kiedy Cara mówiła „Matko Spowiedniczko”, Kahlan słyszała „siostrzo”. Mord-Sith pochodziła z dalekiej D’Hary. A tam nikt - oprócz lorda Rahla - nie przewyższał Cary rangą. Mogła się co najwyżej zgodzić, żeby Kahlan była jej równa w powinnościach wobec Richarda. Ale zostać uznanym przez Carę za kogoś jej równego było naprawdę najwyższą pochwałą.

Kiedy jednak Cara mówiła do Richarda „lordzie Rahlu”, wcale nie brzmiało to jak „bracie”. Znaczyło to dokładnie to, co mówiła.

Dla tych mężczyzn o gniewnych głosach lord Rahl był równie obcym pojęciem jak odległa D’Hara. Kahlan pochodziła z Midlandów, oddzielających Westland od D’Hary. Mieszkańcy Westlandu nic nie wiedzieli ani o Midlandach, ani o Matce Spowiednicze. Trzy części Nowego Świata przez całe dziesięciolecia były rozdzielone niemożliwymi do pokonania granicami, więc to, co było poza nimi, otaczała nieprzenikniona tajemnica. Ostatniej jesieni owe granice zniknęły.

A potem, zimą, zniknęła wspólna dla trzech krain granica na południu, przez trzy tysiące lat chroniąca je przed zagrożeniem ze Starego Świata - i wszyscy zostali wydani na pastwę Imperialnego Ładu. W minionym roku na świecie zapanowało zamieszanie, zmieniło się wszystko, do czego ludzie przyzwyczaili się od dzieciństwa.

- Nie zamierzam pozwolić, żebyś krzywdziła ludzi tylko dlatego, że nie chcą nam pomóc - oznajmił Richard Carze. - To by niczego nie rozwiązało, a tylko wpędziło nas w jeszcze większe tarapaty. Wybudowanie tej izdebki zajęło nam bardzo niewiele czasu. Sądziłem, że to będzie bezpieczne miejsce, ale tak nie jest. Przeniesiemy się gdzie indziej. - Znów spojrzał na Kahlan. Z jego głosu zniknął gniew. - Chciałem cię przywieźć w rodzinne strony, ciche i spokojne, ale wygląda na to, że i tu mnie nie chcą. Przykro mi.



- Tylko ci ludzie, Richardzie. - W Andericie, tuż zanim zaatakowano i pobito Kahlan, mieszkańcy odrzucili propozycję Richarda, by przyłączyć się do powstającego imperium D'Hary i pod jego przewodnictwem walczyć o pokój; mieszkańcy Anderithu woleli przyłączyć się do Imperialnego Ładu. Richard zabrał Kahlan i odszedł. - A co z twoimi prawdziwymi przyjaciółmi?

- Nie miałem kiedy... Chciałem najpierw zbudować schronienie. A teraz nie ma już na to czasu. Może później.

Kahlan sięgnęła po jego zwieszoną rękę. Ale palce ukochanego były za daleko.

- Ale, Richardzie...

- Słuchaj, już nie możemy tu bezpiecznie zostać. I tyle. Przywiozłem cię tutaj, bo sądziłem, że będziesz tu mogła bezpiecznie wyzdrowieć i odzyskać siły. Myliłem się. Tak nie jest. Nie możemy tu zostać. Rozumiesz?

- Tak, Richardzie.

- Musimy stąd odejść.

- Tak, Richardzie.

Wiedziała, że kryje się w tym coś jeszcze, coś o wiele ważniejszego niż ciężka próba, jaką to dla niej oznaczało. Jego oczy miały osobliwy, pełen rezerwy wyraz.

- A co z wojną? Wszyscy liczą na nas, na ciebie. Ja za wiele nie pomogę, dopóki nie wyzdrowieję, ale ciebie potrzebują natychmiast. Jesteś potrzebny imperium D'Hary. Jesteś lordem Rahlem. Przewodzisz im. Co my tutaj robimy? Richardzie... - Czekala, aż na nią spojrzeł. - Dlaczego uciekamy, skoro wszyscy na nas liczą?

- Robię, co muszę.

- Co musisz? Co to znaczy?

Odwrócił wzrok, twarz mu spochmurniała.

- Ja... miałem wizję.

## ROZDZIAŁ 2

- Wizję? - zapytała Kahlan, nie tając zdumienia.

Richard nie chciał mieć nic wspólnego z prorokowaniem. Proroctwa nieustannie wpędzały go w tarapaty.

Proroctwo - choćby nie wiadomo jak jasne wydawało się na pozór - zawsze było dwuznaczne i zazwyczaj zagadkowe. Niedoświadczonych bez trudu wprowadzała w błąd pozornie prosta struktura przepowiedni. Bezmyślne obstawanie przy dosłownym ich rozumieniu doprowadziło w przeszłości do ogromnego zamieszania; było przyczyną tak zabójstw, jak i wojen. W rezultacie ci, którzy mieli do czynienia z proroctwami, zaczęli to utrzymywać w tajemnicy.

Proroctwo było predestynacją, przynajmniej na pierwszy rzut oka; Richard zaś uważał, że człowiek jest kowalem własnego losu. Powiedział kiedyś Kahlan: „Przepowiedzieć można jedynie to, że i jutro wszędzie słońce. Ale nie to, na co spożytkujesz dzień. To, co zrobisz, nie będzie wypełnieniem proroctwa, ale zrealizowaniem twoich zamiarów”.

Wiedźma Shota przepowiedziała, że Kahlan i Richard spłodzą bezecnego syna. Richard wiele razy dowiódł, że nawiedzające Shotę wizje przyszłości są albo całkowicie nieprawdziwe, albo o wiele bardziej złożone, niż wiedźma potrafiła dostrzec. Kahlan, tak jak on, nie akceptowała przepowiedni Shoty.

Za każdym razem okazywało się, że Richard ma rację. Zwyczajnie ignorował proroctwo i robił to, co - jak sądził - musiał. W końcu często proroctwo się ziszczało, ale w sposób, którego nie można było wcześniej przewidzieć. Tak oto przepowiednia była zarazem dowiedziona i obalona, niczego nie rozwiązywała, a jedynie udowadniała, że jest wiekuistą zagadką. Zedd, dziadek Richarda, pomagający go wychowywać w miejscu nie tak odległym od tego, w którym teraz byli, utrzymywał w tajemnicy nie tylko to, że jest czarodziejem. Żeby ochronić chłopca, zataił również fakt, że ojcem Richarda był Rahl Posepny, a nie George Cypher, który go kochał i wychowywał. Rahl Posepny, czarnoksiężnik obdarzony wielką mocą, był groźnym i krwawym władcą odległej D'Hary. Richard odziedziczył magiczny dar obu rodów. Kiedy zabił Rahl Posepnego, otrzymał po nim władzę nad D'Harą, krainą równie dłań tajemniczą jak jego własna magiczna moc.

Kahlan pochodziła z Midlandów i dorastała wśród czarodziejów, ale żaden z nich nie miał takiego daru jak Richard. Bo on władał wieloma odcieniami daru i oboma rodzajami magii: był czarodziejem wojny. Niektóre szaty Richarda pochodziły z Wieży Czarodzieja i nikt nie nosił ich od trzech tysięcy lat - od czasów ostatniego czarodzieja wojny.

Magiczny dar zanikał wśród ludzi i coraz mniej było czarodziejów; Kahlan nie znała nawet dwunastu. A czarodziejów z darem prorokowania było jeszcze mniej - dziewczyna wiedziała o istnieniu zaledwie dwóch. Jednym z nich był przodek Richarda, co sprawiało, że prorocze zdolności były jak najbardziej prawdopodobne. A przecież Richard zawsze patrzył na proroctwa jak na przyczajonego jadowitego węża.

Richard uniósł jej dłoń tak czule i delikatnie, jakby była najcenniejszym klejnotem na świecie.

- Pamiętasz, jak opowiadałem o znanych tylko mi przepięknych okolicach w górach na zachód od miejsca, w którym dorastałem? Okolicach, które zawsze chciałem ci pokazać? Zamierzam cię tam zabrać, będziemy tam bezpieczni.

- D'Harańczyków łączy z tobą więź, lordzie Rahlu - przypomniała mu Cara - i odnajdą cię dzięki niej.

- Ale naszych wrogów nie łączy ze mną żadna więź. I nie będą wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Wyglądało na to, że Mord-Sith trafiło to do przekonania.

- Skoro ludzie tam nie bywają, to pewno nie prowadzą tam żadne drogi. Jak się tam dostaniemy powozem? Matka Spowiedniczka nie może chodzić.

- Zrobię nosze. Będziemy ją nieść.

Cara potaknęła, zadumana.

- Owszem, zaniesiemy ją. Jeżeli tam nikt nie mieszka, to przynajmniej w końcu będziecie bezpieczni.

- Bezpieczniejsi niż tutaj. Wydawało mi się, że tutejsi ludzie zostawią nas w spokoju. Nie sądziłem, że Ład zasieje niepokój aż tak daleko, a przynajmniej, że uczyni to tak szybko. Ci ludzie wcale nie są tacy źli, ale sami wprawiają się w bojowy nastrój.

- Ci tchórze już wrócili pod spódnicę swoich kobiet. Nie zjawią się przed rankiem. Możemy dać Matce Spowiednicze wypocząć i ruszymy przed świtem.

Richard posłał Carze znaczące spojrzenie.

- Jeden z tych mężczyzn, Albert, ma syna Lestera. Lester i jego koleżka Tommy Lancaster próbowali mnie niegdyś ustrzelić z łuku, bo popsulem im zabawę, gdy Tommy chciał kogoś skrzywdzić. Teraz i Lesterowi, i Tommy'emu brakuje wielu zębów. Albert powie synowi, że tu jesteśmy, a wkrótce potem dowie się o tym i Tommy Lancaster. A skoro Imperialny Ład nabił im głowy gadaniem o szlachetnej walce w słusznej sprawie, wyobrażą sobie, że spełnią czyn godny wojennych bohaterów. Ci ludzie zazwyczaj nie są brutalni, ale jeszcze nigdy nie widziałem u nich takiego braku rozsądku jak dzisiaj. Zaczną pić, żeby umocnić w sobie odwagę. Wtedy będą już z nimi Lester i Tommy, a ich opowieści o tym, jak ich źle potraktowałem i jaki jestem groźny dla uczciwych ludzi, tylko doleją oliwy do ognia. Mają znaczną przewagę liczebną, więc zaczną dostrzegać zalety zabicia nas: uznają, że to czyn dokonany w obronie ich rodzin, dla dobra ich społeczności i ku chwale ich Stwórcy. Oszołomieni trunkiem i chwałą, na pewno nie będą czekać do rana. Powrócą jeszcze tej nocy. Musimy natychmiast wyruszać.

Na Carze nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Uważam, że powinniśmy na nich zaczekać i raz na zawsze pozbyć się zagrożenia.

- Niektórzy z nich na pewno sprowadzą swoich przyjaciół. I wrócą w o wiele większej kompanii. Musimy myśleć o Kahlan. Nie mogę ryzykować, że ktoś z nas zostanie ranny. Walka z nimi nic nam nie da.

Richard zdjął przez głowę starożytny skórzany pendent, do którego przyczepiona była srebrno-złota pochwa z mieczem, i powiesił go na sterczącym z kłody kikucie konaru. Cara, niezadowolona z tej decyzji, splotła ramiona. Ona wolałaby uśmiercić zagrażających im ludzi. Richard podniósł z podłogi czarną koszulę. Wsunął ramię w rękaw i włożył ją.

- Wizję? - spytała ponownie Kahlan; w tej chwili nie zaprzętała sobie głowy tamtymi, choć mogli narobić kłopotów. - Miałaś wizję?

- Nagłość i wyrazistość wskazywały na wizję, ale właściwie było to objawienie.

- Objawienie. - Ogromnie żałowała, że może jedynie ochryple szeptać. - I jaką formę przybrała ta wizja, to objawienie?

- Zrozumienia.

Kahlan wpatrywała się w niego przez chwilę.

- Zrozumienia czego?

Richard zaczął zapinać koszulę.

- Dzięki temu objawieniu pojąłem większą całość. Zrozumiałem, co muszę uczynić.

- Taaak - mruknęła Cara. - Poczekaj, aż usłyszysz resztę. No dalej, powiedz jej.

Richard spojrział gniewnie na Mord-Sith, a ona odplącała się mu tym samym. Ostatecznie znów popatrzył na Kahlan.

- Przegramy, jeżeli doprowadzę do wojny. Niepotrzebnie zginie mnóstwo ludzi. A świat popadnie w niewolę Imperialnego Ładu. Jeżeli nie poprowadzę naszych do walki, Ład omroczy świat, ale zginie o wiele mniej ludzi. Tylko w ten sposób będziemy mieć jakąkolwiek szansę.

- Przegrywając? Chcesz najpierw ustąpić, a potem walczyć? Jak w ogóle możemy rozważać odstąpienie od walki o wolność?

- Anderith dał mi nauczkę - odparł chłopak; głos miał głuchy, jakby żałował, że to mówi. - Nie mogę narzucać komukolwiek tej walki. Wolność wymaga wysiłku, jeśli chce się ją zdobyć, i czujności, jeśli chce się ją zachować. Ludzie nie cenią wolności, dopóki nie zostanie im odebrana.

- Wielu ją ceni - sprzeciwiła się Kahlan.

- Zawsze jest kilku takich, ale większość ani jej nie pojmuje, ani nie ceni, tak samo jak magii. Ludzie bezrozumnie wzbraniają się przed nią, nie dostrzegając prawdy. Ład proponuje im świat bez magii i gotowe odpowiedzi na wszystko. Życie niewolnika jest proste. Myślałem, że zdołam przekonać ludzi, jak cenne jest ich życie i wolność. Mieszkańcy Anderithu pokazali mi, jakim byłem głupcem.

- Anderith to zaledwie jedna z krain...

- Anderith nie był wyjątkiem. Przypomnij sobie, jakie kłopoty mieliśmy gdzie indziej. Jakie mamy nawet tutaj, gdzie dorastałem. - Richard wsuwał koszulę w spodnie. - Zmuszanie ludzi do walki o wolność to całkowicie chybiony pomysł. Przekonałem się, że żadne moje słowa ich nie przekonają. Ci, którzy cenią wolność, będą musieli uciec, ukryć się, spróbować przeżyć i przetrzymać to, co na pewno nadejdzie. Nie zdołam temu zapobiec. Nie mogę im pomóc. Teraz to wiem.

- Ależ Richardzie, jak możesz choćby pomyśleć o...

- Muszę zrobić to, co jest dla nas najlepsze. Muszę być egoistą, bo życie

jest zbyt cenne, żeby je bezsensownie narażać. Nie ma nic gorszego. Ludzi tylko wtedy można by ocalić przed nadciągającymi mrocznymi czasami uciemnienia i niewolnictwa, gdyby zaczęli pojmować i cenić wartość swojego życia oraz wolności i zechcieli działać w swoim interesie. Musimy się starać zachować życie w nadziei, że nadejdzie taki dzień.

- Przecież możemy zwyciężyć w tej wojnie. Musimy.

- Uważasz, że mogę poprowadzić ludzi do walki i że zwyciężymy, bo tego chcę. Nie zwyciężymy. Do tego trzeba nie tylko mojego pragnienia zwycięstwa. Potrzeba rzesz ludzi całkowicie oddanych tej sprawie. A tego nam brak. Jeżeli rzucimy nasze siły przeciwko Ładowi, Ład nas zniszczy i na zawsze zniknie szansa, by w przyszłości wywalczyć wolność. - Richard przecesał włosy palcami. - Nie wolno nam prowadzić naszych sił do walki z armią Ładu.

Chłopak zaczął wkładać przez głowę czarną, rozciętą na bokach tunikę. Kahlan dołożyła wszelkich starań, by zawrzeć w głosie ogrom swojego zatroskania i zaniepokojenia.

- A co z tymi wszystkimi, którzy już są gotowi do walki, z armiami, które już wyruszyły w pole? To dobrzy, wyszkoleni żołnierze, gotowi uderzyć na Jaganga, powstrzymać jego Imperialny Ład i odepchnąć go do Starego Świata. Kto poprowadzi naszych żołnierzy?

- Do czego? Na śmierć? Nie zdołają wygrać.

Kahlan była przerażona. Wyciągnęła rękę i złapała Richarda za rękaw, nim zdążył się schylić po szeroki pas.

- To przez to, co mi się przydarzyło, Richardzie, chcesz się wycofać z walki.

- Nie. Zdecydowałem się na to tej samej nocy, ale zanim cię napadnięto. Kiedy po głosowaniu poszedłem samotnie na spacer, wiele rozmyślałem. Doznałem tego objawienia i podjąłem decyzję. To, co cię spotkało, nie miało na to żadnego wpływu, choć potwierdziło, że miałem rację i że powinienem wcześniej dojść do tego wniosku. Gdybym to zrobił, nigdy by cię tak nie pokaleczono.

- A gdyby Matce Spowiednicze nic się nie stało, rano poczułbyś się lepiej i zmieniłbyś zdanie.

Światło wpadające przez drzwi za plecami Richarda rozjarzyło starodawne złote symbole obramowujące czarną tunikę.



- A co by się stało, Caro, gdyby mnie napadnięto razem z nią i gdyby nas oboje zabito? Co byście wtedy wszyscy zrobili?

- Nie wiem.

- I dlatego się wycofuję. Nie bierzecie udziału w walce o własną przyszłość, tylko idziecie za mną. Powinnaś odpowiedzieć, że dalej walczylibyście o wolność. Zrozumiałem, jaki błąd popełniam, i pojąłem, że tak nie zdołamy wygrać. Ład jest zbyt potężnym przeciwnikiem.

Król Wyborn, ojciec Kahlan, nauczył ją walczyć z takimi przeważającymi siłami i miała już w tym niejaką praktykę.

- Ich armia może nas przewyższać liczebnie, ale to niczego nie przesądza. Po prostu musimy górować nad nimi taktyką. Pomogę ci, Richardzie. Mamy wyszkolonych, zahartowanych w bojach oficerów. Zdołamy tego dokonać. Musimy.

- Spójrz, jak ładnie brzmiące słowa rozpowszechniają idee Ładu. - Chłopak zatoczył krąg ramieniem. - Docierają nawet do takich odległych okolic jak ta. My wiemy, jakie zło niesie Ład, a przecież ludzie żarliwie opowiadają się po ich stronie na przekór przerażającej prawdzie o tym, czym w rzeczywistości jest Imperialny Ład.

- Richardzie - wyszeptała Kahlan, starając się nie stracić resztki głosu - poprowadziłam młodych galejskich rekrutów przeciw przeważającym liczebnie doświadczonym żołnierzom i wygraliśmy.

- Otóż to. Widzieli swoje rodzinne miasto po wizycie Ładu. Zamordowano wszystkich, których kochali, zniszczono wszystko, co znali. Walczyli, rozumiejąc, co czynią i dlaczego. Rzuciliby się na wroga i wtedy, gdybyś nie objęła dowództwa. Ale oni jedni znaleźli się w takiej sytuacji i chociaż zwyciężyli, większość poległa w walce.

Kahlan nie dowierzała.

- I zamierzasz pozwolić, żeby Ład zrobił to samo gdzie indziej, aby ludzie mieli powód do walki? Zamierzasz stać z boku i pozwalać, żeby Ład mordował setki tysięcy bezbronnych ludzi? Chcesz się wycofać, bo mnie pobito? O drogie duchy, Kocham cię, Richardzie, ale nie rób mi tego. Jestem Matką Spowiedniczką, odpowiadam za życie mieszkańców Midlandów. Nie wycofuj się tylko dlatego, że mnie pobito.

Richard zatrzasnął na nadgarstkach podbite skórą srebrne obręcze.

- Nie robię tego z twojego powodu. Staram się ratować życie wielu ludzi

w jedyny dostępny sposób. Robię to, co zrobić muszę.

- Idziesz na łatwiznę - odezwała się Cara.

Richard przyjął to ze stoickim spokojem i odparł z powagą:

- To najtrudniejsze z wszystkiego, co kiedykolwiek musiałem zrobić, Caro.

Kahlan była już całkiem pewna, że odrzucenie przez lud Anderithu dotknęło go bardziej, niż sądziła. Uchwyciła dwa palce Richarda i ścisnęła je współczująco. Całym sercem chciał ocalić Anderyjczyków przed zniewoleniem ich przez Ład. Starał się ukazać im znaczenie wolności, pozwalając, żeby swobodnie zadecydowali o własnym losie. Obdarzył ich zaufaniem. I poniósł druzgocącą klęskę - przeważająca większość odrzuciła to wszystko, co im zaofiarował, i tym samym zniszczyła jego ufność.

Dziewczyna pomyślała, że z czasem - podobnie jak ona - wydobrzeje, że i jego ból przeminie.

- Nie możesz się obwiniać za upadek Anderithu, Richardzie. Zrobiłeś, co mogłeś. To nie była twoja wina.

Podniósł szeroki skórzany pas ze złocistymi sakiewkami i zapiął go na wspaniałej tunice.

- Kiedy jest się przywódcą, odpowiada się za wszystko.

Kahlan dobrze wiedziała, że to prawda. Pomyślała, że może odwiedzie go od tego w inny sposób.

- Jaką formę przybrała twoja wizja?

Przenikliwe szare oczy Richarda spojrzały w jej oczy niemal ostrzegawczo.

- Wizja, objawienie, uświadomienie sobie, wnioskovanie, prorocstwo... zrozumienie. Nazywaj to, jak chcesz, bo pod tym względem terminy są jednakowe i jednoznaczne. Nie potrafię tego opisać, mogę tylko stwierdzić, że było tak, jakbym to od zawsze wiedział. Może zresztą wiedziałem. To były nie tyle słowa, ile całościowe pojęcie, wniosek, prawda, którą jasno ujrzałem.

Wiedziała, że oczekiwał, iż na tym poprzestanie.

- Skoro stało się to tak jasne i jednoznaczne, powinieneś potrafić ująć to w słowa - upierała się.

Richard przełożył pendent przez głowę i umieścił go na prawym ramieniu. Poprawił miecz przy lewym biodrze i światło odbiło się od wypukłych złotych liter tworzących na srebrnej rękojeści słowo PRAWDA.

Czoło miał gładkie, twarz spokojną. Kahlan wiedziała, że w końcu dotarła do sedna sprawy. Jego prawość nie pozwoliłaby mu tego przed nią taić, gdyby chciała to usłyszeć - a chciała. Słowa popłynęły ze spokojną mocą, jak proroctwo.

- Zbyt szybko zostałem przywódcą. To nie ja muszę udowadniać ludziom swoją wartość, ale teraz oni muszą się wykazać przede mną. I dopóki tak się nie stanie, nie będę im przewodził, bo inaczej wszystko przepadnie.

Kiedy tak stał - wyprostowany, męski, władczy - w czarnym stroju czarodzieja wojny, wyglądał, jakby pozował do rzeźby Poszukiwacza Prawdy, którym w istocie był, prawomocnie obwołany nim przez Zeddica Zu'l Zorandera, Pierwszego Czarodzieja. Zeddowi pękało serce, że musiał to zrobić, bo Poszukiwacz często umierał młodo i gwałtowną śmiercią. Jednak dopóki Poszukiwacz żył, był ucieleśnieniem prawa. Mógł niszczyć królestwa, bo stała za nim straszliwa moc jego miecza. Między innymi dlatego tak ważne było, żeby mianować Poszukiwaczem odpowiednią osobę, osobę mającą zasady moralne. Zedd głosił, że Poszukiwacz właściwie ujawnia się sam - postępkami i sposobem rozumowania - i że rola Pierwszego Czarodzieja sprowadza się do obserwowania, oficjalnego usankcjonowania faktu i do wręczenia Poszukiwaczowi miecza, który będzie jego towarzyszem przez resztę życia.

W człowieku, którego Kahlan kochała, skupiło się tyle różnorodnych przymiotów i obowiązków, że czasem zastanawiała się, jak je wszystkie godzi.

- Jesteś zupełnie pewny, Richardzie?

Pełnił bardzo ważną funkcję, więc Kahlan i Zedd przysięgli, że oddadzą życie w jego obronie, w obronie nowo obwołanego Poszukiwacza Prawdy. Stało się to krótko po ich pierwszym spotkaniu. Już jako Poszukiwacz Richard zaakceptował brzemię, które nań spadło, i uznał, że nie może zawieść ogromnego zaufania, którym go obdarzono.

Płonące szare oczy chłopaka patrzyły stanowczo. Odpowiedział:

- Mogę się podporządkować wyłącznie władzy rozumu. Pierwsze prawo rozumu brzmi: co istnieje, istnieje, co jest, jest. Na tej nieredukowalnej zasadzie opiera się cała wiedza. To podstawa pojmowania życia. Rozum to wybór. Pragnienia i kaprysy nie są faktami ani metodami odkrywania faktów. Rozum to jedyny sposób poznawania rzeczywistości, podstawowe

narzędzie umożliwiające nam przeżycie. Możemy odrzucić wysiłek myślenia, ale przez to nie unikniemy przepaści, której nie chcemy dostrzec. Jeżeli w tej walce nie posłużę się rozumem, jeżeli zamknę oczy na rzeczywistość i wybiorę własne pragnienia, oboje zginiemy, i to na próżno. W ponurym schyłku ludzkości staniemy się zaledwie dwoma z milionów bezimiennych poległych. W mrokach, które nadejdą, nasze kości będą nic nie znaczącym prochem. Koniec końców, może za tysiąc lat, a może później, wolność znów zaświeci ludziom; ale dopóki to się nie zdarzy, miliony będą się rodzić w pozbawionej nadziei niedoli i będą skazane na dźwiganie jarzma Ładu. To my, wyrzekając się rozumu, będziemy odpowiedzialni za te stosy zabitych, za udrękę istnienia, które nie jest prawdziwym życiem.

Kahlan nie miała odwagi się odezwać, a tym bardziej sprzeczać się z nim; oznaczałoby to prośbę, żeby zmienił swoje postanowienie, choć uważa, że doprowadziłoby to do przelania morza krwi. Jednak urzeczywistnienie decyzji Richarda wydałoby jej bezbronny lud na łup śmierci. Dziewczyna odwróciła oczy pełne łez.

- Caro - powiedział Richard - zaprzęgnij konie do powozu. Ja pójdę na zwiady i upewnię się, że nie spotka nas żadna niespodzianka.

- Ty zaprzęgnij konie, a ja pójdę na zwiady. Jestem twoją strażą przyboczną.

- I moją przyjaciółką. Znam te okolice lepiej niż ty. Zaprzęgaj konie i nie sprzeczasz się.

Cara przewróciła oczami i prychnęła, rozeźlona, ale pomaszerowała wypełnić polecenie chłopaka.

Cisza w izdebce aż dzwoniła. Cień Richarda zsunął się z koca. Kahlan szepnęła, że go kocha, a on zatrzymał się i obejrzał na nią. Pochylenie ramion zdradzało ciężar, jaki nań spadł.

- Szkoda, że nie mogę sprawić, by ludzie zrozumieli wolność, przykro mi. Kahlan zdołała się do niego uśmiechnąć.

- Może to wcale nie jest takie trudne. - Wskazała ptaka, którego wyrzeźbił na belce. - Po prostu im to pokaż, a pojmą, czym naprawdę jest wolność: lotem na własnych skrzydłach.

Ku jej radości, Richard się uśmiechnął i zniknął za drzwiami.

## ROZDZIAŁ 3

W głowie Kahlan kłębiły się niespokojne myśli i nie pozwalały jej zasnąć. Starła się nie zastanawiać nad wizją przyszłości, którą snuł Richard. Ból tak ją wyczerpał, że nie miała siły, by dokładnie rozważyć słowa chłopaka, a poza tym teraz i tak nie mogła działać. Zdecydowała jednak, że pomoże mu pogodzić się z utratą Anderithu i skupić na powstrzymaniu Imperialnego Ładu.

Trudniej było odpędzić myśli o ludziach, którzy tu byli, a wśród których Richard dorastał. Wciąż słyszała ich gniewne groźby. Wiedziała, jak brutalni potrafią się stać w pewnych sytuacjach zwyczajni ludzie, którzy nigdy przedtem nie uciekali się do przemocy. Postrzegali rodzaj ludzki jako grzeszny, nędzny i zły, a stąd był już tylko mały krok, aby sami zaczęli czynić zło. W końcu przekonali już siebie, że do każdego ewentualnego złego uczynku predestynuje ich ludzka natura, przed którą nie ma ucieczki.

Kahlan mogła jedynie leżeć i czekać, aż ją zabiją, więc wyprowadzała ją z równowagi myśl, że tamci mogą ich napaść. Wyobrażała sobie, jak uśmiechnięty szczerbaty Tommy Lancaster pochyla się nad nią, żeby poderżnąć jej gardło, a ona może tylko wpatrywać się w niego. Często była wystraszona podczas walki, ale wtedy przynajmniej mogła się bić o życie. A to pomagało zneutralizować strach. Bezradność i brak możliwości obrony wywoływały jednak zupełnie inny strach.

W razie potrzeby mogła zawsze wykorzystać moc Spowiedniczki - ale czy zdołałaby to uczynić w swoim obecnym stanie? Jeszcze nigdy nie musiała przywoływać swojej mocy w warunkach choćby zbliżonych do tych. Upomniała się, że przecież zdążą stąd zniknąć, zanim tamci powrócą, oraz że Richard i Cara nigdy ich do niej nie dopuszczą.

Jednak Kahlan bała się jeszcze czegoś, co było aż za bardzo realne. Ale nie będzie musiała tego zbyt długo doświadczać; wiedziała, że zemdleje. Liczyła na to.

Starła się o tym nie myśleć; ostrożnie położyła dłoń na brzuchu, nad ich dzieckiem, i nasłuchiwała plusku i szmeru pobliskiego strumyka. Odgłosy płynącej wody przypominały, jak bardzo tęskniła za kąpielą. Bandaże na sączącej się ranie w boku cuchnęły i trzeba je było często zmieniać.

Prześcieradła przesiąkły potem. Wypchany trawą siennik był twardy i urazał plecy - Richard pewnie zrobił go w pośpiechu i zamierzał później poprawić.

W tak upalny dzień chłodna woda strumyka byłaby mile widziana. Kahlan chciałyby się wykąpać i pachnieć świeżością. Tak chciałyby lepiej się poczuć, sama o siebie zadbać, wyzdrowieć. Mogła tylko mieć nadzieję, że z czasem zaleczą się niewidzialne, choć nie mniej prawdziwe rany Richarda.

W końcu wróciła Cara, mruczając, że konie są dzisiaj uparte. Stwierdziła, że Kahlan jest sama.

- Lepiej pójdę i sprawdzę, czy jest bezpieczny.

- Na pewno. Wie, co robi. Lepiej zaczekaj, Caro, bo inaczej on będzie się musiał rozejrzeć za tobą.

Mord-Sith westchnęła i niechętnie na to przystała. Wzięła chłodny wilgotny kawałek płótna i zaczęła ocierać czoło i skronie Kahlan. Dziewczyna nie lubiła się uskarżać, kiedy ludzie troszczyli się o nią najlepiej, jak potrafili, więc zmilczała, jak przeraźliwie bolały zranione mięśnie szyi, kiedy ktoś w ten sposób porusza jej głowę. Cara narzekała wyłącznie wtedy, kiedy uważała, że jej podopieczni bez potrzeby narażają się na niebezpieczeństwo - i kiedy Richard nie pozwalał jej wyeliminować tych, których za owo niebezpieczeństwo uważała.

Na zewnątrz piskliwie pokrzykiwał ptak. Uporczywie powtarzany dźwięk zaczynał drażnić. Z daleka doleciało trajkotanie wiewiórki: albo protestowała przeciw czemuś, albo ogłaszała, że to jej terytorium. Nie było go już prawie godzinę. Strumyk pluskał niestrudzenie.

Richard tak właśnie pojmował wypoczynek.

- Nie cierpię tego - mruknęła.

- Powinnaś być zadowolona: leżysz sobie i nic nie musisz robić.

- I pewnie byś się chętnie ze mną zamieniła?

- Jestem Mord-Sith. A dla Mord-Sith nie ma nic gorszego, niż umrzeć w łożu. - Niebieskie oczy spojrzały na Kahlan. - Bez zębów i ze starości - dodała. - Nie miałam na myśli, że ty...

- Wiem, co miałaś na myśli.

Carze najwyraźniej ulżyło.

- I tak nie umrzesz, to by było za łatwe. A ty sobie niczego nie ułatwiasz.

- Wyszłam za Richarda.

- No i widzisz?



Kahlan się uśmiechnęła.

Cara zamoczyła płótno w stojącym na podłodze cebrzyku, wyprostowała się i wykręciła mokrą tkaninę.

- To chyba nie takie złe? Leżeć sobie tutaj?

- A jak byś się czuła, gdyby ktoś musiał podkładać ci pod siedzenie drewniany basen za każdym razem, kiedy masz pełny pęcherz?

Mord-Sith ostrożnie przesunęła wilgotnym płótnem po szyi Kahlan.

- Nie przeszkadza mi robienie tego dla siostry w Agielu.

Agiel - broń, którą Mord-Sith zawsze miała przy sobie - wyglądał jak krótki, czerwony skórzany bicz. Wisiał na cienkim łańcuszku okalającym nadgarstek. Był nieustannie pod ręką. Jego działanie zależało od magicznej więzi łączącej Mord-Sith z lordem Rahlem.

Kahlan tylko raz doświadczyła muśnięcia Agielem. W jednej chwili zadał taki ból, jak cała szajka mężczyzn, która ją skatowała. Dotknięcie Agielem mogło połamać zebra, a nawet - jeżeli Mord-Sith tego chciała - zabić.

Richard dał Kahlan Agiel należący niegdyś do Denny, Mord-Sith, która go pojmowała na rozkaz Rahla Posępnego. Jedyne Richard zdołał zrozumieć i wczuć się w ból, jaki zadawał Agiel i Mord-Sith, która się nim posługiwała. Nim zabił Denne, a musiał to uczynić, bo inaczej nie mógłby uciec, dała mu swój Agiel, prosząc, żeby zapamiętał ją jako Denne - kobietę ukrytą w Mord-Sith, kobietę, którą on jeden dostrzegł i zrozumiał. To, że dziewczyna to pojęła i nosiła Agiel na znak szacunku dla kobiet, którym odebrano młodość i które przyuczono do straszliwych zadań i obowiązków, miało olbrzymie znaczenie dla innych Mord-Sith. Prawdopodobnie głównie przez wzgląd na owo nie skażone litością współczucie Cara obwołała Kahlan siostrą w Agielu. Był to nieformalny, ale płynący z głębi serca czyn.

- Do lorda Rahla przybyli posłańcy - poinformowała Cara. - Spałaś i lord Rahl nie widział powodu, żeby cię budzić - dodała w odpowiedzi na pytające spojrzenie Kahlan. Posłańcy byli D'Harańczykami i odnajdywali Richarda dzięki więzi łączącej ich z ich lordem Rahlem; dziewczynę zawsze to niepokoiło, bo sama tego nie potrafiła.

- I cóż mieli do powiedzenia?

Cara wzruszyła ramionami.

- Niezbyt dużo. Wojska Imperialnego Ładu na razie stacjonują w Andericie, a armia Reibischa trzyma się bezpiecznie bardziej na północ, na

wypadek gdyby Ład chciał zagrozić reszcie Midlandów. Niewiele wiemy o tym, co się dzieje w okupowanym Andericie. Rzeki płyną ku morzu od miejsca, w którym są nasi, więc ludzie generała nie widzieli zwłok mogących świadczyć o masowych zgonach. Ale do naszych wojsk dotarli nieliczni uciekinierzy. Opowiedzieli, że „uwolniona” trucizna zabiła pewną liczbę ludzi, lecz nie wiedzieli, jakie to przybrało rozmiary. Generał Reibisch wysłał tam zwiadowców i szpiegów, żeby się dowiedzieli, ile zdołają.

- Jakie rozkazy przesłał przez nich Richard?

- Żadnych.

- Żadnych? Nie wysłał żadnych rozkazów?

Cara potrząsnęła głową i nachyliła się, żeby znów zmoczyć płótno.

- Ale napisał listy do generała.

Zsunęła koc, zdjęła opatrunek ze zranionego boku Kahlan, przyjrzała się czerwonym plamom i rzuciła go na podłogę. Delikatnie oczyściła ranę.

Kiedy dziewczyna odzyskała oddech, zapytała:

- Wiesz, co było w tych listach?

- Tak. Właściwie to samo, co powiedział tobie: że miał wizję, dzięki której pojął, co musi zrobić. Tłumaczył generałowi, że nie może wydać żadnych rozkazów, bo boi się, że pogrzebie wszystkie nasze szanse.

- Czy generał Reibisch odpowiedział?

- Lord Rahl miał wizję. D'Harańczycy wiedzą, że lord Rahl musi się zmagać ze straszliwymi sekretami magii. Oni wcale nie oczekują, że zrozumieją swojego lorda Rahl, i nie będą kwestionować jego postępowania: jest ich lordem Rahlem. Generał powstrzymał się od komentarzy, ale napisał, że posłuży się własnym osądem.

Pewnie dlatego Richard powiedział im, że to była wizja, a nie nazwał tego uświadomieniem sobie czegoś. Kahlan dumiała nad tym przez chwilę, rozważała możliwości.

- No to mamy przynajmniej tyle szczęścia. Generał Reibisch to mądry człowiek i będzie wiedział, co robić. A do tego czasu prawdopodobnie wyzdrowieję. No i może Richard przyjdzie do siebie.

Cara wrzuciła płótno do cebrzyka. Nachyliła się ku Kahlan, marszcząc w z troskaniu czoło.

- Matko Spowiedniczko, lord Rahl powiedział, że nie obejmie dowództwa, dopóki ludzie się przed nim nie wykażą.

- Czuję się coraz lepiej. Mam nadzieję, że pomogę mu uporać się z tym, co się stało, że pomogę mu zrozumieć, że powinien walczyć.

- Ale tu wchodzi w grę magia. - Mord-Sith skubała wystrzępiony brzeg niebieskiego koca. - Lord Rahl powiedział, że to była wizja. Jeżeli to magia, to on na pewno to wie i musi postąpić tak, jak zostało mu ukazane.

- Powinniśmy rozumieć, co przeżył, co i my utraciliśmy na rzecz Ładu, i pamiętać, że Richard dorastał z dala od magii i że nikt go nie uczył dowodzenia wojskiem.

Cara przykucnęła; płukała płótno w cebrzyku. Wykręciła je i znów zajęła się oczyszczaniem rany w boku Kahlan.

- Ale i tak jest lordem Rahlem. Czyż już wiele razy nie udowodnił, że jest mistrzem magii?

Temu Kahlan nie mogła zaprzeczyć, ale i tak nie miał zbyt wielkiego doświadczenia, a właśnie doświadczenie ogromnie się liczyło. Mord-Sith nie tylko bała się magii, najmniejsze nawet czary wywierały na niej wielkie wrażenie. Podobnie jak większość ludzi, nie potrafiła dostrzec różnicy pomiędzy zwyczajnym zaklinaniem a magią, która mogłaby odmienić świat. Kahlan uświadomiła sobie, że to nie była prawdziwa wizja, lecz wniosek, do którego doszedł Richard. Było w tym wiele racji, ale dziewczyna uważała, że za bardzo ulegał emocjom.

Cara spojrzała na nią. W jej głosie słychać było nutkę niepewności, a może i pełnego rozpaczyny oszołomienia.

- Jak ludzie zdołają się wykazać przed lordem Rahlem, Matko Spowiedniczko?

- Nie mam pojęcia.

Mord-Sith odłożyła płótno i spojrzała Kahlan w oczy. Nim w końcu zdecydowała się odezwać, panowała długa, nieprzyjemna cisza.

- Myślę, Matko Spowiedniczko, że lord Rahl mógł stracić rozum.

Dziewczyna natychmiast pomyślała, czy aby generał Reibisch nie pomyślał tak samo.

- Zdawało mi się, że D'Harańczycy nie oczekują, iż zrozumieją swojego lorda Rahla, i że nie kwestionują jego postępowania.

- Lord Rahl mówił również, że chce, bym myślała samodzielnie.

Kahlan położyła dłoń na rękę Cary.

- Ileż to już razy w niego zwątpiliśmy? Pamiętasz kureę, która nie była

kurą? Obie myślałyśmy, że jest szalony. A nie był.

- Tym razem to nie jest jakiś ścigający nas potwór. To coś o wiele poważniejszego.

- Zawsze wykonujesz rozkazy Richarda, Caro?

- Jasne, że nie. Musi mieć ochronę i nie mogę pozwolić, żeby jego brak rozsądku przeszkadzał mi w wypełnianiu moich obowiązków. Wypełniam jego rozkazy tylko wtedy, kiedy to mu w niczym nie zagraża albo kiedy i tak bym to zrobiła. No i kiedy chodzi o jego męską dumę.

- Zawsze wykonywałaś rozkazy Rahla Posępnego?

Cara zeszywniała, nieoczekiwanie usłyszawszy to imię, jakby samo wymówienie go mogło wywołać Rahla z zaświatów.

- Należało wykonywać nawet najgłupsze rozkazy Rahla Posępnego, bo zakatowaliby cię na śmierć.

- Którego lorda Rahla szanujesz?

- Oddałabym życie za każdego lorda Rahla. - Cara zawahała się, a potem dotknęła palcami czerwonego skózanego stroju w miejscu, gdzie biło jej serce. - Ale czegoś takiego nie czułabym do żadnego innego. Ja... kocham lorda Rahla. Nie tak, jak ty go kochasz, nie jak kobieta mężczyznę, ale kocham. Czasem śnię o tym, jakie to szczęście służyć mu i chronić go, a niekiedy miewam koszmary, że go zawodzę. - Mord-Sith zachmurzyła się, nagle wystraszona. - Nie powtórzysz mu, że powiedziałam, że go kocham? Nie powinien o tym wiedzieć.

Kahlan się uśmiechnęła.

- Sądzę, Caro, że on już o tym wie, bo i on darzy cię podobnym uczuciem. Ale skoro sobie tego nie życzysz, to mu nie powtórzę.

- To dobrze - westchnęła z ulgą Mord-Sith.

- A co sprawiło, że go pokochałaś?

- Wiele rzeczy... Chce, żebyśmy myślały samodzielnie. Pozwala, żebyśmy mu służyły z własnego wyboru. Żaden lord Rahl tak nie postępował. Wiem, że jeśli powiem, że chcę go opuścić, to pozwoli mi odejść. Nie każe mnie za to zameczyć. Będzie mi wręcz życzyć powodzenia.

- I za to go, między innymi, cenisz. Za to, że nigdy nie uważał się za pana życia którejś z was. Jest zdania, że nikt nie ma prawa zgłaszać takich roszczeń. Zaznałaś wolności po raz pierwszy od czasu, kiedy cię pojmano i wytresowano na Mord-Sith. I tego właśnie Richard pragnie dla wszystkich,

Caro.

Mord-Sith machnęła ręką, jakby lekceważyła powagę całej tej sprawy.

- Głupio by postąpił, dając mi wolność, gdybym o nią poprosiła. Za bardzo jestem mu potrzebna.

- Nie musisz prosić o wolność, Caro, i wiesz o tym. Już jesteś wolna, i to dzięki niemu, o czym również wiesz. Właśnie dlatego służbę u takiego wodza uważasz za zaszczyt. Dlatego go kochasz. Zasłużył na twoją lojalność.

Cara przemyślała to.

- Dalej uważam, że stracił rozum.

Richard wiele razy głosił w przeszłości, iż wierzy, że ludzie postąpią właściwie, jeśli da się im po temu okazję. Uczynił tak z Mord-Sith. A potem umożliwił to mieszkańcom Anderithu. Teraz...

Kahlan opanowała emocje.

- Nie rozum, Caro, ale być może serce.

Mord-Sith dostrzegła minę dziewczyny i poruszeniem ramienia oraz uśmiechem sprowadziła sprawę na mniej poważne tory.

- Coś mi się zdaje, że musimy go z powrotem zapędzić na właściwą drogę i zadbać o jego rozsądek. - Otarła łzę spływającą po policzku Kahlan.

- A może byś mi podłożyła ten głupi drewniany basen, zanim Richard wróci?

Cara skinęła głową i schyliła się po naczynie. Kahlan już się bała, bo wiedziała, jak zaboli, ale nie można było tego dłużej odwlekać. Mord-Sith podniosła płytką misę.

- Nim tamci się zjawili, zamierzałam rozpalić ogień, nagrzać wody i urządzić ci kąpiel w łóżku. Wiesz, namydłone płótno, wiadro ciepłej wody. Na pewno to zrobię, kiedy zajedziemy na nowe miejsce.

Kahlan aż przymknęła oczy; wreszcie byłaby czysta i świeża. Pomyślała, że bardziej potrzebuje kąpeli niż drewnianego basenu.

- Jeśli to dla mnie zrobisz, Caro, to jak tylko wydobrzeję, ucałuję twoje stopy i mianuję cię na najważniejsze stanowisko, jakie zdołam wymyślić.

- Jestem Mord-Sith. - Cara wyglądała na skonsternowaną; zsunęła koc. - To najważniejsza ze wszystkich funkcji. No, może poza byciem żoną lorda Rahla. On już ma żonę, ja już jestem Mord-Sith, więc pewnie będę się musiała zadowolić ucałowaniem stóp.

Kahlan zachichotała, lecz kłujący ból żeber i brzucha natychmiast stłumił

jej śmiech.

Richard długo nie wracał. Cara napoiła Kahlan dwoma kubkami zimnej herbaty zmieszanej z dużą dawką ziół tłumiących ból. Wkrótce dziewczyna wpadnie w odrętwienie, a może i zaśnie. Kahlan już miała spełnić prośbę Cary i wysłać ją na poszukiwanie Richarda, kiedy usłyszały jego głos.

- Widziałeś któregoś z tamtych? - spytała Cara, gdy stanął w drzwiach.

Richard otarł pot z czoła. Wilgotne włosy przykleiły mu się do karku.

- Nie. Na pewno pojechali do Hartlandu, żeby sobie popić i ponarzekać. Już dawno nas tu nie będzie, kiedy wrócą.

- Wciąż uważam, że powinniśmy urządzić zasadzkę i raz na zawsze usunąć zagrożenie - mruknęła Mord-Sith.

- Ściąłem kilka krzepkich drzewek, ociosałem je i zrobiłem z grubego płótna nosze. - Podszedł i dotknął kłykciami brody Kahlan, żartobliwie dodając jej odwagi. - Ułożymy cię na noszach i będziemy mogli wkładać cię do powozu i wyciągać z niego bez... - Jego oczy znów miały ów wyraz, który sprawiał dziewczynie ból; Richard uśmiechnął się do niej przelotnie. - Carze i mnie będzie wygodniej.

Kahlan usiłowała się opanować.

- Czyli jesteśmy gotowi?

Opuścił wzrok i potaknął.

- To doskonale - powiedziała radośnie. - Mam ochotę na małą przejażdżkę. Chętnie obejrzę okolicę.

Richard znów się uśmiechnął; tym razem bardziej przekonująco, pomyślała Kahlan.

- I tak się stanie. Pojedziemy w przepiękne miejsce. Zajmie to trochę czasu, bo musimy jechać powoli, ale przekonasz się, że warto było.

Dziewczyna starała się panować nad oddechem. Powtarzała w myślach jego imię, mówiąc sobie, że tym razem go nie zapomni, że nie zapomni własnego imienia. Nie znosiła zapominać; głupio się czuła, dowiadując się o tym, o czym powinna pamiętać, a co zapomniała. Tym razem zapamięta, nie zapomni.

- Mam wstać i iść? A może będziesz szarmancki i mnie zaniesiesz?

Nachylił się i pocałował ją w czoło - jedyne miejsce na twarzy Kahlan, które mógł musnąć wargami, nie sprawiając jej bólu. Spojrzał na Carę i skinieniem głowy dał znak, żeby chwyciła nogi dziewczyny.



- Tamci długo będą pić? - spytała Kahlan.  
- Dopiero południe. Nie martw się, dawno nas tu nie będzie, kiedy wrócą.  
- Tak mi przykro, Richardzie. Wiem, że myślałeś, że ci ludzie z twoich rodzinnych stron...

- Są tacy sami jak inni.

Potaknęła i czule pogładziła wielką dłoń męża.

- Cara dała mi trochę twoich ziół. Zasnę na długo, więc nie musisz wolno jechać. Nic nie czuję. Nie chcę, żebyś musiał z nimi walczyć.

- Nie będę walczył, a jedynie podróżował moimi lasami.

- To doskonale. - Kahlan oddychała szybciej i czuła, jak bolą ją zranione miejsca. - Wiedz, że cię kocham. Kocham cię, choćbym zapomniała ci o tym powiedzieć.

W szarych oczach widać było cierpienie, a mimo to Richard się uśmiechnął.

- I ja cię kocham. Spróbuj się rozluźnić. Cara i ja postaramy się to zrobić jak najdelikatniej. Powolutku. Nie ma pośpiechu. Nie próbuj nam pomagać. Rozluźnij się. Zdrowiejesz, więc nie będzie tak źle.

Kahlan była już wcześniej ranna i wiedziała, że zawsze lepiej przemieścić się samemu, bo wie się, jak to zrobić. Jednak tym razem nie mogła się poruszyć. Przekonała się na własnej skórze, że nie ma nic gorszego niż to, gdy inni muszą cię przenieść, kiedy jesteś ranna.

Richard nachylił się; prawym ramieniem otoczyła jego szyję, a on delikatnie wsunął lewą rękę pod jej barki. Nawet to przeraźliwie zabolęło. Kahlan usiłowała ignorować palące klucie, rozluźnić się; cały czas powtarzała w myślach jego imię. Nagle przypomniała sobie coś ważnego. To ostatnia okazja, żeby mu o tym przypomnieć.

- Richardzie - szepnęła, kiedy już miał wsunąć prawe ramię pod jej siedzenie i podnieść ją. - Proszę... postaraj się nie urazić dziecka.

Zdumiała się, dostrzegłszy, jak wstrząsnęły nim te słowa. Chwilę potrwało, zanim spojrzał jej w oczy. To, co zobaczyła w jego oczach, sprawiło, że jej serce niemal stanęło.

- Kahlan... pamiętasz, prawda?

- O czym?

Oczy mu się zamglily.

- Że straciłaś dziecko. Kiedy cię napadli.

Przypomnienie trafiło ją jak pięść, zatamowało oddech.

- Och...

- Nic ci nie jest?

- Nic. Na chwilę zapomniałam. Nie zastanowiłam się. Teraz już pamiętam. Pamiętam, że mi o tym powiedziałeś.

I pamiętała. Ich dziecko, które dopiero zaczynało w niej rosnać, już od dawna było martwe. Bestie, które na nią napadły, odebrały jej i to.

Świat stał się szary, bez życia.

- Tak mi przykro, Kahlan - wyszeptał Richard.

- Nie, Richardzie. - Poglądziła jego włosy. - Powinnam pamiętać. Przepraszam, że zapomniałam. Nie zamierzałam...

Skinął głową.

Na szyję Kahlan, obok naszyjnika, spadła gorąca łza. Naszyjnik z małym ciemnym kamieniem był ślubnym darem od Shoty. Ofertą zawieszenia broni. Shota powiedziała, że dzięki temu naszyjnikowi będą mogli być razem i darzyć się miłością, jak zawsze tego pragnęli, lecz Kahlan nie zajdzie w ciążę. Richard i Kahlan postanowili, że ze względu na okoliczności przyjmą - choć niechętnie - dar więdźmy i zawrą z nią rozejm. I tak mieli mnóstwo problemów do rozwiązania. Kiedy jednak na świecie znalazły się demony, magia naszyjnika zniknęła, o czym Richard i Kahlan nie wiedzieli. Dali życie dziecku: drobne, ale cudowne zadośćuczynienie za grozę, jaką siały na świecie demony.

A teraz owo życie zgasło.

- Ruszajmy już, Richardzie.

Znów skinął głową.

- Drogie duchy - szepnął do siebie tak cicho, że ledwo dosłyszała - wybaczcie mi to, co muszę zrobić.

Z całej siły wczepiła się w jego szyję. Teraz tęskniła za tym, co nadciągało - pragnęła zapomnieć.

Richard podniósł ją najdelikatniej, jak zdołał. Miała wrażenie, że jednocześnie ruszyły galopem dzikie konie przywiązane do jej rąk i nóg. Szarpiący ból sprawił, że szeroko rozwarła oczy i wstrzymała oddech. A potem wrzasnęła.

Uderzyła w nią ciemność, jak zatraskujące się drzwi lochu.

## ROZDZIAŁ 4

Nagle obudził ją jakiś dźwięk. Kahlan leżała na plecach, zupełnie nieruchomo; otworzyła szeroko oczy i nasłuchiwała. Nie chodziło o to, że był to jakiś głośny dźwięk, lecz że było w nim coś niepokojąco znajomego. Coś groźnego.

W całym ciele dziewczyny pulsował ból, ale od wielu tygodni nie była tak przytomna. Nie wiedziała, jak długo spała, lub raczej, jak długo była nieprzytomna. Oprzytomniała na tyle, żeby zdawać sobie sprawę, że próbując usiąść, popełniłaby ogromny błąd - bo całe miała wyłącznie prawe ramię. Jeden z kasztanowatych wałachów parsknął nerwowo i tupnął kopytem; szarpnął przy tym powozem, co przypomniało Kahlan o połamanych żebrach.

Lepkie powietrze pachniało zbliżającym się deszczem, ale powiewy wiatru wciąż jeszcze niosły kurz ku nozdrzom dziewczyny. Nad jej głową kołysały się gęste liście, skrzypiały targane wiatrem gałęzie. Cicho mknęły purpurowe i fioletowe chmury. Wysoko nad czołem Kahlan, na niebiesko-czarnym niebie widocznym przez liście i chmury, świeciła samotna gwiazda. Kahlan nie wiedziała, czy to świt, czy zmierzch, ale wydawało się jej, że to schyłek dnia.

Porywy wiatru uderzały ją w twarz kosmykami jej brudnych włosów, a ona nasłuchiwała owego obcego dźwięku, wciąż mając nadzieję, że okaże się niegroźny. Usłyszała go, kiedy jeszcze spała, i teraz nie mogła rozpoznać.

Nasłuchiwała też dźwięków wskazujących na obecność Richarda i Cary, ale nic nie słyszała. Na pewno są gdzieś w pobliżu. Przecież nie zostawiliby jej samej - za nic w świecie, gdyby żyli. Odpędziła tę myśl. Pragnęła zawołać Richarda i udowodnić sobie, że to jakieś głupie lęki, ale instynkt nakazywał, by milczała. Nie potrzebowała przypomnienia, że nie wolno się jej poruszyć.

Z oddali doleciał metaliczny szczęk, a potem krzyk. Może to jakieś zwierzę, powiedziała sobie. Kruki czasem wydają przeraźliwe wrzaski. A ich piskliwe kwilenia mogą brzmieć zadziwiająco ludzko. Jednak o ile wiedziała, nawet kruki nie wydają metalicznego szczęku.

Nagle powóz przechylił się w prawo. Kahlan aż wstrzymała oddech, bo ów nieoczekiwany ruch wywołał kłujący ból w plecach i w żebrach. Ktoś

ciężko stanął na stopniu. Tak całkowite lekceważenie rannej pasażerki świadczyło, że to ani Richard, ani Cara. Ale jeżeli nie oni, to kto? Kahlan dostała gęsiej skórki. Skoro to nie Richard, to gdzież był?

Tłuste paluchy zacisnęły się na brzegu wyściółki przysnurowanej do bocznej drabinki. Tępo zakończone opuszki wybrzuszały się nad brudnymi, obgryzionymi paznokciami. Kahlan wstrzymała oddech, mając nadzieję, że właściciel paluchów nie domyśli się, że ona jest w środku.

Ukazała się twarz. Na dziewczynę łypnęły chytre ciemne ślepia. Brakowało mu czterech przednich zębów, a kiedy wyszczerzył się w uśmiechu, jego kły wyglądały jak kły zwierzęcia.

- No, no, no. Czyżby to była żonka świętej pamięci Richarda Cyphera?

Kahlan leżała nieruchomo. To było jak w jej snach. Przez chwilę nie była pewna, czy to sen, czy jawa.

Koszulę miał pokrytą warstwą brudu, jakby jej nigdy nie zdejmował. Rzadki sztywny zarost pokrywał mięsiste, dziobate policzki i brodę. Ciekło mu z nosa i spływało na górną wargę. W szczerbie tkwił czubek języka.

Uniósł nóż, żeby go zobaczyła. Obracał go to w jedną, to w drugą stronę, zupełnie jakby pokazywał coś cennego wstydlivej dziewczusce, do której się umizgiwał. Wodził oczami od noża do Kahlan. Ostrze zdradzało, że ostrzono je na kawałku chropowatego granitu, a nie na osełce. Tandetną stal szpeciły ciemne plamy i rdza. Jednak pokieroszowane ostrze i tak było groźne. Złośliwy, niepełny uśmiech stał się szerszy, bo Kahlan wodziła oczami za nożem, obserwując, jak markuje cięcia.

Dziewczyna zmusiła się, żeby spojrzeć w ciemne, opuchnięte, wąskie ślepia.

- Gdzie jest Richard? - zapytała spokojnie.

- Tańczy w zaświatach z duchami. - Przechylił głowę. - A gdzie ta jasnowłosa dziwka? Jeden z koleżków mówił, że ją tu przedtem widzieli. Ta z niewyparzoną gębą. Ta, co jej najprzód urznę jęzor, a potem ją wypatroszę.

Kahlan patrzyła nań gniewnie, żeby wiedział, że nie zamierza mu odpowiedzieć. Nóż przysunął się bliżej. Poczwała smród napastnika.

- Na pewno jesteś Tommy Lancaster.

Nóż znieruchomiał.

- Skąd wiesz?

Wezbrał w niej gniew.

- Richard mi o tobie opowiedział.

Oczy błysnęły groźnie. Uśmiech rozszerzył się.

- Taa? A co ci nagadał?

- Że jesteś wstrętną szczerbatą świnią, co moczy portki, ilekroć szczerzy zęby. Zapaszek wskazuje, że miał rację.

Złośliwy uśmiech zmienił się w gniewny grymas. Tommy wspiął się na stopień i nachylił ku niej z nożem. Tego właśnie chciała Kahlan: by znalazł się na tyle blisko, żeby mogła go dotknąć.

Z wprawą wynikającą z doświadczenia opanowała gniew i poddała się spokojowi zdecydowanej na działanie Spowiedniczki. Jeżeli Spowiedniczka zdecydowała, że uwolni swoją moc, to jakby zmieniały się właściwości czasu.

Teraz wystarczyło, żeby Kahlan go dotknęła.

Moc Spowiedniczki w pewnej mierze zależała od fizycznej siły. Dziewczyna nie wiedziała, czy tak poraniona zdoła przywołać moc, a jeśli tak, to czy przeżyje ów czyn; wiedziała jednak, że nie ma wyboru. Jedno z nich umrze. A może oboje.

Oparł łokieć na bocznej drabince. Pięść z nożem zbliżała się ku odsłoniętej szyi Kahlan. Dziewczyna nie patrzyła na nóż, ale na drobne blizny oplatające pajęczyną jego kłyckie. Kiedy pięść znalazła się w odpowiedniej odległości, Kahlan chciała go chwycić za przegub.

I okazało się, że jest szczelnie zawinięta w niebieski koc. Nie zdawała sobie sprawy, że Richard ułożył ją na noszach. Owinął ją kocem i wepchnął jego brzegi pod tyczki - a wszystko po to, żeby ją unieruchomić i dzięki temu uchronić od bólu w trakcie jazdy. Sprawne ramię było uwięzione pod kocem, który miał się stać śmiertelnym całunem.

Kahlan, ogarnięta paniką, starała się uwolnić rękę. Ostrze było coraz bliżej szyi, więc nie miała zbyt wiele czasu. Szarpała się z kocem, bolały połamane zębra. Nie miała czasu na płacze i krzyki ani na przeklinanie, że tak głupio wpadła w pułapkę. Chwyciła palcami fałdę koca. Szarpała, starając się wyciągnąć go choć trochę spod noszy, na których leżała, połuzować na tyle, żeby mogła uwolnić rękę. Wystarczyło, żeby dotknęła napastnika, a nie mogła. Nóż miał się stać jedynym ich łącznikiem. Pozostawała jej nadzieja, że Tommy dotknie kłyckami jej skóry albo że znajdzie się na tyle blisko, iż zdoła dotknąć brodą jego dłoni. Wtedy mogłaby uwolnić swoją moc - gdyby jeszcze żyła, gdyby nie ciął zbyt głęboko.

Szarpała i ciągnęła koc całą wieczność, obserwując zbliżający się nóż; całą wieczność czekała na możliwość uwolnienia mocy - żyła wieczność. Ale wiedziała, że za chwilę poczuje tępawę ostrze.

Jednak stało się zupełnie inaczej, niż się spodziewała.

Tommy Lancaster z rozdzierającym wrzaskiem szarpnął się do tyłu. Gwałtownie powrócił otaczający Kahlan świat. Zobaczyła Carę z ponurą, zawziętą miną. W swoim czerwonym skórzanym uniformie wyglądała jak bezcenny rubin za pacyną błota.

Lancaster, wygięty pod wciśniętym w jego plecy Agielem, miał mniejsze szanse na uwolnienie się od Cary, niż gdyby nadziała go na rzeźnicki hak. Jego męka nie byłaby mniejsza, a wrzaski mniej rozdzierające. Osunął się na kolana, Agiel zaś przesunął mu się po żebrach. Każde żebro, którego dotykał, pękało z trzaskiem przypominającym dźwięk wydawany przez łamaną gałąź. Jaskrawa czerwień - taka jak barwa uniformu Cary - sączyła mu się z kłykci i spływała po palcach. Nóż upadł na kamienistą ziemię. Ciemna plama krwi rosła na pole koszuli, a potem krew zaczęła kapać na ziemię.

Cara stała nad nim niczym srogi oprawca i patrzyła, jak błaga o łaskę. Nie udzieliła mu jej; przycisnęła Agiel do szyi Tommy'ego i powaliła go na ziemię. Leżał i krztusił się, oczy miał szeroko otwarte i wywrócone. To była długa, powolna, pełna udręki droga ku śmierci. Tommy Lancaster młócił rękami i nogami, topiąc się we własnej krwi. Cara mogła prędko zakończyć jego mękę, ale nie miała najmniejszego zamiaru tego zrobić. Ten człowiek chciał zabić Kahlan. Mord-Sith uważała, że powinien drogo zapłacić za swoją zbrodnię.

- Caro! - Kahlan zdumiała się, że potrafi tak głośno krzyknąć.

Mord-Sith obejrzała się na nią przez ramię; Tommy Lancaster złapał się rękami za gardło i spazmatycznie chwycił powietrze, a Cara podniosła się i stanęła nad nim.

- Przestań, Caro. Gdzie Richard? Może potrzebuje twojej pomocy.

Mord-Sith nachyliła się nad Tommym Lancasterem, przycisnęła mu Agiel do piersi i zakręciła. Mężczyzna wierzgnął nogami, ręce opadły mu bezwładnie i znieruchomiał.

Nim Kahlan lub Cara zdążyły się odezwać, do powozu podbiegł Richard; twarz miał chłodną, okrutną. Trzymał w dłoni miecz. Klinga była ciemna i

mokra.

Gdy tylko dziewczyna ujrzała miecz, zrozumiała, co ją obudziło. Szczęk oznajmiający dobyte Miecza Prawdy. Spała, lecz jej podświadomość rozpoznała charakterystyczny dźwięk dobywanego Miecza Prawdy i Kahlan instynktownie wychwyciła zagrożenie, które ów szczęk oznaczał.

Richard, spiesząc ku Kahlan, tylko przelotnie spojrział na martwe ciało u stóp Cary.

- Nic ci nie jest?

- Nic a nic - odparła; ponieważ wydobyła ramię spod koca, ale i tak była dumna z tego wyczynu.

Richard zapytał Carę:

- Jeszcze ktoś się zjawił?

- Nie. Tylko ten tutaj. - Wskazała Agielem nóż leżący na ziemi. - Chciał podciąć gardło Matce Spowiedniczce.

Gdyby Tommy Lancaster nie był już martwy, zabiłoby go wściekle spojrzenie Richarda.

- Mam nadzieję, że nie byłaś dla niego łagodna.

- Nie byłam, lordzie Rahlu. Dopilnowałam, żeby gorzko żałował swojego ostatniego złego czynu.

Chłopak zatoczył łuk mieczem i polecił:

- Zostań tutaj i miej oczy otwarte. Jestem pewny, że dopadliśmy wszystkich, ale na wszelki wypadek jeszcze się upewnię, czy nikt się nie przyczaił i nie spróbuje nas zaskoczyć z innej strony.

- Nikt się nie zbliży do Matki Spowiedniczki, lordzie Rahlu.

Richard poklepał jednego z zaprzężonych koni i w mglistym świetle zatańczył kurz.

- Ruszamy, jak tylko wrócę. Przynajmniej przez kilka godzin księżyc będzie wystarczająco jasny. Znam bezpieczne miejsce na obóz, o jakieś cztery godziny drogi stąd. Znajdziemy się odpowiednio daleko od tego wszystkiego. Przeciągnij ciało przez te krzaki - wskazał mieczem - i zrzuć z urwiska do wąwozu. Ja też zadbałem, żeby zwłoki odnaleziono dopiero wtedy, gdy już będziemy daleko. Pewnie i tak znajdą je tutaj wyłącznie zwierzęta, ale wolałem nie ryzykować.

- Z przyjemnością. - Cara złapała Tommy'ego za włosy; był ciężki, ale w niczym jej to nie przeszkodziło.

Richard bezgłośnie pobiegł w zapadający mrok. Kahlan nasłuchiwała odgłosów wleczonego po ziemi ciała. Słyszała, jak pękają gałązki, kiedy Cara ciągnęła je przez krzaki, a potem głucho stuki i łomot, kiedy ciało Tommy'ego Lancastera staczało się po stromym zboczu. Sporo czasu minęło, zanim doleciało do niej ostatnie łupnięcie o dno wozu. Cara wróciła ku powozowi.

- Wszystko w porządku? - spytała, niedbale zdejmując opancerzone rękawice.

Kahlan spojrzała na nią przymrużonymi oczami.

- Prawie mnie dopadł, Caro.

Mord-Sith odrzuciła na plecy długi jasny warkocz, lustrowała wzrokiem okolicę.

- Nic podobnego. Cały czas stałam tuż za nim. Mógłby poczuć na karku mój oddech. Nie spuszczałam oka z jego noża. Nie miał nawet cienia szansy, żeby cię zranić. - Spojrzała Kahlan w oczy. - Na pewno musiaś mnie widzieć.

- Nie, nie widziałam.

- Och. Sądziłam, że mnie zobaczyłaś. - Nieco zakłopotana, zatknęła rękawice za pas. - Chyba leżysz zbyt głęboko w powozie i dlatego nie spostrzegłaś mnie za Tommym. Cały czas go pilnowałam. Naprawdę nie chciałam, żeby cię przestraszył.

- Skoro cały czas tam byłaś, to dlaczego pozwoliłaś, żeby niemal mnie zabił?

- On cię wcale „niemal nie zabił”. - Cara uśmiechnęła się smutno. - Ale chciałam, żeby w to uwierzył. Jeśli pozwolisz wrogom się łudzić, że wygrali, tym większy będzie wstrząs i przerażenie. Jeśli bezlitośnie dopadniesz ich w takiej chwili, całkowicie złamiesz w nich ducha.

Kahlan kręciło się w głowie od tego wszystkiego, więc porzuciła ów temat.

- Co się dzieje? Co się stało? Jak długo spałam?

- Podróżowaliśmy dwa dni. Budziłaś się i zasypiałaś, ale w ogóle nie wiedziałaś, co się dokoła ciebie dzieje. Lord Rahl zamartwiał się, że sprawił ci ból, gdy cię niósł do powozu i gdy musiał ci powiedzieć o... o czym zapomniałaś.

Kahlan wiedziała, co Cara miała na myśli: jej martwe dziecko.



- A tamci ludzie?

- Pojechali za nami. Ale tym razem lord Rahl z nimi nie dyskutował. - Najwyraźniej była z tego bardzo zadowolona. - Zawczasu wiedział, że się zbliżają, więc nie zdołali nas zaskoczyć. Kiedy zaatakowali, uzbrojeni w miecze, topory i łuki, tylko raz do nich zawołał, dając im szansę, żeby zmienili zamiary.

- Próbował ich przekonywać? Nawet wtedy?

- No, niezupełnie. Powiedział, żeby spokojnie wrócili do domów, bo inaczej wszyscy zginą.

- I co wtedy?

- Roześmiali się. Jakby to im tylko dodało śmiałości. Zaatakowali mieczami i toporami, wypuścili strzały. Więc lord Rahl uciekł do lasu.

- Co zrobił???

- Zanim się zjawili, uprzedził mnie, że zamierza ich skłonić, żeby go ścigali. Gdy lord Rahl uciekał, ten, co myślał, że zdoła podciąć ci gardło, wrzasnął do reszty, żeby „dopadli Richarda i tym razem go wykończyli”. Lord Rahl miał nadzieję, że odciągnie ich wszystkich od ciebie, ale kiedy ten jeden ruszył ku tobie, Richard tylko na mnie spojrzał i już wiedziałam, czego ode mnie oczekuje.

Mord-Sith splótła dłonie za plecami i badawczo wpatrywała się w gęstniejącą ciemność; czuwała, żeby nikt ich nie zaskoczył. Kahlan myślała o Richardzie, o tym, co musiał czuć, kiedy tamci go ścigali.

- Ilu ich było?

- Nie liczyłam. - Mord-Sith wzruszyła ramionami. - Może ze dwa tuziny.

- I zostawiłaś Richarda samego, kiedy ścigały go dwa tuziny mężczyzn? Dwa tuziny chcących go zabić mężczyzn?

- Miałam cię zostawić bez ochrony? - Cara obrzuciła ją pełnym niedowierzania spojrzeniem. - Skoro wiedziałam, że ta szczerbata bestia chce cię napaść? Lord Rahl żywcem obdarłby mnie ze skóry, gdybym zostawiła cię samą.

Mord-Sith - wysoka i smukła, dumnie wyprostowana, z uniesioną brodą - wyglądała jak zadowolony kot zlizujący z wąsów resztki myszy. Nagle Kahlan pojęła: Richard powierzył Carze jej, Kahlan, życie, a Mord-Sith nie zawiodła jego zaufania. Dziewczyna poczuła, jak uśmiech rozciąga częściowo tylko zaleczone pęknięcia warg.

- Szkoda, że nie wiedziałam, że cały czas tam tkwiłaś. Teraz, dzięki tobie, nie będę potrzebowała drewnianego basenu.

Cara nie uśmiechnęła się.

- Powinnaś wiedzieć, Matko Spowiedniczko, że nigdy nie dopuszczę, żeby coś złego przytrafiło się któremuś z was.

Richard wynurzył się z mroków równie nagle, jak w nich zniknął. Uspokajająco poklepał konie. Szybko sprawdził chomąta, postronki i resztę uprzęży, upewniając się, czy wszystko jest w porządku.

- Coś tu się działo? - spytał Carę.

- Nie, lordzie Rahlu. Cisza i spokój.

Zajrzał do powozu, uśmiechnął się.

- Skoro już nie śpisz, to co powiesz na romantyczną przejażdżkę przy księżycu?

- Nic ci się nie stało? - Kahlan położyła dłoń na jego rękę.

- Nic a nic. Ani draśnięcia.

- Nie to miałam na myśli.

Przestał się uśmiechać.

- Próbowali nas zabić. Westland właśnie stracił pierwszych ludzi wskutek podszeptów Imperialnego Ładu.

- Przecież ich znałeś.

- Ale to nie znaczy, że mają prawo oczekiwać ode mnie litości. Ileż tysięcy zabitych widziałem, od kiedy stąd odszedłem? Nie zdołałem przekonać do prawdy ludzi, wśród których dorastałem. Nawet nie zdołałem ich nakłonić, żeby mnie uważnie wysłuchali. Przecież to właśnie tacy jak oni, którzy odmawiają dostrzeżenia prawdy, są przyczyną tych wszystkich śmierci i cierpień, które widziałem. Ich uparta, rozmyślna ignorancja nie daje im prawa ani do mojej krwi, ani do mojego życia. Wybrali swoją drogę. I choć raz za to zapłacili.

Nie były to słowa kogoś, kto zakończył walkę. Richard wciąż ścisnął rękojeść miecza, wciąż był pod wpływem jego magicznego gniewu. Kahlan pogładziła jego ramię na znak, że rozumie. Dobrze wiedziała, że choć tylko się bronił i choć dalej szalał w nim gniew miecza, gorzko żałował tego, co musiał uczynić. Za to tamci nie mieliby żadnych wyrzutów, gdyby udało im się zabić Richarda. Świętowaliby jego śmierć jak wspaniałe zwycięstwo.

- Niebezpiecznie było pozwolić, żeby cię wszyscy ścigali.

- Wcale nie. Dzięki temu odciągnąłem ich z otwartej przestrzeni między drzewa. Musieli zsiąść z koni. Kamienieście tutaj, źle się idzie, więc nie mogli mnie ścigać ani szybko, ani w grupie, jak by to zrobili na drodze. Zmierzcha się i sądzili, że to da im przewagę. Mylili się. Wśród drzew jest jeszcze ciemniej. Jestem ubrany na czarno. A złocistą pelerynę zostawiłem w powozie, bo jest ciepło. Złociste ozdoby tylko zniekształcały moją sylwetkę w tym mroku, więc mieli trudności z wypatrzeniem mnie. Kiedy powaliłem Alberta, w ogóle przestali myśleć i zaślepił ich gniew, aż zaczęli dostrzegać krew i zabitych. Są przyzwyczajeni do burd, ale nie do walki. Spodziewali się, że bez trudu nas zamordują, nie byli psychicznie przygotowani do walki o własne życie. Jak tylko dotarło do nich, co się naprawdę dzieje, rzucili się do ucieczki. Przynajmniej ci, którzy przeżyli. To moje lasy. Tamci, przerażeni, zgubili się wśród drzew. Wybiłem ich i zakończyłem całą sprawę.

- Wszystkich? - spytała Cara, niespokojna, że któryś mógł uciec i sprowadzić kolejnych napastników.

- Tak. Większość znałem, no i pamiętałem, ilu ich było. Policzyłem ciała, żeby się upewnić, że żaden nie uszedł.

- Ilu? - zapytała Mord-Sith.

Richard odwrócił się, by ująć wodze.

- Zbyt mało jak na ich zamiary. - Cmoknął i konie ruszyły.

## ROZDZIAŁ 5

Richard wstał i dobył miecza. Tym razem Kahlan nie spała, kiedy zabrzmiał ów charakterystyczny szczęk. Instynktownie chciała usiąść. Nim jednak zdążyła drugi raz pomyśleć, chłopak przykucnął i łagodnie ją powstrzymał. Uniosła głowę na tyle, by zobaczyć, że to Cara, wprowadzająca kogoś w migotliwy krąg blasku ognia. Richard rozpoznał człowieka, którego przywiodła Mord-Sith - był to kapitan Meiffert, d'harański oficer służący pod nim w Andericie - i schował miecz. Kapitan padł na kolana i skłonił się, dotykając czołem ziemi pokrytej sosnowym igliwem.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu - błagał ze czcią Meiffert. - Rozkwitamy w twojej chwale. Oslania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, by ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Kiedy oficer, jak należało, padł na kolana i zaczął recytować modły, Kahlan zobaczyła, że Cara instynktownie poszła w jego ślady; tak głęboko wpojono im ów rytuał. Błagania do lorda Rahla zanosili wszyscy D'Harańczycy. Na polu walki odmawiali je zwykle raz, a niekiedy trzy razy. W Pałacu Ludu w D'Harze ludzie zbierali się dwa razy dziennie, żeby je odśpiewać. Kiedy Richard był więźniem Rahla Posępnego, często dręczony jak Tommy Lancaster, Mord-Sith zmuszała go, żeby klękał i całymi godzinami odmawiał owe modły. A teraz Mord-Sith, jak wszyscy D'Harańczycy, składały ten sam hołd Richardowi. Chociaż może Mord-Sith uważały taką kolej rzeczy za nieprawdopodobną, a nawet pełną ironii, nigdy tego nie powiedziały. Za to wiele z nich nie mogło się nadziwić, że Richard nie kazał ich uśmiercić, gdy został ich lordem Rahlem.

I to właśnie Richard odkrył, że modły do lorda Rahla były w rzeczywistości śladem istnienia więzi, starodawnej magii przywołanej przez jednego z jego przodków, by chronić D'Harańczyków przed Nawiedzającymi Sny. Bardzo długo wierzono, że Nawiedzający Sny - powołani do życia przez czarodziejów i służący im jako oręż w starożytnej, niemal zapomnianej wielkiej wojnie - zniknęli ze świata. Wyczarowywanie osobliwych uzdolnień i zaszczepianie ich ludziom, czy tego chcieli, czy nie, stanowiło niegdyś mroczną magię; efekty tej tajemnej sztuki były co

najmniej niemożliwe do przewidzenia, często wątpliwe, a niekiedy groźnie niestabilne. Tak się jakoś stało, że jedną z tych złowrogich zmian przekazywano z pokolenia na pokolenie, że przetrwała w utajeniu trzy tysiące lat - i ujawniła się dopiero u imperatora Jaganga.

Kahlan wiedziała coś o zmianach wywoływanych w żywych istotach, by służyły określonej celowi - tak powstałi nie tylko Nawiedzający Sny, ale i Spowiedniczki. Widziała w Jagangu monstrum stworzone przez magię. Wiedziała, że wielu ludzi to samo myślało o niej. Niektórzy ludzie mają jasne włosy lub piwne oczy - ona zaś miała być wysoka, zielonooka, kasztanowłosa i obdarzona mocą Spowiedniczki. Kochała, śmiała się i tęskniła dokładnie tak samo jak tamci ludzie o jasnych włosach czy piwnych oczach, pozbawieni jej mocy.

Kahlan wykorzystywała swoją moc w uzasadnionych, słuszych sprawach. Jagang bez wątpienia uważał, że i on tak czyni; a jeśli nawet sam tak nie sądził, wierzyła w to większość jego popleczników.

W Richardzie również tkwiła utajona moc. Starodawną obronną więź dziedziczył każdy Rahl obdarzony magicznym darem. Bez tej obronnej więzi z Richardem - lordem Rahlem - każdy mógł paść ofiarą magicznych talentów Jaganga, Nawiedzającego Sny. A więź powstawała, kiedy lordowi Rahlowi złożono hołd - czy to formalnie, czy w głębi serca.

Moc Spowiedniczek, w przeciwieństwie do innych zmian stworzonych przez czarodziejów w ludziach, nigdy nie zaniknęła, a przynajmniej było tak, dopóki Rahl Posępny nie nakazał wymordować wszystkich Spowiedniczek. Nie było już starodawnych, władających tamtą magią czarodziejów, więc moc Spowiedniczek przetrwa jedynie wtedy, kiedy Kahlan urodzi dzieci. Towarzyszki Kahlan zazwyczaj miały córki, ale nie zawsze. Ich moc stworzono dla kobiet, tylko one miały się nią posługiwać. Ale jak każde czary, które dają ludziom nadnaturalne talenty, i ten miał nieprzewidziane następstwa: okazało się, że synowie Spowiedniczek też byli obdarzeni mocą. Kiedy przekonano się, jak niebezpieczna może się stać owa moc, gdy odziedziczy ją mężczyzna, skrupulatnie odbierano życie wszystkim nowo narodzonym chłopcom.

Shota bała się właśnie tego, że Kahlan urodzi chłopca. Dobrze wiedziała, że Richard nigdy nie pozwoli, by synek jego i Kahlan zginął za dawne złe uczynki Spowiedników. Kahlan też nie dopuściłaby, żeby zabito synka jej i

Richarda. Dawniej Spowiedniczki nie mogły zawierać małżeństwa z miłości i dlatego potrafiły znieść dzieciobójstwo. Richard i to zmienił, bo znalazł sposób na to, żeby on i Kahlan mogli być razem.

Jednak Shota bała się nie tylko tego, że Kahlan urodzi Spowiednika; obawiała się czegoś o wiele groźniejszego - Spowiednika, który odziedziczy dar Richarda. Wiedźma przepowiedziała, że Kahlan i Richard spłodzą syna. Widziała w nim monstrum, groźne ponad wszelkie wyobrażenie, i dlatego przysięgła, że zabije ich potomka. Żeby temu zapobiec, podarowała Kahlan naszyjnik mający ją uchronić przed poczęciem dziecka. Niechętnie przyjęli ów dar. Alternatywą była wojna z wiedźmą.

To był jeden z powodów, dla których Richard nie cierpiał prorocत्व.

Kahlan patrzyła, jak kapitan Meiffert po raz trzeci powtarza modły, jak wargi Cary poruszają się do wtóru. Cichy zaśpiew sprawiał, że stawała się senna. To wspaniale, że mogła być z Carą i Richardem w osłoniętym obozowisku, przy dającym ciepło ogniu, że nie musiała zostać w powozie, zwłaszcza że noc zrobiła się zimna i wilgotna. Dzięki noszom mogli ją łatwiej przemieszczać i nie sprawiali jej przy tym zbyt wielkiego bólu. Richard zrobiłby nosze wcześniej, ale nie spodziewał się, że będą musieli porzucić chatę, którą zaczął stawiać.

Znajdowali się daleko od wąskiej, opuszczonej drogi, na małej polance ukrytej w szczelinie stromej skalnej ściany, za gąszczem sosen i świerków. Konie pasły się na leżącej w pobliżu zacisznej łączce. Richard i Cara zepchnęli powóz z drogi, za splątane zarośla i powalone pnie, i zamaskowali gałęziami świerka. W rozległym, pozbawionym ścieżek lesie zdołałby ich odnaleźć chyba tylko jeden z D'Harańczyków złączonych magiczną więzią z lordem Rahlem.

W tym odosobnionym zakątku znajdowało się palenisko wykonane i okolone kamieniami przez Richarda, kiedy był tu niemal rok temu. Od tamtej pory nikt w nim nie palił. Skalny występ, jakieś siedem, osiem stóp nad ich głowami, osłaniał ogień, który nie oświetlał skalnej ściany, więc dzięki temu nikt go nie mógł dostrzec z daleka. Ów skalny występ chronił ich też przed mżawką. Poza tym gęstniała mgła i wszystko to sprawiało, że było to najlepiej ukryte, najbezpieczniejsze obozowisko, jakie Kahlan w życiu widziała. Richard dotrzymywał słowa.

Dotarcie do tego miejsca zajęło im raczej sześć godzin, a nie cztery.

Richard nie spieszył się ze względu na dziewczynę. Było już późno i wszyscy byli zmęczeni po długiej podróży, nie wspominając już o napaści. Richard powiedział, że zanosi się na dzień, dwa deszczu i że zostaną w obozowisku i wypoczną, aż się wypogodzi. Nie musieli szybko dotrzeć tam, dokąd zdążali.

Kapitan Meiffert odmówił po raz trzeci modły i powoli się podniósł. Zasalutował, uderzając pięścią w serce. Richard uśmiechnął się i przywitali się mniej oficjalnie.

- Co u ciebie, kapitanie? - Chłopak ujął tamtego za łokieć. - Co się stało? Spadłeś z konia?

Meiffert zerknął na Careę.

- Nic mi nie jest, lordzie Rahlu. Naprawdę.

- Wyglądasz, jakby cię coś bolało.

- To twoja Mord-Sith... połaskotała mnie po żebrach.

- Ale nie tak mocno, żeby je połamać - prychnęła Cara.

- Bardzo mi przykro, kapitanie. Mieliśmy dzisiaj trochę kłopotów. Cara na pewno bała się o nasze bezpieczeństwo, kiedy spostrzegła, jak się zbliżasz w ciemnościach. - Richard spojrzął na Mord-Sith. - Ale i tak powinna bardziej uważać, nim się kimś „zajmie”. Jestem przekonany, że żałuje i chce cię przeprosić.

Cara skrzywiła się.

- Było ciemno. Nie mam zamiaru głupio narażać życia naszego lorda Rahla...

- Mam nadzieję, że nie - wtrącił się kapitan Meiffert, nim Richard zdążył ją upomnieć. - Kiedyś kopnął mnie rosły bojowy rumak. Ty mnie sprawniej powaliłaś, pani Caro. Z radością stwierdzam, że życie lorda Rahla jest w sprawnych dłoniach. I chętnie płacę za to obolałymi żebrami.

Twarz Cary pojaśniała. Ustępstwo kapitana rozładowało przykrą sytuację.

- Daj mi znać, jak cię będą boleć zebra - powiedziała zjadliwie Mord-Sith - a ucałuję je i wydobrzeją. - Richard patrzył na nią z wściekłością, więc podrapała się w ucho i dodała: - Przepraszam. Ale nie chciałam ryzykować.

- Jak już powiedziałem, chętnie płacę tę cenę. Dziękuję za czujność.

- Skąd się tu wzięłaś, kapitanie? - spytał Richard. - Generał Reibisch cię przysłał, żebyś sprawdził, czy lord Rahl aby nie oszalał?

Co prawda, nie można było tego dostrzec w blasku ognia, lecz Kahlan

była pewna, że twarz Meifferta poczerwieniała.

- Nie, oczywiście, że nie, lordzie Rahlu. Po prostu generał chciał, żebyś otrzymał dokładny raport.

- Rozumiem. - Richard spojrział na kociołek z kolacją. - Kiedy ostatnio jadłeś, kapitanie? Nie tylko bolą cię żebra, ale i wyglądasz na wymizerowanego.

- Hmm, cóż, lordzie Rahlu, jechałem co koń wyskoczy. Chyba wczoraj coś jadłem. Ale nic nie szkodzi, nic mi nie jest. Mogę coś zjeść po...

- No to usiądź - nakazał chłopak. - Przekąsisz coś ciepłego. Na pewno dobrze ci to zrobi.

Kapitan z ociąganiem usiadł na mchu obok Kahlan i Cary, a Richard nałożył mu do miseczki ryżu i fasoli; odciął sporą pajdę chleba stygnącego w blasze obok ogniska. Podał miseczkę Meiffertowi. Oficer nie wiedział, jak tego uniknąć, i był straszliwie zawstydzony, że usłużył mu sam lord Rahl. Richard musiał mu drugi raz podsunąć poczęstunek.

- To tylko ryż i fasola, kapitanie, a nie ręka Cary oddawanej ci za żonę.

- Mord-Sith nie wychodzą za mąż - zaśmiała się rubasznie Cara. - Zwyczajnie biorą sobie mężczyznę, którego pragną, a on nie ma nic do gadania.

Richard spojrział na nią. Z tonu jego głosu Kahlan wywnioskowała, że nie powiedział tamtego poważnie, ale nie roześmiał się razem z Carą. Aż za dobrze wiedział, że mówiła prawdę. Że nie był to akt miłosny, lecz jego przeciwieństwo. Zapanowała przykra cisza i Cara zorientowała się, co powiedziała; uznała, że lepiej nałamie trochę gałęzi i dorzuci do ognia.

Kahlan wiedziała, że Denna - Mord-Sith, która pojmała Richarda - wzięła go sobie do łóża. Cara też o tym wiedziała. Kiedy czasem chłopak nagle się budził i z całej siły tulił do niej, Kahlan dumiała, czy dręczyły go koszmary o tym, co przeżył, czy też całkiem wyimaginowane. I nigdy nie pamiętał, o czym śnił, kiedy go o to pytała, całując w spocone czoło. Choć za to była wdzięczna.

Richard sięgnął po długi pręt oparty o jeden z kamieni otaczających ognisko. Zsunął z niego do miseczki kapitana kilka skwierczących kawałków boczku i położył na wierzchu dużą pajdę chleba. Mieli ze sobą najrozmaitszą żywność. Kahlan dzieliła powóz z wszystkimi zapasami, które Richard zgromadził w trakcie długiej podróży na północ, do Hartlandu. Na długo im



wystarczy.

- Dziękuję - wyjąkał kapitan Meiffert i odgarnął do tyłu jasne włosy. - Smakowicie wygląda.

- Bo i jest smaczne - odparł Richard. - Miałeś szczęście, bo to ja szykowałem dziś kolację, a nie Cara.

Cara, dumna z tego, że jest fatalną kucharką, uśmiechnęła się, jakby to było wspaniałe osiągnięcie.

Kahlan była przekonana, że w obozie tej historii będą słuchać z wybałuszonymi oczami, osłupiali ze zdumienia: lord Rahl podający kolację jednemu ze swoich żołnierzy. Widząc, jak kapitan je, domyśliła się, że nie miał nic w ustach o wiele dłużej niż od wczoraj. Taki wielkolud potrzebuje dużo stawy, uznała.

Meiffert przełknął i podniósł wzrok.

- Mój koń. - Zaczął się podnosić. - Kiedy pani Cara... zapomniałem o koniu. Muszę...

- Jedz spokojnie. - Richard wstał i klepnął go w ramię, żeby usiadł. - I tak miałem zajrzeć do naszych koni. Zajmę się i twoim. Pewnie przyda mu się trochę wody i owsa.

- Ależ lordzie Rahlu, nie mogę pozwolić, żebyś...

- Jedz. To nam oszczędzi czasu. Skończysz, zanim wrócę, i będziesz mógł złożyć mi raport. - Chłopak zniknął w ciemnościach, słychać było tylko głos: - Obawiam się jednak, że nadal nie mam żadnych rozkazów dla generała Reibischa.

Zrobiło się cicho i świerszcze znów zaczęły grać. Kahlan usłyszała dolatujące z oddali wołanie jakiegoś nocnego ptaka. Zza pobliskich drzew dobiegło pełne zadowolenia rzenie koni - pewnie Richard je poklepał. Od czasu do czasu pod skalny nawis wpływało pasmo mgły i czuła na policzku wilgotne muśnięcie. Tak by chciała móc się ułożyć na boku i zasnąć. Richard napoił ją ziołową herbatką i ta zaczęła już działać. Przynajmniej tłumiała również ból.

- Jak się czujesz, Matko Spowiedniczko? - zapytał kapitan Meiffert. - Wszyscy ogromnie się o ciebie martwią.

Spowiedniczka rzadko kiedy doświadczała prawdziwego, szczerego zatroskania. Zwyczajne pytanie młodego oficera tchnęło taką szczerością, że wzruszyła się niemal do łez.

- Powoli zdrowieję, kapitanie. Powiedz im, że jeszcze trochę i będę zupełnie zdrowa. Jedziemy w spokojne, bezpieczne miejsce, gdzie będę się mogła cieszyć nadchodzącym latem i wypoczywać. Jestem przekonana, że do jesieni przyjdę do siebie. I mam nadzieję, że do tego czasu Richard... zwróci myśli ku walce, bo nie będzie się musiał tak o mnie martwić.

Kapitan uśmiechnął się.

- Każdy z ulgą usłyszcy, że wracasz do zdrowia. Nawet nie potrafię zliczyć, ilu ludzi mówiło mi, że czekają na wieści o tobie.

- Przekaż im, że wkrótce będę zdrowa i że proszę, by się już o mnie nie martwili, a zadbali o siebie.

Zjadł kolejną łyżkę stawy. Jego spojrzenie zdradziło, że ma też inne powody do niepokoju. Trochę potrwało, zanim o tym powiedział.

- Sądźmy, że ty i lord Rahl potrzebujecie ochrony.

Cara już siedziała prosto, ale zdołała się jeszcze bardziej wyprostować i przez to wyglądała groźniej.

- Lord Rahl i Matka Spowiedniczka nie są pozbawieni ochrony, kapitanie. Mają mnie. Wszyscy inni w porównaniu z Mord-Sith to tylko wypicowane żołnierzyki.

Tym razem kapitan nie ustąpił. Odparł poważnym, władczym głosem:

- To nie brak szacunku, pani Caro, ani arogancja. Tak jak ty przysięgałem, że będę dbać o ich bezpieczeństwo, więc jest to też moja sprawa. A te wypicowane żołnierzyki już się ścierały z wrogiem w obronie lorda Rahla i naprawdę nie sądzę, żeby Mord-Sith chciała mi uniemożliwić wypełnienie obowiązku tylko z powodu swojej urażonej próżności.

- Udajemy się w odosobnione i zaciszne miejsce - powiedziała Kahlan, nim Caro zdołała mu odpowiedzieć. - Myślę, że nasze odosobnienie i Caro to wystarczająca ochrona. Jeżeli Richard ma inne zdanie, to sam to powie.

Meiffert zaakceptował jej słowa niechętnym skinieniem. Ostatnie zdanie załagodziło sprawę.

Kiedy Richard zabrał Kahlan na północ, zostawił w tyle gwardię przyboczną. Dziewczyna wiedziała, że było to zamierzone posunięcie i prawdopodobnie wynikało z jego przeświadczenia o tym, co musi zrobić. Richard nie sprzeciwiał się obronie; kiedyś przystał na to, żeby towarzyszyła im gwardia przyboczna. Cara też nalegała, żeby zgodził się na obecność gwardii. Jednak Mord-Sith nie miała ochoty przyznawać się do tego

kapitanowi Meiffertowi.

Sporo czasu spędzili w Andericie z kapitanem i jego doborowymi oddziałami. Kahlan wiedziała, że to znakomity oficer. Prawdopodobnie ma około dwudziestu pięciu lat, myślała, jest żołnierzem od jakichś dziesięciu, weteranem wielu walk, od rewolt po wojnę. Jego twarz o wyrazistych rysach dopiero co zaczęła przybierać dojrzały wyraz.

Przez tysiąclecia - w wyniku wojen, migracji i okupacji - inne kultury przenikały się w D'Harze z miejscową, mieszały się ludy. Kapitan Meiffert, wysoki i o szerokich barkach, był - jak i Cara - czystej krwi D'Harańczykiem, o czym świadczyły jasne włosy i niebieskie oczy. A właśnie D'Harańczyków czystej krwi łączyła z Richardem najmocniejsza więź.

Kapitan zjadł połowę ryżu i obejrzał się przez ramię w mroki, w których zniknął Richard. Poważne niebieskie oczy spojrzały na Carę i Kahlan.

- Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało niedyskretnie lub krytycznie, i mam nadzieję, że nie gadam głupstw... ale czy mogę zadać wam... drażliwe pytanie?

- Możesz, kapitanie - powiedziała Kahlan. - Ale nie obiecuję, że na nie odpowiemy.

Jej ostatnie słowa sprawiły, że umilkł na chwilę, lecz potem podjął:

- Generał Reibisch i niektórzy oficerowie... hmm, odbyły się pełne troski rozmowy o lordzie Rahlu. Ufamy mu, oczywiście - dodał pośpiesznie. - Naprawdę ufamy. Tylko że...

- O cóż więc się martwicie, kapitanie? - wtrąciła się Cara, pochmurniejąc.  
- Skoro tak mu ufacie.

Meiffert zamieszał w miseczce drewnianą łyżką.

- Byłem w Andericie w trakcie tego wszystkiego. Wiem, jak ciężko pracował, i ty też, Matko Spowiedniczko. Przed nim żaden lord Rahl nie dbał o to, czego chce lud. W przeszłości liczyło się wyłącznie to, czego pragnął lord Rahl, a po tym wszystkim ludzie odrzucili jego propozycję, odrzucili jego. Odesłał nas do głównej armii i opuścił - kapitan zatoczył łuk ręką - żeby przybyć tu. W całkowitą głuszę. Żeby zostać jakimś odludkiem. - Zamilkł, szukając odpowiednich słów. - My tego... zupełnie nie rozumiemy. - Odwrócił wzrok od ognia, spojrzał w oczy Carze i Kahlan i ciągnął: - Martwimy się, że lord Rahl utracił chęć walki, że już go to nie obchodzi. A może... boi się walczyć?

Po jego minie Kahlan poznała, że bał się kary za to, co powiedział, za to, że ośmielił się zadać takie pytanie. Jednak tak bardzo chciał znać odpowiedź, że zaryzykował. Prawdopodobnie dlatego sam zjawił się z raportem, zamiast przysłać zwykłego gońca.

- Jakieś sześć godzin temu, nim ugotował kociołek ryżu i fasoli - odezwała się niedbałym tonem Cara - zabił dwa tuziny ludzi. Sam. Posiekał ich na kawałki; jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Ta furia zaskoczyła nawet mnie. Mnie zostawił tylko jednego napastnika. Uważam, że to nie było uczciwe.

Kapitanowi Meiffertowi najwyraźniej ulżyło, odetchnął głęboko. Oderwał wzrok od poważnych oczu Mord-Sith, spojrział w miseczkę i zamieszał potrawę.

- Te wieści zostaną dobrze przyjęte. Dziękuję, że mi powiedziałaś, pani Caro.

- Nie może wydać rozkazów - odezwała się Kahlan - bo niewzruszenie wierzy, że gdyby teraz poprowadził nasze wojska przeciwko Imperialnemu Ładowi, spowodowałby naszą klęskę. Uważa, że jeśli zbyt wcześnie włączy się do walki, na zawsze stracimy szansę na zwycięstwo. Jest przekonany, że musi czekać, aż nadejdzie odpowiedni czas, to wszystko. Nic więcej się za tym nie kryje.

Trochę dziwnie się czuła, usprawiedliwiając czyny Richarda, których do końca nie pochwałała. Była przekonana, że teraz należało powstrzymać marsz Imperialnego Ładu i nie pozwolić, by bezkarnie grabili i mordowali mieszkańców Nowego Świata.

Kapitan rozmyślał nad tym, co usłyszał, i jadł chleb. Zachmurzył się, machnął dłonią z resztką chleba.

- Istnieje logiczna teoria takiej strategii. Jeżeli możesz wybierać, atakujesz wyłącznie wtedy, kiedy to odpowiada tobie, a nie wtedy, kiedy wróg by sobie tego życzył. - Znów przez chwilę rozmyślał i najwyraźniej nabrał otuchy. - Lepiej zaczekać z atakiem na właściwy moment, niż wyruszyć do walki w nieodpowiedniej chwili. Tak by postąpił tylko zły dowódca.

- To prawda. - Kahlan uniosła ramię i przytknęła nadgarstek do czoła. - Może zdołałbyś tak właśnie wytłumaczyć innym oficerom, że na rozkazy jest jeszcze za wcześnie i że on czeka na właściwą chwilę. To się, prawdę

mówiąc, niewiele różni od wytłumaczenia, jakie dał nam Richard, ale może oni lepiej to pojmą, jeśli ujmiesz to właśnie tak.

Kapitan zjadł resztę chleba, znów się zamyślił.

- Całkowicie ufam lordowi Rahlowi. Wiem, że inni też, ale uważam, że uspokoi ich takie wyjaśnienie. Teraz rozumiem, dlaczego musiał nas opuścić. Zrobił to, żeby się oprzeć pokusie ruszenia do walki, zanim nadejdzie właściwy czas.

Kahlan pomyślała, że chciałaby być tak spokojna i pewna jak kapitan. Przypomniała sobie pytanie Cary, zastanawiającej się, jak ludzie mają się wykazać przed Richardem. Wiedziała, że tym razem nie przystałby na głosowanie, ale nie widziała innego sposobu, by mogli go przekonać.

- Nie wspominałabym o tym Richardowi - powiedziała. - Trudno mu się pogodzić z tym, że nie może wami dowodzić. Stara się robić to, co uważa za słuszne, ale nie jest to łatwe.

- Rozumiem, Matko Spowiedniczko. Jego mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, by mu służyć. Nasze życie należy do niego.

Kahlan patrzyła na gładką młodą twarz oświetloną płomieniami ognia. Dostrzegła tam to, co Richard próbował jej przedtem powiedzieć.

- Richard wcale nie uważa, że wasze życie należy do niego, kapitanie. Sądzi, że jest wasze i bezcenne. I o to właśnie walczy.

Meiffert ostrożnie dobierał słowa; choć nie bał się jej jako Matki Spowiedniczki, choć nie dorastał w poczuciu, że należy się bać mocy i władzy takiej kobiety, to przecież była żoną lorda Rahla.

- Większość z nas widzi, jak on się różni od ostatniego lorda Rahla. Nie twierdzę, że któryś z nas pojmuje wszystko, co go dotyczy, ale wiemy, że walczy w obronie, a nie po to, żeby podbijać. Jako żołnierz dobrze wiem, ile znaczy wierzyć w to, o co się walczy, bo... - Odwrócił wzrok od oczu Kahlan, podniósł krótki kawałek drewna i stukał nim o ziemię; w jego głosie pojawiła się bolesna nutka. - Bo zabijanie ludzi, którzy nigdy nie chcieli ci wyrządzić krzywdy, odbiera ci coś bezcennego.

Ogień trzeszczał i syczał, kiedy kapitan powoli przesypywał zarzące się węgle. Strzeliły iskry i wydostały się poza skalny nawis. Cara obracała w palcach Agiel i wpatrywała się w niego.

- Ty też... tak to odczuwasz?

Kapitan Meiffert spojrział w oczy Mord-Sith.

- Nigdy wcześniej nie uświadamiałem sobie, jak to na mnie działa. Nie wiedziałem tego. Lord Rahl sprawił, że czuję się dumny, że jestem D'Harańczykiem. Dzięki niemu jest to coś właściwego... Przedtem nigdy nie było. Myślałem, że wszystko jest, jakie jest, i że się nigdy nie zmieni.

Cara odwróciła wzrok, przytaknęła mu w głębi duszy. Kahlan mogła sobie tylko wyobrazić, czym było życie pod takim panowaniem i jak wpływało na ludzi.

- Cieszę się, kapitanie, że to rozumiesz - wyszeptała dziewczyna. - Między innymi dlatego on tak bardzo się o was martwi. Chce, byście żyli tak, by móc być z tego dumnym. Ze swego życia.

Meiffert wrzucił drewno do ognia.

- I chciałem, żeby mieszkańcy Anderithu dbali o siebie tak, jak my mamy według niego cenić własne życie. Tak naprawdę głosowali nie dla niego, ale dla siebie. Czy dlatego to głosowanie tak wiele dla niego znaczyło?

- Tak - potwierdziła Kahlan i umilkła, bo nie dowierzała własnemu głosowi.

Kapitan mieszał łyżką, studząc swoją kolację. Kahlan była przekonana, że potrawa nie potrzebowała już studzenia. Przypuszczała, że myśli mieszały mu się jeszcze bardziej.

- Tam, w Andericie, słyszałem, jak ludzie mówili, że skoro Rahl Posępny był jego ojcem, to i Richard Rahl musi być zły. Mówili, że skoro jego ojciec czynił zło, to Richard Rahl może czasem czynić dobro, ale nigdy nie będzie dobrym człowiekiem.

- I ja to słyszałam - odezwała się Cara. - I nie tylko w Andericie, w wielu miejscach.

- To nie w porządku. Dlaczego ludzie mieliby uważać, że skoro jedno z jego rodziców było złe, to jego zbrodnie spadają na kogoś, kto ich nigdy nie popełnił? I że lord Rahl musi trawić życie na naprawianiu tego? Przykro mi myśleć, że gdybym miał szczęście zostać ojcem, to moje dzieci, a potem dzieci moich dzieci musiałyby wciąż cierpieć z powodu tego, co uczyniłem, służąc pod Rahlem Posępnym. - Spojrzał na Kahlan i Carę. - To niesprawiedliwe.

Cara w milczeniu patrzyła w płomienie.

- Służyłem pod Rahlem Posępnym. Wiem, jak oni się różnią. - Kapitan zniżył głos, w którym pobrzmiwał gniew. - Ludzie błędzą, obarczając winą

za zbrodnie Rahla Posępnego jego syna.

- Masz co do tego rację - wyszeptała Cara. - Może i są trochę podobni do siebie, ale nikt, kto spojrział im w oczy, tak jak ja patrzyłam, nie pomyśli nigdy, że są ludźmi tego samego pokroju.

## ROZDZIAŁ 6

Kapitan Meiffert w milczeniu dokończył ryż i fasolę. Cara podała mu swój bukłak. Przyjął go z uśmiechem i podziękował skinieniem głowy. Nałożyła mu drugą porcję z kociołka i ukroiła kolejną kromkę chleba. To, że usłużyła mu Mord-Sith, wstrząsnęło nim tylko odrobinę mniej niż to, że usłużył mu lord Rahl. Carę ogromnie rozbawiła jego mina. Nazwała go „picusioватыm żołnierzykiem” i kazała wszystko zjeść. Wykonał jej polecenie, a wszyscy troje słuchali potrzaskiwania ognia i kapania wody ściekającej z sosnowych igieł na ziemię pokrytą liśćmi i leśnymi szczątkami.

Wrócił Richard, niosąc juki i śpiwór kapitana. Położył wszystko na ziemi obok Meifferta, otrzepał się z wody i usiadł przy Kahlan. Przysunął jej do ust pełny bukłak, który ze sobą przyniósł. Upiła tylko łyk. Woląca położyć dłoń na jego nodze. Richard ziewnął.

- Mówiłeś, kapitanie Meiffercie, że generał Reibisch życzył sobie, byś złożył mi pełny raport?

- Tak, panie.

I kapitan zagłębił się w długi, szczegółowy opis stanu wojsk na południu; jak byli rozmieszczeni na równinach, jakich przełęczy strzegli w górach i jak zamierzali wykorzystać teren, gdyby Imperialny Ład znienacka wychynął z Anderithu i ruszył na północ, w głąb Midlandów. Mówił o stanie zdrowia żołnierzy, o zaopatrzeniu - jedno i drugie było dobre. Druga część d'harańskich oddziałów generała Reibischa była w Aydindril i strzegła miasta; Kahlan z ulgą usłyszała, że wszystko było tam w porządku.

Meiffert przekazał wiadomości, które otrzymywali z Midlandów, w tym z Keltonu i Galei, dwóch największych krain, teraz sprzymierzonych z nowym imperium D'Hary. Sprzymierzone krainy pomagały w zaopatrywaniu armii oraz dostarczały ludzi do patroli i innych prac.

Harold, przyrodni brat Kahlan, przysłał wiadomość, że zaczęło się poprawiać Cyrilli, przyrodniej siostrze dziewczyny. Cyrilla była królową Galei. Po brutalnym traktowaniu w niewoli stała się emocjonalnie nie zrównowazona i nie mogła pełnić swych obowiązków. W rzadkich chwilach świadomości niepokoiła się o swój lud i błagała Kahlan, żeby została królową. Kahlan niechętnie na to przystała, zastrzegając, że to tylko



do czasu, aż Cyrilla wyzdrowieje. Niewielu wierzyło, że biedaczka kiedykolwiek odzyska zmysły, ale teraz najwyraźniej wyglądało na to, że może wyzdrowieć.

Chcąc złagodzić urażoną dumę sąsiedniej krainy, Keltonu, Richard obwołał Kahlan i jej królową. Gdy dziewczyna po raz pierwszy o tym usłyszała, uznała, że to czyste szaleństwo. Jednak owo osobliwe rozwiązanie odpowiadało obu krainom i przyniosło im nie tylko pokój, ale i wprowadziło je do grona krajów walczących przeciwko Imperialnemu Ładowi.

Carę mile zaskoczyła wieść, że grupa Mord-Sith zjawiała się w Pałacu Spowiedniczek w Aydindril, na wypadek gdyby lord Rahl ich potrzebował. Berdine na pewno ucieszy się z towarzystwa sióstr.

Kahlan tęskniła za Aydindril. Myślała, że miejsce, w którym się dorasta, już zawsze zachowuje się w sercu. Zaczęła współczuć Richardowi.

- To pewnie Rikka - oznajmiła z uśmiechem Cara. - Niech no tylko spotka się z nowym lordem Rahlem - dorzuciła cichutko i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Myśli Kahlan powędrowały ku tym, których zostawili Imperialnemu Ładowi, a raczej ku ludziom, którzy sami wybrali Imperialny Ład.

- Dostaliście jakieś wieści z Anderithu?

- Tak, od pewnej liczby żołnierzy, których tam wysłaliśmy. Obawiam się, że niektórych straciliśmy. Od tych, którzy wrócili, dowiedzieliśmy się, że od zatrutych wód zginęło mniej nieprzyjaciół, niż na to liczyliśmy. Od kiedy Imperialny Ład zorientował się, że jego żołnierze umierają albo chorują, wszystko najpierw sprawdzają na miejscowych. Sporo zmarło lub się pochorowało, ale zaraza się nie rozprzestrzeniła. Wykorzystując ludzi do sprawdzania pokarmu i wody, zdołali wyizolować skażone zapasy i zniszczyli je. Ład położył łapę na wszystkim, zużywają wiele zapasów.

Mówiono, że Imperialny Ład to największa armia, jaką kiedykolwiek zgromadzono. Kahlan wiedziała, że wieści mówiły prawdę. Ład górował liczebnie nad wystawionymi przeciwko niemu siłami D'Hary i Midlandów w stosunku dziesięć lub dwadzieścia do jednego, a niektóre raporty donosiły, że jeszcze bardziej. Były nawet wieści, że proporcja wynosiła sto do jednego na niekorzyść sił Nowego Świata, ale Kahlan odrzucała je jako całkowicie przesadzone i paniczne. Nie wiedziała, jak długo Ład będzie się żywił kosztem Anderithu, zanim wyruszy dalej, ani czy dostaje zaopatrzenie ze

Starego Świata. Jakieś powinni dostawać.

- Ilu zwiadowców i szpiegów straciliśmy? - zapytał Richard.

Kapitan Meiffert popatrzył na niego. To było pierwsze pytanie, które chłopak zadał.

- Niektórzy mogą jeszcze wrócić, ale wygląda na to, że straciliśmy pięćdziesięciu, sześćdziesięciu ludzi.

Richard westchnął.

- I generał Reibisch uważa, że warto było ich stracić, żeby się tego dowiedzieć?

Kapitan gorączkowo szukał odpowiedzi.

- Nie wiedzieliśmy, co wykryjemy, lordzie Rahlu. Dlatego ich tam wysłaliśmy. Życzysz sobie, bym powiedział generałowi, żeby już tam nie wysyłał żołnierzy?

Richard rzeźbił twarz w kawałku drewna i od czasu do czasu rzucał wióry w ogień. Westchnął.

- Nie, powinien postępować, jak uważa za słuszne. Wyjaśniłem mu, że nie mogę wydawać rozkazów.

Oficer patrzył, jak Richard zbiera z kolan kawałeczki drewna i rzuca w ogień; wrzucił w płomień mały pęczek sosnowych igieł - zajaśniały krótkotrwałym blaskiem. Rzeźba chłopaka była udanym portretem Meifferta.

Kahlan widywała niekiedy, jak Richard rzeźbi ludzi lub zwierzęta. Wmawiała mu raz, że tę zdolność zawdzięcza swojemu magicznemu darowi. Nastroszył się i odparł, że lubi rzeźbić od dzieciństwa. Przypomniała mu, że mocy używano do rzucania uroków i że kiedyś go pojmano, rysując urok. Upierał się, że to zupełnie co innego. Że jako przewodnik spędzał samotnie wiele wieczorów w obozowisku i rzeźbił. A nie chcąc dźwigać dodatkowego ciężaru, wrzucał ukończone dzieła w ogień. Mówił, że cieszyło go rzeźbienie i że zawsze mógł wyrzeźbić coś innego. Kahlan uważała jego rzeźby za dzieła natchnione i martwiło ją, że je niszczy.

- Co zamierzasz zrobić, lordzie Rahlu? O ile wolno zapytać.

Richard pewnym ruchem wyrzeźbił ucho; zarys zuchwy zaznaczył już wcześniej. Podniósł wzrok i zapatrzył się w noc.

- Podążamy do pewnego miejsca w górach. Ludzie się tam nie zapędzają, więc będziemy sami i bezpieczni. Matka Spowiedniczka będzie tam mogła

wrócić do zdrowia i odzyskać siły. I może nawet uda mi się tam skłonić Carę, żeby zaczęła nosić sukienkę.

- Co takiego?! - Mord-Sith skoczyła na równe nogi, potem jednak dostrzegła uśmiech Richarda i zorientowała się, że żartuje; ale i tak była wściekła.

- Na twoim miejscu, kapitanie, pominąłbym to w raporcie dla generała - powiedział Richard.

Cara znów usiadła na ziemi.

- Chyba że ten picusiuwaty żołnierzyk nie dba o swoje żebra.

Kahlan bardzo starała się nie rozeźmiać, bo wtedy żebra dałyby się jej we znaki. Czasami miała wrażenie, że wie, co czuje rzeźbiony przez chłopaka kawałek drewna. Miło było patrzeć, jak choć raz to Richard wyprowadza w pole Carę. Zazwyczaj Mord-Sith wyprowadzała go z równowagi.

- Na razie nie mogę wam pomóc. - Richard znów był poważny; wrócił do rzeźbienia. - Mam nadzieję, że to zaakceptujecie.

- Oczywiście, lordzie Rahlu. Wiemy, że poprowadzisz nas do walki, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

- Mam nadzieję, że ów dzień nadejdzie, kapitanie. Naprawdę. Nie dlatego, że chcę walczyć, ale dlatego że mam nadzieję, że będzie o co walczyć. - Patrzył w płomienie, zdesperowany. - Bo na razie nie ma o co.

- Tak, lordzie Rahlu. - Kapitan Meiffert przerwał w końcu nieprzyjemną ciszę. - Będziemy robić to, co uznamy za najlepsze, dopóki Matka Spowiedniczka nie wyzdrowieje i dopóki nie będziesz mógł się do nas przyłączyć.

Richard nie skorygował planu, który nakreślił kapitan. Kahlan liczyła na to samo co Meiffert, ale Richard nigdy nie powiedział, że to nastanie tak szybko. Prawdę mówiąc, dał im jasno do zrozumienia, że ten czas może nigdy nie nadejść. Teraz przyglądał się swojemu dziełu. Przesunął kciukiem po świeżo wyciętej linii nosa i zapytał:

- Czy powracający zwiadowcy opowiedzieli... jak się wiedzie mieszkańcom Anderithu... pod panowaniem Imperialnego Ładu?

Kahlan wiedziała, że dręczy siebie, zadając to pytanie. Żałowała, że je zadał; odpowiedź na pewno go nie ucieszy. Kapitan Meiffert odchrząknął.

- Hmm, tak, opowiadali.

- I...?

Młody oficer chłodno podawał znane mu fakty.

- Jagang założył swoją kwaterę główną w stolicy, w Fairfield. Zajął posiadłość Ministra Spraw Duchowych. Ich armia jest tak ogromna, że wchłonęła całe miasto i wylała się pomiędzy otaczające je wzgórza. Wojsko Anderithu stawiało słaby opór. Żołnierzy wylapano i uśmiercono. Rząd w większości przestał istnieć w ciągu pierwszych kilku godzin. Nie istnieje władza ani prawo. Przez cały pierwszy tydzień Ład świętował bez ograniczeń. Większość mieszkańców Fairfield wysiedlono i stracili oni cały dobytek. Wielu uciekło. Wszystkie okoliczne drogi zablokowali ci, którzy starali się uciec przed tym, co się działo w mieście. Ale uciekinierzy skończyli jako łup żołnierzy z okolicznych wzgórz, którzy nie mogli się już upchnąć w mieście. Przez ten pierścień przedostała się zaledwie garstka, przeważnie bardzo starzy i chorowici. - Porzucił bezosobowy ton. W końcu i on spędził jakiś czas wśród tych ludzi. - Obawiam się, lordzie Rahlu, że nie spotkało ich nic dobrego. Zabito tam naprawdę mnóstwo ludzi, głównie mężczyzn. Dziesiątki tysięcy. Albo jeszcze więcej.

- Dostali to, czego chcieli. - Głos Cary był mroźny jak zimowa noc. - Sami wybrali swój los.

Kahlan w duchu przyznała jej rację, ale nie powiedziała tego głośno. Wiedziała, że i Richard się z tym zgodził, jednak żadne z nich nie było z tego zadowolone.

- A wieś? - spytał Richard. - Wiadomo, co się dzieje poza Fairfield? Łatwiej im?

- Nie, lordzie Rahlu. Imperialny Ład metodycznie „pacyfikuje kraj”, jak oni to nazywają. Żołnierzom towarzyszą mający dar. Jak dotąd najstraszniejsze relacje dotyczą osoby zwanej Panią Śmierci.

- Kogo? - zdumiała się Cara.

- Nazywają ją Panią Śmierci.

- To pewnie któraś z Sióstr - orzekł Richard.

- Jak myślisz, z których? - zapytała Mord-Sith.

Chłopak, rzeźbiąc akurat wargi, wzruszył ramionami.

- Jagang więzi tak Siostry Światła, jak i Siostry Mroku. Jest Nawiedzającym Sny, więc jedno i drugie zmusza, żeby wykonywały jego rozkazy. Może być tak z jednych, jak i z drugich. Ta kobieta jest tylko jego narzędziem.

- Bo ja wiem - odezwał się kapitan Meiffert. - Mamy wiele doniesień o Siostrach, o tym, jakie potrafią być groźne. Ale wykorzystuje się je jako narzędzia armii, jak to określiłeś, a właściwie jako broń, nie zaś jako wysłanniczki. Jagang nie pozwala im samodzielnie myśleć ani niczym kierować. Z raportów wynika, że ta zachowuje się zupełnie inaczej. Działa jako wysłanniczka Jaganga, lecz, jak mówią doniesienia, sama o sobie decyduje i robi, co się jej podoba. Żołnierze, którzy wrócili, opowiadają, że tam się jej boją o wiele bardziej niż samego Jaganga. Kiedy mieszkańcy jednego z miast posłyszeli, że ku nim zmierza, zebrali się na rynku. Najpierw napoili trucizną dzieci, a potem sami ją wypili. Kiedy ta kobieta się tam zjawiała, absolutnie wszyscy, blisko pięćset osób, już nie żyli.

Richard przestał rzeźbić i słuchał. Kahlan wiedziała, że nie sprawdzone pogłoski mogą być zupełnie niesamowite i wystarczające, żeby niepokój przerodził się w śmiertcioną panikę, żeby ludzie woleli umrzeć, niż stanąć twarzą w twarz z obiektem budzącym ich strach. Strach na wojnie był potężną bronią.

Chłopak wrócił do rzeźbienia. Trzymał nóż w pobliżu czubka ostrza, jak pióro, i starannie nadawał wyraz oczom.

- Nie dowiedzieli się, jak się nazywa? Ta Pani Śmierci?

- Przykro mi, ale nie, lordzie Rahlu. Twierdzą, że wszyscy ją właśnie tak nazywają: Pani Śmierci.

- Wskazuje to na jakąś paskudną wiedźmę - odezwała się Cara.

- Wprost przeciwnie. Ma błękitne oczy i długie blond włosy. Mówią, że to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widzieli. Że wygląda jak objawienie dobrego ducha.

Kahlan nie mogła nie zauważyć ukradkowego spojrzenia kapitana na Carę, która miała niebieskie oczy, długie blond włosy i była jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie. I ona była śmiertelnie niebezpieczna.

- Blondynka... błękitne oczy... to pasuje do kilku z nich - zastanawiał się Richard. - Szkoda, że nie dosłyszeli jej imienia.

- Przykro mi, ale nie podali żadnego innego imienia, tylko ten opis... A tak, jeszcze to, że zawsze ubiera się na czarno.

- Drogie duchy - wyszeptał Richard, wstając, prostując się i chwytając swoją rzeźbę za gardło.

- Z tego, co mi mówiono, lordzie Rahlu, wynika, że choć wygląda jak

dobry duch, to i same dobre duchy by się jej bały.

- I słusznie - powiedział chłopak, patrząc przed siebie, jakby za czarną ścianą mgły było coś, co tylko on mógł zobaczyć.

- Znasz ją, lordzie Rahlu?

Kahlan słuchała potrzaskiwania ognia i razem z tamtymi czekała na odpowiedź. Wyglądało na to, że Richard stara się odzyskać głos; opuścił wzrok i spojrzał w oczy swojej rzeźby.

- Znam ją - powiedział w końcu. - Znam ją aż nazbyt dobrze. Była jedną z moich nauczycielek w Pałacu Proroków. - Rzucił swoją rzeźbę w płomienie. - Módl się, kapitanie, żebyś nigdy nie musiał spojrzeć w oczy Nicci.

## ROZDZIAŁ 7

- Spójrz mi w oczy, dziecko - powiedziała Nicci swoim jedwabistym, delikatnym głosem, ujmując dłonią bródkę dziewczynki.

Uniosła kościstą buzię. Oczy - ciemne i szeroko rozstawione - zamrugały w ospałym oszołomieniu. Nie było w nich czego szukać; dziewczynka była głupkowata.

Nicci wyprostowała się, zawiedziona. Zawsze tak się wtedy czuła. Czasami okazywało się, że zagląda ludziom w oczy, jak teraz, i potem zastanawia się po co. Jeżeli czegoś szukała, to sama nie wiedziała czego.

Podjęła powolny spacer wzdłuż szeregu mieszkańców miasta zgromadzonych po jednej stronie zakurzonego placu targowego. W dni targowe, kilka razy w miesiącu, na pewno zjawiali się w mieście ludzie z okolicznych farm i osad; a ci, którzy przybyli z daleka, bez wątpienia tu nocowali. Dziś nie było targu, ale i tak załatwi swoje sprawy.

Kilka ze stłoczonych domów miało piętro, zazwyczaj pokój lub dwa nad sklepem, dla prowadzącej go rodziny. Nicci widziała piekarnię, zakład szewski, sklep sprzedający garnki i drugi z wyrobami ze skóry, kowala, zielarza - to samo, co zwykle. Wszystkie te miasteczka były do siebie podobne. Wielu z ich mieszkańców pracowało na okolicznych polach sorga i pszenicy, pasło zwierzęta gospodarskie i miało rozległe hodowle warzyw. Nie brakowało łąna, smoły i gliny, więc mieszkali w domach z plecionki narzuconej glinką. Kilka sklepów z pięterkiem pyszniło się szkieletem z belek i ścianami z desek.

Większość placu, za plecami Nicci, zajmowali posępni żołnierze obwieszeni połyskującą bronią. Byli zmęczeni jazdą i, co gorsza, znudzeni. Wiedziała, że są o włos od wybuchu. Miasto - nawet biedne - stanowiło mile widzianą rozrywkę. Bo lubili nie tyle grabienie, ile mszczenie. Choć czasami też łowy. Wystraszone kobiety starały się unikać zuchwałych spojrzeń żołnierzy.

Nicci szła powoli wzdłuż szeregu niechlujnych ludzi i patrzyła w obserwujące ją oczy. W większości były rozszerzone przerażeniem i wbite nie w żołnierzy, lecz w osobę budzącą grozę - w nią, Nicci, zwaną przez lud Panią Śmierci. Miano to ani jej nie pochlebiało, ani jej nie drażniło; było

zwykłym faktem, który przyjmowała do wiadomości, który nie znaczył dla niej więcej niż wiadomość, że pocerowali jej parę pończoch. Wiedziała, że niektórzy patrzą na złote kółko w jej dolnej wardze. Na pewno wiedzieli już z plotek, że tak naznaczona kobieta jest osobistą niewolnicą imperatora Jaganga i że stoi niżej nawet od takich prostych wieśniaków jak oni. To, że wpatrywali się w złote kółko oraz to, co o niej myśleli, znaczyło dla Nicci jeszcze mniej niż miano Pani śmierci.

Jagang posiadał jedynie jej ciało na tym świecie; Opiekun dostanie na wieczność jej duszę na tamtym. Dla jej ciała życie na tym świecie było katuszą; jej duch zazna nie mniejszych katuszy na tamtym. Istnienie i męka to dwie strony jednej monety - inaczej nie może być.

Za lewym ramieniem Nicci wzbijał się dym z otwartego paleniska, kapryśny wiaterek unosił go i znaczył ciemną smugą jasny błękit popołudniowego nieba. Po obu stronach miejskiego paleniska ustawiono sterty kamieni wspierających zawieszony nad ogniem pręt. Na różnie tym można było za jednym razem piec dwie, trzy świny lub barany. Można też zapewne było otoczyć palenisko ściankami i zamienić w wędzarnię. Czasami takie palenisko, często jednocześnie z ubojem, wykorzystywano do robienia mydła, bo mydła zwykle nie wytwarzało się w domach.

Nicci widziała stojący z boku drewniany pojemnik wykorzystywany do przygotowywania ługu i duży żelazny kocioł do wytapiania tłuszczu. Ług i tłuszcz były podstawowymi składnikami mydła. Niektóre kobiety chętnie dodawały do mydła ziół, na przykład lawendy lub rozmarynu, żeby miało przyjemny zapach.

Kiedy Nicci była mała, każdej jesieni, po zakończeniu uboju, matka posyłała ją, żeby pomagała przy robieniu mydła. Matka twierdziła, że pomaganie ludziom wyrabia charakter. Nicci do dziś miała na grzbiecie dłoni i na przedramionach ślady po oparzeniach pryskającym tłuszczem. Matka zawsze kazała jej wkładać elegancką sukienkę - nie po to, żeby wywarła wrażenie na ludziach, którzy nie mieli takich strojów, ale po to, żeby Nicci zwracała na siebie uwagę i czuła się nieswojo. Bo jej różowa sukienka wcale nie budziła podziwu. Kiedy dziewczynka stała przy kotle i długą drewnianą żerdzią mieszała bulgoczącą zawartość, do której dolewano ługu, inne dzieci starały się pochłapać i zniszczyć sukienkę, a przy okazji parzyły ją tłuszczem. Matka mówiła, że te poparzenia to kara Stwórcy.



Nicci szła, przyglądając się zebranym ludziom; słysząc było tylko zostawione za budynkami konie, czasami kaszel kogoś ze zgromadzonych, syczenie i potrzaskiwanie ognia. Żołnierze poczęstowali się już piekącymi się nad paleniskiem dwiema świniami, więc wiatr zdążył rozwiać aromat pieczystego i czuć było tylko kwaśną woń octu oraz zaduch domostw. Brud ludzki wydzielał taką samą woń, czy to w walecznej armii, czy w spokojnym miasteczku.

- Wszyscy wiecie, dlaczego się tu znalazłam - stwierdziła Nicci. - Po co naraziliście mnie na trudy podróży? - Powiodła wzrokiem po około dwustuosobowej pierwszej linii, za którą stało jeszcze cztery, pięć szeregów: żołnierze, którzy spędzili tu mieszkańców z domów i pól, znacznie przewyższali ich liczebnie; zatrzymała się przed mężczyzną, na którego, jak zauważyła przedtem, wszyscy popatrywali. - No i?

Zapytany wbijał wzrok w ziemię u stóp Nicci; wietrzyk rozwiewał rzadkie siwe włosy na jego łysiejącej, pochylonej głowie.

- Nie mamy co dać, pani. To biedne miasteczko. Nic nie mamy.

- Jesteś kłamcą. Mieliście dwie świnie. Zamiast wspomóc potrzebujących, wolicie urządzać sobie wystawne uczyty.

- Przecież musimy jeść. - Był to nie tyle sprzeciw, ile usprawiedliwienie.

- Inni też muszą, ale nie mają tyle szczęścia co wy. Znają jedynie kurcze głodowe, które co noc szarpiają im żołądki. Cóż to za straszliwa tragedia: tylko dziś tysiące dzieci umierają z głodu, a miliony cierpią męczarnie głodowe, podczas gdy tacy jak wy, mający obfitość wszystkiego, ofiarują wyłącznie samolubne wymówki. Głodujący mają prawo do tego, co im potrzebne do życia, a ci, którzy mają się czym podzielić, powinni to prawo uszanować. Nasi żołnierze też muszą jeść. Uważacie, że nasza walka w waszej sprawie jest łatwa? Ci żołnierze codziennie ryzykują życie, żebyście mogli wychowywać dzieci w cywilizowanej społeczności. Jak możecie spojrzeć w oczy naszym żołnierzom? Jak zdołamy wyżywić nasze wojska, jeśli wszyscy nie udzielą nam wsparcia?

Trzęsący się mężczyzna milczał.

- Co mam zrobić, żeby uzmysłwić wam wagę zobowiązań, jakie macie wobec innych? Wasze wsparcie dla potrzebujących to solenny moralny obowiązek. Macie się przyczynić do dobra ogółu.

Nicci nagle zrobiło się białe w oczach. Poczwała ból, jakby wbijano jej w

uszy rozpalone igły, i jej umysł wypełnił głos Jaganga:

Musisz odgrywać tę gierkę? Ukarz kogoś dla przykładu! Daj im nauczkę, pokaż, że nie wolno mnie ignorować!

Nicci chwiała się. Ból rozsadzający jej głowę sprawił, że nic nie widziała. Pozwoliła, by to się działo, jakby obserwowała to, co przydarza się komuś obcemu. Mięśnie brzucha kurczyły się spazmatycznie. Więcej bólu nie sprawiłaby jej rozdzierająca trzewia włócznia z zardzewiałym haczykowatym grotem. Ze zwieszonymi bezwładnie rękami czekała na kres niezadowolenia Jaganga albo na śmierć. Nie wiedziała, jak długo trwa męka. Ilekroć to czynił, traciła poczucie czasu, tak wielki był ból. Z tego, co mówili inni, widząc zadawaną jej udrękę, i z tego, co sama zaobserwowała, wynikało, że niekiedy trwało to zaledwie mgnienie oka. A czasami całe godziny. Przeciąganie męki na całe godziny nie było warte wysiłku Jaganga - i tak nie widziała różnicy. Nagle zabrakło jej tchu. Miała uczucie, że czyjaś pięść zaciska się na jej sercu. Że rozsadzi jej płuca. Że ugną się pod nią kolana.

Nie waż się znów mi się sprzeciwiać! - ryknął Jagang w jej myślach.

Powietrze wypełniło płuca Nicci i kara Jaganga się skończyła, pozostawiając jak zwykle paskudny cierpki posmak na języku i palący ból za uszami. Szczękała zębami, w głowie jej szumiało. Otworzyła oczy i jak zawsze zdumiała się, że nie stoi w kałuży krwi. Dotknęła kącika ust, ucha. Nie wyczuła krwi. Zastanawiała się, dlaczego Jagang mógł się teraz dostać do jej umysłu. Bo czasami nie mógł. Natomiast umysły innych Sióstr zawsze stały przed nim otworem.

Nicci odzyskała wzrok, zobaczyła wpatrujących się w nią ludzi. Nie wiedzieli, dlaczego umilkła. Młodszy mężczyźni - kilku starszych też - zerkali ukradkiem na jej ciało. Byli przyzwyczajeni do kobiet w borych bezkształtnych strojach, do kobiet o ciałach zniszczonych przez ciężką pracę i nieustanne macierzyństwo, bo rodziły od czasu, kiedy osiągały płodność. Nigdy wcześniej nie widzieli takiej kobiety jak Nicci - trzymającej się prosto i dumnie, patrzącej im w oczy, odzianej w czarną suknię uwypuklającą niemal nieskazitelne kształty, których nie zeszpeciła ani ciężka praca, ani porody. Czarny materiał podkreślał biel skóry widoczną w wycięciu obcisłego stanika. Nicci przyjmowała obojętnie takie spojrzenia. Niekiedy odpowiadały jej celom, ale przeważnie nie, więc je ignorowała.

Podjęła spacer przed szeregiem mieszkańców, lekceważąc rozkazy Jaganga. Rzadko je wypełniała. Nie wzruszały ją kary. Raczej przyjmowała je z zadowoleniem.

Wybacz mi, Nicci. Wiesz przecież, że nie chciałem cię skrzywdzić - rzekł do niej imperator.

Zignorowała jego głos, obserwując oczy spoglądających na nią ludzi. Bo nie każdy to czynił. Lubiła patrzeć w oczy tych, którzy mieli dość odwagi, żeby na nią spojrzeć. Ale przeważnie widziała, w ich oczach tylko przerażenie.

Już wkrótce ujrzy w nich w pełni usprawiedliwione przerażenie.

Musisz robić, co każę, Nicci, albo w końcu zmusisz mnie do uczynienia czegoś okropnego, czego żadne z nas nie chce. I pewnego dnia zrobię wreszcie coś, po czym już się nie ockniesz, rzekł imperator.

Skoro tego właśnie chcesz, to uczyn to, pomyślała w odpowiedzi.

To nie było wyzwanie, po prostu nic jej to nie obchodziło.

Dobrze wiesz, Nicci, że nie chcę zrobić czegoś takiego, odparł imperator w jej myślach.

Bez towarzyszenia bólu głos Jaganga był zaledwie irytującym brzęczeniem muchy. Nie zwróciła nań uwagi. Znow przemówiła do tłumu:

- Macie pojęcie, ile wysiłku włożono w walkę o waszą przyszłość? A może chcecie czerpać korzyści, nie wnosząc żadnego wkładu? Wielu z naszych dzielnych żołnierzy straciło życie, walcząc z ciemżycielami ludu, walcząc o nowy początek. Walczymy o to, żeby wszyscy ludzie mogli korzystać z nadchodzącego dobrobytu. Musicie nas wspomóc w tych działaniach na waszą rzecz. I to jest moralny obowiązek każdego, tak jak wspomaganie potrzebujących.

Wyrósł przed nią dowódca Kardeef; minę miał ogromnie niezadowoloną. Ukośnie padające promienie słoneczne jeszcze bardziej zacięniały oczy głęboko osadzone w pooranej bruzdami twarzy. Nie przejęła się jego dezaprobatą. Nigdy nie był zadowolony. No, poprawiła się, prawie nigdy.

- Ludzie mogą osiągnąć doskonałość wyłącznie poprzez posłuszeństwo i poświęcenie. A twój wkład w sprawę Ładu to wyduszanie ich uległości. Nie jesteśmy tu, aby nauczać powinności obywatelskich!

Dowódca Kardeef był przeświadczony, że ma władzę nad Nicci. I on

zadawał jej ból. Z jednakową obojętnością znosiła to, co czynił jej Kardeef, oraz to, czego doznawała od Jaganga.

Dopiero w najgłębszych otchłaniach bólu zaczynała cokolwiek odczuwać. A nawet ból był lepszy od pustki, którą zazwyczaj czuła.

Kadar Kardeef był prawdopodobnie nieświadomy zarówno kary, jaką właśnie Jagang wymierzył Nicci, jak i rozkazów imperatora; Jego Ekscelencja nie korzystał z umysłu dowódcy Kardeefa. Kontrolowanie tych, którzy nie mieli daru, było dla imperatora dużym wysiłkiem - mógł to oczywiście zrobić, ale rzadko było to warte włożonego wysiłku. Od kontrolowania zwykłych ludzi miał tych z magicznym darem. Nawiedzający Sny w pewien sposób wykorzystywał ów dar do uzyskania lepszego kontaktu z umysłem człowieka obdarzonego magicznym darem. Można powiedzieć, że ci z darem ułatwiali Jagangowi kontrolowanie ich umysłów.

Kadar Kardeef patrzył gniewnie na Nicci spoglądającą ku górze na jego pobrużdżoną i opaloną twarz. Wyglądał imponująco: nabijane ćwiekami rzemienie krzyżowały się na jego masywnej piersi, miał skórzany pancerz i naramienniki, kolczugę, obwieszony był wysłużonym orężem. Nicci widziała, jak wielką łapą miażdżył ludziom gardła. Poznaczony był bliznami, milczącymi świadkami jego męstwa. Nicci widziała wszystkie.

Niewielu oficerów stało wyżej w hierarchii lub cieszyło się większym zaufaniem imperatora niż Kadar Kardeef. Był w Ładzie od młodości; zdobywał coraz wyższą rangę i wreszcie walczył u boku Jaganga, kiedy Imperialny Ład wyruszył z rodzinnego Altur'Rang, by podporządkować władzy imperatora resztę Starego Świata. Kadar Kardeef był bohaterem walk na Małej Przełęczy, człowiekiem, który odwrócił tok bitwy, przedzierając się przez nieprzyjacielskie szeregi i własnymi rękami zabijając trzech wielkich królów, którzy połączyli swoje wojska, by zwabić w pułapkę i zmiażdżyć Imperialny Ład, nim zdoła zawładnąć wyobraźnią milionów ludzi żyjących w mozaice królestw, lenn, klanów, państw-miast i rozległych terenów kontrolowanych przez sprzymierzonych generałów.

Stary Świat był beczką prochu czekającą na iskrę rewolucji. Ową iskrą stały się nauki Ładu. O ile arcykapłani byli duszą Ładu, o tyle Jagang był jego siłą napędową. Niewielu ludzi pojmowało geniusz Jaganga - widzieli w nim tylko Nawiedzającego Sny lub okrutnego wojownika. A on był kimś więcej.

Całe dziesięciolecie zajęło Jagangowi opanowanie reszty Starego Świata

- wprowadzenie Ładu na drogę ku chwale. W ciągu owych walk na rzecz Ładu, niemal bezustannie tocząc wojnę, Jagang trudził się budową systemu dróg, dzięki którym mógł błyskawicznie przerzucać ludzi i zaopatrzenie na wielkie odległości. Im więcej krain i ludzi dostawało się pod jego panowanie, tym więcej robotników kierował do budowy następnych szlaków, które pozwalały mu podbijać kolejne terytoria. Dzięki owemu systemowi dróg mógł utrzymywać łączność i reagować na wydarzenia szybciej, niż ktokolwiek uważał za możliwe. Uprzednio odosobnione krainy zostały nagle przyłączone do reszty Starego Świata. Jagang spoił je siecią dróg. I owymi drogami poszedł za nim lud Starego Świata, kiedy torował drogę Ładowi.

Kadar Kardeef miał w tym wszystkim swój udział. Wiele razy osłaniał własnym ciałem Jaganga, ratując mu życie. Raz zaś Jagang ocalił życie Kardeefowi, wystawiając się na strzałę z łuku. Jeśli można byłoby rzec, że Jagang ma przyjaciela, to mógłby nim być tylko Kadar Kardeef.

Nicci po raz pierwszy zobaczyła Kardeefa, kiedy przybył się modlić do Pałacu Proroków w Tanimurze. Zniknął bez śladu stary król Gregory, władający krainą, w której znajdowała się Tanimura. Kadar Kardeef był bardzo pobożny; przed bitwą modlił się do Stwórcy o krew wroga, a po bitwie o dusze tych, których zabił. Mówiono, że owego dnia modlił się za duszę króla Gregory'ego. Tanimura znalazła się nagle we władzy Imperialnego Ładu. Jej mieszkańcy wiele dni świętowali na ulicach. Mieszkające w Pałacu Proroków Siostry przez trzy tysiące lat patrzyły, jak zmieniają się rządy. Siostry i ich Ksieni uważały przeważnie sprawy władzy za mało ważne głupstwa, na które lepiej nie zwracać uwagi. Wierzyły w wyższe powołanie. Sądziły, że pozostaną w Pałacu Proroków i będą bez przeszkód kontynuować swoje dzieło długo po tym, jak Ład zniknie w mrokach dziejów. Rewolucje wiele razy wybuchały i przemijały. Ale ta zmieniła i życie Sióstr.

Kadar Kardeef był wtedy niemal dwadzieścia lat młodszy. Przybył do miasta jako przystojny zdobywca. Zafascynował wiele Sióstr. Ale nie Nicci. Za to ona zafascynowała jego.

Imperator Jagang nie wysyłał rzecz jasna tak nieocenionych ludzi jak Kardeef, by pacyfikowali zdobyte terytoria. Powierzył Kardeefowi o wiele poważniejsze zadanie: strzeżenie swojej cennej własności, Nicci.

Nicci odwróciła wzrok od Kadara Kardeefa i znów spojrzała na tłum. Na

człowieka, który się przedtem odezwał.

- Nie możemy dopuścić, żeby ktokolwiek uchylał się od swoich obowiązków wobec innych i wobec naszego nowego początku.

- Błagam, pani... Nie mamy nic...

- Lekceważenie naszej wspólnej sprawy to zdrada.

Wolał nie dyskutować z tym stwierdzeniem.

- Najwyraźniej nie zdajecie sobie sprawy, że ten żołnierz za mną chce, byście się przekonali, że Imperialny Ład jest szczerze oddany sprawie i twardo przy niej obstaje. Wiem, że słyszeliście rozmaite opowieści, ale on chce, żebyście doświadczyli nieubłaganej rzeczywistości. Wyobrażanie sobie czegoś, to coś zupełnie innego. Nigdy nie jest aż tak okropne jak rzeczywistość.

Wpatrywała się w owego człowieka, czekała na jego odpowiedź. Oblizła spękane wargi.

- Potrzeba nam tylko więcej czasu... Zbiory dobrze się zapowiadają. Jak będzie po zniwach... to wniesiemy spory wkład w walkę o... o...

- Nowy początek.

- Tak, pani - rzekł i pokiwał głową. - O nowy początek.

Znów wbił wzrok w ziemię, a Nicci ruszyła wzdłuż szeregu.

Miała nie tyle zbierać, ile zastraszać.

Nadszedł czas.

Spojrzała na nią jakaś dziewczuszka i Nicci zatrzymała się gwałtownie. Zrezygnowała ze swoich zamiarów. W wielkich ciemnych oczach małej widać było naiwne zadziwienie. Wszystko było dla niej nowe i aż się paliła, by wszystko zobaczyć. W ciemnych oczach jaśniało coś rzadko spotykanego, kruchego i ulotnego: prostoduszne spojrzenie na świat, jeszcze nie zakłócone przez cierpienie, stratę czy zło.

Nicci ujęła dłonią brodkę dziewczynki i wpatrzyła się w głębię łaknących wiedzy oczu.

W jednym z najwcześniejszych wspomnień Nicci jej matka właśnie tak przed nią stała: patrząc na nią i zamykając w dłoni jej brodę. Matka też miała dar. Twierdziła, że dar to przekleństwo i próba. Przekleństwo - bo dawało jej zdolności, których inni nie mieli; próba - bo chodziło o przekonanie się, czy aby źle nie wykorzysta tej przewagi. Matka Nicci prawie wcale nie posługiwała się swoim darem. Robotę wykonywali służący, ona zaś

większość czasu spędzała w gronie przyjaciółek, poświęcając się wyższym celom. „Drogi Stwórco, jakimż potworem jest ojciec Nicci - skarżyła się, załamując ręce, a niektóre z przyjaciółek szeptały coś współczująco. - Czyż musi mnie tak obarczać?! Obawiam się, że dla jego nieśmiertelnej duszy nie ma już nadziei, że nie pomogą jej żadne modły!” - Inne kobiety ponurymi syknieniami wyrażały swoje poparcie.

Oczy matki miały ten sam matowy brązowy kolor co grzbiet karalucha. Nicci uważała, że są zbyt blisko osadzone. Usta matka też miała wąskie, jakby zaciśnięte w wiecznym wyrazie dezaprobaty. Nicci nigdy nie myślała, że jej matka jest skromna ani że jest piękna, lecz przyjaciółki matki upewniały ją, że taka właśnie jest.

Matka Nicci twierdziła, że piękno to przekleństwo dla porządnej kobiety, a dobrodziejstwo wyłącznie dla dziwek.

Dziewczynka, zdumiona dezaprobatą dla ojca, zapytała w końcu, co on takiego zrobił.

- Nicci - odezwała się matka, zamykając w dłoni bródkę córki chciwie czekającej na jej słowa. - Masz piękne oczy, ale nie potrafisz patrzeć. Wszyscy ludzie to nędzne kreatury. Czy zdajesz sobie sprawę, ile przykrości sprawia widok twojej ładnej buzi tym wszystkim, którym los jej nie dał? To właśnie niesiesz innym: nieznośny ból. Stwórca zesłał cię na ten świat wyłącznie po to, żebyś niosła innym ulgę, a ty ich jedynie ranisz.

Przyjaciółki matki piły herbatę i kiwały głowami, szeptem wyrażając pełne smutku, lecz zdecydowane poparcie dla tych słów.

To właśnie wtedy Nicci po raz pierwszy dowiedziała się, że dźwiga niezatarte piętno jakiegoś mrocznego, niesłychanego, nie wyznanego zła.

A dzisiaj patrzyła w uniesioną ku niej twarzyczkę. Ciemne oczy dziewczynki zobaczą tego dnia rzeczy, których mała jeszcze nie potrafi sobie wyobrazić. Te wielkie oczy zachłannie patrzyły, nie widząc. Prawdopodobnie nie potrafiła pojąć co się wydarzy lub dlaczego.

Jakież miałyby życie?

Więc tak będzie najlepiej.

Nadszedł czas.

## ROZDZIAŁ 8

Zanim Nicci zaczęła, ujrzała coś, co ją oburzyło. Obróciła się gwałtownie ku stojącej w pobliżu kobiecie.

- Gdzie tu macie balie?

Kobieta, zaskoczona pytaniem, wskazała drżącym palcem pobliski piętrowy budynek.

- Tam, pani. Na podwórzu, za sklepem z garnkami są balie, w których pierzemy.

Nicci złapała ją za gardło.

- Znajdź nożyce. Przynies mi je tam.

Kobieta gapiała się na nią wytrzeszczonymi z przerażenia oczami; Nicci ją popchnęła.

- Natychmiast! A może wolisz tu zaraz umrzeć?!

Wyszarpnęła zapasowy rzemień z całego ich pęku przymocowanego do ramienia dowódcy Kardeefa. Nawet nie spróbował jej w tym przeszkodzić; dopiero potem krzepką dłonią unieruchomił jej rękę.

- Lepiej, żebyś zamierzała utopić tego bachora albo może wyciąć mu trochę żeberka, a potem wydłubać oczy. - Oddech Kadara czuć było cebulą i piwem, skrzywił się w uśmiechu. - Ty zaczniesz od niej, a kiedy będzie wrzeszczeć i błagać o życie, ja wybiorę na ciąg dalszy kilku młodych chłopaków lub kobiet. Kogo byś tym razem wolała?

Nicci patrzyła gniewnie na palce ściskające jej ramię. Kardeef cofnął rękę, kończąc swoje burkliwe upomnienie. Siostra obróciła się ku dziewczynce, owinęła jej dwa razy szyję rzemieniem, tworząc na karku uchwyt, by móc małą kontrolować jak dzięki obroży. Dziewuszka, zaskoczona, zachłysnęła się oddechem. Prawdopodobnie jeszcze nigdy nie potraktowano jej tak brutalnie. Nicci pociągnęła ją w stronę domu, który wskazała tamta kobieta.

Nikt za nimi nie poszedł - widzieli, jakim gniewem nagle zapalała Nicci. Jakaś stojąca w pobliżu kobieta, pewnie matka małej, zaczęła protestować, ale umilkła, gdy zainteresowali się nią żołnierze Kardeefa. Wtedy Nicci ze zdumioną dziewczynką już zniknęła za rogiem.

Na tyłach domostwa łopotąło na wietrze, jakby chciało się zerwać i uciec,



rozwieszzone na sznurach szarobure pranie zmaltretowane szorowaniem o tarki. Zza dachu unosił się dym z miejskiego paleniska. Wystraszona kobieta czekała z parą nożyc.

Siostra podprowadziła dziewczynkę do balii, zmusiła ją, żeby uklękła, i zanurzyła jej głowę w wodzie. Potem wyrwała kobiecie nożyce, a w tym czasie dziewczynka usiłowała wyrwać głowę z wody. Kobieta zasłoniła usta fartuchem, żeby stłumić lament, i płacząc, uciekła, by nie patrzeć na śmierć dziecka.

Nicci wyszarpnęła z wody głowę dziewczynki - plującej i spazmatycznie chwytającej powietrze - i zaczęła obcinać tuż przy skórze mokre ciemne włosy. Gdy skończyła ścinać kosmyki, znów wpakowała głowę małej do wody, po czym pochyliła się i podniosła z tarki leżącej koło balii kawałek żółtawego mydła. Uniosła głowę małej i zaczęła ją namydlać. Dziewczynka piszczała, machała chudymi ramionkami i wbijała palce w rzemień okręcony wokół jej szyi. Nicci uświadomiła sobie, że pewnie sprawia małej ból, ale była tak wściekła, że prawie to do niej nie docierało.

- Co z tobą?! - Potrząsnęła duszącą się dziewczuszką. - Nie wiesz, że aż się roisz od wszy?

- Ale, ale...

Mydło było chropowate i szorstkie jak tarnik. Dziewczynka zaskomlała, bo Nicci znów pochyliła ją nad balią i jeszcze energiczniej mydliła jej głowę.

- Lubisz, jak ci się włosy roją od wszy?

- Nie...

- Ooo, na pewno lubisz! Bo inaczej dlaczego byś je miała?

- Błagam! Spróbuję się poprawić. Będę się myć, obiecuję!

Nicci przypomniała sobie, jak ją mierzilo, kiedy wszy obłaziły ją w miejscach, do których posyłała ją matka. Jak się myła najbardziej szorstkim mydłem, jakie zdołała znaleźć - i potem znów wysyłano ją tam, gdzie na powrót obłaziło ją znienawidzone paskudztwo.

Kiedy wiele razy namydliła i zanurzyła głowę małej w wodzie, zaciągnęła dziewczynkę do balii z czystą wodą i spłukała mydło. Dziecko gwałtownie mrugało, próbując pozbyć się z oczu piekących mydlin, które spływały mu po twarzy.

Nicci mocno chwyciła bródkę małej, zajrzała w jej zaczerwienione oczy.

- Na pewno masz mnóstwo gnid na ubraniu. Musisz codziennie prac

ubranie, zwłaszcza te spodnie, bo inaczej znów będziesz miała wszy. - Zacisnęła palce na brodzie dziewczynki, aż tej oczy zaszyły łzami. - Jesteś zbyt wyjątkowa, żeby mieć wszy! Nie wiesz o tym?!

Mała potaknęła, na ile zdołała, bo silne palce Nicci wciąż zaciskały się na jej podbródku. W ciemnych, dużych, inteligentnych oczach - zaczerwienionych od mydlin i szeroko otwartych w szoku - dalej widniało naiwne zadziwienie. Nie rozproszyło go niedawne przeżycie, choć było bolesne i budzące grozę.

- Spal posłanie. Zdobądź nowe. - To się wydawało beznadziejne, kiedy wiedziało się, jak ci ludzie żyli i pracowali. - Cała twoja rodzina musi spalić posłania. I wyprać odzież.

Dziewczynka potakiwała.

Nicci wykonała swoje zadanie i pociągnęła małą ku zgromadzonemu tłumowi. Kiedy ją tak wlokła na rzemieniu niczym na obroży, znienacka coś sobie przypomniała.

Przypomniała sobie, jak pierwszy raz zobaczyła Richarda.

Niemal wszystkie Siostry mieszkające w Pałacu Proroków zebrały się w wielkiej sali, żeby zobaczyć nowego chłopca, którego sprowadziła Siostra Verna. Nicci stała przy kamiennej balustradzie, owijając wokół palca luźny koniec sznurówki stanika; to go zawijała, to odwijala i wreszcie otworzyły się dwuskrzydłowe orzechowe drzwi. Stopniowo milkł gwar rozmów i śmiechy, a niewielka grupka prowadzona przez Siostrę Phoebe szła wśród białych kolumn o złotych kapitelach, aż dotarła pod potężną kopułę. Chłopcy mający dar rodzili się rzadko, toteż wykrzyście ich i sprowadzenie do pałacu było zawsze powodem do radości. Na ten właśnie wieczór planowano wspaniałą ucztę. Siostry, wystrojone jak lalki, stały przeważnie na parterze wielkiej sali, nie mogąc się doczekać poznania nowego chłopca. Nicci została na dolnym balkonie, w pobliżu centrum. Mało ją obchodziło, czy go pozna, czy nie. Szokujące, jak się Verna postarzała w trakcie tej podróży. Zwykle podróże trwały najwyżej rok, ale ta, poza wielką barierę, do Nowego Świata, zajęła prawie dwadzieścia lat. Prawdopodobnie Vernę wysłano o wiele za wcześnie, bo niezbyt dobrze się orientowano w wydarzeniach zachodzących w Nowym Świecie.

Życie w Pałacu Proroków było długie i spokojne. W takim mgnieniu czasu jak dwa dziesięciolecia nikt się tutaj ani odrobinę nie postarzał - lecz

Verna się postarzała, bo znalazła się poza działaniem uroku rzuconego na pałac. Verna, zapewne blisko stuścisześcioletnia, musiała być przynajmniej dwadzieścia lat młodsza od Nicci, a teraz sprawiała wrażenie dwukrotnie starszej. Ludzie poza pałacem starzeli się w zwyczajnym tempie, ale widok tak gwałtownie postarzałej Siostry...

Wielka sala rozbrzmiała głośną owacją, niektóre Siostry wzruszyły się do łez. Nicci ziewnęła. Siostra Phoebe uniosła rękę i czekała, aż zapanuje cisza.

- Siostry - głos Phoebe drżał - powitajmy Siostrę Verne.

Znowu zabrzmiały owacje i Phoebe po pewnym czasie musiała je uciszyć. Zgromadzeni ucichli, a ona powiedziała:

- Przedstawiam wam naszego najnowszego ucznia, nasze najnowsze dziecko Stwórcy, naszego najnowszego podopiecznego. - Odwróciła się, wyciągnęła rękę i poruszyła palcami, zachęcając nieśmiałego chłopca, żeby się pokazał. - Powitajmy w Pałacu Proroków Richarda Cyphera.

Ruszył przed siebie, kilka kobiet usunęło mu się z drogi. Nicci szeroko otworzyła oczy i wyprostowała się. To nie był mały chłopiec. To był mężczyzna.

Wszyscy byli zaskoczeni, ale klaskali i wiwatowali. Nicci tego nie słyszała. Całą jej uwagę przykuły te jego szare oczy. Zapoznano go z kilkoma najbliższymi stojącymi Siostrami. Przeprowadzono wyznaczoną dlań nowicjuszkę, Pashę; próbowała coś mu powiedzieć.

Richard odsunął Pashę i wyszedł na środek sali. Jego sposób bycia sygnalizował to samo, co Nicci dostrzegła w szarych oczach.

- Chcę coś powiedzieć.

W rozległej sali zapadła pełna zdumienia cisza. Richard powiódł dokoła wzrokiem. Nicci aż wstrzymała oddech, kiedy przelotnie spojrział jej w oczy, tak jak wszystkim obecnym. Zacisnęła na balustradzie drżące palce. I właśnie w tej chwili przysięgła sobie, że uczyni wszystko, żeby zostać jedną z jego nauczycielek.

Richard postukał palcami w Rada'Han.

- Dopóki mam na szyi tę obrożę, jesteście moimi władczyniami, a ja waszym więźniem.

Rozległy się pomruki. Rada'Han zakładano chłopcom nie tylko po to, żeby mieć nad nimi władzę, ale i po to, żeby ich chronić. Nigdy nie uważano chłopców za więźniów: byli podopiecznymi, których trzeba chronić i

nauczać. Ale Richard widział to inaczej.

- Przez to staliśmy się wrogami, bo przecież was nie atakowałem. Jesteśmy na wojennej stopie.

Kilka starszych Sióstr zachwiało się; omal nie zemdlały. Poczerwieniały twarze połowy kobiet zebranych w sali. Pozostałe pobladły. Nicci nawet nie mogła wyobrazić sobie takiego postępu. Bała się mrugnąć, żeby czegoś nie przegapić. Oddychała powoli, żeby nie uronić ani słowa. Tylko łomoczącego serca nie potrafiła kontrolować.

- Siostra Verna złożyła przysięgę, że nauczycie mnie kontrolować mój dar i uwolnicie, jak tylko nauczę się wszystkiego, co trzeba. Dopóki nie złamiecie owej przysięgi, między nami będzie rozejm. Pod pewnymi warunkami.

Richard uniósł czerwony skórzany pręt zawieszony na złotym łańcuszku okalającym mu szyję. W owym czasie Nicci nie wiedziała, że to oręż Mord-Sith.

- Już raz miałem na szyi obrozę. Osoba, która mi ją założyła, zadawała mi ból, by mnie karać, tresować, ujarzmić.

Nicci wiedziała, że nic innego nie może spotkać takich jak on.

- Tylko po to zakłada się obrozę. Zwierzęciu. Wrogom. Zaproponowałem jej to samo, co wam teraz. Błagałem, żeby mnie uwolniła. Nie chciała. Byłem zmuszony ją zabić. Żadna z was nawet nie może marzyć, iż kiedykolwiek będzie godna lizać jej buty. Ona uczyniła to, co uczyniła, ponieważ ją torturowano i złamano, wpędzono na tyle w szaleństwo, by wykorzystywała obrozę do zadawania ludziom bólu. Czyniła to wbrew swojej naturze. Wy... - spojrzał we wszystkie wpatrzone weń oczy - wy czynicie to, ponieważ uważacie, że macie do tego prawo. Czynicie z ludzi niewolników w imię waszego Stwórcy. Nie znam waszego Stwórcy. Jedyna istota spoza świata, o której wiem i która postąpiłaby tak jak wy, to Opiekun. - Tłum zachłysnął się oddechem. - Moim zdaniem, równie dobrze możecie być stronnictwami Opiekuna.

Nie miał pojęcia, że niektórzy istotnie byli.

- Jeżeli postąpiacie jak tamta i wykorzystacie tę obrozę do zadawania mi bólu, to rozejm się skończy. Pewno sądzicie, iż trzymacie smycz od tej obrozy, lecz obiecuję wam, że kiedy skończy się rozejm, przekonacie się, iż to nie smycz, ale piorun.

W sali aż dzwoniła śmiertelna cisza.

Stał samotny i zbuntowany wśród setek czarodziejek, które doskonale wiedziały, jak spożytkować każdą cząstkę magicznego daru, z którym się urodziły, on zaś nie miał pojęcia o swoich zdolnościach i w dodatku miał na szyi Rada'Han. Może i był jak dziki jeleń, lecz jeleń stawiający czoło gromadzie lwów. Wygłodniałych lwów.

Richard podciągnął lewy rękaw. Dobył miecza - miecza! - przeciwko ogromnej mocy. W ciszy rozbrzmiał charakterystyczny śpiew stali.

Nicci słuchała jak urzeczona, kiedy wymieniał swoje warunki. Na koniec wskazał za siebie mieczem.

- Siostra Verna mnie pojmała. Walczyłem z nią przez całą podróż. Zrobiła wszystko poza zabiciem mnie i przywiezieniem wam moich zwłok. Choć i ona jest moim wrogiem, to mam wobec niej pewne zobowiązania. Jeśli ktokolwiek podniesie na nią choćby palec z mojego powodu, zabiję tę osobę i rozejm się skończy.

Nicci nie potrafiła pojąć tak osobliwego poczucia honoru, ale wiedziała, że pasuje ono do tego, co dostrzegła w oczach Richarda.

Tłum wstrzymał oddech, bo chłopak przeciągnął mieczem po wewnętrznej stronie ręki. Obrócił ostrze, żeby obie strony głowni skąpały się we krwi, żeby krew ściekała ze sztychu. Nicci wyraźnie widziała - choć inni może tego nie zauważali, podobnie jak nie dostrzegali w jego oczach cech, które ona widziała - że miecz jednoczył się z wrodzonym darem Richarda i dopełniał go. Zacisnął dłoń na rękojeści, aż zbieleły mu kłykie, i gwałtownie uniósł ociekające purpurą ostrze.

- Przysięgam na mą krew! Skrzywdźcie Baka Ban Mana, Siostrę Vernę lub mnie, a rozejm się skończy i będzie wojna! A wtedy zniszczę Pałac Proroków!

Z dalekiego balkonu, gdzie Richard nie mógł go dostrzec, odezwał się drwiącym głosem Jedidiah:

- Sam jeden?

- Wątp w me słowa na własne ryzyko. Jestem więźniem. Nie mam po co żyć. Jestem dawcą śmierci.

Pełna zdumienia cisza, żadnej odpowiedzi. Chyba każda kobieta w sali wiedziała o proroctwie tyczącym dawcy śmierci, chociaż żadna nie wiedziała, co ono właściwie znaczy. Tekst owego proroctwa przechowywano

wraz z innymi w podziemiach, głęboko pod Pałacem Proroków. To, że Richard o nim wiedział i ośmielił się to głośno oznajmić przed takim audytorium, zapowiadało najgorsze. Każda z obecnych tu lwic schowała pazury. Chłopak energicznie wepchnął miecz do pochwy, jakby dla podkreślenia swojej groźby.

Nicci wiedziała, że zawsze będzie ją prześladować to, co dostrzegła w jego oczach i postawie.

Wiedziała również, że musi go zniszczyć.

Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek z własnej woli odda takie usługi i przyjmie na siebie takie zobowiązania - ale uczyniła to i w zamian została jedną z sześciu nauczycielek Richarda. Kiedy jednak siedziała z nim przy małym stoliku w jego komnacie i delikatnie trzymała jego dłonie - o ile można rzec, że ktoś trzyma błyskawice - próbując nauczyć go dotykania Han, esencji życia i ducha, którą był obdarzony każdy mający moc, wiedziała, że ów przywilej wart był wszystkiego, co za niego dała. Richard starał się, jak mógł, ale nie potrafił wyczuć swojej Han. Już samo to było czymś osobliwym. Ale Nicci często ledwo potrafiła powiedzieć choć kilka słów, porażona tym, co wyczuwała w Richardzie. Zdawkowo wypytała pozostałe nauczycielki, ale one tego nie dostrzegały.

I chociaż nie pojmowała, co właściwie ujawniały oczy i sposób bycia chłopaka, wiedziała, że to burzy jej bezpieczną obojętność. Z wszystkich sił pragnęła to pojąć, zanim będzie musiała zniszczyć Richarda, i jednocześnie chciała go zniszczyć, zanim to pojmie. Ilekroć zaczynała uważać, że już-już rozwikła tę tajemnicę i zdoła przewidzieć, jak on się zachowa w danej sytuacji, zdumiewał ją, czyniąc coś zupełnie nieoczekiwanego lub na pozór niewykonalnego. Wciąż burzył to, co uważała za podwaliny zrozumienia jego charakteru. Na całe godziny pogrążała się w otchłannej rozpacz, bo nie potrafiła tego uchwycić i pojąć, choć było tak wyraźnie widoczne. Wiedziała jedynie, że jest to niezmiernie doniosłe i że pozostanie poza zasięgiem jej zrozumienia.

Richard - niezmiernie niezadowolony ze swego położenia - stawał się w miarę upływu czasu coraz bardziej daleki i chłodny. Nicci straciła nadzieję i uznała, że nadszedł czas. Kiedy zjawiała się w komnacie chłopaka na - jak sądziła - ostatnią lekcję i jego kres, zaskoczył ją, ofiarowując jej piękną białą różę. Tak zdrętwiała, kiedy podał jej kwiat, że zdołała z trudem powiedzieć

„Dziękuję, Richardzie”. Białe róże rosły wyłącznie w niebezpiecznych, zakazanych sektorach, do których żaden uczeń nie powinien móc wejść. Richard najwyraźniej mógł się tam zapędzać; wstrząsnęło nią, że tak zuchwale ofiarował jej dowód swojego wykroczenia. Ostrożnie trzymała w palcach kwiat, nie wiedząc, czy chłopak ostrzegają owym zakazanym darem, że jest dawcą śmierci i że naznaczył Nicci, czy też jest to zwykła, choć osobliwa uprzejmość. Podejrzewała, że raczej ostrzeżenie. I znów jego charakter sprawił, że zrezygnowała ze swoich zamiarów.

Inne Siostry Mroku miały własne plany. O ile w przypadku Nicci dar Richarda liczył się najmniej, o tyle Liliana - jedna z pozostałych nauczycielek, kobieta bezgranicznie zachłanna, lecz o ograniczonej intuicji - postanowiła skraść dla siebie wrodzone możliwości jego Han. Doszło do ostatecznej konfrontacji... i Liliana przegrała. Cała szóstka - ich przywódczyni, Ulicia, oraz pięć pozostałych nauczycielek Richarda - została zdemaskowana i uciekła tylko po to, żeby wpaść w łapy Jaganga.

A Nicci na końcu równie słabo pojmowała to, co widziała w oczach Richarda, jak w chwili, kiedy go pierwszy raz ujrzała.

Wszystko wymknęło jej się z rąk.

Nicci puściła rzemienną obrożę na szyi małej i dziewczynka Pobiegnęła ku matce.

- No i?! - wrzasnął Kadar Kardeef, opierając pięści na biodrach. - Skończyłaś te swoje gierki? Czas, żeby ci ludzie poznali, co to znaczy brak litości!

Siostra Mroku spojrzała w głąb jego ciemnych oczu. Były wyzywające, gniewne i stanowcze, ale brakowało w nich tego, co widniało w oczach Richarda. Obróciła się ku żołnierzom.

- Wy dwaj. - Dała im znak. - Pojmać dowódcę.

Zamrugali ze zdumienia. Twarz Kardeefa spurpurowiała z wściekłości.

- No proszę! W końcu posunęłaś się za daleko! - Okręcił się ku swoim ludziom, których przywiódł ze dwa tysiące, i wskazał przez ramię na Nicci: - Złapać tę pomyloną wiedźmę!

Najbliższych sześciu dobyło broni i rzuciło się na Siostrę. Byli wysocy, silni i szybcy - jak wszyscy w bitewnych oddziałach Ładu. Byli również doświadczeni.

Nicci wyrzuciła pięść ku najbliższemu; właśnie unosił bicz, żeby go

wokół niej owinąć. Uwolniła moc i obie magie - addytywna i subtraktywna - zlały się w śmiertcionośną całość. Błysnęło tak białym żarem, że przez chwilę słoneczny blask wydał się szary i chłodny. W piersi żołnierza wypaliło dziurę wielkości melona. Przez mgnienie, zanim wewnętrzne ciśnienie wepchnęło wnętrzności w nagłą próżnię, widać było przezeń tych, którzy stali z tyłu. Powidok błysku tworzył pod powiekami Nicci jarzący się łuk. Ostry swąd spalonego powietrza szczypał ją w oczy. Przez okoliczne pola zielonej pszenicy przetoczył się grzmot uwolnionej mocy.

Zanim żołnierz osunął się na ziemię, Siostra skierowała magiczne ciosy na trzech kolejnych napastników: pierwszemu z nich urwała ramię; poleciało w tłum, a biedaka okręciło jak upiorną fontannę. Drugiego przecięła niemal na pół. W głębi piersi poczuła wstrząs następnego wyładowania mocy i głowa trzeciego, którą dosięgła oślepiająca błyskawica, zmieniła się w chmurę czerwonej mgły i odłamków kości.

Ostrzegawczo spojrzała w oczy dwóm żołnierzom zaciskającym w dłoniach noże. Zatrzymali się. Wielu cofnęło się o krok, bo cztery magiczne wyładowania - dla Nicci odrębne, ale tak bliskie sobie, że prawie zlewające się w jedną rozdzierającą błyskawicę - wciąż grzmiały echem wśród okolicznych domów.

- Jeżeli nie wykonacie mojego rozkazu - oznajmiła spokojnym, cichym, opanowanym głosem, którego łagodność zdradzała, jak śmiertelnie poważna była to groźba - i nie pojmacie dowódcy Kardeefa, to sama to zrobię. Ale najpierw, rzecz jasna, wybiję was do nogi.

Słychać było jedynie zawroźnienie wiatru wśród domów.

- Róbcie, co każę, lub umrzecie. Nie będę czekać.

Wielcy żołnierze, dobrze ją znający, podjęli decyzję w tej jedynej chwili, którą Nicci im darowała, i rzucili się na dowódcę. Udało mu się dobyć miecza. Kadarowi Kardeefowi nie była obca walna bitwa. Odpierał napastników, wykrzykując rozkazy. Wielu zginęło. Inni krzyczeli, poranieni. Wreszcie udało się im od tyłu unieruchomić zbrojne w miecz ramię. Zwalili się na dowódcę, przygnietli go do ziemi, a w końcu rozbroili i pojmali.

- Co ty sobie wyobrażasz?!!! - ryknął na nią Kadar Kardeef, którego żołnierze podnosili na nogi.

Nicci podeszła do niego. Wojacy unieruchamiali mu ręce za plecami. Spojrzała w oszalałe, błędne oczy.



- Jak to co, dowódco? Ja tylko wypełniam twoje rozkazy.

- O czym ty mówisz?!

Uśmiechnęła się, bo wiedziała, że to go jeszcze bardziej rozwścieczy.

- Co kazesz z nim zrobić? - spytał przez ramię jeden z żołnierzy trzymających Kardeefa.

- Nie zróbcie mu nic złego; chcę, żeby był przytomny. Rozbierzcie go i przywiążcie do pala.

- Do pala? Jakiego pala?

- Tego, na którym tkwiły świnie, co je zjedliście.

Nicci pstryknęła palcami i zaczęli ściągać z dowódcy odzież. Patrzyła obojętnie, jak go całkiem rozebrali. Ubranie i oręż stały się ich łupem; raz-dwa rozdrapali je żołnierze, którymi dopiero co dowodził. Stękając z wysiłku, przywiązali wreszcie szarpiącego się, golutkiego, owłosionego dowódcę do pala.

Nicci spojrzała na zdumiony tłum.

- Dowódca Kardeef chce, żebyście się przekonali, jacy potrafimy być bezlitośni. Zamierzam wykonać jego rozkazy i zademonstrować wam to. - Obróciła się ku żołnierzom i poleciła: - Zawieście go nad ogniem, żeby się upiekł jak prosiak.

Żołnierze ponieśli szarpiącego się, rozwścieczonego Kadara Kardeefa, bohatera bitwy na Małej Przełęczy, ku miejskiemu palenisku. Wiedzieli, że Jagang obserwuje ich poprzez jej oczy. Mieli podstawy wierzyć, że gdyby imperator chciał ją powstrzymać, uczyniłby to. Był w końcu Nawiedzającym Sny i mnóstwo razy widzieli, jak zmuszał ją i inne Siostry, żeby spełniały jego życzenia, choćby nie wiadomo jak poniżające.

Nie mogli przecież wiedzieć, że akurat teraz Jagang z jakiegoś powodu nie miał dostępu do umysłu Nicci.

Drewniane zakończenia pala znalazły się w uchwytach kamiennych podpór po obu stronach paleniska. Pal kołysał się pod ciężarem przytroczonego doń Kardeefa. W końcu znieruchomiał i dowódca zawisł twarzą ku żarowi. Mógł jedynie obserwować zarżące się w dole węgle.

Ogień już przygasł, ale nie upłynęło wiele czasu, a pełzające nisko płomienie zaczęły mu dokuczać. Zgromadzeni patrzyli w milczącym przerażeniu, jak mężczyzna się skręca i wyrzaskuje rozkazy: żądał, by żołnierze go zdjęli, i obiecywał, że ich ukarze, jak się będą ociągać.

Stopniowo cichł, bo musiał trzymać w ryzach narastający strach.

Nicci, obserwując oczy mieszkańców miasta, wskazała za siebie.

- Oto przykład, jak bezlitosny jest Imperialny Ład: powoli, w męce spala wielkiego dowódcę, bohatera wojennego, człowieka szeroko znanego i podziwianego, który dobrze mu służył. Spali go tylko po to, żeby udowodnić wam, ludziom z małego, nic nie znaczącego miasta, że nie zawaha się zabić kogokolwiek. Naszym celem jest dobro wszystkich i ów cel jest o wiele ważniejszy niż ktokolwiek spośród nas. Oto dowód. Czy jeszcze wątpicie, że zawahamy się skrzywdzić któregokolwiek z was, a nawet i was wszystkich, jeżeli nie przyczynicie się do wspólnego dobra?

Potrząsnęli głowami i zgodnie wyszeptali:

- Nie, pani.

Za nią skręcał się z bólu Kadar Kardeef. Znów wrzasnął na swoich żołnierzy, żeby go zdjęli znad ognia i zabili tę „zwariowaną sukę”. Żaden się nie ruszył, żeby wykonać jego rozkazy. Sprawiali wrażenie, że go wcale nie słyszą. Nie znali litości ni współczucia. Szło o życie lub o śmierć. Wybrali życie, a to oznaczało śmierć Kardeefa.

Czas się włókł, Nicci obserwowała oczy zgromadzonych na placu. Dowódca wisiał w sporej odległości od pełgających płomieni, ale żarzące się węgle pokrywały dużą przestrzeń. Siostra Mroku wiedziała, że porywy wiatru przytłumiały niekiedy okropny żar, przynosząc Kardeefowi chwilową ulgę. To tylko przedłużyło jego mękę, nic nie uratuje go przed ogniem. Potrwa to jakiś czas. Nie żądała większej ilości drewna. Nie spieszyło się jej.

Ludzie marszczyli nosy - czuli swąd włosków palących się na ciele Kardeefa. Nikt nie odważył się odezwać. Męczarnie się przeciągały, skóra na piersi i brzuchu dowódcy poczerwieniała, a potem ściemniała. Upłynęło jeszcze dobre piętnaście minut, nim zaczęła pękać i się otwierać. Prawie cały czas wrzeszczał z bólu. Swąd zmienił się w zaskakująco przyjemny aromat przypiekanego mięsiwa. Na koniec zaczął skamleć o litość. Wykrzykiwał jej imię, błagał, żeby położyła temu kres, żeby go uwolniła albo natychmiast zabiła. Słuchała, jak szłocha jej imię, i gładziła złoty pierścień w dolnej wardze; głos Kadara nie znaczył dla niej więcej niż brzęczenie muchy. Zaczęła się topić cienka warstewka tłuszczu okrywająca mięśnie Kardeefa. Zachryplł. Buchnęły nakarmione tłuszczem płomienie i osmały twarz dowódcy.

- Nicci! - Kadar pojął, że jego błagania o litość trafiają do obojętnych uszu; zdradził swoje prawdziwe uczucia. - Ty wredna, wściekła suko! Zasłużyłaś sobie na wszystko, co ci czyniłem!!!

Obojętnie spojrzała w oszalałe oczy.

- I owszem. Przekaż ode mnie ukłony Opiekunowi, Kadarze.

- Sama mu się pokłoń! Kiedy Jagang się dowie, co zrobiłaś, rozszarpie cię na kawałeczki! Raz-dwa będziesz w zaświatach, w rękach Opiekuna!

I znów jego słowa były jedynie uprzykrzonym brzęczeniem.

Spektakl się przeciągał; pot pokrył czoła ludzi. Nie potrzebowali wyraźnego rozkazu: wiedzieli, iż ona oczekuje, że zostaną i będą na to patrzeć aż do samego końca. Gdyby przyszło im na myśl złamać jej nie wypowiedziany rozkaz, ich wyobraźnia podsunęłaby im obrazy męki, jakiej Nicci nigdy by sama nie wyśniła. Tylko chłopców fascynowało to, co się działo. Patrzyli na siebie porozumiewawczo; taka męka była ucztą dla dusz młodych nieśmiertelnych. Kiedyś będą z nich dobrzy żołnierze Ładu - o ile nie dorosną.

Nicci napotkała gniewne spojrzenie dziewczynki. Nienawiść w oczach małej aż zapierała dech. Choć wystraszyło ją podtapianie i szorowanie, nawet wtedy jej oczy mówiły, że świat jest cudowny, a ona sama wyjątkowa. Teraz jej spojrzenie zdradzało utratę naiwności. Nicci stała dumnie wyprostowana i chłonęła żar dopiero co rozbudzonej nienawiści dziecka; nareszcie czuła, że czegoś doświadcza.

Dziewczynka nie miała pojęcia, że żołnierz zajął jej miejsce nad ogniem.

Gdy Kardeef w końcu ucichł, Nicci oderwała oczy od małej i przemówiła do mieszkańców miasta.

- Przeszłość odeszła. Jesteście częścią Imperialnego Ładu. Powrócę tu, jeżeli nie wypełnicie swojego moralnego obowiązku i nie wniesiecie wkładu do dobra współobywateli.

Nie wątpili w jej słowa. Jeżeli czegoś z całej duszy pragnęli, to tego, żeby już nigdy jej nie oglądać.

Niepewnym krokiem zbliżał się jeden z żołnierzy; zaciskał w pięści drżące dłonie. Straszliwy ból sprawiał, że oczy miał szeroko rozwarte.

- Chcę, żebyś wracała, kochanieńka! - warknął głosem nie pasującym do przerażonej miny; zabrzmiały w nim śmiertelnie groźne tony. - I to natychmiast!

To był bez wątpienia głos Jaganga i jego gniew.

Imperatorowi trudno było panować nad umysłem kogoś, kto nie miał daru. Bezlitośnie przejął jednak kontrolę nad biedakiem. Nie posłużyłby się żołnierzem, zdradzając tym swoją chwilową nieudolność, gdyby mógł wniknąć do umysłu Nicci i zawładnąć nią.

Nicci nie miała pojęcia, dlaczego Jagang zniecka tracił z nią kontakt. Zdarzało się to i przedtem. Wiedziała jednak, że imperator odzyska zdolność zadawania jej bólu. Musiała tylko na to poczekać.

- Gniewasz się na mnie, Ekscelencjo?

- A jak ci się zdaje?

Wzruszyła ramionami.

- Kadar był w łóżu lepszy od ciebie, więc sądziłam, że to cię ucieszy.

- Natychmiast wracaj! - ryknął żołnierz głosem Jaganga. - Zrozumiałaś?!  
Natychmiast!!

- Oczywiście, Ekscelencjo. - Nicci skłoniła się. Wyprostowała się, wyszarpnęła długi nóż z pochwy przy pasie żołnierza i wbiła go mu aż po rękojeść w muskularny brzuch. Zacisnęła z wysiłku zęby i śmiertelnie półkolistym cięciem rozplatała biedakowi wnętrzności. Powątpiewała, czy skręcający się u jej stóp żołnierz czuł swoją okropną śmierć. Skonał z rechotem Jaganga na ustach. Nawiedzający Sny może przebywać wyłącznie w żywym umyśle, więc popołudnie chwilowo stało się spokojne.

Powóz zatrzymał się, wzbijając kłęby kurzu, żołnierz otworzył drzwiczki. Nicci odwróciła się ku tłumowi; trzymała się zewnętrznej poręczy, żeby stać prosto, tak by wszyscy dobrze ją widzieli. Ciepły wiaterek rozwiewał jej jasne włosy.

- Zapamiętajcie ten dzień i to, że Jagang Sprawiedliwy oszczędził wasze życie! Dowódca by was wymordował! Imperator za moim pośrednictwem okazał wam litość. Rozgłaszajcie wieść o litości i mądrości Jaganga Sprawiedliwego, a nie będę musiała tu powracać.

Tłum mruknął, że będą rozgłaszać tę wieść.

- Chcesz, żebyśmy zabrali dowódcę? - spytał jeden z żołnierzy. Był lojalnym zastępcą Kadara Kardeefa, a teraz miał u boku jego miecz; lojalność ulotniła się bez śladu.

- Zostawcie go tutaj na pamiątkę. Reszta wraca ze mną do Fairfield.

- Jak rozkazałaś - odparł z ukłonem. Zatoczył łuk ramieniem, nakazując

żołnierzom, żeby dosiedli koni i ruszyli.

Nicci wychyliła się jeszcze bardziej i popatrzyła na woźnicę.

- Jego Ekscelencja pragnie mnie widzieć. Choć tego nie powiedział, jestem pewna, że życzyłby sobie, byś pospieszała.

Usiadła na twardej skórzanej wyściółce ławki powozu, oparła plecy o górną część siedziska, a woźnica przenikliwie gwizdnął i strzelił z bata. Konie ruszyły gwałtownie, wlokąc za sobą powóz. Nicci oparła dłoń o podokiennik, bo okute żelazem koła podskakiwały na twardej, nierównej powierzchni placu. Potem dotarli do drogi i powóz kołysał się już znajomym rytmem. Snop światła z okna padał ukosem na puste siedzisko naprzeciwko Nicci. Jasna plama ześliznęła się z ławeczki, kiedy powóz mijał zakręt, i w końcu spoczęła na kolanach kobiety jak ciepłutki kot. Po bokach, przed i za powozem galopowali ciemno odziani jeźdźcy. Grzmiącemu tętentowi towarzyszyły wzbijane przez kopyta tumany kurzu.

Nicci choć na chwilę uwolniła się od Jaganga. Otaczało ją dwa tysiące żołnierzy, a mimo to była zupełnie sama. Już wkrótce ból wypełni straszliwą pustkę. Nie czuła ni radości, ni strachu. Czasami zastanawiała się, dlaczego nie odczuwa nic poza potrzebą zadawania bólu.

Powóz mknął ku Jagangowi, a myśli Nicci skierowały się ku innemu mężczyźnie; starała się wywołać z pamięci każdą chwilę, w której go widziała. Wspominała każdą chwilę spędzoną z Richardem Cypherem, czyli z - jak teraz wiedziano i pod jakim nazwiskiem znał go Jagang - Richardem Rahlem.

Rozmyślała o jego szarych oczach.

Dopóki go nie ujrzała, nie wierzyła, że ktoś taki może istnieć.

Kiedy tak dumiała o Richardzie, nękało ją jedno jedyne pragnienie: zniszczyć go.

## ROZDZIAŁ 9

Na wyniosłym wzgórzu za Fairfield wznosiły się obszerne namioty o jaskrawych barwach, ale - na przekór świątecznym barwom rozjaśniającym mrok, na przekór śmiechom i krzykom, na przekór ochrypłym śpiewom i wrzaskliwemu rozpasaniu - to nie karnawał zawitał do miasta, lecz wojska okupanta. Namioty imperatora i jego świty wykonano na wzór tych, których używały pewne koczownicze plemiona z ojczystego Altur'Rang Jaganga, choć, rzecz jasna, przyozdobiono je ponad wszelką miarę. Imperator, nieskończenie przewyższający wyobraźnią każdego plemiennego wodza, kreował własne, odpowiadające mu dziedzictwo kulturowe.

Okoliczne wzgórza i doliny, jak daleko Nicci zdołała sięgnąć okiem, pokrywały małe, kapiące od brudu namioty żołnierzy. Jedne były z impregnowanego olejem płótna, inne - i te przeważały - zrobiono ze skór. Poza praktycznością miały jeszcze jedną wspólną cechę: brak jakiegokolwiek stylu.

Przed niektórymi małymi, wyświechtanymi namiotami stały niemal dorównujące im wielkością ozdobne tapicerowane krzesła wyszabrowane z miasta. Robiło to wrażenie zamierzonego komicznego efektu, ale Nicci wiedziała, że nie ma to nic wspólnego z poczuciem humoru. Kiedy wojska ruszały dalej, takie duże, wymyślne przedmioty były zbyt nieporęczne i zostawiano je, żeby niszczały pod gołym niebem.

Tu i ówdzie widać było uwiązane konie; na przygodnych wygonach pasły się niewielkie stada. W niektórych zagrodach trzymano „mięso na kopytach”. Wozy stały tam, gdzie ich właściciele znaleźli wolny skrawek ziemi; miejscami ustawiano je jeden obok drugiego. Wiele należało do osób ciągnących za armią, na wojskowych znajdowało się wszystko: od podstawowego zaopatrzenia po wyposażenie kuźni. Ekwipunku potrzebnego do oblężenia nie było dużo; w takich przypadkach jako broń wykorzystywano osoby mające magiczny dar.

Ponad obozowiskiem sunęły nisko wiszące chmury. Wilgotne powietrze cuchnęło odchodami ludzi i zwierząt. Okoliczne zielone pola zmieniły się w błotniste grzęzawisko. Dwa tysiące żołnierzy, którzy wrócili z Nicci, zniknęło w rojnym tłumie jak krople deszczu w bagnie.

Obóz wojsk Imperialnego Ładu był hałaśliwy i pełen zamętu, ale wcale nie tak bezładny, jak by się mogło wydawać. Istniała tu hierarchia władzy, obowiązki i posługi do wykonania. Tu i ówdzie żołnierze zajmowali się swoim ekwipunkiem: oliwili broń i skórzane elementy, obtaczali kolczugi w beczułkach z piaskiem i octem, żeby usunąć rdzę, inni gotowali coś nad ogniskami. Podkuwano konie. Rzemieślnicy wykonywali najrozmaitsze prace: od naprawy oręża poprzez szycie butów do wrywania zębów. Obóz roił się od najrozmaitszych mistyków: koili zbolełe dusze lub przepędzali nieznośne demony. Po wykonaniu roboty żołnierze łączyli się we wrzaskliwe bandy i zabawiali - zwykle pili lub w coś grali. Czasem włączali w to markietanów, czasem więźniów.

Nicci czuła się samotna nawet w takim roju. Nieobecność Jaganga w jej umyśle rodziła poczucie zdumiewającego osamotnienia: nie czuła się porzucona, a jedynie straszliwie samotna. Kiedy Nawiedzający Sny wnikał do jej umysłu, nie mogła nic przed nim ukryć: żadnej myśli, żadnego uczynku, nawet najbardziej osobistego szczegółu życia. Czaił się w mrocznych zakamarkach umysłu i stamtąd obserwował wszystko: każde słowo, każdą myśl, każdy kęs, każde chrząknięcie, kasznięcie, pójście do wygodki. Nigdy nie była sama. Nigdy. To całkowite pogwałcenie intymności odbierało chęć do życia.

I właśnie to złamało większość Sióstr: owo brutalne, całkowite zniewolenie, świadomość, że stale tkwi w umyśle i obserwuje. Co gorsza, macki Nawiedzającego Sny sięgały w głąb człowieka i nigdy nie było wiadomo, na czym akurat skupia uwagę. Można mu było wymyślać i uchodziło to bezkarnie, bo właśnie skierował uwagę gdzie indziej. Innym razem w tej samej chwili, w której się pojawiła, poznawał przelotną, skrytą, brzydką myśl o sobie.

Nicci - tak jak wiele innych Sióstr - nauczyła się wyczuwać owe macki. I chwile, kiedy znikają, jak teraz. To ostatnie nigdy nie przytrafiało się pozostałym: w nich macki tkwiły zawsze. Jagang i tak znów zapuści je w nią, ale na razie była wolna. Nie miała pojęcia dlaczego.

W rojowisku żołnierzy i ognisk nie było drogi dla powozu i Nicci musiała pieszo wejść na wzgórze. Wystawiło ją to na pożądliwe spojrzenia i sprośne zaczepki żołnierzy tłoczących się na stoku. Podejrzewała, że zanim Jagang z nią skończy, będzie narażona na o wiele więcej. Większość Sióstr od czasu

do czasu wysyłano do namiotów, żeby zaspokajały wojaków. Niekiedy było to za karę, innym razem, by im przypomnieć, że są tylko niewolnicami, własnością, i muszą wypełnić każdy rozkaz.

Za to Nicci była zarezerwowana wyłącznie dla imperatora i tych, których on sam wybrał, jak Kadar Kardeef. Wiele Sióstr jej tego zazdrościło, ale - na przekór temu, co sądziły - status osobistej niewolnicy Jaganga wcale nie był przywilejem.

Kobiety zsyłano do namiotów na jakiś okres, przeważnie tydzień lub dwa, a przez resztę czasu wypełniały mniej wyczerpujące obowiązki. W końcu były cenne, miały magiczny dar. Nicci nie korzystała z żadnych ograniczeń czasowych. Kiedyś spędziła w komnacie Jaganga parę miesięcy, żeby się mógł zabawiać o dowolnej porze dnia czy nocy. Żołnierze z uciechą przyjmowali obecność kobiet, lecz musieli się poddawać zakazom ograniczającym ich pomysłowość. Jagang i jego przyjaciele nie narzucali sobie żadnych ograniczeń.

Czasami Jagang wściekał się na Nicci - czy miał po temu powód, czy nie - i w gniewie nakazywał jej iść na miesiąc do namiotów, żeby, jak mówił, miała nauczkę. Kłaniała mu się wtedy posłusznie i odpowiadała, że stanie się według jego życzenia. Wiedział, że nie mydli mu oczu: zaznawałaby tam mniejszych męczarni. Zanim więc zdążyła wyjść, by spełnić jego wolę, markotniał, nakazywał, by stanęła przed nim, i gniewnie cofał rozkazy.

Nicci od samego początku krok po kroku, cał po calu zdobywała pozycję i swobodę, jakiej inne nie miały. Wcale się o to szczególnie nie starała; samo przyszło. Jagang wyjawiał jej, że czyta myśli Sióstr i że między sobą nazywają ją Królową-Niewolnicą. Podejrzewała, że powtarzając jej to, chciał ją na swój sposób uhonorować, ale tytuł „Królowa-Niewolnica” znaczył dla niej równie mało jak „Pani Śmierci”.

I Nicci była jak kwiat lili wodnej, jaśniejący na mrocznym rozlewisku wojska. Inne Siostry zawsze starały się wyglądać równie niechlujnie jak żołnierze - by mniej rzucać się w oczy i wydać mniej atrakcyjnymi. Tylko się same oszukiwały. Żyły w nieustannym strachu przed tym, co Jagang mógłby im zrobić. Co się działo, to się działo. Nie miały na to żadnego wpływu, nie miały wyboru.

Nicci było wszystko jedno. Nosila eleganckie czarne suknie, pyszniła się swoimi długimi jasnymi włosami. Najczęściej robiła, co chciała. Nie



obchodziło jej to, co czynił jej Jagang, a on o tym wiedział. Była dla niego zagadką, tak jak Richard dla niej. Fascynowała Jaganga. I choć traktował ją okrutnie, towarzyszyła temu odrobina ostrożności. Z zadowoleniem przyjmowała ból, który jej zadawał; zasługiwała na okrucieństwo. Ból niekiedy choć częściowo wypełniał mroczną pustkę. Wtedy Jagang przestawał ją dręczyć. Kiedy groził, że ją zabije, spokojnie czekała, by zrealizował groźbę; wiedziała, że nie zasługuje na to, by żyć. Jednak on anulował wyrok śmierci.

Takie zachowanie gwarantowało Nicci bezpieczeństwo, ale mogło ją również zgubić. Była jak sarenka pośród wilków, bezpiecznie otulona swoją obojętnością. Niebezpieczeństwo groziłoby sarence tylko wtedy, gdyby próbowała uciekać. Ale uwięzienie nie było dla niej dopustem; właściwie nic w życiu jej nie interesowało. Od czasu do czasu miała okazję uciec, ale z niej nie korzystała. I prawdopodobnie właśnie to najbardziej urzekło Jaganga.

Chwilami wyglądało na to, że się do niej umizguje. Nie wiedziała, co tak naprawdę w niej widzi, i nie starała się dowiedzieć. Niekiedy przejawiał troskę, a kilka razy okazał coś w rodzaju uczucia. Kiedy indziej, gdy znikąca, by wypełnić jego polecenia, wyglądał na zadowolonego, że się jej pozbył. Takie zachowanie Jaganga nasunęło Nicci podejrzenia, iż imperator uważa, że jest w niej zakochany. Może to były absurdalne domysły, ale i tak nic by to dla niej nie znaczyło. Wątpiła, czy on w ogóle potrafi kochać. Zdecydowanie wątpiła, czy Jagang wie, co naprawdę znaczy to słowo, a tym bardziej ogólne pojęcie miłości; Nicci aż za dobrze wiedziała, co to oznacza.

W pobliżu namiotu Jaganga wyrósł przed nią żołnierz. Wyszczrzył się w głupawym uśmiechu - to miała być „zachęcająca groźba”. Nicci łatwo mogła go zniechęcić, mówiąc, że Jagang na nią czeka, mogła go też uśmiercić na miejscu magiczną mocą. Ale tylko wpatrywała się w niego. Nie tego chciał. Wielu z nich chwyciło ofiarę tylko wtedy, gdy się miotąca. Ona nie zareagowała tak, jak się spodziewał, więc spochmurniał. Rzucił jakieś przekleństwo i zszedł jej z drogi.

Nicci ruszyła znowu ku namiotowi Jaganga. Namioty koczowników z Altur'Rang były raczej niewielkie i praktyczne, zrobione z miękkich, niczym nie ozdobionych skór jagnięcych. Jagang nadał im o wiele wspanialszy wygląd. Jego namiot był właściwie owalny, a nie okrągły. Trzy maszty - a nie jeden, jak zazwyczaj - podtrzymywały wielospadowy dach. Zewnętrzne

ściany zdobiły hafty o jaskrawych barwach. Wokół górnego skraju ścian, tam gdzie stykały się z dachem, naszyto duże wielobarwne chwosty i taśmy, wyróżniające podróżny pałac imperatora spośród innych. Zatknięte na szczycie wielkiego namiotu jaskrawożółte i czerwone sztandary oraz proporce zwisały smętnie w nieruchomym powietrzu popołudnia.

Jakaś kobieta trzepała dywaniki zawieszane na jednej z lin namiotu. Nicci uniosła ciężką wejściową zasłonę, ozdobioną złotymi tarczami i medalionami z kutego srebra przedstawiającymi sceny bitewne. Wewnątrz trudzili się niewolnicy: czyścili dywany zaścielające podłogę, ścierali kurz z delikatnej ceramiki ustawionej na ozdobnych meblach, poprawiali liczne barwne poduszki ułożone pod ścianami. Kotary bogato zdobione tradycyjnymi wzorami z Altur'Rang dzieliły obszerne wnętrza na kilka pomieszczeń. Prześwity w dachu, osłonięte przejrzystą materią, wpuszczały trochę światła. Wszystkie te ciężkie tkaniny tworzyły ciche i spokojne miejsce pośród zgiełku. Lampy i świece dawały senny blask.

Nicci nie zwróciła uwagi na spojrzenia strażników stojących po obu stronach wejścia ani na niewolników zajmujących się sprzątaniami. Pośrodku frontowego pomieszczenia stał ozdobny tron Jaganga udrapowany czerwonymi jedwabiami. Imperator czasem udzielał tu posłuchania, ale teraz tron był pusty. Nie zawahała się, jak czyniły inne kobiety wzywane przez Jego Ekscelencję; zdecydowanym krokiem ruszyła ku jego sypialni mieszczącej się na tyłach namiotu.

Przed wejściem do sypialni jeden z niewolników, półnagi chłopak, czyścił miotełką leżący tam dywan. Nie patrząc na Nicci, poinformował ją, że Jego Ekscelencja nie przebywa w swoich namiotach. Ten chłopak, Irwin, miał dar. Przebywał w Pałacu Proroków i kształcił się na czarodzieja. Teraz Irwin czyścił na kolanach frędzle dywanów i opróżniał nocniki. Matka Nicci by to pochwaliała.

Jagang mógł być wszędzie. Mógł grać lub pić ze swoimi żołnierzami. Mógł wizytować oddziały lub rzemieślników, którzy dla nich pracowali. Mógł oglądać nowych jeńców i wybierać tych, których chciał dla siebie. Mógł też rozmawiać z zastępcą Kadara Kardeefa.

Nicci dostrzegła w kącie kilka Sióstr. Były, jak i ona, niewolnicami Jaganga. Idąc ku trzem kobietom, spostrzegła, że cerowały i zszywały jakiś fragment wyposażenia namiotu.

- Siostra Nicci! - Siostra Georgia poderwała się, po jej twarzy przemknął wyraz ulgi. - Nie wiedziałyśmy, czy żyjesz, czy nie. Tak długo cię nie widziałyśmy. Sądziłyśmy, że zniknęłaś.

Nicci była Siostrą Mroku, przysięgała Opiekunowi zaświatów, więc nie wierzyła w szczerść zatroskania trzech Sióstr Światła. Przypuszczała, iż uznały, że złączyła je niewola i że wytworzona w ten sposób więź niweluje dawne różnice. I one wiedziały, że Jagang odnosi się do niej inaczej niż do pozostałych; pewnie też chciały być przyjacielskie.

- Wyjeżdżałam w sprawach Jego Ekscelencji.

- Oczywiście - powiedziała Siostra Georgia, pochylając głowę i zacierając dłoń.

Tamte dwie, Siostry Rochelle i Aubrey, odłożyły worek z kościanymi guzikami i nićmi, wyplątały się z jardów płótna i stanęły obok Siostry Georgii. Lekko skłoniły głowy przed Nicci. Wszystkie trzy obawiały się jej, bo nie wiedziały, jakie miejsce zajmuje przy Jagangu.

- Siostro Nicci... Jego Ekscelencja bardzo się gniewa - odezwała się Siostra Rochelle.

- Jest wściekły - dorzuciła Siostra Aubrey. - On... strasznie złorzeczył, mówiąc, że tym razem posunęłaś się za daleko.

Nicci wpatrywała się w nie bez słowa.

Siostra Aubrey oblizwała wargi.

- Uznałyśmy, że powinnaś wiedzieć. Żebyś zachowała ostrożność.

Nicci pomyślała, że to nie najlepsza pora, żeby zniecka zacząć zachowywać ostrożność. Zirykowało ją takie płaszczenie się kobiet starszych od niej o setki lat.

- Gdzie Jagang?

- Wybrał na swoją kwaterę wielki budynek tuż za miastem - odparła Siostra Aubrey.

- Kiedyś była to posiadłość Ministra Spraw Duchowych - dodała Siostra Rochelle.

- Dlaczego? Ma swoje namioty - zachmurzyła się Nicci.

- Kiedy cię nie było, uznał, że imperator musi mieć odpowiednią kwaterę.

- Odpowiednią? Odpowiednią do czego?

- Żeby pokazać światu swoje znaczenie, jak sądzę.

Siostra Aubrey potaknęła.

- Buduje pałac. W Altur'Rang. To jego nowa wizja. - Zatoczyła łuk ramieniem, prawdopodobnie ukazując tym gestem olbrzymie rozmiary pałacu. - Rozkazał wybudować wspaniały pałac.

- Zamierzał wykorzystać Pałac Proroków - odezwała się Siostra Rochelle - ale skoro został zniszczony, nakazał zbudować nowy, jeszcze lepszy: najwspanialszy pałac, jaki sobie można wyobrazić.

Nicci patrzyła na nie ze zmarszczonym czołem.

- Chciał Pałacu Proroków ze względu na czar spowalniający starzenie się. O to mu chodziło.

Trzy kobiety wzruszyły ramionami. Nicci zaczynała się domyślać, o co mogło chodzić Jagangowi.

- A jego obecna siedziba? Co tam robi? Uczy się nie jeść palcami? Sprawdza, czy mu się podoba życie pod dachem?

- Nam powiedział tylko, że na razie tam zamieszka - powiedziała Siostra Georgia. - Zabrał ze sobą większość... młodszych kobiet. Nam kazał tu zostać i dbać o wszystko, na wypadek gdyby zechciał wrócić do namiotu.

Wyglądało na to, że - poza miejscem pobytu - niewiele się zmieniło.

Nicci westchnęła. Jej powóz odjechał. Będzie musiała iść pieszo.

- No dobrze. Jak tam trafić?

Siostra Aubrey dokładnie jej to wytłumaczyła. Nicci podziękowała im i zamierzała odejść.

- Siostra Alessandra zniknęła - oznajmiła Siostra Georgia, bardzo się starając, żeby to wypadło niedbale.

Nicci zatrzymała się. Obróciła się ku Siostrze Georgii. Georgia była w średnim wieku i za każdym razem, kiedy Nicci ją spotykała, uważała, że biedaczka wygląda coraz gorzej. Jej odzienie stanowiły poszarpane łachmany, które nosiła z taką dumą, jakby były wspaniałą toaletą. Rzadkie włosy były bardziej siwe niż kasztanowe. Niegdyś mogło to sprawiać, że wyglądała dystyngowanie, ale teraz od tygodni nie widziały ani szczotki, ani mydła. Pewnie miała wszy.

Niektórzy ludzie wyczekują starości, widząc w niej pretekst do zamiany w czupiradło, jakby przez całe życie niczego bardziej nie pragnęli, niż być nieponętym flejtuchem. Siostrze Georgii najwyraźniej ogromnie odpowiadało takie zaniedbanie.

- Co to znaczy, że Siostra Alessandra zniknęła?

Nicci dostrzegła przelotny znak zadowolenia. Georgia prostodusznie rozłożyła ręce.

- Nie wiemy, co się stało. Po prostu zaginęła.

Nicci nie poruszyła się.

- Rozumiem.

Siostra Georgia znów rozłożyła ręce, udając naiwność.

- W tym samym czasie zniknęła też Ksieni.

Nicci nie dała im satysfakcji i nie zdziwiła się.

- Co Verna tu robiła?

- Nie Verna - wtrąciła się Siostra Rochelle. Nachyliła się i dodała: - Ann.

Siostra Georgia łypnęła groźnie na Rochelle, bo ta zepsuła niespodziankę - a była to prawdziwa niespodzianka. Stara Ksieni umarła, tak przynajmniej powiedziano Nicci. Kiedy opuszczała Pałac Proroków, wszystkie pozostałe Siostry, nowicjuszek i uczniowie stali przez noc przy stosie pogrzebowym Ann i Proroka Nathana. Jeśli ktoś znał Ann, mógł się spodziewać jakiegoś podstępu, ale i dla niej taki wyczyn byłby czymś niezwykłym.

Trzy Siostry uśmiechały się jak koty bawiące się myszką. Aż się paliły do długiej gry w prawdę i plotki.

- Podajcie najważniejsze szczegóły. Nie mam czasu na długą wersję tej historii. Jego Ekscelencja pragnie mnie widzieć. - Nicci patrzyła na trzy więdnące uśmiechy; dodała obojętnie: - Chyba że chcecie, by tu powrócił, rozgniewany i niecierpliwie pragnący się ze mną spotkać.

Siostry Rochelle i Aubrey zbladły.

Georgia porzuciła gierki i znów zacierała dłonie, jakby je myła.

- Kiedy cię nie było, Ksieni zjawiała się w obozie i została pojmana.

- Po cóż zjawiała się wśród ludzi Jaganga?

- Żeby nas przekonać, byśmy z nią uciekły - zdradziła Siostra Rochelle, po czym zachichotała piskliwie i raczej nerwowo niż z rozbawieniem. - Opowiadała jakieś bzdury o tym, że uwolniono demony i że magia zanika. Pomyśl tylko! Jakież zwariowane opowiadania. Oczekiwać, że uwierzymy...

- A więc to było to... - wyszeptowała w zadumie Nicci, zapatrzona w dal. Od razu pojęła, że to nie bzdurna opowiadanie; części układanki zaczęły do siebie pasować. Ona korzystała ze swojego daru, innym na to nie pozwolono, więc mogły nie wiedzieć, że magia na pewien czas zanikła.

- Tak twierdziła - odezwała się Siostra Georgia.

- Więc magia zniknęła - myślała głośno Nicci - i ona uznała, że Nawiedzający Sny nie będzie mógł kontrolować waszych umysłów.

To mogłoby wytłumaczyć coś, czego Nicci nie pojmowała: to, że Jagang czasem nie mógł wniknąć do jej umysłu.

- Ale jeśli demony są na wolności...

- Były - poprawiła ją Siostra Georgia. - Nawet jeśli to była prawda, to już je przepędzono. Z radością stwierdzam, że Jego Ekscelencja swobodnie wnika do naszych umysłów i że wszystko, co się wiąże z magią, wróciło do normy.

Nicci niemal widziała ich myśli: wszystkie trzy zastanawiały się, czy Jagang słucha. Gdyby jednak magia wróciła do normy, imperator powinien być w umyśle Nicci, a nie był. Iskierka zrozumienia rozbliły i zgasła.

- Czyli Ksieni popełniła błąd i Jagang ją złapał.

- Nnnno... niezupełnie - powiedziała Siostra Rochelle. - Siostra Georgia poszła po gwardzistów. Wydałyśmy ją, co było naszym obowiązkiem.

Nicci wybuchnęła śmiechem.

- Jej własne Siostry Światła? Cóż za ironia! Ryzykuje życie i zjawia się tutaj, żeby ratować waszą skórę, dopóki demony tłumią magię, a wy ją wydajecie, zamiast z nią uciec! Jakież to do was podobne.

- Musiałyśmy! - zaprotestowała Siostra Georgia. - Jego Ekscelencja by tego chciał. Służenie mu to nasz obowiązek. Nie jesteśmy takie głupie, żeby próbować ucieczki. Znamy nasze miejsce.

Nicci obserwowała ich pełne napięcia twarze: twarze kobiet, które ofiarowały się Światłu Stwórcy, twarze Sióstr Światła, które setki lat działały w jego imieniu.

- O tak, znacie.

- Postąpiłabyś tak samo! - warknęła Siostra Aubrey. - Musiałyśmy to zrobić, bo inaczej Jego Ekscelencja wyciągnąłby to z innych. Musiałyśmy spełnić ten obowiązek dla dobra innych, czyli i twojego, że o tym wspomnę. Nie mogłyśmy myśleć wyłącznie o sobie czy o Ann. Trzeba było wziąć pod uwagę dobro wszystkich.

Nicci znów ogarnęła paraliżująca obojętność.

- No, to zdradziłyście Ksienię. - Pozostała jej tylko mała iskierka ciekawości. - Ale dlaczego sądziła, że uda się jej z wami uciec? Na pewno

miała jakieś plany co do demonów. Czego oczekiwała, gdyby Jagang znów uzyskał dostęp do waszych umysłów? I do jej?

- Jego Ekscelencja zawsze jest z nami - upierała się Siostra Aubrey. - Ann usiłowała nam wmówić swoje absurdalne domniemania. Ale nie jesteśmy takie głupie. Cała reszta też była tylko sztuczką. Okazałyśmy się dla niej za sprytne.

- Reszta? To miała jeszcze jakiś plan?

Siostra Georgia aż sapnęła z irytacji.

- Próbowała nas przekonać o istnieniu jakiejś więzi z Richardem Rahlem. Nicci zamrugła. Starła się spokojnie oddychać.

- Więż? A cóż to za bzdury opowiadacie?

Siostra Georgia spojrzała jej prosto w oczy.

- Upierała się, że jeśli przysięgniemy Richardowi wierność, to będziemy bezpieczne. Wmawiała nam, że ta jego magia nie pozwoli Jagangowi wnikać do naszych umysłów.

- Jak?

Siostra Georgia wzruszyła ramionami.

- Upierała się, że ta jakaś więź chroni ludzkie umysły przed Nawiedzającymi Sny. Ale nie jesteśmy takie łatwowierne.

Nicci przycisnęła dłonie do ud, żeby ukryć drżenie palców.

- Nie rozumiem. Jak to byłoby możliwe?

- Mówiła coś, że to dziedzictwo po przodku Richarda, że musimy mu tylko przysiąc wierność, przysiąc ją w naszych sercach, takie tam bzdury. Prawdę mówiąc, było to tak niedorzeczne, że ledwo zwróciłam na to uwagę. Twierdziła, że to dlatego Jagang nie może wnikać do jej umysłu.

Nicci była oszołomiona. Oczywiście...

Zawsze się zastanawiała, dlaczego Jagang nie uwięził pozostałych Sióstr. Bardzo wiele z nich wciąż pozostawało na wolności. Chroniła je ta więź z Richardem. To musiała być prawda. Jej przywódczyni, Siostra Ulicia, też uciekła wraz z innymi nauczycielkami Richarda. Jednak to nie bardzo się zgadzało: były Siostrami Mroku - jak i ona - a musiałyby zaprzysiąc wierność Richardowi. Nie potrafiła sobie wyobrazić czegoś takiego.

Z drugiej strony Jagang nie zawsze mógł wnikać do jej umysłu.

- Mówiłaś, że Siostra Alessandra zniknęła.

- Zniknęła razem z Ann. - Siostra Georgia skubała kołnierz swojej sukni.

- Jagang nie raczy was informować o swoich czynach. Może po prostu skazał je na śmierć.

Georgia spojrzała na swoje towarzyszki.

- Cóż... być może. Ale Siostra Alessandra była jedną z was... Siostrą Mroku. Zajmowała się Ann...

- Dlaczego wy się nią nie opiekowałyście? Jesteście jej Siostrami.

Zapytana odchrząknęła.

- Tak się na nas wściekała, że Jego Ekscelencja wyznaczył do niej Siostrę Alessandrę.

Nicci pomyślała, że musiała to być spektakularna wściekłość. Całkiem to zrozumiałe, skoro Ann zdradziły jej własne Siostry. Jagang na pewno uważał ją za cenną zdobycz i chciał, żeby żyła.

- Weszliśmy do miasta, ale wóz z klatką z Ann się nie pojawił - ciągnęła Siostra Georgia. - W końcu przyszedł jeden z woźniców, z zakrwawioną głową, i doniósł, że Siostra Alessandra była ostatnim, co widział, nim świat zniknął mu z oczu. Obie zniknęły.

Nicci poczuła, jak paznokcie zagłębiają się w jej dłonie. Zmusiła się, żeby rozprostować palce.

- Zatem Ann ofiarowywała wam wolność, ale wy postanowiliście pozostać niewolnicami.

Trzy kobiety dumnie uniosły głowy.

- Zrobiliśmy to, co jest najlepsze dla wszystkich - oznajmiła Siostra Georgia. - Jesteśmy Siostrami Światła. Mamy obowiązki nie wobec siebie, ale wobec innych. Powinniśmy nieść ulgę w cierpieniu, nie zaś być jego przyczyną.

- Poza tym - dodała Siostra Aubrey - ty przecież nie odchodzisz. Wygląda na to, że od czasu do czasu jesteś wolna od Jego Ekscelencji, a zostajesz.

- Skąd o tym wiecie? - zachmurzyła się Nicci.

- Cóż, ja... ja... - zająknęła się Siostra Aubrey.

Nicci złapała ją za gardło.

- Zadałam ci pytanie. Odpowiedz.

Twarz Aubrey poczerwieniała, bo Nicci do siły palców dorzuciła moc daru. Aż ścięgna nadgarstków wystąpiły jej z wysiłku. Siostra Aubrey wyróciła oczy, bo moc Nicci powoli wyduszała z niej życie. Jagang władał ich umysłami, ona zaś była teraz wolna; pozostałe Siostry mogły posługiwać



się mocą wyłącznie według jego woli.

Siostra Georgia delikatnie położyła dłoń na ramieniu Nicci.

- Jego Ekscelencja nas o to wypytywał, Siostro. Puść ją, proszę.

Nicci puściła tamtą i wpatrzyła się gniewnie w Georgię.

- Wypytywał was? Co masz na myśli? Co mówił?

- Po prostu chciał wiedzieć, czy wiemy, dlaczego od czasu do czasu nie może wniknąć do twego umysłu.

- Rani nas - odezwała się Siostra Rochelle. - Rani nas pytaniami, bo nie znamy odpowiedzi. Nie pojmujemy tego.

Nicci po raz pierwszy zrozumiała. Siostra Aubrey masowała gardło.

- Co z tobą, Siostro Nicci? Czemu Jego Ekscelencja tak się tobą interesuje? Dlaczego potrafisz mu się opierać?

- Dziękuję za pomoc, Siostry. - Nicci odwróciła się i odeszła.

- Dlaczego nie odchodzisz, skoro potrafisz się od niego uwolnić?! - zawołała za nią Siostra Georgia.

Nicci odwróciła się ku nim od wejścia.

- Bo lubię patrzeć, jak Jagang was dręczy. Wiedzmy Światła. Zostaję, żeby się temu przyglądać.

Nie poruszyło ich jej zuchwalstwo, były do tego przyzwyczajone.

- Czym tak rozgniewałaś Jego Ekscelencję, Siostro Nicci? - spytała Rochelle, przyglądając włosy.

- Słucham? A, to. Niczym takim. Kazałam tylko żołnierzom przywiązać Kadara Kardeefa do pala i upiec go nad ogniem.

Wszystkie trzy zeszywniały i zachłysnęły się oddechem.

Przypominały Nicci trzy sowy siedzące na gałęzi.

Siostra Georgia wbiła w Nicci ponure, gniewne spojrzenie naznaczone autorytetem starszeństwa.

- Zaslugujesz na wszystko, co Jagang z tobą uczyni, Siostro, jak również na to, co zrobi z tobą Opiekun.

Nicci uśmiechnęła się i odparła:

- O tak, zasługuję.

A potem wyszła z namiotu.

## ROZDZIAŁ 10

W Fairfield wróciły pozory porządku. Był to porządek placówki wojskowej. Niewiele pozostało z tego, co tworzyło miasto. Ostało się sporo budynków, ale przetrwała znikoma liczba ludzi, którzy w nich niegdyś mieszkali i pracowali. Z jednych domostw zostały zwęglone belki i szerniały gruz, z innych wyłamane okna i drzwi, lecz większość stała jak przedtem, tylko doszczętnie złupiono ich wnętrza. Domy były niczym puste łupiny; przypominały, że kiedyś kwitło tutaj życie.

Tu i ówdzie siedzieli oparci o ściany bezzębni starzy ludzie; pustymi oczami obserwowali mrowie zbrojnych chodzących po ich ulicach. Osieroczone dzieci snuły się w oszołomieniu lub wyglądały z mrocznych zakamarków. Nicci pomyślała, że to zadziwiające, jak szybko można jakieś miejsce odrzeć z cywilizacji. Szła ulicami i dumiała, że pojmuje, co odczuwałoby wiele z tych budynków, gdyby potrafiły czuć. Puste, pozbawione życia, celowości i czekające na kogoś, komu mogłyby służyć; zyskiwały znaczenie wyłącznie wtedy, kiedy służyły ludziom.

Ulice - pełne żołnierzy o srogich obliczach, wymizerowanych żebraków, przeraźliwie chudych starców i chorych, zawodzących dzieci biegnących pośród gruzów i nieczystości - przypominały niektóre z ulic jej dzieciństwa. Matka często wysyłała ją na podobne ulice, by niosła pomoc nędzaczom.

- To wina takich ludzi jak twój ojciec - mawiała matka Nicci. - Jest akurat taki, jaki był mój ojciec. Troszczy się wyłącznie o siebie. Jest bez serca.

Nicci stała - w czyściutkiej plisowanej niebieskiej sukience, z wyszczotkowanymi i upiętymi z tyłu włosami, ze zwieszonymi rękami - i słuchała, jak matka naucza o dobru i złu, o grzechu i odkupieniu. Mało co z tego rozumiała, ale w późniejszych latach matka powtarzała to, dopóki nie wbiła sobie w pamięć każdego słowa, każdego pojęcia, każdej ponurej prawdy. Ojciec Nicci był bogaty. Co gorsza, według pojęć jej matki, nie odczuwał z tego powodu skruchy. Matka tłumaczyła, że interesowność i zachłanność są jak dwoje oczu potwornego zła stale wypatrującego władzy i złota, żeby zaspokoić nienasycony głód.

- Musisz wiedzieć, Nicci, że sens moralny życia każdego człowieka to pomaganie innym, a nie samemu sobie - pouczała matka. - Za pieniądze nie

kupisz łaski Stwórcy.

- A jak możemy pokazać Stwórcy, że jesteśmy dobrzy? - spytała Nicci.

- Ludzie to nędznicy: godni pogardy, zdegenerowani i zdeprawowani. Powinniśmy walczyć z naszą zdeprawowaną naturą. Tylko pomagając innym, możesz wykazać, że masz dobrą duszę. To jedyne prawdziwe dobro, które można czynić.

Ojciec Nicci pochodził ze znakomitego rodu, ale całe swoje dorosłe życie pracował jako płatnerz. Matka uważała, że odziedziczył wystarczające zasoby, ale zamiast się tym zadowolić, starał się ów udział przemienić w bezwstydne bogactwo. Twierdziła, że majątek można zdobyć tylko w jeden sposób: łupiąc biedaków. Inni szlachetnie urodzeni, jak matka i wielu jej przyjaciół, starali się nie wyciskać niezасłużonych korzyści z ciężkiej pracy biedoty.

Nicci czuła się winna niegodziwości ojca i ogromnie cierpiała z powodu jego nieuczciwie zdobytego bogactwa. Matka twierdziła, że ze wszystkich sił stara się uratować jego zbłąkaną duszę. Nicci nigdy nie martwiła się o duszę matki, bo ludzie stale mówili, jaka to jej rodzicielka jest troskliwa, życzliwa i litościwa, za to czasem nie mogła spać, tak martwiła się o ojca, o to, że Stwórca mógłby zesłać nań karę, nim ojciec zdąży odkupić swoje winy.

Kiedy matka spotykała się ze swoimi znamienitymi przyjaciółkami, niania, idąc na targ, często zabierała Nicci do ojca, żeby zapytać, czego ten życzy sobie na kolację. Nicci uwielbiała patrzeć i uczyć się rozmaitych rzeczy w manufakturze ojca. To było fascynujące miejsce. Kiedy była malutka, myślała, że i ona, jak dorośnie, zostanie płatnerzem. W domu siadała na podłodze i bawiła się „kując” kawałek materiału udający zbroję położony na odwróconym podeszwą ku górze bucie udającym kowadło. To były jej najmiłsze wspomnienia z dzieciństwa.

Dla ojca Nicci pracowało wielu ludzi. Wozy dostarczały z daleka sztaby metalu i różne inne rzeczy. Galerami przyływały ciężkie metalowe wlewki. Inne wozy, ze strażnikami, odwoziły zamówienia daleko mieszkającym klientom. Jedni robotnicy kuli metal, inni wyklepywali go w odpowiednie kształty, a jeszcze inni zmieniali rozżarzony metal w oręż. Niektóre klingi robiono z kosztownej „zatrutej stali” i twierdzono, że śmiertelne były nawet najmniejsze zadane nimi rany. Byli tacy, którzy ostrzyli klingi, którzy polerowali zbroje oraz tacy, którzy przepięknymi grawerunkami ozdabiali

tarcze, broje i gównie. Nawet kobiety pracowały dla ojca Nicci, pomagając w wytwarzaniu kolczug. Nicci patrzyła, jak siedziały na ławach, przy długich drewnianych stołach - trochę plotkując i chichocząc - i obciążkami obrabiały małe nity w spłaszczonych częściach tysięcy niewielkich stalowych kółek składających się na kolczugę. Myślała, że to zadziwiające, iż ludzka pomysłowość potrafi zmienić coś tak twardego jak metal w odzieniu.

Ludzie z bliska i z daleka przybywali, żeby kupić broje jej ojca. A on mówił, że są najlepsze ze wszystkich. W jego oczach, błękitnych jak niebo w bezchmurny letni dzień, tańczyły iskiere, kiedy opowiadał o swoich zbrojach. Niektóre były tak piękne, że z bardzo daleka przyjeżdżali królowie, żeby zamówić sobie broję na miarę, inne zaś tak wymyślne, że utalentowani pracownicy trudzili się nad nimi całymi miesiącami.

Kowale, spece od obsługi miechów, kowacze, pobielacze, płatnerze, polerowacze, rymarze, nitowacze, modelarze, złotnicy, grawerzy, a nawet szwaczki, specjalistki od pikowań i podściótek, no i oczywiście terminatorzy - wszyscy przyjeżdżali z dalekich stron w nadziei, że znajdą u niego pracę. Niektórzy przywozili swoje najlepsze wyroby, żeby mu je pokazać. Ojciec o wielu więcej odprawiał, niż zatrudniał.

Ojciec Nicci był imponującą osobą: trzymający się prosto, zyłasty, poważny. Zawsze się jej zdawało, że przy pracy jego błękitne oczy widzą o wiele więcej niż oczy kogokolwiek innego, jakby metal przemawiał doń, kiedy przesuwiał po nim palcami. Wykonywał wyłącznie niezbędne gesty. Dla córki był ucieleśnieniem mocy, siły i stanowczości.

Przychodzili do niego oficerowie, urzędnicy i szlachta, a także dostawcy i robotnicy. Kiedy Nicci zjawiała się w manufakturze ojca, zawsze zdumiewała się, że prowadził aż tyle rozmów. Matka mówiła, że to dlatego, bo był arogancki i wymagał, żeby biedni robotnicy mu nadszkakiwali.

Nicci lubiła obserwować skomplikowany taniec pracy. Robotnicy robili chwilę przerwy, żeby uśmiechnąć się do małej, odpowiedzieć na jej pytanie, a czasem pozwalali jej uderzyć młotkiem w metal. Wyglądało na to, że i ojciec lubił rozmawiać z wszystkimi tymi ludźmi. W domu to matka gadała, a on rzadko się odzywał. Jego twarz zaś wyglądała jak wyklepywana młotem stal. W domu niemal zawsze mówił o swojej pracy. Nicci słuchała każdego słowa, chciała wiedzieć wszystko o nim i o jego zawodzie. Matka utrzymywała, że w jego wnętrzu wstrętny charakter nadgryzał niewidzialną

duszę. Nicci stale miała nadzieję, że pewnego dnia uratuje duszę ojca i sprawi, że będzie równie zdrowa jak na pierwszy rzut oka jego ciało. Uwielbiał Nicci, ale uważał, że wychowywanie córki to dzieło zbyt delikatne dla jego prostackich dłoni, więc pozostawił to matce. Nawet jeśli się z czymś nie zgadzał, i tak jej ustępował, mówiąc, że ona lepiej zna się na takich obowiązkach. Większość czasu zajmowała mu praca. Matka twierdziła, że spędzanie takiego mnóstwa czasu na zdobywaniu bogactw, a nie na obdarowywaniu innych, co zaleca Stwórca, to oznaka jego nieczułej duszy. Kiedy zjawiał się na obiad, matka - podczas gdy służący podawali jedne, a odnosili inne dania - wiele razy rozwodziła się umęczonym głosem nad tym, jak źle się dzieje na świecie. Nicci często słyszała, jak ludzie mówią, że jej matka to szlachetna kobieta, bo tak szczerze się wszystkim przejmuje. Po obiedzie ojciec wracał do pracy, najczęściej bez słowa. Gniewało to matkę, bo jeszcze tyle miała do powiedzenia mężowi o jego duszy, a on był zbyt zajęty, żeby tego wysłuchiwać.

Nicci pamiętała chwile, kiedy matka stawała przy oknie i patrzyła na pogrążone w mroku miasto; na pewno zamartwiała się wtedy tym wszystkim, co burzyło jej spokój. W takie ciche wieczory ojciec niekiedy stawał za matką i delikatnie dotykał ręką jej pleców, jakby była bezcennym cackiem. Wydawał się wtedy łagodny i wyciszony. Szeptał jej coś do ucha i leciutko zaciskał dłoń na jej krągłym pośladku. Ona patrzyła nań z nadzieją i prosiła, by wspomógł jej bractwo. Pytał, o jaką sumę chodzi. Zaglądała mu w oczy, jakby szukała w nich choć odrobiny przyzwoitości, i wymieniała cyfrę. Wzdychał i zgadzał się. Ujmował w dłonie jej talię i mówił, że już późno, że czas pójść do łóżka. Pewnego razu, kiedy zapytał, ile ma wpłacić, wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Nie wiem. Co podpowiada ci twoje sumienie, Howardzie? Człowiek szczerze współczujący byłby o wiele hojniejszy niż ty zazwyczaj, zważywszy, że masz dużo więcej, niż ci trzeba, a potrzeby są olbrzymie.

Westchnął.

- Ile potrzebujecie, ty i twoi przyjaciele?

- To nie my potrzebujemy, Howardzie, ale błagające o wsparcie ludzkie rzesze. Nasze bractwo po prostu robi, co może, by wspomóc potrzebujących.

- Ile? - powtórzył.

- Pięćset złotych koron - oznajmiła, jakby to była maczuga do tej pory

ukrywana za plecami, a teraz, skoro nadeszła wyczekiwana okazja, uniesiona do ciosu.

Ojciec zachłysnął się oddechem i cofnął o krok.

- Czy masz pojęcie, ile trzeba pracować na taką sumę?

- To nie ty pracujesz, Howardzie, to twoi niewolnicy na ciebie pracują.

- Niewolnicy! To najlepsi rękodzielnicy!

- Istotnie. Z całej krainy wykradasz najlepszych rzemieślników.

- Bo najlepiej płacę! Aż się palą, żeby dla mnie pracować!

- To biedne ofiary twoich sztuczek. Wyzyskujesz ich. Liczysz sobie więcej niż inni. Masz znajomości i wykorzystujesz je, by odsunąć innych płatnerzy. Kradniesz strawę sprzed ust pracującym ludziom, żeby nabić sobie kieszenie.

- Oferuję najlepsze wyroby! Ludzie kupują ode mnie, bo chcą tego, co najlepsze. Żądam za nie uczciwej ceny.

- Faktem jest, że liczysz sobie więcej niż inni. Zawsze ci mało. Zależy ci tylko na złocie.

- Ludzie chętnie do mnie przychodzą, bo jestem najlepszy! I na tym mi zależy! Inne firmy wytwarzają towar marnej jakości. U mnie najprzedniej hartują metal. Wszystkie moje wyroby spełniają najwyższe standardy. Nie sprzedałbym czegoś gorszej jakości. Ludzie mi ufają, bo wiedzą, że wytwarzam najlepsze rzeczy.

- Twoi robotnicy wytwarzają. Ty tylko zgarniasz pieniądze.

- Zyski idą na płace i są inwestowane w firmę! Właśnie dałem fortunę za nową kowarkę!

- Firma, firma, firma! Kiedy cię proszę, żebyś zechciał coś dać społeczności, tym w potrzebie, zachowujesz się, jakbym ci chciała oczy wyłupić! Naprawdę wolałbyś patrzeć, jak ludzie umierają, niż dać jakieś grosze, żeby ich ocalić? Czy pieniądze więcej dla ciebie znaczą, Howardzie, niż ludzkie życie? Czy jesteś aż tak okrutny i bez serca?

Ojciec stał jakiś czas ze zwieszoną głową, a potem spokojnie oznajmił, że przyśle kogoś ze złotem. Znów miał łagodny głos. Powiedział, że nie chce, by ludzie umierali, i że ma nadzieję, iż te pieniądze się przydadzą. Mówił, że już czas się położyć.

- Zdenerwowałeś mnie tą sprzeczką, Howardzie. Nie umiesz być szczodroblivy sam z siebie, zawsze trzeba to na tobie wymuszać, chociaż to

pierwsza powinność każdego. Teraz ustąpiłeś tylko dlatego, żeby zaspokoić swoje lubieżne chęci. Naprawdę uważasz, że nie mam żadnych zasad?

Ojciec odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się, bo nagle zobaczył Nicci, siedzącą na podłodze i obserwującą tę scenę. Przeraziła ją jego twarz - nie dlatego, że była gniewna lub sroga, lecz dlatego, że w jego oczach było tyle uczuć, których nigdy nie mógł wyjawić, i uginał się pod ich brzemieniem. Wychowywanie Nicci należało do matki, on zaś obiecał, że nie będzie się do tego mieszał. Odgarnął z czoła jasne włosy, odwrócił się i wziął płaszcz. Spokojnie powiedział matce, że idzie dojrzeć paru spraw w firmie.

Wyszedł i matka też zauważyła Nicci, zapomnianą na podłodze, bawiącą się paciorkami, udającą, że robi kolczugę. Skrzyżowała ramiona i długo stała nad córką.

- Twój ojciec chodzi na dziwki. Jestem przekonana, że i teraz poszedł do którejś z nich. Może jesteś za mała, żeby to zrozumieć, ale chcę, byś o tym wiedziała i już nigdy mu nie ufała. To zły człowiek. Nie będę jego dziwką. Odłóż zabawki i chodź z matką. Idę do moich przyjaciół. Czas, żebyś poszła ze mną i zaczęła poznawać potrzeby innych, a nie tylko swoje zachcianki.

W domu przyjaciółki matki kilkoro mężczyzn i kobiet prowadziło poważną rozmowę. Uprzejmie zapytali o ojca Nicci, a matka odparła, że wyszedł.

- Nie wiem, czy do pracy, czy na dziwki, i nie mam wpływu ani na jedno, ani na drugie.

Niektóre z kobiet kładły dłoń na ramieniu matki i pocieszały ją. Mówiły, że dźwiga straszliwe brzemie.

Po drugiej stronie pokoju siedział milczący mężczyzna, który wydał się Nicci ponury jak sama śmierć.

Matka szybko zapomniała o ojcu i włączyła się do rozmowy o strasznej sytuacji ludzi z miasta. Trafił ich głód, rany, choroby, brak kwalifikacji, brak pracy, zbyt wiele dzieci do wykarmienia, opieka nad starcami, brak odzieży, brak dachu nad głową i wszelkie inne możliwe kłęski. To było przerażające. Nicci zawsze się denerwowała, kiedy matka mówiła, że już dłużej tak nie może być, że coś trzeba z tym zrobić. Chciała, żeby ktoś się poderwał i wreszcie zrobił porządek. Słuchała, jak przyjaciele matki z bractwa rozmawiają o tych wszystkich paskudnych, pełnych nienawiści ludziach. Bała się, że stanie się jedną z tego okropnego grona. Nie chciała, by Stwórca

skarzał ją za nieczułe serce.

Matka i jej przyjaciółki rozwodziły się nad głęboką troską, którą budziły w nich te wszystkie problemy. Każda mówiła swoją kwestię, a potem zerkały ukradkiem na mężczyznę siedzącego dostojnie na skromnym krześle z wysokim oparciem i obserwującego je baczными ciemnymi oczami.

- Ceny są po prostu okropne - odezwał się mężczyzna o obwisłych powiekach; skulony na krześle, wyglądał jak kupka brudnej odzieży. - To nieuczciwe. Nie powinno się ludziom pozwalać na podnoszenie cen, kiedy tylko tego zechcą. Diuk powinien coś z tym zrobić. Król go rad wysłuchuje.

- Diuk... - wtrąciła się matka, upiła herbaty. - Tak, zawsze jest skłonny pomóc w słusznych sprawach. Sądzę, że można by go przekonać do wprowadzenia sensownych praw. - Spojrzała ponad złocistym obrzeżem filiżanki na mężczyznę siedzącego przed nią na skromnym krześle.

Jedna z kobiet oznajmiła, że zachęci męża, by poparł diuka. Inna dodała, że powinni wystosować pismo wspierające ów zamysł.

- Ludzie głodują. - Głos pomarszczonej kobiety wypełnił przerwę w rozmowie, a wszyscy z zapałem jej przytaknęli, bo dała im szansę ucieczki przed dręczącą ciszą. - Widzę to każdego dnia. Gdybyśmy mogli pomóc choć niektórym z tych nieszczęśników.

Kolejna z kobiet nastroszyła się jak kokoszka mająca znieść jajko.

- To okropne, że nikt im nie chce dać pracy, choć roboty by nie zabrakło, gdyby ją właściwie rozdzielić.

- Wiem - odparła matka. - Przekonywałam o tym Howarda, aż mi zabrakło tchu. Ale on zatrudnia, kogo chce, a nie tych, co najbardziej potrzebują pracy. To haniebne.

Wyrazili jej swoje współczucie.

- To niesprawiedliwe, że nieliczni mają o wiele więcej, niż im trzeba, podczas gdy tylu ludzi cierpi niedostatek - powiedział mężczyzna z obwisłymi powiekami. - To niemoralne.

- Nikt nie ma prawa żyć tylko dla siebie - pospieszenie wtrąciła matka, skubiąc kawałek twardego ciasta i ponownie zerkając na ponuro milczącego mężczyznę. - Bez przerwy powtarzam Howardowi, że poświęcenie się służbie innym to najwyższy moralny obowiązek i główny powód, dla którego Stwórca obdarza nas życiem. Dlatego postanowiłam - oznajmiła - wspomóc naszą sprawę pięcioma setkami złotych koron.



Zebrani westchnęli z zachwytu i wyrazili podziw dla szczodroblewości matki. Przyznali, rzucając ukradkowe spojrzenia na ponurego mężczyznę, że Stwórca wynagrodzi ją w przyszłym życiu. Potem mówili, co każdy z nich może uczynić, by pomóc mniej zasobnym ludziom.

Na koniec matka odwróciła się, długo patrzyła na Nicci i rzekła:

- Uważam, że moja córka jest już na tyle duża, żeby uczyć się pomagać innym.

Nicci aż przesunęła się na skraj krzesła, poruszona myślą, że wreszcie i ona wniesie swój wkład do tego, co matka i jej przyjaciele nazywali dobrym dziełem. Miała wrażenie, że sam Stwórca ukazał jej drogę zbawienia.

- Tak bym chciała czynić dobro, matko.

Matka spojrzała pytająco na mężczyznę siedzącego na skromnym krześle.

- Bracie Narevie?

Głębokie bruzdy na jego twarzy zbiegły się w kącikach rozciągniętych w uśmiechu wąskich ust. Ani w owym uśmiechu, ani w ciemnych oczach ukrytych pod krzaczastymi szpakowatymi brwiami nie było radości. Narev odziany był w marszczony biret i ciężkie szaty o barwie zakrzepłej krwi. Spod zsuniętego do połowy czoła biretu wystawały kosmyki sztywnych włosów. Przesunął palcem po policzku i odezwał się głosem, od którego omal nie zabrzączały filizanki:

- A więc chcesz zostać małym żołnierzem, dziecko?

- Nnnno... nie, panie. - Nicci nie pojmowała, co wojsko ma wspólnego z dobrem; matka zawsze twierdziła, że ojciec był dostawcą ludzi mających zgubny fach - żołnierzy - i dodawała, że żołnierzy interesuje wyłącznie zabijanie. - Chcę pomagać tym, co są w potrzebie.

- Właśnie to wszyscy staramy się czynić, dziecko - powiedział Narev, a na twarzy wciąż miał ten straszny uśmiech. - My, tu obecni, jesteśmy żołnierzami bractwa, Bractwa Ładu, bo tak nazywamy naszą grupkę. Wszyscy żołnierze biją się o sprawiedliwość.

Nikt nie miał śmiałości patrzeć wprost na Nareva. Zerkali na chwilę, odwracali wzrok i znów spoglądali, jakby jego twarz była wrzącym lekiem o paskudnym smaku, który należało przyjmować w małych dawkach, a nie od razu.

- Ależ oczywiście, Bracie Narevie. - Brązowe oczy matki skakały to tu, to

tam, jak karaluchy szukające szpary. - Miłosierdzie to jedyny obyczajny rodzaj wojaczki. - Ponagliła Nicci, by wstała i postąpiła ku niemu. - Nicci, to Brat Narev, wielki człowiek. Jest arcykapłanem Bractwa Ładu, starodawnej sekty, której celem jest czynienie na tym świecie woli Stwórcy. Brat Narev jest czarodziejem. - Błysnęła ku niemu uśmiechem. - Bracie Narevie, oto moja córka, Nicci.

Dłoń matki popychała ją ku niemu, jakby Nicci była ofiarą dla Stwórcy. W przeciwieństwie do innych, dziewczynka nie mogła oderwać wzroku od jego oczu ocienionych krzaczastymi brwiami. Jeszcze nigdy takich nie widziała.

Była w nich wyłącznie czarna, zimna pustka.

- Miło mi cię poznać, Nicci. - Wyciągnął ku niej dłoń.

- Dygnij i pocałuj go w rękę, kochanie - pouczyła ją matka.

Nicci przyklękała na kolano. Ucałowała kłykcie, żeby nie dotknąć wargami gąbczastej sieci grubych niebieskich żył na grzbiecie owłosionej dłoni unoszącej się przed jej twarzą. Białawe wybrzuszenia były zimne, lecz nie lodowate, jak się spodziewała.

- Witamy cię w naszej organizacji, Nicci - powiedział Narev tym swoim niskim, chrapliwym głosem. - Wyrosłaś pod troskliwą ręką matki, więc jestem przekonany, że będziesz czynić dzieło Stwórcy.

Nicci pomyślała, że Stwórca musi być bardzo podobny do tego człowieka.

Ze wszystkiego, o czym jej opowiadała matka, Nicci najbardziej bała się gniewu Stwórcy. Była już na tyle duża, by rozumieć, że jeżeli chce mieć jakąkolwiek szansę na zbawienie, musi zacząć czynić dobro, o którym to dziele stale mówiła matka. Wszyscy twierdzili, że jej matka jest troskliwą, obyczajną osobą. Nicci też chciała taka być.

Ale to czynienie dobra zdawało się takie trudne i surowe - zupełnie niepodobne do pracy u ojca, gdzie ludzie się uśmiechali, i śmiali i gestykulowali.

- Dziękuję, Bracie Narevie - powiedziała Nicci. - Z całych sił będę się starać czynić dobro na świecie.

- Pewnego dnia odmienimy świat z pomocą takich wspaniałych młodych ludzi jak ty. Nie ludzę się, że to nastąpi prędko, bo przy tak powszechnym braku serca pozyskanie szczerych zwolenników zabierze sporo czasu, ale my, tu obecni, i podobni nam, rozproszeni po całej krainie, stanowimy

zawiązek nadziei.

- To bractwo jest tajemne? - wyszeptała Nicci.

Zebrani zachichotali. Jeden Brat Narev się nie roześmiał, tylko rozciągnął wargi w uśmiešku.

- Nie, dziecko. Wprost przeciwnie. Rozgłaszanie prawdy o moralnym zepsuciu ludzi to nasze największe pragnienie i obowiązek. Stwórca jest doskonałością, my zaś, śmiertelnicy, tylko nieszczęsnymi łotrami. By uniknąć jego sprawiedliwego gniewu i zyskać odpuszczenie na tamtym świecie, musimy się przyznać do naszej nikczemnej natury. Poświęcenie się dla dobra ogółu to jedyna droga zbawienia. Nasze bractwo stoi otworem dla wszystkich, którzy chcą się udzielać i wieść moralne życie. Większość ludzi nie traktuje nas poważnie. Pewnego dnia to uczynią.

Zebrani patrzyli błyszczącymi, nieśmiałymi oczami, a niski, potężny głos Brata grzmiał gniewnie jak głos samego Stwórcy.

- Nadejdzie dzień, kiedy ogień zmian przetoczy się przez krainę, wypalając, co stare, zepsute i odrażające, żeby na czarnym pogorzelsku zła mógł rozkwitnąć nowy ład. Kiedy już oczyścimy ogniem świat, nie będzie królów i zapanuje ład utrzymywany dłonią zwykłego człowieka dla zwykłego człowieka. Tylko wtedy nie będzie głodu, dygotania z zimna, cierpienia bez nadziei pomocy. Dobro ludzi zostanie postawione ponad samolubnymi zachciankami jednostek.

Nicci chciała czynić dobro - szczerze tego pragnęła. Ale głos Brata Narewa brzmiał w jej uszach jak skrzypienie zatrzaszczających się za nią drzwi lochu.

Wpatrywały się w nią oczy wszystkich obecnych: chcieli się Przekonać, czy jest tak szlachetna jak jej matka.

- To wspaniała zapowiedź, Bracie Narewie.

Przytaknął.

- I tak się stanie, dziecko. Ty także przyczynisz się do realizacji tego planu. Pozwól się prowadzić uczuciom. Będziesz żołnierzem kroczącym ku nowemu łaadowi świata. Czeka cię długi i ciężki wysiłek. Musisz zachować wiarę. My, tu obecni, pewnie już nie dożyjemy rozkwitu nowego ładu, ale może ty pożyjesz na tyle długo, żeby zobaczyć te cuda.

Nicci przełknęła ślinę.

- Będę się o to modlić, Bracie Narewie.

## ROZDZIAŁ 11

Następnego dnia Nicci, z dużym koszem chleba, wysiadła z powozu wraz z grupką innych członków bractwa; mieli rozdawać chleb potrzebującym. Matka ubrała ją w zdobioną koronkami czerwoną sukienkę przeznaczoną na uroczyste okazje. Krótkie białe skarpetki były haftowane czerwoną nicią. Dziewczynka, przepelniona dumą, że i ona wreszcie spełnia dobry uczynek, szła zasypaną śmieciami ulicą, dźwigając kosz chleba i rozmyślając o dniu, kiedy nadzieja na nowy ład zostanie przekazana wszystkim i ludzie wreszcie podźwigną się z nędzy i rozpacz.

Niektórzy się uśmiechali i dziękowali jej za chleb. Inni brali go bez uśmiechu, bez słowa. Większość jednak burkliwie narzekała, że za późno dostali chleb, że bochenki są zbyt małe, że nie o taki gatunek im chodzi. Nicci nie zniechęcała się. Powtarzała im słowa matki, że to wina piekarza, gdyż najpierw piekł na zarobek, a potem dla nich, bo za ten chleb dostawał niższą cenę. Mówiła, jak jej przykro, że źli ludzie traktują ich jak kogoś gorszego, ale że pewnego dnia Bractwo Ładu nawiedzi krainę i zadba, żeby wszyscy byli traktowani tak samo.

Kiedy szła ulicą i rozdawała chleb, jakiś mężczyzna złapał ją za ramię i wciągnął w cuchnący, ciemny, ciasny zaułek. Podała mu bochenek. Wyrwał jej kosz. Powiedział, że chce srebra albo złota. Nicci wyjaśniła mu, że nie ma pieniędzy. Szarpnął ją ku sobie, aż z przerażenia zachłysnęła się oddechem. Obmacał ją brudnymi paluchami, nie oszczędzając nawet najintymniejszych miejsc; szukał sakiewki, ale nie znalazł. Ściągnął jej buciki i odrzucił, bo nie ukryła w nich złotych monet. Dwa razy uderzył Nicci pięścią w brzuch. Upadła na ziemię. Rzucił jej jeszcze przekleństwo i umknął w mroczne zakamarki.

Nicci podparła się drżącymi rękami i zwymiotowała w oleistą wodę wyciekającą spod stosów odpadków. Mijający zaułek ludzie zaglądali tam i widzieli wymiotującą, leżącą na ziemi dziewczynkę, ale odwracali oczy i pospiesznie odchodzili. Kilku wpadło do zaułka, nachyliło się, nabrało chleba z przewróconego kosza, a potem uciekło. Nicci dyszała, starając się złapać oddech, łzy paliły jej oczy. Kolana krwawiły. Sukienka była powalana.

Kiedy zapłakana wróciła do domu, matka uśmiechnęła się na jej widok.

- Ich sytuacja i mnie często doprowadza do łez.

Nicci potrząsnęła głową, aż zakolysały się złociste loki, i opowiedziała matce, że jakiś mężczyzna złapał ją i uderzył, żądając pieniędzy. Wyciągnęła ręce do matki, skarżąc się, że to był niedobry, niedobry człowiek. Matka uderzyła ją w usta.

- Nie waż się osądzać ludzi. Jesteś tylko dzieckiem. Jak śmiesz sądzić innych?!

Nicci zamilkła, oszołomiona uderzeniem, które bardziej ją wystraszyło, niż zabolęło. Reprimenda zabolęła bardziej.

- Ależ, matko, on był dla mnie niedobry: wszędzie mnie dotykał, a potem uderzył.

Matka znów uderzyła ją w usta, tym razem mocniej.

- Nie pozwolę, żebyś mi takimi bzdurnymi historyjkami przyniosła wstyd przed Bratem Narevem i przyjaciółmi. Słyszysz? Nie wiesz, co go do tego skłoniło. Może ma w domu chore dzieci i potrzebuje pieniędzy na lekarstwa. Widzi bogate, rozpieszczone dziecko i załamuje się, wiedząc, że jego dzieci są okradane przez takich jak ty. Nie wiesz, jakie ciężary życie złożyło na barki tego człowieka. Nie waż się sądzić ludzi po ich czynach tylko dlatego, że jesteś zbyt nieczuła i gruboskórna, by się nad tym zastanowić i ich zrozumieć.

- Ale myślałam...

Matka uderzyła ją trzeci raz, tak mocno, że Nicci się zachwiała.

- Myślisz? Myślenie to wstrętny kwas, który trawi wiarę! Masz obowiązek wierzyć, nie myśleć. Rozum człowieka nie dorównuje mądrości Stwórcy. Twoje myśli i myśli innych nie są nic warte, tak jak ludzie nie są nic warci. Musisz wierzyć, że Stwórca obdarzył częścią swej dobroci każdą z tych nieszczęsnych dusz. Musisz się kierować uczuciami, a nie myśleniem. Wiara, nie myślenie, to twoja jedyna droga.

Nicci stłumiła łzy.

- To co powinnam zrobić?

- Powinnaś się wstydić, że świat tak okrutnie traktuje tych nieszczęśników, że wreszcie nie wytrzymują i atakują. W przyszłości powinnaś znaleźć sposób, żeby pomagać takim ludziom, ponieważ jesteś bogata, a oni nie. To twój obowiązek.

Kiedy tego wieczoru ojciec wrócił do domu i cicho zaszedł do pokoju

Nicci, by sprawdzić, czy jest dobrze otulona, złapała dwa ojcowskie palce i mocno przycisnęła je do policzka. Co prawda, matka twierdziła, że to zły człowiek, ale nic na świecie nie sprawiało Nicci takiej radości jak to, że ukląkł przy jej łóżeczku i w milczeniu gładził po głowie.

Nicci dalej spełniała dobre uczynki i zaczęła rozumieć potrzeby wielu ludzi mieszkających przy biednych ulicach. Ich problemy zdawały się nie do pokonania. Cokolwiek by robiła, i tak niczego to nie zmieniało. Brat Narev twierdził, iż to tylko znak, że wkłada w to mało serca. Ilekroć doznała niepowodzenia, tylekroć - ponaglana przez Brata Nareva i matkę - podwajała wysiłki.

Była już kilka lat w bractwie, kiedy powiedziała pewnego razu przy kolacji:

- Ojcze, jest pewien człowiek, któremu starałam się pomóc. Ma dziesięcioro dzieci i żadnej pracy. Czy mógłbyś go zatrudnić?

- Dlaczego? - Ojciec spojrział na nią znad talerza z zupą.

- Mówiłam ci. Ma dziesięcioro dzieci.

- Jaką pracę może wykonywać? Dlaczego miałbym go zatrudnić?

- Bo potrzebuje pracy.

Ojciec odłożył łyżkę.

- Nicci, kochanie, zatrudniam wykwalifikowanych robotników. To, że ma dziesięcioro dzieci, nie pomoże mu w nadawaniu kształtu żelazu, nieprawdaż? Co może robić? Jakie ma kwalifikacje?

- Gdyby miał kwalifikacje, ojcze, to dostałby pracę. Czy to uczciwe, by jego dzieci głodowały, bo nikt nie chce mu dać szansy?

Ojciec przyjrzał się jej, jakby oglądał dostawę jakiegoś podejrzanego nowego metalu. Matka skrzywiła wąskie usta w uśmiechku, ale milczała.

- Szansę? Na co? Nie ma kwalifikacji.

- Na pewno możesz mu dać jakąś pracę w tak wielkiej firmie jak twoja.

Stukał palcem w trzonek łyżki i przyglądał się zdecydowanej minie córki. Odchrząknął.

- Cóż, może mógłbym go wykorzystać do ładowania wozów.

- Nie może ładować wozów. Ma chore plecy. Całe lata nie mógł pracować, tak go bolały.

Ojciec zachmurzył się.

- Ale to mu nie przeszkodziło w spółdzeniu dziesięciorga dzieci.

Nicci bardzo chciała spełnić dobry uczynek, więc twardo spojrzała ojcu w oczy.

- Czy musisz być taki nietolerancyjny, ojcze? Masz tyle posad, a on potrzebuje pracy. Ma głodne dzieci, które trzeba wyżywić i odziać. Odmówisz mu zarobku, bo życie nie dało mu żadnych możliwości? Jesteś tak bogaty, że to całe złoto cię zaślepiło i nie dostrzegasz potrzeb skromnych ludzi?

- Ale mi trzeba...

- Czy zawsze musisz wszystko ujmować pod kątem swoich potrzeb, a nie potrzeb innych? Czy wszystko musi być dla ciebie?

- To interesy...

- A po cóż prowadzi się interesy? Czy nie po to, żeby zatrudniać tych, co potrzebują pracy? Czy nie byłoby lepiej, gdyby ten człowiek miał pracę, zamiast się upokarzać, żebrząc? Czy tego właśnie chcesz? Żeby żebrał, a nie pracował? Czyż to nie ty zawsze wychwalasz ciężką pracę?

Nicci słała pytania jak strzały, tak szybko, że ojciec nie mógł wtrącić ni słowa. Matka uśmiechała się, a ona wypowiadała to, czego się nauczyła na pamięć.

- Dlaczego jesteś najbardziej okrutny dla najmniej szczęśliwych spośród nas? Dlaczego zawsze myślisz tylko o pieniądzach, pieniądzach i pieniądzach, zamiast choć raz pomyśleć o tym, jak mógłbyś pomóc? Czy zaszkodzi ci zatrudnienie kogoś, kto potrzebuje pracy? Zaszkodzi, ojcze? Czy stracisz przez to firmę? Czy to cię zrujnuje?

Jej szlachetne pytania odbijały się echem od ścian pokoju. Ojciec wpatrywał się w nią, jakby ją pierwszy raz zobaczył. Wyglądał, jakby go zraniły prawdziwe strzały. Poruszał ustami, ale nie wyrzekł ni słowa. Nie mógł się poruszyć, mógł tylko wpatrywać się w Nicci. Matka promieniała.

- Cóż... - powiedział na koniec. - Chyba... - Wziął łyżkę i wpatrywał się w zupę. - Przyślij go, dam mu robotę.

Nicci aż urosła z poczucia dumy i władzy. Nie przypuszczała, że tak łatwo osaczy ojca. Dobrocią pokonała jego egoizm.

Ojciec wstał od stołu.

- Ja... muszę wracać do roboty. - Przesuwał wzrokiem po stole, nie patrząc ani na żonę, ani na córkę. - Właśnie sobie przypomniałem... że powinienem czegoś dojrzeć.

Kiedy wyszedł, matka oznajmiła:

- Rada jestem, Nicci, że wybrałaś słuszną drogę, a nie jego nikczemne metody. Nigdy nie pożałujesz, że pozwoliłaś, by powodowała tobą miłość do ludzi. Stwórca się do ciebie uśmiechnie.

Nicci wiedziała, że spełniła dobry uczynek, moralny uczynek, lecz to zwycięstwo mąciło wspomnienie o wieczorze, kiedy ojciec przyszedł do jej pokoju i w milczeniu gładził jej główkę, a ona tuliła do policzka dwa ojcowskie palce.

Tamten człowiek zaczął pracować dla ojca. A ojciec nigdy nic na ten temat nie mówił. Praca trzymała go z dala od domu. Również Nicci praca zabierała coraz więcej czasu. Nie widywała już tego wyrazu w ojcowskich oczach. Uznała, że dorasta.

Następnej wiosny Nicci miała trzynaście lat. Pewnego dnia wróciła do domu po pracy w bractwie i zastała w salonie matkę z jakąś kobietą. Coś w zachowaniu gościa sprawiło, że Nicci włosy zjeżyły się na karku. Odłożyła swoją listę potrzebujących, a matka i tamta kobieta wstały.

- Nicci, kochanie, to Siostra Alessandra. Przybyła tu z Pałacu Proroków w Tanimurze.

Alessandra była starsza od matki. Długi warkocz delikatnych kasztanowych włosów zwinęła w krążek i przyszpiliła na tyle głowy jak bochenek plecionego chleba. Nos miała odrobinę za długi i była nieładna, ale nie szpetna. Jej oczy wpatrywały się w Nicci z niepokojącą intensywnością i wcale nie łapały to tu, to tam jak oczy matki.

- To ci była podróż, Siostrze Alessandro, prawda? - spytała Nicci, gdy już dygnęła. - Ta droga z Tanimury.

- Tylko trzy dni - odparła zapytana. Przyjrzała się chudej dziewczynce i uśmiechnęła. - No, no. Taka mała, a pracuje jak dorośli. - Wskazała krzesło. - Usiądziesz z nami, kochanie?

- Jesteś siostrą w bractwie? - zapytała Nicci, nie bardzo rozumiejąc, kim jest ta kobieta.

- Słucham?

- Nicci - odezwała się matka - Siostra Alessandra jest Siostrą Światła.

Zdumiona Nicci opadła na krzesło. Siostry Światła miały dar, tak jak ona i matka. Niewiele wiedziała o Siostrach, właściwie tylko tyle, że służyły Stwórcy. Ale to jej nie uspokoiło. Obecność takiej kobiety w domu



rodzinnym onieśmiałą - jak stawienie się przed Bratem Narevem. Nicci czuła się wtedy skazana. Trochę się niecierpliwiła, bo czekały na nią obowiązki. Trzeba było odebrać darowizny. Miała starszych opiekunów, którzy towarzyszyli jej w pewne miejsce. Gdzie indziej szła sama, bo twierdzili, że młoda dziewczyna w pojedynkę osiągnie więcej, zawstydzając ludzi mających więcej, niż na to zasługiwali. Wszyscy ci ludzie, właściciele przedsiębiorstw, dobrze wiedzieli, kim była. Zawsze się zająkivali i pytali o ojca. Nicci, jak ją pouczono, mówiła im, jaki ojciec byłby zadowolony, gdyby wiedział, że tak się zatroszczyli o potrzebujących. W końcu większość z nich postępowała, jak przystało na porządnych obywateli.

Miała też zanieść leki kobietom, których dzieci chorowały. Brakowało ubrań dla dzieci. Nicci starała się skłonić jednych, by dali płótno, a drugich - żeby uszyli odzież. Niektórzy ludzie nie mieli gdzie mieszkać, inni tłoczyli się w małych izdebkach. Próbowwała namówić bogaczy, żeby ofiarowali jakiś budynek. Obarczono ją też sprawą dzbanów, żeby kobiety miały w czym nosić wodę ze studni. Musiała odwiedzić garncarza. Niektóre starsze dzieci przyłapano na kradzieży, inne się biły, a kilkoro pobiło młodszych do krwi. Nicci wstawiała się za nimi, próbując tłumaczyć, że tylko odreagowywali swój okrutny los, bo życie nie dało im żadnych możliwości. Miała nadzieję, że zdoła namówić ojca, by zatrudnił choć kilkoro z nich.

Problemy stale narastały i zdawały się nie mieć końca. Wydawało się, że im bardziej ludzie z bractwa starali się pomagać, tym więcej osób potrzebowało pomocy. Nicci myślała, że rozwiąże problemy świata; zaczynała mieć poczucie, że to beznadziejna sprawa. Wiedziała, że to jej wina. Musi ciężiej pracować.

- Umiesz czytać i pisać, kochanie? - spytała Siostra.

- Nie za bardzo. Przede wszystkim imiona. Dużo pracuję dla tych, którzy mają mniej ode mnie. Ich potrzeby muszą przeważać nad moimi samolubnymi zachciankami.

Matka uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Wcielenie dobrego ducha. - Oczy Siostry wypełniły się łzami. - Słyszałam o twoich uczynkach.

- Naprawdę? - Nicci poczuła przyływ dumy, potem jednak pomyślała, że mimo jej wysiłków wcale nie było lepiej, i wróciło poczucie klęski. Poza tym matka mówiła, że duma to grzech. - Nie robię nic niezwykłego. To ludzie z

ulic są niezwykli, bo cierpią w okropnych warunkach. Są prawdziwym natchnieniem.

Matka uśmiechnęła się, zadowolona. Siostra Alessandra nachyliła się i spytała poważnym tonem:

- Uczyłaś się posługiwania darem, dziecko?

- Matka uczy mnie trochę, na przykład, jak leczyć niewielkie dolegliwości. Ale staram się nie korzystać z daru, bo wiem, że nieuczciwie byłoby pysznić się nim przed tymi, którzy go nie mają.

Siostra splotła dłonie na podolku.

- Kiedy czekałyśmy na ciebie, rozmawiałam z twoją matką. Wspaniale się spisała, kierując cię na słuszną drogę. Uważamy jednak, że o wiele więcej mogłabyś dokonać, służąc wyższemu powołaniu.

Nicci westchnęła.

- Cóż, dobrze. Może zacznę wstawać trochę wcześniej. Ale mam już obowiązki wobec potrzebujących i musiałabym znaleźć wśród nich miejsce na ten nowy. Mam nadzieję, że rozumiesz, Sostro. Nie próbuję wzbudzić niezasłużonej litości, naprawdę nie, ale mam nadzieję, że nie oczekujesz, że szybko zrealizuję to powołanie, bo jestem bardzo zajęta.

Siostra Alessandra uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Nie zrozumiałaś, Nicci. Chciałybyśmy, żebyś kontynuowała swoją pracę wraz z nami, w Pałacu Proroków. Najpierw będziesz, rzecz jasna, nowicjuską, ale pewnego dnia zostaniesz Siostrą Światła i wówczas podejmiesz to, co teraz zaczęłaś.

Nicci ogarnęło przerażenie. Tylu ludzi trzymało się życia tylko dzięki niteczce, którą ona chroniła. Miała w bractwie przyjaciół, których pokochała. I tyle obowiązków. Nie chciała opuszczać matki, a nawet i ojca. Wiedziała, że jest zły, ale nie był zły dla niej. Wiedziała, że jest samolubny i zachłanny, ale wciąż czasem opatulał ją na noc i klepał po ramieniu. Była przekonana, że znów zobaczy to coś w jego błękitnych oczach, jeśli tylko na to zaczeka. Nie chciała go opuszczać. Z jakiegoś powodu desperacko pragnęła znów dojrzeć w jego oczach tę iskrę. Wiedziała, że jest samolubna.

- Mam tu biedaków, Sostro Alessandro. - Nicci mrugała, powstrzymując łzy. - Mam wobec nich zobowiązania. Przykro mi, ale nie mogę ich opuścić.

Akurat w tej chwili w drzwiach stanął ojciec. Znieruchomiał w dziwacznej pozie, z ręką na kłamce, wpatrzony w Siostrę.

- Co się tu dzieje?

Matka wstała.

- To Alessandra, Howardzie. Jest Siostrą Światła. Przyszła...

- Nie! Nie pozwolę na to, słyszysz?! Jest naszą córką i Siostry jej nie dostaną!

Siostra Alessandra podniosła się, spojrzała z ukosa na matkę.

- Poproś męża, żeby wyszedł. To nie jego sprawa.

- Nie moja sprawa?! Jest moją córką! Nie zabierzesz jej!

Rzucił się do przodu, żeby złapać wyciągniętą ku niemu rękę Nicci. Siostra uniosła palec i - ku zdumieniu dziewczynki - ojca odrzuciło do tyłu w błysku światła. Uderzył plecami o ścianę. Ześliznął się na podłogę, trzymając się przy tym za serce i z trudem łapiąc oddech. Nicci z płaczem pobiegła ku niemu, ale Siostra Alessandra chwyciła ją za ramię i przytrzymała.

- Howardzie - wycedziła matka przez zaciśnięte zęby - wychowanie dziecka to moja sprawa. Mam dar od Stwórcy. Kiedy układano nasz związek, dałeś słowo, że jeżeli będziemy mieć córkę i ona odziedziczy po mnie dar, to wychowam ją, jak uznam za stosowne. Uważam, że tak powinno być, że tego chce Stwórca. U Sióstr będzie miała czas nauczyć się czytać. Nauczy się też wykorzystywać dar do wspomagania ludzi tak, jak to tylko Siostry potrafią. Dotrzymasz słowa. Już ja się o to postaram. Jestem przekonana, że czeka cię praca, do której musisz natychmiast wrócić.

Ojciec masował pierś otwartą dłonią. W końcu opuścił rękę. Ze spuszczoną głową powlókł się ku drzwiom. Zanim je za sobą zamknął, spojrzał córce w oczy. Dostrzegła przez łzy błysk w jego oczach, jakby tyle miał jej do powiedzenia, ale ów błysk zniknął i ojciec wyszedł.

Siostra Alessandra oznajmiła, że najlepiej będzie, jeśli od razu odejdą i Nicci już go nie zobaczy. Obiecała, że jeżeli dziewczynka będzie się stosować do zaleceń, zadomowi w Pałacu Proroków, nauczy się czytać i posługiwać darem, to znów zobaczy ojca.

Nicci nauczyła się czytać, posługiwać darem i opanowała wszystkie umiejętności, które powinna opanować. Spełniła wszelkie wymagania. Uczyniła wszystko, czego od niej oczekiwano. Jako nowicjuszka, mająca zostać Siostrą Światła, wiodła życie całkiem wyzbyte egoizmu. Siostra Alessandra zapomniała o swojej obietnicy. Nie była zadowolona, kiedy Nicci jej o niej przypomniała, i wynalazła dziewczynie nowe zajęcie.

Po kilku latach pobytu w pałacu Nicci znów zobaczyła Brata Nareva. Spotkała go przypadkiem; pracował w Pałacu Proroków jako stajenny. Wbił wzrok w Nicci i obdarzył ją tym swoim skromnym uśmiechem. Powiedział, że postanowił pójść do pałacu za jej przykładem. Że chce żyć tak długo, by zobaczyć, jak świat opanowuje ład. Pomyślała, że stajenny to dlań dziwaczne zajęcie. Wytłumaczył, że uznał, iż praca dla Sióstr to zajęcie moralnie przewyższające wspieranie swoją robotą grzesznego zysku. Mówił, że nie ma znaczenia, czy Nicci powie komuś w pałacu o nim lub o jego pracy w bractwie, ale prosił, żeby nie zdradziła Siostram, że on ma dar. Gdyby się o tym dowiedziały, nie pozwoliłyby mu zostać i pracować w stajniach, on zaś odmówiłby służenia im, gdyby odkryły jego dar, bo chce służyć Stwórcy na swój sposób.

Nicci uszanowała jego sekret nie tyle z lojalności, ile przede wszystkim dlatego, że była zbyt zaabsorbowana nauką i obowiązkami, żeby zawracać sobie głowę Bratem Narevem i bractwem. Rzadko miała okazję widzieć, jak czyści boksy, a ważna rola, jaką odgrywał w jej dzieciństwie, stała się przeszłością. Prawdę mówiąc, w ogóle teraz o nim nie myślała. Pałac miał dla niej pracę - taką, którą pochwaliby i Brat Narev. Dopiero wiele lat później poznała prawdziwe powody jego pobytu w pałacu.

Siostra Alessandra dbała, żeby Nicci była stale zajęta. Nie zostawiano jej czasu na folgowanie takim egoistycznym zachciankom jak odwiedziny w domu. Ojca zobaczyła dwadzieścia siedem lat po tym, jak ją zabrano, żeby została Siostrą Światła. Na jego pogrzebie.

Matka przysłała wiadomość dla Nicci, żeby wracała zobaczyć się z ojcem, bo ten upada na zdrowiu. Dziewczyna natychmiast - w towarzystwie Siostry Alessandry - wyruszyła do domu, ale kiedy tam dotarła, ojciec już nie żył.

Matka powiedziała, że od kilku tygodni błagał, by posłała po córkę. Westchnęła i wyjaśniła, że zaniechała tego, sądząc, iż wydobrzeje. Poza tym, dodała, nie chciała przeszkadzać Nicci w ważnym dziele - nie takimi błahymi sprawami. Mówiła, że prosił tylko o jedno: żeby mógł zobaczyć Nicci. Uważała, że to głupie, przecież był człowiekiem, którego inni nie obchodzili. Dlaczegoż chciałby kogoś zobaczyć? Zmarł w samotności, kiedy matka wspomagała ofiary okrutnego świata.

W owym czasie Nicci miała czterdzieści lat. Ale matka dalej uważała ją za dziewczynę, bo dzięki czarowi rzuconemu na pałac postarzała się tylko tyle,

by wyglądać na piętnaście, szesnaście. Poradziła jej, żeby włożyła jasną, barwną sukienkę, bo to w końcu żadna smutna okazja.

Nicci długo stała wpatrzona w ciało ojca. Już nigdy nie zobaczy jego błękitnych oczu. Ból sprawił, że po raz pierwszy od lat poczuła coś głęboko w swoim wnętrzu. Dobrze było znów coś odczuwać, choć był to tylko ból. Kiedy tak patrzyła na zapadniętą twarz ojca, Siostra Alessandra powiedziała, że jej przykro, że musiała zabrać stąd Nicci. Mówiła, że nigdy nie spotkała kobiety, która miałaby tak potężny dar jak ona, i że nie można dopuścić, by zmarnował się taki dar od Stwórcy. Nicci odparła, że rozumie. Że skoro ma takie zdolności, to powinna wykorzystywać je do wspomagania potrzebujących.

W Pałacu Proroków mówiono, że Nicci to najbardziej bezinteresowna i uważna nowicjuszka ze wszystkich, jakie mieli. Każdy stawiał ją za wzór młodszym nowicjuszkom. Nawet Ksieni ją chwaliła.

Pochwały były w jej uszach tylko czczym brzęczeniem. Bycie lepszym od innych to niesprawiedliwość. Ale choć się starała, nie mogła się pozbyć odziedziczonego po ojcu dążenia do doskonałości. Owo skażenie krążyło w jej żyłach, sączyło się z każdego poru i zatruwało wszystko, co robiła. Im bardziej była bezinteresowna, tym bardziej podkreślała w ten sposób swoją wyższość, a tym samym i niegodziwość.

Wiedziała, że to mogło oznaczać tylko jedno: była zła.

- Postaraj się go takim nie zapamiętać - rzekła po długim milczeniu Siostra Alessandra, kiedy stały przy ciele ojca Nicci. - Zapamiętaj go takim, jaki był za życia.

- Nie mogę - odparła Nicci. - Nie znałam go, kiedy żył.

Matka i jej przyjaciele z bractwa poprowadzili manufakturę. Matka pisywała do Nicci radosne listy, donosząc, ilu potrzebującym dała pracę przy zbrojmistrzach. Twierdziła, że firma to wytrzyma, przecież nagromadzono tyle bogactw. Była dumna, że teraz może z nich korzystać w moralnych celach. Pisała, że zgon ojca to zamaskowane błogosławieństwo, bo w rezultacie oznaczało pomoc dla tych, którzy jej zawsze najbardziej potrzebowali. To wszystko była jej zdaniem część planu Stwórcy.

Matka musiała podnieść ceny, żeby wypłacać pensje tym wszystkim, którym dała pracę. Wielu dawniejszych robotników odeszło. Twierdziła, że jest z tego zadowolona, bo nie mieli ducha współdziałania.

Opóźniała się realizacja zamówień. Dostawcy zaczęli się domagać zapłaty, nim dowiozą towary. Matka zrezygnowała z próby jakości swoich wyrobów, bo nowi pracownicy uskarżali się, że to nieuczciwe wobec nich. Mówili, że robią, co mogą, i że to właśnie się liczy. Matka podzieliła ich zdanie.

Trzeba było sprzedać kowarkę. Niektórzy ze stałych klientów przestali zamawiać zbroje i oręż. Matka orzekła, że lepiej sobie poradzą bez takich nietolerancyjnych ludzi. Starła się wymóc na diuku nowe prawa, wymagające równomiernego zatrudniania, ale jakoś ich nie uchwalono. Nieliczni klienci, którzy jej zostali, nie płacili od jakiegoś czasu, ale obiecywali, że uregulują długi. Tymczasem wysłano im zrealizowane zamówienia, choć z opóźnieniem.

Wystarczyło sześć miesięcy od śmierci ojca, by manufaktura upadła. Przepadł majątek, który gromadził przez całe życie.

Niektórzy z zatrudnionych jeszcze przez ojca wykwalifikowanych robotników wyjechali z nadzieją, że znajdą pracę u płatnerzy w dalszych okolicach. Większość z tych, którzy pozostali, musiała się zadowolić pracą na czarno; cieszyli się, że choć taką znaleźli. Wielu nowych rzemieślników prosiło matkę, by coś zaradziła; ona i bractwo prosili inne przedsiębiorstwa, żeby ich zatrudniły. Niektórzy właściciele starali się pomóc, ale większość nie mogła zatrudnić żadnych nowych pracowników.

Zbrojownia była największym pracodawcą w tej okolicy i korzystała z mnóstwa usług. Teraz, z braku pracy, upadły i inne firmy: kupcy, mniejsi dostawcy, przewoźnicy. Zakłady w mieście - od piekarzy po rzeźników - straciły klientów i były zmuszone zwalniać ludzi.

Matka poprosiła diuka, żeby porozmawiał z królem. Diuk odparł, że król rozważa ów problem.

Ludzie wyjeżdżali szukać pracy w dobrze prosperujących miastach i pustoszały budynki, podobnie jak zbrojownia ojca Nicci. Za namową bractwa wiele z opuszczonych budynków zajęli dzicy lokatorzy. Te puste stały się gniazdami rozboju, a nawet zbrodni. Wiele kobiet żałowało, że znalazło się w ich pobliżu. Matka nie mogła sprzedać oręża z zamkniętej zbrojowni, więc rozdała je biedakom, by się mogli bronić. Ale - pomimo jej wysiłków - liczba przestępstw tylko wzrosła.

Król - w uznaniu za dobre uczynki matki i usługi ojca dla rządu -

przyznał matce rentę, dzięki której mogła zachować dom, choć musiała zmniejszyć liczbę służących. Wciąż działała w bractwie, starając się naprawić niesprawiedliwość, przez którą, jak wierzyła, upadła jej firma. Łudziła się, że pewnego dnia otworzy zakład i zatrudni ludzi. Za słuszne dzieło król nagroził ją srebrnym medalem. Matka napisała Nicci, że król ogłosił, iż najbardziej ze wszystkich znanych mu ludzi przypomina wcielenie dobrego ducha. Nicci regularnie dostawała zawiadomienia o nagrodach przyznawanych matce za jej bezinteresowną pracę.

Kiedy matka zmarła osiemnaście lat później, Nicci ciągle wyglądała na siedemnaście lat. Na pogrzeb matki chciała włożyć wspaniałą czarną suknię - najpiękniejszą ze wszystkich. Pałac oświadczył, że to niestosowna prośba ze strony nowicjuszek i że to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Że mogą dostarczyć wyłącznie proste, skromne stroje.

Gdy tylko Nicci zjawiała się w domu, poszła do królewskiego krawca i oznajmiła, że chce mieć na pogrzeb matki najpiękniejszą ze wszystkich czarnych sukni, jakie kiedykolwiek uszył. Poinformował ją, że nie ma pieniędzy, ale że tak czy owak chce mieć tę suknię. Krawiec - mężczyzna o trzech podbródkach, ze sterczącymi z uszu oblepionymi woskowiną włosami, przesadnie długimi żółtawymi paznokciami i stałe przyklejonym do warg lubieżnym uśmiechem - wyjaśnił jej, że i on czegoś potrzebuje. Nachylił się ku niej, delikatnie ujął guzowatymi paluchami jej gładkie ramię i dał do zrozumienia, że jeśli ona zatroszczy się o jego potrzeby, to on odwdzięczy się tym samym.

Na pogrzebie matki Nicci zjawiała się w najpiękniejszej ze wszystkich czarnych sukni.

Matka była kobietą, która całe swoje życie poświęciła potrzebom innych. Nicci już nigdy nie zobaczy jej brązowych jak karaluchy oczu. Lecz - w przeciwieństwie do pogrzebu ojca - tym razem żaden ból nie wypełnił przeraźliwej pustki w jej wnętrzu. Nicci wiedziała, że jest okropna.

I po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że z jakiegoś powodu już jej to nic a nic nie obchodzi.

Od tego dnia Nicci zawsze wkładała wyłącznie czarne suknie.

Sto dwadzieścia trzy lata później, stojąc przy balustradzie i patrząc na rozległą salę, ujrzała oczy, które oszołomiły ją poczuciem drogiej ponad wszystko duchowej wartości. Ale to, co w oczach ojca tylko się żarzyło, w

oczach Richarda płonęło jasnym ogniem. Dalej jednak nie miała pojęcia, co to takiego.

Zdawała sobie tylko sprawę, że to różnica pomiędzy życiem a śmiercią oraz że musi go zniszczyć.

Teraz nareszcie wiedziała jak.

Gdybyż tak, kiedy była mała, ktoś okazał jej ojcu takie miłosierdzie.



## ROZDZIAŁ 12

Nicci szła drogą łączącą obrzeża Fairfield z posiadłością, w której, według trzech Sióstr, rezydował imperator Jagang, i przepatrywała kłębówisko obozu Imperialnego Ładu, szukając charakterystycznej grupy namiotów. Wiedziała, że powinny być gdzieś tutaj; Jagang lubił je mieć tuż pod ręką. Jak daleko sięgała wzrokiem, widziała pola i wzgórze pokryte - niczym czarną sadzą - namiotami sypialnymi, wozami i żołnierzami. Niebo i ziemia jakby poszarzały. Ogniska, rozrzucone na omroczeniałych polach, migotały jak gwiazdy na niebie.

Było coraz ciemniej - nie tylko dlatego, że zbliżał się wieczór, ale i z powodu zwartej powłoki burych chmur. Porywy wiatru łopotały namiotami i mundurami, rozwiewały płomienie ognisk, niosły tu i ówdzie kłęby dymu. Roznosiły również fetor ludzkich i zwierzęcych odchodów tłumiący słabsze od niego, a przyjemniejsze kuchenne wonie. Im dłużej armia tkwiła w jednym miejscu, tym nieznośniejszy stawał się ów odór.

Przed Nicci wytworne budowle posiadłości wznosiły się ponad otaczające je plugastwo. Jagang tam był. Miał dostęp do umysłów Sióstr Georgii, Rochelle i Aubrey, więc pewnie wiedział, że wróciła. Bez wątpienia już na nią czekał.

I będzie musiał poczekać; miała najpierw coś do załatwienia. Mogła się tym spokojnie zająć, skoro Jagang nie miał teraz dostępu do jej umysłu.

Dostrzegła w oddali to, czego szukała. Górowały ponad mniejszymi namiotami, były dobrze widoczne. Zeszła z drogi i ruszyła poprzez ciżbę żołnierzy. Nawet z tej odległości słyszała charakterystyczne dźwięki dochodzące ze skupiska tych szczególnych namiotów - słyszała je ponad śmiechami i śpiewami, potrzaskiwaniem ognia, skwierczeniem mięsiwa w rondlach, skrzypieniem osełek o metal, szczękaniem młotów o stal, odgłosami pił.

Niesforni żołnierze chwyтали Nicci za ręce i nogi lub starali się złapać ją za suknię, kiedy tak szła pośród ogólnego rozgardiaszu. Tacy chuligani nie zasługiwali na większą uwagę, więc zwyczajnie odsuwała ich na bok, idąc przez tłum, i nie słuchała drwiących miłosnych propozycji. Kiedy krzepki żołnierz mocną łapą chwycił jej przegub i okręcił ku sobie, Nicci zatrzymała

się jedynie na chwilę niezbędną, by uwolnić moc i sprawić, że pękło mu serce. Mężczyzna runął na ziemię, a inni śmiali się, nie zdając sobie sprawy, że ich kompan nie żyje, ale nikt nie próbował sięgnąć po jego niedoszły łup. A Nicci usłyszała, jak szepczą „Pani Śmierci”.

Wreszcie doszła. Wokół namiotów, w których brańcy krzyczeli z przeraźliwego bólu, żołnierze grali w kości, pałaszowali fasolę lub chrapali w śpiworach. Dwaj z nich wywlekli z dużego namiotu ciało, za którym ciągnęły się wnętrzności. Wrzucili zwłoki na wóz, na stos innych.

Nicci dała znak nie ogolonemu żołnierzowi nadchodzącemu od innego namiotu.

- Pokaż mi spis, kapitanie - nakazała. Po błękitnej płóciennej okładce rejestru, który niósł, poznała, że to oficer dyżurny.

Przez chwilę patrzył na nią gniewnie, ale rozpoznał ją po czarnej sukni. Podał Nicci zabrudzoną i pomiętą księgę. Środek okładki przecinała głęboka rysa, pewnie ktoś niechcący na niej usiadł. Kartki, które wypadły, wepchnięto z powrotem, ale nigdy dobrze nie pasowały i ich wystające tu i ówdzie brzegi postrzępiły się i zabrudziły.

- Nie ma za wiele do raportowania, pani, ale racz powiedzieć Jego Ekscelencji, że wypróbowaliśmy niemal wszystkie znane nam sposoby, a ona wciąż nie chce mówić.

Nicci otworzyła księgę i przeglądała spis nowych jeńców oraz tego, co było o nich wiadomo.

- Ona? O kim mówisz, kapitanie? - mruknęła, czytając.

- No, Mord-Sith, rzecz jasna.

Nicci spojrzała na niego.

- Mord-Sith. Oczywiście. Gdzie jest?

Wskazał na stojący dalej namiot.

- Wiem, że Jego Ekscelencja powiedział, że nie spodziewa się, by wiedźma z jej mrocznymi talentami udzieliła nam jakichkolwiek informacji o lordzie Rahlu, ale miałem nadzieję, że sprawię mu miłą niespodziankę. - Kapitan wsunął kciuki za pas i westchnął z irytacją: - Nic z tego.

Nicci przez chwilę patrzyła na ów namiot. Nie słyszała żadnych wrzasków. Nigdy przedtem nie widziała żadnej z tych kobiet, Mord-Sith, wiedziała jednak, że śmiertelnym błędem byłoby posłużyć się wobec którejś z nich magią. Wróciła do przeglądania wpisów w rejestrze. Nic jej szczególnie

nie zainteresowało. Większość jeńców stanowili miejscowi. Wzięto ich, żeby sprawdzić, co mogą wiedzieć. Na pewno nie znają potrzebnych jej informacji. Postukała palcem w linijkę blisko końca listy. Napisano tam: „Posłaniec”.

- Gdzie on jest?

Kapitan skinął głową, wskazując namiot za sobą.

- Dałem go jednemu z moich najlepszych śledczych. Kiedy ostatni raz sprawdzałem, jeszcze nic z niego nie wyciągnął. Ale to było wczesnym rankiem.

Czyli od tamtej pory upłynął cały dzień. Dzień, który mógł być wiecznością dla katowanego. Namiot z posłańcem, podobnie jak inne wykorzystywane do wypytywania jeńców, górował nad namiotami żołnierzy; te ostatnie były tylko na tyle obszerne, żeby można się w nich ułożyć do snu. Nicci szturchnęła księgą tłusty brzuch kapitana.

- Dziękuję. To wszystko.

- To złożysz raport Jego Ekscelencji?

Nicci potwierdziła skinieniem głowy; myślała już o czymś innym.

- Powiesz mu, że od tych tu niewiele się dowiemy?

Nikt się nie palił, by stanąć przed Jagangiem i przyznać, że nie mogli wykonać zadania, nawet jeśli nie było czego wykonywać. Jagang nie uznawał wymówek. Nicci skinęła głową i odeszła, kierując się ku namiotowi z posłańcem.

- Wkrótce się z nim zobaczę. Przekażę mu twój raport, kapitanie.

Odrzuciła zasłonę w wejściu i znalazła się w środku; od razu spostrzegła, że się spóźniła. Szczątki posłańca leżały na wąskim drewnianym stole, przyszpilone narzędziami tortur. Ramiona biedaka zwisały ku ziemi, ściekała po nich krew.

Nicci spostrzegła, że śledczy trzyma złożony arkusz papieru.

- Co tam masz?

Uniósł arkusz i uśmiechnął się.

- Coś, o czym Jego Ekscelencja rad usłyszy. Mapę.

- Mapę czego?

- Okolic, w których był ten typ. Narysowałem na podstawie tego, co dobrowolnie podał. - Roześmiał się z własnego dowcipu.

Nicci nie zawtórowała mu.

- Ach tak. - Zaintrygował ją jego uśmiezek; tacy uśmiechali się tylko wtedy, kiedy uzyskali to, czego chcieli, to, co mogło im przynieść aprobatę starszych rangą. - A gdzie ten człowiek był?

- U swojego wodza.

Powiewał arkuszem jak mapą skarbu. Nicci, znudzona tym, wyrwała mu ją. Rozłożyła pomięty żółty papier i stwierdziła, że to naprawdę mapa: rzeki, linia brzegowa, góry - wszystko było skrupulatnie wyrysowane. Zaznaczono nawet przełęcze. Wiedziała, że to autentyczna mapa. W czasach, kiedy mieszkała w Pałacu Proroków, Nowy Świat był miejscem odległym i tajemniczym, z rzadka odwiedzanym przez nieliczne Siostry. Każda z Sióstr, które się tam udawały, prowadziła staranne notatki nanoszone później na mapy znajdujące się w pałacu. Wszystkie nowicjuszki musiały zapamiętać te mapy wraz z wieloma innymi ezoterycznymi wiadomościami. Choć wtedy Nicci nigdy nie przyszło na myśl, że uda się do Nowego Świata, doskonale знаła jego topografię. Uważnie przyglądała się owej mapie i nanosiła nowe szczegóły na tę, którą wyryła sobie w pamięci.

- O, tu się chowa ten ich lord Rahl. - Żołnierz wskazał grubym paluchem na krwawy odcisk palca na mapie. - W tym miejscu, w tych górach.

Nicci aż wstrzymała oddech. Wpatrywała się w arkusz, usiłując zapamiętać każdy strumień i rzekę, każdą górę, każdą drogę, szlak i górską przełęcz, każdą wioskę, miasteczko i miasto.

- Co wyznał ten człowiek, zanim umarł? - Spojrzała na żołnierza. - Jego Ekscelencja czeka na mój raport. Właśnie idę do imperatora. - Pstryknęła palcami ze zniecierpliwieniem. - Chcę wszystko usłyszeć.

Żołnierz podrapał się w brodę. Paznokcie miał pokryte zakrzepłą krwią.

- Powiesz mu, no nie? Powiesz Jego Ekscelencji, że to sierżant Wetzel wydusił z posłańca tę wiadomość?

- Oczywiście - zapewniła go Nicci. - Tobie przypadnie cała zasługa. Mnie to niepotrzebne. - Postukała w złoty pierścień w dolnej wardze. - Imperator zawsze jest w moim umyśle, w każdej chwili, każdego dnia. Bez wątpienia właśnie teraz widzi poprzez moje oczy, że to ty udatnie zdobyłeś tę wiadomość. I cóż wyznał ten człowiek?

Sierżant Wetzel znów podrapał się po brodzie; najwyraźniej próbował zdecydować, czy może jej zaufać, że nie przypisze sobie jego zasług, czy lepiej dla pewności samemu zanieść wieści Jagangowi. Ci z Imperialnego

Ładu mało sobie ufali, za to mieli dobre powody, żeby nikogo nie darzyć zaufaniem. Sierżant drapał się po brodzie, a kawałki zakrzepłej krwi przyklejały się do kędzierzawych włosów. Nicci patrzyła w jego otoczone czerwonymi obwódkami oczy. Cuchnął alkoholem.

- Jeżeli mi wszystkiego nie powiesz, i to natychmiast, sierżancie Wetzel, to legniesz na tym tu stole i wyznasz mi wszystko w przerwach pomiędzy wrzaskami. A jak już z tobą skończę, to wrzucą cię na wóz ze zwłokami.

Dwukrotnie pochylił głowę na znak podporządkowania się Nicci.

- Ja się tylko chciałem upewnić, że Jego Ekscelencja dowie się o mojej dobrej robocie. - Nicci potwierdziła skinieniem głowy, więc podjął: - Był tylko posłańcem. Mamy oddziałek sześciu żołnierzy do dalekiego zwiadu. Dotarli daleko na północ, okrążając siły wroga. Mieli z sobą jedną z kobiet z darem, żeby trzymać się we właściwej odległości i żeby ich nie wykryto. Byli na północny zachód od nieprzyjaciela, kiedy przypadkiem na niego natrafili. Przywiedli go do mnie na przepytanie. Wykryłem, że to jeden z posłańców regularnie wysyłanych z raportami do lorda Rahla.

- Ale to, o tutaj - Nicci wskazała palcem miejsce na mapie - wygląda na wojska wroga. Twierdzisz, że Ri... lord Rahl nie jest przy swoich żołnierzach? Nie jest ze swoim wojskiem?

- Właśnie. Posłaniec nie wiedział dlaczego. Jego obowiązkiem było dostarczanie wodzowi wieści o pozycjach oddziałów i o ich stanie. - Wetzel postukał w mapę trzymaną przez Nicci. - I lord Rahl ukrywa się właśnie tutaj, razem ze swoją żoną.

Nicci podniosła wzrok, otworzyła usta.

- Żona.

Sierżant Wetzel przytaknął.

- Powiedział, że lord Rahl ożenił się z kobietą znaną jako Matka Spowiedniczka. Jest ranna i tam się ukrywają, w tych górach.

Nicci przypomniała sobie uczucia, jakimi Richard darzył tamtą, oraz jej imię: Kahlan. Ożenek Richarda rzucał na wszystko nowe światło. Mógł zniweczyć zamiary Nicci. Lub...

- Coś jeszcze, sierżancie?

- Mówił też, że lord Rahl i jego żona mają przy sobie jedną z tych kobiet, tych Mord-Sith. Strzeże ich.

- Dlaczego są tam? Dlaczego lord Rahl i Matka Spowiedniczka nie są

wśród swoich wojsk? Albo w Aydindril? Lub w D'Harze?

Wetzel potrząsnął głową.

- Ten posłaniec był tylko niskim rangą wojakiem, który umiał szybko galopować i orientować się w terenie. Wiedział tylko tyle, że są tam i że są sami.

Nicci była tym ogromnie zaskoczona.

- Nic więcej? Zupełnie nic?

Sierżant potrząsnął głową.

Nicci położyła mu dłoń na plecach, pomiędzy łopatkami.

- Dziękuję, sierżancie Wetzel. Bardziej mi pomogłeś, niż sądzisz.

Uśmiechnął się, a ona uwolniła moc, która popłynęła wzdłuż jego kręgosłupa i wypaliła mu mózg. Powietrze gwałtownie uszło sierżantowi z płuc i z łomotem upadł na ubitą ziemię.

Nicci podniosła mapę, którą wryła sobie w pamięci, i użyła mocy, żeby ją podpalić. Papier skwierczał i czerniał, w miarę jak płomień szedł poprzez starannie wyrysowane rzeki, miasta i góry. Na koniec żar otoczył krwawy odcisk palca odbity na górach. Pozwoliła, żeby mapa wysunęła się jej z ręki i spłonęła w ostatniej smudze dymu. Popiół, jak czarny śnieg, opadł na ciało leżące u stóp Nicci.

Stała przed namiotem, w którym trzymano Mord-Sith, i ostrożnie się rozejrzała, czy nikt nie patrzy. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na namioty tortur. Wśliznęła się do środka. Wzdrygnęła się na widok kobiety leżącej na drewnianym stole. W końcu zmusiła się do zaczerpnięcia oddechu. Spojrzał na nią gniewnie żołnierz z rękami czerwonymi od roboty, którą tu wykonywał. Nie czekała, aż zaprotestuje, tylko nakazała:

- Melduj.

- Nic nie powiedziała - warknął.

Nicci skinęła głową i położyła dłoń na szerokich plecach żołdaka. Chciał się odsunąć, ale nie zdążył. Padł martwy, zanim się zorientował, co mu grozi. Gdyby miała więcej czasu, postarałaby się, żeby najpierw porządnie się nacierpiał. Zmusiła się, żeby podejść do stołu i spojrzeć w błękitne oczy. Głowa kobiety lekko dygotała.

- Zrań mnie... swoją mocą, więdźmo.

Nicci uśmiechnęła się przelotnie.

- Będiesz walczyć do końca, prawda?

- Użyj swojej magii, wiédźmo.
- O nie. Trochę o was wiem.
- Nic nie wiesz. - Błękitne oczy zapłonęły wyzywająco.

- Ależ wiem. Richard mi powiedział. Ty go znasz jako waszego lorda Rahla, ale kiedyś był przez pewien czas moim uczniem. Wiem, że kobiety takie jak ty potrafią przechwytywać magiczną moc, jeżeli jest skierowana przeciwko nim. I że wtedy kierują ją przeciwko osobie z darem, która się nim posłużyła. Sama widzisz, że mam dość rozumu, by nie użyć przeciwko tobie mojej magicznej mocy.

Kobieta odwróciła wzrok.

- Więc katuj mnie, jeżeli po to tutaj przyszłaś. Niczego się nie dowiesz.
- Nie jestem tu po to, żeby cię torturować - zapewniła ją Nicci.
- To czego chcesz?
- Pozwól, że się przedstawię. Jestem Pani Śmierci.

Błękitne oczy znów spojrzały na nią; po raz pierwszy pojawiła się w nich iskierka nadziei.

- To dobrze. Zabij mnie.

- Chcę, żebyś mi coś powiedziała.

- Nic... ci... nie... powiem. - Mówiła z ogromnym trudem. - Nic a nic. Zabij mnie.

Nicci wzięła ze stołu okrwawiony nóż i podsunęła go przed błękitne oczy.

- Myślę, że powiesz.

Kobieta uśmiechnęła się.

- No dalej. To tylko przyspieszy moją śmierć. Wiem, ile można wytrzymać. Już mi blisko do świata duchów. Ale cokolwiek byś zrobiła, i tak nic przed śmiercią nie powiem.

- Nie rozumiesz. Nie chcę, żebyś zdradziła swojego lorda Rahla. Nie słyszałaś, jak twój oprawca padł na ziemię? Jeśli odrobinę obrócisz głowę, to może zdołasz zobaczyć, że ten, kto ci to zrobił, nie żyje. Nie chcę, żebyś mi zdradziła jakieś sekrety.

Kobieta zdołała spojrzeć ku leżącym na ziemi zwłokom, ściągnęła brwi.

- O co ci chodzi?

Nicci zauważyła, że nie poprosiła, by ją uwolnić. Wiedziała, że musi umrzeć. Mogła mieć jedynie nadzieję, że Nicci skróci jej męki.

- Richard był moim uczniem. Powiedział mi, że przez jakiś czas był

więźniem Mord-Sith. To żadna tajemnica, nieprawdaż?

- Tak.

- I właśnie o tym chciałabym usłyszeć. Jak masz na imię?

Kobieta odwróciła twarz.

Nicci dotknęła palcem jej podbródka i skierowała ku sobie jej głowę.

- Chcę ci coś zaproponować. Nie zapytam o nic, czego nie powinnaś mówić. Nie poproszę, żebyś zdradziła swojego lorda Rahla. Nie chcę, żebyś to zrobiła. To mnie nie interesuje. Jeżeli pójdziesz na współpracę - Nicci znów tak uniosła nóż, żeby tamta go zobaczyła - to raz-dwa zakończę twoją mękę. Przyszekam. Żadnych dalszych tortur. Żadnego bólu. Tylko ostatni uścisk śmierci.

Kobiecie zaczęły drżeć wargi.

- Błagam - wyszeptała, a w jej oczach znów była nadzieja. - Zabij mnie.

- Jak masz na imię? - spytała Nicci.

Siostra Mroku zwykle była nieczuła na oznaki męki, ale nie tym razem. Starła się nie odrywać wzroku od twarzy kobiety, nie patrzeć na jej nagie ciało, żeby nie widzieć tego, co jej uczyniono. Nie potrafiła pojąć, jak ta kobieta zdołała powstrzymać się od wrzasku ani jak mogła teraz mówić.

- Hania. - Dłonie i kostki Mord-Sith były przypięte do stołu, więc mogła jedynie poruszać głową; patrzyła wprost w oczy Nicci. - Zabij mnie... Dobrze?

- Zabiję, Haniu. Przyszekam. Szybko i skutecznie, jeżeli powiesz mi to, co chcę wiedzieć.

- Nic ci nie powiem. - Zrozpaczona Hania jakby zwiotczała; wiedziała, że jej męka znów się zacznie. - Nie powiem.

- Chcę usłyszeć tylko o tym, jak Richard był więźniem. Chyba wiesz, że był kiedyś więźniem Mord-Sith?

- Oczywiście.

- Chcę o tym usłyszeć.

- Dlaczego?

- Bo chcę go zrozumieć.

Mord-Sith przekręciła głowę z boku na bok. Nie do wiary, ale się uśmiechała.

- Żadna z nas nie rozumie lorda Rahla. Był dręczony, ale nigdy... się nie mścił. Nie rozumiemy go.

- I ja go nie rozumiem, ale mam nadzieję, że zrozumiem. Mam na imię



Nicci. Chcę usłyszeć tę historię. Jestem Nicci i uwolnię cię od tego. Opowiedz mi wszystko, dobrze? Muszę wiedzieć. Znasz kobietę, która go pojmała? Jej imię?

Kobieta zastanawiała się chwilę, zanim się odezwała, jakby ważyła, czy owa informacja jest tajna, czy mogłaby mu jakoś zaszkodzić.

- Denna - wyszeptała w końcu.

- Denna. Richard ją zabił, żeby uciec: tyle sam mi powiedział. Znałaś Denne, nim umarła?

- Tak.

- Nie pytam o żadną wojskową tajemnicę, prawda?

Hania się zawahała, ale w końcu potrząsnęła głową.

- Czyli znałaś Denne. A znałaś w owym czasie Richarda? Kiedy był jej więźniem? Wiedziałaś, że jest jej więźniem?

- Wszystkie wiedziałyśmy.

- Jak to?

- Lord Rahl... tamten lord Rahl...

- Ojciec Richarda.

- Tak. Chciał, żeby to Denna tresowała Richarda, żeby go tak przygotowała, by bez wahania odpowiedział na każde pytanie, jakie mu zada lord Rahl. Była najlepsza z nas wszystkich.

- Dobrze. A teraz mi o tym wszystko opowiedz. Wszystko, co wiesz.

Mord-Sith spazmatycznie wciągnęła powietrze. Chwilę potrwało, nim znów się odezwała.

- Nie zdradzę go. Znam się na tym, co mi zrobiono. Nie oszukasz mnie. Nie zdradzę lorda Rahla po to, żeby sobie tego oszczędzić. Nie po to tyle wycierpiałam, żeby go teraz zdradzić.

- Obiecuję, że nie zapytam o obecne czasy, o wojnę, o nic, co by go wydało Jagangowi.

- A czy dasz mi słowo, że mnie zabijesz, jeżeli opowiem ci o czasach, gdy był własnością Denny, ale nie pisnę słowa o wojnie ani o tym, gdzie teraz jest?

- Daję ci na to słowo, Haniu. Nie poproszę, żebyś zdradziła swojego lorda Rahla. Znam go i za bardzo szanuję, żeby tego od ciebie żądać. Chcę go tylko zrozumieć, z osobistych pobudek. Tej zimy byłam jego nauczycielką, uczyłam go posługiwania się darem. Chcę go lepiej zrozumieć, muszę go

zrozumieć. Wierzę, że wtedy mogłabym mu pomóc.

- A potem pomożesz mi? - Łzom towarzyszył blask nadziei. - Potem mnie zabijesz?

Ta kobieta nie mogła już pragnąć czegokolwiek innego. Na tym świecie pozostało jej tylko jedno: szybka śmierć, która wreszcie zakończy mękę.

- Jak tylko zakończysz opowieść, skrócę twoje cierpienia.

- Przysięgasz na nadzieję spędzenia wieczności w zaświatach w słodkiej chwale Stwórcy?

Nicci poczuła, jak jej duszą targa przejmujący ból. Przed blisko stu siedemdziesięcioma laty wstąpiła na tę drogę, chcąc wyłącznie nieść pomoc, lecz nie zdołała uciec przed swoją niegodziwą naturą. Stała się Panią Śmierci.

Była stracona.

Powiodła palcem po miękkim policzku Hani. Obie kobiety wymieniły długie, znaczące spojrzenie.

- Obiecuję - wyszeptała Nicci. - Szybko i skutecznie. To będzie kres twoich cierpień.

Mord-Sith z oczami pełnymi łez lekko skinęła głową.

## ROZDZIAŁ 13

Posiadłość była okazałą siedzibą. Nicci widywała już takie wspaniałości. I o wiele większe też, rzecz jasna. Przez niemal sto siedemdziesiąt pięć lat mieszkała w przepychu, wśród imponujących kolumn i łuków, nieskazitelnych komnat, splotów rzeźbionych w kamieniu pnączy i gładkich drewnianych boazerii, piernatów i jedwabnych narzut, wspaniałych dywanów i kosztownych draperii, srebrnych i złotych ornamentów oraz lśniących okien z barwnego szkła ułożonego w epickie sceny. Żyjące tam Siostry uśmiechały się do Nicci i bawiły ją dowcipną rozmową.

Wystawność znaczyła dla Nicci tyle samo, co rumor ulic, zimne, wilgotne koce rozłożone na twardej wyboistej ziemi, legowiska robione w szlamie przy oleistych strumyczkach ciekących w błocie wąskich zaułków, gdzie zamiast dachu ma się nad głową niebo. Tłoczący się tam ludzie nigdy się do niej nie uśmiechali, ale wpatrywali się w nią zapadniętymi oczami jak gołębie napraszające się o okruchy.

Nicci część życia spędziła w przepychu, część - wśród biedoty. Niektórzy ludzie żyją tylko w bogactwie, inni - tylko w nędzy. Jej dane było poznać jedno i drugie.

Wyciągnęła rękę ku srebrnej klamce w skrzydle ozdobnych drzwi, przy których trzymało wartę dwóch krzepkich żołnierzy, prawdopodobnie chowanych w chlewie razem ze świniami; zauważyła, że ma dłoń pokrytą krwią. Odwróciła się i niedbale wytarła ją o brudny, poplamioną krwią serdak jednego z wartowników. Obwód ramienia żołnierza niemal dorównywał talii Nicci. Wojak obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, kiedy wycierała dłoń w jego mundur, ale nie przeszkodził jej. W końcu nie było w tym nic obraźliwego.

Hania dotrzymała swojej części umowy. Nicci rzadko czyniła użytek z oręża, zwykle korzystała ze swojego daru. Jednak w tym przypadku byłby to, rzecz jasna, błąd. Kiedy uniosła nóż nad szyją Hani, Mord-Sith podziękowała jej za to, co miała za moment uczynić. Po raz pierwszy ktoś dziękował Nicci za to, że miał zginąć z jej ręki. Niewielu ludzi podziękowało jej kiedykolwiek za pomoc. Ona miała rozmaite możliwości, oni zaś nie, toteż jej obowiązkiem było zaspokoić ich potrzeby.

Nicci wytarła dłoń o milczącego wartownika, błysnęła zdawkowym uśmiechem ku jego mrocznej, gniewnej twarzy i weszła do okazałej sali przyjęć. Jedną ze ścian zajmował rząd wysokich okien przyozdobionych draperiami w barwie pszenicy. Brzegi zasłon obszyte były chwostami, a tkanina połyskiwała w blasku lamp, jakby wpleciono w nią złotą nić. Deszcz późnego lata dzwonił o szyby zamkniętych okien, za którymi był jedynie mrok; za to jak w lustrach odbijało się w nich to, co działo się w sali. Jasne wełniane kobierce - pracowicie ozdobione motywami wypukłych kwiatów - były powalane błotem.

Wchodzili i wychodzili zwiadowcy, posłańcy i żołnierze składający raporty oficerom. Inni oficerowie wydawali rozkazy. Żołnierze niosący zrolowane mapy podążali za wysokimi rangą dowódcami kręcącymi się po dusznej sali.

Jedną z map rozłożono na wąskim stole, a srebrny kandelabr ustawiono na podłodze. Nicci, przechodząc obok stołu, spojrzała na mapę i przekonała się, że brak na niej wielu szczegółów, które tak starannie zaznaczono na mapie narysowanej dzięki zeznaniom d'harańskiego posłańca. Na tej tu na północnym zachodzie były jedynie ciemne plamy po piwie, na tamtej zaś góry, rzeki, przełęcz i górskie potoki oraz punkt oznaczający miejsce, w którym był Richard z tą swoją żoną, Matką Spowiedniczką, i z Mord-Sith.

Oficerowie rozmawiali. Niektórzy stali przy tym, inni na poły siedzieli na marmurowych blatach stolików o żelaznych nóżkach, jeszcze inni wręcz leżeli na obitych skórą krzesłach, sięgając po smakołyki ze srebrnych tac podsuwanych trzęsącymi się dłońmi przez spoconych służących. Jedni ciągnęli piwo z wysokich cynowych kufli, inni pili wino z eleganckich kielichów, a wszyscy zachowywali się tak, jakby byli obcy z takim bogactwem, chociaż pasowali tutaj jak pięść do nosa.

W cieniu rzucanym przez zasłony kuliła się starsza kobieta. Siostra Lidmila najwyraźniej starała się nie rzucać w oczy, ale poderwała się, kiedy dostrzegła idącą przez salę Nicci. Wyszła z cienia, zatrzymała się na moment, żeby przyglądzić obszarpane spódnice, ale gest ten i tak nie mógł im pomóc.

Siostra Lidmila wyjaśniła kiedyś Nicci, że nigdy nie zapomina się tego, czego się nauczyło w młodości, i często łatwiej to sobie przypomnieć niż wczorajszy obiad. Plotka głosiła, że stara Siostra, biegła w tajemniczych

zaklęciach znanych jedynie najpotężniejszemu czarodziejkom, ma wiele ogromnie interesujących wspomnień z młodości.

Wysuszona skóra tak mocno przylegała do jej czaszki, że Lidmila przypominała Nicci ekshumowane zwłoki. Siostra Lidmila może i miała trupi wygląd, ale szła przez salę szybkim krokiem. Kiedy dzieliło ją od Nicci jakieś dziesięć stóp, dała jej znak ręką, jakby nie była pewna, czy młodsza Siostra ją widzi.

- Siostrze Nicci, Siostrze Nicci, wreszcie jesteś. - Złapała ją za przegub. - Chodź ze mną, kochanie. Chodź ze mną. Jego Ekscelencja czeka na ciebie. Tędy. Chodź.

Nicci uściśnieła ciągnącą ją dłoń Siostry.

- Prowadź, Siostrze Lidmilo. Będę tuż za tobą.

Starsza kobieta uśmiechnęła się do niej przez ramię. Nie był to uśmiech radosny ani pełen zadowolenia, lecz uśmiech ulgi. Jagang karał każdego, kto mu się naraził, bez względu na to, czy taka osoba coś zawiniła, czy nie.

- Co cię tak długo zatrzymało, Siostrze Nicci? Przez ciebie Jego Ekscelencja jest w jednym z tych swoich nastrojów, oj jest. Gdzieś była?

- Musiałam... zająć się pewnymi sprawami.

Jeden krok Nicci był równy dwóm, trzem krokom Lidmili.

- Ach tak, sprawami! Gdyby to ode mnie zależało, tobym cię posłała do kuchni, do szorowania garów za to, że gdzieś sobie figlujesz, kiedy jesteś tu potrzebna.

Siostra Lidmila była lekkomyślna i zapominalska, a czasami nie uświadamiała sobie, że nie mieszka już w Pałacu Proroków. Jagang kazał jej sprowadzać ludzi albo czekać na nich i potem wskazywać im drogę - zwykle do jego namiotów. Jeżeli zapominała, jak tam trafić, zawsze jej to przypominał. Bawiło go wykorzystywanie czcigodnej Siostry Światła - czarodziejki znającej najbardziej ezoteryczne inkantacje - jako dziewczki na posyłki. Siostra Lidmila, pozbawiona ochrony rzuconego niegdyś na Pałac Proroków czaru hamującego starzenie, gwałtownie posuwała się teraz w latach. Jak wszystkie Siostry.

Przygarbiona Siostra, machając wolną ręką, człapała przed Nicci. Ciągnęła za sobą młodszą Siostrę, prowadziła ją przez wspaniałe komnaty, po schodach, korytarzami. W końcu zatrzymała się przed drzwiami pokrytymi płatkami złota; łapała oddech, przyciskając palce do dolnej wargi.

Snujący się po holu żołnierze o kamiennych twarzach obrzucali Nicci gniewnym wzrokiem, równie czarnym jak jej suknia. Wiedziała, że to gwardziści imperatora.

- To tutaj. - Siostra Lidmila zerknęła na Nicci. - Jego Ekscelencja jest w swoich komnatach. Pospiesz się. Idź. Idź już. - Machała rękami, jakby zaganiała żywy inwentarz. - Wejdz.

Nicci, zanim weszła, zdjęła dłoń z klamki i odwróciła się ku starej kobiecie.

- Powiedziałaś mi kiedyś, Siostrze Lidmilo, że według ciebie jestem najlepszą kandydatką do przejęcia wiedzy, którą masz do przekazania.

Szelmowski uśmiech rozjaśnił twarz Siostry Lidmili.

- Aaaa, więc w końcu zainteresowałaś się tajemną magią, Siostrze Nicci?

Nicci nigdy przedtem nie interesowała się tym, do nauki czego starała się ją zapędzić Lidmila. Magia była samolubnym celem. Nicci uczyła się tego, czego musiała, ale nigdy poza to nie wykraczała, nigdy nie starała się poznać rzadko stosowanych zaklęć.

- Tak. Prawdę mówiąc, uznałam, że wreszcie jestem gotowa.

- Zawsze mówiłam Ksieni, że ty jedna w pałacu masz moc potrzebną do zaklęć, które znam. - Lidmila pochyliła się ku niej. - Niebezpiecznych zaklęć.

- Trzeba je przekazać, póki jeszcze możesz to zrobić.

Siostra Lidmila przytaknęła z zadowoleniem.

- Uważam, że jesteś w odpowiednim wieku. Nauczę cię. Kiedy?

- Przyjdę do ciebie... jutro. - Nicci spojrzała na drzwi. - Nie sądzę, bym tej nocy miała czas na naukę.

- No, to do jutra.

- Jeśli... jeśli przyjdę do ciebie, będę chętna do nauki. Szczególnie interesuje mnie czar macierzyńskiego zespolenia.

Z tego, co Nicci o nim wiedziała, ów osobliwie nazwany czar mógł być tym, czego potrzebowała. Miał też tę zaletę, że raz rzucony, był już nienaruszalny.

Siostra Lidmila wyprostowała się i znów dotknęła palcami dolnej wargi. Przez jej twarz przemknął wyraz niepokoju.

- No, no, no. Akurat ten? No cóż, dobrze. Nauczę cię. Masz do tego dar, a nielicznym jest on dany. Uważam, że ty jedna mogłabyś go rzucić. Wymaga potężnej magicznej mocy. A ty ją masz. Nauczę cię, jeżeli zrozumiesz i

zechcesz zaakceptować to, co się z nim łączy.

Nicci przytaknęła.

- Przyjdę więc, gdy tylko będę mogła.

Stara Siostra, zadumana, odeszła powoli, już rozmyślając o przyszłej lekcji. Nicci nie wiedziała, czy do tej lekcji dożyje.

Zaczekała, aż stara Siostra zniknie za zakrętem, a potem weszła do cichej komnaty oświetlonej mnóstwem świec i lamp. Wysoki sufit okalały namalowane liście i żółędzie. Kanapy i fotele, obite pluszem w kolorze stonowanego brązu, rozstawiono na grubych dywanach o barwie soczystej żółci, oranżu i czerwieni, które wyglądały jak jesienna leśna ściółka. Wielkie okna zasłonięto ciężkimi draperiami. Dwie Siostry, siedzące na kanapie, poderwały się na równe nogi.

- Siostra Nicci! - zawołała z ulgą jedna z nich. Druga pobiegła ku dwuskrzydłowym drzwiom po przeciwległej stronie komnaty i otworzyła je bez pukania, najwyraźniej zgodnie z poleceniami. Wsunęła głowę do tamtej komnaty i powiedziała coś, czego Nicci nie dosłyszała. Potem odskoczyła, a z komnaty doleciał ryk Jaganga:

- Wynocha! Wszyscy precz!

Wypadły stamtąd dwie młode Siostry, bez wątpienia osobiste służki imperatora. Nicci musiała się odsunąć, kiedy cztery obdarzone mocą kobiety runęły ku drzwiom wiodącym poza apartament. Przyłączył się do nich jakiś młodzian, którego przedtem nie dostrzegła w kącie; żadne z nich nawet nie spojrzęło na Nicci, pospiesznie wykonując, co im nakazano. Najpierw niewolnicy Jaganga uczyli się, że jeśli kazał im coś zrobić, to oczekiwęł, iż natychmiast to wykonają. Mało co tak go rozwścieczało jak zwłoka.

Z wewnętrznej komnaty wybiegła kobieta, której Nicci nie znała, i dołączyła do tamtych. Była młoda i piękna, ciemnowłosa i ciemnooka - pewnie pojmana w marszu branka, którą zabawiał się Jagang. Wyraz jej oczu zdradzał, że świat wokół niej oszalał.

Tego się nie dało uniknąć, jeżeli na świecie miano zaprowadzić ład. Wielcy wodzowie odznaczali się ułomnościami charakteru, które uznawali za drobne grzeszki. Olbrzymie dobrodziejstwa, jakie Jagang miał sprowadzić na cierpiące ludzkie masy, dalece przewyższyły karygodne zaspokajanie przezeń swoich zachcianek i względnie małe spustoszenie, jakie czynił. Nicci często padała ofiarą jego wybryków. Warto było zapłacić tę

cenę za korzyści, jakie miały spłynąć na potrzebujących. Tylko to należało brać pod uwagę.

Zewnętrzne drzwi się zamknęły, w apartamencie pozostali jedynie Nicci i imperator. Siostra stała prosto, z wysoko uniesioną głową i swobodnie opuszczonymi rękami. Rozkoszowała się panującą tu ciszą. Zbytek niewiele dla niej znaczył, lecz cisza była luksusem, który nauczyła się doceniać, choć było to samolubne. W namiotach zawsze słychać było gwar obozujących wokół żołnierzy. Tu było cicho. Nicci rozejrzała się po rozległej i wystawnie udekorowanej komnacie, zastanawiając się, czy Jagang nabiera upodobań do takich miejsc. Może i on potrzebował spokoju. Znów spojrzała ku wewnętrznej komnacie. Stał tam, czekając i obserwując ją - umięśniony, kipiący wściekłością.

Podeszła wprost ku niemu.

- Wzywałeś mnie, Ekscelencjo?

Poczuła przeraźliwy ból, kiedy trzasnął ją w twarz grzbietem wielkiej dłoni. Cios okręcił ją dokoła. Uderzyła kolanami o podłogę. Złapał ją za włosy i szarpnięciem postawił na nogi. Drugi cios - najpierw uderzyła o ścianę, potem osunęła się na podłogę. Twarz pulsowała okropnym bólem. Przyszła do siebie, podniosła się i znów stanęła przed nim. Za trzecim razem ściągnęła świecznik. Świece, podskakując, potoczyły się po podłodze. Nicci i stół, na który wpadła, runęły na podłogę; opadł na nią oddarty kawałek zasłony, którą złapała, próbując się utrzymać na nogach. Rozprysnęło się szkło. Brzęknął metal, kiedy rozsypały się jakieś niewielkie przedmioty.

Była otumaniona i obolała, oczy zachodziły jej mgłą. Miała wrażenie, że oczy jej wypłyną, że ma roztrzaskaną szczękę, poszarpane mięśnie szyi. Nicci leżała na podłodze i upajała się falami przeraźliwego bólu, tym, że wreszcie coś odczuwa. Zobaczyła krew na obrzeżu dywanu i na drewnianej podłodze. Usłyszała, że Jagang coś do niej ryczy, ale tak jej dzwoniło w uszach, że nie odróżniała słów. Podparła się na łokciu, przekręciła na bok. Dotknęła ust i poczuła krew. Rozkoszowała się bólem. Od tak dawna niczego nie czuła, wyjąwszy tę zbyt krótką chwilę z Mord-Sith. To była wspaniała fala strasznego bólu.

Brutalność Jaganga docierała w głąb otchłani nie tylko ze względu na okrucieństwo, ale i dlatego, że Nicci wiedziała, iż wcale nie musi jej znosić. On również wiedział, że Nicci jest tutaj z własnej, a nie z jego woli. To tylko



wzmagало jego gniew, a tym samym i jej doznania.

Tym razem gniew Jaganga zdawał się morderczy. Nicci skonstatowała jedynie, że najprawdopodobniej nie wyjdzie żywa z tej komnaty. Raczej nie pójdzie do Siostry Lidmili, żeby się od niej nauczyć zaklęć. Chciała się przekonać, co tym razem zgotuje jej los.

Komnata wreszcie na tyle przestała wirować, że Nicci znów mogła się podnieść. Stała przed milczącym muskularnym Jagangiem. W jego wygolonej czaszce odbijało się światło lamp. Twarz miał dokładnie ogoloną, zostawił jedynie maleńkie wąsiki nad kącikami ust i wąską kreskę zarostu pod środkiem dolnej wargi. Złoty pierścień w lewym nozdrzu i delikatny złoty łańcuszek biegnący od niego ku kółku w lewym uchu połyskiwały w ciepłym blasku lamp. Zachował co prawda pierścienie na każdym palcu, ale zdjął z szyi łańcuchy i klejnoty, którymi się zwykle obwieszał. Pierścienie na palcach lśniły krwią Nicci. Nagą pierś Jaganga porastały szorstkie włosy. Tak mocno zaciskał pięści, że było widać napięte mięśnie i ścięgna. Szyję miał równie masywną jak byk, a usposobienie jeszcze gorsze.

Nicci, niższa od niego o pół głowy, stała, czekając i patrząc w oczy, które widywała w sennych koszmarach. Były ciemnoszare, zupełnie pozbawione białek, zmaczone przez przesuujące się w polu atramentowej czerni ponure, mroczne kształty. Choć nie miały wyraźnej tęczówki i źrenicy - były czarną pustką otwierającą się w miejscu, gdzie zwykli ludzie mają oczy - Nicci zawsze wiedziała, kiedy na nią patrzyły. Były to oczy Nawiedzającego Sny. Nawiedzającego Sny, który nie miał dostępu do jej umysłu. Teraz już pojmowała dlaczego.

- No?! - warknął i wyrzucił w górę ręce. - Płacz! Krzycz! Wrzeszcz! Wyjaśnij! Tłumacz się! Nie stój tak!

Nicci połknęła krew i spokojnie patrzyła w jego pałające wściekłością oczy.

- Uściślij, proszę, Ekscelencjo, co wybierasz, jak długo mam to czynić i czy mam to zakończyć sama, czy zaczekać, aż pobijesz mnie do nieprzytomności.

Ryknął w furii i rzucił się na nią. Złapał ją krzepką dłonią za gardło i podtrzymał, żeby nie upadła, kiedy ją bił. Kolana ugięły się pod nią, ale trzymał ją dopóty, dopóki znów nie mogła się utrzymać na nogach. Potem puścił jej gardło i odepchnął ją.

- Chcę wiedzieć, dlaczego tak postąpiłaś z Kadarem!

Tylko się doń uśmiechnęła okrwawionymi wargami. Wykręcił jej ramię za plecy i przycisnął do siebie z całej siły.

- Dlaczego to zrobiłaś?! Dlaczego?!

Zaczął się morderczy taniec z Jagangiem. Nicci zastanawiała się znów, czy tym razem przeżyje.

Jagang zabił sporo Sióstr, które mu się naraziły. Nicci była bezpieczna tylko dlatego, że nie zależało jej na swoim bezpieczeństwie. Jej całkowity brak troski o zachowanie życia fascynował Jaganga, bo imperator wiedział, że nie jest to udawane.

- Czasami jesteś głupcem - powiedziała pogardliwie - zbyt aroganckim, żeby dostrzec to, co masz tuż pod nosem.

Wykręcał jej ramię, aż pomyślała, że kość na pewno pęknie. Na pulsującym bólem policzku czuła zdyszany oddech Jaganga.

- Zabijałem ludzi z błaższych powodów niż takie słowa.

- Czyżbyś chciał mnie zanudzić na śmierć? - zadrwiła z niego, obolała. - Jeśli zamierzasz mnie zabić, to złap mnie za gardło i uduś albo stłucz na krwawą masę, żebym się wykrwawiła u twoich stóp, bo chyba nie sądzisz, że przywalisz mnie i udusisz górą monotonnych gróźb. Skoro chcesz mnie zabić, bądź mężczyzną i zrób to! Albo zamknij gębę.

Większość ludzi błędnie sądziła, że skoro Jagang jest tak bestialsko brutalny, to musi być tępym, nieokrzesanym bydlakiem. A wcale taki nie był. Był jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich Nicci kiedykolwiek poznała. Brutalność była tylko maską. Kiedy wnikał do umysłów tak wielu ludzi, miał bezpośredni kontakt z ich wiedzą, mądrością i myślami. Taki kontakt rozwijał jego inteligencję. Wiedział również, czego ludzie się najbardziej boją. Jeżeli Nicci coś w Jagangu przerażało, to nie jego brutalność, a inteligencja, bo wiedziała, że inteligencja może być niewyczerpanym źródłem wymyślnego okrucieństwa.

- Dlaczego go zabiłaś, Nicci? - zapytał ponownie, ale już nieco mniej gniewnym głosem.

W jej umyśle, jak mur obronny, tkwiła myśl o Richardzie. Jagang musiał to dostrzec w jej oczach. Wiedziała, że wściekłość imperatora wynikała po części z tego, że nie może wnikać do jej umysłu, zawładnąć nią tak jak tyłoma innymi. Domyślny uśmiezek Nicci naigrawał się zeń, kusił tym, do

czego on sam nie miał dostępu.

- Bawiło mnie słuchanie, jak wielki Kadar Kardeef błaga o litość, i odmówienie mu jej.

Jagang znów ryknął; był to zwierzęcy odgłos, zupełnie nie na miejscu w tak wytwornej sypialni. Nicci dostrzegła spadającą na nią rękę. Komnata gwałtownie zawirowała wokół niej. Spodziewała się, że uderzy w coś i połamie sobie kości. Ale nieoczekiwanie wylądowała na czymś miękkim: uświadomiła sobie, że trafiła na łożo. Jakoś ominęła marmurowo-mahoniowe słupki w narożnikach - uderzenie w nie na pewno by ją zabiło. Los najwyraźniej z nią igrał. Jagang wylądował na niej.

Pomyślała, że może teraz zatłucze ją na śmierć. Ale on tylko badawczo, z bliska wpatrywał się w jej oczy. Usiadł okrakiem na jej biodrach. Mięsiste łapy ciągnęły za koronki obcisłego stanika sukni. Szarpnął tkaninę i obnażył piersi Nicci. Tak mocno ścisnął paluchami nagie ciało, że aż łzy napłynęły jej do oczu. Nie patrzyła na niego, nie opierała się; leżała bezwładnie, kiedy zadzierał jej suknię aż do pasa. Jej myśli zaczęły odpływać daleko, w spokojne, bezpieczne miejsce, gdzie ona jedna mogła się udać. Upadł na nią całym ciężarem, aż straciła oddech. Leżała bezwładnie i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w fałdy jedwabnego baldachimu ponad łożem; myślami była daleko, w spokojnym, bezpiecznym miejscu. Ból wydawał się odległy. Wysiłek oddychania bez znaczenia.

Jagang kontynuował swoje brutalne igraszki, a Nicci rozmyślała o tym, co zamierzała uczynić. Nigdy nie sądziła, że możliwe jest to, co teraz rozważała, ale dziś już wiedziała, że owszem, jest. Musiała jedynie zdecydować, że to uczyni.

Jagang spoliczkował ją, więc ponownie skupiła na nim myśli.

- Jesteś zbyt głupia, żeby choć załkać!

Uświadomiła sobie, że skończył i że wcale nie jest zadowolony, iż niczego nie zauważyła. Z trudem powstrzymała się od rozmasowania policzka po tym, co dla Jaganga było lekkim kłapnięciem, a dla osoby tak potraktowanej ciosem, który mógł okaleczyć. Pot kapał z brody imperatora na twarz Nicci. Jego krzepkie ciało lśniło od potu po wysiłkach, których w ogóle nie zauważyła. Patrzył na nią gniewnie, ciężko dysząc. Gniew, rzecz jasna, płonął w jego oczach, ale Nicci pomyślała, że dostrzega w nich coś jeszcze: odrobinę żalu, udręki, a może i urazę.

- A więc tego właśnie sobie życzysz, Ekscelencjo? Żebym łkała?

Jagang osunął się obok niej na łożo i odparł z goryczą:

- Nie. Chcę, żebyś reagowała.

- Ależ reaguję - powiedziała, wpatrując się w baldachim. - Po prostu nie takiej reakcji sobie życzysz.

Usiadł.

- Co z tobą, kobieto?

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem odwróciła wzrok.

- Nie mam pojęcia - odparła szczerze. - Ale muszę się tego dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 14

Jagang dał jej znak.

- Rozbieraj się. Zostajesz tu na noc. Za długo cię nie było. - Tym razem to on patrzył w ścianę. - Brakowało mi ciebie w łóżu, Nicci.

Nie odpowiedziała. Nie wierzyła, by w łóżu tęsknił za czymkolwiek. Nie sądziła, by potrafiła sobie wyobrazić, że on rozumie, co to znaczy tęsknić za kimś. Była zdania, że Jagang tęskni za tym, by za kimś tęsknić.

Usiadła, zwiesiła nogi z łóża i wyplątywała się z czarnej sukni. Zdjęła ją przez głowę i rozwiesiła na oparciu skórzanego fotela. Poszukała bielizny w ściągniętej kapie i położyła ją na fotelu. Zdjęła pończochy i odłożyła je obok bielizny. Jagang cały czas ją obserwował; patrzył, jak rozwieszała suknię, jak starała się wygładzić pomietą przez niego tkaninę, chłonał tajemniczy powab kobiecych czynności.

Wreszcie skończyła i znów obróciła się ku imperatorowi. Wyprostowała się dumnie, ukazując mu to, co mógł zdobyć wyłącznie siłą, czego mu nigdy z własnej woli nie ofiaruje. Dostrzegając w jego minie poczucie odrzucenia. To było jedyne dostępne Nicci zwycięstwo: im brutalniej ją brał, tym dogłębniej uświadamiał sobie, że może ją mieć wyłącznie w ten sposób, a to go tym bardziej złościło. Prędzej by umarła, niż ofiarowała mu się z własnej woli, a on doskonale o tym wiedział.

Wreszcie otrząsnął się z osobistych, pełnych gorzkości tęsknot i spojrzał Nicci w oczy.

- Dlaczego zabiłaś Kadara?

Usiadła naprzeciw niego, na drugim skraju łóża - nie na wyciągnięcie ręki, choć mógł ją złapać, gdyby się nachylił - i wzruszyła nagimi ramionami.

- Nie jesteś Ładem. Ład to nie jeden człowiek, ale ideał sprawiedliwości. I dlatego każdego przeżyje. W tej chwili służysz owemu ideałowi i Ładowi jako ślepa siła. Ład może wykorzystać każdego, by mu tak służył. Ciebie, Kadara lub inną osobę. Ja tylko wyeliminowałam kogoś, kto mógłby ci zagrozić, gdybyś pewnego dnia zechciał wykroczyć poza tę rolę.

- Spodziewasz się, że uwierzę, że mi wyświadczyłaś przysługę? - Jagang uśmiechnął się. - Drwisz sobie ze mnie.

- Skoro podoba ci się tak myśleć, to i owszem.

Gładka biała skóra Nicci ostro kontrastowała z ciężką ciemną kapą i prześcieradłami w różnych odcieniach zieleni. Jagang legł na nich, wsparł się o wymięte poduszki i bezwstydnie wystawił na pokaz. Oczy miał jeszcze mroczniejsze niż zwykle.

- A co to za gadanie o Jagangu Sprawiedliwym?

- To twój nowy tytuł. Coś, co cię ocali, co będzie do ciebie przekonywać, co przyniesie ci więcej chwały niż cokolwiek innego. Zrobiłam z ciebie bohatera ludu, wyeliminowałam przyszłe zagrożenia dla twojej pozycji, a ty mnie za to pobiłeś do krwi.

Podłożył ramię pod głowę.

- Czasem tak się zachowujesz, że zaczynam wierzyć w to, co ludzie o tobie gadają. Że jesteś naprawdę szalona.

- A jeśli wszystkich zabijesz?

- To będą martwi.

- Przejeżdżałam ostatnio przez miasta odwiedzone przez twoich żołnierzy. Wygląda na to, że nie wyrządzili ludziom szkody, a przynajmniej nie zabili każdego, kto im się nawinął pod rękę, jak to robili, gdy zaczęli marsz w głąb Nowego Świata.

Wychylił się ku niej i złapał ją za włosy. Warknął i szarpnął nią tak, że upadła na plecy obok niego. Wstrzymała oddech, bo uniósł się na łokciu i wbił to swoje niesamowite spojrzenie w jej oczy.

- Karać dla przykładu to twoja robota. Ty masz ludziom pokazywać, że muszą wносить swój wkład w naszą sprawę, że powinni się obawiać słusznego gniewu Imperialnego Ładu. To zadanie, które ci wyznaczyłem.

- Ach tak? To dlaczego i twoi żołnierze nie każą dla przykładu? Dlaczego oszczędzili te miasta? Dlaczego nie współdziałają we wzbudzaniu grozy w sercach ludzi? Dlaczego nie obracają w perzynę każdego napotkanego miasta i miasteczka?

- A kim bym wtedy władał? Tylko swoimi żołnierzami? Kto by pracował? Kto wytwarzałby różne rzeczy? Zaopatrywał w żywność? Płacił daninę? Komu niósłbym nadzieję Ładu? Kto by słał wielkiego imperatora Jaganga, gdybym ich wszystkich pozabijał? - Opadł na plecy. - Mogą cię nazywać Panią Śmierci, ale nie będzie po twojemu i wszystkich nie pozabijamy. Na tym świecie służysz celom Ładu. Jeśli ludzie uznają, że nadejście Imperialnego Ładu oznacza ich nieodwołalną śmierć, będą mi się

przeciwstawiać do ostatka. Powinni się przekonać, że to ich opór oznacza szybkość i pewną śmierć. Jeśli pojmą, że nasze przybycie daje im możliwość obyczajnego życia, życia według praw Stwórcy, i że dobro człowieka przedkładamy ponad wszystko, to przyjmą nas z otwartymi ramionami.

- Skazałeś to miasto na śmierć - wytknęła mu, zmuszając, żeby mimo woli uznał słuszność tego, co zrobiła. - Chociaż wybrało Ład.

- Rozkazałem, żeby wszyscy mieszkańcy, którzy uszli z życiem, mogli bezpiecznie wrócić do swoich domów. Masakra się skończyła. Tutejsi ludzie złamali swoje obietnice i przez to narazili się na brutalny odwet. Dostali to, na co zasłużyli, ale zemsta dobiegła kresu i nadszedł czas Ładu. Odeszły w przeszłość dawne idee odrębnych krain, tak jak to się stało i w Starym Świecie. Wszyscy ludzie będą mieć jedną władzę i razem wejdą w nowy wiek pomyślności pod rządami Imperialnego Ładu. Zmiażdżymy tylko tych, którzy będą stawiać opór, i to nie dlatego, że się opierają, lecz dlatego, że stawiając opór, zdradzają swoich współbraci i przeciwstawiają się ich dobru. W Andericie nastąpił zwrot w naszej walce. Richard Rahl został w końcu odrzucony przez ludzi, którzy dostrzegli wartość tego, co im proponujemy. Już nie może dłużej twierdzić, że ich reprezentuje.

- A mimo to zjawiałeś się tutaj i wymordowałeś...

- Tutejsi władcy złamali niektóre z danych mi obietnic, a kto wie, ilu mieszkańców im w tym pomagało. Dlatego ludzie musieli za to zapłacić. Jednak zdobyli sobie miejsce w Ładzie, bo odważnie odrzucili lorda Rahla i przestarzałe, samolubne, banalne zasady, które im proponował. Sprawy przybrały nowy obrót. Ludzie już nie ufają lordowi Rahlowi, on też już nie może im ufać. Richard Rahl to pokonany przywódca.

Nicci smutno uśmiechnęła się w duchu. Ona była przegraną kobietą, a Richard przegranym mężczyzną. Ich los był przypieczętowany.

- Może tutaj, w tej małej krainie - odezwała się - ale gdzie indziej nie stracił swojej pozycji. Wciąż jest groźny. W końcu to przez Richarda Rahla nie udało ci się zdobyć tego, czego szukałeś w Andericie. Nie tylko odebrał ci bezsporne zwycięstwo, niszcząc ogromne zapasy i wprowadzając kompletny bałagan w wytwarzaniu i przewozie dóbr, ale i wysliznął ci się, choć powinieneś go pojmać.

- Dopadnę go!

- Naprawdę? Nie jestem tego pewna. - Patrzyła na pięść Jaganga,

zaczekała, aż się rozluźni, i dopiero wtedy podjęła: - Kiedy pošlesz wojsko na północ, w głąb Midlandów?

Imperator przesunął dłonią po obrośniętej piersi.

- Wkrótce. Najpierw zaczekam, aż stracą czujność. Kiedy zapomną o ostrożności, uderzę na północ. Wielki wódz powinien się orientować w kolejach walki, żeby móc do nich dostosowywać taktykę. Kiedy ruszymy na północ, w Midlandy, będziemy wyzwoliciełami niosącymi ludzom chwałę Stwórcy. Musimy podbić serca i umysły jeszcze nie nawróconych.

- Ty podjąłes decyzję o tej zmianie? Sam jeden? Nie liczysz się w swojej kampanii z wolą Stwórcy?

Spojrzał na nią groźnie, rozzłoszczony jej zuchwałością, jakby chciał powiedzieć, że powinna być mądrzejsza i nie zadawać takich pytań.

- Jestem imperatorem. Nie muszę się naradzać z naszymi duchowymi przewodnikami. Ponieważ jednak ich rada jest zawsze mile widziana, rozmawiałem już z kapłanami. Życzliwie ocenili moje plany. Brat Narev uważa, że to mądre posunięcie, i udzielił swojego błogosławieństwa. Lepiej trzymaj się swojej roboty i tęp każdy zamiar oporu. Jeśli nie będziesz wypełniać moich rozkazów, to... nikt nie zatęskni za jakąś Siostrą. Mam inne.

Nicci nie przejęła się jego groźbami, choć były całkiem realne. Jeszcze nieufny, już zaczynał pojmować jej wizję.

- To właściwe posunięcie - powiedziała - ale wszystko to należy podzielić na niewielkie cząstki, które ludzie mogliby przetrwać. Nie mają mądrości Ładu, by od razu dostrzec, co jest dla nich najlepsze. Masy już takie są. Nawet ktoś tak uparty jak ty musi przyznać, że przewidziałam twoje plany i pomogłam zrozumieć tym, których nie możesz zabić, że ich oszczędzasz z poczucia sprawiedliwości. Takie wieści zdobędą dla ciebie ich serca.

Imperator zerknął na nią z ukosa.

- Jestem oczyszczającym płomieniem Ładu. Ogień jest niezbędnym, ale na nim się nie kończy: to tylko środek prowadzący do ostatecznego celu. Z popiołów, które są moim, Jaganga, dziełem, zrodzi się i rozkwitnie nowy ład. I to właśnie ów cel, owa wspaniała nowa era człowieka usprawiedliwia podjęte środki. I to do mnie, a nie do ciebie należy stanowienie sprawiedliwości, decydowanie o tym, kiedy i jak ją wymierzę oraz kto jej doświadczy.



Próżność Jaganga zaczęła irytować Nicci. W głosie kobiety pojawiła się nutka pogardy.

- Ja jedynie nadałam temu odpowiednią nazwę - Jagang Sprawiedliwy - i zaczęłam rozgłaszać twój nowy tytuł, gdy tylko nadarzyła się po temu okazja. Kadara poświęciłam z tych samych powodów, które wymieniłeś. Należało to uczynić właśnie teraz, żeby było dość czasu na szerzenie się owej nowiny, bo inaczej Nowy Świat jednomyślnie przeciwstawiłby się Ładowi. Wybrałam czas i miejsce i poświęciłam życie Kadara Kardeefa, życie bohatera wojennego, żeby udowodnić, że jesteś ponad wszystko oddany sprawie Ładu. Przyniesie ci to pożytek. Pożar może wzniecić byle łotr, a twój nowy tytuł ukazuje twoją etyczną wizję, kolejną nadrzędną wartość. Zapoczątkowałam legendę, która uczyni cię bohaterem w oczach prostych ludzi i, co ważniejsze, w oczach kapłanów. Zamierzasz udawać, że uważasz ten tytuł za nieodpowiedni? Albo że ci się nie przysłuży? Mój czyn da ci to, czego nie potrafiła zapewnić ci twoja potężna armia: dobrowolny hołd bez walki, bez żadnych nakładów. Ja, Nicci, kosztem życia Kadara wywyższyłam cię bardziej, niż ty sam byś potrafił. Ja, Nicci, uczyniłam z ciebie człowieka honoru. Ja, Nicci, sprawiłam, że stałeś się wodzem, któremu ludzie zaufają, bo uwierzą, że jest sprawiedliwy.

Rozmyślał jakiś czas, odwracając wzrok od jej gniewnych oczu. Wreszcie opuścił rękę i czule przesunął palcami po udzie Nicci. Owo muśnięcie było z jego strony przyznaniem, że miała rację. Przyznawał to bez słów.

Po paru chwilach Jagang ziewnął, a potem zamknął oczy. Zaczął spokojnie oddychać i zapadł w drzemkę, jak to miał w zwyczaju w towarzystwie Nicci. Oczekiwał, że ona zostanie tam, gdzie była - do jego dyspozycji, jak tylko się zbudzi. Nicci pomyślała, że mogłaby odejść. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

Obudził się jakąś godzinę później. Nicci wciąż wpatrywała się w baldachim, rozmyślając o Richardzie. W jej układance brakowało jednego elementu, który musiał się znaleźć na właściwym miejscu.

Jagang przekręcił się we śnie na bok, plecami do niej. Teraz znów obrócił się ku niej. Spojrzał na Nicci swoimi mrocznymi oczami, w których na nowo płonęło pożądanie. Przyciągnął ją do siebie. Jego ciało było ciepłe jak nagrzana słońcem skała i tylko odrobinę bardziej miękkie.

- Daj mi rozkosz - warknął ochryple, co każdą inną kobietę tak by

przeraziło, że pospiesznie wypełniłaby ów rozkaz.

- Bo inaczej co? Zabijesz mnie? Gdybym się tego obawiała, to by mnie tu nie było. To akt przemocy, a nie przyzwolenia. Nigdy nie będę chętna ani nie pozwolę, byś zaczął się łudzić, że cię pragnę.

Uderzył ją grzbietem dłoni, aż poleciała przez łóżko.

- Jesteś chętna! - Złapał ją za nadgarstek i znów przyciągnął ku sobie. - Bo po cóż byś tutaj była?

- Rozkazałeś, żebym przyszła.

- A ty się zjawiałaś, chociaż mogłaś uciec. - Uśmiechnął się drwiąco.

Nicci otworzyła usta, lecz nie znalazła odpowiedzi, którą mogłaby ubrać w słowa, którą on by zrozumiał.

Jagang uśmiechnął się zwycięsko, zwałił się na nią i przycisnął wargi do jej ust. Nicci sprawiało to ból, ale jak na niego było to delikatne postępowanie. Mówił jej kilka razy, że jest jedyną kobietą, którą całował. Zdawał się wierzyć, że jeśli wyzna Nicci swoje uczucia, to ta nie będzie miała innego wyjścia, jak je odwzajemnić - jakby wyrażone słowami uczucia były walutą, za którą może sobie kupić miłość.

Nicci wiedziała, że to dopiero początek długiej nocy, długiej, ciężkiej próby. Że nim nadejdzie świt, doświadczy kilku brutalnych gwałtów. Pytanie Jaganga wciąż rozbrzmiewało w odległym zakątku jej umysłu.

Nadszedł ranek, a wraz z nim tępy ból głowy od nieustannego bicia i ostry ból w tych miejscach, które zostały zranione, gdy Jagang odkrył, że to, co brał za jej ochoczą uległość, było jedynie zwodzeniem, które go jeszcze bardziej rozwścieczyło. Poduszki były splamione jej krwią. To była długa noc niezwyklej doznań.

Nicci wiedziała, że jest zła i zasługuje na to, by ją tak brutalnie gwałcono. Nie mogła temu przeciwstawić żadnego etycznego argumentu; choć Jagang tak straszliwie ją katował, i tak nie był równie zepsuty jak ona. Imperator błędził w sprawach ciała i tego się można było spodziewać - bo wszyscy ludzie są nieczyści - ale ona pozostawała obojętna na cierpienia innych, odznaczała się całkowitym zanikiem uczuć. A to, jak wiedziała, było największe zło. Dlatego zasłużyła na wszystko, co Jagang jej czynił. Owo mroczne miejsce w jej wnętrzu było teraz bliskie wypełnienia.

Nicci dotknęła ust: pęknięcia bolały, ale były już zasklepione. Wrażenia towarzyszące gojeniu ran nie dorównywały temu, co czuła, kiedy je jej

zadawano, postanowiła więc, że gojenie zostawi którejś z Sióstr i odmówi Jagangowi satysfakcji płynącej ze świadomości, że rany bardzo jej doskwierają. Znów skierowała myśli ku Siostrze Lidmile. Uświadomiła sobie nagle, że Jaganga nie ma przy niej w łóżku. Usiadła i stwierdziła, że rozpiera się w stojącym w pobliżu fotelu i obserwuje ją. Podciągnęła prześcieradło, zakrywając piersi poplamione zaschlą krwią.

- Ale świnia z ciebie.

- Nigdy nie masz mnie dość. Wbrew temu, co mówisz, Nicci, chcesz ze mną być. Dlaczego zostawałabyś, gdyby było inaczej?

Obserwowały ją oczy ze straszego snu, starały się odnaleźć drogę do jej umysłu. I nie mogły. Już nie był dla niej koszmarem. Bo Richard strzegł jej umysłu.

- Zostaję z tobą nie z takich powodów, jak się łudzisz. Zostaję, bo Ład dąży do wysoce moralnego celu. Chcę, żeby to się spełniło. Żeby dobiegły kresu cierpienia srodze doświadczonych przez los. Żeby wszyscy byli sobie równi i mieli to, czego im potrzeba do życia. Prawie całe swoje życie poświęciłam urzeczywistnianiu tych celów. Ład może sprawić, że sprawiedliwość wreszcie zapanuje na świecie. A skoro, żeby to się spełniło, muszę cię znosić, a nawet pomagać ci, to z łatwością się na to godzę.

- To bardzo szlachetne słowa, ale uważam, że coś się za nimi kryje. Myślę, że odeszłabyś, gdybyś mogła lub - uśmiechnął się - gdybyś mogła, odeszłabyś, o ile naprawdę byś tego chciała. Więc jak to jest, Nicci?

Nie miała ochoty się nad tym zastanawiać. Głowa ją bolała.

- Co to za opowieści o budowie pałacu?

- A, więc słyszałaś. - Głęboko zaczerpnął powietrza i westchnął tęsknie. - To będzie najwspanialszy z wszystkich dotychczas istniejących pałaców. Odpowiednia siedziba dla imperatora Imperialnego Ładu, dla człowieka, który włada tak Starym, jak i Nowym Światem.

- Człowieka, który chce władać oboma światami. Lord Rahl stoi ci na przeszkodzie. Ileż to już razy wyprowadził cię w pole?

Oczy Jaganga zapłonęły gniewem, który - dobrze to wiedziała - mógł się przerodzić w przemoc. Richard wiele razy pokrzyżował plany Jagangowi. Chociaż go nie pokonał, dopiekł mu. To znaczny sukces dla tak nikłych sił, które stały przeciwko nawale Imperialnego Ładu. A ktoś taki jak Jagang równie mocno nienawidził upokarzającego „ukłucia” jak posiekania na

kawałki.

- Wykończę Richarda Rahla, nie martw się! - warknął głucho.

Znów wróciła do tego, co ją naprawdę ciekawiło.

- Od kiedy to niepokonany imperator Jagang wydelikatniał i postanowił żyć w zbytku?

- Przecież teraz jestem Jagangiem Sprawiedliwym. Chyba o tym pamiętasz? - Wrócił do łoża i padł obok niej. - Przepraszam, Nicci, że cię poraniłem. Nigdy nie chcę tego robić, ale sama mnie do tego zmuszasz. Wiesz, że cię lubię.

- Lubisz mnie i mimo to mnie bijesz? Lubisz mnie, a nigdy nawet nie raczyłeś wspomnieć o tak kolosalnym projekcie jak budowa pałacu? Nic dla ciebie nie znaczę.

- Przecież przeprosiłem za to, że sprawiłem ci ból, chociaż sama dobrze wiesz, że to była twoja wina - powiedział to niemal czule. Na wzmiankę o pałacu jego twarz złagodniała, przybrała marzycielski wyraz. - Najwyższy czas, żebym zamieszkał w budowlu godnej imperatora.

- Ty, człowiek, któremu wystarczały namioty, chcesz teraz mieszkać w luksusowej budowlu? Dlaczego?

- Bo kiedy już poddam Nowy Świat pod władanie Ładu, jako wódz wszystkich ludzi powinienem zamieszkać we wspaniałej siedzibie... Ale to będzie coś więcej niż zwykły splendor.

- Jasne - docięła mu.

Wziął ją za rękę.

- Będę dumnie nosić tytuł Jaganga Sprawiedliwego, Nicci. Masz rację, nadszedł na to czas. Rozgniewałem się tylko dlatego, że najpierw nie omówiłaś tego posunięcia ze mną. Ale puśćmy to już w niepamięć.

Milczała. Mocniej ścisnął jej dłoń, a ona uznała, że zrobił to, by zaakcentować swoją szczerłość.

- Jak już pałac stanie, na pewno ci się spodoba. - Czule musnął palcami drugiej dłoni policzek Nicci. - Będziemy tam wszyscy bardzo długo mieszkać.

Te słowa poruszyły w niej pewną strunę.

- Bardzo długo?

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że było w tym coś więcej niż płynąca z próżności chęć posiadania innego pałacu, skoro Richard pozbawił go

Pałacu Proroków. Jagang pragnął jeszcze czegoś; bo i tego Richard go pozbawił. Czyżby...

Spojrzała nań, szukając odpowiedzi. Uśmiechnął się, widząc jej pytające spojrzenie.

- Budowa już się rozpoczęła - powiedział, ignorując nie wypowiedziane pytanie. - Zajmują się tym architekci i najlepsi budowniczowie ze Starego Świata. Wszyscy chcą uczestniczyć w tak wspaniałym projekcie.

- A Brat Narev? - sondowała Nicci. - Co sądzi o wznoszeniu tak pełnego pychy monumentu dla jednego człowieka, skoro jeszcze tyle jest do zrobienia dla biednych?

- Brat Narev i jego uczniowie bardzo popierają ów projekt. - Jagang uśmiechnął się do niej łobuzersko. - Bo i oni tam oczywiście zamieszkają.

Zrozumiała.

- Rzuci czar na nowy pałac - wyszeptała do siebie ze zdumieniem.

Obserwujący ją Jagang tylko się uśmiechnął, najwyraźniej uradowany jej reakcją.

Brat Narev był w Pałacu Proroków niemal tak długo jak Nicci, przez blisko sto siedemdziesiąt lat, a wydawało się, że przez ten czas postarzał się jedynie o jakieś dziesięć, piętnaście lat - podobnie jak ona. Nikt poza Nicci nigdy się nie dowiedział, że pracował tam jako stajenny; nikt tam nie wiedział, że ma dar. Przez cały ten czas nikt, także Nicci, nie zwracał na niego większej uwagi, on zaś - korzystając z tego - musiał badać czar rzucony na pałac. Z tego, co wiedziała, większość uczniów Brata Narewa stanowili młodzi czarodzieje z Pałacu Proroków, a oni mieli dostęp do podziemi. Mogli mu przekazać pomocne informacje. Ale czy naprawdę potrafili tego dokonać?

- Opowiedz mi o pałacu - rzekła, woląc jego głos od badawczego spojrzenia oczu jak z koszmarnego snu.

Najpierw ją pocałował: jak mężczyzna całuje kobietę, a nie jak brutal swoją ofiarę. Zniosła to z nie większą przychylnością niż całą resztę. Zdawało się, że tym razem nie zwrócił na to uwagi, a uśmiech dowodził, że sprawiło mu to przyjemność.

- Spacer przez wszystkie sale to z piętnaście mil. - Jagang uniósł rękę i zaczął kreślić w powietrzu kontury wspaniałego budynku, a potem zapatrzył się w wyimaginowane kształty i podjął opowieść: - Świat nigdy jeszcze nie

widział czegoś równie wspaniałego! Niosę nadzieję Ładu do Nowego Świata, niosę słowo Stwórcy niegodziwcom i chciwcom, niszczę egoistyczne idee starodawnej wiary w magię, w moim ojczystym kraju zaś trwa budowa pałacu. Kamieniołomy całymi latami będą dostarczać surowiec. Jakość kamienia nie pozostawi wątpliwości co do piękna pałacu. Marmur będzie najprzedniejszy. Drewno tylko najlepsze. Każdy surowiec użyty do budowy będzie najlepszy z dostępnych. Budowlę wzniosą najwspanialszi mistrzowie.

- Taaak, ale chociaż będą tam mieszkać i inni - zadrwiła z zimną pogardą Nicci - i tak będzie to okazały monument wystawiony jednemu człowiekowi: wielkiemu i potężnemu imperatorowi Jagangowi.

- Wcale nie. To będzie dzieło ku chwale Stwórcy.

- O? Czyżby i sam Stwórca miał tam zamieszkać?

Jaganga rozgniewało to bluźnierstwo.

- Brat Narev pragnie, żeby pałac oddziaływał moralnie na lud. Będzie duchowym przewodnikiem całego przedsięwzięcia i osobiście dopilnuje budowy, kiedy ja będę torował drogę Ładowi.

To właśnie chciała wiedzieć Nicci.

Jagang wpatrywał się w niewidzialną, zawieszoną w powietrzu budowlę. Powiedział z czcią:

- Brat Narev podziela moją wizję. Zawsze był dla mnie jak ojciec. To on skierował mnie na tę drogę. Jest moim duchowym przewodnikiem. Pozwala, bym zajmował pierwsze miejsce i by to na mnie spływała chwała naszych zwycięstw, ale byłbym nikim bez jego moralnych nauk. Odnoszę zwycięstwa wyłącznie jako zbrojna pięść Ładu, a pięść jest tylko częścią całości, tak jak my wszyscy jesteśmy jedynie nic nie znaczącymi składnikami społeczeństwa. Masz rację: wielu innych mogłoby zająć moje miejsce w Ładzie. Ale to mi przypadło w udziale przewodzenie. Nigdy nie zawiodę zaufania, jakim obdarzył mnie Brat Narev, bo to byłoby jak zdradzenie samego Stwórcy. On ukazuje drogę nam wszystkim. Ja tylko postanowiłem zbudować odpowiedni pałac dla nas wszystkich, zamieszkać tam i władać na użytek wszystkim. To Brat Narev podchwycił mój pomysł i nadał mu moralne znaczenie: każdy, kto ujrzy wielką budowlę, powinien zrozumieć miejsce człowieka w nowym ładzie, pojąć, że człowiek nigdy nie dorówna potęgą Stwórcy i że jest jedynie nic nie znaczącym elementem większej zbiorowości, a jego największym obowiązkiem jest wspomaganie

potrzebujących tak, żeby rozkwitało dobro wszystkich. Powinno to być miejsce, które wzbudzi pokorę w każdym, ukazując mu jego małość w obliczu chwały Stwórcy, ukazując mu jego moralne zepsucie, jego udręczoną i pokrętną wewnętrzną naturę. Bo tacy właśnie są wszyscy ludzie.

Kiedy tak mówił, Nicci niemal widziała ów pałac. To naprawdę będzie lekcja pokory dla ludzi. Słowa Jaganga poruszyły ją równie silnie, jak niegdyś słowa Brata Nareva.

- To dlatego zostałam - wyszeptała. - Bo sprawa Ładu jest słuszna.

Odnalazła brakujący element.

Zapanowała cisza; Jagang znów ją pocałował. Pozwoliła mu na to, a potem wysunęła się z jego objęć. Z wymuszonym uśmiechem patrzył, jak wstała i zaczęła się ubierać.

- Spodoba ci się tam, Nicci. To będzie odpowiednie miejsce dla ciebie.

- O? Dla Królowej-Niewolnicy?

- Dla królowej, jeśli takie jest twoje życzenie. Zamierzam dać ci taką władzę, jakiej nigdy nie miałaś. Będziemy tam szczęśliwi, naprawdę szczęśliwi. Szczęśliwi przez długi, bardzo długi czas.

Naciągnęła pończochę.

- Kiedy Siostra Ulicia i jej cztery towarzyszki znalazły sposób, żeby cię opuścić, zignorowałam ich odkrycie i zostałam, bo wiem, że Ład to jedyna etyczna przyszłość ludzi. Ale teraz...

- Zostałaś, bo bez Ładu byłabyś nikim.

Odwróciła spojrzenie od jego oczu. Wciągnęła suknię przez głowę, wsunęła ramiona w rękawy, obciągnęła spódnicę na biodrach.

- Jestem nikim bez Ładu i nikim z Ładem. Jak każdy. Wszyscy jesteśmy nędznymi, nie nadającymi się do niczego istotami. Taka już jest natura człowieka, tego naucza Stwórca. Ale Ład ukazuje człowiekowi, że ma on obowiązek działać dla dobra ogółu.

- A ja jestem imperatorem Imperialnego Ładu! - Krew odpływała z jego twarzy o wiele wolniej, niż napłynęła; wykonał jakiś nieokreślony gest i podjął już spokojniej: - Pod władzą Ładu świat będzie jednością. Kiedy pałac stanie, Nicci, będziemy w nim szczęśliwi. Ty i ja, pod duchowym przewodnictwem naszych kapłanów. Przekonasz się. Z czasem, kiedy...

- Odchodzę - oznajmiła, wkładając but.

- Nie pozwolę na to.

Nicci przerwała wciąganie drugiego buta i spojrzała w mroczne oczy Jaganga. Skinęła palcem ku kamiennej wazie ustawionej na stoliku pod przeciwległą ścianą. Błysnęło. Waza rozpadła się w pył i drobne odłamki, grzmot zakłócił komnatę. Zakłósały się zasłony. Zabrzęczały szyby. Kiedy kurz osiadł, powiedziała:

- Ty nie pozwolisz?

Nachyliła się i zaczęła sznurować buty.

Jagang podszedł do stolika, przesunął palcami po pyle pozostałym z kamiennej wazy. Odwrócił się ku Nicci w całej nagiej imperatorskiej krasie.

- Grozisz mi? Naprawdę sądzisz, że mogłabyś użyć swojej mocy przeciwko mnie?

- Nie sądzę. - Mocno zaciągnęła sznurowadła. - Wiem to. Ale postanowiłam tego nie robić.

Przybrał wyzywającą pozę.

- A niby dlaczego?

Nicci wyprostowała się i spojrzała mu w twarz.

- Bo, jak sam mówiłeś, Ład cię potrzebuje. A raczej potrzebuje takiej bestii jak ty. Służysz celom Ładu: jesteś zbrojną pięścią. Wzniecasz oczyszczający ogień. Wspaniale się wywiązujesz ze swoich zadań. Można by nawet rzec, że czynisz to z nadzwyczajnym talentem. Jesteś Jagangiem Sprawiedliwym. Rozumiesz znaczenie tytułu, jaki ci nadałam, i wykorzystasz go w sprawie Ładu. To dlatego postanowiłam nie używać przeciwko tobie mojej mocy. To równałoby się wykorzystaniu jej przeciwko Ładowi, przeciwko moim obowiązkom wobec przyszłości ludzi.

- To dlaczego chcesz odejść?

- Bo muszę. - W jej spojrzeniu była zimna determinacja i mordercza groźba. - Zanim odejdę, spędzę trochę czasu z Siostrą Lidmilą. Masz natychmiast i całkowicie usunąć się z jej umysłu na cały ten czas, który z nią spędzę. Skorzystamy z twoich namiotów, skoro je opuściłeś. Zadbasz, żebyśmy były zupełnie same przez cały czas, który spędzimy w namiotach. Każdy, kto tam wejdzie bez mojego upoważnienia, umrze. Dotyczy to również ciebie. Przysięgam ci to jako Siostra Mroku. Gdy skończę i odejdę, będziesz mógł uczynić z Siostrą Lidmilą, co tylko zechcesz, nawet ją zabić, choć nie widzę powodu, dla którego miałbyś to robić, bo odda ci ona olbrzymią przysługę.



- Rozumiem. - Potężna pierś Jaganga uniosła się, bo głęboko zaczerpnął powietrza; potem wolno je wypuścił. - A jak długo cię tym razem nie będzie, Nicci?

- Tym razem nie jest tak jak poprzednio. To coś zupełnie innego.

- Jak długo?

- Może krótko. A może bardzo długo. Sama nie wiem. Pozwól, bym uczyniła to, co muszę, a jeśli zdołam, to pewnego dnia do ciebie wrócę.

Patrzył jej w oczy, ale nie mógł zajrzeć do jej umysłu. Umysłu Nicci strzegł inny mężczyzna i chronił jej myśli przed Jagangiem.

Przez cały czas spędzony z Richardem Nicci nigdy nie zdołała się dowiedzieć tego, co tak żarliwie chciała poznać, lecz w pewnym sensie i tak dowiedziała się za wiele. Przez większość czasu potrafiła zagrzebać tę niepożądaną wiedzę pod ciężarem odrętwiającej obojętności. Jednak czasami - tak jak teraz - wiedza ta znienacka ujawniała się, by nią zawładnąć. W takich wypadkach Nicci była bezradna i mogła jedynie czekać, aż znów zapadnie ona w niepamięć.

Siostra Mroku, wpatrzona w czarną noc nieludzkich oczu Jaganga, oczu, które ujawniały jego ponurą duszę, dotknęła palcem złotego pierścienia, który na rozkaz imperatora tkwił w jej dolnej wardze. Dotknęła znaku mówiącego, że jest osobistą niewolnicą imperatora. Uwolniła cienki strumyk magii subtraktywnej i pierścień przestał istnieć.

- A dokąd się udajesz, Nicci?

- Chcę zniszczyć dla ciebie Richarda Rahla.

## ROZDZIAŁ 15

Zeddicus Zu'l Zorander zdołał słowami i uśmiechem przekonać tamtych żołnierzy, by pozwolili mu przejść, ale tych tutaj w ogóle nie wzruszały tłumaczenia, że jest dziadkiem Richarda. Pomyślał, iż powinien wejść do obozu za dnia, co uchroniłoby go przed wieloma podejrzeniami, ale był zmęczony i nie przypuszczał, że to się okaże aż tak kłopotliwe.

Bardzo mu się podobała słuszna podejrzliwość żołnierzy, ale był znużony i miał na głowie ważniejsze sprawy niż odpowiadanie na pytania. To on chciał pytać.

- Czemu chcesz się z nim zobaczyć? - powtórzył wyższy wartownik.

- Już mówiłem, że jestem dziadkiem Richarda.

- Mówisz o Richardzie Cypherze, który teraz...

- Tak, tak. Tak się nazywał, kiedy dorastał, i przyzwyczailem się go tak nazywać, ale miałem na myśli obecnego Richarda Rahla. Lorda Rahla, twojego wodza. Sądziłem, że jako dziadek kogoś tak ważnego jak wasz lord Rahl zasługuję na szacunek. A może i na gorący posiłek.

- Mógłbym powiedzieć, że jestem bratem lorda Rahla - oznajmił żołnierz, krzepko trzymając konia Zedda za wędzidło - choć się nim przez to nie stanę.

- Też prawda - westchnął Zedd.

Co prawda, irytowało to Zedda, ale w głębi duszy był zadowolony, że żołnierze nie byli głupcami i że nie dało się ich łatwo zwieść.

- Jestem również czarodziejem - dorzucił, groźnie marszcząc brwi dla efektu. - Gdybym nie był przyjaźnie usposobiony, mógłbym was usmażyć i spokojnie pójść dalej.

- A gdybym ja nie był przyjaźnie usposobiony - odparował żołnierz - skoro już pozwoliliśmy ci dość aż tutaj i jesteś okrążony, dałbym sygnał i dwunastu skrytych w mroku łuczników wypuściłoby wycelowane w ciebie strzały. A celują w ciebie, od kiedy zbliżyłeś się do obozu.

- Ach - Zedd triumfalnie uniósł palec - wszystko to pięknie i wspaniale, ale...

- Ale gdybym i miał umrzeć, służąc lordowi Rahlowi, to te strzały wystrzelono by i bez mojego sygnału.

Zedd teatralnie chrząknął, opuścił palec, ale uśmiechnął się w duchu. Był Pierwszym Czarodziejem, ale gdyby nie znajdował się w przyjacielskim obozie, to prosty żołnierz pokonałby go w tej słownej potyczce.

A może i nie.

- Po pierwsze, sierzancie, jestem, jak już powiedziałem, czarodziejem i dlatego wiem o obecności owych łuczników. Uporałem się z tym zagrożeniem, rzucając urok na ich strzały, i teraz są one równie ostre i śmiertelne, jak kuchenne zmywaki. Nie muszę się ich obawiać. Po drugie, jeżeli nawet kłamię, a właśnie to teraz podejrzewasz, to popełniłeś błąd, informując mnie o tym zagrożeniu, bo jako potężnemu czarodziejowi daje mi to możliwość posłużenia się magią i zlikwidowania go.

Żołnierz zaczął się uśmiechać.

- Nooo, ale numer. - Podrapał się w głowę, spojrzał na kolegę, a potem znów na Zedda. - Masz rację, dokładnie tak sobie myślałem: że kłamiesz, mówiąc, iż wiesz, że łucznicy kryją się w mroku.

- Widzisz, młody człowieku? Wcale nie jesteś taki sprytny.

- Racja, panie. Nie jestem. Tak się zaaferowałem rozmową z tobą i wystraszyłem twojej magicznej mocy, że kompletnie zapomniałem cię poinformować, co jeszcze kryje się w mroku i cię obserwuje... - Żołnierz zmarszczył brwi. - A ośmielam się twierdzić, że to odrobinę groźniejsze niż jakieś tam strzały.

Zedd łypnął na niego gniewnie.

- Słuchaj no...

- A może byś tak zrobił to, o co proszę, zsiadł z konia, stanął przy ognisku, gdzie bym cię lepiej widział, i odpowiedział mi na parę pytań?

Zedd westchnął z rezygnacją i zsiadł z konia. Uspokajająco poklepał Spider po karku. Spider, kasztanka, miała na zadzie czarne zamię - stąd jej imię. Młoda, krzepka, miła i bystra, okazała się wspaniałym kompanem w podróży. Ona i Zedd wiele razem przeżyli.

Czarodziej wszedł w krąg blasku rzucanego przez ogień. Uniósł dłoń wnętrzem ku górze i tuż nad nią zapalił biały płomień. Obaj żołnierze szeroko otworzyli oczy. Zedd spojrzał na nich groźnie.

- Skoro chcesz lepiej widzieć, to mam własny ogień. Czy dzięki temu łatwiej dostrzec to, co trzeba, sierzancie?

- Nnnnooo... taaaak... tak, panie - wyjąkał zapytany.

- O tak, to pomogło - odezwała się kobieta, wchodząc w krąg blasku. - Dlaczego od razu nie posłużyłeś się swoją Han? - Dała znak w mroki, jakby sygnalizowała innym, by się wycofali. Odwróciła się ku czarodziejowi z uprzejmym i tylko uprzejmym uśmiechem. - Witaj, czarodzieju.

Zedd się skłonił.

- Zeddicus Zu'l Zorander, Pierwszy Czarodziej...?

- Jestem Siostra Philippa, czarodzieju Zoranderze, pomocnica Ksieni.

Dała znak i sierzant wyjął cugle z dłoni Zedda, żeby odprowadzić konia. Czarodziej klepnął żołnierza w łopatkę na znak, że nie żywi doń urazy, a potem poklepał Spider, by wiedziała, że może bezpiecznie odejść z wojakami.

- Otocz ją wyjątkową opieką, sierzancie. Spider to przyjaciółka.

Żołnierz zasalutował, przykładając pięść do serca.

- I tak będzie traktowana, panie.

Strażnicy odprowadzili kasztankę, a Zedd zapytał:

- Ksieni? A której?

- Ksieni Verny, rzecz jasna. - Siostra splotła dłonie.

- A tak, oczywiście. Ksieni Verny.

Siostry Światła nie wiedziały, że Ann wciąż żyje. A przynajmniej żyła, kiedy ją Zedd ostatnio widział kilka miesięcy temu. Ann napisała w swojej książce podróży, że żyje, ale poprosiła Vernę, żeby na razie nie rozgłaszała tej wiadomości. Zedd miał nadzieję, że może Ann dotarła do obozu armii d'harańskiej i jest ze swoimi Siostrami Światła. Żałował, że tak się nie stało. To nie wróżyło jej nic dobrego.

Zedd nie miał dobrego zdania o Siostrach Światła - trudno było zapomnieć o długotrwałej niechęci - ale zaczął szanować Ann za zdecydowanie i samodyscyplinę, mimo że nie pochwalał jej niektórych przekonań i minionych dążeń. Przekonał się jednak, że on i Ann cenili wiele tych samych wartości. Za to zupełnie nie wiedział nic o pozostałych Siostrach.

Siostra Philippa wyglądała na kobietę w średnim wieku, ale w przypadku Sióstr niewiele to znaczyło. Mogła mieszkać w Pałacu Proroków albo rok, albo całe wieki. Ciemne oczy i wysoko osadzone kości policzkowe nadawały jej egzotyczny wygląd. W Starym Świecie, podobnie jak w Midlandach, były okolice, których mieszkańcy odznaczał się charakterystycznymi cechami.

Siostra Philippa poruszała się - jak wszystkie dumne kobiety - z gracją łąbiedzia.

- Co mogę dla ciebie zrobić, czarodzieju Zoranderze?

- Wystarczy Zedd. Może wasza Ksieni nie śpi?

- Nie śpi. Proszę za mną, Zeddzie.

Popłynęła ku ciemnym zarysom namiotów, a czarodziej ruszył za nią.

- Znalazłoby się coś do jedzenia?

Obejrzała się nań przez ramię.

- O tak późnej porze???

- Jechałem co koń wyskoczy... Chyba nie jest jeszcze aż tak późno, co?

Obróciła się w mroku i obrzuciła go przelotnym spojrzeniem.

- Sądzę, że zgodnie z naukami Stwórcy, nigdy nie jest za późno. Ty zaś jesteś wychudzony. To pewnie skutek tych twoich podróży. - Jej uśmiech stał się nieco cieplejszy. - Żywność stale jest pod ręką, bo niektórzy żołnierze działają nocą i trzeba ich nakarmić. Na pewno coś dla ciebie znajdę. - Znow skierowała wzrok na niedostrzegalną ścieżkę.

- Okazałabyś mi uprzejmość - odparł Zedd jowialnym tonem, spoglądając gniewnie na plecy Siostry. - I wcale nie jestem wychudzony, tylko żyłasty. Większość kobiet uważa, że szczupli mężczyźni są pociągający.

- Naprawdę? Nie miałam o tym pojęcia.

Siostry Światła to harde sztuki, pomyślał ponuro Zedd. Przez tysiące lat groziła im śmierć, gdyby choć stopę postawiły w Nowym Świecie. Zedd zawsze był nieco bardziej pobłażliwy - ale nie za bardzo. W przeszłości Siostry pojawiały się w Nowym Świecie tylko po to, żeby wykraść chłopców mających dar. Twierdziły, że ich ratują. Nauczanie czarodziejów było zadaniem dla czarodziejów. Jeżeli pojawiały się po to, żeby zabrać jakiegoś chłopca za wielką granicę, do swojego pałacu, Zedd uważał to za najcięższe przestępstwo.

Minionej zimy pojawiły się właśnie w tym celu i zabrały Richarda. To Siostra Verna pojmała chłopaka i zabrała go do Starego Świata. Groziło mu, że spędzi całe wieki w chronionym czarem pałacu. I tylko jeden Richard mógł się zaprzyjaźnić z Siostrami Światła.

Zedd uważał, że on i Siostry wyrównali rachunki - w końcu i one miały powód, by go surowo osądzać. Bo przecież to on rzucił czar, który Richard wykorzystał do zniszczenia pałacu. Co prawda, pomagała w tym Ann,

wiedząc, że jedynie w ten sposób można zapobiec przejściu przez Jaganga i pałacu, i przechowywanych w nim prorocत्व oraz wykorzystaniu ich do jego nieuczynnych celów.

Po całym obozowisku chodzili rośli wartownicy. Wyglądali imponująco w kolczugach i skórzanych pancerzach. Przemykali się w ciemnościach i bacznie wszystko obserwowali. Obóz był względnie cichy, biorąc pod uwagę jego rozmiary. Niełatwo było dopilnować, by tak wielu żołnierzy zachowywało ciszę. A hałas mógłby przecież dostarczyć wrogowi najrozmaitszych informacji.

- Rada jestem, że pierwsza osoba z darem, która wtargnęła do naszego obozu, okazała się przyjacielem - odezwała się Siostra.

- A ja się cieszę, że osoby z darem wspomagają wartowników. Są przecież wrogie rajdy, których zwykle posterunki nie rozpoznają. - Zedd był ciekaw, czy naprawdę byli przygotowani na tego rodzaju tarapaty.

- Jesteśmy tutaj, żeby stwierdzić, czy w grę wchodzi magia.

- Sądzę, że obserwowалаś mnie cały czas.

- Tak - przyznała Siostra Philippa. - Od kiedy przekroczyłeś linię tamtych wzgórz.

- Naprawdę? - Zedd podrapał się po brodzie. - Aż tak daleko?

- Aż z tej odległości - potwierdziła z dumnym uśmiechem.

Spojrzał przez ramię w noc.

- Wy obie. Wspaniale.

Zatrzymała się i obróciła ku niemu.

- Obie? Wiedziałaś, że nie jestem sama?

- Ależ oczywiście. - Zedd uśmiechnął się niewinnie. - Ty jedynie obserwowалаś. Ona była trochę dalej, śledziła mnie i szykowała jakieś paskudztwo, na wypadek gdybym się okazał niebezpieczny.

Siostra Philippa aż zamrugowała ze zdumienia.

- Niesamowite. Wyczuwałaś, jak dotyka swojej Han? Z takiej odległości?

Zedd z zadowoleniem potaknął.

- Nie dlatego zrobili ze mnie Pierwszego Czarodzieja, że jestem zyłasty.

Uśmiech Siostry Philippy nareszcie stał się szczery.

- Jakie to szczęście, że przybyłeś jako przyjaciel, a nie wróg.

W tym stwierdzeniu było więcej prawdy, niż Siostra sobie uświadamiała; Zedd miał duże doświadczenie w nieprzyjemnych i paskudnych czarach na

potrzeby wojny. Gdy tylko zbliżył się do obozu, od razu dostrzegł luki w obronie i brak umiejętności w posługiwaniu się darem do tych celów. Nie myśleli tak, jak rozumowałby wróg. Gdyby przybył w złych zamiarach, w całym obozie już panowałoby zamieszanie, pomimo środków ostrożności podjętych na wypadek zjawienia się kogoś takiego jak on.

Siostra Philippa znów poprowadziła Zedda przez noc. Trochę mu było nieswojo iść tak przez obóz D'Harańczyków, choć wiedział, że tym razem walczą po tej samej stronie. Sporą część życia byli śmiertelnymi wrogami. Richard to wszystko odmienił. Zedd westchnął. Czasami myślał sobie, że jego wnuk mógłby się zaprzyjaźnić i z gromem, i z błyskawicą i zaprosić je na obiad.

Wszędzie dokoła majaczyły ciemne zarysy namiotów i wozów. Broń drzewcową ustawiono w równiutkich szeregach, gotową do użycia w razie nagłej potrzeby. Jedni żołnierze pochrapywali, inni siedzieli kręgiem i cicho rozmawiali albo cichutko się śmiali, jeszcze inni patrolowali atramentowe mroki. Ci ostatni przechodzili tak blisko Zedda, że czuł ich oddech, ale w ciemnościach nie mógł dostrzec ich twarzy.

Przy każdej możliwej drodze ustawiono dobrze ukryte warty. W obozie płonęło bardzo niewiele ognisk, a i te były małe i znajdowały się z dala od głównych sił, toteż cały obóz tonął w ciemnościach. W niektórych armiach wykonywano nocami sporo prac, naprawiając lub wytwarzając potrzebne rzeczy, a żołnierzom pozwalano robić, co chcieli. Ci natomiast zachowywali nocami ciszę, więc szpiegujące oczy i nasłuchujące uszy nie zdobywały żadnych informacji. Byli to dobrze wyszkoleni, zdyscyplinowani zawodowi żołnierze. Z oddali trudno było ocenić rozmiary obozu. A był rozległy.

Siostra Philippa zaprowadziła Zedda do sporego namiotu, na tyle wysokiego, że można było w nim stać. Przez płócienne ściany i dach przeświecał bursztynowo blask palących się w środku lamp. Siostra zanurkowała pod linką odciągową i wsunęła głowę do namiotu.

- Mam tutaj czarodzieja, który pragnie się zobaczyć z Ksienią.

Zedd usłyszał stłumione, pełne zdumienia zezwolenie.

- Wejdz. - Siostra Philippa uśmiechnęła się i łagodnie go popchnęła. - A ja się zorientuję, czy znajdę dla ciebie coś na kolację.

- Będę ci nie tylko wdzięczny, ale stanę się twoim dłużnikiem - oznajmił Zedd. Wszedł do środka, a znajdujący się tam ludzie właśnie wstawali, żeby

go powitać.

- Zedd! Ty wariacie! Żyjesz!

Zedd uśmiechnął się, kiedy rzuciła mu się w ramiona Adie, znana w ich przybranej ojczyźnie, Westlandzie, jako kościana babka. Aż stęknął, bo na chwilę pozbawiła go oddechu. Przytulił do piersi jej głowę i pogładził sięgające tuż za ucho przetykane siwizną czarne włosy.

- Obiecałem, że znów mnie zobaczysz, nieprawdaż?

Odsunęła się, trzymając go za ramiona, i przyjrzała mu się. Wyciągnęła rękę i przyglądała niesforne faliste włosy czarodzieja.

- Jesteś śliczna jak zawsze - powiedział.

Przyjrzała mu się swoimi zupełnie białymi oczami. Pozbawiono ją wzroku, kiedy była młodą kobietą. Teraz widziała dzięki swojemu magicznemu darowi. Pod pewnymi względami widziała lepiej.

- Gdzie twój kapelusz?

- Kapelusz?

- Kupiłam ci śliczny kapelusz, a ty go zgubiłeś. I dalej nie masz nowego. A mówiłeś, że się postarasz o inny. Nawet to obiecywałeś.

Zedd nie znosił kapelusza z długim piórem, który Adie kupiła mu do reszty stroju. Wolałby przywdziewać skromne szaty, jak przystało czarodziejowi o jego randze i powadze, ale Adie „zgubiła” je, kiedy kupił te wyszukane bordowe szaty z czarnymi rękawami i bufiastymi ramionami, które teraz nosił. Mankiety zdobiły trzy naszywki ze srebrnego brokatu. Szersza naszywka ze złotego brokatu okalała wycięcie wokół szyi i spływała w dół przodem stroju. Czerwony aksamitny pas ze złotą klamrą opinał wąską talię Zedda. Taki strój przysługiwał osobie z magicznym darem w nowicjacie. W przypadku kogoś pozbawionego daru oznaczał osobę wysokiego rodu lub - w wielu okolicach - bogatego kupca, więc choć czarodziej nie lubił tak ostentacyjnego stroju, niekiedy okazywał się on znakomitym przebraniem. Poza tym bardzo podobał się Addie w tych bordowych szatach. Ale kapelusz - to już było dla Zedda stanowczo zbyt wiele. Był zupełnie nie na miejscu.

Zedd zauważył, że Adie zdołała zachować swoje skromne odzienie. Jediną ozdobą jej stroju był okalający dekolt haft z złotych i czerwonych paciorków układających się w starożytne symbole jej profesji - czarodziejki.

- Byłem ogromnie zajęty - rzekł, starając się gestem zbyć ów temat. -



Inaczej kupiłbym sobie nowy.

- Też coś - prychnęła. - Kręcisz.

- Wcale nie, byłem...

- Ciiiicho - poleciała Adie. Krzepko trzymając ramię czarodzieja, wskazała długimi chudymi palcami drugiej dłoni: - To Verna, Zeddzie, Ksieni Sióstr Światła.

Kobieta wyglądała, jakby jeszcze nie miała czterdziestki albo dopiero co ją przekroczyła. Zedd wiedział jednak, że jest dużo starsza. Ann, poprzedniczka Verny, podała mu jej wiek; nie pamiętał dokładnie, ale było to około stu sześćdziesięciu lat - niewiele jak na Siostrę Światła. Miała ładne rysy twarzy i kasztanowe włosy akurat na tyle kręcone i bujne, żeby dodać jej odrobinę kokieterii. Jej twarde piwne oczy mogły zetrzeć na proszek. Zastygły na twarzy Verny wyraz zdecydowania zdradzał, że otoczyła się skorupą równie ciasną i twardą, jak chitynowy pancerzyk żuka.

Zedd skłonił głowę.

- Ksieni. Pierwszy Czarodziej, Zeddicus Zu'l Zorander, do twoich usług. - Ton głosu świadczył, że to tylko figura stylistyczna.

To właśnie ta kobieta zabrała Richarda do Starego Świata. Jeśli nawet wierzyła, że ocali mu tym życie, Zedd - jako Pierwszy Czarodziej - uważał, że to odrażający czyn. Siostry, a wszystkie były czarodziejkami, sądziły, że mogą szkolić chłopców mających dar na czarodziejów. Myliły się: jedynie inny czarodziej mógł prawidłowo wykonać to zadanie.

Wyciągnęła ku niemu dłoń z pierścieniem ozdobionym promienistym słońcem. Pochylił się i ucałował dłoń, podejrzewając, że to u nich w zwyczaju. Potem ona ucałowała dłoń czarodzieja.

- Z pokorą witam człowieka, który pomagał wychowywać naszego Richarda. Na pewno jesteś równie szczególną osobą jak on, a o tym ostatnim przekonałam się, kiedy zaczęłyśmy go uczyć. - Zmusiła się do śmiechu. - Przekonałyśmy się, że szkolenie twojego wnuka to ciężka robota.

Zedd nieco zmienił o niej zdanie, zaczął ją traktować z większą ostrożnością. Powietrze w namiocie było duszne i ciężkie.

- To dlatego, że jesteście niczym krowy, które próbują nauczyć konia, jak ma galopować. Wy, Siostry, powinniście poprzestać na odpowiedniejszej dla was robocie.

- No, no, Zeddzie, aleś ty błyskotliwy - burknęła Adie. - Wprost genialny.

Jeszcze pewnego dnia dam ci wiarę. - Pociągnęła go za rękaw, odwracając od spurpurowiałej twarzy Verny. - A to jest Warren - oznajmiła.

Zedd skinął mu głową, ale chłopak już padał na kolana i pochylał blond głowę w niskim ukłonie.

- Czarodzieju Zoranderze! To dla mnie wielki zaszczyt. - Poderwał się na nogi, złapał oburącz dłoń Zedda i zaczął nią potrząsać tak energicznie, że czarodziej pomyślał, iż za chwilę wyrwie mu ramię ze stawu. - Bardzo się cieszę, że cię poznałem. Richard mi wszystko o tobie opowiedział. Jestem zachwycony, że mogłem poznać czarodzieja o takiej randze i talentach. Byłbym szczęśliwy, mogąc się od ciebie uczyć.

Im bardziej zachwyconą minę miał Warren, tym gniewniej patrzyła Verna.

- I ja się cieszę, że cię poznałem, chłopcze.

Zedd nie powiedział Warrenowi, że Richard o nim nie wspomniał. Jednak nie wynikało to przecież ani z braku szacunku, ani z zapomnienia. W końcu Richard nie miał okazji powiedzieć słowa o całym mnóstwie ważnych spraw. Wyczuwał poprzez krzepki uścisk dłoni Warrena, że to czarodziej o niezwykłych talentach.

Zbliżył się zwałisty mężczyzna o kędzierzawej rdzawej brodzie i krzaczastych brwiach. Szarozielone oczy patrzyły groźnie, ale uśmiechał się jak żołnierz, który po długim marszu dostrzegł porzuconą beczułkę piwa.

- Generał Reibisch, dowódca armii d'harańskiej tutaj, na południu - rzekł, ujmując dłoń Zedda, kiedy Warren wreszcie ją puścił i wrócił na swoje miejsce obok Verny. - Dziadek lorda Rahlą! Spotkanie z tobą to szczęśny traf, panie. - Uścisk dłoni miał krzepki, lecz nie sprawiający bólu; wzmocnił go. - Naprawdę bardzo fortunny.

- O tak, istotnie - mruknął Zedd. - I niefortunny jak okoliczności, generale Reibisch.

- Niefortunny...?

- Zostawmy to na razie - stwierdził Zedd i sam zapytał: - Powiedz mi, generale, czy już zaczęliście kopać masowe groby? A może wolicie, żeby ci nieliczni, co przeżyją, zwyczajnie zostawili wszystkie zwłoki?

- Zwłoki...?

- No... tak, zwłoki twoich żołnierzy, którzy umrą.

## ROZDZIAŁ 16

- Mam nadzieję, że lubisz jajka! - zawołała Siostra Philippa, wchodząc do namiotu z parującym talerzem.

- Cudownie! - Zedd zatarł dłonie.

Reszta obecnych trwała w pełnym zdumienia oszołomieniu. Siostra Philippa najwyraźniej nie zauważyła ich otwartych ust.

- Skłoniłam kucharza, żeby dodał szynki i kilka innych rzeczy, które miał na podorędziu. - Obrzuciła spojrzeniem postać Zedda. - Uznałam, że powinienes nabrać trochę ciała.

- Wspaniale! - Czarodziej rozpromienił się, biorąc od Philippy talerz załadowany jajecznicą na szynce.

- A... - zaczął generał, nie bardzo wiedząc, jak sformułować pytanie - czy mógłbyś nam łaskawie wytłumaczyć, co przez to rozumiesz, czarodzieju Zoranderze?

- Wystarczy Zedd. - Przestał na chwilę wdychać upajający aromat dania. - Martwi. - Przesunął widelcem po gardle. - Umarli, rozumiesz. Prawie wszyscy. Nieżywi. - Spojrzał na Siostrę Philippę. - Zachwycająco pachnie. - Znów wciągnął aromat unoszący się z talerza. - Po prostu wspaniale. Jesteś życzliwą i domyślną kobietą, skoro zadbałaś, żeby kucharz dodał tak znakomite ingrediencje. Po prostu zachwycające.

Siostra promieniała.

Generał uniósł rękę.

- Czarodzieju Zoranderze, czy mógłbym...

- Nie wygrasz z jadłem - Adie uciszyła krzepkiego generała. - Bądź cierpliwy.

Zedd włożył do ust porcję stawy, pomrukując z zachwytu nad jej aromatem i smakiem. Potem nabrał kolejną, a Adie podprowadziła go ku ławie ustawionej z boku namiotu. Na stojącym pośrodku stole znajdowało się kilka kubków i lampa, która nie tylko oświetlała zaciszny namiot, ale i wypełniała go swoją oleistą wonią.

Nie zważając na doradzaną przez Adie cierpliwość, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie; zadawali pytania i wysuwali zarzuty. Zedd nie zwracał na to uwagi, zajadając z apetytem jajecznicę. Spore kawałki szynki były

przepyszne. Pomachał widelcem ze szczególnie soczystym kawałkiem mięsiva do skonfundowanych widzów na znak swojego zachwytu. Korzenie, cebula, papryka i ciepłe bryłki sera - wszystko było przepyszne. Przewracał oczami i jęczał z zachwytu.

To był najlepszy posiłek, jaki jadł od wielu dni. Prowiant podróżny był skromny i już dawno mu się znudził. Często utyskiwał, że Spider jada lepiej niż on. Spider najwyraźniej też była tego zdania, co go jeszcze bardziej irytowało. Nie jest wskazane, żeby koń był bardziej zadowolony niż jeździec.

- Philippo - burknęła Verna - musisz się tak zachwycać talerzem jajeczniczy?

- Przecież ten biedak niemal umiera z głodu. - Zdumiona gniewnym spojrzeniem Verny, wskazała Zedda: - Przyjrzyj no mu się. Jestem szczęśliwa, widząc, jak się raduje strawą, i zadowolona, że mogłam pomóc jednemu z obdarowanych przez Stwórcę.

Zedd zwolnił, kiedy potrawa stanowczo zbyt szybko zaczęła znikać, i zostawił sobie kilka ostatnich kęsów. Mógłby zjeść jeszcze jedną taką porcję. Generał Reibisch siedział naprzeciwko czarodzieja na drugiej ławie i energicznie maltretował kosmyk brody. Teraz nachylił się, wbijając w Zedda zdeterminowane spojrzenie.

- Czarodzieju Zoranderze, chciałbym...

- Zeddzie. Zapomniałeś?

- Tak, Zeddzie. Odpowiadam za życie żołnierzy, Zeddzie. Mógłbyś mi łaskawie powiedzieć, czy sądzisz, że są w niebezpieczeństwie?

- Już to powiedziałem - odparł czarodziej z pełnymi ustami.

- Ale... jakież to rodzaj zagrożenia?

- Ci z darem. Wiesz, magia.

Generał wyprostował się, minę miał poważną. Wbił palce w swoje muskularne uda.

- Ci z darem?

- Tak. Wróg ma takich w swoich szeregach. Sądziłem, że o tym wiecie.

Reibisch kilka razy zamrugął i znów się nad tym zadumał, usiłując wyłowić wieść o tajemnym niebezpieczeństwie ze stwierdzenia Zedda.

- Oczywiście, że o tym wiemy.

- Ach. To dlaczego nie kopiecie masowych grobów?

Verna skoczyła na równe nogi.

- Na Stwórcę! Za kogo ty nas uważasz?! Za służebne dziewczki?! Zdatne tylko do przynoszenia ci strawy?! Jesteśmy Siostrami, mamy dar i naszym zadaniem jest chronienie wojska przed tymi Siostrami, które pojmał Jagang!

Adie ukradkiem dała Vernie znak, by usiadła i milczała. Odezwała się słodkim, nieco ochryłym głosem:

- Może byś nam powiedział, Zeddzie, co stwierdziłeś? Jestem przekonana, że i generał, i Ksieni chętnie usłyszą, jak poprawić naszą obronę.

Zedd zgarniał pozostałe na talerzu drobiny, formując z nich ostatnią, skromną porcyjkę.

- Wcale nie zamierzałem wam zarzucać, Ksieni, że się do tego nie nadajecie.

- Z całą pewnością zam...

- Jesteście zbyt dobre, ot co.

- Słucham???

- Zbyt dobre. Ty i twoje Siostry całe życie staracie się wspomagać ludzi.

- Cóż... ja... my... to oczywiste, że pomagamy ludziom. To nasze powołanie.

- A zabijanie nie. Za to Jagang będzie chciał zabić was wszystkich.

- Wiemy o tym, Zeddzie. - Generał drapał się po brodzie, popatrując to na czarodzieja, to na Vernę. - Ksieni i jej Siostry pomogły nam wykryć wielu wrogich zwiadowców i innych takich. Podobnie jak obecna tu Siostra Philippa, która wykryła ciebie, kiedy zbliżałeś się do obozu. One powiedziały nam o osobach, chcących nam zaszkodzić. Nie skarżąc się, wykonały swoją robotę, Zeddzie. Każdy żołnierz w obozie cieszy się, że są z nami.

- Bardzo to piękne i wspaniałe, ale kiedy armia Imperialnego Ładu zaatakuje, będzie zupełnie inaczej. Posłużą się ludźmi z darem, żeby wygubić wasze wojska.

- Mogą się starać - upierała się Verna, usiłując nie krzyczeć, do czego najwyraźniej aż się paliła - ale jesteśmy przygotowane, żeby to udaremnić.

- Właśnie - potwierdził zdecydowanie Warren. - Przez cały czas trwają w pogotowiu mający magiczną moc.

- To dobrze, to dobrze - powiedział Zedd przeciągle, jakby to ponownie rozważał. - Więc rozprawiliście się z prostszymi zagrożeniami? Jak na przykład z białymi moskitami?

- Z czym??? - Generał Reibisch zmarszczył krzaczaste brwi.

Zedd machnął widelcem.

- No to powiedzcie, żeby zaspokoić moją ciekawość, co zamierzają zrobić obdarzeni magiczną mocą, kiedy ruszą na nas siły wroga? Konnica, powiedzmy?

- Utworzyć przed ich konnicą linię ognia - odparł bez wahania Warren. - A kiedy się w nią dostanie, spalimy ich na popiół, nim zdążą rzucić choć jedną włócznię.

- Aaa - powiedział Zedd. - Ogień. - Włożył do ust ostatnią porcję jajecznicy, a wszyscy patrzyli w milczeniu, jak żuje. Przerwał na moment i spojrzał na nich. - Wielki ogień, jak sądzę? Olbrzymie jęzory płomieni i tak dalej?

- O jakich moskitach on mówi? - mruknął cicho generał Reibisch do Verny i Warrena, siedzących przy nim, a naprzeciwko Zedda i Adie.

- Właśnie - odparła Verna, ignorując generała; ten westchnął i założył ramiona na wypukłej piersi. - Taką linię ognia, jak trzeba. - Odczekała, aż Zedd przełknie. - Czy widzisz w tym coś niezadowolającego, Pierwszy Czarodzieju?

Zedd wzruszył ramionami.

- Cóż... - Przerwał, zachmurzył się. Pochylił się ku generałowi, uważnie mu się przyjrzał i wskazał kościstym palcem na jego skrzyżowane ramiona. - O, jest jeden. Moskit wysysa twoją krew, generale.

- Co? Och. - Reibisch pacnął owada dłonią. - Mnóstwo ich tego lata. Ale myślę, że ich pora ma się już ku końcowi. Powiem ci, że z radością pozbedziemy się tych utrapieńców.

Zedd znów pomachał palcem.

- I wszystkie były takie jak ten?

Generał Reibisch uniósł rękę i przyjrzał się zabitemu moskitowi.

- Tak, krwiożercze małe... - Umilkł. Przyjrzał się dokładniej, ostrożnie ujął w palce skrzydełko małego owada i podniósł go ku oczom, żeby lepiej widzieć. - Ja... to coś - jego twarz pobladła - jest białe. - Szarozielone oczy spojrzały na Zedda. - Co to mówiłeś o...?

- O białych moskitach - potwierdził Zedd, odstawiając na ziemię pusty talerz. Wskazał patykowatym palcem na rozplaszczonego napastnika. - Widziałeś kiedy białą gorączkę, generale? A ktoś z was? Jest okropna.

- Co to za biała gorączka? - spytał Warren. - Nigdy o niej nie słyszałem. Ani nie czytałem, jestem tego pewny.

- Naprawdę? Pewnie to coś z Midlandów.

Generał jeszcze dokładniej przyjrzał się trzymanemu w palcach malutkiemu białemu owadowi.

- A co czyni ta biała gorączka choremu?

- Ooo, ciało robi się przeraźliwie białe. - Zedd machnął widelcem. - A wiecie - powiedział, marszcząc w zadumie brwi, jakby coś sobie przypominał, i popatrzył ku sufitowi namiotu - że widziałem kiedyś czarodzieja, który rozpałił niesamowity ogień przed szarżującą konnicą?

- No proszę - odezwała się Verna. - Więc znasz jego przydatność. Widziałeś efekty.

- Taaa - przeciągnął Zedd. - Tyle tylko, że wróg był przygotowany na taką naiwną sztuczkę.

- Naiwną! - Verna poderwała się. - Nie rozumiem, jak mógłbyś uważać...

- Wróg wyczarował na tę okoliczność zakrzywione osłony.

- Zakrzywione osłony? - Warren odgarnął do tyłu pukiel wijących się blond włosów. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Co to za zakrzywione...

- Czarodziej, który zapalił ogień, oczywiście spodziewał się osłon, więc sprawił, że ogień był na nie odporny. Jednak te osłony wyczarowano nie po to, żeby powstrzymać ogień - Zedd przeniósł wzrok z szeroko otwartych oczu Warrena na gniewne oczy Verny - ale żeby go odepchnąć.

- Biała gorączka? - Generał zamachał trzymanym w palcach owadem. - Czy mógłbyś łaskawie wytłumaczyć...

- Odepchnąć ogień? - zapytał Warren, nachylając się ku Zeddowi.

- Tak - odparł czarodziej. - Toczyć go przed nacierającą konnicą, tak by obrońcy mieli do czynienia nie z szarżą, ale z toczącym się ku nim morderczym płomieniem.

- Drogi Stwórco - wyszeptał Warren. - To pomysłowe, ale osłony na pewno stłumiłyby płomienie.

Zedd gestykułował widelcem, demonstrując osłonę toczącą płomienie.

- Ogień rozpalony przez ich czarodzieja był odporny na przewidywaną obronę, więc nie zgasł. To oczywiście sprawiło, że osłona mogła go bez szkody odepchnąć. No a skoro był odporny na osłony, czarodziej nie mógł stłumić wyczarowanego przez siebie ognia.

- Ale przecież mógł go rozwiać! - Warren był coraz bardziej przerażony, jakby widział toczący się ku niemu jego własny ogień czarodzieja. - Czarodziej, który stworzył ogień, mógł go przecież przywołać i rozwiać.

- Czyżby? - Zedd uśmiechnął się. - I on o tym pomyślał, ale nie był przygotowany na szczególny rodzaj osłony zastosowanej przez wroga. Nie rozumiesz? Nie tylko odpychała ogień, ale i owijała się wokół niego, chroniąc przed jakąkolwiek magiczną ingerencją.

- Oczywiście... - wyszeptał do siebie Warren.

- W osłonę włączono również nakaz powrotu do źródła, więc toczyła ogień ku czarodziejowi, który go rozpałił. Zginął od własnego ognia, który najpierw strawił setki jego ludzi, przedzierając się ku niemu.

W namiocie zapadła cisza. Nawet generał, wciąż trzymający w palcach moskita, siedział jak skamieniały.

- Sami widzicie - podjął wreszcie Zedd, odkładając widelec na talerz - że posługiwanie się darem podczas wojny to nie tylko wykorzystywanie magii, ale przede wszystkim korzystanie z rozumu. Weźcie na przykład tego moskita, którego trzyma w palcach generał Reibisch. Właśnie teraz, korzystając z mroków nocy, dziesiątki tysięcy takich zaklętych przez wroga owadów mogą wślizgiwać się do waszego obozu i zakażać żołnierzy gorączką, a nikt się nawet nie zorientuje, że was zaatakowano. Rankiem zaś wróg uderzy na obóz słabych i chorych żołnierzy i mnóstwo ich wymorduje.

Siedząca przy drugim boku Adie Siostra Philippa spanikowanym gestem odegnała malutkiego, brzęczącego moskita.

- Ale przecież nasi obdarzeni magiczną mocą mogliby temu przeciwdziałać. - Było to raczej usprawiedliwienie niż zdecydowane stwierdzenie.

- Naprawdę? Trudno wykryć taką odrobinę magii. Nikt z was nie wykrył malutkich napastników, czyż nie?

- No, nie, ale...

Zedd wbił gniewny wzrok w Siostrę Philippę.

- Jest noc. A nocą wyglądają na zwyczajne moskity, dokuczliwe, ale nie różniące się od innych. Proszę, sam generał ich nie zauważył. Ani nikt z was, obdarzonych magiczną mocą. Nie potraficie też wykryć roznoszonej przez nie gorączki, bo nie wypatrujecie takiej odrobiny magii. Spodziewacie się czegoś wielkiego, potężnego i strasznego. Większość mających dar Sióstr



zostanie ukłuta podczas snu i nie będą o tym wiedziały, dopóki nie zbudzą się w atramentowej czerni, wstrząsane straszliwą gorączką, i odkryją pierwszy pozbawiający sił symptom owej choroby: ślepotę. Bo nie obudzą się w czerni nocy, świtać już przecież zaczyna, ale obudzą się ślepe. Potem stwierdzą, że nogi odmawiają im posłuszeństwa. Że w uszach dzwonią im nie kończące się wrzaski.

Zedd mówił, a generał popatrywał to tu, to tam, sprawdzając swój wzrok. Potem wpackował gruby palec do ucha, jakby je czyścił.

- Każdy, kogo ukłuje moskit, jest zbyt słaby, żeby się podnieść. Chorzy tracą kontrolę nad ciałem i leżą, bezsilni, we własnych odchodach. Tylko godziny dzielą ich od śmierci... ale te ostatnie godziny wydadzą się im rokiem.

- Jak możemy temu przeciwdziałać? - Warren, siedzący na brzegu ławy, oblizwał wargi. - Jaki jest na to lek?

- Lek? Nie ma żadnego! Teraz ku obozowi zaczyna pełznąć mgła. Tym razem ci nieliczni z darem, którzy jeszcze pozostali, wyczuwają, że nadciągający mrok aż kipi od czarnej, śmiercionośnej magii. Ostrzegają wszystkich. Ci, którzy są zbyt chorzy, żeby wstać, zawodzą z przerażenia. Co prawda, nie widzą, ale słyszą bojowe wrzaski nadciągającego wroga. Wszyscy, którzy mogą, podnoszą się z legowisk, byle tylko nie dostać się w śmiercionośną mgłę. Kilku zbyt słabych, by utrzymać się na nogach, zaczyna pełzać. Pozostali uciekają najszybciej, jak tylko mogą. To ostatni błąd w ich życiu - wyszeptał Zedd i przesunął dłoń przed pobladytymi twarzami słuchaczy. - Wpadają wprost w straszliwą śmiertelną pułapkę.

Wszyscy zsunęli się na skraj ław i słuchali z szeroko otwartymi oczami oraz rozdziawionymi ustami.

- Generale - odezwał się Zedd dziarskim, radosnym głosem, odchylając się do tyłu - i co z tymi masowymi grobami? A może chcesz, żeby ci nieliczni, którzy przeżyją, porzucili chorych na pewną śmierć i zostawili ciała, żeby zgniły? To chyba niezły pomysł. I tak będzie dość zmartwień bez opiekania się umierającymi i grzebania zmarłych, zwłaszcza że dotykanie ich pobielatego ciała może zakazić gorączką tych, którzy przeżyli, a potem...

Verna skoczyła na równe nogi.

- Cóż więc mamy zrobić?! - Wyraźnie widziała groźbę zamętu. - Jak możemy przeciwdziałać tak niegodziwej magii? - Szeroko otwarła ramiona. -

Co powinniśmy zrobić?

- Sądziłem, że ty i Siostry już to wymyśliłyście. - Zedd wzruszył ramionami. - Że wiecie, co robicie. - Machnął ręką przez ramię, wskazując na południe, ku wrogowi. - Wyraźnie słyszałem, jak mówisz, że macie wszystko w garści.

Verna w milczeniu usiadła na ławie obok Warrena.

- Och, Zeddzie... - Generał Reibisch zamilkł, strapiony. Uniósł moskita. - Zaczyna mi się kręcić w głowie, Zeddzie. Mógłbyś coś zrobić?

- Z czym?

- Z gorączką. Wzrok mi się mąci. Możesz coś zrobić?

- Nie, nic.

- Nic.

- Nic, bo nic złego się z tobą nie dzieje. Wyczarowałem kilka białych moskitów dla przykładu. Chodzi o to, że to, co zobaczyłem, kiedy przybyłem do tego obozu, śmiertelnie mnie przeraziło. Jeżeli ci w obozie wroga, którzy mają dar, są istotnie tak podstępni i źli, a w przypadku Jaganga mamy powody, by sądzić, że tak jest, to ta armia jest fatalnie przygotowana na prawdziwe zagrożenie.

Siostra Philippa pospiesznie uniosła rękę, jak uczennica mająca jakieś pytanie.

- Ale... na pewno... byśmy wiedzieli... bo tyle jest wśród nas... mających dar.

- Właśnie to się wam staram cały czas wyjaśnić: w takiej sytuacji nic byście nie wiedzieli. Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszeliście, nigdy czegoś takiego nie widzieliście, nie spodziewacie się tego i nawet nie potraficie sobie wyobrazić tego, co się wam może przytrafić. Wróg z całą pewnością posłuży się zwyczajną magią, i już to spowoduje wystarczające kłopoty, ale powinniście się obawiać białych moskitów.

- Sam mówiłeś, że wyczarowałeś je tylko dla przykładu - odezwał się Warren. - Może wróg nie jest tak bystry jak ty i nie wpadnie na taki pomysł.

- Ład nie dzięki swojej głupocie opanował cały Stary Świat, ale dlatego, że jest bezlitosny. - Zedd mocniej zmarszczył brwi i uniósł palec, podkreślając tym swoje słowa. - Poza tym już wpadli na taki pomysł. Minionej wiosny jedna ze znajdujących się w łapach wroga Sióstr posłużyła się magią, żeby rozpętać siejącą śmierć zarazę, której nie zdołał wykryć nikt z darem. W

mękach zmarły dziesiątki tysięcy ludzi, od noworodków po starców.

Znajdujące się w rękach wroga Siostry stanowiły poważne i nieustanne zagrożenie. Ann wyruszyła na samotną wyprawę, żeby albo wyprowadzić je z obozu Jaganga, albo je wyeliminować. Zedd, z tego, co zobaczył w Andericie, wiedział, że jej się nie powiodło. Nie miał pojęcia, co się z nią stało, ale wiedział, że Jagang nadal więzi Siostry.

- Przecież powstrzymaliśmy zarazę - powiedział Warren.

- Richard ją powstrzymał, bo wyłącznie on mógł to zrobić - Zedd patrzył w oczy młodemu czarodziejowi. - Czy wiesz, że aby nas ocalić przed ponurym losem, musiał się udać do Świątyni Wichrów ukrytej za zasłoną życia, w samych zaświatach? Ani ty, ani ja nie potrafimy sobie nawet wyobrazić, jak go to naznaczyło. Kiedy o tym mówił, widziałem w jego oczach widmowy mrok. Trudno mi nawet ocenić, jak nikłą szansę powodzenia miał mój wnuk, kiedy rozpoczynał tę pozbawioną nadziei podróż. Gdyby nie pokonał wszelkich przeciwności, wszyscy bylibyśmy teraz martwi, zabici przez niewidzialną magiczną zarazę, której nie potrafiliśmy wykryć i której nie mogliśmy powstrzymać. Nie chcę ponownie liczyć na tak nieprawdopodobne wybawienie.

Nie mogli się z nim nie zgodzić; odwrócili wzrok lub lekko skinęli głowami. Zapanował pośepny nastrój.

Verna potarła czoło.

- Duma na nic się nie przyda martwemu. Przyznaję, że nasi mający dar niezbyt wiedzą, jak się nim posłużyć w wojennej potrzebie. Trochę wiemy o walce, może i całkiem sporo, ale przyznaję, że może się to okazać niewystarczające. Uważaj nas za głupców, jeśli taka twoja wola, ale nie sądz, że jesteśmy twoimi przeciwnikami, Zeddzie. Wszyscy stoimy po tej samej stronie co ty. - Jej piwne oczy jaśniały szczerością. - Chętnie przyjęlibyśmy twoją pomoc. W istocie bylibyśmy za nią ogromnie wdzięczni.

- Jasne, że nam pomoże - wtrąciła Adie, łypiąc karcąco na Zedda.

- Zrobiliście dobry początek. Przyznanie, że się czegoś nie wie, to pierwszy krok do wiedzy. - Czarodziej podrapał się po brodzie. - Każdego dnia zdumiewam się, jak głęboka jest moja niewiedza.

- To byłoby wspaniałe - odezwał się Warren. - To znaczy, gdybyś zechciał nam pomóc. - Ton miał trochę niepewny, ale brnął dalej. - Naprawdę chciałbym skorzystać z doświadczenia prawdziwego czarodzieja.

Zedd - przytłoczony ciężarem innych kłopotów - potrząsnął głową.

- Chciałbym wam pomagać i na pewno udzielię wam wszystkim pewnych rad co do najbliższych zadań. Odbyłem jednak długą i wyczerpującą podróż, która, jak się obawiam, jeszcze się nie skończyła. Nie mogę zostać. Wkrótce muszę jechać dalej.

## ROZDZIAŁ 17

Warren odgarnął do tyłu kręcone blond włosy.

- Co to za podróż, Zeddzie?

- Nie musisz dalej trzymać tego spłaszczonego moskita, generale. - Czarodziej wskazał owada kościstym palcem.

Generał Reibisch uświadomił sobie, że wciąż zaciska w palcach skrzydełko moskita. Wszyscy czekali, co powie Zedd. A on wygładzał ciężkie bordowe szaty na patykowatych udach i nieobecny wzrokiem wpatrywał się w ubitą podłogę namiotu. Na koniec westchnął, strapiony.

- Dochodziłem do siebie po cudownym ocaleniu w zmaganiach ze straszliwą magią, na jaką się nigdy wcześniej nie natknąłem, i przy tej okazji spędziłem całe miesiące na poszukiwaniach. Byłem w Andericie i widziałem, co się działo, kiedy wkroczył tam Ład. To był zły czas dla ludzi. Cierpieli nie tylko przez rozpasanych żołdaków, ale i przez jedną z twoich Sióstr, Verno. Nazywali ją Panią Śmierci.

- Wiesz, która to? - spytała Verna, z goryczą słysząc, że jedna z jej Sióstr szkodzi ludziom.

- Nie. Widziałem ją tylko raz, a i to z dużej odległości. Gdybym w pełni odzyskał siły, próbowałbym coś zaradzić, ale nie byłem jeszcze dawnym sobą i wolałem nie ryzykować starcia z nią. Poza tym miała ze sobą kilka tysięcy żołnierzy. Widok owych wojsk, dowodzonych przez kobietę, o której słyszeli i której się lękali, sprawiał, że ludzie wpadali w panikę. Siostra była młoda, jasnowłosa. W czarnej sukni.

- Drogi Stwórco - wyszeptała Verna. - To nie jedna z moich, ale jedna z Sióstr Opiekuna. Bardzo mało kobiet ma taką wrodzoną moc jak ona. Dodała do niej moc nabytą niegodziwymi metodami. Nicci jest Siostrą Mroku.

- Dostałem raporty - odezwał się generał Reibisch, a Zedd poznał po jego ponurym głosie, że były dokładne. - Słyszałem też, że znacznie się tam uspokoiło.

Czarodziej przytaknął.

- Początkowo Ład postępował brutalnie, ale teraz Jagang Sprawiedliwy, jak go zaczęli nazywać, oszczędził mieszkańcom dalszych krzywd. W

większości miejsc, poza Fairfield, gdzie dopuszczono się największej liczby mordów, ludzie zaczęli go popierać, widząc w nim wyzwoliciela prowadzącego ich ku lepszemu życiu. Donoszą na sąsiadów lub podróżnych, na każdego podejrzanego o to, że nie sprzyja szlachetnym ideałom Ładu. Jeździłem po całym Andericie i sporo czasu spędziłem za liniami wroga. Szukałem, ale bez skutku. Potem udałem się w głąb Dziczy i na północ, do wielu miasteczek i kilku miast, ale nie natrafiłem na ich ślad. Uważam, że długo odzyskiwałem dawne zdolności; dopiero niedawno odkryłem, gdzie się znajdujecie. Muszę cię pochwalić, generale: dobrze maskujesz obecność swoich wojsk. Mnóstwo czasu zabrało mi odnalezienie twojej armii. Ale chłopak zniknął bez śladu. - Zedd zacisnął pięści. - Muszę go odnaleźć.

- Masz na myśli Richarda? - spytała Adie. - Szukałeś wnuka?

- Tak. Richarda i Kahlan, obojga. - Zedd bezradnie rozłożył ręce. - Ale muszę przyznać, że bez skutku. Nie natrafiłem na kogokolwiek, kto ich widział. Posłużyłem się każdą z moich umiejętności, ale bez rezultatu. Można by rzec, że już ich nie ma.

Tamci spojrzeli po sobie. Zedd wodził wzrokiem od jednej zdumionej twarzy do drugiej. Po raz pierwszy od miesiąca obudziła się w nim nadzieja.

- Co? O co chodzi? Coś wiecie?

Verna wskazała pod ławę.

- Pokaż mu to, generale.

Ponaglony przez nią Reibisch podniósł zwiniętą mapę. Rozpostarł ją w swoich zgrubiałych dłoniach i położył na ziemi przed sobą. Obrócił mapę tak, by Zedd mógł ją odczytać. Generał postukał palcem w góry na zachodzie Westlandu.

- Właśnie tutaj, Zeddzie.

- Co właśnie tutaj?

- Richard i Kahlan - wyjaśniła Verna.

Zedd zagapił się na nią, a potem spojrział na mapę. Palec generała Reibischa wisiał nad pasmem szczytów. Czarodziej znał te góry. Były niegościnnym miejscem.

- Tu? Drogie duchy, czemuż Richard i Kahlan udali się w takie zakazane okolice? Cóż oni tam robią?

- Kahlan jest ranna - usprawiedliwiła ich Adie.

- Ranna?

- Mało brakowało, by znalazła się w świecie duchów. Z tego, co nam opowiadano, wynika, że może nawet widziała świat za zasłoną. - Adie wskazała mapę. - Richard zabrał ją tam, żeby wyzdrowiała.

- Ale... czemuż miałyby to zrobić? - Zedd przyklepał niesforne włosy na czubku głowy, myśli kłębiły mu się przeraźliwie, bo usiłował pojąć wszystko naraz. - Można ją było uzdrowić...

- Nie. Rzucono na nią czar. Gdyby spróbowano leczyć ją magią, obudziłby się zły, przyczajony urok i zabiłby ją.

Czarodziej nagle zrozumiał.

- Drogie duchy... Całe szczęście, że chłopak w porę się o tym dowiedział. - Zanim dawne krzyki rozbrzmiały w jego myślach, Zedd zatrzasnął bolesne wspomnienia w tajemnym zakamarku umysłu. Z trudem otrząsnął się z tego, co zdołało się wśliznąć do świadomości. - Ale po co poszedł aż tam? Przecież jest tutaj potrzebny.

- Oczywiście, że jest tu potrzebny - parsknęła Verna; ton jej głosu zdradzał, że to drażliwy temat.

- Nie może się tu zjawić - odezwał się Warren. Zedd uporczywie nań patrzył, więc wyjaśnił: - Nie wszystko rozumiemy, ale sądzimy, że Richard działa zgodnie z jakimś proroctwem.

- Proroctwo! - Zedd machnął ręką. - Richard nie przepada za zagadkami. Nie cierpi ich i nie przejmowałby się nimi. Czasami wolałbym, żeby bardziej się z nimi liczył, ale nie chciał.

- Cóż, na to zważa. - Warren na chwilę mocno zacisnął wargi. - To jego własne.

- Jego własne... co?

Warren odkaszlnął.

- Proroctwo.

Zedd skoczył na równe nogi.

- Co takiego?! Richarda?! Bzdura!

- Jest czarodziejem wojny - stwierdziła z powagą Verna.

Zedd powiódł gniewnym wzrokiem po nagle spoważniałych twarzach. Skrzywił się i zamasyście usiadł obok Adie.

- Co to za proroctwo?

Warren miał w palcach swoją fioletową szatę.

- Nie wyjaśnił nam tego dokładnie.

- O, proszę. - Generał Reibisch wyjął z kieszeni jakieś poskładane papiery. - Napisał do mnie listy. Wszyscy je czytaliśmy.

Zedd wstał i wyrwał papiery z wielkiej pięści generała. Podszedł do stolika, rozłożył na nim kartki i wygładził je. Obecni przyglądali się w milczeniu, jak czarodziej pochyla się i czyta słowa Richarda.

Richard z całą stanowczością zrezygnował z władzy. Napisał, że po głębokim namyśle zrozumiał - a miało to moc wizji i teraz już nie ma żadnych wątpliwości - iż jego pomoc tylko doprowadziłaby do katastrofy.

W kolejnych listach zawiadamiał, że Kahlan i on są bezpieczni i że Matka Spowiedniczka powoli wraca do zdrowia. Była z nimi Cara. Nie zmienił swojej decyzji pomimo listów generała Reibischa oraz innych. Ostrzegał ich, że sprawa pokoju na zawsze zostanie stracona, jeżeli on zboczy ze słusznie obranej drogi. Pisał, że nie odwoła ani nie zgani żadnej decyzji wydanej przez generała Reibischa lub przez któreś z nich. Że jest przy nich sercem, ale że w najbliższej przyszłości są zdani na własne siły. A prawdopodobnie już zawsze będą.

W listach tych właściwie nie było żadnej konkretnej wiadomości, poza wzmiankami o jego wizji czy nagłym zrozumieniu i stanowczymi stwierdzeniami, że nie mogą oczekiwać od niego rad i poleceń. Pomimo to Zedd zdołał trochę wyczytać między wierszami.

Czarodziej przeczytał listy i jeszcze długo się w nie wpatrywał. Płomyk lampki powoli kołysał się to w jedną, to w drugą stronę, a czasami trzepotał i ulatywało zeń faliste pasemko tłustawego dymu. Słyszał dochodzące z zewnątrz stłumione głosy, kiedy żołnierze patrolujący obóz przekazywali sobie cicho wieści. W namiocie panowała cisza. Wszyscy znali te listy.

Twarz Verny zdradzała dręczący ją niepokój. Nie mogła już dłużej milczeć.

- Pojedziesz do niego, Zeddzie? Przekonasz go, żeby wrócił do walki?

Zedd lekko musnął palcami list.

- Nie mogę. Tym razem w niczym mu nie mogę pomóc.

- Przecież jest naszym wodzem w tej walce. - Łagodne światło lampy różowiło jej smukłe palce, które przyciskała do czoła; potem znów opuściła rękę. - Bez niego...

Czarodziej nie odpowiedział jej. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak Ann zareagowałaby na taki rozwój wypadków. Od stuleci szperała wśród



proroctw, czekając na narodziny czarodzieja wojny, który poprowadziłby ich do walki o dalsze istnienie magii. Richard był tym czarodziejem wojny, zrodzonym do walki, z której nagle zrezygnował.

- Co myślisz o całej tej sprawie? - zapytała Adie swoim cichym, chrypliwym głosem.

Zedd ostatni raz spojrział na listy. Oderwał wzrok od zapisanych w nich słów i wyprostował się. Wpatrywały się weń oczy wszystkich obecnych w słabo oświetlonym namiocie; zdawało się, iż mają nadzieję, że zdoła ich ocalić przed losem, którego nie pojmowali, ale którego instynktownie się bali.

- To czas próby, mający przeorać do głębi duszę Richarda. - Zedd tak głęboko wsunął dłonie w rękawy szaty, że zetknęły się srebrne brokatowe naszywki. - To próba, którą musi przejść z powodu czegoś, co tylko on dostrzega.

Warren odchrząknął.

- Jakiego rodzaju próba, Zeddzie? Możesz nam to powiedzieć?

Czarodziej wykonał nieokreślony gest, bo przez jego umysł przemknęły wspomnienia straszliwych czasów.

- Walka... pojednanie...

- Jakie pojednanie? - dopytywał się Warren.

Zedd spojrział w niebieskie oczy młodego człowieka, pragnąc, żeby nie zadawał tak wielu pytań.

- Po co masz dar?

- Po co? Cóż... bo ja wiem... chyba... no, po prostu jest. Dar to po prostu zdolność.

- Jest po to, żeby pomagać innym - stwierdziła bezbarwnym głosem Verna. Ciaśniej owinęła ramiona błękitną peleryną, jakby to była zbroja mająca ją chronić przed odpowiedzią Zedda.

- Ach. To co tutaj robisz?

Zaskoczyło ją to pytanie.

- Tutaj?

- Tak. - Zedd wyciągnął ramię, wskazując jakieś nieokreślone, odległe miejsce. - Skoro dar jest po to, żebyś pomagała innym, to dlaczego cię tam nie ma? Są tam chorzy potrzebujący uzdrowienia, ignoranci, których należy uczyć, głodni, których trzeba nakarmić. Dlaczego siedzisz tutaj, zdrowa,

elegancka i dobrze odżywiona?

Verna poprawiła pelerynę, dumnie wyprostowała ramiona.

- Jeżeli podczas walki porzucasz posterunek przy bramie, żeby pomóc rannemu koledze, ulegasz słabości. Nie potrafisz uodpornić się na to jedno cierpienie, żeby nie dopuścić do strat na o wiele większą skalę. Gdybym stąd odeszła, żeby pomóc tym kilku ludziom, których bym w ten sposób zdołała wesprzeć, opuściłabym mój posterunek przy tej armii próbującej nie dopuścić, żeby wróg wyłamał bramę do Nowego Świata.

Nieco wzrósł szacunek Zedda dla tej kobiety. Niezmiernie zbliżyła się do sedna najistotniejszej prawdy. Uśmiechnął się do niej z uznaniem i potaknął. Jeszcze bardziej ją to zaskoczyło niż samo pytanie.

- Dobrze rozumiem, dlaczego Siostry Światła uważa się za lojalne służebnice dobra. - Poglądził brodę. - Czyli jesteś przekonana, że my, urodzeni z darem, przyszedliśmy na ten świat, żeby stać się niewolnikami potrzebujących?

- Nooo... nie... ale w razie wielkiej potrzeby...

- Jeszcze silniej skuwają nas więzy niewolniczej powinności wobec tych, którzy są w cięższej biedzie - dokończył za nią Zedd. - Czyli, według ciebie, każdy potrzebujący staje się z prawa naszym panem? A my jesteśmy najemnymi sługami danej sprawy, swego rodzaju własnością. Tak?

Tym razem Verna wołała nie zapuszczać się za nim na lotne piaski. Ale i tak obrzuciła Zedda gniewnym spojrzeniem.

Czarodziej uważał, że istnieje tylko jedna etycznie poprawna odpowiedź na to pytanie; jeśli Verna ją знаła, zachowała ją dla siebie.

- Richard najwyraźniej dotarł do takiego punktu, w którym musi krytycznie ocenić wybory, przed którymi stanął, i określić właściwą linię dalszego życia - wyjaśnił Zedd. - Być może okoliczności sprawiły, że zwątpił, czy właściwie wykorzystuje swój dar i czy wytyczył sobie cel zgodny z cenionymi przez siebie wartościami.

Verna bezradnie rozłożyła ręce.

- Nie rozumiem, jak mógłby mieć jakiś godniejszy cel niż przebywanie tutaj i wspomaganie wojska w walce z zagrożeniem dla Nowego Świata, zagrożeniem dla życia wszystkich wolnych ludzi.

Zedd opadł na ławę.

- Ty tego nie pojmujesz, ja też, ale Richard na pewno coś dostrzegł.

- Ale to wcale nie oznacza, że ma rację - odezwał się Warren.

Zedd przez chwilę badawczo patrzył w twarz młodego człowieka. Warren miał młodzieńcze rysy, ale wyraz jego oczu zdradzał, że jest to pozorne wrażenie. Czarodziej zastanawiał się, ile naprawdę Warren ma lat.

- Nie, to nie znaczy, że Richard ma rację. Być może popełnia ogromny błąd, który odbierze nam możliwość przetrwania.

- Kahlan myśli, że to może być pomyłka - odezwała się w końcu Adie, jakby żałując, że musi mu to powiedzieć. - Napisała do mnie, chyba bez wiedzy Richarda, skoro to Cara zanotowała jej słowa, i dała ten liścik posłańcowi. Kahlan pisze, że się obawia, że na decyzję Richarda wpłynęło i to, co się jej przytrafiło. Matka Spowiedniczka zwierzyła się również, że lęka się, że Richard utracił wiarę w ludzi i z powodu odrzucenia go przez Anderyjczyków uważa się za przegranego wodza.

- Też coś. - Zedd zbył tę uwagę machnięciem ręki. - Wódz nie może dreptać za ludźmi i z podwiniętym ogonem wychwytywać pokornie ich przelotne życzenia i kaprysy. Nie może pełzać za nimi z jękiem, kiedy się chaotycznie wloką przez życie. Tacy ludzie nie szukają wodza, lecz właściciela, i dostaną go. Prawdziwy wódz toruje drogę poprzez moralne pustkowia i ukazuje ją ludziom. Richard był leśnym przewodnikiem, bo taką już ma naturę. Być może zagubił się w owym mrocznym lesie. W takim wypadku musi odnaleźć drogę i prawidłowo wytyczyć kierunek, jeśli ma być prawdziwym przywódcą wolnych ludzi.

Rozmyślali nad tym w milczeniu. Generał był człowiekiem, który szedł za lordem Rahlem i czekał na jego rozkazy. Siostry miały swoje idee. Zedd i Adie wiedzieli, że czekająca ich droga była inna, niż się niektórym zdawało.

- Tak właśnie Richard uczynił ze mną - powiedział cicho Warren, zatopiony we wspomnieniach. - Ukazał mi drogę. Przekonał, żebym zechciał opuścić podziemia i poszedł za nim. Zadomowiłem się tam, ciesząc się księgami i pogodzony ze swoim losem. Jednak byłem więźniem tamtych mroków, więźniem doświadczającym życia poprzez walki i dokonania innych. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak sprawił, że postanowiłem opuścić podziemia i pójść za nim w prawdziwy świat. - Warren spojrział Zeddowi w oczy. - Może on teraz potrzebuje właśnie takiej pomocy. Mógłbyś mu pomóc, Zeddzie?

- Nastał dla niego czas mroczny w życiu każdego człowieka, a

szczególnie czarodzieja. Sam musi przez to przejść. Gdybym, że tak powiem, ujął go za rękę i przez to przeprowadził, mógłbym go skierować na drogę, której sam by nie wybrał, a wówczas już na zawsze byłby okaleczony przez mój wybór. A co, jeśli istotnie ma rację? Gdybym go nieświadomie zmusił do obrania innej drogi, mogłoby to nas zgubić i oddać świat w niewolę Imperialnemu Ładowi. - Zedd potrząsnął głową - Nie. Wiem jedno: trzeba Richarda zostawić w spokoju i pozwolić, żeby uczynił to, co musi. Jeżeli istotnie jest tym, który ma nas poprowadzić w owej walce o przyszłość magii i ludzi, to ów okres jest po prostu etapem jego drogi, który musi przebyć samotnie.

Niemal wszyscy - choć niechętnie - przytaknęli słowom Zedda. Tylko Warren tego nie zrobił. Skubał swoje fioletowe szaty.

- Jest coś, czego nie rozważyliśmy. - Czekali w milczeniu, a niebieskie oczy spojrzały w oczy Zedda; stary czarodziej dojrzał w nich niezwykłą mądrość świadczącą o tym, że ten młody człowiek potrafił wejrzeć w głąb spraw wtedy, kiedy inni dostrzegają jedynie ich powierzchnię. - Bardzo możliwe - powiedział cicho, lecz stanowczo - że Richard, który jest przecież osobą z darem, czarodziejem wojny, miał najprawdziwszą wizję. Czarodzieje wojny są inni niż my. Ich dar nie ukierunkowuje ich tak wąsko jak nas. Prorokowanie, przynajmniej teoretycznie, wchodzi w zakres jego możliwości. Co więcej, Richard ma nie tylko dar magii addytywnej, ale i subtraktywnej. Żaden z czarodziejów zrodzonych w ostatnich trzech tysiącach lat nie miał daru obu magii. Proroctwa o tym napomykały, ale zapewne nie potrafimy pojąć jego utajonych możliwości, choć być może zdołalibyśmy je sobie wyobrazić. Całkiem możliwe, że Richard miał proroczą wizję, którą jasno pojął. Jeśli tak, to może właśnie czyni dokładnie to, co uczynić należy. A może być i tak, że wyraźnie rozumie to proroctwo i że jest ono tak straszliwe, że tając je przed nami, oddaje nam jedyną możliwą przysługę.

Verna oburącz ujęła jego dłoń.

- Chyba tak całkiem w to nie wierzysz, Warrenie?

Zedd zauważył, że Ksieni bardzo wzięła sobie do serca słowa młodego czarodzieja. Ann mówiła mu, że Warren dopiero zaczyna ujawniać dar prorokowania. Tacy czarodzieje - Prorocytrafiali się niezmiernie rzadko, może raz albo dwa na tysiąc lat. I byli niezmiernie cenni. Zedd nie wiedział,

jak daleko Warren zaszedł na tej drodze, a i on sam pewnie nie miał o tym pojęcia.

- Proroctwo może być straszliwym ciężarem. - Warren wygładził szatę na udzie. - Może wizja ujawniła Richardowi, że jeśli kiedykolwiek chce mieć szansę na zwycięstwo, to nie powinien polec razem z nami w walce z armią Imperialnego Ładu.

Generał Reibisch nie zabierał głosu w sprawach dotyczących czarodziejów, ale cały czas uważnie słuchał i obserwował. Siostra Philippa nerwowo kręciła guzik sukni. A Warren był przeraźliwie smutny, choć Verna pocieszająco dotykała jego dłoni.

- Warrenie - Zedd odczekał, aż ich spojrzenia się spotkały - czasami wszyscy przewidujemy jak najgorszy przebieg zdarzeń, a dzieje się tak dlatego, że to najbardziej przerażająca rzecz, jaką sobie możemy wyobrazić. Nie zaprzataj sobie myśli wyjaśnieniem, którego się najbardziej obawiasz, bo to wcale nie musi być prawdziwa przyczyna działań Richarda. Sądzę, że Richard stara się zrozumieć swoje miejsce w tym wszystkim. Pamiętaj, że dorastał jako leśny przewodnik. A musiał zaakceptować nie tylko swój dar, ale i ciężar władzy.

- Tak, ale...

Zedd uniósł palec dla podkreślenia wagi swoich słów.

- W każdej sytuacji najprostsze wyjaśnienie okazuje się najczęściej prawdziwe.

Promienny uśmiech przepędził wreszcie smutek z twarzy Warrena.

- Zupełnie zapomniałem o tej starej mądrości. Dziękuję, Zeddzie.

Generał Reibisch, przeczesujący palcami swoją kędzierzawą brodę, zaprzestał tego i zwinął dłoń w pięść.

- A poza tym D'Harańczycy nie dadzą się tak łatwo pokonać. Możemy ściągnąć więcej oddziałów i mamy w Midlandach sojuszników, którzy przyślą nam posiłki. Wszyscy słyszeliśmy raporty o liczebności Ładu, ale to zwykli ludzie, a nie złe duchy. Mają w swoich szeregach osoby z magicznym darem, ale i my je mamy. Jeszcze nie starli się z d'harańską potęgą.

Warren podniósł mały kamień, mniejszy od swojej pięści, i trzymał go na dłoni, mówiąc:

- Nie zamierzam cię urazić, generale, ani nie chcę odwozić cię od naszej sprawy, ale wiedz, że poświęciłem Ładowi wiele czasu. Obserwowałem ich

przez całe lata. Ja też pochodzę ze Starego Świata.

- Też prawda. Cóż więc chcesz nam powiedzieć?

- Załóżmy, że blat stolika to Stary Świat, obszar, z którego Jagang ściąga swoich żołnierzy. Na pewno są tam słabo zaludnione obszary. Ale są i miejsca z bardzo dużym zaludnieniem.

- Podobnie jest i w Nowym Świecie - wtrącił się generał. - W D'Harze są tak bezludne, jak i gęsto zaludnione obszary.

Warren potrząsnął głową. Przesunął dłoń nad blatem.

- Powiedzmy, że to Stary Świat, cały blat stolika. - Podniósł kamyk, pokazując go generałowi, a potem położył na skraju blatu. - To zaś jest Nowy Świat. Takie są jego rozmiary: ten kamyk w porównaniu ze Starym Światem.

- Ale... ale to nie obejmuje D'Hary - wykrztusił zbulwersowany generał Reibisch. - Niewątpliwie... z D'Harą...

- Ten kamyk symbolizuje i D'Harę.

- Obawiam się, że Warren ma rację - potwierdziła Verna.

Siostra Philippa również ponuro przytaknęła.

- Może... - powiedziała, patrząc na splecione na podolku dłonie - Warren ma rację. Może Richard miał wizję naszej porażki i wie, że musi się trzymać z dala, bo inaczej zginie razem z nami.

- Wcale tak nie myślę - odezwał się łagodnie Zedd. - Znam Richarda. Gdyby uważał, że przegramy, wyraźnie powiedziałby to ludziom, żeby mogli i to wziąć pod uwagę przy podejmowaniu decyzji.

Generał odchrząknął.

- Prawdę mówiąc, brakuje tu jednego listu. Pierwszego, w którym lord Rahl pisał mi o swojej wizji. W tym liście lord Rahl napisał, że nie mamy żadnej szansy na zwycięstwo.

Zedd miał wrażenie, że krew zeń wycieka. Starał się zachować obojętność.

- O? A gdzież jest ten list?

Generał spojrzał z ukosa na Vernę.

- Hmm, byłam zła, kiedy to przeczytałam, więc...

- Więc zmiażdżyła list i wrzuciła w ogień - dokończył za nią Warren.

Verna poczerwieniała, ale się nie tłumaczyła. Zedd potrafił zrozumieć jej odczucia, ale wolałby sam to wszystko przeczytać. Zmusił się do uśmiechu.

- Czy to jego słowa, że nie mamy żadnej szansy na zwycięstwo? - zapytał,

starając się ukryć niepokój; czuł, jak pot spływa mu po karku.

- Nie... - odparł generał Reibisch, poruszając ramionami i dokładnie rozważając pytanie. - Nie. Lord Rahl napisał, że nie wolno nam ruszać do bezpośredniego ataku na wojska Imperialnego Ładu, bo wówczas zniszczyliby nas i stracilibyśmy jakąkolwiek szansę na zwycięstwo.

Palce Zedda odzyskiwały czucie. Otarł pot z czoła. Łatwiej mu było oddychać.

- To całkiem sensowne. Jeżeli to tak liczna armia, jak twierdzi Warren, to każdy bezpośredni atak byłby szaleństwem.

To było całkiem sensowne. Zedd zastanawiał się jednak, dlaczego Richard tak wyraźnie to podkreślał w liście do kogoś tak doświadczonego jak generał Reibisch. Może po prostu był ostrożny. Ostrożność to nic złego.

Adie wtuliła dłoń w rękę Zedda.

- Więc zostaniesz, skoro uważasz, że Richard powinien sam się z tym uporać? Nauczysz naszych obdarzonych magiczną mocą tego, co powinni wiedzieć?

Patrzyli na niego, zatroskani, czekając, co zadecyduje. Generał bezwiednie przesunął palcem po białej szramie na policzku. Siostra Philippa splótła palce. Verna i Warren trzymali się za ręce.

Zedd uśmiechnął się i objął ramieniem barki Adie.

- Jasne, że nie mam zamiaru cię opuścić.

Siedząca na przeciwległej ławie trójka cicho westchnęła. Rozluźnili się, jakby już żadna pętla nie zaciskała się na ich gardłach. Czarodziej obrzucił ich twardym spojrzeniem.

- Wojna to paskudna sprawa. Chodzi o zabicie ludzi, zanim zdążą was zabić. Magia to w wojnie tylko jeszcze jedna broń, choć straszliwa. Musicie sobie uświadomić, że w wojnie i magię trzeba wykorzystywać do zabijania ludzi.

- Co musimy zrobić? - zapytała Verna; wyraźnie ulżyło jej, że Zedd zgodził się zostać, chociaż nie aż tak jak generałowi Reibischowi, Warrenowi czy Siostrze Philippie.

Pierwszy Czarodziej zebrał szaty z obu stron i ułożył je między nogami, namyślając się nad odpowiedzią. Nie przebadał za naukami tego rodzaju.

- Zaczniemy jutro rano. Sporo trzeba się nauczyć o przeciwdziałaniu magii wykorzystywanej w wojennej potrzebie. Wszystkich z darem nauczę,

jak używać do czynienia zła tego, co mieliście nadzieję wykorzystywać jedynie do czynienia dobra. Nie będą to przyjemne lekcje, ale nie ma innego wyjścia.

Żadnemu z nich nie sprawiała przyjemności ani myśl o takich naukach, ani o wykorzystaniu tego rodzaju wiedzy. Adie, która wiedziała co nieco o okropieństwach takiej walki, współczująco pogładziła plecy Zedda. Ciężkie szaty przykleiły mu się do skóry. Tak chciałby mieć z powrotem swoje skromne szaty czarodzieja.

- Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, żeby nasz lud nie dostał się we władanie potwornej magii Imperialnego Ładu - stwierdziła Verna. - Daję na to słowo Ksieni.

Zedd skinął głową.

- No, to jutro zaczynamy.

- Boję się nawet myśleć o magii włączonej do sztuki wojennej - odezwał się generał Reibisch, wstając.

Zedd wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, zasadniczym celem takiej „wojennej” magii jest przeciwdziałanie czarom przeciwnika. Jeżeli właściwie wykonamy nasze zadanie, zapewnimy odpowiednią równowagę. A to będzie oznaczało, że cała magia zostanie zneutralizowana i że żołnierze będą toczyć bitwy bez jej wpływu. My jesteśmy magią przeciwko magii, wy zaś będziecie mogli być stalą przeciwko stali.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wasza magia nie będzie nas wspomagać?

Czarodziej ponownie wzruszył ramionami.

- Spróbujemy posłużyć się magią, żeby im zaszkodzić, ale gdy będziemy wykorzystywać czary jak oręż, wróg postara się sparować te ciosy. A my postaramy się skontrolować każde ich magiczne uderzenie. W rezultacie, jeśli właściwie i ze znanstwem stosuje się magię w wojnie, ma się wrażenie, że magia w ogóle nie istnieje. Jeżeli natomiast nie sprostamy wyzwaniu, moc, którą na nas skierują, spowoduje straszliwe skutki. Jeśli jednak zdołamy ich pokonać, ujrzenie taką klęskę ich wojsk, jakiej nawet nie potraficie sobie wyobrazić. Ale z mojego doświadczenia wynika, że magia raczej się równoważy i dlatego rzadko widuje się takie skutki.

- Czyli powinniśmy dążyć do impasu? - zapytała Siostra Philippa.



Zedd obrócił dłonie wnętrzem ku górze i poruszał nimi jak szalami wagi.

- Mający dar będą po obu walczących stronach pracowali ciężej niż kiedykolwiek. Mogę was zapewnić, że to ogromnie wyczerpujące. A efekt jest taki, jak byśmy nie robili nic, by zasłużyć na obiad. - Czarodziej opuścił ręce - To wszystko zaś będzie przerywane momentami przeraźliwej grozy i straszliwej paniki, kiedy to ma się uczucie, że cały świat pograży się w wirze morderczego szaleństwa.

Generał Reibisch uśmiechnął się osobliwie, łagodnie i ze zrozumieniem.

- Wiedz, że kiedy dzierzysz miecz, wojna wygląda tak samo. - Uniósł dłoń w udawanej obronie. - Ale wybrałbym już to, zamiast rąbania mieczem każdego magicznego moskita, który się nawinie. Jestem stalą przeciwko stali. Mamy lorda Rahla, żeby był magią przeciwko magii. Cieszy mnie, że pomoże nam i dziadek lorda Rahla, sam Pierwszy Czarodziej. Dziękuję, Zeddzie. Wszystko, czego potrzebujesz, należy do ciebie. Wystarczy, że powiesz słowo.

Verna i Warren przytaknęli w milczeniu, a generał ruszył ku wyjściu z namiotu. Kiedy Zedd się odezwał, Reibisch obrócił się ku niemu, zaciskając w dłoni zasłonę.

- Wciąż ślecie posłańców do Richarda?

Żołnierz potwierdził.

- Był tam i kapitan Meiffert. Pewnie więcej mógłby ci powiedzieć o lordzie Rahlu.

- Czy wszyscy posłańcy bezpiecznie wrócili?

- Większość. - Reibisch potarł brodę. - Jak dotąd straciliśmy tylko dwóch. Ciało jednego z nich znaleziono przypadkowo, przysypane kamienną lawiną. Drugi nie wrócił, a jego zwłok nigdy nie odkryto, co nie jest takie dziwne. To długa i ciężka podróż. Grozi podczas niej wiele niebezpieczeństw, więc spodziewaliśmy się, że możemy stracić kilku ludzi.

- Chciałbym, żebyście przestali wysyłać posłańców do Richarda.

- Ale lord Rahl musi być na bieżąco informowany.

- A co, jeśli wróg pojmie któregoś z nich i dowie się, gdzie jest Richard? Jeśli nie masz żadnych skrupułów, to prawie każdego możesz zmusić do mówienia. Nie warto tego ryzykować.

Generał pocierał dłonią o gardę miecza i zastanawiał się nad słowami Zedda.

- Ład jest na południe od nas, w Andericie. Kontrolujemy cały obszar pomiędzy naszym obozem a górami, w których przebywa lord Rahl. - Zedd patrzył nań uporczywie i generał z rezygnacją potrząsnął głową. - Ale skoro uważasz, że to niebezpieczne, to kolejnego posłańca już nie wyślemy. Czy jednak lord Rahl nie będzie się zastanawiał, co się z nami dzieje?

- To, co się z nami dzieje, nie ma teraz dla niego znaczenia. Robi to, co robić musi, i nie może pozwolić, żeby nasza sytuacja wywierała nań wpływ. Już cię przecież powiadomił, że nie wyda ci żadnych rozkazów, że musi się trzymać z dala od tego wszystkiego. - Zedd obciągnął rękawy i westchnął, dumając nad całą tą sprawą. - Być może pojedę do nich, kiedy skończy się lato i zanim śniegi zasypią wiodące ku nim drogi.

Generał Reibisch uśmiechnął się na pożegnanie i rzekł:

- Gdybyś porozmawiał z lordem Rahlem, Zeddzie, sprawiłoby to nam wszystkim ulgę. Zaufałby twoim słowom. No, to dobranoc.

Generał zdradził tym swoje prawdziwe odczucia. Nikt w namiocie tak naprawdę nie wierzył w to, co teraz czynił Richard; może jeden Zedd, ale i on miał wątpliwości. Kahlan napisała, że jej zdaniem Richard uznał siebie za przegranego wodza. A ci ludzie, którzy twierdzili, że nie pojmują, jak on może wierzyć w coś takiego, jednocześnie nie ufali jego działaniom.

Richard był zupełnie samotny, mogła go wesprzeć wyłącznie siła własnych przekonań.

Generał wyszedł, a Warren z zapalem pochylił się ku czarodziejowi.

- Chętnie pojechałbym z tobą do Richarda, Zeddzie. Skłonilibyśmy go, żeby nam wszystko opowiedział, a wtedy moglibyśmy ustalić, czy to naprawdę prorocstwo, czy tylko, jak on to określa, zrozumienie. Gdyby się okazało, że to nie prorocstwo, może przekonalibyśmy go, żeby inaczej na wszystko spojrzeć. Co ważniejsze, moglibyśmy go zacząć uczyć, a przynajmniej ty mógłbyś go uczyć o jego darze, o posługiwaniu się magią. Musi wiedzieć, jak ma wykorzystywać swoje zdolności.

Zedd chodził tam i z powrotem, a Verna chrząknięciem wyraziła swoje wątpliwości co do sugestii Warrena.

- Próbowałam nauczyć Richarda dotykania Han. Wiele Sióstr tego próbowało. Żadna z nas nie poczyniła najmniejszych postępów.

- Ale Zedd uważa, że to rola czarodzieja. Prawda, Zeddzie?

Czarodziej przystanął i patrzył przez chwilę na oboje, zastanawiając się,

jak wyrazić myśli słowami.

- Jak powiedziałem wcześniej, uczenie czarodzieja to nie robota dla czarodziejek, a dla innego czarodzieja...

- Coś mi się zdaje, że z Richardem nie powiodłoby ci się tak samo jak nam - zadrwiła Verna.

- Ale Zedd sądzi... - nie ustępował Warren.

Zedd odkaszlnął, domagając się ciszy.

- Masz rację, chłopcze. Uczenie czarodzieja zrodzonego z magicznym darem to robota dla czarodzieja. - Verna gniewnie uniosła palec na znak protestu, lecz Zedd nie dał sobie przerwać. - Jednak w tym przypadku uważam, że Verna ma rację.

- Ma? - zapytał Warren.

- Mam? - spytała Verna.

Zedd uciszył ich gestem.

- Tak, tak właśnie uważam, Verno. Sądzę, że Siostry Światła mogą trochę nauczyć. Wystarczy spojrzeć na Warrena. Siostry potrafiły go nauczyć posługiwania się darem, chociaż zabrało to mnóstwo czasu. Uczyłyście i innych, według mnie w ograniczonym zakresie, ale Richarda nie zdołałyście nauczyć nawet najprostszych rzeczy. Mam rację?

Verna z niesmakiem skrzywiła wargi.

- Żadna z nas nie zdołała go nauczyć czegoś tak prostego jak dotykanie Han. Siedziałam z nim całymi godzinami i starałam się go na to naprowadzić. - Skrzyżowała ramiona i odwróciła wzrok od uważnych oczu Zedda. - To po prostu nie szło tak, jak powinno.

Warren dotknął palcem brody i zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypominał.

- Nathan coś mi kiedyś powiedział. Mówił mi, że chciałbym się od niego uczyć, że pragnąłbym, by mnie nauczył, jak zostać Prorokiem. Nathan odparł, że Proroka nie można wyszkolić, że trzeba się już z tym darem urodzić. I wtedy sobie uświadomiłem, że tego, co wiedziałem i co rozumiałem na temat prorocत्व, nauczyłem się samodzielnie, a nie od kogoś. Czy z Richardem może być podobnie, Zeddzie? Czy tak właśnie uważasz?

- Tak. - Zedd ponownie usiadł na twardej ławie obok Adie. - Bardzo bym chciał, nie tylko jako jego dziadek, ale i jako Pierwszy Czarodziej, uczyć

Richarda tego, co powinien wiedzieć o posługiwaniu się darem, ale zaczynam wątpić, czy to byłoby możliwe. Richard różni się od wszystkich innych czarodziejów nie tylko tym, że ma dar obu magii, tak subtraktywnej, jak i addytywnej.

- Ale jesteś Pierwszym Czarodziejem - odezwała się Siostra Philippa - i na pewno byś go wiele nauczył.

Zedd wyciągnął fałdę ciężkiej szaty spod kościstego siedzenia. Zastanawiał się, jak to wyjaśnić.

- Richard dokonał czynów, których nawet ja nie rozumiem. Bez moich nauk dokonał więcej, niż mogę pojąć. Samodzielnie dotarł do świątyni Wichrów w zaświatach, powstrzymał zarazę i powrócił z za zasłony do świata istot żywych. Czy któreś z was w ogóle pojmuje, co to oznacza? Zwłaszcza dla niedoświadczonego czarodzieja? Przepędził demony ze świata istot żywych, a nie mam pojęcia, jak to zrobił. Wykorzystywał magię, o której nigdy nie słyszałem, a tym bardziej nie widziałem, i której nie rozumiem. Obawiam się, że moja wiedza bardziej byłaby zawadą niż pomocą. Możliwości Richarda, jego przewaga, wynikają po części z tego, jak widzi świat: a patrzy nań nie tylko niedoświadczonymi oczami, ale i oczami Poszukiwacza Prawdy. Nie wie, że coś jest niemożliwe, więc próbuje tego dokonać. Obawiam się powiedzieć mu, jak się robi to czy tamto, jak ma korzystać ze swego daru, bo takie nauki mogłyby mu podpowiedzieć, że istnieją ograniczenia jego mocy i tym samym istotnie je wytworzyć. Czegóż mógłbym nauczyć czarodzieja wojny? Nie mam pojęcia o magii subtraktywnej, a tym bardziej o jej darze.

- Czyżbyś sugerował, że skoro nie ma innego czarodzieja wojny, który miałby dar magii subtraktywnej, to może powinna go uczyć Siostra Mroku? - zapytał Warren.

- Nooo - zadumał się Zedd - może to i niezły pomysł. Westchnął ze znużeniem i spoważniał. - Uświadomiłem sobie, że próby uczenia Richarda, jak ma korzystać ze swego daru, byłyby nie tylko bezcelowe, ale i mogłyby się okazać niebezpieczne dla świata. Chciałbym do niego pojechać, ofiarować mu wsparcie, doświadczenie i zrozumienie, ale pomoc? - Czarodziej potrząsnął głową. - Nie mam śmiałości.

Nikt nie zaoponował. Verna miała własne doświadczenia, które jak najbardziej potwierdzały prawdziwość tych słów. Pozostali prawdopodobnie

na tyle dobrze znali Richarda, żeby dojść do tego samego wniosku.

- Poszukamy wolnego namiotu, Zeddzie? - spytała na koniec Ksieni. - Twój wygląd wskazuje, że przydałby ci się wypoczynek. Porozmawiamy rankiem. Do tego czasu solidnie wypoczniesz, a my sobie to wszystko przemyślimy.

Warren - który właśnie miał zadać kolejne pytania, lecz Verna go ubiegła i odezwała się pierwsza - miał rozczarowaną minę, ale przytaknął.

Siedzący na ławie Zedd wyciągnął przed siebie nogi i ziewnął.

- Tak będzie najlepiej. - Niechętnie myślał o czekającym go zadaniu; tak chciał zobaczyć Richarda, pomóc mu, zwłaszcza że tak długo go szukał. Tak trudno czasem zostawić ludzi samym sobie, choć tego właśnie najbardziej potrzebują. - Tak będzie najlepiej - powtórzył, - Jestem zmęczony.

- Lato przemija. Noce są coraz chłodniejsze - odezwała się Adie, tuląc się do boku Zedda. Podniosła nań oczy, które w blasku lampy nabrały łagodnie bursztynowego koloru. - Zostaniesz ze mną i ogrzejesz moje kości, staruszk?

Zedd uśmiechnął się i objął ją. Dobrze było znowu być przy niej, tak dobrze, jak tego oczekiwał. Prawdę mówiąc, gdyby właśnie w tej chwili dała mu inny kapelusz z piórem, włożyłby go z radosnym uśmiechem. Jednak mimo wszystko trapił go niepokój, jak zapowiedź nadciągającej burzy.

- Zeddzie - odezwała się Verna, jakby widziała w jego oczach ciężkie myśli - Richard jest czarodziejem wojny, który, jak sam powiedziałeś, już udowodnił swoje niezwykle uzdolnienia. To ogromnie pomysłowy młodzian. Poza tym jest Poszukiwaczem i ma przy boku Miecz Prawdy, a mogę zaświadczyć, że potrafi się tym mieczem posługiwać. Kahlan jest Spowiedniczką, Matką Spowiedniczką, i ma duże doświadczenie w posługiwaniu się swoją mocą. Mają przy sobie Mord-Sith. A Mord-Sith nie ryzykuje.

- Wiem - wyszeptał Zedd, zapatrzonej w koszmarny podsuwane przez wir myśli. - Ale i tak bardzo się o nich boję.

- A co napawa cię taką obawą? - zapytał Warren.

- Białe moskity.

## ROZDZIAŁ 18

Kahlan, zasapana i zmęczona, musiała się cofać przed mieczem przez zarośla kalin i kolczastych jeżyn. Sztych ze świstem przemknął obok, o cal mijając jej żebra. Uciekając, nie zwracała uwagi na kolce szarpiące jej spodnie. Czuła, jak łomocze jej serce.

Atakował nieustępliwie, zmuszając ją do cofania się za niski występ skalny i przez podmokły teren za nim. Leżące w stertach zeschnięte liście, kopane jego butami, wzbijały się w powietrze późnego popołudnia niczym barwne chmury. Jasnożółte, lśniące oranżem i jaskrawoczerwone liście spływały na sterczące z ziemi skałki obrosnięte dokoła ciernistym jałowcem. Zupełnie jakby się walczyło w tęczy, która spadła na ziemię.

Richard znów zaatakował. Kahlan wstrzymała oddech, ale sparowała cios. Nacierał nieubłaganie. Cofnęła się, wysoko unosząc nogi, żeby nie potknąć się o płataninę korzeni wokół wielkiego świerka. Utrata równowagi oznaczałaby koniec - Richard natychmiast pchnąłby ją mieczem.

Zerknęła w lewo. Wznosiła się tam wysoka naga skała ozdobiona smugami mchu. Po drugiej stronie brzeg grani biegł ku owej skalnej ścianie. Kiedy już trafi w ten ślepy zaułek, pozostanie tylko wspinać się albo zejść w dół.

Odbiła sztych jego miecza, a on sparował jej ciosy. Zaatakowała z wściekłością, zmuszając go, żeby cofnął się kilka kroków. Bez wysiłku odparował jej pchnięcia, a potem sam zaatakował. Raz-dwa w dwójnasób straciła to, co zyskała. Znów się desperacko broniła i ustępowała pola, ratując życie.

Na niskim obumarłym konarze żywicznej jodły, jakieś dziesięć stóp dalej, siedziała mała ruda wiewiórka z zimowymi kępkami sierści na uszkach i skubała twardą jak skóra brązową rozetkę porostu widoczną na korze. Dumnie wypinała biały brzusek, siedząc na końcu obłamanej, zeschniętej gałęzi. Wysoko uniosła puszysty ogon i - trzymając kawałek porostu w malutkich łapkach - obgryzała brzegi, zupełnie jak widz jakiegoś turnieju pogryzający grzankę i obserwujący pojedynek.

Kahlan chciwie łapała oddech i rozglądała się, szukając bezpiecznego miejsca dla stóp wśród potężnych pni górskich drzew i jednocześnie

wypatrując sposobności, która by ją uratowała. Gdyby jakoś zdołała się dostać za Richarda, poza zasięg jego groźnego miecza, może znalazłaby dogodną drogę do wycofania. Dogoniłby ją, ale zyskałaby na czasie. Uchyliła się przed jego klingą i skoczyła za młody klon, w brązowe i żółte paprocie orlice cętkowane słonecznym blaskiem. Richard, gnany chęcią zakończenia pojedynku, uniósł miecz do ciosu.

To była oczekiwana luka w jego obronie, jedyna szansa Kahlan.

W mgnieniu oka przestała się cofać i skoczyła naprzód, nurkując pod uniesionym ramieniem chłopaka. Pchnęła mieczem w brzuch.

Richard przycisnął obie dłonie do rany. Przez chwilę chwiał się, a potem padł w paprocie i legł na wznak. Uniosły się w powietrze liście spoczywające na wyższych paprociach. Wirowały przez chwilę, po czym opadły i przyozdobiły ciało Richarda. Czerwień liści klonu była tak jaskrawa, że krew wydałaby się przy nich brązowa.

Kahlan stała nad Richardem, z trudem łapiąc oddech. Osunęła się na kolana, padła na leżące na wznak ciało. Otaczały ich liście paproci o barwie karmelu zwinięte w małe piąstki, jakby się buntowały przeciw temu, że mają umrzeć wraz z jesienią.

Kępki jaśniejszych, raczej żółtawych paproci o zapachu siana przesyciły popołudniowe powietrze świeżym, słodkim aromatem. Mało co dorównywało woni lasu późną jesienią. Tak się szczęśliwie złożyło, że wysoki klon - rosnący w pobliżu i osłonięty przez ścianę skalną - nie stracił jeszcze liści, które pyszniły się tak pomarańczową barwą, że aż zdawały się brązowe na tle nieco przymglonego błękitnego nieba.

- Caro! - Kahlan wsparła lewą dłoń na piersi Richarda i uniosła się nieco, żeby zawołać. - Caro! Zabiłam Richarda!

Mord-Sith leżała na brzuchu na brzegu skalnego progu i patrzyła w dół. Nie zareagowała.

- Zabiłam go! Słyszałaś?! Widzisz, Caro?!

- Taaak - mruknęła Mord-Sith. - Słyszałam. Zabiłaś lorda Rahla.

- Wcale nie - odezwał się Richard, wciąż jeszcze zadyszany.

Cięła go przez ramię mieczem z wierzbowej gałązki.

- A właśnie, że tak. Tym razem cię zabiłam. Na śmierć.

- Tylko mnie drasnęłaś. - Dotknął jej boku sztychem wierzbowego miecza. - Wpadłaś w moją zasadzkę. Teraz mam cię na końcu miecza.

Poddaj się lub giń, kobieto.

- Nigdy - odparła ze śmiechem, jeszcze trochę zdyszana. Wolę umrzeć, niż wpaść w niewolę takiego hultaja jak ty.

Dźgała go w żebra wierzbowym mieczem, a on się śmiał i obracał z boku na bok.

- Caro! Widziałaś? Tym razem go zabiłam! Wreszcie go dopadłam!

- Taaak, racja - burknęła Mord-Sith, bacznie patrząc za skalny występ. - Ten będzie mój, lordzie Rahlu? Obiecałeś.

- Tak - odparł Richard, wciąż jeszcze dysząc. - Ten jest dla ciebie, Caro.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Jest wielki.

Chłopak uśmiechnął się kpiąco do Kahlan.

- Pozwoliłem ci się tym razem zabić - poinformował ją.

- Wcale nie! Wygrałam! Tym razem cię pokonałam! - Znów cięła go wierzbowym mieczem; ściągnęła brwi. - Zdawało mi się, że mówiłeś, że wcale nie jesteś martwy. Że to tylko draśnięcie. Ha! Sam przyznałeś, że tym razem cię zabiłam!

- Pozwoliłem ci... - zaśmiał się Richard.

Kahlan uciszyła go pocałunkiem. Cara to zobaczyła i przewróciła oczami. Potem Mord-Sith znów spojrzała za skalny występ i poderwała się.

- Odchodzą! Chodźcie, zanim coś go dopadnie!

- Nic go tak od razu nie dopadnie, Caro - uspokajał ją Richard.

- Chodźcie! Obiecałeś, że ten jest mój. Nie chcę, żeby się to skończyło niczym. Chodźcie.

- Dobrze już, dobrze - powiedział Richard, a Kahlan podniosła się z niego. - Idziemy.

Wyciągnął rękę do Kahlan, żeby pomogła mu wstać. Ale ona raz jeszcze dźgnęła go w żebra wierzbowym mieczem.

- Znów cię dopadłam, lordzie Rahlu. Stajesz się leniwy.

Richard tylko się uśmiechnął, kiedy w końcu podała mu rękę. Wstał, przytulił Kahlan i - zanim ruszył za Carą - powiedział:

- Dobra robota, Matko Spowiedniczko. Dobra robota. Zabiłaś mnie na śmierć. Jestem z ciebie dumny.

Kahlan obdarzyła go uśmiechem, który miał być uwodzicielski, ale obawiała się, że był raczej frywolny. Richard podniósł plecak i zarzucił go na barki. Bez zwłoki ruszył w dół stromym, spękany górkim stokiem. Kahlan



okryła się peleryną z wilczych futer i poszła za nim przez gęsty cień świerka rosnącego na krawędzi. Starła się nie stawiać stóp w zagłębieniu.

- Uważaj! - zawołał Richard do Cary, która była już daleko przed nimi. - Tyle tu liści, że możesz nie zauważyć dziur i rozpadlin.

- Wiem, wiem - odburknęła. - Ile razy będziesz mi to jeszcze powtarzał?

Richard zawsze uważał na obie. Nauczył je, jak chodzić w takim terenie i na co uważać. Kahlan od razu zauważyła, że w lasach i górach chłopak poruszał się cicho i miękko, Cara zaś szła, wskakując na kamienie oraz występy skalne i zeskakując z nich niczym rozbrykany dzieciak. Mord-Sith większość życia spędziła pod dachem i nie wiedziała, że w takim terenie chodzi się zupełnie inaczej.

- Wybieraj miejsce, gdzie postawisz stopę - tłumaczył jej cierpliwie Richard - żebyś szła po względnie równym gruncie. Nie wchodź w zagłębienia, jeżeli nie musisz, bo i tak będziesz musiała stamtąd wyjść, wspinając się szlakiem. Nie podchodź bez potrzeby wyżej, jeśli znów będziesz musiała schodzić. Jeśli musisz na czymś postawić stopę, to nie zawsze podciągaj całe ciało. Wystarczy, że ugniesz nogę.

Cara marudziła, że okropnie trudno się za każdym razem zastanawiać, gdzie postawić stopę. Richard tłumaczył, że przy jej sposobie chodzenia wspina się na górę dwa razy, a on tylko raz. Zachęcał, żeby myślała, jak idzie, a już wkrótce stanie się to zupełnie instynktowne. Kiedy Cara przekonała się, że mięśnie nóg męczą się o wiele mniej, gdy stosuje się do wskazówek Richarda, stała się pilną uczennicą. Teraz pytała, zamiast się sprzeczać. Najczęściej.

Kahlan zauważyła, że schodząca stromym szlakiem Cara robi to, czego nauczył ją Richard: bada patykiem każde niepewne, wypełnione liśćmi zagłębienie, nim postawi tam stopę. Tutaj raczej nie należało łamać kostki. Richard milczał, tylko czasem się uśmiechał, kiedy wymacywała dziurę patykiem, zamiast - jak przedtem - wpaść w nią stopą.

Niebezpiecznie było przecierać nowy szlak na takim stromym stoku. Niektóre ścieżynki kończyły się ślepo i trzeba było wracać po własnych śladach. Zwierzęta często wydeptywały wyraźne szlaki na mniej stromych zboczach, na stokach wzgórz, a zwłaszcza na równym gruncie, ślepo kończąca się ścieżka nie była więc w dolinie żadnym problemem, bo tam zawsze można się było przedrzeć przez zarośla na otwarty teren. Natomiast

wytyczanie własnego szlaku na stromej skalnej ścianie zawsze było żmudne, a często i daremne. Wówczas, zwłaszcza gdy robiło się późno, ludzie nie mieli ochoty wracać pod górę i kusilo ich, by ryzykować. Richard mówił, że to ciężka robota, w której rozum musi przeważać nad chęcią zejścia na dół, dotarcia do domu lub do miejsca odpowiedniego na obozowisko.

- Kierowanie się tylko chęciami grozi śmiercią - powtarzał często. - Posługiwanie się rozumem doprowadzi do domu.

Cara wetknęła patyk w stertę liści pomiędzy nagimi granitowymi głazami.

- Nie stawajcie na te liście - powiedziała przez ramię, wskakując na głaz. - Pod nimi jest dziura.

- Dziękuję, Caro - rzekł z udawaną wdzięcznością Richard, jak gdyby zamierzał tam stanąć, jeśliby go nie ostrzegła.

Na stoku, którym schodzili, było sporo dość szerokich stopni z karłowatymi drzewkami i krzakami; można tam było swobodnie postawić stopę i było się czego uchwycić. Poniżej stok opadał w jar zarośnięty bujną roślinnością. Dalej znów wyrastało strome zbocze pokryte zielonymi roślinami oraz ciemnoszarymi i brązowymi szkieleciami dębów, klonów i brzoź. Szeleszczące okrycie z jesiennych liści było wspaniałe, dopóki nie opadło, lecz teraz liście leżały już na ziemi i szybko więdły. Dęby zwykle nie traciły listowia aż do początków zimy, niektóre nawet do wiosny, ale tu, w górach, lodowate wichry i wczesne zamiecie obdarły już nawet dęby z mocno przyczepionych brązowych liści.

Cara stanęła na wysuniętym nad przełęcz występie skalnym.

- Tam - wskazała. - Tam, powyżej. Widzicie?

Richard osłonił oczy przed ciepłym słonecznym blaskiem i spojrzał na przeciwległy stok. Potwierdził pomrukiem, że widzi.

- Paskudne miejsce na umieranie.

Kahlan podciągnęła pelerynę z wilczych futer, osłoniła uszy przed zimnym wiatrem.

- A jest jakieś dobre?

Chłopak opuścił rękę.

- Raczej nie.

Na tamtym stoku, trochę powyżej miejsca, które wskazała Cara, las kończył się czymś, co zwano rachitycznym laskiem. Wyżej nie mogły już

rosnąć żadne drzewa i były tam wyłącznie nagie skalne granie i piargi. A jeszcze trochę wyżej biały jak cukier śnieg lśnił w ukośnie padających promieniach słońca. Rachityczny lasek był wystawiony na silne wichry i inne kaprysy pogody, przez co drzewa były powyginane i poskręcane. Stanowił linię graniczną między pustynią, na której przetrwać mogły jedynie porosty, a gęstym lasem.

Richard wskazał na prawo.

- Nie traćmy już ani chwili. Nie chcę, żeby mrok nas tu przyłapał.

Kahlan spojrzała tam, gdzie góra odsłaniała rozległą panoramę ośnieżonych szczytów i bezkresnych lasów. Nad tamtymi dolinami wisiały gęste chmury, które milczkiem okręzały góry; podkładały się coraz bliżej. Najdalsze ośnieżone szczyty wyglądały jak samotne wyspy na puszystym szarym morzu. Pod okrywą gęstych, ciemnych chmur na pewno panowała ohydna pogoda.

Richard i Cara czekali na decyzję Kahlan. A jej się nie uśmiechało tkwienie w rachitycznym lasku, kiedy nadciągnie lodowata mgła i kapuśniaczek.

- Nic mi nie jest, chodźmy i załatwmy sprawę. Wtedy będziemy mogli zejść niżej i poszukać sosny-strażniczki. Nie miałabym nic przeciwko ognisku i gorącej herbacie.

- Jestem za. - Cara chuchnęła w stulone dłonie.

Kiedy ponad rok temu Kahlan pierwszy raz spotkała Richarda, zabrał ją pod sosnę-strażniczkę. Dziewczyna nie wiedziała, że w gęstych lasach Westlandu rosną takie drzewa. Do tej pory miały one dla niej ten sam mistyczny urok co wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyła na tle ciemniejącego nieba sylwetkę jednej z nich górującą nad okolicznymi drzewami. Sosny-strażniczki były przyjaciółkami podróżnych znajdujących się z dala od jakiegokolwiek schronienia. Konary wielkiego drzewa zwieszały się do samej ziemi. Szpilki pokrywały przede wszystkim górną warstwę tworzących „namiot” konarów. Gęsta zielona okrywa znakomicie chroniła przed złą pogodą. Ich sok w pewnym stopniu czynił je odpornymi na ogień, więc - jeżeli zachowywało się ostrożność - można się było grzać przy niewielkim ognisku, kiedy na zewnątrz wiało i padało.

Richard, Kahlan i Cara często korzystali z osłony sosen-strażniczek podczas wypraw w góry. Owe noce wokół niewielkiego ogniska bardzo ich

zbliżyły i dały im okazję do refleksji, rozmów i snucia opowieści. Niektóre z tych opowieści pobudzały ich do śmiechu. Inne wzruszały lub przerażały.

Gdy tylko Kahlan zapewniła, że da sobie radę, Richard i Cara skinęli głowami i ruszyli w dół zbocza. Dziewczyna wydobrażała już ze straszliwych ran, ale oni nadal zostawiali jej decyzję, czy jest gotowa podjąć wysiłek schodzenia, wspinaczki i ponownego schodzenia, zanim znajdą jakieś osłonięte miejsce na obóz - najlepiej pod sosną-strażniczką.

Kahlan długo przychodziła do siebie. Wiedziała, rzecz jasna, że takie rany jak jej potrzebują czasu, by się wygoić. Tak długo była przykuta do łóżka, że jej mięśnie osłabły, zanikły, stały się niemal bezużyteczne. Przez jakiś czas nie mogła jeść, ile trzeba. Zostały z niej skóra i kości. Zdawała sobie sprawę, jaka się zrobiła słaba i bezradna, więc choć stopniowo wracała do zdrowia, coraz bardziej pogrążała się w depresji.

Kahlan nie w pełni pojmowała, ile trzeba wysiłku, żeby całkowicie odzyskać zdrowie. Richard i Cara starali się jej dodać otuchy, ale ich wysiłki nie na wiele się zdały - po prostu nie mieli pojęcia, jak to jest. Nogi dziewczyny chudły i chudły, aż zmieniły się w patyki z guzowatymi kolanami. Czowała się nie tylko bezradna, ale i brzydka. Richard rzeźbił dla niej zwierzęta: jastrzębie, lisy, wydry, kaczki, a nawet wiewiórki ziemne. Nie cieszyły jej. Kiedy znalazła się na dnie rozpacz, niemal żałowała, że nie umarła razem z ich dzieckiem. Jej życie stało się szare i monotonne. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu widziała jedynie cztery ściany swojej izdebki.

Ból ją wyczerpywał, jednostajność otępiała. Znienawidziła gorzką herbatkę z krwawnika, którą ją poili, i zapach okładów ze srebrnika i krwawnika. Kiedy nie chciała pić krwawnika, dawali jej napar z lipy, mniej gorzki, ale nie tak skuteczny, chociaż pomagał jej zasnąć. Napary z tarczycy często pomagały przy bólach głowy, ale były tak cierpkie, że jeszcze długo wykrzywiały usta. Niekiedy podawali Kahlan nalewkę z maruny, dla stłumienia bólu. Dziewczyna w końcu znienawidziła picie ziółek i często mówiła, że nie czuje bólu - choć bardzo ją bolało - żeby uniknąć jakiejś obrzydliwej mikstury.

Richard zrobił w sypialni małe okno, bo latem gorąco bywało nie do zniesienia. Kahlan widziała jedynie skrawek nieba, czubki kilku drzew i postrzępiony niebieskoszary kontur odległej góry.

Chłopak chciał ją wynieść na zewnątrz, ale błagała go, by z tego

zrezygnował, bo ból byłby zbyt wielki. Łatwo go było odwieść od sprawienia jej bólu. Mijały dni, raz jasne i słoneczne, to znów mgliste i bure. Kahlan leżała w małej izdebce, wolniutko wracała do zdrowia, a czas przepływał obok niej; nazywała to w myślach „straconym latem”.

Pewnego dnia bardzo chciało się jej pić, a Richard zapomniał napełnić kubek i postawić go w zasięgu jej ręki, na małym stoliku obok łóżka. Poprosiła o wodę, on zaś przyniósł kubek i bukłak, położył je na parapecie i krzyknął coś do Cary. Potem wybiegł, mówiąc Kahlan, że on i Mord-Sith muszą sprawdzić zarzucone wędkę i że wrócą, jak tylko będą mogli. Zniknął, nim dziewczyna zdążyła go poprosić, by położył wodę bliżej niej. Kahlan leżała w milczeniu, kipiąc gniewem; z trudem mogła uwierzyć, że Richard zachował się tak arogancko i bezmyślnie i zostawił wodę tam, gdzie nie mogła jej dosięgnąć. A ów dzień był zadziwiająco gorący jak na późne lato. Dziewczyna miała wrażenie, że puchnie jej język. Bezradnie patrzyła na stojący na parapecie drewniany kubek. Bliska łez, jęknęła, uzalając się nad sobą, i uderzyła pięścią w łóżko. Obróciła głowę w prawo, żeby nie patrzeć na okno, i zamknęła oczy. Postanowiła zasnąć, by nie myśleć o tym, jak bardzo chce się jej pić. Kiedy się obudzi, w domku będą już Richard i Cara i podadzą jej wodę. A Richard dostanie burę.

Pot ściekał Kahlan po szyi. Na zewnątrz śpiewał jakiś ptak. Jego piosnka brzmiała jak piskliwy głosik dziewczynki powtarzający „kto, ja?” Kiedy ptak zaczynał swoje „kto, ja?”, ciągnął już koncert w nieskończoność. A ona mogła myśleć tylko o tym, jak strasznie chce jej się pić. Nie potrafiła zasnąć. Irytujące ptaszysko wciąż zadawało to swoje pytanie. Kilka razy przyłapała się na tym, że szepcze w odpowiedzi „tak, ty”. Mruknęła jakieś brzydkie słowo pod adresem Richarda. Mocno zacisnęła powieki, starała się zapomnieć o pragnieniu, upale i ptaszysku i zasnąć. Ale oczy wciąż same się otwierały.

Kahlan uniosła nocną koszulę na piersi i poruszała tkaniną, żeby się choć trochę ochłodzić. Stwierdziła, że wpatruje się w zostawioną na oknie wodę. Była poza jej zasięgiem - po przeciwnej stronie izdebki. Izdebka nie była zbyt duża, ale Kahlan przecież jeszcze nie chodziła. Richard o tym wiedział. Pomyślała, że gdyby usiadła i przesunęła się w nogi łóżka, to może sięgnęłaby do kubka. Parsknęła, rozzłoszczona, i odrzuciła cienkie przykrycie z wychudłych nóg. Nie cierpiała na nie patrzeć. Dlaczego Richard

był tak nieuważny? Co mu się stało? Już ona mu powie, co o tym myśli; niech no tylko wróci. Zwiesiła nogi z łóżka. Materac był z plecionki wypchanej trawą i piórami. Był całkiem wygodny i Kahlan miękko się na nim leżało. Usiadła z ogromnym wysiłkiem. Długo siedziała na skraju łóżka, ściskając głowę rękami i łapiąc oddech. Całe ciało pulsowało bólem.

Po raz pierwszy usiadła samodzielnie.

Doskonale pojęła, o co chodziło Richardowi. Ale wcale jej się nie podobała jego metoda. To było okrutne. Jeszcze nie była na to gotowa. Wciąż jeszcze była ciężko poturbowana. Sączące się rany w końcu się zasklepiły i wygoiły, ale na pewno była jeszcze zbyt słaba, żeby wstać. Bała się wypróbować połamane kości.

Sapiąc i pojękując, przewlokła się w nogi łóżka. Jedną ręką trzymała się oparcia, żeby nie spaść, ale i tak nie sięgała do parapetu. Będzie musiała wstać.

Posiedziała chwilę, bardzo brzydko myśląc o mężu.

Pewnego dnia, przed wieloma tygodniami, długo wołała, ale Richard nie słyszał jej słabego głosu. Postawił wtedy przy łóżku Kahlan lekki kij, żeby mogła stukać w ścianę lub w drzwi, kiedy będzie potrzebować ich pomocy. Teraz zacisnęła palce na leżącym obok łóżka kiju i podniosła go. Oparła grubszy koniec o podłogę, wsparła się na tej lasce i ostrożnie zsunęła z łóżka. Stopy dotknęły chłodnej polepy. Przeniosła ciężar ciała na nogi i aż wstrzymała oddech z bólu.

Na poły stała, na poły wisiała na łóżku, gotowa krzyczeć, ale uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech bardziej ze strachu przed okropnym bólem, którego się spodziewała, niż z bólu, który rzeczywiście czuła. Bolało, ale można było to wytrzymać. Trochę ją zirytowało, że to nie było aż tak straszne, bo szykowała się, by doprowadzić Richarda do łez opowieścią o straszliwej męczarni, na którą ją tak niefrasobliwie skazał.

Bardziej obciążyla stopy i wyprostowała się, wspierając na kiju. Sukces: stała, choć chwiejnie. Samodzielnie stanęła.

Miała wrażenie, że nie zdoła zmusić nóg do posłuszeństwa. A musiały się przesuwać zgodnie z jej wolą, skoro chciała dotrzeć do wody; musiały jej słuchać przynajmniej na trasie do okna. Potem będzie już mogła osunąć się na podłogę i tak znajdzie ją Richard. Rozkoszowała się wyobrażeniem tej sceny. Wtedy już nie będzie uważał, że tak doskonale wymyślił, jak ją zmusić

do wstania z łóżka.

Powolutku brnęła ku oknu, podpierając się kijem i wysuwając czubek języka z kącika ust. Mówiła sobie, że jeżeli upadnie, to będzie tak leżeć na polepie, bez wody, aż Richard wróci i ją znajdzie - jęczącą, z popękkanymi, spieczonymi wargami, umierającą z pragnienia. Będzie żałował tej swojej okrutnej sztuczki. Przez resztę życia będzie go gnębić poczucie winy za to, co jej uczynił - już ona się o to postara.

Wreszcie dotarła do okna, życząc sobie przy każdym kroku upadku na polepę. Uchwyciła się parapetu, zamknęła oczy i płytko dyszała, żeby nie urazić żeber. Kiedy już odzyskała oddech, podciągnęła się do okna. Złapała kubek i chciwie wypła wodę.

Gwałtownie odstawiła pusty kubek na parapet i wyjrzała na zewnątrz, znów łapiąc oddech.

A tam siedział na ziemi Richard, obejmując rękami kolana i mocno zaciskając dłonie.

- Witaj. - Uśmiechnął się do niej.

Siedząca obok niego Cara obojętnie podniosła wzrok.

- O, widzę, że wstałaś.

Kahlan chciała na niego wrzasnąć, ale stwierdziła, że z całej siły powstrzymuje się od śmiechu. Znienacka uznała, że okropnie głupio postępowała, nie próbując już dawno samodzielnie wstawać.

Pełnymi łez oczami patrzyła na bezkresny las, wspaniałe, żywe barwy, majestatyczne góry i błękitne niebo usiane płynącymi w dal puszystymi obłokami. Wielkość gór, ich wspaniałe stoki i soczyste barwy - to przewyższało wszystko, co do tej pory widziała. Jak mogłaby nie chcieć wstać i spojrzeć na otaczający ją świat?

- Oczywiście wiesz, że popełniłaś ogromny błąd - powiedział Richard.

- Co masz na myśli? - spytała Kahlan.

- Gdybyś nie wstała, dalej byśmy ci usługiwali, przynajmniej przez jakiś czas. A teraz, kiedy nam pokazałaś, że potrafisz wstać i chodzić, nadal będziemy kłaść różne rzeczy poza twoim zasięgiem, żebyś zaczęła się kręcić po chacie i sama obsługiwać.

Kahlan dziękowała mu za to w myślach, ale na razie wcale nie miała ochoty głośno przyznać, jak słusznie postąpił. Jednak kochała go jeszcze bardziej za to, że naraził się na jej gniew, byle tylko jej pomóc.

- Pokażemy jej, gdzie stoi stół? - spytała Cara.

Richard wzruszył ramionami.

- Jak zgłodnieje, to wyjdzie z sypialni i go znajdzie.

Kahlan rzuciła w niego kubkiem, żeby zetrzeć mu z twarzy ten pełen zadowolenia uśmieszek. Złapał kubek.

- Rad widzę, że masz sprawną rękę - powiedział. - Możesz sobie sama ukroić chleba. - Kahlan zaczęła oponować, więc dodał: - Tak będzie sprawiedliwie. Cara go upiekła, więc ty powinnaś przynajmniej pokroić.

Kahlan aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Cara upiekła chleb???

- Lord Rahl mnie nauczył - wyjaśniła Mord-Sith. - Chciałam chleba do gulaszu, prawdziwego chleba, więc powiedział, że skoro chcę chleba, to powinnam się nauczyć go piec. To było całkiem łatwe. Coś jak spacer do okna. Ale byłam znacznie uprzejmiejsza i niczym w lorda Rahla nie rzucałam.

Kahlan nie mogła powstrzymać uśmiechu; wiedziała, że wyrabianie ciasta musiało być dla Cary dużo trudniejsze niż dla niej wstanie z łóżka i podejście do okna. Trochę wątpiła w to, że Mord-Sith zyczliwie to przyjęła. Chętnie zobaczyłaby to starcie dwóch twardych charakterów.

- Oddaj kubek. I idź złapać jakąś rybę na obiad. Jestem głodna. Mam ochotę na pstrąga. Dużego pstrąga. I na chleb.

- Złapię go. - Richard uśmiechnął się. - Jeżeli znajdziesz stół.

Kahlan znalazła stół. I już nigdy nie jadła w łóżku.

Początkowo chodzenie sprawiało czasami taki ból, że nie mogła go znieść i chroniła się w łóżku. Wtedy przychodziła Cara i szczotkowała jej włosy, żeby Kahlan nie była sama. Miała jeszcze bardzo słabe mięśnie i z trudem się poruszała. Szczotkowanie włosów przekraczało jej siły. Dojście do stołu wyczerpywało, a na początku tylko tyle mogła zrobić. Richard i Cara współczuli jej i dodawali otuchy, ale i mobilizowali.

Kahlan ogromnie radowało wydobycie się z łóżka i to pomagało jej znosić ból. Świat znów był cudowny. A najbardziej cieszyło ją to, że mogła iść do wygodki. Cara nigdy tego nie powiedziała, ale Kahlan była przekonana, że i Mord-Sith to radowało.

Dziewczyna bardzo lubiła przytulną chatę, mimo to jednak czuła się jak uwolniona z lochu, kiedy wreszcie mogła wyjść na dwór. Richard często jej



przedtem proponował, że wyniesie ją na cały dzień z chaty, ale nigdy nie chciała opuścić łóżka, obawiając się bólu. Teraz zdała sobie sprawę, że ponieważ aż tak cierpiała, jej umysł przytępił się i był ospały. Razem z latem zagubiła na pewien czas i siebie. Teraz wreszcie znów jasno myślała.

Odkryła, że widok z jej okna był najmniej wspaniały ze wszystkich. Wokół małej chatki, zbudowanej przez Carę i Richarda, wznosiły się zapierające dech w piersiach ośnieżone szczyty. Mały domek, z dwiema sypialniami - jedną dla Kahlan i Richarda, drugą dla Mord-Sith - przedzielonymi wspólną izbą, stał na skraju aksamitnie zielonej łąki usianej kwiatami. Przybyli tutaj późnym latem, ale Richardowi udało się jeszcze założyć niewielki ogródek w nasłonecznionym miejscu, pod oknem Cary; hodował w nim warzywa i zioła dodające aromatu potrawom. Tuż za domkiem rosły wielkie sosny, chroniąc go przed wichrem.

Richard dalej rzeźbił, kiedy siedział przy łóżku Kahlan, rozmawiając lub snując opowieści, ale gdy zaczęła wstawać, figurki się zmieniły. Nie były to już zwierzęta, lecz ludzie. A pewnego dnia zadziwił ją najwspanialszym z dotychczasowych dzieł - wykonał je, jak powiedział, dla uczczenia tego, iż już na tyle wyzdrowiała, że mogła wyjść na świat. Kahlan, zdumiona wspaniałym realizmem i siłą bijącą z małej statuetki, wyszeptała, że to na pewno dar prowadził dłoń Richarda. On uważał, że to bezsensowne stwierdzenie.

- Ludzie bez daru cały czas rzeźbią wspaniałe posągi - tłumaczył. - Nie ma w tym żadnej magii.

Ale Kahlan wiedziała, że niektórzy artyści mają dar i potrafią swoją sztuką zaklinać magię.

Czasami Richard opowiadał w zadumie o dziełach sztuki, które widział w Pałacu Ludu w D'Harze, kiedy był tam więźniem. Dorastał w Hartlandzie, więc nigdy przedtem nie widział marmurowych posągów, a już na pewno tak wielkich i wyrzeźbionych przez tak uzdolnione dłonie. Prace te otworzyły mu oczy na otaczający go szeroki świat i wywarły na nim trwałe wrażenie. Któż prócz Richarda wspominałby z zachwytem cuda widywane w czasach niewoli i tortur?

To prawda, że sztuka może istnieć niezależnie od magii, ale za pierwszym razem Richard został schwytany za pomocą uroku wyzwolonego dzięki magii. Sztuka to uniwersalny język i dlatego jest wprost nieoceniona

w rzucaniu czarów.

Kahlan w końcu przestała się z nim sprzeczać o to, czy dar pomógł mu rzeźbić, czy nie. Bo on po prostu w to nie wierzył. Ona jednak uważała, że dar Richarda - nie mając innej drogi „ujścia” - musiał się objawiać właśnie w ten sposób. Magia zawsze znajdowała sposoby, żeby się ujawnić, a posążki ludzi, które wyrzeźbił Richard, wydawały się dziewczynie magiczne.

Rzeźba kobiety, którą dostała w podarunku od męża, głęboko ją poruszyła. Nazwał ją - posążek wysoki prawie na dwie stopy, wykonany z gładkiego, wonnego drewna orzecha - „Potęgą ducha”. Rozwiane na wietrze szaty podkreślały kobiecość kształtów smukłej postaci. Wyglądała jak żywa.

Kahlan nie pojmowała, jak Richard tego dokonał. Ale zdołał oddać w tej rzeźbie - przedstawiającej kobietę w szatach powiewających na wietrze, z głową odrzuconą w tył i wysuniętym w przód torsem, zaciskającą pięści i napinającą plecy, jakby się przeciwstawiała jakiejś niewidzialnej potędze, która na próżno usiłuje ją ujarzmić - potęgę... ducha.

Posążek wcale nie miał przypominać Kahlan, a mimo to wywoływał w niej echo, budził zadziwiająco znajome odczucia. Coś w tej kobiecie, uosabiany przez nią walor sprawiało, że dziewczyna pragnęła znów być zdrowa, pełna życia, silna i niezależna.

Cóż to mogło być innego, jeżeli nie magia? Kahlan całe życie przebywała w okazałych pałacach i widywała tam wiele wspaniałych dzieł uznanych artystów - ale żadne z nich nigdy nie poraziło jej siłą wewnętrznej wizji, wyrazem szlachetności. Dopiero ta dumna, energiczna kobieta w rozwianych szatach. Bijące z posążka siła i witalność sprawiły, że Kahlan, niezdolna wymówić ni słowa, mogła jedynie objąć Richarda.

## ROZDZIAŁ 19

Teraz Kahlan wychodziła z chaty przy każdej okazji. Posązek postawiła na parapecie, żeby mogła go widzieć nie tylko z łóżka, ale i z zewnątrz. Tak obróciła statuetkę „Potęgi ducha”, żeby patrzyła za okno. Miała wrażenie, że zawsze powinna stawiać czoło światu.

Otoczające domek lasy były tajemnicze i nęciły. Intrygujące szlaki wiodły w cienistą dal, a Kahlan mogła wypatrzyć światło u wylotu łagodnie zakrzywionego tunelu wśród drzew. Tak pragnęła zbadać owe wąskie ścieżki, zwierzęce szlaki poszerzone przez Richarda i Carę, kiedy wyprawiali się, by zarzucić wędki albo poszukać jagód i orzechów. Ona sama, podpierając się kijem, kuśtykała wokół domku i łąki, żeby wzmocnić nogi; chciała iść z Richardem na te wyprawy, w przesiany przez gałęzie słoneczny blask, w łagodny wiatr, przez odsłonięte skalne połacie, pod rozłożystymi konarami olbrzymich dębów.

Kiedy się upierała, że może już pójść na krótki spacer, Richard poprowadził ją poprzez ów tunel w gęstym, mrocznym lesie w plamę blasku u jego wylotu, gdzie potok spływał do skalistego wąwozu. Potok wypływał ze stoku nad nimi, z gęstej kępy drzew. Masy wody spadały ze skały, burzyły się wokół głazów i spływały lśniącymi jak szkło taflami ze skalnych półek. Wiele olbrzymich głazów tkwiących w ciemnych rozlewiskach porastał ciemnozielony mech i pstrzyły zbrązowiałe igły sosen rosnących na stoku. Powierzchnia jasnych rozlewisk skrzyła się w snopach promieni słonecznych przebijających się przez gęsty baldachim z gałęzi.

U stóp skalnej gardzieli, w słonecznej górskiej kotlinie za ich domkiem, tam gdzie szlak wynurzał się z lasów, potok rozszerzał się i zwalniał, wijąc się przez szeroką dolinę otoczoną potężnymi górami. Kahlan niekiedy zwieszała wychudzone nogi ze skalnego brzegu i pozwalała, by chłodna woda opływała jej stopy. Siedziała na nagrzanym trawie i płała się w słonecznym blasku, patrząc na ryby pływające w krystalicznie czystej wodzie o pokrytym żwirem dnie. Richard miał rację, kiedy mówił jej, że pstrągi lubią piękne miejsca.

Kahlan uwielbiała obserwować ryby, żaby, raki, a nawet salamandry. Często kładła się na brzuchu na niskim trawiastym brzegu, opierała brodę

na złączonych dłoniach i godzinami patrzyła, jak ryby wypływają spod zatopionych pni, spod głazów lub wyskakują z ciemnych głębi większych rozlewisk, żeby złapać z powierzchni wody jakiegoś owada. Łapała świerszcze, koniki polne i gąsienice i rzucała je rybom. Richard śmiał się, kiedy przemawiała do ryb, zachęcając je, żeby wypłynęły ze swoich ciemnych kryjówek na posiłek. Czasami w pobliskim płytkim bagnie stała cienkonoga, pełna gracji czapla siwa i co jakiś czas chwyciła swoim sztyletowatym dziobem rybę lub żabę.

Kahlan nie przypominała sobie, by kiedykolwiek przedtem była w miejscu tak tętniącym życiem, tchnącym takim majestatem. Richard drażnił się z nią, mówiąc, że niczego jeszcze nie widziała; budził w niej ciekawość i chęć nabierania sił potrzebnych do odkrywania nowych osobliwości. Czuła się jak mała dziewczynka przebywająca w czarodziejskim królestwie, które należało tylko i wyłącznie do nich. Kahlan dorastała jako Spowiedniczka, nigdy więc nie spędzała zbyt dużo czasu pod gołym niebem na obserwowaniu zwierząt, płynącej po kamieniach wody czy też zachodów słońca. Widziała całe mnóstwo wspaniałych rzeczy, ale zawsze było to związane z podróżą, miastami, budowlami i ludźmi. Nigdy nie przebywała w jednym miejscu poza miastem na tyle długo, żeby w nie wrosnąć.

Stale nachodziły ją dręczące myśli, wiedziała, że ona i Richard są potrzebni gdzie indziej. Mieli obowiązki. Jednak gdy tylko zaczynała o tym mówić, Richard obojętnie zmieniał temat; przecież już wyjaśnił wszystko i uważa, że postąpił właściwie.

Od bardzo dawna nie przybywali posłańcy. To również martwiło Kahlan, ale Richard twierdził, że nie powinien wpływać na działanie wojsk i dlatego dobrze, że generał Reibisch przestał przysyłać raporty. Poza tym, dorzucał, to tylko bez potrzeby wystawiało na niebezpieczeństwo spieszących do nich posłańców.

Kahlan wiedziała, że teraz powinna przede wszystkim nabierać sił, że takie górskie życie w odosobnieniu czyniło ją z dnia na dzień mocniejszą i że chyba nic innego tak znakomicie by jej nie pomogło. Gdy powrócą na wojnę - gdy przekona go, że powinni powrócić - owo spokojne życie stanie się jedynie ukochanym wspomnieniem. Postanowiła cieszyć się tym, czego nie mogła zmienić, dopóki to trwało.

Kiedyś padało przez parę dni i Kahlan tęskniła za spacerem nad potok i

obserwowaniem ryb. Richard uczynił coś zupełnie niesłychanego. Zaczął jej przynosić rybki w słoju. Żywe rybki. Żeby mogła na nie patrzeć.

Oczyścił pusty pojemnik po oliwie do lampy i kilka szklanych, szerokich u góry słoików po zakonserwowanej żywności, ziołach i maściach na jej rany oraz po innych zapasach, które kupił podczas podróży z Anderithu. Potem nasypał na dno trochę żwiru, napełnił naczynia wodą ze strumienia, złapał trochę małych rybek i wpuścił je do szklanych pojemników. Były żółtawooliwkowe, o czarno nakrapianych grzbietach i białych brzuskach, z grubą czarną kreską na obu bokach. W każdym pojemniku umieścił też troszkę wodorostów ze strumienia, żeby rybki miały się gdzie schować i czuły się bezpieczne.

Kahlan była strasznie zdumiona, gdy Richard przyniósł do domku pierwszy słoik z rybkami. Ustawiła słoje - a raczej cztery słoje i dzban - na parapecie w głównej izbie, obok kilku mniejszych rzeźb Richarda. Kiedy zasiadali we troje do posiłku, mogli obserwować cud: żyjące w szklanych słoikach ryby.

- Tylko nie nadawaj im imion - ostrzegł Richard - bo koniec końców umrą.

Coś, co początkowo wydawało się Kahlan szalonym pomysłem, wreszcie ją zafascynowało. Małe rybki polubiła nawet Cara, która zaczęła nazywać je „rybkami-w-słoju”. Każdy dzień spędzony z Richardem w górach przynosił nowe cudenka odwracające myśli Kahlan od jej cierpień i kłopotów.

Kiedy rybki przyzwyczyły się do ludzi, zachowywały się tak, jakby życie w słoju było czymś zupełnie naturalnym. Richard od czasu do czasu odlewał część wody i uzupełniał brak czystą wodą ze strumienia. Kahlan i Cara karmiły rybki okruszkami chleba i drobnymi resztkami z obiadu, czasem owadami. Rybki jadły z apetytem, a większość czasu spędzały na dziobaniu leżącego na dnie żwiru albo na pływaniu po słoju i obserwowaniu świata. W końcu nauczyły się, kiedy nadchodzi pora posiłku. Gdy tylko ktoś się zbliżał, zbierały się radośnie przy ścianie słoja jak pieski uradowane widokiem swojego pana.

W głównej izbie był kominek, który Richard zbudował z cegieł zrobionych z gliny z brzegów strumienia - uformował glinę w cegły, wysuszył na słońcu, a potem wypalił w ogniu. Mieli zrobiony przez niego stół i krzesła ze splecionych i powiązanych gałęzi. W rogu izby znajdowały się

drewniane drzwi prowadzące do wykopanej piwnicy. Przy tylnej ścianie piwnicy stały półki i duża szafka, wypełnione zapasami. W czasie podróży nakupili mnóstwo zapasów i wieźli je albo w powozie z Kahlan, albo przymocowane po bokach i z tyłu pojazdu. Kiedy nie było już dróg i powóz nie mógł pokonać górskich przełęczy, Richard i Cara przytaszczyli to wszystko na plecach. Richard torował drogę.

Cara miała własny pokój, po przeciwnej stronie wspólnej izby. Kiedy Kahlan mogła już chodzić, przekonała się ze zdumieniem, że Mord-Sith miała kolekcję kamieni. Cara jeżyła się na słowo „kolekcja” i zapewniała, że kamienie są tutaj wyłącznie jako oręż obronny, gdyby ich napadnięto i zaskoczono w domku. Kahlan uważała, że kamienie - każdy innej barwy - są podejrzanie ładne. Mord-Sith upierała się, że są mordercze.

Kiedy dziewczyna była przykuta do łóżka, Richard spał na sienniku w głównej izbie, a czasami na dworze, pod gwiazdami. Na początku, gdy Kahlan straszliwie cierpiała, wiele razy widziała go nocą, jak drzemie, oparty o ścianę, gotowy się poderwać, gdyby czegoś potrzebowała lub żeby podać jej leki czy ziołową herbatkę. Nie chciał spać przy niej w łóżku, żeby nie sprawić jej bólu. Gotowa była znieść ów dodatkowy ból, byle tylko czuć jego kojącą bliskość. W końcu jednak wydobrzała i mógł leżeć przy niej. Pierwszej wspólnej nocy przycisnęła do brzucha dużą, ciepłą dłoń Richarda i patrzyła na skąpaną w księżycowej poświacie „Potęgę ducha”. Słuchała nocnych nawoływań ptaków i owadów, pieśni wilków - aż w końcu oczy się jej zamknęły i zapadła w spokojny sen.

A następnego dnia Richard pierwszy raz ją zabił.

Byli nad strumieniem i sprawdzali zarzucone wędki, gdy wyciął dwa proste wierzbowe pręty. Rzucił jeden na ziemię obok siedzącej Kahlan i oznajmił, że to jej miecz. Był w wesołym nastroju, powiedział, żeby się broniła. Dziewczyna, również rozradowana, przyjęła wyzwanie i spróbowała zniecka pchnąć, by nauczyć go moresu. Jednak to Richard pchnął ją pierwszy wierzbowym mieczem i ogłosił, że jest martwa. Znowu stanęła do walki, tym razem poważnie, ale prędko wyprawił ją na tamten świat przekonująco zamarkowanym ścięciem głowy. Trzeci raz rzuciła się do walki już rozgniewana. Włożyła w atak wszystkie siły, ale Richard gładko udaremnił jej zamiary i dotknął czubkiem wierzbowego miecza piersi Kahlan. Oznajmił, że zginęła w trzech walkach na trzy.

Od tej pory była to gra, w której Kahlan chciała wygrać. Ale Richard nigdy na to nie pozwolił; nie wyświadczył jej tej uprzejmości nawet wtedy, kiedy zbyt powolne wracanie do pełni sił wpędzało ją w depresję. Wciąż na nowo upokarzał ją przed Carą. Kahlan wiedziała, że czyni tak dlatego, żeby zmusić ją do posługiwania się mięśniami, do zapomnienia o bólu, do rozćwiczenia i wzmocnienia ciała. Bardzo chciała wygrać.

Każde z nich nosiło za pasem wierzbowy miecz, zawsze pod ręką. Walczyli codziennie - albo ona atakowała pierwsza, albo on. Początkowo nie była dla niego przeciwnikiem i jasno dawał jej to do zrozumienia. A to jedynie utwierdzało Kahlan w postanowieniu, żeby mu pokazać, że wcale nie jest nowicjuską, że to nie tyle sprawa siły, ile metod, wykorzystywania okazji i szybkości. Zachęcał ją, ale nigdy fałszywie nie chwalił. Mijały tygodnie i stopniowo musiał się coraz bardziej trudzić, żeby ją zabić.

Władania mieczem uczył Kahlan jej ojciec, król Wyborn. A przynajmniej był królem, zanim matka Kahlan wzięła go sobie na małżonka. „Król” to dla Spowiedniczki nic nie znaczący tytuł. Król Wyborn z Galei miał z królową, swoją pierwszą żoną, dwoje dzieci, więc Kahlan miała starsze przyrodnie rodzeństwo: brata i siostrę.

Dziewczyna gorąco pragnęła popisać się tym, czego nauczył ją ojciec. Denerwowała ją świadomość, że o wiele lepiej włada mieczem, niż pokazuje to Richardowi. Nie tyle nie wiedziała, co zrobić, ile nie mogła tego dokonać: jej mięśnie były jeszcze zbyt słabe i nie reagowały tak szybko, jak powinny.

I było w tym wszystkim coś niepokojącego. Richard walczył w sposób, z którym Kahlan nigdy się nie spotkała: ani podczas treningu, ani w trakcie prawdziwej walki. Nie potrafiła określić i przeanalizować, na czym polega ta różnica, ale ją wyczuwała i nie wiedziała, jak temu przeciwdziałać.

Początkowo pojedynkowali się na łące za chatką, żeby Kahlan o nic się nie potknęła, a jeżeli już, żeby nie uderzyła głową w jakikolwiek głaz. Cara zawsze była widzem. Czas mijał, pojedynki trwały coraz dłużej i stawały się coraz bardziej zacięte. Wreszcie stały się zawzięte i wyczerpujące.

Kahlan parę razy była tak rozzłoszczona nieustępliwością Richarda w tych bojach na wierzbowe miecze, że po walce nie odzywała się do niego całymi godzinami, żeby nie wymknęło się jej coś, czego tak naprawdę wcale nie chciała powiedzieć i czego by później żałowała. W takich wypadkach Richard mówił jej czasami:

- Zachowaj swój gniew dla wroga. Tu nie wyjdzie ci na dobre, a tam pomoże pokonać strach. Wykorzystaj ten czas i naucz swój miecz, co ma czynić, żebyś potem mogła działać instynktownie.

Kahlan doskonale wiedziała, że żaden wróg nie jest życzliwy. Gdyby Richard uległ swojemu dobremu sercu i oszczędzał jej fałszywą dumę, źle by się jej przysłużył. Choć owe lekcje bywały okropnie denerwujące, nie sposób było się długo gniewać na Richarda - zwłaszcza że Kahlan wiedziała, iż tak naprawdę jest zła na siebie.

Dziewczyna przez całe życie miała do czynienia z bronią i z ludźmi, którzy nią walczyli. Kilku z najlepszych było jej nauczycielami, podobnie jak ojciec. Ale żaden z nich nie walczył tak jak Richard. Richard sprawiał, że pojedynki na miecze stawały się dziełem sztuki. Nadawał piękno obcowaniu ze śmiercią. Było w tym jednak coś, co Kahlan stale niepokoiło i czego wciąż nie pojmowała.

Kiedyś, jeszcze nim ją skatowano, Richard powiedział, że doszedł do wniosku, iż magia może być dziełem sztuki. Odparła wówczas, że to szalony pomysł. Ale teraz wcale nie była taka pewna. Z zasłyszanych urywków opowieści wynikało, że Richard tak właśnie wykorzystał magię, żeby pokonać demony: stworzył rozwiązanie, które nie istniało i którego nikt nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Pewnego dnia pojedynkowali się zawzięcie. Kahlan była przekonana, że go pokona i że właśnie zadaje zwycięski cios, ale Richard bez wysiłku umknął jej śmiertelnoścemu pchnięciu i ją zabił. Sprawił, że to, co niemożliwe, stało się naturalne.

I w tej chwili wszystko stało się dla Kahlan jasne. Niewłaściwie patrzyła na całą sprawę.

To nie było tak, że Richard był doskonałym fechtownikiem lub że nożem i dłutem wykonywał przepiękne rzeźby; chodziło o to, że stanowił jedno z ostrzem - ostrzem miecza, noża, dłuta, a nawet wierzbowego patyka. Był mistrzem: nie fechtunku czy rzeźbienia, lecz ostrza jako takiego.

Fechtunek to tylko jedno z zastosowań ostrza. Wykorzystywanie miecza do niszczenia równoważone było - a magia zawsze dąży do zachowania równowagi - przez wykorzystywanie noża do rzeźbienia wspaniałych posążków. Kahlan patrzyła oddzielnie na każde z tych działań i oddzielnie starała się je zrozumieć, a tymczasem Richard widział całość.



Wszystko, co robił - to, jak wypuszczał strzałę z łuku, jak rzeźbił, jak się pojedynkował, nawet jego płynny, przemyślany sposób chodzenia - nie było rozdzielone, nie stanowiło odrębnych zdolności... wszystko to stanowiło całość.

Richard przerwał walkę.

- Co z tobą? Bledniesz.

Kahlan stała, opuściwszy swój wierzbowy miecz.

- Tańczysz ze śmiercią. To właśnie robisz swoim mieczem.

Spojrzał na nią, jakby właśnie oznajmiła, że deszcz jest mokry.

- Oczywiście. - Dotknął amuletu na piersi; pośrodku, otoczony zawyłymi złotymi i srebrnymi liniami, widniał rubin w kształcie łyzy tak duży jak paznokiec jej kciuka. - Już dawno ci o tym powiedziałem. Czyżbyś właśnie zaczynała w to wierzyć?

- Tak, sądzę, że tak - odparła, wpatrzona w niego. Aż za dobrze pamiętała budzące zimny dreszcz słowa, które usłyszała w odpowiedzi na swoje pytanie, gdy po raz pierwszy zobaczyła ów amulet: „Rubin symbolizuje kroplę krwi. To symboliczne przedstawienie pierwotnego, najważniejszego prawa. To znaczy tylko jedno i zarazem wszystko: uderzaj. Kiedy już musisz walczyć, uderzaj. Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie. Uderzaj. To twój obowiązek, twój cel, twój przymus. Nie ma ważniejszego prawa, nie ma ważniejszego zobowiązania. Uderzaj. Linie to odwzorowanie tańca. Uderzaj z pustki, a nie z chaosu. Uderzaj wroga tak szybko i tak bezpośrednio, jak to tylko możliwe. Uderzaj pewnie. Uderzaj zdecydowanie i śmiało. Uderzaj w jego moc. Wykorzystuj luki w jego obronie. Uderzaj weń. Uderzaj bezwzględnie. Nie pozwól mu na chwilę oddechu. Miażdź go. Uderzaj bezlitośnie aż w głąb jego ducha. To przeciwwaga życia: śmierć. To taniec ze śmiercią. To prawo, według którego musi żyć czarodziej wojny albo umrze”.

Taniec to sztuka. Tak naprawdę nie różni się od rzeźbienia - sztuki wyrażanej poprzez ostrze. Dla Richarda było to jedno i to samo. Nie widział żadnej różnicy, bo w głębi ducha jej nie odczuwał.

Dzielili łąkę z rudą lisicą, która polowała głównie na gryzonie, choć nie gardziła i soczystymi robakami, które mogła tam złapać. Koniom lisica tak bardzo nie przeszkadzała, ale nie lubiły kojotów, które niekiedy zapędzały się aż tutaj. Kahlan rzadko widywała kojoty, wiedziała jednak, że są w pobliżu, kiedy konie parskaają z niezadowoleniem. Często słyszała nocami,

jak kojoty szczekają na okolicznych stokach. Wydawały długie monotonne wycie, a po nim serię ujadań. Czasem nocami śpiewały wilki i ich wycie, pozbawione kojocich ujadań, niosło się echem wśród gór. Raz zobaczyła pośród drzew czarnego niedźwiedzia: szedł spokojnie i tylko przelotnie na nich spojrzął; innym razem ryś przechodził obok ich chatki i konie uciekły w panice. Richard musiał ich potem szukać prawie cały dzień.

Wiewiórki ziemne zebrały u drzwi o pożywienie i wpraszały się do środka, żeby się rozejrzeć. Kahlan często przyłapywała się na tym, że do nich mówi i pyta je o coś, jakby rozumiały każde słowo. Sposób, w jaki przystawały i przechylały łepkę, patrząc na nią, sprawiał, iż zaczęła podejrzewać, że mogą naprawdę rozumieć, co do nich mówi. Wczesnym rankiem zachodziły często na łąkę stadka jeleni, niekiedy zostawiały w pobliżu drzwi ślady w kształcie odwróconych serc. Później, jesienią, pojawiały się agresywne byki w rui dźwigające wielkie, rozłożyste poroża. Jedną ze skór peleryny Kahlan była z wilka poranionego w pobliskiej dąbrowie przez rozjuszonego jelenia. Richard oszczędził rannemu zwierzęciu długiej, bolesnej agonii.

Nie tylko pojedynkowali się na wierzbowe miecze, ale i chodzili w góry, żeby Kahlan ćwiczyła mięśnie. Te wyprawy były dla niej ogromnie wyczerpujące i czasami wszystko tak ją bolało, że nie mogła spać. Richard wklepywał jej wtedy oliwkę w stopy, łydki i uda, żeby przynieść ulgę zboliałym mięśniom. To zazwyczaj pomagało; napięte mięśnie rozluźniały się, a Kahlan stawała się senna i zasypiała.

Bardzo dobrze pamiętała deszczową noc, kiedy wrócili do chatki przemoczeni i zmarznięci; leżała potem w łóżku z zamkniętymi oczami, a Richard wmasowywał rozgrzaną oliwkę w jej napięte mięśnie. Szepnął, że jej nogi wreszcie odzyskały dawny kształt. Kahlan spojrzała nań i dostrzegła w jego oczach pożądanie. Niemal zapomniała już o dreszczu, jaki wzbudzało w niej jego pragnienie. Była tak wstrząśnięta, że spłynęły jej po policzkach łzy radości, bo nagle znów poczuła się kobietą - godną pożądania kobietą.

Richard uniósł jej nogę do ust i delikatnie pocałował obnażoną kostkę. Zanim jego gorące pocałunki sięgnęły ud, oddech Kahlan przyspieszył z nagle obudzonego pożądania. Rozchylił jej nocny strój i wcierał w brzuch ciepłą oliwkę. Duże dłonie Richarda przesunęły się w górę i pieściły jej piersi. Muskał ustami i delikatnie dotykał palcami jej brodawek, aż stwardniały.

- Ależ lordzie Rahlu - szepnęła gardłowo - coś mi się zdaje, że dasz się ponieść uczuciom.

Znieruchomiał, zapanował nad sobą, cofnął dłoń.

- Nie potłukę się, Richardzie - powiedziała, chwytając jego dłoń i przyciągając do siebie. - Jestem już zupełnie zdrowa. Chciałabym, żebyś dał się im ponieść.

Wsunęła palce w jego włosy, a on całował jej piersi, ramiona i szyję. Gorący oddech chłopaka owiewał jej ucho. Jego wścibskie palce rozbudziły w niej dziką namiętność. Przytulonym do niej ciałem Richarda wstrząsał dreszcz rozkoszy. Już nie czuła zmęczenia. Wreszcie czule ucałował jej usta. Odwzajemniła pocałunek, dając mu poznać, że nie musi być aż tak delikatny.

Deszcz dzwonił o dach, błyskawice oświetlały zaciśnięte dłonie stojące na parapecie statuetki, grzmoty huczały echem po górach - a Kahlan, nie bojąc się i nie zastanawiając, czy wystarczy jej sił, mocno obejmowała Richarda i żarliwie, namiętnie się kochali. Jeszcze nigdy nie pragnęli się tak jak tej nocy. Wszystkie jej lęki i troski zniknęły w ogniu miłości. Załkała z rozkoszy i rozładowania emocji.

Kiedy potem Richard leżał w jej ramionach, Kahlan poczuła łzę spływającą z jego twarzy i zapytała, czy stało się coś złego. Potrzęsnał głową i powiedział, iż tak długo się bał, że ją utraci, iż czasami wydawało mu się, że oszaleje. Teraz mógł się nareszcie uwolnić od skrywanego przeraźliwego strachu. Nareszcie zniknęło cierpienie, które Kahlan po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach, kiedy nie mogła sobie przypomnieć jego imienia.

Wyprawiali się coraz dalej w góry. Niekiedy zabierali plecaki i spędzali noc w lasach, często pod sosną-strażniczką, jeśli udało im się ją znaleźć. Nierówno ukształtowany teren ofiarowywał nieskończoną różnorodność widoków. Miejscami wznosiły się nad nimi strome skalne ściany. Gdzie indziej stawali na skraju pionowych urwisk i obserwowali, jak zachodzące słońce barwi niebo na pomarańczowo i purpurowo i jak nad leżącymi w dole spokojnymi zielonymi kotlinami suną małe obłoczki. Pływali w przejrzystych, oświetlonych słońcem górskich stawach. Posilali się na skałkach, z których roztaczały się widoki, jakich nikt poza nimi nie podziwiał. Chodzili wydeptanymi przez zwierzęta szlakami przez rozległe lasy sękatych drzew albo przez lasy pełne drzew o pniach niczym potężne brązowe kolumny, których nie zdołałoby opasać i dwudziestu trzymających

się za ręce mężczyzn.

Ćwiczyli też strzelanie z łuku, żeby wzmocnić ramiona Kahlan. Polowali na drobną zwierzynę z myślą o gulaszu albo o pieczystym. Trochę mięsa wędzili i suszyli, podobnie jak ryby. Richard tylko niekiedy jadał mięso. Powstrzymywanie się od jedzenia mięsa zapewniało równowagę, jakiej wymagał jego dar, gdy chłopak zmuszony był zabijać. Teraz owa konieczność nie była tak przemożna, bo nie zabijał. Żył w spokoju. Bardzo możliwe, że przeciwwagę stanowiło obecnie rzeźbienie. W miarę upływu czasu mógł częściej jeść mięso. W trakcie swoich wypraw zazwyczaj jedli ryż, fasolę i chleb oraz zbierane po drodze jagody i upolowane zwierzęta.

Kahlan pomagała oczyszczać ryby i peklowała jedne, a inne wędziła na zimę. Nigdy przedtem nie wykonywała takiej pracy. Zbierali jagody, orzechy laskowe i dzikie jabłka i magazynowali sporą część w piwnicy razem z okopowymi, które Richard kupił, zanim przybyli w góry. Poza tym chłopak wykopywał każdą znalezioną jabłonkę i sadił je na łące przy chatce, żeby kiedyś mieli pod ręką jabłka.

Kahlan zastanawiała się, jak długo zamierza ich trzymać z dala od miejsca, gdzie byli potrzebni. To nie wypowiedziane pytanie zawsze wisiało w powietrzu. Cara nigdy go o to nie pytała, ale czasami napomykała o tym Kahlan, kiedy były same. Była strażniczką lorda Rahla i cieszyła się, że może stale być przy nim, więc zwykle nie protestowała. W końcu był lordem Rahlem i był bezpieczny.

Kahlan zawsze czuła wagę ciążących na nich obowiązków. Owe obowiązki - podobnie jak olbrzymie okoliczne góry - nieustannie majaczyły na horyzoncie, rzucały cień i nigdy nie pozwalały o sobie zapomnieć. Kochała chatkę zbudowaną przez Richarda na skraju łąki i uwielbiała poznawać poszarpane, wspaniałe, imponujące i ciągle inne góry, ale z każdym mijającym dniem coraz silniej odczuwała ciężar obowiązków i potrzebę powrotu tam, gdzie by się najbardziej przydali. Trapiła się tym, co się tam mogło dziać, a o czym oni tutaj nie wiedzieli. Imperialny Ład nie będzie tkwić w miejscu; tak liczne wojska lubiły zmieniać miejsce postoju. Żołnierze, zwłaszcza tacy, stawali się niespokojni, kiedy za długo tkwili w obozie, i wcześniej czy później zaczynali sprawiać kłopoty. Martwiła się o tych wszystkich ludzi, którzy potrzebowali obecności Richarda, jego kierownictwa - i jej również. Przecież sporo ludzi przez całe życie polegało

na Matce Spowiedniczce, zawsze obecnej i wstawiającej się za nimi.

Zbliżała się zima, więc Richard zrobił dla Kahlan ciepłe okrycie, głównie z wilczych skór. Tylko dwie skóry były kojocie. Richard znalazł kojota ze złamaną nogą, który prawdopodobnie spadł ze skały, i skrócił męki zwierzaka. Drugi był samotnikiem przepędzonym przez miejscowe stado. Zaczął podkradać żywność z ich niewielkiej wędzarni. Richard ubił przebiegłego złodziejaska strzałą.

Większość wilczych skór pochodziła z rannych lub starych zwierząt. Richard, Kahlan i Cara często podążali tropami wilczych watah, żeby Kahlan szybciej odzyskiwała siły. Dziewczyna nauczyła się odróżniać wilcze ślady i nawet potrafiła powiedzieć, czy zostały odcisnięte w błocie czy w suchej ziemi, czy były to ślady przednich czy tylnych łap. Richard pokazał jej, że palce przednich łap szerzej się rozchylają, a poduszka mocniej odciska niż tylne łapy. Znalazł w górach kilka stad i całą trójką często szli za jedną z grup lub rodziną, żeby sprawdzić, czy mogą śledzić wilki bez ich wiedzy. Richard mówił, że tak właśnie ćwiczą przewodnicy, żeby nie stracić ostrości zmysłów.

Kiedy peleryna Kahlan była już gotowa, zaczęli kompletować skóry na okrycie dla Cary. Mord-Sith, zawsze nosząca służbowy uniform, cieszyła się, że lord Rahl i dla niej sporządzi okrycie. Choć Cara nigdy tego nie powiedziała, dziewczyna wyczuwała, że Mord-Sith traktuje szytą przez Richarda pelerynę jako symbol jego uczuć, szacunku - jako dowód, że jest kimś więcej niż tylko jego strażniczką.

To była wyprawa po skóry na pelerynę Cary i Mord-Sith pałała entuzjazmem. Nawet gotowała dla wszystkich.

Kahlan schodziła z grani, na której w końcu pokonała Richarda, i nareszcie była w dobrym nastroju. Przez ostatnie dwa dni szli za stadem wilków przez góry na zachód od ich chatki. Było to nie tylko polowanie, chodziło nie tylko o skóry na pelerynę Cary, ale głównie o nieustanną presję Richarda, żeby Kahlan wzmacniała mięśnie i nie traciła ducha.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy niemal codziennie Richard zmuszał ją do chodzenia w najtrudniejszym terenie; podczas tych wypraw pracował każdy jej mięsień. Im Kahlan stawała się silniejsza, tym dłużej trwały takie marsze. Na początku chodziła wyłącznie po domu; teraz chodziła po górach. A na dodatek Richard często atakował ją wierzbowym mieczem i kpił, jeśli

nie wkładała w pojedynek wszystkich sił.

Zdumiewało ją jednak, że w końcu pokonała Richarda w jednym z tych pojedynków. Może i był zmęczony dźwiganiem najcięższego plecaka i wracaniem po nie, kiedy już sam przepatrzył co bardziej strome szlaki, ale ani nie osłabł, ani nie stracił szybkości. A mimo to go zabiła. Nie potrafiła nie cieszyć się swoim zwycięstwem, chociaż ją zastanawiało. Kątem oka widziała, jak Richard się uśmiecha, gdy na nią patrzy. Wiedziała, że jest z niej dumny, bo go pokonała. Owa przegrana była zarazem jego zwycięstwem.

Kahlan pomyślała, że teraz - po tym wszystkim, do czego Richard ją zmusił - na pewno jest silniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Nie było jej łatwo, ale warto było przez to przejść i czuć się w końcu tak jak rzeźba w oknie jej sypialni.

Dziewczyna położyła dłoń na ramieniu Richarda idącego za Carą po strzaskanych granitowych płytach, przypadkowo tworzących wielkie, nieregularne stopnie.

- Jak mi się udało cię pokonać, Richardzie?

Wyraz oczu Kahlan świadczył, że to poważne pytanie.

- Zabiłaś mnie, bo popełniłem błąd.

- Błąd? Uważasz, że stałeś się zbyt pewny siebie? A może po prostu byłeś zbyt zmęczony albo myślałeś o czymś innym.

- To nie ma znaczenia, nieprawdaż? Bez względu na to, co to było, stanowiło błąd, który kosztował mnie w tej grze życie. W prawdziwej walce zginąłbym. Dałaś mi cenną naukę: powinienem zawsze wkładać w walkę wszystkie siły. I przypominałaś mi, że w każdej chwili mogę popełnić błąd i przegrać.

Kahlan nie mogła się opędzić przed pytaniem, czy Richard popełnia błąd, trzymając się na uboczu walki o uwolnienie Midlandów spod tyranii Imperialnego Ładu. Wciąż czuła się zobowiązana wspomóc swój lud, chociaż Richard ciągle twierdził, że skoro ludzie nie życzą sobie, żeby im przewodził, to jego wysiłki nic dobrego nie przyniosą. Kahlan, jako Matka Spowiedniczka, twierdziła, że chociaż ludzie nie zawsze pojmują, że ich wódz uczynił to, co uczynił, wyłącznie dla ich dobra, to nie należy ich porzucać.

Zbliżała się zima, więc dziewczyna miała nadzieję, że Imperialny Ład

pozostanie na kwaterze w Andericie. Musiała przekonać Richarda, żeby znów ruszył na pomoc Midlandom, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Twardo stał przy swoim i nie mogła znaleźć żadnej luki w jego logicznych wywodach. Uczucia nie wpływały na jego decyzję.

Cara sprowadziła ich w dół skalistym urwiskiem; tylko dwa razy musieli się cofać po własnych śladach. Mord-Sith była zadowolona z siebie i z tego, że Richard pozwolił jej wybierać drogę. W końcu szli po skórę dla niej, więc pozwolił jej prowadzić przez gąszcz porastający dno wąwozu, a potem w górę drugim stokiem przełęczy, gdzie drzewa korzeniami niczym pazurami czepiały się skał.

Wiatr był już lodowaty. Pokrywa chmur stawała się coraz grubsza, aż wreszcie przesłoniła złociste promienie słońca. Droga pod górę zaprowadziła ich do mrocznego, ponurego lasu iglastego. Czubki drzew chwiały się na wietrze wysoko ponad ich głowami, ale przy ziemi było bezwietrznie. Gruba, miękka warstwa zbrązowiałych igieł tłumiała ich kroki.

Podejście było strome, ale niezbyt wyczerpujące. W miarę jak się wspinali, olbrzymie drzewa rosły coraz dalej od siebie. Konary były coraz mniej rozłożyste i na dół docierało więcej słabego światła. Skały powyżej przeważnie nie były pokryte ani mchem, ani liśćmi. Miejscami musieli się przytrzymywać skał albo korzeni. Kahlan głęboko wciągała chłodne powietrze; dobrze było wypróbować mięśnie.

Wyszli z lasu w stalowoszare światło późnego popołudnia, w wycie wichru. Byli w rachitycznym lasku.

Na osuwiskach i skałach nie było grubej warstwy mchu, tak wszechobecnej w niższych partiach gór; za to widać tu było zielono-żółte, obrzeżone czernią plamy porostów. Tu i ówdzie w zagłębieniach tkwiły mizerne krzaki. Ale najdziwniej wyglądały drzewa i to ze względu na nie tak właśnie nazwano miejsce powyżej linii lasu. Wszystkie skarłowaciały - mało które było wyższe od Kahlan czy Richarda. Większość gałęzi wyrastała po jednej stronie pnia, zgodnie z najczęstszym kierunkiem wichrów, co nadawało drzewom wygląd biegnących groteskowych szkieletów, które zastygły w męce.

Powyżej rachitycznego lasku rosły głównie turzyce i porosty. A jeszcze wyżej zalegał śnieg.

- Tam jest - powiedziała Cara.

Znaleźli wilka rozciągniętego na piargu przy niskim gładzie z ciemnymi plamami zaschniętej krwi na ostrej krawędzi. Wataha wilków próbowała w wyższych partiach upolować karibu i stary samiec poczęstował nieszczęśnika kopniakiem. Kopniak sam w sobie pewnie byłby tylko bolesny, ale wilk ześliznął się z wyżej położonej półki skalnej, runął w dół i zabił się. Kahlan musnęła palcami gęste, żółtawoszare, nakrapiane czernią futro. Było w znakomitym stanie i przyda się do zimowego okrycia Cary.

Richard i Cara zaczęli skórować roślinę wilczyce, a Kahlan podeszła do skraju występu skalnego. Podciągnęła pelerynę, zakryła uszy i stała w zimnym wicherze, obserwując nadciągające chmury. Trochę ją wystraszyło to, co zobaczyła.

- To nie mżawka nadciąga, Richardzie. To śnieg.

Podniósł wzrok znad krwawej roboty.

- Widzisz w dolinie jakąś sosnę-strażniczkę?

Spojrzała zmrużonymi oczami w rozciągającą się poniżej dolinę.

- Tak, widzę, i to kilka. Śnieg jest jeszcze dość daleko więc jeżeli się pospieszycie, powinniśmy zdążyć zejść i zebrać trochę drewna, nim zacznie padać.

- Już prawie skończyliśmy - powiedziała Cara.

Richard wstał, żeby rzucić okiem. Okrwawioną dłonią bezwiednie uniósł prawdziwy miecz i zaraz go opuścił, sprawdzając, czy luźno siedzi w pochwie. Niepokojący gest. Nie dobywał miecza od dnia, kiedy musiał zabić mężczyzn, którzy napadli na nich w pobliżu Hartlandu.

- Coś nie tak?

- Słucham? - Chłopak spostrzegł, gdzie patrzyła, i sam spojrzał na miecz u biodra. - Ach. Nie, nic. To tylko przyzwyczajenie.

- O, tam jest sosna-strażniczka - wskazała Kahlan. - Najbliższa i odpowiednich rozmiarów.

Richard grzbietem dłoni odgarnął włosy z czoła i z oczu. Palce lśniły mu od krwi.

- Będziemy tam jeszcze przed zmierzchem, chronieni przez sosnę-strażniczkę. Siądziemy przy ognisku i napijemy się herbaty. Rozciągnę skórę na wewnętrznych konarach i tam ją oskrobię. Śnieg jeszcze bardziej odizoluje nasze schronienie. Po rządnie wypoczniemy, a rankiem ruszymy w drogę powrotną. Trochę niżej stąd będzie tylko padać deszcz.



Kahlan przebiegł dreszcz po ramionach i karku, więc wtuliła policzek w futrzaną pelerynę. Podkradła się do nich zima.

## ROZDZIAŁ 20

Kiedy dwa dni później wrócili do domu, stwierdzili, że wszystkie rybki w słojach są martwe.

Wybrali tę samą łatwiejszą drogę przez przełęcz, którą przed kilkoma miesiącami dotarli do doliny z końmi. Kahlan, rzecz jasna, nie pamiętała tamtej podróży: była wówczas nieprzytomna. Teraz do ich chatki prowadziła krótsza trasa, którą wydeptali z przełęcz. Mogli z niej skorzystać, ale była wąska i trudna i zaoszczędziłaby im zaledwie dziesięć lub piętnaście minut. Nie było ich od wielu dni, więc gdy zmęczeni stanęli na szczycie smaganego wiatrem stoku i spojrzeli na stojący daleko w dole, na skraju łąki zaciszny domek, postanowili zejść łatwiejszą, choć trochę dłuższą trasą. Jakaż to była ulga znaleźć się we wnętrzu chatki, z dala od wiatru, i zrzucić z pleców bagaże.

Richard zajął się drewnem na rozpałkę, Cara poszła po wodę, a Kahlan wyjęła kawałeczek płótna, w które zawinęła kilka niewielkich owadów złapanych tego dnia; zamierzała nakarmić rybki, bo musiały być już głodne. Jęknęła, kiedy zobaczyła, że wszystkie są martwe.

- Co się stało? - spytała Cara, wchodząca właśnie z wiadrem wody. Podeszła, żeby spojrzeć na rybki.

- Wygląda na to, że padły z głodu - powiedziała Kahlan.

- Takie małe rybki zwykle długo w słojach nie żyją - odezwał się Richard, klękając i układając brzożowe szczapy na podpałce.

- Ale te żyły długo - sprzeciwiła się Kahlan, jakby chciała mu udowodnić, że się myli.

- Chyba nie nadałaś im imion? Mówiłem, żebyś tego nie robiła, bo po jakimś czasie umrą. Ostrzegałem cię, żebyś się do nich nie przywiązywała, skoro to się musiało tak skończyć.

- Cara dała jednej imię.

- Wcale nie - zaprotestowała Mord-Sith. - Ja tylko chciałam ci pokazać, o której mówię.

Podpałka zajęła się od iskier z krzemienia, a Richard podniósł wzrok znad paleniska i uśmiechnął się.

- Przyniosę wam inne.

Kahlan ziewnęła.

- Ale te były najlepsze. Byłam im potrzebna.

Richard głośno się roześmiał.

- Ale masz wyobraźnię. Tylko dlatego były od nas zależne, że sztucznie odmieniliśmy im życie. Wiewiórki ziemne też przestałyby robić zapasy na zimę, gdybyśmy je stale karmili do syta. Rybki, rzecz jasna, nie miały wyboru, bo trzymaliśmy je w słojach. Gdybyśmy im zostawili swobodę, to by nas nie potrzebowały. W końcu trzeba było sieci, żeby je złowić. Złapię ci inne i też staniesz się im potrzebna.

Dwa dni później, kiedy zachmurzenie nie było zbyt duże, zjedli obfity posiłek - potrawkę z królika z rzepą i cebulą oraz chleb upieczony przez Careę - i Richard poszedł sprawdzić zarzucone wędki oraz nałapać trochę małych rybek.

Jak tylko wyszedł, Cara zebrała łyżki i wrzuciła je do stojącego na ławie cebrzyka do zmywania.

- Wiesz co - powiedziała, patrząc przez ramię na Kahlan - podoba mi się tutaj, naprawdę, ale zaczyna mnie to irytować.

Kahlan zgarniała z talerzy resztki do drewnianej misy z kuchennymi odpadkami, żeby je wynieść na śmietnik.

- Irytować? - Przyniosła Carze talerze. - O co ci chodzi?

- To miłe miejsce, Matko Spowiedniczko, ale zaczynam tu wariować. Jestem Mord-Sith. A, drogie duchy, zaczynam nadawać imiona rybkom w słojach! - Odwróciła się ku cebrzykowi i zaczęła myć łyżki zmywakiem. - Nie uważasz, że już najwyższy czas przekonać lorda Rahla, że powinniśmy wracać?

Kahlan westchnęła. Kochała ich górski domek, kochała spokój i osamotnienie. A ponad wszystko ceniła czas, który ona i Richard mogli spędzać razem, bez ludzi, którzy bez przerwy czegoś od nich chcieli. Zarazem jednak tęskniła do ruchu Aydindril, do towarzystwa, do oglądania miast i tłumów. Takie ruchliwe, ludne miejsca miały swoje wady, ale zalety również.

Miała całe życie, żeby się przyzwyczaić, że ludzie nie zawsze chcą jej pomocy lub nie zawsze tę pomoc rozumieją i że powinna działać bez względu na to, skoro wie, iż robi to dla ich dobra. Richard nigdy nie musiał się uczyć stawiania czoła takiej zimnej obojętności i wykonywania

obowiązków pomimo niej.

- Oczywiście, że tak uważam, Caro. - Kahlan odstawiała na półkę misę z resztkami i powiedziała sobie, że ma ją później opróżnić; zastanawiała się, czy zostanie Matką Spowiedniczką, która już zawsze będzie mieszkać w lasach, z dala od swojego walczącego o wolność ludu. - Ale sama wiesz, co myśli Richard. Uważa, że to by było niewłaściwe. A co więcej, że postąpienie zgodnie z takim pragnieniem byłoby nieodpowiedzialne, skoro rozum mówi mu, że nie powinien tego robić.

W niebieskich oczach Cary lśniła stanowczość.

- Jesteś Matką Spowiedniczką. Przełam urok tego miejsca. Powiedz mu, że jesteś tam potrzebna i że zamierzasz wrócić. Co wtedy zrobi? Przywiąże cię do drzewa? Jeśli odejdziesz, pójdzie za tobą. Będzie musiał wrócić.

Kahlan zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie, nie mogę tego zrobić. Nie po tym, co nam powiedział. Nie możesz czegoś takiego zrobić osobie, którą szanujesz. Mogę się z nim nie w pełni zgadzać, ale rozumiem jego motywy i znam go na tyle dobrze, by się obawiać, że ma rację.

- Przecież powrót wcale nie oznacza, że znów zostałby naszym wodzem. Tylko byś go stąd wyprowadziła, nie kazać mu wracać do dowodzenia. - Cara uśmiechnęła się. - Ale może się opamięta, kiedy zobaczy, jak bardzo jest tam potrzebny.

- To jeden z powodów, dla których zabrał nas tak daleko w góry: boi się, że jeśli będzie w pobliżu walczących lub jeśli wróci, to zobaczy, co się dzieje, i da się wciągnąć w wir zdarzeń. Nie mogę go przypierać do muru, wykorzystując uczucia, jakie do mnie żywi. Nawet gdybyśmy wrócili, a on oparłby się pokusie wspomnienia ludzi walczących o życie, nie dałby się wciągnąć w zmagania z Imperialnym Ładem, to taki jawny przymus z mojej strony wykopałby pomiędzy nami przepaść. - Kahlan znowu potrząsnęła głową. - Zbyt mocno w to wierzy. Nie będę go zmuszać do powrotu.

Cara machnęła ociekającym wodą zmywakiem.

- Może tak do końca w to nie wierzy, nie naprawdę, nie w głębi serca. Może nie chce wracać, bo zwątpił w siebie przez to, co się stało w Andericie, i teraz myśli, że lepiej się trzymać z daleka.

- Nie sądzę, żeby Richard w tej sprawie zwątpił w siebie. Nie w tym. Ani przez chwilę. Ani trochę. Myślę, że gdyby miał jakieś wątpliwości, to by

wrócił, bo to łatwiejsza droga. Trzymanie się na uboczu jest o wiele trudniejsze, o czym ty i ja możemy zaświadczyć. Ale ty, Caro, możesz w każdej chwili odejść, jeśli tak bardzo ci na tym zależy. On nie ma prawa do twojego życia. Nie musisz tu zostawać, skoro nie chcesz.

- Przysięgałam być przy nim bez względu na to, jakie szaleństwo popełnia.

- Szaleństwo? Idziesz za nim, bo w niego wierzysz. Ja również. I dlatego nigdy nie odejdę, nie zmuszę go, żeby poszedł za mną.

Cara mocno zacisnęła wargi. Niebieskie oczy złagodniały, odwróciła się i wrzuciła zmywak do cebrzyka z wodą.

- No, to będziemy tu tkwić, skazani na życie w raju.

Kahlan uśmiechnęła się, pojmując irytację Cary. Nie miała co prawda prawa zmuszać Richarda do czegoś, czemu się tak zdecydowanie opierał, ale to nie znaczyło, że nie spróbuje zmienić jego nastawienia. Dopięła herbatę i postawiła kubek na ławie. Taak, to zupełnie co innego.

- Może nie. A wiesz, że to samo sobie myślałam. To znaczy, że powinniśmy wracać.

Cara łypnęła na nią podejrzliwie.

- A co, według ciebie, mamy zrobić, żeby go przekonać?

- Richarda nie będzie jeszcze przez jakiś czas. Skoro nie będzie nam w tym przeszkadzał, to może byśmy się wykąpały?

- Kąpiel?

- Tak, kąpiel. Rozmyślałam o tym, jak bardzo chciałabym się umyć. Znudziło mi się wygląkanie jak włóczęga. Chcę umyć włosy i włożyć białą szatę Matki Spowiedniczki.

- Biała szata Matki Spowiedniczki... - Cara uśmiechnęła się konspiracyjnie. - Ach. Teraz będzie to pojedynek, do którego kobieta jest lepiej przygotowana.

Kahlan widziała kątem oka „Potęgę ducha” stojącą na oknie w sypialni, patrzącą na świat, w szatach rozwianych wiatrem, z odrzuconą w tył głową, z dumnie wyprostowanymi plecami, zaciskającą dłonie i stawiającą opór wszystkiemu, co chciałoby ją okiełznać.

- Hmm, niezupełnie taki pojedynek, jak myślisz, ale uważam, że lepiej przedstawię całą sprawę, jeżeli będę odpowiednio odziana. To nie będzie nieuczciwe. Przedstawię mu całą tę sprawę jako Matka Spowiedniczka.

Wydaje mi się, że miał zmacony osąd. Trudno myśleć o czymkolwiek innym, kiedy się straszliwie zamartwiasz o ukochaną osobę. - Kahlan pomyślała o wiszącej nad Midlandami groźbie i zacisnęła dłonie w pięści. - Przekona się, że to już przeszłość, że jestem zupełnie zdrowa i że nadszedł czas podjęcia na nowo obowiązków wobec naszego ludu.

Cara, uśmiechając się kpiąco, odgarnęła do tyłu kosmyk blond włosów.

- Na pewno zobaczy i to, i jeszcze więcej, jeśli będziesz w tej swojej szacie.

- Chcę, żeby zobaczył kobietę, która potrafiła go pokonać w pojedynku na miecze. I żeby zobaczył Matkę Spowiedniczkę w jej szacie.

Cara zdmuchnęła z twarzy jeszcze jeden kosmyk.

- Prawdę mówiąc, i ja nie miałabym nic przeciwko kąpeli. Myślę, że jeśli stanę obok ciebie w uniformie Mord-Sith, ze świeżo umyтыми i zaplecionymi w warkocz włosami, jeśli będę wyglądać jak na Mord-Sith przystało i poprę twoje zdanie, to lord Rahl tym bardziej przekona się, że mamy rację i że nadszedł czas powrotu.

Kahlan włożyła talerze do cebrzyka.

- A więc postanowione. Mamy wystarczająco dużo czasu do jego powrotu.

Richard zrobił im niewielką drewnianą wannę, na tyle jednak dużą, żeby można było w niej usiąść i swobodnie się wykapać. Nie można się w niej było wygodnie wyciągnąć i rozkoszować kąpielą, ale i tak był to luksus w ich górskim domku.

Cara wyciągnęła wannę z rogu izby, zostawiając rysy na polepie.

- Ustawię ją w mojej izdebce. Ty się pierwsza wykąpiesz. Jak prędy wróci, zajmiesz swojego wścibskiego męża i zatrzymasz go z dala od moich włosów, kiedy je będę myć.

Obie przydźwigały wiadra wody z pobliskiego strumienia i nagrzały trochę wody w kociołku zawieszonym nad ogniem. Potem Kahlan wreszcie zanurzyła się w parującej wodzie i westchnęła. Powietrze było chłodne, więc gorąca kąpiel sprawiała jeszcze większą przyjemność. Chętnie przeciągnęłaby kąpiel, ale zdecydowała się tego nie robić. Uśmiechnęła się na wspomnienie kłopotów, jakie Richard miał z kobietami w kąpeli. Dobrze, że teraz go tu nie było. Potem, kiedy już porozmawiają, poprosi go, żeby się wykapał przed snem. Lubiła zapach jego potu, jeśli był to pot czystej skóry.

Kahlan, świadoma, że stanie przed Richardem ze świeżo umyтыми, lśniącyymi włosami i w swojej białej szacie, bardziej wierzyła w możliwość powrotu niż przedtem. Cara gotowała kolejną porcję wody, a ona wysuszyła przy ogniu włosy i wyszczotkowała je. Potem Mord-Sith poszła się kąpać, Kahlan zaś weszła do swojej izby, żeby włożyć suknię. Większość ludzi bała się tej szaty, bo bali się kobiety, która ją nosiła. Richardowi zawsze się w tej szacie podobała.

Rzuciła ręcznik na łóżko; stojąca na oknie statuetka przyciągnęła jej wzrok. Kahlan zacisnęła dłonie w pięści i, naga, wyprostowała się, po czym odrzuciła głowę do tyłu, naśladowując pozę „Potęgi ducha”. Pozwoliła, żeby wypełniła ją ta moc, i stała się tym silnym duchem.

W owej chwili była tą wyrzeźbioną kobietą.

To był dzień zmiany. Czowała to.

Trochę dziwnie było znów - po tak długim życiu jako kobieta lasu - włożyć białą szatę Matki Spowiedniczki, czuć na skórze aksamitną gładkość materiału. Znajome, dodające otuchy odczucie.

Jako Matka Spowiedniczka Kahlan była pewna siebie. Jej biała szata była w gruncie rzeczy zbroją bitewną. Dawała poczucie ważności, bo symbolizowała historię i owe wyjątkowe kobiety, które ją wcześniej nosiły. Na Matce Spowiednicze spoczywała straszliwa odpowiedzialność, ale czerpała też satysfakcję z tego, że mogła zmieniać na lepsze dolę ludzi.

Ci ludzie byli od niej zależni. Kahlan miała zadanie do wykonania i musiała przekonać Richarda, że powinna je zrealizować. Jego również potrzebowali, więc jeśli nawet nie chciał wydawać rozkazów, to przynajmniej powinien z własnej woli z nią powrócić. Walczący o wspólną sprawę zasługiwali na świadomość, że jest z nimi Matka Spowiedniczka, że nie zwątpiła ani w nich, ani w ich ideały. Musi sprawić, żeby Richard choć tyle zrozumiał.

Kahlan wróciła do głównej izby i usłyszała pluskającą się w wannie Carę.

- Potrzebujesz czegoś? - zawołała do niej.

- Nie! - odkrzyknęła Mord-Sith. - Ależ to przyjemne! W tej wodzie jest chyba tyle ziemi, że można by było sadzić kartofle.

Kahlan roześmiała się. Zobaczyła wiewiórkę ziemną kręcącą się koło chatki.

- Nakarmię Chippy ogryzkami jabłek. Zawołaj, jeśli będziesz czegoś

potrzebowała.

- Dobrze - odezwała się Cara z wanny. - A jak wróci lord Rahl, pocałuj go albo czymś zajmij, ale zaczekaj, aż będę gotowa, i dopiero wtedy z nim rozmawiaj. Chcę być przy tobie i pomóc ci go przekonać. Chcę być pewna, że sprawiliśmy, że ujrzał światło.

- Obiecuję. - Kahlan uśmiechnęła się.

Wyjęła ogryzek z drewnianego cebrzyka z przysmakami dla zwierzków, zawieszona na sznurze, żeby wiewiórki ziemne same nie mogły się do nich dostać. Zwykle wiewiórki też lubiły ogryzki. Konie wołały całe jabłka.

- Chippy! - zawołała od drzwi głosem, którym zawsze do nich przemawiała. Podciągnęła wiadro ku sufitowi i zaczepiła sznur o kołek w ścianie. - Chip, chcesz jabłuszko?

Zobaczyła wiewiórkę ziemną buszującą w trawie z boku chatki. Chłodny wiatr muskał jej nogi fałdami długiej szaty. Ziąb był taki, że właściwie przydałaby się futrzana peleryna. Ogołoczone z liści konary rosnących za chatą dębów uderzały o siebie, jęcząc przy tym i chrzęszcząc. Sosny, strzelające w niebo tam, gdzie wiatr był mocniejszy, chyliły się nisko w jego powiewach. Słońce skryło się za stalowoszarymi chmurami i biała szata jaśniała w mroku.

Kahlan ponownie zawołała wiewiórkę ziemną w pobliżu okna, z którego spoglądała „Potęga ducha”. Łagodny głos, jakim do nich przemawiała, czarował zwierzątko. Kiedy Chippy ją usłyszał, stanął na chwilę na tylnych łapkach, sprawdzając, czy droga wolna, a kiedy się co do tego upewnił, podbiegł do Kahlan. Przykucnęła i położyła ogryzek na ziemi.

- Proszę, skarbie - zagruchała. - Pyszne jabłuszko dla ciebie.

Chippy nie marnował czasu i zaraz zaczął zajadać. Kahlan z uśmiechem obserwowała, jak skubie kulający się po ziemi ogryzek. Wstała, otrzepała dłonie i patrzyła, urzeczona pałaszującym z takim apetytem stworzonkiem.

Nagle Chippy wzdrygnął się, pisnął i znieruchomiał.

Kahlan podniosła wzrok. Patrzyła prosto w błękitne oczy jakiejś kobiety.

Owa kobieta stała mniej więcej dziesięć stóp od niej i chłodno ją obserwowała. Kahlan na chwilę straciła oddech. Nieznajoma pojawiła się niespodziewanie, znikąd. Kahlan przeszył lodowaty dreszcz.

Długie jasne włosy tamtej spływały na ramiona okryte wspaniałą czarną suknią. Miała posągową sylwetkę i nieskazitelne rysy, jej oczy tak wnikliwie i



świadomie patrzyły na świat, że mogła być jedynie do głębi uczciwa... lub niewypowiedzianie zła.

Kahlan nie miała wątpliwości, jak jest w istocie.

Owa kobieta sprawiła, że Kahlan czuła się okropnie brzydka i jednocześnie bezradna jak dziecko. Niczego bardziej nie pragnęła, niż uciec. A zamiast tego wpatrywała się w błękitne oczy tamtej przez całą wieczność, choć trwało to może jedną lub dwie sekundy. Te rozumne oczy obserwowały ją z budzącą grozę dociekliwością.

Kahlan przypomniała sobie, jak kapitan Meiffert opisywał tę kobietę. Ale za nic na świecie nie mogła sobie przypomnieć jej imienia. I tak nie miało to znaczenia. Liczyło się jedynie to, że była Siostrą Mroku.

Kobieta bez słowa wyciągnęła ku niej dłonie i odwróciła je wnętrzem ku górze, jakby coś pokornie ofiarowywała. Dłonie były puste.

Kahlan zdecydowała się pokonać dzielącą je przestrzeń.

Postanowiła porazić ją swoją mocą. Postanowienie wystarczyło, by ten akt się rozpoczął. Jednak Kahlan musiała się znaleźć bliżej tamtej, jeśli miało to być skuteczne działanie.

Kiedy ruszyła, żeby pokonać dzielącą je odległość, świat zniknął w białym rozbłysku bólu.

## ROZDZIAŁ 21

Richard usłyszał osobliwy dźwięk i znieruchomiał. Ziemia zadrżała mu pod stopami; poczuł ten wstrząs w głębi piersi. Wydało mu się, że dojrzał błysk nad czubkami drzew, lecz nie był pewny, bo trwało to ledwie mgnienie.

Ale to właśnie ów dźwięk - jakby wielki młot uderzył w szczyt góry - zmroził mu krew w żyłach.

Chata była niedaleko. Rzucił linkę z pstrągami i słój z małymi rybkami i pobiegł.

Przystanął na skraju lasu, tam gdzie zaczynała się łąka. Serce podeszło mu do gardła.

Przed chatą stały dwie kobiety: jedna ubrana na biało, druga w czerni. Były połączone wijącą się, falującą, iskrzącą się smugą mlecznobiałego światła. Ramiona Nicci były lekko uniesione i rozchylone, dłonie zwrócone wnętrzem ku górze. Mlecznobiałe światło wypływało z jej piersi i - poprzez dzielącą je przestrzeń - wnikało do serca Kahlan. Łącząca je świetlna smuga stała się oślepiająco jaskrawa, jakby wiła się w straszliwym bólu, przed którym nie mogła uciec.

Richard patrzył na drżącą Kahlan przyszpiloną do ściany ową świetlną lanca; paraliżował go strach o nią, strach aż za dobrze poznany, kiedy była na granicy życia i śmierci. Świetlna lanca wbijała się również w serce Nicci, łączyła kobiety. Nie wiedział, jaką magią posługuje się Siostra Mroku, ale instynktownie pojął, że jest to straszliwie niebezpieczne i to nie tylko dla Kahlan, ale i dla Nicci, bo ona także cierpiała. Przeraziło go, że Nicci naraziła się na takie ryzyko.

Richard wiedział, że musi zachować spokój i jasność umysłu, jeżeli chce, żeby Kahlan nic się nie stało. Z całego serca pragnął powalić Nicci, ale miał świadomość, że wcale nie byłoby to łatwe. Przypomniało mu się nagle wciąż powtarzane przez Zedda powiedzenie - „nic nigdy nie jest łatwe i proste”.

Desperacko przypominał sobie wszystko, co wiedział o magii. Nie znalazł wskazówek, co ma robić, za to - czego mu zrobić nie wolno. Stawką było życie Kahlan.

I wtedy wypadła z chaty Cara. Nagusieńka. Nie był to zaskakujący widok. Skórzane uniformy przylegały do niej jak jej własna skóra, więc Richard był

przyzwyczajony do kształtów ciała Mord-Sith. Różnica tkwiła wyłącznie w barwie. Cara ociekała wodą. Włosy miała rozpuszczone, co chłopakowi wydawało się znacznie dziwniejsze niż jej nagie ciało. Zawsze widywał ją z zaplecionym warkoczem.

Cara przykucnęła, zacisnęła w pięści czerwony skórzany pręt: Agiel. Napięła mięśnie nóg, ramion, barków.

- Caro! Nie! - zawołał Richard.

Gnał przez łąkę, kiedy Mord-Sith skoczyła i uderzyła Nicci Agielem w ramię.

Nicci wrzasnęła z bólu i osunęła się na kolana. Kahlan również krzyknęła z bólu i padła na kolana - zupełnie jak Nicci.

- Czas umierać, wiedźmo! - Cara złapała Siostrę Mroku za włosy i szarpnęła jej głowę w tył.

Richard skoczył ku Mord-Sith, żywiąc desperacką nadzieję, że nie będzie za późno. Agiel Cary dotknął właśnie szyi Nicci, kiedy chłopak złapał Mord-Sith w pasie i szarpnął do tyłu. Zaskakujący dotyk: jedwabiście miękka skóra okrywająca twarde jak stal mięśnie. Siła zderzenia pozbawiła Carę oddechu; upadli na ziemię.

Mord-Sith była tak rozwścieczona i tak się rwała do walki, że dzieliła Richarda Agielem, nie uświadamiając sobie, kto to, wiedząc jedynie, że nie pozwolił jej ratować Kahlan.

Richard miał wrażenie, że dostał w twarz żelaznym prętem i zaraz potem błyskawicą. Na chwilę oślepił go ból. W uszach mu dzwoniło. Wstrząs odebrał mu oddech i wywołał lawinę makabrycznych wspomnień.

Cara była zdecydowana zabić, każda przeszkoda doprowadzała ją do szaleństwa. Richard przyszedł do siebie akurat na czas; złapał ją za przeguby i przydusił do ziemi, nim zdążyła się rzucić na Nicci. Mord-Sith była groźna, ale wpojono jej przeciwstawianie się magii, a nie mięśniom. Dlatego też starała się prowokować Nicci do posłużenia się mocą, bo tylko tak mogła zawładnąć magią wroga i obrócić ją przeciw niemu.

Richard ledwo zdawał sobie sprawę, że przygniata do ziemi wijące się nagie ciało Cary. Całą uwagę skupił na jej Agielu i na tym, żeby już nie mogła go użyć przeciwko niemu. Czuł w ustach smak krwi. Głowa pulsowała mu dzwoniącym bólem i musiał walczyć nie tylko z Carą, ale i z zagrażającą mu utratą świadomości. Mógł jedynie przyciskać Mord-Sith do ziemi.

W owej chwili Cara bardziej zagrażała życiu Kahlan niż Nicci. Richard był przekonany, że gdyby Nicci zamierzała zabić Kahlan, już by to uczyniła. Może nie rozumiał dokładnie, co robiła Siostra Mroku, ale pojął ogólną zasadę.

Na obnażony tors Cary kapłała krew - wydawała się jeszcze czerwiejsza na tle białej skóry.

- Przestań, Caro! - Żuchwa zaboląła, ale się poruszyła, więc Richard uznał, że nie jest złamana. - To ja. Przestań. Zabijesz Kahlan. - Mord-Sith znieruchomiała, patrzyła z gniewnym zażenowaniem. - Kahlan przytrafia się dokładnie to samo, co robisz Nicci.

- Lepiej go usłuchaj - odezwała się zza niego Nicci tym swoim aksamitnym głosem.

Richard puścił nadgarstki Cary, a ona wyciągnęła rękę i dotknęła jego warg.

- Przepraszam - wyszeptała, uświadamiając sobie, co zrobiła.

Ton głosu Mord-Sith świadczył, że naprawdę się przejęła i szczerze przeprosza. Richard kiwnął głową, wstał, pomógł się podnieść Carze i dopiero wtedy obrócił się ku Nicci.

A ta stała dumnie wyprostowana, jak zawsze. Uwagę i moc skupiła na Kahlan. W głębi Richarda zbudziła się spokojna, lecz niepoohamowana magiczna moc, czekała na rozkaz. Ale on nie wiedział, jak ją wykorzystać, by powstrzymać Nicci. Nie zrobił nic z obawy, że jedynie zaszkodziłby Kahlan.

Kahlan też się już podniosła i znów mlecznobiała smuga światła przyszpilała ją do ściany chaty. Zielone oczy były szeroko rozwarte w męce zadawanej przez Siostrę Mroku.

Nicci uniosła ręce. Położyła dłonie na sercu, z którego wydobywała się świetlna smuga. Stała tyłem do Richarda, ale widział przez nią to światło - niczym ogień trawiący środek karty papieru, rozszerzający się otwór o gorejących brzegach. Wijąca się świetlna smuga czyniła to samo Kahlan, jakby ją przepalała - jednak Richard widział, że to nie odbiera jej życia. Wciąż oddychała, poruszała się, żyła - nie zachowywała się jak ktoś, w kim naprawdę wypalono by otwór. Magiczna moc sprawiała, że widział lepiej niż tylko oczami.

Przejrzysty krąg w piersi Nicci zaczął się zestalać pod jej dłońmi, odtwarzała się w miejscu, skąd wypływały z niej lśniące promienie. Światło

zgasło. Kahlan, przyciskająca dłonie do ściany za sobą, odetchnęła z ulgą, kiedy zniknęło, i zamknęła oczy, nie mogąc już znieść widoku stojącej przed nią kobiety.

Richard gotował się z wściekłości. Jego napięte mięśnie domagały się działania. Wewnętrzna moc była jak gotowy kłosać wąż. Najchętniej usiekłby tę kobietę. Ale jeszcze bardziej pragnął bezpieczeństwa Kahlan.

Nicci uśmiechnęła się wesoło do Matki Spowiedniczki, a potem obróciła się ku Richardowi. Spokojne błękitne oczy natychmiast zauważyły zbiegające kłykie pięści zaciśniętej na rękojeści miecza.

- Richardzie. Ileż czasu minęło. Wspaniale wyglądasz.

- Coś zrobiła?! - warknął przez zaciśnięte zęby.

Uśmiechnęła się. Jak matka do dziecka - pobłaźliwie. Głęboko odetchnęła, jak po trudnej pracy, i wskazała ręką Kahlan.

- Rzuciłam urok na twoją żonę, Richardzie.

Czuł na ramieniu oddech stojącej tuż za nim Cary. Ustawiała się tak, żeby nie blokować mu prawego ramienia, ramienia miecza.

- W jakim celu? - spytał.

- Żeby cię pojmać, rzecz jasna.

- Co się jej stanie? Jaką szkodę wyrządziłaś?

- Szkodę? Ależ żadną. Szkodę może ponieść wyłącznie z twojej ręki.

Richard zachmurzył się, bo zrozumiał, ale pragnął się mylić.

- To znaczy, że i Kahlan ucierpi, jeżeli tobie zrobię coś złego?

Nicci obdarzyła go tym samym jasnym, rozbijającym uśmiechem co wtedy, kiedy przychodziła udzielać mu lekcji. Ledwie mógł uwierzyć, że niegdyś uważał, iż wygląda jak ucieleśnienie dobrego ducha.

Wyczuwał, jak wokół tej kobiety pulsuje magia. Dzięki swojemu darowi w większości przypadków potrafił rozpoznać osoby obdarzone magiczną mocą. Widział to, czego inni nie potrafili dostrzec. Widział to w ich oczach, a niekiedy wyczuwał otaczającą ich magiczną aurę. Rzadko spotykał mające dar kobiety, wokół których magiczna moc aż iskrzyła. Co gorsza, Nicci była Siostrą Mroku.

- Tak, a nawet bardziej. O wiele bardziej. Bo widzisz, łączy nas teraz czar macierzyńskiego zespolenia. Dziwaczna nazwa dla czaru, nieprawdaż? Po części wynika ona z rodzaju zależności budowanej przez ten czar, z odtworzenia pasożytniczego związku, jaki istnieje między płodem a jego

nosicielką, która go karmi i utrzymuje przy życiu. Są od siebie uzależnieni i wzajemnie na siebie oddziałują. Światło, które widziałeś, było czymś w rodzaju pępowiny: magiczną pępowiną. Wiąże ona nasze życia, wykorzystując naturę tego świata, bez względu na dzielącą nas odległość. Nic nie może zmienić tego, że jestem córką swojej matki; nic również nie może odmienić tej magii.

Mówiła jak mentor, tak jak kiedyś przemawiała doń w Pałacu Proroków, gdy była jedną z jego nauczycielek. Zawsze wyrażała się zwięźle, a Richard uważał wówczas, że to jeszcze bardziej podkreśla jej arystokratyczny sposób bycia. W tamtych czasach nie wyobrażał sobie, by z ust Nicci mogły paść jakieś ordynarne słowa, ale to, co mówiła teraz, było niegodziwe.

Wciąż poruszała się z niezrównaną gracją. Richard zawsze myślał, że to uwodzicielska gibkość. Teraz zobaczył w tym wijące się ruchy węża.

W Richardzie szalała magia miecza, domagała się uwolnienia. Magiczne właściwości oręza stworzono właśnie po to, by ten, kto nim włada, mógł walczyć ze wszystkim, co uzna za zło. W tym momencie Nicci tak dokładnie spełniała owe kryteria, że magia miecza była bliska zapanowania nad Richardem, przejęcia nad nim władzy i zmuszenia go, żeby rozprawił się z zagrożeniem. Głowa chłopaka wciąż pulsowała bólem zadany przez Agiel, więc z najwyższym trudem utrzymywał kontrolę nad magią oręza. Czuł, jak wbijają mu się w dłoń wypukłe złote litery słowa PRAWDA.

Ale tym razem - może bardziej niż kiedykolwiek - wiedział, że musi się zmierzyć z prawdą, a nie poddawać swoim instynktownym pragnieniom. Życie i śmierć ważyły się na szali.

- Richardzie - odezwała się bezbarwnym głosem Kahlan; odczekała, aż spojrzy jej w oczy. - Zabij ją. - Mówiła spokojnym, władczym tonem nakazującym posłuszeństwo; była w białej szacie Matki Spowiedniczki, więc brzmiało to jak rozkaz. - Zabij. Nie zwlekaj ani chwili. Zabij ją. Nie zastanawiaj się nad tym, zrób to.

Nicci spokojnie czekała, co zrobi Richard. Jego ostateczna decyzja była dla niej zaledwie ciekawostką. Chłopak nie musiał ani się zastanawiać, ani podejmować decyzji.

- Nie mogę - powiedział do Kahlan. - To zabiłoby i ciebie.

Nicci znacząco uniosła brew.

- Znakomicie, Richardzie. Znakomicie.

- Zrób to! - krzyknęła Kahlan. - I to zaraz, póki jeszcze masz po temu okazję!

- Opanuj się - polecił spokojniej i znów spojrzał na Nicci. - Powiedz to wreszcie.

Nicci splotła dłonie tak, jak to czyniły Siostry Światła. Tyle że ona nie była Siostrą Światła. Coś kryło się w głębi jej błękitnych oczu, ale Richard ani nie wiedział, co to za uczucia, ani nie chciał się tego domyślać. Było to jedno z owych intensywnych spojrzeń kryjących w sobie cały świat emocji, od tęsknoty po nienawiść. Jednego był pewny: że dojrzał w tym spojrzeniu absolutną determinację, ważniejszą dla Nicci od życia.

- A więc tak, Richardzie. Masz ze mną pójść. Dopóki ja zostanę przy życiu, dopóty będzie żyła i Kahlan. Jeśli umrę, umrze i ona. To proste.

- I co jeszcze? - zapytał.

- Co jeszcze? - zdziwiła się Nicci. - Już nic.

- A jeśli postanowię cię zabić?

- To umrę. A ze mną Kahlan. Nasze życia są teraz złączone. - Nie o to mi chodziło. Uważam, że masz jakiś cel. Co jeszcze się stanie, jeśli postanowię cię zabić?

- Nic. - Nicci wzruszyła ramionami. - Decyzja należy do ciebie. Nasze życia są teraz w twoich rękach. Jeśli zdecydujesz się oszczędzić jej życie, musisz odejść ze mną.

- A co zamierzasz z nim zrobić? - zapytała Kahlan, stając u boku Richarda. - Wydobyć zeń mękami wyznanie, żeby Jagang mógł mu urządzić pokazowy proces, a potem publiczną egzekucję?

Siostra Mroku wydawała się zaskoczona, jakby taka myśl nigdy nie powstała jej w głowie, jakby uznała ją za odrażającą.

- Ależ nie, nie mam takich zamiarów. Nie wyrządę mu krzywdy. Przynajmniej na razie. Koniec końców najprawdopodobniej będę zmuszona go zabić.

- Oczywiście. - Richard obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. Kahlan chciała się wysunąć do przodu, więc chwycił ją za ramię i powstrzymał. Wiedział, co zamierzała zrobić. Nie miał za to pojęcia, co by się stało, gdyby Kahlan poraziła Nicci mocą Spowiedniczki właśnie teraz, kiedy były zespolone czarem. Ale nie zamierzał się o tym przekonać, bo był pewny, że do niczego dobrego by to nie doprowadziło. Kiedy w grę wchodziło jego

życie, Kahlan aż za bardzo była skłonna poświęcić swoje, żeby go ocalić. - Na razie się od tego powstrzymaj - szepnął do niej.

- Właśnie przyznała, że zamierza cię zabić! - Kahlan energicznym gestem wskazała Nicci.

Siostra Mroku uśmiechnęła się uspokajająco.

- Nie martw się o niego na razie. Jeśli do tego dojdzie, to na pewno nieprędko. Może pozwolę mu przeżyć życie.

- A w tym czasie? - spytała Kahlan. - Co go czeka, zanim skończysz jego życie, jakby nic nie znaczyło?

- Nic nie znaczyło...? - Nicci otworzyła dłonie w prostodusznym geście. - Nie mam żadnych planów. Chcę go tylko stąd zabrać.

Richard sądził, że rozumie, co się dzieje, ale każde słowo Nicci wpędzało go w coraz większą niepewność.

- Chcesz mnie stąd zabrać, żeby nie mógł walczyć przeciwko Imperialnemu Ładowi?

Zmarszczyła czoło.

- Skoro tak właśnie chcesz o tym myśleć, to przyznaję, że dobiegł kresu czas twojego władania imperium D'Hary. Jednak nie o to chodzi. Chodzi o to, że całe twoje dotychczasowe życie - Nicci spojrzała znacząco na Kahlan - się skończyło.

Jej słowa zmroziły atmosferę. A już na pewno zdeprymowały Richarda.

- I co jeszcze się za tym kryje? - Wiedział, że musi być jeszcze coś, co nada temu wszystkiemu sens. - Jakich jeszcze warunków muszę dopełnić, żeby utrzymać Kahlan przy życiu?

- Nikt, rzecz jasna, nie może iść naszym tropem.

- A jeśli pójdziemy?! - warknęła Kahlan. - Mogę iść za tobą i zabić cię, nawet jeżeli w ten sposób skończę z własnym życiem. - Zielone oczy patrzyły na tamtą gniewnie, groźnie, zdecydowanie.

Nicci uniosła brwi i leciutko nachyliła się ku dziewczynie niczym matka napominająca dziecko.

- Wtedy skończyłoby się twoje życie, chyba że Richard by ci to wyperswadował. I tu decyzja należy do niego. Ale mylisz się, sądząc, że mnie to cokolwiek obchodzi. Bo, zrozum, zupełnie o to nie dbam. Nic a nic.

- Do czego zamierzasz mnie nakłonić? - spytał Richard, odciągając od Kahlan irytująco spokojne spojrzenie Nicci. - Co, jeśli dotrę tam, dokąd mnie



zabierasz, i nie zrobię tego, co zechcesz?

- Mylisz się, Richardzie, zakładając, że już zaplanowałam, co powinieneś zrobić. Nie uczyniłam tego. Myślę, że będziesz robił, co zechcesz.

- Co zechcę?

- Jasne, że nie będzie ci wolno powrócić do twoich. - Potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu pasma długich jasnych włosów, które wiatr zwał jej na oczy; ani na chwilę nie oderwała spojrzenia od oczu Richarda. - Przypuszczam też, że gdybyś był nieznośnie i wyzywająco przekorny, to twoje postępowanie samo w sobie stanowiłoby odpowiedź. Byłby to oczywiście skandal i przestałbyś być mi potrzebny. Zabiłabym cię.

- Przestałbym być potrzebny? Chcesz powiedzieć, że nie byłbym już przydatny dla Jaganga.

- Nie. - Nicci znów wyglądała na zdumioną. - Nie działałam w imieniu Jego Ekscelencji. - Postukała palcem w dolną wargę. - Widzisz? Usunęłam pierścień, który kazał mi wbić w wargę na znak, że jestem jego niewolnicą. Działam na własny rachunek.

Coś jeszcze bardziej go niepokoiło.

- Dlaczego nie może wniknąć do twojego umysłu? Dlaczego nie może cię kontrolować?

- Chyba nie muszę ci tego wyjaśniać, lordzie Rahlu.

To nie miało dla Richarda żadnego sensu; więź z lordem Rahlem chroniła tylko tych, którzy byli wobec niego lojalni. Jego zdaniem, czyn Nicci nie był żadnym aktem lojalności. Był to bez wątpienia akt agresji, całkowicie przeciwny jego woli, więc więź nie powinna osłaniać umysłu Nicci. Uznał, że Jagang być może tkwi w jej umyśle i to odebrało jej rozum.

- Nie wiem, co sobie myślisz... - zaczął Richard, mając wrażenie, że nie mówią tym samym językiem.

- Dość gadania. Wyruszamy.

Błękitne oczy patrzyły na niego bez gniewu. Richardowi zdawało się, że Kahlan i Cara w ogóle dla niej nie istniały.

- To nie ma sensu. Chcesz, żebym z tobą odszedł, a nie działasz na polecenie Jaganga. Jeśli to prawda, to...

- Uważam, że wszystko jasno i prosto wytłumaczyłam. Jeśli chcesz być wolny, możesz mnie zabić przy każdej nadarzającej się okazji. Jeśli to zrobisz, Kahlan także umrze. Masz tylko dwie możliwości. Chociaż uważam,

że wiem, co zrobisz, nie mogę być tego absolutnie pewna. Otwierają się przed tobą dwie drogi. Musisz wybrać jedną z nich.

Richard słyszał za plecami gniewne dyszenie Cary. Była gotowa uderzyć. Bał się, że Mord-Sith może uczynić coś, czego już się nie da naprawić; uniósł nieco dłoni, dając jej znak, że ma się trzymać z tyłu.

- A, jeszcze coś, na wypadek gdybyś chciał się uciec do jakiegoś zdradzieckiego wybiegu lub odmawiał moim najskromniejszym prośbom. Mogę w każdej chwili zakończyć życie Kahlan przez łączącą nas magiczną pępowinę. Wystarczy, że tego zechcę. A wtedy wcale nie muszę umrzeć. Od dzisiaj Kahlan żyje tylko z mojej łaski, a więc i z twojej. Nie życzę jej nic złego, nie mam też żadnych postanowień co do jej życia. Jeżeli już, to chcę, żeby było długie. Dała ci szczęście i dlatego mam nadzieję, że nie będzie musiała postradać życia. To będzie zależało od twojego sprawowania. - Nicci spojrzała gniewnie na Carę stojącą za Richardem. Potem delikatnym muśnięciem palców otarła mu krew z ust. Otarła mu z krwi brodę. - Ta twoja Mord-Sith zraniła cię. Uleczę cię, jeśli chcesz.

- Nie.

- To nie. - Otarła zakrwawione palce o spódnicę swojej czarnej szaty. - Jeżeli nie chcesz, by inni wbrew twojej woli narazili Kahlan na śmierć, to radzę, żebyś się upewnił, że nie będą działać bez twojej zgody. Mord-Sith to pomysłowe i zdeterminowane kobiety. Kahlan umrze, jeśli twoja Mord-Sith pójdzie za nami, a moja moc mnie przed tym ostrzeże.

- A skąd będę wiedział, że Kahlan nie dzieje się nic złego? Odejdziemy o milę stąd, a ty możesz ją zabić przez to magiczne zespolenie. Nic bym o tym nie wiedział.

Nicci zmarszczyła brwi. Była szczerze zdumiona.

- A dlaczego miałabym to zrobić?

W Richardzie szalały gniew i strach.

- A dlaczego w ogóle to robisz?!

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, z zaciekawieniem.

- Mam swoje powody. Przykro mi, Richardzie, że musisz przez to ucierpieć. Zadawanie ci bólu nie leży w moich intencjach. Daję ci słowo, że nie zrobię Kahlan nic złego bez twojej wiedzy.

- Oczekujesz, że zawierzę twojemu słowu?

- Powiedziałam ci prawdę. Nie mam powodu cię okłamywać. Z czasem

zacziesz wszystko lepiej pojmować. Kahlan nie dozna ode mnie żadnej krzywdy, dopóki będę bezpieczna, a ty ze mną odejdiesz.

Richard stwierdził, że jej wierzy, choć nie pojmował dlaczego. Wydawała się absolutnie szczerą i całkowicie pewną siebie, jakby przemyślała to wszystko z tysiąc razy. Wciąż jednak był zdania, że Nicci nie mówi mu wszystkiego. Uprościła to, żeby mógł wychwycić najważniejsze elementy i łatwiej zdecydować, co ma zrobić. Ale ta skrywana przed nim reszta i tak nie mogła być już bardziej druzgocąca. Straszliwie cierpiał na myśl, że musiałby opuścić Kahlan, ale zrobiłby wszystko, żeby ocalić jej życie. I Nicci o tym wiedziała.

Znów powróciła tamta zagadka. Była z tym wszystkim związana.

- Czar chroniący umysł przed Nawiedzającym Sny działa wyłącznie w przypadku osób lojalnych wobec mnie. Jeśli to uczynisz, nie możesz się spodziewać, że będziesz chroniona przed Jagangiem. Bo to zdrada.

- Jagang mnie nie przeraża. Nie obawiaj się o mój umysł, Richardzie. Jestem zabezpieczona przed Jego Ekscelecją. Być może z czasem pojmiesz, w jak wielu sprawach się myliłeś.

- Okłamujesz samą siebie, Nicci.

- Dostrzegasz zaledwie część, Richardzie. - Przybrała zagadkową minę. - Twoja sprawa to w samej swej istocie i sprawa Ładu. Jesteś zbyt szlachetny, żeby mogło być inaczej.

- Mogę zginąć z twojej ręki, ale umrę, nienawidząc tego wszystkiego, co głosi Ład i ty. - Richard zacisnął dłoń w pięści. - Nie dostaniesz tego, czego chcesz, Nicci. Cokolwiek to jest, nie dostaniesz tego.

Spojrzała na niego z ogromnym współczuciem.

- Czynię to w najlepszej intencji, Richardzie.

Żadne z jego słów nie wywierało na nią najmniejszego wpływu, a on nie widział żadnego sensu w tym, co mówiła. Znów zakipiała w nim wściekłość. Gniew miecza próbował przejąć nad nim kontrolę. Ledwo panował nad owym gniewem.

- Naprawdę uważasz, że kiedykolwiek w to uwierzę?

Błękitne oczy Nicci wpatrywały się w coś poza Richardem.

- Może i nie. - Znów nań popatrzyła. Włożyła dwa palce do ust, odwróciła się i gwizdnęła. W oddali zarżał koń; wybiegł z lasu. - Mam dla ciebie konia. Czeka po drugiej stronie przełęczy.

Richarda ogarnęło przerażenie. Palce Kahlan mocniej zacisnęły się na jego ramieniu. Dłoń Cary dotknęła jego pleców. Napłynęły wspomnienia poprzedniej niewoli, wszystkiego, co wtedy wycierpiał - serce chłopaka przyspieszyło, z trudem oddychał. Czuł, że został schwytany w pułapkę. Wszystko wymykało mu się z rąk i nic nie mógł na to poradzić. Z całych sił pragnął walczyć, ale nie wiedział jak. Żałował, że nie może powalić przeciwnika, że to nie takie proste. Napomniął się, że nadzieję da mu posługiwanie się rozumem, a nie poddawanie się pragnieniom. Dotarł do ośrodka spokoju w głębi swojej jaźni i uciszył narastającą panikę.

Nicci stała dumnie wyprostowana, z uniesioną głową. Wyglądała jak ktoś, kto z odwagą oczekuje na egzekucję. Richard pojął, że naprawdę jest przygotowana na każdą ewentualność.

- Powiedziałaś ci, jaki masz wybór, Richardzie. Innych możliwości nie ma. Wybieraj.

- Nie mam wyboru. Nie pozwolę, żeby Kahlan umarła.

- Jasne, że nie. - Nicci niemal niezauważalnie się rozluźniła; jej oczy złagodniały, mignął w nich dodający otuchy uśmiezek. - Nic jej nie będzie.

Koń zwolnił, zbliżył się. Ładna tarantowata klacz zatrzymała się obok Siostry Mroku i Nicci ujęła wodze blisko wędzidła. Chłodny wiatr rozwiewał siwą grzywę. Klacz parsknęła i potrząsnęła łbem; niepokoila ją obecność obcych, chciała ruszać.

- Ale... ale - zająknął się Richard, kiedy Nicci wsuwała stopę w strzemień - co mogę zabrać?

Siostra Mroku przerzuciła nogę ponad zadem klaczy, usadowiła się w siodle. Przybrała odpowiednią postawę, odchyliła do tyłu ramiona. Czarna suknia i blond włosy odcinały się na tle stalowoszarego nieba.

- Możesz zabrać, co chcesz, o ile nie jest to osoba. - Cmoknęła na konia, dając znak, że ma się obrócić łbem ku chłopakowi. - Proponuję, żebyś wziął ubrania i inne takie. To, co chcesz ze sobą mieć. Zabierz wszystko, co udźwigniesz, jeśli taka twoja wola. - W głosie pojawiła się ostra nutka. - Ale zostaw ten swój miecz. - Pochyliła się, jej mina po raz pierwszy stała się chłodna i groźna. - Już nie jesteś Poszukiwaczem ani lordem Rahlem, władcą imperium D'Hary, ani też mężem Matki Spowiedniczki. Od teraz jesteś tylko i wyłącznie Richardem.

Cara wysunęła się zza niego jak mroczna furia.

- Jestem Mord-Sith. Jeśli sądzisz, że pozwolę, byś zabrała lorda Rahla, to chyba oszalałaś. Matka Spowiedniczka już wypowiedziała swoje zdanie. Moim obowiązkiem jest cię zabić.

Nicci mocno ujęła wodze.

- Czyn, co musisz. Wiesz, jakie będą konsekwencje.

Richard wyciągnął w bok ramię, powstrzymując Carę od rzucenia się na Nicci i ściągnięcia jej z konia.

- Spokojnie - szepnął. - Czas działa na naszą korzyść. Dopóki zachowamy życie, będziemy mogli coś wymyślić.

Poczuł, jak Mord-Sith przestaje napierać na jego ramię. Cofnęła się niechętnie.

- Muszę zabrać parę rzeczy - powiedział do Nicci, starając się zyskać na czasie. - Zaczekaj przynajmniej tyle, żebym zdążył spakować plecak.

Nicci przełożyła wodze i podprowadziła klacz ku Richardowi. Oparła lewy nadgarstek na łęku siodła.

- Odjeżdżam. - Wskazała kierunek długim, smukłym palcem prawej dłoni. - Widzisz tamto górne przejście? Jeśli dotrzesz do mnie, zanim znajdę się na górze, Kahlan zachowa życie. Umrze, jeśli przekroczy przełęcz i ciebie nie będzie. Masz na to moje słowo.

Wszystko działało się zbyt szybko. Musiał coś wymyślić.

- I co byś wtedy zyskała?

- Dowiedziałabym się, co jest dla ciebie ważniejsze. - Wyprostowała się w siodle. - Jeśli się nad tym zastanowić, to zasadnicze pytanie. I jeszcze nie ma na nie odpowiedzi. Poznam ją, kiedy dotrę na szczyt przełęcz. - Nicci poruszyła się w siodle, puszczając konia stępa. - Pamiętaj: szczyt przełęcz. Tyle masz czasu na pożegnanie, zapakowanie tego, co chcesz zabrać, i dołączenie do mnie, jeśli chcesz, żeby Kahlan żyła. A jeśli postanowisz zostać, tyle masz czasu na pożegnanie, zanim ona umrze. Dokonując wyboru, powinieneś jednak rozumieć, że będzie to wybór nieodwołalny.

Kahlan chciała podbiec do konia, ale Richard złapał ją w talii i przytrzymał.

- Dokąd go zabierasz? - spytała.

Nicci na chwilę zatrzymała konia i spojrzała na Kahlan z przerażającą stanowczością.

- W zapomnienie.

## ROZDZIAŁ 22

Kahlan patrzyła, jak Nicci kieruje swoją tarantowatą klacz ku przełęczy w odległych błękitnych górach; wciąż jeszcze walczyła z zawrotem głowy wywołanym przez to, co ta kobieta jej zrobiła. Tuż przed linią dalekich drzew stała łania z podrośniętym jelonkiem, ze stadka, które odwiedzało łąkę; zwierzęta czujnie, z nastawionymi uszami obserwowały Nicci, starając się wyczuć, czy stanowi zagrożenie. Odwróciła się ku nim, a one, wystraszone tym, co ujrzały, uniosły ku górze ogonki i skoczyły między drzewa.

Kahlan usiłowała nad sobą zapanować. Gdyby nie opasujące ją w talii żelazne ramię Richarda, na pewno rzuciłaby się na Siostrę Mroku. Desperacko pragnęła uwolnić swoją moc Spowiedniczki. Nikt nigdy bardziej na to nie zasługiwał. Gdyby nie chwilowe zamroczenie, mogłaby spróbować przywołać swoją moc poprzez Con Dar, Krwawy Gniew - starożytny dar, który posiadała. Ta niezwykła magia sięgnęłaby przez stosunkowo małą odległość, ale utrzymujące się efekty czaru rzuconego przez Nicci uniemożliwiły jej to. Potrafiła jedynie utrzymać się na nogach i nie zwrócić ostatniego posiłku.

To było irytujące, rozwścieczające, upokarzające - Nicci zaskoczyła ją i poraziła magią działającą równie szybko, jak moc Spowiedniczki, nim Kahlan zdążyła zareagować. A kiedy już wpadła w szpony Siostry, była bezsilna.

Gdy dorastała, uczono ją, jak się nie dać zaskoczyć. Spowiedniczki zawsze były celem ataku; dobrze to wiedziała. Wiele razy zwyciężała właśnie w takich sytuacjach. Uśpiły ją miesiące spokoju i straciła refleks. Przynęła sobie, że już nigdy do tego nie dopuści... ale teraz na nic się jej to postanowienie nie przyda.

Wciąż czuła, jak magia Nicci pali jej wewnątrz, jakby płomienie owej męki osmałiły jej duszę. Wszystko w niej dygotało, bo nie umilkły jeszcze echa wywołane inwazją obcej magii. Nad łąką powiał chłodny wiatr, pochylił zbrazowiałe trawy, ochłodził rozpaloną twarz Kahlan. Wniósł do doliny jakiś obcy zapach, coś, w czym podrażnione zmysły dziewczyny wyczuły coś złowieszczonego. Wielkie sosny za chatą pochyliły się i zakołysały, a potem wyprostowały, kiedy wiatr rozbił się o nie jak fale o stromy skalisty brzeg.

Bez względu na to, jaki rodzaj magii wykorzystano przeciwko niej, Kahlan była przekonana, że Nicci nie skłamała, mówiąc o jej skutkach. Chociaż nienawidziła Siostry Mroku, czar macierzyńskiego zespolenia sprawił, że odczuwała wobec niej coś, co mogła zinterpretować jedynie jako... przywiązanie. To było oszałamiające uczucie. Chociaż niepokoiło, to jednocześnie ta więź z Nicci - ponad jej niegodziwą magią i pokrętnymi zamysłami - dodawała otuchy. Wydawało się, że głęboko w Siostrze Mroku jest coś, co zasługuje na miłość.

Rozsądek powiedział Kahlan, że - pomijając owe górnotne odczucia - to tylko złudzenie. I że jeśli znów będzie miała po temu sposobność, już nie zawaha się natychmiast uśmiercić Nicci.

- Caro - odezwał się Richard, wbijając gniewny wzrok w plecy Nicci jadącej stępą przez łąkę - nie życzę sobie, żebyś nawet pomyślała o próbie powstrzymania jej.

- Nie zamierzam pozwolić...

- Mówię poważnie. To bardziej stanowcze polecenie niż jakikolwiek rozkaz, który ci wydałem. Gdybyś przez to zaszkodziła Kahlan... ufam, że nie wyrządzisz mi takiej podłości. Może byś się tak ubrała?

Cara zakłęła cicho. Odmaszerowała do chaty, a Richard obrócił się ku Kahlan. Dziewczyna dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Mord-Sith jest naga. Musiała wyskoczyć z wanny. Magia Nicci otumaniała umysł Kahlan, zamazała wspomnienia świeżych zdarzeń.

Za to Spowiedniczka doskonale pamiętała dotyk Agiela. Potworny ból zadany orężem Mord-Sith przedarł się przez magię Nicci jak lanca przez słomę. Chociaż Cara trafiła Agielem Siostrę, Kahlan miała wrażenie, że to ją uderzono w kark.

Współczująco dotknęła twarzy Richarda, ale jego spojrzenie ostrzegło, że nie życzy sobie litości, więc zacisnęła dłoń na jego ramionach.

- Tak nie może być - wyszeptała. - Nie może.

- Ale jest.

- Przepraszam.

- Przepraszasz?

- Że pozwoliłam się zaskoczyć. - Kahlan drżała z gniewu na siebie. - Powinnam zachować czujność. Gdybym zrobiła, co należało, i zabiła ją, nigdy by do tego nie doszło.

Richard łagodnie przesunął dłonią po głowie Kahlan, przytulił dziewczynę.

- Pamiętasz, jak mnie zabiłaś w tamtym pojedynku na wierzbowe miecze?

Potaknęła.

- Wszyscy popełniamy błędy, pozwalamy, żeby nas znienacka przyłapano. Nie wiń się. Nikt nie jest doskonały. Ona przecież mogła rzucić urok stępujący twoją czujność, żeby móc się podkraść do ciebie jak... jak cichy, niewidzialny moskit.

Tego Kahlan w ogóle nie brała pod uwagę. Ale zaskoczona znienacka czy nie, i tak była na siebie wściekła. Gdybyż się tak nie zajmowała tą głupią wiewiórką ziemną. Gdybyż prędzej podniosła wzrok. Gdybyż zadziałała, nie marnując ani chwili na ocenę zagrożenia i decyzję, czy usprawiedliwia ono uwolnienie jej niszczącej mocy.

Kahlan niemal od urodzenia uczono, jak się posługiwać mocą, i wpajano, że może to uczynić wyłącznie w razie absolutnej konieczności. Moc Spowiedniczki - jak śmierć - niszczyła dotkniętą osobę. Porażony tą mocą człowiek działał już tylko w imieniu i na polecenie Spowiedniczki. Było to równie nieodwracalne jak śmierć.

Kahlan spojrzała w oczy Richarda. Szare niebo za nim sprawiało, że zdawały się jeszcze bardziej szare.

- Moje życie jest dla mnie cenne i święte. Podobnie jak twoje dla ciebie. Nie odrzucaj swojego życia, żeby zostać niewolnikiem mojego. Nie zniosłabym tego.

- Jeszcze do tego nie doszło. Coś wymyślę. Ale na razie muszę z nią iść.

- Pójdziemy za wami, ale będziemy się trzymać daleko. - Już potrząsał głową. - Przecież ona nawet nie...

- Nie. Może mieć z sobą ludzi. Mogliby cię pochwycić, gdybyś szła za nami. Nie mógłbym znieść myśli, że ona w każdej chwili może użyć tej swojej magii lub jakoś się dowiedzieć, że podążasz naszym tropem. Gdyby tak się stało, umarłabyś.

- Chcesz powiedzieć, że... mogłaby cię skrzywdzić i wymusić przyznanie, że zamierzałam iść za wami.

- Nie dajmy się ponieść wyobraźni.

- Ale powinnam być w pobliżu, kiedy przyjdzie czas na twój ruch, kiedy



wymyślisz, jak ją powstrzymać.

Richard czule ujął w dłonie twarz Kahlan. Jego oczy miały osobliwy wyraz, który wcale się jej nie spodobał.

- Posłuchaj. Nie wiem, co się dzieje, ale nie wolno ci umierać po to, żeby mnie uwolnić.

Łzy napłynęły Kahlan do oczu. Zamrugła, żeby się ich pozbyć. Z trudem zapanowała nad głosem, żeby nie zmienić się w lament.

- Nie odchodź, Richardzie. Nieważne, co się ze mną stanie, bylebyś był wolny. Umrę szczęśliwa, jeśli dzięki temu nie wpadniesz w okrutne łapy wroga. Nie mogę pozwolić, żeby Ład cię pojmał. Żebyś cierpiał i powoli umierał jako niewolnik, byle tylko ocalić moje życie. Nie mogę im pozwolić, żeby...

Stłumiła słowa, których się najbardziej bała; nie mogła znieść myśli, że mogliby go torturować. Traciła rozum na myśl, że dręczyliby go i okaleczali, że cierpiałby samotny i zapomniany w jakimś cuchnącym lochu, bez nadziei na ratunek.

Ale Nicci powiedziała, że tego nie zrobią. Kahlan powiedziała sobie, że dla własnego zdrowia psychicznego powinna wierzyć słowom Nicci.

Uświadomiła sobie, że Richard uśmiecha się do siebie, jakby starał się wyryc w pamięci każdy szczegół jej twarzy i jednocześnie rozmyślał o tysiącu innych rzeczy.

- Nie mam wyboru - wyszeptał. - Muszę to zrobić.

Zacisnęła w pięści jego koszulę.

- Robisz dokładnie to, czego chce Nicci. Ona wie, że zechcesz mnie ocalić. Nie pozwolę na takie poświęcenie!

Richard przelotnie spojrział na drzewa i góry za ich domkiem, wchłonął ich widok jak skazaniec delektujący się ostatnim posiłkiem. Potem znów zapatrzył się w oczy Kahlan.

- Nie rozumiesz? To nie poświęcenie. To uczciwy układ. Twoje życie to podstawa mojej radości i szczęścia. Wcale się nie poświęcam - powtórzył, akcentując każde słowo. - Wolę być niewolnikiem, jeżeli to właśnie ma mi się przydarzyć, i wiedzieć, że żyjesz, niż wolnym człowiekiem w świecie bez ciebie. To pierwsze przeżyję, drugiego nie. To pierwsze jest bolesne, drugie nie do zniesienia.

Kahlan uderzyła go pięścią w tors.

- Ale zawsze będziesz niewolnikiem lub spotka cię coś jeszcze gorszego, a ja nie mogę tego ścierpieć!

- Posłuchaj mnie, Kahlan. W sercu zawsze będę wolny, bo rozumiem, co to oznacza. I dlatego mogę do tego dążyć. Znajdę sposób, żeby się wyzwolić. Ale nie znajdę sposobu, żeby przywrócić ci życie. Duchy wiedzą, że w przeszłości chciałem poświęcić życie dla sprawy i że moje życie mogłoby zaważyć na szali. W przeszłości świadomie narażałem życie nas obojga, byłem skłonny je poświęcić: ale za coś. Nie pojmujesz? To byłaby głupia decyzja. Nie zrobię tego.

Kahlan oddychała spazmatycznie, starając się powstrzymać łzy i narastającą panikę.

- Jesteś Poszukiwaczem. Musisz znaleźć drogę ku wolności. I oczywiście znajdziesz. Znajdziesz, jestem pewna - wykrztusiła z trudem przez zaciśnięte gardło, próbując uspokoić Richarda, a może i siebie. - Znajdziesz sposób. Wiem, że tak. Znajdziesz sposób i wrócisz. Jak przedtem. Tym razem też ci się to uda.

Twarz Richarda stężała w wyrazie rezygnacji, jego rysy stały się mroczne i surowe.

- Musisz być gotowa, Kahlan.

- To znaczy?

- Musisz czerpać radość z tego, że i ja żyję. Musisz być gotowa żyć dalej, mając tylko tę świadomość i nic więcej.

- Jak to: i nic więcej?

Jego oczy miały straszny wyraz - była to smutna, ponura, tragiczna akceptacja. Wolałaby nie patrzeć mu w oczy; ale stojąc z dłonią wspartą o jego pierś, czując ciepło jego ciała, czując jego energię życiową, nie potrafiła się zmusić do odwrócenia wzroku, kiedy do niej mówił.

- Myślę, że tym razem jest inaczej.

Kahlan odgarnęła do tyłu włosy, które wiatr zwiął jej na oczy.

- Inaczej?

- W tym jest coś bardzo odmiennego. To się nie daje wytłumaczyć tak samo jak owe przeszłe sprawy. W Nicci jest coś śmiertelnie poważnego. Coś szczególnego. Zaplanowała sobie to wszystko i jest gotowa za to umrzeć. Nie mogę cię okłamywać i łudzić. Coś mi podpowiada, że tym razem mogę nigdy nie znaleźć sposobu na to, żeby wrócić.

- Nie mów tak. - Osłabłymi z przerażenia, drżącymi palcami zacisnęła jego ciemną koszulę w twardą kulkę. - Nie mów tak, Richardzie, proszę. Musisz próbować. Musisz znaleźć sposób, by do mnie wrócić.

- Bądź pewna, że zrobię, co w mojej mocy. - Głos miał podekscytowany, niemal gniewny. - Przysięgam, Kahlan, że nigdy się nie poddam, nigdy nie zrezygnuję. Cały czas będę próbował znaleźć jakiś sposób. Ale nie możemy zamykać oczu na tę możliwość tylko dlatego, że sprawia ból. Mogę nigdy nie wrócić. Musisz brać pod uwagę fakt, że może zdarzyć się tak, że będziesz to dalej ciągnąć beze mnie, wiedząc jedynie, że żyję. Podobnie jak moje serce będzie świadome twego istnienia i nikt mi tego nie odbierze. W sercu należymy do siebie i zawsze tak będzie. Tak przysięgaliśmy podczas ceremonii ślubnej: że zawsze będziemy się kochać i szanować. To tego nie zmieni. Odległość tego nie zmieni. Czas również nie.

- Richardzie... - Kahlan stłumiła szloch, ale nie zdołała powstrzymać łez spływających po policzkach. - Nie mogę się pogodzić z tym, że przeze mnie zostaniesz niewolnikiem. Nie rozumiesz? Nie pojmujesz, jak się będę czuć? Zabiję się, jeśli trzeba, byle ona nie mogła tak z tobą postąpić. Muszę umrzeć.

Potrząsnął głową; wiatr rozwiewał mu włosy.

- Wtedy nie miałbym powodu, żeby jej uciec. Nie miałbym po co uciekać.

- Wtedy nie musiałbyś uciekać, bo nie mogłaby cię zatrzymać.

- Jest Siostrą Mroku. - Rozłożył ramiona. - Wynałazłaby coś innego, czemu nie potrafiłbym przeciwdziałać. A gdybyś nie żyła, nawet nie szukałbym na to sposobu.

- Ale...

- Nie rozumiesz? - Chwycił ją za ramiona. - Musisz żyć, Kahlan, żebym miał po co od niej uciekać.

- Twoje życie jest po temu wystarczającym powodem - odparła. - I odzyskanie wolności, żeby pomóc ludziom.

- Niech ludzie będą przekłęci. - Puścił Kahlan i wykonał gniewny gest. - Odwrócili się od nas nawet ci, wśród których dorastałem. Próbowali nas zamordować. Pamiętasz? A kiedy armia Ładu ruszy w głąb Midlandów, prawdopodobnie nie pozostaną lojalne te krainy, które przystąpiły do unii z D'Hara. Koniec końców D'Hara zostanie sama. Ludzie nie pojmują, jak ważna jest wolność. I teraz nie będą o nią walczyć. Udowodnili to i w

Andericie, i w Hartlandzie, gdzie dorastałem. Jakiego jeszcze dowodu potrzeba? Nie łudzę się złudną nadzieją. Większość pozostałych krain Midlandów wycofa się, kiedy nadejdzie czas walki z Ładem. Zrezygnują ze swojej wolności, kiedy zobaczą ogrom armii Imperialnego Ładu i jej okrucieństwo wobec tych, którzy stawiają opór. - Odwrócił wzrok, jakby żałował tego wybuchu gniewu w ich ostatnich wspólnych chwilach. Wysoka postać, tak dumnie wyprostowana na tle gór i nieba, skurczyła się odrobinę - wydawało się, że chce być bliżej Kahlan, że szuka u niej otuchy. - Pozostaje mi tylko jedna nadzieja: uciec i wrócić do ciebie. - Mówił niemal szeptem, bez śladu gniewu. - Kahlan, błagam, nie odbieraj mi tej nadziei. To wszystko, co mam.

Widziała, jak w oddali lisica przebiega przez łąkę. Gęsta, biała nakrapiana kita wlokła się za nią, kiedy sprawdzała, czy aby nie znajdzie jakiegoś gryzonia. Kahlan śledziła wzrokiem ruchy zwierzaka i kątem oka dostrzegła „Potęgę ducha” stojącą na oknie, dumną i wolną. Jak mogłaby stracić człowieka, który to dla niej wyrzeźbił, gdy tego najbardziej potrzebowała? Wiedziała, że mogłaby, bo teraz on potrzebował tego, co tylko ona mogła mu dać. Spojrzała w pełne napięcia szare oczy i uświadomiła sobie, że nie może odmówić jego żarliwej prośbie i jednemu życzeniu, nie w takiej chwili jak ta.

- Dobrze, Richardzie. Nie zrobię niczego pochopnego, żeby cię uwolnić. Będę na ciebie czekać. Wytrzymam to. Znam cię. Wiem, że nigdy się nie poddasz. A ty wiesz, że tego właśnie się po tobie spodziewam. Kiedy uciekniesz, a to ci się uda, przekonasz się, że na ciebie czekam, i znów będziemy razem. Bo nasze serca nigdy się nie rozłączą. Jak sam powiedziałeś, przysięgliśmy sobie wieczną miłość.

Richard zamknął oczy, poczuł wielką ulgę. Czule ucałował czoło Kahlan. Podniósł i całował dłoń, którą wspierała o jego tors. Zrozumiała, ile dlań znaczyła jej obietnica.

Uwolniła rękę i zdjęła naszyjnik, który dostała od Shoty w prezencie ślubnym. Dar, który miał ją uchronić od zajścia w ciążę. Odwróciła dłoń Richarda i położyła na niej naszyjnik. Patrzył ze zdziwieniem na mały ciemny kamień wiszący na złotym łańcuszku.

- A to po co?

- Chcę, żebyś to wziął. - Kahlan odkaszlnęła, żeby zapanować nad

głosem; mogła tylko szeptać. - Wiem, czego ona od ciebie chce, do czego zechce cię nakłonić.

- Nie, to nie o to... - Potrząsnął głową i dodał: - Nie wezmę tego. - Jakby jego odmowa zaprzeczała tej możliwości.

Kahlan dotknęła policzka Richarda. Z trudem widziała przez łzy twarz chłopaka.

- Proszę cię, Richardzie. Weź to, proszę. Dla mnie. Nie zniosłabym myśli, że inna kobieta nosi twoje dziecko. - A nawet myśli o próbie jego poczęcia, ale to przemilczała. - Zwłaszcza kiedy moje...

Odwrócił wzrok.

- Kahlan... - I głos go zawiódł.

- Zrób to dla mnie. Weź to. Proszę, Richardzie. Zrobię, o co prosisz, i wytrzymam twoją niewolę. W zamian i ty spełnij moją prośbę. Nie mogłabym znieść myśli, że ta blond czarownica nosi twoje dziecko, dziecko, które powinno być moje. Nie rozumiesz? Jak mogłabym pokochać coś, czego bym nienawidziła? I jak mogłabym znienawidzić coś, co byłoby częścią ciebie? Proszę, Richardzie, nie dopuść do tego.

Zimny wiatr szarpał włosy Kahlan. Zdawało się, że traci kontrolę nad swoim życiem. Z trudem mogła uwierzyć, że miejsce takiej radości, spokoju i wybaczenia, miejsce, w którym wróciła do życia, mogło być jednocześnie miejscem, w którym wszystko zostanie jej odebrane.

Richard wyciągnął ku niej naszyjnik, jakby był czymś, co mogłoby go ukąsić. Ciemny kamień kołysał się poniżej palców chłopaka, połyskiwał w mroku.

- Uważam, że nie w tym rzecz, Kahlan. Naprawdę. Poza tym mogłaby odmówić noszenia go i zagroziłaby twojemu życiu, gdybym...

Kahlan zdjęła złoty łańcuszek z palców Richarda i położyła mu go na dłoni. Ciemny kamień połyskiwał za złotymi ogniwkami. Zamknęła palce chłopaka na naszyjniku i zamknęła jego dłoń w swoich.

- To właśnie ty twierdzisz, że nie możemy zamykać oczu na sprawy, o których boleśnie jest myśleć.

- Ale jeżeli ona odmówi...

Kahlan mocniej zacisnęła drżące palce na jego pięści.

- Kiedy nadejdzie czas, że tego od ciebie zażąda, musisz ją przekonać, żeby założyła naszyjnik. Musisz. Dla mnie. I tak ciężko mi się pogodzić z

tym, że może tak zabrać mi mojego ukochanego, mojego męża, a jeszcze bać się, że...

Jego duża dłoń była taka ciepła, znajoma, dodająca otuchy. Łzy nie pozwalały Kahlan mówić. Mogła jedynie błagać:

- Proszę cię, Richardzie.

Mocno zacisnął usta, potem skinął głową i wepchnął naszyjnik do kieszeni.

- Nie wierzę, że ma takie zamiary, ale gdyby do tego doszło, dam ci słowo: założę naszyjnik.

Kahlan przyłgnęła do niego, łkając. Ujął ją za ramię.

- Chodź. Spieszmy się. Muszę spakować to, co chcę zabrać. Mam tylko parę minut albo wszystko na nic. Pójdę krótszym szlakiem i spotkam się z nią na szczycie przełęczy, ale i tak mam niewiele czasu.

## ROZDZIAŁ 23

Kahlan wiedziała, że w drzwiach ich sypialni stoi Cara w krwistoczerwonym uniformie i patrzy, jak Richard wpycha rzeczy do plecaka. Kahlan potakiwała, wymieniając z Richardem zwięzłe, sztywne zdania. Już uzgodnili sprawy życia i śmierci. Teraz oboje bali się powiedzieć coś, co mogłoby naruszyć to delikatne, desperackie, trudne porozumienie, które osiągnęli.

Słabe światło wpadające przez małe okienko raczej nie rozjaśniało mrocznej izby. Stojąca w drzwiach Cara też tamowała napływ światła. Izba sprawiała wrażenie lochu. Richard, w ciemnym odzieniu, wyglądał jak cień. Ileż to razy Kahlan, leżąc w łóżku i wracając do zdrowia, tak właśnie myślała o izdebce - mój loch. A teraz sprawiała wrażenie lochu, ale unosił się tu aromat sosnowych ścian, nie zaś smród kamiennej celi, z której prowadzono na śmierć rozdygotanych, pocących się więźniów.

Cara w jednej chwili wyglądała na niepokieszoną, a w drugiej - jak gotowa ugodzić błyskawica. Kahlan wiedziała, że uczucia Mord-Sith muszą być równie rozchwiane jak jej: wahające się od desperacji i żalu do wściekłości. Mord-Sith nie były przyzwyczajone do czegoś takiego, ale przecież Cara nie była już teraz zwyczajną Mord-Sith.

Kahlan patrzyła, jak Richard pakuje czarne spodnie, czarny podkoszulek, obramowaną złotą taśmą czarną tunikę, srebrne obręcze na nadgarstki, pas z sakiewkami i złocistą pelerynę; zajęły w plecaku sporo miejsca. Był w ciemnym leśnym stroju, nie miał czasu się przebrać. Miała nadzieję, że wkrótce zdoła uciec i w stroju czarodzieja wojny poprowadzi ich przeciwko Ładowi. Wszystkim był potrzebny jako wódz prowadzący imperium D'Hary do walki z hordą najeźdźców ze Starego Świata.

Z nie zawsze jasnych powodów Richard stał się w tej walce kimś, od kogo wszyscy byli uzależnieni. Kahlan była przekonana, iż on słusznie uważa, że ludzie muszą walczyć dla siebie, a nie tylko dla niego. Jeśli jakaś idea jest słuszna, powinna żyć niezależnie od wodza, bo inaczej wódz przegra.

Richard wrzucał do plecaka inną odzież i drobiazgi; powiedział Kahlan, że może powinna odnaleźć Zedda i że Zedd pewnie będzie miał jakieś pomysły. Przytaknęła i odparła, że owszem, zrobi to, chociaż wiedziała, że

Zedd nic nie poradzi. Nicci postarała się, żeby nikt nie mógł się wtrącić do owego straszliwego trójkąta. Była tylko nadzieja, którą podsuwał jej Richard - jedyny kwiat, jaki mógł jej ofiarować na tej pustyni rzeczywistości. Kahlan nie wiedziała, co zrobić z rękami. Stała, splatając palce, a łzy spływały jej po twarzy. Musi być coś jeszcze do powiedzenia, coś ważnego, jakieś ostatnie słowa, póki jeszcze ma okazję je wypowiedzieć - lecz nic nie przychodziło jej na myśl. Przypuszczała, że Richard wie, co ona czuje, co skrywa w sercu, i że słowa już nic by tu nie wniosły. Przycisnęła pięść do skurczonego z niepokoju żołądka.

W izdebce czuło się obecność fatum, niczym czwartej osoby: ponurego strażnika czekającego, żeby zabrać Richarda. Było to jądro panicznego strachu, kontrolowane przez to, czego nie widać, z czym nie można dyskutować, czego nie da się przekonać, z czym nie sposób walczyć. Fatum czekało, nieubłagane, nieczułe, obojętne.

Cara zniknęła z drzwi; Richard wyjął garść srebra i złota z wewnętrznej kieszeni swojego skórzanego plecaka. Część wrzucił z powrotem, resztę podał Kahlan.

- Weź to. Może ci się przydać.

- Jestem Matką Spowiedniczką. Nie potrzebuję złota.

I tak położył monety na łóżku; najwyraźniej nie chciał marnować ostatnich wspólnych chwil na sprzeczki.

- Chcesz którąś z rzeźb? - Wiedziała, że to głupie pytanie, ale nic innego oprócz bezsilnych skarg i prośb nie przyszło jej na myśl.

- Nie. Nie potrzebuję ich. Kiedy na nie spojrzysz, pomyśl o mnie i przypomnij sobie, że cię kocham. - Zrolował ciasno koc, owinął go w impregnowane płótno i przymocował rzemykami do dna plecaka. - Zawsze sobie coś wyrzeźbię w razie potrzeby.

Kahlan podała mu kawałek mydła.

- Nie potrzebuję twoich rzeźb, żeby mi przypominały o twojej miłości. Będę o niej pamiętała. Wyrzeźb coś, co by uświadomiło Nicci, że będziesz wolny.

Spojrzał na nią z ponurym uśmiechem.

- Zamierzam zadbać o to, żeby wiedziała, że nigdy nie poddam się ani jej, ani Ładowi. Rzeźby nie będą potrzebne. Wydaje się jej, że wszystko dokładnie zaplanowała, ale przekona się, że jestem złym kompanem. -



Richard ubił pięścią zawartość plecaka, żeby się tam zrobiło więcej miejsca. - Bardzo złym kompanem.

Wpadła Cara, niosąc zawiniątka; rogi płótna zawiązała na węzły na górze każdego z nich. Położyła je, jedno po drugim, na łóżku.

- Zapakowałam ci trochę żywności, lordzie Rahlu. To, co się nie popsuje w drodze: suszone mięso i ryby, trochę ryżu i fasoli. Do... dołożyłam bochenek upieczonego własnoręcznie chleba, więc zjedz go najpierw, póki jest jeszcze świeży.

Podziękował jej i włożył zawiniątka do plecaka. Chleb najpierw powąchał, a dopiero potem zapakował. Uśmiechnął się do Cary z uznaniem.

Wyprostował się. Uśmiech zniknął z jego ust i Kahlan z jakiegoś powodu miała wrażenie, że krew ścina się jej w żyłach. Richard - wyglądał, jakby decydował się w męce na ostateczny, nieubłagany czyn - zdjął przez głowę pendent. Ujął lewą dłonią srebrno-złotą pochwę, prawą zaś tak zacisnął na rękojeści, że aż zbieleły mu kłykcie, i dobył Miecza Prawdy.

Klinga wydała charakterystyczny metaliczny szczęk, ogłaszając swoje przybycie.

Richard podciągnął rękaw i przeciągnął ostrzem po przedramieniu. Patrząca na to Kahlan aż się wzdrygnęła. Nie wiedziała, czy ciął głęboko przez przypadek, czy też celowo. Z lodowatym dreszczem przypomniała sobie, że bardzo precyzyjnie władał każdym stalowym ostrzem.

Obrócił miecz i skąpał obie strony klingi w jaskrawoczerwonej krwi. Dał ostrzu poznać rozkoszny smak, rozbudził apetyt na więcej. Kahlan nie miała pojęcia, co robi ani dlaczego czyni to właśnie teraz, lecz był to przerażający rytuał. Żałowała, że nie dobył miecza wcześniej i nie usiekł Nicci. Na jej krew patrzyłaby bez strachu.

Richard podniósł pochwę i wsunął do niej Miecz Prawdy. Krew ściekająca po ręce chłopaka zostawiła na pochwie czerwone plamy, kiedy przeciągnął po niej dłonią aż po trzewik, a potem zacisnął ją pośrodku. Pochylił głowę, wbił wzrok w srebrne i złote wzory widoczne nawet przez jego krew i zbliżył się do Kahlan. Uniósł wzrok i zobaczyła w jego oczach morderczy magiczny gniew. Rozbudził srogi gniew miecza, przywołał go, a potem odpędził. Kahlan nigdy przedtem nie widziała, by zrobił coś takiego.

Wyciągnął ku niej pochwę z orężem. Na grzbiecie zaciśniętej dłoni rysowały się ścięgna. Zbielełe kłykcie widoczne były poprzez krew.

- Weź go. - Ochryply głos zdradzał toczącą się w nim walkę.

Kahlan, jak zahipnotyzowana, ujęła pochwę. W owej chwili - zanim Richard cofnął rękę - poczuła gwałtowny wstrząs, jakby nagle złączył ją z mieczem gorący gniew, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła. Z chłodnej klingi emanowała taka furia, że dziewczyna o mało nie osunęła się na kolana. Może odrzuciłaby miecz, gdyby była w stanie oderwać od niego dłoń. Ale nie była.

Kiedy Richard cofnął dłoń, miecz stracił swój szalony gniew i nie różnił się od innego oręża.

Chłopak ostrzegawczo uniósł palec. W jego oczach wciąż tańczyła mordercza magia. Tak mocno zacisnął zęby, że na obrzeżu twarzy, aż do skroni, zarysowały się napięte mięśnie.

- Dobądź tego miecza - ostrzegł ochryplym szeptem - tylko i wyłącznie po to, żeby ratować swoje życie. Wiesz, co ów oręż potrafi uczynić temu, kto nim włada, i temu, kto został nim rażony.

Kahlan - zahipnotyzowana jego spojrzeniem - mogła jedynie kiwnąć głową. Dobrze pamiętała, jak Richard po raz pierwszy zabił tym mieczem i po raz pierwszy poznał grozę zabijania. W jej obronie. O mało sam nie zginął, gdy po raz pierwszy posłużył się mieczem, gdy po raz pierwszy uwolnił jego magię. Pamiętała, jak walczył, żeby nauczyć się kontrolować uwalnianą przez Miecz Prawdy burzę magicznego gniewu.

Oczy Richarda i bez magicznego gniewu potrafiły ciskać gromy. Kahlan pamiętała, jak kilka razy jego jastrzębie spojrzenie zmusiło do zamilknięcia tłum wypełniający komnatę. Raczej należało unikać takiego wzroku. A teraz w jego oczach płonęła żądza mordu.

- Bądź gniewna, kiedy przyjdzie ci go użyć! - warknął. - Bardzo gniewna. W tym twój jedyny ratunek.

Kahlan przełknęła ślinę.

- Rozumiem. - Skinęła głową. - Zapamiętam.

Słuszny gniew stanowił jedyną obronę przed paralizującym bólem zsyłanym przez miecz, kiedy nim kogoś zabito.

- Życie lub śmierć. Żaden inny powód. Nie wiem, co się stanie, i wolałbym, żebyś się za szybko o tym nie przekonała. Ale wolę już to, niż zostawiać cię bez tej straszliwej ochrony, której możesz potrzebować. Dałem mu posmakować krwi, więc będzie nienasycony. Kiedy go dobędziesz,

będzie żądny krwi.

- Rozumiem.

Z oczu Richarda wreszcie zniknął gniew.

- Przepraszam, że obarczam cię straszliwą odpowiedzialnością związaną z tym orężem, zwłaszcza w taki sposób, ale to jedyna ochrona, jaką mogę ci zapewnić.

Kahlan dotknęła uspokajająco ramienia Richarda i powiedziała:

- Nie będę musiała się nim posłużyć.

- O dobre duchy, mam nadzieję, że nie. - Obejrzał się za siebie, ostatni raz popatrzył na ich izdebkę, a potem na Carę. - Muszę już wyruszać.

Zignorowała te słowa.

- Najpierw twoje ramię.

Spostrzegł, że ma bandażę pozostałe z czasów rekonwalescencji Kahlan. Bez protestów podsunął jej okrwawioną rękę. Cara otarła ją wilgotnym płótnem, a potem obandażowała. Richard podziękował jej, kiedy kończyła go opatrywać. Mord-Sith rozdarła koniec bandaża, owinęła obie części wokół przegubu i zawiązała.

- Odprowadzimy cię kawałek.

- Nie. Zostaniecie tutaj. - Obciągnął rękaw. - Nie chcę ryzykować.

- Ale...

- Caro, chcę, żebyś chroniła Kahlan. Zostawiam ją pod twoją opieką. Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

Duże, piękne niebieskie oczy Cary lśniły od łez i wyrażały takie cierpienie, którego Mord-Sith - Kahlan była o tym przekonana - nigdy nikomu nie pozwalała oglądać.

- Przysięgam chronić ją tak, jak chroniłabym ciebie, lordzie Rahlu, a ty przysięgnij, że uciekniesz i wrócisz.

Richard uśmiechnął się do niej przelotnie, próbując ją pocieszyć.

- Jestem lordem Rahlem i chyba nie muszę ci przypominać, że wywikłałem się z gorszych oparów. - Cmoknął ją w policzek. - Przrzekam, Caro, że nigdy nie zaprzestanę prób wydostania się. Masz na to moje słowo.

Kahlan uświadomiła sobie, że nie powtórzył w przysiędze słów Mord-Sith. Wiedziała, że nie chciał składać obietnicy, której nie mógłby dotrzymać.

Richard nachylił się nad łóżkiem, przysunął plecak.

- Muszę już iść. - Mocno zawiązał plecak. - Nie mogę się spóźnić.

Kahlan silniej zacisnęła palce na jego ręce. Cara położyła mu dłoń na ramieniu. Richard odwrócił się, mocno chwycił Kahlan za ramiona.

- Posłuchaj mnie. Chciałbym, żebyś została w tej górskiej chacie, gdzie jesteś bezpieczna, ale wiem, że skłoniłaby cię do tego jedynie moja przedśmiertna prośba. Zostań tu chociaż cztery, pięć dni, na wypadek gdybym zdołał wybadać, o co chodzi, i uciekł Nicci. Może sobie być Siostrą Mroku, ale ja nie jestem już nowicjuszem w sprawach magii. Wymykałem się przedtem ludziom mającym moc. Odesłałem Rahla Posępnego w zaświaty. Byłem w Świątyni Wichrów, żeby powstrzymać zarazę. Wyszedłem cało z gorszych oparów niż te. Kto wie, to może się okazać prostsze, niż się wydaje. Jeśli od niej ucieknę, wrócę tutaj, więc choć trochę poczekaj. A jeśli na razie nie zdołam się uwolnić od Nicci, spróbuj odnaleźć Zedda. Może wpadnie na jakiś pomysł. Kiedy go ostatnio widzieliśmy, była z nim Ann. Jest Ksienią Sióstr Światła i zna Nicci od bardzo dawna. Być może wie coś, co się przyda Zeddowi i ułatwi mu odkrycie jakiegoś sposobu.

- Nie martw się o mnie, Richardzie. Będę na ciebie czekać, więc choć o to bądź spokojny i całą uwagę skup na próbach pozbycia się jej. Obiecuję, że jakiś czas zaczekamy tu na ciebie.

- Będę nad nią czuwać, lordzie Rahlu. Nie martw się o Matkę Spowiedniczkę.

Richard skinął głową. Znów spojrzął na Kahlan. Mocniej zacisnął dłonie na jej ramionach. Zachmurzył się.

- Znam cię i wiem, co czujesz, ale musisz mnie wysłuchać. Jeszcze nie nadszedł czas. I może nigdy nie nadejdzie. Możesz sądzić, że się mylę, ale jeśli przymkniesz oczy na rzeczywistość i postąpisz według swoich życzeń tylko dlatego, że jesteś Matką Spowiedniczką i czujesz się odpowiedzialna za lud Midlandów, to od razu możemy porzucić nadzieję, że znów będziemy razem. Umrzemy i przypadnie sprawa wolności. - Pochylił się ku Kahlan. - Przede wszystkim nasze siły nie powinny atakować trzonu wojsk Ładu. Za wcześnie na to. Jeśli nasza armia, jeśli ty, uderzycie na główne siły Ładu, sądząc, że wygracie, będzie to koniec naszych wojsk i kres naszych szans. Na całe pokolenia zniknie nadzieja na wolność i pokonanie Ładu. Tak samo z Nicci: musimy się posłużyć umysłem, a nie atakować ją bezpośrednio, bo oboje zginiemy. Obiecałaś, że się nie zabijesz, żeby mnie ratować. Nie łam tej

obietnicy, postępując wbrew temu, co teraz mówię.

Takie się to teraz wydawało błahe. W tej chwili liczyło się tylko jedno: to, że go traciła. Rzuciłaby cały świat wilkom, byle tylko zatrzymać Richarda.

- Dobrze, Richardzie.

- Obiecuj. - Aż do bólu wbijał palce w ramiona Kahlan; potrząsnął nią. - Zależy mi na tym. Jeśli zlekceważysz moje ostrzeżenie, wszystko przepadnie. Na następne pięćdziesiąt pokoleń zniszczysz nadzieje ludzi. Staniesz się tą, która zniszczy wolność i wepchnie świat w mroki. Obiecuj mi, że tego nie zrobisz.

Kahlan patrzyła mu w oczy; jej myśli kłębiły się chaotycznie. Usłyszała własny głos:

- Obiecuję, Richardzie. Nie przypuścimy bezpośredniego ataku, dopóki tego nie nakazesz.

Wyglądał, jakby zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. Uśmiechnął się i wziął Kahlan w ramiona. Wsunął palce we włosy dziewczyny i przytulił uniesioną do pocałunku głowę. Kahlan przesunęła dłonie ku jego barkom i mocno do niego przywarła. Trwało to zaledwie chwilę, ale w owym skradzionym momencie oczarowania ogarnęła ich fala przemożnych uczuć.

Uścisk i pocałunek skończyły się o wiele za szybko. Odsunął się i Kahlan poczuła przygniatający ciężar fatum. Richard pospiesznie uściskał Carę i zarzucił plecak na ramię. Odwrócił się, stojąc w drzwiach sypialni.

- Kocham cię, Kahlan. Nikogo przedtem nie kochałem i już nikogo nie pokocham. Tylko ciebie jedną. - Jego oczy wyraziły to jeszcze lepiej.

- Jesteś dla mnie wszystkim, Richardzie. Wiesz o tym.

- I ciebie kocham, Caro. - Mrugnął do niej. - Dbaj o nią i o siebie, dopóki nie wrócę.

- Będę dbać, lordzie Rahlu. Daję na to słowo Mord-Sith.

- Mam słowo Cary. - Uśmiechnął się do niej kącikiem ust. I odszedł.

- I ja cię kocham, lordzie Rahlu - wyszeptała Mord-Sith do pustych drzwi.

Kahlan i Cara ruszyły do głównej izby i stanęły w drzwiach. Patrzyły, jak biegnie przez łękę.

Cara przyłożyła do ust stulone dłonie i krzyknęła:

- I ja cię kocham, lordzie Rahlu!

Richard odwrócił ku niej głowę, nie zatrzymując się, i podziękował gestem.

Patrzyły, jak jego ciemna postać mknie przez zbrązowiałą trawę, jak szybko się oddala. Tuż przed linią drzew przystanął i odwrócił się. Wymienili z Kahlan ostatnie spojrzenie, spojrzenie, którym powiedzieli sobie wszystko. Odwrócił się i zniknął w lesie; ciemny strój sprawiał, że nie można go było dostrzec na tle drzew i poszycia.

Kahlan osunęła się na kolana, przysiadła na piętach i poddała się emocjom. Łkała bezradnie, chowając twarz w dłoniach; opłakiwała to, co zdawało się jej końcem świata. Cara przykucnęła obok niej, otoczyła ramieniem jej barki. Kahlan było przykro, że Cara widzi, jak ona szlocha, że jest świadkiem jej słabości. Poczowała wdzięczność, kiedy Mord-Sith w milczeniu przytuliła do ramienia jej głowę.

Kahlan nie wiedziała, jak długo siedziała - łkając - na polepie, w białej szacie Matki Spowiedniczki. Po jakimś czasie zdołała stłumić łzy. Wciąż pograżała się w ponurej rozpacz. Każda mijająca chwila wydawała się jej nie do zniesienia. Rozciągała się przed nią posępna przyszłość, bezmiar strasznego bólu. W końcu podniosła wzrok i rozejrzała się po domku. Bez Richarda było tu pusto. On wnosił tu życie. Teraz było to martwe miejsce.

- Co chcesz robić, Matko Spowiedniczko?

Ściemniało się. Kahlan nie wiedziała, czy to zachód słońca, czy to gęstnieją chmury. Otarła oczy.

- Zaczniemy zbierać rzeczy. Zostaniemy tu kilka dni, jak chciał Richard. Potem zakopimy to, czego konie nie udźwigną, a co by się zepsuło. Zabijemy okna deskami. Dobrze zabezpieczymy chatę.

- Na czas, kiedy znów wrócimy do raję?

Kahlan potaknęła; rozglądała się wokół, desperacko usiłując skupić się na jakimś zadaniu, a nie na tym, co by ją zdruzgotało. Wiedziała, że najgorsza będzie noc. Kiedy będzie sama w łóżku. Kiedy nie będzie przy niej Richarda.

Kotlina przypominała teraz utracony raj. Kahlan ledwo mogła uwierzyć, że Richard naprawdę odszedł. Zdawało się jej, że tylko poszedł nałapać ryb albo nazbierać jagód, albo na zwiady na wzgórze. Jakby już wkrótce miał powrócić.

- Tak, do czasu, kiedy wrócimy. I znów będzie tu raj. Kiedy Richard wróci, raj będzie wszędzie tam, gdzie i my.

Zorientowała się, że Cara nie usłyszała tej odpowiedzi. Mord-Sith patrzyła przez drzwi w dal.

- Co się stało, Caro?

- Lord Rahl zniknął.

Kahlan położyła pocieszająco dłoń na ramieniu Cary.

- Wiem, że to boli, ale musimy...

- Nie. - Mord-Sith spojrzała na nią; miała dziwnie zaniepokojone oczy. - Nie, nie to miałam na myśli. Nie wyczuwam jego obecności. Nie czuję więzi z lordem Rahlem. Wiem, gdzie teraz jest, wiem, że idzie szlakiem na szczyt przełęczy, ale nie potrafię tego wyczuć. - Wyglądała na przerażoną. - Drogie duchy, to jakbym ślepa. Nie wiem, jak go odnaleźć. Nie mogę znaleźć lorda Rahla.

Kahlan w pierwszej chwili przeraziła się, że spadł i się zabił albo że Nicci go uśmierciła. Posłużyła się rozumem, by odpędzić strach.

- Nicci wie o więzi. Prawdopodobnie wykorzystwała magię, żeby ją zamaskować lub rozerwać.

- Jakoś ją zamaskować. - Cara przetoczyła w palcach Agiel. - Na pewno w tym rzecz. Wciąż czuję Agiel, więc wiem, że lord Rahl żyje. Więź wciąż istnieje... ale nie potrafię jej wyczuć i określić, gdzie on przebywa.

Kahlan westchnęła z ulgą.

- Czyli na pewno tak jest. Nicci nie życzy sobie, żeby iść jej śladem, więc zamaskowała tę więź za pomocą magii.

Dziewczyna uświadomiła sobie, że jeśli więź z Richardem ma nadal chronić ludzi przed Nawiedzającym Sny, to powinni ufać chłopakowi bez tego kojącego poczucia. Jeżeli mają przetrwać, ich serca nie powinny utracić tej wiary.

Czy tak się stanie? Czy potrafią zachować ufność?

Cara patrzyła przez drzwi na leżące za łąką góry, w których zniknął Richard. Płonące oranżem smugi znaczyły niebieskofioletowe niebo ponad błękitnoszarymi górami. Płaszcz śniegu sięgał niżej. Mknęła ku nim zima. Jeśli Richard wkrótce nie ucieknie i nie wróci, Kahlan i Cara będą musiały odejść, nim zdąży się zjawić.

Kahlan ogarniał przeraźliwy smutek, bała się, że znów zatonie w łzach. Musiała się czymś zająć, więc poszła do swojej izby zdjąć szatę Matki Spowiedniczki. Potem zabierze się do zabezpieczania chaty i przygotowania wyjazdu.

Zdejmowała suknię, kiedy w drzwiach stanęła Cara.

- Dokąd pójdziemy, Matko Spowiedniczko? Mówiłaś, że musimy stąd odejść, ale nigdy nie powiedziałaś, dokąd pójdziemy.

Kahlan zobaczyła stojącą na oknie „Potęgę ducha”: z zaciśniętymi pięściami patrzyła na świat. Zdjęła statuetkę z parapetu i powiodła palcami po płynnych liniach.

Widok statuetki, dotykane jej, odczucie zawartej w niej mocy sprawiły, że Kahlan postanowiła sięgnąć w głąb siebie, odnaleźć w sobie siły i nadzieję. Wcześniej już raz nie miała nadziei i Richard to dla niej wyrzeźbił. Opuściła drugą rękę, wyczuła pod palcami miecz Richarda leżący na ich łóżku. Zogniskowała umysł, nakazała, by rozpacz stężała w gniew.

- Zniszczyć Ład.

- Zniszczyć Ład?

- Te bestie odebrały mi moje nie narodzone dziecko, a teraz zabrały Richarda. Sprawię, że pożałują tego z tysiąc razy, a potem kolejny tysiąc. Przysięgam niegdyś, że nie będzie litości dla Ładu. Nadszedł czas. Jeżeli wybicie ich do nogi jest jedyną drogą do odzyskania Richarda, to ich wybiję.

- Złożyłaś przysięgę lordowi Rahlowi.

- Richard nic nie mówił o zabijaniu ich, tylko o sposobach walki. Przysięgałam, że nie uderzę w samo ich serce, a Richard nic nie mówił o wykrwawieniu ich na śmierć z tysiąca ran. Nie złamię danej mu przysięgi, ale zamierzam wybić ich do nogi.

- Nie możesz tego zrobić, Matko Spowiedniczko.

- A dlaczego to?

Niebieskie oczy Cary błyszczały groźnie.

- Bo połowę z nich musisz zostawić mi.



## ROZDZIAŁ 24

Richard tylko raz się zatrzymał i odwrócił, na chwilę przed tym, nim wbiegł pomiędzy drzewa. Stała w drzwiach w białej szacie Matki Spowiedniczki, długie gęste włosy spływały falą, wyglądała jak uosobienie kobiecego wdzięku. Była równie piękna jak wtedy, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy. Był zbyt daleko, żeby dostrzec ich zieleń, kolor, którego nie miały oczy nikogo innego, kolor tak chwytny za serce, że raz przyspieszał jego oddech, a innym razem zapierał dech w piersiach.

Jednak tak naprawdę urzekł go umysł tej kobiety kryjący się za jej oczami. Richard nigdy nie spotkał równej jej istoty.

Wiedział, że ma bardzo mało czasu. Nienawidził myśli, że musi oderwać wzrok od Kahlan, ale od tego zależało jej życie. Dokładnie wiedział, co robić. Zniknął w lesie.

Dość często chodził tym szlakiem; wiedział, gdzie może biec, a gdzie powinien zachować ostrożność. Zostało mu bardzo niewiele czasu, więc nie mógł sobie pozwolić na zbyt dużą ostrożność. Nie usiłował nawet zerknąć ku chacie.

Był sam w lesie, kiedy biegł, a myśli sprawiały mu taki ból, jak sól sypana na świeże rany. Raz tylko czuł się w lasach nie na swoim miejscu - bezsilny, nic nie znaczący, pozbawiony nadziei. Nagie gałęzie uderzały o siebie targane wiatrem, inne skrzypiały i jęczały, jakby udawały żal, że on odchodzi. Biegł i starał się nie myśleć.

Szlak wznosił się ponad kotlinę, zaczęły przeważać jodły i świerki. Richard szybciej oddychał. W chłodnym mroku na dnie lasu wiatr był zaledwie dalekim prześladowcą gdzieś wysoko w górze: ścigał go, przeganiał, wypędzał z najszcześniejszego miejsca, jakie znał. Zielonawe gąbczaste kępy mchu pstrzyły dno lasu w obniżeniach, gdzie rosły głównie cedry; wyglądały jak weselne ciastka zabarwione na ciemną zieleń i usiane małymi, brązowymi jak czekolada, łuskowatymi igielkami cedrów.

Przebył mały strumyk, idąc po sterczących z wody kamieniach. Ruczaj spadał ze stoku, wpływając miejscami pod skałki i głązy i wydając odbijający się echem plusk, który obwieszczał roslącem dębom nadejście Richarda, jego

drogę ku uwięzieniu. W szarawym świetle nie zauważył czerwonego korzenia cedru. Zaczepił o niego stopą i upadł, twarzą ku ziemi: ostateczne upokorzenie i nieodwołalny wyrok banicji.

Leżał na zimnych, wilgotnych liściach, odłamanych suchych gałęziach i innych leśnych resztkach i rozmyślał, że może by tak już zostać i nigdy się nie podnieść. Leżałby tak sobie i pozwolił, by wszystko się skończyło, by nieczuły wicher zmroził go na kość, by przyczajone pająki, węże i wilki pokąsały go i wykrwawiły na śmierć i żeby porosły go wreszcie obojętne na jego los drzewa. Tęskniliby za nim ledwie nieliczni, a jego zniknięcie byłoby dla większości prawdziwą ulgą.

Posłaniec z wieścią, na którą nikt nie czeka.

Wódz, który zjawił się zbyt wcześnie.

Czemuż by nie pozwolić, żeby to wszystko się skończyło, żeby cicha śmierć zabrała ich oboje i dała im pokój?

Pogardliwe drzewa czekały, co uczyni ów niegodny człowiek, czy będzie miał odwagę wstać i stawić czoło temu, co go czekało. Sam nie wiedział, czy to zrobi.

Śmierć była łatwiejsza i w owej straszliwej chwili myśl o niej sprawiała mniej bólu.

Nawet Kahlan, chociaż tak bardzo ją kochał, chciała od niego tego, czego jej nie mógł dać: kłamstwa. Chciała, żeby powiedział jej, że jest zupełnie inaczej, niż naprawdę było. Zrobiłby dla niej wszystko, ale nie mógł zmienić tego, co już było. Przynajmniej miała do niego tyle zaufania, że pozwoliła, by wskazał jej drogę ucieczki od mroków tyranii nadciągających na świat. Nawet jeśli mu nie wierzyła, prawdopodobnie była jedyną osobą skłoną z własnej woli iść za nim.

Prawdę mówiąc, leżał na ziemi ledwie kilka sekund, przychodząc do siebie po upadku i łapiąc oddech, a myśli przelatywały mu przez umysł - krótkie sekundy, kiedy pozwolił sobie na słabość, bo dobrze wiedział, jak ciężkie i trudne będzie to, co się wydarzy.

Słabość, żeby zrównoważyć siłę, której będzie potrzebować. Zwątpienie - dla zrównoważenia pewności co do wytyczonego celu. Strach - by zrównoważyć odwagę, której mógł potrzebować.

Zastanawiał się, czy wstanie, ale wiedział, że to zrobi. Moment litowania się nad sobą prędko przeminął. Zrobiłby dla niej wszystko. Nawet to. Choćby

i tysiąc razy, nawet to.

Richard - znów stanowczy - odegnał czarne myśli. Wiedział, że to nie było aż tak beznadziejne. W końcu pomyślnie przeszedł próby o wiele trudniejsze niż jedna Siostra Mroku. Wydostał przecież Kahlan ze szponów pięciu Sióstr Mroku. Ta była sama. Ją również pokona. Obudził się w nim gniew, kiedy pomyślał, iż Nicci myśli, że zatańczą, jak im zagra.

Rozpacz zniknęła, zastąpiła ją wściekłość.

I znów biegł, klucząc między drzewami, kiedy ścinał zakręty szlaku. Przeskakiwał powalone drzewa, przesadzał rozpadliny w skalnych półkach, zamiast je bezpiecznie omijać. Każdy skrót czy skok pozwalał oszczędzić kilka drogocennych sekund.

Złamany konar uderzył w plecak, zerwał go z ramienia Richarda. Chłopak próbował go złapać w biegu, ale ten wyśliznął się i zawartość wysypała się na ziemię. Richard wściekł się, jakby drzewo zrobiło to umyślnie, kpiąc sobie z jego pośpiechu. Kopnął ów konar, wyłamał go z suchego pnia. Upadł na kolana i zgarniał rzeczy do plecaka: mech wraz ze srebrnymi i złotymi monetami, ledwo wykiełkowane sosenki z mydłem od Kahlan. Nie miał czasu, by wszystko otrzepywać. Tym razem zarzucił plecak na plecy, nie zawiesił na ramieniu. Przedtem usiłował zyskać na czasie, a zamiast tego stracił cenne sekundy.

Dróżka - miejscami po prostu zwierzęcy szlak - zaczęła się ostro wznosić i od czasu do czasu Richard musiał się wspinać, oburącz przytrzymując skałek czy korzeni. Wystarczająco wiele razy tędy chodził i wiedział, czego się można bezpiecznie przytrzymać. Dzień był chłodny, a on musiał ocierać pot zalewający oczy. Otarł sobie skórę na kłykciach, kiedy wczepiał palce w szczeliny szorstkich granitowych bloków.

Wyobrażał sobie, że Nicci jedzie za szybko, przebywa za długie odcinki drogi, za bardzo wysforowuje się naprzód. Wiedział, że szaleństwem byłoby aż tak opóźnić wymarsz, że nadrobi to, idąc szlakiem. Żałował, że tak krótko mógł tulić Kahlan. Straszliwie cierpiał na myśl o jej rozpacz. Wydawało mu się, że to wszystko jest dla niej o wiele gorsze. Chociaż to ona była wolna, musiała powstrzymać się przed tym, czego najbardziej pragnęła: przed pójściem za nim. Jemu było łatwiej: musiał tylko słuchać rozkazów.

Wypadł spomiędzy drzew na szerszy trakt na szczycie przełęczy. Nicci

nigdzie nie było widać. Wstrzymał oddech i spojrzał ku wschodowi; bał się, że zobaczy, jak zjeżdża w dół. Z miejsca, gdzie stał, widział rozciągające się przed nim lasy i stoki górskie unoszące dywan drzew. W oddali wyrastały olbrzymie góry, których szczyty i spora część stoków jaśniały oślepiającą bielą na tle zachmurzonego, szarego nieba.

Richard nie widział żadnego konia z jeźdźcem, ale to niczego nie dowodziło, bo niedaleko od miejsca, w którym stał, szlak skręcał pomiędzy drzewa. Szczyt przełęcz stanowiła naga skalna płaszczyzna, reszta szlaku wiała się wśród gęstego lasu. Pochylił się i pospiesznie szukał śladów na ziemi, mając nadzieję, że go zbyt nie wyprzedziła i że zdoła do niej dołączyć, zanim ona zrobi coś przerażającego. Nie znalazł żadnych śladów i okropne przecucie się rozwiło.

Spojrzał na leżącą daleko w dole kotlinę, na ich chatę za zbrązowiałą łąką. Był zbyt daleko, żeby kogoś dostrzec. Miał nadzieję, że Kahlan zostanie tam kilka dni, jak o to prosił. Nie chciał, żeby się przyłączyła do wojska, walczyła w przegranej wojnie, bez potrzeby narażać życie.

Pojmował, że chciała być ze swoim ludem, że chciała bronić ojczystych stron. Wierzyła, że zdoła wpłynąć na bieg wydarzeń. Ale nie zdoła. Jeszcze nie teraz. A może nigdy. Wizja Richarda tak naprawdę była jedynie zaakceptowaniem tej rzeczywistości. Groźenie niebu mieczem nie powstrzyma zachodu słońca.

Spojrzał badawczo na chmury. Przez ostatnie dwa dni uważał, iż oznaki wskazują, że na ich kotlinę spadnie pierwszy w tym roku śnieg. Wygląd nieba i woń wiatru potwierdziły, że się nie mylił.

Zdawał sobie sprawę, że nie ucieknie Nicci tak łatwo, by w kilka dni powrócić do Kahlan. Wymyślił tę historyjkę z innego powodu. Kiedy pogoda się zmieni i tu, wysoko w górach, spadnie śnieg, będzie to gwałtowny atak zimy. Jeżeli nawałnica będzie tak potężna, jak na to wskazywały znaki, Kahlan i Cara mogą zostać uwięzione w chacie aż do wiosny. Spokojnie wystarczy im tej żywności, którą zgromadzili, zwłaszcza że były jeszcze zapasy, które przywiózł. Zdążył naciąć tyle drewna, że będą miały ciepło. Byłaby tam bezpieczna. A przy armii stale groziłoby jej niebezpieczeństwo.

Spośród drzew wyszła stępa tarantowata klacz, mijała pobliski zakręt. Oczy Nicci od początku wpatrywały się w Richarda.

Kiedy Siostry Światła zabrały go do Pałacu Proroków w Starym świecie,

Richard błędnie sądził, że Kahlan chciała, żeby go uprowadziły. Nie wiedział i nie rozumiał, że odesłała go, by ocalić mu życie. Uważał, że już nigdy nie zechce ponownie go zobaczyć.

Podczas pobytu w pałacu uważał Nicci za uosobienie zmysłowości. Gdy była przy nim, z trudem mógł wydobyć głos z gardła. Nie potrafił uwierzyć, że tak doskonale piękna istota istnieje na jawie, a nie tylko w marzeniach. Teraz patrzył, jak kołysze się łagodnie w siodle, jadąc stępą szlakiem i wpatrując się w niego swoimi błękitnymi oczami. Wydało mu się, że nosi tę swoją piękną powierzchowność z ponurą rezygnacją. Tak całkowicie straciła swój oszałamiający urok, że nie potrafił pojąć, dlaczego wówczas żywił wobec niej takie uczucia.

Od tamtej pory dowiedział się, czym jest prawdziwa kobieta, prawdziwa miłość, prawdziwe spełnienie. I Nicci całkowicie przestała się liczyć.

Patrzył, jak się zbliża, i ze zdumieniem stwierdził, że jest smutna. Jakby żałowała, że go tu znalazła; a jednocześnie dostrzegł przelotny wyraz ulgi.

- Nie zawiodłeś mnie, Richardzie. - Ton głosu sugerował, że inaczej być nie mogło. - Aleś się spocił. Chciałbyś odpocząć?

Pozorna uprzejmość Nicci sprawiła, że Richardowi krew uderzyła do głowy. Odwrócił gniewny wzrok od jej łagodnego uśmiechu i ruszył szlakiem, wyprzedzając jej konia. Uznał, że lepiej milczeć, dopóki nie zdoła zapanować nad gniewem.

Wkrótce dotarli do czarnego ogiera z białą gwiazdką na czole. Wielki koń był uwiązany na małej trawiastej polance wśród potężnych sosen.

- Koń dla ciebie, jak obiecałam. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Uznałam, że jest odpowiednio duży i krzepki, by ci się wygodnie jechało.

Richard sprawdził - wędzidło było gładkie; nie dręczyła zwierząt bolesnymi wędzidłami, jak to czyniły niektóre Siostry. Reszta upręży też wydawała się odpowiednia. Koń wyglądał zdrowo. Poświęcił kilka chwil, by zapoznać się z ogierem. Napomniał się, że to nie koń jest przyczyną jego kłopotów i że nie powinien dopuścić, by jego stosunek do Nicci wpływał na traktowanie tego pięknego zwierzęcia. Nie zapytał Siostry o imię konia. Pozwolił, żeby ogier powąchał mu dłoń, potem pogłaskał gładką czarną szyję. Poklepał zwierzę po łopatce. Takie milczące zapoznanie się. Potężny czarny ogier tupnął przednimi kopytami. Wcale nie był zachwycony spotkaniem z Richardem.

Na razie nie mieli kłopotu z wyborem drogi: był tu tylko jeden szlak biegnący od chaty, w której została Kahlan, a potem na wschód. Richard poszedł przodem, żeby nie patrzeć na Nicci.

Nie chciał od razu dosiąść konia i zrazić go tym do siebie, co potem długo musiałby odrabiać. Lepiej, by zwierzę go najpierw poznało, lepiej iść obok niego milę lub dwie. Richard trzymał luźno wodze i szedł przed koniem, pozwalał mu się przyzwyczaić do tego dziwnego obcego. Zajmowanie się zwierzęciem pomogło chłopakowi oderwać się od myśli, które mogłyby go pogrążyć w rozpaczliwym żalu. Po jakimś czasie ogier przestał się boczyć na nowego pana i Richard dosiadł go bez żadnych kłopotów.

Szlak był wąski i Nicci nie mogła jechać obok. Jej tarantowata klacz parskiała, niezadowolona, że musi podążać za ogierem. Richarda cieszyła świadomość, że już zdołał zakłócić porządek rzeczy.

Nicci nie starała się nawiązać rozmowy; chłopak przypuszczał, że wyczuwała jego nastrój. Szedł z nią, ale nie powinna mieć nadziei, że go to uszczęśliwi.

Kiedy zaczęło się ściemniać, Richard po prostu zsiadł obok niewielkiego strumyka, gdzie konie mogły się napić, i rzucił swoje rzeczy na ziemię. Nicci bez słowa zaakceptowała wybór miejsca na obóz, rozsiadła konia, a potem odpięła od siodła swój śpiwór. Usiadła na nim, nieco przygnębiona, zjadła trochę kielbaski z twardym sucharem, popijając to wodą. Po pierwszym kęsie wyciągnęła kielbaskę ku Richardowi i spojrzała nań pytająco. Nie skorzystał z poczęstunku, więc jadła sama.

Zjadła, umyła się w strumyku i na chwilę zniknęła za kępą zarośli. Kiedy wróciła, bez słowa wpełzła do śpiwora, odwróciła się od Richarda i zasnęła.

Chłopak siedział na mchu; skrzyżował ramiona, oparł się o siodło. Przez całą noc nie spał. Siedział i patrzył, jak Nicci śpi pod zachmurzonym niebem, które rozświetlał spoza chmur księżyc bliski pełni, jak spokojnie oddycha przez leciutko rozchylone usta, jak wolno pulsuje żyłka na jej szyi. Cały czas zastanawiał się, jak przezwyciężyć to, co im zrobiła. Dumał, czy jej nie udusić, ale był na to za mądry.

Już przedtem posługiwał się magią. W przeszłości nie tylko odczuł, ale i uwolnił niewiarygodną moc, jaką dawał mu dar. Bywało, że groziło mu olbrzymie niebezpieczeństwo wywołane najrozmaitszymi czarami. Richard

wykorzystał swój dar, by obudzić taką moc, jakiej nikt przedtem nie widział, i patrzył, jak budziła się pod jego nadzorem.

Mógł przywołać swój dar przede wszystkim poprzez gniew i nagłą potrzebę. Jednego i drugiego miał w obfitości. Ale nie wiedział, jak dar mógłby mu pomóc. Nie pojmował wystarczająco, co Nicci właściwie zrobiła, i dlatego było jeszcze za wcześnie, żeby myśleć, jak temu przeciwdziałać. Dopóki się tego nie dowie, nie ośmieli się nic zrobić, bo przecież na drugim końcu niewidzialnego magicznego sznura znajdowało się życie Kahlan. Ale na pewno się wszystkiego dowie; po prostu musi to wybadać, przemyśleć. Doświadczenie podpowiadało mu, że to rozsądne założenie. Powiedział sobie, że to tylko kwestia czasu. Wiedział, że musi w to wierzyć, jeżeli chce pozostać przy zdrowych zmysłach.

Rankiem osiodłał konie, nie odzywając się ani słowem do Nicci. Siedziała i patrzyła, jak zaciąga rzemienie popręgów, upewnia się, że nie urażają koni; piła wodę z bukłaka. Wyjęła chleb z sakwy leżącej przy niej i spytała, czy chciałby kawałek. Zignorował ją.

Bezsenna zimna noc powinna go zmęczyć, ale gniew chronił przed sennością. Cały dzień jechali pod ołowianym niebem w spokojnym, równym tempie, pokonując lasy, które zdawały się nie mieć końca. Miły mu był ciepły koński grzbiet. Stopniowo zjeżdżali na niziny, oddalali się od górskiej kotliny, w której stała chata.

Pod koniec dnia pojawił się śnieg.

Najpierw były to wirujące w powietrzu pojedyncze płatki. Z czasem było ich coraz więcej - odbarwiały drzewa i ziemię, aż biel okryła cały świat. Widoczność zmniejszała się, a śnieg gęstniał w zasłaniającą wszystko zwartą ścianę. Richard musiał stale mrugać, żeby osiadające płatki nie zalepiały mu oczu.

Poczuł ulgę - po raz pierwszy od czasu, kiedy wyruszył z Nicci.

Kahlan i Cara, tam, wyżej w górach, obudzą się rankiem i zobaczą kilka stóp śniegu. Prawdopodobnie uznają, że szaleństwem byłoby opuszczać chatę, skoro to tylko wczesny śnieg, który za parę dni stopi się na tyle, że nie będzie przeszkadzał w podróży. Tam, wysoko w górach, będzie to błędne założenie. Nie ociepli się. Zaraz za tą nawałnicą przyjdzie następna i wkrótce będą miały śniegu aż po okiennice. Wyczekiwanie pewnie je zdenerwuje, ale chyba dojdą do wniosku, że lepiej poczekać na zmianę pogody - w końcu nic

nie nagliło.

Najprawdopodobniej utkną bezpiecznie w chacie na całą zimę. A kiedy on wyrwie się wreszcie ze szponów Nicci, znajdzie Kahlan wygodnie ulokowaną w ich chacie.

Richard uznał, że głupio byłoby poddać się gniewowi i znów spać na otwartej przestrzeni. Zamarzliby na śmierć. Aż za dobrze pamiętał, że jeśli umrze Nicci, to umrze i Kahlan. Kiedy dojrzał wielką sosnę-strażniczkę, sprowadził konia ze szlaku. Z gałęzi, które potrącał, spadał nań wilgotny śnieg. Richard zrzucał go z barków i strzepywał z włosów.

Nicci rozejrzała się wokół, skonfundowana, ale nie protestowała. Zsiadła z konia i czekała, co zrobi Richard. Kiedy odchylił przed nią ciężki konar, spojrzała nań, marszcząc brwi, a potem zajrzała do środka. Wyprostowała się, zachwycona jak dziecko. Ale Richard nie odwzajemnił szerokiego uśmiechu.

Wewnątrz, pod oblepionymi śniegiem konarami, znajdował się cichy, lodowy świat. Otulający drzewo śnieg sprawiał, że na dole panował mrok. Richard wykopał dołek pod ognisko i raz-dwa rozpalił ogień z suszu, który starannie ułożył na strużynach. Płomienie dały ciepło i blask; Nicci rozejrzała się z zachwytem po schronieniu pod sosną-strażniczką. Szprychowate gałęzie nad ich głowami były skąpane w pomarańczowym blasku bijącym od ognia. Dół pnia był gładki, pozbawiony konarów, więc było tam sporo miejsca dla nich obojga.

Nicci spokojnie ogrzała ręce nad ogniskiem; wydawała się zadowolona - nie, żeby się napawała tym, że znalazł schronienie i rozpalił ogień, a zwyczajnie zadowolona. Jakby ktoś ją ciężko doświadczył i teraz odnalazła spokój. Wyglądała jak kobieta, która niczego nie oczekuje, ale jest wdzięczna za to, co ma.

Richard nie jadł śniadania, nie jadł też cały poprzedni dzień. Głód pokonał zawziętość i chłopak zagrzał wodę z roztopionego śniegu, po czym ugotował w niej fasolę i ryż. Głodowanie nie przyda się na nic ani jemu, ani Kahlan. Bez słowa podał Nicci połowę ryżu i fasoli wsypanych do wydrążonej piętki chleba od Cary. Wzięła chlebową miseczkę i podziękowała mu. Wyciągnęła ku niemu kawałek suszonego na słońcu mięsa. Richard patrzył na jej smukłe, delikatne palce trzymające plaster mięsa. Przypominała mu kogoś, kto karmi wiewiórkę ziemną. Wyrwał mięso z palców Nicci i odgryzł



kęs. Wpatrywał się w płomienie, unikając jej wzroku, i jadł swoją część ryżu z fasolą. Słysząc było jedynie potrzaskiwanie ognia i głucho pacnięcia śniegu osuwającego się z gałęzi. Opady śniegu często zmieniają lasy w obszary niesamowitej ciszy.

Ciepło bijące od ognia, sycący posiłek, wyczerpanie długą jazdą i nie przespaną nocą sprawiły, że Richarda ogarnęła senność. Nałożył grubszych drewn na tłący się ogień, otoczył je żarem. Rozłożył swój śpiwór po drugiej stronie ogniska - Nicci w milczeniu mu się przyglądała - wpełzł do środka i głęboko zasnął, rozmyślając o Kahlan bezpiecznej w ich chacie.

Następnego dnia wstali wcześniej. Nicci milczała, ale kiedy siedzieli już w siodłach, zdecydowanie wyprowadziła swoją tarantowatą klacz przed czarnego ogiera i ruszyła przodem. Śnieg ustąpił zimnej, osiadającej kroplami mgłą. Śnieżna okrywa na ziemi zmieniła się w szarawą breję. Niziny jeszcze nie miały zamiaru wpadać w okowy zimy. Wyżej, tam gdzie była Kahlan, zapanował już chłód i pewnie mocno sypało.

Jechali ostrożnie wąską drogą na stoku góry i Richard starał się obserwować lasy, ale nie mógł się powstrzymać, żeby od czasu do czasu nie popatrzeć na jadącą przed nim Nicci. Było zimno i wilgotno, narzuciła więc na czarną suknię czarną pelerynę. Wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, spływającymi na czarną pelerynę jasnymi włosami - wyglądała jak królowa. On był w ciemnym leśnym stroju i nie ogolił się.

Tarantowata klacz Nicci była ciemnoszara, niemal czarna, w jaśniejsze szare plamy. Grzywę i nogi miała ciemnoszare, ogon - mlecznobiały. Była jedną z najładniejszych klaczy, jakie Richard w życiu widział. Ale nie cierpiał jej. Należała do Nicci.

Kiedy zbliżał się wieczór, przecięli szlak biegnący na południe. Jadąca przodem Nicci dalej kierowała się ku wschodowi. Zanim dzień się skończył, napotkali jeszcze parę szlaków, używanych głównie przez przygodnych myśliwych lub traperów. Góry były niegościnne. Nawet jeśli wykarczowało się drzewa, ziemia była licha i kamienista. W kilku miejscach - bliżej Hartlandu czy zamieszkanych okolic ku północy lub południu - stoki były trawiaste i mogły wyżywić niewielkie stada owiec czy kóz.

Richard czuł, jak pracują mięśnie jego konia; patrzył na krainę, którą znał i kochał. Nie wiedział, kiedy znów wróci do domu - o ile w ogóle wróci. Nie pytał, dokąd jadą, bo uznał, że Nicci pewnie mu tego szybko nie powie.

To, że kierowali się ku wschodowi, nie miało jeszcze większego znaczenia, na razie bowiem mieli ograniczony wybór dróg.

Myśli kołysanego równym tempem jazdy chłopaka uciekały ku Mieczowi Prawdy i temu, jak dał ów oręż Kahlan. Wówczas wydawało się, że to jedyne rozwiązanie. Przykro mu było, że tak właśnie dał jej miecz, ale nie zdołał wymyślić żadnego innego sposobu, by zapewnić jej ochronę. Modlił się, żeby nigdy nie musiała się nim posłużyć. A na wypadek gdyby musiała, dał klindze i swój gniew.

Richard miał u pasa nóż, ale bez swojego miecza czuł się nagi. Nienawidził starożytnego oręża, wydobywającego z jego wnętrza mroczne rzeczy, i jednocześnie za nim tęsknił. Często przypominał sobie słowa Zedda, że to jedynie narzędzie. A jednak było to coś więcej. Miecz był zwierciadłem, aczkolwiek zwierciadłem przesyconym magią zdolną posiąć straszliwe spustoszenie. Miecz Prawdy potrafił unicestwić wszystko - czy to ciało, czy stal - jeśli było to wrogie, za to nie mógł zranić przyjaciela. W tym tkwił paradoks jego magii - zło było określone wyłącznie poprzez percepcję osoby dzierżącej miecz, przez to, co ta osoba uważała za prawdę.

Richard był prawdziwym Poszukiwaczem i dziedzicem mocy miecza stworzonego przez czarodziejów w czasach wielkiej wojny. Miecz powinien być przy nim. Powinien chronić swój oręż.

Mnóstwo rzeczy „powinno być”, powiedział sobie chłopak.

Późnym popołudniem zjechali z traktu wiodącego na wschód i zaczęli się kierować na południowy wschód. Richard znał ten szlak: następnego dnia powinien przeciąć miasteczko, a potem stać się wąską drogą. Skoro Nicci rozmyślnie go wybrała, to i ona musiała to wiedzieć.

Pod wieczór minęli północny brzeg sporego jeziora. Niewielkie stado mew unosiło się nad sieczoną deszczem powierzchnią wody, mniej więcej w połowie długości jeziora. Mewy nie były pospolite w tych okolicach, ale i nie były nieznane. Richard przypomniał sobie wszystkie morskie ptaki, które widział w Starym Świecie. Morze go fascynowało.

W zatoczce przy drugim brzegu Richard z trudem dostrzegł dwóch rybaków. Po tamtej stronie wody był szlak głęboko wydeptany przez pokolenia ludzi przychodzących tu z sioła leżącego ku południu. Obaj mężczyźni, siedzący na wysuniętej w jezioro płaskiej skale, pomachali do nich na powitanie. Rzadko się tu widywało jeźdźców. Richard i Nicci byli za

daleko, żeby tamci zdołali się im dobrze przyjrzeć. Pewnie wzięli ich za traperów. Nicci pomachała w odpowiedzi, jakby chciała rzec: „Dobrego wędkowania. Szkoda, że nie możemy się do was przyłączyć”.

Minęli zakręt i zniknęli mężczyznom z oczu. Richard odgarnął z czoła wilgotne włosy; jechali wzdłuż jeziora, słuchając, jak fale chlapią o błotnisty brzeg. Zostawili wodę za sobą i wjechali w las; trakt biegł w górę łagodnego wzniesienia. Nicci nasunęła kaptur, chroniąc się przed deszczem szmerzącym wśród drzew. W lesie zapadał ponury mrok.

Richard nie chciał zrobić nic, co mogłoby narazić Kahlan na śmierć, nadszedł więc czas, żeby wreszcie się odezwać.

- Co mam mówić, kiedy się z kimś spotkamy? Nie sądzę, żebyś chciała, bym mówił ludziom, że jesteś Siostrą Mroku porywającą ofiarę. A może wolisz, żebym udawał niemowę?

Nicci spojrzała nań z ukosa.

- Dla ludzi będziesz moim mężem - odparła bez chwili wahania. - Oczekuję, że podtrzymasz tę wersję w każdych okolicznościach. Od teraz jesteś moim mężem. A ja twoją żoną.

Richard zacisnął dłonie trzymające wodze.

- Mam żonę. Ty nią nie jesteś. Nie mam zamiaru udawać, że to ty.

Nicci, kołysząca się lekko w siodle, zdawała się obojętna na jego słowa i kryjące się za nimi uczucia. Spojrzała ku ciemniejącemu już niebu.

Na nizinach było za ciepło na śnieg. Ale przez nieliczne szczeliny w chmurach Richard dostrzegał smagane wichrem górskie stoki otulone grubym białym płaszczem. Kahlan jest w chacie ciepło, sucho i bezpiecznie.

- Czy znajdziemy któreś z tych dających schronienie drzew? - spytała Nicci. - Gdzie byłoby sucho, jak minionej nocy? Ogromnie bym chciała się osuszyć i ogrzać.

Richard - poprzez luki pomiędzy sosnami, przez plataninę nagich gałęzi olch i jesionów - przyjrzał się opadającemu przed nimi stokowi.

- Tak.

- Znakomicie. Musimy porozmawiać.

## ROZDZIAŁ 25

Richard zsiadł z konia w pobliżu jednego z dających schronienie drzew, na skraju niewielkiej, pochyłej trawiastej polanki. Nicci wzięła wodze jego ogiera. Kiedy wiązała oba konie do grubych gałęzi olchy gęsto oblepionych kotkami, czuła na plecach rozeźlone spojrzenie chłopaka. Zwierzęta były głodne i od razu zaczęły skubać wilgotną trawę. Richard bez słowa zaczął zbierać suche drewno pod gęstymi kępami świerków; Siostra przypuszczała, że mogło tam być trochę mniej wilgoci. Obserwowała go - nie otwarcie, lecz ukradkiem, spod oka - kiedy pracował. Był dokładnie taki, jakim go zapamiętała, choć się też zmienił. Był nie tylko wysoki, ale i odznaczał się władczą, imponującą postawą: był o wiele bardziej dojrzały niż wówczas, kiedy go ostatni raz widziała. Przedtem miała niekiedy ochotę myśleć o nim jak o chłopcu. Teraz już nie.

Teraz był niczym wspaniały, nieokiełznany, piękny ogier schwytyany i zamknięty za ogrodzeniem, które sam zbudował. Nicci trzymała się na odległość i pozwalała, by wierzgał i bił kopytami w ogrodzenie. Nic by jej nie przyszło z naigrawania się z tego dzikiego stworzenia. Szydzenie i zadawanie bólu udręczonemu było ostatnią rzeczą, którą chciałyby zrobić.

Pojmowała jego zapiekły gniew. Należało się tego spodziewać. Wyraźnie widziała wzajemne uczucia Richarda i Matki Spowiedniczki. To właśnie miłość do Kahlan więziła Richarda. Chociaż Nicci współczuła jego cierpieniom, wiedziała, że właśnie ona jedna w żaden sposób nie może przynieść mu ulgi. Trzeba będzie czasu, by jego udręka przeminęła. Potem nowe ograniczenia zastąpią już istniejące.

Pewnego dnia pogodzi się z tym, co nieuniknione. Pewnego dnia zrozumie prawdziwą istotę rzeczy, którą starała się mu ukazać. Pewnego dnia pojmie, że musiała tak postąpić. Że to wszystko było dla jego dobra.

Nicci usiadła na leżącej na skraju polanki płycie szarego granitu; pęknięcia na jej bocznej płaszczyźnie świadczyły, że kiedyś stanowiła część skalnego występu sterczącego spod ciemnej zieleni sosen i świerków - ale z czasem siły natury oddzieliły płytę i tylko pasujące do siebie załamania obu krawędzi dowodziły, że niegdyś tworzyły jedność.

Nicci siedziała prosto i patrzyła, jak Richard rozkulbacza konie. Pozwolił

im zjeść trochę owsa z worków, a sam w tym czasie zbierał kamienie z polanki. Początkowo nie wiedziała, po co to robi. Jednak kiedy wniósł je wraz z chrustem pod konary sosny-strażniczki, zrozumiała, że zamierza nimi otoczyć miejsce pod ognisko. Długo był w owym schronieniu, więc uznała, że stara się rozpalić ogień z wilgotnego drewna. Mogłaby posłużyć się swoim darem i pomóc mu, gdyby zostało jej tyle mocy, by zdołała zapalić wilgotne drewno. Jednak nie zostało.

Ale Richard na pewno sobie z tym poradzi; poprzedniego wieczoru widziała, jak rozpala ogień, mając do dyspozycji korę brzozy, gałązki i strużyny. Nicci nigdy nie była biegła w takich pozadomowych czynnościach. Zdała się na Richarda i zaczęła naprawiać popręg swojego siodła. Na razie deszcz ustał, zostawiając delikatną mgiełkę na jej policzkach. Przywiązywała luźne paski plecionego rzemienia do sprzączki; usłyszała ciche potraskiwania dochodzące spod dachu z gałęzi. Chłopak rozpalił ogień. Kociołek stuknął o kamienie, więc pomyślała, że nastawił wodę, żeby się zagotowała, gdy ogień na dobre zapłonie. Kiedy Richard wyszedł, żeby się zająć końmi, Nicci siedziała na granitowej płycie i spokojnie rozplątywała rzemień. Zdjął koniom worki z owsem, te zaś napiły się wody z zagłębienia w gładkiej brązowej skale. Chociaż Richard był ubrany w ciemny strój odpowiedni do chodzenia po lesie, w niczym nie umniejszało to jego prezencji. Szare oczy spojrzały przelotnie na Nicci, zarejestrowały, czym się zajmuje. Zostawił ją przy tym rozplątywaniu i zaczął czesać wierzchowce. Duże dłonie poruszały się pewnie i sprawnie. Nicci była przekonana, iż konie docenią, że oczyści im nogi z zaschniętego błota. Ona na ich miejscu na pewno byłaby z tego zadowolona.

- Mówiłaś, że musimy porozmawiać - odezwał się w końcu Richard, wyczesując zgrzebłem ostatnie plamki błota z zadu klaczy. - Domyślam się, że rozmowa będzie polegać na przekazaniu mi warunków mojej niewoli. Zakładam, że masz dokładne przepisy dla swoich więźniów.

Lodowaty ton głosu sprawiał wrażenie, że postanowił ją trochę sprowokować, zbadać jej reakcje. Nicci odłożyła rzemień popręgu. Na wyzywający ton odpowiedziała niekłamaną zyczliwością.

- Fakt, że coś ci się już przedtem przytrafiło, Richardzie, wcale nie oznacza, że to samo się powtórzy. Los nie zsyla raz za razem takich samych zdarzeń. Każde jest inne. Teraz jest inaczej niż w obu poprzednich

wypadkach.

Zaskoczyła go ta odpowiedź i współczucie we wzroku Nicci. Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem przykucnął, schował zgrzebło do sakwy i wyciągnął dłutko.

- W obu poprzednich wypadkach? - Nie mógł nie wiedzieć, o czym mówiła; z obojętną miną, nie zdradzającą, o czym myśli, uniósł prawą przednią nogę ogiera i zaczął czyścić kopyto. - Nie wiem, o czym mówisz.

Sondował kopyto i czyścił je, a Nicci wiedziała, że ją też stara się wysondować, że chce się dowiedzieć, ile wie o obu tych wypadkach i co według niej tym razem jest inne. Na pewno chciał wiedzieć, jak zamierza uniknąć błędów popełnionych przez tamtych porywaczy. Każdy wojownik chciałby to wiedzieć.

Jeszcze nie był gotowy na przyjęcie do wiadomości, że tym razem jest całkiem inaczej.

Richard czyścił kopyta wielkiego czarnego ogiera; zakończył na lewej przedniej nodze, bliżej Nicci. Kiedy opuścił końską nogę, Siostra wstała. Gdy się odwrócił, była na tyle blisko, żeby czuć na policzku ciepło jego oddechu. Wbił w nią gniewny wzrok, który nie niepokoił jej już tak jak na początku. Już się nie cofnęła, ale wpatrzyła w te przenikliwe oczy i zdumiewała tym, że go pojmowała. W końcu był przy niej. Było to dla niej równie cudowne, jak gdyby się jej udało uwięzić księżyc i gwiazdy.

- Jesteś więźniem - oznajmiła Nicci. - Twój gniew i oburzenie są zupełnie zrozumiałe. Nigdy nie oczekiwałam, że będziesz z tego zadowolony, Richardzie. Ale to nie to samo, co w obu poprzednich wypadkach. - Delikatnie złapała go za gardło; zdumiało go to, ale czuł, że nic mu nie zagraża. - Przedtem - wyjaśniła pocieszająco - miałeś na szyi obrozę. Dwa razy.

- Byłaś w Pałacu Proroków, kiedy mnie tam przyprowadzono. - Poczowała, jak przetyka ślinę. - Ale wcześniej...

Puściła gardło Richarda.

- Nie skorzystam z obroży, jak uczyniły to Siostry Światła, żeby cię kontrolować, skłamać bólem do posłuszeństwa lub poddawać ich śmiesznym próbom. Mam zupełnie inne plany. - Naciągnęła pelerynę na ramiona i uśmiechnęła się leciutko. - Pamiętasz, jak się zjawiłeś w Pałacu Proroków? Pamiętasz, co wtedy powiedziałeś?

- Niezbyt - odparł ostrożnie.

- A ja tak. - Wciąż była zapatrzona we wspomnienia. - Wtedy cię po raz pierwszy ujrzałam. Pamiętam każde twoje słowo.

Richard milczał, ale spojrzenie zdradziło jej, jak intensywnie rozmyśla.

- Byłeś rozgniewany, podobnie jak teraz. Uniosłeś czerwony skórzany pręt zawieszony na twojej szyi. Przypominasz sobie, Richardzie?

- Chyba tak. - Gniewne, podejrzliwe spojrzenie złagodniało. - Tyle się wydarzyło od tamtej pory. Wyrzuciłem to z pamięci.

- Powiedziałeś, że już raz miałeś na szyi obrozę. Że osoba, która ci ją założyła, zadawała ci ból, żeby cię ukarać, żeby cię tresować.

Zesztywniał, nagle ostrożny.

- I co z tego?

Znowu spojrzała w szare oczy, które obserwowały każde jej mrugnięcie, każdy oddech; szacował każde jej słowo. Wiedziała, że to wszystko jest analizowane, że służy ocenieniu tego, jak wysoki jest płot i czy zdoła go przeskoczyć. Nie zdoła.

- Zawsze o tym rozmyślałam - podjęła. - O tym, że już raz miałeś obrozę. Kilka miesięcy temu pojaliśmy kobietę w czerwonym skórzonym uniformie. Mord-Sith.

Odrobinę zbladł.

- Powiedziała, że poszukuje lorda Rahla, żeby go chronić. Nakłoniłam ją, żeby mi powiedziała wszystko, co wie o tobie.

- Nie jestem z D'Hary. - Głos brzmiał pewnie, ale Nicci wyczuła w nim skrywany lęk. - Mord-Sith nic by o mnie nie wiedziała.

Nicci sięgnęła pod pelerynę po rzecz, którą z sobą zabrała. Pozwoliła, żeby niewielki czerwony skórzany pręt wyśliznął się jej z palców i upadł na ziemię u stóp Richarda. Chłopak zesztywniał.

- Och, wiedziała, Richardzie. Sporo wiedziała. - Uśmiechnęła się, nie z zadowolenia ani drwiąco, lecz ze smutkiem, na wspomnienie dzielnej kobiety. - Znała Denne. Była w Pałacu Ludu w D'Harze, kiedy Denna cię tam przywiozła. Wszystko o tym wiedziała.

Richard odwrócił wzrok. Przyklęknął na kolano i ze czcią podniósł z ziemi czerwony skórzany pręt. Otarł go do czysta o nogawkę, jakby to było coś bezcennego.

- Mord-Sith nic by ci nie powiedziała. - Spojrzał jej hardo w oczy. - Mord-

Sith to wytwór tortur. Powiedziałyby tylko tyle, żebyś uwierzyła, że współpracuje. Opowiedziałyby ci zgrabną bajeczkę, żeby cię zwieść. Umarłaby, a nie powiedziała słowa, które przyniosłoby szkodę jej lordowi Rahlowi.

Nicci smukłym palcem zdjęła z półeczki pasmo mokrych jasnych włosów.

- Nie doceniasz mnie, Richardzie. To była bardzo dzielna kobieta. Ogromnie było mi jej żal, ale musiałam się dowiedzieć wielu rzeczy. Powiedziała wszystko. Powiedziała mi wszystko, co chciałam wiedzieć.

Nicci widziała, jak narasta w nim gniew, jak rozplomienia mu policzki. Nie do tego dążyła, nie tego chciała. Mówiła mu prawdę, ale on to odrzucał i próbował zastąpić własnymi fałszywymi założeniami. Po chwili spojrzenie Richarda zdradziło, że ta prawda do niego dotarła. Gniew opornie ustąpił, jego miejsce zajęły smutek i współczucie dla tamtej kobiety. Nicci właśnie tego po nim oczekiwała.

- Denna była najwyraźniej bardzo uzdolnioną dręczycielką... - wyszeptała Siostra Mroku.

- Ani nie chcę twojego współczucia, ani go nie potrzebuję.

- Ale ja ci naprawdę współczuję, Richardzie. Współczuję ci tego, do czego cię zmusiła tylko po to, żeby zadawać ci ból. To najgorszy rodzaj bólu, nieprawdaż? Ból daremny, próżny. Bezcelowość jedynie wzmacnia udramę. I to właśnie wycierpiałeś. - Nicci wskazała czerwony pręt, który zaciskał w dłoni.  
- Ta kobieta nie musiała znosić takiego bólu. Chcę, żebyś to wiedział.

Zacisnął wargi, nie dowierzając jej, odwrócił wzrok od oczu Nicci i zapatrzył się w gęstniejący mrok.

- Zabiłeś ją, tę Mord-Sith o imieniu Denna, ale dopiero wtedy, kiedy uczyniła ci nieopisane okropieństwa.

- Zabiłem. - Głos i postawa Richarda wyrażały groźbę.

- Groziłeś Siostrze światła, bo i one założyły ci obrożę. Powiedziałeś im, że nie są na tyle dobre, by mogły choć lizać buty tamtej, Denny, i rzeczywiście nie były. Mówiłeś, że wydaje się im, że trzymają cię na smyczy, ale obiecałeś, że przekonają się, że wzięły na smycz błyskawicę. Nie sądzi ani przez chwilę, że nie rozumiem twych odczuć wobec tego faktu czy twojej stanowczości. - Nicci wyciągnęła rękę i poklepała centralny punkt torsu Richarda. - Ale tym razem, Richardzie, masz obrożę na sercu i to Kahlan ucierpi, jeśli popełnisz błąd.



Zacisnął dłonie.

- Kahlan wolałaby umrzeć, niż pozwolić, żebym z jej powodu był niewolnikiem. Błagała, żebym poświęcił jej życie za moją wolność. Być może nadejdzie dzień, kiedy będę musiał zadośćuczynić jej prośbie.

Te groźby jedynie nużyły i męczyły Nicci. Ludzie tak często uciekali się do gróźb pod jej adresem.

- Wszystko zależy wyłącznie od ciebie, Richardzie. Ale ogromnie się mylisz, sądząc, że o to dbam.

Już nie pamiętała, ile to razy Jagang groził, że ją zabije, ile razy zaciskał łapy na jej gardle i dusił ją, pobiwszy najpierw do nieprzytomności. Kadar Kardeef bywał równie brutalny. Już nie potrafiła zliczyć, ile razy spodziewała się, że umrze, począwszy od owego dnia, kiedy tamten mężczyzna wciągnął ją, jeszcze dziecko, do zaułka, żeby ją ograbić.

Jednak nie byli to jedyni, którzy obiecywali jej udrękę.

- Nie mogę ci powtórzyć obietnic, jakie składał mi w snach Opiekun zaświatów, obietnic wiecznej męki. Takie moje przeznaczenie. Nie łudź się więc, Richardzie, że mnie wystraszysz swoimi pogrózkami. Okrutniejsi i bardziej bezlitośni od ciebie grozili mi tym, co mnie czeka. Już dawno pogodziłam się ze swoim przeznaczeniem i przestałam się tym przejmować.

- Opuściła bezwładnie ramiona. Niczego nie odczuwała. Myśli o Jagangu, o Opiekunie przypomniały jej, że jej życie nie miało sensu. Jedynie to, co dostrzegą w oczach Richarda, podpowiadało jej, że mogło być coś jeszcze, co powinna odkryć i zrozumieć.

- Czegóż więc chcesz? - spytał Richard.

Nicci wróciła myślami do teraźniejszości.

- Już ci powiedziałam. Od teraz jesteś moim mężem. I tak ma być, jeśli chcesz, żeby Kahlan żyła. Powiedziałam ci prawdę o wszystkim. Jeżeli pójdziesz ze mną i spełnisz moje prośby, Kahlan będzie długo żyć. Nie twierdę, rzecz jasna, że będzie szczęśliwa, bo wiem, że cię kocha.

- Jak długo zdołasz mnie zatrzymać, Nicci, co? - Zirytowany Richard przeczesał palcami mokre włosy. - Nic z tego nie będzie. Ile czasu minie, zanim ci się znudzi ta absurdalna komedia?

Przymrużonymi oczami obserwowała bacznie tę jego całkowitą naiwność, a może i ignorancję.

- Mój drogi chłopcze, przyszedłam na ten żałosny świat przed stu

osiemdziesięciu jeden laty. Wiesz o tym. Sądzisz, że przez ten czas nie nauczyłam się cierpliwości? Może się wydawać, że nasze ciała są w jednym wieku, ale choć pod wieloma względami nie jestem starsza od ciebie, żyję prawie siedem razy dłużej niż ty. Naprawdę uważasz, że twoja cierpliwość przewyższa moją? Myślisz, że jestem głupią dziewczuszką, którą przetrzymasz lub przechytysz?

Opanował się.

- Nicci, ja...

- I nie próbuj się ze mną zaprzyjaźnić lub mnie sobie pozyskać. Nie jestem Denną, Verną, Warrenem czy Pashą. Nie zależy mi na przyjaciółkach.

Odwrócił się nieco i przesunął dłonią po łopatkę ogiera, bo koń prychnął i tupnął kopytem, czując zapach palącego się drewna płynący spod gałęzi sosny-strażniczki.

- Chcę wiedzieć, jakie okropieństwa uczyniłaś tej biednej kobiecie, żeby ci opowiedziała o Dennie.

- Mord-Sith opowiedziała mi to w zamian za przysługę.

Zachmurzył się z niedowierzaniem i znów na nią popatrzył.

- Jaką przysługę mogłaś oddać Mord-Sith?

- Podcięłam jej gardło.

Richard zamknął oczy i pochylił głowę, bolejąc nad dolą tej nieznannej kobiety, która dla niego umarła. Przycisnął jej Agiel do serca.

- I pewnie nie wiesz, jak się nazywała? - Gniew zniknął z jego głosu.

To właśnie jego empatia wobec innych, nawet wobec tych, których nie znał, czyniła zeń człowieka, którym był, i jednocześnie nakładała mu pęta. Może owa troska o innych pozwoli mu w końcu dostrzec wartość tego, co zrobiła Nicci. I on z własnej woli działałby wówczas dla słusznej sprawy Ładu.

- Wiem - odparła Nicci. - Hania.

- Hania. - Był zrozpaczony. - Nawet jej nie znałem.

- Richardzie. - Siostra ostrożnie uniosła jego twarz. - Chcę, żebyś wiedział, że jej nie torturowałam. Znalazłam ją już po wszystkim. I wcale mi się nie spodobało to, co zobaczyłam. Zabiłam żołnierza, który to uczynił. Hani nie można już było pomóc. Zaofiarowałam jej uwolnienie od męki, szybki koniec, jeżeli mi o tobie opowie. Nie prosiłam, żeby cię zdradziła, jak życzyłby sobie tego Ład. Pytałam jedynie o twoją przeszłość, o pierwsze

uwięzienie. Chciałam zrozumieć to, co powiedziałeś owego pierwszego dnia w Pałacu Proroków, to wszystko.

Ale to go nie uspokoiło, chociaż tego chciała.

- I wstrzymałaś ów szybki koniec, jak to nazwałaś, dopóki nie wyjawiała ci wszystkiego, co chciałaś wiedzieć. To czyni cię współwinną jej udręki.

Nicci odwróciła wzrok, przepełniona bólem i cierpieniem na wspomnienie owego krwawego czynu. Już od dawna pozwalało jej to odczuwać wyłącznie blade cienie emocji.

Tak wielu pragnęło uwolnienia od cierpień - tak wielu starych i chorych, takie mnóstwo zawodzących dzieci, tak wielu nędzarzy, zrozpaczonych i nieszczęśników. Ta kobieta była po prostu jedną z ofiar losu, pragnącą uwolnienia. Uczyniła to w najlepszej intencji.

Nicci wyparła się Stwórcy i zaprzysięgła swą duszę Opiekunowi zaświatów. Musiała. Jedynie ktoś tak zły jak ona mógł nie żywić żadnych uczuć, żadnego współczucia wobec tego cierpienia i rozpaczliwej potrzeby. To była ponura ironia - wiernie służyć potrzebującym w taki właśnie sposób.

- Być może ty tak na to patrzysz, Richardzie - powiedziała ochryple, zapatrzona w koszarne wspomnienia. - Ja nie. Hania też nie. Zanim podcięłam jej gardło, podziękowała mi za to, co miałam zrobić.

W oczach Richarda nie było miłosierdzia.

- A po co kazałaś jej opowiadać o mnie, o Dennie?

Nicci ciaśniej otuliła się peleryną.

- Czyż to nie oczywiste?

- Nie popełnisz tego samego błędu co Denna. Nie jesteś taką kobietą jak ona, Nicci.

Była zmęczona. Wiedziała, że pierwszej nocy nie spał. Czowała na plecach jego spojrzenie. Wiedziała, jak cierpiał. Odwrócona odeń, cicho opłakiwała tę nienawiść w jego spojrzeniu i fakt, że właśnie ona musiała zrobić to, co konieczne. Świat jest takim wstrętnym miejscem.

- Może kiedyś pouczysz mnie, Richardzie - powiedziała cicho - na czym polega różnica.

Była taka zmęczona. Minionej nocy, kiedy on poddał się znużeniu, odwrócił od niej i zasnął, z kolei ona w ogóle nie spała. Patrzyła, jak Richard śpi, i czuła magiczną więź z Matką Spowiedniczką. I empatię wobec niej.

Czyniła wszystko w jak najlepszej intencji.

- Na razie schowajmy się przed tą paskudną pogodą - powiedziała. - Zimno mi i jestem głodna. Przyda się nam też odpoczynek. I, jak już mówiłam, mamy sporo do omówienia.

Wiedziała, że nie może go okłamywać. Nie mogła mu, rzecz jasna, powiedzieć wszystkiego, ale nie kłamała w tym, co mu powiedziała.

Gra się rozpoczęła.

## ROZDZIAŁ 26

Richard przełamał kielbasę, którą mu podała Nicci, i wrzucił do garnka z gotującym się na wolnym ogniu ryżem. Wciąż huczało mu w głowie to, co usłyszał; starał się to sobie poukładać.

Nie miał pojęcia, w co może uwierzyć. Obawiał się, że to wszystko prawda. Wyglądało na to, że Nicci nie ma powodu go okłamywać - przynajmniej jeśli chodzi o to, co mu na razie powiedziała. Nie była taka... wrogo usposobiona, jak się spodziewał. Raczej wydawała się smutna i przygnębiona - może z powodu tego, co uczyniła, chociaż Richard wątpił, czy zdeklarowana Siostra Mroku miałyby wyrzuty sumienia. To pewnie była tylko jakaś osobliwa część jej czynu, sztuczka mająca służyć jej celom.

Zamieszał ryż okorowanym patykiem.

- Powiedziałaś, że musimy omówić pewne rzeczy. - Oczyszczył patyk o brzeg garnka. - Przypuszczam, że chcesz wydać jakieś polecenia.

Nicci zamrugła, jakby ją wyrwał z myśli o czymś innym. Wydawała się zupełnie nie na swoim miejscu pod sosną-strażniczką, kiedy tak siedziała wyprostowana w eleganckiej czarnej sukni. Richard nigdy przedtem nie wyobrażał jej sobie pod gołym niebem, a tym bardziej siedzącej na ziemi. Taki pomysł zawsze wydawał mu się niedorzeczny. Jej suknia stale kazała mu myśleć o Kahlan - nie tylko dlatego, że była całkowitym przeciwieństwem białej szaty Matki Spowiedniczki i przez to od razu przywodziła tamtą na myśl, ale i dlatego, że wyraźnie pamiętał Nicci połączoną z Kahlan owym straszliwym magicznym sznurem.

To wspomnienie wywoływało straszliwe cierpienie.

- Polecenia? - Nicci splotła dłonie na podolku i spojrzała w oczy Richarda. - A tak, mam kilka życzeń i chciałabym, żebyś się do nich zastosował. Po pierwsze, nie wolno ci korzystać z daru. W ogóle. W żaden sposób. Czy to jasne? Ponieważ, o ile sobie Przypominam, nie przepadasz za swoim darem, nie będzie to dla ciebie przykre i nie sprawi trudności, zwłaszcza że ktoś, kogo kochasz, nie przeżyłby takiej zdrady. Rozumiesz?

Zimne błękitne oczy wyraźniej przekazały groźbę aniżeli słowa. Richard krótko skinął głową, zobowiązując się do czegoś, czego w owej chwili nie był całkiem pewny.

Nałożył porcję parującej potrawy do płytkiej drewnianej miseczki i podał Nicci wraz z łyżką. Uśmiechnęła się w podzięcie. Postawił garnek na ziemi, pomiędzy nogami, i nabrał ryżu na łyżkę; chuchał, dopóki ryż nie ostygł na tyle, by można go było zjeść. Obserwował kątem oka, jak wytwornie je.

Twarz Nicci, perfekcyjnie piękna, była również niezwykle wyrazista. Stawała się chłodna i obojętna, kiedy Siostra była zmartwiona lub chciała zakomunikować gniew, groźbę czy niezadowolenie. Nie chmurzyła się, jak to czynią inni, kiedy odczuwają te emocje, ale przybierała wyraz chłodnej obojętności. Było to o wiele bardziej niepokojące. Stanowiło jej nieprzeniknioną osłonę.

Z drugiej zaś strony, kiedy była zadowolona lub wdzięczna, stawała się wyrazista i ożywiona. Co więcej, owo zadowolenie czy wdzięczność wydawały się szczerze. Zapamiętał ją jako pełną rezerwy, ale chociaż zachowała arystokratyczne maniery, jej powściągliwość ustąpiła miejsca naiwnemu zachwytowi każdą życzliwością czy nawet zwykłą kurtuazją.

Richard wciąż jeszcze miał chleb, który upiekła Cara. Żałował, że musi się nim dzielić z tą złą kobietą, ale byłaby to dziecinada. Oderwał kawałek chleba i podał Nicci. Przyjęła go z cziłą należną czemuś ważniejszemu niż chleb.

- Oczekuję również, że nie będziesz miał przede mną tajemnic - dodała po drugim kęsie. - Nie spodobałaby ci się moja reakcja, gdybym odkryła, że coś zatajasz. Mężowie i żony nie muszą niczego przed sobą ukrywać.

Richard też tak uważał, ale oni przecież nie byli małżeństwem. Przemilczał to jednak i odparł:

- Sporo wiesz o tym, jak postępują mężowie i żony.

Nie zareagowała na zaczepkę; wskazała kawałkiem chleba na miseczkę.

- To bardzo smaczne, Richardzie. Naprawdę bardzo smaczne.

- Czego chcesz, Nicci? Jaki jest cel tych absurdalnych roszczeń?

Odblask ognia tańczył na jej alabastrowej twarzy i nadawał włosom jaskrawą barwę, której wcale nie miały.

- Zabrałam cię, bo potrzebna mi odpowiedź, której, jak sądzę, możesz mi udzielić.

Richard złamał na kolanie twardą gałąź.

- Powiedziałaś, że mężowie i żony nie powinni mieć przed sobą tajemnic.

- Kawałkiem gałęzi zepchnął w jedno miejsce płonące drewno, potem położył

na wierzchu oba kawałki. - Czyżby to dotyczyło i żon?

- Oczywiście. - Opuściła dłoń trzymającą chleb, oparła nadgarstek na kolanie. - Będę wobec ciebie szczerą, Richardzie.

- Więc jak brzmi pytanie? Twierdzisz, że zabrałaś mnie z sobą, bo mogę udzielić potrzebnej ci odpowiedzi. Jak brzmi pytanie?

Siostra Mroku ponownie zapatrzyła się w dal i znów wyglądała jak ponury porywacz. Jakby ją prześladowały wspomnienia lub lęki. Było to bardziej niepokojące niż szyderstwa uzbrojonego strażnika przed prętami klatki.

Szmer deszczu zmienił się w głucho dudnienie. W samą porę rozbili obozowisko. Richard nie potrafił się powstrzymać od wspomnienia miłych chwil spędzonych z Kahlan pod sosną-strażniczką. Na myśl o Kahlan serce mu się ścisnęło.

- Nie wiem - odparła w końcu. - Naprawdę nie wiem, Richardzie. Szukam czegoś, ale będę wiedzieć czego dopiero wtedy, gdy to znajdę. Niemal całe moje sto osiemdziesiąt jeden lat nie wiedziałam, że to istnieje, i po raz pierwszy mignęło mi to nie tak dawno temu... - Znów patrzyła poprzez niego na coś, co znajdowało się gdzieś dalej; i jej głos również kierował się ku owemu odległemu miejscu. - Kiedy stałeś w obroży przed wszystkimi Siostrami i rzucałeś im wyzwania. Może znajdę odpowiedź, gdy zrozumieję, co widziałam tamtego dnia, w tamtej sali. To nie byłeś ty, ale stanowiłeś centrum tego czegoś... - Znów zogniskowała wzrok na twarzy Richarda. Mówiła ze spokojem i pewnością siebie. - Będziesz żyć aż do tej chwili. Nie mam zamiaru cię krzywdzić. Nie musisz się obawiać tortur. Nie jestem taka jak one, jak tamta kobieta, Denna, czy Siostry Światła wykorzystujące cię do swoich gier.

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie. Wykorzystujesz mnie do swoich celów zupełnie tak samo jak one.

Potrząsnęła głową.

- Chcę byś wiedział, Richardzie, że darzę cię ogromnym szacunkiem. Chyba jeszcze nikt nie darzył cię takim szacunkiem jak ja. To dlatego cię pojmąłem. Jesteś szczególną osobą, Richardzie.

- Jestem czarodziejem wojny. Na pewno żadnego innego nie spotkałaś.

Zbyła tę uwagę machnięciem ręki.

- Nie próbuj mi imponować swoją „mocą”. Nie jestem w nastroju na takie

głupstwa.

Richard wiedział, że nie była to czcza przechwałka. Nicci była czarodziejką obdarzoną nadzwyczajnymi zdolnościami. Wątpił, czy zdołałby ją pokonać w magicznym dziele.

A przecież nie postępowała tak, jak tego oczekiwał po Siostrze Mroku. Odłożył na razie na bok gniew, urazę i smutek, wiedząc, że musi stawić czoło temu, co jest, a nie łudzić się nadziejami. Odezwał się do Nicci równie spokojnie i łagodnie, jak ona przemawiała do niego.

- Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz, Nicci.

Wzruszyła ramionami, zdradzając tym swoją frustrację.

- Ja też nie. A dopóki nie zrozumie, będziesz robić, o co poproszę, i wszystko będzie dobrze. Nie skrzywdzę cię.

- Naprawdę uważasz, że biorąc pod uwagę okoliczności, uwierzę twojemu słowu?

- Nie okłamuję cię, Richardzie. Gdybyś skrzył kostkę, to jak przystało dobrej żonie, podparłabym cię, żebyś mógł iść. Od tej chwili jestem oddana tobie, a ty mi.

Było to czyste szaleństwo. Był bliski myśli, że jest szalona. Bliski. Ale wiedział, że to byłoby zbyt proste wyjaśnienie. A, jak stale powtarzał Zedd, nic nigdy nie jest łatwe i proste.

- A jeżeli nie zechcę spełniać twoich życzeń?

Znów wzruszyła ramionami.

- To Kahlan umrze.

- Rozumiem, ale jeśli ona umrze, stracisz tę obrozę wokół mojego serca.

Wbiła w niego chłodne błękitne oczy.

- I?

- I nie zdobędziesz tego, czego ode mnie chcesz. Bo nie będziesz miała nade mną władzy.

- I teraz nie mam tego, na czym mi zależy, więc niczego nie stracę. A poza tym, jeśli istotnie tak postąpisz, imperator Jagang z radością przyjmie w darze twoją głowę. I obsypie mnie podarkami i bogactwami.

Richard nie sądził, żeby Nicci istotnie chciała być obsypywana podarkami i bogactwami. W końcu była Siostrą Mroku, więc już by się tak działo, gdyby naprawdę tego chciała. Ale i tak jego głowa byłaby cennym darem i mogłaby w zamian coś zyskać, gdyby się okazał krnąbrny. Mogła nie



dbać o prezenty i bogactwa, ale na pewno zależało jej na władzy. Był przekonany, że sporo by jej zyskała, gdyby zabiła wroga Imperialnego Ładu.

Chłopak nachylił się nad stojącym na ziemi garnkiem, powrócił do kolacji i czarnych myśli. Rozmowa z nią była bezcelowa. Tylko kręcili się w kółko.

- Richardzie - odezwała się spokojnie i zaczęła, aż spojrzy jej w oczy - myślisz, że robię to, by cię skrzywdzić lub pokrzyżować ci plany, bo jesteś wrogiem Ładu. Wcale nie. Podałam ci prawdziwe powody.

- To pozwolisz mi odejść, kiedy już w końcu znajdziesz odpowiedź na swoje pytanie? W podzięce za „pomoc”? - Było to nie tyle pytanie, ile kategoryczne stwierdzenie.

- Odejść? - Wpatrywała się w miseczkę ryżu z kiełbaską i mieszała w niej, jakby chciała wypatrzeć jakiś sekret. - Nie, Richardzie. Wtedy cię zabiję.

- Rozumiem. - Nie pojmował co prawda, jak go to mogło zachęcić do zgodnego współdziałania, ale zmilczał. - A Kahlan? Kiedy mnie już zabijesz, rzecz jasna.

- Daję ci słowo, że jeżeli postanowię cię zabić, ona będzie żyć tak długo jak ja. Nie życzę jej niczego złego.

Postarał się w tym znaleźć pociechę. Z jakiegoś powodu wierzył Nicci. Świadomość, że Kahlan nic się nie stanie, dodała mu odwagi. Wytrzyma wszystko, co go czeka, byle ona była bezpieczna. Gotów był za to zapłacić żadaną cenę.

- No, to dokąd idziemy, „żono”? Dokąd mnie zabierasz?

Nicci nie spojrzała na niego, nabrała na chleb trochę potrawy. Jadła i dumiała nad tym pytaniem.

- Z kim walczysz, Richardzie? Kto jest twoim wrogiem. - Odgryzła kolejny mały kęs chleba.

- Jagang. Jagang i jego Imperialny Ład.

Nicci potrząsnęła głową jak poprawiająca go nauczycielka.

- Nie. Mylisz się. Sądzę, że i ty potrzebujesz odpowiedzi.

Gierki. Kpiła sobie z niego. Richard zacisnął zęby, ale utrzymał nerwy na wodzy.

- Więc kto, Nicci? Z kim lub z czym walczę, jeżeli nie z Jagangiem?

- Właśnie to chcę ci ukazać. - Obserwowała wyraz jego oczu w sposób, który zirytował chłopaka. - Zamierzam zabrać cię do Starego Świata, w samo

serce Ładu, żeby pokazać ci, z czym walczysz. Żeby pokazać ci prawdziwą naturę tego, co uważasz za swojego wroga.

- Dlaczego? - nachmurzył się.

- Powiedzmy, że to mnie bawi. - Nicci uśmiechnęła się.

- Mówisz, że wracamy do Tanimury? Tam, gdzie przez ten cały czas żyłaś jako Siostra?

- Nie. Jedziemy w samo serce Starego Świata, do Altur'Rang. W ojczyste strony Jaganga. Ta nazwa oznacza „wybrańcy Stwórcy”.

Richardem wstrząsnął zimny dreszcz.

- Chcesz zabrać mnie, Richarda Rahla, w samo serce wrogiego terytorium? Bardzo wątpię, czy długo tam pożyjemy jako „mąż i żona”.

- Nie tylko nie będziesz się posługiwać magią, ale i związanym z nią nazwiskiem „Rahl”. Wrócisz do nazwiska, które nosiłeś, gdy dorastałeś: „Cypher”. Bez magii i nazwiska ludzie uznają cię za skromnego człowieka, który mieszka z żoną. I taki właśnie będziesz. Oboje tacy będziemy.

Richard westchnął.

- Cóż, jeżeli wróg się dowie, że jestem kimś więcej, to, jak przypuszczam, Siostra Mroku... użyje swojej mocy.

- Nie, nie użyję.

Podniósł na nią wzrok.

- To znaczy?

- Nie mogę korzystać ze swojej mocy.

Poczuł gęsią skórkę.

- Co takiego?!

- Cała moc jest pochłaniana przez ową więź z Kahlan, wykorzystywana do utrzymywania jej przy życiu. Tak właśnie działa czar macierzyńskiego zespolenia. Trzeba wielkich zasobów mocy, żeby rzucić tak skomplikowany czar i utrzymać go. Cała moc jest potrzebna do podtrzymywania zespolenia. Nie mogę uszczknąć ni odrobiny. Pewnie nawet nie zdołałabym skrzesać iskierki. Jeśli wpadniemy w tarapaty, to ty będziesz musiał nas z nich wyciągać. Rzecz jasna, mogę w każdej chwili skorzystać z moich talentów czarodziejki, ale wówczas musiałabym zaczerpnąć mocy z łączącego mnie i Kahlan zespolenia. Jeśli to zrobię... ona umrze.

Richarda ogarnęło przerażenie.

- A jeśli ty przypadkowo...

- Na pewno nie. Kahlan będzie całkiem bezpieczna, dopóki będziesz się o mnie troszczyć. Gdybym jednak spadła z konia i skręciła kark, to pęknie i jej kark. Dopóki troszczysz się o mnie, troszczysz się i o nią. To dlatego jest takie ważne, byśmy żyli jak mąż i żona, żebyś był pod ręką i żeby ja mogła być twoją doradczynią i pomagać ci. Ciężko nam będzie żyć jak każdemu zwykłemu małżeństwu, bez korzystania z magicznej mocy. Uważam jednak, że to konieczne, jeżeli mam uzyskać od ciebie to, czego chcę. Rozumiesz?

- Tak - odparł, chociaż wcale nie był o tym przekonany. Ogarnęło go paralizujące przerażenie. Nigdy nie uwierzyłby, że ta kobieta z własnej woli poświęci swoją moc, żeby zdobyć jakąś nieokreśloną wiedzę. Sama myśl o tym przepełniała go lodowatym lękiem.

Richard nie mógł się w tym doszukać sensu. Na oślepek szukał jakiegoś punktu zaczepienia w popadającym w szaleństwo świecie; nagle usłyszał, jak mówi:

- Jestem już żonaty. Nie będę spać z tobą jak mąż.

Nicci zamrugwała w osłupieniu, potem cicho zachichotała i osłoniła usta dłonią, nie z nieśmiałości, ale z powodu jego arogancji. Richard poczuł, jak go palą uszy.

- Nie tego od ciebie chcę, Richardzie.

Odchrząknął.

- To dobrze.

W spokojnym schronieniu sosny-strażniczki cicho potrzaskiwały żarzące się drwa, na zewnątrz szemrał deszcz. Skupiona, stanowcza mina Nicci stała się bardzo chłodna i obojętna.

- Ale jeżeli zadecyduję inaczej, Richardzie, to i temu będziesz się musiał podporządkować.

Nicci była piękną kobietą, taką jak ona chętnie widziałby w swoim łóżku niemal każdy mężczyzna. Ale nie to sprawiło, że jej uwierzył. Sprawił to wyraz jej oczu. Ewentualna możliwość aktu miłosnego nigdy nie wydawała się tak występna.

Głos Nicci nie brzmiał już tak jak przy zwyczajnej rozmowie. Stał się monotony, bez życia, nieludzki i wydał wyrok na życie Richarda. Wyrok, który on sam wprowadzi w czyn, bo inaczej Kahlan umrze.

- Będziesz postępował jak mój mąż. Będziesz nas utrzymywał, jak przystało na męża. Będziesz dbał o mnie, a ja o ciebie w życiowych

sprawach. Będę cerować twoje koszule, gotować posiłki i prać twoje ubrania. A ty będziesz zarabiać na życie.

Twarde, ciężkie słowa Nicci uderzały w Richarda rozmyślnie, miarowo, jak razy wymierzane żelazną sztabą.

- Już nigdy nie zobaczysz Kahlan, musisz to zrozumieć. Ale dopóki będziesz spełniał moje życzenia, będziesz wiedział, że ona żyje. W ten właśnie sposób będziesz mógł okazywać jej swoją miłość. Każdego ranka, kiedy się obudzi, pojmie, że utrzymujesz ją przy życiu. Tylko tak będziesz jej mógł okazać swoją miłość.

Zrobiło mu się niedobrze. Zapatrzył się we wspomnienia innego czasu i innego miejsca.

- A jeśli postanowię to wszystko zakończyć? - Było to tak obłądne, druzgoczące, że naprawdę rozważał taką możliwość. - Jeśli będę wołał położyć temu kres, niż żyć jako twój niewolnik?

- Być może wówczas okaże się, że takiej właśnie odpowiedzi szukałam. Może ów bezsensowny kres okaże się tym, czego się muszę dowiedzieć. - Zetknęła dwa pierwsze palce dłoni, markując przecięcie magicznej pępowiny łączącej ją z Kahlan. - Ostatni fatalny spazm nieodwołalnie potwierdzający bezsensowność istnienia.

Richard doznał olśnienia: tej kobiety nie można zastraszyć, bo była istotą - zaczynał to wreszcie rozumieć - z zadowoleniem witającą każde okropieństwo.

- Ze wszystkich rzeczy na tym świecie - wyszeptał w ponurym cierpieniu, bardziej do siebie i do Kahlan niż do swojej nieprzejejdanej strażniczki - tylko jedna jest dla mnie niezastąpiona: Kahlan. Skoro muszę zostać niewolnikiem, żeby Kahlan żyła, to zostanę nim.

Richard zdał sobie sprawę, że Nicci w milczeniu obserwuje jego twarz. Przelotnie spojrzął jej w oczy, a potem odwrócił wzrok, nie mogąc znieść okrutnej ciekawości pięknych błękitnych oczu, kiedy przywołał wspomnienie miłości do Kahlan.

- Wszystko, coś z nią dzielił, Richardzie, każda radość, szczęście i rozkosz, będą zawsze twoje. - Miało się wrażenie, że Nicci zagląda do jego wnętrza i odczytuje zapisane przeszłością stronicie pamięci. - Zachowaj w sercu te wspomnienia. Będą musiały cię podtrzymywać na duchu. Ani ty jej już nigdy nie zobaczysz, ani ona ciebie. To zamknięty rozdział twojego życia.

Oboje rozpoczęliście teraz nowe życie. Powinieneś się do tego przyzwyczajać, bo taka jest rzeczywistość.

Realność tego, co istnieje. Nie taki świat, jakiego on by sobie życzył. Sam powiedział Kahlan, że muszą postępować zgodnie z rzeczywistością i nie marnować cennego życia na pragnienie urzeczywistnienia tego, co się nie może spełnić.

Richard potarł czoło palcami, starał się panować nad głosem.

- Mam nadzieję, że nie oczekujesz, że nauczę się znajdować upodobanie w twoim towarzystwie.

- To ja oczekuję, że się czegoś nauczę, Richardzie.

Chłopak zacisnął pięści, skoczył na równe nogi.

- A po cóż ci ta wiedza?! - zapytał z palącą goryczą. - Dlaczego to dla ciebie takie ważne?!

- Jako kara.

Zapatrzył się na nią, osłupiały ze zdumienia.

- Co takiego???

- Chcę cierpieć, Richardzie. - Uśmiechnęła się słabo.

Klapnął na ziemię.

- Dlaczego? - wyszeptał.

Nicci złożyła dłonie na podołku.

- Bo tylko ból, Richardzie, może dotrzeć do tej lodowatej martwej rzeczy w moim wnętrzu, która stanowi moje życie. Żyję wyłącznie dla cierpienia.

Patrzył na nią w odrętwieniu. Pomyślał o swojej wizji. Nie mógł powstrzymać pochodu Imperialnego Ładu, nie potrafił odmienić losu zgotowanego mu przez tę kobietę.

Gdyby nie Kahlan, w jednej chwili rzuciłby się do walki z Nicci, walki, która raz na zawsze by to wszystko rozstrzygnęła. Z własnej woli naraziłby się na śmierć, walcząc z tą okrutną, szaloną kobietą. Ale rozum go przed tym powstrzymał.

Musiał żyć, żeby i Kahlan żyła. Dlatego i wyłącznie dlatego musiał krok za krokiem ruszyć w zapomnienie.

## ROZDZIAŁ 27

Kahlan ziewnęła i przetarła oczy. Zmrużyła oczy, wygięła plecy i rozciągnęła obolałe mięśnie. Z omoczonych snem zakamarków umysłu wypełzły okropne, budzące rozpacz wspomnienia i żadna inna myśl długo się przy nich nie uchowa.

Skończył się już dla niej czas bezlitosnego cierpienia i płaczu; teraz władał nią nieokiełznany gniew.

Palce dziewczyny dotknęły chłodnej stalowej pochwy leżącego obok niej miecza. W magicznym orężu wrzał lodowaty gniew. Miecz, statuetka „Potęgi ducha” i wspomnienia - to tylko zostało jej po Richardzie.

Nie było dużo drewna na opał, ale skoro i tak miały go aż tyle nie potrzebować, Kahlan dołożyła do ognia. Przykucnęła, wyciągnęła dłonie ku słabym płomieniom, żeby odzyskać czucie w zdrętwiałych palcach. Wiatr się zmienił. Gryzący dym uderzył ją w twarz, zakaszłała. Dym uniósł się w górę, pod skalny nawis osłaniający ich schronienie, i wypłynął na zewnątrz.

Cary nie było, więc Kahlan znów ustawiła na ogniu mały kociołek z wodą, żeby była na herbatę, gdy Mord-Sith wróci. Cara pewnie poszła do ich prowizorycznej wygodki. A może sprawdzała pułapki, które zastawiły wieczorem. Kahlan raczej nie miała nadziei, że złapie się w nie jakiś królik na śniadanie. Nie przy takiej pogodzie. I tak na wszelki wypadek zabrały z sobą sporo zapasów.

Przez szczeliny w chmurach przenikał purpurowy blask chłodnego rzeńskiego świtu, wsączał się w luki pomiędzy ośnieżonymi drzewami i wpadał pod skalny nawis, różowiąc ich tymczasowe schronienie. Bezskutecznie starały się odnaleźć sosnę-strażniczkę. Zasłona z drzew oraz niska ścianka z gałęzi, które obie nacięły i ustawiły wieczorem, osłaniały ich zaciszne obozowisko. Dzięki tym zabiegom było zupełnie wygodne. Miały szczęście, że je znalazły w gęstej śnieżycy. Na zewnątrz śnieg był dość głęboki, ale tu spędziły noc w miejscu względnie suchym, chociaż chłodnym. Kahlan i Cara umościły się razem pod kocami i grubymi pelerynami z wilczych futer.

Kahlan zastanawiała się, gdzie jest Richard, czy i on marznie. Miała nadzieję, że nie. Skoro wyruszył kilka dni wcześniej, to może miał szczęście i

zszedł na niziny przed śniegiem.

Ona i Cara zostały w chacie trzy dni, jak o to prosił. Śnieg zaczął padać następnego ranka po jego odejściu. Kahlan miała ochotę zaczekać na zmianę pogody, ale przecież dostała od Siostry Nicci gorzką nauczkę: nie czekaj, działaj. Kiedy Richard nie wrócił, natychmiast wyruszyły w drogę.

Na początku było ciężko. Przedzierały się przez zasy, czasem prowadząc konie, innym razem dosiadając ich. Nie widziały na zbyt dużą odległość i większość czasu musiały uważać, żeby zachodni wiatr wiał po ich prawej stronie; była to jedyna wskazówka co do kierunku. Niebezpiecznie było w takich warunkach wędrować góorskimi szlakami. Od czasu do czasu obawiały się, że popełniły okropny błąd, opuszczając bezpieczną chatę.

Wieczorem, nim zupełnie zapadł zmrok, kiedy zbierały gałęzie do swojego schronienia, dostrzegły przez rozdarcie w chmurach położone niżej wzgórza: były zielone i brązowe, nie białe. Wkrótce znajdą się za linią śniegu. Kahlan była przekonana, że najgorsze mają już za sobą.

Wepchnęła rękę w rękaw koszuli, dokładając trzecią na te dwie, które już włożyła; usłyszała skrzypienie śniegu pod stopami. Uświadomiła sobie, że nadchodzi więcej osób, i szybko wstała.

Przez gałęzie drzew osłaniających schronienie przepchnęła się Cara.

- Mamy towarzystwo - oznajmiła ponuro.

Kahlan dostrzegła, że Mord-Sith zaciska w pięści Agiel.

Po śladach Cary nadeszła grubo opatulona przysadzista kobieta. Pod warstwami peleryn, szali i innych grubych tkanin Kahlan ze zdumieniem rozpoznała Ann, starą Ksienię Sióstr Światła. Za Ann pojawiła się wyższa kobieta; zsunięte w tył szale odsłaniały siwiejące kasztanowe włosy puszczone luźno na ramiona. Miała baczne, poważne, taksujące spojrzenie i wynikającą z tego siateczkę zmarszczek rozchodzących się promieniście od kącików głęboko osadzonych oczu. Jej brwi niekiedy zbiegały się ku wydatnemu nosowi. Sprawiała wrażenie osoby, która różgą naucza dzieci.

- Kahlan! - Ann rzuciła się ku niej, złapała ją za ramię. - Jak miło znów cię widzieć, kochanie! - Obejrzała się, kiedy Kahlan spojrzała za nią. - To jedna z moich Sióstr, Alessandra. Alessandro, oto Matka Spowiedniczka i żona Richarda.

Kobieta podeszła i uśmiechnęła się. Miły uśmiech natychmiast odmienił jej twarz, surowość ustąpiła miejsca życzliwości. Była to trochę zadziwiająca

przemiana, jakby dwie odmienne kobiety dzieliły jedną twarz. Albo, pomyślała Kahlan, jakby jedna osoba miała dwie twarze.

- Miło mi cię poznać, Matko Spowiedniczko. Ann opowiadała mi o tobie, o tym, jaka jesteś wspaniała. - Szybko omiotła wzrokiem obozowisko. - Raduję się waszym szczęściem, twoim i Richarda.

Ann spojrzała w prawo, w lewo, szukała. Dostrzegła miecz.

- Gdzie Richard? Cara nie chciała nic powiedzieć. - Spojrzała Kahlan w oczy. - Drogi Stwórco - wyszeptła. - Co się stało? Gdzie Richard?

- Zabrała go jedna z twoich Sióstr - zdołała wreszcie odpowiedzieć Kahlan.

Ann zsunęła szale z siwych włosów i znów złapała dziewczynę za ramię. Czubek głowy Ksieni sięgał zaledwie piersi Kahlan, ale za to Ann zdawała się dwa razy grubsza od niej.

- O czym ty mówisz? Co to znaczy, że zabrała go Siostra? Która Siostra?

- Nicci! - warknęła Kahlan.

Ann się cofnęła.

- Nicci...

Siostra Alessandra zachłysnęła się oddechem.

- Siostra Nicci? - Przyłożyła dłonie do serca. - Ona nie jest jedną z Sióstr Ann. Jest Siostrą Mroku.

- O, dobrze o tym wiem - odparła Kahlan.

- Nie wiadomo, co Nicci mogłaby... - Siostra Alessandra mocno zacisnęła wargi.

Wiatr rzucił im w twarz migotliwy śnieg i na chwilę biel zaćmiła czerwień jutrzeńki. Kahlan zamrugła, strząsając płatki z powiek. Cara - w czerwonym skórzanym uniformie, pelerynie i futrzanym okryciu - zignorowała tę niedogodność. Tamte dwie kobiety otarły oczy dłońmi w grubych wełnianych rękawicach.

- Wszystko będzie dobrze, Kahlan - pocieszała ją Ann. - Opowiedz nam, co się stało. Wszystko opowiedz. Coś mu zrobiła?

Kahlan zapanowała nad narastającym gniewem.

- Nicci rzuciła na mnie czar, który nazwała czarem macierzyńskiego zespolenia.

Ann rozdziawiła usta. Siostra Alessandra znów zachłysnęła się oddechem.



- Jesteś tego pewna? - spytała ostrożnie Ksieni. - Jesteś przekonana, że tak było? Jak się o tym upewniłaś?

- Wdarła się we mnie jakaś magia. Nigdy przedtem nie słyszałam o takim czarze. Wiem jedynie, że to bardzo potężna moc i że ona nazwała to czarem macierzyńskiego zespolenia. I że ta magia jakoś nas łączy.

Alessandra zbliżyła się o krok.

- To jeszcze nie oznacza, że to czar macierzyńskiego zespolenia.

- Kiedy Cara dotknęła Nicci Agielem - odezwała się Kahlan - ból rzucił mnie na kolana, jakbym to ja otrzymała ten cios.

Ann i Alessandra wymieniły spojrzenia.

- Ale... ale jeśli ona... - wyjąkała Ann.

Kahlan wypowiedziała słowa, które Ksieni nie przeszły przez gardło:

- Jeśli Nicci zechce, zerwie tę magiczną więź i umrę. Dlatego właśnie udało się jej pojmać Richarda. Obiecała, że zachowam życie, jeśli Richard z nią odejdzie. A on się jej oddał w niewolę, żeby mnie chronić.

- To niemożliwe. - Ann dotknęła brody dłonią w rękawicy. - Nicci nie powinna znać takiego rzadko stosowanego uroku, jest za młoda. Poza tym taki niecodzienny czar wymaga wielkiej mocy. Musiała zrobić coś innego i nazwać to czarem macierzyńskiego zespolenia. Nicci nie mogłaby rzucić tego czaru.

- Owszem, mogłaby - powiedziała niechętnie Siostra Alessandra. - Ma potrzebną do tego moc i zdolności. Wystarczyłby ktoś z odpowiednią wiedzą, kto by ją tego nauczył. Nicci nigdy zbyt nie paliła się do magii, ale ma dostateczne umiejętności.

- Lidmila... - wyszeptała Ann do Alessandry. - Jagang ma Lidmilę.

Kahlan skierowała na Alessandrę gniewne, podejrzliwe spojrzenie.

- A skąd tyle wiesz o Nicci? Więcej niż sama Ksieni?

Siostra Alessandra ponownie otuliła się peleryną. Jej twarz przestała być dobroduszną, znów się zachmurzyła - tym razem także z goryczą skrzywiła wargi.

- Sprowadziłam Nicci do Pałacu Proroków, kiedy była jeszcze dzieckiem. Byłam odpowiedzialna za jej wychowanie i kierowałam jej nauką posługiwania się darem. Znam ją lepiej niż inni. Znam również jej mroczniejszą moc, bo i ja byłam Siostrą Mroku. To ja przeciągnęłam ją na stronę Opiekuna.

Kahlan miała wrażenie, że kołyszą nią uderzenia łomoczącego serca.

- Więc i ty jesteś Siostrą Mroku.

- Była - sprostowała Ann.

- Ksieni zjawiała się w obozie Jaganga i uwolniła mnie. Nie tylko od Jaganga, ale i od Opiekuna. Znow służę Światłu. - Promienny uśmiech raz jeszcze odmienił twarz Alessandry. - Ann przywróciła mnie Stwórcy.

Kahlan uznała, że nie warto potwierdzać prawdziwości słów tamtej.

- Jak nas znalazłyście?

Ann zignorowała lakoniczne pytanie.

- Musimy się spieszyć. Powinniśmy odebrać Richarda Nicci, zanim wyda go Jagangowi.

Kahlan odpowiedziała Ann, nie odrywając gniewnego spojrzenia od Alessandry:

- Nie zabiera go do Jaganga. Powiedziała, że nie działa z rozkazu Jego Ekscelencji, ale na własny rachunek. Tak właśnie powiedziała. I dodała, że usunęła z wargi pierścień imperatora, że się go już nie boi.

- A powiedziała, dlaczego zabiera Richarda? - spytała Ann. - Albo przynajmniej, dokąd go zabiera?

Kahlan przeniosła na nią taksujące spojrzenie.

- Powiedziała, że zabiera go w zapomnienie.

- W zapomnienie! - sapnęła Ann.

- Pytałam cię o coś. - W głosie Kahlan pojawiła się nutka gniewu. - Jak nas znalazłyście?

- Mam książkę podrózną. - Ann poklepała się po pasie. - Porozumiewam się z Verną, która jest przy naszych wojskach. Napisała mi o odwiedzających was posłańcach. Tak się dowiedziałam, gdzie was znaleźć. Szczęście, że od razu wyruszyłam; o mało się nie rozminęłyśmy. Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że wróciłaś do zdrowia, Kahlan. Tak się martwiliśmy.

Kahlan zauważyła, że stojąca za obiema kobietami Cara wciąż zaciska w pięści Agiel. Ona sama nie potrzebowała Agiela: moc Spowiedniczki czekała na uwolnienie. Drugi raz nie popełni tego samego błędu, nie będzie nadmiernie ostrożna.

- Książka podrózna. Oczywiście. Więc Verna na pewno powiadomiła cię o wizji Richarda, w której wyczytał, że nie powinien prowadzić naszych wojsk przeciwko Ładowi.

Ann niechętnie potaknęła, najwyraźniej nie miała ochoty rozmawiać o takiej wizji.

- A potem, kilka dni temu, Verna napisała, że D'Harańczycy są zaniepokojeni, bo nagle stracili zdolność wyczuwania, gdzie jest Richard. My już prawie do was wtedy docierałyśmy. Pisała, że więź z lordem Rahlem wciąż chroni ich przed Nawiedzającym Sny, ale że nagle stracili zdolność określania kierunku, w którym Richard się znajduje.

- Nicci zasłoniła to przed nami - warknęła Cara.

- Cóż, musimy go odnaleźć - oznajmiła Ann. - Musimy go odebrać Nicci. W nim nasza jedyna nadzieja. Te jego pomysły to bzdura, powinnyśmy mu to uświadomić. Ale najpierw musimy go odzyskać. Musi poprowadzić nasze siły przeciwko Imperialnemu Ładowi. To o nim mówi proroctwo.

- To dlatego tu jesteś - szepnęła do siebie Kahlan. - Dowiedziałaś się od Verny, że zrezygnował z dowodzenia armią i że nawet nie chce wydawać żadnych poleceń. Zjawiałaś się tu w nadziei, że zmusisz go do walki.

- Bo powinien wrócić - upierała się Ksieni.

- Wcale nie - sprzeciwiła się Kahlan. - Uświadomił sobie, że jeżeli poprowadzi nas do walki, to na całe pokolenia przegramy sprawę wolności. Powiedział, że zorientował się, że ludzie jeszcze nie pojmują wolności i że nie będą o nią walczyć.

- Musi tylko pokazać ludziom, co jest wart. - Ann aż poczerwieniała. - Udowodnić, że jest ich wodzem, co już zaczął czynić, a oni za nim pójdą.

- Richard twierdzi, że pojął, że to nie on ma udowodnić ludziom swą wartość, ale ludzie powinni jemu udowodnić, ile są warci.

- Cóż za bzdura - zdumiała się Ann.

- Czyżby?

- Oczywiście. Proroctwo naznaczyło go już przed wiekami. Setki lat czekałam, aż się narodzi, żeby dowodzić nami w tej walce.

- Ach tak. Skoro jesteś tak skłonna iść za Richardem, to jakim prawem kwestionujesz jego decyzje? To on tak postanowił. Jeżeli jest wodzem, którego pragniesz, musisz się podporządkować jego przewodnictwu, a tym samym i jego decyzji.

- Ale nie tego wymaga proroctwo!

- Richard nie wierzy w proroctwa. Uważa, że sami decydujemy o własnym losie. Zaczynam pojmować jego przekonanie, że wiara w

proroctwo zmienia bieg wypadków. To właśnie błędna wiara w proroctwo, w jakieś mistyczne rozwiązanie, niszczy ludziom życie.

Ann najpierw szeroko otworzyła oczy w przerażeniu, a potem je zmrużyła.

- Richard jest tym, którego proroctwo zapowiedziało jako wodza w walce przeciwko Imperialnemu Ładowi. To walka o istnienie magii na tym świecie, czyż tego nie pojmujesz?! Richard urodził się, żeby brać udział w tej walce. Musimy go odzyskać! - To wszystko twoja wina - wyszeptała Kahlan.

- Co takiego?! - Chmurna mina Ksieni zmieniła się w pobłażliwy uśmiech. - O czym ty mówisz, Kahlan? - Głos Ann stał się dobrotliwy. - Znasz mnie, wiesz o naszej walce o zachowanie swobody magii. Jeżeli Richard nas nie poprowadzi, nie będziemy mieli żadnych szans.

Kahlan gwałtownie wyrzuciła rękę i złapała za gardło przerażoną Siostrę Alessandrę. Kobieta szeroko rozwarła oczy.

- Nie ruszaj się - ostrzegła przez zaciśnięte zęby Kahlan - bo uwolnię moc Spowiedniczki.

Ann błagalnie wyciągnęła rękę.

- Straciłaś rozum, Kahlan? Puść ją. Uspokój się.

- Książka podróżna. - Dziewczyna drugą dłonią wskazała ogień. - Wrzuć ją w płomień.

- Co?! Nie mam zamiaru.

- Natychmiast - ponagliła ją przez zaciśnięte zęby Kahlan - albo Siostra Alessandra będzie moja. A kiedy z nią skończę, Cara zadba, żebyś wrzuciła tę książkę podróżną w płomień. Choćbyś to miała uczynić połamanymi palcami.

Ann obejrzała się na Mord-Sith tkwiącą za jej lewym ramieniem.

- Wiem, że jesteś zdenerwowana, Kahlan, i dobrze to rozumiem, ale przecież w tej sprawie stoimy po tej samej stronie. I my kochamy Richarda. I my chcemy powstrzymać Imperialny Ład, nie dopuścić, żeby opanował cały świat. My...

- My? Gdyby nie ty i te twoje Siostry, nic by się nie wydarzyło. To wszystko wasza wina. Nie Jaganga i nie Imperialnego Ładu, ale wasza.

- Czyś ty straciła...

- To ty ponosisz odpowiedzialność za to, co spada na świat. Jagang znaczy pierścieniem w wardze swoich niewolników, a ty wbiłaś pierścień w

nos swojego niewolnika Richarda! Ty jesteś odpowiedzialna za śmierć tych, którzy już zginęli, i za śmierć tych, którzy dopiero polegną w krwawych rzeziach, które przetoczą się przez ziemię. To ty do tego doprowadziłaś, nie Jagang!

Pot wystąpił na czoło Ann, chociaż było zimno.

- O czym ty mówisz, na Stwórcę? Przecież mnie znasz, Kahlan. Byłam na twoim weselu. Zawsze stałam po twojej stronie. Postępuję zgodnie z proroctwami tylko po to, żeby pomóc ludziom.

- To ty urzeczywistniasz proroctwa! Bez twojej pomocy nigdy by się nie spełniły! Urzeczywistniają się, bo dopełniasz warunków! Wbiłaś Richardowi pierścień w nos!

Ann przeciwstawiła furii Kahlan spokojną twarz.

- Potrafię sobie wyobrazić, co czujesz, Kahlan, ale teraz całkiem tracisz rozsądek.

- Czyżby? Czyżby, Ksieni? Dlaczego Siostra Nicci zabrała mojego męża? Odpowiedz. Dlaczego?!

Ann spochmurniała.

- Bo jest przedstawicielką zła.

- Nie. - Kahlan mocniej zacisnęła dłoń na gardle Alessandry. - To przez ciebie. Gdybyś, po pierwsze, nie wysłała Verny do Nowego Świata, żeby sprowadziła Richarda przez wielką barierę do Starego Świata...

- Ale proroctwa mówią, że jeżeli ich nie powstrzymamy, Ład zaleje świat i wygubi magię! Że tylko Richard może być naszym wodzem! Że jeden Richard na szansę zwyciężyć!

- A ty ożywiłaś to martwe proroctwo. Właśnie ty. Bo wolałaś wierzyć martwym słowom, a nie własnemu rozumowi. Dzisiaj jesteś tu nie po to, żeby poprzeć decyzję twojego zapowiedzianego wodza, nie żeby z nim dyskutować, ale by siłą narzucić mu wiarę w proroctwo. Żeby szarpnąć za pierścień w jego nosie! Gdybyś nie wysłała Verny po Richarda, to co by się stało, Ksieni?

- Nnno, Ład... Ład...

- Ład? Ład dalej tkwiłby w Starym Świecie, za wielką barierą. Tkwiłby tam! Ta stworzona przez czarodziejów bariera przez tysiące lat zwycięsko opierała się naporowi Ładu oraz jemu podobnych i jego chęci wtargnięcia do Nowego Świata, chęci podbicia go. Porwałaś Richarda, kazałaś go

sprowadzić do Starego Świata, niewolniczo postępując według martwych słów w starych, zakurzonych księgach, więc musiał zniszczyć tę barierę i dlatego Ład może teraz zalewać Nowy Świat i Midlandy! Moje Midlandy! Może mordować mój lud i porywać mojego męża! Wszystko przez ciebie, przez twoje wtrącanie się! Nic takiego by się nie wydarzyło, gdyby nie ty! Nie byłoby żadnej wojny, żadnych stosów pomordowanych mieszkańców miast Nowego Świata, tysiący zabitych mężczyzn, kobiet i dzieci! Zabitych przez zbirów Imperialnego Ładu! Nic z tego by się nie wydarzyło! Przez ciebie i twoje bezcenne prorocтва zasłona została przerwana i na świecie rozpełtano zarazę. To by się nigdy nie wydarzyło, gdyby nie twoje starania, żeby nas „ocalić” przed proroctwem. Nawet nie śmiem sobie przypomnieć tych wszystkich dzieci, które na moich oczach cierpiały i umierały od czarnej śmierci. Przez ciebie umierały! Dzieci, które patrzyły mi w oczy i pytały, czy wyzdrowieją, a ja musiałam im mówić, że tak, chociaż wiedziałam, że nie przeżyją nocy. Nikt nigdy nie pozna liczby zgonów. Nie został nikt, kto pamięta małe osady wyludnione przez zarazę. Bez twojego mieszania się w wydarzenia te dzieci by żyły, ich matki uśmiechałyby się do siebie, obserwując, jak się bawią, ojcowie uczyliby je świata. Świata, który odebrałaś im swoją wiarą w prorocтва! Twierdzisz, że to walka o istnienie magii na tym świecie, a przecież o mało nie unicestwiłaś magii. Gdyby nie ty, demony nigdy nie wydostałyby się na świat. Tak, Richard zdołał je przegnać, ale jakie nieodwracalne szkody powstały? My odzyskaliśmy naszą moc, ale w tym czasie, gdy demony pozbawiły świat magii, na pewno zginęły magiczne istoty. Przepadło to, co potrzebowało magii do istnienia. Magia potrzebuje przeciwwagi, żeby istnieć. Zakłócono równowagę magii na tym świecie. Może już się rozpoczęło nieodwracalne niszczenie magii. A wszystko przez to, że niewolniczo trzymasz się prorocтва. Gdyby nie ty, Ksieni, Jagang, wojska Imperialnego Ładu i wszystkie twoje Siostry byłybyście za barierą, a my żylibyśmy tutaj spokojnie i bezpiecznie. Widzisz winę wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinnaś. Jeżeli zginie magia, wolność, a nawet cały świat, to z twojej ręki, Ksieni.

Głuche wycie wichru czyniło nagłą ciszę jeszcze okropniejszą. Ann patrzyła na Kahlan oczami pełnymi łez. Śnieg iskrzył się w promieniach chłodnego świtu.

- To nie tak, Kahlan. Cierpisz i dlatego tak to widzisz.

- A właśnie, że tak jest - stwierdziła stanowczo dziewczyna.

Ann poruszyła ustami, ale nie wyrzekła ni słowa. Kahlan wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni ku górze.

- Książka podróżna. Jeśli myślisz, że nie zniszczę życia tej kobiety, to w ogóle mnie nie znasz. Jest jedną z twoich Sióstr i pomaga zniszczyć świat w imię dobra lub dalej jest jedną z Sióstr Opiekuna i pomaga zniszczyć świat w imię śmierci. Tak czy owak straci życie, jeżeli natychmiast nie oddasz mi książki podróżnej.

- A co to da, według ciebie? - wyszeptała z rozpaczą Ann.

- Zapoczątkuje stawianie tamy twojemu wtrącaniu się w życie mieszkańców Midlandów i reszty Nowego Świata. W moje życie, w życie Richarda. To jedyne, co zdołałam wymyślić poza zabiciem was obu. I pewnie wołałybyście nie wiedzieć, jak mało brakuje, żebym wybrała to drugie. Oddaj książkę podróżną.

Ksieni wpatrywała się w wyciągniętą ku niej rękę Kahlan. Oczy miała pełne łez. W końcu zdjęła wełnianą rękawicę i wyciągnęła zza pasa małą książkę. Przez chwilę patrzyła na nią z czcią, a potem położyła ją na dłoni dziewczyny.

- Drogi Stwórco - wyszeptała Ann - wybacz swojemu biednemu, cierpiącemu dziecku, bo nie wie, co czyni.

Kahlan rzuciła książkę w ogień.

Ann i Siostra Alessandra, z poszarzałymi twarzami, patrzyły na leżącą w płomieniach książkę.

Kahlan złapała miecz Richarda.

- Ruszamy, Caro.

- Konie są gotowe. Siodłałam je, kiedy te dwie się zjawily.

Kahlan wylała gorącą wodę. Cara szybko zaczęła zbierać ich rzeczy. Pospiesznie upychały wszystko w jukach. Część rzeczy zarzuciły na ramię, zanosły do koni i przymocowały do siodel.

Kahlan, nie oglądając się ku Ann i Alessandrze, wskoczyła na zimne siodło. Z ponurą Carą u boku zawróciła wierzchowca i pogalopowała w kłębiący się śnieg.

## ROZDZIAŁ 28

Gdy tylko Kahlan i Cara, niczym mściwe duchy, zniknęły w białej zamieci, Ann padła na kolana i włożyła ręce w płomienie, starając się złapać książkę podrózną i ocalić ją z rozżarzonego do białości stosu pogrzebowego.

- Ksieni! - krzyknęła Alessandra. - Poparzysz się!

Ann na chwilę cofnęła poparzone dłonie, a potem - nie bacząc na dławiący swąd przypiekanego ciała - znów włożyła je w płomienie. Wyczuła raczej, niż zobaczyła, że ma w palcach drogocenną książkę podrózną.

Uratowanie jej zajęło ledwie sekundę, ale towarzyszący temu przeraźliwy ból sprawił, że wydawało się wiecznością.

Obolała Ann przygryzła dolną wargę i odtoczyła się na bok. Nadbiegła Alessandra, niosąc w dłoniach śnieg. Rzuciła go na okrwawione, poczerwiałe palce Ksieni i zaciśniętą w nich książkę podrózną. Wilgotny śnieg dotknął oparzeń i Ann jęknęła z przeraźliwego bólu. Alessandra osunęła się na ziemię obok Ann, łkając z przerażenia, i chwyciła ją za nadgarstki.

- Ksieni! O, Ksieni! Nie powinnaś!

Ann była w szoku, ogromnie cierpiała. Jakby z wielkiej dali słyszała wysoki głos Alessandry.

- Och, Ann! Dlaczego nie posłużyłaś się magią?! Albo chociaż patykiem?!

Pytanie zdumiało Ksienię. Przerażona, że bezcenna książka podrózna spłonie, mogła myśleć wyłącznie o jednym: by wydostać ją z płomieni, zanim będzie za późno. Wiedziała, że to nierozważne działanie było spowodowane goryczą i irytacją wywołanymi oskarżeniami Kahlan.

- Nie ruszaj się - nakazała przez łzy Alessandra. - Siedź spokojnie i pozwól mi cię uleczyć. Wszystko będzie dobrze. Nie ruszaj się.

Ann siedziała na ośnieżonej ziemi, oszołomiona bólem i słowami wciąż tłukącymi się jej w głowie; pozwoliła, by Alessandra leczyła jej dłonie.

Ale Siostra nie mogła uleczyć jej serca.

- Myliła się - powiedziała Alessandra, jakby czytała myśli Ann. - Myliła się, Ksieni.

- Czyżby? - zapytała głucho Ann, kiedy rozdzierający ból palców wreszcie zelżał, zastąpiony kłującym mrowieniem magii wpływającej w jej ciało i czyniącej swoje dzieło. - Czyżby, Alessandro?



- Tak. Wcale nie wie tyle, ile jej się wydaje. Jest jeszcze dzieckiem, pewnie nie ma nawet marnych trzydziestu lat. W tak krótkim czasie ludzie nie zdołają się niczego nauczyć - paplała Alessandra, a Ann wiedziała, że i Siostra przejęła się książką podrózną, że i ją zmartwiły słowa Kahlan. - To jeszcze głupiutkie dziecko, które nie ma o niczym pojęcia. To nie takie proste. To o wiele bardziej złożone. To nie takie proste, jak się jej wydaje. Wcale nie takie proste.

Ann już nie była tego taka pewna. Wszystko nagle straciło sens. Pięćset lat starań - czyżby było to obłąkańcze przedsięwzięcie, do którego skłoniły ją samolubne pragnienia i głupota? Czy na miejscu Kahlan też by to tak postrzegała?

Rozważała za i przeciw, widząc w wyobraźni nie kończące się szeregi umarłych. Co mogła rzec na swoją obronę? Na zarzuty Matki Spowiedniczki mogła odpowiedzieć mnóstwem wyjaśnień, ale teraz wszystkie zdawały się czcze. Jakże Ann mogłaby się usprawiedliwić przed zmarłymi?

- Jesteś Ksienią Sióstr Światła - podjęła bez związku Alessandra, przerywając na chwilę swoją pracę. - Powinna być bardziej świadoma, do kogo mówi. Okazać większy szacunek. Nie ma pojęcia o tym, co tu jeszcze wchodzi w grę. A przecież jest w tym o wiele, wiele więcej. Wiele więcej. W końcu Siostry Światła nie wybierają swojej Ksieni przypadkowo.

- Spowiedniczki też nie wybierają przypadkowo swojej Matki Spowiedniczki.

Minęły dwie godziny, nim Alessandra zakończyła żmudne i trudne leczenie oparzeń. Oparzenia trudno było leczyć. Ann marzła i nudziła się, bezradna, czując mrowienie magii, a słowa Kahlan rozdzierały jej duszę. Kiedy Alessandra wreszcie skończyła, Ksieni poruszyła odrętwiałymi palcami. Wciąż czuła niewielki ból i wiedziała, że jeszcze długo tak będzie. Ale palce były wygojone i znów miała zdrowe ręce.

Kiedy jednak rozważyła całą sprawę, zaczęła się obawiać, że więcej utraciła, niż odzyskała.

Ann, wyczerpana i zmarznięta, ku rozpaczycy Alessandry położyła się przy dogasających płomieniach, które tak ją poparzyły. W owej chwili miała ochotę już nigdy się nie podnieść. Czuła, że nagle dopadły ją wszystkie przeżyte lata - blisko tysiąc. Ogromnie brakowało jej Nathana. Prorok na pewno miałby do powiedzenia coś mądrego lub zwariowanego. I w jednym, i

w drugim wypadku dodałby jej otuchy. Nathan zawsze miał coś do powiedzenia. Tęskniła za jego chępliwym głosem, jego życzliwymi, dziecięcymi, mądrymi oczami. Za dotykiem jego dłoni. Bezgłośnym płaczem ukołysała się do snu. Koszmary nie pozwoliły, żeby był to głęboki i dający wypoczynek sen. Obudziła się późnym rankiem, czując na ramieniu uspokajający dotyk dłoni Alessandry. Siostra dorzuciła drewno do ognia i bardziej ogrzewała.

- Lepiej się czujesz, Ksieni?

Ann kłamliwie potaknęła. Od razu pomyślała o książce podróźnej. Spojrzała na nią, spoczywającą bezpiecznie na kolanach Alessandry. Usiadła i ostrożnie zdjęła cenną książkę z fałd sukni Siostry.

- Tak się o ciebie martwię, Ksieni.

Ann zdecydowanym gestem zbyła tę uwagę.

- Rzuciłam okiem na książkę, kiedy spałaś.

- Fatalnie wygląda - mruknęła Ann.

- Tak właśnie pomyślałam - przytaknęła Alessandra. - Chyba nie da się jej ocalić.

Ksieni łagodnym tchnieniem swojej Han scalała karty - niemal spopielone - i ostrożnie je przewracała.

- Przetrwiała trzy tysiące lat. Gdyby to był zwyczajny papier, nic by się nie dało zrobić, ale to magiczny przedmiot, Alessandro. Wykonali go czarodzieje, których mocy nie dorównał nikt przez owe trzy tysiące lat. Dopiero teraz dorównuje im Richard.

- Co możemy zrobić? Wiesz, jak ją odtworzyć?

Ann potrząsnęła głową, przeglądając zwęglone i poskręcane karty.

- Nie wiem, czy da się ją odtworzyć. Mówię tylko, że to magiczny przedmiot. A gdzie magia, tam i nadzieja. - Ksieni wyjęła chusteczkę z kieszeni w jednej z głębszych warstw swojej odzieży. Położyła na chusteczce zwęgloną książkę i ostrożnie zawinęła ją w płótno. Oplotła ją czarem, żeby na razie chronił ją i konserwował. - Spróbuję znaleźć sposób na to, żeby ją przywrócić do dawnego stanu. O ile zdołam. O ile to możliwe.

Alessandra pocierała dłonie.

- I aż do tej pory nie będziemy mieć kontaktu z armią.

Ann potaknęła.

- Nie będziemy wiedzieć, czy Imperialny Ład w końcu zdecydował się

opuścić południowe leże i ruszyć w Midlandy. Nie będę mogła doradzać Vernie.

- Jak myślisz, Ksieni, co się stanie, jeżeli Ład w końcu zdecyduje się zaatakować, a Richarda nie będzie z naszymi wojskami? Co zrobią? Bez lorda Rahla, który by ich poprowadził...

Ann z wysiłkiem odsunęła od siebie przeraźliwy ciężar zarzutów Kahlan, zadumała się nad bieżącą sytuacją.

- Teraz Verna jest Ksienią, a przynajmniej dla Sióstr przy wojskach. Mądrze je poprowadzi. Jest też z nimi Zedd, pomaga Siostrom przygotować się do ewentualnej walki. Czarodziej z jego doświadczeniem to najlepszy doradca. Jako Pierwszy Czarodziej brał przedtem udział w wojnach. Musimy ufać, że Stwórca zechce nad nimi czuwać. Nie będę mogła im doradzać, dopóki nie odtworzę książki podróżnej. Dopóki tego nie uczynię, nie będę nawet znać ich położenia.

- Mogłabyś tam pójść, Ksieni.

Ann otrzepała ze śniegu ramię, na którym przedtem leżała. Rozważyła słowa Alessandry.

- Siostry Światła sądzą, że nie żyję. Teraz ufają nowej Ksieni, Vernie. Powrót do życia w takich okolicznościach byłby paskudnym czynem wobec Verny i reszty Sióstr. Wiele z nich na pewno z ulgą przyjęłoby moją obecność, ale posiadałabym również wątpliwości i narobiła zamieszania. Wojna to nieodpowiedni czas na sianie takiego ziarna.

- Ale dodałaby im odwagi twoja...

Ann potrząsnęła głową.

- Verna jest ich przywódczynią. Taki postępek mógłby już na zawsze podważyć jej autorytet. Nie mogą stracić wiary w jej przywództwo. Muszą ponad wszystko przedkładać dobro Sióstr Światła. Teraz powinnam mieć na względzie przede wszystkim ich dobro.

- Przecież jesteś ich Ksienią, Ann.

- A co to dobrego komu przyniosło? - Ann zapatrzyła się w dal.

Alessandra spuściła wzrok. Wiatr wył ponuro pośród drzew. Wzbijał w powietrze niebieskoszare tumany śniegu i ciskał je w prowizoryczne obozowisko. Ciemne chmury zasłoniły słońce. Ann otarła nos skrajem zlodowaciałej peleryny.

Alessandra położyła współczująco dłoń na ramieniu Ksieni.

- Odebrałaś mnie Opiekunowi i na powrót wprowadziłaś w Światło Stwórcy. Byłam w łapach Jaganga i okropnie cię traktowałam, kiedy cię pojмали, a mimo to nigdy ze mnie nie zrezygnowałaś. Kto inny jeszcze by o mnie dbał? Bez ciebie moja dusza byłaby na zawsze stracona. Wątpię, Ksieni, czy potrafisz sobie wyobrazić moją wdzięczność.

Ta kobieta teraz na pozór wróciła do Światła, a przecież niegdyś oszukała Ann. Wiele lat temu Alessandra zwróciła się ku Opiekunowi, stała się Siostrą Mroku, a Ann nic o tym nie wiedziała. Jak można komuś ufać po takiej zdradzie?

- Mam nadzieję, że tak jest, Sostro. - Spojrzała tamtej w oczy. - Modłę się, żeby to była prawda.

- To jest prawda, Ksieni.

Ann uniosła rękę ku zasłoniętemu chmurami słońcu.

- Może więc ten jeden dobry uczynek zrównoważy tysiące zawinionych przeze mnie śmierci, kiedy już znajdę się na tamtym świecie, w Świetle Stwórcy?

Alessandra odwróciła wzrok, rozmasowała okryte warstwami odzieży ramiona. Odwróciła się i dołożyła do ognia dwa patyki.

- Powinnyśmy zjeść coś ciepłego. Lepiej się poczujesz, Ksieni. Obie lepiej się poczujemy.

Ann siedziała na ziemi i patrzyła, jak Alessandra przygotowuje swoją pożywną obozową zupę. Wątpiła, czy nawet wspaniały aromat tej zupy pobudzi jej apetyt.

- Jak myślisz, po co Nicci uprowadziła Richarda? - zapytała Alessandra, dokładając do stawy suszonych grzybów.

Ann spojrzała w jej zaintrygowaną twarz.

- Nie mam pojęcia. Przychodzi mi na myśl tylko to, że mogła skłamać i jednak prowadzi go Jagangowi.

Alessandra pokruszyła suszone mięso i wrzuciła do kociołka z gotującą się zupą.

- Po co? Po co miałyby kłamać, jeśli musi robić, co mu każe? Jaki miałyby w tym cel?

- Jest Siostrą oddaną Opiekunowi. - Ann uniosła ręce i pozwoliła im opaść na podolek. - To wystarczający powód, żeby kłamać, nieprawdaż? Kłamstwo jest złem. Niegodziwością. To wystarczający powód.

Alessandra strofująco potrząsnęła głową.

- I ja byłam Siostrą Mroku, Ksieni. Pamiętasz? Wiem lepiej. To wcale nie tak. Czy zawsze mówisz prawdę tylko dlatego, że jesteś oddana Światłu Stwórcy? Nie. Kłamie się dla Opiekuna tak samo, jak ty skłamałabyś dla Stwórcy, gdyby kłamstwo było potrzebne dla Jego celów. Dlaczego Nicci miałyby kłamać? Panowała nad sytuacją i nie musiała tego robić.

- Nie mam pojęcia. - Ann z trudem znalazła siły, żeby się nad tym zastanawiać; w jej głowie kłębiły się pełne rozpaczmyśli. To była jej wina, a nie Nicci, że Richard znalazł się w rękach wroga.

- Uważam, że zrobiła to dla siebie.

Ann podniosła wzrok.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że Nicci wciąż czegoś szuka.

- Czegoś szuka? O czym ty mówisz?

Alessandra rozwinęła nawoskowany papier i palcem zsunęła zeń do zupy odpowiednią porcję przypraw.

- Od pierwszego dnia, kiedy ją zabrałam z domu i sprowadziłam do Pałacu Proroków, Nicci stawiała się coraz bardziej... obojętna, że tak to nazwę. Zawsze robiła, co w jej mocy, żeby pomagać ludziom, ale jednocześnie sprawiała wrażenie, że nie potrafię zaspokoić jej potrzeb.

- Jakich?

- Nie wiem. - Alessandra potrząsnęła głową. - Zawsze miałam wrażenie, że czegoś szuka. Sądziłam, że chce odnaleźć Światło Stwórcy. Dopingowałam ją bezlitośnie w nadziei, że to otworzy jej oczy na jego nauki i zaspokoi jej wewnętrzną potrzebę. Nie zostawiałam jej czasu na myślenie o czymkolwiek innym. Nawet trzymałam ją z dala od rodziny. Jej ojciec był samolubnym groszrobem, a matka... cóż, miała dobre intencje, ale nieswojo się przy niej czułam. Myślałam, że Stwórca wypełni tę pustkę w Nicci. - Alessandra się zawahała. - A potem uznałam, że może ona potrzebuje Opiekuna.

- Więc sądzisz, że zabrała Richarda, żeby zaspokoić jakąś... wewnętrzną potrzebę? Jaki to ma sens?

- Nie wiem. - Alessandra ciężko westchnęła; dodała do zupy szczyptę soli, zamieszała. - Myślę, Ksieni, że zawiodłam Nicci.

- Jak?

- Nie wiem. Może nie potrafiłam jej dostatecznie zainteresować potrzebami innych, zostawiłam jej zbyt wiele czasu na myślenie o sobie. Zawsze wydawała się oddana dobru bliźnich, ale może powinnam ją bardziej wciągać w kłopoty innych i nauczać zalecanych przez Stwórcę cnót poprzez większą dbałość o bliźnich niż o jej samolubne zachcianki.

- Bardzo wątpię, Sostro, że w tym rzecz. Kiedyś poprosiła mnie o ekstrawagancką czarną suknię na pogrzeb matki i oczywiście nie wyraziłam zgody na taką rozrzutność. Bo przecież nie uchodziło to nowicjuszcze, która powinna się nauczyć stawiać na pierwszym miejscu potrzeby innych. Ale to był jeden jedyny raz, kiedy Nicci poprosiła o coś dla siebie. Wspaniale ją wychowałeś, Alessandro.

Ann przypomniała sobie, że właśnie po tym wydarzeniu Nicci zaczęła się ubierać na czarno.

- Pamiętam to. - Alessandra nie podniosła wzroku. - Kiedy umarł jej ojciec, pojechałam z nią na pogrzeb. Zawsze było mi przykro, że ją zabrałam od rodziny, ale tłumaczyłam jej, że jest tak zdolna i ma takie możliwości wspomagania innych, że nie powinna tego marnotrawić.

- Nigdy nie było łatwo sprowadzać nowych do pałacu. Ciężko rozłączać dziecko z kochającymi rodzicami. Niektórzy adaptowali się lepiej niż inni.

- Odpowiadała mi, że rozumie. Nicci zawsze była pojętna i skora do pracy. Nigdy niczemu się nie sprzeciwiała, nie protestowała przeciwko żadnym obowiązkom. Być może spodziewałam się zbyt wiele, bo zawsze rzucała się do pomagania innym, nigdy się nie skarżyła. Na pogrzebie ojca chciałam ją pocieszyć. Była równie opanowana i chłodna jak zwykle, ale znałam ją i wiedziałam, że cierpi. Próbowałam ją pocieszyć, mówiąc, żeby nie tak zapamiętała ojca, ale żeby starała się go pamiętać z czasów, kiedy żył.

- To życzliwe słowa dla kogoś pogrążonego w takim żalu, Sostro. Mądrze radziłaś.

Alessandra podniosła wzrok.

- Wcale jej tym nie pocieszyłam, Ksieni. Spojrzała na mnie tymi swoimi błękitnymi oczami... Pamiętasz te jej błękitne oczy.

- Pamiętam - potaknęła Ann.

- Spojrzała na mnie tymi przeszywającymi błękitnymi oczami, jakby chciała mnie nienawidzić i jakby nawet to uczucie było jej niedostępne, a potem powiedziała tym swoim martwym głosem, że nie może pamiętać ojca

z czasów, kiedy żył, bo go wówczas w ogóle nie znała. Czy to nie najosobliwsza rzecz, jaką słyszałaś?

Ann westchnęła.

- Cóż, to bardzo podobne do Nicci. Zawsze mówiła najdziwniejsze rzeczy w najdziwniejszych chwilach. Powinnam lepiej kierować jej życiem. Bardziej się nią zajmować... ale tak wiele spraw wymagało mojej uwagi.

- Nie, Ksieni. To było moje zadanie. Zawiodłam. Zawiodłam Nicci.

Ann cieżniej otuliła się peleryną, chroniąc przed wiatrem. Wzięła od Alessandry miseczkę zupy.

- Co gorsza, Ksieni, wciągnęłam ją w mrok Opiekuna.

Annalina spojrzała znad brzegu miseczki, bo właśnie piła zupę. Ostrożnie postawiła parujące naczynie na kolanach.

- Co się stało, to się stało, Alessandro.

Siostra napiła się zupy, a myśli Ksieni powędrowały ku słowom Kahlan. Wypowiedziała je w gniewie, więc trzeba jej to było wybaczyć. A może należało się nad nimi uczciwie zastanowić?

Ann nie miała odwagi stwierdzić, że Kahlan się myliła; bała się, że miała rację. Ksieni przez stulecia pracowała z Nathanem nad prorocत्वami, starając się uniknąć dostrzeżonych w nich nieszczęść - tak tych, które sama dojrzała, jak i tych, które on jej wskazał. A jeżeli Nathan zwracał jej uwagę na to, co według Kahlan było jedynie martwym słowem? Jeżeli czynił to tylko po to, żeby uciec? W końcu to, czemu nadała bieg z Richardem, umożliwiło również ucieczkę Proroka. A jeśli wprowadzono ją w błąd, żeby to ona dopuściła do tych okropieństw?

Czy mogła to być prawda? Ann pogrążyła się w rozpacz.

Zaczynała się ogromnie bać, że była tak zaabsorbowana tym, co według niej wiedziała, iż działała, kierując się błędnymi założeniami.

Kahlan mogła mieć rację. Ksieni Sióstr Światła mogła być odpowiedzialna za taki ogrom cierpienia, jakiego nie spowodowało nigdy żadne monstrum zrodzone na tym świecie.

- Alessandro - odezwała się cicho Ann, kiedy skończyła zupę - musimy odszukać Nathana. To niebezpieczne, żeby Prorok swobodnie grasował po świecie, który jest wobec niego bezbronny.

- Gdzie mamy go szukać?

Ann potrząsnęła głową, przytłoczona ogromem zadania.

- Taki człowiek jak Nathan nie może pozostawać nie zauważony. Jeżeli się do tego odpowiednio zabierzemy, odnajdziemy go.

Alessandra obserwowała twarz Ksieni.

- Cóż, jak powiedziałaś, nie jest bezpiecznie, by Prorok grasował po świecie.

- Otóż to. Musimy go odszukać.

- Dwadzieścia lat zabrało Vernie odnalezienie Richarda.

- Owszem. Ale po części się do tego przyczyniłam. Ukryłam przed nią pewne fakty. A Nathan bez wątpienia ukrywa je przed nami. Mimo wszystko jest to nasz obowiązek. Verna jest z Siostrami i wojskiem; zrobią, co w ich mocy. My musimy szukać Nathana. To nasze zadanie.

Alessandra odstawiła miseczkę.

- Rozumiem, Ksieni, dlaczego uważasz, że należy znaleźć Proroka. Ale tak jak ty czujesz, że powinnaś go odszukać, tak ja jestem przekonana, że muszę odnaleźć Nicci. To ja odpowiadam za przeciągnięcie jej na stronę Opiekuna zaświatów. Bardzo możliwe, że tylko ja zdołam ją przywrócić Światłu. Doświadczyłam tej jedynej w swoim rodzaju przemiany serca. Boję się tego, co może się przytrafić Richardowi, jeżeli nie spróbuję powstrzymać Nicci. Boję się również tego, co może się przytrafić światu, jeśli Richard umrze. Kahlan się myli. Wierzę w to, nad czym się trudziłaś przez te wszystkie lata. Kahlan upraszcza tę skomplikowaną sprawę, bo ma złamane serce, a przecież gdyby nie twoje działania, nigdy nie spotkałaby Richarda.

Ann zadumała się nad słowami Alessandry. Nie można zaprzeczyć, że takie usprawiedliwienie kusilo.

- Przecież nie mamy pojęcia, Alessandro, dokąd się udali. Nicci jest przebiegła. Jeśli rzeczywiście, jak mówi, działa na własny rachunek, to postara się, żeby jej nie odnaleziono. Jak sobie wyobrazasz takie poszukiwania? Nathan jest Prorokiem swobodnie buszującym po świecie. Pamiętasz na pewno, jakich kłopotów narobił w przeszłości. Sam jeden może sprowadzić takie nieszczęście, jakiego świat jeszcze nie zaznał. Nathan się puszy, kiedy ma słuchaczy, więc na pewno zostawia za sobą ślady. W jego przypadku, uważam, mamy przynajmniej szansę. Ale tropienie Nicci...

Alessandra stanowczo spojrzała Ann w oczy.

- Jeśli Richard umrze, Ksieni, to jaką szansę będziemy mieć?



Ann odwróciła wzrok. A jeżeli Alessandra ma rację? Jeśli Kahlan ma rację? Musi schwytać Nathana. Tylko wtedy się dowie.

- Alessandro...

- Nie całkiem mi ufasz, prawda, Ksieni?

Ann spojrzała tamtej w oczy, tym razem z powagą.

- Przyznaję, nie całkiem, Alessandro. Jakżebym mogła? Zawiodłaś mnie. Okłamałaś. Wyparłaś się Stwórcy i zaprzedałaś Opiekunowi zaświatów.

- Ale wróciłam ku Światłu, Ksieni.

- Naprawdę? Czyż zwolenniczka Opiekuna nie skłamałaby dla niego, jak to sama przed chwilą sugerowałaś?

Oczy Alessandry wypełniły się łzami.

- I właśnie dlatego muszę spróbować odnaleźć Nicci, Ksieni. Muszę udowodnić, że słusznie mi zaufałaś. Muszę ci pokazać, że się zmieniłam.

- A może musisz pomóc Nicci i Opiekunowi?

- Wiem, że nie zasługuję na zaufanie. Wiem to. Powiedziałaś, że musimy odszukać Nathana, ale powinniśmy również pomóc Richardowi.

- Dwa najwyższej wagi zadania - stwierdziła Ann - i żadnej książki podróżnej, żeby poprosić o pomoc.

Alessandra otarła oczy.

- Pozwól mi pomóc, Ksieni. Proszę. To ja odpowiadam za zaprzeczenie się Nicci Opiekunowi. Pozwól, bym spróbowała naprawić szkodę. Bym spróbowała sprowadzić ją z powrotem. Wiem, jak się wraca. Mogę jej pomóc. Pozwól mi, proszę, spróbować uratować nieśmiertelną duszę Nicci.

Ann opuściła oczy. Kimże była, by kwestionować walory innych? Na czym trawiła życie? Czy była wierną stronniczką Opiekuna? Odkasznęła.

- Wysłuchaj mnie, Sostro Alessandro, i to wysłuchaj uważnie. Jestem Ksienią Sióstr Światła i powinnaś zrobić, co nakazę. - Pogroziła tamtej palcem. - Nie życzę sobie żadnych sporów, zrozumiałaś? Muszę odnaleźć Proroka, zanim popełni coś nie do naprawienia. Wiesz, jak ważny dla naszej sprawy jest Richard. Starzeję się i tylko spowalniałabym poszukiwania jego i jego porywaczki. Chcę, żebyś go odszukała. Żadnych dyskusji. Masz odnaleźć Richarda Rahla i na powrót natchnąć lękiem przed Stwórcą naszą błądzącą Siostrę Nicci.

Alessandra objęła Ann, łkając i dziękując. Ksieni klepała ją po plecach, przygnębiona, że traci towarzyszkę podróży, i pełna obaw, że może utracić

wiarę w to wszystko, czego broni.

Siostra się odsunęła.

- Dasz radę samotnie podróżować, Ksieni? Jesteś pewna, że sobie poradzisz?

- No wiesz! Może i jestem stara, ale to nie znaczy, że nieprzydatna do czegokolwiek. A niby kto, dziecko, zjawił się w samym środku wojsk Jaganga i cię wyratował?

Alessandra uśmiechnęła się przez łzy.

- Ty to uczyniłaś, Ksieni, sama jedna. Tylko ty mogłaś zrobić coś takiego. Mam nadzieję, że choć część tego uczynię dla Nicci, kiedy ją odnajdę.

- Na pewno, Siostro. Na pewno. Oby Stwórca czuwał nad tobą w tej podróży. Oby osłaniał cię swoją dłonią.

Ann wiedziała, że obie wyruszają w trudną podróż, która może potrwać lata.

- Ciężkie czasy przed nami - odezwała się Alessandra - ale Stwórca ma dwie dłonie, nieprawdaż? Jedną dla mnie, drugą dla ciebie, Ksieni.

Ann wyobraziła to sobie i nie mogła się nie uśmiechnąć.

## ROZDZIAŁ 29

- Wejdz - burknął Zedd ku uporczywemu pochrząkiwaniu przed namiotem.

Nalał z dzbana wody do powyginanego metalowego garnka ustawionego na kawałku kłody i służącego mu za miednicę. Chlapnął sobie wody na twarz i zachłysnął się oddechem. Zdumiało go, że taka lodowata woda jest jeszcze ciepła.

- Dzień dobry, Zeddzie.

Czarodziej otarł z oczu lodowatą wodę. To był Warren.

- Dzień dobry, mój chłopcze.

Warren się zarumienił. Zedd napomniał się, że nie powinien mówić „chłopcze” do kogoś dwa razy starszego od siebie. Ale to była wina Warren; gdybyż przestał tak młodo wyglądać! Pierwszy Czarodziej westchnął, pochylił się i zaczął szukać ręcznika wśród sterty map, brudnych talerzy, porzewiałych cyrkli, pustych kubków, koców, kości kurczaków, liny i jajka, które zgubił w trakcie lekcji tygodnie temu, oraz wśród innych przedmiotów, które z czasem jakoś same gromadziły się w rogu jego niewielkiego namiotu.

Warren zwijał w palcach swoją purpurową szatę na wysokości biodra.

- Idę z namiotu Verny.

Zedd przerwał poszukiwania i obejrzał się nań przez ramię.

- Ani słowa?

Warren potrząsnął kręconymi jasnymi włosami.

- Przykro mi, Zeddzie.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - zakpił Zedd. - Ta stara kobieta ma więcej żyć niż kot, którego niegdyś miałem, a który jednego i tego samego dnia oberwał błyskawicą i wpadł do studni. Czy opowiadałem ci już o tym kocie, mój chłopcze?

- Tak, prawdę mówiąc, tak. - Warren uśmiechnął się. - Ale chętnie posłucham raz jeszcze, jeżeli sobie życzysz.

Zedd machnięciem ręki skwitował tę historyjkę, spoważniał.

- Jestem przekonany, że Ann nic się nie stało. Verna zna ją lepiej niż ja, ale wiem, że tę starą kobietę ogromnie trudno uszkodzić.

- Verna też tak mówi. - Warren uśmiechnął się do siebie. - Ann mogłaby nawet burzę odstraszyć.

Zedd potwierdził i znów zaczął grzebać w stercie.

- Jest twardsza niż łykowate mięso - oznajmił, rzucając przez ramię dwie nieaktualne mapy.

- Czego szukasz, o ile wolno mi spytać?

- Ręcznika. Wiem, że miałem...

- O tam - powiedział Warren.

- Co? - Zedd podniósł nań oczy.

- Twój ręcznik - powtórzył Warren. - O tam, na oparciu krzesła.

- Ooooch. - Zedd porwał zagubiony ręcznik i otarł suchą już twarz; łypnął gniewnie na Warrena. - Masz wzrok jak włamywacz. - I rzucił ręcznik na stertę, gdzie się powinien znajdować.

Warren znów się uśmiechał.

- Uważam to za komplement.

Zedd przechylił głowę.

- Słyszałeś?

Warren przyłączył się do nasłuchiwania odgłosów z zewnątrz i jego uśmiech zgasł. Stąpające po twardej ziemi konie, rozmowy mijających namiot żołnierzy, rzucone rozkazy, potrzaskiwanie ognia, skrzypienie wozów, szczęk i chrzęst uprzęży.

- Co miałem słyszeć?

Zedd skrzywił się, nieco zaniepokojony.

- Bo ja wiem? Coś jakby gwizd.

Warren wskazał kciukiem za ramię.

- Żołnierze co chwila pogwizdują, żeby konie ich słuchały i w ogóle. Czasem trzeba.

Starali się, jak mogli, żeby unikać gwizdania i innych dźwięków. Zwłaszcza gwizdanie niosło się daleko na takiej otwartej przestrzeni. Trudno było nie zauważyć czegoś tak dużego jak obóz D'Harańczyków, więc od czasu do czasu zmieniali położenie obozu, żeby wróg nie był zbyt pewny, gdzie właściwie są. Dźwięki mogłyby zdradzić więcej, niż sobie życzyli.

Zedd potrząsnął głową.

- To musiało być to. Czyjs długi gwizd.

- Ale i tak, Zeddzie - zmienił temat Warren - dawno już minął termin,

kiedy Ann powinna przesłać Vernie wieści.

- Kiedy byłem z Ann, zdarzało się, że nie mogła przesyłać wiadomości. - Czarodziej energicznie machnął ręką. - Kurczę, było i tak, że nie pozwalałem jej korzystać z tej przeklętej książki podróżnej. To paskudztwo przyprawia mnie o dreszcze. Nie rozumiem, dlaczego nie możecie przesyłać listów jak normalni ludzie. - Zedd wiedział, że jego mina zdradza zatroskanie. - Przeklęte książki podróżne. Coś dla leni. Jestem Pierwszym Czarodziejem i nigdy nie potrzebowałem książki podróżnej.

- Mogła ją zgubić. Tak przynajmniej mówi Verna.

- Też prawda. - Zedd uniósł palec. - Istotnie, mogła ją zgubić. Książka jest taka mała; mogła jej wypaść zza pasa i Ann tego nie zauważyła, dopóki razem z Alessandrą nie rozbiły obozu. W takim razie już nigdy by jej nie odnalazła. - Potrząsnął palcem. - To tylko potwierdza moje zdanie. Nie powinno się uzależniać od takich magicznych sztuczek jak ta. To tylko rozleniwia.

- I Verna tak sądzi. To znaczy, że książka mogła wypaść zza pasa. - Warren zachichotał. - Albo że nawet mógł ją zjeść kot.

- Kot? - Zedd zerknął na Warrena spod zmarszczonych krzaczastych brwi. - Jaki kot?

- Jakikolwiek. - Warren odchrząknął. - Po prostu... ach, nieważne. Nigdy nie potrafiłem zażartować.

Czarodziej rozchmurzył się.

- Aaa, rozumiem. Kot mógł ją zjeść. Tak, tak, rozumiem. - Nie rozumiał, ale nawet zachichotał, przez wzgląd na chłopca. - Znakomicie, Warrenie.

- Pewnie ją tylko zgubiła. To pewnie tylko to.

- W takim razie - głośno myślał Zedd - najprawdopodobniej się tu zjawi, żeby nas powiadomić, że nic jej nie jest, albo przyśle list lub posłańca, czy coś w tym rodzaju. A jeszcze bardziej prawdopodobne, że nie ma nam nic do powiedzenia i nie widzi powodu, żeby pisać w książce podróżnej.

- Ale już prawie miesiąc nie mamy od niej żadnych wieści - powątpiewał Warren.

Zedd niedbale machnął ręką.

- Cóż, była daleko na północy, kiedy się ostatnio porozumiewaliście, prawie tam, gdzie są Richard i Kahlan. Jeżeli zgubiła książkę i od razu ruszyła ku nam, to i tak nie dojdzie tu jeszcze przez tydzień lub dwa. A zjawi

się jeszcze później, jeśli najpierw udała się do Richarda. Sam wiesz, że Ann nie podróżuje zbyt szybko.

- Wiem - odparł Warren. - Zaczyna odczuwać swój wiek. I to drugi powód mojego zmartwienia.

Zedda najbardziej trapiło to, że książka podróżna zamilkła akurat wtedy, kiedy Ann już-już miała dotrzeć do Richarda i Kahlan. A tak chciwie czekał na wieść, że oboje są bezpieczni, że dziewczyna całkiem wyzdrowiała. A może i na słówko, że Richard jest gotów wrócić. Ann wiedziała, jak niecierpliwie czekają na wiadomości, i na pewno miałyby coś do napisania. Zeddowi bardzo się nie podobało, że książka podróżna umilkła akurat teraz. Ani trochę mu się to nie podobało. Przez to wszystko miał ochotę się drapać, jakby go uciał biały moskit.

- Posłuchaj, Warrenie, miesiąc bez wieści od niej to wcale nie tak długo. W przeszłości jedną wiadomość od drugiej dzieliło wiele tygodni. Za wcześnie, żeby się zamartwiać. Poza tym mamy własne troski, które domagają się naszej uwagi.

Zedd nie miał pojęcia, co mogliby zrobić, gdyby się okazało, że Ann wpadła w tarapaty. Nie wiedzieli, jak ją odnaleźć.

- Masz rację, Zeddzie. - Warren uśmiechnął się przepaszająco.

Czarodziej przesunął mapę i znalazł pół bochenka chleba pozostałego z wieczoru. Odgryzł spory kęs i miał pretekst, żeby nie mówić. Bo kiedy mówił, tylko się obawiał, że zdradzi swój strach nie tylko o Ann, ale też o Richarda i Kahlan.

Warren był uzdolnionym czarodziejem, bystrzejszym niż inni, których Zedd znał. Zeddowi często trudno było znaleźć temat, o którym Warren by już nie słyszał lub z którym nie był dobrze zaznajomiony. Wspaniale było dzielić się wiedzą z kimś, kto ze znanstwem kiwał głową przy ezoterycznych sprawach magicznych, których nikt inny by nie pojął, kto potrafił uzupełnić drobne luki w niezwykłym uroku i był zachwycony, kiedy Zedd uzupełniał drobne luki w jego wiedzy. Warren wiedział o prorokowaniu więcej, niż według Zedda, było dozwolone.

Był fascynującą mieszanką upartego starca i żółtodzioba. Miał już swoje nawyki, a jednocześnie był otwarcie, nieskończenie, naiwnie wszystkiego ciekaw.

Jedno tylko sprawiało, że Warren milkł - rozmowa o „wizji” Richarda.

Jego twarz stawała się bez wyrazu i siedział w milczeniu, kiedy inni roztrząsali to, co Richard napisał w listach, i zastanawiali się, czy to słuszna decyzja. Kiedy zaś byli sami i Zedd pytał go, co o tym myśli, Warren odpowiadał jedynie, że podporządkuje się Richardowi, bo Richard jest jego przyjacielem i lordem Rahlem. Nie roztrząsał i nie zastanawiał się nad jego rozkazami dla armii - a właściwie nad odmową wydawania rozkazów. Według Warrena, Richard podjął decyzję i należało to zaakceptować, a nie bez końca omawiać.

Zedd zauważył, że Warren znów mnie w palcach szatę. Machnął ręką trzymającą chleb.

- Wyglądasz jak czarodziej, którego opadły swędzące uroki. Chcesz coś z siebie wydusić, Warrenie?

- To aż tak rzuca się w oczy? - Warren uśmiechnął się zmieszany.

- Nie, Warrenie. - Zedd poklepał go po plecach. - To ja jestem taki bystrzak.

Warren roześmiał się z żartu czarodzieja. Zedd wskazał chlebem ku składanym płóciennym krzesłom. Młodzieniec spojrział na nie, ale potrząsnął głową. Pierwszy Czarodziej doszedł do wniosku, że to musi być coś ważnego, skoro „chłopak” woli o tym mówić na stojąco.

- Zima tuż, więc jak sądzisz, Zeddzie: Imperialny Ład zaatakuje czy poczeka z tym do wiosny?

- O, to zawsze niewiadoma. Brak pewności niepokoi i sprawia, że żołądek skręca się w supeł. Ale wszyscy ciężko pracowaliście. Uczyliście się i ćwiczyliście. Znakomicie ci szło, Warrenie. Siostrom też.

Warrena najwyraźniej nie interesowało to, co Zedd mówił. Drapał się w skroń i czekał na okazję, żeby się odezwać.

- Dziękuję, Zeddzie. Istotnie, ciężko pracowaliśmy. Generał Leiden uważa, że teraz zima jest naszym najlepszym sprzymierzeńcem. On, jego keltońscy oficerowie i niektórzy z D'Harańczyków sądzą, że Jagang głupio by zrobił, rozpoczynając kampanię właśnie teraz, z początkiem zimy. Kelton leży tylko nieco dalej na północ stąd, więc generał Leiden zna trudności zimowych walk w tym terenie. Jest przekonany, że Ład czeka na wiosnę.

- Generał Leiden to dobry żołnierz i może sobie być zastępcą generała Reibischa - powiedział spokojnie Zedd, obserwując niebieskie oczy Warrena - ale się z nim nie zgadzam.

- Och. - Warren był zbity z tropu.

Przed kilkoma miesiącami Leiden na prośbę generała Reibischa przyprowadził na południe keltońską dywizję, żeby wzmocnić siły d'harańskie. Kelton uważał Kahlan za swoją królową, bo Richard ją nią ogłosił, ale keltońskie wojska wciąż miały ciągoty do niezależności, chociaż teraz należały do imperium D'Hary, jak wszyscy zaczęli to nazywać. Zedd nie odwodził nikogo od stosowania tej nazwy; lepiej dla wszystkich, żeby Nowy Świat był jedną potężną siłą niż zbieraniną szczepów. Zdaniem czarodzieja, Richard znakomicie to wyczuł. Nie dałoby się prowadzić wojny na taką skalę, gdyby Nowy Świat nie był scalony. Fakt zaś, że wszyscy uważali się za część imperium D'Hary, mógł jedynie w owym scalaniu pomóc.

Zedd odchrząknął.

- To tylko domysły, Warrenie. Mogę się mylić. Generał Leiden to doświadczony i mądry żołnierz. Mogę się mylić.

- Ale i Leiden może się mylić. Ty myślisz podobnie jak generał Reibisch, który od paru miesięcy noc w noc chodzi po swoim namiocie.

Zorander wzruszył ramionami.

- Czy jest coś ważnego dla ciebie, Warrenie, co zależy od tego, co zrobi Imperialny Ład? Czekasz na ich ruch, żeby podjąć jakąś decyzję?

Warren uniósł dłonie, jakby chciał się bronić przed takim pomysłem.

- Nie, nie, jasne, że nie. Tylko że... że to nie byłby właściwy moment na myślenie o takich sprawach... Ale jeśli się nie ruszą przez zimę... - Skubał rękaw. - To znaczy... Skoro uważasz, że poczekają do wiosny... - Umilkł.

- A jeżeli poczekają, to...?

Warren patrzył w ziemię i zwijał w kłębek szatę na wysokości żołądka.

- Ale jeśli uważasz, że mogliby ruszyć zimą, to dla mnie... dla nas... nie byłby to dobry czas na myślenie o takich sprawach.

Zedd podrapał się w brodę i zmienił taktykę.

- Powiedzmy, że uważam, że Ład nie ruszy się przed wiosną. Co byś w tym wypadku mógł zrobić?

Warren wyrzucił w górę ramiona.

- Zaślubisz Vernę i mnie, Zeddzie?

Czarodziej uniósł brwi, odchylił do tyłu głowę.

- Kurczę, chłopcze, to ci dopiero pierwszy poranny kąsek.



Warren podszedł ku niemu.

- Zaślubisz nas, Zeddzie? To znaczy, tylko jeśli naprawdę myślisz, że Ład przez zimę zostanie w Andericie. Jeśli tak, to można by było... to moglibyśmy...

- Kochasz Vernę, Warrenie?

- Oczywiście!

- A Verna cię kocha?

- Pewnie, że tak.

Zedd poruszył ramionami.

- No to dam wam ślub.

- Naprawdę? Och, Zeddzie, byłoby cudownie. - Odwrócił się, jedną rękę wyciągnął ku wyjściu z namiotu, drugą ku czarodziejowi. - Zaczekaj. Zaczekaj chwileczkę.

- No cóż, właśnie miałem zamachać ramionami i polecieć na księżyc, ale skoro chcesz, żebym zaczekał...

Warren już wypadł z namiotu. Zedd usłyszał stłumione głosy. I Warren wrócił - tuż za Verną.

Verna uśmiechała się promiennie od ucha do ucha, co nieco Zedda zaniepokoiło, tak było niezwykle.

- Dziękuję, Zeddzie, że udzielisz nam ślubu. Dziękuję! Warren i ja pragnęliśmy, żebyś to ty go nam udzielił. Mówiłam mu, że to zrobisz, ale Warren chciał cię poprosić i dać ci szansę odmówić. Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś bardziej uroczystego i pełnego znaczenia niż ślub udzielony przez Pierwszego Czarodzieja.

Zedd pomyślał, że to jednak urocza kobieta. Czasami trochę zbzikowana na punkcie reguł, ale mająca dobre intencje. Ciężko pracowała. I nie uchylała się przed niczym, o co Zedd ją poprosił. Poza tym najwyraźniej darzyła Warrena gorącym uczuciem i szanowała go.

- Kiedy? - spytała Verna. - Kiedy według ciebie będzie na to odpowiednia pora?

Zedd wykrzywił twarz.

- A moglibyście poczekać, aż zjem odpowiednie śniadanie?

Oboje się uśmiechnęli.

- Myśleliśmy raczej o wieczornej ceremonii - powiedziała Siostra. - Może udałoby się zorganizować przyjęcie, muzykę i tańce.

- Myśleliśmy o miłej odmianie w tych ćwiczeniach. O przerwie - oznajmił Warren z nonszalanckim gestem.

- O przerwie? Jak myślicie, ile czasu uda wam się spędzić w oderwaniu od obowiązków...?

- Och, nie, Zeddzie! - Warren był równie purpurowy, jak jego szata. - Wcale nie uważamy, że moglibyśmy... chcę powiedzieć, że dalej byśmy... my tylko...

- Wcale nie chcemy się usuwać na bok - wtrąciła Verna, ucinając jąkaninę Warrena. - Po prostu uznaliśmy, że każdy byłby zadowolony z zasłużonej wieczornej zabawy. Nie zejdziemy z posterunku.

Zedd objął kościstym ramieniem barki Verny.

- Możecie się usunąć, na jak długo zechcecie. Wszyscy zrozumiemy. Cieszę się waszym szczęściem.

- To wspaniale, Zeddzie - rzekł z westchnieniem Warren. - My naprawdę...

Do namiotu wpadł bez zapowiedzi spurpurowiały oficer.

- Czarodzieju Zoranderze!

Zaraz za nim wtargnęły dwie Siostry.

- Ksieni! - krzyknęła Siostra Philippa.

- Nadchodzą! - wrzasnęła Siostra Phoebe.

Obie kobiety były blade i wyglądały, jakby były bliskie zwrócenia śniadania. Siostra Phoebe dygotała niczym zmokły pies zimą. Zedd dopiero teraz spostrzegł, że Siostra Philippa ma z jednej strony osmalone włosy i rękaw sukni. Należała do tych, którzy wypatrywali będących na usługach wroga ludzi z magicznym darem.

Teraz Zedd już wiedział, co to za gwizdzący dźwięk wcześniej słyszał. To były bardzo odległe krzyki.

Z oddali doleciał ostrzegawczy głos rogów drugiej linii czatów. Zedd wyczuł wplecioną weń magiczną nutkę i wiedział, że naprawdę zagrały. Przytłumione dźwięki obozu zmieniły się w odgłosy ożywionego ruchu. Syczały gaszone ogniska, szczękała wyszarpywana broń, chrzęściły rzemienie przypasywanych mieczy, dźwięczały dobywane z pochew klingi, rżały konie.

Warren chwycił Siostrę Philippę za ramię i zaczął wydawać rozkazy:

- Skoordynuj linię. Nie pozwól, żeby was dostrzegli, trzymaj się za

trzecim pasmem. Pułapki ustaw w pobliżu. Trzeba, żeby wróg poczuł się pewnie. Jazda?

Kobieta skinęła głową.

- Rozwinie się dwoma skrzydłami - wtrącił się oficer. - Ale jeszcze nie atakuje, nie chcą się zbyt wysforować przed piechotę.

- Zapal pierwszy ogień za nimi, kiedy już miną linię zapalną, tak jak to ćwiczyliśmy - pouczył Warren Siostrę Philippę, która energicznym kiwaniem głową kwitowała jego instrukcje.

Chodziło o to, żeby uwięzić nacierającą jazdę między dwiema ścianami gwałtownej magii. Należało to perfekcyjnie zgrać, jeśli miało się udać zniszczenie osłon przeciwnika.

- Ksieni - wysapała Siostra Phoebe - nawet sobie nie wyobrażasz, ilu ich jest. Drogi Stwórco, to wygląda, jakby ziemia się ruszała, jakby wzgórza wypluwały ku nam żołnierzy.

Verna położyła dłoń na ramieniu młodej Siostry, dodając jej otuchy.

- Wiem, Phoebe. Wiem. Ale przecież wszyscy wiemy, co robić.

Verna już wyprowadzała obie Siostry z namiotu i przywoływała inne pomocnice; z koni zeskakiwali oficerowie i powracający zwiadowcy.

Do namiotu wepchnął się wielki brodaty żołnierz. Dyszał, pot spływał mu po twarzy.

- Cała przekłeta armia. Wszyscy.

- Konnica z włóczniami, wystarczy, żeby się przebili! - krzyknął inny żołnierz ze spienionego konia, którego powstrzymał tylko na moment potrzebny, żeby przekazać tę wieść Zeddowi.

- Łucznicy? - spytał czarodziej dwóch żołnierzy, którzy wciąż byli w namiocie.

Brodaty oficer potrząsnął głową.

- Za daleko, żeby wiedzieć. - Chciwie chwytał oddech. - Ale założyłbym się, że są tuż za tarczą pikinierów.

- Bez wątpienia - rzekł czarodziej. - Pokażą się, kiedy znajdą się wystarczająco blisko.

Warren złapał brodacza za rękaw i wybiegł z nim z namiotu.

- Nie martw się, kiedy się pokażą. Mamy coś, co ich oślepi.

Drugi żołnierz też pobiegł do swoich obowiązków. Zedd został sam w namiocie, oświetlonym od zewnątrz wczesnym zimowym słońcem. Był

zimny ranek. To będzie krwawy dzień.

Gwar poza namiotem zmienił się w ogłuszające pandemonium. Każdy miał jakieś zadanie i dobrze je znał; byli to w większości zaprawieni w bojach D'Harańczycy. Zedd podkradł się blisko do tamtych, więc wiedział, jak przerażająco wyglądają wojska Ładu, ale D'Harańczycy im dorównywali. Od pokoleń chwalili się, że są najgroźniejszymi wojownikami na świecie. Zedd sporą część swojego życia walczył z D'Harańczykami, a ci udowodnili, że to nie czcze przechwałki.

Czarodziej słyszał, jak ktoś krzyczy:

- Ruszać się! Naprzód! Naprzód!

Brzmiało to jak głos generała Reibischa. Zedd skoczył ku wyjściu z namiotu i zatrzymał się na skraju płynącej obok rzeki żołnierzy. Generał Reibisch zatrzymał się tuż przed namiotem.

- Mieliśmy rację, Zeddzie.

Czarodziej niechętnie przytaknął, że przewidział plany wroga. Tym razem wołałby się pomylić.

- Zwijamy obóz - rzekł generał Reibisch. - Nie mamy za dużo czasu. Już rozkazałem przedniej straży, żeby się przesunęła ku północy i chroniła wozy z zaopatrzeniem.

- To całe wojsko czy tylko próbne szturchnięcie?

- Całe cholerne wojsko.

- Drogie duchy - wyszeptał Zedd.

Przynajmniej zaplanował na taką ewentualność to, co się dało zaplanować. Wyszkolił tych z darem, przygotował ich na to, więc nie będą wytrąceni z równowagi. Stało się tak, jak ostrzegał. To zwiększy ich pewność siebie i doda odwagi. Wszystko zależało od mających magiczny dar.

Generał Reibisch przeciągnął mięsistą dłońią po ustach i obrysie twarzy; patrzył na południe, ku niewidocznemu wrogowi. Poranne słońce nadawało jego rudawym włosom płomienną barwę, a blizna biegnąca od lewej skroni do zuchwy lśniła jak biała, nieruchoma błyskawica.

- Nasi wartownicy zwijają się wraz z najdalszą linią. Nie kazałem im utrzymywać stanowisk, skoro to cały Imperialny Ład.

Zedd pospiesznie potaknął.

- Będziemy dla was magią przeciwko magii, generale.

W szarzielonych oczach generała pojawił się drapieżny błysk.

- A my będziemy dla was stałą, Zeddzie. Damy dziś zakosztować tym sukinsynom jednego i drugiego.

- Byle nie za szybko i nie za dużo - ostrzegł Zedd.

- Na pewno nie zmienię naszych planów - Reibisch przekrzyczał gwar.

- To dobrze. - Czarodziej złapał za ramię przebiegającego żołnierza. - Potrzebna mi twoja pomoc. Spakuj moje rzeczy, dobrze, chłopcze? Muszę iść do Sióstr.

Generał gestem zapędził młodego żołnierza do namiotu Zedda i chłopak ruszył wykonać zadanie.

- Zwiadowcy mówią, że wszyscy trzymają się tego brzegu Drunu, jak na to liczyliśmy.

- To znakomicie. Nie musimy się martwić, że nas oskrzydła, przynajmniej nie od zachodu. - Zedd powiódł wzrokiem po zwijającym się obozie; żołnierze szybko i sprawnie wykonywali swoją robotę. Znow spoglądał na ogorzałą twarz generała. - Tylko na czas zaprowadź naszych na północ, do tych kotlin, generale, żeby nie mogli nas otoczyć. My z darem będziemy was osłaniać.

- Nie martw się, zdążymy w kotliny.

- Rzeka jeszcze nie zamrzła, prawda?

Generał Reibisch potrząsnął głową.

- Może szczer mógłby się ślizgać po tym lodzie, ale już nie goniący go wilk.

- To powinno ich powstrzymać przed przeprawą. - Zedd spoglądał na południe zmrużonymi oczami. - Muszę sprawdzić, co z Adie i jej Siostrami. Oby dobre duchy były z wami, generale. Nie muszą strzec waszych tyłów, bo my się tym zajmiemy.

Generał Reibisch złapał czarodzieja za ramię.

- Jest ich więcej, niż myśleliśmy, Zeddzie. Co najmniej dwa razy. A jeśli moi zwiadowcy nie przesadzali, to może i trzy razy więcej. Sądysz, że uda ci się zwolnić marsz takiej siły, kusząc ich, żeby zatopili kły w moim boku?

Chcieli ściągnąć wroga na północ, trzymając się tuż poza jego zasięgiem - na tyle blisko, żeby pociekła mu ślinka, i zarazem na tyle daleko, żeby nie mógł porządnie ukąsić. Przeprawa przez rzekę była o tej porze roku niewykonalna dla tak wielkiej armii. A mając po jednej stronie rzekę, po drugiej zaś góry, wojska tak liczne jak Imperialny Ład nie będą mogły tak

łatwo okrążyć i pokonać sił imperium D'Hary, nad którymi górowały liczebnie dziesięć do dwudziestu razy.

Układali ten plan, mając na względzie i napomnienia Richarda, żeby nie atakować Ładu wprost. Zedd nie był całkiem przekonany do zaleceń wnuka, ale był zbyt mądry, żeby ryzykować klęskę.

Liczyli na to, że kiedy wciągną wroga na ten bardziej zwarty, łatwiejszy do obrony teren, Ład straci nieco przewagę i można będzie zatrzymać jego marsz. A kiedy Imperialny Ład ugrzęźnie, D'Harańczycy będą się mogli zabrać do zmniejszania liczebności wroga. D'Harańczycy nie przejmowali się przewagą liczebną nieprzyjaciela; po prostu dawała im większą możliwość wykazania się walecznością.

Zedd patrzył w dal, wyobrażając sobie stoki wzgórz zalane mrowiem wrogich żołnierzy. Już dostrzegał śmiercionośne moce, które powinien rozpętać.

Wiedział również, że w walce wydarzenia rzadko będą tak, jak się planowało.

- Nie trap się, generale. Imperialny Ład zacznie dzisiaj płacić wysoką cenę za napaść.

Uśmiechnięty generał klepnął Zedda w ramię.

- Dobry żołnierz.

Generał Reibisch zniknął, wołając swoich adiutantów i domagając się konia. Gromadził wokół siebie gęstniejący tłumek. Zaczęło się.

## ROZDZIAŁ 30

Richard przykucnął w brzuchu bestii, wsparł ręce o uda.

- No i? - spytała z konia Nicci.

Chłopak stanął obok zebra; było ze dwa razy dłuższe od niego. Oślonił oczy przed złotym słonecznym blaskiem i przelotnie powiódł wzrokiem po pustym nieboskłonie za sobą. Spojrzał na Nicci; jej włosy miały w słońcu barwę miodu.

- Powiedziałbym, że to był smok.

Siostra ściągnęła wodze, bo jej klacz zaczęła dreptać w bok, starając się odsunąć od wielkich kości.

- Smok - powtórzyła bezbarwnym głosem.

Miejscami do kości przywierały resztki wyschniętego ciała. Richard machnął ręką, odpędzając brzęczącą wokół niego chmarę much. Unosił się tu jeszcze słaby odór rozkładu. Wyszedł z klatki sterczących ku niebu żeber i wskazał głowę spoczywającą w zbrązowiałej trawie. Mógł spokojnie przejść pomiędzy zebrami, nie ocierając się o nie.

- Poznaję zęby. Miałem kiedyś smoczy ząb.

Nicci nie była przekonana.

- Cóż, cokolwiek to było, i tak już dosyć zobaczyłeś. Ruszamy w drogę.

Richard wytarł ręce. Kiedy podszedł do ogiera, ten parsknął i odsunął się. Nie spodobał mu się odór śmierci i nie ufał Richardowi, który był tak blisko szkieletu. Chłopak pogłaskał lśniąca końską szyję.

- Spokojnie, Mały - wyszeptał kojąco. - Uspokój się.

Kiedy wreszcie znalazł się w siodle, Nicci zawróciła swoją tarantowatą klacz i ruszyła przodem. W świetle późnego popołudnia zebra rzucały ku niemu długie, szponiaste cienie, jakby sięgały po niego, jakby go przywoływały na powrót ku pozostałości po jakimś straszliwym kresie. Richard obejrzał się przez ramię na szkielet spoczywający pośrodku pustej, lekko pofałdowanej trawiastej polaci, a potem puścił ogiera klusem, żeby dogonić Nicci. Koń nie potrzebował zachęty, żeby się oddalić od paskudnego dłań miejsca, i radośnie ruszył galopem.

Richard i koń znali się już z miesiąc i przyzwyczaili się do siebie. Ogier był w miarę posłuszny, ale nigdy naprawdę przyjazny. Chłopak nie starał się

tego zmienić; miał większe problemy niż zaprzyjaźnianie się ze zwierzęciem. Nicci nie wiedziała, czy konie miały jakieś imiona, i nie była zainteresowana ich nadawaniem, więc Richard wołał na czarnego ogiera Mały, a na tarantowatą klacz Mała. Siostra nie okazała ani radości, ani niezadowolenia; przystała na to.

- Naprawdę wierzysz, że to szczątki smoka? - spytała, kiedy do niej dołączył.

Ogier zwolnił i - szczęśliwy, że znów jest ze „stadem” - dotknął nosem boku klaczy. Mała jedynie zwróciła ku niemu ucho.

- Jest akurat taki wielki, jak pamiętam.

Nicci potrząsnęła głową, odrzucając włosy z ramienia.

- Mówisz poważnie?

Richard się zdumiał.

- Przecież widziałaś. A cóż by to mogło być innego?

Ustała z westchnieniem.

- Tak sobie tylko myślałam, że może to kości jakiejś dawno wymarłej bestii.

- Z wciąż brzęczącymi wokół muchami? Zostało jeszcze trochę ścięgien przyschniętych do kości. To nie jest żaden starożytny szkielet. Ma trochę ponad sześć miesięcy, a może i mniej.

Patrzyła na niego kątem oka.

- Więc naprawdę mają smoki w Nowym Świecie?

- Przynajmniej w Midlandach. Nie było ich tam, gdzie dorastałem. Smoki, o ile wiem, mają magiczną moc. W Westlandzie nie było magii. Kiedy się tu znalazłem, to... zobaczyłem czerwonego smoka. Słyszałem, że są bardzo rzadkie.

A teraz było o jednego mniej.

Nicci mało obchodziły szczątki jakiegoś zwierzęcia, nawet smoka. Richard już dawno uznał, że choć ogromnie pragnął rozbić jej czaszkę, miał większą szansę wymyślić, jak się z tego wyplątać, jeśli nie będzie baby drażnił. Zwalczenie drugiej osoby podkopuje siły i utrudnia znalezienie wyjścia z tarapatów. Skupiał więc uwagę na tym, co było dla niego najważniejsze.

Nie zmuszał się do udawania, że zamierza się z nią zaprzyjaźnić, ale starał się jej nie doprowadzać do takiego gniewu, w którym mogłaby



skrzywdzić Kahlan. Jak dotąd, działał tak z powodzeniem. Zwłaszcza że Nicci nie była skłonna do gniewu. Kiedy coś się jej nie podobało, zapadała w obojętność, która gasiła urazę.

W końcu wrócili na drogę, z której dostrzegli biały punkt - jak się okazało, resztki smoka.

- Jak się dorasta w miejscu pozbawionym magii?

- Bo ja wiem? - Wzruszył ramionami. - Tak tam już było. Zwyczajnie.

- I byłeś szczęśliwy? To znaczy, dorastając bez magii.

- Tak. Bardzo. - Znow się zachmurzył. - Bo co?

- A mimo to walczysz o utrzymanie magii na świecie, żeby inne dzieci musiały dorastać w jej obecności. Mam rację?

- Tak.

- Ład pragnie oczyścić świat z magii, żeby ludzie dorastali szczęśliwie, bez wiszącej za ich drzwiami trującej magicznej mgły. - Spojrzała na niego. - Chcą, żeby dzieci dorastały tak jak ty. A ty z nimi walczysz.

Nie było to pytanie, więc Richard też nie odpowiedział pytaniem. To nie jego sprawa, co chciał uczynić Ład. Zwrócił myśli ku innym sprawom.

Podróżowali na wschód-południo-wschód, drogą, którą ciągnęli kupcy. Tego dnia uśmiechnęli się i skłonili dwóm. Droga, kierując się najłatwiejszym szlakiem wśród wzgórz, zaczęła owego popołudnia skręcać bardziej na południe. Kiedy mijali wzniesienie, Richard dostrzegł w oddali stadko owiec. Powiedziano im, że dość blisko znajduje się miasto, w którym będą się mogli zaopatrzyć w potrzebne im rzeczy. A i konie dostaną trochę ziarna.

Za lewym ramieniem Richarda, ku północo-wschodowi, różowiały w słońcu późnego popołudnia okryte śniegiem góry wyrastające z podgórze. Po prawej wzgórze spływały w Dzicz. Wkrótce za miastem przekroczą rzekę Kern. Byli całkiem blisko ziem jałowych za czasów istnienia wielkiej bariery.

Niedługo skręcą na południe, ku Staremu Światu.

Chociaż nie było już bariery, która uniemożliwiłaby mu powrót, opuszczanie Nowego Świata przygnębiało Richarda. Jakby porzucał świat Kahlan. Jakby odrobinę bardziej ją opuszczał. Kochał ją ogromnie, lecz czuł, jak coraz bardziej i bardziej odpływa w dal.

Nicci odwróciła się ku niemu; wiatr rozwiewał jej jasne włosy.

- Mówią, że i w Starym Świecie były smoki.

Richard wyrwał się z zadumy.

- Ale już ich nie ma? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- Od jak dawna?

- Od bardzo dawna. Nikt z żyjących żadnego nie widział, a dotyczy to i mieszkających w pałacu Sióstr.

Rozmyślał o tym, jadąc i słuchając rytmicznego stukania kopyt. Nicci okazała się rozmowna, więc spytał:

- Wiesz, dlaczego zniknęły?

- Jeśli zechcesz słuchać, to mogę ci powiedzieć to, czego mnie nauczono.

- Skinął głową, więc podjęła: - W czasie wielkiej wojny, kiedy wzniesiono barierę pomiędzy Starym a Nowym Światem, czarodzieje Starego Świata pracowali nad tym, żeby wypłenić magię ze świata. Smoki nie mogły istnieć bez magii, więc wyginęły.

- Ale dalej istniały.

- Po drugiej stronie bariery. A może wygubienie magii przez dawnych czarodziejów miało tylko miejscowy lub ograniczony w czasie skutek. W końcu magia dalej istnieje, więc najwyraźniej nie udało im się osiągnąć założonych celów.

Richard dumiał nad słowami Nicci i dopiero co widzianym szkieletem; zaczynał się czuć nieswojo.

- Nicci, czy mogę ci zadać poważne pytanie dotyczące magii?

Obejrzała się na chłopaka, skłoniła klacz, żeby szła stępą.

- Co chcesz wiedzieć?

- Jak długo, według ciebie, smoki mogą istnieć bez magii?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem westchnęła.

- O dziejach smoków w Starym Świecie wiem tylko tyle, ile mnie nauczono. Sam wiesz, że słowa zapisane tak dawno temu nie zawsze zasługują na zaufanie. To będą jedynie domysły. Powiedziałabym, że zdołają przetrwać zaledwie parę chwil, może dni albo i dłużej, ale niewiele dłużej. To ogromnie uproszczona wersja pytania, jak długo ryba przetrwa bez wody. Dlaczego pytasz?

Richard przeczesał włosy palcami.

- Kiedy demony były na tym świecie, odebrały mu magię. Przez pewien czas świat był pozbawiony magii lub prawie całej magii.

Nicci znów patrzyła na drogę.

- Według mnie, świat był całkowicie pozbawiony magii, przynajmniej przez pewien czas.

Właśnie tego Richard się obawiał. Teraz rozważał jej słowa i to, co sam wiedział.

- Nie wszystkie magiczne istoty są od niej uzależnione. Na przykład my. Jesteśmy w pewnym sensie magicznymi istotami, ale możemy bez niej żyć. Ciekaw jestem, czy istoty, których życie zależy od magii, nie mogły jednak przetrwać do czasu, aż demony zostały przegnane i magia wróciła do świata istot żywych.

- Magia nie została przywrócona.

Richard gwałtownie zatrzymał konia.

- Co takiego?!

- Nie w taki sposób, jak sądzisz. - Nicci zawróciła klacz i patrzyła na niego. - Richardzie, nie wiem co prawda, co się dokładnie wydarzyło, ale to zdarzenie nie mogło minąć bez następstw.

- Powiedz mi, co wiesz.

Zmarszczyła się ze zdziwieniem.

- Dlaczego to cię tak obchodzi?

- Nicci, proszę, powiedz po prostu, co wiesz!

Oparła nadgarstki na kuli siodła.

- Magia to skomplikowana sprawa, Richardzie, więc niczego nie można być całkowicie pewnym. - Uniesieniem dłoni powstrzymała potop pytań. - Ale jedno jest pewne: świat nie jest ciągle taki sam. Nieustannie się zmienia. Magia to nie tylko element tego świata. To łącznik pomiędzy światami. Rozumiesz?

Uznał, że tak.

- Przypadkowo przywołałem za pomocą magii z zaświatów ducha mojego ojca. I za pomocą magii przepędziłem go do zaświatów. A na przykład Błotni Ludzie korzystają z magii, żeby porozumiewać się z duchami przodków, które są za zasłoną, w zaświatach. Musiałem pójść do Świątyni Wichrów, na tamten świat, kiedy Jagang wysłał do niej Siostrę, która przywlokła stamtąd zarazę i wywołała ją na tym świecie.

- A co łączy te wszystkie sprawy?

- Wykorzystanie magii do przerzucenia mostu pomiędzy światami.

- Tak. Ale i coś więcej. Tamte światy istnieją, jednak to nasz świat je definiuje, nieprawdaż?

- Chodzi ci o to, że życie powstaje na tym świecie, a po śmierci Opiekun zabiera dusze do zaświatów?

- Tak. I jeszcze coś, pojmujesz ten związek?

Richard zaczynał się gubić. Dorastał, nie mając pojęcia o magii.

- Znajdujemy się pomiędzy dwoma królestwami?

- Nie, nie całkiem. - Błękitne oczy były uważne i skupione; poczekała, aż chłopak w nie spojrzy, i uniosła palec dla podkreślenia wagi swoich słów. - Magia to łącznik pomiędzy światami. Kiedy magia traci na sile, tamte światy nie tylko stają się bardziej od nas odległe, ale i zmniejsza się ich moc na tym świecie. Rozumiesz?

Richard czuł mrowienie gęsiej skórki.

- Chcesz powiedzieć, że tamte światy mają mniejszy wpływ, jak... jak z dzieckiem, które dorosło, więc rodzice mają na nie mniejszy wpływ.

- Tak. - W niknącym blasku dnia jej oczy zdawały się jeszcze błękitniejsze niż zwykle. - Światy oddalają się od siebie, tak jakby dziecko rosnąc opuściło dom. Ale jest w tym jeszcze coś. - Odrobinę pochyliła się w siodle. - Można by rzec, że tamte światy istnieją wyłącznie poprzez ich powiązania z życiem, z naszym światem. - W tej chwili widział w niej wyłącznie osobę, którą naprawdę była: stuosiemdziesięcioośmioletnią czarodziejkę. - Można by nawet rzec - wyszeptała głosem brzmiącym jak echo szeptu - że owe światy przestają istnieć, kiedy brakuje magii łączącej je z naszym.

Richard przełknął ślinę.

- Chcesz powiedzieć, że to jest jak wtedy, kiedy dziecko dorasta i opuszcza dom, a rodzice już nie są tak ważni dla jego istnienia. A kiedy się zestarzeją i umierają, ono żyje dalej, chociaż byli mu niegdyś niezbędni i mocno z nim związani.

- Otóż to - syknęła.

- Świat się zmienia - powiedział, właściwie do siebie. - Nie pozostaje taki sam. Tego chce Jagang. Chce, żeby przestała istnieć magia i tamte światy, bo wtedy będzie mógł mieć ten świat tylko dla siebie.

- Nie - odezwała się cicho Nicci. - Chce tego nie dla siebie, a dla ludzkości. - Richard zaczął się sprzeciwiać, ale go uciszyła. - Znam Jaganga. Mówię ci, w co on wierzy. Może się radować łupami, ale w głębi serca wierzy,

że robi to wszystko dla ludzkości, a nie dla siebie.

Richard nie do końca jej wierzył, ale nie widział powodu, żeby się z nią sprzeczać. Tak czy owak, skoro zachodziły zmiany, to takie istoty jak smoki mogły już wyginać. Te białe kości równie dobrze mogły być szczątkami ostatniego czerwonego smoka.

- Ze względu na takie wydarzenia jak uwolnienie demonów świat mógł się już nieodwołalnie zmienić do tego stopnia, że wymarły magiczne istoty - odezwała się Nicci, zapatrzona w pustkę zmierzchu. - W rozwijającym się świecie, jaki opisałam, może wkrótce zniknąć magia, nawet taka jak nasza. Rozumiesz teraz? Bez owego łącznika ze światami, które mogą już nie istnieć, magia może się nie pojawić, kiedy narodzą się dzieci ludzi mających dar.

Jedno było pewne: kiedy nadejdzie czas, Richard zadba, żeby Nicci przestała istnieć.

Jechali dalej, a chłopak obejrzał się przez ramię w stronę kości, których nie było już widać.

Dobrze po zmierzchu wjechali do miasta. Richard zapytał przechodnia i dowiedział się, że jego nazwa - Ripply - wzięła się od falistego terenu podwzgórza. Było to spokojne miejsce, ukryte w niemal zapomnianym zakątku Midlandów, za którym niegdyś rozciągało się pustkowie, z którego nikt nigdy nie wrócił. Wielu mieszkańców siało pszenicę i hodowało owce na sprzedaż, dla siebie zaś uprawiali małe ogródki i hodowali drobne zwierzęta.

Docierała tu droga z południo-zachodu, z Renwoldu, i wybiegały szlaki wiodące na północ. Ripply stało na skrzyżowaniu szlaków handlowych z Renwoldu, ludów Dzikich i miasteczek z południa i wschodu. Teraz, rzecz jasna, Renwold już nie istniał; miasto splądrował Imperialny Ład. Jedynie duchy zamieszkiwały jego ulice i ucierpią na tym ludzie z Dzikich, którzy sprzedawali tam swoje towary. Ucierpią też ludzie z miast i miasteczek przybywający do Ripply; Ripply czekały ciężkie czasy.

Richard i Nicci wywołali małą sensację. Obcy pojawiali się bardzo rzadko, od kiedy upadł Renwold. Oboje byli zmęczeni; istniała gospoda, ale trwało tam hałaśliwe pijaństwo i Richard nie miał ochoty napytać sobie biedy. Po drugiej stronie miasta stała dobrze utrzymana stajnia i jej właściciel zaofiarował im nocleg na strychu na sianie za jednego srebrnego pensa od osoby. Noc była zimna, a stryszek chronił od wiatru, więc Richard

zapłacił za nich i dodał jeszcze trzy srebrne pensy za konie: żeby się nimi zajęto i nakarmiono je. Małomówny właściciel stajni był tak zadowolony z dodatkowego pensa za konie, że zaproponował chłopakowi, że zadba o ich podkowy. Richard podziękował mu i powiedział, że są zmęczone. Mężczyzna po raz pierwszy się uśmiechnął i rzekł:

- Zaopiekuję się waszymi końmi. Mam nadzieję, że będziecie dobrze spać, ty i żona. Dobranoc.

Richard wszedł za Nicci po drewnianej drabinie ustawionej na tyłach stajni. Usiedli na sianie i zjedli zimną kolację, słuchając, jak właściciel daje ich koniom ziarna i wody. Richard i Nicci mało co mówili podczas jedzenia, potem owinęli się pelerynami i zasnęli. Kiedy się obudzili tuż po świcie, zobaczyli mały tłumek chudych dzieci i dorosłych o zapadniętych policzkach, którzy przybyli, żeby zobaczyć „bogaty” przyjezdnych. Najwyraźniej to właśnie ich konie, lepsze niż te od bardzo dawna umieszczane w stajni, dały powód do takich plotek i domysłów.

Richard pozdrowił ludzi, ale odpowiedziały mu wyłącznie bezmyślne spojrzenia. Kiedy szli z Nicci do sklepu mieszczącego się kilka burych budynków dalej, wszyscy ciągnęli za nimi, jakby byli odwiedzającą miasto królewską parą i jakby wszyscy chcieli się przekonać, na co ci wysoko urodzeni przeznaczą dzień. Kozy i dzieciaki, płaczące się po ulicach Ripply, rozbiegały się przed orszakiem. Mleczna krowa, żująca brązową trawę za sklepem z wyrobami skórzanymi, przerwała na chwilę i też się im przyjrzała. Stojący na pniaku kogut z irytacją zatrzepotał skrzydłami.

Kiedy śmielsze dzieci zapytały, kim są, Nicci odpowiedziała, że zwykłymi podróżnymi, mężem i żoną, szukającymi pracy. Wiadomość skwitowano sceptycznymi chichotami. Ludzie brali Nicci, odzianą w elegancką czarną suknię, za królową szukającą królestwa. O Richardzie mieli równie wysokie mniemanie.

Gdy starszy chłopiec zapytał, gdzie zamierzają szukać pracy, bo w Ripply jej raczej nie ma, Nicci odparła, że udają się do Starego Świata. Niektórzy z dorosłych zabrali dzieci i pospiesznie odeszli. Większość jednak dalej szła tuż za Nicci i Richardem.

Dotarli do sklepu z żywnością i właściciel, starszy człowiek, uprzejmie odprawił ludzi od drzwi, kiedy Richard wszedł do środka. Stamtąd chłopak patrzył, jak mieszkańcy stają się śmielsi i zaczynają wyciągać ręce do Nicci,

prosząc o pieniądze, o leki, o żywność. Bo Nicci została z nimi, pytając o ich kłopoty i potrzeby. Chodziła wśród ciżby, oglądała dzieci. Jej twarz miała ów pusty wyraz, którego Richard nie lubił.

- Czym mogę służyć? - zapytał właściciel.

- Co to za ludzie? - odpowiedział pytaniem Richard. Wyrżał przez lśniące czystością okienko: Nicci stała pośrodku odzianego w łachmany tłumu i mówiła, jak Stwórca bardzo ich kocha. Słuchali, jakby była dobrym duchem przybyłym, żeby ich pocieszyć.

- Ooo, najróżniejsi - odparł właściciel sklepu. - Większość przywędrowała ze Starego Świata, kiedy zniknęła bariera. Niektórzy to miejscowi nicponie, pijacy i tak dalej, co to równie często kradną i żebrzą, jak pracują. Kiedy się zjawili obcy ze Starego Świata, część miejscowych przyjęła ich zwyczajem. Przejżdżają tędy kupcy. Ludzie, którzy muszą chronić swoje towary, przekonali się, że mają mniej kłopotów, jeżeli są hojni dla takich jak ci tam. Niektórzy z tych przed sklepem to ludzie, co wpadli w tarapaty: wdowy z dziećmi nie mogące znaleźć męża, i tak dalej. Kilku wciąż dla mnie pracuje, jeżeli mam robotę, ale większość nie.

Richard już miał dać sklepikarzowi listę zakupów, kiedy do sklepu wpłynęła Nicci.

- Potrzebuję pieniędzy, Richardzie.

Zamiast się z nią sprzeczać, podał jej sakwę. Nabrała pełną garść srebra i złota. Sklepikarz szeroko otworzył oczy na widok monet, które trzymała w dłoni. Nicci nie zwróciła na niego uwagi. Chłopak niemal rozdziawił usta, patrząc, jak Siostra rozdaje zgromadzonym pieniądze. Ludzie machali rękami i sięgali ku niej. Krzyczeli coraz głośniejsze. Kilku uciekło z tym, co im dała.

Richard otworzył sakwę, spojrzał, ile zostało. Niewiele. Z trudem wierzył, że mogła coś takiego zrobić. To było bez sensu.

- Dostanę mąkę jęczmienną, owsiankę, ryż, bekon, soczewicę, suchary i sól? - zapytał sklepikarza.

- Owsianki brak, ale mam resztę. Ile potrzebujesz?

Richard obliczał w myślach. Mieli przed sobą długą podróż, a Nicci właśnie rozdała większość pieniędzy. Zużyli już sporą część zapasów. Położył na ladzie sześć srebrnych pensów.

- Tyle, ile za to dostaniemy. - Zdjął plecak i postawił obok monet.

Właściciel zebrał monety i westchnął nad tym, co mógł zarobić. Zaczął ściągać towary z półki i wkładać je do plecaka. Richard poprosił jeszcze o parę drobiazgów, o których sobie przypomniał, i dołożył kolejną monetę.

Chłopak miał jedynie kilka srebrnych pensów i dwie srebrne korony; nie zostały żadne złote monety. Nicci rozdała więcej pieniędzy, niż spora część tych ludzi widziała w ciągu całego swojego życia. Richard - martwiąc się, za co kupią w przyszłości żywność - zarzucił na barki plecak załadowany przez sklepikarza i wyszedł pospiesznie w nadziei, że może trochę pohamuje Nicci.

A ona prawiała o tym, że Stwórca kocha każdego człowieka, i błagała o wybaczenie okrucieństwa ludzi pozbawionych serca i nie troszczących się o bliźnich; właśnie podawała ostatnią złotą monetę nie ogolonemu, bezzębnemu mężczyźnie. Wyszczерzył dziąsła w podzięce, a potem oblizał wyschnięte wargi. Richard wiedział, jak ów człowiek je zwilży. Ku Nicci wyciągały się inne błagające dłonie.

Strapiony chłopak złapał Nicci za ramię i odciągnął w tył. Odwróciła się ku niemu.

- Musimy wracać ku stajniom - powiedziała.

- Też tak myślę - odparł, tłumiąc gniew. - Miejmy nadzieję, że stajenny już skończył i będziemy mogli odjechać.

- Nie - odparła z ponurą stanowczością. - Musimy sprzedać konie.

- Co takiego?! - Richard zdumiał się gniewnie. - A mogę choć spytać dlaczego?

- Żeby podzielić się tym, co mamy, z tymi, którzy nie mają nic.

Richardowi zabrakło słów. Tylko się w nią wpatrywał. Jak będą podróżować? Krótco się nad tym zastanowił i uznał, że nie dba o to, jak szybko dotrą tam, dokąd ona go prowadzi. Ale będą musieli wszystko nieść. Był leśnym przewodnikiem, przyzwyczajonym do dźwigania plecaka, więc wiedział, że da radę iść pieszo. Westchnął i ruszył ku stajniom.

- Musimy sprzedać konie - oznajmił właścicielowi.

Tamten zmarszczył brwi, popatrzył na konie w boksach i przeniósł chmurny wzrok na Richarda. Wyglądał jak rażony piorunem.

- To piękne, krzepkie konie, panie. Nie mamy tu takich.

- Ale wiesz - stwierdziła Nicci.

Spojrzał na nią z zakłopotaniem. Większość ludzi tak na nią patrzyła:



albo z powodu jej zdumiewającej urody, albo z powodu jej chłodnej, a często zarazem potężającej postawy.

- Nie mogę zapłacić tyle, ile są warte.

- I nie prosimy cię o to - rzekła głucho Nicci. - Prosimy jedynie, żebyś je kupił. Musimy je sprzedać. Weźmiemy, ile nam dasz.

Mężczyzna patrzył to na Richarda, to na Nicci. Chłopak uważał, że czuł się zażenowany, tak ich oszukując, ale nie mógł wymyślić, jak zrezygnować z takiej okazji.

- Wszystko, co mogę dać, to cztery srebrne marki za oba.

Richard wiedział, że były warte dziesięć razy tyle.

- I uprząż - dodała Nicci.

Tamten podrapał się po policzku.

- Chyba mógłbym dorzucić jeszcze jedną srebrną monetę, ale to wszystko, na co mnie stać. Przykro mi. Wiem, że są więcej warte, ale jeżeli jesteście zdecydowani mi je sprzedać, to mogę dać tylko tyle.

- Czy jest w mieście ktoś, kto kupiłby je za wyższą cenę? - zapytał Richard.

- Nie sądzę i powiem ci, synu, że uraziłbyś moje uczucia, rozpytując wokół. Nie lubię kantować ludzi i dobrze wiem, że pięć srebrnych marek za konie i uprząż możesz nazwać tylko kaniem.

Stale zerkał na Nicci, najwyraźniej podejrzewając, że cała ta transakcja rozgrywa się poza kontrolą Richarda. Nieruchome spojrzenie jej błękitnych oczu przyprawiałoby każdego o dreszcz niepokoju.

- Przyjmujemy twoją ofertę - stwierdziła pewnym głosem Siostra. - Jestem przekonana, że jest uczciwa.

Mężczyzna westchnął, trochę spłoszony tą gratką.

- Nie mam przy sobie takiej sumy. Pójdę do domu. - Wskazał kciukiem przez ramię. - O, tam, za stajnią. Przyniosę pieniądze, zechciejcie minutkę poczekać.

Nicci skinęła głową, więc spiesznie odszedł, nie tyle paląc się do tego, by sfinalizować zakup, pomyślał Richard, ile po to, żeby zejść jej z oczu.

Chłopak popatrzył na nią, czuł, jak krew napływa mu do twarzy.

- A cóż to takiego?

Przez uchylone drzwi dojrzał, że dalej stoi tam tłumek, który szedł za nimi aż tutaj.

Nicci zignorowała to pytanie.

- Spakuj tyle rzeczy, ile uniesiesz. Odchodzimy stąd, jak tylko tamten wróci.

Richard odwrócił od niej gniewny wzrok. Podszedł do swoich rzeczy, ułożonych koło boksu Małego, i zaczął upychać do plecaka, ile się dało. Bukłaki przywiązał sobie do pasa, a sakwy zarzucił na ramię. Był przekonany, że właściciel stajni nie będzie narzekał na brak sakw. Chłopak pomyślał, że kiedy dotrą do jakiegoś bogatszego miasta, to może przynajmniej sprzeda sakwy. Nicci również wkładała do plecaka to, co mogła udźwignąć.

Mężczyzna wrócił z pieniędzmi i podał je Richardowi. Nicci wyciągnęła rękę.

- Ja je wezmę.

Spojrzał Richardowi w oczy, a potem podał Nicci monety.

- Dorzuciłem srebrne pensy, którymi mi zapłaciliście. Przysięgam, że to wszystko, co mam.

- Dziękuję - powiedziała Nicci. - To bardzo wielkodusznie z twojej strony, dzielić się tym, co masz. Tak naucza Stwórcy. - Potem odwróciła się, przeszła przez słabo oświetloną stajnię i zniknęła za drzwiami.

- To mój zwyczaj - mruknął mężczyzna za jej plecami. - I Stwórca nie ma nic do tego.

Na zewnątrz, w słońcu, Nicci zaczęła rozdzielać pieniądze, które właśnie dostała za konie. Ludzie rywalizowali o jej łaskę, kiedy szła pomiędzy nimi, mówiąc do nich, zadając pytania. Wreszcie zniknęła, zasłoniły ją uchylone drzwi.

Richard pogłaskał łeb Małego, zarzucił sakwy na ramię i popatrzył na osłupiałego właściciela stajni. Wymienili bezradne spojrzenia.

- Mam nadzieję, że jest dla ciebie dobrą żoną - powiedział tamten na koniec.

Richard chciał powiedzieć, że Nicci jest Siostrą Mroku, że jest jej więźniem, lecz uznał, że to by nic nie dało. Nicci postawiła sprawę jasno: on jest Richardem Cypherem, jej mężem, a ona Nicci Cypher, jego żoną. I ostrzegła, żeby się tego trzymał - dla dobra Kahlan.

- Jest szczodra - odparł chłopak. - Dlatego się z nią ożeniłem. Jest dobra dla ludzi.

Usłyszał krzyk kobiety i wrzaski. Skoczył ku uchylonym drzwiom i wybiegł w jasny blask poranka. Nikogo nie zobaczył. Pognał za węgiel stajni, skąd słyszał szamotaninę.

Sześciu mężczyzn trzymało Nicci na ziemi, okładając ją pięściami, kiedy starała się ich odepchnąć. Inni szarpali ją, szukając sakiewki. Bili się o to, co do nich nie należało, choć jeszcze tego nie mieli. Otaczał ich kręgiem tłumek kobiet, dzieci i mężczyzn, jak sępy czekające na resztki.

Richard przedarł się przez ten tłumek, złapał najbliższego z mężczyzn za kołnierz i odrzucił w tył. Biedak był chudy, więc przeleciał w powietrzu i łupnął o ścianę stajni. Cały budynek się zatrzęsł. Chłopak kopnął drugiego w zębra, zrzucając go z Nicci, aż się przetoczył po ziemi. Trzeci odwrócił się i solidnie zamachnął na Richarda. Chłopak złapał jego pięść i wyginał ją, aż usłyszał trzask i mężczyzna wrzasnął. Wtedy reszta rozbiegła się na wszystkie strony.

Richard ruszył za jednym z nich, ale Nicci nagle się na niego rzuciła i powstrzymała go.

- Richardzie! Nie!

Chłopak, pragnący za wszelką cenę odpłacić się napastnikom, o mało nie uderzył jej w twarz. Zorientował się jednak, że to ona, opuścił pięść i tylko patrzył groźnie na tłumek.

- O, dobry panie, o, dobra pani - zabiedoliła jedna z kobiet - miejcie litość nad biednymi ludziami. My tylko nieszczęsne biedaczyny Stwórcy. Ulitujcie się nad nami.

- Jesteście bandą złodziei! - ryknął Richard. - Okradacie tę, która starała się wam pomóc!

Próbował się wyrwać i rzucić na nich, ale Nicci powstrzymała jego pięść.

- Nie, Richardzie!

Ludzie uciekli jak myszy przed rozeźlonym kocurem. Nicci puściła rękę Richarda. Dopiero teraz zauważył, że ma okrwawione usta.

- Co z tobą? Rozdajesz pieniądze ludziom, którzy woleliby cię ograbić, niż poczekać, aż je im dasz z własnej woli? Dlaczego dajesz pieniądze takiej hołocie?

- Dosyć. Nie będę słuchać, jak obrażasz dzieci Stwórcy. Kim jesteś, żeby ich osądzać? Jak możesz ty, z pełnym brzuchem, decydować, co słuszne? Nie masz pojęcia, przez co ci biedacy przeszli, a tak szybko ich osądzasz.

Richard głęboko odetchnął, żeby się uspokoić. Ponownie przypomniał sobie o tym, co najważniejsze, co zawsze powinien mieć w pamięci. Tak naprawdę nie Nicci chronił.

Wyciągnął z plecaka rękaw koszuli, zwilżył go wodą z jednego z przywiązanych do pasa bukłaków i ostrożnie otarł jej okrwawione wargi i brodę. Nicci krzywiła się, ale bez protestów pozwoliła obetrzeć rany.

- Nie jest tak źle - pocieszył ją. - Tylko ranka w kącie ust. Nie ruszaj się.

Stała spokojnie, kiedy podtrzymywał jej głowę jedną dłonią, a drugą ocierał krew z reszty twarzy.

- Dziękuję, Richardzie. - Zawahała się. - Byłam pewna, że jeden z nich podetnie mi gardło.

- Dlaczego nie skorzystałaś ze swojej Han, żeby się bronić?

- Zapomniałaś? Wtedy musiałabym odciągnąć moc z zespolenia podtrzymującego życie Kahlan.

Spojrzał w jej błękitne oczy.

- Chyba zapomniałem. W takim razie dziękuję, że się od tego powstrzymałaś.

Nicci milczała, kiedy wychodzili z Ripply, dźwigając na plecach cały swój majątek. Dzień był chłodny, ale wkrótce pot zrosił czoło Richarda. W końcu już nie mógł tego znieść.

- Może wreszcie raczysz mi powiedzieć, o co chodziło?

Poruszyła brwiami.

- To byli biedacy.

Richard ścisnął palcami grzbiet nosa, zamilkł na chwilę, z całej siły starał się być dla niej uprzejmy.

- I dlatego dałaś im wszystkie nasze pieniądze?

- Czy jesteś tak samolubny, że nie chcesz się dzielić tym, co masz? Że każesz głodnym umrzeć z braku pożywienia, zamarznąć tym, co nie mają odzienia, skonać chorym? Czyżby pieniądze znaczyły dla ciebie więcej niż ludzkie życie?

Chłopak przygryzł wewnętrzną stronę policzka, żeby pohamować wściekłość.

- A konie? Oddałaś je za nic.

- Tylko tyle mogliśmy dostać. Tamci ludzie byli w potrzebie. To było najlepsze, co mogliśmy zrobić w tych okolicznościach. Mieliśmy obowiązek

pokonać samolubstwo i radośnie dać tym ludziom to, czego potrzebowali.

Żadna droga nie wiodła w stronę, w którą szli, poprzez to, co jeszcze niedawno było pustkowiem, z którego nikt nie wracał.

- Potrzebowaliśmy tego, co mieliśmy - odezwał się.

Nicci spojrzała mu w oczy.

- Są rzeczy, których się musisz nauczyć, Richardzie.

- Czyżby?

- Miałeś w życiu szczęście. Miałeś możliwości, których zwykli ludzie nigdy nie mieli. Chcę, żebyś się dowiedział, jak muszą żyć zwyczajni ludzie, jak muszą walczyć o przetrwanie. Kiedy będziesz żyć jak oni, zrozumiesz, dlaczego Ład jest tak niezbędny, dlaczego Ład jest jedyną nadzieją ludzkości. Kiedy dotrzemy do celu, nie będziemy mieli niczego. Będziemy jak wszyscy biedacy na tym paskudnym świecie, którzy mają niewielkie szansę, żeby sobie samodzielnie poradzić. Nie masz pojęcia, jak to jest. Chcę, żebyś doświadczył, jak współczucie Ładu pomaga zwyczajnym ludziom żyć z godnością, do której mają prawo.

Richard spojrzał na rozciągającą się przed nimi pustą krainę. Siostra Mroku, która nie mogła korzystać ze swojej mocy, i czarodziej, któremu zakazano posługiwać się mocą. Istotnie, już nie mogli być bardziej zwyczajni, uznał.

- Myślałem, że to ty się chcesz uczyć.

- Jestem również twoją nauczycielką. A nauczyciele niekiedy uczą się więcej niż ich uczniowie.

## ROZDZIAŁ 31

Zedd uniósł głowę, kiedy usłyszał dalekie granie rogów. Z całych sił starał się odzyskać jasność umysłu. Odrętwiały, ledwo świadomy, dawno już przestał odczuwać lęk. Takie granie rogów miało sygnalizować zbliżanie się zaprzyjaźnionych oddziałów. Pewnie któraś z grup zwiadowczych albo kolejny transport rannych.

Czarodziej stwierdził, że leży na ziemi z rozrzuconymi nogami. Uświadomił sobie, że spał, wspierając głowę na piersi jakiegoś krzepkiego poległego żołnierza. Przypomniawszy sobie, że próbował wszystkimi znanymi sobie sposobami uleczyć straszliwie poranionego człowieka. Odsunął się od zwłok i usiadł.

Przetarł oczy; chciał się pozbyć tak wewnętrznego mroku, jak i ciemności nocy. Już nie potrafił cierpieć. Dokoła wisiał gryzący, gęsty jak mgła dym. W powietrzu unosił się ciężki, dławiący odór krwi. Tu i ówdzie płonął ogień, podbarwiając pomarańczowo niesiony wiatrem dym. W lodowatym powietrzu nocy płynęły jęki rannych leżących na nasiąkniętej krwią ziemi. Gdzieś daleko ktoś krzyczał z bólu. Zedd przetarł czoło dłonią i zdał sobie sprawę, że ma na rękach rękawice z zakrzepłej krwi tych, których próbował uleczyć. A było to zadanie bez końca.

W pobliżu leżały szczątki pni rozsadzonych przez pozostające na usługach wroga osoby z magicznym darem. A wśród tych szczątków leżały ciała zabitych - były poszarpane lub przebite dużymi drzazgami. Uczyniły to dwie z Sióstr Jaganga, tuż przed zmrokiem, kiedy oddziały D'Harańczyków zbierały się w kotlinie w przekonaniu, że bitwa dobiegła końca. Zedd i Warren położyli kres masakrze, zabijając Siostry ogniem czarodzieja. Tępy ból głowy uświadomił czarodziejowi, że spał najwyżej kilka godzin. Musiało być około północy. Bitwa wlokła się przez pierwszą noc stosunkowo niewielkimi potyczkami, a na dobre rozgorzała o świcie drugiego dnia. Walki ustały, kiedy zapadła druga noc. Zedd rozejrzał się wokół i pomyślał, że przynajmniej na razie panuje spokój.

Dotarli do kotliny i udało się im pociągnąć Ład za sobą, z dala od innych dróg w głąb Midlandów - ale za jaką cenę. Nie mieli większego wyboru, jeśli chcieli wciągnąć wroga w walkę, zachować jakąś szansę na zrealizowanie

celów i nie zostawić Ładowi swobodnego dostępu do Midlandów. Do tej pory udało im się zastopować Ład. Ale Zedd nie wiedział, na jak długo.

Na nieszczęście na razie Ład brał górę w walce.

Zedd się rozejrzał. Był to nie tyle obóz, ile raczej miejsce, gdzie żołnierze padli z wyczerpania na ziemię. Tu i ówdzie sterczały wbite w ziemię strzały i piki. Padały jak deszcz, gdy czarodziej przez obie noce starał się uzdrawiać rannych. Za dnia, w bitwie, wykorzystał wszelkie znane sobie moce. To, co się zaczęło jako przemyślane, wprawne i precyzyjnie nakierowane działanie, na koniec zmieniło się w magiczny odpowiednik burdy.

Zedd podniósł się chwiejnie, zaniepokojony dalekim tętentem koni. Rogi zagrały bliżej obozu, potwierdzając ostrzeżenie, by powstrzymać strzały i piki, bo to przyjazne oddziały. Odgłosy wskazywały, że pędzi o wiele więcej koni, niż liczył którykolwiek z ich patroli. Czarodziej starał się sobie przypomnieć, czy dosłyszał magiczną nutkę świadczącą, że to naprawdę ich rogi. Otumaniony zmęczeniem, zapomniał zwrócić na to uwagę. Wiedział, że tak właśnie ginęli ludzie - przez zaniedbanie takich szczegółów.

Wszędzie dokoła krzatali się żołnierze - nieśli strawę, wodę, płótno na bandażę lub wieści i raporty. Tu i ówdzie Zedd widział Siostry uzdrawiające rannych. Inni żołnierze naprawiali wozy i sprzęt, na wypadek gdyby trzeba było się gdzieś pospiesznie przenieść. Niektórzy siedzieli, patrząc przed siebie. Inni błakali się w oszołomieniu.

W słabym świetle mało co było widać, ale czarodziej widział na tyle dobrze, by dostrzec, że ziemia była usiana poległymi, rannymi i wyczerpanymi. Ognie - tak pomarańczowo-żółte płomienie palących się wozów, jak i zielone magiczne ognie - pozostawiono, żeby się dopaliły. Wszędzie leżały konie i żołnierze: nieruchome, martwe ciała rozdarte okropnymi ranami. Zmieniały się bitewne pola, ale nie sama bitwa. Teraz nadszedł czas bezradności i szoku. Zedd pamiętał z młodości odór krwi i śmierci zmieszany z tłustym dymem. Wciąż było tak samo. Pamiętał, jak w tamtych bitwach myślał, że świat oszalał. Wciąż miał takie wrażenie.

Przybliżał się tętent kopyt. Zedd słyszał jakiś tumult, ale nie mógł się zorientować, w czym rzecz. Po prawej zauważył człapiącą ku niemu przygarbioną kobietę. Rozpoznał znajome utykanie Adie. Idąca w pewnej odległości za nią druga kobieta to prawdopodobnie Verna. Trochę dalej kapitan Meiffert słuchał wymówek generała Leidena. Obaj spojrzeli w

kierunku, z którego dobiegał tętent.

Zedd popatrzył w mrok zmrużonymi oczami - w oddali żołnierze rozbiegali się przed masą jeźdźców. Machali rękami, jakby na powitanie. Kilku znalazło siły na słabe radosne okrzyki. Wielu wskazywało ku czarodziejowi, kierując przybyszy ku niemu. Jako Pierwszy Czarodziej stał się dla wszystkich centralnym punktem. D'Harańczycy liczyli, że z braku Richarda będzie ich magią przeciwko magii. Siostry liczyły na jego doświadczenie w niebezpiecznej magicznej sztuce wojennej.

W migotliwym blasku płonących bez dozoru ogni Zedd obserwował zbliżającą się nieustępliwie kolumnę jeźdźców, migoczące w blasku płomieni zbroje i oręż, lśniąco kolczugi i błyszczące buty, kiedy rząd za rządem mijali palące się wozy i zapory. Rozpędzona kolumna nie zwalniała przed niczym, oczekując, że żołnierze usuną się z drogi. Na jej czele powiewały długie proporce przyłączone do pionowo ustawionych kopii. Proporce i chorągwie łopotały w chłodnym powietrzu nocy. Ziemia grzmiała pod kopytami pędzących koni. Mknęli jak nadciągająca z mogiły kompania widm.

Kompania jeźdźców pędziła galopem przez środek obozu, a pomarańczowy i zielony dym, podświetlony przez niesamowity blask płomieni, rozwiewał się na boki.

Zedd wreszcie dojrzał, kto ich prowadził.

- Drogie duchy... - wyszeptał.

Na czele kolumny, dumnie wyprostowana na potężnym koniu, jechała kobieta w skórzanym pancerzu i futrzanej pelerynie powiewającej jak chorągiew.

To była Kahlan.

Nawet z tej odległości Pierwszy Czarodziej widział sterczącą ponad jej lewym ramieniem i połyskującą w blasku płomieni srebrno-złotą rękojeść Miecza Prawdy.

Zedd zdrętwiał z przerażenia.

Poczuł dłoń na ramieniu i odwrócił się - to była Adie, jej pobielale oczy wpatrywały się z lękiem w to, co widziała jedynie dzięki swojemu darowi. Verna wciąż jeszcze szła ku nim pośród rannych. Kapitan Meiffert i generał Leiden spieszenie podążali śladem Ksieni.

Kolumna rozciągała się za Kahlan, jak daleko czarodziej mógł sięgnąć



wzrokiem. Mknęli ku niemu, gromadząc po drodze wiwatujących żołnierzy. Zedd zamachał ramionami, żeby Kahlan go dostrzegła, ale wyglądało na to, że cały czas wbijała weń wzrok.

Konie zatrzymały się przed czarodziejem, parskając, tupiąc i potrząsając opancerzonymi łbami. Strumienie pary buchały z ich nozdrzy w lodowate powietrze. Potężne mięśnie grały pod lśniącą skórą, kiedy uderzały kopytami w ziemię. Gotowe do ruszenia galopem, smagały się po bokach ogonami.

Kahlan powiodła dokoła baczny wzrokiem. Zewsząd nadbiegali żołnierze. Ci, którzy już stali wokół, przyglądali się im z podziwem. Jeźdźcy byli Galejczykami.

Kahlan na pewien czas zajęła miejsce swojej przyrodniej siostry Cyrilli i do chwili jej wyzdrowienia była królową Galei. Przyrodni brat dziewczyny, Harold, był dowódcą armii galejskiej i nie chciał korony; uważał, że lepiej będzie służył swojej krainie jako żołnierz. Kahlan też miała w żyłach galejską krew, chociaż dla Matki Spowiedniczki nie miało to znaczenia. Ale miało znaczenie dla Galejczyków.

Kahlan przerzuciła prawą nogę ponad końskim karkiem i zsunęła się na ziemię. Uderzenie butami o glebę zabrzmiało jak gong oznajmiający przybycie Matki Spowiedniczki. Cara - w czerwonym skórzanym uniformie i futrzanej pelerynie - także zeskoczyła z wierzchowca.

Zmęczeni walką żołnierze milczeli, urzeczeni. Była nie tylko Matką Spowiedniczką. Była żoną lorda Rahla.

Zedd popatrzył w zielone oczy i przez mgnienie pomyślał, że dziewczyna rzuci mu się w ramiona i rozsłocha. Mylił się.

Kahlan zdjęła rękawice.

- Meldunek.

Nosiła czarny, lekki skórzany pancerz; u lewego biodra miała królewski galejski miecz, u prawego - długi nóż. Gęste włosy spływały dumnie na okrycie z wilczych futer narzucone na czarną wełnianą pelerynę. W Midlandach długość włosów świadczyła o randze i pozycji społecznej kobiety. Żadna z midlandzkich kobiet nie miała tak długich włosów jak Kahlan. Ale to stercząca zza jej ramienia rękojeść miecza przykuwała wzrok Zedda.

- Kahlan - wyszeptał, podchodząc ku niej - gdzie jest Richard?

Zniknął ból, który przez mgnienie widział w jej oczach. Rzuciła gniewne spojrzenie ku Vernie, bo młoda Ksieni wciąż jeszcze spieszyła ku nim wśród rannych, i zerknęła na czarodzieja pałającymi zielonymi oczami.

- Wróg go pojmał. Melduj.

- Wróg? Jaki wróg?

Raz jeszcze przeniosła gniewny wzrok na Verne. Ksieni zeszywniała i zwolniła.

Kahlan ponownie spojrzała na Zedda. Jej oczy złagodniały współczuciem dla lęku, który dostrzegła na jego twarzy.

- Zabrała go Siostra Mroku, Zeddzie. - Z oczu i głosu zniknęła nutka serdeczności; dziewczyna znów przybrała chłodną, pozbawioną wyrazu „twarz Spowiedniczki”. - Złóż raport, proszę.

- Zabrała go? Ale... ale nic mu nie jest? Został jej więźniem? Chcą okupu? Nic mu nie jest?

Dotknęła kącika ust i dopiero wtedy czarodziej dostrzegł opuchniętą ranę.

- O ile wiem, jak dotąd nic mu się nie stało.

- No to co się dzieje? - Zedd wyrzucił w górę kościste ramiona. - O co chodzi? Co ona zamierza?

Verna wreszcie stanęła przy lewym boku czarodzieja. Kapitan Meiffert i generał Leiden dobiegli i znaleźli się obok Adie, po prawej ręce Zedda.

- Która Siostra? - spytała Verna, wciąż jeszcze zadyszana. - Mówiłaś, że Siostra go pojmała. Która?

- Nicci.

- Nicci... - zająknął się kapitan Meiffert. - Pani Śmierci?

Kahlan spojrzała mu w oczy.

- Właśnie ona. Czy ktoś wreszcie złoży mi raport?

Nie można było nie zauważyć dźwięczącego w jej głosie gniewu, rozkazu. Kapitan Meiffert wskazał na południe.

- Matko Spowiedniczko, armia Imperialnego Ładu, cała armia, ruszyła wreszcie z Anderithu. - Tarł czoło, starając się zebrać myśli. - Chyba wczoraj rano, o ile się nie mylę.

- Chcieliśmy ich wciągnąć tutaj, w kotliny - wtrącił czarodziej. - Zamierzaliśmy odciągnąć ich z równin, gdzie nie moglibyśmy ich powstrzymać, i sprowadzić w okolice dające po temu lepsze możliwości.

- Wiedzieliśmy - podjął kapitan Meiffert - że byłby to fatalny błąd, gdybyśmy pozwolili im przejść obok nas i bez przeszkód wkroczyć w Midlandy. Chcieliśmy sprowokować ich do działania, żeby nie mogli zaatakować ludności. Musieliśmy nawiązać kontakt bojowy i powstrzymać ich. Jedynym sposobem było skłonienie wroga, żeby ruszył za nami z równin, gdzie miał przewagę, na obszary, gdzie szansę byłyby bardziej wyrównane.

Kahlan potaknęła, wodząc wzrokiem po ponurym poboju.

- Ilu ludzi straciliśmy?

- Chyba z piętnaście tysięcy - odezwał się kapitan Meiffert. - Ale to tylko domysł. Może więcej.

- Oskrzydlili was, nieprawdaż. - To nie zabrzmiało jak pytanie.

- Tak jest, Matko Spowiedniczko.

- Co się nie powiodło?

Stojące za nią galejskie oddziały tworzyły ponurą ścianę skórzanych pancerzy, kolczug i stali. Oficerowie o ostrym spojrzeniu patrzyli i słuchali.

- A co się powiodło? - burknął Zedd.

- Skądś wiedzieli, co zamierzamy - wyjaśnił kapitan. - Choć sędzę, że nietrudno się było domyślić, skoro każdy by pojął, że to była nasza jedyna szansa, jeśli zważyć na ich liczebność. Byli przekonani, że i tak nas pokonają, więc nie pokrzyżowali nam planów.

- Ponownie pytam, co poszło źle?

- Co poszło źle! - przerwał jej gniewnie generał Leiden. - Liczebnie górowali nad nami ponad wszelkie wyobrażenie! Oto, co poszło źle!

Kahlan wbiła weń zimne spojrzenie. Opamiętał się, przyklęknął.

- Moja królowo - dodał oficjalnie i zamilkł.

Spojrzenie Kahlan wróciło do kapitana Meifferta i nieco złagodniało. Zedd zauważył, że kapitan zacisnął pięści, kiedy podjął raportowanie.

- Jakoś im się udało, Matko Spowiedniczko, przeprowadzić dywizję przez rzekę. Jesteśmy prawie pewni, że nie skorzystali z otwartych terenów ku wschodowi, czego się obawialiśmy i na co byliśmy przygotowani.

- Czyli - stwierdziła Kahlan - doszli do wniosku, że uznacie to za niemożliwe, i wysłali przez rzekę dywizję, a najpewniej więcej wojska, żeby uzupełnić straty poniesione przy przeprowie. Następnie przeszli na północ przez góry, czego nikt nie podejrzewał, nie dostrzegł i nie wykrył, a potem

znów przeprawili się na tę stronę rzeki. I czekali tu na was, zajmując tę pozycję, którą wy zamierzaliście zająć. Ład następował tuż za wami, więc nie mieliście możliwości manewru. Wróg chciał was zmiażdżyć między czekającą tu dywizją a resztą armii.

- Tak właśnie było - potwierdził kapitan Meiffert.

- Co się stało z czekającą tu dywizją? - spytała.

- Starliśmy ich z powierzchni ziemi - odparł kapitan z zimną wściekłością. - Jak tylko się zorientowaliśmy, co zaszło, wiedzieliśmy, że to nasza jedyna szansa.

Kahlan skinęła głową. Dobrze wiedziała, jak ogromny wysiłek kryje się za tymi słowami.

- A wtedy oni zaszli nas od tyłu i rozsiekali! - Generał Leiden znów zaczął tracić zimną krew. - Nie mieliśmy szansy.

- Najwyraźniej mieliście - odparła. - Zdobyliście kotlinę.

- I co z tego?! Nie możemy walczyć z tak licznym wojskiem. Szaleństwem było wydanie żołnierzy na tę rzeź. Po co? Zdobyliśmy kotlinę, ale za jaką straszliwą cenę. Nie zdołamy powstrzymać tak licznej armii! Wybiją nas do ostatniego. Nie powstrzymaliśmy ich, to oni się zmęczyli szatkowaniem nas na kawałki!

Jedni żołnierze odwrócili oczy. Inni wbili wzrok w ziemię. W lodowatym nocnym powietrzu niosły się tylko jęki rannych i potrzaskiwanie ognia.

Kahlan znów się rozejrzała.

- I czemu tak tu siedzicie?

Zedd uniósł brwi, wezbrał w nim gniew.

- To trwało dwa dni, Kahlan.

- I dobrze. Ale nie pozwolę, by wróg zasnął jako zwycięzca. Jasne?

Kapitan Meiffert zasalutował, uderzając się pięścią w serce.

- Jasne, Matko Spowiedniczko. - Obejrzał się przez ramię.

Czujni żołnierze też przyłożyli pięści do serca.

- Matko Spowiedniczko - odezwał się generał Leiden, rezygnując z tytułowania jej królową - ludzie są na nogach od dwóch dni.

- Rozumiem - powiedziała Kahlan. - A my jesteśmy w siodle trzeci dzień, bez żadnej przerwy. Ale i tak trzeba uczynić to, co uczynić trzeba.

W ostrym blasku płomieni bruzdy na twarzy generała Leidena wyglądały jak ziejące rany. Zacisnął wargi i skłonił się swojej królowej, ale kiedy się

wyprostował, dorzucił:

- Moja królowo, Matko Spowiedniczko, chyba się nie spodziewasz, że zaatakujemy nocą. Nie ma księżycy, a chmury prawie całkowicie zasłaniają gwiazdy. W takich ciemnościach atak skończy się nieszczęściem. To szaleństwo!

Po jakimś czasie Kahlan odwróciła lodowaty, gniewny wzrok od keltońskiego generała i przyjrzała się zgromadzonym wokół niej ludziom.

- Gdzie generał Reibisch?

- Boję się, że to właśnie on - z trudem wykrztusił Zedd.

Spojrzała, gdzie wskazywał czarodziej: na zwłoki, przy których zasnął, kiedy starał się uleczyć wojownika. Rudawą brodę plamiła zakrzepła krew. Szarozielone oczy patrzyły, nie widząc; już nie było w nich cierpienia. Zedd wiedział, że to beznadziejne, ale nie mógł nie spróbować uleczyć tego, co nie dawało się uleczyć, nie mógł nie poświęcić na to sił, które mu zostały. Zbyt mało ich miał.

- Kto jest najstarszy rangą? - spytała Kahlan.

- Ja, moja królowo - odparł generał Leiden, wysuwając się naprzód. - Ale jako najwyższy rangą oficer nie mogę pozwolić, żeby moi ludzie...

Kahlan uniosła rękę.

- Wystarczy, poruczniku Leiden.

Odchrząknął.

- Jestem generał Leiden, moja królowo.

Wbiła weń nieprzejeđnany wzrok.

- Jednorazowe kwestionowanie moich słów to zwykła pomyłka, poruczniku. Ale dwukrotne to już zdrada. A zdrajców usuwamy.

W dłoni Cary znalazł się Agiel.

- Odsuń się, poruczniku.

Zedd nawet w niesamowitym pomarańczowym i zielonym blasku ognia dostrzegł, jak blednie twarz Leidena. Mężczyzna cofnął się o krok i roztropnie - choć ponieważ - zamilkł.

- Kto jest najwyższy rangą? - ponownie spytała Matka Spowiedniczka.

- Kahlan - odezwał się Zedd - obawiam się, że Ład wykorzystał czarodziejów do wyłuskania naszych oficerów. Pomimo ogromnych wysiłków straciliśmy chyba wszystkich wyższych rangą. Ale tamci przynajmniej drogo za to zapłacili.

- To kto jest teraz najstarszy stopniem?

Kapitan Meiffert rozejrzał się i w końcu podniósł rękę.

- Wygląda na to, że ja, Matko Spowiedniczko.

- Znakomicie, generale Meiffert.

Pochylił głowę.

- Matko Spowiedniczko - powiedział cichym, poufnym tonem - to nie jest konieczne.

- Nikt nie mówił, że było, generale.

Nowy generał ostrożnie przyłożył pięść do serca. Zedd zobaczył, jak Cara uśmiecha się z ponurą aprobatą. Był to jedyny uśmiech na tysiące obserwujących ich twarze. Nie chodziło jednak o to, że żołnierze tego nie pochwalali; raczej poczuli ulgę, że dowództwo objął ktoś tak stanowczy. D'Harańczycy szanowali żelazną rękę, twardą władzę. Skoro nie mogli mieć swojego lorda Rahla, zaakceptują jego żonę i tego człowieka o żelaznej woli. Mogli się nie uśmiechać, ale Zedd wiedział, że byli zadowoleni.

- Jak już powiedziałam, nie pozwolę, żeby wróg zasnął jako zwycięzca. - Kahlan powiodła wzrokiem po zwróconych ku niej twarzach. - Chcę, by w godzinę był gotów do wyruszenia oddział konnicy.

- Kogo zamierzasz wysłać na taki atak, moja królowo?

Wszyscy wiedzieli, co znaczyło to pytanie byłego generała Leidena. Pytał, kogo wysyłała na śmierć.

- Utworzymy dwa skrzydła. Jedno niepostrzeżenie okrąży obóz Ładu i uderzy od ich południowej strony, tam gdzie się tego najmniej spodziewają. Drugie zaczeka, aż tamto zajmie wyznaczoną pozycję, a potem ruszy stąd, od północy. Chcę, żebyśmy im upuścili trochę krwi, zanim pójdziemy spać. - Spojrzała w oczy porucznika Leidena i odpowiedziała mu na pytanie: - Ja poprowadzę południowe skrzydło.

Wszyscy - z wyjątkiem nowego generała - zaczęli protestować. Głos Leidena wybił się ponad gwar:

- Moja królowo, dlaczego chcesz wysłać naszych ludzi na wypad konnicy?

- Wskazał ciągnące się za nią szeregi jeźdźców: wszyscy byli Galejczykami, tradycyjnymi przeciwnikami Keltończyków, rodaków Leidena. - Przecież mamy ich.

- Oni pomogą pozbierać się tej armii; zluzują tych, którym niezbędny jest wypoczynek, pomogą kopać rowy obronne i pomogą wszędzie tam, gdzie

będzie trzeba. Żołnierze, których tak wykrwawiono, powinni się udać na spoczynek, czując słodki smak zemsty. Nie ośmieliłabym się odebrać D'Harańczykom tego, do czego mają prawo.

Rozległy się wiwaty.

Zedd pomyślał, że jeżeli wojna jest szaleństwem, to owo szaleństwo właśnie znalazło swoją władczynię.

Do Kahlan podszedł generał Meiffert.

- W godzinę przygotuję ludzi, Matko Spowiedniczko. Wszyscy będą chcieli wziąć w tym udział, więc będę musiał odmówić wielu ochotnikom.

Twarz dziewczyny złagodniała, skinęła głową.

- Wybierz kogoś na dowódcę północnego skrzydła, generale.

- Ja poprowadzę północne skrzydło, Matko Spowiedniczko.

- Znakomicie - uśmiechnęła się Kahlan.

Rozesłała galejskie oddziały do nowych obowiązków. Jednym gestem odprawiła pozostałych i przywołała bliżej ścisły krąg.

- A co z napomnieniami Richarda, żeby nie atakować Ładu wprost? - spytała Verna.

- Dobrze pamiętam słowa Richarda. Nie zamierzam bezpośrednio atakować ich głównych sił.

Zedd przypuszczał, że doskonale je pamiętała. W końcu to ona była tam z Richardem, a nie oni. Podjął drażliwą kwestię:

- Główne siły będą pośrodku, dobrze chronione. Na obrzeżu, gdzie zaatakujecie, będą rzecz jasna jakieś umocnienia, ale przede wszystkim napotkacie tam tych, którzy ciągną za wojskiem. Zwłaszcza na południowym skraju obozu.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła z zimną wściekłością. - Skoro towarzyszą Ładowi, to są wrogami. Nie będzie litości. - Patrząc na nowego generała, rozkazała: - Wszystko mi jedno, czy zabijemy ich dziwki, czy generałów. Chcę, żeby zginął każdy piekarz i kucharz, tak samo jak każdy oficer i łucznik. Każdy z zabitych markietanów pozbawi ich tego, co uprzyjemnia im życie. Chcę im odebrać wszystko, w tym i życie. Zrozumiano?

Generał Meiffert potaknął.

- Żadnej litości. Od nas nie usłyszysz sprzeciwu, Matko Spowiedniczko. Takie są prawa wojenne D'Harańczyków.

Zedd zdawał sobie sprawę, że metoda Kahlan była jedynym sposobem uzyskania przewagi w wojnie. Wróg nie znałby litości i zarazem nie potrzebowalby jej, gdyby nie zaatakował. Każda dziwka i każdy handlarz z własnej woli biorą udział w tej inwazji, sami postanowili korzystać, ile się da, z łupów Ładu.

- Matko Spowiedniczko - odezwała się Verna - Ann wybrała się do ciebie i Richarda. Ostatni raz mieliśmy od niej wieści ponad miesiąc temu. Widziałaś się z nią?

- Tak.

Twarde spojrzenie Kahlan sprawiło, że Verna zwilżyła językiem wargi.

- Wszystko z nią było w porządku?

- Tak, kiedy ją ostatnio widziałam.

- Czy wiesz, dlaczego nie przesłała nam ani słówka?

- Wrzuciłam w ogień jej książkę podrózną.

Verna zbliżyła się, chciała złapać Kahlan za ramię. Błysnął Agiel Cary, zagroził Ksieni drogę.

- Nikt nie ma prawa dotknąć Matki Spowiedniczki. - Zimne niebieskie oczy Cary były równie nieubłagane, jak jej głos. - Jasne? Nikt.

- Macie tu Matkę Spowiedniczkę i Mord-Sith, obie w okropnym nastroju - powiedziała opanowanym głosem Kahlan. - Sugeruję, żebyście nie dawali nam pretekstu do wybuchu, bo mógłby potrwać całe wasze życie.

Palce Zedda zacisnęły się na ramieniu Verny i łagodnie odciągnęły ją w tył.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni - odezwał się czarodziej. - Wystarczą nam kłopoty z Ładem. - Posłał Kahlan chmurne spojrzenie. - Ale bez względu na to, jak jesteśmy zmęczeni i zirytowani, pamiętajmy, że stoimy po tej samej stronie.

Oczy Kahlan powiedziały mu, że kwestionuje to stwierdzenie, lecz zmilczała.

Verna zmieniła temat.

- Wybiorę kilku mających dar, żeby towarzyszyli wam w wypadzie.

- Dziękuję, ale nie zabierzemy tych z darem.

- Przecież będziecie ich potrzebować choćby po to, żeby wskazywali wam drogę w ciemnościach.

- Drogę wskażą nam ogniska w obozie wroga.



- Kahlan - wtrącił Zedd w nadziei, że natchnie ją rozsądkiem - Ład będzie miał tych z darem, w tym Siostry Mroku. Potrzebna ci obrona przed nimi.

- Nie. Nie chcę nikogo z magicznym darem. Spodziewają się, że takie osoby będą towarzyszyć każdemu naszemu wypadowi. Ich czarodzieje i czarodziejki będą wypatrywać magicznych osłon. Będą skłonni zlekceważyć każdego jeźdźca, przy którym nie wyczują magii. Głębiej się wędzemy i bardziej ich wykrwawimy, jeśli nie weźmiemy tych z darem.

Verna skwitowała westchnieniem tak niemądry pomysł, ale nic nie powiedziała. Za to generałowi Meiffertowi to się spodobało. Zedd wiedział, że miała rację co do głębszego wdarcia się do obozu wroga, ale wiedział również, że trudniej będzie się wycofać, kiedy wróg na nich ruszy.

- Potrzebowałabym tylko odrobinę magii, Zeddzie.

Zrezygnowany, poskrobał się w czoło.

- Co mam zrobić?

- Spraw, żeby ten pył świecił. - Kahlan wskazała na ziemię. - Chcę, żeby go było widać w mroku i żeby był lepki.

- Na jak długo?

Wzruszyła ramionami.

- Przez resztę nocy, to wystarczy.

Zedd rzucił urok na pylisty kawałek gruntu, nadając mu zieloną poświatę. Kahlan pochyliła się, potarła ziemię dłonią. Potem obesła konia, odbijając lśniąca zieloną dłoń na obu bokach i zadzie zwierzęcia.

- Co robisz? - zapytał czarodziej.

- Jest ciemno. Chcę, żeby mnie widzieli. Nie ruszą za mną, jeśli nie będą mnie mogli dojrzeć w mroku.

Zedd tylko westchnął nad jej szaleństwem. Generał Meiffert przykucnął i też potarł dłonią lśniący pył.

- Też bym nie chciał, żeby nie zauważyli mnie w mroku.

- Ale dokładnie umyj dłonie, zanim wyruszymy - ostrzegła go Kahlan.

Wyjaśniła swój plan nowemu generałowi, a potem wraz z nim i Carą ruszyli do swoich zadań.

Zanim zdążyli odejść zbyt daleko, Zedd zatrzymał Kahlan cichym pytaniem:

- Czy masz jakiś pomysł, jak odzyskać Richarda?

Spojrzała mu zuchwale w oczy.

- Tak. Mam plan.

- Mogłabyś się nim ze mną podzielić?

- To proste. Zamierzam zabić wszystkich z Imperialnego Ładu: każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, aż nie zostanie nikt żywy, a jeśli i wtedy go nie odda, zamierzam i ją zabić.

## ROZDZIAŁ 32

Kahlan zogniskowała wzrok na widocznych za czarną otchłanią jasnych punktach ognisk, pochyliła się nad kłębem galopującego konia i popędzała go, coraz szybciej i szybciej. Napięła mięśnie ud, wbijając stopy w strzemiona i ściskając nogami zgrzane ciało potężnego zwierzęcia; czuła rytmiczne, nieustanne falowanie końskich mięśni, czuła każde potężne uderzenie kopyt o ziemię. W uszach miała grzmot kopyt pędzących z tyłu koni i łomot własnego serca. Czuła na plecach ciężar tkwiącego w pochwie Miecza Prawdy, który stale przypominał jej o Richardzie.

Zacisnęła wodze w jednej dłoni. W drugiej uniosła w górę królewski galejski miecz. Światła się zbliżały. Nieoczekiwanie jedno z nich wyłoniło się z nicości i eksplodowało tuż przed nią.

Przemknęła obok czegoś, co było jak płomyk pojedynczej świecy, i wreszcie tam była. Krzycząc w nagłym wybuchu emocji, którego nie mogła opanować, uderzyła mieczem w ciemną sylwetkę człowieka. Zderzenie klingi z kością szarpnęło nadgarstkiem Kahlan. Rękojeść wbiła się jej w dłoń.

Pędzący za nią żołnierze runęli z furią na pozostałych wartowników. Kahlan zapanowała nad sobą, wiedziała, że czas na wyładowanie się nadejdzie później. Teraz nikt jej tego nie odbierze.

Napływały ku niej ogniska zewnętrznego kręgu obozu. Zesztywniała z oczekiwania. Czuła, że z trudem nad sobą panuje. A potem spadła na nich. Wreszcie tam była. Atakowała, nie szczędząc sił. Klinga opadała raz po raz, uderzając w ich ciała, tnąc każdego, kto znalazł się w jej zasięgu. Zewnętrzne ogniska z oszałamiającą prędkością śmignęły po bokach konia. Z trudem chwytła oddech.

Kahlan przełożyła lejce i ostro zawróciła wielkiego bojowego rumaka. Nie był tak zwinny, jak by chciała, ale dobrze wyszkolony i doskonale nadawał się do tej roboty. Głośno zarżał, podekscytowany zaczynającą się walką.

Dokoła stały bezładnie namioty i wozy. Kahlan słyszała wesoły śmiech tych, którzy jeszcze nie wiedzieli o wtargnięciu wroga. Przeprowadziła niewielki oddział, trzymając ich w grupie, żeby natarcie szerokim frontem nie wznieciło zbyt dużego alarmu. Udało się. Widziała, jak siedzący wokół

ognisk popijają z flasz albo jedzą mięsiwo ze szpikulców. Widziała wystające z namiotów stopy śpiących ludzi. Widziała żołnierza spacerującego z kobietą, którą obejmował w pól. W słabym blasku widziała w namiotach żołnierzy pomiędzy nogami kobiet.

Para - bez wątpienia płatna - była blisko. Kahlan pognąła za nimi, ale mężczyzna był za kobietą i potężny zamach mieczem strącił jej, a nie jego głowę. Ogłupiały żołnierz podtrzymał bezgłowe ciało, kiedy zaczęło się osuwać. Zabił go jeździec jadący tuż za Kahlan.

Spowiedniczka wbiła obcasy w boki konia i pognąła bojowego rumaka przez chaotycznie poustawiane namioty z żołnierzami i kobietami. Czuła, jak potężne kopyta miażdżą kości. Wokół niej i jej wierzchowca buchnęły wrzaski.

Żołnierz z piką stał na rozstawionych nogach, gotował się do ataku. Kahlan wyrwała mu pikę, wbiła ją w mały namiot, okręciła, aż płótno zaczepiło się o haczykowany grot, i cofnęła konia, zrywając namiot znad kobiety i żołnierza. Jadący za nią zakłuli parę, a Spowiedniczka przeciągnęła resztki namiotu przez ognisko. Jak tylko się zajęły, powlokła płonące szczątki ku wozowi i podpaliła płócienną budę. Na koniec rzuciła palące się resztki na inny wóz, wypełniony zapasami.

Kahlan zamachnęła się na odlew mieczem i cięła w twarz krzepkiego człowieka, który nadbiegał, żeby ściągnąć ją z konia. Musiała wyszarpnąć klingę z czaszki. Zanim inni zdążyli ją złapać, znów uderzyła konia obcasami i pomknęła ku kolejnemu ognisku - siedzący wokół niego żołnierze właśnie się podrywali. Koń stratował kilku, ona pchnęła mieczem innego. Wrzaski kobiet wznieciły już alarm i mężczyźni pędzili z namiotów i wozów, trzymając w dłoniach rozmaity oręż. Cała scena przypominała narastające pandemonium.

Kahlan okręciła konia, tnąc każdego, kto znalazł się w zasięgu jej miecza. Wielu z nich nie było żołnierzami. Jej miecz powalał rymarzy i właścicieli wozów, dziwki i najemników. Koń stratował rząd dużych namiotów, w których leczono rannych. Kahlan dostrzegła obok lampy chirurga z igłą i nićmi; zszywał czyjaś nogę. Skierowała tam rumaka, traktując medyka i rannego. Chirurg zasłonił twarz rękami, ale jego ramiona nie osłoniły go przed ciężarem wielkiego bojowego wierzchowca.

Dziewczyna przywołała swoich ludzi. Wojskowi chirurdzy byli bardzo

cenni. D'Harańczycy wybili wszystkich, których wypatrzyli. Wiedziała, że śmierć każdego z nich odpowiadała zabiciu całego mnóstwa wrogich żołnierzy. Kahlan i jej ludzie siali spustoszenie wśród namiotów dziwek, przewracali wozy kuchenne, zabijali żołnierzy i cywili. Kiedy zobaczyli lampy, zeskoczyli z koni, chwycili lampy i wzniecili pożar. Kahlan cięła rozwścieczonego kucharza, który szedł na nią z rzeźnickim nożem. Zabiła go trzema pchnięciami.

Po lewej koń Cary przewrócił żołnierza, który akurat miał rzucić włócznią. Cara bezlitośnie pozbawiła życia jego i każdego, kto znalazł się w jej zasięgu. Agiel zwykle trafiał w serca, ale jeżeli nie, to Kahlan słyszała przynajmniej trzask pękających kości. Pełne bólu lub przedśmiertne wrzaski wrogów były na tyle przeraźliwe, że mogłyby wstrząsnąć umarłym i wzmagaly ogólny zamęt i panikę. Dla uszu Kahlan były wspaniałą muzyką.

Agiel działał tylko dzięki więzi z lordem Rahlem. Nie tracił mocy, więc obie z Carą wiedziały, że Richard żyje. To dodawało Kahlan otuchy; wyłącznie to. Miała wrażenie, że jest przy niej. Przymocowany do pleców miecz chłopaka był jak jego ręka - dotykająca jej, zachęcająca, żeby się rzucała do walki, nakazująca, żeby uderzała.

Masowa rzeź markietanów ciągnących za armią zdezorientowała wrogich żołnierzy i wznieciła panikę wśród ludzi, którzy do tej pory ufali, że im samym nie zagraża przemoc, z której koniec końców czerpali zyski. Teraz zaś z sępów odzierających szczątki zmienili się w bezradne ofiary. Życie w obozie Imperialnego Ładu już nigdy nie będzie takie jak przedtem - Kahlan się o to postara. Żołnierze wroga nie będą się już radować wygodami zapewnianymi przez tych ludzi. Ludzi, którzy będą wiedzieć, że są równie narażeni na ciosy jak wojskowi. Poznają cenę swojego udziału w tym wszystkim. A ceną była bezlitosna śmierć i właśnie nadszedł czas zapłaty.

Kahlan, wyrabując sobie drogę przez tłum biegających w panice i wrzeszczących ludzi, obserwowała sporą grupę koni Imperialnego Ładu; patrzyła, jak żołnierze je siodłają. Prowadziła swojego wierzchowca przez namioty i ludzi, coraz bliżej tamtych, aż była pewna, że kawalerzyści ją usłyszą.

Wtedy stanęła w strzemionach, uniosła wysoko miecz i zamachała nim. Żołnierze znieruchomieli i gapili się.

- Jestem Matką Spowiedniczką! Za zbrodniczy najazd na Midlandy

skazuję was na śmierć! Każdego z was!

Towarzyszająca jej setka żołnierzy wrzasnęła radośnie. Zaintonowali chórem:

- Śmierć Ładowi! Śmierć Ładowi! Śmierć Ładowi!

Kahlan i jej jeźdźcy prowadzili konie rozszerzającym się kołem, trając każdego, kogo zdołali, siekąc każdego, kto znalazł się w zasięgu, dźgając każdego, kto się na nich rzucał, i podpalając wszystko, co się mogło zająć. D'Harańczycy byli najlepsi w tej robocie i wykonywali ją z olśniewającą skutecznością. Kiedy natrafili na wóz z olejem, rozbili beczki i rzucili na nie płonące główne. Noc rozbłysła jak dzień. Teraz wszyscy mogli wyraźnie zobaczyć Kahlan gnającą między nimi i wykrzykującą wydany na nich wyrok śmierci.

Dziewczyna zobaczyła, że jazda Ładu znalazła się w siodłach, że dobywa mieczy, łapie włócznie. Poderwała konia dęba, wysoko uniosła miecz.

- Jesteście tchórze! Nigdy mnie nie złapiecie, nigdy nie pokonacie! Zginiecie jak tchórze, którymi jesteście wobec Matki Spowiedniczki!

Koń opadł, wbiła mu obcasy w zębra. Runął wyciągniętym galopem; tuż obok gnała Cara, z tyłu setka jej ludzi, a za nimi kilka tysięcy rozwścieczonych kawalerzystów Imperialnego Ładu, do których dołączali coraz to nowi.

Byli na obrzeżu obozu, więc wkrótce znaleźli się poza nim, na otwartej przestrzeni. Kiedy pędzili z powrotem, Kahlan zabijała każdego, kto im się nawinął. Było zbyt ciemno, żeby wiedzieć, czy to mężczyźni, czy kobiety, ale to i tak nie miało znaczenia. Chciała, żeby wszyscy stracili życie. Czuła rozkoszną ulgę za każdym razem, kiedy jej miecz ciął mięsień lub łamał kość.

W pełnym galopie minęli ostatnie ogniska i nagle zanurzyli się w czerń nocy. Kahlan pochyliła się na muskularny kark swojego konia; pędzili na zachód, mając nadzieję, że nie natrafiają na żadną dziurę w ziemi. Gdyby jednak natrafili na jakąś, byłoby nie tylko po jej koniu, ale i - najprawdopodobniej - po niej.

Dobrze znała te tereny: łagodne wzgórza i znajdujące się dalej urwisko. Wiedziała, gdzie jest, nawet w ciemnościach, i wiedziała, dokąd zdąży. Liczyła na to, że wróg nie ma o tym pojęcia. W dezorientujących ciemnościach pewnie wpatrują się w lśniące odbicia dłoni na zadzie jej

wierzchowca i sądzą, że to jeden z ich czarowników znalazł się na tyle blisko, by naznaczyć dla nich jej konia. Pewnie zaślepia ich radość, że wkrótce będą ją mieć na ostrzach mieczy.

Kahlan płazowała boki swojego konia, popędzając go, wprawiając w szaleństwo. Byli już poza zamętem walki, na otwartym terenie. Siejący grozę wśród koni drapieżcy kęsa ją w boki, zwłaszcza w ciemnościach. Starła się, by koń sądził, że kęsa ją go jakieś kły.

Jeźdźcy byli tuż za nią, ale - zgodnie z zaleceniami - jechali w dwóch szeregach, zostawiając lukę, w której wróg mógł widzieć lśniące ślady na rumaku Kahlan. Kiedy się wystraszyła, że są już tak blisko, jak mogli ryzykować, gwizdnęła. Patrzyła przez ramię, jak znikają w nocy jej ludzie, jej ochrona. Zobaczycy ich dopiero po powrocie do obozu D'Harańczyków.

Dzięki płonącym za ich plecami ogniom w obozie Ładu Kahlan widziała zarys wrogiej konnicy nadjeżdżającej co koń wyskoczy i bez wątpienia wbijającej wzrok w lśniące ślady dłoni na jej koniu - bo to jedynie mogli dostrzec na otwartym terenie w bezksiężycową noc.

- Jak daleko? - zawołała pędząca w pobliżu Cara.

- Powinno...

Umilkła, bo nagle dostrzegła, co było tuż przed nią.

- Teraz, Caro!

Kahlan cofnęła nogę w sam czas, bo Mord-Sith natychmiast przysunęła swojego konia. Dwa potężne zwierzęta zderzyły się groźnie. Spowiedniczka zarzuciła ramię na barki Cary. Mord-Sith objęła ją w pasie i szarpnęła, ściągając z konia. Kahlan po raz ostatni spłazowała swojego rumaka. Zwierzę chrapnęło w panice i pełnym galopem runęło w mrok.

Kahlan przerzuciła nogę przez zad konia Cary, wsunęła miecz do pochwy i mocno objęła talię kobiety, a Mord-Sith silnie szarpnęła łeb zwierzęcia w lewo, zmuszając je, żeby w sam czas zawróciło w pełnym galopie.

Dziewczyna przez chwilę widziała - dzięki luce w chmurach - lśnienie gwiazd odbijających się w spienionych lodowatych wodach płynącego poniżej Drunu.

Poczuła ukłucie żalu nad losem swojego przerażonego, oszalałego, oszołomionego konia, który spadł z urwiska. Oddawał życie, żeby zginęli inni. Pewnie nawet nie będzie wiedział, co się wydarzyło.

Podobnie jak konnica Imperialnego Ładu mknąca przez mrok w ślad za jaśniejącymi odciskami dłoni. To były jej Midlandy i Kahlan wiedziała, co tam jest - oni byli najeźdźcami i nie mieli o tym pojęcia. Nawet jeśli w ostatnim momencie zauważyli, co ich czeka, to mknąc wyciągniętym galopem przez mroki, nie mogli uciec przeznaczeniu.

Miała jednak nadzieję, że się zorientowali, co ich spotyka - zanim stracili dech w lodowatych ciemnych wodach lub zanim brak powietrza rozsadził im płuca, gdy bezlitosna rzeka wciągała ich w swoje czarne objęcia. Miała nadzieję, że każdy z nich poniósł przerażającą śmierć w czarnych głębiach zdradzieckiego nurtu.

Oderwała myśli od ognia walki. Wojska imperium D'Hary będą teraz mogły zasnąć, zwycięskie i rozkoszujące się słodczą zemsty. Stwierdziła jednak, że to wcale nie przygasiło szalejącego w niej gniewu.

Po jakimś czasie koń Cary zwolnił do cwału, a potem do stępa. Nie słyszały za sobą tętentu kopyt, wokół panowała głucha zimowa cisza. Po ścisku, hałasie i zamieszaniu w obozie Imperialnego Ładu takie osamotnienie na pustych równinach było dość deprymujące. Kahlan miała wrażenie, że jest nic nie znaczącą drobiną w pustce.

Zmarznięta i wyczerpana, otuliła się futrzaną peleryną. Mięśnie nóg drżały po wysiłku, który dopiero co dobiegł końca. Wydawało się jej, że wypełniają pustka. Opuściła głowę, wsparła ją o plecy Cary. Czuła na plecach ciężar miecza Richarda.

- Hmm - powiedziała przez ramię Cara, kiedy tak czas jakiś jechały przez cichą, rozległą przestrzeń - napracowaliśmy się tej nocy za rok albo i dwa i to powinno wystarczyć, żeby ich zmieść z powierzchni ziemi.

Kahlan pierwszy raz od wieków omal się nie roześmiała. Omal.



## ROZDZIAŁ 33

Kahlan i Cara wjechały pomiędzy rannych, wyczerpanych i śpiących żołnierzy d'harańskich dopiero kilka godzin przed świtem. Kahlan sądziła, że znajdą na trawiastych równinach bezpieczne miejsce, gdzie by się mogły przespać i wrócić dopiero za dnia, ale miały szczęście: chmury rozstały się na tyle, że gwiazdy oświetliły im drogę. W migotliwej poświacie gwiazd widziały na horyzoncie czarne sylwetki gór. Dzięki temu mogły bezpiecznie okrążyć wojska Imperialnego Ładu, zapuszczając się w głąb rozległych równin, a potem znów skręcić ku północy, ku swoim.

Czekała na nie grupa powitalna. Kiedy wjechały do obozu, żołnierze szybko utworzyli wiwatujący dwuszereg. Kahlan była dumna, że dała im to, czego najbardziej potrzebowali: możliwość odwetu. Siedziała na koniu za Carą i machała do nich ręką. Nawet się uśmiechała.

W pobliżu miejsca, gdzie wiązano konie, czekał niecierpliwie generał Meiffert, który usłyszał wiwaty. Podbiegł, żeby je powitać. Kahlan i Cara zeskoczyły z konia niedaleko bramy prowizorycznej zagrody i jeden z żołnierzy wziął wodze od Mord-Sith. Kahlan aż się skrzywiła, tak zaboląły mięśnie po dniach jazdy i po nocy walki. Prawy bark pulsował bólem od ciosów, które zadawała. Myślała sobie, że prawe ramię nigdy jej tak nie dolegało po ćwiczonych pojedynkach z Richardem. Ale dla tych, którzy na nią patrzyli, postarała się iść tak jak po trzydniowym wypoczynku.

Generał Meiffert, który nie wyglądał gorzej po walce stoczonej tej nocy, przyłożył pięść do serca.

- Nawet nie wiesz, Matko Spowiedniczko, jak się raduję, widząc cię.

- I ja się cieszę, że znów cię widzę, generale.

Pochylił się ku niej.

- Chyba już więcej nie popełnisz takiego szaleństwa, Matko Spowiedniczko, prawda?

- To nie było szaleństwo - odezwała się Cara. - Byłam tam i czuwałam nad nią.

Spojrzał chmurnie na Mord-Sith, ale się z nią nie spierał. Kahlan zaś dumiała, jak ktoś mógłby prowadzić wojnę, nie popełniając żadnego szaleństwa. Sama wojna była szaleństwem.

- Ilu ludzi straciliśmy? - odpowiedziała pytaniem.

Twarz generała Meifferta rozjaśniła się uśmiechem.

- Ani jednego, Matko Spowiedniczko. Z pomocą Stwórcy wszyscy wrócili.

- Nie przypominam sobie, żeby Stwórca machał z nami mieczem - odezwała się Cara.

Kahlan oniemiała.

- To najlepsza wieść, jakiej się mogłam spodziewać, generale.

- Nawet nie umiem wyrazić, Matko Spowiedniczko, jak to podniosło morale żołnierzy. Ale nie rób już czegoś takiego, dobrze?

- Nie jestem tu po to, żeby się uśmiechać, kiwać rączką i ładnie wyglądać dla twoich ludzi, generale. Jestem po to, żeby im pomóc wyprawić tych drani w ramiona Opiekuna, i to na wieczność.

Westchnął z rezygnacją.

- Przygotowaliśmy dla ciebie namiot. Na pewno jesteś zmęczona.

Kahlan potaknęła i ruszyła wraz z Carą za generałem przez cichy już obóz. Ci żołnierze, którzy nie spali, wstawali i w milczeniu przykładali pięść do serca. Kahlan próbowała się do nich uśmiechać. Widziała w ich oczach, jak wysoko cenili to, że choć częściowo zmieniała na ich korzyść skutki bitwy. Pewnie myśleli, że uczyniła to wyłącznie dla nich. Ale było tak tylko po części.

Zbliżyli się do sześciu dobrze strzeżonych namiotów i generał Meiffert wskazał środkowy.

- To był namiot generała Reibischa, Matko Spowiedniczko. Kazałem wnieść do środka twoje rzeczy. Uznałem, że powinnaś mieć najlepszy. Gdybyś jednak nie chciała spać w jego namiocie, każę przenieść twoje rzeczy, gdzie sobie zażyczysz.

- Ten będzie dobry, generale. - Spojrzała w młodą twarz oficera, dostrzegła cień smutku; przypomniała sobie, że był niemal jej rówieśnikiem.  
- Wszystkim nam go brakuje.

Twarz Meifferta zdradzała jedynie część bólu, jaki odczuwał.

- Nie potrafię zastąpić kogoś takiego, Matko Spowiedniczko. Był nie tylko wielkim generałem, ale i wielkim człowiekiem. Mnóstwo mnie nauczył i zaszczycał swoim zaufaniem. To był najlepszy dowódca, pod jakim służyłem. Nie chcę, żebyś się łudziła, że potrafię go zastąpić. Bo nie zdołam.

- Nikt nie wymaga tego od ciebie. Oczekujemy, że dołożysz wszelkich starań, i jestem przekonana, że to w zupełności wystarczy.

Jej wielkoduszność sprawiła, że się uśmiechnął.

- Na pewno tak zrobię, Matko Spowiedniczko. Obiecuję. - Spojrzał na Carę i zmienił temat: - Twoje rzeczy kazałem wnieść do tego namiotu, pani Caro. - Wskazał namiot tuż obok namiotu Kahlan.

Mord-Sith przyjrzała się wszystkiemu, zapamiętała patrolujących gwardzistów. Kiedy Kahlan powiedziała jej, że zamierza się zaraz położyć i że Cara również powinna się trochę przespać, Mord-Sith zgodziła się z nią, życzyła im dobrej nocy i zniknęła w swoim namiocie.

- Wysoko cenię twoją dzisiejszą pomoc, generale. I ty się powinieneś przespać.

Pochylił głowę w ukłonie, chciał odejść, ale znów się ku niej obrócił.

- Zawsze marzyłem, że pewnego dnia zostanę generałem. Marzyłem o tym od chłopięcych lat, wyobrażałem sobie... - Odwrócił wzrok. - Wyobrażałem sobie, że będę dumny i szczęśliwy. - Wsunął kciuki w kieszenie i zapatrzył się w ciemny obóz, pewnie widząc te wszystkie przeszłe marzenia, a może wszystkie nowe obowiązki. - Ale ani trochę nie poczułem się szczęśliwy - powiedział w końcu.

- Wiem - odparła ze szczerym współczuciem. - Żaden porządny człowiek nie pragnie tak awansować, ale niekiedy pojawiają się wyzwania i musimy stawić im czoło. - Westchnęła w duszy i spróbowała sobie wyobrazić, co on czuje. - Pewnego dnia, generale, pojawi się i duma, i satysfakcja. Wezmą się z dobrego wykonywania zadań i świadomości, że wpływasz na bieg wydarzeń.

Przytaknął.

- Wspaniale się poczułem, kiedy tej nocy zobaczyłem, Matko Spowiedniczko, jak wracasz z Carą do obozu. Niecierpliwie oczekuję dnia, kiedy i lord Rahl bezpiecznie wróci do obozu. - Zaczął się zbierać. - Śpij dobrze. Świt już za parę godzin. Wtedy się przekonamy, co nam przyniesie nowy dzień. Mam dla ciebie gotowe raporty.

W jej namiocie siedział samotnie Zedd, czekał na nią. Kahlan jęknęła w duchu.

Była straszliwie zmęczona i nie miała ochoty na przepytywanie przez czarodzieja. Czasem, zwłaszcza kiedy się było zmęczonym, jego dociekliwe pytania stawały się przykre. Wiedziała, że miał dobre intencje, ale nie była w odpowiednim nastroju. Wątpiła, czy zdoła być uprzejma, jeśli stary

czarodziej zacznie zadawać te swoje tysiące pytań. Było już tak późno i była już tak zmęczona, że chciała tylko jednego: żeby ją zostawił w spokoju.

Stała bez słowa i patrzyła, jak Zedd się podnosi. Faliste siwe włosy miała jeszcze bardziej rozczochrane niż zwykle. Jego ciężkie szaty były brudne i poplamione krwią. A na wysokości kolan - czarne od zaschniętej krwi. Popatrzył na nią przeciągle, a potem objął kościstymi ramionami. Chciała tylko spać. W milczeniu przytulił głowę Kahlan do swojego ramienia. Może podejrzewał, że ona lada chwila się rozplacze, ale łez już jej nie stało. Czuła się odrętwiała. Nie mogła już płakać i sądziła, że to wskutek nieustannego gniewu. Miała wrażenie, że potrafi odczuwać wyłącznie gniew.

Zedd w końcu odsunął ją na długość ramion, zacisnął na barkach dziewczyny zadziwiająco silne palce.

- Po prostu chciałem poczekać, aż wrócisz bezpiecznie, i dopiero wtedy iść spać. Chciałem nacieszyć tobą oczy. - Uśmiechnął się smutno. - Jaka to ulga, że jesteś bezpieczna. Śpij dobrze, Kahlan.

Śpiwór, wciąż ściągnięty skórzanymi rzemieniami, leżał na wypchanym słomą sienniku. Sakwy i plecak położono w rogu. Naprzeciwko siennika ustawiono mały składany stolik i krzesło. A obok nich kosz ze zwojami map. Na drugim składanym stoliku stały dzban i miednica. Na poprzeczce blokującej nogi stolika zawieszono czysty ręcznik.

Według wojskowych standardów był to obszerny namiot, ale i tak było tu ciasno. Płótno zdawało się na tyle grube, żeby uchronić przed niepogodą. Lampy, zawieszane po obu końcach namiotu na pręcie tworzącym szczyt dachu, rozjaśniały wnętrze ciepłym blaskiem. Kahlan próbowała sobie wyobrazić krzepkiego generała Reibischa chodzącego po tak małej przestrzeni, szarpiącego rdzawą brodę i trapiącego się sprawami armii większej niż sporo miast.

Zedd wyglądał na wyczerpanego. Niepokój porał bruzdami jego chudą twarz. Przypomniała sobie, że dopiero teraz dowiedział się, iż jego jedyny wnuk, czyli cała jego rodzina pozostała na tym świecie, znajdował się w okrutnych rękach wroga. A oprócz tego czarodziej walczył dwa dni, nocami zaś leczył żołnierzy. Kiedy się tu zjawiała, ujrzała, jak się chwiejnie podnosił obok ciała, które okazało się ciałem generała Reibischa.

Wiedziała, że skoro Zedd nie zdołał go uratować, to było to zupełnie niewykonalne.

Kahlan przeczesła włosy palcami, wskazała krzesło.

- Usiądź na chwilę, Zeddie. Mógłbyś?

Spojrzał na krzesło, potem na jej śpiwór.

- Na chwilę, dopóki nie przygotujesz sobie postania. Potrzebny ci wypoczynek.

Temu Kahlan nie mogła zaprzeczyć. Poczuła, jak łupie ją w głowie. Namiętności walki tłumiły pomniejszych odczucia, jak pulsujący ból głowy. Wypełniony słomą materac wydawał się Kahlan równie miękki i wygodny, jak puchowy piernat. Rzuciła na niego pelerynę i futrzane okrycie. Zapewnią ciepło.

Zedd w milczeniu patrzył, jak dziewczyna odpina rzemienie i zdejmuje z pleców Miecz Prawdy. Dał ten miecz Richardowi. Kahlan przy tym była i błagała Zedda, żeby tego nie robił, ale odparł, że nie ma wyboru, że Richard jest właściwą osobą. I rzeczywiście był.

Dziewczyna poczuła, jak się rumieni, gdy - zanim odłożyła miecz - ucałowała głowicę, na której Richard tak często wspierał dłoń. Zedd nic nie powiedział, choć może to zauważył; położyła połyskującą pochwę z mieczem obok swojego postania.

W niezręcznej ciszy Kahlan odpasła królewski galejski miecz. Spostrzegła, że po pochwie ścieka krew. Odpięła i zdjęła lekki skórzany pancerz, położyła go obok plecaka. Kiedy oparła królewski miecz o skórzany pancerz, zobaczyła, że i skórzana zbroja jest poplamiona krwią. Zauważyła też, że na skórzanym nabiodrku widać krwawe ślady dłoni i długie zadrapania wyżłobione paznokciami żołnierzy. Pamiętała, jak sięgali ku niej, żeby ją ściągnąć z konia, ale nie przypomniała sobie, żeby ją szarpali. Wyływające z pamięci obrazy groziły wywołaniem mdłości, więc skierowała myśli ku innym sprawom.

- Cara i ja przeszliśmy przez góry Rang'Shada, na północ od kotliny Agaden, i znalazliśmy się w Galei - przerwała nieprzyjemną ciszę.

- Tak myślałem - odparł czarodziej.

Wskazała gestem otaczający ich obóz.

- Uznałam, że lepiej będzie, jak przyprowadzę ze sobą jakieś oddziały.

- Znajdziemy dla nich robotę.

Kahlan spojrzała w jego orzechowe oczy.

- Sprowadziłam wszystkich, których zdołałam zebrać bez czekania. Nie

chciałam czekać.

Zedd potaknął.

- Mądrze zrobiłaś.

- Książę Harold chciał ruszać ze mną, ale poprosiłam, żeby zebrał większe siły i przyprowadził je tu. Skoro mamy bronić Midlandów, potrzebujemy więcej wojska. Uznał, że to dobry pomysł.

- Rozsądnie brzmi.

- Książę Harold zjawi się tutaj, gdy tylko zbierze wojska z punktów obronnych.

Zedd tylko skinął głową. Odkaszlęła.

- Żałuję, że nie mogliśmy się tu wcześniej zjawić.

Czarodziej wzruszył ramionami.

- Zjawiłaś się najszybciej, jak mogłaś. I teraz jesteś tutaj.

Kahlan odwróciła się ku śpiworowi. Osunęła się na kolana i zaczęła rozwiązywać opinające go rzemienie. Z jakiegoś powodu węzły widziała jak przez mgłę. Uznała, iż na pewno dlatego, że była taka zmęczona. Obejrzała się przez ramię, rzuciła krótkie spojrzenie w nikłym blasku lamp i wróciła do skubania węzła.

- Coś mi się zdaje, że chciałbyś wiedzieć, jak Siostra Mroku zdołała pojmać Richarda.

Czarodziej przez chwilę milczał. Potem powiedział cicho i łagodnie:

- Później będzie na to dużo czasu, Kahlan. Teraz nie trzeba.

Skubała oporny węzeł, włosy opadły jej do przodu przez ramię. Musiała je odrzucić do tyłu, żeby widzieć, co robi. Ten głupi węzeł był tak mocno zawiązany. Chciałaby nawrzeszczyć na osobę, która go tak zaciągnęła, ale związała to sama i nie miała kogo obwiniać.

- Rzuciła na mnie czar macierzyńskiego zespolenia. Wiąże nas obie. Powiedziała, że mnie... że mnie zabije, jeśli Richard jej nie usłucha i nie odejdzie z nią.

Zedd, słysząc to, tylko westchnął zatroskany.

- Richard nie może jej zabić, bo i ja umrę.

Czekała, aż z tyłu rozlegnie się jego głos. Wreszcie powiedział:

- O takich czarach jedynie czytałem, ale z tego, co wiem, wynika, że powiedziała ci prawdę.

- Mam skaleczone usta. Nie skaleczyłam się. Przytrafiło mi się to

pewnego dnia poprzez to zespolenie. Co spotyka ją, spotyka i mnie. Mam nadzieję, że Richard ją uderzył. Warto było.

- Nie sądzę, żeby Richard to zrobił.

Wiedziała, że nie zrobiłby czegoś takiego. To było tylko jej życzenie.

Jedna z lamp migotała i cienie falowały. Druga syczała cicho. Kahlan otarła nos rękawem.

- Richard zrezygnował z wolności, żeby uratować mi życie. Chciałabym umrzeć, żeby go uwolnić, ale kazał mi obiecać, że tego nie zrobię.

Dziewczyna poczuła na ramieniu dodającą otuchy dłoń. Zedd milczał. To była największa przysługa, jaką mógł jej w tym momencie wyświadczyć - nie przytłoczyć jej lawiną pytań.

Kahlan, rada z kojącego dotyku ręki czarodzieja, zdołała wreszcie rozwiązać węzeł. Zedd usiadł na krześle, a ona rozprostowała śpiwór. W środku była zawinięta statuetka „Potęgi ducha”, żeby nie uszkodziła się w drodze. Akurat mieściła się w poprzek śpiwora. Kahlan podniosła posążek i przez chwilę tuliła go do serca. Potem odwróciła się i postawiła „Potęgę ducha” na stoliku.

Zedd powolutku wstał. Bordowe szaty okrywały kościstą postać. Wpatrzony w posążek stojący dumnie na stoliku, wskazywał go jednym ramieniem - chude ciało czarodzieja wyglądało jak zeszywniałe na mrozie drzewo.

- Gdzie się jeszcze zatrzymywaliście po drodze? - Łypnął ku niej podejrzliwie. - Grabiliście skarby z pałaców?

Uświadomiła sobie, że to spojrzenie miało być nie tyle podejrzliwe, ile kpiące. Powiodła palcem po statuetce, chłonęła wzrokiem dumnie wyprostowaną postać. Jak właściwie oddana poza - odrzucona do tyłu głowa, zaciśnięte pięści opuszczonych po bokach rąk, wygięte plecy - przeciwstawiała się niewidzialnej mocy, która starała się ją sobie podporządkować.

- Nie. - Kahlan przełknęła ślinę. - Richard to dla mnie wyrzeźbił.

Zedd mocniej ściągnął brwi. Wpatrywał się w posążek, a potem wyciągnął chudy palec i dotknął go ostrożnie, jak bezcenny starożytny przedmiot.

- Drogie duchy...

Kahlan spróbowała się uśmiechnąć.

- Prawie. Powiedział, że to „Potęga ducha”. Richard wyrzeźbił to dla mnie, kiedy mi się wydawało, że już nigdy nie wyzdrowieję. Pomogła mi...

Cisza aż dzwoniła; Zedd w końcu oderwał wzrok od kobiety z zaciśniętymi dłońmi i odrzuconą do tyłu głową i spojrzał Kahlan w oczy. Zrobił osobliwą minę.

- To ty - powiedział na poły do siebie. - Drogie duchy... chłopak wyrzeźbił twojego ducha. Rozpoznaję go. To jasne jak słońce.

Zedd był nie tylko dziadkiem Richarda, ale teraz i jej. Był nie tylko Pierwszym Czarodziejem, ale i człowiekiem, który pomagał wychowywać Richarda. Z rodziny Zedda pozostał jedynie Richard.

Ona zaś miała tylko przyrodnie rodzeństwo - brata i siostrę - obcych, z którymi łączyły ją wyłącznie więzy krwi. Była równie samotna jak Zedd.

Teraz Zedd był też jej rodziną, poprzez Richarda, ale uświadomiła sobie, że gdyby nawet nie był jej krewnym, i tak znaczyłby dla niej równie wiele.

- Odzyskamy go, kochanie - wyszeptał współczująco czarodziej; koścista dłoń z czcią dotknęła jej twarzy. - Odzyskamy.

Wszystko się rozplynęło. Kahlan rzuciła się w ramiona Zedda i rozszlochała.

#### ROZDZIAŁ 34

Warren ostrożnie odsunął obsypaną śniegiem sosnową gałąź. Kahlan spojrzała w powstałą lukę.

- Tam - powiedział cicho. - Widzisz?

Skinęła głową, patrząc zmrużonymi oczami na leżącą daleko w dole wąską kotlinę. Wszystko było mroźną bielą - białe drzewa, białe skały, białe łąki. Żołnierze wroga, idący dnem kotliny, wyglądali jak rząd maszerujących po cukrze mrówek.

- Nie musisz tak szeptać, Warrenie - odezwała się Cara zza drugiego ramienia Kahlan. - Nie usłyszają cię. Nie z tej odległości.

Niebieskie oczy Warrena spojrzały na Mord-Sith. Czerwony skórzany uniform Cary byłby widoczny z daleka jak latarnia, gdyby nie otulające ją okrycie z wilczych futer, które zlewało się z przyprószonymi śniegiem zaroślami. Futrzana peleryna Kahlan była miękka i ciepła, przylegała do policzków dziewczyny. To Richard ją dla niej zrobił, więc czasem muśnięcie futra przypominało delikatną pieszczotę chłopaka chroniącego ją i nie pozwalającego, żeby zmarzła.



- Ale ci z darem mogą nas usłyszeć, Caro, i to nawet z tej odległości, jeśli będziemy zbyt krzykliwi.

Mord-Sith zmarszczyła nos.

- To znaczy?

- Głośni - szepnęła Kahlan, dając tym znak Mord-Sith, żeby była ostrożniejsza i cichsza.

Cara skrzywiła się paskudnie na samą myśl o magii. Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę i wróciła do obserwowania wrogich oddziałów powoli ciągnących kotliną; umilkła.

Kahlan uznała, że dość już zobaczyła, skinęła ręką i cała trójka ruszyła przez głęboki po kostki śnieg. Weszli wysoko w góry i byli tuż pod ciężkimi szarymi chmurami, więc mieli wrażenie, że patrzą w dół z innego świata. Nie spodobał się jej świat, który ujrziała.

Mozolnie pięli się w górę stoku gęsto porośniętego sosnami i bezlistnymi osikami, na gęsto zalesiony szczyt grani, gdzie tu i ówdzie, niczym na poły zakopane kości, sterczały spod śniegu nagie skały. Konie czekały daleko w dole skalistego stoku. A jeszcze bliżej stóp góry, tam gdzie według Kahlan i Warrena nie mogli ich wykryć ci z darem pilnujący wrogich żołnierzy, czekała eskorta d'harańskich gwardzistów, których osobiście wybrał generał Meiffert, żeby chronili Kahlan i dwójkę jej obrońców.

- Teraz rozumiesz? - zapytał szeptem Warren. - To dalej trwa. Posyłają tędy coraz więcej żołnierzy, starają się nas niepostrzeżenie okrążyć.

Kahlan osłoniła twarz futrzaną peleryną, bo lekki wiatr wzbił tuman śniegu. Przynajmniej jeszcze nie padało.

- Nie sądzę, Warrenie.

Obrócił ku niej przystojną pytającą twarz.

- Więc co to jest?

- Myślę, że chcą, by wyglądało na to, że wysyłają tędy swoje oddziały, żebyśmy posłali za nimi wojsko.

- Dywersja?

- Tak sądzę. To akurat na tyle blisko nas, żeby byli pewni, że ich wykryjemy, i zarazem tak daleko i w tak trudnym terenie, iż musielibyśmy rozdzielić nasze siły, by jakoś na ten ich manewr zareagować. Poza tym wrócili wszyscy nasi zwiadowcy.

- Czy to źle?

- Jasne, że dobrze. Ale jeśli istotnie, jak podejrzewasz, mają z sobą tych z darem? Jak to możliwe, że żaden z naszych zwiadowców nie miał kłopotów z powrotem i doniesieniem nam, że przemieszczają wojska?

Warren przez chwilę się nad tym zastanawiał, kiedy ostrożnie mijali wysoki punkt, zjeżdżając na siedzeniach po drugiej stronie śliskiej skały.

- Uważam, że łowią - odezwała się Cara, kiedy uderzyła butami o twardy grunt. - I ci ich z darem nie próbują łowić w sieć płotek, bo chcą zwabić większą rybę.

Kahlan otrzepała się ze śniegu.

- Jak my.

Warren powątpiewał.

- Myślisz, że to tylko wymyślna pułapka, żeby schwytać oficerów lub ludzi z darem?

- No nie - odparła Kahlan. - To byłaby dla nich dodatkowa nagroda. Uważam, że przede wszystkim chcą nakłonić nas do rozdzielenia wojsk, do zareagowania na coś, co starają się nam przedstawić jako poważne zagrożenie.

Warren podrapał się po porośniętej blond kędziorami głowie. Niebieskie oczy spojrzały w stronę, z której zeszli z grani, jakby znów chciały zobaczyć coś, czego stąd zobaczyć nie mogły.

- Ale czy nie powinno nas obchodzić, że wysyłają tak liczne oddziały ku północy, choćby i po to, żeby odciągnąć część naszych sił?

- Jasne, że powinno - odparła Kahlan. - Gdyby to była prawda.

Obejrzał się na nią, kiedy tak brnęli przez głębszy śnieg nawiany pod turnie, pod którymi przechodzili, wspinając się krótkim stromym podejściem. Kahlan już bolały nogi. Warren podał jej rękę, pomógł wejść na wysoki stopień. Potem podał rękę Carze. Mord-Sith dała znak, że sobie poradzi, ale oszczędziła mu groźnego spojrzenia. Kahlan zawsze z zadowoleniem przyjmowała oznaki świadczące, iż Cara uczy się, że proponowana pomoc to zwykła grzeczność, a nie oskarżenie o słabość.

- To już nic nie rozumiem - orzekł zasapany czarodziej.

Kahlan zatrzymała się na chwilę, żeby wszyscy troje mogli złapać oddech. Wskazała ku nieprzyjacielskim oddziałom za granią.

- Moglibyśmy się tym martwić, gdyby istotnie omijały nas liczne oddziały i kierowały się na północ. Ale nie sądzę, że tak właśnie jest.

Warren odgarnął z czoła jasny pukiel.

- Według ciebie oni nie idą na północ? No to gdzie?

- Nigdzie - odrzekła Kahlan.

- Tak wielu żołnierzy? Na pewno sobie żartujesz.

Uśmiechnęła się, widząc jego minę.

- Uważam, że to sztuczka. Że to tylko niewielka liczba żołnierzy.

- Ale nasi zwiadowcy donieśli, że od trzech dni idą na północ liczne oddziały!

- Ciiii - napomniała go Cara, udając gniew.

Warren zdał sobie sprawę, że prawie krzyczy, i zasłonił usta rękami.

Odpoczęli i Kahlan poprowadziła ich przez szczyt niewielkiego wzniesienia na bardziej płaski teren; wracali po własnych śladach.

- Pamiętasz, co wczoraj mówili zwiadowcy? - zapytała Warren. - Że próbowali się przedostać w tamte góry, by rzucić okiem na ziemię za nimi i ciągnące przez nie ku północy wrogie oddziały? I że nie mogli, bo przejścia były zbyt dobrze strzeżone?

- Pamiętam.

- Właśnie się domyśliłam dlaczego. - Zatoczyła krąg ręką. - Myślę, że widzimy względnie małą grupę żołnierzy chodzących w koło. Widzimy ich tylko wtedy, kiedy przecinają tę kotlinę. Widzimy nieustannie przeciągające oddziały i przypuszczamy, że przemieszczają licznych żołnierzy. Ja jednak uważam, że to ci sami, chodzący w koło.

Warren zatrzymał się i wpatrzył w nią. Spoważniał.

- Gdybyśmy uwierzyli, że przerzucają tędy wojska, rozdzielibyśmy nasze siły i wysłali część za nie istniejącą armią.

- I tak już górują nad nami liczebnie - odezwała się Cara, kiwając głową - ale my bronimy terenu, który nam odpowiada. Gdyby jednak zdołali nas jeszcze osłabić, skłaniając do wysłania na jakąś misję części wojska, ich siły mogłyby wreszcie pokonać pozostałych obrońców.

- Brzmi sensownie. - Warren w zadumie gładził brodę, oglądając się na grań. - Ale jeśli się mylisz?

Kahlan odwróciła się, żeby też tam spojrzeć.

- Jeśli się mylę...

Zamilkła i zmarszczyła brwi, przyglądając się grubemu pniu starego klonu rosnącego niecałe dziesięć stóp dalej. Wydało się jej, że kora się

poruszyła, śnieżny pył pokrywający łuszczastą, szarą, pobrużdżoną korę zaczął znikać - topił się na coraz większej powierzchni. Kora poruszała się jak żużel na powierzchni wrzątku.

Kahlan zachłysnęła się oddechem, bo Warren złapał ją i Carę za kołnierz i rzucił nimi o ziemię. Chciała usiąść, ale i on padł na ziemię pomiędzy nimi i przytrzymał je.

Zanim Kahlan na tyle odzyskała oddech, by zapytać, co się stało, w cichym lesie błysnęło oślepiające światło. Huknął ogłuszający grzmot, zadrżała pod nimi ziemia. Tuż nad twarzą Kahlan przeleciały ze świstem odłamki drzewa: jedne małe, inne dorównujące wielkością słupkom ogrodzenia. Duże fragmenty z łomotem odbijały się od skał. Inne wirowały w powietrzu, odskakując od pni drzew. Jeszcze inne koziółkowały po ziemi, wyrzucając w górę śnieg zmieszany z zamrożonymi grudami. Zrobiło się biało, bo wstrząs wybuchu wzbili w powietrze tumany śniegu.

Gdyby któreś z nich stało, zostałyby rozerwane na strzępy.

Wreszcie ostatnie dymiące kawałki drzewa łupnęły o ziemię i Warren przyturlał się ku Kahlan.

- Mający dar - wyszeptał.

- Co? - Spojrzała nań, marszcząc brwi.

- Mający dar - powtórzył. - Zogniskowali swoją moc, żeby zagotować wewnątrz zamrożonego pnia i rozsadzić go. Tak właśnie straciliśmy tylu żołnierzy, kiedy gromadziliśmy się w kotlinie podczas pierwszej bitwy, zanim do nas dołączyłaś. Zaskoczyli nas.

Kahlan skinęła głową. Zerknęła, ale nikogo nie dostrzegła. Obejrzała się na Carę, żeby sprawdzić, czy nic się jej nie stało.

- Gdzie Cara? - spytała natarczywym szeptem.

Warren rozejrzył się ostrożnie. Kahlan uniosła się odrobinę na łokciu i zobaczyła jedynie skotłowany śnieg w miejscu po Mord-Sith.

- Drogi Stwórco - odezwał się Warren. - Chyba jej nie złapali, jak myślisz?

Dziewczyna dostrzegła na gładkim przedtem śniegu ślady wiodące w bok.

- Wydaje mi się...

Wśród drzew przetoczył się wrzask, który przeraziłby nawet bohatera. Echa ucichły dopiero po chwili.

- Cara?

- Nie sędzę.

Kahlan ostrożnie usiadła i rozejrzała się - w zwartej przedtem leśnej koronie widniała wyrwa, przez którą światło docierało do cienistego dotąd dna lasu. Wszędzie wokół leżały odłamki, połamane gałęzie, zrzucone na ziemię wielkie konary i gałązki urwane z innych drzew. Z zagłębienia po klonie rozbiegały się promieniście w las ciemne wyżłobienia w białej śnieżnej okrywie. Szczątki drewna i korzeni tkwiły nawet w gałęziach okolicznych drzew, zaścielały ziemię.

Warren położył jej dłoń na ramieniu, nakazując, żeby się nie podnosiła, a sam przykucnął. Przetoczyła się na brzuch i ostrożnie podparła rękami i kolanami. Nagle podskoczyła i wskazała:

- O, tam.

Zobaczyła przez drzewa powracającą Carę. Mord-Sith pędziła przed sobą małego, najwyraźniej obolałego człowieka. Za każdym razem, kiedy się potykał i padał, kopała go w zębra, tocząc przed sobą po śniegu. Krzyczał, a jego słowa zlewały się w płaczącą skargę, której Kahlan nie mogła zrozumieć z powodu dzielącej ich odległości. Ale łatwo sobie było wyobrazić słowa.

Cara pojmała jednego z mających dar. Mord-Sith stworzono do takich właśnie zadań. Wykorzystanie daru przeciwko którejś z Mord-Sith było błędem - traciło się kontrolę nad własną mocą.

Kahlan wstała, otrzepała się ze śniegu. Warren stanął obok niej jak sparaliżowany, fioletowe szaty miał oblepione śniegiem. To był jeden z czarodziejów odpowiedzialnych za śmierć tylu żołnierzy, którzy zginęli, kiedy D'Harańczycy zbierali się w kotlinie, gdy Ład ruszył na północ. Był występny stworem wysługującym się Jagangowi. Teraz już nie przypominał występnej, ziejącej nienawiścią bestii - łkał i błagał o litość bezlitosną zdobywczynię, która pędziła go przed sobą.

Ostatnie mocne kopnięcie przetoczyło go po śniegu jak tobolek powiewających łachmanów; spoczął u stóp Kahlan i Warrena. Leżał na brzuchu i chlapał jak dziecko.

Cara pochyliła się, złapała go za zmierzwiłone ciemne włosy i jednym szarpnięciem postawiła na nogi.

To było dziecko.

- Lyle? - Warren przyglądał mu się z niedowierzaniem. - Lyle? To byłeś ty?

Z pełnych wrogości oczu płynęły łzy. Otarł nos postrzępionym rękawem i spojrzał gniewnie na Warrena. Młody Lyle wyglądał na chłopca może dwunastoletniego, ale Kahlan uświadomiła sobie, że skoro znał go Warren, to i on musiał być z Pałacu Proroków. Lyle był młodym czarodziejem.

Warren wyciągnął rękę, chciał dotknąć okrwawionej brody chłopca. Kahlan chwyciła go za przegub. Chłopak skoczył, żeby ukąsić dłoń czarodzieja. Cara była szybsza. Złapała go za włosy i dźgnęła Agielem w plecy. Wrzasnął z bólu i runął na śnieg. Kopnęła go w zębra.

Warren błagalnie wyciągnął ręce.

- Caro, nie...

Lodowate niebieskie oczy spojrzały na niego wyzywająco.

- Próbował nas zabić. Próbował zabić Matkę Spowiedniczkę. - Zacisnęła zęby i, patrząc Warrenowi w oczy, ponownie kopnęła zawodzącego chłopca.

Warren oblizwał wargi.

- Wiem... ale...

- Ale co?

- Jest taki młody. To się nie godzi.

- Więc byłoby lepiej, gdybyśmy mu się pozwolili zabić? To by się według ciebie godziło?

Kahlan wiedziała, że Cara ma rację. Miała rację, chociaż ciężko było to przyznać. Gdyby zginęli, ilu mężczyzn, kobiet i dzieci wymordowałby Imperialny Ład? Był dzieckiem, ale i narzędziem Ładu.

Jednak dała Mord-Sith znak, że wystarczy. Wtedy Cara złapała chłopca za zmierzwione brudne włosy i postawiła na nogi. Stał, mając za plecami uda Mord-Sith; trząśł się, krew ściekała mu po twarzy, chrapliwie dyszał.

Kahlan spojrzała w przerażone, pełne łez piwne oczy i przybrała „twarz Spowiedniczki” - tak jak nauczyła ją matka, kiedy była jeszcze małą dziewczynką; chłodną obojętnością osłoniła wewnętrzny zamęt uczuć.

- Wiem, że tam jesteś, Jagangu - powiedziała spokojnym, pozbawionym wszelkich uczuć głosem.

Okrwawione wargi chłopca wygięły się w uśmiechu, który nie był jego.

- Popełniłeś błąd, Jagangu. Wkrótce pošlemy wojsko, żeby ich powstrzymać.

Chłopak uśmiechał się obojętnie, ale milczał.

- Lyle - odezwał się Warren głosem pełnym niepokoju - możesz się

uwolnić od Nawiedzającego Sny. Musisz tylko przysiąc wierność Richardowi i będziesz wolny. Uwierz mi, Lyle. Spróbuj. Wiem, jak to jest. Spróbuj, Lyle, a przyrzekam, że ci pomogę.

Kahlan spodziewała się, że widząc Warrena, którego przecież znał, chłopak rzuci się ku światłu bijącemu z nagle otwartych drzwi lochu. Ale chłopiec z cudzym uśmiechem na ustach patrzył na Warrena z tęsknotą, która z wolna zmieniała się w nienawiść. To było dziecko, które widziało, że walka o wolność przynosi przerażenie i śmierć, i wiedziało, że służalcze posłuszeństwo zapewnia życie i łaski. Był za młody, żeby pojąć, co jeszcze się za tym kryje.

Delikatnie dotknęła dłonią Warrena, dając mu znak, żeby się wycofał. Niechętnie usłuchał.

- To nie jest pierwszy czarodziej złapany przez Jaganga - oświadczyła bezceremonialnie Warrenowi; ale nie dla niego były przeznaczone te słowa.

Popatrzyła w twarde niebieskie oczy Cary, a potem w bok, mając nadzieję, że Mord-Sith zrozumie polecenie.

- Marlin Pickard - powiedziała Kahlan, jakby przypominała to sobie dla Warrena, ale jej słowa też były przeznaczone dla Cary. - Był dorosły, ale nawet kierowany przez tego nadętego fałszywego imperatora, nie przysporzył nam wielu kłopotów.

Prawdę mówiąc, Marlin przysporzył im wiele kłopotów. Omal nie zabił i Kahlan, i Cary. Dziewczyna miała nadzieję, że Mord-Sith przypomni sobie, jak słabo panowała nad kimś opętanym przez Nawiedzającego Sny.

W cichym lesie panował sztywny, napięty nastrój; chłopak gniewnie spojrział na Carę.

- Na czas wykryliśmy twoją intrygę, Jagangu. Pomyliłeś się, sądząc, że przemkniesz się mimo naszych zwiadowców. Mam nadzieję, że jesteś z tymi żołnierzami, żebyśmy ci mogli podciąć gardło, kiedy się do nich weźmiemy.

Krwawy uśmiech rozszerzył się.

- Taka kobieta jak ty marnuje się po stronie słabszych - powiedział chłopiec groźnym tonem mężczyzny. - Lepiej by ci było służyć silniejszym i Ładowi.

- Obawiam się, że mąż woli, żebym była tu, gdzie jestem.

- A gdzie to twój mąż, kochanieńka? Liczyłem, że się z nim przywitam.

- W pobliżu - odparła tym samym beznamiętnym tonem. Spozrzęła, że

Warren, usłyszawszy te słowa, nie zdołał ukryć zdumienia.

- Czyżby? - Chłopiec przeniósł wzrok z Warrena na Kahlan. - To czemu ci jakoś nie wierzę?

Patrząc na ten okrutny uśmieszek, dziewczyna miała ochotę kopniakiem wybić chłopcu zęby. Rozpaczliwie starała się domyślić, co Jagang może wiedzieć i co próbuje wykryć.

- Zobaczysz go, jak tylko zaprowadzimy to biedne dziecko do obozu. Jestem pewna, że Richard Rahl roześmieje się prosto w twoją tchórzliwą gębę, kiedy mu opowiem, jak odkryliśmy, że wielki imperator Jagang usiłuje cichcem przerzucić wojska na północ. Zechce ci osobiście oznajmić, jakim jesteś głupcem.

Chłopiec usiłował zrobić krok w jej stronę, ale powstrzymała go dłoń Cary zaciśnięta na jego włosach. Był jak kuguar badający długość smyczy, na której go trzymano. Krwawy uśmieszek trwał, ale nie był już tak pełen samozadowolenia jak przedtem. Kahlan wydało się, że w piwnych oczach dostrzega tę samą niepewność.

- I tak ci nie wierzę - powiedział, jakby tracąc zainteresowanie. - Oboje wiemy, że wcale go tu nie ma. Nieprawdaż, kochanieńka?

Kahlan postanowiła zaryzykować.

- Sam go wkrótce zobaczysz.

Udała, że się odwraca, a potem znów na niego spojrzała. Uśmiechnęła się sarkastycznie.

- Aaaa, pewnie masz na myśli Nicci?

Z twarzy chłopca zniknął uśmieszek. Czoło się zmarszczyło, ale w głosie mimo wszystko nie zabrzmiał gniew.

- Nicci? Nie mam pojęcia, o kim mówisz, kochanieńka.

- Siostra Mroku? Zgrabna? Blondynka? Błękitne oczy? Czarna suknia? Na pewno zapamiętałyś tak zjawiskowo piękną kobietę. A może, przy licznych twoich słabych punktach, jesteś i rzezańcem?

Oczy obserwowały ją i Kahlan widziała w nich, jak dokładnie waży każde jej słowo. Ona zaś przypominała sobie, co Nicci mówiła o Jagangu.

- Wiem, kim jest Nicci. Znam każdy cal jej ciała. Pewnego dnia i ciebie poznam równie dokładnie jak ją.

Taka obsceniczna groźba płynąca z ust chłopca była jeszcze wstrętniejsza. Kahlan czuła obrzydzenie, kiedy słuchała, jak dziecko



wypowiada ohydne myśli Jaganga.

Imperator machnął ramieniem Lyle'a.

- Jedna z moich ślicznotek i to dość śmiercionośna. - Kahlan wydało się, że dosłyszała w chrypliwym głosie imperatora nutkę fałszywej pewności siebie; niemal machinalnie dodał: - Tak naprawdę to jej nie widziałas.

Dziewczyna uchwyciła w tym cień pytania, którego nie ośmielił się zadać, i zorientowała się, że coś się za tym kryje.

- Chciałbyś wiedzieć, co? - Znów wzruszyła ramionami. - Śmiercionośna? Wątpię.

Zlizał krew z ust.

- Tak sobie właśnie myślałem.

- Wątpię, bo wcale nie wydawała się taka groźna. Nie zdołała zaszkodzić komukolwiek z nas.

Znów się uśmiechał.

- Kłamiesz, kochanieńka. Gdybyś naprawdę widziała Nicci, na pewno zabiłaby choć trochę waszych, jeśli nie wszystkich. Nim zdołalibyście ją pokonać, wydrapałaby komuś oczy.

- Czyżby? Takiś pewny swego?

Chłopiec zarechotał.

- Znam Nicci, kochanieńka. Jestem pewny swego.

Kahlan uśmiechnęła się pogardliwie, patrząc w piwne oczy chłopca.

- Wiesz, że mówię prawdę.

- Czyżby? - odparł ze śmiechem. - A to skąd?

- Wiesz, że mówię prawdę, bo Nicci jest jedną z twoich niewolnic i powinienesć móc wnikać do jej umysłu. A nie możesz. Wiem, że nie możesz. Wiem, dlaczego nie możesz. Choć nie jesteś zbyt bystry, nie sądzę, żebyś się musiał zbyt długo zastanawiać, dlaczego ci się to nie udaje.

W oczach chłopca zapłonął dziki gniew.

- Nie wierzę ci!

Kahlan wzruszyła ramionami.

- Rób, jak uważasz.

- Jeżeli ją widziałas, to gdzie teraz jest?

Zanim Kahlan odwróciła się do niego plecami, powiedziała mu brutalną, gorzką prawdę i pozwoliła, by zrozumiał ją po swojemu:

- Gdy ją ostatni raz widziałam, odchodziła w zapomnienie.

Usłyszała za sobą ryk. Okręciła się - Cara próbowała go zatrzymać Agielem. Usłyszała, jak pęka kość ramienia. Ale to mu nie przeszkodziło. Chłopiec wyszczerzył zęby i wściekle rzucił się z pazurami na Kahlan.

Na pół obrócona, uniosła dłoń ku pędzącemu ku niej chłopcu; skoczył jej do gardła. Mała pierś dotknęła dłoni Kahlan. Małe stopy oderwały się od ziemi. Miała wrażenie, że nie tyle rzuca się na nią, ile jest niesionym ku niej powiewem wiatru puszką mleczną.

Czas należał do niej.

Nie musiała wzywać wrodzonej mocy, wystarczyło, żeby ją uwolniła. Uczucia nie zapewniłyby jej teraz bezpieczeństwa, przysłużyć się mogła jedynie prawdą.

To nie był mały chłopiec, obolały, samotny, przerażony.

To był wróg.

Gwałtowność uwalniającej się mocy zapierała dech. Moc wyrywała się z mrocznego jądra we wnętrzu Kahlan, przepajała ją.

Mogła policzyć małe zębra, których dotykała palcami.

Nie było w niej nienawiści, gniewu, żalu... żadnego żalu. W owym nieskończeniu nikłym mgnieniu czasu jej umysł był próżnią pozbawioną wszelkich emocji, zawierał jedynie znieruchomiły czas.

Nie było dla niego ratunku. Był jej.

Kahlan nie zawahała się.

Uwolniła swoją moc.

Moc tkwiącą w najtajniejszych zakątkach jej jaźni.

Powietrzem wstrząsnął bezgłośny grom - przejmujący, gwałtowny i w owym mgnieniu czasu wszechwładny.

Twarz chłopca wykrzywiała nienawiść mężczyzny, który go kontrolował. Jeśli w tym szczególnym momencie Kahlan była brakiem wszelkich emocji, to on był ich ucieleśnieniem. Spowiedniczka patrzyła w twarz straconego dziecka, wiedząc, że on widzi wyłącznie jej bezlitosne oczy.

Nie istniał już jego umysł, nie istniała jego osobowość.

Drzewa wokół zadygotały od wstrząsu. Z konarów i gałęzi posypał się śnieg. Straszliwe uderzenie powietrza wzbiło śnieżny krąg, który się teraz rozszerzał.

Kahlan wiedziała, że Jagang mógł się wślizgiwać do umysłów i zniknąć z nich w mgnieniu oddzielającym myśli, kiedy to czas właściwie nie istnieje.

Nie miała wyboru; musiała uczynić to, co uczyniła. Nie mogła sobie pozwolić na wahanie. Nawet Cara nie potrafiła kontrolować osoby, w której umyśle tkwił Jagang.

Jagang, uciekając z umysłu chłopca, spalił za sobą mosty.

Lyle padł martwy u stóp Kahlan.

## ROZDZIAŁ 35

Kahlan chwiała się na nogach; stała nad ciałem martwego chłopca i czuła, jak wracają emocje. Jak zwykle po posłużeniu się mocą Spowiedniczki była pusta i wyczerpana. Las trwał w osądającym milczeniu. Biały śnieg wokół małego ciała tu i ówdzie plamiła czerwień krwi.

Dopiero teraz Kahlan pomyślała, że przecież mogła również zabić Carę.

Mord-Sith nie pożyłaby długo po dotknięciu mocą Spowiedniczki. Ale nie miała wyboru. Zrobiła, co mogła, żeby ostrzec Carę, dać jej do zrozumienia, że ma się odsunąć; jednak w decydującym momencie nie mogła dopuścić, by na jej decyzję miało wpływ cokolwiek poza nieuniknionym czynem. Wahanie oznaczałoby nieszczęście.

Kahlan rozejrzała się i po prawej zobaczyła rozciągniętą na śniegu Carę. Jeśli dotykała chłopca w chwili uwolnienia mocy Spowiedniczki...

Cara jęknęła. Kahlan podeszła do niej chwiejnie i opadła na kolano. Złapała futro na ramieniu Mord-Sith i z wielkim wysiłkiem przetoczyła ją na plecy.

- Nic ci nie jest, Caro?

Mord-Sith spojrzała przymrużonymi oczami, przez ból zaczął się przebijać wyraz niesmaku.

- Pewnie, że nic. Chyba nie sądzisz, że byłam na tyle głupia, żeby się go czepiać?

Kahlan uśmiechnęła się z ulgą.

- Oczywiście, że tak nie myślę. Bałam się tylko, że mogłaś sobie skrócić kark, odskakując.

Cara wypluła śnieg i ziemię.

- I prawie skręciłam.

Warren pomógł im wstać. Krzywiąc się, rozmasował sobie ramiona i łokcie. Kahlan często słyszała, że osoby pozostające zbyt blisko uwalniającej moc Spowiedniczki doznawały niemiłych i bolesnych sensacji: miały wrażenie, że straszliwy ból rozsada im stawy. Na szczęście nie odnosiły żadnej prawdziwej szkody, a ból szybko mijał. Kiedy Warren spojrział na martwego chłopca, wiedziała, że inny ból tak szybko nie przeminie.

- Drogi Stwórco - wyszeptał do siebie czarodziej; obejrzał się na Kahlan i

Care. - Był tylko chłopcem. Czy naprawdę koniecznie...

- Tak - powiedziała zdecydowanie Kahlan. - Na pewno. Ja i Cara już byliśmy w takiej sytuacji, z Marlinem.

- Ale Marlin był dorosły. A Lyle taki mały... taki młody. Jakąż szkodę...

- Warrenie, nie zapuszczaj się w rozważania co-by-było-gdyby. Jagang kontrolował umysł Lyle'a, tak jak przedtem umysł Marlina. A wiemy, jak to wtedy jest. Stanowił śmiertelne zagrożenie.

- Jeśli ja go nie mogłam powstrzymać - odezwała się Cara - to nic by go nie zatrzymało.

Warren westchnął nieszczęśliwy. Ukląkł obok chłopca. Pogładził skroń zmarłego i wyszeptał modlitwę.

- Uważam, że wina spada na Jaganga - oznajmił, wstając i otrzepując kolana ze śniegu. - W końcu to Jagang do tego doprowadził.

Kahlan zobaczyła w oddali pędzące w górę stoku postacie ich żołnierzy; biegli jej na ratunek. Ruszyła ku nim.

- Skoro podoba ci się tak myśleć.

Cara szła tuż za nią. Warren brnął w śniegu, starając się z nimi zrównać. Chwycił Kahlan za ramię, zatrzymał.

- Chodzi ci o Ann, prawda?

Kahlan opanowała gniew, spojrzała w niebieskie oczy Warrena.

- I ty byłeś ofiarą tej kobiety, Warrenie. Zabrano cię do Pałacu Proroków, kiedy byłeś mały, nieprawdaż?

- No tak, ale...

- Ale nic. Przyszły i zabrały cię. Przyszły i zabrały tego biednego, martwego teraz dzieciaka. - Kahlan wbiła paznokcie w dłonie. - Przyszły i zabrały Richarda.

Warren delikatnie dotknął jej ramienia.

- Wiem, jak to wygląda. Proroctwo jest często...

- To! - Kahlan gniewnie wskazała zwłoki. - To jest proroctwo! Nieszczęście i śmierć, a wszystko ku chwale proroctwa!

Nie próbował odpowiedzieć na ten gniewny wybuch. Kahlan zmusiła się do opanowania głosu, choć nie emocji, które się za tym kryły.

- Iluż niepotrzebnie straci życie, by zadośćuczynić perwersyjnemu pragnieniu dopełnienia proroctwa? Gdyby Ann nie wysłała Verny po Richarda, to wszystko by się nie wydarzyło.

- Skąd wiesz? Rozumiem, Kahlan, co czujesz, ale jak możesz być tego pewna?

- Wielka bariera stała przez trzy tysiące lat. Mógł ją zniszczyć jedynie czarodziej mający dar obu magii. Przed Richardem takiego nie było. Ann wysłała po niego Vernę. Gdyby tego nie zrobiła, bariera stałaby dalej. Jagang i Ład znajdowałyby się po tamtej stronie. Midlandy byłyby bezpieczne. Ten chłopiec grałby gdzieś w piłkę.

- To wcale nie jest takie proste, Kahlan, jak to przedstawiasz. - Warren bezradnie rozłożył ręce. - Nie chcę się z tobą spierać, ale chcę, żebyś zrozumiała, że proroctwo dopełnia się na wiele sposobów. Często poszukuje własnego rozwiązania. Mogło się stać i tak, że gdyby Ann nie posłała po Richarda, on zapędziłby się tam z jakiegoś innego powodu i zniszczył barierę. Któż zna powód? Nie rozumiesz? To się przypuszczalnie musiało wydarzyć, a Ann była jedynie środkiem do osiągnięcia celu. Jeżeli nie ona, byłby ktoś inny.

Kahlan gniewnie odetchnęła przez zaciśnięte zęby.

- Ileż jeszcze krwi, iluż umarłych, ileż cierpienia potrzeba, zanim dojrzysz, jakie szkody proroctwo wyrządziło światu?

Warren uśmiechnął się smutno.

- Jestem Prorokiem. Zawsze chciałem być Prorokiem, żeby pomagać ludziom. Nie pragnąłbym tego, gdybym naprawdę sądził, że to przysparza cierpienie. - Coś sobie przypomniał i uśmiechnął się weselej. - Nie zapominaj, że gdyby nie proroctwo, nigdy nie spotkałabyś Richarda. Czy nie lepiej, że wszedł w twoje życie? Bo ja się cieszę, że go poznałem.

Pełen lodowatej wściekłości wzrok Kahlan starł z twarzy Warrena ciepły uśmiech.

- Wolałabym raczej być skazana na samotność bez miłości, niż wiedzieć, że cierpi, bo wszedł w moje życie. Wolałabym go raczej nigdy nie spotkać, niż poznać, ile jest wart, i wiedzieć, że tak wspaniałą osobę rzucono na pastwę ślepej wiary w proroctwo.

Warren wsunął ręce w rękawy szaty, wbił wzrok w ziemię.

- Rozumiem, co czujesz i dlaczego tak myślisz. Porozmawiaj z Verną, Kahlan, proszę cię.

- Po co? To ona wykonała rozkazy Ann.

- Porozmawiaj. O mało nie straciłem Verny, bo czuła to samo, co ty teraz.

- Verna?

Warren potaknął.

- Doszła do wniosku, że Ann podstępnie ją wykorzystała. Dwadzieścia lat bezskutecznie szukała Richarda, a Ann cały czas wiedziała, gdzie on jest. Możesz sobie wyobrazić, co czuła Verna, kiedy to wykryła? A były i inne sprawy. Ann sprawiła, że uwierzyliśmy w jej śmierć. Tak wszystko ułożyła, że Verna została Ksienią. - Warren wysunął dłoń z rękawa, kciukiem i palcem wskazującym odmierzył malutki odstęp. - Tak mało brakowało, by wrzuciła w ogień swoją książkę podrózną.

- Powinna była.

Znów się smutno uśmiechał.

- Chodzi mi o to, że rozmowa z nią może ci pomóc. Zrozumie, co czujesz.

- I co mi z tego przyjdzie?

Wzruszył ramionami.

- Jeżeli nawet masz rację, to co z tego? Co się stało, to się nie odstanie. Nie możemy tego cofnąć. Nicci ma Richarda. Imperialny Ład jest w Nowym Świecie. Jakakolwiek była przyczyna tych wydarzeń, już na nas spadły i teraz musimy się z nimi uporać.

Kahlan patrzyła w roziskrzzone niebieskie oczy.

- Nauczyłeś się tego, studiując prorocstwa?

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie. Richard mnie tego nauczył. A znana mi bystra niewiasta dopiero co napominała mnie, żebym się nie zagłębiał w co-by-było-gdyby.

Kahlan poczuła, jak jej gniew znika, choć starała się go zatrzymać. Może wcale nie jest taka bystra.

Warren dał znak żołnierzom pędzącym w górę stoku z dobytymi mieczami; dał im znak, że wszystko w porządku. Przestali biec, ale nie schowali mieczy.

- No cóż, była na tyle bystra, że odkryła plan Jaganga i, atakowana przez jego obdarzonego mocą słuźalca, zachowała zimną krew i pozwoliła mu wierzyć, że ją oszukał.

Kahlan przybrała gniewną minę.

- Ile masz lat, Warrenie?

Zdziwiło go to pytanie.

- Niedawno skończyłem sto pięćdziesiąt osiem.

- To wszystko tłumaczy - prychnęła Cara, ruszając w dół stoku. - I przestań wreszcie wyglądać tak młodo i niewinnie, Warrenie. To okropnie irytujące.

Kiedy wiele godzin później Kahlan, Cara, Warren i ich eskorta wrócili do obozu, wrzała tam gorączkowa praca. Ładowano wozy, zaprzęgano konie, sposobiono broń. Namioty jeszcze stały, ale żołnierze w kolczugach i skórzanych pancerzach, spieszenie dojadając posiłek, otaczali oficerów i słuchali poleceń, by wiedzieć, co mają robić, kiedy przyjdzie rozkaz, żeby część z nich ruszyła na ciągnące ku północy wrogie oddziały. W namiotach, które Kahlan mijiała, inni oficerowie pochylali się nad mapami.

Unoszący się w powietrzu popołudnia aromat gulaszu przypomniał jej, jak bardzo jest głodna. Zimowy mrok szybko zapadł, a przy zasłoniętym chmurami niebie miało się wrażenie, że to już wieczór. Nie kończący się szereg pochmurnych dni zaczynał deprymować. Mało było nadziei na słońce; wkrótce i tu, na południu, spadnie śnieg.

Kahlan zsiadła, oddała konia młodemu żołnierzowi. Już nie dosiadała wielkiego bojowego rumaka. I ona, i większość konnych przesiedli się na mniejsze, zwinniejsze wierzchowce. Wielkie rumaki wzmagaly się uderzenia przy starciu dużych oddziałów, ale skoro tamci tak górowali liczebnie nad siłami imperium D'Hary, Kahlan i inni uznali, że lepiej zastąpić masę szybkością i zwinnością.

Zmieniając taktykę działania nie tylko jazdy, ale i całej armii, Kahlan i generał Meiffert potrafili zaszachować Ład na całe tygodnie. Pozwalali, by wróg ruszał wielkimi siłami do miażdżącego ataku, i uskakiwali w sam czas, bezpieczni, tamci zaś tylko się męczyli. Kiedy Ład miał dość takich działań i chciał odpocząć, generał Meiffert czynił szybkie wypady, deptając im po palcach i zmuszając do podskoków. Kiedy Ład okopał się przeciwko spodziewanej napaści, Kahlan wycofywała wojska na dalsze pozycje i z wysiłkiem zbudowane umocnienia wroga okazywały się niepotrzebne.

Jeżeli Ład ponownie tego próbował, D'Harańczycy dręczyli ich dzień i noc, brzęcząc wokół jak rój rozgniewanych szerszeni, ale trzymali się poza zasięgiem wroga. Jeśli żołnierze Jaganga, żli, że nie mogą pokonać przeciwnika, zamierzali ruszyć na miasta czy osady, ludzie Kahlan atakowali ich z tyłu i zasypywali strzałami. W końcu tamci musieli porzucić myśli o łupach i zająć się napastnikami.



Taka nękająca taktyka D'Harańczyków rozwścieczała Imperialny Ład. Żołdacy Jaganga byli oburzeni takimi metodami walki; uważali, że prawdziwi żołnierze spotykają się twarzą w twarz i wymieniają cios za cios. Nie uwłaczało, rzecz jasna, ich godności to, że tak ogromnie przewyższali D'Harańczyków liczebnie. Kahlan wiedziała, że walna bitwa byłaby krwawa i na korzyść Ładu. Nie obchodziło jej, co tamci myślą, byle ginęli.

Im bardziej gniewny i sfrustrowany stawał się Imperialny Ład, tym nierozważniej sobie poczynił: zapalczywie atakował dobrze bronione umocnienia lub bez potrzeby słał żołnierzy na z góry skazane na niepowodzenie wypady, próbując zdobyć to, czego w ten sposób zdobyć się nie dało. Niekiedy Kahlan z osłupieniem patrzyła, jak wielu wrogich żołnierzy maszeruje za łucznikami, pada i jak natychmiast na ich miejsce pojawiają się nowi, nieustannie zaścielając pole bitwy i tak już zapchane umarłymi lub umierającymi. To był obłęd.

Straty D'Harańczyków sięgały kilku tysięcy zabitych lub ciężko rannych. Kahlan i generał Meiffert szacowali, że zabili lub poranili ponad pięćdziesiąt tysięcy wrogich żołnierzy. Równało się to rozdeptaniu jednej mrówki z wysypującej się z mrowiska kolonii. Spowiedniczka nie mogła wymyślić innego sposobu niż trwanie przy takim działaniu. Nie mieli wyboru.

Kahlan, z Carą u boku, minęła rzekę żołnierzy, aby dostać się do namiotów dowództwa; były oznaczone niebieskimi taśmami. Jeśli ktoś nie znał koloru dnia, raczej nie odnalazłby tych namiotów. Obawa przed szpiegiem lub wrogiem mającym dar, który wykryłby i mógł zabić grupę wyższych oficerów, sprawiała, że zbierali się w niczym nie wyróżniających się namiotach. Kolorowe taśmy znakowały wiele namiotów - żołnierze korzystali z nich, by odnaleźć swoje jednostki, kiedy musieli się na krótko oddalić - więc Kahlan wpadła na pomysł, żeby tak samo oznaczać namioty dowództwa. Często zmieniali barwy, by żadna nie stała się barwą oficerską.

W zatłoczonym namiocie generał Meiffert pochylał się nad stolikiem z krzywo ułożoną mapą; podniósł wzrok na gości. Byli tam również porucznik Leiden z Keltonu i kapitan Abernathy, dowódca galejskich oddziałów, które Kahlan przyprowadziła przed tygodniami. W kącie spokojnie siedziała Adie, przedstawicielka mających dar, i obserwowała wszystko swoimi całkiem białymi oczami. Oślepiąca jako młoda kobieta, nauczyła się patrzeć za pomocą swojego daru. Była wybitnie uzdolnioną czarodziejką. I znakomicie

potrafiła wykorzystywać swą moc do szkodzenia wrogowi. Była tutaj, żeby pomóc skoordynować uzdolnienia Sióstr z potrzebami armii.

- Zedd jest przy południowych liniach, sprawdza wszystko - odpowiedziała na pytanie Kahlan.

Dziewczyna podziękowała skinieniem głowy.

- Warren też tam poszedł, żeby pomóc.

Kahlan poruszała w butach zmarzniętymi palcami stóp, próbując przywrócić im czucie. Chuchnęła w stulone dłonie, a potem spojrzała na czekającego generała.

- Musimy zebrać spore siły, może ze dwadzieścia tysięcy żołnierzy.

Generał Meiffert westchnął.

- Więc jednak przesuwać dalej wojska.

- Nie - odparła. - To sztuczka.

Trzej oficerowie zmarszczyli ze zdumieniem brwi i czekali na wyjaśnienia.

- Wpadłam na Jaganga...

- Co zrobiłaś?! - krzyknął z przerażeniem Meiffert.

Kahlan rozвіiała jego obawy machnięciem ręki.

- Nie było tak, jak myślisz. Tkwił w ciele jednego ze swoich niewolników.

- Wsunęła dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać. - Najważniejsze, że postępowałam zgodnie z jego zamysłami, więc pewnie uwierzył, że pozwoliliśmy się oszukać.

Wyjaśniła podstęp Jaganga: pozorne przemieszczanie wojsk, żeby wysłali za nimi spore oddziały i tym samym osłabili swoje siły. Słuchali, jak tłumaczy ten podstępny plan, wskazując punkty na mapie.

- Jeśli odeślemy aż tylu żołnierzy - zapytał porucznik Leiden - to czy nie zrobimy właśnie tego, czego chce imperator Jagang?

- Owszem - odparła - ale wcale tego nie zrobimy. Chcę, żeby ci żołnierze wyjechali z obozu, by wyglądało, że robimy to, czego od nas oczekują.

Nachyliła się nad mapą i kawałkiem zwęglonego patyka naszkicowała część pobliskich gór, przez które właśnie jechała, po czym pokazała oficerom nizinne obejście kilku z nich.

- Mamy moje galejskie oddziały - odezwał się kapitan Abernathy. - Liczą niemal tylu ludzi, ilu ci trzeba na przynętę.

- I ja o tym myślałem - powiedział generał Meiffert.

- Zgoda - rzekła Kahlan; znów wskazała mapę. - Obejdźcie te góry, kapitanie. A kiedy Ład zaatakuje nasz obóz, myśląc, że nas zmiażdży, twoi ludzie uderzą w ich słaby punkt, o tutaj, gdzie nie będą się spodziewać napaści.

Kapitan Abernathy, wymuskany mężczyzna z bujnym siwiejącym wąsem i takimiz brwiami, skinął głową, patrząc, jak Kahlan wskazuje drogę na mapie.

- Nie trap się, Matko Spowiedniczko. Ład uwierzy, że odchodzimy, ale będziemy w pogotowiu, żeby ich dźgnąć w zebra, kiedy ruszą na ciebie.

Kahlan znów spojrzała na generała.

- Musimy też w tajemnicy wyprowadzić z obozu drugi oddział, żeby czekał po przeciwległej stronie kotliny względem kapitana Abernathy'ego. Kiedy Ład wejdzie do kotliny, uderzymy z obu stron jednocześnie. Nie pozwolą, żebyśmy odcięli i złapali w pułapkę część ich armii, więc się wycofają. Wtedy nasze główne siły zatopią żelazo w ich odsłoniętych plecach.

Trzej oficerowie w milczeniu rozważali ten plan; na zewnątrz trwał zgiełk. Galopowały konie, skrzypiały i turkotały przejeżdżające wozy, śnieg skrzypiał pod butami żołnierzy, słychać było wykrzykiwane rozkazy.

Porucznik Leiden popatrzył na Kahlan.

- Matko Spowiedniczko, tym drugim oddziałem mogliby być moi Keltończycy. Od dawna służą razem i sprawnie działają pod moim dowództwem. Moglibyśmy od razu zacząć się wymykać z obozu i zbierać w wyznaczonym miejscu, czekając na atak. Wysłałabyś z nami Siostrę, by potwierdziła prawdziwość z góry umówionego sygnału, a ja wkroczyłbym do akcji, gdy kapitan Abernathy zaatakuje z przeciwnej strony.

Kahlan wiedziała, że Leiden chce się zrehabilitować w jej oczach. Starła się też zapewnić Keltonowi pewną autonomię w ramach imperium D'Hary.

- To będzie niebezpieczny punkt, poruczniku. Jeśli coś się nie powiedzie, nie zdołamy przyjść wam z pomocą.

Skinął głową.

- Ale moi ludzie znają ten teren i są przyzwyczajeni do zimowych marszów przez górzysty kraj. Imperialny Ład pochodzi z cieplejszych stron. Pogoda i teren dają nam przewagę. Możemy wykonać to zadanie, Matko Spowiedniczko.

Kahlan wyprostowała się i westchnęła; przyglądała mu się. Wiedziała, że generał Meiffert jest za. Kapitan Abernathy też. Galea i Kelton tradycyjnie z sobą rywalizowały, więc ci dwaj i tak walczyliby na swój sposób, niezależnie od siebie.

Richard połączył krainy i wszyscy powinni mieć świadomość, że stanowią jedność. To było niezbędne, jeśli mieli przeżyć. Przypuszczała, że walczą o to samo, a więc siłą rzeczy współpracowali - musieliby uzgodnić oba ataki. Jak słusznie powiedział porucznik Leiden, jego oddziały potrafiły walczyć w górach.

- W porządku, poruczniku.

- Dziękuję, Matko Spowiedniczo.

Kahlan uznała za stosowne dodać:

- Jeśli dobrze się sprawisz, poruczniku, możesz awansować.

Porucznik Leiden przyłożył pięść do serca.

- Królowa będzie mogła być dumna ze swoich żołnierzy.

Kahlan nagrodziła obietnicę skinieniem głowy.

- Zabierajmy się do roboty - powiedziała do wszystkich.

Generał Meiffert potwierdził.

- To będzie dobra okazja do zmniejszenia ich liczby. Choćby udało się tylko częściowo, i tak upuścimy im sporo krwi. - Spojrzał na obu oficerów. - Do dzieła. Wasi ludzie powinni natychmiast wyruszać, żeby rankiem być już na stanowiskach. Nie wiadomo, jak długo będą czekać na walkę, ale chcę, żeby byli gotowi, gdyby się miała zacząć ze świtem.

- Ład lubi atakować o brzasku - stwierdził kapitan Abernathy. - W godzinę ruszamy. Przed świtem będziemy gotowi, na wypadek gdyby wcześniej zaczęli.

- My również - potwierdził porucznik Leiden.

Obaj oficerowie skłonili się i ruszyli ku wyjściu.

- Kapitanie! - zawołała Kahlan.

Odwrócili się.

- Matko Spowiedniczo?

- Domyślasz się, co mogło zatrzymać księcia Harolda i resztę waszej armii? Powinien już dawno tu być. Moglibyśmy i ich teraz wykorzystać.

Kapitan Abernathy kręcił kciukiem kościany guzik na przodzie ciemnej mundurowej bluzy.

- Przykro mi, Matko Spowiedniczko. I ja sędzę, że już powinni tu być. Nie wiem, co zatrzymuje księcia.

- Powinien już tu być - powtórzyła cicho do siebie; spojrzała na kapitana:  
- Pogoda?

- Być może, Matko Spowiedniczko. Burze mogły opóźnić jego przybycie. Pewnie to jest przyczyna, a w takim razie już wkrótce powinien przybyć. Nasi żołnierze ćwiczą w górach w takich warunkach.

Kahlan westchnęła.

- Miejmy więc nadzieję, że wkrótce tu będzie.

Kapitan Abernathy spojrzał jej w oczy.

- Wiem na pewno, że księżę Harold był zdecydowany zebrać wojsko i ruszyć tu z pomocą. Galea leży w dolinie Callisidrinu. Księżę sam mi powiedział, że w naszym najlepszym interesie jest zatrzymanie Imperialnego Ładu tutaj i niedopuszczenie, żeby wtargnął w głąb Midlandów, gdzie pod wrogie panowanie dostałyby się nasze kraje i rodziny.

Kahlan czytała w oczach porucznika Leidena, że jego zdaniem księżę Harold postanowił jednak zostać w dolinie Callisidrinu i samolubnie bronić ojczystej Galei i że taka przeszkoda mogłaby skłonić Ład do skręcenia na północo-wschód, okrążenia zagradzających drogę gór i wejścia na równinę, którą przecina Kern - wprost ku ojczystemu Keltonowi Leidena. Jeśli porucznik wyobrażał sobie tak zdradziecki czyn, to przynajmniej miał na tyle rozsądku, żeby to zachować dla siebie.

- Wiem, że kiedy zeszałam w dół, pogoda była zła - powiedziała Kahlan. - W końcu jest zima. Jestem przekonana, że księżę Harold wkrótce się tu zjawi, by pomóc swojej królowej i współobywatelom imperium D'Hary. - Uśmiechnęła się do nich, żeby złagodzić zawołaną groźbę. - Dziękuję, panowie. Ruszajcie do swoich zadań. Oby was strzegły dobre duchy.

Zasalutowali i pospieszyli do zajęć; Adie wsparła dłonie o kolana i wstała.

- Jeśli nie jestem ci potrzebna, to poinformuję o naszych planach Siostry, Zedda i Warrena.

Kahlan ze znużeniem skinęła głową.

- Dziękuję, Adie.

Zupełnie białe oczy Adie widziały dzięki jej darowi. Kahlan czuła na sobie to magiczne spojrzenie.

- Skorzystałaś ze swojej mocy - odezwała się stara czarodziejka. - Widzę

to po twojej twarzy. Musisz wypocząć.

- Wiem - odparła dziewczyna. - Ale tyle jeszcze trzeba zrobić.

- Ale się nie robi, jeśli zachorujesz albo i gorzej, co też się może przytrafić. - Chwyła chudymi palcami ramię Cary. - Zadbaj, żeby Matka Spowiedniczka została na chwilę sama i mogła choć złożyć głowę na stole.

Mord-Sith ustawiła obok stołu składane krzesło. Wskazała je, patrząc twardo na Kahlan.

- Siadaj. Popilnuję cię.

Kahlan była wyczerpana. Skorzystanie z mocy Spowiedniczki podkopało jej siły. Potrzebowała czasu, żeby przyjść do siebie. Pospieszna jazda powrotna tylko pogorszyła sprawę. Obeszła stolik i ciężko usiadła na składanym krześle. Rozpięła futrzane okrycie, zsunęła na ramiona. Wciąż miała przywiązany do pleców miecz Richarda, rękojeść sterczała zza ramienia. Nie odpasała go.

Adie, widząc, że Kahlan bez protestów spełnia jej zalecenie, uśmiechnęła się do siebie i wyszła. Głowa Kahlan opadła na skrzyżowane na stole ręce; Cara objęła wargę przy wejściu. Dziewczyna starała się nie dopuścić, by jej pamięć zalały wspomnienia straszliwego dnia; myślała o Richardzie, przypominała sobie jego uroczy uśmiech, przenikliwe szare oczy, delikatne dłonie. Zamknęła oczy. Miała wrażenie, że stolik i krzesło wirują wraz z nią. Zasnęła, marząc o Richardzie.

## ROZDZIAŁ 36

- Matko Spowiedniczko?

Kahlan spojrzała zmrużonymi oczami na górujący nad nią ciemny kształt. Zamrugła, skupiła wzrok - to była Verna. Złoty, ozdobiony promienistym słońcem pierścień Ksieni Sióstr Światła połyskiwał w blasku lampy. Za Verną zmierzch barwił rdzawo płótno namiotu.

Kahlan przetarła zaspane oczy. Verna miała na sobie długą, szarą wełnianą suknię i ciemnobrązową pelerynę. Wycięcie sukni ozdobiono białą koronką, która nieco łagodziła surowość stroju. Kasztanowe włosy Verny beztrąsko falowały i podskakiwały, ale oczy miała niespokojne.

- O co chodzi, Verno?

- Chciałabym z tobą porozmawiać, jeśli masz wolną chwilę.

Bez wątpienia rozmawiała z Warrenem. Ilekroć widziała ich razem, czułe spojrzenia i ukradkowe muśnięcia przypominały Kahlan ją i Richarda. To łagodziło odczucia wywoływane przez surową powierzchowność Verny; była zakochana, więc potrafiła być czuła i wrażliwa. Kahlan zdawała sobie sprawę, że i na nią patrzono z niejakim zaciekawieniem, o ile nie zdumieniem, kiedy chodziło o czułość. Westchnęła, zastanawiając się, czy to ma być „rozmowa” o Ann i o prorocत्वach. Nie miała na to ochoty.

- Jak długo spałam, Caro?

- Parę godzin. Wkrótce będzie ciemno.

Ramiona i kark Kahlan zdrętwiały od spania z głową na stole; nie zaskoczyło jej, że jest już tak późno. Przeciągnęła się i dostrzegła siedzącą na ławce kruchą czarodziejkę. Miała na podołku ciemny koc.

- Jak się czujesz? - zapytała Adie.

- Dobrze. - Kahlan zobaczyła w lodowatym powietrzu parę swojego oddechu. - Żołnierze wyruszyli?

- Obie grupy wyruszyły ponad godzinę temu - odparła Adie. - Pierwsza, Galejczycy, wyruszyła zwartą kolumną. Keltończycy wymknęli się małymi grupkami, żeby żaden ewentualny szpieg się nie zorientował. Kahlan ziewnęła.

- To dobrze.

Wiedziała, że powinni się obawiać porannego ataku Imperialnego Ładu.

Przynajmniej ich ludzie będą mieli dość czasu, żeby dotrzeć na wyznaczone pozycje i przygotować się. Żołądek poboлеwał ją od tego czekania na atak. Zdawała sobie sprawę, że i żołnierze byli podenerwowani i potrzebowali choć trochę snu.

Adie odruchowo przesuwiała palcem po czerwonych i żółtych paciorkach naszytych wokół dekoltu skromnej sukni.

- Jak tylko odeszli Galejczycy, wróciłam, żeby pomagać Carze trzymać ludzi z dala od ciebie. Chciałam, żebyś mogła w spokoju odpocząć.

Kahlan podziękowała jej skinieniem głowy. Najwyraźniej Adie uznała, że ona już sobie odpoczęła lub że sprawa Verny jest ważna.

- Więc o co chodzi, Verno?

- My coś... odkryłyśmy. Nie tyle odkryłyśmy, ile wpadłyśmy na pomysł.

- Kto „my”?

Verna odkaszlęła. Cicho poprosiła Stwórcę o wybaczenie, a potem podjęła:

- Właściwie, Matko Spowiedniczko, to ja o tym pomyślałam. Niektóre z moich Sióstr mi pomogły, ale ja to wymyśliłam. Odpowiedzialność spada na mnie.

Kahlan pomyślała, że to osobliwy sposób przedstawiania sprawy. Że Verna wcale nie wygląda na zachwyconą własnym pomysłem. Milcząc, czekała na dalszy ciąg.

- Jak wiesz, mamy kłopoty z wysyłaniem rzeczy poza wrogich mających dar. Mają nie tylko Siostry Światła, ale i Siostry Mroku, a my nie mamy mocy tych ostatnich. Kiedy próbujemy przesyłać rzeczy...

- Przesyłać rzeczy?

Verna wydeła wargi.

- Broń.

Kahlan pytająco zmarszczyła brwi, więc Verna pochyliła się i zebrała coś z ziemi. Wyciągnęła otwartą dłoń, pokazując dziewczynie małe kamyczki.

- Zedd nauczył nas, jak zmieniać zwykłe przedmioty w broń. Możemy wykorzystać naszą moc, żeby je rzucić lub tchnąć oddechem na coś tak małego jak te kamyczki i naszą mocą sprawić, by mknęły szybciej niż jakakolwiek strzała, nawet bełt kuszy. Wysyłane w ten sposób kamyczki koszą szeregi nacierających żołnierzy. Kamyczki mkną tak szybko, że niekiedy każdy z nich przebija ciała sześciu żołnierzy.



- Pamiętam te raporty - stwierdziła Kahlan. - Ale to przestało działać, bo ich mający dar zrozumieli tę sztuczkę i teraz chronią przed tym swoich żołnierzy.

Dostrzegła w oczach Verny poczucie odpowiedzialności.

- To prawda. Ład nauczył się wypatrywać magicznych przedmiotów, a nawet przedmiotów napędzanych magią. I wszelkie takie nasze sposoby stały się bezużyteczne.

- Tak właśnie mówił mi Zedd: że podczas wojny magia jest przeważnie niedostrzegalna, że każda ze stron przede wszystkim kontruje działania drugiej.

Verna potaknęła.

- Tak istotnie jest. Tak samo my kontruujemy ich działania. Wiemy, jak przeciwdziałać niektórym ich metodom, i potrafimy chronić naszych ludzi przed skutkami tych działań. Na przykład, nasze sygnały alarmowe. Nauczyliśmy się je znakować odrobiną magii, by wiedzieć, że to prawdziwy sygnał.

Kahlan ściągnęła pod szyję futrzane okrycie. Była przemarznięta do kości i nie mogła się rozgrzać. Nic dziwnego, skoro cały czas spędzała na dworze. Prowadzenie wojny w takich warunkach to szaleństwo. Pomyślała, że wojna i przy ładnej pogodzie nie jest rozsądniejsza. Bardzo chciałaby się znaleźć pod dachem, przy ciepłym kominku.

- I co wymyśliłaś?

Verna ciaśniej otuliła się peleryną, jakby jej przypomniano o mrozie.

- Pomyślałam sobie, że skoro ich mający dar są nastawieni na każdy magiczny czy niesiony magią przedmiot, to potrzeba nam czegoś zupełnie pozbawionego magii.

Kahlan uśmiechnęła się do niej.

- I owszem. To się nazywa „żołnierze”.

Verna nie odwzajemniła uśmiechu.

- Nie. Miałam na myśli coś, co nasi mający dar mogliby zrobić dla unieszkodliwienia wrogich oddziałów bez narażania naszych żołnierzy.

Adie stanęła za lewym ramieniem Kahlan, a Verna sięgnęła pod pelerynę i wyjęła małą skórzaną sakiewkę ściągniętą rzemykiem. Położyła ją na stole przed Kahlan, a obok sakiewki umieściła kartę papieru.

- Wysyp trochę na papier. - Verna trzymała się za brzuch, jakby zjadła coś

niestrawnego. - Ale uważaj, żebyś tego nie dotknęła palcem i żeby się nie dostało na skórę. Nie dmuchaj na to w żadnym wypadku. Staraj się nawet nie oddychać w tę stronę.

Adie nachyliła się i patrzyła, jak Kahlan ostrożnie wysypuje z sakiewki na papier trochę migotliwego pyłu. Dotknęła malutkiej kupki rogiem sakiewki. Migotała w tym odrobina nikłych barw, ale przede wszystkim było to bardzo jasne, połyskujące, zielonoszare.

- Co to jest? Jakiś rodzaj magicznego pyłu?

- Szkło.

Kahlan spojrzała na nią.

- Szkło. Wymyśliłaś szkło?

Verna syknęła na siebie za to, jak głupio to przedstawiła.

- Nie, Matko Spowiedniczko. Pomyślałam, że można by je pokruszyć. To zwyczajne szkło, pobite i pokruszone na maleńkie kawałeczki, niemal na pył. Ale kiedy kruszyłyśmy je tłuczkiem w moździerz, posłużyłyśmy się naszą Han. Nasz dar umożliwił skruszenie szkła na maleńkie kawałeczki, skruszenie w specjalny sposób.

Verna nachyliła się, jej palec zawisł nad maleńkim zielonawoszarym pagórkiem. Cara też się pochyliła, żeby spojrzeć na niebezpieczną rzecz spoczywającą na karcie papieru.

- To szkło, każdy kawałeczek, jest ostre i poszarpane, choć wszystkie te cząstki są maleńkie. Każdy kawałeczek jest mały co większy od pyłku, więc nic nie waży, jak kurz.

- Drogie duchy - powiedziała Adie, a potem wyszeptała modlitwę w ojczystym języku.

Kahlan odkaszlnęła.

- Nie rozumiem.

- Nie możemy, Matko Spowiedniczko, sięgnąć naszą magią za osłony mających dar z Ładu. Są przygotowani na magiczne działania, choćby to był gnany magią kamyk. Tymczasem to szkło, chociaż posłużyłyśmy się magią przy miażdżeniu go, nie ma żadnych magicznych właściwości, absolutnie żadnych. To jedynie obojętna materia, jak kurz wzbijany ich stopami. Nie wykryją w tym magii, bo jej nie ma. Ich dar ukaze im to jako coś w rodzaju kurzu, pary lub mgły, w zależności od pogody.

- Ale już wysyłaliśmy na nich tumany kurzu - odezwała się Kahlan. - Żeby

się pochorowali i tak dalej. Zazwyczaj je neutralizowali.

Verna uśmiechnęła się ponuro i uniosła palec dla podkreślenia wagi swoich słów.

- To były tumany kurzu zawierające magię. Tu nie ma ani odrobiny magii, Matko Spowiedniczko. Nie rozumiesz? To jest tak lekkie, że przez długi czas unosi się w powietrzu. Możemy się posłużyć najprostszą magią, żeby to wyrzucić w powietrze, a potem tę magię usunąć, albo też możemy to zwyczajnie rzucić na wiatr. Tak czy owak, chodzi o to, żeby ich oddziały przez to przeszły.

- No dobrze. - Kahlan podrapała się w brew. - Ale co im to zrobi?

- Dostanie się im do oczu - zachrypiała za jej plecami Adie.

- Otóż to - rzekła Verna. - Dostanie się im do oczu, jak każdy kurz. Najpierw będą mieli wrażenie, że kurz dostał się im do oczu i będą mrugać, żeby się go pozbyć. Ale te kawałeczki mają poszarpane i ostre jak brzytwa krawędzie, więc mrugając, wbijają je sobie w ciało. Szklany pył przyłgnie im do oczu i nagromadzi się pod powiekami, raniąc gałki oczne przy każdym mrugnięciu. Im energiczniej będą mrugać, tym bardziej pokaleczą sobie oczy. - Verna wyprostowała się, mocniej otuliła peleryną. - To ich oślepi.

Kahlan jak odrętwiała słuchała o tych okropieństwach.

- Jesteś tego pewna? - spytała Cara. - Może tylko podrażni oczy jak piaszczysty pył?

- Jesteśmy zupełnie pewni - odparła Verna. - My... zdarzył się wypadek i aż za dobrze wiemy, co się dzieje. Jeszcze więcej szkód pył przyniesie, kiedy dostanie się do gardła, płuc i wnętrzości, choć na ten temat nic pewnego nie wiemy. Ale wiemy na pewno, że szkło pokruszone na tak małe kawałeczki zawiśnie w powietrzu i ludzie, którzy przejdą przez taką chmurę, oślepną zadziwiająco szybko. Oślepiiony żołnierz nie może walczyć. To szkło może ich nie zabić, ale dopóki będą ślepi, nie będą mogli nas zabijać i bronić się, kiedy my będziemy ich zabijać.

Cara - zwykle zachwycona perspektywą zabijania przeciwnika - teraz nie wyglądała na zadowoloną.

- Po prostu ustawimy ich rządkiem i wyrzniemy.

Kahlan ujęła głowę rękami, zasłoniła oczy.

- Chcesz, żebym się zgodziła na użycie tego, prawda? Po to tu przyszłaś.

Verna milczała. Matka Spowiedniczka w końcu odsłoniła oczy.

- Tego chcesz, prawda?

- Nie muszę ci mówić, Matko Spowiedniczko, jakim wstrętem darzą Siostry Światła krzywdzenie ludzi. Jednakże ta wojna toczy się o nasze istnienie, o życie wszystkich wolnych ludzi. Wiemy, że należy to zrobić. Gdyby Richard tu był... pomyślałam, że może chciałabyś się o tym dowiedzieć i sama wydać rozkaz.

Kahlan wpatrywała się w nią, rozumiejąc teraz, dlaczego Verna przyciska dłoń do brzucha, jakby ją bolał.

- Czy wiesz, Ksieni - wyszeptała - że dzisiaj zabiłam dziecko? Nie przypadkiem, a celowo. I bez wahania zrobiłabym to znowu. Ale wcale przez to lepiej nie śpię.

- Dziecko? Naprawdę trzeba było... zabić dziecko?

- Miał na imię Lyle. Pewnie go znasz. Był jedną z ofiar Sióstr Światła Ann. Verna pobladła, zamknęła oczy.

- Myślę, że skoro mogłam zabić dziecko - powiedziała Kahlan - to równie dobrze mogę wydać rozkaz, byś wykorzystwała to swoje specjalne szkło przeciwko bestiom zdolnym wykorzystać dziecko jako oręż. Przysięgam, że nie będzie litości. I dalej jestem tego zdania.

Adie położyła sękatą dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Rozumiem, co czujesz, Kahlan - powiedziała łagodnie Verna. - Ann wykorzystwała też mnie i nie rozumiem dlaczego. Myślałam, że wykorzystywała wszystkich do swoich samolubnych celów. Przez jakiś czas uważałam ją za podłą i nikczemną osobę. Masz powody, by myśleć to samo, co ja wtedy.

- Ale będę w błędzie, Verno? To właśnie zamierzałaś dodać? Na twoim miejscu nie byłabym tego taka pewna. Nie musiałaś dzisiaj zabić małego chłopca.

Verna współczująco skinęła głową, ale zmilczała.

- Jak myślisz, Adie - spytała Kahlan - mogłabyś jakoś pomóc tej przypadkowo oślepionej kobiecie? Mogłabyś coś dla niej zrobić?

Adie skinęła głową.

- Dobry pomysł. Zaprowadź mnie do niej, Verno, a zobaczę, czy dam radę coś zrobić.

Obie kobiety ruszyły ku wyjściu z namiotu; Kahlan przechyliła głowę.

- Słyszałaś?

- Róg? - spytała Verna.

- Tak. Brzmiał jak sygnał alarmowy.

Verna zmrużyła oczy, skupiona. Obróciła głowę w bok, bacznie nasłuchiwała.

- Tak, to brzmi jak sygnał alarmowy - oznajmiła na koniec. - Ale nie ma w tym magicznego śladu. Wróg często tak robi: chce, żebyśmy reagowali na fałszywe alarmy. Ostatnio zdarza się to coraz częściej.

Kahlan zmarszczyła brwi.

- Zdarza się? Dlaczego?

- Co, dlaczego?

Kahlan wstała.

- Skoro wiemy, że to fałszywe alarmy i to się nie udaje, to dlaczego Ład coraz częściej je ponawia? To bez sensu.

Verna wodziła wokół wzrokiem, jakby bezskutecznie szukała odpowiedzi.

- Nie wiem. Nie umiem sobie tego wyobrazić. Nie jestem znawcą sztuki wojennej.

- Może to tylko jacyś powracający zwiadowcy. - Cara odwróciła się, żeby pójść sprawdzić.

Kahlan obróciła głowę, nasłuchiwała. Słyszała tętent koni, ale to nie było nic niezwykłego. To mogli być, jak podejrzewała Cara, wracający z meldunkami zwiadowcy. Odgłos kopyt świadczył jednak, że to wielkie konie. Usłyszała wrzaski żołnierzy. Szczęknęła stal - dołączyły się okrzyki bólu.

Kahlan dobyła galejskiego miecza, zaczęła okrążyć stół. Nim któraś z nich zdołała zrobić drugi krok, namiot zatrząśniętym gwałtownie, jakby coś uderzyło w jego ściany. Przez chwilę chylił się pod niesamowitym kątem, a potem stalowe groty pik przebiły płócienne ściany. Namiot zapadł się wokół nich.

Walące się ciężkie płócienne ściany przygmiotły Kahlan do ziemi. Nie mogła się niczego złapać; namiot owinał się wokół niej, zaczął ją wlec ze sobą. Tuż obok jej głowy przemknęły końskie kopyta.

Czuła woń oliwy z rozbitych lamp, która wsiąkała w płótno. Oliwa i namiot zajęły się ogniem. Kahlan rozkaszała się od dymu. Słyszała syczenie płomieni. Nic nie widziała. Była w pułapce - zawinięta w namiot wleczony po ziemi i podskakujący na nierównościach.

## ROZDZIAŁ 37

Kahlan, ciasno owinięta sztywnym płótnem, nic nie widziała. Kaszłała i dławiła się gęstym, gryzącym, parzącym płuca dymem. Energicznie szarpała płótno, starając się wyplątać, ale nic z tego nie wychodziło; podskakiwała na nierównościach, po których ją wleczono. Przeraziła się, bo poczuła tuż obok twarzy żar ognia. Zniknęło gdzieś zmęczenie, dziko kopła i szarpała się, walczyła o oddech.

- Gdzie jesteś?!

To był głos Cary. Dochodził z bliska, jakby i ją wleczono i jakby też zawzięcie walczyła o życie. Cara miała na tyle przytomności umysłu, żeby nie wykrzykiwać ani imienia, ani tytułu Kahlan; dziewczyna miała nadzieję, że i Verna będzie na tyle bystra.

- Tutaj! - odkrzyknęła.

Płócienne ściany unieruchomiły też miecz Kahlan, przypasały go do jej nóg. Udało się jej przesunąć lewą dłoń na rękojeść tkwiącego za pasem noża. Wyszarpnęła go. Musiała odwracać twarz od żaru płomieni. Dym dusił i oślepiał; to było przerażające. Kahlan gniewnie i zdecydowanie wbiła nóż w płótno. Akurat wtedy namiot w coś uderzył i podrzuciło go w powietrze. Twarde lądowanie pozbawiło ją oddechu. Zachłysnęła się dławiącym dymem. Znów wbiła nóż w ciężkie płótno i wycięła otwór, jej całun zaś buchnął płomieniami.

- Nie mogę...! - wrzasnęła do Cary.

Namiot uderzył w coś twardego. Ramię Kahlan łupnęło o coś, co mogło być pniakiem; przewleczono ją po tym. Gdyby nie była w skórzanej zbroi, na pewno złamałaby sobie bark. Po drugiej stronie przeszkody dziewczyna znienacka wytoczyła się na śnieg. Rozłożyła ramiona, żeby się zatrzymać. Kahlan ujrzała, jak generał Meiffert wyciąga rękę, łapie za kolczugę i zrzuca z konia żołnierza, który włókł jej namiot. Oczy żołdaka błyszczały zza długich, kręconych, tłustych włosów. Krzepkie ciało okrywała skórzana zbroja i kolczuga, na które narzucił skóry i futra. Brakowało mu górnych zębów. Ale kiedy rzucił się na generała, stracił i głowę.

Coraz nowi żołnierze Ładu zawracali konie i uderzali na D'Harańczyków starających się zarówno uniknąć ciosów, jak i zorganizować obronę. Jeden z

wielkich bojowych rumaków pognał ku Kahlan; jeździec przechylał się w bok, wymachiwał cepem. Dziewczyna wsunęła do pochew i miecz, i nóż. Porwała pikę żołnierza, który włókł namiot. Uniosła długie drzewce i okręciła się w sam czas, żeby wesprzeć tępy koniec o zamarznąłą koleinę; grot wbił się w pierś szarżującego rumaka. Wyszczierzony w uśmiechu żołnierz Ładu, trzymając cep, zeskoczył z chwiejącego się konia i dobył też miecza. Kahlan nie czekała; wciąż jeszcze łapał równowagę po tym skoku, a ona już miała w dłoni miecz i z całej siły cięła napastnika na odlew w lewą połowę twarzy.

Od razu zanurkowała pod nogi kolejnego konia, unikając miecza, którym zamachnął się na nią jeździec. Wyskoczyła po drugiej stronie i dwa razy rozcięła mu nogę aż do kości; potem odwróciła się i wbiła klingę aż po jelec w pierś następnego wierzchowca przysuwającego się bokiem, żeby zmiażdżyć ją o tamtego. Zwierzę stanęło dęba z przeraźliwym kwikiem, a Kahlan wyszarpnęła miecz i odtoczyła się, nim wielki koń zwałił się na ziemię. Noga jeźdźca znalazła się pod spodem, on zaś wyginał się pod dziwnym kątem i nie mógł się bronić. Kahlan wspaniale wykorzystała tę okazję.

Na razie wokół nie było napastników. Matka Spowiedniczka mogła się podczołgać do namiotu, przy którym klęczał generał, szarpiąc płataninę płótna i lin. Mijali ich w galopie inni jeźdźcy Ładu i istniała groźba, że stratuja Verne, Adie oraz Care, które wciąż tkwiły w splątanym namiocie. Przynajmniej nie było już tej płonącej części.

Kahlan i generał Meiffert cięli i szarpali płótno. W końcu udało się im rozciąć ciężką materię i uwolnić Adie i Verne. Obie kobiety były oplątane razem, niemal jedna w ramionach drugiej. Adie miała okrwawioną głowę, ale odepchnęła dłonie Kahlan. Verna wychynęła z kokonu i podniosła się chwiejnie, wciąż jeszcze oszołomiona szaleńczą jazdą. Kahlan pomogła Adie wstać. Zadrapanie na czole starej czarodziejki nie wyglądało zbyt groźnie. Generał Meiffert zapamiętał szarpał płótno. Cara dalej była w środku, ale już jej nie słyszeli.

Kahlan chwyciła ramię Verny.

- Myślałam, że to były fałszywe alarmy!!

- Bo były! - upierała się Verna. - Oszukali nas.

Wszędzie dokoła wrzała walna bitwa z jazdą Imperialnego Ładu. Żołnierze z wściekłym wrzaskiem rzucali się do walki; krzyczeli zabijani lub

ranieni; wykrzykiwano rozkazy, wzywając do obrony, jeźdźcy formowali szyk do ataku.

Część jazdy podpałała namioty, wozy, zapasy. Inni tratowali żołnierzy i namioty. Dwójki jeźdźców oddzielały pojedynczych żołnierzy, zabijały ich i gnały za kolejną ofiarą.

Stosowali tę samą taktykę co poprzednio D'Harańczycy. Robili to, czego się nauczyli od Kahlan.

Obwieszony brudnymi futrami i bronią żołnierz wrzasnął zuchowato i rzucił się na Kahlan, wymachując uniesioną maczugą z ociekającymi krwią kolcami; dziewczyna jednym potężnym ciosem odrąbała mu obie ręce. Zatrzymał się chwiejnie i zagapił na nią ze zdumieniem. Nie tracąc czasu, wbiła mu miecz w brzuch i energicznie obróciła klingą, zanim ją uwolniła. Runął w ognisko. Jego wrzaski zlały się z innymi.

Kahlan znów uklękła przy generale Meiffercie, żeby mu pomóc uwolnić Carę. Znalazł ją w plątaninie lin i płótna. Od czasu do czasu jedno z nich odwracało się i rozprawiało ze sporadycznymi atakami napastników. Kahlan widziała sterczące spod płótna czerwone buty Cary. Nieruchome.

Nogi Mord-Sith oplatała lina odciągowa. Kahlan i generał przecięli wreszcie zabrudzony błotem sznur i uwolnili Carę. Chwyliła się za głowę i jęknęła. Nie była nieprzytomna, ale oszołomiona i nie mogła przyjść do siebie. Kahlan wyczuła guz pod włosami, po prawej stronie głowy Mord-Sith; nie krwawił.

Cara usiłowała usiąść. Kahlan ją przytrzymała.

- Leż spokojnie. Uderzono cię w głowę. Nie chcę, żebyś natychmiast wstawała.

Dziewczyna obejrzała się przez ramię i zobaczyła w pobliżu Verne: każdy ruch jej dłoni rzucał ognisty czar, który strącał z koni jeźdźców Ładu, albo też ciął ich zestalonym powietrzem równie ostrym jak klinga, choć szybszym od niej i pewniejszym. Sami nie mieli daru i nie było z nimi jakiegokolwiek czarodzieja, który by ich bronił, więc zwyczajna zbroja nie stanowiła żadnej przeszkody.

Kahlan dała jej znak, że potrzebuje pomocy. Złapała ją za ramię i przyciągnęła ku sobie; musiała krzyczeć Vernie do ucha, żeby tamta słyszała ją w bitewnym zgiełku.

- Zobacz, co z nią, dobrze? Pomóż jej jakoś.



Verna skinęła głową i kucnęła przy Carze, a Kahlan i generał zajęli się nowym atakiem konnicy. Kiedy jeden z jeźdźców nadjechał z nastawioną kopią, generał uchylił się przed ciosem, a potem przyskoczył z boku do konia i złapał za kulę siodła. Stęknął z wysiłku i wbił miecz we wroga. Zdumiony żołnierz złapał wystającą mu z brzucha klingę. Generał wyrwał ją z niego, chwycił go za włosy i zrzucił z siodła. Umierający spadł, a Meiffert wskoczył na jego miejsce. Kahlan złapała kopię zabitego.

Wielki d'harański generał tak prowadził potężnego bojowego rumaka, żeby chronić Vernę i Carę. Kahlan wsunęła miecz do pochwy i posłużyła się kopią przeciwko bojowym koniom. Żadne konie, nawet dobrze wyszkolone bojowe rumaki, nie lubią być dżgane czymś ostrym w pierś. Wielu ludzi uważa je za głupie bydłota, ale konie są wystarczająco bystre, by pojąć, że rzucanie się na nastawioną kopię nie jest tym, co najbardziej lubią i co chciałyby zrobić, więc odpowiednio reagowały.

Wierzchowce cofały się lub stawały dęba, kiedy Kahlan dźgała je kopią; przy tej okazji wielu jeźdźców wypadło z siodeł. Część z nich odnosiła rany, uderzając w porozrzucany ekwipunek lub zamarznąłą ziemię, większość jednak padała ofiarą D'Harańczyków.

Generał Meiffert, dosiadający wielkiego bojowego rumaka Imperialnego Ładu, rozkazał swoim ludziom uformować linię obronną. Ustawił ich, a potem pomknął dalej, po drodze gromko wykrzykując rozkazy. Nie powiedział ludziom, kogo mają bronić, żeby nie zdradzić Kahlan przed wrogiem, lecz błyskawicznie zorientowali się, czego od nich oczekiwał. D'Harańczycy chwyтали kopie wroga lub nadbiegali z własnymi pikami i wkrótce nacierająca konnica miała przed sobą morderczą połyskującą linię stalowych grotów.

Kahlan wydała polecenia żołnierzom po obu stronach, a potem, kiedy włączyła się w szereg, nakazała im zablokować dwustuosobowy oddział jazdy, który starał się uciec. Wróg mógł sobie naśladować wypady jazdy d'harańskiej na obóz Imperialnego Ładu, ale Kahlan nie zamierzała dopuścić, żeby udało się mu ujść zwycięsko. Chciała, żeby ludzie Jaganga przegrali.

Konie napastników zatrzymały się przed zwartym szeregiem nastawionych pik trzymanyh przez idących na nie i wznoszących bojowe okrzyki żołnierzy. Zza jazdy Ładu nadbiegli inni żołnierze i wypuścili deszcz

strzał. D'Harańczycy ściągali z siodeł schwytyanych w pułapkę jeźdźców. Zmuszali ich do krwawej walki wręcz.

- Nie chcę, by którykolwiek z nich uszedł z życiem! - wrzasnęła Kahlan do swoich żołnierzy. - Żadnej litości!

- Żadnej litości! - odkrzyknął każdy, kto ją usłyszał.

Wrogowie, tak pewni siebie i butni, kiedy się zjawili, tak zachwyceni perspektywą przelania d'harańskiej krwi, byli teraz jedynie żalonymi, pozbawionymi nadziei ofiarami, które D'Harańczycy wycinali w pień. Powstała już linia obronna, wróg był w pułapce, więc Kahlan zostawiła żołnierzy z pikami i pobiegła wśród płomieni i dławiącego dymu ku Vernie, Adie i Carze. Musiała omijać leżących na ziemi rannych z obu wojsk. Powaleni napastnicy, wciąż dyszący pragnieniem walki, chwyтали ją za kostki. Musiała pchnąć tych, którzy usiłowali się podnieść i ją złapać. A także zabić tych, którzy zniemacka zjawiali się w pobliżu.

Wróg wiedział, kim była, a przynajmniej był tego dość pewny. Jagang ją widział i na pewno opisał swoim żołnierzom Matkę Spowiedniczkę. Kahlan była przekonana, że za jej głowę wyznaczono sporą nagrodę.

Po obozie byli rozproszeni żołnierze Imperialnego Ładu.

Kahlan nie sądziła, że to piechota; uważała, że to raczej jeźdźcy, którzy utracili konie. Bo konie stanowiły dla strzał i pik lepszy cel niż ludzie. Trudno było wypatrzeć wrogich żołnierzy w gęstniejącym mroku. Mogli się niepostrzeżenie przekradać po obozie, polując na wartościowy łup: oficerów albo i samą Matkę Spowiedniczkę.

Kiedy przyczajeni wrogowie dostrzegali Kahlan, idącą przez ten chaos, wypadali z ukrycia i zajadle rzucali się na nią. Na innych sama się natykała i zaskakiwała ich. Pamiętała nie tylko nauki ojca, ale i zalecenia Richarda, więc bezlitośnie uderzała na żołdaków Jaganga. Nie dawała im okazji do ciosu, szansy ratowania życia; nie znała dla nich litości.

Szkolenie ojca stworzyło dobre podstawy pod ezoteryczne taktyczne zalecenia, których nauczył ją Richard, kiedy w Hartlandzie leczyła się z ran. Wtedy metody Richarda wydawały się takie dziwne, teraz - takie oczywiste. Lżejszy koń był zwinniejszy od wielkiego bojowego rumaka; mniejszy ciężar Kahlan stał się jej atutem. Nie musiała być ciężka, bo nie ścierała się z wrogiem tradycyjnie, jak się tego spodziewał. Była kolibrem unoszącym się poza ich zasięgiem, wykorzystującym ich niezgrabne, ociężałe ruchy, żeby

zadać skutecznie śmierć.

Nie było to sprzeczne z metodami walki, których nauczył jej ojciec, raczej uzupełniało je w sposób, który Kahlan odpowiadał. Richard trenował ją nie mieczem, ale wierzbową witką, psotnym uśmiechem i groźnym błyskiem w oczach. Teraz miecz Richarda, przytroczony do jej pleców, przypominał, że tamte markowane pojedynki były nie tylko bezlitosne, ale i śmiertelnie poważne.

Wreszcie odnalazła Vernę, pochyloną nad Carą, lecz nigdzie nie zauważyła generała. Chwyła Vernę za rękaw.

- Co z nią?

- Zwymiotowała, ale to jej raczej pomogło. Pewnie przez jakiś czas będzie zamroczona, ale poza tym nic jej nie jest.

- Ma twardą czaszkę - stwierdziła Adie. - Nie pękła, ale lepiej niech się na trochę położy, przynajmniej dopóki nie odzyska równowagi.

Cara poruszała rękami, jakby miała kłopoty z wyczuciem ziemi pod sobą. Choć najwyraźniej kręciło się jej w głowie, urągała Ksieni i próbowała usiąść. Kahlan kucnęła przy niej i przycisnęła jej ramiona do ziemi.

- Jestem przy tobie, Caro. Nic mi się nie stało. Poleż spokojnie kilka minut.

- Chcę walczyć!

- Potem - uspokajała ją Spowiedniczka. - Nie martw się, będziesz miała po temu okazję. - Spostrzegła, że obmyto Adie głowę z krwi. - Jak się czujesz, Adie? Jak twoja głowa?

Stara czarodziejka niedbale machnęła ręką.

- A tam. Nic mi nie jest. Mam głowę twardszą niż Cara.

Żołnierze utworzyli ochronny stalowy mur. Verna, Adie i Kahlan przysiadły wokół Cary i od czasu do czasu obserwowały otoczenie, ale dokoła było już spokojnie. Jeśli nawet tu i ówdzie jeszcze walczone, to i tak były bezpieczne, otoczone zwartą linią D'Harańczyków.

Powrócił generał Meiffert - żołnierze rozstąpili się i przepuścili go. Zeskoczył ze zdobycznego bojowego rumaka. Koń potrząsnął łbem, oburzony, że musiał nieść wroga, i uciekł. Młody d'harański generał przysiadł po drugiej stronie Cary. Był zadyszany, ale i tak zaczął mówić:

- Sprawdziłem przednie linie. To wypad, podobny do naszych. Wydawali się liczniejsi, niż naprawdę byli. Kiedy zauważyli Matkę Spowiedniczkę,

zwołali swoich żołnierzy w tę część obozu, więc większość szkód powstała właśnie tutaj.

- Dlaczego nie wiedzieliśmy? - spytała Kahlan. - Co się nie powiodło z sygnałem alarmowym?

- Dokładnie nie wiadomo. - Potrząsnął głową, wciąż jeszcze łapiąc oddech. - Zedd uważa, że poznali nasze kody, więc kiedy gramy sygnał alarmowy, oni z pomocą magii subtraktywnej zmieniają wplecioną w dźwięk magię informującą naszych mających dar, że to prawdziwy atak.

Kahlan sapnęła gniewnie. Zaczynała rozumieć.

- Stąd te fałszywe alarmy. Zobojętniali nas na nie, żebyśmy w końcu błędnie uznali, że to kolejny fałszywy alarm.

- Chyba masz rację. - Meiffert zacisnął dłoń; spojrział w dół i napotkał gniewny wzrok Cary. - Nic ci nie jest, Caro? Tak się... to znaczy myśleliśmy, że możesz być ciężko ranna.

- Nie - odparła, łypiąc z zimną wściekłością na Vernę i Kahlan przytrzymujące ją na ziemi; niedbale skrzyżowała nogi w kostkach. - Uznałam, że sami sobie poradzicie, i się zdrzemnęłam.

Generał Meiffert uśmiechnął się do niej przelotnie i z powagą spojrział na Kahlan.

- Sytuacja się pogarsza. Ten atak jazdy miał odwrócić naszą uwagę. Jestem pewny, że przy okazji zamierzali cię pojmać, ale przede wszystkim chcieli, żebyśmy uwierzyli, że to tylko wypad.

Kahlan poczuła lodowaty dreszcz strachu.

- Nadchodzą, prawda?

Potaknął.

- Cała armia. Są jeszcze daleko, ale masz rację: nadchodzą. Ten wypad miał tylko odwrócić naszą uwagę.

Kahlan wpatrywała się w niego w osłupieniu. Ład nigdy przedtem nie atakował o zachodzie słońca. Perspektywa wylewających się z mroku setek tysięcy żołnierzy Imperialnego Ładu ścinała krew w żyłach.

- Zmienił taktykę - szepnęła do siebie. - Szybko się uczy. Sądziłam, że go oszukałam, ale to ja się dałam nabrać.

- Co tam mruczysz? - zapytała Cara leżąca ze splecionymi na brzuchu dłońmi.

- Jagang. Uznał, że nie zmylili mnie ci chodzący w kółko żołnierze.

Chciał, żebym wierzyła, że go podeszłam. A tymczasem to on mnie oszukał.

- Co? - skrzywiła się Cara.

Kahlan aż zemdliło. Przycisnęła dłoń do czoła, bo uświadomiła sobie straszliwą prawdę.

- Jagang chciał, żebym myślała, że przejrzałam jego plan, żebym udała, że zgodnie z tym postępuję, i wysłała oddziały. Prawdopodobnie uznał, że nie ruszą za jego przynętą, ale zostaną wykorzystane przeciwko jego właściwym planom ataku. Choć tak naprawdę o to nie dbał. Przez cały czas zamierzał zmienić taktykę. Czekał tylko, aż te oddziały odejdą, by móc zaatakować, nim zajmą wyznaczone pozycje. Dopóki będzie nas mniej.

- Chcesz powiedzieć - spytała Cara - że przez cały czas wiedział, że udajesz, kiedy mówiłaś o tym przemieszczaniu jego oddziałów ku północy?

- Obawiam się, że tak. Przechytrzył mnie.

- Może tak, a może nie - stwierdził generał Meiffert. - Jeszcze mu się nie udało. Nie pozwolimy, żeby stało się tak, jak on chce. Przesuniemy nasze oddziały, nim zdąży uderzyć.

- Nie moglibyśmy zawrócić żołnierzy? - spytała Verna. - Przydaliby się.

- Są o godziny drogi stąd - odparł generał. - Idą określonym szlakiem na wyznaczone pozycje. Nie zdążyliby na czas, żeby nas wspomóc tego wieczoru.

Kahlan, zamiast zadręczać się swoją łatwownością, zajęła się bieżącymi sprawami.

- Musimy natychmiast zareagować.

Generał przytaknął.

- Moglibyśmy wykorzystać inne nasze plany: rozproszyć się i ukryć w górach.

Przeczesał palcami jasne włosy. Ten gest frustracji nieoczekiwanie przypomniał Kahlan Richarda.

- Ale wtedy musielibyśmy porzucić większość zapasów. A w zimie, bez zapasów, sporo naszych żołnierzy długo by nie pożyło. Jesteś tak samo martwy, bez względu na to, czy padniesz w walce, czy umrzesz z głodu i zimna.

- I łatwo by nas było wtedy wyłapać - przyznała Kahlan. - To ostateczność. Ten sposób może być skuteczny później, ale nie teraz. Na razie musimy trzymać oddziały razem, jeśli chcemy przeżyć zimę i przeszkodzić ładowi w

podboju.

- Nie możemy dopuścić, żeby bez przeszkód zajęli jakieś miasto. Skończyłoby się to nie tylko krwawą jatką, ale i, gdyby wybrali właściwe miasto, moglibyśmy mieć ogromne problemy z usunięciem ich stamtąd. - Generał potrząsnął głową. - Mogłoby to oznaczać koniec naszych nadziei na wypędzenie ich z powrotem do Starego świata.

- A co z kotliną, o której rozmawialiśmy? - Kahlan wskazała w tył, za ramię. - Wysoka przełęcz jest wąska, w razie potrzeby od tej strony obroniliby ją nawet dwaj ludzie z psem.

- O tym właśnie myślałem - powiedział generał. - Cała armia byłaby w jednym miejscu, a Ład zajmowałby się nami, zamiast ruszać na któreś z miast. Jeżeli spróbują nas ominąć i zagłębić się w Midlandy, to z kotliny na północ prowadzą wygodne trasy, które moglibyśmy wykorzystać. Idą już ku nam dodatkowe oddziały i możemy posłać po dalsze. Aż do ich przybycia powinniśmy się trzymać razem i dalej prowadzić potyczki z Ładem.

- To na co czekamy? - spytała Verna. - Do dzieła.

Meiffert spojrzał na nią zatroskany.

- Problem w tym, że jeśli mamy zdążyć do tej kotliny, zanim Ład na nas uderzy, będziemy potrzebować więcej czasu. Przejście jest za wąskie dla wozów. Konie przejdą, ale wozy nie przejadą: trzeba je rozładować i zdemontować. Większość ekwipunku można rozłożyć na części i przenieść. Tylko trochę trzeba by było zostawić. Wyruszyć możemy wkrótce, ale trzeba będzie czasu na przeprowadzenie tym wąskim przejściem ludzi i zapasów, zwłaszcza w mroku.

- W nieprzerwanym strumieniu żołnierzy dobre będą pochodnie - wtrąciła Adie. - Po prostu pójdą za tym na przedzie, a to się uda nawet przy słabym świetle.

Kahlan przypomniała sobie lśniący odcisk dłoni.

- Mający dar mogą ułożyć błyszczący ślad, którym pójdą żołnierze.

- Owszem, to się przyda - powiedział Meiffert. - Ale dalej zostawiamy na boku nasz podstawowy problem. Ład nadejdzie, kiedy nasi ludzie będą rozmontowywać i przenosić ekwipunek oraz zapasy i czekać na swoją kolej, by przejść. Jednocześnie będziemy się wycofywać i toczyć walną bitwę we własnej obronie. Odwrót wymaga możliwości przewyższenia wroga szybkością lub przynajmniej trzymania go w szachu i jednoczesnego

wycofywania się. Wąskie przejście nie daje takiej możliwości.

- Już kiedyś podążaliśmy przed nimi - powiedziała Verna. - To nie jest pierwszy atak.

- Masz rację. - Meiffert wskazał w lewo. - Moglibyśmy spróbować wycofywać się tą doliną, ale uważam, że w mroku i z atakującym nas Ładem byłby to błąd. Tym razem to ciemności stanowią problem. Oni cały czas by za nami szli. Za dnia moglibyśmy zbudować umocnienia i powstrzymać ich, ale nie nocą.

- Tu już mamy umocnienia - odezwała się Cara. - Możemy zostać, gdzie jesteśmy, i zetrzeć się z nimi.

Generał Meiffert przygryzł dolną wargę.

- To była moja pierwsza myśl, Caro, i dalej biorę to pod uwagę, ale nie podobają mi się nasze szanse w takim bezpośrednim nocnym starciu, kiedy mogą ukradkiem doprowadzić w pobliże bardzo wielu żołnierzy. W mroku nie moglibyśmy wykorzystać łuczników. Nie widzielibyśmy ani ich manewrów, ani sił, więc nie udałooby się nam właściwie rozmieścić żołnierzy. To sprawa liczebności: ich jest niemal nieograniczona, nasza nie. Nasi mający dar nie są tak liczni, żeby śledzić każdą możliwość, a na wojnie tracisz zawsze przez to, czego nie dopatrzysz. Wróg mógłby wtargnąć przez przełęcz, zająć nas w ciemnościach od tyłu, a my nawet byśmy sobie z tego nie zdawali sprawy. Wtedy byłoby po nas.

Milczeli, rozmyślając nad sytuacją.

- Zgadza się - powiedziała Kahlan. - Przełęcz to jedyna szansa, by uchronić się od przegranej dużej bitwy i utraty wielkiej liczby żołnierzy. Pozostanie tutaj i podjęcie walki to zły wybór.

Generał spojrzał badawczo w oczy Kahlan.

- Ale dalej pozostaje do rozwiązania problem przeprawy przez przełęcz, zanim nas unicestwią.

Dziewczyna spojrzała na Vernę.

- Chcielibyśmy, żebyś spowolniła marsz wroga i w ten sposób dała nam czas na przeprowadzenie wojska przez tę przełęcz.

- Co mam zrobić?

- Wykorzystaj to swoje specjalne szkło.

- Jej co? - skrzywił się generał.

- Magiczną broń - odezwała się Cara. - Do oślepienia oddziałów wroga.

Verna wyglądała jak rażona piorunem.

- Nie jestem gotowa. Zrobiliśmy zaledwie niewielką ilość. Nie jestem gotowa.

Kahlan znów patrzyła na generała.

- Ile mamy czasu, zanim Ład na nas uderzy?

- Będą tu najwcześniej za godzinę, najpóźniej za dwie. Jeżeli ich nie spowolnimy, nigdy nie wydostaniemy się z tej kotliny z żołnierzami i zaopatrzeniem. Jeżeli nie znajdziemy sposobu na opóźnienie ich marszu, pozostanie nam jedynie ucieczka na wzgórze lub podjęcie bezpośredniej walki. Jedno lub drugie wybrałbym wyłącznie w akcie rozpacz.

- Jeżeli tylko uciekniemy na wzgórze - odezwała się Adie - to tak, jakbyśmy już byli martwi. Pozostając razem, zachowamy życie i przynajmniej będziemy zagrożeniem dla wroga. Jeśli się rozproszymy, Ład skorzysta z okazji, żeby atakować i zajmować miasta. Jeśli mamy do wyboru tylko się rozproszyć lub przyjąć walkę, to możemy jedynie przyjąć walkę. Lepiej spróbować, niż ginąć jeden po drugim w górach.

Kahlan tarła palcami czoło, usiłowała myśleć. Jagang zmienił taktykę i postanowił wciągnąć ich w nocną bitwę. Nigdy przedtem czegoś takiego nie robił, bo drogo by go to kosztowało - ale przy liczebności swojej armii najwyraźniej się tym nie przejmował. Nisko cenił życie.

- Gdybyśmy teraz podjęli z nim walną bitwę - stwierdziła z rezygnacją Kahlan - prawdopodobnie przed świtem przegralibyśmy wojnę.

- Zgadza się z tym - rzekł na koniec generał. - O ile dobrze rozumiem, nie mamy wyboru. Musimy zadziałać szybko i przeprowadzić przez przełęcz tylu żołnierzy, ilu zdołamy. Stracimy wszystkich, którzy nie zdążą przejść przed pojawieniem się Ładu, ale część zdołamy ocalić.

Cała czwórka milczała przez chwilę; każde z nich rozmyślało nad przerażającą rzeczywistością, nad tym, kto zostanie, by zginąć. Wokół nich wrzała gorączkowa praca. Żołnierze krzatali się pospiesznie, gasząc ogniska, łapiąc przerażone konie, opatrując rannych i walcząc z resztkami napastników. Żołdacy Ładu byli w przytłaczającej mniejszości. Niestety, nie na długo.

Kahlan zastanawiała się gorączkowo. Złościła się na siebie, że była tak naiwna. Słyszała słowa Richarda: myśl o rozwiązaniu, nie o problemie. Teraz liczyło się jedynie to rozwiązanie. Znów popatrzyła na Verne.



- Mamy godzinę, zanim na nas spadną. Musisz spróbować, Verno. Myślisz, że zdołasz przygotować to swoje specjalne szkło i rzucić je w powietrze, zanim wróg nas napadnie?

- Zrobię, co w mojej mocy, daję na to słowo. Chciałabym więcej obiecać. - Verna podniosła się z trudem. - Będę, rzecz jasna, potrzebować Sióstr, które pomagają rannym. A co z tymi z pierwszych linii? Z tymi, które neutralizują magię wroga? Dostanę jakieś?

- Weź wszystkie - powiedziała Kahlan. - Jeżeli to nie zadziała, to już nic nie będzie miało znaczenia.

- Więc wezmę wszystkie, co do jednej - oznajmiła Ksieni. - To nasza jedyna szansa.

- No, to do dzieła - powiedziała Adie do Verny. - Idź w pobliże pierwszych linii, tak by wiatr wiał ku napastnikom. Ja się zajmę zbieraniem Sióstr i przyślę je tam, żeby ci pomogły.

- Potrzebne nam szkło - poinformowała Verna generała. - Obojętnie jakie. Co najmniej kilka pełnych beczek.

- Natychmiast wyślę tam żołnierzy z pierwszą beczką. Czy możemy choć pomóc w kruszeniu go?

- Nie. Możecie wrzucić do beczek stłuczkę, ale całą resztę muszą już zrobić mający dar. Przyniesiecie całe szkło, jakie zdołacie zebrać, tylko tak możecie nam pomóc.

Meiffert obiecał, że o to zadba. Verna uniosła rąbek sukni, żeby się nie potknąć, i pobiegła wykonać zadanie. Adie podążała tuż za nią.

- Zaraz wyprawię żołnierzy - powiedział generał Meiffert, wstając. - Zwiadowcy mogą wyznaczyć szlak, wtedy zaczniemy od cięższego sprzętu.

Gdyby się powiodło, wymknęliby się z łap Jaganga. Kahlan wiedziała, że jeśli Vernie się nie powiedzie, to do rana wszyscy mogą stracić życie i przegrać wojnę. Generał przystanął na chwilę, dając jej ostatnią okazję do zmiany zdania.

- Zrób tak - powiedziała mu. - Mamy robotę, Caro.

## ROZDZIAŁ 38

Kahlan gwałtownie zatrzymała konia. Poczowała, jak krew napływa jej do twarzy.

- Co robisz? - spytała Cara, gdy dziewczyna przerzuciła nogę przez koński kark i zeskoczyła na ziemię.

Księżyc oświetlał koronkę płynących górą chmur, całą okolicę zalewała słaba łagodna poświata. Cienka warstwa śniegu sprawiała, że przytłumiony blask księżyca był jaśniejszy, niż gdyby padał na nagą ziemię.

Kahlan wskazała małą postać, którą z trudem dostrzegła w słabym świetle. Chudziutka dziewczynka, na pewno mająca niewiele ponad dziesięć lat, stała przy beczce i tłukła w jej wnętrzu metalowym prętem, krusząc szkło. Spowiedniczka znalazła się na ziemi i natychmiast oddała wodze Carze. Ruszyła ku Siostrom trującym się na ośnieżonej glebie. Ponad setka tych kobiet, ustawionych tak, by wiatr wiał im w plecy, pracowała w skupieniu. Niektóre okryły się peleryną jak namiotem.

Kahlan przeszła kawałek wzdłuż ich szeregu, pochyliła się, wsunęła dłoń pod ramię Ksieni i podniosła ją. Pamiętając o znaczeniu ich pracy, odezwała się cicho, choć nie umiała się zdobyć na to, by w jej głosie zabrzmiała sympatia:

- Co Holly tutaj robi, Verno?

Verna spojrzała ponad głowami tuzina Sióstr klęczących przed długą deską, w wiejącym im w plecy wietrze, i starannie kruszących szkło w moździerzach. Ponieważ moździerzy było za mało, niektóre miażdżyły szklane odłamki w żarnach zrobionych z płaskiego kawałka skały i okrągłego kamienia. Wszystkie były bardzo skupione i uważne. Wypadek oślepienia Siostry zdarzył się, gdy zmienił się wiatr i powiew rzucił jej w twarz szklany pył. To się mogło w każdej chwili powtórzyć, chociaż wraz z zapadnięciem mroku wiatr się ustabilizował.

Holly była opatulona w za dużą pelerynę. Z determinacją unosiła pręt i opuszczała go w beczkę ustawioną z dala od niebezpiecznej pracy Sióstr. Kahlan zobaczyła, że pręt lśnił słabą zielonawą poświatą.

- Pomaga, Matko Spowiedniczko!

- Jest dzieckiem!

- Tak jak Helen i Valery. - Verna wskazała w mroku osoby, których Kahlan nie zauważyła.

Dziewczyna ścisnęła palcami grzbiet nosa, odetchnęła dla uspokojenia.

- Jakie szaleństwo cię opętało, że ściągnęłaś dzieci na pierwszą linię, żeby pomagały... oślepić ludzi?

Ksieni spojrzała na pracujące w pobliżu kobiety. Ujęła Kahlan za łokieć i odciągnęła ją od nich. Dopiero wtedy splotła przed sobą dłonie i przybrała tak u niej częstą surową minę.

- Holly może sobie być dzieckiem, Kahlan, ale jest dzieckiem mającym dar i na dodatek niegłupim. To dotyczy również Helen i Valery. Holly w swoim krótkim życiu widziała więcej niż jakiegokolwiek inne dziecko. Wie, co się tego wieczoru dzieje, co to był za atak i jaki się zbliża. Była przerażona, jak i pozostałe dzieci.

- Więc zabrałaś ją na pierwszą linię, w największe niebezpieczeństwo?

- A co według ciebie miałam zrobić? Odesłać ją gdzieś i kazać pilnować żołnierzom? Chcesz, żebym ją zostawiła samiutką w taki czas, żeby mogła tylko dygotać ze strachu?

- Ale to jest...

- Ona ma dar. Chociaż to robi przerażające wrażenie, jest lepsze dla niej i dla pozostałych. Jest z Siostrami, które rozumieją i ją, i jej uzdolnienia, czego inni ludzie nie potrafią. Pamiętasz, jaką otuchę czerpałaś z towarzystwa starszej Spowiedniczki, która wiedziała, jak myślisz i czujesz?

Kahlan pamiętała, ale nic nie powiedziała.

- Siostry są teraz jedyną rodziną i jej, i innych nowicjuszek. Holly nie jest już sama i przerażona. Może wciąż się boi, ale pomaga nam i przelewa swój strach w coś, co ułatwi pokonanie jego przyczyny.

- Jest dzieckiem, Verno. - Kahlan dalej była zła.

- A ty musiałaś dzisiaj zabić dziecko. Rozumiem. Nie pozwól jednak, żeby to okropne wydarzenie jeszcze bardziej utrudniło Holly to wszystko. Tak, pomaga nam w przygotowywaniu okrucieństwa, ale takie jest to, co się teraz dzieje. Może umrzeć tej nocy, wraz z nami wszystkimi. Potrafisz sobie wyobrazić, co te bestie by jej najpierw zrobiły? Na szczęście przynajmniej to przekracza jej młodziutką wyobraźnię. I tak rozumie wystarczająco wiele, żeby się bać. Gdyby się chciała gdzieś ukryć, tobym jej na to pozwoliła; ale ma prawo pomagać w ratowaniu siebie, jeżeli tak postanowi. Ma dar i może

wykorzystać swoją moc do wykonania wstępnych czynności. Błagała, żebym jej pozwoliła pomagać.

Kahlan, udręczona, ściągnęła pod szyję futrzaną pelerynę i obejrzała się przez ramię na dziewczynkę podnoszącą chudymi rączkami ciężki metalowy pręt i opuszczającą go, by stłuc szkło leżące na dnie beczułki. Holly miała skupioną buzię, koncentrowała się na korzystaniu ze swojego daru i jednocześnie unoszeniu ciężkiego pręta.

- Drogie duchy - wyszeptała do siebie Kahlan - przecież to szaleństwo.

Cara niecierpliwie przestąpiła z nogi na nogę. Nie był to wyraz obojętności wobec tej sytuacji, ale sprawa priorytetów. Szaleństwo czy nie, czasu było mało i, jak powiedziała Verna, wszyscy mogli zginąć, zanim noc dobiegnie końca. Choć może brzmiało to okrutnie, były sprawy ważniejsze od życia dziecka, a nawet trojga dzieci.

- Jak idzie praca? Zdążycie?

Mina Verny nie była już tak zuchwała.

- Nie wiem. - Ksieni uniosła z wahaniem dłoń, wskazując leżącą przed nimi ciemną kotlinę. - Wiatr jest dobry, ale przestrzeń przed naszymi wojskami dość szeroka. Mamy trochę szklanego pyłu, ale potrzebujemy go tyle, żeby go zawiesić nad całym polem walki, kiedy wróg się zbliży.

- Ale trochę macie. I to na pewno zaszkodzi przeciwnikowi.

- Jeśli pyłu będzie za mało, to może go ominąć lub nie wyrządzić takiej szkody, żeby zatrzymać ich wojska. Pojedyncze ofiary ich nie powstrzymają.

- Verna zacisnęła w pięść jedną dłoń. - Jeśli Stwórca zechce opóźnić Imperialny Ład i dać nam jeszcze choć godzinę, to będziemy mieć odpowiednią ilość szklanego pyłu.

Kahlan przesunęła dłonią po twarzy. Ksieni prosiła o wiele, ale dziewczyna pomyślała, że w tych ciemnościach Ład może się posuwać na tyle wolno, że Verna i Siostry zyskają potrzebny im czas.

- I na pewno na nic się nie przydamy? Ktoś bez daru nie może nic dla ciebie zrobić?

Widoczna w księżycowej poświacie twarz Verny znów przybrała władczy wyraz.

- Owszem, może.

- A co?

- Zostawić mnie w spokoju, żebym mogła pracować.

Kahlan westchnęła.

- Ale obiecaj mi jedno - zażądała i Verna uniosła brew na znak, że słucha uważnie. - Kiedy rozpocznie się atak i będziesz rzucać w powietrze to swoje szkło, najpierw odeślij stąd dzieci, dobrze? Odeślij je na tyły, skąd je zabiorą przez przełęcz w bezpieczne miejsce.

Verna uśmiechnęła się z ulgą.

- Wpadłyśmy na ten sam pomysł, Matko Spowiedniczko.

Ksieni pospieszyła do swojej pracy, a Kahlan i Cara wróciły obok Sióstr do Holly przygotowującej szkło dla obdarzonych magiczną mocą kobiet. Spowiedniczka musiała się zatrzymać choć na słówko.

- I co u ciebie, Holly?

Dziewczynka oparła pręt o ścianę beczki, a Cara, nie przepadająca za magią, zerknęła podejrzliwie na słabo świecący metal. Holly cofnęła rączki i zielonawy poblask zgasł, jakby ktoś przykręcił magiczny knot.

- Wszystko dobrze, Matko Spowiedniczko. Tylko mi zimno. I zaczynam mieć okropnie dość marznięcia.

Kahlan uśmiechnęła się serdecznie i łagodnie pogładziła delikatne włosy Holly.

- Jak my wszyscy. - Przykucnęła obok małej. - Jak się dostaniemy do innej kotliny, to się rozgrzejesz przy ogniu.

- To będzie cudowne. - Holly zerknęła ukradkiem na metalowy pręt. - Muszę wracać do pracy, Matko Spowiedniczko.

Kahlan nie zdołała się opanować; przytuliła dziewczuszkę i ucałowała jej lodowaty policzek. Chude ramionka najpierw z wahaniem, a potem desperacko objęły ją za szyję.

- Tak się boję - wyszeptała Holly.

- Ja też - szepnęła Kahlan, mocno tuląc małą. - Ja też.

Holly się rozprostowała.

- Naprawdę? I ty się boisz, że ci okropni żołnierze nas zamordują?

Kahlan potaknęła.

- Boję się, ale wiem, że mamy mnóstwo dobrych ludzi, którzy nas obronią. Tak jak ty, dokładają wszelkich starań, żebyśmy wszyscy pewnego dnia byli bezpieczni i już się nie musieli bać.

Dziewczynka wsunęła ręce pod pelerynę, żeby je rozgrzać. Wbiła wzrok w ziemię.

- I tęsknię za Ann. - Znów popatrzyła na Kahlan. - Ann jest bezpieczna?  
- Nie tak dawno widziałam Ann - Kahlan starała się ją pocieszyć - i nic złego się jej nie działo. Nie musisz się o nią martwić.  
- Uratowała mnie. Kocham ją i bardzo za nią tęsknię. Dołączy do nas prędko?

Kahlan dotknęła dłonią policzka małej.

- Nie wiem, Holly. Ma do załatwienia ważną sprawę. Ale jestem pewna, że znów ją zobaczymy.

Holly - zadowolona z tych wieści i uspokojona, że nie tylko ona się boi - z nową energią wróciła do pracy.

Gdy Kahlan i Cara dotarły do swoich wierzchowców, usłyszały galop zbliżającego się konia. Zanim Kahlan rozpoznała jeźdźca, dojrzała i poznała ciemną plamę na zadzie konia. Zedd dostrzegł, jak macha ręką, i podprowadził ku niej Spider. Ześliznął się z grzbietu klaczy.

- Nadchodzą - oznajmił bez wstępów.

Verna spostrzegła nadjeżdżającego Zedda i podbiegła ku nim.

- Za szybko! Wcale nie mieli tu tak szybko dotrzeć!

Czarodziej popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Kurczę, kobieto, czy mam im powiedzieć, że bardzo nam nie odpowiada, by nas akurat teraz atakowali, i poprosić, żeby później przyszli nas pozabijać?

- Dobrze wiesz, co mam na myśli! - parsknęła. - Jeszcze jest tego za mało.

- Kiedy się tu zjawia? - spytała Kahlan.

- Za dziesięć minut.

Tak niewiele czasu dzieliło ich od katastrofy. Kahlan miała wrażenie, że serce podchodzi jej do gardła; nagle wróciło zapomniane wspomnienie tego, jak ją otoczono i pobito niemal na śmierć. Verna wydawała dziwne dźwięki frustracji, gniewu i strachu.

- Masz już coś gotowe? - Zedd powiedział to tak spokojnie, jakby pytał o kolację.

- Tak, oczywiście - odparła Verna. - Ale jeśli będą tu tak wcześnie, to szklanego pyłu będzie za mało. Drogi Stwórco, nie mamy nawet tyle, żeby rzucić to w powietrze przed całą pierwszą linią. A za mało to tak, jakby tego wcale nie było.

- Teraz już nie mamy wyboru. - Zedd zapatrzył się w ciemność. Może

widział to, co tylko czarodziej mógł zobaczyć; odezwał się bezbarwnym głosem człowieka, który wie, że wyczerpał wszystkie możliwości i może nawet doszedł do kresu wiary: - Zaczynj rozsiewać to, co masz. Musimy mieć nadzieję, że wszystko obróci się na dobre. Mam z sobą posłańców; wyślę do generała Meifferta wieści o sytuacji. Powinien wiedzieć.

Fakt, że Zedd najwyraźniej nie miał nadziei, ukazywał ich los w najbardziej przerażającej perspektywie. To właśnie Zedd zawsze ogniskował ich wolę i działania, dodawał odwagi, przekonania i pewności siebie. Zebrał w jednej dłoni wodze Spider, drugą uchwycił się jej grzywy.

- Zaczekaj - odezwała się Kahlan.

Zatrzymał się i spojrzał na nią. Oczy czarodzieja były oknami ukazującymi jego wewnętrzne zmęczenie i znużenie. Kahlan nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, czemu musiał stawiać czoło przez całe życie lub choćby w kilku ostatnich tygodniach. Rozmyślała gorączkowo, starając się znaleźć jakiś sposób, by odwrócić ich ponury los. Nie mogła zostawić Zedda samemu sobie. Tak często podtrzymywał ich na duchu, pomagał; teraz potrzebował wsparcia. Ukazała mu pełną determinacji twarz i zwróciła się do Ksieni:

- A co będzie, Verno, jeśli nie wykorzystamy szklanego pyłu tak, jak zamierzaliśmy? Jeśli nie rzucimy go na wiatr z nadzieją, że zanieśnie go, gdzie chcemy?

- Co masz na myśli? - Zdezorientowana Verna rozłożyła dłonie.

- Czy ta ilość szkła, o której mówiłaś, nie byłaby potrzebna głównie po to, żeby wiatr przeniósł je przez całą kotlinę i żeby jeszcze zawisło w powietrzu?

- Cóż... tak, oczywiście, ale...

- A jeżeli - spytała Kahlan - rozrzucimy je wzdłuż pierwszej linii? Dokładnie tam, gdzie jest nam potrzebne? Wtedy będzie go potrzeba mniej, nieprawdaż?

- Tak przypuszczam. - Verna wyrzuciła w górę ręce. - Ale uprzedzałam cię, że nie możemy sobie pomóc mocą, bo wykryją nasze zaklęcia i osłonią się przed szkłem, jak tylko je rozsiejemy. Stanie się bezużyteczne. Lepiej wykorzystać to, co mamy, i mieć nadzieję, że się uda.

Kahlan spojrzała na pustą równinę, ledwo oświetloną przez księżyc, który przesłaniały leciutkie chmury. W kotlinie jeszcze nic nie było widać. Ale wkrótce będzie. Nieskalany śnieg rozdepczą niedługo buty ponad

milionu żołnierzy.

Ciszę nocy zakłócał jedynie chrzęst miażdżonego między kamieniami szkła oraz stuk metalowych prętów o dno beczek. Niedługo noc rozedrze mrozącą krew w żyłach bojowe wrzaski.

Kahlan poczuła dławiący strach, taki sam jak wtedy, gdy uświadomiła sobie, że znalazła się sama wśród tych ludzi. Poczuła również gniew.

- Zbierz wszystko, co już jest - poleciła. - I daj mi.

Wpatrywali się w nią.

Zedd zmarszczył czoło, ściągnął brwi.

- Co zamierzasz?

Kahlan odgarnęła włosy z twarzy i pośpiesznie układała w myślach w całość fragmenty swojego planu.

- Wróg atakuje pod wiatr. Nie całkiem, ale na tyle, że nam to wystarczy. Myślę, że jeżeli przejadę wzdłuż naszej linii, tuż przed nadciągającymi oddziałami nieprzyjaciela, rozsiewając szklany pył, to poleci on z wiatrem prosto w ich twarze. Zostanie rozsiany dokładnie tam, gdzie należy, więc będzie go potrzeba o wiele mniej, niż gdyby wiatr miał go nieść przez dolinę aż stąd. - Popatrzyła na zaskoczone twarze. - Rozumiecie? Jeśli rozsiejemy go bliżej wroga, wystarczy mniejsza ilość.

- Drogi Stwórco - zaprotestowała Verna - czy zdajesz sobie sprawę, jakie to będzie niebezpieczne?

- Tak - odparła twardo Kahlan. - O wiele mniej niebezpieczne niż stawienie czoła bezpośredniemu atakowi całej armii. Czy to się uda? Czy nie trzeba będzie znacznie mniej szkła, jeżeli przejadę przed nimi, rozsiewając je po drodze, niż gdyby miało ulecieć z wiatrem aż stąd? No słucham? Czas ucieka.

- Masz rację. Wtedy nie trzeba by go było tak wiele. - Verna dotknęła ust i zapatrzyła się w mrok, zamyślona. - I to na pewno lepszy sposób niż nasz.

- Zbierz wszystko - zaczęła ją ponaglać Kahlan. - Natychmiast. Spiesz się.

Ksieni przestała się sprzeciwiać i pobiegła gromadzić to, co już było gotowe. Cara właśnie miała zaprotestować, kiedy Zedd uniósł dłoń, jakby prosił, żeby to jemu pozwoliła zgłosić sprzeciw.

- Wygląda na to, Kahlan, że to niezły pomysł, ale mógłby go zrealizować ktoś inny. To szaleństwo ryzykować...

- Będę potrzebować jakiegoś urozmaicenia - przerwała mu. - Czegoś, co



odwróci ich uwagę. Pojadę w ciemnościach, więc pewnie mnie nawet nie zauważą, ale lepiej, żeby coś zajęło ich uwagę, tak na wszelki wypadek. Żeby coś przyciągnęło ich wzrok, po raz ostatni.

- Jak już mówiłem, ktoś inny mógłby...

- Nie - odparła spokojnie, ale stanowczo. - Nie poproszę nikogo, żeby to zrobił. To mój pomysł. I ja go zrealizuję. Nie pozwolę, żeby ktoś zajął moje miejsce.

Kahlan obarczała się winą za groźbę, która nad nimi zawisała. To ona popełniła błąd i dała się nabrać na sztuczki Jaganga. To ona wymyśliła plan i odesłała żołnierzy. To ona umożliwiła Jagangowi nocny atak. Aż za dobrze wiedziała, z jakim przerażeniem wszyscy czekali na to uderzenie. Sama też się bała. Pomyślała o Holly, pełnej strachu, że zabiją ją wynurzający się z mroku nocy krwiożerczy wrogowie. Strach był aż nazbyt realny.

I to Kahlan tej nocy przegrałaby za nich wojnę, gdyby nie udało się im przeprowadzić armii przez przełęcz w bezpieczne miejsce.

- Sama to zrobię - powtórzyła. - Tak się stanie. Tkwienie w miejscu i sprzecznianie się nic nie da, poza utratą tej szansy. A teraz potrzebuję czegoś, co odwróci ich uwagę, i to szybko.

Zedd sapnął gniewnie. Oczy znów mu płonęły.

- Warren tam na mnie czeka. - Wskazał. - Ustawimy się w pewnej odległości od siebie i urządzimy pokaz.

- Co zrobicie?

Czarodziej w końcu się uśmiechnął, ponuro i przebiegle.

- Tym razem nic wymyślnego. Żadnych podstępnych sztuczek, których się bez wątplenia spodziewają. Tym razem urządzimy im pokaz porządnych, staromodnych fajerwerków.

Kahlan szarpnęła rzemień na żebrach, mocującą skórzaną zbroję na barkach, plecach i torsie, mocno go ściągnęła. Energicznie skinęła głową.

- A więc ogień czarodzieja.

- Patrz ku nam, w prawo, jak będziesz jechać. Nie chcę, żebyś się znalazła na drodze tego, co szykuję dla wroga. Musisz też uważać na to, co ich mający dar poślą ku mnie.

Skinęła głową na znak, że zastosuje się do krótkich zaleceń Zedda, mocniej związała pelerynę. Sprawdziła rzemień mocujące skórzane nabiodrki, pamiętając, jak żołnierze Ładu wbijali w nie krzepkie paluchy i

starali się zrzucić ją z konia.

Nadbiegła Verna dźwigająca w wyciągniętych ku ziemi rękach dwa wielkie, pełne wiadra. Towarzyszyło jej kilka Sióstr.

- W porządku - wysapała zadyszana Ksieni. - Ruszajmy.

Kahlan sięgnęła po wiadra.

- Wezmę...

Verna je wyszarpnęła.

- Jak zamierzasz jechać i to rozsiewać? To za dużo. Poza tym nie znasz jego właściwości.

- Nie pozwolę ci, Verno...

- Przestań się zachowywać jak uparte dziecko. Ruszajmy.

Cara złapała jedno z wiader.

- Verna ma rację, Matko Spowiedniczko. Nie możesz się jednocześnie utrzymywać na koniu, rozsiewać szklany pył i trzymać wiadra. Wy dwie weźmiecie tamto. Ja się zajmę tym.

Smukła Siostra Philippa podbiegła do Cary i podniosła wiadro.

- Pani Cara ma rację, Ksieni. Ty i Matka Spowiedniczka nie poradzicie sobie z dwoma wiadrami. Wy weźmiecie jedno, a ja i pani Cara drugie.

Nie było czasu na sprzeczki z trzema zdeterminowanymi kobietami. Kahlan wiedziała, że nikt by jej nie powstrzymał przed zrobieniem tego, co zrobić musiała; ich najprawdopodobniej też nie. Poza tym racja była po ich stronie.

- Zgoda - rzekła Kahlan, wciągając rękawice. Narzuciła futrzane okrycie na wełnianą pelerynę i mocno je ściągnęła. Nie chciała, żeby coś powiewało na wietrze. Rękojeść miecza była zasłonięta, ale uznała, że nie będzie jej potrzebny. Rękojeść miecza Richarda sterczała ponad ramieniem - stałe przypomnienie o nim, jakby potrzebowała przypomnienia. Szybko związała włosy rzemykiem.

Verna rzuciła w powietrze garść puszystego śniegu, sprawdzając wiatr. Utrzymał kierunek; był słaby, ale stały. Tyle przynajmniej mieli na swoją korzyść.

- Wy dwie ruszycie pierwsze - powiedziała Kahlan do Cary. - Verna i ja odczekamy jakieś pięć minut, żeby to, co rozsiejecie, poszybowało ku wrogowi i żebyśmy w to nie wjechały. Potem pojedziemy za wami w poprzek kotliny. Wtedy na pewno nasze „zasiewy” się odrobinę pokryją i nie będzie w

nich żadnych luk. Musimy tak to załatwić, żeby Ład nie miał się którądy bezpiecznie przedostać. Szkody i przerażenie powinny być tak jednolite i powszechne, jak to tylko możliwe.

Siostra Philippa, widząc, co zrobiła Kahlan, mocno związała pelerynę w pasie i przy szyi.

- Słusznie.

- Będzie wtedy skuteczniejsze - przyznała Verna.

- Nie ma czasu, by podważać to wariactwo - burknął Zedd, łapiąc Spider za grzywę i podciągając się w górę; znalazł się brzuchem na końskim grzbiecie, przerzucił nogę ponad zadem kasztanki i usiadł. - Dajcie mi minutkę lub dwie, żebym się przed was wysforował i powiadomił Warrena, a potem pokazemy Imperialnemu Ładowi kawałek prawdziwej roboty czarodzieja.

Obrócił konia i uśmiechnął się. To znów dodało wszystkim ducha.

- A po tym wszystkim niech no ktoś czeka na mnie z kolacją po tamtej stronie przełęczy.

- Kolacja będzie, choćbym ją miała sama ugotować - obiecała Kahlan.

Czarodziej pomachał do nich wesoło i pogalopował w ciemność.

## ROZDZIAŁ 39

Kahlan wsunęła but w strzemię, chwyciła kulę i wskoczyła na siodło. Zimna skóra zatrzeszczała, gdy dziewczyna pochyliła się do przodu i wyciągnęła rękę, żeby pomóc Vernie. Kiedy Ksieni usiadła tuż za Kahlan, dwie Siostry ostrożnie podały jej ciężkie drewniane wiadro. Cara i Siostra Philippa siedziały już na koniu, gotowe ruszać. Siostra wspierała wiadro na udzie.

- Wyprawcie dzieci za przełęcz - nakazała Verna.
- Zadbam o to, Ksieni. - Siostra Dulcinia skinęła siwą głową.
- Całą resztę szkła, którą będziecie mieć, kiedy odjedziemy z Matką Spowiedniczką, wypuście na wiatr, a potem rozstawcie się za naszą linią, żeby pomóc, gdyby Ład się przedarł. Jeśli nam się nie powiedzie, Siostry muszą zrobić, co w ich mocy, żeby powstrzymać wroga, dopóki jak najwięcej naszych nie przedostanie się w bezpieczne miejsce.

Siostra Dulcinia znów obiecała, że przekaze rozkazy Ksieni.

Kilka minut czekały w milczeniu, dając Zeddowi czas na dotarcie do Warrena z wieściami. Już nic nie było do powiedzenia. Kahlan koncentrowała się na tym, co miała zrobić; starała się nie trapić, czy to się powiedzie, czy nie. Jednak cały czas była świadoma, jak niedoskonałe są zazwyczaj takie podjęte w ostatniej chwili plany walki.

Wreszcie dziewczyna uznała, że czekały dostatecznie długo, i dała znak Carze, żeby ruszała. Wymieniły ostatnie spojrzenie. Cara uśmiechnęła się i pomknęła w mrok; Siostra Philippa jedną ręką mocno obejmowała Mord-Sith w talii, drugą podtrzymywała ustawione na udzie wiadro.

Kiedy w oddali ucichł tętent kopyt konia Cary, Kahlan po raz pierwszy uświadomiła sobie, że słyszy chóralne ryki setek tysięcy żołnierzy Imperialnego Ładu. Nieprzeliczone głosy zlewały się w przeciągłe wycie, w miarę jak napastnicy podchodzili coraz bliżej. Brzmiało to niemal tak jak jękliwe zawrodo w wicherze wśród poszarpanych skał jaru. Koń Kahlan parsknął i uderzał kopytami o zamarznąłą ziemię. Straszliwe buczenie sprawiało, że serce dziewczyny biło jeszcze szybciej. Chciała umknąć, zanim tamci podejżą za blisko, lecz musiała czekać, żeby szklany pył, rozsiany przez Carę i Siostrę Philippę, mógł odlecieć z wiatrem.

- Chciałabym, żebyśmy mogły użyć magii do samoochrony - odezwała się cicho Verna, jakby odpowiadała na nie wypowiedziane myśli Kahlan. - Ale, rzecz jasna, nie możemy, bo by to wykryli.

Kahlan potaknęła, ledwo słysząc, co tamta powiedziała. Verna mówiła, co jej akurat przyszło na myśl, byle tylko nie siedzieć bezczynnie, słuchając, jak wróg idzie na nich.

Matka Spowiedniczka siedziała nieruchomo jak śmierć - dawno zapomniała o kąsającym mrozie, krew szumiała jej w uszach - wpatrywała się w noc i starała się sobie wyobrazić każdy szczegół czekającego ją zadania. Próbowwała to najpierw ułożyć w myślach, żeby potem nic jej nie zaskoczyło i nie zmusiło do podjęcia nieprzewidzianych decyzji. Lepiej wcześniej przewidzieć, co tylko się da, niż potem odruchowo reagować.

Siedziała, milcząc, na koniu i czuła, jak narasta w niej gniew. Gniew czyni lepszym wojownikiem niż strach.

Kahlan karmiła gniew straszliwymi obrazami tego, co Imperialny Ład uczynił mieszkańcom Midlandów. Przywołała wspomnienia o wszystkich poległych, jakby się kolejno zjawiali przed Matką Spowiedniczką, by bezgłośnie błagać o pomstę. Wspominała kobiety, które zawodziły nad pomordowanymi dziećmi, mężami, braćmi, siostrami, matkami i ojcami. Przypominała sobie silnych mężczyzn, jak bezradnie cierpieli nad rzezią przyjaciół i najbliższych. W wyobraźni widziała tych mężczyzn, te kobiety i dzieci dręczone przez ludzi, którym nigdy nic złego nie uczynili.

Imperialny Ład był jedynie bandą pozbawionych współczucia morderców. Nie zasłużyli na litość i nie doznają jej.

Pomyślała o Richardzie pojmanym przez tego wroga. Upajała się obietnicą, że w razie potrzeby wybije ich do nogi, byle odzyskać męża.

- Już czas - odezwała się Kahlan przez zaciśnięte zęby; nie oglądając się przez ramię, spytała: - Jesteś gotowa?

- Gotowa. Za nic nie zwalniam, bo i my skończymy jako ofiary szkła. Nasza jedyna nadzieja w opływającym nas strumieniu powietrza, który odwiewa szklany pył. Kiedy dotrzemy na drugą stronę kotliny, a ja już wszystko rozsieję, będziemy bezpieczni. Wtedy Ład powinien już być w narastającym nieładzie, a może i zupełnie spanikowany.

Kahlan skinęła głową.

- Trzymaj się mocno. Ruszamy.

Koń, już podekscytowany - prawdopodobnie zbliżającymi się wrzaskami - ruszył za szybko, niemal zrzucając Verne. Ksieni jeszcze mocniej zacisnęła ramię wokół talii Kahlan. Jednocześnie dziewczyna sięgnęła do tyłu, złapała ją za rękaw i przytrzymała. Kiedy tak mknęły i Verna łapała równowagę, wiadro przechyliło się, ale Ksieni zdołała je wyprostować. Na szczęście nic się nie wysypało.

Krzepki wierzchowiec słuchał Kahlan i pędził w wyznaczonym kierunku, ale uszy postawiał ku zbliżającemu się zgiełkowi. Trochę go niepokoił ciężar dwóch jeźdźców, nie był do tego przyzwyczajony. Był dobrze wyszkolony i na tyle często widział bitwy, że wiedział, co oznaczają bojowe wrzaski; dlatego był taki nerwowy. Kahlan wiedziała, że jest silny i szybki. A przy tej robocie szybkość gwarantowała życie.

Pędzili przez czerną dolinę, a rytm serca Kahlan dorównywał szybkością wierzchowcowi. Wróg był teraz o wiele bliżej niż wtedy, gdy niedawno mknęła tędy Cara. Łomot końskich kopyt częściowo zagłuszał dobiegające z lewej bojowe krzyki nieprzeliczonych wrogich żołnierzy.

Kahlan usłyszała nadciągających ku niej w mroku mężczyzn, wrzeszczących z pragnienia krwi, i napłynęły straszliwe wspomnienia pięści i butów. Jak nigdy przedtem odczuwała teraz swoją kruchość, podatność na ciosy. Przetworzyła te wspomnienia ze strachu w gniew na zniewagę wyrządzaną przez tych brutali, którzy wdzierali się w głąb jej Midlandów i mordowali jej lud. Chciała, żeby każdy z nich cierpiał, żeby każdy z nich padł martwy.

Nie sposób było dokładnie określić, jak daleko wróg już tu wszedł ani w którym właściwie kierunku mknie, bo blask księżycy padał zza pleców Kahlan. Dziewczyna martwiła się, że mogła się zanadto do nich zbliżyć i że nieoczekiwanie napotkają mur żądnych krwi najemników. Ale chciała być blisko, by uwolnić oślepiający pył wprost w ich twarze, by mieć pewność, że to podziela i zatrzyma atak. Oparła się chęci zwrócenia konia w prawo, dalej od wroga.

Nagle noc zapłonęła ostrym żółtym blaskiem. Barwa chmur zmieniła się z szarej w jaskrawą, żółto-pomarańczową. Biały śnieg rozbłysnął jaskrawymi kolorami. Straszliwy buczący dźwięk zawibrował aż w głębi piersi Kahlan.

Ze sto stóp przed dziewczyną i jakieś dziesięć stóp ponad ziemią przetoczyła się z rykiem kula płynnego żółtego i błękitnego ognia, roniąc

ogniste krople i buchając czarnym dymem. Kula wrzącego ognia czarodzieja wyraźnie oświetlała ziemię, ponad którą mknęła. Choć nie było to skierowane przeciwko niej, sam dźwięk wystarczył, by Kahlan zapragnęła uciec w przerażeniu. Na tyle dużo wiedziała o ogniu czarodzieja, o tym, jak trwale przywiera do skóry, żeby się go wystrzegać. Kiedy ów żywy ogień raz kogoś dotknął, nie można się go już było pozbyć. Nawet jedna kropla ognia czarodzieja mogła wypalić ciało do kości. Nikt nie był ani na tyle odważny, ani na tyle szalony, żeby się go nie bać. Bardzo niewielu ludzi dotkniętych tym magicznym ogniem przeżyło i mogło opowiedzieć o owym przerażającym doznaniu. I przez resztę życia pałali chęcią odwetu.

Potem w blasku mknącej ponad dnem kotliny kuli ognia Kahlan dostrzegła nadciągającą horde: unosili miecze, maczugi, cepy, topory, piki i kopie, wyrzaskiwali bojowe okrzyki. Pędzili na łeb na szyję przez noc - niepohamowani, srodzy, zawzięci - opanowani szaleńczą żądzą walki.

Dopiero teraz, w blasku księżyca, Kahlan po raz pierwszy, od kiedy przyłączyła się do armii, ujrzała całą potęgę wrogich sił. Raporty opowiadały o tym, ale nie były w stanie przekazać całościowego obrazu. Liczby tak dalece wykraczały ponad jej doświadczenie, że nie mogła w nie uwierzyć. Wpatrywała się w nich z przerażeniem, z rozszerzonymi oczami i otwartymi ustami.

Kahlan zorientowała się ze strachem, że wróg jest o wiele bliżej, niż się spodziewała. Pochodnie mające służyć do wzniesienia pożarów lśniły nad nieprzeliczoną masą żołnierzy jak blask księżyca na falach wlewającego się w kotlinę morza. A księżycowa poświata odbijająca się od nieprzeliczonego oręża utworzyła na horyzoncie płaską linię, ponad którą Kahlan niemal spodziewała się dostrzec płynące pod pełnymi żaglami okręty.

Falująca czołowa linia, która połyskiwała tarczami i dzidami, mogła lada moment odciąć dziewczynie drogę. Kahlan uderzyła koński bok prawą piętą, kierując zwierzę nieco w prawo, żeby się odsunąć od fali żołnierzy. Skorygowała kierunek i popędziła rumaka, uderzając go piętami w zębra.

Obok przemknęła ze świstem strzała, dzidy wbiły się w ziemię tuż przed nią - i wtedy uświadomiła sobie, że w blasku ognia czarodzieja i wróg mógł ją widzieć.

Kula ognia czarodzieja, która ukazała Kahlan wrogowi, z wyciem uleciała w mrok. Pogrzyżyła dziewczynę w ciemnościach, za to oświetlała dziesiątki

tysięcy żołnierzy, ponad którymi przelatowała. Gdzieś daleko, za nadciągającą hordą, ogień w końcu uderzył w ziemię, wznecając pożogę wśród oddziałów jazdy. Konnicę często trzymano z tyłu, gotową do szarży, kiedy żołnierze natkną się na szeregi D'Harańczyków. Noc rozdarły dalekie przedśmiertne wrzaski ludzi i zwierząt.

Strzała ześliznęła się po skórzanym nabiodrku Kahlan. Kolejne świsnęły mimo niej. Jedna wbiła się w siodło tuż poniżej jej brzucha, kiedy pochyliła się nad kłębem galopującego konia. Najwyraźniej widzieli w księżycowej poświacie, jak mknęły przed nimi z Verną.

- Dlaczego nie oślepli? - zawołała Kahlan przez ramię.

Widziała ciągnącą się za nimi chmurę. Mało się różniła od tumanu pyłu wzbijanego przez kopyta galopującego konia, ale Kahlan spostrzegła, że owa chmura wydobywa się z wiadra wspartego o udo Verny; Ksieni nachylała je w stronę wroga - raz mniej, raz więcej, kontrolując ilość sypiącego się stałym strumykiem szklanego pyłu. Cara już wtedy przemknęła, a mimo to żołnierze nie ponieśli żadnego uszczerbku.

- Potrzeba nieco czasu, żeby zadziało - powiedziała jej do ucha Verna. - Powinni trochę pomruć.

Tuż za nimi przeleciał ogień. Ogniste krople rozprysnęły się na śniegu, sycząc jak krople deszczu na nagranych kamieniach okalających ognisko. Koń parsknął i pomknął jeszcze prędzej, bliski paniki. Kahlan, pochylona nad jego kłębem, uspokajająco poklepała go po szyi, przypominając, że nie jest sam. Powiodła wzrokiem po zbliżającym się pierwszym szeregu wrogiej armii. Żołnierze trochę mrugali. Oczy mieli szeroko rozwarte, płonące bitewnym szałem.

Ogień czarodzieja, który tak wystraszył wierzchowca, wybuchł wśród wrogich szeregów. Strugi ciekłego ognia rozlały się w tłumie żołnierzy, wywołując przenikliwe, straszliwe wrzaski. Kiedy płonący ludzie wpadali na sąsiadów z tłumy, ogień przenosił się i na tych, rozprzestrzeniał. Nadciągający szereg wygiął się wokół pożogi. Ci z tyłu, biegnąc na złamanie karku przez noc, trawili tych, którzy upadli - tracili równowagę i również padali.

Za koniem przemknęła z rykiem kolejna kula i runęła w dół, rozlewając strugi ognia niczym wodę z pękniętej zapory. Wybuch był tak potężny, że rozlewające się strugi ognia poniosły z sobą żołnierzy.



Dość blisko przed Kahlan wyleciał z wrogich szeregów spory kłęb ognia i poszybował ku D'Harańczykom. Natychmiast od prawej nadleciała mała kula błękitnego ognia i uderzyła w powietrzu w wielki kłęb żółtych płomieni. Ognisty deszcz spadł wokół nich. Kahlan zachłysnęła się oddechem i szarpnęła wodze w lewo, bo tuż przed nimi runął na ziemię spory kęs ognia, rozbryzgując płomienie. Udało im się z trudem ominąć ów pożar, ale teraz niepokojąco szybko zbliżały się do szeregów wroga. Kahlan mogła odczytać z ich warg obsceniczne pogrożki. Uderzyła przerażonego konia obcasem, kierując go w prawo. Skręcił odrobinę, ale nie na tyle, by nie kierować się nadal ku szeregom wroga.

Na żołnierzy i pusty teren leciały z góry jarzące się kawały ognia. Koń uciekał w panice, zbyt przerażony, żeby słuchać Kahlan. Strach zwierzęcia dodatkowo wzmagał swąd palącej się skóry. Kahlan spojrzała w dół - na skórzanym nabiodrku leżała płomienista kropla. Malutki, lecz uparty ogienek chwiał się na wietrze. Dziewczyna nie ośmieliła się strzepnąć płomyka z obawy, że przylgnie jej do ręki. Bała się sobie wyobrazić, co będzie, kiedy w końcu przepali skórzaną osłonę. Wówczas będzie musiała wytrzymać ból; innego wyboru nie było.

Verna nie zorientowała się, co się stało. Wychylona w bok, dalej rozsiewała szklany pył. Kahlan widziała ciągnącą się za nimi smugę. Długie pasmo wyginało się unoszone wiatrem w głąb szeregów wroga, za pierwszą linię, daleko w mrok. A jeszcze dalej ową chmurę oświetlały pochodnie niesione przez żołnierzy ładu i widać było, jak się miesza z kurzem wzbijanym z zamarzniętej ziemi.

Strzała musnęła koński bark i odbiła się w powietrze. Runęła ku nim dziko ława żołnierzy, chcąc im odciąć drogę. Kahlan szarpnęła wodze, starając się skierować potężnego konia w prawo. Nie posłuchał jej, zdjęty przerażeniem. Bez skutku usiłowała go zawrócić. Nie udawało się. Mknęli wprost na mur żołnierzy.

- Za bardzo się zbliżamy! - huknęła jej w ucho Verna.

Kahlan była zbyt zajęta, żeby odpowiedzieć. Ramię dygotało jej z wysiłku, tak mocno ciągnęła w prawo wodze, próbując zwrócić łeb konia - ale on miał wędzidło w zębach i był o wiele silniejszy. Pot spływał dziewczynie po szyi. Wyciągnęła w tył prawą nogę i wbiła obcas w prawy bok konia, żeby zawrócił. Żołnierze przed nimi unieśli piki i miecze. Walka to jedno, lecz

bezradne patrzenie na nadciągający los to zupełnie co innego.

- Kahlan! Co ty robisz?!

Wreszcie zmusiła konia do skrętu, wbijając mu obcas w prawą tylną nogę. Nie wystarczyło. Nie poradzi sobie z przerażonym rumakiem. Wróg wyglądał jak pędzący ku nim jeździec ze stalowymi kolcami.

Trzy susy przed tamtymi koń pochylił łeb.

- Dobry konik! - krzyknęła Kahlan.

Może mu się uda przesadzić piki. Dziewczyna uniosła się z siodła, pochyliła do przodu i wyprostowała plecy. Ułożyła ręce po bokach końskiej szyi, luzując wodze. Dalej ścisnęła go łydkami, ale dała mu swobodę, której potrzebował.

Nie wiedziała, czy skok się uda - Verna stanowiła dodatkowy ciężar. Gdybyż tak piki były krótsze. Wrzasnęła do Verny, żeby się mocno trzymała.

Nagle przed nimi ukazał się lecący nisko ogień czarodzieja. Żołnierze, którzy wysunęli się do przodu, żeby przeciąć Kahlan drogę, przypadli do ziemi. Padł cały szereg przed koniem. Ogień przeleciał z wyciem tuż nad głowami żołnierzy i opadł na lewo od Kahlan. Ogłuszyły ją wrzaski tysiąca mężczyzn.

Koń wyciągnął przed siebie pochyloną głowę, podgiął pod siebie przednie pięciny. W ostatniej chwili skurczył szyję i uniosł łeb, wbijając się w górę potężnymi mięśniami tylnej partii ciała. Wygiął grzbiet, przelatując nad pierwszą linią żołnierzy. Verna krzyknęła, z całej siły objęła ramieniem Kahlan. Wylądowały za żołnierzami, którzy padli na ziemię. Kahlan przeniosła ciężar ciała na strzemiona i nogami zamortyzowała wstrząs - Verna nie mogła tak zrobić. Koń, dodatkowo obciążony, omal się nie potknął przy lądowaniu, ale złapał równowagę i pogalopował dalej. W końcu nie było przed nimi żołnierzy Ładu.

- Co z tobą?! - wrzasnęła Verna. - Nie powtarzaj tego, bo nie będę mogła równomiernie rozsiewać szkła!

- Przepraszam! - odkrzyknęła przez ramię Kahlan.

Zimny wiatr owiewał twarz dziewczyny, ale czuła, jak pot zlepia jej włosy. Żołnierze zostawali z tyłu. Kahlan ogarnęła ogromna ulga, bo uświadomiła sobie, że minęli wybrzuszenie w pierwszych szeregach Imperialnego Ładu.

Daleko za nimi noc rozblęsnęła burzą ognia. Zedd i Warren pokazywali im

dobrze, staromodne fajerwerki, jak to zapowiedział stary czarodziej. To był przerażający pokaz, chociaż nie mógł powstrzymać tak licznej armii jak Ład. W końcu w owo miejsce przybyli mający dar przeciwnika i wzniesli osłony, co ograniczyło zniszczenia i śmierć. Obaj czarodzieje dali Kahlan i Vernie czas, którego potrzebowały.

Kahlan usłyszała głos Cary i koń Mord-Sith znalazł się obok.

Tym razem, kiedy koń Cary przeciął im drogę, spieniony wierzchowiec dziewczyny natychmiast się zatrzymał. Był równie wyczerpany jak Kahlan. Zsiadły obok Mord-Sith i Siostry Philippy, Verna rzuciła na ziemię puste wiadro. Kahlan cieszyła się, że jest ciemno, bo tamte nie widziały, jak się jej trzęsą nogi. Z ulgą zobaczyła, że ognista kropla wypaliła się, nim zdążyła przeniknąć przez skórzaną osłonę.

Wszystkie cztery patrzyły, jak noc rozbłyska płomieniami; większość ognia uderzała o magiczne osłony, ale i tak płomień siał spustoszenie wśród tych, którzy znaleźli się zbyt blisko. Zedd i Warren ślali jedną kulę ognistej śmierci za drugą. Wzdłuż całej linii wrogich szeregów słychać było wrzaski żołnierzy. Odpowiadano ogniem, siejąc śmierć wśród szeregów D'Harańczyków, ale Siostry ustawiały własne osłony.

Jednak olbrzymia wroga armia dalej szła naprzód. Mordercze płomienie jedynie spowolniły marsz i zdeorganizowały ustalony porządek ataku.

Mający dar po obu walczących stronach uzyskali kontrolę i zneutralizowali swoje ataki. Kahlan wiedziała, że przednia linia D'Harańczyków nie ma szans utrzymać się pod miażdżącym naporem Ładu. Nawet nie zwolnią ich marszu. Widziała w blasku księżyca, jak zaczynają opuszczać swoje posterunki.

- Dlaczego to nie działa? - wyszeptała Kahlan, na poły do siebie; pochyliła się ku Vernie: - Jesteś pewna, że je właściwie przygotowano?

Verna, obserwująca szaleńczą szarżę wroga, jakby nie usłyszała tego pytania przez bojowe wrzaski. Kahlan sprawdziła miecz. Zdała sobie sprawę z całkowitej bezcelowości prób walki. Czowała na plecach miecz Richarda i zastanawiała się, czy go nie dobyć, ale uznała, że lepiej uciec. Popchnęła Vernę ku ich zgonionemu wierzchowcowi. Cara zrobiła to samo z Siostrą Philippą. Ale zanim zdążyła wsunąć stopę w strzemień, Kahlan zauważyła, że Ład zwalnia. Że żołnierze się potykają. Niektórzy po omacku wyciągali przed siebie ramiona. Inni się przewracali.

- Patrz! - wskazała Verna.

W noc niósł się coraz głośniejszy jęk rozpaczony i przerażenia. Potykający się żołnierze wpadali na siebie. Niektórzy zamierzali się mieczem na niewidocznego wroga, kalecząc swoich oślepionych towarzyszy.

Ci na przedzie szli bardzo wolno. Z tyłu nadbiegali inni, zderzając się z unieruchomioną przednią linią. Wystraszone konie zrzuciły jeźdźców. Przerażone zwierzęta rozbiegały się we wszystkie strony, nie widząc ludzi, których tratowały. Przewracały się rozpędzone wozy. Wrogi szeregi ogarniał chaos.

Natarcie się załamało. Imperialny Ład zatrzymał się.

Nadjechali i zsiadli z koni Zedd i Warren, obaj spoceni, mimo że noc była lodowata. Kahlan uścisnęła kościstą dłoń Zedda.

- Ocaliliście nasze głowy.

- On, nie ja. - Zedd wskazał Warrena.

Warren wzruszył ramionami.

- Widziałem wasze kłopotliwe położenie.

W oszołomieniu patrzyli na oślepioną armię.

- Udało ci się, Verno - powiedziała Kahlan. - Ocaliliście nas, ty i twoje szkło.

Ona i Verna objęły się w końcu i rozplakały z ulgi.

## ROZDZIAŁ 40

Kahlan minęła przełęcz jedna z ostatnich. Potężne skalne ściany dobrze chroniły leżącą dalej kotlinę, osłaniając ją od południa. Gdyby Ład zechciał ich tutaj zaatakować, czekałaby go długa i trudna droga wokół tych gór. Wojska imperium D'Hary nie zamierzały pozwolić, żeby je tutaj złapano w pułapkę, ale na razie kotlina była bezpiecznym schronieniem.

W górskim zakolu rosły wielkie stare świerki, więc mieli również osłonę przed wiatrem. Pomiedzy drzewami rozstawiono namioty. Dobrze było widzieć płonące ogniska i czuć zapach palącego się drewna. Nocne powietrze przesycały również aromaty przyrządzanych potraw. Przerzucenie przez przełęcz armii i ekwipunku wymagało wiele wysiłku i żołnierze byli głodni.

Generał Meiffert był zadowolony, że armia, której zagrażała zagłada, znajduje się - przynajmniej na razie - w bezpiecznym miejscu. Poprowadził Kahlan i Carę przez mrok usiany tysiącami ognisk do namiotów, które dla nich rozbił. Po drodze opowiadał im o przeprawie wojsk i wymienił listę rzeczy, które musieli zostawić.

- Zapowiada się zimna noc - powiedział generał Meiffert, kiedy dotarli do namiotów, które rozbił dla nich na uboczu, między dwoma potężnymi świerkami. - Mam dla ciebie, Matko Spowiedniczko, worek nagranych przy ogniu kamieni. Dla ciebie też, pani Caro.

Kahlan podziękowała mu i odszedł do swoich obowiązków. Cara poszła po coś do jedzenia. Dziewczyna powiedziała jej, że chce tylko spać.

Kahlan znalazła w swoim namiocie „Potęgę ducha” stojącą na stoliku; zawieszona na kalenicy lampa oświetlała dumną postać. Spowiedniczka przystanęła i przejechała palcem po rozwianych szatach. Szczękała zębami i niczego tak nie pragnęła, jak wejść do łóżka i włożyć pod futrzaną pelerynę worek nagranych kamieni. Pomyślała o tym, jak bardzo jest zmarznięta, ale zamiast się położyć, wyszła i odszukała w ciemnym obozie jedną z Sióstr. Potem, zgodnie ze wskazówkami Siostry, ruszyła wśród namiotów i dotarła do obszaru porośniętego gęstymi młodymi drzewami. Znalazła mały szałas ustawiony wśród kosmatych gałęzi, mających chronić przed wiatrem i niepogodą. Przykucnęła i spojrzała do środka, na stertę koców ledwo

widoczną w blasku okolicznych ognisk.

- Holly? Jesteś tam?

Ukazała się mała główka.

- Matka Spowiedniczka? - Dziewczynka dygotała. - O co chodzi? Jestem ci potrzebna?

- Tak, jesteś. Chodź ze mną.

Holly wygramoliła się z szafasu, opatulona w koc. Kahlan wzięła ją za rączkę i w milczeniu zaprowadziła do swojego namiotu. W środku mała szeroko otworzyła oczy. Stała jak wryta przed stolikiem i z zachwytem wpatrywała się w „Potęgę ducha”.

- Podoba ci się? - spytała Kahlan.

Holly, trzęsąc się z zimna, z czcią przesunęła paluszkami po ramieniu statuetki.

- Skąd wzięłaś coś tak ślicznego?

- Richard to dla mnie wyrzeźbił.

Dziewczynka wreszcie oderwała wzrok od posążka i spojrzała na Kahlan.

- Tęsknię za Richardem. - W powietrzu widać było parę oddechu Holly. - Zawsze był dla mnie taki dobry. Wielu ludzi było paskudnych, ale Richard był miły.

Kahlan poczuła ukłucie bólu. Nie spodziewała się, że rozmowa zejdzie na Richarda.

- Czego ode mnie chciałaś, Matko Spowiedniczko?

Kahlan odwróciła myśli od tego, co ją smuciło, i uśmiechnęła się.

- Jestem dumna z pracy, jaką wykonałaś, gdy pomagałaś nas ratować. Obiecałam, że będzie ci ciepło. I tej nocy będzie.

- Naprawdę? - spytała Holly, szcękając zębami.

Kahlan położyła Miecz Prawdy w nogach łóżka. Zdjęła co cięższą odzież, zgasła lampę i usiadła na wypchanym słomą sienniku. Przez ściany namiotu miękko przeświecał blask niedalekich ognisk.

- Chodź. Połóż się przy mnie. Zapowiada się bardzo zimna noc. Chcę, żebyś mnie ogrzewała.

Dziewczynka zastanawiała się tylko chwilę.

Kahlan legła na boku, położyła Holly pleckami do siebie, worek z rozgrzanymi kamieniami umieściła przed małą. Holly przytuliła do siebie worek i sapnęła radośnie, czując strumień ciepła. Kahlan uśmiechnęła się,

usłyszawszy to zadowolone sapnięcie.

Długo się tak uśmiechała, uradowana, że widzi Holly bezpieczną i leżącą w ciepłe. Bliskość przytulonej dziewczynki pomogła Kahlan zapomnieć o wszelkich okropieństwach, jakie widziała tego dnia.

Gdzieś wysoko w górach samotny wilk zawył przeciągle. Jego głos odbił się echem w kotlinie, zanikał i znów nawracał ze smutną uporczywością.

Miecz przywołał wspomnienie Richarda. I Kahlan, rozmyślając o tym, gdzie on teraz jest i czy jest bezpieczny, cichym szlochem ukołysała się do snu.

Następnego dnia od wyższych gór nadeszła śnieżycyca i szalała w południowych rejonach Midlandów. Trwała dwa dni. Drugiej nocy zamieci Kahlan dzieliła namiot z Holly, Valery i Helen. Siedziały, otulone kocami, jadły obozowy gulasz, opowiadały sobie historie o książętach i księżniczkach i spały razem, żeby się chronić przed zimnem.

Kiedy burza śnieżna wreszcie się skończyła i zajaśniało słońce, większość wyższych namiotów od nawietrznej śnieg okrywał aż po okap. Mniejsze namioty zostały całkowicie zasypane. Żołnierze wykopywali się na powierzchnię niczym świstaki wyglądające ze swoich nor.

Zamieć wracała przez następne kilka tygodni, dosypując więcej śniegu. Przy takiej pogodzie trudno nie tylko walczyć, ale i daleko przesunąć wojska. Zwiadowcy donieśli, że Imperialny Ład wycofał się o tydzień drogi na południe.

Opieka nad ślepcami byłaby ciężarem. D'harańscy zwiadowcy zameldowali, że w promieniu kilku dni marszu od obszaru, w którym rozsiano szklany pył, widzieli sporo ponad sześćdziesiąt tysięcy zamarznętych ciał, teraz przysypanych śniegiem - byli to oślepieni żołnierze, którzy nie potrafili sobie poradzić w tak skrajnych warunkach. Imperialny Ład najprawdopodobniej pozostawił ich własnemu losowi. Kilku tuzinom ślepców udało się przejść przełęcz w poszukiwaniu pomocy, błagali o litość. Kahlan kazała ich wszystkich stracić.

Trudno było powiedzieć, ilu właściwie ludzi zostało oślepionych przez specjalne szkło Verny; możliwe, że wielu wycofało się z Imperialnym Ładem, bo zostali zabrani do prac służebnych. Ale mogło być i tak, że zwłoki widziane przez zwiadowców były ciałami większości z nich. Kahlan potrafiła sobie wyobrazić, że Jagang nie chciał ich w swoim obozie, gdzie tylko

zużywaliby żywność i zapasy i przypominali innym o gorzkim odwrocie.

Wiedziała jednak, że dla Jaganga ów odwrót był jedynie chwilowym niepowodzeniem, a nie przeszacowaniem celów. Ład miał tylu żołnierzy, że nawet nie odczuł utraty tych stu tysięcy, które zginęły od początku walk. Na razie to pogoda powstrzymywała imperatora od kontrataku.

Kahlan nie zamierzała beczynn timer na niego czekać. Kiedy miesiąc później przybył reprezentant Herjborgue, natychmiast się z nim spotkała w niewielkim domku myśliwskim, który znaleźli wśród drzew w zachodnim rejonie kotliny. Domek stał pośród wielkich starych sosen, z dala od otwartych terenów, na których zgrupowano namioty. Kahlan często przebywała w domku i służył im on jako sztab.

Generał Meiffert był bardzo zadowolony, kiedy Kahlan wybierała domek, a nie namiot. Miał wtedy wrażenie, że wojsko zapewnia większe wygody Matce Spowiednicze, żonie lorda Rahla. Kahlan i Cara doceniały noce przespane w domku, ale Kahlan nie chciała, żeby ktoś sobie pomyślał, że nie potrafi sprostać warunkom, które wszyscy inni musieli znosić. Czasami nakazywała, żeby dziewczynki spały w domku wraz z kilkoma Siostrami, a niekiedy nalegała, żeby to Verna spała tam z Holly, Valery i Helen. Ksieni nie trzeba było długo namawiać.

Kahlan powitała reprezentanta Theriaulta z Herjborgue i zaprosiła go do przytulnego domku. Towarzyszył mu niewielki oddział gwardii, który czekał na zewnątrz. Herjborgue było małą krainą. Wytwarzało jedynie wełnę i tym wносиło wkład do wojennego wysiłku. Ów człowiek był Kahlan potrzebny.

Reprezentant Theriault przyklęknął przed Matką Spowiedniczką, został oficjalnie powitany, po czym wstał i odrzucił do tyłu ciężki kaptur. Uśmiechnął się szeroko.

- Miło cię widzieć w dobrym zdrowiu, Matko Spowiedniczko.

Odwzajemniła szczerą uśmiech.

- I ciebie również, reprezentancie Theriault. Podejdz, proszę, do ognia i ogrzej się.

Stanął przy kamiennym kominku, zdjął rękawice i trzymał ręce przed potrzebującymi płomieniami. Spojrzał na połyskującą rękojeść miecza wystającą spoza ramienia Kahlan. Zwrócił uwagę na „Potęgę ducha” stojącą na gzymsie nad kominkiem. Patrzył z podziwem, jak każdy, kto ujrzał dumną statuetkę.



- Słyszeliśmy, że lord Rahl został pojmany - rzekł w końcu. - Nadeszły jakieś wieści?

Kahlan potrząsnęła głową.

- Wiemy, że nie uczynili mu nic złego, i nic więcej. Znam mojego męża; jest pomysłowy. Spodziewam się, że znajdzie sposób, by wrócić i pomóc nam.

Theriault skinął głową; słuchał bacznie, marszcząc brwi.

Stojąca obok stolika Cara, której słowa Kahlan przypomniały o jej lordzie Rahlu, odruchowo przetoczyła w palcach Agiel. Wyraz niebieskich oczu Cary, sposób, w jaki niedbale pozwoliła Agielowi zakotłysać się na otaczającym przegub łańcuszku, powiedziały Kahlan, że bicz - zespolony z żyjącym lordem Rahlem - wciąż posiadał swoją moc. Dopóki działał, wiedziały, że Richard żyje. Tylko tyle wiedziały.

Reprezentant rozchylił ciężką pelerynę podróżną.

- Jak przebiega wojna? Wszyscy z niepokojem oczekują wieści.

- O ile zdołaliśmy się zorientować, zabiliśmy ponad sto tysięcy ich żołnierzy.

Gość z Herjborgue aż sapnął. Takie liczby porażały kogoś pochodzącego z krainy tak małej jak jego ojczyzna Herjborgue.

- To musieli ponieść klęskę. Czy zbiegli do Starego Świata?

Kahlan nie spojrzała mu w oczy; patrzyła na rozżarzone kłody widoczne pośród falujących płomieni.

- Obawiam się, że utrata tylu ludzi była dla Imperialnego Ładu niemal nieodczuwalna. Zmniejszamy ich liczebność, ale i tak mają sporo ponad dziesięć razy więcej żołnierzy. Wciąż są groźni, stoją o tydzień drogi na południe stąd.

Podniosła wzrok - mężczyzna wpatrywał się w nią. Po wyrazie jego oczu poznała, że miał kłopoty z wyobrazeniem sobie takiej liczby ludzi. Jego poczerwieniała od wiatru twarz znacznie pobladła.

- Drogie duchy... - wyszeptał. - Słyszeliśmy pogłoski, ale dowiedzieć się, że to prawda... - Przygnębiony, potrząsnął głową. - Jak w ogóle będzie można pokonać tak liczny przeciwnik?

- Pamiętam, że kilka lat temu przybyłeś do Aydindril, żeby stanąć przed Naczelną Radą, i miałaś trochę kłopotów po uroczystej kolacji. Tamten wielkolud z Keltonu, zapomniałam jego nazwiska, chełpił się i źle się wyrażał

o twojej małej krainie. Jakoś cię nazwał. Pamiętasz tamten wieczór? Jak cię nazwał?

Reprezentant Theriault uśmiechnął się, oczy mu zabłyśły.

- Słabeusz.

- Słabeusz. Właśnie. Sądzę, że uważał się za lepszego od ciebie, bo był dwa razy większy. Pamiętam, że mężczyźni uprzątnęli stół i że siłowaliście się na ręce.

- Aaa, byłem wtedy młodszy, no i przy kolacji wypilem parę szklanicy wina.

- Wygrałeś.

Zaśmiał się cicho.

- Nie dlatego, że byłem silniejszy. On był zarozumiały. Ja zaś, być może, zręczny i szybki, ot co.

- Wygrałeś, taki był wynik. I te sto tysięcy żołnierzy Ładu wcale nie są mniej martwe przez to, że górują nad nami liczebnie.

Przestał się uśmiechać.

- Zgadza się z tobą. Podejrzewam, że Imperialny Ład musiał się teraz cofnąć, póki jeszcze mają żołnierzy. Pamiętam, jak dowodzony przez ciebie pięciotysięczny oddział galejskich rekrutów ruszył za tamtymi pięćdziesięcioma tysiącami i wybił ich do nogi. - Oparł się ramieniem o chropawy gzyms kominka. - Rozumiem twoją myśl. Kiedy stawiasz czoło silniejszemu, musisz się posłużyć rozumem.

- Potrzebna mi twoja pomoc - powiedziała doń Kahlan.

W dużych piwnych oczach, które na nią spojrzały, odbił się blask ognia.

- Co tylko rozkażesz, Matko Spowiedniczko. Jeśli tylko będzie to w mojej mocy, zrobię, co zechcesz.

Kahlan pochyliła się i dorzuciła do ognia. Iskry zawirowały, potem uleciały kominem.

- Potrzebujemy wełnianych peleryn, z kapturem, dla żołnierzy.

Zastanawiał się tylko chwilę.

- Powiedz ile, a zajmę się tym. Jestem przekonany, że to się da zrobić.

- Potrzebuję przynajmniej stu tysięcy, dla wszystkich tu zgromadzonych ludzi. W każdej chwili oczekujemy kolejnych oddziałów, więc gdybyś mógł dodać jeszcze pół tej liczby, ogromnie pomógłbyś zniszczyć Ład.

Zagłębił się w myślowe kalkulacje, a Kahlan pogrzebaczem wepchnęła

nowe polano w głąb ognia.

- Zdaję sobie sprawę, że nie proszę o coś łatwego.

Podrapał się w głowę porośniętą gęstymi siwymi włosami.

- Nie powinnaś słyszeć o tym, ile to nam sprawi trudności, bo to nie pomogłoby ci wygrać, więc pozwól, że powiem tylko, że je dostaniesz.

Słowo reprezentanta Theriaulta było równie solidne i cenne jak złoto. Kahlan wyprostowała się, spojrzała na niego.

- I chcę, żeby były z wybielonej wełny.

- Wybielonej wełny? - zdziwił się.

- Jak sam rozumiesz, musimy być sprytni. Imperialny Ład przyszedł z dalekiego południa. Richard kiedyś tam był i opowiedział mi, jak bardzo różni się tamtejsza pogoda od pogody tu, w Nowym Świecie. Ich zimy w niczym nie przypominają naszych. Założę się, że Ład nie jest przyzwyczajony ani do zimy, ani do przetrwania, a tym bardziej walki przy takiej pogodzie. Zimowe warunki są trudne, ale działają na naszą korzyść. - Kahlan zacisnęła dłoń w pięść. - Chcę ich bezlitośnie nękać. Chcę wykorzystać zimowe warunki, żeby ich skazać na cierpienia. Chcę ich wyciągnąć z leża, zmusić do walki w warunkach, których nie znają tak dobrze jak my. Chcę, żeby te peleryny z kapturami umożliwiły naszym żołnierzom maskowanie. Chcę wykorzystać zimowe warunki do tego, by nagle na nich napaść, a potem równie nagle zniknąć im z oczu.

- Nie mają obdarzonych mocą?

- Mają, ale na pewno nie tylu, żeby przy każdym łuczniku stała czarodziejka i mówiła mu, gdzie ma celować.

Pogładził brodę.

- Rozumiem. - Uderzył dłonią w gzyms kominka, jakby przypieczętował obietnicę. - Nakazę naszym ludziom, żeby się od razu wzięli do roboty. Twoim żołnierzom będą też potrzebne rękawice.

Kahlan uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Będą wam zobowiązani. Niech twoi ludzie nadsyłają peleryny partiami, gdy tylko trochę ich uszyją. Nie czekaj, aż wszystkie będą gotowe. Zaczniemy nasze wypadki wraz z pierwszą dostawą i z każdą następną zwiększamy liczebność tych oddziałów.

Reprezentant Theriault nasunął kaptur, zawiązał ciężką wełnianą pelerynę.

- Zima właśnie nastąpiła. Im więcej czasu będziesz miała dzięki pogodzie na uszczuplenie ich liczby, tym lepiej. Wyruszam natychmiast.

Kahlan uściskała mu dłoń, jak każdy szczerze wdzięczny za pomoc, choć taki gest nie był w zwyczaju Matki Spowiedniczki.

Kahlan i Cara stały przed drzwiami, patrząc, jak reprezentant i jego gwardziści brną przez śnieg; dziewczyna miała nadzieję, że wkrótce zaczną nadchodzić białe peleryny i że będą tak pożyteczne, jak się spodziewała.

- Naprawdę uważasz, że będziemy mogli zimą nękać nieprzyjaciela? - zapytała Cara.

Kahlan odwróciła się ku drzwiom.

- Musimy.

Zanim zdążyła wejść do środka, dostrzegła zbliżający się wśród drzew niewielki pochód. Kiedy podeszli nieco bliżej, rozpoznała generała Meifferta; szedł pierwszy. Adie, Verna, Warren i Zedd towarzyszyli czterem jeźdźcom. Południowe słońce odbijało się od rękojeści miecza jeźdźca prowadzącego czwórkę. Kahlan aż wstrzymała oddech, gdy zobaczyła, kto to. Nie tracąc czasu na wchodzenie do domku po pelerynę czy futrzane okrycie, pognęła po śniegu, żeby go powitać. Cara biegła tuż za nią.

- Harold! - zawołała, kiedy znalazła się bliżej. - Harold! Jak miło cię widzieć!

To przybył z Galei jej przyrodni brat. Dopiero teraz Kahlan zobaczyła, kto mu towarzyszy, i znów się zdumiała. Był to kapitan Bradley Ryan, dowódca galejskich rekrutów, z którymi razem walczyła, i jego porucznik Flin Hobson, a z tyłu jechał sierżant Frost. Biegła ku nim przez głęboki śnieg, uśmiechnięta od ucha do ucha.

Dziewczyna pragnęła ściągnąć z konia swojego przyrodniego brata i uściskać go. W mundurze galejskiego oficera sztabowego, o wiele mniej barwnym niż mundur paradny, wyglądał wspaniale na swoim rasowym wierzchowcu. Dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie, jak się martwiła, że opóźnia się jego przyjazd.

Harold, zachowując się, jak przystało księciu, pochylił głowę i skłonił się jej w siodle. Obdarzył ją jedynie krótkim przyjaznym uśmiechem.

- Matko Spowiedniczko. Rad jestem, że znajduję cię w dobrym zdrowiu.

Kapitan Ryan uśmiechał się, choć księżę Harold nie. Kahlan mile wspominała Bradleya i Flina, ich waleczność, męstwo i odwagę. Sama walka

była przerażająca, ale dziewczyna zachowywała we wdzięcznej pamięci tych wspaniałych żołnierzy, tych wspaniałych młodych ludzi. Już raz dokonali niemożliwego, a teraz przybyli, by pomóc dokonać tego raz jeszcze.

Kahlan, stojąc obok konia Harolda, sięgnęła po dłoń brata.

- Chodź do środka. Mamy ogień na kominku. - Skinęła na kapitana, porucznika i sierżanta. - Wy też. Chodźcie do środka i ogrzejcie się.

Popatrzyła na pozostałych, którzy wcale nie mieli tak zadowolonych min, jak się spodziewała.

- Zmieścimy się wszyscy. Wejdźcie.

Książę Harold zsiadł z konia.

- Matko Spowiedniczko, ja...

Kahlan nie zdołała się opanować. Objęła przyrodniego brata. Był wielkim, zwalistym mężczyzną, jak ich ojciec, król Wyborn.

- Zrobiło mi się źlej na sercu, Haroldzie, gdy cię zobaczyłam. Jak Cyrilla?

Cyrilla, siostra Harolda i przyrodnia siostra Kahlan, była od niej starsza o dwanaście lat. Wydawało się, że Cyrilla od wieków choruje. Kiedy pojmał ją Ład, została wrzucona do lochu z bandą morderców i gwałcicieli. Harold ją uratował, ale to, co tam wycierpiała, odebrało jej rozum i sprawiło, że nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Jedynie niekiedy odzyskiwała zmysły. Kiedy nie spała, najczęściej niepohamowanie krzyczała i płakała. W jednej z nielicznych chwil przytomności umysłu poprosiła Kahlan, żeby została królową Galei i dbała o bezpieczeństwo jej ludu.

Harold wolał pozostać dowódcą galejskiej armii, więc odrzucił koronę. Kahlan niechętnie się na to zgodziła.

Książę spojrział przelotnie na innych.

- Musimy porozmawiać, Matko Spowiedniczko.

## ROZDZIAŁ 41

Zgodnie z poleceniem księcia Harolda kapitan Ryan i dwaj jego ludzie pojechali zająć się żołnierzami i końmi; pozostali stłoczyli się w małym domku myśliwskim. Zedd i Warren siedli na ławie zrobionej z deski położonej na dwóch kawałkach pnia. Verna i Adie siedziały pod przeciwległą ścianą, na drugiej ławie. Cara wyglądała przez małe okienko. Generał Meiffert stał obok Mord-Sith i patrzył, jak księżę wodzi tam i z powrotem palcem po brzegu stołu. Kahlan splotła dłonie na stole.

- A więc - zaczęła, bojąc się najgorszego - jak Cyrilla?

Harold wyglądał przód munduru.

- Królowa... wyzdrowiała.

- Królowa...? - Kahlan podniosła się z krzesła. - Cyrilla wyzdrowiała? Cóż za cudowna wiadomość, Haroldzie! I w końcu znów przejęła koronę? Jeszcze lepiej!

Kahlan była zachwycona, że już nie musi być królową Galei. Był to - podobnie jak funkcja Matki Spowiedniczki - ciężki obowiązek, który lepiej wypełniała jej siostra. Ale jeszcze bardziej ucieszyła ją wieść, że jej przyrodnia siostra wreszcie wyzdrowiała. Choć nigdy nie były sobie bliskie, szanowały się.

A jeszcze bardziej niż wieść o wyzdrowieniu Cyrilli radowało Kahlan to, że Harold wreszcie się do nich przyłączył ze swoimi żołnierzami. Miała nadzieję, że zdołał zebrać te sto tysięcy, o których wcześniej mówili; byłby to dobry początek armii, którą Kahlan zamierzała i musiała zgromadzić.

Harold oblizał popękane od mrozu wargi. Zgarbione ramiona księcia powiedziały Kahlan, że zwoływanie wojska było trudne, a podróż męcząca. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby miał tak znużoną twarz. Miał błędny, pusty wzrok, który przypominał jej ojca.

Kahlan uśmiechnęła się promiennie, żeby podkreślić swoją wdzięczność.

- Ilu żołnierzy przyprowadziłeś? Na pewno przyda się nam całe sto tysięcy. To by podwoiło nasze siły. Duchy wiedzą, jak bardzo tego potrzebujemy.

Wszyscy milczeli. Powiodła po nich wzrokiem, ale nikt nie spojrzał jej w oczy.

Poczucie ulgi zaczęło opuszczać Kahlan.

- Ilu żołnierzy przyprowadziłeś, Haroldzie?

Przeczesał grubymi palcami swoje długie, gęste ciemne włosy.

- Około tysiąca.

Osunęła się na krzesło, patrząc nań z osłupieniem.

- Tysiąc???

Potaknął, nie patrząc jej w oczy.

- Kapitana Bradleya i jego ludzi. Tych, którymi wcześniej dowodziłaś w walce.

Kahlan poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

- Potrzebujemy wszystkich twoich żołnierzy. Co się dzieje, Haroldzie?

Wreszcie spojrział jej w oczy.

- Królowa Cyrilla odrzuciła mój plan zabrania wojsk na południe. Krótco po tym, jak ją odwiedziłaś, odzyskała zmysły. Była znów sobą, pełną ambicji i zapału kobietą. Wiesz przecież, jaka była. Zawsze była niestrudzoną orędowniczką Galei. - Odruchowo bębnił palcami o stół. - Boję się jednak, że choroba ją odmieniła. Jest przerażona Imperialnym Ładem.

- Ja też - odparła Kahlan z chłodną, powściąganą wściekłością; czuła ramieniem miecz Richarda; widziała, jak Harold spojrział na ów oręż. - Wszyscy w Midlandach boją się Ładu. I dlatego potrzebujemy tych żołnierzy.

Książę potakiwał, kiedy mówiła.

- Tak też jej powiedziałem. Tak powiedziałem. Odparła, że jest królową Galei i najpierw musi dbać o naszą krainę.

- Galea przyłączyła się do imperium D'Hary!

Bezradnie rozłożył ręce.

- Kiedy chorowała, nie była... świadoma, że to się wydarzyło. Mówi, że przekazała ci koronę, żebyś dbała o bezpieczeństwo ludu, a nie po to, byś się zrzekała suwerenności. - Opuścił ręce. - Głosi, że nigdy nie miałaś do tego prawa, i odmawia uznania tego.

Kahlan spojrziała na pozostałych - milczeli jak grupa surowych sędziów.

- Przedyskutowaliśmy już to wszystko, Haroldzie. Midlandy są w niebezpieczeństwie. - Zatoczyła łuk ręką. - Cały Nowy Świat jest w niebezpieczeństwie! Musimy razem stawić temu czoło, a nie bronić po jednej krainie lub kazać każdej krainie bronić się samodzielnie. Jeśli tak uczynimy, przepadniemy, jedna kraina po drugiej. Powinniśmy się trzymać

razem.

- W zasadzie się z tobą zgadzam, Matko Spowiedniczko. Ale królowa Cyrilla nie.

- Więc Cyrilla wcale nie wyzdrowiała, Haroldzie. Wciąż jest chora.

- Możliwe, ale nie mi o tym decydować.

Kahlan położyła łokieć na stole, przycisnęła czoło do palców. Myśli kłębiły się jej w głowie, krzyczały, że to nie może być prawda.

- A Jebra? - zapytał z ławy Zedd; Kahlan poczuła ulgę, usłyszawszy jego głos, jakby rozsądek brał górę nad szaleństwem tego, co słyszała, jakby ten głos mógł wszystko naprawić. - Zostawiliśmy jasnowidzącą, żeby pomagała w opiece nad Cyrillą i doradzała ci. Jebra z pewnością musiała odwodzić Cyrillę od takich działań.

Harold znów zwiesił głowę.

- Królowa Cyrilla rozkazała, żeby Jebra wtrącono do lochu. Co więcej, nakazała, żeby Jebra obcięto język, jeśli znów powie choć słowo z tych swoich bluźnierstw, jak to nazywa królowa Cyrilla.

Kahlan aż zamrugała ze zdumienia. I to nie czyny Cyrilli tak ją tym razem zdumiały. Łamiącym się głosem, bez żadnych ceremonii, bez odrobiny szacunku, zapytała:

- Dlaczego miałbyś, Haroldzie, słuchać rozkazów wariatki?

Zacisnęła zęby, urażony jej tonem.

- Matko Spowiedniczko, ona jest nie tylko moją siostrą, ale i królową. Przysięgałem, że będę posłuszny królowej w sprawach obrony mieszkańców Galei. Wszyscy nasi żołnierze, którzy wspólnie tu z wami walczyli, również przysięgali bronić przede wszystkim naszej krainy. Już im przekazałem rozkazy królowej. Wszyscy musimy natychmiast wracać do Galei. Przykro mi, ale tak właśnie musi się stać.

Kahlan uderzyła pięścią w stół, poderwała się na nogi.

- Galea blokuje dolinę Callisidrinu! To brama wprost do centrum Midlandów! Nie widzisz, jakie to może być kuszące dla Imperialnego Ładu? Nie rozumiesz, że dzięki temu mogą rozdzielić Midlandy?

- Oczywiście, że rozumiem, Matko Spowiedniczko.

Sztywno wyciągniętą ręką wskazała leżący za domkiem obóz.

- Więc spodziewasz się, że ci wszyscy żołnierze staną pomiędzy tobą a Ładem? Ty i królowa Cyrilla bezlitośnie oczekujecie, że ci wszyscy żołnierze



zginą, broniąc was? A wy będziecie sobie siedzieć w Galei, mając nadzieję, że nie pozwolą, by Ład do was dotarł?

- Oczywiście, że nie, Matko Spowiedniczko.

- Co się z tobą dzieje?! Nie rozumiesz, że walcząc u naszego boku, żeby zatrzymać marsz Ładu, jednocześnie bronisz mieszkańców ojczystej krainy?

Harold obliznął wargę.

- Wszystko, co mówisz, Matko Spowiedniczko, to bez wątpienia prawda. I zarazem jest to nieistotne. Jestem dowódcą armii Galei. Całe życie poświęciłem służbie mojemu ludowi i mojemu władcy: najpierw matce i ojcu, potem siostrze. Już kiedy byłem siedzącym na ojcowskich kolanach chłopaczkiem, uczono mnie, bym przede wszystkim bronił ojczyzny.

Kahlan z całych sił starała się panować nad głosem.

- Cyrilla najwyraźniej wciąż jest chora, Haroldzie. Jeżeli naprawdę chcesz bronić Galejczyków, powinieneś zrozumieć, że nie tędy droga.

- Matko Spowiedniczko, moja królowa nakazała mi bronić ludu Galei. Znam mój obowiązek.

- Obowiązek? - Kahlan przetarła twarz dłonią. - Nie możesz ślepo spełniać zachcianki tej kobiety, Haroldzie. Rozum to jedyna droga do życia i wolności. Ona może być królową, ale rozum powinien być twoim jedynym władcą. Odmowa posługiwania się rozumem w tej sprawie, odmowa myślenia to umysłowa anarchia.

Spojrzał na nią, jakby była głupiutkim dzieckiem, które nie pojmuje obowiązków dorosłych.

- Jest moją królową. Królowa jest oddana swojemu ludowi.

Kahlan zabębniła palcami o stół.

- Prawdziwa Cyrilla jest mamiona przez wciąż jeszcze nawiedzające ją duchy. Wyrządzi zło swojemu ludowi. A ty pomożesz jej wydać lud na zagładę, bo chcesz, żeby prawdą było to, co prawdą nie jest. Widzisz ją taką, jaka była kiedyś, a nie taką, jaka jest teraz.

Wzruszył ramionami.

- Mogę pojąć, Matko Spowiedniczko, dlaczego myślisz to, co myślisz, ale to niczego nie zmieni. Muszę uczynić tak, jak rozkazała moja królowa.

Kahlan oparła łokcie o stół i na chwilę ukryła twarz w dłoniach; cały ten obłęd sprawiał, że drżała z gniewu. W końcu podniosła głowę i spojrzała przyrodniemu bratu w oczy.

- Galea jest częścią imperium D'Hary, Haroldzie. Galea ma królową wyłącznie z łaski imperium. Choć jest królową i nie uznaje władzy imperium D'Hary, nadal, tak jak zawsze, podlega Matce Spowiedniczce Midlandów. Jako Matka Spowiedniczka i władczyni imperium D'Hary pod nieobecność lorda Rahla oficjalnie i formalnie wycofuję naszą zgodę. Od tej chwili Cyrilla nie ma władzy i jest usunięta z urzędu. Nie jest już królową, a tym bardziej Galei. Rozkazuję ci wrócić do Ebinissii, aresztować Cyrillę dla jej dobra, uwolnić Jebre i wrócić tutaj z widzącą oraz wszystkimi galejskimi oddziałami, wyjąwszy obrońców stolicy.

- Przykro mi, Matko Spowiedniczko, ale moja królowa rozkazała...

Kahlan uderzyła w stół otwartą dłonią.

- Dosyć!

Umilkł, kiedy wstała. Oparła się o stół czubkami palców i pochyliła ku Haroldowi.

- Jako Matka Spowiedniczka rozkazuję, byś natychmiast wykonał moje polecenia. To nieodwołalne. Nie życzę sobie dalszych uwag.

Wszyscy wydawali się porażeni doniosłością tego, co się działo. Każda surowa twarz obserwowała, co z tego wyniknie.

Harold odezwał się głosem, który przypomniał Kahlan ojca.

- Zdaję sobie sprawę, Matko Spowiedniczko, że dla ciebie brzmi to bezsensownie, ale muszę przedłożyć obowiązek wobec mojego ludu ponad obowiązek wobec ciebie. Cyrilla jest moją siostrą. Król Wyborn zawsze powtarzał mi, bym dobrze kierował armią. Oficer powinien słuchać królowej. Królowa rozkazała moim ludziom, żeby natychmiast wracali bronić Galei. Honor nakazuje mi chronić mój lud, jak rozkazała moja królowa.

- Ty nadęty głupcze! Jak śmiesz mi mówić o swoim honorze?! Dla swoich złudzeń co do honoru poświęcasz życie niewinnych ludzi. Honor to uczciwość wobec tego, co jest, a nie ślepe posłuszeństwo swoim złudzeniom. Nie masz honoru, Haroldzie. - Kahlan osunęła się na krzesło. Patrzyła mimo księcia, w płomienie w kominku. - Wydałam ci rozkazy. Odmawiasz ich wykonania?

- Muszę odmówić, Matko Spowiedniczko. Pozwól mi jedynie powiedzieć sobie, że to nie wynika ze złej woli.

- Haroldzie - oznajmiła głucho, nie patrząc na niego - popełniasz zdradę.

- Rozumiem, że z twojego punktu widzenia tak to wygląda, Matko Spowiedniczko.

- O tak. Zaiste. Zdradę wobec swojego ludu, zdradę wobec Midlandów, zdradę wobec naszej d'harańskiej unii przeciwko Imperialnemu Ładowi i zdradę wobec Matki Spowiedniczki. Co według ciebie powinnam uczynić?

- Spodziewałbym się wyroku śmierci, skoro tak dotkliwie to odczuwasz, Matko Spowiedniczko.

Spojrzała na niego.

- Skoro masz na tyle rozsądku, żeby to sobie uświadamiać, to co ci przyjdzie z wykonania poleceń chorej kobiety? Tylko stracisz życie i nie będziesz mógł wykonać rozkazów swojej królowej. Upieranie się przy tym to zostawienie swojego ludu bez pomocy, a przecież twierdzisz, że na tym ci przede wszystkim zależy. Czemuż po prostu nie zrobisz tego, co trzeba, i nie pomożesz nam wesprzeć swojego ludu? Ponieważ odmawiasz, to po prawdzie wykazałeś, że jesteś pozbawiony zdrowego rozsądku i zarazem honoru.

Zwrócił na nią oczy pałające gniewem. Zbielały kłykcie jego zaciśniętych dłoni.

- A więc posłuchaj, Matko Spowiedniczko. Jeśli postąpię zgodnie z moim honorem, choćby mnie to miało kosztować życie, okażę szacunek mojej rodzinie, mojej siostrze, mojej królowej, mojej ojczyźnie. Ojczyźnie troskliwie ukształtowanej i zarządzanej przez mojego ojca, króla Wyborna, i moją matkę, królową Bernadine. Kiedy byłem mały, mojego ojca, mojego suwerennego króla Spowiedniczki zabrały mojej matce, mojej rodzinie i ojczystej Galei. Dotknięto go mocą Spowiedniczki, by zaspokoić samolubne pragnienie twojej matki, która chciała go na męża, która egoistycznie pragnęła, żeby silny mężczyzna dał jej dziecko: ciebie. A teraz ty, Matko Spowiedniczko, owoc tej kradzieży, chcesz mnie odebrać mojej siostrze? I ją też odsunąć od naszej ojczyzny? Odsunąć mnie od obowiązku służenia mojej królowej, mojej krainie i przede wszystkim mojemu ludowi? Ostatnie, co nakazał mi ojciec, zanim twoja matka zabrała go i zniszczyła tylko dlatego, że był dobry i że go chciała, to bym zawsze wypełniał swój obowiązek wobec mojej siostry i mojej krainy. Wypełnię ostatnie polecenie ojca, nawet jeśli uważasz, że to szaleństwo.

Kahlan wpatrywała się w niego, wstrząśnięta.

- Przykro mi, Haroldzie, że tak to odczuwasz.

Twarz mu się postarzała, stwardniała.

- Wiem, że nie ponosisz odpowiedzialności za to, co się stało przed twoim narodzeniem, i zawsze będę kochał w tobie to, co masz po moim ojcu, ale to ja muszę z tym wszystkim żyć. A teraz muszę być wierny sobie i swoim uczuciom.

- Twoim uczuciom - powtórzyła.

- Tak, Matko Spowiedniczko. Takie właśnie są moje uczucia i muszę im zaufać.

Kahlan przełknęła ślinę, żeby choć trochę rozluźnić bolesny ucisk w gardle. Czowała mrowienie w palcach leżących bezwładnie na stole.

- Wiara i uczucia. Haroldzie, jesteś równie szalony jak twoja siostra.

Wstała, dumnie wyprostowana, skrzyżowała ręce. Wymieniła ostatnie spojrzenie z przyrodnim bratem, człowiekiem, którego właściwie zawsze знаła tylko z imienia, i wydała wyrok:

- Począwszy od jutrzejszego wschodu słońca imperium D'Hary i Galea znajdują się w stanie wojny. Jeżeli po jutrzejszym brzasku zobaczę cię ja lub któryś z moich żołnierzy, zostaniesz stracony za zdradę. Nie dopuszczę, żeby moi dzielni ludzie zginęli dla zdrajców. Imperialny Ład najprawdopodobniej skreśli na północ, w dolinę Callisidrinu. Będziecie sami. Wymordują wszystkich waszych żołnierzy, jak wymordowali mieszkańców Ebinissii. Jagang odda twoją siostrę swoim żołdakom jak dziwkę. Stanie się to z twojej winy, Haroldzie, bo nie chciałeś myśleć, ale wolałeś pójść za swoimi uczuciami i wiarą w to, co nie istnieje.

Księżę wysoko uniósł głowę, splótł dłonie za plecami i w milczeniu słuchał, jak Kahlan mówi:

- Powiedz Cyrilli, że lepiej będzie, jeśli spotka ją los, który właśnie opisałam, bo jeżeli Ład nie przyjdzie do Galei, to ja to zrobię. Przysięgałam, że nie będzie litości dla Ładu. Zdrada Galei skazuje ją na ten sam los co Ład. Jeśli Ład nie dopadnie Cyrilli, to przyrzekam, że ja ją dopadnę, a wtedy zawlokę ją do Aydindril i osobiście wrzucę do tego lochu, z którego ją uwolniłeś, i na resztę życia zostawię ją tam w towarzystwie każdego zbrodniczego draba, jakiego znajdę.

Haroldowi opadła szczęka.

- Matko Spowiedniczko... nie zrobiłabyś tego.

Oczy Kahlan powiedziały mu, że i owszem.

- Nie zapomnij poinformować Cyrilli, co ją czeka. Jebra prawdopodobnie starała się ją ostrzec i za to wylądowała w lochu. Cyrilla nie chce zobaczyć przepaści, nad którą stoi, a ty idziesz tam razem z nią. Co gorsza, pociągasz za sobą niewinnych ludzi. - Kahlan dobyła królewskiego galejskiego miecza. Uchwyciła go obiema dłońmi. Zacisnęła zęby i położyła klingę płasko na kolanie. Stał się wygięta i w końcu pękła z głośnym trzaskiem. Rzuciła złamany miecz pod stopy księcia. - Zejdź mi z oczu.

Odwrócił się, żeby odejść, ale zanim zdążył zrobić choć krok, Zedd wstał, wyciągając rękę, jakby go prosił, by został na miejscu.

- Matko Spowiedniczko - odezwał się Zedd, ostrożnie dobierając słowa - uważam, że dajesz się ponieść emocjom.

Harold, uradowany słowami czarodzieja, wskazał ku Kahlan.

- Powiedz jej, czarodzieju Zoranderze. Powiedz jej.

Kahlan nie wierzyła własnym uszom. Tkwiła w miejscu, patrząc w orzechowe oczy Zedda.

- Czy zechciałbyś mi wyjaśnić tę emocjonalną pomyłkę, Pierwszy Czarodzieju?

Zedd spojrział na Harolda, a potem znów na Kahlan.

- Królowa Cyrilla jest bez wątpienia obłąkana, Matko Spowiedniczko. Księżę Harold nie tylko źle się jej przysłużył, ale pozwala jej ściągnąć śmierć na lud. Gdyby wybrał stronę rozumu, chroniłby swój lud i szanował przeszłe wspaniałe rządy siostry, kiedy była zdrowa na umyśle. Zamiast tego nie dopełnił obowiązku wobec swojego ludu, biorąc za dobrą monetę to, w co chce wierzyć, zamiast stawić czoło temu, co jest naprawdę z jego siostrą. W ten sposób wybrał śmierć i dla siebie, i dla swojego ludu. Księcia Harolda słusznie uznano za winnego zdrady. Twoje uczucia do niego wpływają na twój osąd. Nie ma wątpliwości, że stanowi on teraz zagrożenie dla naszej sprawy, dla życia naszych ludzi i życia swoich poddanych. Nie powinniśmy dopuścić, by odszedł.

Harold wyglądał jak rażony piorunem.

- Ależ Zeddzie...

Orzechowe oczy Zedda wydawały straszliwy wyrok. Czarodziej czekał, jakby prowokując tamtego, by kolejny raz potwierdził swoją zdradę. Harold poruszył ustami, ale nie powiedział ani słowa.

- Czy ktoś się ze mną nie zgadza? - zapytał Zedd.

Spojrzał na Adie. Potrząsnęła głową. Verna również. Warren przez chwilę wpatrywał się w Harolda, a potem i on potrząsnął głową.

Książę był oburzony.

- Nie zamierzam tego znosić. Matka Spowiedniczka dała mi czas do rana, żebym się wycofał. Musicie uszanować jej decyzję.

Zrobił dwa kroki ku drzwiom, zatrzymał się i chwycił za pierś. Zaczął się osuwać, wywrócił oczy, ukazując białka. Ugięły się pod nim nogi, padł na podłogę.

Kahlan siedziała nieruchomo. Nikt się nie poruszył, wszyscy milczeli. Generał Meiffert klęknął obok ciała, sprawdził oddech i tętno księcia Harolda. Potem spojrzał na Kahlan i potrząsnął głową.

Popatrzyła na Zedda, Adie, Vernę i Warrena. Niczego nie wyczytała z ich twarzy.

Potem wstała i powiedziała cicho:

- Nigdy nie chcę się dowiedzieć, które z was to uczyniło. Nie twierdzą, że nie mieliście racji... po prostu nie chcę wiedzieć.

Czworo mających dar skinęło głowami.

Kahlan przez chwilę stała w drzwiach, w jasnym blasku słońca, czując na twarzy chłód powietrza, i szukała wzrokiem, dopóki nie wypatrzyła kapitana Ryana opartego o krzepki młody klon. Stał na baczność, kiedy ruszyła ku niemu przez śnieg.

- Bradleyu, czy książę Harold powiedział ci, po co tutaj jedzie?

Posłuzenie się imieniem, a nie stopniem zmieniało charakter pytania. Ryan porzucił sztywną postawę.

- Tak, Matko Spowiedniczko. Oznajmił, że musi ci powiedzieć, że królowa nakazała mu wracać i bronić Galei i że rozkazała mu zabrać żołnierzy służących w twoim wojsku.

- To co tutaj robisz? Dlaczego przybyłeś tu ze swoimi ludźmi, skoro miał wszystkich stąd zabrać?

Uniósł swój kwadratowy podbródek i spojrzał na nią jasnymi niebieskimi oczami.

- Bo zdezerterowaliśmy, Matko Spowiedniczko.

- Co takiego?!

- Książę Harold przekazał mi swoje rozkazy, jak to właśnie

powiedziałem. Odparłem mu, że to błąd i że jedynie przyniesie szkodę naszym ludziom. On na to, że nie mi decydować o takich rzeczach. Powiedział, że nie mam myśleć, ale wykonywać rozkazy. Walczyłem u twego boku, Matko Spowiedniczko. Wierzę, że znam cię lepiej niż księżę Harold. Ofiarnie bronisz życia mieszkańców Midlandów. Powiedziałem mu, że Cyrilla źle czyni. Rozgniewał się i rzekł, że moim obowiązkiem jest wypełniać rozkazy. Ja mu na to, że w takim razie porzucam armię galejską i zostaję z tobą. Myślałem, że każe mnie stracić za nieposłuszeństwo, ale musiałby stracić nas wszystkich, cały tysiąc, bo wszyscy myśleliśmy tak samo. Bardzo wielu mu to otwarcie powiedziało. Wtedy się uspokoił i pozwolił nam tu z sobą przyjechać. Mam nadzieję, Matko Spowiedniczko, że nie jesteś na nas zła.

Kahlan nie potrafiła być w takiej chwili Matką Spowiedniczką. Objęła go.

- Dziękuję, Bradleyu. - Trzymała go za ramiona i patrzyła nań przez łzy. - Posłużyliście się rozumem. Nie mogę być o to zła.

- Powiedziałaś nam kiedyś, że jesteśmy jak mysz, co chce połknąć słonia. Coś mi się zdaje, że próbujesz zrobić to samo. Jeśli w ogóle istnieje jakaś mysz, co może połknąć słonia, to ty nią jesteś, Matko Spowiedniczko. Ale nie pozwolimy, żebyś to zrobiła bez naszej pomocy.

Odwrócili się i zobaczyli generała Meifferta dyrygującego kilkoma swoimi żołnierzami. Wynosili z domku bezwładne ciało księcia Harolda, trzymając je za ramiona i stopy. Dłonie wlokły mu się po śniegu.

- Tak sobie myślałem, że to się nie może dobrze skończyć - powiedział młody kapitan. - Od kiedy Cyrilla zachorowała, księżę Harold już nigdy nie był sobą. Zawsze go kochałem. Ciężko mi było dezertować z jego wojsk. Ale on już działał całkiem bez sensu.

Kahlan uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu i patrzyli, jak żołnierze zabierają ciało.

- Przykro mi, Bradleyu. I ja, podobnie jak ty, zawsze dobrze o nim myślałam. Sądzę, że rozumu pozbawiło go oglądanie siostry i królowej tak długo pozbawionej zmysłów. Staraj się zachować o nim wyłącznie dobre wspomnienia.

- Postaram się, Matko Spowiedniczko.

Kahlan zmieniła temat.

- Chcę, żeby jeden z waszych żołnierzy zaniósł wiadomość Cyrilli. Harold

miał to zrobić, ale teraz będzie potrzebny posłaniec.

- Zadbam o to, Matko Spowiedniczko.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak jest zimno i że nie ma peleryny. Kapitan poszedł rozlokować swoich żołnierzy i wybrać posłańca, a Kahlan wróciła do domku.

Cara dokładała drewna do kominka. Verna i Adie odeszły. Warren wybierał zwiniętą mapę ze stojącego w rogu kosza z mapami i wykresami. Kiedy wychodził, Kahlan chwyciła go za ramię. Spojrzała w niebieskie oczy czarodzieja, wiedząc, że są o wiele starsze, niż na to wyglądają. Richard zawsze powtarzał, że Warren jest jednym z najbystrzejszych znanych mu ludzi. Poza tym twierdzono, że jego prawdziwym darem było prorokowanie.

- Czy wszyscy zginiemy w tej obłądnej wojnie, Warrenie?

Nieśmiały, lecz łobuzerski uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Myślałem, że nie wierzysz w proroctwa, Kahlan.

Puściła jego ramię.

- Chyba nie. Mniejsza o to.

Cara wyszła za Warrenem, żeby przynieść więcej drewna na opał. Kahlan grzała się przed kominkiem i wpatrywała w „Potęgę ducha” stojącą na gzymsie. Zedd położył jej dłoń na ramieniu, dodając otuchy.

- Mądre było to, Kahlan, co powiedziałaś Haroldowi o posługiwaniu się rozumem, o rozsądku. Miałaś rację.

Dotknęła gładkich szat statuetki wyrzeźbionych w orzechowym drewnie.

- To Richard powiedział, że wreszcie pojął, co musi zrobić. Powiedział, że może się podporządkować wyłącznie władzy rozumu.

- Richard to powiedział? To jego słowa?

Kahlan, wpatrzona w „Potęgę ducha”, potaknęła.

- Powiedział, że pierwsze prawo rozumu mówi, że co istnieje, istnieje, co jest, jest, i że na tej nieredukowalnej zasadzie opiera się cała wiedza. Że to podstawa pojmowania życia. Że myślenie to wybór, a pragnienia i zachcianki to nie fakty i nie droga do ich odkrycia. Chyba Harold to udowodnił. Richard mówił, że rozum to jedyny sposób poznania rzeczywistości, podstawowe narzędzie umożliwiające przetrwanie. Możemy uniknąć wysiłku myślenia, odrzucić rozum, ale przez to nie unikniemy przepaści, której nie chcemy dostrzec.

Słuchała potrzaskującego u jej stóp ognia i błędziła wzrokiem po



statuetce, którą Richard dla niej wyrzeźbił. Kiedy Zedd milczał, spojrzała na niego przez ramię. Patrzył w płomienie, po jego policzku spływała łza.

- Co się stało, Zeddzie?

- Chłopak sam to wymyślił. - W głosie starego czarodzieja słychać było i osamotnienie, i dumę. - Rozumie to, znakomicie to zinterpretował. Sam do tego doszedł, przez zastosowanie.

- Do czego?

- Do najważniejszego prawa, szóstego prawa magii: możesz się podporządkować wyłącznie władzy rozumu. - W jego orzechowych oczach tańczył blask ognia.

- Szóste prawo to piasta, wokół której obracają się wszystkie prawa. Jest nie tylko najważniejsze, ale i najprostsze. Niemniej najczęściej się je ignoruje i łamie, najbardziej lekceważy. Powinno się je stosować pomimo nieustannych gromkich protestów nikczemników. Niedola, niesprawiedliwość i całkowita zatura czają się w mrokach poza jego pełnym blaskiem, gdzie półprawdy usidlają wiernych stronników, głęboko czujących wyznawców, bezinteresownych zwolenników. Wiara i uczucia to grząskie podłoże wszelkiego zła. W przeciwieństwie do rozumu wiara i uczucia nie stawiają granic złudzeniom i zachciankom. Są jadowitą trucizną dającą ogłupiający pozór moralnej sankcji każdemu zepsuciu, jakie się kiedykolwiek wylęło. Wiara i uczucia to mrok przy blasku rozumu. Rozum to sama istota prawdy. Wspaniałość, jaką jest życie, jest w pełni pojmowana poprzez rozum, poprzez tę prawdę. Kiedy się odrzuca to prawo, odrzuca rozum, wybiera się śmierć.

Następnego ranka zniknęła połowa galejskich oddziałów; żołnierze wrócili do ojczyzny i królowej, jak to nakazał przed śmiercią książę Harold. Reszta, podobnie jak kapitan Ryan i jego młodzi towarzysze, pozostała lojalna wobec imperium D'Hary.

Porucznik Leiden, dawny generał, także odszedł rankiem z wszystkimi keltońskimi oddziałami. Zostawił Kahlan list, w którym pisał, że skoro Galea zrywa z imperium D'Hary, to on musi wracać i bronić Keltonu, bo samolubne czyny Galei na pewno sprawią, że Ład raczej ruszy doliną Kernu i zagrozi jego ojczyźnie. Pisał też, iż ma nadzieję, że Matka Spowiedniczka zrozumie, jak poważne niebezpieczeństwo zagraża Keltonowi, i pojmie, że on, Leiden, nie tyle porzuca ją i imperium D'Hary, ile chce bronić swojego

ludu.

Kahlan wiedziała, że odchodzą; generał Meiffert i Warren zjawili się, żeby jej o tym powiedzieć. Oczekiwała tego, obserwowała. Powiedziała Meiffertowi, żeby pozwolił im odejść, jeśli tego chcą. Wojna we własnym obozie nie doprowadziłaby do niczego dobrego. Morale pozostających żołnierzy podbudowało poczucie, że są po właściwej stronie i że postępują, jak trzeba.

Kiedy po południu pisała nagłą list do generała Baldwina, dowódcy całej keltońskiej armii, przyszli do niej generał Meiffert i kapitan Ryan. Wysłuchała ich planu i pozwoliła kapitanowi wyruszać na wypad przeciwko Imperialnemu Ładowi z podobnie liczną grupą starannie wybranych doborowych żołnierzy d'harańskich. Mieli im towarzyszyć Warren i sześć Sióstr.

Ponieważ Imperialny Ład wycofał się tak daleko na południe, Kahlan potrzebowała informacji o tym, co tam robią i w jakim stanie są ich wojska. A jeszcze bardziej, korzystając ze sprzyjającej pogody, chciała nękać wroga. Kapitan Bradley Ryan i blisko tysiąc jego ludzi byli doświadczonymi górskimi wojownikami i dorastali właśnie w takich ciężkich warunkach. Kahlan walczyła razem z kapitanem oraz jego młodymi galejskimi żołnierzami i pomagała ich szkolić w sposobach walki z o wiele liczniejszym przeciwnikiem. Gdybyż tylko wroga armia nie liczyła ponad milion ludzi...

Specjalne oddziały generała Meifferta, którymi sprawnie dowodził, zanim Kahlan go awansowała, miały teraz nowego dowódcę: kapitana Zimmera, młodego D'Harańczyka o kwadratowej szczęce, byczym karku i zaraźliwym uśmiechu. Byli tacy, jak młodzi żołnierze Ryana, i to w trójnasób: doświadczeni, solidni mimo stresu, nieustrudzeni, nieustraszeni i niebywale skuteczni w zabijaniu. Uśmiechali się na widok tego, co sprawiało, że inni bledli. Woleli walczyć właśnie tak, nie podlegając taktyce rodem z wielkiego pola walki, a wykorzystując swoje szczególne umiejętności. Uwielbiali, kiedy się ich spuszczało ze smyczy i pozwalało robić to, w czym byli najlepsi. Kahlan wołała dawać im wolną rękę, niż ich powstrzymywać.

Każdy z tych D'Harańczyków kolekcjonował uszy wroga.

Byli wierni i oddani Kahlan - po części dlatego, że nie starała się ich okiełznać i wcielić do większego oddziału, ale może jeszcze bardziej dlatego,

że kiedy wracali z wyprawy, zawsze chciała zobaczyć sznury uszu. Uwielbiali, jak się ich doceniało.

Kahlan zamierzała wysłać ich później, żeby kolekcjonowali uszy Galejczyków.

## ROZDZIAŁ 42

Kahlan obejrzała się przez ramię na Ksienię nachyloną nad stojącym w kącie koszem z mapami. To już niemal pełna faza księżyca, odkąd Warren wyruszył z kapitanami Ryanem i Zimmerem. Choć trudno było dokładnie określić, ile może potrwać taka misja, powinni już wrócić. Kahlan aż za dobrze wiedziała, jaki niepokój musi się skrywać za opanowaną miną Verny.

- Verno, czy mogłabyś dorzucić trochę drew do kominka, jak będziesz obok przechodzić? - poprosiła, rozcierając ręce.

Cara zeskoczyła z taboretu, na którym przysiadła, żeby patrzeć Kahlan przez ramię.

- Ja to zrobię.

Verna wyciągnęła mapę i wracając ku stolikowi, podziękowała Mord-Sith.

- Proszę, Zeddzie. Uważam, że na tej mapie lepiej przedstawiono obszar, o którym mówisz.

Zedd rozwinął mapę na tej, która już leżała przed Kahlan. Nowa miała większą skalę, bardziej szczegółowo przedstawiała południowe regiony Midlandów.

- Taaak - powiedział przeciągle czarodziej, patrząc na nową mapę. - Widzicie, tutaj? - Postukał w rzekę Drun. - Widzicie, jak wąskie są niziny ku południu, o tutaj? O tym właśnie mówiłem. Górzysty kraj, miejscami rzeka płynie wśród skał. Dlatego uważam, że raczej nie pójda w górę doliny Drunu.

- Sądzę, że masz rację - odezwała się Verna.

- Poza tym - Kahlan przesunęła palcem ponad obszarem ku północy na pierwszej mapie - tam jest tylko Nikobarezja. Dość na uboczu i przez to kuszący cel, ale nie jest to bogata kraina. Łup i towary na wymianę nie będą zbyt obfite. Ład będzie miał więcej okazji do podboju, jeżeli zostanie tutaj. A poza tym widzicie przecież, jakie by mieli trudności z przerzuceniem wojsk przez góry Rang'Shada, gdyby poszli w górę Drunu. Wybranie tej drogi byłoby strategicznie bezsensowne.

Verna wpatrywała się w mapę i odruchowo kręciła guzikiem niebieskiej sukni.

- Tak... rozumiem, o co ci chodzi.

- Ale zgadzam się z tobą - powiedziała Kahlan. - To niezły pomysł, żeby wysłać Siostrę lub dwie, by obserwowały ten obszar. Choć z taktycznego punktu widzenia nie ma to zbyt wielkiego sensu, wcale nie znaczy to, że Jagang tego nie spróbuje. Z wiosną musi na nas ruszyć. I lepiej, żeby nas nie zaskoczył Imperialny Ład atakujący od tyłu Aydindril.

Cara otworzyła drzwi, bo ktoś zapukał. Był to główny zwiadowca, Hayes. Kahlan wstała, gdyż zobaczyła przez otwarte drzwi, że spośród pobliskich drzew idzie ku domkowi kapitan Ryan.

Hayes zsalutował, przykładając pięść do serca.

- Miło cię znów widzieć, kapralu Hayes - powitała go Kahlan.

- Dzięki, Matko Spowiedniczko. Dobrze jest wrócić.

Wyglądał na głodnego. Kapitan Ryan wszedł pospiesznie i Cara zatrzaskała drzwi, przez które nawiewało śniegu. Hayes odsunął się, przepuścił kapitana. Kahlan poczuła ulgę na widok młodego galejskiego oficera.

- Jak poszło, kapitanie? Jak wszyscy?

Zdjął szal i wełnianą czapkę, łapał oddech. A Verna wstrzymywała swój.

- W porządku - powiedział. - Dobrze nam poszło. Siostry uleczyły niektórych z naszych rannych. Innych trzeba było kawałek przetransportować, zanim Siostry mogły się nimi zająć. To nas opóźniło. Mamy trochę strat, ale nie takie, jak się obawialiśmy. Warren był ogromnie użyteczny.

- Gdzie Warren? - zapytał Zedd.

Warren - jakby przywołany - wszedł do domku w kłębie śniegu. Kahlan zmrużyła oczy przed ostrym światłem, dopóki znów nie zatrzaśnięto drzwi. Dostrzegła minę Verny i przypomniała sobie, jak jej samej było lekko na sercu, kiedy Richard bezpiecznie wracał po rozłące. Warren niedbale cmoknął Vernę w policzek. Chyba tylko jedna Kahlan zauważyła spojrzenie, które wymienili. Cieszyła się ich szczęściem, ale takie przypomnienie rozjątrzyło bezradne strapienie i niepokój o Richarda.

- Powiedziałeś im? - spytał Warren, rozpinając okrycie.

- Nie - odparł kapitan Ryan. - Nie było okazji.

- Co miał nam powiedzieć? - zachmurzył się Zedd.

Warren westchnął.

- Specjalne szkło Verny podziałało lepiej, niż się spodziewaliśmy.

Złapaliśmy kilku żołnierzy i przepytaliśmy ich dokładnie. Ci, których widzieliśmy w kotlinie, to zaledwie ci, którzy zmarli od razu.

Verna pomogła Warrenowi zdjąć ciężkie, oblepione śniegiem okrycie. Położyła je na podłodze przy kominku, obok brązowej peleryny kapitana Ryana.

- Wygląda na to - podjął Warren - że bardzo wielu, może kolejne sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy, nie oślepiło całkowicie, ale straciło wzrok w jednym oku lub gorzej widzi. Ład nie mógł ich porzucić, bo wciąż na tyle dobrze widzieli, żeby się trzymać z resztą. Co więcej, wciąż mają nadzieję, że ci żołnierze w pełni odzyskają wzrok, a wraz z nim zdolność do walki.

- Mało prawdopodobne - odezwała się Verna.

- I ja tak sądzę - rzekł Warren - ale oni na to liczą. Kolejna spora część żołnierzy, może ze dwadzieścia pięć lub trzydzieści tysięcy, choruje. Ich oczy i nosy są czerwone i okropnie zakażone.

Ksieni potaknęła.

- Szkło mogło i to sprawić.

- A jeszcze inni, może o połowę mniej liczni od tamtych, mają kłopoty z oddychaniem.

- Czyli - odezwała się Kahlan - z zabitymi i tymi na tyle okaleczonymi, że nie mogą walczyć, mamy w sumie około stu pięćdziesięciu tysięcy wyeliminowanych przez szklany pył. Znakomicie, Verno.

Ksieni była równie zadowolona, jak Kahlan.

- Opłaciła się ta szaleńcza galopada, choć o mało nie umarłam ze strachu. Nie poszłoby tak dobrze, gdybyś nie wymyśliła tego sposobu.

- A jaki ty odniosłeś sukces, kapitanie? - spytała Cara, stając za Kahlan.

- Taki, na jaki liczyliśmy z kapitanem Zimmerem. Chyba wyeliminowaliśmy z dziesięć tysięcy żołnierzy.

Zedd gwizdnął przeciągle.

- Ciężka walka.

- Niekoniecznie. Ani tak, jak uczyła nas Matka Spowiedniczka, ani tak, jak działa kapitan Zimmer. Przede wszystkim staramy się jak najskuteczniej eliminować wroga i unikać podejmowania walki. Jeśli poderzniesz komuś gardło, gdy śpi, zdołasz załatwić wielu i sam unikniesz ran.

Kahlan uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że byłeś tak pojętnym uczniem.

Kapitan Ryan uniósł kciuk.

- Warren i Siostry ogromnie nam pomogli docierać niepostrzeżenie tam, gdzie chcieliśmy. Są już jakieś wieści o białych pelerynach? Naprawdę by się przydały. Moglibyśmy działać jeszcze skuteczniej.

- Dwa dni temu dostaliśmy pierwszy transport - poinformowała go Kahlan. - Aż za dużo dla twoich i kapitana Zimmera. Za parę dni nadejdą następne.

Kapitan Ryan rozcierał dłonie, rozgrzewał palce.

- Kapitan Zimmer się ucieszy.

Zedd wskazał na południe.

- Dowiedzieliście się, dlaczego wycofali się tak daleko w głąb zajętego terytorium?

Warren skinął głową.

- Żołnierze, których przepytaliśmy, powiedzieli, że w ich obozie panuje gorączka. To nie nasze dzieło, po prostu zwyczajna gorączka, która zdarza się w zatłoczonym obozie w warunkach polowych. Ale stracili przez nią dziesiątki tysięcy żołnierzy. Cofnęli się, żeby dzieliła ich od nas spora odległość. Chcieli dać sobie trochę wytchnienia. Nie trapią się, czy zdołają nas zepchnąć z drogi, kiedy zechcą.

To brzmiało rozsądnie. Przy takiej liczebności mogli być pewni, że poradzą sobie z każdą przeszkodą. Kahlan nie mogła pojąć, dlaczego Warren i kapitan Ryan są tacy przygnębieni. Czuła, że pomimo tych dobrych wieści coś jest nie w porządku.

- Drogie duchy - odezwała się, próbując dodać im otuchy. - Ich szeregi topnieją jak śnieg przy palenisku. To lepiej niż...

Warren uniósł dłoń.

- Poprosiłem Hayesa, żeby sam zdał ci raport. Lepiej go wysłuchaj.

Kahlan dała znak żołnierzowi, żeby się zbliżył. Podszedł szybko do stolika i stanął na baczność.

- Raportuj, kapralu.

Miał kredowobiałą twarz i pocił się mimo chłodu.

- Moja drużyna zwiadowców, Matko Spowiedniczko, była na południowym wschodzie. Obserwowaliśmy drogi z Dziczy i na wszelki wypadek sprawdzaliśmy, czy Ład nie chce nas ominąć szerokim łukiem.

Krótko mówiąc, dostrzegliśmy kolumnę ciągnącą na zachód, żeby uzupełnić zapasy Ładu i zasilić ich szeregi.

- To wielka armia - powiedziała Kahlan. - Potrzebują zaopatrzenia z ojczystych stron, żeby uzupełnić to, co złupią. Kolumna transportowa powinna mieć strzegących ją żołnierzy.

- Szedłem za nimi tydzień, żeby ich dobrze policzyć.

- Ilu? - spytała Kahlan.

- Dobrze ponad ćwierć miliona, Matko Spowiedniczko.

Kahlan miała wrażenie, że czuje ukłucia lodowatych igieł.

- Ilu? - zapytała Verna.

- Co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a do tego woźnice i cywile z dostawami.

Przepadło wszystko, nad czym się trudzili; na nic wszelkie poświęcenia, cała walka o zmniejszenie liczebności Imperialnego Ładu. Gorzej niż przepadło - jakby w ogóle nie istniało, bo niemal tyle samo żołnierzy dołączyło do sił wroga.

Kahlan napotkała wzrok Warrena i wiedziała, że te liczby raczej go nie zdziwiły.

- Hayes - Warren wskazał zwiadowcę - widział tylko pierwszą grupę. Żołnierze, których złapaliśmy, powiedzieli nam o posiłkach. Nie byliśmy pewni, czy mówili prawdę, sądziliśmy, że chcą nas wystraszyć. Ale potem spotkaliśmy wracającego kaprała Hayesa. Jeszcze trochę popytaliśmy i poobserwowaliśmy, stąd nasze spóźnienie.

- Kolejne ćwierć miliona... - Kahlan umilkła; to wszystko wydawało się tak rozpaczliwe.

Warren odchrząknął.

- To tylko pierwsza kolumna świeżych oddziałów. Nadchodzą następne.

Kahlan podeszła do kominka i grzała dłonie, zapatrzona w płomienie. Stała pod statuetką, którą Richard wyrzeźbił dla niej, żeby się lepiej czuła. Tak chciałaby w tej chwili przywołać uczucie buntu i oporu wyrażane przez „Potęgę ducha”. Miała wrażenie, że może jedynie rozmyślać o śmierci.

Wieści o posiłkach dla Imperialnego Ładu oraz o odmarszu Galejczyków i Keltończyków rozniosły się po obozie szybciej niż wicher. Kahlan, Zedd, Warren, Verna, Adie, generał Meiffert i pozostali oficerowie niczego przed żołnierzami nie ukrywali. Ci żołnierze codziennie ryzykowali życie i mieli



prawo znać prawdę. Gdy Kahlan szła przez obóz, a jakiś żołnierz był na tyle odważny, żeby ją zapytać, odpowiadała mu, mówiła, co sama wiedziała. Starła się im dodać ducha, ale nie okłamywała ich.

Ci ludzie walczyli tak długo, że przekroczyli granicę strachu. Smutek okrywał ich niczym całun, gasząc iskrę życia. Wykonywali swoje zadania w odrętwieniu, godząc się z losem, który teraz wydawał się przypieczętowany, i poddając się nieuniknionemu. W Nowym Świecie nie było schronienia, nie było bezpiecznego miejsca. Nie było się gdzie ukryć przed straszliwym zagrożeniem niesionym przez Imperialny Ład.

Kahlan ukazywała żołnierzom stanowczą twarz. Nie miała wyboru. Kapitan Ryan i jego ludzie, którzy już przedtem byli w takiej rozpaczce, o wiele mniej przejmowali się tymi wieściami. Nie mogli umrzeć, bo już byli martwi. Młodzi Galejczycy dawno temu ślubowali razem z Kahlan, że są martwi i wrócą do życia dopiero wtedy, kiedy Ład zostanie zniszczony.

Kapitan Zimmer i jego ludzie też się zbytnio nie przejmowali. Wiedzieli, co powinno być zrobione, i tego się trzymali. Każdy z nich miał teraz mnóstwo sznurków z uszami. Nowy sznur zaczynali po setce. Sprawą honoru było zachować jedynie prawe ucho wroga - na znak, że każde należało do innego żołnierza.

Reprezentant Theriault z Herjborgue dotrzymywał słowa. Co tydzień nadchodziły białe wełniane peleryny, rękawice, czapki - co pomagało maskować się ludziom regularnie robiącym wypady na Imperialny Ład, dopóki sprzyjała im pogoda. W obozie Ładu wciąż panowała gorączka, poza tym liczni żołnierze mieli kłopoty ze wzrokiem - więc wypady były niezmiernie pomyślne. Wysyłano też oddziały w białych pelerynach, żeby czekały na tabory z dostawami i przejmowały je; chciano w ten sposób unieszkodliwić posiłki, zanim połączą się z głównymi siłami wroga.

Ale wszystkie te ataki były dla Ładu zaledwie drobną przykrością.

Kahlan wróciła ze spotkania z grupą, która na powrót znalazła się w obozie, i zastała w domku Zedda przeglądającego najnowsze uzupełnienie dodane do map.

- Szczęśliwy traf - powiedziała, kiedy podniósł wzrok i patrzył, jak zdejmuje futrzane okrycie. - Żołnierze, którzy właśnie wrócili, ponieśli niewielkie straty. Dopadli dużą grupę, która wyruszyła na patrol. Udało im się ich otoczyć i zgładzić wszystkich, w tym jedną z Sióstr Jaganga.

- To skąd ta smutna mina?

Mogła tylko wykonać gest oznaczający daremność tego wszystkiego.

- Staraj się tak nie ulegać przygnębieniu - pouczył ją Zedd. - Rozpacz jest często służebnicą wojny. Nie pamiętam, ile lat temu to było, za czasów mojej młodości, kiedy wszyscy walczący o życie w tamtej wojnie myśleli, że lada chwila zostaną zmiażdżeni. A zwyciężyliśmy.

- Wiem, Zeddzie, wiem. - Kahlan roztarła zimne dłonie; nie miała ochoty tego mówić, ale w końcu powiedziała: - Richard nie chciał znów dowodzić armią, bo mówił, że w takiej sytuacji nie możemy wygrać. Mówił, że świat i tak dostanie się w mroki Ładu, czy będziemy z nim walczyć, czy nie. I że jeśli podejmiemy walkę, tylko więcej nas polegnie, a nasza strona zostanie pokonana, natomiast Ład będzie władał światem i utracimy szansę na przyszłe zwycięstwo.

- To co tutaj robisz? - Zedd łypnął na nią jednym okiem.

- Richard mówił, że nie możemy zwyciężyć, ale, drogie duchy, nie potrafię w to uwierzyć. Raczej zginę, walcząc o wolność swoją i swojego ludu, niż będę żyć jako niewolnica. Tak, wiem, że postępuję wbrew życzeniom Richarda, jego radom i jego rozkazom. Dałam mu słowo... Mam wrażenie, że brnę przez ruchome piaski zdrady i ciągnę wszystkich ze sobą. - Szukała na twarzy czarodzieja znaków świadczących, że Richard mógł się mylić. - Powiedziałaś, że samodzielnie odkrył szóste prawo magii mówiące, że powinniśmy wykorzystywać umysł i widzieć rzeczy takimi, jakie są. Miałam pewną nadzieję. Myślałam, że musiał się mylić co do beznadziejności tej wojny, ale teraz...

Zedd uśmiechnął się do siebie, jakby dostrzegł coś zabawnego w tym, co ją wyłącznie przerażało.

- To będzie długa wojna. Jeszcze nic się nie zdecydowało, jeszcze nie odebrano nam nadziei. Takie są męki dowództwa podczas wojny: wątpliwości, obawy, poczucie beznadziei. Poczucie, ale niekoniecznie fakt. Jeszcze nie. Musimy jeszcze wiele wytrzymać. Richard mówił to, co uznał za słuszne w tamtej sytuacji. Któż mógłby stwierdzić, czy ludzie nie są już gotowi, żeby się przed nim wykazać? Udowodnić, że są gotowi odrzucić Ład? Może już się wydarzyło to, co mogłoby skłonić Richarda, by powrócił do walki.

- Wiem jednak, jak zdecydowanie mnie ostrzegał przed włączaniem się

do tej walki. Mówił to z całą powagą. Ale... nie jestem tak silna jak Richard, nie potrafię się odwrócić plecami do tego, co się dzieje. - Wskazała na przybory do pisania. - Wysłałam listy z prośbą o przysłanie dalszych oddziałów.

Zedd znów się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć, że tak należało.

- Trzeba stałego wysiłku, żeby zmniejszyć liczebność wroga. Sądzę, że wymierzenie Ładowi naprawdę potężnego ciosu jest jeszcze przed nami, ale uczynimy to. Siostry i ja na pewno coś wymyślimy. W takich sprawach nigdy nic nie wiadomo. Możemy zniemacka zrobić coś, co ich ogłuszy.

Kahlan uśmiechnęła się, pogłaskała ramię czarodzieja.

- Dziękuję, Zeddzie. Tak się cieszę, że jesteś z nami. - Popatrzyła na „Potęgę ducha” stojącą dumnie nad kominkiem; podeszła do niego jak do ołtarza z uświęconą figurką. - Dobrze duchy, jakże za nim tęsknię.

Było to pytanie bez słów, nadzieja, że zaskoczy ją pomysłem na odzyskanie Richarda.

- Wiem, kochanie. I ja za nim tęsknię. Żyje i to jest najważniejsze.

Kahlan mogła jedynie skinąć głową. Zedd klasnął w dłonie, jakby rozradowany jakąś myślą.

- Przede wszystkim potrzebujemy czegoś, co by choć na chwilę oderwało nasze myśli od wojennych spraw. Czegoś, z czego choć przez chwilę moglibyśmy się razem cieszyć. Przyniesie to wiele dobrego.

- Na przykład? - Kahlan spojrzała nań chmurnie przez ramię. - Masz na myśli jakąś zabawę?

- Sam nie wiem. - Zmarszczył się w zadumie. - Coś radosnego. Coś, co by im pokazało, że Ład nie zabroni nam żyć. Nie odbierze nam radości życia, tego, co jest jego sensem. - Przesunął kciukiem po zarysie policzka. - Masz jakiś pomysł?

- Nic mi jakoś...

I wtedy wszedł Warren.

- Właśnie dostałem raport z doliny Drunu. Nasz szczęśliwy dzień. Jest spokój, jak się spodziewaliśmy.

Stanął jak wryty, z dłonią na klamce, i patrzył to na Kahlan, to na Zedda.

- O co chodzi? Co się dzieje? Dlaczego tak na mnie patrzycie?

Za Warrenem zjawiała się Verna i wepchnęła go do domku.

- No wchodź, wchodź. Zamknij drzwi. Co z tobą? Zamarzam tutaj.

Verna zasapała gniewnie i sama zamknęła drzwi. Odwróciła się, zobaczyła Kahlan i Zedda i cofnęła się o krok.

- Chodźcie no tutaj, Verno i Warrenie - powiedział słodkim głosem Zedd.

Verna zerknęła na nich gniewnie.

- Co wy tutaj knujecie i dlaczego się tak uśmiechacie?

- Cóż - powiedział Zedd, mrugając do Kahlan - właśnie omawialiśmy z Matką Spowiedniczką ważne wydarzenie.

Ksieni naburmuszyła się jeszcze bardziej i pochyliła ku nim.

- Ważne wydarzenie? Jakie? O niczym nie słyszałam.

Nawet Warren, zawsze tak pogodny, teraz się nachmurzył.

- Właśnie. Jakie ważne wydarzenie?

- Wasze zaślubiny - poinformował ich Zedd.

Oboje natychmiast się rozchmurzyli. Nie zdołali powstrzymać promiennych, zdumionych niemądrych uśmiechów.

- Naprawdę? - spytał Warren.

- Naprawdę? - spytała Verna.

- Tak, naprawdę - odparła Kahlan.

## ROZDZIAŁ 43

Przygotowania do zaślubin Verny i Warrena trwały ponad dwa tygodnie. Nie dlatego, żeby nie można tego było szybciej zorganizować, ale dlatego, że Zedd chciał - jak to wyjaśnił Kahlan - „przeciągnąć całą tę sprawę”. Chciał dać wszystkim wystarczająco dużo czasu, żeby się nad tym zastanowić i wymyślić wspaniałe przyjęcie. Chciał czasu na zorganizowanie, zbudowanie dekoracji, ugotowanie specjalnych potraw, przygotowanie obozu do wielkiej fety; czasu swobody, by mogli poplotkować i z ochotą czekać na wielkie wydarzenie.

Żołnierze, najpierw średnio zadowoleni, szybko dali się porwać nastrojowi nadchodzącego wydarzenia. Stało się wspaniałą rozrywką, odmianą.

Wszyscy lubili Warrena. Był kimś, komu się odrobinę współczuło, wobec którego było się trochę protekcyjnym - był niezręcznym, nieśmiałym człowiekiem. Większość z nich nie miała najmniejszego pojęcia o sprawach, o których paplał. Myśleli, że taki jak on nigdy nie zdobędzie kobiety. A to, że jednak zdobył - według nich, najwyraźniej mimo wszelkich przeciwności - wzbudziło w nich dumę, że jest jednym z nich i że tego dokonał: że zdobył serce kobiety. Dało im to nadzieję, że i oni pewnego dnia będą mieć ślub, żonę i rodzinę, nawet jeśli się obawiali, że też są często niezręczni i nieśmiali.

Żołnierze otwarcie okazywali Vernie radość. Była kobietą, którą szanowali, ale nigdy nie darzyli cieplejszymi uczuciami. Ich dosadnie formułowane życzenia wprawiały ją w zakłopotanie.

Cały obóz poddał się nastrojowi oczekiwanego wydarzenia nawet bardziej, niż Kahlan oczekiwała. Po krótkiej początkowej przerwie, kiedy oswajali się z tą wieścią, żołnierze - tak zmęczeni nie tylko walką wbrew wszelkim przeciwnościom, utratą przyjaciół, rozłąką z domem i ukochanymi, ale i ponurą, męczącą, trudną pogodą - z zapałem powitali tę odmianę.

Przygotowano duży centralny teren: usunięto namioty i oczyszczono ziemię ze śniegu. W głównym punkcie tego terenu zbudowano podwyższenie - ułożone na spiętych i unieruchomionych wozach - na

którym miał się odbyć ślub. Podwyższenie było niezbędne, żeby żołnierze mogli dobrze widzieć całą ceremonię. Z boku urządzono miejsce do tańców i ci żołnierze grający na jakichś instrumentach, którzy akurat nie mieli służby, ćwiczyli tam dzień i noc. Utworzono chór i odmaszerował on do zacisznego jaru na próby. Dokądkolwiek Kahlan poszła, wszędzie słyszała piszczałki i bębny, przenikliwe tony oboju lub melodyjne smyczków. Żołnierze bardziej niż Imperialnego Ładu zaczęli się bać, że będą fałszować.

Sióstr było ponad sto, więc zdecydowano, że po ceremonii odbędą się tańce. Siostronom bardzo się ten pomysł podobał, dopóki nie wyliczyły, ilu mężczyzn przypadnie na każdą z nich, ile będą się musiały natańczyć. Ale i tak były podekscytowane uwagą, jaką przyciągną, i pochwalały ów pomysł. Kobiety liczące ponad sto lat rumieniły się jak dziewczyny, kiedy żołnierze prosili je o obietnicę tańca na weselu.

Zaślubiny zbliżały się i żołnierze wytyczyli wijące się przez kotlinę „ulicę”, żeby po ceremonii weselnicy mogli przejść przez cały obóz. Wszyscy chcieli gratulować nowożeńcom i życzyć im szczęścia.

Kahlan wpadła na pomysł, żeby po zaślubinach Warren i Verna mieli domek dla siebie. To miał być jej weselny dar dla nich, więc trzymała to w tajemnicy. Cara, za jej namową, zażądała, by na uboczu ustawiono namiot dla młodej pary. Mord-Sith przeniosła tam rzeczy Verny i przybrała namiot ziołami oraz zmarzniętymi gałązkami jagód. Oszustwo się udało; Verna uwierzyła, że to ma być namiot jej i Warrena i zakazała mu tam wstępu aż do ceremonii.

Dzień zaślubin jaśniał czystym, błękitnym niebem i nie był tak zimny, by komukolwiek groziły odmrozenia. Świeży śnieg pospiesznie uprzątnięto z placu, żeby nie dostał się Siostronom do butów w czasie zabawy. Niektóre z nich przyszły obejrzeć miejsce do tańca i przechadzały się tam, by żołnierze mogli zobaczyć, z kim będą mieli okazję zatańczyć - o ile będą mieć szczęście. A wszystko to odbywało się wesoło i radośnie.

Verna spędziła niemal całe wczesne popołudnie w swoim namiocie, wśród paplających Sióstr, które układały jej włosy, malowały twarz, ubierały w strój weselny. Kahlan zaś miała wreszcie okazję, żeby w tajemnicy przystroić domek. Przymocowała do liny pachnące, żywiczne, puchate gałęzie i zrobiła z nich girlandy u szczytu każdej ściany. Do zielonych iglastych gałęzi przywiązała czerwone jagody - bo tylko to znalazła - żeby je

ożywić kolorystycznie. Od jednej z Sióstr dostała trochę materiału, z którego zrobiła zasłonę na okno. Kiedy wieczorami wracała do domku, haftowała wzory, by zwykły materiał wyglądał jak koronka. Trzymała swoją robótkę pod łóżkiem, aby Verna i Warren nie zauważyli jej, kiedy przychodzili na strategiczne narady. Teraz wreszcie Kahlan mogła rozstawić w pokoju wonne świece, dar różnych Sióstr, i zawiesić zasłonę na prostej gałęzi, którą odarła z kory.

Jednego tylko nie zostawiła, żeby upiększało domek nowożeńców - „Potęgi ducha”. Zabierze statuetkę do swojego nowego namiotu.

Kahlan właśnie zmieniała pościel, kiedy weszła Cara, niosąc naręczę czegoś niebieskiego. Dziewczyna, obserwując, jak Mord-Sith zatrzaskuje drzwi, podwijała koc pod wypchany słomą siennik w nogach łóżka.

- Co tam masz?

- Nie uwierzysz - uśmiechnęła się Cara. - Szeroką błękitną jedwabną wstążkę. Siostry unieruchomiły Vernę na krześle i skaczą koło niej, a Zedd zabrał po coś tam Warrena, więc pomyślałam sobie, że mogłybyśmy wykorzystać tę wstążkę i trochę przystroić domek. Udrapować ją. Żeby było ładnie. - Wskazała. - O, mogłybyśmy ją owinać wokół gałęzi, które zawiesiłaś, żeby ładnie wyglądały.

Kahlan zamrugnęła ze zdumienia.

- Znakomity pomysł.

Sama nie wiedziała, co było bardziej zdumiewające - Cara z błękitną wstążką czy Mord-Sith mówiąca na jednym oddechu „udekorować” i „ładnie”. Uśmiechnęła się do siebie, szczęśliwa, że to usłyszała. Zedd był większym czarodziejem, niż sądził.

Kahlan i Cara stały na kawałku pnia i owijały wstążką girlandę iglastych gałęzi. Tak cudownie było widzieć gotową pierwszą ścianę, że Kahlan nie mogła się powstrzymać od przyglądania się temu z uśmiechem. Zaczęły stroić drugą ścianę, naprzeciwko drzwi, dodając więcej wstążki dla lepszego efektu, kiedy Warren i Verna po raz pierwszy zobaczą swój nowy dom.

- Skąd wzięłaś tyle wstążki? - zapytała Kahlan z ustami pełnymi szpilek.

- Benjamin to dla mnie zdobył - zachichotała Cara, owijając wstążkę wokół linki. - Uwierzysz? Kazał obiecać, że nie będę pytać, skąd to wziął.

Kahlan wyjęła szpilki z ust.

- Kto?

- Co, kto? - wymamrotała Cara, wysunęła język kącikiem ust i wbiła szpilkę.

- Mówiłaś, że kto ci dał wstążkę?

Mord-Sith uniosła ku sufitowi kolejny kawałek błękitnego jedwabiu.

- Generał Meiffert. Nie mam pojęcia, gdzie on...

- Powiedziałaś „Benjamin”.

Cara opuściła wstążkę i wpatrzyła się w Kahlan.

- Nie, nie powiedziałam.

- Ależ tak. Powiedziałaś „Benjamin”.

- Powiedziałam „generał Meiffert”. Tylko sobie pomyślałaś...

- Nie wiedziałam, że generał Meiffert ma na imię Benjamin.

- Hmmmm...

- Czy Benjamin to imię generała Meifferta?

Gdyby Cara była w czerwonej skórce, jej twarz miałaby tę samą barwę. A tak była równie mroczna jak jej brązowy skórzany uniform.

- Wiesz, że tak.

Na usta Kahlan wypłynął uśmiech.

- Teraz wiem.

Kahlan przywdziała białą szatę Matki Spowiedniczki. Nieco się zdziwiła, że jest trochę za luźna, ale właściwie należało się tego spodziewać. Ze względu na mróz narzuciła również futrzane okrycie, które zrobił dla niej Richard, ale udrapowała je na ramionach jak etolę. Stała wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, nadzorując ceremonię i spoglądając na dziesiątki tysięcy spokojnych twarzy. Za sobą miała ciemnozieloną ścianę splecioną z iglastych gałęzi, żeby dalej stojący widzowie łatwiej mogli dostrzec sześcioro ludzi na podwyższeniu. W spokojnym złocistym blasku późnego popołudnia unosiła się leciutka mgiełka oddechów.

Prowadzący ceremonię Zedd stał tyłem do Kahlan. Zafascynował ją widok jego falistych siwych włosów - bezustannie w nieładzie, teraz zaś wyszczotkowanych i wygładzonych. Był w swoich wspaniałych bordowych szatach z czarnymi rękawami i watowanymi ramionami. Srebrny brokat okalał mankiety, złoty - wycięcie przy szyi i przód szaty. Czerwony aksamitny pas ze złotą klamrą opinał czarodzieja na brzuchu. Adie stała obok Zedda w skromnej szacie czarodziejki obszytej wokół dekoltu złotymi i czerwonymi paciorkami, przez co kontrast robił wspaniałe wrażenie.



Verna była w sukni o soczystej fioletowej barwie; ozdobiono ją złotym haftem przy prostokątnym dekolcie. Wymyślny złoty haft biegł w dół obcisłych rękawów widocznych w rozcięciach dodatkowych rękawów, które przewiązano w łokciu złotą wstążką. Drobne plisowanie nieco powyżej talii rozszerzało się i góra sukni przechodziła w kloszową spódnicę spływającą prawie do podłogi. Kręcone kasztanowe włosy Verny były ozdobione błękitnymi, złotymi i purpurowymi kwiatami zrobionymi przez Siostry z małych kawałeczków jedwabiu. Ze swoim jasnym i pogodnym uśmiechem była piękną czarodziejką i panną młodą, stojącą obok przystojnego jasnowłosego pana młodego w fioletowych szatach czarodzieja.

Ceremonia osiągnęła punkt kulminacyjny i wszyscy pochylili się nieznacznie ku podwyższeniu.

- Czy ty, Verno, chcesz wziąć tego czarodzieja za męża aż po kres życia - dźwięczny głos Zedda poniósł się nad tłumem - świadoma jego daru i powinności z tym związanych, i przysięgasz nieustannie kochać go i szanować do końca swoich dni?

- Tak - powiedziała cicho Verna.

- Czy ty, Warrenie - głos Adie wydawał się jeszcze bardziej chrypliwy w porównaniu z głosem Verny - chcesz pojąć tę czarodziejkę za żonę aż po kres życia, świadom jej daru i powinności z tym związanych, i przysięgasz nieustannie kochać ją i szanować do końca swoich dni?

- Tak - odparł pewnie Warren.

- Skoro wynika to z twojej wolnej woli, uznaję, czarodziejko, że się zgadzasz, i z radością błogosławię ten związek. - Zedd uniósł rozpostarte ramiona. - Proszę dobre duchy, żeby się uśmiechnęły nad przysięgą tej kobiety.

- Skoro wynika to z twojej wolnej woli, uznaję, czarodzieju, że się zgadzasz, i z radością błogosławię ten związek. - Adie uniosła rozpostarte ramiona. - Proszę dobre duchy, żeby się uśmiechnęły nad przysięgą tego mężczyzny.

Wszyscy czworo splekli ramiona, złączyli dłonie, pochylili głowy. Powietrze w środku ich kręgu jaśniało żywym światłem opromieniającym ów związek. Olśniewający blask siał w niebo złoty promień, jakby niósł przysięgę ku dobrym duchom.

- Od tej chwili jesteście na zawsze złączeni jako mąż i żona, złączeni

poprzez przysięgę, miłość, a teraz również poprzez dar - powiedzieli razem Zedd i Adie.

Magiczny blask uleciał w górę, zanikając, aż stał się samotną gwiazdą płonąca nad nimi na czystym niebie późnego popołudnia.

W zimowej ciszy dziesiątki tysięcy urzeczonych oczu patrzyło, jak drżąca Verna przyjmuje pocałunek Warrena pieczętujący ceremonię, jakiej już pewnie nigdy nie ujrzą: zaślubiny czarodzieja i czarodziejki, związanych nie tylko przysięgą, ale i magicznym paktem.

Kiedy Verna i Warren odsunęli się szeroko uśmiechnięci, tłum oszalał. W powietrze poleciały czapki, buchnęły radosne okrzyki.

Verna i Warren, rozpromienieni, wzięli się za ręce i obrócili ku żołnierzom. Wysoko unieśli ramiona i pomachali ku zebrany. Żołnierze wiwatowali, klaskali i gwizdali, jakby to był ślub ich siostry lub najlepszego przyjaciela.

Odezwał się chór i pośród drzew rozbrzmiała przeciągła nuta. Niesamowity dźwięk sprawił, że Kahlan przeszył dreszcz. W kotlinie zapanowała uroczysta cisza.

Cara pochyliła się ku Kahlan i szepnęła jej ze zdumieniem, że chór śpiewa d'harańską pieśń weselną sprzed tysięcy lat. Żołnierze odbywali próby na osobności, więc dziewczyna nie słyszała jej przed ceremonią. Pieśń była tak majestatyczna, że emocje Kahlan ustąpiły przed harmonijną kaskadą połączonych głosów. Verna i Warren stali na skraju podwyższenia przejęci bolesnym pięknem pieśni na cześć ich związku.

Dołączyły się flety, potem bębny. Żołnierze, przeważnie D'Harańczycy, uśmiechali się, słuchając dobrze im znanej muzyki. Kahlan uderzyło wtedy, że tak długo uważała D'Harę za wrogą krainę, iż właściwie nigdy nie myślała, że to lud mający tradycje, które mogą być dlań pełne znaczenia, wzruszające, drogie. Obejrzała się na Carę, stojącą za nią i z nieobecny uśmiechem zasłuchaną w muzykę. Istniała cała D'Hara, która stanowiła dla Kahlan tajemnicę; widywała tylko żołnierzy. Nie wiedziała nic o ich kobietach i dzieciach, o ich domach i obyczajach. Nauczyła się o nich myśleć jako o tych, którzy wreszcie dołączyli do wspólnoty, ale teraz uświadomiła sobie, że byli ludem, którego nie znała, ludem mającym własne dziedzictwo.

- To piękne - szepnęła Carze.

Mord-Sith potaknęła błogo, kołysana dźwiękami znanej jej od dawna

muzyki, muzyki, która dla Kahlan była egzotycznym dziwem.

Chór zakończył hołd dla młodej pary, a Verna sięgnęła do tyłu i uścisnęła dłoń Kahlan. Były to swego rodzaju przeprosiny - znak, że wie, jak trudne to musi być dla dziewczyny. Kahlan nie chciała, żeby jej ból rzucił cień na to radosne wydarzenie; promiennym uśmiechem odpowiedziała na przelotne spojrzenie Ksieni. Podeszła, stanęła za Verną i Warrenem, objęła oboje. Tłum stopniowo umilkł i Kahlan mogła przemówić.

- Tych dwoje stanowi parę. Być może zawsze tak było. I już na zawsze tak będzie. Oby stale towarzyszyły im dobre duchy.

Wszyscy zgromadzeni jednym głosem powtórzyli modlitwę.

- Chcę z głębi serca podziękować Vernie i Warrenowi - powiedziała Kahlan, patrząc na uniesione ku nim dziesiątki tysięcy twarzy - że przypomnieli nam, co naprawdę jest ważne w życiu. Nie ma wyraźniejszego symbolu prostego i zarazem głębokiego znaczenia naszej sprawy niż dzisiejsze zaślubiny.

Zebrani - jak okiem sięgnąć - skinęli głowami.

- Kto chce zobaczyć, jak tych dwoje tańczy pierwszy taniec? - zawołała Kahlan.

Żołnierze krzyknęli radośnie i cofnęli się, odsłaniając miejsce do tańca. Muzycy usiedli na ławach stojących po bokach.

Czekali, aż Verna i Warren zejść na przygotowane dla nich miejsce. Kahlan otoczyła ramieniem barki Zedda, pocałowała go w policzek.

- To najlepszy z twoich pomysłów, czarodzieju.

Spojrzał na nią orzechowymi oczami, które zdawały się zagłębiać aż w głąb duszy.

- Jak się czujesz, kochanie? Wiem, że to musi być dla ciebie ciężkie.

Skinęła głową; nie pozwoliła, żeby z jej twarzy zniknął uśmiech.

- Wszystko w porządku. Tobie musi być dwa razy trudniej.

Nieoczekiwanie się uśmiechnął.

- Jakie to typowe dla Matki Spowiedniczki. Troszczenie się o innych.

Kahlan patrzyła na roześmianych Vernę i Warrena, którzy tańczyli w kręgu wiwatujących żołnierzy.

- Zatańczysz ze mną - spytała - kiedy oni skończą i kiedy zatańczysz już z Adie? Zamiast niego. Jestem pewna, że by tego chciał.

Nie potrafiła teraz wymówić jego imienia, bo prysnąłby czar radosnej

uroczystości.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że umiem tańczyć? - Zedd uniósł brew w swawolnej uciesze.

- Bo ty wszystko potrafisz - roześmiała się Kahlan.

- Mogę wymienić mnóstwo rzeczy, których ten chudy starzec nie potrafi - rzekła z uśmiechem Adie, stając za nim.

Pierwszy taniec się skończył, nowożeńcy zaczęli drugi i stopniowo dołączali do nich inni; Zedd i Adie też włączyli się w taneczny krąg, żeby pokazać młodym, jak to się robi. Kahlan i Cara stały na skraju kręgu. Szedł ku nim generał Meiffert, śmiejąc się i potrząsając dłońmi jednych żołnierzy, a innych poklepując po plecach.

- Matko Spowiedniczko! - Napór tłumy sprawił, że znalazł się blisko. - Cóż za wspaniały dzień, Matko Spowiedniczko, nieprawdaż? Widziałaś kiedyś podobny?

Widząc jego zachwyty, Kahlan nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nie, generale Meiffert, raczej nie widziałam.

Zerknął przelotnie na Carę. Stał przez chwilę, skrępowany, a potem obrócił się i popatrzył na tańczących. Żołnierze dobrze ją znali, ale Kahlan była przecież Spowiedniczką - kobietą, do której ludzie nie chcieli zanadto się zbliżyć, a tym bardziej jej dotknąć. Nikt raczej nie poprosi do tańca Spowiedniczki.

Ani Mord-Sith.

- Generale? - spytała Kahlan, dotykając jego ramienia. - Czy wyświadczysz mi wielką przysługę?

- Oczywiście, Matko Spowiedniczko - zająknął się. - Co tylko zechcesz. Co mam zrobić?

Kahlan wskazała na plac tańca, okalających go żołnierzy i Siostry.

- Zechciałbyś zatańczyć? Wiem, że powinniśmy trzymać straż na wypadek jakichś kłopotów, ale uważam, że gdyby ich generał zatańczył, jeszcze dobitniej ukazałoby to żołnierzom uroczysty charakter tego wydarzenia.

- Mam zatańczyć?

- Tak, proszę.

- Ale ja... to znaczy nie wiem, kto...

- Och, proszę, nie staraj się od tego wykręcić. - Kahlan odwróciła się,

jakby nagle coś wpadło jej do głowy. - Caro. Czy mogłabyś z nim zatańczyć, żeby jego żołnierze zobaczyli, że spokojnie mogą się przyłączyć?

Niebieskie oczy Cary patrzyły to na Kahlan, to na generała.

- N-no, nie wiem, jak...

- Zrób to dla mnie. Proszę cię, Caro. - Kahlan znów spojrzała na generała.

- Chyba słyszałam, jak ktoś mówi, że masz na imię Benjamin.

Podrapał się w skroń.

- I mam, Matko Spowiedniczko.

Kahlan ponownie spojrzała na Carę.

- Ten oto Benjamin potrzebuje partnerki do tańca, Caro. Mogłabyś nią zostać? Zrób to dla mnie, proszę.

Mord-Sith odkaszlnęła.

- No dobrze. Dla ciebie, Matko Spowiedniczko.

- Tylko nie połam mu żeber ani innych kości. Jest nam potrzebny.

Cara zerknęła gniewnie przez ramię, kiedy uprowadzał ją uśmiechnięty Benjamin.

Kahlan splótła ręce i z uśmiechem patrzyła, jak generał bierze Carę w ramiona. To był prawie doskonały dzień. Prawie.

Patrzyła, jak Benjamin z wdziękiem wiruje z Carą, jak żołnierze wyciągają nieśmiało nagle Siostry z tłumu na skraju tanecznego placu, kiedy pojawił się przed nią kapitan Ryan.

- Matko Spowiedniczko... mmm... tyle razem przeszliśmy, więc jeśli to nie będzie zbyt zuchwałość, to czy mógłbym cię prosić... żebyś... no wiesz, zatańczyła?

Kahlan spojrzała ze zdumieniem na wysokiego, młodego, barczystego Galejczyka.

- O tak, Bradleyu, z radością z tobą zatańczę. Naprawdę chętnie. Ale tylko wtedy, jeśli mi obiecasz, że nie będziesz mnie trzymał, jakbym była ze szkła. Nie chcę głupio wyglądać.

Uśmiechnął się i skinął głową.

- W porządku.

Położyła dłoń na dłoni kapitana, drugą wsparła na jego ramieniu. On zaś położył swoją wielką rękę na jej talii, pod rozchyłoną futrzaną peleryną, i zawirował z nią wśród tańczących. Kahlan uśmiechała się i śmiała, poddając się temu. Pomyślała o „Potędze ducha”, siłą woli przypomniała sobie ten

rodzaj siły i zdołała się rozluźnić. Brała zabawę, jaką była, i nie myślała o tym, czego jej brakowało, kiedy lęklonie trzymał ją w ramionach inny mężczyzna.

- Jesteś wspaniałym tancerzem, Bradleyu.

W jego oczach zalśniła duma. Poczwała, jak się rozluźnia i płynniej poddaje muzyce. Dostrzegła w pobliżu Carę i Benjamina, którzy bardzo starali się nie patrzeć na siebie w tańcu. Kiedy okręcał ją wokół siebie, otaczając ramieniem jej talię, za Mord-Sith płynął jej jasny warkocz. Wtedy Kahlan zobaczyła, jak Cara spogląda w błękitne oczy Benjamina i się uśmiecha.

Ku uldze Kahlan melodia skończyła się i kapitana Ryana zastąpił Zedd. Przytuliła się do niego, kiedy tańczyli do spokojniejszej muzyki.

- Jestem z ciebie dumny, Matko Spowiedniczko. Dałaś tym żołnierzom coś cudownego.

- A cóż im dałam?

- Swoje serce. - Przechylił głowę. - Widzisz, jak cię obserwują? Dałaś im odwagę. Powód do wiary w to, co robią.

Kahlan znacząco uniosła brew.

- Ty, sztukmistrzu, ty. Możesz oszukać innych, ale nie mnie. To ty dałeś mi odwagę i otuchę.

Zedd tylko się uśmiechnął.

- Od czasów pierwszej Spowiedniczki żaden mężczyzna nie odkrył, jak kochać taką kobietę i nie zostać zniszczonym przez jej moc. Cieszę się, że dokonał tego dopiero mój wnuk i że dokonał tego, bo cię pokochał. Kocham cię jak wnuczkę, Kahlan, i niecierpliwie wyglądam dnia, kiedy znów będziesz z moim wnukiem.

Kahlan przytuliła się do Zedda, położyła mu głowę na ramieniu i tańczyli ze swoimi wspomnieniami.

Tańce trwały; pochodnie i roztaczające się ciepło ogniska zastąpiły złociste zachodzące słońce. Siostry zmieniały partnerów po każdym tańcu, a wciąż jeszcze byli żołnierze czekający na swoją kolejkę - i to nie tylko na taniec z młodszymi, atrakcyjniejszymi Siostrami. Pomocnicy kucharzy zastawili stoły prostymi potrawami, kosztując niektórych i żartując z żołnierzami. Warren i Verna pomiędzy tańcami próbowali rozmaitych potraw z różnych stołów.

Kahlan zatańczyła jeszcze raz z kapitanem Ryanem i ponownie z Zeddem, a potem zajęła się rozmowami z oficerami i żołnierzami, żeby już nie musieć tańczyć, gdyby ktoś bał się ją zaprosić, ale mimo wszystko zdobył się na odwagę. Łatwiej jej przychodziło cieszyć się świętem, kiedy nie musiała tańczyć.

Właśnie witała się z młodymi oficerami, a oni mówili jej, jak bardzo ich raduje to przyjęcie, kiedy ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się i ujrzała uśmiechniętego Warrena.

- Będę zaszczycony, Matko Spowiedniczko, jeśli zechcesz ze mną zatańczyć.

Kahlan zauważyła, że Verna tańczy z Zeddem. Ten taniec będzie inny od poprzednich.

- Z przyjemnością zatańczę z przystojnym panem młodym, Warrenie.

Tańczył płynnie, choć się tego nie spodziewała. Wydawał się pogrążony w błogim spokoju, jakby nie robił na nim wrażenia ani zbity tłum, ani wciąż poklepujący go po plecach żołnierze, ani żartobliwe uwagi niektórych Sióstr.

- Chciałem ci podziękować, Matko Spowiedniczko, że uczyniłaś ten dzień najwspanialszym dniem mojego życia.

Kahlan uśmiechnęła się do jego młodej twarzy, odwiecznych oczu.

- Dziękuję, Warrenie, że zgodziłeś się na tę tłumną zabawę. Wiem, że niezbyt ci to odpowiada...

- Ależ odpowiada. Odpowiada. Kiedyś ludzie nazywali mnie Kretem.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo stale siedziałem w podziemiach i studiowałem proroctwa. Nie tyle dlatego, że lubiłem przeglądać książki, ile dlatego, że bałem się wyjść.

- Ale w końcu wyszedłeś.

Okręcił ją do rytmu muzyki.

- Richard mnie wyciągnął.

- Tak? Nie wiedziałam.

- Można rzec, że kontynuowałaś to, co on zaczął. - Warren uśmiechnął się łagodnie. - Chciałem ci podziękować. Wiem, jak za nim tęsknię i jak Verna za nim tęskni. Wiem, że żołnierze tęsknią za swoim lordem Rahlem.

Kahlan mogła jedynie skinąć głową.

- I wiem, jak bardzo ty tęsknisz za swoim mężem. Dlatego chciałem ci podziękować za to, że dajesz nam to wszystko, za dar twojej łaskawości

pomimo dręczącego cię strapienia. Tutaj każdy ci współczuje. Wiedz, że kiedy za nim tęsknisz, nie jesteś w tym osamotniona, i że znajdujesz się wśród tych, którzy również go kochają.

Kahlan uśmiechnęła się i zdołała wykrztusić:

- Dziękuję.

Tańczyli, śmiejąc się z wesołej melodii i niezgrabnych ruchów niektórych żołnierzy - kiedy muzyka nagle umilkła.

I wtedy Kahlan usłyszała rogi.

Wszystkich ogarnął niepokój, żołnierze pobiegli po broń, ale wpadł jeden z wartowników. Machał rękami i krzyczał, żeby zostali, bo to przyjazne oddziały.

Kahlan, zdumiona, razem z wszystkimi wyciągała szyję, żeby coś zobaczyć. Nie mieli żadnych oddziałów poza obozem. Pozwoliła, żeby wszyscy zostali i radowali się przyjęciem weselnym.

Tłum rozstępował się przed końmi. Kahlan wysoko uniosła brwi, otworzyła usta. Na czele, na pięknym kasztanie, jechał dystyngowany generał Baldwin, dowódca całej armii keltońskiej. Zgrabnie zatrzymał wierzchowca. Musnął palcem ciemny, poznaczony siwizną wąs, przyjrzał się tłumowi. Siwiejące czarne włosy zasłaniały mu uszy, na czubku głowy przeświecała łysina. Wspaniale wyglądał w pelerynie z serży, spiętej na ramieniu dwoma guzikami tak, by widać było zieloną jedwabną podszewkę. Brązową opończę ozdabiał herb o zielonym i żółtym polu przedzielonym ukośną czarną linią. Wysokie cholewy miał zrolowane poniżej kolan. Długie czarne rękawice zatknięte były za szeroki pas z ozdobną klamrą.

Żołnierze przepuścili Kahlan.

- Generale!

Uśmiechnął się szeroko, uniosł dłoń właściwym sobie wielkopańskim gestem.

- Miło cię widzieć, Matko Spowiedniczko.

Kahlan zaczęła mówić, ale tłum rozstał się przed szarżującymi końmi. Wpadły na plac tańca jak ognisty wichur - tuzin Mord-Sith w czerwonych skórkach. Jedna z nich zeskoczyła na ziemię.

- Rikka! - zawołała Cara.

Dumne, gniewne spojrzenie przesunęło się po tłumie. W końcu zatrzymało się na Carze. Ta wysunęła się z ramion generała Meifferta.



- Caro - powitała ją przybyłą; rozejrzała się. - Gdzie Hania?

- Hania? - Cara podeszła ku tamtej. - Nie ma jej tutaj.

Kobieta, gorzko zawiedziona, zacisnęła wargi.

- Tak też myślałam. Nie dostałam od niej żadnej wieści, więc obawiałam się, że ją straciliśmy. Ale mimo wszystko miałam nadzieję.

Podeszła Kahlan, nieco zirytowana, że kobieta uważała za stosowne wysforować się przed generała Baldwina.

- Rikka, tak?

- Aaaa - rzekła Rikka, uśmiechając się porozumiewawczo. - Nie możesz być nikim innym jak żoną lorda Rahla, Matką Spowiedniczką. Rysopis się zgadza. - Zsalutowała niedbale, przykładając pięść do serca. - Tak, jestem Rikka.

- Cieszę się, że jesteś tutaj ze swoimi siostrami w Agielu.

- Wyruszyłam z Aydindril, jak tylko Berdine dostała twój list. Wiele nam wyjaśnił. Przedyskutowaliśmy sprawę i zdecydowaliśmy, że wyruszę z siostrami, żeby cię wspomóc. Zostawiłam Berdine sześć siostr, żeby czuwały nad Aydindril i Wieżą Czarodzieja. Przeprowadziłam też dwadzieścia tysięcy żołnierzy. - Wskazała kciukiem za siebie. - Tydzień temu spotkaliśmy się z generałem.

- Na pewno przyda się nam wasza pomoc. Berdine mądrze postąpiła. Wiem, jak bardzo chciała się tu zjawić, ale zna miasto i wieżę. Cieszę się, że postąpiła zgodnie z moimi zaleceniami. - Kahlan obdarzyła Rikkę najbardziej niepokojącym ze spojrzeń Matki Spowiedniczki. - Przerwałaś generałowi Baldwinowi.

Cara odciągnęła Rikkę.

- Musimy porozmawiać, Rikko, zanim będziesz gotowa podjąć służbę dla lorda Rahla i jego żony, która, tak się złożyło, jest naszą siostrą w Agielu.

- Naprawdę? - zdumiała się Rikka. - Jak to moż...

- Potem - rzekła z uśmiechem Cara i odciągnęła Rikkę na bok, zanim zdążyła wpaść w jeszcze większe tarapaty. Zedd, Adie i Verna przecisnęli się do Kahlan. Generał Baldwin zsiadł już z konia; podszedł i opadł na kolano.

- Moja królowo, Matko Spowiedniczo.

- Powstań, moje dziecko - odpowiedziała oficjalnie Kahlan.

Cały obóz patrzył na to z wytężoną uwagą, jak przedtem na zaślubiny. I to było dla nich ważne wydarzenie. Generał powstał.

- Przybyłem, jak tylko dostałem twój list, Matko Spowiedniczko.

- Ilu ludzi przyprowadziłeś?

Zdziwiło go to pytanie.

- No, jak to... wszystkich, rzecz jasna. Sto siedemdziesiąt tysięcy. Kiedy moja królowa żąda armii, to ją jej prowadzę.

Kahlan osłupiała. Już nie czuła zimna.

- To wspaniale, generale. Są niezmiernie potrzebni. Mamy tu prawdziwą walkę, jak to wyjaśniłam w liście. Imperialny Ład stale dostaje posiłki. Musimy przeciąć te szlaki.

- Rozumiem. Z D'Harańczykami z Aydindril, którzy z nami byli, prawie potroimy liczebność twoich sił.

- I możemy ściągnąć z D'Hary dalsze oddziały - wtrącił generał Meiffert.

Kahlan poczuła, jak rozpała się w niej nadzieja na sukces.

- Na wiosnę na pewno się nam przydadzą. - Pochyliła głowę ku generałowi Baldwinowi. - A co z porucznikiem Leidenem?

- Kim? A, na pewno chodzi ci o sierżanta Leidena. Teraz komenderuje wyłącznie patrolem zwiadowców. Kiedy żołnierz dezerceruje i opuszcza swoją królową, ma szczęście, jeśli ocala głowę. Ponieważ działał w obronie ludu królowej, wysłałem go, żeby strzegł położonej na uboczu przełęczy. Mam nadzieję, że ciepło się ubiera.

Kahlan miała ochotę objąć pełnego fantazji generała Baldwina. Jednak tylko dotknęła jego ramienia, wyrażając tym gestem wdzięczność.

- Dziękuję, generale. Na pewno się nam przydadzą ci żołnierze.

- Są trochę dalej, o pół dnia drogi. Nie zmieściłbym ich tutaj razem z twoim wojskiem.

- Znakomicie - rzekła i przywołała gestem Mord-Sith. - Rada jestem, że i ciebie tu widzę, Rikko. Z pomocą Mord-Sith lepiej się uporamy z ich mającymi dar. Może nawet uda się nam spowodować zwrot w sytuacji. Obecna tu Cara już nam pomogła wyeliminować kilku ich mających dar, ale obawiam się, że lord Rahl rozkazał jej, by mnie chronić. Nadal więc będzie moją ochroną. Wy jednak możecie się zająć ich mającymi dar.

Rikka skłoniła się.

- Z przyjemnością - odparła; potem wyprostowała się, uśmiechnęła i szepnęła do Cary: - Berdine ostrzegła mnie przed nią.

- Trzeba było słuchać Berdine - powiedziała Cara, klepiąc ją w plecy. -

Chodź, pomogę wam znaleźć jakieś kwatery...

- Nie - powstrzymała je Kahlan. - To zabawa. Generał, Rikka i jej siostry są zaproszeni. Nalegam, by zostali.

- Cóż - Rikka wyjaśniała - z radością zostaniemy, skoro chronimy tu żonę lorda Rahla.

Kahlan ujęła jej ramię i przyciągnęła ją bliżej.

- Rikko, mamy tu mnóstwo mężczyzn i bardzo niewiele kobiet. Są tańce. Wy również macie tańczyć.

- Co takiego?! Czyś ty...

Kahlan popchnęła ją ku miejscu do tańca. Pstryknęła palcami na muzyków.

- Możemy podjąć zabawę? - Potem spojrzała na generała Baldwina. - Generale, zjawileś się we wspaniałej chwili, chwili święta. Czy mógłbyś ze mną zatańczyć?

- Matko Spowiedniczko?

- Jestem również twoją królową. Czyż generałowie nie tańczą ze swoimi królowymi?

- Oczywiście, że tańczą, moja królowo. - Uśmiechnął się i podał jej ramię.

Długo po zmierzchu weselny korowód ruszył prowizorycznymi uliczkami, pozdrawiając wszystkich żołnierzy. Tysiące wojskowych gratulowało Vernie i Warrenowi ślubu, żartobliwie im doradzało, delikatnie poklepywało po plecach lub wesoło machało rękami.

Kahlan przypomniała sobie czas, kiedy Midlandy bały się tych ludzi. Za Rahla Posępnego byli straszliwymi najeźdźcami siejącymi grozę i terror. Zdumiewało ją, że potrafią być tak grzeczni i ludzcy, jeśli się im na to pozwoli. A to Richard im to umożliwił. Wiedziała, że wielu z nich to rozumiało i doceniało.

Wreszcie zakończyli marsz przez obóz i znaleźli się przed namiotem, według Verny i Werrena dla nich przeznaczonym. Weselnicy życzyli młodej parze dobrej nocy i wrócili na zabawę, zostawiając ich z Kahlan. A ona weszła pomiędzy nich, ujęła każde pod rękę i poprowadziła ścieżką wśród wielkich drzew. Oświetlone księżycową poświatą iglaste gałęzie rzucały na śnieg chybotliwe wzory. Żadne nie zaprotestowało przeciwko temu spacerowi, choć nie wiedzieli, dokąd Kahlan ich prowadzi.

W końcu dziewczyna dostrzegła przez drzewa domek. Zatrzymała się i

wskazała im przeświecający przez zasłonę blask świec. Dzięki kontrastowi z obozowym życiem sprawiało to jeszcze bardziej romantyczne wrażenie.

- To długa i ciężka walka - powiedziała im Kahlan. - Rozpoczęcie małżeńskiego życia w takich warunkach to ciężkie brzemie. Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że zdecydowaliście się na to w takim czasie. To bardzo dużo znaczy dla nas wszystkich. Wszyscy jesteśmy radzi waszemu szczęściu. Przede wszystkim jednak chciałabym wam podziękować za to, że wybraliście życie w całej jego chwale. Któregoś dnia będziemy musieli zwinąć obóz, podobnie jak Ład na pewno ruszy z wiosną. Ale nie wcześniej. I chcę, żeby do tej pory był to wasz dom. Mogę wam ofiarować chociaż to, tę małą cząstkę wspólnego życia.

Verna nieoczekiwanie wybuchnęła płaczem i ukryła twarz na ramieniu Kahlan. Dziewczyna poklepała wstrząsane łkaniem plecy Ksieni, chichocząc, tak niepodobne do Verny było bowiem takie ujawnianie emocji.

- To niezbyt dobry pomysł, Verno, żeby twój mąż widział, jak płaczesz akurat wtedy, kiedy ma cię wziąć do łóżka.

To odniosło skutek i Verna też się roześmiała. Chwyliła Kahlan za ramiona, spojrzała jej w oczy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Kahlan pocałowała ją w policzek.

- Kochajcie się, bądźcie dla siebie dobrzy i doceniajcie bycie razem: tego chcę ponad wszystko.

Warren uściskał ją, szepnął na ucho podziękowania. Kahlan patrzyła, jak prowadzi Vernę ku domkowi. Przy drzwiach oboje się odwrócili i pomachali jej. Potem Warren porwał Vernę na ręce. Przeniósł ją przez drzwi, a wesoły śmiech Verny poszybował wśród drzew.

Kahlan samotnie wróciła do obozu.

## ROZDZIAŁ 44

Drzwi uchylły się odrobinę. Nabiegłe krwią oko łypnęło na obskurny korytarz.

- Masz pokój? Szukamy z żoną pokoju - powiedział Richard i szybko dodał, zanim tamten zdążył zatrzaskać drzwi: - Powiedziano nam, że masz wolny pokój.

- No i co z tego?

Było to zupełnie oczywiste, ale Richard mimo to uprzejmie wyjaśnił:

- Nie mamy się gdzie podziać.

- Czemu zwalacie na mnie swoje problemy?

Richard słyszał z góry gniewne słowa, które wymieniała jakaś para. Zza niektórych drzwi w korytarzu dobiegało nieprzerwane zawodzenie niemowląt. Wilgotne powietrze było przesycone ciężkim odorem zjełczałego oleju. Przez otwarte tylne drzwi widać było biegnące w zimnym deszczu przez wąski zaułek piszczące młodsze dzieci, gonione przez starsze.

- Potrzebny nam pokój - powiedział Richard bez nadziei w wąską szczelinę.

Gdzieś niedaleko w zaułku uparcie poszczekiwał pies.

- Mnóstwo ludzi potrzebuje pokoju. Mam tylko jeden. Nie mogę go wam dać.

Nicci odsunęła Richarda na bok, przysunęła twarz do szpary w drzwiach.

- Mamy pieniądze na pierwszy tydzień. - Oparła rękę o drzwi, które tamten zaczął zamykać. - To powszechnie dostępny pokój. Masz obowiązek pomagać ludziom w zdobywaniu pokoiów.

Mężczyzna naparł ramieniem na drzwi i zatrzaskał je przed nosem Nicci. Zaczęła w nie stukać, ale Richard odwrócił się, żeby odejść.

- Daj sobie spokój - powiedział. - Chodźmy lepiej po bochenek chleba.

Nicci zwykle ustępowała mu bez pouczeń, protestów czy komentarzy, ale tym razem uporczywie kołatała do drzwi. Spod jej kłykci odpadały warstwy łuszczącego się lakieru - niebieskiego, żółtego, czerwonego.

- To twój obowiązek! - zawołała do zamkniętych drzwi. - Nie masz prawa nas odsyłać. - Odpowiedziała jej cisza. - Doniesiemy na ciebie.

Drzwi znów się odrobinę uchylły. Oko pałało groźnie.

- Ma on robotę?
- Nie, ale...
- Odejdź. Oboje odejdźcie. Albo ja na was doniosę.
- Czy mogę spytać, za co?
- Słuchaj no, paniusiu, mam pokój, ale muszę go trzymać dla ludzi z początku listy.
- Skąd wiesz, czy nie jesteśmy na początku listy?
- Bo jak byście byli, to byście to od razu powiedzieli i pokazali mi zgodę z pieczęcią. Ludzie z początku listy długo czekają na miejsce. Jesteś jak złodziej, co chce sprzątnąć miejsce porządnym, przestrzegającym prawa obywatelom. Idźcie sobie albo zapiszę wasze nazwiska dla inspektora kwaterunkowego.

Drzwi ponownie się zatrzasnęły. Groźba, że zapisze ich nazwiska, trochę ostudziła bojowość Nicci. Sapała gniewnie, kiedy szli po wypaczonej, trzeszczącej i skrzypiącej podłodze. Ale przynajmniej choć na chwilę ukryli się przed deszczem.

- Musimy dalej szukać - powiedziała Nicci do Richarda. - Pewnie byłoby łatwiej, gdybyś najpierw znalazł pracę. Może jutro poszukaj pracy, a ja się rozejrzę za pokojem.

Znów wyszli na zimny deszcz, przeszli przez błotnistą ulicę na brukowany chodnik po drugiej stronie. Było jeszcze sporo miejsc do sprawdzenia, choć Richard nie miał nadziei, że znajdą pokój. Już nawet nie pamiętał, ile razy zatrzaskiwano im drzwi przed nosem. Nicci mimo to chciała znaleźć pokój, więc szukali.

Siostra twierdziła, że było dużo zimniej niż zwykle tak daleko na południu Starego Świata. Ludzie mówili, że chłód i deszcz szybko miną. Kilka dni temu było parno i gorąco, więc Richard nie miał powodu im nie wierzyć. Dziwiły go zielone w środku zimy pola i lasy. Niektóre drzewa straciły liście, ale większość pokrywało bujne listowie.

Tu, tak daleko na południu Starego świata, nigdy nie bywało na tyle zimno, by woda zamarzała. Kiedy Richard mówił o śniegu, ludzie mrugali ze zdumienia. Kiedy im wyjaśniał, że śnieg to płatki białej zamarznętej wody spadające z nieba i okrywające ziemię jak puchaty koc, zaczęli się irtować, podejrzewając, że z nich kpi.

Chłopak wiedział, że w jego rodzinnych stronach szaleje zima. Mimo

otaczającego go zamętu czuł wewnętrzny spokój, wiedząc, że Kahlan najprawdopodobniej jest bezpieczna i nie marznie w domu, który dla niej zbudował; a nic w jego nowym życiu nie było na tyle ważne, żeby go trapić. Miała zapasy jedzenia, drwa na opał i Carę do towarzystwa. Na razie była bezpieczna. Zima minie i z wiosną Kahlan będzie mogła opuścić dom, ale na razie Richard był przeświadczony, że jest bezpieczna. To przekonanie oraz myśli i wspomnienia o niej stanowiły jego jedyną pociechę.

Bezdomni tłoczyli się w zaułkach, każdy znaleziony kawałek twardego tworzywa wykorzystywali jako prowizoryczny daszek, ściany robili z przemoczonych koców. Richard zaczął podejrzewać, że może on i Nicci będą skazani na to samo, bał się jednak, że Siostra się rozchoruje w tym chłdzie i wilgoci - lękał się, że wtedy i Kahlan byłaby chora.

Nicci spojrzała na kartę papieru.

- Te wszystkie miejsca ze spisu, który nam dali, powinny być dostępne dla nowo przybyłych, a nie tylko dla ludzi z listy. Potrzebują robotników, więc powinni bardziej dbać o to, żeby można było znaleźć mieszkanie. Widzisz, Richardzie? Widzisz, jak trudno żyć zwyczajnym ludziom?

Richard - z dłońmi w kieszeniach, plecami przygarbionymi od wiatru i deszczu - zapytał:

- No to jak się dostaniemy na listę?

- Musimy pójść do urzędu kwaterunkowego i poprosić o pokój. A oni nas wpiszą na listę oczekujących.

Wydawało się to proste, ale sprawy okazały się o wiele bardziej skomplikowane, niż wyglądały na pierwszy rzut oka.

- Skoro brakuje pomieszczeń, to co nam da umieszczenie na liście?

- Ludzie stale umierają.

- Tutaj jest praca: dlatego my się tu zjawiliśmy i dlatego ściągają tu inni. Będę ciężko pracować i wtedy będzie nas stać na zapłacenie więcej. Mamy jeszcze trochę pieniędzy. Po prostu musimy znaleźć kogoś, kto zechce wynająć pokój za uczciwą cenę, bez tych listowych głupot.

- Czyżbyś naprawdę był tak niehumaniczny, Richardzie? To jak wtedy zdobywaliby mieszkanie ci mający mniej szczęścia? Ład ustala ceny, żeby zrobić porządek ze spekulantami. Dbają o to, żeby nie było protekcji. Ma być tak samo dla wszystkich. Musimy się tylko dostać na listę oczekujących na pokój i wszystko będzie dobrze.

Richard szedł wpatrzony w połyskujący od deszczu bruk i dumał, jak długo będą bez mieszkania, zanim ich nazwisko dotrze na szczyt listy. Miał wrażenie, że wielu ludzi będzie musiało umrzeć, zanim on i Nicci dostaną pokój - i że jeszcze więcej osób będzie czekać, by oni z kolei umarli. Uchylił się to w jedną, to w drugą stronę, żeby uniknąć zderzenia z płynącą w przeciwnym kierunku ludzką rzeką, która starała się uniknąć kontaktu z błotem na ulicy. Ponownie rozważał zatrzymanie się poza miastem - mnóstwo ludzi tak robiło. Ale było tam wielu wyjętych spod prawa i desperatów, którzy łupili zmuszonych mieszkać poza miastem, gdzie nie było straży. Gdyby Nicci się temu nie sprzeciwiała, Richard znalazłby odpowiednie miejsce gdzieś dalej i zbudował schronienie, może nawet z kilkoma innymi ludźmi, żeby się wspólnie mogli bronić. Nicci nie była tym jednak zainteresowana. Chciała być w mieście. Tłumy ciągnęły tu w poszukiwaniu lepszego życia. Były listy, na których trzeba się było znaleźć, i kolejki do spotkań z urzędnikami. Nicci twierdziła, że te sprawy lepiej się załatwiało, mieszkając w mieście.

Robiło się późno. Kolejka po chleb wysypywała się z drzwi piekarni i ciągnęła spory kawałek.

- Dlaczego ci wszyscy ludzie tak stoją? - szepnął Richard do Siostry; codziennie było tak samo, kiedy przychodzili kupić chleb.

Wzruszyła ramionami.

- Chyba jest za mało piekarni.

- Przy tylu klientach więcej ludzi powinno otwierać piekarnie.

Nicci nachyliła się ku niemu, nachmurzona.

- Świat wcale nie jest taki prosty, jak byś sobie tego życzył, Richardzie. W Starym Świecie kiedyś tak było. Pozwalano się krzewić złej naturze ludzkiej. Ludzie ustalali własne ceny na towary, kierując się wyłącznie chciwością, a nie dobrem bliźniego. Tylko zamożni mogli kupować chleb. Teraz Ład dba o to, żeby każdy mógł kupić potrzebne mu rzeczy po godziwej cenie. Ład troszczy się o wszystkich, nie tylko o niesprawiedliwie faworyzowanych.

Zawsze z takim uniesieniem mówiła o złej naturze ludzkiej. Richard był ciekaw, dlaczego Siostra Mroku tak się przejmuje złem, ale nie zawracał sobie głowy pytaniem o to.

Kolejka przesuwała się dość wolno. Stojąca przed Richardem kobieta, uważając ich szepty za podejrzone, obejrzała się gniewnie przez ramię.



Richard odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

- Dobrze popołudnie, pani. - Surowa, gniewna mina złagodniała w blasku jego promiennego uśmiechu. - Jesteśmy nowi w mieście. - Wskazał za siebie. - Moja żona i ja. Szukam pracy. Wiesz może, gdzie młode małżeństwo, obce w mieście, mogłoby znaleźć pokój?

Na pół się odwróciła, trzymając oburącz płócienną torbę, opuściła ręce i wsparła barki o ścianę. W torbie miała tylko kawałek żółtego sera. Uśmiech Richarda i jego przyjacielski ton - chociaż udawane - były tutaj najwyraźniej tak niezwykle, że kobieta nie zdołała zachować szorstkiego sposobu bycia.

- Powinieneś mieć robotę, jeśli macie nadzieję wynająć pokój. W mieście jest za mało pokoi, bo tylu nowych robotników zwabiła obfitość zapewniana przez Ład. Jeżeli jesteś sprawny, powinieneś mieć pracę, a wtedy wpiszą cię na listę.

Richard podrapał się w głowę, stale się uśmiechając; kolejka posuwała się powoli.

- Palę się do roboty.

- Łatwiej dostać pokój, jeśli się nie może pracować - oznajmiła im w sekrecie kobieta.

- Zdawało mi się, że dopiero co powiedziałaś, że trzeba mieć robotę, jeśli chce się mieć nadzieję na pokój.

- To prawda, jeśli jesteś sprawny, a na takiego wyglądasz. Ludzie w większej potrzebie, co nie mogą na siebie zarobić, mają słuszne prawo do dobroczynności i do umieszczenia ich na wyższych miejscach na liście. Jak mój mąż, biedaczysko. Straszliwie cierpi na suchoty.

- Bardzo ci współczuję - powiedział Richard.

Kiwnęła głową, przytłoczona tym brzemieniem.

- Taki to już marny ludzki los, że trzeba cierpieć. Nic na to nie można poradzić, więc nawet nie warto próbować. Nagrodę dostaniemy dopiero na tamtym świecie. A w tym życiu każdy, co ma możliwości, ma obowiązek wspomagać potrzebujących nieszczęśników. I w ten sposób zasłużyć na nagrodę w przyszłym życiu.

Richard nie sprzeciwił się jej. Pogroziła mu palcem.

- Ci, co mogą pracować, są to winni tym, co nie mogą. I powinni ze wszystkich sił dbać o dobro ogółu.

- Mogę pracować - zapewnił ją Richard. - Jesteśmy z... niewielkiej

miejsowości. Jesteśmy prości ludzie, z gospodarki. Nie mamy pojęcia, jak w mieście szukać roboty.

- Ład dał ludziom wiele możliwości zatrudnienia - odezwał się mężczyzna stojący za Nicci, przyciągając uwagę Richarda; impregnowany płócienny płaszcz obcego był zapięty pod samą szyję, jego duże piwne oczy mrugały powoli, jak u krowy przeżuwiającej pokarm; owo wrażenie wzmagają jeszcze ruchy szczęki przy mówieniu. - Ład chętnie włącza wszelkich robotników do naszej sprawy, ale musisz pamiętać o potrzebach innych, jak sobie tego życzy sam Stwórca, i we właściwy sposób starać się o pracę.

Richard, któremu burczało w brzuchu z głodu, słuchał wyjaśnień owego człowieka.

- Najpierw powinieneś należeć do obywatelskiego związku robotników, który chroni prawa obywateli Ładu. Musisz się stawić przed zgromadzeniem opiniującym po zgodę na dołączenie do związku robotników i przed zespołem oceny moralnej, gdzie poręczy za ciebie orędownik ze związku robotników. Najpierw musisz to załatwić, a dopiero potem szukać pracy.

- A dlaczego sam nie mogę pójść i się przedstawić? Dlaczego miałoby mnie nie najać, gdybym odpowiadał ich wymaganiom?

- To, że pochodzisz ze wsi, wcale nie oznacza, że nie powinieneś pracować na rzecz większego dobra Ładu.

- Jasne, że nie - rzekł Richard. - Zawsze sam pracowałem, produkując żywność dla bliźnich, jak to jest w naszym obowiązku. Nie mam pojęcia, jak się to załatwia w rzemiośle.

Duże piwne oczy przestały mrugać. Mężczyzna zerknął podejrzliwie, potem jego spojrzenie znów stało się mało przytomne. Ponownie zaczął przeżuwać słowa.

- Podstawowym obowiązkiem rzemiosła jest wrażliwość na potrzeby ludzi, przyczynianie się do powszechnego dobra i sprawiedliwe postępowanie. Dbają o to komisje nadzorcze. W grę wchodzi o wiele więcej niż wąskie cele firm.

- Rozumiem - powiedział Richard. - I byłbym wdzięczny, gdybyś mi poradził, jak to należycie załatwić. - Spojrzał przelotnie na Nicci. - Chcę być dobrym obywatelem i postępować jak należy.

Z tego, z jaką dumą ów człowiek wszystko wyjaśniał, i z tego, jak szybko

przy tym mrugał, Richard wywnioskował, że musi odgrywać jakąś rolę w tym zagmatwanym procesie. Chłopak nie zapytał, jak uzyskać orędownika z obywatelskiego związku robotników, żeby za kogoś poręczył. Kolejka wolniutko posuwała się do przodu, a nieznajomy objaśniał najdrobniejsze szczegóły rozmaitych fachów, co było w którym wymagane i jak to wszystko służyło dobru żyjących w Ładzie i w łasce Stwórcy. Głędził monotennie, z satysfakcją wylewając z siebie potok informacji, a Nicci ukradkiem obserwowała Richarda, który tego słuchał, i powstrzymywała się od komentarzy. Sprawiała wrażenie, iż spodziewa się, że Richard znienacka przestanie być uprzejmy i stanie się śmiertelnie groźny. Ale chłopak wiedział, że wojna z tym człowiekiem nic by mu nie dała, i pozostał uprzejmy.

Okazało się, że mężczyzna ów - pan Gudgeons - najwięcej wie o robotnikach z kamieniołomów. Richard mało wiedział o kamieniołomach, więc skoro już i tak stał w kolejce, zadał kilka pytań, na które Gudgeons z przyjemnością i nadzwyczaj szczegółowo odpowiedział. Chleba zabrakło i sklep zamknęli, zanim zdołali kupić bochenek. Ludzie rozeszli się w mżawce, pomrukując do siebie o ciężkiej doli. Richard, nim odszedł z Nicci, podziękował nieznajomej kobiecie i Gudgeonsowi.

Chłopak przystanął przy przecznicy, bo Nicci studiowała listę pokoi. Wszędzie dokoła z mroku wynurzały się klockowate zarysy domów. Czerwone malowidło na jednej ze ścian ceglanego budynku tak już zbladło, że namalowana postać wyglądała jak rumieniący się duch. Biały napis pod znikającym obrazem był już nieczytelny.

Przechodzący mężczyźni gapili się na Nicci w przemoczonym, oblepiającym ciało ubraniu, ale nie dostrzegali jej twarzy. Włosy przykleiły się jej do głowy, szczękała zębami i dłonie się jej trzęsły, lecz w przeciwieństwie do innych nie skarżyła się na ziąb. Powiedziano im, że dzisiaj już nie dostaną nowej listy z ewentualnymi nowymi wolnymi pokojami, więc Siostra starała się uchronić tę przed zniszczeniem, co w deszczu było daremnym trudem.

Po błocie brnęło wiele koni; niektóre z ciągniętych przez nie wozów skrzypiały i trzeszczały pod ciężarem ładunku. Jedynie główne ulice - jak ta, przy której stali - były na tyle szerokie, by mogły się swobodnie minąć wozy jadące w przeciwnych kierunkach. Niektórymi ulicami wozy mogły jechać

tylko w jedną stronę, część z nich była zablokowana przez połamane pojazdy. W jednej z wąskich uliczek Richard dojrzał martwego konia, wokół którego kłębił się rój much; zwierzę było wciąż zaprzęzione do wozu, który czekał, aż go ktoś odciągnie. Zablokowane ulice jeszcze wzmagaly tłok na innych. Niektóre z przejezdnych traktów były tak wąskie, że mieściły się na nich wyłącznie ręczne wózki. Jeszcze węższe przejścia nadawały się wyłącznie dla pieszych.

Zapaszek śmieci i smród ulic, służących również jako kanalizacja, przez pierwszy tydzień zapierały Richardowi dech, potem chłopak zobojętniał. Najgorsze były zaułki, w których spali z Nicci. Deszcz tylko wymywał brud z każdej dziury na otwartą przestrzeń, ale przynajmniej, dopóki trwał, zmywał trochę nieczystości.

Wszystkie miasta, które Richard widział, od kiedy znaleźli się w Starym Świecie i podróżowali z Tanimury na południe, były podobne do tego: panowały w nich zaskorupiała bieda i nieludzkie warunki. Miało się wrażenie, że czas stanął tu w miejscu, że wszystko ugrzęzło w bagnie zgnilizny i rozkładu, jak gdyby owe miasta były niegdyś pełne życia i ludzi starających się urzeczywistnić marzenia, jakby były siedliskami nadziei i ambicji - i jakby te marzenia zmieniły się w szary całun zastoju i rozpadu. Wydawało się, że nic nikogo nie obchodzi. Każdy trwał w oszołomieniu, zbrojąc się w cierpliwość, czekając na poprawę doli, ale nie mając ani pomysłu na to lepsze życie, ani na jego urzeczywistnienie. Ludzie żyli wiarą, przekonani, że na drugim świecie będzie wspaniale.

Miasta, które Richard widział, przerażająco przypominały przyszłość, którą przewidywał dla Nowego Świata pod jarzmem Ładu.

To jednak było największe z miast, jakie chłopak kiedykolwiek widział. Nigdy nie uwierzyłby w istnienie miasta takich rozmiarów, gdyby go sam nie zobaczył. Będące w opłakanym stanie budynki, oplatane zatłoczonymi ulicami, rozpełzały się na niskich wzgórzach, rozległych nadrzecznych nizinach i ciągnęły całymi milami wzdłuż dwóch zbiegających się rzek. A samo miasto otaczały - sięgając daleko w głąb okolicznych ziem - przysadziste, wałące się chałupy zbudowane z plecionki narzuconej gliną, ze szczątków drewna lub uzbieranych gdzieś klocków z błota i słomy; były jak cuchnące szumowiny unoszące się wokół kłody, która gnije w stojących wodach stawu.

Było to Altur'Rang - imiennik krainy stanowiącej teraz serce Starego Świata i Imperialnego Ładu - rodzinne miasto imperatora Jaganga.

Kiedy Richard i Nicci opuścili ziemie Nowego Świata, dążąc na południe, ku Altur'Rang, zatrzymali się w najbardziej na północ wysuniętym dużym mieście Starego Świata: Tanimurze, gdzie stał kiedyś Pałac Proroków. Tanimura - jeden z ostatnich w Starym Świecie łupów Imperialnego Ładu - była wspaniałym miastem z szerokimi, wysadzonymi drzewami alejami i wysokimi na kilka pięter, bogato zdobionymi budynkami, których frontowe ściany zdobiły kolumny, arkady i okna wpuszczające do wnętrza światło. Tanimura, choć tak duża, zmieniła się w wysuniętą placówkę Starego Świata, ale na tyle odeń odległa, że upadek dopiero teraz zaczął do niej docierać.

Richard znalazł w Tanimurze pracę na trochę ponad miesiąc. Jako pomocnik murarza, jeden z tuzina, zwoził kamień i mieszał zaprawę na budowie przysadzistego, nieładnego budynku. Murarze mieli chałupy, w których mieszkali robotnicy i ich rodziny, więc Nicci miała schronienie. Mistrz uznał, że Richard dorównuje jego murarzom. Kiedy jeden z kamieniarzy zachorował, poproszono chłopaka, żeby go zastąpił i ociosował bloki granitu dla budowniczych.

Richard trzymał w dłoniach dłuto oraz pobijak i ciął kamień - kształtując go zgodnie ze swoją wolą - jak w objawieniu. W pewien sposób było to podobne do rzeźbienia w drewnie... ale było w tym jeszcze coś.

Od czasu do czasu mistrz stał wsparty pod boki i obserwował, jak Richard cyzeluje krawędzie twardego granitu. Niekiedy burkliwie wprowadzał niewielkie poprawki do metody chłopaka. Wreszcie uznał, że Richard się przyuczył i potrafi właściwie obciosać blok - i już nie przyglądał się jego pracy. Wkrótce budowniczy wybierali bloki Richarda na kamienie węgielne.

Zjawili się inni kamieniarze, żeby wykonać bardziej skomplikowane zadania: - upiększenia. Richard gorliwie przyglądał się ich pracy. W przedniej płycie bloków mających otoczyć wejście wyrzeźbili duży płomień symbolizujący Światło Stwórcy. A poniżej - tłum kulących się ludzi.

Richard - w miastach i budowlach, które odwiedził - widział wiele kamiennych rzeźb: od Pałacu Spowiedniczek w Aydindril po Pałac Ludu w D'Harze. Ale nigdy nie widział czegoś, co przypominałoby postaci

wyrzeźbione na owym budynku w Tanimurze. Nie były ani okazałe, ani pełne gracji, ani podnoszące na duchu - wprost przeciwnie. Były to koślawe, grubokościste, skulone postaci płaszczące się przed Światłem. Jeden z rzemieślników wyjaśnił Richardowi, że to jedyne właściwe odwzorowanie ludzkości - bluźnierczej, odrażającej i grzesznej. I chłopak pozostał przy cięciu bloków.

Zajęcie się skończyło, kiedy ukończono prace kamieniarskie przy budynku dla dowództwa Ładu. Cieśle nie potrzebowali dodatkowej pomocy. Kamieniarze powiedzieli, że przydałaby się im dodatkowa para rąk do rzeźbienia udręk ludzkości i zaproponowali Richardowi pracę. Odmówił, tłumacząc im, że nie ma talentu do rzeźbiarstwa.

Poza tym Nicci chciała ruszać dalej; Tanimura była tylko miejscem, w którym mieli zarobić pieniądze i kupić zapasy na czekającą ich długą podróż. Chłopak z ochotą przestał oglądać przygnębiające rzeźby.

Kiedy szli na południowy wschód, do Altur'Rang, w miastach, które mijali, Richard widział wiele rzeźb na budynkach i jeszcze więcej wolno stojących na placach lub przed wejściami. Przedstawiały okropieństwa: ludzi biczowanych przez wyszczerzonego w uśmiechu Opiekuna zaświatów; ludzi wykluwających sobie oczy; ludzi poskręcanych, zdeformowanych i okaleczonych; ludzi biegających na czworakach jak psy i napadających na kobiety i dzieci; ludzi wyglądających jak szkielety lub pokrytych wrzodami; załamanych ludzi rzucających się do grobu. W większości owych scen nad żałosnymi ludźmi trwało Światło najdoskonalszego Stwórcy symbolizowanego przez płomień.

Stary Świat był celebracją niedoli.

Po drodze na południe zatrzymywali się w wielu miastach, w których Richard mógł dostać jakąś pracę, wystarczająco krótkotrwałą, żeby nie trzeba było wyczekiwać na listach. Bywało, że długo jedli kapuśniak składający się głównie z wody. Czasami mieli ryż, soczewicę lub kaszę gryczaną, a niekiedy prawdziwy luksus - soloną wieprzowinę. Innym razem Richardowi udawało się złapać rybę, jakiegoś ptaka lub zająca. Ale trudno było wyżyć w Starym Świecie z darów natury. Wielu ludzi wpadło na ten sam pomysł. Oboje wychudli podczas tej długiej podróży. Richard zaczął pojmować podobizny ludzi-szkieletów.

Nicci wytyczyła cel wędrówki, ale poza tym mało co narzucała, większość

decyzji zdając na Richarda i podporządkowując się im bez protestów. Szli całymi tygodniami, niekiedy płacili kilka miedziaków za podwiezienie wozem jadącym w tym samym kierunku. Przekraczali rzeki płynące przez miasta na tyle duże, by mieć wiele kamiennych mostów, i mijali miasto po mieście. Były tam rozległe pola pszenicy, prosa, słoneczników i wiele innych upraw, ale większość ziemi leżała odłogiem. Widzieli kierdele owiec i stada bydła.

Gospodarze sprzedawali podróżnym kozi ser i mleko. Richard, od kiedy obudził się w nim dar, mógł jadać mięso wyłącznie wtedy, gdy nie walczył. Sądził, że może to po części wynikać z potrzeby zrównoważenia koniecznego niekiedy odebrania życia. Jeżeli nie walczył, mógł bez przeszkód jeść mięso i nie chorował. Niestety, rzadko mogli sobie pozwolić na mięso. Ser kiedyś uwielbiał, ale od kiedy obudził się jego dar, z trudem mógł go strawić. A teraz często trzeba się było zadowolić serem lub głodować.

Jednak to rozmiary Starego Świata, a szczególnie mnogość tutejszej ludności niepokoiły go najbardziej. Wyobrażał sobie naiwnie, że Stary i Nowy Świat muszą być do siebie podobne. A wcale nie były. Nowy Świat był zaledwie muchą, która przysiadła na grzbiecie Starego.

W trakcie tej wyprawy na południe od czasu do czasu mijały ich ciągnące w przeciwnym kierunku - ku północy, ku Midlandom - wielkie kolumny żołnierzy. Parę razy taki przemarsz trwał kilka dni. Ilekroć Richard widział te szeregi zbrojnych, tylekroć z ulgą myślał, że zima uwięziła Kahlan w ich górskiej chacie. Przerażałaby go świadomość, że ona wraz z armią musi walczyć z tyloma żołdakami, których widział ciągnących na wojnę.

Wiosną, kiedy Kahlan będzie mogła wreszcie opuścić górską chatę i kiedy te oddziały Imperialnego Ładu przystąpią do oblężenia Nowego Świata, zmiażdżą opór, jaki będzie mogło im stawić imperium D'Hary. Richard miał nadzieję, że generał Reibisch nie zaatakuje Ładu. Z wielką przykrością myślał, że ci wszyscy dzielni ludzie polegliby pod nadciągającą nawałą.

W jednym z mniejszych miast Nicci poszła nad strumień wyprać ich odzież, a Richard pracował, wyrzucając gnój z boksów w dużej stajni. Do miasta zjechało wielu oficjeli i było tyle koni, że właściciel stajni nie mógł sobie poradzić. Chłopak znalazł się we właściwym miejscu o właściwym

czasie i dostał robotę. Zaraz po tym, jak zjechali oficjele i zajęli wszystkie pokoje w gospodach, nadciągnęła za nimi duża jednostka Imperialnego Ładu i rozłożyła się obozem na obrzeżu miasta.

Szczęśliwie Nicci prała po drugiej stronie miasta. Żołnierze, którzy chodzili po mieście i popijali, stwierdzili, że przyjmą ochotników. Richard nie podnosił głowy, niosąc wodę koniom, ale sierżant go wypatrzył. W złym czasie i złym miejscu Richard „ochotniczo” wstąpił do Imperialnego Ładu. Nowych ochotników zakwaterowano w samym środku wielkiego obozowiska. Tej samej nocy - kiedy było już ciemno i większość żołdaków spała - Richard zwolnił się z ochotniczej służby. Wycofywanie się ze służby w Imperialnym Ładzie trwało aż do trzeciej godziny przed świtem. Nicci poszła do stajni i dowiedziała się, co mu się przytrafiło. Richard znalazł ją w ich obozowisku, chodzącą w ciemnościach. Szybko spakowali swoje rzeczy i przez resztę nocy podążali na południe. Szli na przełaj, bo świecił księżyc, unikając dróg na wypadek, gdyby patrol go szukał. Od tej pory Richard starał się nie rzucać w oczy, kiedy w pobliżu byli żołnierze.

Choć tak naprawdę nie był to poważny problem. Całe tłumy młodzieńców zwabionych obietnicą łupu aż pałały chęcią zaciągnięcia się do armii. Często musieli tygodniami lub miesiącami czekać na przeszkolenie, tak liczni byli ochotnicy. Richard widywał w miastach całe ich tłumy - zabawiali się, uprawiali hazard, pili, bili się - młodych ludzi marzących o uśmiercaniu nieprzyjaciół wspaniałego imperium Ładu. Cieszyło ich uwielbienie tłumów, kiedy wstępowali do armii, żeby odmaszerować do walki ze straszliwą niegodziwością i grzechem, które, jak mówiono, zatrzymały Nowy Świat.

Richarda przerażały rzesze mieszkańców Starego Świata, bo oznaczało to, że liczna armia Ładu - już stacjonująca w Nowym Świecie - nie miała wpływu na liczebność obywateli. I stanowiła ledwie zaczątek. Myślał, że może Ład straci zapal do wojny prowadzonej tak daleko od ojczyzny lub że ludzie ze Starego Świata będą mieli dość ciężarów ponoszonych dla takiej kampanii. Ale teraz wiedział, że tylko się łudził.

Nie trzeba było być czarodziejem lub Prorokiem, żeby wiedzieć, iż wojska, które mógł wystawić Nowy Świat - i to według niesamowicie optymistycznych szacunków - na pewno nie zdołają zatriumfować nad milionami żołnierzy, których Richard widział ciągnących na północ; nie



mówiąc już o tych, których nie widział, bo maszerowali innymi drogami. Los Midlandów był przesądzony.

Kiedy mieszkańcy Anderithu przedłożyli Ład nad wolność, Richard przeczuł, że Nowy Świat wpadnie we władanie wojsk Jaganga. Świadomość, że miał rację, nie sprawiała chłopakowi satysfakcji. Zobaczył liczebność wroga i zrozumiał, że wolność jest stracona i że przeciwstawianie się Ładowi to samobójstwo.

Bieg zdarzeń wydawał się nieodwołalny, a świat - skazany na Imperialny Ład. Przyszłość jego i Kahlan wydawała się równie beznadziejna.

Niecały tydzień drogi na południe od Tanimury znajdowało się najdziwniejsze miejsce, jakie odwiedzili podczas wędrówki na południowy wschód. Nicci nigdy o tej miejscowości nie mówiła. Richard wciąż jeszcze był w ponurym nastroju i rozmyślał o rzeźbach, które widział; Siostra skręciła z głównej drogi na stary, rzadko używany trakt. Prowadził w stronę wzgórz, do małego miasta nad spokojną rzeką. Większość warsztatów porzucono. Wiatr swobodnie nawiewał kurz przez wybite okna magazynów. Wiele domów popadło w ruinę: dachy się zapadły, a zielsko i pnącza niszczyły popękane ściany. Zamieszkane były tylko domy na obrzeżu, przeważnie przez ludzi hodujących zwierzęta i uprawiających okoliczne pola. Na północnym skraju miasta pozostał mały sklepik sprzedający gospodarzom podstawowe artykuły. Był też sklep rymarski, wróżbita i samotna gospoda. W centrum stały szkielety budynków, dawno oskubane do czysta przez szabrowników. Niektóre domy jeszcze stały, większość jednak już dawno się zapadła. Richard i Nicci szli przez centrum miasta obserwowani wyłącznie przez kapryśny wiatr.

Na południowym skraju natknęli się na resztki dużego ceglanego budynku. Nicci bez słowa skręciła z drogi i z rozmysłem weszła w to opuszczone miejsce. Ogień strawił drewniane belki i dach. Podłoga niknęła pod grubą warstwą zielska i krzaków. Ostały się jedynie ceglane ściany, a i one zmieniły się w gruz i sterczał tylko kawałek wschodniej ściany z obramowaniem okna. Nicci patrzyła na szczątki budynku; wiatr rozwiewał jej skąpane w słońcu włosy. Luźno opuszczone ręce, plecy nie tak proste jak zazwyczaj - stała, krucha i wrażliwa, tam gdzie niegdyś osłoniłby ją dach.

Blisko godzinę błąkała się wśród duchów. Richard stał z boku, oparty biodrem o zwęglone resztki warsztatu, jednej z nielicznych rzeczy, jakie

zostały wśród ceglanych zarysów domu.

- Znasz to miejsce? - zapytał wreszcie.

Zamrugła, usłyszawszy to pytanie. Długo patrzyła mu w oczy, jakby i on był duchem. Potem podeszła ku niemu; błękitne oczy spojrzały w bok, by palce poczuły przeszłość, muskając leciutko resztki warsztatu.

- Dorastałam w tym mieście - odparła.

- Och. - Richard zatoczył łuk ręką. - A to miejsce?

- Robili tutaj uzbrojenie - wyszeptała.

Nie mógł zrozumieć, po co miałyby odwiedzać takie miejsce.

- Uzbrojenie?

- Najlepsze w całej krainie. Podwójnie potwierdzony standard. Przybywali tu królowie i możni, żeby kupować broń.

Richard rozejrzał się po ruinach, ciekaw, co jeszcze musi się za tym kryć.

- Znałaś człowieka, który robił tę broń?

Potrząsnęła głową, jej błękitne oczy znów widziały duchy.

- Nie - szepnęła. - Żałuję, ale nigdy go nie znałam. - Po policzku Nicci spłynęła łza, kapnęła z twarzy. W owej chwili przypominała dziecko - samotne i przerażone.

Gdyby nie to, co o niej wiedział, Richard objąłby to samotne dziecko i pocieszył je.

## ROZDZIAŁ 45

Nicci była zmęczona, zmarznięta i zniecierpliwiona. Chciała jakiegoś pomieszczenia.

Sprowadziła Richarda w sam środek imperium, do Altur'Rang, żeby skonfrontować go ze słuszną sprawą Ładu. Wiedziała, że Richard jest prawym człowiekiem, i chciała zobaczyć, jak zareaguje, kiedy mu się ukaże niezaprzeczalną czystość intencji wroga.

Chciała, żeby się dowiedział, jak ciężko się żyje zwyczajnym ludziom, z jakim trudem dają sobie radę na świecie. Była ciekawa, jak sobie poradzi w takich samych warunkach - jednym słowem, chciała go rzucić na głęboką wodę i zobaczyć, czy popłynie. Spodziewała się, że będzie już wstrząśnięty i sfrustrowany. A on pozostał chłodny i niewzruszony.

Myślała, że wścieknie się, kiedy się dowie, co musi zrobić, żeby dostać pracę. On zaś wysłuchał tego pana Gudgeonsa, który ze swadą objaśniał mu niemal niewykonalne zadanie stojące przed każdym, kto chciał pracować. Oczekiwała, że przyłoży nadętemu urzędasowi, a Richard radośnie mu podziękował. Jakby już nie miało dla niego znaczenia to wszystko, co wcześniej tak prostodusznie popierał, czego tak egoistycznie bronił.

Kiedy była jego nauczycielką w Pałacu Proroków, za każdym razem, gdy myślała, że przewidziała jego reakcję, robił coś, co nigdy by jej nie przyszło do głowy. I teraz też, ale w wyrafinowanie odmienny sposób. To, co przedtem było nieokiełznanym młodzieńczym buntem, zmieniło się w groźną czujność drapieżcy. Tylko pętające mu serce łańcuchy powstrzymywały go od zaatakowania jej. Kiedy Nicci pojmała Richarda, ujrzała przelotnie stojącą w oknie jego chaty statuetkę dumnej kobiety. Wiedziała równie dobrze jak to, że noc następuje po dniu, iż wyrzeźbił to Richard; rozpoznała w tym dziele jego jedyny w swoim rodzaju sposób postrzegania. Posążek był namacalnym dowodem ukrytej strony jego daru, sposobem równoważenia talentów wojennych Richarda. A mimo to nie wykryła w statuetce ani śladu magii.

Wiedziała, że to wyrzeźbił, więc spodziewała się, że zainteresuje go praca tego rodzaju w Tanimurze. Odrzucił ją. A potem przez kilka dni był ponury i mało co mówił.

Ilekroć przechodzili przez jakieś miasto, widziała, jak się przygląda rzeźbom i płaskorzeźbom. Ponieważ i on rzeźbił, myślała, że go te dzieła zachwyca. A wcale tak nie było. Nie mogła tego pojąć. Oczywiście, żadne nie było tak wyczelowane jak jego posążek, ale w końcu były to przecież rzeźby, więc uważała, że powinny go choć zainteresować. Tymczasem ilekroć coś takiego zobaczył, wpadał w ponury nastrój; Nicci zbijało to z tropu.

Pewnego razu zboczyła z drogi tylko po to, żeby mu pokazać słynny miejski plac i stojące tam wspaniałe dzieło sztuki. Pomyślała, że widok tak szeroko znanej rzeźby sprawi Richardowi choć odrobinę radości. Nie sprawił. Zdumiona, zapytała, dlaczego mu się nie podoba dzieło zwane „Porażającym objawieniem”.

- To śmierć - odparł z odrazą, odwracając się od powszechnie wychwalanej rzeźby.

Było to monumentalne odwzorowanie grupy ludzi; niektórzy wykluwali sobie oczy, bo właśnie objawiło się im doskonałe Światło Stwórcy. Innych, tych u podstawy rzeźby, którzy nie wykluli sobie oczu, rozszarpały bestie z zaświatów. Służalcy Opiekuna cofali się przed ślepcami lamentującymi nad tym, co zobaczyli, zanim się oślepiłi.

- Nie - stwierdziła Nicci, starając się nie śmiać i nie upokorzyć tym Richarda za jego nieoświecony sposób pojmowania; próbowała wyjaśnić mu to sławne dzieło sztuki i delikatnie zmienić jego postrzeżenie.

- To obraz godnej pogardy natury ludzkiej. Przedstawia ludzi, którzy właśnie ujrzeni doskonałe Światło Stwórcy i dzięki temu pojęli nieodwracalność deprawacji człowieka. Wyłupienie sobie oczu świadczy, że Stwórca jest tak doskonały, że gdy ludzie go raz ujrzeni, już nie mogli znieść własnego widoku. Ci ludzie to bohaterowie pouczający nas, że nie powinniśmy się zuchwale starać wznieść ponad naszą zdeprawowaną naturę, bo grzesznie porównywalibyśmy się ze Stwórcą. Rzeźba pokazuje, że jesteśmy jedynie anonimowymi, nic nie znaczącymi częściami całej ludzkości, którą on stworzył, i dlatego pojedyncze życie nie może mieć znaczenia. To dzieło poucza nas, że warte zachodu jest jedynie społeczeństwo jako całość. A ci na dole, o tutaj, którzy nie potrafili się przyłączyć do swoich bliźnich i oślepić się, pędzą przez wieczność ponury i okrutny los w łapach Opiekuna. Czy teraz rozumiesz? To dzieło ku czci człowieka, istoty pełnej wad; pokazuje nam, że każdy z nas musi się

poświęcać dla polepszenia doli bliźniego, bo wyłącznie tak możemy czynić dobro i czcić dzieło Stwórcy, czyli nas samych. Widzisz więc, że to nie ma nic wspólnego ze śmiercią, ale ukazuje prawdziwą naturę życia.

Nicci nauczono, że ta rzeźba dodaje ludziom otuchy, bo potwierdza prawdziwość tego, co wiedzą.

Jeszcze nikt w całym jej życiu nie spojrział na nią tak jak teraz Richard - jakby była nikim.

Było to przerażające spojrzenie - całkiem inne niż to ulotne „coś”, czego w nim poszukiwała. Nie powiedział ani słowa, a sprawił, że niczego tak w owej chwili nie pragnęła, jak wpełznąć pod jakiś kamień i umrzeć.

Nie wiedziała, jak to zrobił, ale sprawił, że czuła się niegodna, by żyć. Owo spojrzenie w jakiś osobliwy, niesamowity sposób sprawiło, że czuła się równie ślepa, jak wyrzeźbieni ludzie. Nie powiedział słowa, ale minęło wiele dni, nim znów potrafiła mu spojrzeć w oczy.

Niekiedy Richard bywał potulny, gdy spodziewała się gwałtowności, lub uczuciowy, gdy oczekiwała obojętności. Zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu, myśląc, że jest w nim coś szczególnego.

Pewnego dnia straciła nadzieję, że istotnie jest w nim coś, co warto odkryć. Patrzyła, jak śpi, i odrzuciła nadzieję, że znajdzie w życiu inną wartość niż to, czego nauczyła ją matka; ze smutkiem postanowiła, że następnego dnia odwiedzą miasto, w którym dorastała, i że potem zakończy to bezsensowne przedsięwzięcie i wróci do Jaganga.

Ale kiedy znaleźli się w warsztacie jej ojca, znowu zobaczyła to „coś” w szarych oczach Richarda i ponad wszelką wątpliwość wiedziała, że nie popełniła błędu.

Ten taniec dopiero się rozpoczął.

Szli ciemnym korytarzem budynku, w którym wynajmowano pokoje; Nicci dała Richardowi znak, żeby się trzymał z boku. Chciała wreszcie mieć jakiś pokój. Chciała się położyć w jakimś suchym miejscu i zasnąć. Zdecydowanie zastukała w drzwi, które sprawiały wrażenie, że się rozpadną, jeśli nie zachowa należytej ostrożności. Spojrzała na spis, a potem wsunęła go do torby i czekała, aż ktoś zareaguje na pukanie. Ten pensjonat, jak i poprzednie, w których byli, miał wynajmować pokoje przybyłym do miasta. Imperator potrzebował robotników.

Nicci wyobraziła sobie, że to odpowiednie miejsce. Wpatrywała się w

plamę na chorowicie zielonym tynku. Wyobrażała sobie, że każdego dnia widuje tę plamę o barwie herbaty i kształcie końskiego zadu z uniesionym ogonem. Że Richard codziennie mija tę plamę, idąc do pracy i wracając do domu. Tak jak wszyscy.

Richard patrzył na schody znajdujące się dalej od drzwi, w które zastukała Nicci. Były zwrócone w przeciwnym kierunku. Nicci nie pojmowała, dlaczego obserwował to wszystko, co obserwował, ale nie lekceważyła jego instynktu. Jego mina wskazywała, że te mroczne schody wcale mu się nie podobają. Była Siostrą Mroku, więc nie obawiała się tego, czego się bali inni. Znowu zastukała.

Jakiś głos z wnętrza kazał im odejść.

- Potrzebujemy pokoju - oznajmiła Nicci tonem oznaczającym, że zamierza ów pokój dostać; zastukała mocniej. - Jesteś w spisie. Chcemy pokoju.

- To pomyłka - powiedział ze środka stłumiony głos. - Żadnego pokoju.

- Słuchaj no - zawołała gniewnie Siostra - robi się późno...

Trzech siedzących na schodach młodzianów, których nie zauważyła, stanęło dumnie koło słupka na podeście. Byli bez koszul i pysznili się muskularni, jak to młokosy. Wszyscy trzej mieli noże.

- No, no, no - odezwał się jeden z zarozumiałym uśmiechem, gapiąc się lubieżnie na Nicci. - I cóż my tu mamy? Dwa przemoczone szczurki?

- Podoba mi się galanty ogonek tego blond szczurka - zarechotał drugi.

Richard złapał ją za ramię i bez słowa wywłókł przez frontowe drzwi, na deszcz. Nicci cały czas się opierała i protestowała szeptem. Nie mogła uwierzyć, że sam lord Rahl, Poszukiwacz Prawdy i dawca śmierci, dał się zastraszyć trzem mężczyznom, a właściwie chłopcom.

Kiedy szli po rozchwianej frontowej werandzie, chłopak nachylił się ku niej.

- Pamiętaj, że nie masz mocy? Nie potrzebujemy takich kłopotów. Nie mam zamiaru oberwać nożem za jakiś pokój. Nie jest tego wart. Równie ważne jest wiedzieć, kiedy nie walczyć, jak znać metody walki.

Nicci bardzo chciała tego pokoju, ale w końcu uznała, że być może Richard miał rację. Trzech szyderczo uśmiechniętych młodzieńców podpierało niedbale drzwi i patrzyło za nimi; śmiali się, wyzywali Richarda. Jak dotąd nie chciało im się wychodzić w deszcz. Nicci już przedtem

widywała takich. Ci nie różnili się od poprzednich - aroganccy, agresywni i często niebezpieczni. Ale przynajmniej byli dobrymi żołnierzami dla armii Jaganga.

Richard pospiesznie ciągnął ją ulicą. Przeciął kilka węższych przejść, kilka razy zniechęca skręcił, by mieć pewność, że za nimi nie pójda.

Altur'Rang zdawało się bezkresne. Przy zasnutym chmurami niebie i deszczu widoczność była bardzo słaba. Biegające bez planu ulice i skręty tworzyły dezorientujący labirynt. Minęło wiele lat od czasu, kiedy Nicci tu była. Pomimo wszelkich wysiłków Ładu nie minęły ciężkie czasy. Bała się pomyśleć, co by się działo, gdyby nie było tu pomocnego Ładu.

Wyszli na szerszą ulicę i znaleźli schronienie pod wystającym dachem, wraz z innymi, którzy chcieli się ukryć przed deszczem. Nicci objęła się ramionami, chroniąc przed zimnem. Richard, razem z innymi tłoczącymi się pod daszkiem, obserwował wóz z trudem jadący błotnistą ulicą. Nie pojmowała, jak może mu być ciepło w taką pogodę. Ale doceniła to, kiedy tłumek przycisnął ją do niego. Richard spojrział na nią i zobaczył, że dygoce z zimna, ale nie mógł się zmusić, żeby ją przytulić i ogrzać. Nie poprosiła o to.

Nicci westchnęła; Stary Świat nie będzie długo taki zimny. Za dzień lub dwa znów będzie gorąco i parno.

Kiedy stała w resztkach warsztatu swojego ojca, zanim stamtąd odeszli, Richard sprawiał wrażenie, jakby chciał ją objąć i pocieszyć. Wzbudziła w nim współczucie, choć tak bardzo jej nienawidził, tak bardzo chciał się od niej uwolnić.

Nicci, stojąc w tych ruinach, pozwoliła płynąć wspomnieniom i upajała się rozkoszną udręką.

Richard w coś się wpatrywał. Nicci też spojrzała - jakiś wóz, dość blisko, jechał dziwnym zygzakiem. Koło pękło niemal w tej samej chwili, gdy tam spojrzała; towarzyszył temu głośny trzask.

Wóz ślizgał się i skręcał w koleinach, szprychy nie wytrzymały przeciążenia i pękły. Bok platformy z plaśnięciem osunął się w błoto. Ochlapał ludzi na chodniku. Przeklinali dwóch mężczyzn na wozie. Czterokonny zaprzęg zatrzymał się z wysiłkiem, a nierównomiernie rozłożony ciężar złamał oś i pękły szprychy całego dotąd tylnego koła. Tył wozu osunął się w błoto. Obaj mężczyźni zeszli, żeby ocenić szkody. Kościsty woźnica przeklinał i kopał przekrzywione, połamane koło. Ten drugi, niższy

i tęszy, spokojnie oglądał szczątki wozu i ładunek. Zaciekawiony Richard popychał przed sobą Nicci, idąc na miejsce wypadku. Szła niechętnie, żał jej było wychodzić spod dachu.

- Musimy - mówił ze stoickim zdecydowaniem ten krzepki. - To niedaleko.

Drugi znów zaklął.

- Wiesz, że to nie moja robota, Ishaq. Nie zrobię tego!

Ishaq podniósł ręce w geście bezradności, a jego uparty towarzysz poszedł na przód i pogonił zaprzęg, ściągając wóz na bok ulicy, żeby mogły przejechać inne wozy. Potem zaczął wyprzęgać konie. Tymczasem Ishaq odwrócił się i popatrzył na gapiących się ludzi.

- Potrzebuję pomocy! - zawołał do małego tłumku.

- Do czego? - spytał stojący w pobliżu mężczyzna.

- Trzeba przenieść ten ładunek żelaza do magazynu. - Wyciągnął szyję i wskazał: - O tam, w ceglanym budynku z wyblakłym czerwonym malowidłem.

- Ile zapłacisz? - spytał mężczyzna.

Ishaq obejrzał się i zobaczył, że jego towarzysz odchodzi z końmi; zirytowało go to.

- Bez aprobaty nie mam prawa płacić, ale jestem przekonany, że jeśli przyjdziecie jutro...

Ludzie zaśmiali się drwiąco i odeszli. Ishaq został sam w deszczu, po kostki w błocie. Westchnął, odwrócił się do swojego wozu i odchylił plandekę z metalowych sztab.

Richard zszedł na ulicę. Nicci chciała jeszcze sprawdzić inne pokoje z listy, zanim zrobi się ciemno. Złapała go za rękaw, ale tylko spojrzał na nią gniewnie. Prychnęła z niezadowoleniem, ale poszła za nim po błocie do mężczyzny, który starał się ściągnąć z platformy długą żelazną sztabę.

- Ishaq, prawda? - spytał Richard.

Tamten się odwrócił, kiwnął głową.

- Tak jest.

- Jeżeli ci pomogę, Ishaqu - zapytał Richard - to czy naprawdę jutro mi zapłacą? Mów prawdę.

Ishaq - krępy mężczyzna w dziwnym czerwonym kapeluszu z wąskim rondem - z rezygnacją potrząsnął głową.



- A jeżeli pomogę ci to zanieść do twojego magazynu - pytał dalej Richard - pozwolisz przespać się tam mi i mojej żonie, żebyśmy na noc mogli się schronić przed deszczem?

Tamten podrapał się po karku.

- Nie wolno mi tam kogokolwiek wpuszczać. A gdyby tak coś się stało? Gdyby coś poznikało? Ot, tak szybko straciłbym robotę. - Pstryknął palcami.

- Tylko do jutra. Chcę ją tylko zabrać z deszczu, zanim się pochoruje. Na nic mi żelazo. Poza tym nie okradam ludzi.

Ishaq znów podrapał się po karku, patrząc przez ramię na wóz. Spojrzał na Nicci. Trzęsła się i to nie było udawane. Zerknął na Richarda.

- Jedna noc snu w magazynie nie jest wystarczającą zapłatą za przeniesienie tego. To zajmie całe godziny.

- Jeżeli ty się zgodzisz, to i ja na to przystanę - powiedział Richard w szmerzącym deszczu. - A wtedy to będzie godziwa zapłata. Nie proszę o więcej i jestem gotów wykonać pracę za tę cenę.

Ishaq wpatrywał się w Richarda, jakby ten był szalony. Zdjął czerwony kapelusz i podrapał się w głowę porośniętą czarnymi włosami. Odgarnął do tyłu zmoczone włosy i nałożył kapelusz.

- Będziecie musieli zniknąć rano, jak tylko się zjawię z nowym wozem. Mógłbym wpaść w tarapaty...

- Nie pozwolę, żebyś miał przeze mnie kłopoty. A gdyby mnie przyłapano, powiem, że się włamałem.

Mężczyzna przez chwilę nad tym rozmyślał, wyraźnie zdziwiony ostatnim dorzuconym przez Richarda zapewnieniem. Popatrzył przez ramię na ładunek, a potem skinieniem głowy potwierdził dobicie targu.

Ishaq podniósł długą żelazną sztabę i podłożył pod nią ramię. Richard uniósł dwie i wyciągnął przed siebie rękę, żeby je ustabilizować; ciężar oparł na ramieniu.

- Chodź - powiedział do Nicci. - Wejź do środka. Będzie ci cieplej, a ubranie zacznie schnąć.

I ona spróbowała podnieść żelazną sztabę, pomóc - ale to przekraczało jej siły. Nicci niekiedy tęskniła za swoją mocą. Ale przynajmniej mogła ją czuć poprzez zespolenie z Matką Spowiedniczką. Szła obok Richarda za owym człowiekiem do suchego pomieszczenia, które chłopak właśnie dla niej zdobył.

Ranek wstał jasny. Ale z okapu nadal kapła deszczówka. Kiedy poprzedniego wieczoru Richard pomagał Ishaqowi znosić ładunek do magazynu, Nicci wzięła z jego plecaka sznurek i zamocowała pomiędzy półkami, a potem zawiesiła na nim ich przemoczoną odzież. Do rana większość rzeczy prawie wyschła.

Spali na drewnianych stelażach, bo inaczej pozostawała jedynie brudna podłoga. Wszystko było pokryte delikatną czarną warstewką i pachniało żelaznym pyłem. W magazynie nie było się przy czym ogrzać; Ishaq zostawił im tylko latarnię, nad którą Nicci mogła choć rozgrzać dłonie. Spali w wilgotnych ubraniach. Do rana i one były prawie suche.

Przez większą część nocy Nicci nie spała, ale grzała sobie dłonie nad latarnią, obserwowała w jej blasku Richarda i dumiała o jego szarych oczach. Doznała wstrząsu, ujrzawszy te oczy w warsztacie swojego ojca. Przywołały strumień wspomnień.

Richard uchylił drzwi magazynu, przecisnął się przez nie i wyniósł ich rzeczy we wstający świt. Niebo ponad miastem wyglądało jak zardzewiałe. Zostawił Nicci przy rzeczach, a sam wszedł z powrotem, żeby zamknąć drzwi od środka. Słyszała, jak się wspina po półkach do okna. Musiał zeskoczyć na ziemię.

Kiedy Ishaq wreszcie nadjechał nowym wozem, Richard i Nicci siedzieli na niskim murku przy podjeździe do drzwi magazynu. Wóz minął ich, wjechał na dziedziniec przed budynkiem i zatrzymał się przed dwuskrzydłowymi drzwiami; Nicci zobaczyła, że woźnicą był ten sam mężczyzna, który zostawił Ishaq'a wieczorem.

Kościsty woźnica zamocował hamulec, łypiąc na nich podejrzliwie.

- Co jest? - zapytał Richarda.

- Przepraszam, że cię niepokoję - odparł Richard - ale chciałem tu być, zanim otworzysz, żeby móc spytać, czy nie znalazłaby się jakaś robota.

Ishaq popatrzył na Nicci - ubranie miała suche. Zerknął na zamknięte drzwi i uświadomił sobie, że Richard dotrzymał słowa i uchronił go od kłopotów za to, że pozwolił się komuś przespać w magazynie.

- Nie możemy najmować ludzi - oznajmił woźnica. - Musisz iść do urzędu i wpisać się na listę.

Richard westchnął.

- Rozumiem. Cóż, dziękuję, panowie. Spróbuję. Dobrego dnia wam obu.

Nicci nauczyła się poznawać po głosie Richarda, kiedy coś szykował. Spojrzał w górę ulicy, potem w dół, jakby się zgubił. Coś knuł. Najwyraźniej dawał Ishaqowi okazję do dopłaty za pomoc. Ishaq pozwolił, żeby Richard przeniósł dwa razy tyle ładunku. I chłopak zrobił to bez słowa protestu. Mężczyzna odchrząknął.

- Zaczekaj. - Zsiadł z wozu, żeby otworzyć drzwi, ale zatrzymał się przy Richardzie. - Jestem nadzorcą załadunku. Potrzebny nam jeszcze ktoś. Wygląda na to, że masz krzepkie plecy. - Czubkiem buta narysował w błocie mapkę. - Pójdiesz do urzędu - wskazał kciukiem przez ramię - w dół tej ulicy, do trzeciego zakrętu, potem w prawo i miniesz sześć innych ulic. - Zaznaczył w błocie X. - Tu jest urząd. Wpiszesz się na listę.

Richard uśmiechnął się, skłonił głowę.

- Zrobię tak, panie.

Nicci wiedziała, że Richard pamięta imię Ishaqa, ale udaje, że go nie zna, bo nie wierzy woźnicy, który porzucił towarzysza w potrzebie poprzedniego wieczoru. Richard nie pojmował, że woźnica zrobił po prostu to, co powinien. Nie wolno było wykonywać należnej innej pracy. To byłaby kradzież. Ładowanie należało do ładowacza, a nie do woźnicy.

- Najpierw się wpisz do grupy ładowaczy - Ishaq pouczał Richarda. - Uić opłatę. Mają biuro w tym samym budynku. Potem idź się zapisać na listę czekających na robotę. Jestem w obywatelskim związku robotników, w grupie, co staje przed komisją nadzorczą, żeby rozważyć nowe kandydatury. Siedź na zewnątrz i czekaj. Kiedy się zbierzemy, zaręczę za ciebie.

Woźnica odchylił się i splunął za wóz.

- Czemu chcesz to zrobić, Ishaq? Nawet nie znasz tego jegomościa.

Ishaq obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- A widziałeś tam kogoś tak wielkiego jak ten tu? Magazyn potrzebuje jeszcze jednego ładowacza. Właśnie jednego straciliśmy i trzeba go zastąpić. Chcesz, żeby mi do tej całej roboty spadł na kark jakiś kościsty staruch?

- Raczej nie - zachichotał woźnica.

Ishaq wskazał na Nicci.

- No i popatrz na jego młodą żonę. Trzeba, żeby nabrała trochę mięska, nie? To miłe młode małżeństwo.

Woźnica znowu splunął za wóz.

- Też mi się tak zdaje.

Ishaq ruszył otwierać drzwi magazynu, niedbale skinął ręką Richardowi.

- Czekaj tam.

- Dobrze.

Ishaq zatrzymał się i odwrócił.

- Byłbym zapomniał. Jak się nazywasz?

- Richard Cypher.

Mężczyzna skinął mu głową i odwrócił się ku drzwiom.

- A ja Ishaq. Do wieczora, Richardzie Cypherze. Nie zawieź mnie, słyszysz? Jak się okażesz leniwy i mnie zawiedziesz, to wrzucę twoją nędzną osobę do rzeki z żelazną sztabą u szyi.

- Nie zawiodę cię, Ishaqu - uśmiechnął się Richard. - Jestem dobrym pływakiem, ale nie aż tak.

Brnęli błotnistymi ulicami, żeby znaleźć coś do jedzenia, zanim pójdą do urzędu, by wpisać się na listę poszukujących pracy.

- Co ci się nie podoba? - zapytał Richard.

Nicci z niesmakiem potrząsnęła głową.

- Zwyczajni ludzie nie mają twojego szczęścia, Richardzie. Zwyczajni ludzie cierpią i walczą, a ty od razu szczęśliwie dostajesz pracę.

- Skoro to tylko szczęście - spytał chłopak - to dlaczego plecy tak mnie bolą od dźwigania żelaznych sztab do magazynu?

## ROZDZIAŁ 46

Richard skończył rozładowywać ostatni wóz żelaza. Pochylił się, oparł dłoń o stertę i zwiesił głowę, ciężko dysząc. Rwały go mięśnie ramion i barków. Łatwiej było radzić sobie z ładunkiem dwóm osobom - jedna stała na ziemi, druga na wozie - ale ten, który miał pomagać przy rozładunku, odszedł kilka dni temu, twierdząc, że nie traktowano go, jak trzeba. Po prawdzie, Richardowi go nie brakowało, bo raczej przeszkadzał, niż pomagał.

Ciemniało światło wpadające przez wysokie okna, niebo na zachodzie stawało się ciemnoszkarłatne. Pot spływał chłopakowi po karku, złościąc rowki w czarnym żelazistym pyłe. Z chęcią wskoczyłby do zimnego górskiego jeziora. Już sama myśl o tym odświeżała. Powędrował tam myślami, odpoczywał.

Z wąskiego przejścia wyszedł Ishaq z latarnią.

- Za ciężko pracujesz, Richardzie.

- Sądziłem, że najęto mnie do roboty.

Ishaq patrzył nań przez chwilę, w jednym jego oku odbijał się żółty płomień latarni.

- Posłuchaj mojej rady. Jak będziesz za ciężko pracował, to tylko wpadniesz w tarapaty.

Richard pracował w magazynie trzy tygodnie; rozładowywał jedne wozy, ładował inne. Poznał wielu robotników. Dobrze wiedział, co Ishaq ma na myśli.

- Ale wciąż się martwię, że będę musiał pływać z żelazną sztabą u szyi.

Ishaq przestał się bocyć, zaśmiał się.

- Wtedy tak plotłem przez wzgląd na Joriego.

Jori był woźnicą, który odmówił pomocy w rozładowaniu wozu, kiedy połamały się koła. Richard ziewnął.

- Wiem, Ishaqu.

- Tu nie gospodarstwo, z którego przyszedłeś. Pod prawami Ładu inaczej się żyje. Musisz pamiętać o potrzebach innych, jeśli chcesz sobie dać radę. Taki już jest ten świat.

Chłopak dosłyszał w głosie Ishaqa przestroagę i łagodne napomnienie.

- Masz rację, Ishaqu. Dziękuję. Postaram się zapamiętać.

Mężczyzna wskazał latarnią ku drzwiom.

- Związek robotników spotyka się dziś wieczór. Lepiej już idź.

Richard jęknął.

- Bo ja wiem? Już późno i jestem zmęczony. Raczej bym...

- Chyba nie chcesz, żeby zaczęli o tobie gadać? Żeby ludzie zaczęli pleść, że nie masz obywatelskiego podejścia?

- Myślałem, że te spotkania są dobrowolne. - Richard uśmiechnął się trochę kpiąco.

Ishaq znów się zaśmiał. Chłopak zabrał swoje rzeczy z półki w kącie i pobiegł ku drzwiom, żeby Ishaq mógł je zamknąć.

Na zewnątrz, w gęstniejącym mroku, Richard dostrzegł Nicci siedzącą na murku przy wjeździe na dziedziniec magazynu. Jej kształty często przywodziły mu na myśl węża. Nie mieli jeszcze pokoju, więc często tu przychodziła, spędziwszy większość dnia w kolejkach po chleb i inne niezbędne rzeczy. Potem wracali razem do schronienia w zaułku, jakąś milę stąd. Richard płacił małą sumkę pewnym z tamtejszych chłopców, żeby pilnowali ich schronienia i nie pozwolili go zająć nikomu innemu. Chłopcy byli na tyle młodzi, że cieszyła ich ta sumka, i na tyle doświadczeni, żeby się sprawnie wywiązać z zadania.

- Dostałaś chleb? - zapytał, podchodząc ku niej.

Nicci zeskoczyła z murku.

- Dziś nie będzie chleba. Nie mieli. Ale kupiłam trochę kapusty. Ugotuję zupę.

Richardowi burczało w brzuchu. Liczył na chleb, bo od razu zjadłby kawałek. Na zupę trzeba będzie poczekać.

- Gdzie twoja torba? I kapusta, skoro ją kupiłaś?

Uśmiechnęła się i wyjęła coś małego. Trzymała to przed nimi, kiedy szli, żeby się wyraźnie ukazało na tle ciemnofioletowego zmierzchu. To był klucz.

- Pokój? Mamy mieszkanie?

- Po południu zajrzałam do urzędu zakwaterowania. Wreszcie przyszła nasza kolej. Przydzielili nam pokój. Panu i pani Cypher. Tej nocy będziemy spać pod dachem. I dobrze, bo się chyba zanosi na deszcz. Już zaniósłam moje rzeczy do naszego pokoju.

Richard rozmasował obolałe ramiona. Poczuł odrazę do udawania, do

którego go zmuszała... do którego zmuszała Kahlan. Niekiedy wyczuwał coś ogromnie ważnego i w niej, i w tym, co robiła, ale przeważnie porażało go szaleństwo tego wszystkiego.

- Gdzie ten pokój? - Miał nadzieję, że nie po drugiej stronie miasta.

- Już tam byliśmy, to niedaleko stąd. Ten z plamą na ścianie, tuż obok drzwi.

- Wszędzie były plamy na ścianach, Nicci.

- Ta plama wyglądała jak koński zad z uniesionym ogonem. Wkrótce ją zobaczysz.

Richard był bardzo głodny.

- Wieczorem muszę jeszcze pójść na spotkanie związku robotników.

- Och - powiedziała Nicci. - Spotkania związku robotników są ważne. Pomagają wciąż pamiętać o tym, co właściwe, i o obowiązku wobec bliźniego.

Spotkania były męką. Nigdy nie działo się na nich nic ważnego. Czasami trwały godzinami. Ale byli ludzie, którzy żyli tymi spotkaniami; mogli wtedy stanąć przed zgromadzonymi i rozwodzić się nad wspaniałością Ładu. To była ich godzina chwały, czas bycia kimś, chwila, kiedy mieli znaczenie.

Tych, którzy nie pokazywali się na spotkaniach, podawano za przykład osób źle służących sprawie Ładu. Jeżeli nieobecna osoba się nie poprawiła, mogła skończyć jako podejrzana o wywrotową działalność. Nieprawdziwość takiego oskarżenia nie miała najmniejszego znaczenia. Niektórzy ludzie, rzucając takie oskarżenie, czuli się ważniejsi w krainie, gdzie najwyższym ideałem była równość.

Wywrotowa działalność była czarną chmurą wiszącą nieustannie nad Starym Światem. Widok straży miejskiej prowadzącej do aresztu podejrzanych o nią ludzi nie był niczym nadzwyczajnym. Tortury dostarczały zeznań, które potwierdzały prawdomówność oskarżającego. Ludzie, którzy przemawiali na spotkaniach, celnie wskazywali buntowników, których winę potwierdziły ich własne zeznania.

Nieustanne skrywane napięcie w Altur'Rang sprawiało, że wielu obawiało się zmory buntu - jak mówiono, zagrażającej ze strony Nowego Świata. Urzędnicy Ładu nie marnowali czasu i tłumili w zarodku tę zmorę wszędzie tam, gdzie ją wykryto. Niektórzy tak się bali, że ktoś mógłby ich wskazać, iż mówcy na spotkaniach związku robotników mieli zapewnioną

liczną i wierną publiczność.

Na wielu miejskich placach zwieszały się z wysokich pali ciała buntowników odziobywane do kości przez ptaki - dla bezustannego przypomnienia, co czeka tych, którzy wpadną w złe towarzystwo. Kiedy komuś nieostrożnemu wyrwało się coś nieodpowiedniego, powszechnie mawiano: „Chcesz, żeby cię pochowano w niebie?”

Skręcili w ulicę wiodącą ku miejscu spotkań i Richard znów ziewnął.

- Nie przypominam sobie plamy wyglądającej jak koński zad.

Kamienie skrzypiały im pod butami, kiedy szli skrajem ciemnej ulicy. Daleko przed nimi chłopak widział kołyszącą się latarnię Ishaqa spieszącego na zebranie.

- Wtedy twoją uwagę przyciągnęło coś zupełnie innego. To tam mieszka ta trójka.

- Jaka trójka?

Sporo innych ludzi - jednych znał, innych nie - spieszyło na zebranie. Nagle Richard sobie przypomniał. Staął.

- Masz na myśli dom, w którym mieszka tych trzech zbirów z nożami?

W mroku ledwo dostrzegł, jak skinęła głową.

- Właśnie.

- Wspaniale. - Otarł twarz dłonią, kiedy ruszyli dalej. - Pytałaś, czy nie moglibyśmy dostać mieszkania gdzie indziej?

- Ludzie nowi w mieście mają szczęście, jeśli w ogóle dostaną pokój. Mieszkania się przyznaje, gdy nadejdzie czyjaś kolej. Jeśli odrzucisz przydział, wracasz na koniec listy.

- A zapłaciłaś już coś gospodarzowi?

- Tyle, ile miałam. - Wzruszyła ramionami.

Richard zgrzytnął zębami.

- To wszystko, co mieliśmy do końca tygodnia.

- Postaram się, żeby zupy wystarczyło.

Richard jej nie wierzył. Pewnie jakoś się postarała, żeby dostali pokój właśnie tam. Podejrzewał, że chciała się przekonać, jak sobie poradzi z tymi trzema młodzianami, kiedy nie będzie już miał innego wyjścia. Zawsze coś robiła, zadawała dziwne pytania, wygłaszała zuchwałe stwierdzenia tylko po to, żeby zobaczyć, jak on sobie poradzi. Nie mógł pojąć, czego Nicci właściwie od niego oczekuje.



Zaczął się trapić tamtą trójką. Dobrze pamiętał, jak Agiel Cary zadał Kahlan ten sam ból, co Nicci. Gdyby tamci maltretowali Nicci, to i Kahlan by ucierpiała. Bardzo go to martwiło.

Na spotkaniu związku robotników Richard usadowił Nicci na ławie w głębi zadymionej sali; mówcy prawili o chwale Ładu, o tym, jak dzięki niej ludzie prowadzą moralne życie. Myśli chłopaka odpłynęły ku strumieniowi za chatą, którą zbudował, ku słonecznym letnim popołudniom, kiedy patrzył, jak Kahlan kołysze stopami w wodzie. Wyobrażał sobie kształt jej nóg; cierpiał z tęsknoty. Mówcy nie pominęli żadnego obowiązku robotnika wobec bliźniego. Wiele mów wygłaszano monotonnym głosem; powtarzano je tak często, że słowa straciły już znaczenie i liczył się tylko fakt ich wygłaszania. Richard przypomniał sobie śmiech Kahlan, gdy złapał rybki i umieścił je w słojach. Wielu obecnych - przewodniczący związków lub rzecznicy obywatelscy - z pasją wychwalało obyczaje Ładu. Kilku wstało i mówiło o tych, którzy nie przyszli; podali ich nazwiska, twierdząc, że nieobecni lekceważą dobro braci robotników. Przez tłum przebiegły szepty.

Kiedy mowy się skończyły, wstawały żony niektórych robotników i mówiły o swoich ostatnich potrzebach: albo miały nowe dzieci, albo ich mężowie chorowali, albo źle się czuli krewni, którymi się opiekowały. Po każdej takiej wypowiedzi podnoszono ręce. Jeżeli ktoś zgadzał się postąpić właściwie i był za tym, żeby związek im pomógł, podnosił rękę. Notowano nazwiska tych, którzy nie podnosili rąk. Ishaq wyjaśnił Richardowi, że wolno było nie podnieść ręki, jeżeli ktoś się nie zgadzał, ale że ktoś taki trafiał na listę obserwowanych, jeśli to się zbyt często zdarzało. Chłopak nie miał pojęcia, co to za lista, ale łatwo się było domyślić. A Ishaq wyjaśnił, że Richard na pewno nie chciałby się znaleźć na takiej liście i że powinien jak najczęściej podnosić rękę.

Richard podnosił rękę za każdym razem. Właściwie w ogóle nie obchodziło go, co się dzieje. Nie był zainteresowany uczestniczeniem, próbami poprawy stanu rzeczy czy tym, jak dobrze lub źle toczyły się losy ludzi. Wyglądało na to, że większość chce, by Ład kierował ich życiem, uwalniając ich od ciężaru samodzielnego myślenia. Tak jak w Andericie. Nicci była zdumiona, a czasem zawiedziona, widząc, jak on za każdym razem podnosi rękę, ale nie sprzeciwiała się i o nic nie pytała.

A chłopak ledwie sobie zdawał sprawę, że podnosi rękę. Uśmiechał się w

duchu, wspominając wyraz twarzy Kahlan, zdumienie w jej zielonych oczach, kiedy po raz pierwszy zobaczyła „Potęgę ducha”. Wyrzeźbiłby dla niej całą górę, byle tylko widzieć jej radość na widok czegoś, co podziwiała, co było jej drogą, co ceniła.

Zabrał głos kolejny robotnik. Żalił się na nieuczciwe warunki i na to, że był zmuszony odejść, by się nie dać wykorzystywać kompanii przewozowej. To był ten sam człowiek, który odszedł i zostawił Richardowi załadunek. Chłopak podniósł rękę razem z innymi i tamtemu przyznano jako rekompensatę pełną pensję przez sześć miesięcy. Po głosowaniach, szeptach i skrobaniu na papierze, kiedy obliczano wszystkie zobowiązania, zdolni do pracy członkowie związku oszacowali swój sprawiedliwy wkład w pomoc dla potrzebujących. Richarda pouczono, że ci, którzy mogą pracować, mają obowiązek dokładać wszelkich starań, żeby pomóc tym, którzy pracować nie mogą.

Wywoływano nazwiska i każdy wstawał, żeby usłyszeć, ile się mu odliczy z zapłaty w następnym tygodniu. Richard był nowy, więc jego nazwisko wyczytano na końcu. Wstał i patrzył przez słabo oświetloną salę na ludzi w nadgryzionych przez mole okryciach, którzy siedzieli za długim stołem zrobionym z dwóch starych drzwi. Ishaq siedział przy końcu stołu i we wszystkim zgadzał się z resztą. Kilka kobiet dalej pochylało ku sobie głowy. Kiedy skończyły, szepnęły coś do przewodniczącego, a on kiwnął głową.

- Richardzie Cypherze, jako nowy wciąż jeszcze masz do nadrobienia zaległości w obowiązkach wobec swojej grupy związkowej. Twoja zapłata za przyszły tydzień pójdzie w całości na pomoc.

Richard przez chwilę stał bez słowa.

- A za co mam jeść? Zapłacić czyńsz?

Ludzie się odwrócili i patrzyli na niego chmurnie. Przewodniczący uderzył w stół, prosząc o ciszę.

- Powinieneś dziękować Stwórcy, że cię pobłogosławił tak dobrym zdrowiem, że możesz pracować, młodzieńcze. Są jednak tacy, którzy nie mają twojego szczęścia w życiu, ludzie o potrzebach większych niż twoje. Cierpienia i potrzeby stoją ponad samolubnym indywidualnym bogaceniem się.

Richard westchnął. Jakież to właściwie miało znaczenie? W końcu miał w życiu szczęście.

- Tak, panie. Rozumiem, co pan ma na myśli. Z radością wniosę swój wkład w pomoc dla ludzi w potrzebie.

Żałował, że Nicci oddała ich wszystkie pieniądze.

- No cóż - powiedział do Siostry, kiedy wyszli w noc - chyba możemy poprosić gospodarza o zwrot pieniędzy. Będziemy mieszkać tam, gdzie przedtem, dopóki nie zarobię tyle, żebyśmy mogli coś odłożyć.

- Nie zwracają pieniędzy za czynsz - odparła. - Gospodarz zrozumie nasze trudności i pozwoli, żeby nasz dług rósł, dopóki nie będziemy mogli zacząć go spłacać. A na następnym spotkaniu staniesz przed komisją i przedstawisz nasz trudny los. Jeżeli właściwie to zrobisz, przyznają ci pomoc pieniężną, żebyś mógł płacić czynsz.

Richard był wyczerpany. Miał wrażenie, że to jakiś głupi sen.

- Jałmużna? To moja zapłata za pracę, którą wykonuję.

- To egoistyczne widzenie sprawy, Richardzie. Pracę masz z łaski związku robotników, kompanii i Ładu.

Był zbyt zmęczony, żeby się sprzeczać. Poza tym nie spodziewał się sprawiedliwości w czymkolwiek, co czyniono w imieniu Ładu. Chciał się wreszcie znaleźć w ich nowym pokoju i zasnąć.

Kiedy otworzyli drzwi, jeden z trzech młodzianów szperał w rzeczach Nicci. Uśmiechnął się do nich drwiąco przez ramię, trzymając w garści jej bieliznę.

- No, no, no - wycedził, prostując się; wciąż nie miał koszuli. - Wygląda na to, że dwa zmokłe szczury znalazły norę.

Lepkie spojrzenie prześliznęło się na Nicci. Ale nie patrzył na jej twarz.

Nicci najpierw wyrwała mu swoją torbę, potem zaś rzeczy, które trzymał w drugiej ręce. Wepchnęła bieliznę do torby, a on cały czas gapił się na nią z uśmiechem. Richard przeraził się, że Siostra zerwie zespolenie z Kahlan, żeby wykorzystać swoją moc, ale tylko patrzyła gniewnie na młodziana.

W pokoju cuchnęło pleśnią. Niski sufit sprawiał, że Richard poczuł się nieswojo. Ten sufit był niegdyś bielony, ale teraz poczerniał od sadzy świec i lamp, przez co pokój sprawiał wrażenie piwnicy. Jedynym źródłem światła była świeczka osadzona przy drzwiach w zardzewiałym kinkiecie. Brudne ściany plamiły ślady po rozgniecionych owadach i jeszcze czymś, w kącie stała zdezelowana szafa. Brakowało w niej drzwi. W ścianie naprzeciwko drzwi było małe okienko, a pod nim stół i dwa drewniane krzesła - jedyne

miejsce do siedzenia poza wypaczoną i chropowatą podłogą z sosnowych desek. Małe szybki okna pokrywały warstwy różnobarwnej farby. Przez mały narożny trójkąt wybity w szybcie Richard widział burą ścianę sąsiedniego budynku.

- Jak się tu dostałeś?! - warknęła Nicci.

- Klucz uniwersalny. - Pomachał nim jak glejtem od króla. - Mój ojciec jest tu gospodarzem. Przeglądałem wasze rzeczy, szukając wywrotowych pism.

- Umiesz czytać? - zadrwiła Nicci. - Musiałabym się przekonać, żeby uwierzyć.

Wciąż się bezczelnie szczyrzył.

- Bardzo nie lubimy się dowiadywać, że mieszkają u nas wywrotowcy. Mogą wszystkich narazić na niebezpieczeństwo. Mój ojciec ma obowiązek donieść o każdej podejrzonej działalności.

Richard odsunął się, przepuszczając idącego ku drzwiom młodziana, ale złapał go za ramię, kiedy tamten wziął świecę.

- To nasza świeca - powiedział Richard.

- Taaa? A niby czemu?

Richard mocniej ścisnął nagie, szczupłe, muskularne ramię. Spojrzał młodzieńcowi w oczy i wskazał drugą ręką.

- O tu, na spodzie, są wydrapane nasze inicjały.

Tamten, zanim zdążył się zastanowić, instynktownie odwrócił świecę, żeby spojrzeć. Gorący воск oblał mu dłoń. Wrzasnął i rzucił świecę.

- Oooo, najmocniej przepraszam - powiedział Richard. Pochylił się i podniósł świecę. - Mam nadzieję, że nic ci się nie stało. Przynajmniej ten gorący воск nie dostał ci się do oczu, nieprawdaż? To dopiero piecze.

- Taaa? - Tamten odgarnął z oczu proste ciemne włosy. - A skąd to wiesz?

- Widziałem, jak to się przydarzyło jakiemuś biedakowi w stronach, z których pochodzę. - Richard wychylił się na korytarz, w krąg światła innej, ustawionej na półce świecy. Zamarkował paznokciem złobienie R i C na spodzie świecy. - Widzisz? Moje inicjały.

- Uuuuh. - Młodzian nie potrudził się, żeby spojrzeć. Dumnym krokiem wyszedł z ich pokoju. Richard poszedł za nim i zapalił świecę od płomienia tej w korytarzu. Syn gospodarza, zanim na dobre odszedł, popatrzył na niego wyniośle.

- Czemu tamten był na tyle głupi, że gorący wosk dostał mu się do oczu? Czyżby był takim wielkim, tępym wołem jak ty?

- O nie - odparł natychmiast Richard. - Wcale nie. To był zarozumiały młodzik, który nierozsądnie wyciągnął łapy po żonę innego. I mąż wkapał mu do oczu gorący wosk.

- Taaa? To czemu ten przygłup nie zamknął powiek?

- Bo najpierw mu je obcięto. Widzisz, tam, skąd pochodzę, nie ma litości dla kogokolwiek, kto dotyka kobiety wbrew jej woli.

- Taaa?

- Taaa. A tamtemu młodzianowi obcięto nie tylko powieki.

Syn gospodarza znów odgarnął do tyłu czarne włosy.

- Grozisz mi, ty bydlaku?

- Ależ skąd. Nic, co bym ci zrobił, nie wyrządziłoby ci większej szkody niż ta, którą sam sobie robisz.

- O co ci niby idzie?

- Nigdy nic z ciebie nie będzie. Na zawsze pozostaniesz bezwartościowym błoćkiem, które ludzie zdrapują sobie z butów. Masz tylko jedno życie, a marnujesz je. To ogromna hańba. Wątpię, czy kiedykolwiek pojmiesz, co to znaczy być naprawdę szczęśliwym, dojść do czegoś wartościowego, móc być z siebie dumnym. Sam to na siebie ściągasz i już bardziej nie mógłbym cię pokarać.

- Nie mam wpływu na to, co życie ze mną robi.

- Owszem, masz. Ty tworzysz swoje życie.

- Taaa? A niby jak, według ciebie?

Richard zatoczył krąg dłonią.

- Popatrz na chlew, w jakim żyjesz. Twój ojciec jest tu gospodarzem. Dlaczego nie okażesz trochę godności i nie doprowadzisz tego do porządku?

- On jest gospodarzem, a nie właścicielem. Ten, do którego to należało, był chciwym sukinsynem wyznaczającym taki czynsz, że wielu nie mogło płacić. Ład mu to odebrał. A za zbrodnie przeciwko obywatelom zdręczyli właściciela na śmierć. Mój ojciec dostał posadę gospodarza. Zarządza tym, żeby pomagać głupkom takim jak ty, co nie mają gdzie mieszkać. Nie mamy pieniędzy, żeby naprawiać budynek.

- Pieniądzy? Trzeba pieniędzy, żeby pozbierać z korytarza te śmieci?

- Nie ja je tam rzuciłem.

- A ściany? Nie trzeba pieniędzy, żeby umyć ściany. Popatrz na sufit w tym pokoju. Nie był myty co najmniej dziesięć lat.

- Hej, nie jestem sprzątaczką.

- A ganek od frontu? Jeszcze ktoś sobie kark skręci. To możesz być i ty lub twój ojciec. Czemu dla odmiany nie zrobisz czegoś dobrego i nie uporządkujesz tego?

- Już ci mówiłem, że nie mamy pieniędzy na naprawy.

- Na to nie trzeba pieniędzy. Wystarczy rozebrać, oczyścić złączenia i dać parę nowych klinów. Możesz je wyciąć z leżących tu kawałków drewna.

Młodzian otarł dłonie o spodnie.

- Skoro jesteś taki sprytny, to czemu sam nie naprawisz schodów?

- Dobry pomysł. Zrobię to.

- Taaa? - Znow uśmiechał się drwiąco. - Nie wierzę ci.

- Jak wrócę jutro z pracy, naprawię schody. A jak się pojawisz, to cię nauczę, jak to zrobić.

- Może się i pojawię, żeby popatrzeć na naiwniaka, co naprawia coś cudzego, i to jeszcze za darmo.

- Wcale nie za darmo. Ja też chodzę po frontowych schodach, to dlatego. I żeby było ładniej tam, gdzie mieszkam. I żeby moja żona nie upadła i nie połamała sobie nóg. Ale jeśli chcesz przyjść i nauczyć się naprawiać schody, to włóż koszulę przez szacunek dla kobiet mieszkających w twoim budynku.

- A jeżeli się zjawię i będę ci się przyglądał, ale nie włożę jakiejś głupiej koszuli niczym stary pryk?

- To nie będę mieć dla ciebie wystarczającego poważania, żeby się trudzić uczeniem cię, jak naprawić schody. I wtedy nic się nie nauczysz.

- A co, jeśli wcale nie chcę się czegokolwiek uczyć?

- Wtedy nauczysz mnie czegoś o sobie.

Tamten przewrócił ciemnymi oczami.

- Po co miałbym sobie zawracać głowę nauką naprawiania jakichś durnych schodów?

- Nie musisz się koniecznie uczyć naprawiania schodów. Ale jeśli obchodzi cię twój los, powinieneś się starać czegoś uczyć, nawet najprostszych rzeczy. Możesz być dumny z siebie tylko wtedy, kiedy czegoś dokonasz, choćby kiedy naprawisz jakieś stare schody.

- Taaa? Jestem z siebie dumny.

- Zastraszasz ludzi, a potem mylnie bierzesz to za ich szacunek. Inni, nawet ci, których obchodzisz, nie mogą ci zagwarantować szacunku dla samego siebie. Sam musisz nań zasłużyć we własnych oczach. A jak na razie potrafisz tylko sterczeć i głupio wyglądać.

Tamten skrzyżował ramiona.

- Kogo nazywasz...

Richard dźgnął go palcem w gładki tors, zmuszając do cofnięcia się o krok.

- Masz tylko jedno życie. Czy chcesz tylko sterczeć, wyzywać ludzi i straszyć ich wraz ze swoją bandą? Czy tylko tyle znaczy dla ciebie to jedyne życie? Każdy, kto wymagałby czegoś więcej od życia, kto chciałby, żeby jego życie było coś warte, uczyłby się. Jutro zamierzam naprawić te schody. Jutro się przekonamy, coś wart.

Młodzian znów przybrał wyzywającą pozę.

- Taaa? Może będę wolał spędzić czas z przyjaciółmi.

Richard wzruszył ramionami.

- I dlatego twoje życie nie jest z góry przesądzone. W większości spraw mojego życia nie mam nic do powiedzenia, ale jeśli mogę o czymś decydować, czynię to zgodnie z moim najlepiej pojętym interesem. Z własnej woli naprawię te schody i dzięki temu choć trochę poprawię warunki, w których żyję, zamiast zawodzić i czekać z nadzieją, że ktoś coś dla mnie zrobi. Jestem dumny, że potrafię to zrobić dla siebie. Naprawienie schodów nie zmieni cię w mężczyznę, ale doda ci trochę pewności siebie. Jeżeli chcesz, przyprowadź przyjaciół, a ja nauczę was, jak używać noży nie tylko do wymachiwania ludzom przed nosem.

- Może i przyjdziemy się pośmiać z twojej roboty, wole.

- Znakomicie. Ale jeśli ty i twoi koledzy chcecie się nauczyć czegoś wartościowego, lepiej zainicjujcie mnie o tym przekonywać, okazując szacunek i wkładając koszule. To pierwszy wybór, jaki przed tobą stoi. Jeżeli źle wybierzesz, będziesz miał coraz bardziej ograniczone możliwości wyboru. I mam na imię Richard.

- Jak powiedziałem, może będzie się można z ciebie pośmiać - skrzywił się - Richardzie.

- Śmieję się, ile chcesz. Znam swoją wartość i nie muszę jej udowadniać komuś, kto nie zna swojej. Jeżeli chcesz się uczyć, to wiesz, co masz zrobić. A

jeśli znów pogroźisz nożem mi albo, co gorsza, mojej żonie, popełnisz ostatni z wielu błędów w swoim życiu.

Młodzian zareagował na pogróżkę jeszcze większą zuchwałością.

- A czymże w ogóle mógłbym zostać? Podobnym do ciebie naiwniakiem, co tyra dla tego chciwca Ishaq'a i jego kompanii przewozowej?

- Jak masz na imię?

- Kamil.

- No więc, Kamilu, pracuję za zapłatę, z której utrzymuję siebie i żonę. Mam coś cennego: siebie. Ktoś ocenia moją wartość na tyle wysoko, żeby płacić za mój czas i zdolności. Praca przy załadunku wozów to jeden z wyborów, jakich dokonałem w życiu. Wybieram naprawienie stopni, bo to polepszy moje życie. - Richard zmrużył oczy. - A w ogóle, to co Ishaq ma z tym wspólnego?

- Ishaq? To on jest właścicielem kompanii przewozowej.

- Ishaq jest tylko nadzorcą załadunku.

- Ishaq kiedyś tu mieszkał, zanim Ład przejął dom. Mój ojciec go zna. A nawiasem mówiąc, śpisz w jego salonie. Kiedyś była to jego kompania przewozowa. Odrzucił chciwość dla oświecenia, kiedy mu to zaoferowano. Pozwolił, żeby obywatelski związek robotników nauczył go, jak być lepszym obywatelem Ładu, lepiej zrozumieć swoje miejsce pod Światłem Stwórcy. I teraz wie, że nie jest w niczym lepszy od któregośkolwiek z nas, nawet ode mnie.

Richard spojrział na Nicci stojącą pośrodku ich pokoju i przysłuchującą się rozmowie. Zupełnie o niej zapomniał. Już nie miał ochoty na dalszą pogawędkę.

- No, to do jutra, do wieczoru, obojętnie, czy przyjdiesz się pośmiać, czy uczyć. To twoje życie, Kamilu, i twoja decyzja.



## ROZDZIAŁ 47

Słońce właśnie wschodziło. Przez wysokie okna wpadały do magazynu snopy promieni, w których tańczyły drobinki kurzu. Richard zeskoczył z półki, na której siedział, bo z wąskiego przejścia wyszedł Ishaq ze spisem sztab, które miały być załadowane na poszczególne wozy. Chłopak od tygodnia nie widział nadzorcy załadunku.

- Nic ci nie jest, Ishaqu? Gdzie się podziewałeś?

Tęgi nadzorca załadunku szybko nadchodził przejściem.

- Witaj i ty.

- Przepraszam, witaj. Martwiłem się. Gdzie byłeś?

- Spotkania - skrzywił się tamten. - W kółko spotkania. Czekaj w tym biurze, czekaj w tamtym. Żadnej roboty, tylko spotkania po to lub po tamto. Muszę chodzić i próbować załatwiać dostawy ładunków, których ktoś potrzebuje. Czasem mi się wydaje, że nikomu tak naprawdę nie zależy, żeby w tym mieście przewożono jakieś towary. Lepiej byłoby dla nich, gdyby każdy dostawał zapłatę, ale nie musiał pracować. Wtedy nie musieliby się podpisywać na papierach i zamartwiać, że może kiedyś ich wezwą i każą się tłumaczyć, że to zrobili.

- Czy to prawda, że ta kompania przewozowa była kiedyś twoja?

Nadzorca zamilkł, żeby złapać oddech.

- Kto ci opowiada takie rzeczy?

- No to jak? Kompania przewozowa była kiedyś twoja?

- I chyba nadal jest. - Ishaq wzruszył ramionami.

- Co się stało?

- Co się stało? Nic się nie stało. Chyba tylko to, że nabrałem rozumu i uznałem, że więcej tu roboty, niż mi trzeba.

- Czym cię zastraszyli?

Ishaq jakiś czas przyglądał się Richardowi.

- Skąd ty jesteś? Jeszcze nigdy nie widziałem takiego parobka.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie, Ishaqu - uśmiechnął się Richard.

Tamten gniewnie machnął ręką.

- Po co ci taka stara historia? Przeszłość to przeszłość. Człowiek powinien widzieć rzeczy, jakie są, i wyciągać najlepsze z tego, co życie mu

oferuje. Kazano mi wybierać i wybrałem. Jest, jak jest. Zachcianki nie nakarmią moich dzieci.

Richard nagle uznał, że jego dociekliwość jest okrutna. Zrezygnował z niej.

- Rozumiem, Ishaqu. Naprawdę. Przepraszam.

Nadzorca znowu wzruszył ramionami.

- Teraz pracuję tu jak każdy inny. To o wiele prostsze. Muszę przestrzegać tych samych zasad albo stracę robotę, jak każdy inny. Teraz wszyscy są równi.

- Chwała Ładowi.

Ishaq uśmiechnął się z kpiny Richarda, a chłopak wyciągnął rękę.

- Daj spis.

Nadzorca załadunku podał mu kartę. Były tam tylko dwie nazwy i wskazówki co do jakości, długości i ilości.

- Co to? - spytał Richard.

- Potrzebny nam ładowacz, żeby pojechał z wozem, zabrał żelazo i dostarczył je.

- Czyli teraz pracuję przy wozach? Dlaczego? Myślałem, że jestem ci potrzebny w magazynie.

Ishaq zdjął czerwony kapelusz i podrapał się w głowę porośniętą rzędnącymi ciemnymi włosami.

- Mieliśmy trochę... skarg.

- Na mnie? A co zrobiłem? Wiesz, że ciężko pracowałem.

- Za ciężko. - Ishaq włożył kapelusz. - Ludzie w magazynie gadają, że jesteś małostkowy i złośliwy. To ich słowa, nie moje. Mówią, że przez ciebie czują się gorsi, bo się pysznisz młodością i krzepą. Że się z nich naśmiewasz za plecami.

Wielu z nich było młodszych od Richarda i wystarczająco krzepkich.

- Ja nigdy, Ishaqu...

- Wiem, wiem. Ale im się wydaje, że tak robisz. Nic sobie nie wyrzucaj. Liczą się ich odczucia, a nie prawda.

Richard westchnął, zirytowany.

- Przecież związek robotników powiedział mi, że mam siły do pracy, a inni nie, i dlatego mam dokładać wszelkich starań, żeby ulżyć tym, którzy są słabsi, którzy nie mają moich możliwości. Mówili, że stracę robotę, jeżeli się

nie będę przykładał ile sił.

- To wążiutka granica.

- A ja ją przekroczyłem.

- Chcieli, żeby cię zwolnić.

- Czyli już tu nie pracuję? - westchnął Richard.

Ishaq machnął ręką.

- I tak, i nie. Zostałeś zwolniony z magazynu za niewłaściwą postawę. Ale przekonałem komitet, żeby i dali ci jeszcze jedną szansę i pozwolili przesunąć cię do wozów. Przy tym nie ma aż tyle roboty, bo możesz je tylko załadować, a potem, już na miejscu, rozładować. W ten sposób nie zdołasz sobie napytać za dużo biedy.

Richard potaknął.

- Dziękuję, Ishaqu.

Nadzorca uciekł wzrokiem między półki ze sztabami z węglem drzewnym i długie pryzmy rudy czekające na dostarczenie. Podrapał się w skroń.

- Płaca jest niższa.

Richard otrzepał dłonie i siedzenie z żelaznego pyłu oraz rudy.

- A co za różnica? I tak mi ją zabrali i dali na co innego. To nie ja tracę na zarobku, ale inni ludzie.

Ishaq zachichotał i klepnął Richarda w ramię.

- Tylko na ciebie mogę tutaj liczyć, Richardzie. Jesteś inny niż tamci. Wiem, że mogę z tobą rozmawiać i że nic z tego nie trafi do obcych uszu.

- Nigdy bym ci tego nie zrobił.

- Wiem. I dlatego mówię ci to, czego bym nie powiedział innym. Spodziewają się, że się nie będę wynosił nad innych i że będę pracował jak każdy, a jednocześnie mam zapewniać pracę. Odebrali mi firmę, ale oczekują, że będę ją im prowadził. Zwariowany świat.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo zwariowany, Ishaqu. No, to co z tym ładowaniem wozów? Co trzeba zrobić?

- Ten tu kował się awanturuje.

- Dlaczego?

- Ma zamówienia na narzędzia, ale nie ma żelaza. Mnóstwo ludzi czeka na dostawę. - Wskazał na półki ze sztabami. - Większość z tego zamówiono jesienią. Jesienią! Już prawie wiosna, a dopiero zaczęło napływać. Wszystko

obiecane tym, co to wcześniej zamówili.

- Więc dlaczego tak długo trwało, zanim to się tu znalazło?

Ishaq klepnął się w czoło.

- Może w końcu i jesteś tępym wsiowym parobkiem. Gdzieżeś ty był? Pod skałami? Nie dostaniesz niczego tylko dlatego, że jest ci to potrzebne. Musisz czekać na swoją kolej. Twoje zamówienie musi najpierw trafić przed komisję nadzorczą.

- Dlaczego?

- Dlaczego, dlaczego, dlaczego. Tylko to potrafisz? - Ishaq westchnął i mruknął coś o tym, jak to Stwórca doświadcza jego cierpliwość. Uderzał palcami we wnętrze drugiej dłoni i tłumaczył Richardowi: - Bo musisz myśleć o innych, oto dlaczego. Musisz brać pod uwagę potrzeby innych. Dobro każdego. Jeżeli wezmę wszystkie kursy po żelazo i jeszcze dostarczanie go, to jaką szansę będą mieli ci, co chcą robić to samo? A gdybym miał wszystkie firmy, to byłoby niesprawiedliwe. To by pozbawiło ludzi roboty. Trzeba dzielić to, co dostępne. Komisja nadzorczą musi dbać, żeby wszystko było jednakie dla wszystkich. Niektórzy nie mogą załatwiać zamówień tak prędko jak ja albo mają kłopoty, albo brakuje im robotników, albo ich robotnicy mają kłopoty, więc muszę czekać, aż odrobnią zaległości.

- To twoja firma, dlaczego...

- Dlaczego, dlaczego, dlaczego. Weź to zamówienie. Nie chcę, żeby ten kowal znowu się tu zjawił i nawrzeszczał na mnie. Ma kłopoty, bo spóźnia się z zamówieniami i potrzebuje żelaza.

- Dlaczego ma kłopoty? Myślałem, że każdy musi czekać na swoją kolejkę. Ishaq uniósł brew i zniżył głos.

- Jego klientem jest Ustronie.

- Ustronie? A co to takiego?

- Ustronie - Ishaq rozłożył ręce, sygnalizując coś olbrzymiego - to nazwa siedziby budowanej dla imperatora Jaganga.

Richard nie znał tej nazwy. A wszyscy robotnicy ścigali do Altur'Rang właśnie z powodu nowego pałacu imperatora. Przypuszczał, że i Nicci dlatego się upierała, żeby tu dotarli. Miała swoje powody, by i on wniósł wkład w pełen rozmachu projekt. Uznał, że to jej groteskowe poczucie ironii.

- Nowy pałac będzie olbrzymi - oznajmił Ishaq, wymachując rękami. - Mnóstwo pracy dla wielu ludzi. Całe lata roboty przy budowie Ustronia.

- Nooo, skoro to dla Ładu, to trzeba dostarczyć. Zajmę się tym.

Ishaq uśmiechnął się i energicznie kiwnął głową.

- Zaczynasz rozumieć, panie Richardzie Dlaczego-dlaczego-dlaczego. Kowal pracuje na bezpośrednie zamówienia budowniczych pałacu, którzy składają raporty najważniejszym ludziom. Budowniczym potrzebne są narzędzia i inne rzeczy. Nie chcą słuchać tłumaczeń jakiegoś tam kowala. A kowal nie chce słuchać moich tłumaczeń. Ale ja muszę się stosować do ustaleń komisji nadzorczej, a on nie, bo on działa według zleceń pałacu. Jestem więc między młotem a kowadłem.

Ishaq zamilkł, bo przejściem nadchodził jeden z pozostałych ładowaczy, trzymając jakąś kartę papieru. Nadzorca czytał, a tamten zerknął z ukosa na Richarda. Chłopak westchnął i udzielił ładowaczowi krótkich wskazówek. Tamten odszedł, a nadzorca znów zajął się Richardem.

- Mogę przewieźć tylko tyle, ile mi pozwoli komisja nadzorcza. Ten tu papier to polecenie od niej, żebym wstrzymał dostawę belek dla kopalń, bo ładunek przejdzie do kompanii, która potrzebuje roboty. Rozumiesz? Nie mogę wysadzić innych z interesu, postępując niesprawiedliwie i dostarczając więcej niż oni. Inaczej wpadnę w tarapaty i zastąpi mnie ktoś, kto nie będzie nieuczciwy dla konkurentów. Ach, to już nie tak jak dawniej, kiedy byłem młody i szalony.

Richard skrzyżował ramiona.

- Chcesz powiedzieć, że jeżeli wykonujesz dobrą robotę, to wpadasz w tarapaty, jak ja.

- Dobra robota. A któż to wie, co to dobra robota. Wszyscy muszą wspólnie pracować dla dobra wszystkich. To właśnie jest dobra robota: pomagać swojemu bliźniemu.

Richard przyglądał się kilku ludziom, którzy trochę dalej ładowali na wóz węgiel drzewny.

- Tak naprawdę, to nie wierzysz w te ckliwe bzdury, co, Ishaqu?

Nadzorca westchnął z pobłażliwością.

- Richardzie, załaduj ten wóz, jak dojedziecie do odlewni, a potem zawieź to do Ustronia i znieś do kuźni. I proszę, żebyś mi się w połowie kursu nie rozchorował ani ty, ani twoje dzieci, i żeby cię plecy nie rozboleły. Nie chcę znów tu widzieć kowala, bo wtedy pewnie pójde pływać z metalową sztabą u szyi.

- Plecy mam w porządku - zaśmiał się Richard.

- To wspaniale. Przyprawdę woźnicę, żeby powoził. - Nadzorca pogroził chłopakowi palcem. - Tylko nie prosz go, żeby pomógł ładować czy rozładowywać towar. Nie potrzeba nam takich skarg na następnym zebraniu. Musiałem błagać Joriego, by nie składał skargi, że go wtedy w deszczu poprosiłem, żeby mi pomógł rozładować wóz. Wtedy, co koło pękło, a ty mi pomogłeś zanieść ładunek do magazynu. Przypominasz sobie?

- Przypominam.

- Nie sprawiaj Joriemu żadnych kłopotów, bardzo cię proszę. Nie dotykaj cugli, to jego robota. Bądź grzecznym chłopcem, dobrze? Załadujesz i rozładujesz żelazo, żeby kowal znów mi się nie naprzykrzał?

- Jasne, Ishaqu. Nie chciałbym ci przysporzyć żadnych kłopotów. Możesz mi zaufać.

- Porządny z ciebie chłopak. - Ishaq już miał odejść, ale zawrócił. - W gospodarstwie nie było tyle kłopotów, prawda?

- Nie, nie było. Chciałbym tam teraz być.

Ishaq odwrócił się raz jeszcze, zanim odszedł na dobre.

- A nie zapomnij się nisko pokłonić, jak zobaczysz któregoś z tych kapłanów. Słyszysz?

- Kapłanów? Jakich kapłanów? Jak ich poznam?

- Brązowe szaty i plisowane birety. Ooo, poznasz ich. Nie przegapisz. Jak zobaczysz jakiegoś, to bądź greczny i skromny. Jeżeli kapłan zacznie cię podejrzewać o niestosowne nastawienie do Stwórcy lub coś w tym rodzaju, może cię wydać na tortury. Kapłani to uczniowie Brata Narewa.

- Brata Narewa?

- To arcykapłan Bractwa Ładu. - Ishaq ze zniecierpliwieniem zamachał ramionami. - Muszę iść po Joriego, żeby się zjawił z wozem. Richardzie, proszę cię, zrób, jak mówiłem. Ten kowal wrzuci mnie do pieca w swojej kuźni, jeżeli mu dziś nie dostarczę żelaza. Zawieź mu to żelazo, Richardzie. Dobrze?

Richard uśmiechnął się do Ishaqa, żeby tamten się uspokoił.

- Masz moje słowo, Ishaqu. Kowal dostanie żelazo. Nadzorca odetchnął i pospieszył szukać woźnicy.

## ROZDZIAŁ 48

Późnym parnym popołudniem dotarli na miejsce budowy Ustronia. Richard siedział na wozie obok Joriego; kiedy wjechali na szczyt ostatniego wzgórza, chłopak osłupiał ze zdumienia. Miejsce było olbrzymie ponad wszelką miarę. Nawet sobie nie umiał wyobrazić, ile mil kwadratowych oczyszczono. Tysiące ludzi, z tej odległości przypominających mrówki, pracowało w szeregach, z łopatami i koszami, zmieniając ukształtowanie terenu.

Joriego budowa nie interesowała i tylko s pluwał w bok, czasem odburkując Richardowi:

- Chyyba.

Wciąż układano fundamenty w głębokich wykopach, dzięki czemu patrzący z drogi na wzgórzu Richard widział zarysy przyszłej budowli. Trudno sobie było wyobrazić ogrom pałacu. A widząc wolniutko posuwającą się wzdłuż zarysów plamki, trudno było pamiętać, że to ludzie.

Już samymi rozmiarami budowla przewyższała wszystko, co Richard widział do tej pory. Zajmowała całe mile gruntu, a do tego dochodziły jeszcze ogrody. Wzdłuż dróg dojazdowych zaczynano wznosić fontanny i inne wysokie konstrukcje. Żywopłotami wytyczano wielkie labirynty. Stoki wzgórz obsadzono drzewami, zgodnie z imponującym projektem.

Ustronie stało frontem do jeziora, w przyszłym imperialnym parku. Krótszy bok głównego budynku miał się ciągnąć ćwierć mili wzdłuż rzeki. Kamienne słupy wkraczały w wodę; właśnie zaczynano je łączyć łukami. Najwyraźniej część pałacu miała być na wodzie, z przystanią dla spacerowej floty imperatora.

Za rzeką leżało miasto. Rozciągało się również po pałacowej stronie rzeki, chociaż w dużej odległości od Ustronia.

Richard nawet nie próbował sobie wyobrazić, ilu ludzi i ile budynków usunięto dla tej budowli. Pałac imperatora wcale nie miał być odległy i odosobniony - miał tkwić w samym centrum Altur'Rang. Milionami kostek wybrukowano drogi, żeby rzesze obywateli Ładu mogły przyjść i podziwiać olbrzymią budowę. I rzeczywiście, za rozpiętymi linami stały tłumy i przyglądały się.

Pomimo ubóstwa Starego Świata ów olbrzymi pałac miał być królewskim klejnotem o niedoścignionym przepychu.

Wznosiły się wielkie stopy rozmaitego kamienia. Richard widział w oddali mężczyzn tnących kamień na bloki o wyznaczonych wymiarach. W dusznym popołudniowym powietrzu niósł się stukot setek dłut i pobijaków. Były tu stopy granitu i marmuru o różnych barwach oraz wielkie ilości wapienia. Wozy z kamieniołomów czekały w wijących się kolumnach, żeby wyładować jeszcze więcej materiału. Długie kamienne bloki zwane podnośnikami wsunięto pod ciężkie belki łączące przednią i tylną oś. Dla kamieniarzy zbudowano baraki i wielkie otwarte zadaszenia, żeby mogli pracować niezależnie od pogody. Drewno ułożono w wielkie sagi, całe ich szeregi, pod prowizorycznymi dachami. To, co się tam nie zmieściło, przykryto impregnowanym płótnem. Wokół fundamentów widać było pagórki składników zaprawy, które wyglądały jak mrowiska; małe ciemne punkciki - ludzie - uwijające się wokół tylko wzmagaly to złudzenie.

Kuźnia znajdowała się poza placem budowy, przy drodze wijącej się stokiem wzgórza, w małym miasteczku nowych warsztatów. Była całkiem spora w porównaniu z tymi, które Richard przedtem widział. Rzecz jasna, nigdy wcześniej nie oglądał tak wielkiej budowy. Widywał tylko już istniejące olbrzymie budynki. Zaczątek takiej budowli sprawiał niesamowite wrażenie. Porażał ogrom całego przedsięwzięcia.

Jori z wprawą cofnął zaprzęg, ustawiając tył wozu dokładnie na wprost otwartych w czerń dwuskrzydłowych drzwi.

- No, to masz - oznajmił Richardowi.

Jak na chudego woźnicę była to bardzo długa mowa. Potem wyciągnął bochenek chleba i bukłak napęczniony piwem i zszedł z wozu, żeby znaleźć sobie miejsce poniżej na wzgórzu, gdzie mógłby usiąść i patrzeć na budowę, kiedy Richard będzie rozładowywał żelazo.

W kuźni było ciemno i przeraźliwie gorąco, nawet w zewnętrznym, zapchanym magazynie. Ściany właściwej kuźni, tak jak wszędzie, były pokryte kopciem. Okna ograniczono do minimum; głównie mieściły się wysoko i były zakryte okiennicami, żeby łatwiej można oceniać rozżarzony metal.

Dopiero co zbudowano kuźnię do prac przy pałacu, a już wyglądała na stuletnią. Prawie wszędzie leżały w oszałamiającym nieładzie jakieś



narzędzia. Były tam całe sterty, stosy narzędzi. Na krokwiach zawieszono szczypce, tygle i tygielki, kątowniki, cyrkle i rozmaite narzędzia, niczym wielkie insekty używane do spajania części. Niskie ławy, najwyraźniej zbite w pośpiechu, obwieszono sztancami i przebijarkami. Na niektórych ławach ustawiono mniejsze kamienie szlifierskie. W nacięciach wokół części stołów tkwiły setki pilników i tarników. Inne z niskich stołów były pokryte takim mnóstwem najrozmaitszych pobijaków, jakich istnienia Richard nawet sobie nie wyobrażał; sterczące w górę trzonki sprawiały, że blaty wyglądały jak wielkie poduszki do szpilek.

Podłoga była zagracona: leżały na niej skrzynie, z których wysypywały się jakieś części; sztabki; nity; kliny; żelazne pręty; zrzynki; lewarki; pogięte tygle; nożyce blacharskie; kawałki łańcucha; drewniane przesiewarki do rudy; bloki i rozmaite nasadki na kowadła. Wszystko było pokryte sadzą, kurzem i opiłkami.

Szerokie, niskie cebrzyki pełne cieczy stały wokół kowadeł, na których robotnicy kuli trzymane w szczypcach rozżarzone żelazo. Rozpłaszczali je, rozciągali, odcinali, przycinali i kształtowali. Gorący metal syczał i dymił, kiedy zanurzano go w cieczy. Inni wykorzystywali róg swojego kowadła, żeby wygiąć metal, który wyglądał jak uwięziony w szczypcach fragment zachodu słońca. Podnosili te fascynujące fragmenty i przymierzali je do szablonów, jeszcze trochę kuli metal i znów sprawdzali zgodność z szablonem.

Richard ledwo mógł zebrać myśli w tym hałasie.

W mroku kuźni jakiś robotnik obsługiwał wielki miech kowalski, napierając ze wszystkich sił. Ogień ryczał w strumieniu powietrza. Węgiel drzewny wysypywał się z koszy stojących wszędzie tam, gdzie znaleziono dla nich miejsce. W szafeczkach leżały rurki i jakieś kawałki metalu. O ławy, stoły i deski oparto metalowe obręcze. Niektóre z nich były do cebrzyków, inne, większe, do kół wozów. Tu i ówdzie na podłodze leżały szczypce i młoty, tak jak je rzucili robotnicy w pośpiechu pracy nad rozpalonym żelazem.

Richard jeszcze nigdy nie widział tak wspaniałego bałaganu.

Niedaleko, przy drzwiach do innej pracowni, stał mężczyzna w skórzanym fartuchu. Trzymał tabliczkę pokrytą płataniną linii i wpatrywał się w metalowe sztaby zaścielające podłogę w tamtym pomieszczeniu.

Richard czekał, nie chcąc mu przeszkadzać. Muskularne, ubrudzone sadzą ramiona mężczyzny lśniły od potu. Stukał się kredą w wargę i namyślał, potem startł linię na tabliczce i narysował ją na nowo, zmieniając punkty przyłożenia.

Richard zmarszczył brwi, przyglądał się rysunkowi. Był jakby znajomy, choć nie można było powiedzieć, co właściwie przedstawia.

- Jesteś mistrzem kowalskim? - spytał chłopak, kiedy tamten obejrzał się nań przez ramię.

Twarz mężczyzny trwale zastygła w groźnym marsie. Włosy miał obcięte tuż przy skórze - dobry zwyczaj ze względu na bliskość ognia i rozżarzonego żelaza - co nadawało mu jeszcze groźniejszy wygląd. Był średniego wzrostu, muskularny; jego pewność siebie sprawiała, że wyglądał na wazniaka, który poradzi sobie z każdym problemem. Spojrzenia i zachowanie jego robotników świadczyły, że się go boją.

Richard, wiedziony niewytłumaczalnym odruchem, wskazał linię, którą tamten dopiero co narysował.

- To jest źle. To, co właśnie narysowałeś. Górny koniec jest prawidłowo, ale dolny powinien iść o tu, a nie tam, gdzie go dałeś.

Tamten nawet nie mrugnął.

- A wiesz chociaż, co to jest?

- Nie całkiem, ale...

- To jak śmiesz mówić mi, gdzie mam dać tę podporę? - Sprawiał wrażenie, że chciałby wrzucić Richarda do pieca w kuźni i stopić.

- Sam nie wiem, prawdę mówiąc. Coś mi mówi, że...

- Lepiej, żebyś był tym człowiekiem z żelazem.

- I jestem - odparł chłopak, rad ze zmiany tematu. Żałował, że się przedtem odezwał, ale przecież tylko próbował pomóc. - Gdzie mógłbym...

- Gdzie byłeś przez cały dzień? Mówiono mi, że dostanę żelazo rankiem. Coś robił? Spałeś do południa?

- Ach nie, panie. Pojechaliśmy prosto do odlewni. Ishaq wysłał mnie tam o świcie. Ale człowiek z odlewni miał problemy, bo...

- Nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałeś, że masz żelazo. Już i tak jest późno. Zładuj je.

Richard rozejrzał się. Nie było ani odrobiny miejsca.

- Gdzie mam je złożyć?

Mistrz kowalski łypnął gniewnie na zapchaną izbę, jakby się spodziewał, że choć kilka stert dostanie nóg i się usunie. Ale tak się nie stało.

- Gdybyś się zjawił o właściwej porze, tobyś je tu złożył, tuż za drzwiami, w zewnętrznym magazynie. Ale teraz przywieźli te duże sanie do kamienia, które trzeba zgrzać, więc musisz złożyć żelazo z tyłu. Następnym razem prędzej wyłaź z łóżka.

Richard starał się być uprzejmy, ale zaczynał tracić cierpliwość do połajanek kowala, który miał zły dzień.

- Ishaq wyraźnie powiedział, że dostaniesz dzisiaj żelazo, i wysłał mnie, żebym tego dopilnował. Mam twoje żelazo. I nie sędzę, żeby ktoś inny tak szybko je dostarczył.

Ręka z tabliczką opadła. Gniewny wzrok tamtego po raz pierwszy skupił się na Richardzie. Robotnicy, którzy usłyszeli słowa chłopaka, pospiesznie zajęli się pilną robotą trochę dalej.

- Ile żelaza przywiozłeś?

- Pięćdziesiąt ośmiostopowych sztab.

Tamten gniewnie sapnął.

- Zamówiłem sto. Nie rozumiem, czemu wysłali z wozem jakiegoś idiotę, kiedy...

- Chcesz usłyszeć, jak jest, czy wolisz sobie pokrzyczeć? Jeżeli wolisz bez potrzeby i efektu strzępić język, to proszę bardzo, bo mi twoje tyrady nie przeszkadzają. Ale jeśli w końcu zechcesz poznać prawdę o sprawie, to uprzedź mnie o tym, a opowiem ci.

Kowal przez chwilę gapił się nań w milczeniu jak na uprzykrzonego trzmiela.

- Jak się nazywasz?

- Richard Cypher.

- No, to jak się rzeczy mają, Richardzie Cypherze?

- Odlewnia chciała zrealizować zamówienie. Mają żelaznych sztab aż po krawie. Nie mogą się ich pozbyć. Chcieli dać mi całe twoje zamówienie, jednak tamtejszy inspektor przewozowy nie pozwolił nam zabrać wszystkich stu sztab, bo inne kompanie przewozowe powinny dostawać takie same ładunki, ale mają popsute wozy.

- Czyli wozy Ishaqa mogą zabrać tylko swoją część, a należało mu się pięćdziesiąt.

- Właśnie - potwierdził Richard. - Przynajmniej dopóki inne kompanie czegoś nie przewiozą.

Kowal skinął głową.

- Odlewnia bardzo chce sprzedać mi całe żelazo, którego potrzebuję, ale ja nie mogę go tutaj dostać. Nie wolno mi go przewieźć, bo pozbawiłbym pracy takich jak ty robotników przewozowych.

- Gdyby to zależało ode mnie - stwierdził Richard - to jeszcze dzisiaj wróciłbym po kolejny ładunek, ale powiedzieli, że nie mogą mi dać więcej co najmniej do przyszłego tygodnia. Proponowałbym, żebyś skłonił każdą kompanię przewozową, jaką znajdziesz, by ci dostarczyła jeden transport. W ten sposób prędzej dostaniesz, ile ci trzeba.

Kowal po raz pierwszy się uśmiechnął. To było rozbawienie głupotą pomysłu Richarda.

- A nie sądzisz, że już to zrobiłem? Mam zamówienia we wszystkich. W tej chwili tylko Ishaq ma sprzęt. Cała reszta ma kłopoty z wozami, z końmi lub z robotnikami.

- Przynajmniej dostarczyłem ci pięćdziesiąt sztab.

- To mi wystarczy zaledwie na resztę dnia i jutrzejszy ranek. - Kowal się odwrócił. - Tędy. Pokażę, gdzie możesz je zładować.

Poprowadził Richarda przez zatłoczony warsztat, wśród plątaniny ludzi i metalu. Stamtąd przeszli do krótkiego łącznika. Hałas zostawili za sobą. Znaleźli się w cichej dobudówce stojącej oddzielnie i tylko przejściem połączonej z główną bryłą kuźni. Kowal odczepił z kołka linkę i odsłonił świetlik w dachu.

Snop światła padł na środek dużego pomieszczenia; stał tam wielki blok marmuru. Richard wpatrywał się w oszałamiające kamienne serce góry.

Wydawało się zupełnie nie na miejscu, tutaj, w kuźni. W przeciwległej ścianie znajdowały się duże wierzeje - to tędy wciągnięto na płozach ów monolit. Wokół olbrzymiej bryły było pusto. Z uchwytów na smoliście czarnych ścianach sterczały najrozmaitsze dłuta i różnej wielkości pobijaki.

- Tam, z boku, możesz położyć sztaby. Ale uważaj, jak je będziesz wnosić.

Richard zamrugał. Niemal zapomniał, że kowal jest tu wraz z nim. Dalej patrzył na lśniącą bryłę.

- Będę ostrożny - odparł, nie spoglądając na kowala. - Nie uderzę w kamień.

Mistrz miał już wyjść, kiedy Richard się odezwał:

- Powiedziałem ci, jak się nazywani. A ty?

- Cascella.

- I jeszcze jakoś?

- Tak. Pan. I żebyś o tym pamiętał.

Richard uśmiechnął się, idąc za nim.

- Tak, panie. Panie Cascella. A czy mogę zapytać, co to takiego?

Kowal stanął i odwrócił się. Spojrzał na skąpany w świetle marmur, jakby to była jego ukochana.

- Nie twój interes.

Richard skinął głową.

- Spytałem tylko dlatego, że to wspaniały kawał kamienia. Przedtem zawsze widywałem marmur już jako posąg lub coś innego.

Pan Cascella obserwował Richarda wpatrzonego w marmur.

- Tu wszędzie pełno marmuru. Tysiące ton. To zaledwie jeden niewielki kawałek. A teraz rozładuj moje zmniejszone zamówienie na żelazo.

Zanim Richard wykonał robotę, był zlany potem i brudny, nie tylko od sztab żelaza, ale i od sadzy z kuźni. Spytał, czy mógłby zużyć trochę deszczówki, w której robotnicy myli się po pracy. Powiedzieli mu, że i owszem. Potem znalazł pana Cascellę nad tablicą, samego w nagle ucichłej kuźni, nanoszącego poprawki na rysunek i wypisującego z boku cyfry.

- Skończyłem, panie Cascella. Ułożyłem sztaby z boku, z dala od marmuru.

- Dzięki - wymruczał mistrz.

- Czy mogę zapytać, ile masz zapłacić za te pięćdziesiąt sztab żelaza?

Mars powrócił.

- Co cię to obchodzi?

- Z tego, co słyszałem w odlewni, wynika, że właściciel chciał wysłać całe zamówienie, żeby dostać trzy i pół złotej marki. Skoro dostałeś tylko połowę, to według mnie zapłacisz złotą markę siedemdziesiąt pięć za pięćdziesiąt sztab żelaza. Dobrze wyliczyłem?

Mars się pogłębił.

- Jak już pytałem, co cię to obchodzi?

Richard wsunął ręce w tylne kieszenie spodni.

- Cóż, zastanawiałem się, czy nie kupiłbyś kolejnych pięćdziesięciu sztab

za złotą markę pięćdziesiąt.

- Czyli jesteś i złodziejem.

- Nie, panie Cascella, nie jestem złodziejem.

- To czemu chcesz mi sprzedać żelazo ćwierć marki taniej niż odlewnia? Czyżbyś nocami wytapiał rudę żelaza w swojej izbie, panie Richardzie Cypherze?

- Chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia, czy nie?

Kowal skrzywił się z irytacją.

- Mów.

- Ten z odlewni był wściekły, bo nie pozwolono mu odesłać całego twojego zamówienia. Ma więcej żelaza, niż może sprzedać, bo nie pozwalają mu go samemu przewozić, a wszystkie kompanie przewozowe są w tarapatkach i się nie pokazują. Powiedział, że sprzedałby mi je taniej.

- Dlaczego?

- Potrzebuje pieniędzy. Pokazał mi wystygłe piece. Musi zapłacić ludziom, kupić węgiel drzewny, rudę i rtęć, a brakuje mu pieniędzy na to wszystko. Ma tylko mnóstwo przetopionego metalu. Jego firma się dusi, bo nie może przewieźć swoich wyrobów. Pytałem, za ile by mi sprzedał żelazo, gdyby nie musiał go przewozić, gdybym sam je zabrał. Powiedział, że jeżeli się zjawię po zmierzchu, to sprzeda mi pięćdziesiąt sztab za złotą markę dwadzieścia pięć. Jeśli chcesz je ode mnie kupić za półtora, to dostarczę ci rano pięćdziesiąt sztab, bo, jak mówiłeś, wtedy będą ci potrzebne.

Kowal wpatrywał się w Richarda, jakby ten był metalową sztabą, która na jego oczach ożyła i zaczęła mówić.

- Wiesz, że chcę zapłacić markę i trzy czwarte, więc czemu oferujesz mi żelazo za półtorej?

- Bo chcę je sprzedać taniej - wyjaśniał Richard - niżbyś musiał zapłacić kompanii przewozowej, i dlatego wolałbyś je kupić ode mnie. I jeszcze dlatego, że chcę, żebyś mi pożyczył złotą markę i ćwierć, bym mógł kupić sztaby w odlewni i dostarczyć je tobie. Bo sprzedadzą mi je tylko wtedy, kiedy zapłacę, jak po nie przyjdę.

- A co cię powstrzyma od zniknięcia z moją złotą marką i ćwiercią?

- Moje słowo.

- Twoje słowo? - roześmiał się kowal. - Nie znam cię.

- Powiedziałem ci, że nazywam się Richard Cypher. Ishaq śmiertelnie się

ciebie boi i kazał mi dostarczyć twoje żelazo, żebyś mu nie skrzył karku.

Pan Cascella znów się uśmiechnął.

- Nie skrzyję Ishaqowi karku. Lubię go. Wiem, że jest w kropce. Ale nie mów mu, że to powiedziałem. Wolę, żeby się stale miał na baczności.

Richard wzruszył ramionami.

- Skoro nie chcesz, to mu nie powiem, że się potrafisz uśmiechać. Wiem jednak, że jesteś w jeszcze większej kropce niż Ishaq. Musisz dostarczać wyroby Ładowi, a jesteś zależny od łaski zasad i urzędników.

Kowal znów się uśmiechnął.

- No, to kiedy się tu zjawisz z wozem, Richardzie Cypherze?

- Nie mam wozu. Ale jeśli się zgodzisz, złożę ci te pięćdziesiąt sztab na stertę o tam. - Chłopak wskazał miejsce pod dwuskrzydłowymi drzwiami, gdzie Jori zostawił wóz. - O świcie.

Pan Cascella zmarszczył brwi.

- Skoro nie masz wozu, to jak dostarczysz tutaj te sztaby? Piechotą?

- Właśnie.

- Masz źle w głowie?

- Nie mam wozu, a chcę zarobić pieniądze. To wcale nie jest tak daleko. Mógłbym przenieść pięć sztab za jednym razem. To byłoby tylko dziesięć spacerków. Dam radę do świtu. Jestem przyzwyczajony do chodzenia.

- Powiedz mi do końca, dlaczego chcesz to zrobić. No słucham.

- Moja żona dostaje za mało najedzenie. Grupa związkowa zabiera większość moich zarobków, bo jestem zdolny do pracy, i oddaje tym, którzy nie pracują. Ponieważ mogę pracować, stałem się niewolnikiem tych, którzy pracować nie mogą lub nie chcą. Te metody skłaniają ludzi do wyszukiwania sobie wymówek i zwalania na innych troski o nich. Okropnie nie lubię być niewolnikiem. Uznałem, że cię skuszę lepszą ceną. Każdy z nas coś zyska.

- Skoro już mamy razem działać, to co zamierzasz zrobić z tymi pieniędzmi? Życ za nie jakiś czas? Przepić je?

- Potrzebne mi, żeby kupić wóz i konie.

Kowal znów się zachmurzył.

- Po co ci wóz?

- Żeby ci dostarczać żelazo, które ode mnie kupisz, bo mogę je dla ciebie taniej dostać i dostarczyć wtedy, kiedy jest ci potrzebne.

- Chcesz, żeby cię pochowali w niebie?

- Nie. - Richard uśmiechnął się. - Po prostu pomyślałem, że imperator chce, żeby mu zbudowano pałac. Z tego, co słyszałem, wynika, że mają tam mnóstwo niewolników do pracy, ludzi, których pojmano. Ale nie mają tylu niewolników, żeby dali radę wszystko zrobić. Potrzebują ludzi takich jak ty i ci z odlewni. Jeżeli oficjele Ładu chcą, żeby prace posuwały się naprzód, nie zaś tłumaczyć się Jagangowi, dlaczego tak nie jest, będą skłonni przymknąć oczy. I tu właśnie nadarza się okazja. Spodziewam się, że będę musiał przekupić paru urzędników, żeby byli zajęci gdzie indziej, kiedy przyjadę po towar, ale to już wliczyłem w koszty. Będę działał na własny rachunek, a nie w imieniu kompanii przewozowej, więc będą bardziej skłonni patrzeć na to przez palce. Dzięki temu uzyskają to, czego chcą, bez konieczności zawieszania czy łamania tej gęstwy restrykcji. Ty dostaniesz żelazo za niższą od obecnej cenę, a ja będę je dowozić. Po wyższej cenie nawet byś nie mógł dostać tego, czego ci trzeba. I ty więcej zarobisz. Obaj skorzystamy.

Kowal przez chwilę patrzył przed siebie, starając się znaleźć słaby punkt planu Richarda.

- Alboś najgłupszy oszust, jakiego w życiu widziałem, albo... nawet nie wiem co. Czuję jednak na karku oddech Brata Nareva i nie jest to miłe. Pewno nie powinienem ci tego mówić, ale wiesz, jak Ishaq się poci na wzmiankę o mnie. Ja się pocę dziesięć razy bardziej, kiedy Brat Narev przychodzi pytać, czemu narzędzia nie są gotowe. Bracia nie lubią słuchać o moich kłopotach. Chcą tego, czego chcą.

- Rozumiem, panie Cascella.

Tamten westchnął.

- No dobrze, Richardzie Cypherze, półtorej złotej marki za pięćdziesiąt sztab dostarczonych do świtu. Ale teraz dostaniesz tylko jedną i ćwierć. Reszta rano, kiedy moje żelazo już tu będzie.

- Zgoda. A kto to ten Brat Narev?

- Brat Narev? To arcykapłan...

- Czyżbym słyszał, jak ktoś wymienia moje imię? - Głos był tak tubalny, że omal nie zagrzechotały narzędzia na ścianach.

Richard i kowal odwrócili się i zobaczyli człowieka nadchodzącego od węgła kuźni. Ciężkie szaty uwydatniały jego dużą kościstą postać. W głębokich bruzdach twarzy gromadziły się mroki zapadającego wieczoru. Ciemne oczy lśniły spod czoła pokrytego płataniną siwiejących włosów.



Sztywne włosy ponad uszami wywijały się spod obrzeża ciemnego plisowanego biretu. Biret sięgał do połowy czoła. Ów mężczyzna wyglądał jak cień, który ożył, żeby kroczyć po świetle.

Pan Cascella skłonił się. Richard poszedł w jego ślady.

- Właśnie omawialiśmy sprawę dostaw odpowiedniej ilości żelaza, Bracie Narevie.

- Gdzie są moje nowe dłuta, kowalu?

- Muszę jeszcze...

- Mam tu marmur, a brak mi dłut. Mam kamieniarzy, którzy potrzebują więcej narzędzi. Wstrzymujesz budowę mojego pałacu.

Kowal wskazał Richarda.

- To Richard Cypher, Bracie Narevie. Właśnie opowiadał, że ma pomysł, jak dostarczyć mi potrzebne żelazo, i...

Arcykapłan uniósł dłoń, nakazując milczenie.

- Możesz dostarczyć kowalowi, czego mu trzeba?! - warknął do Richarda.

- Można to zrobić.

- Więc zrób to.

- Jak rozkazałeś, Bracie Narevie. - Richard skłonił głowę.

Mroczna postać odwróciła się ku kuźni.

- Pokaż, kowalu.

Kowal wiedział, czego chce arcykapłan, i ruszył za nim, dając Richardowi znak, by szedł za nimi. Chłopak zrozumiał: nie dostanie pieniędzy na żelazo, dopóki kowal nie wypełni rozkazu ważnej osobistości, która właśnie zniknęła w mrokach kuźni.

Kiedy kowal pstryknął palcami i wskazał lampę, obok której przechodził, Richard natychmiast ją złapał. Zapalił długą drzazgę od żaru w palenisku i zaświecił lampę. Trzymał ją nad dwoma mężczyznami stojącymi w drzwiach do pomieszczenia z ułożoną na podłodze skomplikowaną konstrukcją z żelaznych sztab.

Pan Cascella uniósł tablicę ku światłu. Brat Narev spojrział na rysunek, a potem na leżącą na podłodze płataninę żelaznych sztab i porównał je.

Nagle Richard uświadomił sobie, czym było to coś na podłodze, i poczuł lodowate mrowienie u podstawy czaszki.

Brat Narev wskazał na rysunek, na linię, która według Richarda była źle narysowana.

- Ta linia jest zła - burknął.

- Ale o tu musiałem ustabilizować ciężar. - Kowal przesunął palcem nad kredowym rysunkiem.

- Mówiłem, żebyś dodał klamry. Nie życzę sobie, żebyś zniszczył główny zarys. Możesz tu zostawić górny koniec wspornika, ale dół powinien być zamocowany... tu.

Brat Narev wskazał to samo miejsce, które wcześniej wskazał Richard. Pan Cascella podrapał się po głowie i łypnął przez ramię na chłopaka. Już długo na niego gniewnie nie patrzył.

- To powinno się udać - przyznał mistrz. - Nie będzie łatwe, ale zadziała.

- Nie interesuje mnie, czy to łatwe - rzekł groźnie Brat Narev. - Nie chcę, żeby tu było cokolwiek przymocowane.

- Oczywiście, panie.

- Musi być bez spojeń, żeby nic się nie przebijało. Żadna spoina nie może się przebijać, kiedy się to pokryje złotem. Najpierw dostarcz mi te narzędzia.

- Tak, Bracie Narevie.

Arcykapłan zwrócił niepokojąco badawcze spojrzenie na Richarda.

- Jest w tobie coś... Czy ja cię znam?

- Nie, Bracie Narevie. Nigdy przedtem cię nie spotkałem. Pamiętałbym. Spotkanie z tak dostojną osobą jak ty, chciałem rzec. Zapamiętałbym to.

Brat Narev zerknął spode łba na Richarda.

- Tak, sądzę, że byś pamiętał. Dostarcz kowalowi to żelazo.

- Powiedziałem, że to zrobię.

Brat chrząknął z irytacją.

- I zrobisz.

Kiedy wysoki cień człowieka patrzył Richardowi w oczy, chłopak odruchowo sięgnął do miecza, żeby się upewnić, czy lekko chodzi w pochwie. Miecza nie było.

Brat Narev otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale jego uwagę przyciągnęli dwaj młodzi ludzie wchodzący do kuźni. Byli w szatach, jak arcykapłan, ale nie mieli biretów. Na głowy nasunęli zwykłe kaptury.

- Bracie Narevie! - zawołał jeden z nich.

- O co chodzi, Nealu?

- Nadeszła księga, po którą posyłałeś. Chciałeś, żebyśmy od razu po ciebie przyszli.

Brat Narev skinął głową swojemu młodemu uczniowi, a potem obrzucił cierpkim spojrzeniem pana Cascellę i Richarda.

- Zróbcie, co należy.

Obaj skłonili głowy, kiedy arcykapłan dumnie wymaszerował z kuźni.

Jakby chmura burzowa zniknęła za horyzontem.

- Chodź. Dam ci złoto - rzekł pan Cascella.

Richard poszedł za nim do małej izdebki, gdzie mistrz kowalski wyciągnął żelazną kasetę przymocowaną potężnym łańcuchem do solidnej przetyczki, którą wbito w podłogę pod deską służącą mu za biurko. Otworzył kasetę i podał Richardowi złotą markę.

- Victor.

Chłopak podniósł wzrok znad złotej marki i zmarszczył brwi.

- Słucham?

- Victor. Pytałeś, co stoi przed moim nazwiskiem. - Dołożył srebra, żeby było jeszcze ćwierć marki. - Victor.

## ROZDZIAŁ 49

Richard wyszedł od Ishaq'a i - zanim poszedł po żelazo dla Victora - pospieszył do swojego mieszkania. Nie na obiad, ale żeby powiedzieć Nicci, że musi wracać do pracy. Dała mu wyraźnie do zrozumienia, że są mężem i żoną i że złym okiem będzie patrzeć na jego znikanie. Miał tkwić w Altur'Rang i pracować jak każdy zwyczajny człowiek.

Czekał na niego Kamil z jednym z przyjaciół. Obaj mieli koszule.

Richard stanął u stóp schodów i spojrzał na młodzieńców.

- Przykro mi, Kamilu, ale muszę wracać do pracy...

- To jesteś większym naiwniakiem, niż mi się zdawało: i w nocy brać robotę. Powinieneś sobie odpuścić. Nie ma po co się tak starać. Trzeba brać, co życie ci niesie. Wiedziałem, że znajdziesz wymówkę, żeby nie zrobić tego, co miałeś. Prawie zacząłem myśleć, że jesteś inny niż...

- Zamierzałem powiedzieć, że muszę wracać do pracy, więc zajmijmy się tym od razu.

Kamil wykrzywił usta, jak zawsze, gdy chciał wyrazić odrazę do starszych i głębszych niż on.

- To Nabbi. On też chce się przyglądać tej głupiej robocie.

Richard skinął głową, nie okazując irytacji arogancją Kamila.

- Miło mi cię poznać, Nabbi.

Trzeci młodzian słał gniewne spojrzenia z mroków przy schodach w głębi korytarza. Był największy. I nie miał koszuli.

Żeby rozebrać schody, Richard posłużył się nożem i zardzewiałą metalową listwą, którą znalazł mu syn gospodarza. To nie było trudne - same się rozpadały. Richard oczyścił wyżłobienia w policzkach schodowych. Były wyrobione, więc je pogłębił, pokazując chłopcom, co robi, i tłumacząc, jak okantuje brzegi stopni, żeby się wpasowały w pogłębiony rowek. Obserwował, jak Kamil i Nabbi strugali kliny według wzorca, który im przygotował. Byli zachwyceni, że mogą mu pokazać, jak sprawnie pracują nożami; on też był zachwycony, bo dzięki temu szybciej skończył zajęcie.

Kiedy już wszystko było gotowe, Kamil i Nabbi przebiegli w górę i w dół po naprawionych schodach, najwyraźniej zdumieni, że naprawdę nie uginają się pod stopami, i zadowoleni, że i oni mają w tym swój udział.

- Obaj dobrze się spisaliście - pochwalił ich Richard, bo istotnie tak było, a oni darowali sobie dowcipne uwagi i tylko się uśmiechnęli.

Kolacja chłopaka składała się z wodnistej owsianki jedzonej przy świetle płonącego knota zanurzonego w oleju lnianym. Zapasek tego prostego źródła światła niezbyt pasował do dania, w którym było więcej wody niż papki z prosa. Nicci powiedziała, że już jadła i więcej nie chce. Zachęcała go, żeby zjadł wszystko.

Richard nie podał Siostrze szczegółów swojej drugiej pracy. Nalegała tylko, żeby pracował, ale rodzaj zajęcia jej nie obchodził. Zajmowała się domem i oczekiwała, że on zarobi na życie. Wydawała się zadowolona z tego, że chłopak poznaje na własnej skórze, jak ciężko muszą pracować zwykli ludzie, żeby jako tako dać sobie radę w życiu. Obietnica większych pieniędzy na jedzenie zapaliła w oczach Nicci błysk tęsknoty, której nie wyraziła słowami. Richard zauważył, że czarna tkanina opinająca jej niegdyś pełne piersi wisi teraz luźno. Łokcie i dłonie stały się kościste.

Nabrał kolejną łyżkę owsianki, a Nicci wspomniała, że zachodził do nich gospodarz, ojciec Kamila. Chłopak podniósł wzrok znad talerza.

- Co powiedział?

- Powiedział, że ponieważ masz pracę, obywatelski okręgowy komitet blokowy nałożył na nas dodatkowy czynsz, żeby pomóc płacić czynsz tym z mieszkańców okolicznych domów, którzy nie mogą pracować. Widzisz, Richardzie, jak życie według zasad Ładu rozwija w ludziach opiekuńczość, dzięki czemu wszyscy pracujemy dla wspólnego dobra?

Prawie wszystko, co zostawiał związek robotników, zabierał okręgowy komitet blokowy - albo jakiś inny komitet - i zawsze w tym samym celu: by poprawić dolę obywateli Ładu. Richardowi i Nicci prawie nic nie zostawało na jedzenie. Ubrania chłopaka stawały się coraz luźniejsze, chociaż nie aż tak jak suknie Nicci.

Siostra wydawała się zadowolona z tego, że będą płacić wyższy czynsz; przynajmniej żywność była względnie tania - kiedy można ją było kupić. Ludzie mówili, że tylko dzięki łasce Stwórcy i mądrości Ładu mogą sobie w ogóle kupić coś do jedzenia. Richard słyszał w magazynie Ishaqa, że za odpowiednią sumę można zdobyć obfitszą i bardziej urozmaiconą żywność. Ale nie miał na to pieniędzy.

Gdy jechał z Jorim do odlewni, a potem do kowala, dostrzegł w oddali

domy, które wyglądały na dość zamożne. Tymi ulicami chodzili dobrze ubrani ludzie. Niektórzy jechali powozami. Byli to ludzie, którzy ani nie brudzili sobie rąk, ani nie kalali sumień czarną robotą. Byli to ludzie prawa. Byli to urzędnicy czuwający nad tym, żeby zdolni do pracy poświęcali się dla sprawy Ładu.

- Poświęcenie to moralny obowiązek wszystkich ludzi - oznajmiła prowokująco Nicci, widząc, jak chłopak zaciska zęby.

Richard nie zdołał się ugryźć w język.

- Ofiara z siebie to ohydne i bezsensowne samobójstwo niewolników.

Nicci wbiła weń wzrok. Zupełnie jakby powiedział, że mleko matki jest trucizną dla noworodka.

- Richardzie, jeszcze nigdy nie usłyszałam od ciebie czegoś równie okrutnego.

- Takim okrucieństwem jest powiedzieć, że nie poświęcę się radośnie dla takiego zbira jak Gadi? Albo dla innego rzezimieszka, którego nawet nie znam? Okrucieństwem jest nie chcieć z ochotą poświęcić tego, co moje, dla jakiejś chciwej kanalii pływającej żądzą opływania w złupione dobra, których sama nie wypracowała, nawet za cenę krwi swoich ofiar? Jedyne uzasadnione poświęcenie to ofiara dla wysoko cenionej wartości, w imię życia, wolności własnej lub tych, których się szanuje i kocha: takie jak moje poświęcenie za cenę życia Kahlan. Całkowite zaparcie się siebie oznacza, że jesteś niewolnikiem, który musi oddać to, co ma najcenniejsze - swoje życie - każdemu bezczelnemu złodziejowi, który tego zażąda. Samobójcze samopoświęcenie to wymaganie narzucane niewolnikom przez ich właścicieli. Skoro mam nóż na gardle, to przecież nie dla mego dobra daję się odzierać z tego, co zarabiam własnymi rękami i rozumem. To się dzieje dla dobra tego z nożem i tych, którzy korzystając z przewagi liczebnej, a nie umysłowej, dyktują, co jest najlepsze dla wszystkich: tych, co go zachęcają okrzykami, żeby mogli zlizać każdą kroplę krwi, którą zostawi im władca. Życie jest drogocenne. To dlatego warto się poświęcać w imię wolności; bo działasz dla samego życia i swojej zdolności do życia, bo życie bez wolności to powolna, nieunikniona śmierć samobójcza dla „dobra” ludzi, czyli zawsze kogoś innego niż ty. Ludzie to zbiorowisko jednostek. Dlaczegoż to życie kogoś innego miałoby być ważniejsze, cenniejsze, wartościowsze niż twoje? Bezmyślnie wymuszone poświęcenie to idiotyzm.

Nicci wpatrywała się nie w niego, ale w płomyk tańczący na powierzchni zbiorniczka z olejem.

- W gruncie rzeczy wcale tak nie myślisz, Richardzie. Po prostu jesteś zmęczony i zły, że musisz i w nocy pracować, żeby jakoś sobie radzić. Powinieneś sobie uświadomić, że ci inni, którym pomagasz, są tutaj, żeby wspierać społeczność, w tym i ciebie, gdybyś to ty znalazł się w trudnej sytuacji.

Richard nie zadał sobie trudu dyskusowania z nią, powiedział jedynie:

- Żał mi ciebie, Nicci. Nawet nie znasz wartości własnego życia. Poświęcenie się nic by dla ciebie nie znaczyło.

- To nieprawda, Richardzie - wyszeptała. - Poświęcam dla ciebie... zostawiłam tobie całe nasze proso, żebyś miał siłę.

- Siłę stać prosto, kiedy marnuję życie? Dlaczego poświęciłaś swoją kolację, Nicci?

- Bo tak właśnie należało zrobić: dla dobra innych.

Kiwnął głową, przyglądając się jej w słabym świetle.

- Wystawiłabyś swoje życie na niebezpieczeństwo, głodując dla innych, wszystko jedno dla kogo. - Wskazał kciukiem przez ramię. - A co z tym zbirem Gadim? Zagłodziłabyś się, żeby on mógł jeść? To mogłoby mieć jakieś znaczenie, Nicci, gdybyś się poświęciła dla kogoś, kogo cenisz, ale tak nie jest. To poświęcenie dla jakiegoś głupiego, ponurego wymysłu Ładu.

Nie odpowiadała, więc postawił przed nią resztę swojej owsianki.

- Nie chcę twojego bezsensownego poświęcenia.

Przez całą wieczność wpatrywała się w miseczkę. Richardowi było jej żal, współczuł jej, że nie potrafi tego wszystkiego zrozumieć. Pomyślał, co też by się mogło przytrafić Kahlan, gdyby Nicci rozchorowała się z głodu.

- Jedz, Nicci - powiedział łagodnie.

W końcu wzięła łyżkę i zrobiła, jak polecił. Kiedy skończyła, spojrzała nań swoimi błękitnymi oczami, które tak pragnęły zobaczyć coś, czego nie potrafił jej ukazać. Przesunęła pustą miseczkę na środek stołu.

- Dziękuję za posiłek, Richardzie.

- Dlaczego mi dziękujesz? Jestem wbrew mej woli bezinteresownym niewolnikiem i z zasady mam się poświęcić dla każdej bezwartościwej osoby, która przedstawi mi swoje potrzeby. - Ruszył ku drzwiom. Położył dłoń na obluzowanej kłamce i odwrócił się. - Muszę iść, bo stracę robotę.

Kiwnęła głową; wielkie błękitne oczy były pełne łez.

Richard odbył pierwszy spacer z odlewni do kuźni Victora, niosąc ciemnymi ulicami pięć sztab. Kilku ludzi patrzyło ze zdumieniem z okien na człowieka dźwigającego brzemię. Dziwili się, nie pojmując znaczenia jego czynu. Pracował wyłącznie dla własnej korzyści.

Zgięty pod ciężarem, chłopak stale sobie powtarzał, że jeśli za każdym razem weźmie pięć sztab, to czeka go tylko dziesięć spacerków, a im mniej spacerków, tym lepiej. Przeniósł pięć sztab i za drugim, i za trzecim razem. Kiedy czwarty raz wrócił do odlewni, postanowił, że zrobi dodatkowy spacer, by dać sobie trochę odpoczynku, i kilka razy weźmie tylko po cztery sztaby. Stracił rachubę, ile razy chodził tam i z powrotem w pustce nocy. Przedostatnim razem z trudem podniósł tylko dwie sztaby. Zostały jeszcze trzy. Zmusił się, żeby je przenieść w ostatniej kolejce, zamieniając dodatkowy wysiłek na krótszy dystans.

Trzy ostatnie sztaby doniósł do kuźni Victora przed świtem. Ramiona miał podrapane i obolałe. Musiał iść do pracy w magazynie Ishaqa, więc nie mógł czekać na Victora i resztę zapłaty - ćwierć złotej marki.

Dzienna praca była wypoczynkiem po nocnym dźwiganiu metalowych sztab. Jori nie mówił nie pytany, więc Richard położył się na stosie węgla drzewnego i od czasu do czasu przespał kilka minut na podskakującym wozie. Za to był zadowolony, że zrobił to, co obiecał.

Richard wrócił do domu po przeraźliwie długim dniu i stwierdził, że u szczytu schodów czekają na niego Kamil i Nabbi. Obaj byli w koszulach.

- Czekaliśmy, aż wreszcie wrócisz do domu i skończysz robotę - powiedział Kamil.

Richard chwiał się na nogach ze zmęczenia.

- Jaką robotę?

- Schody.

- Zrobiliśmy to wczoraj wieczorem.

- Naprawiłeś tylko schody od frontu. Mówiłeś, że zamierzasz naprawić schody. A te od frontu to zaledwie część. Tylne są dwa razy dłuższe i w gorszym stanie. Chyba byś nie chciał, żeby twoja żona i inne kobiety z tego domu upadły i skręciły kark w drodze do pieca kuchennego czy wygodki, co?

To miał być w ich pojęciu test. Richard wiedział, że straciłby sposobność, gdyby ich zbył niczym. Był tak zmęczony, że nawet nie mógł myśleć.



Nicci wyjrzała zza drzwi.

- Wydawało mi się, że słyszałam twój głos. Chodź na kolację. Zupa na ciebie czeka.

- Masz trochę herbaty?

Nicci spojrzała z ukosa na dwie koszule.

- Mogę przygotować herbatę. Chodź, zajmę się tym, kiedy będziesz jadł zupę.

- Przynies to na tył domu, dobrze? - poprosił Richard. - Obiecałem naprawić schody.

- Teraz?

- Jeszcze przez parę godzin będzie jasno. Zjem, kiedy będziemy pracować.

Kamil i Nabbi zadawali więcej pytań niż wieczorem. Trzeci młodzian, Gadi, przechodził tamtędy od czasu do czasu, kiedy Richard pracował z tamtymi. Gadi, bez koszuli, uznał za stosowne przyjrzeć się Nicci od stóp do głów, kiedy przyniosła mężowi zupę i herbatę.

Kiedy Richard wreszcie skończył, zjawił się w pokoju będącym niegdyś salonem Ishaqa, a teraz domem jego i Nicci. Zdjął koszulę i ochlapał twarz wodą z miednicy. Głowa go bolała.

- Umyj włosy - odezwała się Siostra. - Jesteś brudny. Nie chcę tu wszy.

Richard wołał się nie sprzeczać, że nie ma wszy; zanurzył twarz w wodzie i natarł głowę kawałkiem szorstkiego mydła. To było prostsze niż wybijanie jej z głowy tego pomysłu, żeby mógł pójść spać. Nicci nienawidziła wszy. Uważał, że powinien być wdzięczny, iż w tym udawanym związku trafiła mu się przynajmniej żona czyścioszka. Utrzymywała w czystości pokój, pościel i jego odzież, chociaż trudno było dźwigać wodę ze studni w dole ulicy. Nigdy nie sprzeciwiała się żadnej pracy koniecznej do pozorowania życia zwyczajnych ludzi. Tak ogromnie czegoś pragnęła, że czasami zatracala się w odgrywanej roli i zapominała, że jest Siostrą Mroku, która porwała Richarda - o czym on nieustannie pamiętał. Znów zanurzył głowę i splukiwał mydło z włosów.

- Kim jest Brat Narev? - spytał; strumyczek wody ściekał mu po brodzie do miednicy.

Nicci siedziała na swoim łóżku i szyła; przerwała pracę i spojrzała na niego. Cała robótka wydała się nagle zupełnie nie na miejscu, jakby ta

parodia domowego życia straciła dla niej urok.

- Dlaczego pytasz?

- Spotkałem go wczoraj u kowala.

- Na placu budowy?

Richard potaknął.

- Musiałem tam dostarczyć żelazo.

Znów się pochyliła nad szyciem. Chłopak patrzył, jak w świetle stojącej obok niej lampy z olejem lnianym zrobiła kilka ściągów w łacie na kolanie jego spodni. Wreszcie znów przestała szyc i opuściła rękę na podolek.

- Brat Narev jest arcykapłanem Bractwa Ładu, starożytnej sekty poświęcającej się czynieniu dzieła Stwórcy na tym świecie. Jest sercem i duszą Ładu, jego moralnym przywódcą, by tak rzec. On i jego uczniowie ukazują prawym obywatelom Ładu, jak żyć w zgodzie z zaleceniami wiekuistego Światła Stwórcy. Jest doradcą imperatora Jaganga.

Richard był bardzo zaskoczony. Nie spodziewał się, że Nicci aż tyle wie o całej sprawie. Zjeżyły mu się włosy na karku, obudziła się w nim ostrożność.

- Jakiego rodzaju doradcą?

Nicci wbiła igłę, przeciągnęła długą nitkę.

- Brat Narev był mistrzem Jaganga: jego nauczycielem, doradcą i mentorem. To Brat Narev rozpałił w Jagangu pragnienie czynu.

- Jest czarodziejem, nieprawdaż. - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Podniosła wzrok znad szycia. Widział w jej błękitnych oczach, że zastanawia się, czy mu powiedzieć czy nie, lub też ile chce mu powiedzieć. Jego twarde spojrzenie ostrzegło, że oczekuje całej prawdy.

- Tak mógłbyś go nazwać w potocznym języku.

- Co to znaczy?

- Zwykli ludzie, którzy mało wiedzą o magii, nazwaliby go czarodziejem. Ale mówiąc ściśle, nie jest czarodziejem.

- To kim jest? Mówiąc ściśle.

- Mówiąc ściśle, jest czarownikiem.

Richard wpatrywał się w nią bez słowa. Zawsze uważał, że czarodziej i czarownik to to samo. Kiedy się jednak nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że ludzie znający się na magii nazywali mężczyznę mającego dar wyłącznie czarodziejem. Nigdy nie słyszał, żeby któryś z nich wspominał o

czarownika.

- Czyli jest jak ty, tylko że to mężczyzna?

Trudziła się chwilę nad odpowiedzią.

- Przypuszczam, że mógłbyś to sobie tak tłumaczyć, ale to niezupełnie tak. Skoro chcesz porównywać, musisz uznać, że ma on więcej wspólnego z czarodziejem, ponieważ obaj są mężczyznami. Pojęcie „czarodziejka”, czyli jak nas lud nazywa „czarownica”, wprowadza wątki nie mające nic wspólnego z tematem.

Richard otarł twarz z wody.

- Błagam, Nicci. Całą poprzednią noc nie spałem i ledwo się trzymam na nogach. Porzuć zawilości i teorie i zwyczajnie powiedz mi, co to znaczy.

Odłożyła szycie i dała mu znak, żeby usiadł na swoim łóżku, w pobliżu niej, w świetle. Richard włożył koszulę. Ziewnął i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

- Brat Narev jest czarownikiem - podjęła. - Przepraszam, ale tej różnicy nie da się prosto wytłumaczyć. To ogromnie zawiła sprawa. Postaram się to wytłumaczyć najlepiej, jak zdołam, ale musisz zrozumieć, że nie mogę tego zbyt uproszczyć, bo zaczniesz odbiegać od prawdy. Czarownicy są bardzo podobni do czarodziejów, ale odmienni: mógłbyś rzec, że są jak woda i olej. Oba są ciekłe i w obu można rozpuścić różne rzeczy, ale nie mieszają się i rozpuszczają co innego. Podobnie nie da się połączyć magii czarodzieja i czarownika, nie działają też na to samo. Nie zadziała nic, co on robi przeciwko darowi czarodzieja, tak samo jak nie powiodą się działania czarodzieja przeciwko jego darowi. Obaj mają dar, ale zupełnie inny: nie dają się one połączyć. Magia jednego neutralizuje magię drugiego... wygasza ją.

- Chcesz powiedzieć, że to jak przeciwstawność magii addytywnej i subtraktywnej?

- Nie. Choć na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to dobry przykład, to jednak jest to całkowicie niewłaściwe podejście. - Uniosła dłonie, jakby chciała podjąć tłumaczenie, ale zaraz opuściła je na podolek. - Bardzo trudno wyjaśnić tę różnicę komuś takiemu jak ty, kto właściwie niezbyt pojmuję, jak działa jego dar. Nie masz żadnych podstawowych wiadomości, które ułatwiałyby pojęcie tego, co bym mówiła. Nie ma słów, które dokładnie odpowiadają rzeczy i które zarazem mógłbyś zrozumieć. To

przekracza twoje zrozumienie.

- No cóż... chodzi ci o to, że choć i wilk, i kuguar są drapieżcami, to jednak nie są istotami tego samego rodzaju?

- To nieco lepiej oddaje całą sprawę.

- Jak liczni są ci czarownicy?

- Równie liczni jak Nawiedzający Sny... - rzekła, patrząc na niego znacząco - lub jak czarodzieje wojny.

Chociaż on nie potrafił tego zrozumieć, a ona nie mogła tego wytłumaczyć, wieści te z jakiegoś powodu zaniepokoiły Richarda.

- Ale co on w końcu robi inaczej?

Nicci westchnęła.

- Nie jestem znawcą i nie jestem tego całkiem pewna, ale uważam, że w zasadzie robi to samo, co mógłby uczynić czarodziej, tylko że osiąga to za pomocą magii właściwej czarownikowi: upijesz się tak likworem, jak i piwem, ale to odmienne napitki zrobione z odmiennych surowców.

- Jeden z tych napitków jest mocniejszy.

- Nie dotyczy to czarodziejów i czarowników. Rozumiesz, dlaczego słowa i takie porównania są tak niezadowolające? Moc daru czarodzieja i czarownika zależy od niego samego, rodzaj magii nie ma na to żadnego wpływu.

Richard drapał się w nie ogoloną brodę i rozmyślał nad słowami Nicci. Jeden i drugi potrafił rzucać czary, więc nie mógł się dopatrzeć żadnej różnicy, która miałaby praktyczne znaczenie.

- Czy jest coś, co on potrafi, a czarodziej nie? - Czekał na odpowiedź. Nie wyglądało na to, że Nicci zastanawia się nad nią; raczej dumiała, czy odpowiedzieć. - Nicci, kiedy mnie pojmałaś, stwierdziłaś, że będziesz mówić prawdę. Że nie masz powodu mnie okłamywać.

Patrzyła mu w oczy, ale w końcu odwróciła wzrok, odsuwając z twarzy jasne włosy. Ten gest nieoczekiwanie i boleśnie przypomniał mu o Kahlan.

- Być może. Uważam, że mógł się nauczyć, jak odtworzyć czar spowijający Pałac Proroków. Tysiące lat temu rzucili go czarodzieje mający dar obu magii. Wydaje mi się, że jedną z różnic jest to, że moc czarowników nie rozdziela się na swoje składniki, jak u czarodziejów. A ponieważ jego magia działa inaczej, mógł się zorientować, jak tamci czarodzieje zdołali stworzyć czar rzucony na Pałac Proroków i jak odtworzyć ów czar na własny

sposób.

- Chodzi ci o ten czar, który spowalnia starzenie się? Myślisz, że może rzucić taki sam?

- Tak. Jagang dał mi to do zrozumienia. Znałam Brata Nareva, kiedy byłam młoda. Był wówczas dorosłym mężczyzną, wizjonerem nauczającym doktryny Ładu. Mówił w zadumie o tym, że chciałby żyć na tyle długo, żeby zobaczyć, jak się urzeczywistni jego wizja Ładu. Zabrano mnie do pałacu w Tanimurze i on też się tam wkrótce zjawił. Pewnie to mu nasunęło ów pomysł. Siostry nic o nim nie wiedziały. Uważały go za zwykłego robotnika. Nie wykryły jego uzdolnień, bo jego dar jest odmienny od daru czarodzieja. Teraz uważam, że zjawił się tam właśnie w celu poznania czaru chroniącego Pałac Proroków, żeby móc go odtworzyć dla własnej korzyści.

- Dlaczego nie napadł na pałac, nie zajął go? Wtedy miałby ów czar dla siebie.

- Bardzo możliwe, że początkowo myślał, że pewnego dnia mógłby zająć pałac dla własnych celów, bo imperator Jagang miał właśnie takie zamiary, ale jest również możliwe, że od początku poznawał ów czar nie tylko po to, żeby go odtworzyć, ale i żeby go ulepszyć.

Richard tarł czoło, starając się choć troszkę zmniejszyć ból głowy.

- Chodzi ci o to, że teraz on uważa, że może rzucić czar na Ustronie, nowy pałac imperatora? Czar podobny do tego z Pałacu Proroków, tylko lepszy, który jeszcze bardziej spowalniałby starzenie się, tak by on i jego wybrańcy żyli jeszcze dłużej?

- Tak. Pamiętaj, że wiek jest względny. Dla kogoś, kto żyje tysiąc lat, życie nie trwające nawet wiek wydawałoby się stanowczo zbyt krótkie. Natomiast dla osoby żyjącej wiele tysięcy lat tysiąc byłby ulotną chwilą. Podejrzewam, że Brat Narev nauczył się tak spowalniać starzenie, że stałby się niemal nieśmiertelny. Jagang zamierzał opanować Pałac Proroków. Gdyby im się to udało, być może Brat Narev zrealizowałby swoje zamiary i dostosował czar do swoich celów.

- Ale zniweczyłem ten plan.

Nicci przytaknęła.

- I teraz Brat Narev, jak my wszyscy z pałacu, starzeje się jak zwykli ludzie. Dla tych, którzy zostali pozbawieni ochrony czaru, przypomina to pęd ku śmierci. Brat Narev bez wątpienia pragnie ocalić to, co mu jeszcze

pozostało z młodości. Pozostanie na zawsze względnie młodym ma swoje zalety. Wieczna starość byłaby o wiele mniej atrakcyjna. Ponieważ zniszczyłeś Pałac Proroków, gdzie miałby mnóstwo czasu na urzeczywistnienie swojego planu, musi się spieszyć.

Richard opadł na łóżko. Przycisnął nadgarstek do czoła.

- Kazał kowalowi wykonać dla czaru formę z żelaza. Kowal nie ma pojęcia, co tworzy. Gotowe dzieło ma zostać pokryte złotem.

- Dla czystości. Bardzo możliwe, że to część całego procesu. Ale może być i tak, że pozłocona forma czaru to jedynie wzór, z którego odtworzy się w czystym złocie właściwy kształt czaru.

Richard zmrużył oczy, zastanawiał się.

- Jeśli to jedynie forma do rzucania właściwego czaru, to bardzo prawdopodobne, że Brat Narev zamierza sporządzić wiele tych form i że będą one współdziałać.

Nicci podniosła nań wzrok i zachmurzyła się.

- Tak, istnieje taka możliwość.

- Czy wykonanie czegoś takiego może przynieść szkodę kowalowi?

- Nie. To pomyślne zaklęcie. Zostawmy na razie na boku cel, do którego jest to potrzebne. Samo zaklęcie jest pomyślane jako korzystne: ma zahamować starzenie się i wydłużyć życie.

- A ci uczniowie Brata Narewa?

- To młodzi czarodzieje z Pałacu Proroków.

Richard, zaniepokojony, usiadł.

- Byłem w Pałacu Proroków. Rozpoznają mnie.

- Nie. Uczyli się u nas, ale odeszli z Bratem Narevem, zanim się zjawiłeś.

Nie poznają cię, kiedy cię zobaczą.

- Skoro są czarodziejami, to czy nie poznają, że mam dar?

Uśmiechnęła się wzgardliwie.

- Nie są aż tak uzdolnieni. Nawet do pięć ci nie dorastają.

Komplement nie dodał Richardowi otuchy.

- A czy Brat Narev lub jego uczniowie nie rozpoznają ciebie?

Nicci spoważniała.

- O, rozpoznaliby mnie.

- Wygląda na to, że Brat Narev ma potężny dar. Czy nie pozna, że i ja mam dar? Dziwnie mi się przyglądał. Zapytał, czy mnie zna. Coś wyczuwał.

- Dlaczego pomyślałeś, że jest czarodziejem?

Richard skubał słomę wystającą z siennika i rozmyślał nad pytaniem.

- Właściwie nie było nic, co by to potwierdzało, ale kazało mi to podejrzewać całe mnóstwo drobiazgów: sposób, w jaki się poruszał; sposób, w jaki patrzył na ludzi; w jaki mówił; wszystko, co go dotyczyło. A dopiero gdy zacząłem podejrzewać, że Narev jest czarodziejem, uświadomiłem sobie, że to, co kował dla niego robi, wygląda jak rysunek czaru.

- Na tej samej podstawie on mógł podejrzewać, że i ty masz dar. Potrafisz poznać mających dar?

- Tak. Nauczyłem się rozpoznawać to ich ponadczasowe spojrzenie. Mogę też dostrzec aurę daru wokół tych, w których jest on potężny, na przykład wokół ciebie. Czasami powietrze wokół ciebie iskrzy.

Wpatrywała się weń zafascynowana.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam. To musi się wiązać z tym, że masz dar obu magii.

- Ty też masz dar obu magii. Nie dostrzegasz tego?

- Nie. Ale zyskałam dar magii subtraktywnej w odmienny sposób.

Oddała duszę Opiekunowi zaświatów.

- Ale niczego takiego nie widzisz w Bracie Narevie? - Kiedy Richard potrząsnął głową, podjęła wyjaśnienia: - To dlatego, jak już mówiłam, że macie odmienny rodzaj daru. Ty, poza zdolnością rozumowania, nie masz jako czarodziej zdolności rozpoznania w nim daru, on zaś jako czarownik nie ma zdolności rozpoznania daru w tobie. Wasze dary nie oddziałują na siebie. Rozpoznałeś jego dar wyłącznie dzięki swojej zdolności rozumowania.

Richard uświadomił sobie, że Nicci daje mu do zrozumienia, iż powinien uważać przy Bracie Narevie, jeśli nie chce, by ten się domyślił, że i on ma dar.

Czasami zdawało mu się, że ją przejrzał.

Bywały też jednak chwile, jak ta teraz, kiedy chwiała się cała jego koncepcja. Czasami odnosił wrażenie, że Nicci rzuca mu w twarz te swoje zasady nie dlatego, że w nie wierzy, ale dlatego, że desperacko szuka powodu, by je odrzucić, mając nadzieję, że on odszuka ją w jakimś zagubionym, mrocznym świecie i ukaże jej drogę ucieczki stamtąd. Richard westchnął w duchu; wykazał jej, dlaczego uważa, że jej zasady są błędne, ale

to ją tylko rozzłościło, a nie odciągnęło od nich - i to w najlepszym razie; co gorsza, mogło ją to jeszcze utwierdzić w błędnych przekonaniach.

Był strasznie zmęczony, a leżał na łóżku i oczami niczym szparki obserwował Nicci, oświetloną płomykiem jednego knota, która w skupieniu pochylała się nad szyciem - była jedną z najpotężniejszych czarodziejek, jakie kiedykolwiek stąpały po tym świecie, a wydawała się absolutnie zadowolona z naszywania łąty na jego spodnie.

Niechący ukuła się igłą. Potrząsnęła głową i skrzywiła się z bólu, a Richard nagle przypomniał sobie o zespoleniu łączącym ją z Kahlan - jego ukochana też poczuła to ukłucie.



## ROZDZIAŁ 50

Richard wziął od Victora biały jak śnieg płat.

- Co to?

- Spróbuj - nakazał kowal, ponaglając go gestem. - Jedz. Powiedz mi, co o tym myślisz. To z moich rodzinnych stron. Proszę, pasuje do tego czerwona cebula.

Biały płat był gładki, spoisty, nasolony i przepojony przyprawami. Richard aż jęknął z zachwytem. Przewrócił oczami.

- Victorze, to najpyszniejsza rzecz, jaką jadłem. Co to takiego?

- Lardo.

Siedzieli na progu dwuskrzydłowych drzwi izby z marmurowym monolitem i patrzyli, jak świt wstaje nad placem budowy, na którym zaczynały rosnać mury Ustronia. Tam, poniżej, kręciło się tylko kilku ludzi. Niedługo nadciągną liczni robotnicy, żeby znów podjąć pracę nad pałacem. Działo się tak każdego dnia, bez przerwy, czy padało, czy świeciło słońce. Trwała już wiosna i prawie każdego dnia była ładna pogoda; co kilka dni popołudniami padało - ale nie były to przeraźliwe ulewy, akurat tyle deszczu, żeby opłukać ciało i dać poczucie świeżości. Richard nawet cieszyłby się wiosną, gdyby nie bezustanna tęsknota za Kahlan, niepokój o toczącą się na północy wojnę, niechęć do bycia więźniem, praca niewolników na budowie, wykorzystywanie ludzi, ludzie, którzy znikali lub wyznawali winy na torturach, oraz przeraźliwie represyjny styl życia w Altur'Rang.

Poza tym z każdym dniem bardziej martwił się o to, że Kahlan już wkrótce będzie mogła opuścić ich górską chatę. Ogromnie się bał, że znajdzie się na terenach objętych straszliwą wojną, która wkrótce wybuchnie z całą gwałtownością.

Chłopak zjadł trochę łagodnej cebuli i wrócił do przepysznego lardo. Znów zamruczał z zadowolenia.

- Nigdy czegoś takiego nie jadłem, Victorze. Co to takiego?

Mężczyzna podał mu kolejny cienki płat. Richard wziął go z ochotą. Po długiej nocnej pracy te pyszności były w sam raz. Kowal wskazał nożem stojące koło niego blaszane pudełko z białym przysmakiem.

- Lardo to sadło z brzucha knura.

- A to pudło z lardo pochodzi z twojej ojczyzny?

- Nie, nie. Sam je zrobiłem. Pochodzę z dalekich stron na południe stąd, z krainy leżącej blisko morza. To tam robimy lardo. Kiedy się tu znalazłem, zrobiłem je sobie. - Victor gestykulował; kiedy mówił, równie energicznie urabiał powietrze jak żelazo. - Sadło wkłada się do fasek z gruboziarnistą solą, rozmarynem i innymi przyprawami. Od czasu do czasu obracałem je w solance. Musi się przez rok marynować w kamiennej fasce, by powstało lardo.

- Rok!

Mistrz potaknął z emfazą.

- To, które jemy, zrobiłem ubiegłej wiosny. Ojciec mnie nauczył robić lardo. Przygotowują je wyłącznie mężczyźni. Mój ojciec pracował w kamieniołomach. Lardo daje robotnikom z kamieniołomów wigor potrzebny do wielogodzinnego wycinania bloków z naszego marmuru lub do machania kilofem. Kowalom lardo też daje siłę do walenia młotem przez cały dzień.

- Więc tam, skąd pochodzisz, są kamieniołomy?

Victor machnął krzepką dłonią ku wielkiej bryle za nimi.

- To. To jest marmur cavatura z moich rodzinnych stron. Tamten, tamten i ten - wskazał na kilka składowisk poniżej - to też marmur z Cavatury.

- To stamtąd pochodzisz? Z Cavatury?

Mistrz uśmiechnął się jak wilk i potaknął.

- Tak, ze stron, z których jest cały ten piękny marmur. Nasze miasto wzięło nazwę od kamieniołomów marmuru. Cała moja rodzina to rzeźbiarze lub robotnicy z kamieniołomów. A ja? Skończyłem jako kowal robiący im narzędzia.

- Kowale to też rzeźbiarze.

Tamten parsknął śmiechem.

- A ty? Skąd jesteś?

- Ja? Z daleka. Tam nie ma marmuru. Tylko granit. - Richard zmienił temat, żeby nie musieć kłamać; poza tym robiło się jasno. - No, to na kiedy potrzebujesz tę specjalną stal, Victorze?

- Na jutro. Dasz radę?

Stal, której potrzebował Victor, pochodziła z dalszych okolic, z odlewni leżącej w pobliżu wytwórców węgla drzewnego. Odlewnicy potrzebowali

mnóstwa węgla drzewnego, żeby uzyskać z żelaza doskonałą stal. Rudę sprowadzali barkami, z niedaleka. Richardowi podróż tam i z powrotem zajmie większość nocy.

- Jasne. Będę dzisiaj chory i trochę się prześpię.

Przez ostatnie kilka miesięcy często bywał chory. Bardzo się to zgadzało z tym, jak pracowali inni. Trochę popracuj, rozchoruj się, powiedz swojej grupie związkowej, że chorujesz. Niektórzy wymyślali całą historyjkę. To nie było konieczne; związek nigdy tego nie sprawdzał.

Za to Richard starał się rzadko opuszczać spotkania, na których wymieniano z nazwiska osoby o niewłaściwej postawie. Wymieniano też nazwiska tych, którzy przychodzili, ale znacznie łatwiej było ściągnąć na siebie uwagę, jeżeli się opuszczało spotkania. Ci, których wymieniano, byli potem często aresztowani i dawano im sposobność do złożenia zeznań. Osoby, które na zebraniach oskarżano o złą postawę, często popełniały samobójstwo.

- Jeden z uczniów Brata Narewa, Neal, zjawił się wczoraj wieczorem z nowymi zamówieniami. - W głosie Victora pojawiła się ostra nutka. - To, co teraz przywiozłeś, wystarczy mi na dzisiaj, ale potrzebuję stali na jutro.

- I dostaniesz.

- Na pewno?

- Czy cię kiedy zawiodłem, Victorze?

Surowa twarz kowala złagodniała w uśmiechu, którego nie zdołał powstrzymać. Podał Richardowi kolejny plaster lardo.

- Nie, Richardzie, nigdy. Ani razu. A porzuciłem już nadzieję, że spotkam człowieka, który dotrzymuje słowa.

- Lepiej już pójde i zajmę się końmi. Miały ciężką noc i chcę, żeby wypoczęły do wieczoru. Ile stali potrzebujesz?

- Dwieście. Połowę okrągłych sztab, połowę czworobocznych.

Richard wydał przesadnie bolesny jęk.

- Albo dasz mi krzepę, Victorze, albo mnie zabijesz.

Mistrz uśmiechnął się z aprobatą.

- Chcesz złota?

- Nie. Zapłacisz mi, kiedy przywiozę stal.

Richard nie potrzebował już zapłaty z góry. Miał teraz mocny wóz i zaprzęg krzepkich koni. Płacił Ishaqowi, żeby o nie dbał w stajniach

kompanii. Ishaq pomagał Richardowi w specyficznych układach, kiedy bywały konieczne. Wiedział, którzy urzędnicy mieszkali w ładnych domach. Nie mogliby sobie na nie pozwolić za pensje urzędników Ładu.

- Uważaj na Neala - powiedział Richard.

- Dlaczego?

- Z jakiegoś powodu uważa, że przydałyby mi się nauki moralne. Szczerze wierzy, że Ład jest zbawcą ludzi. Przedkłada dobro Bractwa Ładu ponad dobro ludzi.

Victor westchnął; wstał i zawiązał skórzany fartuch.

- Ja myślę o nim to samo.

Weszli do środka; słońce oświetlało stojący tam marmur. Richard przystanął i położył dłoń na chłodnym kamieniu, jak czynił, ilekroć go mijał. Wydawał mu się żywy. Pełen możliwości.

- Pytałem cię kiedyś, Victorze, co to. Mógłbyś mi teraz powiedzieć?

Kowal stanął przy chłopaku i spojrzał na nieskazitelny blok. Wyciągnął rękę i dotknął go lekko, po czym powiódł palcami po powierzchni - badawczo, pieśczośliwie.

- To moja rzeźba.

- Jaka rzeźba?

- Ta, którą chcę pewnego dnia wyciosać. W mojej rodzinie jest wielu rzeźbiarzy. Od kiedy pamiętam, zawsze chciałem rzeźbić. Chciałem być wielkim rzeźbiarzem. Chciałem tworzyć wspaniałe dzieła. A musiałem pracować dla mistrza kowalskiego w kamieniołomie. Moja rodzina musiała jeść. Byłem najstarszym z żyjących synów. Ojciec i kowal byli przyjaciółmi. Ojciec poprosił kowala, żeby mnie przyjął... Nie chciał stracić kolejnego syna dla kamienia. Wycinanie kamienia z góry to ciężkie i niebezpieczne życie.

- A rzeźbiłeś coś? W drewnie, na przykład?

Wpatrzony w marmur Victor potrząsnął głową.

- Chciałem rzeźbić tylko w kamieniu. Kupiłem tę bryłę z oszczędności. Jest moja. Niewielu ludzi może się pochwalić, że ma na własność kawałek góry. Kawałek tak piękny jak ten.

Richard potrafił pojąć te odczucia.

- I co z tego wyrzeźbisz, Victorze?

Kowal zmrużył oczy, jakby starał się coś dostrzec pod powierzchnią marmuru.

- Nie wiem. Mówią, że kamień do ciebie przemówi i powie, czym powinien być.

- Wierzysz w to?

Victor wybuchnął swoim basowym śmiechem.

- Nie, niezupełnie. Chodzi o to, że to wspaniałe blok marmuru. Nie ma lepszego tworzywa na posągi niż marmur z Cavatury, a tylko nieliczne bloki marmuru z Cavatury są równie drobnoziarniste jak ten. Nie mogłem znieść myśli, że wyrzeźbią w nim coś tak wstrętnego jak te dzisiejsze dzieła. Dawno temu z tak pięknego marmuru powstałoby wyłącznie coś równie pięknego. Ale teraz już tak nie jest - wyszeptał z goryczą. - Teraz trzeba rzeźbić pokręconego człowieka, żalostnego stwora.

Richard dostarczał za Victora narzędzia na plac budowy, tam gdzie wykonywano rzeźby, i miał okazję przyjrzeć się powstającym dziełom. Kamienne mury miały ozdabiać wyraziste sceny oszałamiającej wielkości. Mury otaczające pałac ciągnęły się całymi milami. Rzeźby wykonywane dla Ustronia były takie same jak te, które chłopak widywał wszędzie w Starym Świecie, tyle że górowały nad tamtymi liczbą i rozmiarami. Cały pałac miał być epickim przedstawieniem poglądów Ładu na naturę życia i odkupienie w zaświatach.

Wykute postaci były nienaturalnie sztywne, ich kończyny raczej nie mogłyby funkcjonować. Ludzie z płaskorzeźb na zawsze pozostaną zespoleni z kamieniem, z którego się niezdecydowanie wyłonili. Pozy odzwierciedlały pogląd, że człowiek jest nieudolny, słaby, nieistotny.

Elementy zniechęconej anatomii człowieka - jego mięśnie, kości i ciało - stapiano w pozbawione życia członki o proporcjach tak zniekształconych, by postaci te odrzeć z człowieczeństwa. Twarze były albo obojętne, jeśli miał to być ktoś prawy, albo wykrzywione w przerażeniu, bólu i udręce - jeśli należały do złoczyńców. Uczciwi mężczyźni i kobiety, zgięci pod jarzmem pracy, zawsze patrzyli na świat z bezmyślną, otępiałą rezygnacją.

Najczęściej trudno było powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta - ich ciała, nieustanne źródło wstydu, były skryte pod workowatymi ubiorami podobnymi do tych, jakie nosili kapłani Ładu. Zgodnie z naukami Ładu jedynie grzeszników przedstawiano nagich, żeby wszyscy mogli widzieć ich ohydne, zdeformowane ciała.

Rzeźby ukazywały człowieka jako całkowicie bezradnego, jako istotę skazaną przez swoje niedostatki umysłowe na cierpliwe znoszenie dopustów losu.

Richard podejrzewał, że większość rzeźbiarzy bała się wypytywania, a może i tortur, i dlatego skłaniała się do poglądu, że dzieła powinny ukazywać złą naturę człowieka, który stara się zasłużyć na pośmiertną nagrodę. Rzeźby miały upewnić rzesze obywateli, że to jedyny właściwy cel, ku któremu powinien dążyć człowiek. Chłopak wiedział, że kilku rzeźbiarzy z pasją wierzyło w te nauki. Zawsze uważał na to, co przy nich mówił.

- Ach, Richardzie, tak bym chciał, żebyś mógł zobaczyć piękne posągi zamiast tych dzisiejszych paskudztw.

- Widywałem przepiękne posągi - zapewnił go chłopak.

- Naprawdę? Tak się cieszę. Ludzie powinni patrzeć na nie, a nie na to, na to - skinął ręką ku rosnącym murom Ustronia - zło w przebraniu dobra.

- Więc pewnego dnia wyrzeźbisz takie piękno?

- Nie wiem, Richardzie - przyznał na koniec mistrz. - Ład wszystko zabiera. Mówią, że pojedynczy człowiek nie ma znaczenia, że liczy się tylko na tyle, na ile może się przyczynić do dobra innych. Zabierają to, czym mogłaby być sztuka, energię duszy, i przemieniają to w truciznę, zmieniają w śmierć. I dlatego - uśmiechnął się smętnie Victor - mogę się radować pięknym posągiem ukrytym w kamieniu.

- Rozumiem, Victorze, naprawdę rozumiem. I ja widzę to tak, jak to opisałeś.

- To obaj będziemy się radować pięknym posągiem ukrytym w kamieniu.

- Mistrz cofnął dłoń z bryły i wskazał na podstawę. - A poza tym widzisz to tutaj? W kamieniu jest skaza. Biegnie przez cały blok. Dlatego mogłem sobie pozwolić na ten kawałek marmuru. Skaza mogłaby zagrozić całości bryły. Gdyby ktoś nieumiejętnie obrabiał ten marmur, nie pamiętając o skazie, cały blok mógłby się rozpaść. Do tej pory nie zdołałem wymyślić, jak wykorzystać piękno tego marmuru, a jednocześnie poradzić sobie z tą skazą.

- Może któregoś dnia zrozumiesz, jak ociosać ten kamień, stworzyć szlachetne dzieło.

- Szlachetność. To byłoby coś, najbardziej wysublimowane piękno. - Victor potrząsnął głową. - Ale nie zrobię tego. A przynajmniej nie przed wybuchem buntu.

- Buntu?

Victor powiódł wzrokiem po widocznym przez drzwi stoku wzgórza.

- Bunt. On nadejdzie. Ład nie może trwać: zło nie może trwać, a przynajmniej nie wiecznie. W mojej ojczyźnie, kiedy byłem młody, istniały piękno i wolność. Na tych ludziach ciągłym zawstydzaniem wymuszono, żeby częśćka po części oddali swoje życie, swoją wolność na rzecz powszechnej sprawiedliwości. Ludzie nie wiedzieli, co mieli, i pozwolili sobie odebrać wolność za pustą obietnicę lepszego świata, świata, w którym nie musieliby się trudzić, walczyć o sukces, pracować. To wszystko robiłby ktoś inny, ktoś inny zaspokajałby ich potrzeby, ułatwiał im życie. Niegdyś byliśmy krainą zasobną i dostatnią. Teraz plony gniją, czekając, aż komitety zdecydują, komu się należą, kto powinien je przewieźć i ile mają kosztować. A tymczasem ludzie głodują. Buntowników, osoby nielojalne wobec Ładu, oskarża się o głód i spory, które nas powoli wyniszczają, i coraz więcej ludzi aresztuje się i skazuje na śmierć. Jesteśmy krainą śmierci. Ład nieustannie głosi swoją miłość do ludzi, ale jego reguły jedynie kultywują śmierć. Kiedy tu zdążyłem, widziałem nieprzeliczone nie pogrzebane ciała. Nowy Świat oskarża się o każde zło, każde niepowodzenie, więc młodzi ludzie maszerują na wojnę, pałając chęcią rozgromienia ciemnych. Jednakże wielu ludzi dojrzało prawdę. Oni i ich dzieci, jak ja i mi podobni, tęsknią za wolnością, za tym, żeby sami mogli decydować o własnym życiu i żeby już nie musieli być niewolnikami Ładu w tym królestwie śmierci. W mojej ojczyźnie tli się niepokój, tutaj też. Nadchodzi bunt.

- Niepokój? Tutaj? Nie zauważyłem żadnego niepokoju.

Victor uśmiechnął się łobuzersko.

- Ci, którzy noszą bunt w sercu, nie okazują swoich prawdziwych uczuć. Ład, nieustannie obawiający się powstania, torturami wydobywa zeznania od niesłusznie aresztowanych. Każdego dnia więcej osób jest skazywanych na śmierć. Ci, którzy chcą zmiany, są zbyt mądrzy, żeby się wystawiać na cel, zanim nadejdzie czas. Bunt pewnego dnia wybuchnie, Richardzie.

Chłopak potrząsnął głową.

- Bo ja wiem, Victorze. Bunt wymaga zdecydowania. Nie sądzę, żeby ludzie naprawdę potrafili się na to zdobyć.

- Widziałeś ludzi, którym nie odpowiada to, jak się sprawy mają. Ishaq, ci w odlewni, moi ludzie i ja. Wszyscy, z którymi masz do czynienia, poza

urzędnikami biorącymi od ciebie łapówki, gorąco pragną zmiany. - Mężczyzna spojrzął znacząco na Richarda. - Żaden z nich nie doniósł jakiegś radzie czy komitetowi o tym, co robisz. Możesz nie chcieć mieć z tym do czynienia, takie twoje prawo, ale są tacy, którzy nasłuchują szeptów o idącej z północy wolności.

Richard zeszywniał.

- Wolność z północy?

Victor potaknął z powagą.

- Mówią o wybawicielu, o Richardzie Rahlu. Przewodzi im w walce o wolność. Mówią, że ten Richard Rahl przyniesie nam ów bunt.

Gdyby to nie było tak przytłaczająco tragiczne, Richard wybuchnąłby śmiechem.

- Skąd wiesz, że warto iść za tym Rahlem?

Victor wbił weń spojrzenie, które chłopak pamiętał z pierwszego spotkania z kowalem.

- Możesz ocenić człowieka po jego wrogach. Richarda Rahla nienawidzi imperator. Brat Narev i jego uczniowie też, i to tak, jak żadnego innego człowieka. On jest tym oczekiwanym. Niesie płomień rewolty.

Chłopak zdobył się tylko na smutny uśmiech.

- On jest jedynie człowiekiem, przyjacielem. Nie oddawaj czci człowiekowi. Czcij sprawę, o którą walczy, ale nie jego.

Pałające spojrzenie Victora - tak pełne emocji, palącego głodu wolności - zmieniło się w jego drapieżny uśmiech.

- O, tak właśnie mógłby powiedzieć Richard Rahl. I dlatego jest tym oczekiwanym.

Richard uznał, że lepiej zmienić temat. Spostrzegł, że robi się coraz jaśniej.

- Cóż, muszę już iść. Jestem przekonany, że wymyślisz, co zrobić z tego marmuru, Victorze. Na pewno tak się stanie, kiedy nadejdzie właściwy czas.

Kowal udał gniew, ale było to jedynie marne naśladownictwo prawdziwego gniewu, który dopiero co minął.

- I ja tak myślę.

Richard podrapał się w głowę.

- Czy kiedyś już coś wyrzeźbiłeś, Victorze?

- Nie, nic.



- A jesteś pewny, że potrafisz rzeźbić? Że masz do tego zdolności?

Victor postukał się w skroń, jakby chciał przekonać niedowiarka.

- Tu tkwią moje zdolności. I poczucie piękna. To jedyne, co się dla mnie liczy. Nawet jeśli nigdy nie dotknę tego marmuru stałą, zawsze będę mieć to piękno, w które mógłby się zmienić, i tego Ład nigdy mi nie odbierze.

## ROZDZIAŁ 51

Nicci otarła pot z czoła; szła wzdłuż sznura, sprawdzając, czy ich odzież już wyschła. Lato miało nadejść już wkrótce, więc było całkiem gorąco. Plecy bolały ją od prania w balii i innej pracy. Kobiety plotkowały w ciepłym blasku słońca. Czasami chichotały z jakiejś historyjki, którą jedna czy druga po przyjaznych naleganiach opowiedziała o swoim mężu. Zdawało się, że wraz z wiosną wszyscy mieszkańcy domu nabierali życia.

Nicci wiedziała, że wiosna nie ma z tym nic wspólnego.

I ta świadomość budziła gniew w najmroczniejszych zakamarkach jej ducha. Nie mogła pojąć, jak to się Richardowi udało. Choćby nie wiadomo jak się starała, nie potrafiła rozwikłać tej tajemnicy. Zaczynała podejrzewać, że gdyby zabrała go do najgłębszej jaskini, jaką by znalazła, promienie słońca trafiłyby do najczarniejszego zakątka, żeby zalać Richarda swoim blaskiem. Mogłaby sądzić, że to jakiś rodzaj magicznego szczęścia, ale nie miała wątpliwości, że nie posługiwał się żadną magią.

Tylne podwórze - niegdyś zarośnięte płataniną zielska, brudne, pokryte stertami śmieci i odpadków - było teraz ogrodem. Mieszkający tutaj mężczyźni po powrocie z pracy oczyścili podwórze z wszelkich brudów. Nawet tych kilku, którzy nie pracowali, wyszło ze swoich pokoi i pomogło wywieźć jedną lub dwie rzeczy. Kiedy już wszystko było uprzątnięte, kobiety spulchniły ziemię i urządziły ogród. Będą mieć warzywa. Warzywa! Mówiło się nawet o zdobyciu paru kur.

Samotna latryna w dalekim kącie na tyłach domu, tak zniszczona i cuchnąca, zmieniła się w dwie porządne wygodki. Teraz rzadko kiedy czekało się na swoją kolej, skończyły się usilne prośby i awantury. Kamil i Nabbi pomogli Richardowi zbudować obie wygodki - częściowo z kawałków drewna uratowanych ze stert odpadków, zanim je wywieziono, częściowo zaś z drewna wyciągniętego z innych stert śmieci. Nicci ledwo wierzyła własnym oczom, kiedy ujrzała, jak Kamil i Nabbi - w koszulach - kopią doły pod nowe wygodki. Wszyscy im serdecznie dziękowali. A obaj twardziele promienili z dumy.

Naprawiono palenisko na zewnątrz, żeby kobiety mogły wstawić więcej garnków i jednocześnie gotować, dzięki czemu nie trzeba było zwłóczyć tyłu

drew. Richard z pomocą niektórych mężczyzn zbudował podstawy pod balie, żeby żony przy praniu nie musiały się tak nachylać albo zdierać sobie kolana do krwi. Mężczyźni zrobili też daszek z wyciągniętego ze śmieci grubego płótna, żeby kobiety mogły prac i gotować bez moknięcia na deszczu.

Ludzie z sąsiednich domów, początkowo gderliwi i podejrzliwie patrzący na tę działalność, zaczęli zadawać lakoniczne pytania. Richard, Kamil i Nabbi szli do nich i wyjaśniali, co zrobili i jak tamci mogliby oporządzić swoje siedziby, a nawet pomagali im w rozpoczęciu prac. Nicci nawrzeszczała na Richarda, że marnuje czas w cudzych domach. Odparł, że to przecież ona wyjaśniała mu, że jego obowiązkiem jest pomaganie innym. Nie znalazła na to odpowiedzi, a przynajmniej takiej, w której byłoby choć tyle sensu, żeby się nie ośmieszyła.

Kiedy Richard pokazywał ludziom, jak mogą ogarnąć swoje domy, nie pouczał ich i nie ganił, a raczej - Nicci nie mogła pojąć jak - udawało mu się zarazić ich swoim entuzjazmem. Nie mówił im, co mają zrobić, ale sprawiał, że mieli ochotę sami się zastanowić, jak sobie ułatwić i uprzyjemnić życie. Wszyscy polubili Richarda. Siostra aż warczała ze złości.

Zebrała pranie do plecionego kosza; Richard nauczył kobiety wyplatania takich koszy z cienkich pasków drewna. Musiała przyznać, że dość łatwo było zrobić taki kosz i że ułatwiał on noszenie prania. Wspięła się po solidnych schodach - kiedyś się bała, że się na nich zabije. Wewnętrzny korytarz był czysty. Podłogi zostały wyszorowane. Richard wyszukał gdzieś składniki farb i mężczyźni mieli wspaniałą rozrywkę, mieszając barwniki i malując ściany. Jeden z nich znał się na dachach, więc naprawił ich, żeby nie przeciekał i żeby znów nie pojawiły się zacieki na ścianach.

Nicci szła korytarzem, kiedy zobaczyła Gadiego, bez koszuli, siedzącego w mroku na schodach. Strugał wielkim nożem kawałek drewna, demonstrując przy tym, jak jest niebezpieczny. Potem kobiety sprzątną wióry, posykując przy tym. Gadi - niezadowolony, że ostatnio ludzie go besztają - spojrzał na nią lubieżnie. A teraz miał na co patrzeć, bo Nicci odzyskała krągłe kształty.

Nocna praca Richarda pozwoliła mu kupować więcej żywności. Przynosił do domu to, czego jej od miesiący brakowało: kurczaki, oliwę, przyprawy, bekon, ser, jajka. Nigdy nie znalazłaby tego w miejskich sklepach. Nicci sądziła, że we wszystkich sprzedają to samo, ale Richard twierdził, że

podczas dostaw dociera do miejsca, gdzie sprzedają bardziej urozmaiconą żywność.

Kamil i Nabbi, siedzący na frontowych schodach, zobaczyli ją przez otwarte drzwi. Wstali i ukłonili się grzecznie, kiedy szła korytarzem.

- Dobry wieczór, pani Cypher - powiedział Kamil.

- Możemy pomóc i zanieść to? - spytał Nabbi.

Tym bardziej ją to zirytowało, bo wiedziała, że są szczerzy; lubili ją, gdyż była żoną Richarda.

- Nie, dziękuję, już jestem na miejscu.

Przytrzymali drzwi i zamknęli je za nią, kiedy weszła do pokoju.

Myślała o nich jako o żołnierzach Richarda. Wyglądało na to, że ma prywatne wojsko złożone z ludzi, którzy na jego widok uśmiechali się promiennie. Większość ludzi z aż za dużym zapałem robiła to, co według nich Richard chciałby zobaczyć. Kamil i Nabbi wypraliby pieluchy, gdyby tego zechciał, w zamian za nocną przejażdżkę wozem, kiedy Richard odbierał i dostarczał różne rzeczy do Altur'Rang. Rzadko ich ze sobą zabierał, mówiąc, że mógłby mieć kłopoty ze związkiem robotników. Chłopcy nie chcieli, by Richard wpadł w tarapaty i stracił pracę, więc spokojnie czekali na te rzadkie chwile, kiedy skinieniem głowy dawał im znak, że mogą iść z nim.

Ich pokój się zmienił. Sufit oczyszczono i pobielono. Poplamione ściany oskrobano i pomalowano na łososiowe - Nicci wybrała tę barwę, sądząc, że Richardowi nie uda się znaleźć niezbędnych składników. I ściany były teraz urągliwie łososiowe.

Pewnego dnia zjawił się jakiś człowiek z naręczem rozmaitych przyborów. Kamil powiedział, że to Richard go przysłał, żeby doprowadził do porządku ich pokój. Ten człowiek mówił językiem, którego Nicci nie rozumiała. Wymachiwał rękami, paplał i śmiał się dobrodusznie, jakby choć odrobinę rozumiała, co do niej mówi. Wskazywał na ściany i o coś pytał. Nie miała najmniejszego pojęcia, co on ma robić. Podejrzewała, że przyszedł naprawić rozchwiany stół. Uderzyła dłonią w blat i pokazała nieznanemu, jak stół się chwieje. Kiwnął głową, uśmiechnął się i coś powiedział. Wreszcie go zostawiła i poszła do sklepu, żeby stanąć w kolejce po chleb. Tkwiała tam cały ranek. Popołudnie spędziła w kolejce po proso.

Kiedy w końcu wróciła do domu, mężczyzny już nie było. Stare okno,

połamane, o długo nie odnawianych ramach i zamalowanych szybach, miało wprawione nowe szkło i było uniesione. I mieli nowe okno w innej ścianie. Oba okna były otwarte. Chłodny przeciąg nawiewał świeżego powietrza do dusznego pokoju.

Nicci stała pośrodku pokoju, zdumiona, że widzi przez okno sąsiedni dom. Spojrzała przez okno, którego wcześniej nie było. Widziała ulicę. Uśmiechnęła się do niej i pomachała jej Sha'Rim, sąsiadka, która akurat przechodziła.

Nicci odstawiła kosz z praniem i otworzyła szerzej boczne okno, żeby wpuścić więcej powietrza do dusznego pokoju. Zasunęła zasłony. Uznała, że są niezbędne, skoro w oknach są szyby. Richard zdobył dla niej materiał. Kiedy skończyła, pochwalił ją, że wykonała wspaniałą robotę. I Nicci stwierdziła, że się uśmiecha, tak samo jak wszyscy, których pochwalił.

Przyprowadziła Richarda do najgorszego miasta w Starym Świecie, do najgorszego budynku, jaki udało się jej znaleźć, a jemu jakoś udało się wszystko zmienić na lepsze - dokładnie tak, jak go pouczała, mówiąc, że to jego obowiązek.

Ale nigdy nie chciała, żeby tak właśnie było.

Nie wiedziała, o co jej chodziło.

Wiedziała jedynie, że żyje tylko wtedy, kiedy on jest przy niej. Choć zdawała sobie sprawę, że on jej nienawidzi i niczego tak nie pragnie, jak uciec od niej i wrócić do tej swojej Kahlan, nie mogła opanować radosnego bicia serca, kiedy wracał do domu. Poprzez łączące ją z Kahlan zespolenie czuła czasami, jak tamta za nim tęskni. Każdym włókienkiem ciała, aż do bólu, pojmowała tę tęsknotę.

Czekała, a w pokoju robiło się coraz ciemniej. Życie zacznie się dopiero wtedy, kiedy Richard wróci do domu. Światło dnia blakło, zastąpił je blask lampy. Mieli teraz prawdziwą lampę, a nie knot przewleczony przez drewniany guzik pływający w oleju lnianym.

Drzwi się otworzyły. Richard wstawił do pokoju jedną stopę. Mówił coś do Kamila, który szedł na górę, do swojej rodziny. Robiło się późno. W końcu Richard, wciąż jeszcze uśmiechnięty, wszedł i zamknął drzwi. Uśmiech, jak zawsze, zniknął. Wyciągnął ku Nicci konopną torbę.

- Trafiłem na cebulę, marchew i trochę wieprzowiny. Pomyślałem, że może zechcesz zrobić gulasz.

Nicci wskazała proso, po które stała całe popołudnie. Było zarobaczone. I spleśniałe.

- Kupiłam proso. Pomyślałam, że ugotuję ci zupę.

- Jeżeli tak wolisz. - Wzruszył ramionami. - Twoja zupa z prosa pomogła nam przeżyć ciężkie czasy.

Nicci poczuła dumę, że uznał jej starania za ważne.

Zamknęła okna. Na zewnątrz było ciemno. Szczelnie zaciągając zasłony, obserwowała Richarda.

Chłopak stał pośrodku pokoju i przyglądał się jej zdziwiony. Podeszła do niego. Czuła, jak jej odsłonięte piersi unoszą się i opadają w dekolcie czarnej sukni. Gadi dopiero co gapił się na jej piersi. Chciała, żeby Richard tak na nie patrzył. Ale on tylko wpatrywał się w jej oczy.

Zacisnęła palce na jego muskularnych ramionach.

- Kochaj się ze mną - wyszeptwała.

- Co takiego? - zachmurzył się.

- Chcę, Richardzie, żebyś się ze mną kochał. Teraz, zaraz.

Przez całą wieczność patrzył jej w oczy. Czuła w uszach szum krwi. Każde włókienko jej ciała krzychało, że chce należeć do niego. Czekwała, stojąc na krawędzi, życie zamarło w niej w rozkoszonym lęku oczekiwania.

Wreszcie się odezwał. Wcale nie szorstko, raczej łagodnie, lecz zdecydowanie.

- Nie.

Nicci miała wrażenie, że czuje ukłucia tysięcy lodowych igieł. Zdumiała ją jego odmowa. Nigdy jeszcze nie odmówił jej żaden mężczyzna.

To straszliwie bolało - bardziej niż to, co robił jej Jagang lub inni. Myślała...

Krew napłynęła jej do twarzy, gniew stopił lodowe igły. Gwałtownie otworzyła drzwi.

- Wyjdź na korytarz i czekaj - rozkazała trzęsącym się głosem.

Stał pośrodku ich pokoju i patrzył jej w oczy. Lampa na stole rzucała na jego twarz ostre cienie. Miał takie szerokie ramiona; tors zwężał się ku talii, którą tak pragnęła otoczyć ramionami. Chciała krzyknąć. Ale odezwała się spokojnie, władczo, żeby nie miał złudzeń.

- Wyjdiesz na korytarz i zaczekasz albo... - Dwoma palcami przecięła powietrze.

Wyraz jego oczu świadczył, iż wie, że ona nie kłamie. Życie Kahlan wisiało teraz na włosku i jeśli on nie spełni rozkazu Nicci, to Siostra bez wahania ten włoszek przetnie.

Richard, nie odrywając od niej szarych oczu, wyszedł na korytarz. Oparła palec o jego pierś i popychała go, dopóki nie oparł się plecami o ścianę obok ich drzwi.

- Masz czekać tutaj, dokładnie w tym miejscu, póki nie powiem, że możesz się stąd ruszyć. - Zgrzytnęła zębami. - Albo Kahlan umrze. Rozumiesz?

- Nicci, przecież nie jesteś taka zła. Pomyśl o tym, co...

- Albo Kahlan umrze. Rozumiesz?

- Tak - westchnął.

Siostra ruszyła ku schodom. Gadi stał w ich połowie. Patrzył ciemnymi oczami. Butnie zszedł ku niej, stanął obok. Ładny był, pyszniący się nie osłoniętym koszulą torsem. Stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.

Spojrzała mu w oczy. Był tego wzrostu co i ona.

- Chcę, żebyś się ze mną przespał.

- Co?

- Mój mąż słabo zaspokaja moje potrzeby. Chcę, żebyś się tym zajął.

Uśmiechnął się drwiąco i spojrzał na Richarda. Potem znów wbił wzrok w jej pierś, w to, co miało być jego.

Gadi był młody, zarozumiały i na tyle głupi, by wierzyć, że Nicci nie może mu się oprzeć, że jego młodzieńcze puszenie się przełamało w niej wszelkie bariery i że ona teraz niepohamowanie pożąda tego, co on ma do zaoferowania.

Przyciągnął ją do siebie. Drugą ręką odsunął jej do tyłu włosy. Cienkimi wargami całował szyję. Kiedy dotknął zębami jej skóry, Nicci jęknęła, zachęcając go do brutalności. Ostatnie, czego sobie życzyła, to czułość i delikatność. Delikatność to nie kara. Delikatność nie wzbudzi w Richardzie niepokoju. Nie zrani go.

Dłonie Gadiego zacisnęły się na pośladkach Nicci, przycisnęły ją do niego. Czuła jego lubieżne ruchy. Dyszała mu w ucho, dając odczuć, że jest panem jej ciała.

- Gadaj dlaczego.

- Mdli mnie od jego łagodności, czułości, dbałości. Nie tego pragnie

prawdziwa kobieta. Chcę, żeby się dowiedział, co potrafi prawdziwy mężczyzna. Chcę tego, czego on mi nie może dać.

Omal nie krzyknęła z bólu, kiedy ścisnął jej paluchami brodawkę.

- Taaa?

- Tak. Chcę tego, co taki prawdziwy mężczyzna jak ty potrafi dać kobiecie.

- To dla mnie rozkosz.

Mdliło ją na widok jego uśmiešku.

- Nie, dla mnie - wyszeptała gardłowo, ulegle.

Gadi rzucił jeszcze jedno gniewne, pełne nienawiści spojrzenie na Richarda, a potem pochylił się i wsunął rękę pod suknię Nicci, żeby się przekonać, czy nie oszukuje, czy naprawdę mu na wszystko pozwoli. Przesunął dłoń na wewnętrzną stronę jej nagiego uda, nakazując uległość. Posłusznie rozsunała nogi.

Siostra uwiesiła mu się na ramionach, kiedy jej dotknął. Górna warga Gadiego skurczyła się w hardym uśmiešku. Jego palce nie znały litości. Łzy napłynęły jej do oczu. Drżała i przygryzała wewnątrz policzka, żeby nie krzyknąć. Błędnie wziął udrękę za pożądanie i rozпалиły go jej piski.

Jagang i jego przyjaciel Kadar Kardeef, żeby wymienić tylko ich, brali ją bez jej przyzwolenia. Ale wówczas nigdy nie czuła się tak zbrukana i upokorzona jak teraz, kiedy stała w korytarzu i pozwalała temu drwiącemu łobuzowi, na co tylko chciał.

Zmusiła się, żeby opuścić rękę pomiędzy nich, i złapała go.

- Boisz się Richarda, Gadi? Jesteś na tyle mężczyzną, żeby mnie wziąć, kiedy on będzie stał przy drzwiach, słuchał nas i wiedział, że jesteś lepszy od niego?

- Bać się?! Jego?! - warknął ochryple. - Tylko powiedz kiedy.

- Natychmiast. Teraz cię chcę, Gadi.

- Takem myślał.

Nicci uśmiechnęła się w duchu, widząc jego żądzę.

- Ale najpierw powiedz „proszę”, ty mała dziwko.

- Proszę. - Marzyła, żeby rozwalić mu ten durny łeb. - Proszę, Gadi.

Objął ramieniem jej stan i uśmiechnął się drwiąco do Richarda, kiedy go dumnie mijał. Palce Nicci dotknęły pleców Gadiego, nakazując, żeby wszedł do pokoju i zaczekał. Uśmiechnął się przez ramię i zrobił, jak chciała. Nicci



przystanąła i spojrzała gniewnie w oczy Richarda.

- Jesteśmy zespolone. Co przytrafia się mi, przytrafia się i jej. Mam nadzieję, że nie jesteś na tyle głupi, by liczyć, że nie każę ci przez resztę życia żałować, jeśli tu nie zostaniesz. Przysięgam, że ona umrze tej nocy, jeżeli się stąd ruszysz.

- Nie rób tego, Nicci, proszę. Tylko sama siebie ranisz.

Jego głos był taki łagodny, współczujący. Omal nie objęła go, błagając, żeby ją powstrzymał... ale wciąż jeszcze czuła palący wstyd odrzucenia.

Odwróciła się od drzwi i złośliwie uśmiechnęła do Richarda.

- Mam nadzieję, że twoja Kahlan będzie miała z tego tyle samo przyjemności, ile ja zamierzam mieć. Po tej nocy już nigdy ci nie zaufa.

Kahlan zachłysnęła się oddechem. W kłębiącym się mroku dostrzegała jedynie jakieś niewyraźne kształty. Znów wstrzymała oddech.

Narastało w niej uczucie, którego nie potrafiła określić, nie potrafiła zrozumieć ani rozpoznać. Było to coś całkowicie obcego, a zarazem niesamowicie znajomego. Coś niestosownego, a jednak wytęsknionego. Przepęłniało ją żarliwym lękiem, kusząco zmieniającym się w nieprzyzwoitą rozkosz, czemu towarzyszyło nieokreślone przerażenie.

Czuła nad sobą jakiś ciężar.

Przepęłniały ją - choć starała się je zwalczyć - wrażenia i odczucia, których nie pojmowała, nad którymi nie panowała. Nic nie wydawało się rzeczywiste. Brutalne doznanie pozbawiło ją oddechu. To ją zdezorientowało. Sprawiało ból, a jednocześnie czuła, jak budzi się w niej nienasycony głód.

Jakby Richard był z nią tutaj, w łóżku. Znów było wspaniale. Szybciej oddychała. W ustach jej zaschło.

W objęciach Richarda zawsze odczuwała rozkoszną świadomość, że nigdy nie zdołają nasycić swojej niepohamowanej żądz - że zawsze zostanie coś, ku czemu warto dążyć, co warto poznać. Bezustannie zachwycało ją to nie kończące się dążenie do nieosiągalnego.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Teraz właśnie czegoś podobnego doświadczała.

Ale było to coś, czego sobie nigdy nie wyobrażała. Zaciśnęła w dłoniach prześcieradło, otworzyła usta w bezgłośnym krzyku wywołanym rozdzierającym bólem.

To nie było ludzkie. Nie miało sensu. Znów zachłysnęła się oddechem, przerażona, bo budziły się w niej najokropniejsze uczucia. Jęczała z odrazy, którą w niej budziły, z rozkoszy, którą z sobą niosły, z zażenowania, że niemal sprawiają jej przyjemność.

Nagle zrozumiała. Wiedziała, co to oznacza.

Oczy zapiekły od łez. Przetoczyła się na bok, rozdarta między radością, że czuje Richarda, a męką, że i Nicci czuje go w ten sam sposób. Rzucono ją na plecy.

Znów spazmatycznie wciągnęła powietrze. Szeroko otworzyła oczy, zeszywniała.

Krzyknęła z bólu. Skręcała się i walczyła, zasłaniała piersi rękami. Płakała w straszliwej udręce, której ani nie mogła sobie wytłumaczyć, ani dokładnie rozpoznać.

Tak ogromnie brakowało jej Richarda. Pragnęła go aż do bólu.

Poddała mu się, nawet i w tym, uległa mu. Załkała cicho.

Jej mięśnie stały się twarde jak korzenie dębu. Szarpała nią fala za falą okropnego bólu zmieszanego z nie zaspokojonym pragnieniem, które zmieniło się w odrazę. Nie mogła oddychać.

Wybuchnęła płaczem, kiedy to się skończyło, kiedy jej ciało znów mogło się poruszać, ale było na to zbyt wyczerpane. Nienawidziła każdej ohydnej, przerażającej i brutalnej sekundy tego, co było, i żałowała, że to już minęło, bo wtedy przynajmniej czuła go.

Cieszyła się, że tak nieoczekiwanie go poczuła, i szarpała nią dzika wściekłość z powodu tego, co to oznaczało. Zaciskała w dłoniach prześcieradło i łkała niepokieszona.

- Matko Spowiedniczko? - Do namiotu wśliznęła się ciemna postać. - Matko Spowiedniczko?

To był szept Cary. Mord-Sith postawiła na stoliku świecę. Blask małego promyka wydawał się oślepiająco jasny, kiedy Cara na nią spojrzała.

- Co ci się stało, Matko Spowiedniczko?

Kahlan spazmatycznie oddychała. Leżała na plecach zaplątana w koc. Skręcony pomiędzy nogami.

Może to był tylko sen. Chciała, żeby tak było. I wiedziała, że nie jest.

Kahlan usiadła, wsunęła palce we włosy.

- Caro... - chlipnęła.

Mord-Sith ukłękła na ziemi, złapała ją za ramiona.

- Co się stało?

Kahlan z trudem oddychała.

- Co ci jest? Jak mam ci pomóc? Jesteś ranna? Chora?

- Och, Caro... on był z Nicci.

Strażniczka odsunęła ją na odległość ramion, twarz miała zatroskaną.

- O czym ty mówisz? Kto był... - Umilkła, uświadamiając sobie, o co chodzi Kahlan.

A Kahlan starała się jej wyrwać.

- Jak on mógł...

- Na pewno go zmusiła - dowodziła Cara. - Musiał to zrobić, żeby ocalić ci życie. Bez wątpienia mu groziła.

- Nie, nie. - Kahlan potrząsała głową. - Za dużą mu to sprawiało przyjemność. Był jak zwierzę. Mnie nigdy tak nie brał. Nigdy się tak nie zachowywał... Och, Caro, on się w niej zakochał. I nie mógł się jej dłużej oprzeć. On...

Mord-Sith potrząsała nią tak długo i mocno, aż Kahlan zaczęło się wydawać, że wytrzęsła jej zęby.

- Obudź się! Otwórz oczy, Matko Spowiedniczko, i obudź się. Na wpół śpisz. Jeszcze coś ci się śni.

Kahlan zamrugała, rozejrzała się wokół. Wciąż ciężko oddychała. Przestała płakać.

Cara miała rację. Kahlan nie wątpiła, że to się naprawdę wydarzyło, ale wydarzyło się, kiedy spała, i zaskoczyło ją. Nie zareagowała racjonalnie.

- Masz rację - powiedziała schrypniętym od płaczu głosem; nos miała zapuchnięty, mogła oddychać wyłącznie ustami.

- A teraz opowiedz mi, co się stało - poprosiła spokojnie Cara.

Kahlan poczuła, że się czerwieni, i żałowała, że nie jest ciemno. Jakże mogła komuś opowiedzieć, co się stało? Szkoda, że Cara ją usłyszała.

- Nooo, poprzez zespolenie - Kahlan przełknęła ślinę - czułam, że... że... no, że Richard kocha się z Nicci.

Mord-Sith spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Czy to było tak, jak wtedy, to znaczy, czy jesteś pewna? Możesz z całą pewnością powiedzieć, że to był on?

Dziewczyna poczuła, że jej twarz przybiera jeszcze głębszy odcień

czzerwieni.

- No, niezupełnie. Sama nie wiem. - Zakryła piersi. - Czułam... czułam jego zęby. Gryzł...

Cara drapała się w głowę, unikając jej wzroku i nie bardzo wiedząc, jak sformułować pytanie. Kahlan sama odpowiedziała:

- Richard nigdy nie sprawiał mi takiego bólu.

- Aha. Więc to nie był Richard.

- Jak to, nie Richard? To musiał być on.

- Czyżby? Czy Richard chciałby się kochać z Nicci?

- Mogła go zmusić, Caro. Zaszantażować.

- Uważasz Nicci za prawą osobę?

- Nicci? - zachmurzyła się Kahlan. - Czyś ty oszalała?!

- Sama widzisz. Dlaczego niby musiał to być Richard? Może Nicci po prostu spotkała kogoś, kogo sobie nie chciała odmawiać, jakiegoś ładnego chłopaka z gospodarstwa. To bez wątpienia tylko to.

- Naprawdę? Tak myślisz?

- Powiedziałaś, że to nie było podobne do Richarda. To znaczy, na wpół spałaś i... byłaś w szoku. Mówiłaś, że on nigdy...

Kahlan odwróciła wzrok.

- Nie, przypuszczam, że nie. - Znów spojrzała w słabym świetle na Mord-Sith. - Przepraszam, Caro. Dziękuję, że pobyłaś ze mną. Nie chciałabym, żeby zamiast ciebie znalazł się tu Zedd albo ktoś inny. Dziękuję.

Cara uśmiechnęła się.

- Najlepiej będzie, jeśli to pozostanie między nami.

Kahlan przytaknęła z wdzięcznością.

- Umarłabym z zakłopotania, gdyby Zedd zaczął zadawać te swoje dociekliwe pytania.

Dopiero teraz Spowiedniczka uświadomiła sobie, że Cara jest owinięta w koc na tyle rozchylony, by zdradzić, że pod nim jest naga. W górnej części piersi Mord-Sith widać było ciemny znak. Było ich kilka, ale tamte były o wiele słabsze. Kahlan widywała nagą Carę i nie przypominała sobie żadnych takich śladów. Prawdę mówiąc, jeśli pominąć blizny, ciało Mord-Sith było irytująco nieskazitelne.

Kahlan zmarszczyła brwi i wskazała na ów ślad.

- Co tu masz, Caro?

Mord-Sith spojrzała i zasłoniła się kocem.

- To jest... to... to tylko siniak. Miłosny ślad... ślad ust mężczyzny.

- Czy jest z tobą w namiocie Benjamin?

Cara podniosła się; miała bose stopy.

- Jeszcze na wpół śpisz, Matko Spowiedniczko, i coś ci się śni. Dobranoc.

Kahlan z uśmiechem patrzyła, jak tamta wychodzi. Uśmiech zniknął, kiedy znów się położyła. W samotności powróciło zwątpienie.

Dotknęła piersi. Brodawki pulsowały i bolały. Poruszyła się nieco na łóżku i aż się skrzywiła; dopiero teraz zaczęło do niej docierać, jak bardzo boli i gdzie.

Nie mogła uwierzyć, że - nawet we śnie - część z tego... Poczwała, że znów się czerwieni. Wstydziała się tego, co zrobiła.

Nie. Nic nie zrobiła. Jedynie coś czuła poprzez zespolenie z Nicci. To nie było realne. To nie ona tego doświadczyła, lecz Nicci. Ale Kahlan bolały te same rany.

Tak jak czasem, Kahlan czuła związek z Nicci wynikający z zespolenia i bolesną troskę o tę kobietę. To, co się stało, ogromnie zasmuciło dziewczynę. Wyczuła, że Nicci desperacko pragnęła... czegoś.

Kahlan wsunęła dłoń między nogi. I aż się skrzywiła z bólu. Uniosła palce ku światłu. Lśniły od krwi. Było tam mnóstwo krwi.

Mimo palącego bólu wewnętrznych ran, zażenowania i odrobiny wstydu - poczuła ogromną ulgę.

Nie miała żadnych wątpliwości: Cara miała rację, to nie był Richard.

## ROZDZIAŁ 52

Ann przyjrzała się brzozom stłoczonym w głębokich mrokach wśród klifów, od których to miejsce wzięło swoją nazwę. Drzewa rosły bardzo gęsto; ich łuszcząca się biała kora w czarne plamy sprawiała, że trudno się było wśród nich zorientować i coś wypatrzeć.

Ostatnio była tu za młodu, tutaj, u Uzdrowicieli z Redcliff. Obiecała sobie, że nigdy nie wróci. Uzdrowicielom też to obiecała. Miała nadzieję, że zapomnieli o tym przez te blisko tysiąc lat.

Niewielu ludzi wiedziało o tym miejscu, a jeszcze mniej tu się w ogóle zjawiało - i całkiem słusznie.

Nazwa „uzdrowiciele” była osobliwym i wysoce mylącym określeniem tych tak niebezpiecznych istot, choć nie była całkiem nieprawdziwa. Uzdrowiciele z Redcliff nie zajmowali się ludzkimi dolegliwościami, ale pomyślnością tego, co było dla nich ważne. A ważne były dla nich naprawdę dziwne rzeczy. Prawdę mówiąc, Ann bardzo by się zdziwiła, gdyby ich jeszcze znalazła przy życiu po tym czasie.

Miała ogromną nadzieję, że ich uzdolnienia mogłyby się przydać, ale równie desperacko, jak pragnęła ich pomocy, łudziła się, że uzdrowiciele już nie kroczą po lesie Redcliff.

- Gośśśś - zasyczał kpiący głos z mroków pośród urwistych skał za drzewami.

Ann stała nieruchomo. Zimny pot zrosił jej czoło. W plątaninie linii i plam tworzonej przez drzewa nie mogła rozpoznać, co się poruszyło. Wcale nie musiała ich widzieć. Usłyszała głos. Niepodobny do żadnego innego. Przełknęła ślinę, postarała się sprawić wrażenie opanowanej.

- Tak, jestem gościem. Rada jestem, że zastałam cię w dobrym zdrowiu.

- Tylko kilku nas zostało - powiedział głos, odbijając się echem od skalnych ścian. - Demooooony większość zabrały.

Tego właśnie Ann się obawiała... i na to liczyła.

- Bardzo mi przykro - skłamała.

- Próbowaliśmy - rzekł głos, przesuwając się wśród drzew. - Nie mogliśmy wyleczyć stąd demooooonów.

Zastanawiała się, czy w ogóle jeszcze potrafią uzdrawiać i jak długo

przetrwają.

- Ooona przychodzi po uzdrowienie? - kpił głos z głębi poszarpanych rozpadlin po drugiej stronie.

- Przyszłam, żebyście zobaczyli - odparła, dając im do zrozumienia, że i ona ma swoje warunki; nie wszystko będzie po ich myśli.

- Wiesz, że kosssssztuje.

- Tak, wiem - przytaknęła Ann.

Wypróbowała już wszystko inne. Nic nie dało rezultatu. Nie miała wyboru, a przynajmniej nic innego nie przyszło jej do głowy. Już nie była przekonana, czy liczy się dla niej to, co się stało, czy zależy jej, by wyjść z lasu Redcliff.

Sama już nie wiedziała, czy kiedykolwiek zrobiła coś dobrego w swoim życiu.

- No i? - rzuciła w mroczną ciszę.

Coś błysnęło za drzewami, w mroku pod niską skalną półką, jakby zapraszało, by ruszyła ścieżką, weszła głębiej w wijącą się górską rozpadlinę. Ann - rozcierając kłykcie wciąż jeszcze bolące od dawno wygojonych oparzeń - poszła za szelestem ścieżką przez gąszcz. Wkrótce wyszła na niewielką polanę. Naprzeciwko widziała wylot jaskini.

Z ciemnej czeluści patrzyły oczy.

- Ooona wchodzi - zasyczał głos.

Ann westchnęła z rezygnacją i zeszła ze ścieżki; dotarła do miejsca, którego nigdy nie zapomniała, choć bardzo się o to starała.

Włosy Kahlan poleciały do przodu, smagnęły ją w twarz. Zebrała je w garści na wysokości opancerzonego barku i dalej szła przez obóz kipiący gorączkową krzątaniną. Chmury burzowe zderzały się gwałtownie z górami po wschodniej stronie kotliny - grzmiało, błyskało się, czasem łało. Sporadyczne porywy wiatru zginały drzewa; liście migotały wtedy, jakby drżały ze strachu przed szturmem.

Obóz był zwykle względnie spokojny, żeby nie dostarczać wrogowi żadnych informacji. Teraz więc gwar zwijającego się obozowiska wydawał się tym bardziej ogłuszający. Już sam hałas wystarczał, żeby tętno Kahlan przyspieszyło. I gdybyż tylko dlatego.

Szła spiesznie przez to, co nieświadomym oczom wydałoby się chaotycznym zamętem, a odziana w czerwoną skórę Cara odsuwała na bok

żołnierzy, oczyszczając drogę dla Matki Spowiedniczki. Dziewczyna nawet nie próbowała odwozić od tego Mord-Sith. Nikomu to nie szkodziło. Większość żołnierzy - widząc Kahlan w skórzanym pancerzu, z d'harańskim mieczem u boku i sterczącą ponad ramieniem rękojeścią Miecza Prawdy - usuwała się z drogi bez interwencji Cary.

Konie, zaprzęgane w pobliżu do wozu, stawały dęba. Żołnierze krzyczeli i klęli, starając się nad nimi zapanować. Zwierzęta protestowały rozgłośnym rżeniem. Inni żołnierze biegli przez obóz, skacząc przez ogniska i sprzęt - spieszyli z wieściami. Ludzie uskakiwali z drogi rozpędzonym wozom rozchlapującym błoto i wodę. Długa kolumna lansjerów, szeroka na pięciu ludzi, już maszerowała w gęstniejący mrok. Ich łucznicy starali się za nimi nadążyć.

Drózkę do domku wyłożono kamieniami, żeby nie trzeba było brnąć w błocie, ale i tak nie dało się uniknąć moskitów. Deszcz zaczął padać, kiedy Kahlan i Cara dotarły do drzwi domku. W środku byli Zedd i Adie, generał Meiffert z kilkoma swoimi oficerami, Verna i Warren. Otaczali stolik wyciągnięty na środek pokoju. Na blacie, jedna na drugiej, leżało może sześć map.

Atmosfera była napięta.

- Jak dawno temu? - spytała Kahlan, pomijając powitanie.

- Właśnie teraz - odparł generał Meiffert. - Niespiesznie zwijają obóz. Nie szykują się do ataku. Po prostu wynoszą się stamtąd.

Dziewczyna potarła czoło palcami.

- Wiadomo, w jakim kierunku?

Generał zmienił pozę, zdradzając zdenerwowanie.

- Zwiadowcy twierdzą, że wszystko wskazuje na to, że idą na północ, ale na razie wiadomo tylko tyle.

- Nie zaatakują nas?

- Zawsze mogą zmienić kierunek albo wysłać tu wojsko, ale na razie nic nie wskazuje na to, by zamierzali nas zaatakować.

- Jagang nie musi na nas maszerować - odezwał się Warren.

Kahlan pomyślała, że jest trochę blady; i nic dziwnego, miała wrażenie, że wszyscy są nieco bladzi.

- Bo wie, że to my na niego ruszymy. Nie będzie się kłopotał nachodzeniem nas tutaj.



Matka Spowiedniczka nie mogła temu zaprzeczyć.

- Jeśli idzie na północ, to powinien wiedzieć, że nie będziemy tu siedzieć i machać mu na pożegnanie.

Imperator znowu zmienił taktykę. Kahlan nigdy jeszcze nie spotkała takiego wodza jak on. Większość wojskowych miała swoje ulubione metody. Jeżeli raz wygrali bitwę dzięki jakiejś taktyce, to potem sprowadzała ona na nich tuzin klęsk, bo sądzili, że zawsze będzie skuteczna. Niektórzy mieli ograniczone możliwości umysłowe. Łatwo było przewidzieć, co tacy zrobią; zazwyczaj prowadzili niewymyślną kampanię, zadowolając się rzucaniem żołnierzy do boju w nadziei, że liczebność wystarczy do zwycięstwa. Inni byli inteligentni i wymyślali metody walki w miarę potrzeby. Ci zwykle mieli o sobie zbyt duże mniemanie i kończyli na grocie zwykłej piki. Jeszcze inni niewolniczo trzymali się książkowych metod, uważając, że wojna to rodzaj gry i że każda ze stron powinna się stosować do określonych reguł.

Jagang był inny. Uczył się rozumieć swojego wroga. Nie miał ulubionych metod walki. Kiedy Kahlan dopiekła mu szybkimi wypadami wymierzonymi w centrum jego obozu, opanował tę metodę i - zamiast polegać na swojej olbrzymiej przewadze liczebnej - z dobrym dla siebie skutkiem odpowiedział takimiż atakami wymierzonymi w wojska d'harańskie. Niektórych można było, urażając ich ambicję, skłonić do popełniania głupich błędów. Jagang nigdy dwa razy nie popełniał tego samego błędu. Powściągnął swoją dumę i ponownie zmienił taktykę, nie odpowiadając Kahlan szaleńczymi kontratakami.

D'Harańczykom wciąż udawało się go szarpać. Wybili mnóstwo żołnierzy Imperialnego Ładu. Ich własne straty - choć ciężkie - były zadziwiająco niewielkie w porównaniu z tym, co zdołali osiągnąć.

A zima zabiła więcej żołnierzy wroga, niż zdołałaby to uczynić Kahlan i jej ludzie. Imperialny Ład zjawił się z dalekiego południa - nie był przyzwyczajony do zim i źle się przygotował na tę porę roku w Nowym Świecie. Dobrze ponad pół miliona ludzi zmarzło na śmierć. Kilkaset tysięcy dalszych zginęło od gorączki i chorób wywołanych ciężkimi warunkami życia w obozie.

Sama zima zabrała Jagangowi niemal trzy czwarte miliona ludzi. To przekraczało wszelkie pojęcie.

Kahlan miała teraz na południowych rubieżach Midlandów około trzystu

tysięcy żołnierzy. W normalnych warunkach byłaby to armia zdolna zmiażdżyć każdego wroga.

Napływający ze Starego Świata żołdacy wielokrotnie uzupełnili straty wroga. Armia imperatora liczyła teraz sporo ponad dwa i pół miliona ludzi. I powiększała się z każdym dniem.

Zimą Jagang zadowolił się siedzeniem w obozie. Walka w takich warunkach i tak przeważnie była niemożliwa. Rozsądnie czekał na zmianę pogody. Kiedy nadeszła wiosna, wciąż tkwił w obozie. Najwyraźniej był na tyle bystry, by wiedzieć, że walki w wiosennym błocie to mordercze przedsięwzięcie. W błocie można stracić tabor, jeśli wozy rozciągną się w zbyt długą kolumnę. Strumienie zmieniają się wtedy w rozlewiska nie do przebycia. Utrata wozów oznaczała powolną śmierć z głodu. Konnica w błocie była bezużyteczna. Upadki w trakcie szarży oznaczały stratę cennych wierzchowców, nie mówiąc już o żołnierzach. Piechota mogła, rzecz jasna, zaatakować, ale bez wsparcia byłaby to jedynie krwawa, pozbawiona zysku jatka.

Jagang przeczekał wiosenne błoto. Jego służalcy wykorzystali ten czas do rozsiewania pogłosek o „Jagangu Sprawiedliwym”. Kahlan była wściekła, kiedy tygodnie po fakcie doniesiono jej, że w różnych miastach Midlandów pojawili się „wysłannicy pokoju” i wygłaszali mowy o jednoczeniu świata dla dobra wszystkich ludzi. Obiecywali pokój i dobrobyt, jeżeli zostaną mile powitani w miastach.

Wreszcie nastąpiło lato i Jagang podjął swoją kampanię. Postanowił, że żołnierze ruszą do tych miast, które wcześniej odwiedzili jego wysłannicy.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. To była Rikka, a nie wiatr. Mord-Sith wyglądała, jakby nie spała od wielu dni. Podeszła do niej Cara, by w razie potrzeby zaoferować pomoc, ale nie wyciągnęła ręki nie proszona. Mord-Sith nie lubiły, kiedy się im pomagało w obecności innych.

Rikka podeszła do stołu naprzeciwko Kahlan i rzuciła na mapy dwa Agiele.

Kahlan na chwilę zamknęła powieki, a potem spojrzała w surowe błękitne oczy Rikki.

- Co się stało?

- Nie wiem, Matko Spowiedniczko. Znalazłam ich głowy nabite na piki. Agiele były przywiązane do drzewców pik.

Kahlan zapanowała nad gniewem.

- Jesteś teraz zadowolona, Rikko?

- Galina i Solvig umarły śmiercią godną Mord-Sith.

- Galina i Solvig umarły niepotrzebnie, Rikko. Już po godzinie wiedzieliśmy, że nic z tego. Kiedy Nawiedzający Sny tkwi w umysłach mających dar, to nie są oni podatni na atak Mord-Sith i nie zdoła ona nad nimi zapanować, jak zapanowałyby bez jego obecności.

- To mogło być coś innego. Jeśli osaczymy ich mających dar tam, gdzie Mord-Sith będą się mogły nimi zająć, to może uda się ich pojmać. To warte ryzyka. Ich mający dar potrafią zabić tysiące żołnierzy jednym skinieniem ręki.

- Rozumiem tę chęć, Rikko. Ale sama chęć nie wystarczy, żeby to się stało możliwe. Sześć Mord-Sith zmarło, by nam wykazać, jak jest naprawdę. I nie będziemy ryzykować życia kolejnych tylko dlatego, że nie chcemy się pogodzić z prawdą.

- Wciąż myślę...

- Nie mam na to czasu. Mamy tu do omówienia ważne sprawy. - Kahlan wsparła się pięściami o stół i pochyliła ku Rikke. - Jestem Matką Spowiedniczką i żoną lorda Rahla. Zrobisz, jak mówię, lub odejdziesz. Rozumiesz?

Błękitne oczy Rikki spojrzały na Carę. Ale ta była równie pełna wyrazu, jak kamień. Rikka ponownie spojrzała na Kahlan i przeciągle westchnęła.

- Chcę zostać z naszym wojskiem i wypełnić mój obowiązek.

- Znakomicie. A teraz zjedz coś, póki jeszcze możesz. Musisz być silna.

Rikka krótko skinęła głową, co jak na Mord-Sith równało się salutowi. Gdy odeszła, Kahlan trochę przetrzebiła moskity i ponownie zajęła się mapą.

- Kto ma jakieś uwagi? - spytała, zdejmując z mapy oba Agiele.

- Uważam, że powinniśmy się trzymać z tyłu - powiedział Zedd. - W żadnym razie nie możemy się znaleźć przed nimi. Możemy jedynie walczyć z nimi tak, jak dotąd.

- Zgadzam się z tym - poparła go Verna.

Generał Meiffert tarł brodę i wpatrywał się w mapę rozłożoną na stoliku.

- Nasze największe zmartwienie to ich liczebność.

- Jasne, że powinna nas martwić liczebność Ładu - stwierdziła Kahlan. - Mają tylu żołnierzy, że mogą się rozdzielić, a nadal będą dla nas zbyt liczni. I

właśnie o tym mówię: co mamy zrobić, kiedy Jagang podzieli wojska? Tak bym zrobiła na jego miejscu. Wie, jak to by nam skomplikowało życie.

Rozległo się natarczywe pukanie. Drzwi otworzył Warren, który stał przy oknie, nie patrząc na mapę z pozostałymi. Wszedł kapitan Zimmer i zasalutował, przykładając pięść do serca. Był zdyszany, wniósł z sobą do domku wir ciepłego powietrza pachnącego koniem. Warren wrócił do rozmyślań przy oknie.

- Rozdziela swoją armię - ogłosił kapitan Zimmer, jakby ich obawy stały się rzeczywistością.

Większość obecnych westchnęła ze smutkiem.

- Wiadomo już, w jakim kierunku idą? - zapytała Kahlan.

Kapitan Zimmer skinął głową.

- Wygląda na to, że trzecią część wojsk, może trochę więcej, wysłała w górę doliny Callisidrinu, ku Galei. Główne siły kierują się na północny wschód. Prawdopodobnie wejdą do doliny Kernu i pójdą nią na północ.

Wszyscy wiedzieli, jaki będzie cel.

Zedd zacisnął dłoń w pięść.

- Przykro mieć rację, ale ja i Kahlan właśnie o tym mówiliśmy. Domyśliliśmy się tego.

Generał Meiffert wciąż tarł brodę i wpatrywał się w mapę.

- To oczywisty ruch. Ale przy armii tej wielkości to, co oczywiste, nie zawsze jest pewne.

Nikt nie chciał się wypowiedzieć, więc Kahlan zakończyła sprawę:

- Galea jest zdana na własne siły. Nie wyślemy im na pomoc ani jednego żołnierza.

Kapitan Zimmer wreszcie wskazał palcem mapę.

- Musimy zająć pozycje przed ich głównymi siłami i przyhamować ich. Jeśli zostaniemy z tyłu, będziemy tylko po nich sprzętać.

- Muszę się z tym zgodzić. - Generał przestąpił z nogi na nogę. - Nie pozostaje nam nic innego, jak spowalnianie ich marszu. Będziemy się cofać, ale przynajmniej trochę ich przyhamujemy. Inaczej przetoczą się przez centrum Midlandów niczym niepowstrzymana wiosenna powódź.

Zedd obserwował stojącego przy oknie młodego czarodzieja.

- A co ty o tym myślisz, Warrenie?

Warren drgnął, usłyszawszy swoje imię, jakby nie zwracał uwagi na to,

co się dzieje w pokoju. Sprawiał wrażenie, jakby coś mu było. Odetchnął, wyprostował się i twarz mu pojaśniała, a Kahlan uznała, że się pomyliła. Splótł dłonie za plecami i podszedł do stolika. Zza ramienia Verny spojrział na mapę.

- Zostawmy Galeę, to stracona sprawa. Nie możemy im pomóc. Dopełni się wyrok wydany na nich przez Matkę Spowiedniczkę, i to nie dlatego, że wypowiedziała te słowa, ale dlatego, że opisywały one rzeczywistość. Każdy oddział, który tam wyślemy, będzie stracony.

- Co jeszcze? - Zedd spojrział z ukosa na młodego czarodzieja.

Warren w końcu przesunął się bliżej stolika i wcisnął między Vernę a generała. Zdecydowanie, władczo położył palec na mapie daleko ku północy - niemal trzy czwarte drogi do Aydindril od ich obozowiska.

- Tu musicie się znaleźć.

- Tu? - Generał Meiffert zmarszczył brwi. - Dlaczego?

- Ponieważ - odparł Warren - nie powstrzymacie armii Jaganga, jej głównego trzonu. Możecie liczyć tylko na to, że zdołacie spowolnić ich marsz, kiedy pójdą na północ, w górę doliny Kernu. To tutaj musicie zająć pozycje, jeśli chcecie ich opóźnić do następnej zimy. Kiedy przez was przejdą, zaatakują Aydindril.

- Przejdą przez nas? - zapytał cierpko generał Meiffert.

Warren spojrział na niego.

- Czyżbyś sądził, że zdołacie ich powstrzymać? Wcale bym się nie dziwił, gdyby mieli już ze trzy i pół do czterech milionów żołnierzy.

Generał sapnął gniewnie.

- To dlaczego uważasz, że powinniśmy być w tym właśnie miejscu, dokładnie na ich drodze?

- Nie powstrzymacie ich, ale jeśli będziecie ich dobrze szarpać, sprawicie, że w tym roku nie dotrą do Aydindril. A właśnie w tym miejscu utkną na tak długo, że zaskoczy ich zima. Stanowczym oporem możecie ich zmusić do rozbicia obozu na zimę i kupić tym Aydindril dodatkowy okres wolności. - Warren spojrział Kahlan w oczy i dodał: - Następnego lata, za rok, Aydindril upadnie. Przygotuj ich na to, jak tylko możesz, ale nie łudź się: miasto dostanie się pod władzę Ładu.

Kahlan zlodowaciała. Wstrząsnęły nią głośno wypowiedziane słowa. Chciała spoliczkować Warrena.

Przerazające było już samo przewidywanie, że Imperialny Ład przypuści atak na serce Midlandów. A zupełnie nie do pomyślenia było pogodzenie się z tym - jako z góry postanowionym - że Imperialny Ład zawładnie sercem Nowego Świata. Kahlan poczuła obrzydzenie na samą myśl o tym, że Jagang i jego krwiożercze zbiry będą się przechadzać korytarzami Pałacu Spowiedniczek.

Warren wychylił się zza generała i spojrzał na Zedda.

- Należy chronić Wieżę Czarodzieja, wiesz to lepiej ode mnie. Przepadłaby wszelka nadzieja, gdyby ich mający dar zdobyli wieżę i przechowywane w niej niebezpieczne magiczne przedmioty. Uważam, że nadszedł czas, byśmy przede wszystkim o tym pamiętali. Utrzymanie wieży to sprawa najwyższej wagi.

Zedd przyglądał swoje niesforne siwe włosy.

- Gdyby było trzeba, sam broniłbym wieży.

Warren odwrócił wzrok od orzechowych oczu Pierwszego Czarodzieja.

- I może będziesz musiał - powiedział spokojnie. - Kiedy dotrzemy do tego miejsca - znów stuknął w mapę - nadejdzie czas, byś opuścił wojsko, Zeddzie, i ruszył stanąć na straży Wieży Czarodzieja oraz przechowywanych tam magicznych przedmiotów.

Kahlan poczuła, że krew napływa jej do twarzy.

- Mówisz tak, jakby to wszystko było już ustalone. Jakby los zdecydował, a my nie moglibyśmy nic zrobić, żeby to zmienić. Nie zwyciężymy, jeśli będziemy takimi defetystami.

Warren uśmiechnął się, znów wzięła górę jego nieśmiałość.

- Przepraszam, Matko Spowiedniczko. Nie chciałem, żebyś odniosła takie wrażenie. Ja tylko przedstawiam mój punkt widzenia. Nie zdołamy ich powstrzymać, nie wolno się nam ludzić co do tego. Z każdym dniem są liczniejsi. Musimy również brać pod uwagę, że będą takie krainy, jak Anderith i Galea, które boją się Ładu i wybiorą przyłączenie się do niego, a nie twarde los tych, którzy nie zechcą się poddać. Mieszkałem w Starym Świecie, kiedy kawałek po kawałku dostawał się pod władzę Imperialnego Ładu. Pilnie przypatrywałem się metodom Jaganga. Wiem, jaki jest cierpliwy. Stopniowo opanował cały Stary Świat, choć wydawało się to niemożliwe. Całe lata strawił na budowaniu dróg, by móc zrealizować swoje plany. Nigdy nie rezygnuje z dążenia do celu. Czasami możesz go gniewem

lub upokorzeniem skłonić do nie przemyślanego działania, ale szybko odzyskuje rozsądek. Szybko odzyskuje rozsądek, bo ma jeden nadrzędny cel. Powinnaś zrozumieć coś ważnego, jeśli chodzi o Jaganga. Coś najważniejszego. Opowiem ci o nim: całym sercem wierzy, że postępuje właściwie. Na pewno upaja się chwałą podbojów i zwycięstw, ale największą radość czerpie z tego, że to właśnie on niesie sprawiedliwość, czyli to, co za sprawiedliwość uważa, ludziom, którzy według niego są barbarzyńcami. Wierzy, że ludzie mogą postępować etycznie i rozwijać się wyłącznie wtedy, kiedy wszyscy znajdą się pod moralnym przewodnictwem Ładu.

- Przecież to nonsens - powiedziała Kahlan.

- Możesz tak sądzić, ale on szczerze wierzy w to, że służy sprawie dobra ludzi. Niezachwianie, religijnie w to wierzy. To uświęcona prawda i dla niego, i dla jemu podobnych.

- Wierzy, że morderstwa, gwałty i niewola są sprawiedliwe? - zapytał generał Meiffert. - Chyba nie jest zdrowy na umyśle.

- Dorastał wśród kapłanów Bractwa Ładu. - Warren uniósł palec dla podkreślenia wagi swych słów. - Wierzy, że i to, i jeszcze wiele innych spraw jest usprawiedliwionych. Wierzy, że znaczenie ma wyłącznie drugi świat, bo wówczas znajdziemy się w wiekuistym Świetle Stwórcy. Ład wierzy, że poświęcając się dla bliźniego na tym świecie, zdobywasz sobie nagrodę na tamtym. A wszyscy, którzy nie chcą tego dojrzeć, jak na przykład my, powinni zostać zmuszeni do przestrzegania zasad Ładu lub umrzeć.

- Czyli - odezwał się generał Meiffert - jego świętym obowiązkiem jest zmiążyć nas. To nie łup jest jego głównym celem, ale ta dziwaczna wersja zbawienia ludzi.

- Otóż to.

- No dobrze - westchnęła Kahlan. - Więc co, twoim zdaniem, zrobi ten święty sprawiedliwy człowiek?

- Uważam, że ma tylko dwie możliwości. Jeżeli chce podbić Nowy Świat i poddać wszystkich ludzi władzy Ładu, musi zająć dwa ważne punkty: Aydindril, bo to siedziba władzy Midlandów, i Pałac Ludu w D'Harze, bo rządzi on D'Harańczykami. Jeżeli oba te miejsca padną, wszystko się zawali. Mógł wyruszyć tu lub tam. Imperator Jagang zdecydował, co upadnie najpierw. Imperialny Ład idzie na Aydindril, żeby podzielić Midlandy. Po cóż innego szliby na północ? Jakież jest lepszy sposób pokonania wroga, niż

rozłupać go na dwie części? Kiedy już zdobędą Aydindril, obrócą miecze przeciw izolowanej D'Harze. Cóż bardziej odbierze ducha przeciwnikowi niż pozbawienie go serca? Nie twierdzą, że to nieuniknione, ja wam tylko wyjaśniam, jak Ład czyni swoje przerażające dzieło. Richard domyślił się właśnie tego. Skoro nie możemy się spodziewać, że ich powstrzymamy, to nie mamy innego rozsądnego wyjścia, jak stawić czoło rzeczywistości, nieprawdaż?

Kahlan wbiła wzrok w mapę.

- Uważam, że nawet w najczarniejszej godzinie powinniśmy wierzyć w siebie. Nie zamierzam poddać imperium D'Hary Imperialnemu Ładowi. Musimy się bić najlepiej, jak potrafimy, aż zdołamy odwrócić bieg zdarzeń.

- Matka Spowiedniczka ma rację - powiedział spokojnie, ale stanowczo Zedd. - Ostatnia wielka wojna, w której w młodości walczyłem, wydawała się początkowo równie beznadziejna. Zyskaliśmy przewagę i przepędziliśmy najeźdźców tam, skąd przyszli.

Oficerowie d'harańscy milczeli. Wówczas D'Hara była najeźdźcą.

- Ale teraz rzeczy mają się inaczej. Tamtą wojnę narzucił zły władca. - Zedd spojrzał w oczy generałowi Meiffertowi, kapitanowi Zimmerowi i innym oficerom d'harańskim. - Po każdej z walczących stron znajdują się tak dobrzy, jak i źli ludzie. Richard, jako nowy lord Rahl, dał owym dobrym ludziom możliwość działania. Musimy zwyciężyć. Choć teraz może trudno w to wierzyć, również w Starym Świecie są dobrzy ludzie, którzy nie chcą żyć pod obcasem Ładu i nie chcą toczyć wojny za sprawę Ładu. Ale i tak musimy powstrzymać agresora.

- Więc jak twoim zdaniem - Kahlan wskazała mapę leżącą przed Warrenem - Jagang poprowadzi wojnę?

Młody czarodziej znów postukał w mapę na południe od Aydindril.

- Znam Jaganga i sposób, w jaki pokonuje wrogów, więc uważam, że będzie się trzymać swojego głównego planu. Ma cel i będzie uparcie do niego dążył. Nie zrobiliśmy nic, czego by już nie doświadczył od innych swoich przeciwników. Jestem przekonany, że nie widzi w tej wojnie niczego wyjątkowego. Nie chcę umniejszać naszych wysiłków, bo każda wojna ma swoje niespodzianki, a my mu zgotowaliśmy parę paskudnych. Twierdzą jednak, że ta wojna, ogólnie rzecz biorąc, toczy się tak, jak tego oczekiwał. Całe lato zajmie im dotarcie do miejsca, które wam wskazałem: tak ze



względu na jego zwykłe tempo, jak i ze względu na to, że będziecie go szarpać. Jagang najczęściej przemieszcza się powoli, ale niepowstrzymanie. Po prostu rzuci tylu żołnierzy, ilu trzeba, żeby złamać opór. Wie, że jeśli nie będzie się spieszył z atakiem, to wróg dłużej będzie drżał ze strachu przed nim. A kiedy wreszcie nadciąga, często wróg jest gotów się poddać, udęczony czekaniem. Jeżeli zajmiecie stanowiska tam, gdzie wam wskazałem, zdołacie obronić Aydindril przez następną zimę, bo Jagang zadowolony się czekaniem na stosowną chwilę. Już wie, jak ciężkie są zimy w Nowym Świecie. Nie będzie niepotrzebnie rozpoczynał zimowej kampanii. Jednak kiedy latem ruszą tak jak teraz, Aydindril padnie, czy staniesz na drodze trzonowi ich wojsk, czy nie. Kiedy ruszą na Aydindril, musimy strzec Wieży Czarodzieja. To wszystko, co możemy zrobić.

Panowała cisza. Ogień wygasł. Warren i Verna już spakowali swoje rzeczy i byli gotowi do drogi, podobnie jak prawie całe wojsko. Warren i Verna tracili swój dom. Kahlan zatrzymała wzrok na zasłonach, które dawno temu im zrobiła. Zaślubiny zdawały się odległym wspomnieniem.

A jej ślub - zamierzczłym marzeniem. Ilekroć się budziła, Richard wydawał się jej tylko duchem. Jedyną rzeczywistością była otępiająca, bezlitosna, nie kończąca się wojna. Zdarzały się i takie chwile, kiedy myślała, że on się jej tylko śnił, że tak naprawdę nie istniał, że nigdy nie było minionego dawno szczęśliwego lata w górskiej chacie. Owe chwile zwątpienia przerażały ją bardziej niż armia Jaganga.

- A co wtedy, Warrenie? - spytała cicho Kahlan. - Co się według ciebie stanie następnego lata, kiedy zajmą Aydindril?

Warren wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może Jagang przez jakiś czas zadowolony się trawieniem miasta, ustanawianiem silnej władzy nad Midlandami. Wierzy, że jego obowiązkiem wobec Stwórcy jest poddać wszystkich ludzi władztwu Ładu. Wcześniej lub później ruszy na D'Harę.

Na koniec Kahlan przeniosła uwagę na kapitana Zimmera.

- Zwołaj swoich ludzi, kapitanie. Kiedy my będziemy się szykować do drogi, wy pokażecie Jagangowi, że nasze miecze nie stępiały.

Kapitan uśmiechnął się i przyłożył pięść do serca. Kahlan powiodła wzrokiem po wszystkich obecnych.

- Chcę, żeby Ład płacił krwią za każdy zajęty cal ziemi. Choćby to było

jedyne, co mogę uczynić, będę to czynić do ostatniego oddechu.

## ROZDZIAŁ 53

Nieruchome powietrze było nieznośnie gorące i cuchnęło stojącymi ściekami. Richard otarł pot z czoła. Dopóki jego ciężki wóz jechał ulicami, mógł się przynajmniej cieszyć leciutkim powiewem.

Wyrwany z pełnej troski zadumy nad tym, że Kahlan i Cara musiały już dawno opuścić bezpieczną górską chatę, zauważył niezwykle jak na tak późną noc ruch. Ciemne postacie spieszenie szły mrocznymi ulicami i wskakiwały do nie oświetlonych domów. Z uchylonych drzwi, zanim zostały zatrzaśnięte, padały na ulicę smugi światła. Księżyc świecił i Richardowi wydawało się, że z ciemniejszych zaułków patrzyły na niego oczy ludzi czekających, aż przejedzie, i dopiero wtedy ruszających w dalszą drogę. Turkot kół wozu zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Richard skręcił na drogę, którą miał dojechać do wytwórcy węgla drzewnego, i musiał się zatrzymać, bo stanęli przed nim żołnierze z pikami. Jeden z nich chwycił wędzidła koni. Inny strażnik miejski wysunął się z bocznej ulicy i skierował nań grot piki.

- Co tutaj robisz? - zapytał jakiś głos z boku wozu.

Chłopak spokojnie podniósł dźwignię i zaciągnął hamulec.

- Mam specjalne pozwolenie na przewożenie towarów nocą. To do pałacu imperatora.

Słowa „pałac imperatora” wystarczały zwykle, żeby go puścili.

- Skoro masz specjalne pozwolenie, to je pokaż. - Strażnik wyciągnął rękę.

Tej nocy strażnicy chcieli czegoś więcej. Richard wyjął złożoną kartę papieru ze skórzanej oprawki pod koszulą i podał ją mężczyźnie. Skrzypnął metal - to strażnik otwierał małe drzwiczki latarni; wąski promyk światła padł na papier. Pochyliło się kilka głów, żeby odczytać tekst i sprawdzić urzędowe pieczęcie. Wszystko było autentyczne. I musiało być - w końcu kosztowało Richarda fortunę.

- Masz. - Strażnik oddał dokument Richardowi. - Widziałeś coś dziwnego, jakżeś jechał przez miasto?

- Dziwnego? O co ci chodzi?

Mężczyzna chrząknął.

- Gdybyś coś widział, tobyś nie musiał pytać. - Dał znak ręką. - Ruszaj.

Richard jakby tego nie słyszał.

- Powinienem uważać? - Rozejrzał się wokół z przesadną uwagą. - Zbójcy grasują? Coś mi grozi? Czy to bezpieczne, żeby obywatel wyjeżdżał? Jeżeli coś mi grozi, to zawrócę wóz.

Tamten zarechotał urągliwie.

- Nie masz się czego bać. To tylko paru głupich ludzi sieje zamęt, bo nic innego nie potrafią.

- Tylko tyle? Na pewno?

- Masz do wykonania robotę dla pałacu. Ruszaj.

- Tak, panie. - Richard cmoknął na konie i szarpnął lejcamy; ciężki wóz potoczył się w dalszą drogę.

Nie wiedział, co się dzieje, ale przypuszczał, że strażnicy mieli złapać kolejnych buntowników na przesłuchania. Pewnie chcieli wrócić do swojej strażnicy, więc każdy, kto im wpadał w ręce, mógł skończyć jako buntownik. Kilka dni wcześniej aresztowano jednego z ludzi Ishaq. Upił się alkoholem domowej roboty i wcześniej wyszedł z zebrania. Nigdy nie wrócił do domu. Parę dni potem Ishaq otrzymał wiadomość, że ów człowiek przyznał się do zbrodni przeciwko Ładowi. Aresztowano jego żonę i córkę. Żonę uwolniono po wymierzeniu przepisowej liczby batów, bo przyznała, że źle się wyrażała o Ładzie i brzydko myślała o sąsiadach. Córki jeszcze nie uwolniono. Nikt nawet nie wiedział, gdzie ją trzymają.

W końcu Richard dotarł na skraj miasta, gdzie zaczynały się pola. Głęboko odetchnął, wciągając w płuca miły zapach świeżo zaoranej ziemi; światła nielicznych gospodarstw migotały jak samotne gwiazdy. Potem wreszcie dostrzegł w blasku księżyca linię lasu. Kiedy wjeżdżał w obejście węglarza, gospodarz, Fawal, podbiegł do wozu.

- Richard Cypher! Jesteś nareszcie. Bałem się, czy przyjedziesz.

- Dlaczego?

Węglarz zachichotał piskliwie. Często śmiał się z rzeczy, które wcale nie były śmieszne. Richard pojął, że to taki jego zwyczaj. Był nerwowy i jego śmiech wcale nie oznaczał braku szacunku - on go po prostu nie mógł powstrzymać. Jednak sporo ludzi unikało Fawala z tego powodu, bojąc się, że może być szalony - a szaleństwo, jak wierzyli, było karą zsyłaną przez Stwórcę na grzeszników. Inni się na niego złościли, bo podejrzewali, że się z

nich naśmiewa. To wprawiało Favala w jeszcze większe zdenerwowanie i tym bardziej się śmiał. Węglarzowi brakowało przednich zębów, nos miał krzywy, bo wiele razy go złamał. Richard wiedział, że biedak nie panuje nad tym śmiechem, więc nie miał o to do niego pretensji. Faval go polubił.

- Bo ja wiem. Po prostu myślałem, że się nie zjawisz.

Duże oczy Favala mrugały w księżycowej poświacie. Richard zmarszczył brwi ze zdumienia.

- Powiedziałem, że przyjadę, Favalu. Dlaczego miałbyś myśleć, że się nie zjawię?

Węglarz skubał ucho.

- Bez powodu.

Richard zsiadł z wozu.

- Zatrzymali mnie strażnicy miejscy...

- Nie! - Chichot Favala rozdarł mrok. - Czego chcieli? Pytali cię o coś?

- Chcieli wiedzieć, czy widziałem coś niezwykłego.

- Ale nie widziałeś - zachichotał. - Puścili cię. Niczego nie widziałeś.

- Nooo - wycedził Richard - widziałem jegomościa o dwóch głowach.

W ciszy słyhać było tylko świerszcze. Węglarz mrugał ze zdumienia. Richard widział w blasku księżyca, jak tamten otwiera usta, oszołomiony.

- Widziałeś człowieka o dwóch głowach?

Tym razem to Richard się śmiał.

- Nie, Favalu, nie widziałem. To był tylko żart.

- Taak? Wcale nie był śmieszny.

- Chyba nie - westchnął chłopak. - Masz przygotowany ładunek? Przedemną długą noc. Victor potrzebuje stali, a Priska węgla, bo inaczej, jak mówi, będzie musiał zamknąć interes. Mówi, że nie wysłałeś mu ostatniego zamówienia.

Faval zachichotał.

- Nie mogłem! Chciałem wysłać, Richardzie. Potrzebuję pieniędzy. Nie zapłaciłem za trzy drzewa, z których zrobiłem ten węgiel. Powiedzieli, że przestaną mi dostarczać drewno, jak im nie zapłacę.

Węglarz mieszkał na skraju lasu, więc źródło drewna miał tuż-tuż, ale nie wolno mu było ścinać drzew. Wszystkie zasoby należały do Ładu. Drzewa ścinano wtedy, kiedy mający na to pozwolenie drwale potrzebowali pracy, a nie wtedy, kiedy ktoś potrzebował drewna. Większość pni leżała na

ziemi i gniła. Każdy, kogo przyłapano na zbieraniu drewna, był aresztowany pod zarzutem okradania Ładu.

Faval uniósł ramiona, jakby błagał Richarda o zrozumienie.

- Staralem się, żeby węgiel dotarł do Priski, ale komitet odmówił mi pozwolenia na przewiezienie go. Powiedzieli, że nie potrzebuję pieniędzy. Nie potrzebuję pieniędzy! Wyobrażasz sobie?! - Zaśmiał się boleśnie. - Powiedzieli mi, że jestem bogaczem, bo mam zakład, i że muszę poczekać, aż zaspokoją potrzeby zwykłych ludzi. A ja tylko staram się przeżyć.

- Wiem, Favalu. Powiedziałem Prisce, że to nie twoja wina. Rozumie, bo sam ma podobne kłopoty. Jest zrozpaczony, bo potrzebuje węgla. Znasz Priskę: złości się na tych, którzy nie mają nic wspólnego ze sprawą. Powiedziałem mu, że tej nocy przywiozę mu ładunek węgla, a jutrzejszej dwa. Mogę liczyć, że dasz mi jutro dwa ładunki? - Richard podał węglarzowi srebrne monety, należność za ładunek węgla.

Faval dziękczynnie złożył ręce.

- Och, dzięki, Richardzie Cypherze. Jesteś moim wybawcą. Ci drwale to paskudne typy. Tak, tak. Dwa jutro. Stygną teraz. Jesteś dla mnie taki dobry jak syn, Richardzie Cypherze. - Zachichotał i wskazał w mrok. - Węglą się. Dostaniesz je.

Richard dojrzał wiele kopców przypominających stogi siana - były to gliniane piece. Małe kawałki drewna utykano gęsto, w kręgu, pośrodku umieszczano rozpałkę; wreszcie powstawał zaokrąglony kopczyk, który okładano paprociami i jałowcem, a potem całość oblepiano gliną. Od dołu podkładano ogień i zasklepiano otwór. Para i dym przez sześć do ośmiu dni wydobywały się przez małe otworki na wierzchu kopca. Kiedy dym zniknął, otworki zalepiano, żeby zgasić ogień. Kiedy gliniane piece ostygły, można je było otworzyć i wydobyć węgiel drzewny. Była to mozolna, ale dość prosta praca.

- Pomogę ci załadować wóz - powiedział Faval.

Chciał odejść, ale Richard złapał go za ramię.

- Co się dzieje, Favalu?

Węglarz dotknął palcem dolnej wargi i zaśmiał się. Miało się wrażenie, że śmiech sprawia mu ból. Wahał się, ale wreszcie wyszeptał:

- Bunt. Zaczął się.

Richard właśnie to podejrzewał.

- Co wiesz o tym?

- Nic! Nic nie wiem!

- Favalu, to ja, Richard. Na pewno cię nie wydam.

Węglarz znów się zaśmiał. Tym razem była w tym ulga.

- Jasne, że nie. Jasne, że nie. Wybacz mi, Richardzie Cypherze. Tak się denerwuję, że nie myślę.

- Więc co z tym buntem?

Węglarz uniósł dłonie w geście bezradności.

- Ten Ład trzyma ludzi za gardło. Nie mamy jak żyć. Gdyby nie ty, Richardzie Cypherze, to byłbym... nawet nie chcę o tym myśleć. Ale inni nie mają tyle szczęścia. Głodują. Ład zabiera żywność, którą wyhodują. Ich bliscy zostali aresztowani. I przyznają się do tego, czego nie zrobili. Wiedziałeś o tym, Richardzie Cypherze? Że przyznają się do tego, czego nie zrobili? Nie wierzyłem w to. Myślałem, że skoro się przyznają, to są winni. Po co się przyznawać, jeśli jest się niewinnym? - Zachichotał. - Dlaczego? Uważałem, że to wstrętne ludzie, którzy chcą szkody Ładu. Myślałem, że dobrze im tak, i cieszyłem się, że ich aresztowano i ukarano.

- A dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Mój brat. - Chichot Favala nagle zmienił się w szloch. - Pomagał mi robić węgiel. Razem ześmy go robili. Dzięki temu utrzymywaliśmy rodziny. Pracowaliśmy od wschodu do zachodu słońca. Spaliśmy w tym samym domu, tu. Tym tutaj. W jednej izbie. Stale byliśmy razem. W ubiegłym roku byliśmy na spotkaniu i wszyscy musieli mówić, jak to dzięki Ładowi lepiej się nam żyje. Jak wychodziliśmy, to go aresztowali. Ktoś podał jego nazwisko, że niby może być buntownikiem. Nie martwiłem się. Mój brat nie miał nic na sumieniu. Robił węgiel.

Mężczyzna zapatrzył się w mroczne wspomnienia, a Richard czekał w ciemnościach; pot spływał mu po szyi.

- Cały tydzień chodziłem do aresztu i mówiłem im, że on nic nie zrobił przeciwko Ładowi. Że kochamy Ład, bo on chce, żeby wszystkich ludzi karmiono i troszczono się o nich. Strażnicy powiedzieli, że mój brat wreszcie się przyznał. Nazwali to zdradą stanu, mówili, że niby spiskował, żeby obalić Ład. Powiedzieli, że się im do tego przyznał. Następnego dnia miałem iść do innych ludzi, do urzędników w więzieniu, taki byłem rozniewany, i powiedzieć im, że z nich okrutne bestie. Ale moja żona się

rozplakała i błagała, żebym już nie szedł do tego więzienia, bo się bała, że i mnie zaaresztują. I żem nie poszedł, przez wzgląd na nią i na dzieci. I tak to by nic nie dało. Mieli zeznania mojego brata. A nikt, kto zezna, nie jest niewinny. Wszyscy o tym wiedzą. Skazali mojego brata na śmierć. Jego żona i dzieci dalej żyją z nami. Ledwo możemy... - Zachichotał i wbił zęby w kłykcie.

Richard położył mu dłoń na ramieniu.

- Rozumiem, Favalu. Nic nie mogłeś zrobić.

Węglarz otarł oczy.

- A teraz mam na sumieniu nienawistne myśli. To zbrodnia, sam wiesz. I jestem winny. Myślę o życiu bez Ładu. Marzę o własnym wozie, zwykłej furze, żeby mój bratanek i moi synowie mogli rozwozić nasz węgiel. Czyż to by nie było wspaniałe, Richardzie Cypherze? Mógłbym kupić... - Umilkł. - Popatrzył z zażenowaniem. - Ale Ład twierdzi, że takie myśli to zbrodnia, bo przedkładam swoje zachcianki nad potrzeby innych. Dlaczego ich potrzeby są ważniejsze od moich? Dlaczego? Poszedłem prosić o pozwolenie na kupno fury. Rzekli, że nie, bo bym pozbawił roboty woźniców. Mówili, że jestem chciwy, bo chcę ludzi pozbawić roboty. I za takie myśli nazwali mnie samolubem.

- To nieprawda - powiedział spokojnie i stanowczo Richard. - Twoje myśli nie są przestępstwem, nie są złe. To twoje życie, Favalu, i powinieneś móc je przeżyć według swojej woli. Powinieneś móc kupić wóz i ciężko pracować, żeby jak najlepiej żyło się i tobie, i twojej rodzinie.

Mężczyzna zarechotał.

- Mówisz jak rewolucjonista, Richardzie Cypherze.

Richard westchnął, myśląc o tym, jakie to wszystko bezcelowe.

- Wcale nie, Favalu.

Węglarz przyglądał mu się jakiś czas w blasku księżyca.

- To się już zaczęło, Richardzie Cypherze. Bunt. Wybuchł.

- Muszę dostarczyć węgiel. - Chłopak przeszedł na tył wozu i wstawił kosz na platformę.

Faval pomógł mu załadować następny.

- Powinieneś się do nich przyłączyć, Richardzie Cypherze. Jesteś bystry. Przydałaby się im twoja pomoc.

- Do czego? - Richard dumiał, czy może sobie pozwolić na nadzieję. - Co



zamierzają? Co chcą osiągnąć tym buntem?

Węglarz zachichotał.

- Jutro wyjdą na ulice. Zażądają zmian.

- Jakich zmian?

- Że chcą pracować. Żeby im pozwolono robić, co chcą. - Zaśmiał się. - Może będę mógł mieć furę? Jak myślisz, Richardzie Cypherze? Uważasz, że po tym buncie będę mógł mieć wóz i rozwozić mój węgiel? Wtedy mógłbym robić więcej węgla.

- Ale co zamierzają zrobić? Jak chcą cokolwiek zmienić, jeśli Ład powie „nie”? Co na pewno powie.

- Co chcą zrobić? Myślę, że pewno bardzo się rozłoszczą. Mogą nie wrócić do roboty. Niektórzy mówią, że włamią się do sklepów i zabiorą chleb.

Rozwiały się nadzieje Richarda.

Węglarz złapał chłopaka za rękaw.

- Co mam zrobić, Richardzie Cypherze? Przyłączyć się do buntu? Powiedz.

- Nie powinieneś nikogo innego pytać, Favalu, jak masz postąpić w tej sprawie. Jak mógłbyś narażać życie swoje i swojej rodziny, idąc za radą człowieka z wozem?

- Ale ty jesteś bystry, Richardzie Cypherze. Ja nie jestem taki mądry jak ty.

Chłopak postukał go palcem w czoło.

- Tu, Favalu, w swojej głowie, masz wystarczająco dużo rozumu, żeby wiedzieć, co powinieneś zrobić. Już mi powiedziałeś, że Ład nigdy nie poprawił ludziom życia, mówiąc im, co i jak mają robić. Sam do tego doszedłeś. Ty, węglarz, jesteś mądrzejszy od Ładu.

- Tak myślisz, Richardzie Cypherze? - rozpromienił się Faval. - Jeszcze nikt mi nie powiedział, że jestem bystry.

- Jesteś dostatecznie bystry, żeby samodzielnie ocenić, ile to dla ciebie znaczy i co chcesz zrobić.

- Boję się o żonę, żonę brata i wszystkie nasze dzieci. Nie chcę Ładu, ale boję się o nich, jak mnie aresztują. No, bo jak by wtedy żyli?

Richard postawił na wozie kolejny kosz.

- Posłuchaj, Favalu. Bunt to coś, do czego musisz mieć przekonanie. To

bardzo niebezpieczna sprawa. Jeśli masz się przyłączyć do buntu, powinieneś wiedzieć, wiedzieć z całą pewnością, czy jesteś gotów oddać życie za wolność.

- Naprawdę? Tak uważasz, Richardzie Cypherze?

Iskierka nadziei zgasła.

- Zostań tutaj, Favalu, i rób węgiel. Priska potrzebuje węgla. Ład arestuje tych ludzi i to będzie koniec buntu. Jesteś porządnym człowiekiem. Nie chcę, żeby cię arestowali.

Faval uśmiechnął się.

- Dobrze, Richardzie Cypherze. Skoro tak mówisz, to zostanę i będę robił węgiel.

- Słusznie. Wrócę jutro wieczorem. Ale jeśli będą zamieszki, to mogę nie przyjechać. Jeśli będą maszerować ulicami i drogi będą zablokowane, nie będę mógł wyjechać z miasta.

- Rozumiem. Wrócisz, kiedy tylko będziesz mógł. Ufam ci, Richardzie Cypherze. Nigdy mnie nie zawiodłeś.

Richard uśmiechnął się.

- Oto pieniądze za następny ładunek, na wypadek gdyby jutro był bunt i gdybym nie mógł tu przyjechać. - Podał węglarzowi drugą srebrną markę. - Nie chciałbym, żeby ci drwale przestali ci dostarczać drewno. Odlewniom potrzebny jest węgiel.

Mężczyzna roześmiał się, szczerze uradowany. Pocałował srebrną markę i wsunął ją do buta.

- Węgiel będzie gotowy. A teraz pomogę ci załadować wóz.

Faval nie był jedynym węglarzem, z którym Richard robił interesy. Chłopak miał wielu dostawców, żeby odlewnie mogły pracować. Byli to skromni ludzie starający się jakoś radzić sobie w życiu. Robili, co było w ich mocy pod jarzmem Ładu.

Richard miał mały zysk ze sprzedaży węgla odlewniom, za to o wiele większy ze sprzedaży żelaza i stali, które od nich kupował. Węgiel był dodatkowym zajęciem pozwalającym dobrze wykorzystać noce, kiedy jeździł wozem. Zysk z węgla szedł przede wszystkim na łapówki. Trochę więcej zarabiał, wożąc rudę, glinę, ołów, rtęć, antymon, sól, proszki do spiekania i inne potrzebne odlewniom rzeczy, na które nie dostawały pozwolenia albo których nie dostarczano na czas. Takich zamówień miał do woli. Opłacały

opiekę nad końmi i jeszcze trochę zostawało. Stal i żelazo to już był czysty zysk.

Kiedy Richard dotarł do odlewni, Priska, niezgrabny mistrz odlewniczy, już czekał, chodząc tam i z powrotem. Zaciśnął silne łapy na bocznej ścianie wozu. Zajrzał.

- W sam czas.

- Kiedy wracałem od Favalą, musiałem godzinę czekać, bo strażnicy miejscy sprawdzali ładunek.

- Te łotry! - Priska zamachał potężnymi ramionami.

- W porządku, uspokój się. Nic nie zabrali. Mam wszystko.

Priska westchnął.

- Mówię ci, Richardzie, to cud, że moje piece jeszcze dymią.

Chłopak zaryzykował niebezpieczne pytanie:

- Jesteś wmieszany w... niepokoję w mieście, tak?

Odlewnik przyglądał mu się przez chwilę w świetle padającym z okna kantorku, a prawdę mówiąc, szopy.

- Nadchodzi zmiana, Richardzie. Zmiana na lepsze.

- Jaka zmiana?

- Zaczął się bunt.

Richard poczuł, jak na nowo rozpała się w nim iskierka nadziei, ale tym razem silniejsza - nie tyle nadziei dla niego, bo okowy zbyt mocno go skuwały, ile dla ludzi tęskniących za wolnością. Faval był dobrym, ciężko pracującym człowiekiem, ale nie był tak rozgarnięty i pomysłowy jak Priska. Odlewnik wiedział więcej, niż na pozór mógł wiedzieć. Podał Richardowi nazwiska urzędników, których można było przekupić, żeby uzyskać dokumenty, i doradził mu, ile im dać.

- Bunt? - zapytał chłopak. - Jaki i po co?

- Nasz bunt: ludzi, co chcą żyć zgodnie z własną wolą. Rozpoczyna się nowy początek. Tej nocy. A właściwie już się zaczął. - Obrócił się ku swojemu kantorkowi i otworzył drzwi. - Jak dojedziesz do Victora, to musisz na niego zaczekać, Richardzie. Chce z tobą pogadać.

- O czym?

Priska zbył pytanie machnięciem ręki.

- No, dawaj mój węgiel, a potem ładuj stal. Victor odgryzie mi głowę, jak cię zatrzymam.

Richard zdjął z wozu kosz i zaniósł go na bok, a odlewnik doniósł kolejny.

- Co zrobili ludzie zaczynający bunt? Co zamierzają?

Priska pochylił się ku Richardowi ciągnącemu kolejny kosz ku tyłowi wozu.

- Pojmali wielu urzędników Ładu. Wysokich urzędników.

- Już ich zabili?

- Zabili ich! Czyś ty oszalał?! Nie zrobią im krzywdy. Będą więzieni, dopóki nie zgodzą się na złagodzenie zasad, póki nie spełnią żądań ludzi.

Richard wytrzeszczył oczy na Priskę.

- Złagodzić zasady? Czego oni żądają?

- Ma nastąpić zmiana. Ludzie chcą mieć więcej do powiedzenia w swoich firmach, swoim życiu, swojej pracy. - Podniósł kosz węgla. - Mniej spotkań związkowych. Żądają, żeby bardziej liczone się z ich potrzebami.

Tym razem iskierka nadziei nie tyle zgasła w Richardzie, ile zatonała w lodowatych wodach. Nie poświęcał większej uwagi Prisce, kiedy wyładowywali węgiel, a potem ładowali stal. Nie chciał słuchać o planach buntowników. Ale i tak poznał ich główny zarys.

Powstańcy wszystko sobie ułożyli. Chcieli jawnych rozpraw dla tych, których aresztuje Ład. Pozwolenia na widzenia z więźniami. Chcieli od Ładu informacji o tym, co się stało z tymi ludźmi, których aresztowano i o których nikt już później nie słyszał. Były jeszcze różne szczegóły i żądania, ale Richard uciekł myślami ku innym sprawom.

Kiedy chłopak wdrapywał się na wóz, by odjechać, Priska złapał go za ramię żelazną łapą.

- Richardzie, nadszedł czas, żeby ludzie, co nie są obojętni, przyłączyli się do buntu.

Wymienili długie spojrzenie.

- Victor czeka.

- Czekaj. - Priska puścił ramię chłopaka. - Do zobaczenia, Richardzie. Może następnym razem zjawisz się tutaj, jak Ład zgodzi się na nasze żądania, i będziesz mógł przyjechać za dnia, bez papierów.

- To byłoby wspaniale, Prisko.

Zanim Richard dojechał do Victora, rozboleła go głowa. Dręczyło go to, co usłyszał i o czym bał się jeszcze usłyszeć.

Kowal na niego czekał. Jak na niego, zjawił się w kuźni za wcześnie; zwykle przychodził bliżej świtu. Otworzył drzwi do zewnętrznego magazynu i postawił lampę na półce, żeby Richard widział, jak cofa wóz.

Kiedy chłopak zsiadł z zydła, Victor obdarzał go tym swoim wilczym uśmiechem.

- Rozładuj wóz, Richardzie, a potem zjemy trochę lardo i pogadamy.

Chłopak metodycznie zabrał się do pracy; wcale nie miał ochoty na pogawędkę. Dobrze wiedział, o czym Victor chciał rozmawiać. Kowal, jak to miał w zwyczaju, zostawił Richardowi rozładunek. Był kupującym stal i cieszył się, że dostaje ją wtedy, kiedy jest mu potrzebna. Taki transport rzadko uzyskiwał od kompanii przewozowej, pomimo wysokiej ceny, jaką jej płacił.

Richard chętnie został sam. Tak daleko na południu Starego Świata lato było nie do wytrzymania. Ociekające wilgocią powietrze przytłaczało, noce rzadko kiedy były lepsze od dni. Chłopak pracował, wspominając piękne jasne dni spędzone z Kahlan w ich górskiej chacie, w pobliżu potoku. Zdawało mu się, że było to strasznie dawno temu. Z trudem podtrzymywał nadzieję, że ją jeszcze kiedyś zobaczy, ale od nadejścia lata nieustannie się o nią martwił. Czasami tak bardzo cierpiał, myśląc o niej, tęskniąc za nią, martwiąc się o nią, że musiał ją usuwać z myśli. Czasami natomiast to właśnie wspomnienia o niej trzymały go przy życiu.

Kiedy skończył, niebo zaczynało jaśnieć. Znalazł Victora w ostatniej izbie; drzwi były szeroko otwarte, żeby blask świtu padał na marmurowy monolit. Kowal wpatrywał się w piękno zakłete w kamieniu, w tkwiący w bryle posąg, który tylko on widział. Dopiero po dłuższej chwili zauważył, że Richard stoi w pobliżu.

- Chodź, Richardzie, zjemy trochę lardo.

Usiedli na progu, ponad budową Ustronia, i patrzyli na całe mile kamiennych murów różowiejących w mgiełce poranka. Nawet z tej odległości Richard widział na szczycie jednego muru pokręcone postaci symbolizujące złą naturę ludzką.

Kowal podał chłopakowi biały jak śnieg plaster lardo.

- Zaczął się bunt, o którym ci mówiłem, Richardzie. Ale pewnie już o tym wiesz.

- Wcale się nie zaczął - odparł Richard.

Victor wpatrzył się weń z osłupieniem.

- Ależ zaczął.

- Zaczęły się poważne kłopoty. Ale to nie bunt, o którym rozmawialiśmy,

- Ale będzie nim. Przekonasz się. Wielu ludzi będzie dzisiaj szło. - Victor gestykulował z rozmachem. - Chcemy, żebyś był naszym przywódcą, Richardzie.

Chłopak spodziewał się tej propozycji.

- Nie.

- Wiem, wiem, uważasz, że ludzie cię nie znają i nie pójda za tobą, ale się mylisz, Richardzie. Wielu cię zna. I jest ich więcej, niż myślisz. Licznym z nich mówiłem o tobie. Priska i inni też o tobie mówili. Możesz nam przewodzić, Richardzie.

Chłopak patrzył na mury, na figury skulonych w strachu ludzi.

- Nie.

Tym razem mistrz był bardzo zaskoczony.

- Dlaczego nie chcesz?

- Bo zginie mnóstwo ludzi.

Kował się zaśmiał.

- Nie, Richardzie, nie. Mylisz się. To nie będzie taki bunt. To będzie rewolta ludzi dobrej woli. Rewolta dla poprawienia doli ludzi. Właśnie tego zawsze naucza Ład. Jesteśmy ludem. Oni twierdzą, że są dla ludu, więc jeżeli przedłożymy im żądania ludu, wysłuchają nas i je spełnią.

Richard ze smutkiem potrząsnął głową.

- Chcesz, żebym był twoim wodzem, Victorze?

- Tak.

- To zrób coś dla mnie, Victorze.

- Jasne, Richardzie. Powiedz tylko co.

- Trzymaj się z dala od całego tego zamieszania. Rozkazuję ci to jako twój wódz. Zostań tu dzisiaj i pracuj. Nie mieszaj się do tego.

Victor najwyraźniej myślał, że Richard żartuje. Po chwili zrozumiał, że nie.

- Ale dlaczego? Nie chcesz, żeby było lepiej? Chcesz tak przeżyć całe życie? Nie chcesz, żeby się poprawiło?

- Zamierzacie zabić tych ludzi Ładu, których pojмалиście?

- Zabić ich? Czemu mówisz o zabijaniu, Richardzie? Tu chodzi o życie. O

zmiany na lepsze.

- Posłuchaj, Victorze. Ci, przeciwko którym występujecie, nie będą się stosować do waszych reguł.

- Ale zechcą...

- Zostań tu i pracuj, bo inaczej umrzesz z wieloma innymi. Ład zgniecicie to powstanie za dzień lub dwa, a potem złapią każdego, kogo będą podejrzewać o współudział. Całe mnóstwo ludzi zginie.

- Ale gdybyś został naszym przywódcą, przedstawiłbyś nasze żądania. To dlatego chcemy, żebyś stanął na czele: żeby zapobiec takim wypadkom. Potrafisz przekonywać ludzi. Wiesz, jak działać. Pomyśl tylko, jak pomogłeś tylu ludziom w Altur'Rang: Favalowi, Prisce, mnie i innym. Jesteś nam potrzebny, Richardzie. Żeby podsunąć ludziom motyw przyłączenia się do buntu.

- Jeżeli sami nie wiedzą, czego chcą i o co walczą, to nikt im nie podsunie motywu. Zwyciężą wyłącznie wtedy, kiedy zapragną wolności i będą gotowi nie tylko dla niej zabijać, ale i za nią umierać. - Richard wstał, otrzepał spodnie. - Nie mieszaj się do tego, Victorze, bo umrzesz z innymi.

Kowal poszedł z nim do wozu. W dole ludzie schodzili się do pracy nad pałacem imperatora. Mistrz skubał drewniany bok wozu, najwyraźniej chciał powiedzieć coś jeszcze.

- Wiem, co czujesz, Richardzie. Naprawdę. I ja uważam, że oni nie pragną tak gorąco wolności jak ja; ale przecież nie są z Cavatury, więc pewnie nie wiedzą, co to prawdziwa wolność. I na razie tyle tylko możemy zrobić. Nie spróbujesz, Richardzie? Richard Rahl, z imperium D'Hary na północy, rozumie nasze pragnienie wolności i by spróbował.

Richard wspiął się na kozioł. Zastanawiał się, gdzie ludzie słyszą takie rzeczy, i dziwił się, że iskierka owych idei zawędrowała aż tak daleko. Ujął lejce i bat i wymienił długie spojrzenie ze śmiertelnie poważnym kowalem, człowiekiem upojonym unoszącym się w powietrzu powiewem wolności.

- Czy spróbowałbyś przekuć w coś zimną stal, Victorze?

- Jasne, że nie. Stal musi być rozżarzona do białości, zanim się w coś zmieni.

- Ludzi też to dotyczy, Victorze. A oni są jak zimna stal. Oszczędź młota. Jestem przekonany, że ów Richard Rahl powiedziałby ci to samo.

## ROZDZIAŁ 54

Powstanie trwało dzień. Richard został w domu. Poprosił Nicci, żeby i ona została. Powiedział, że słyszał plotki o możliwych kłopotach i że nie chce, żeby coś jej się stało.

Za to Ład tydzień wylapywał powstańców. Ludzie, którzy brali udział w marszu, zginęli na ulicach lub zostali pojmani przez strażników miejskich. Przesłuchiwano ich, dopóki nie podali dalszych nazwisk. Ludzie wypytywani przez Ład zawsze składali zeznania.

Fale aresztowań, przesłuchań i kolejnych aresztowań przetaczały się przez miasto wiele dni. Setki ludzi pochowano w niebie. Stłumiono zarzewie niepokoju. Ludzie chcieli o wszystkim zapomnieć. Rzadko kiedy wspominano o marszach - jakby ich w ogóle nie było.

Richard wrócił do pracy w kompanii przewozowej, wolał nie ryzykować nocnych wypraw. Jori milczał, kiedy jechali przez miasto, mijając pale z gnijącymi, pochowanymi w niebie zwłokami.

Jori i Richard jeździli do kopalń po rudę dla odlewni. Byli też w kamieniołomach piaskowca, nieco na wschód od miasta. Podróż tam i z powrotem zajęła cały dzień. Następnego dnia dostarczyli kamień na zachodnią stronę Ustronia, gdzie był potrzebny na przyporę. Za murami, w pobliżu terenów kamieniarzy, stało sporo pali, może pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt. Najwyraźniej i wśród robotników przeprowadzono czystkę.

Wracali drogą obok kuźni. Richard zeskoczył z wozu i powiedział Joriemu, że pójdzie na przelaj i dołączy do niego, kiedy wóz pokona wijącą się drogę. Wyjaśnił, że musi porozmawiać z kowalem o kolejnej dostawie.

W ciemnym warsztacie Victor kuł długi kawałek stali, wyginając czerwony metal wokół rogu kowadła. Podniósł wzrok i kiedy zobaczył, że to Richard, wrzucił gorący metal do cebrzyka obok kowadła; płyn zabulgotał i zasyczał.

- Richardzie! Rad cię widzę.

Chłopak zauważył, że brakuje kilku robotników.

- Chorzy?

Victor ponuro potrząsnął głową. Richard skwitował to krótkim pochyleniem swojej.



- I ja rad cię widzę, Victorze. Chciałem się upewnić, że nic ci się nie stało.  
- Nic mi nie jest, Richardzie. - Kowal zwiesił głowę. - Dzięki za radę. Bo mógłbym teraz być pochowany w niebie. - Wskazał ku Ustroniu. - Widziałeś? Wielu rzeźbiarzy... wiszą tam, na palach.

Chłopak widział zwłoki, ale nie zorientował się, że było tam wielu rzeźbiarzy. Wiedział, co niektórzy z nich myśleli o tym, co rzeźbili - jak nienawidzili tworzenia scen śmierci.

- Priska?

Victor ze smutkiem potrząsnął głową, nie zdołał nic powiedzieć.

- Faval?

- Wczoraj go widziałem. - Victor głęboko odetchnął dla uspokojenia. - Powiedział, że kazałeś mu zostać w domu i robić węgiel. Chyba zamierza zmienić imię jednemu ze swoich dzieci na twoje.

- Gdyby Priska... A co z twoją specjalną stalą?

Mistrz machnął sztabą trzymaną w szczypcach.

- Jego majster poprowadzi interes. Mógłbyś pojechać po żelazo? Ostatnią dostawę miałem przed zamieszkami. Brat Narev jest w okropnym humorze, chce żelaznych wsporników do filarów. Nadmienił, że kowal lojalny wobec Ładu i Stwórcy postarałby się je zrobić.

Richard skinął głową.

- Myślę, że już się wystarczająco uspokoiło. Kiedy?

- Właściwie to by się przydało już teraz, ale mogę przeciągnąć sprawę do pojutra. Muszę zrobić parę tych wyszukanych dłupek do detali, a skoro mam mało ludzi, to może tyle zaczekać.

- A więc pojutrze. Wtedy powinno już być bezpiecznie.

Słońce już zaszło, kiedy Richard szedł ulicą do dzielonego z Nicci pokoju; całkiem dobrze widział drogę w półmroku. Myślał o Victorze, kiedy zza budynku wyszło sześciu mężczyzn.

- Richard Cypher?

Nie byli ubrani jak zwykli strażnicy miejscy, ale to ostatnio nic nie znaczyło. Grasowało sporo specjalnych, nie umundurowanych funkcjonariuszy, którzy - jak mówiono - ścigali podżegaczy.

- Tak. Czego chcecie?

Dostrzegł, że każdy z nich ma miecz pod lekką peleryną. Wszyscy trzymali dłonie na długich, zatkniętych za pas nożach.

- Jako zaprzysiężeni funkcjonariusze Imperialnego Ładu mamy obowiązek cię aresztować. Jesteś podejrzany o udział w powstaniu.

Kiedy Nicci się obudziła, Richarda wciąż nie było. Mruknęła coś, nieszczęśliwa i zawiedziona. Przekręciła się na plecy i zobaczyła, że przez zasłony wpada do pokoju światło. Kąt padania promieni słonecznych świadczył, że musiało być tuż po świcie. Ziewnęła, przeciągnęła się, odrzuciła do tyłu ramiona i patrzyła w sufit - czysty i biały. Poczowała, jak narasta w niej gniew. Denerwowało ją, kiedy nie było go nocą, ale czułaby się jak oszustka, gdyby krzyczała na niego za to, że tak ciężko pracuje. Chciała mu pokazać, jak ciężko muszą pracować zwykli ludzie, by dać sobie radę w życiu, a tym samym udowodnić mu, że Ład to jedyna nadzieja na poprawę życia zwyczajnych ludzi.

Ostrzegała, żeby się nie mieszał do tego buntu. Była zadowolona, że nie sprzeczał się z nią w tej sprawie. Nawet wydawał się mu przeciwny. Zdumiała ją, że został w domu i nie poszedł do pracy, kiedy trwały marsze. Zdecydowanie ostrzegał Kamila i Nabbiego, żeby nie wplątywali się w powstanie.

Teraz rebelię stłumiono, władze aresztowały wielu podżegaczy i znów było bezpiecznie, więc Richard mógł w końcu wrócić do pracy. Rebelia była wstrząsem. Ład powinien bardziej uzmysłwić ludziom, że mają obowiązek łagodzić trudy życia nie tak hojnie obdarzonym przez los. Wtedy nie byłoby zamieszek na ulicach. W tym celu przeprowadzono też czystkę wśród urzędników za to, że zbyt słabo działali dla sprawy Ładu. Przynajmniej tyle dobrego z tego wyniknęło.

Siostra ochlapała twarz wodą z miednicy, którą pewnego dnia przyniósł Richard. Kwiaty na obrzeżu pasowały do łososiowych ścian i dywanika, który kupił z oszczędności. Był na pewno pracowity, skoro udawało mu się oszczędzać z niskiej pensji.

Zdjęła przepoconą nocną koszulę i najlepiej, jak zdołała, umyła się mokrą myjką. Odświeżyła się. Nie znosiła być spocona i brudna przy Richardzie.

Zobaczyła, że na stole wciąż stoi miseczka gulaszu, który mu wczoraj przygotowała. Nie mówił, że musi pracować w nocy, ale bywało, że nie miał czasu wrócić do domu na kolację. Kiedy pracował nocą, zwykle wracał krótko po świcie, więc spodziewała się, że lada moment go zobaczy.

Na pewno będzie głodny. Może zrobi mu jajka. Richard lubił jajka.

Uświadomiła sobie, że się uśmiecha. Była zła, kiedy się obudziła - a teraz uśmiechała się, myśląc o tym, co on lubi. Przeczesała włosy palcami, niecierpliwie czekając, aż wejdzie, by zapytać, czy chce, żeby mu przygotowała jajka. Pewnie zechce, a ona z radością zrobi to, co on lubi.

Mierziło ją robienie czegoś, czego Richard nie pochwalał.

Od tej okropnej nocy z Gadim upłynęło kilka miesięcy. To był błąd. Zrozumiała to później. Początkowo radowała się tym - nie dlatego, że chciała się przespać z tym odrażającym zbirem, ale dlatego, że odmowa Richarda tak ją upokorzyła, iż chciała się na nim zemścić. Na początku upajała się tym, co Gadi jej robił, bólem, który jej sprawiał - bo i Kahlan cierpiała. Nicci rozkoszowała się gwałtem tylko dlatego, że była to zemsta za to, co zrobił jej Richard. Nic bardziej nie raniło Richarda niż cierpienia Kahlan.

Gadi nienawidził chłopaka. Uważał, że noc z Nicci znów uczyni go królem i że dopiecze Richardowi. Bardzo jej pragnął, ale jeszcze bardziej chciał się zemścić na Richardzie. Bo Richard odebrał Gadiemu jego królestwo, przywłaszczył je sobie. A Nicci aż za bardzo pozwalała temu zbirowi znów stawać się królem. Wiedziała, że Richard słyszy każdy krzyk i rozumie, iż Kahlan czuje ten sam ból.

Jednak kiedy Gadi wściekle się na nią rzucił i dokładał wszelkich starań, żeby poniżyć Richarda tym, co jej robił, ją zaczęły przesładować słowa chłopaka: „Nie rób tego, Nicci, proszę. Tylko sama siebie ranisz”.

Kiedy Gadi ją brał, usiłowała sobie wyobrazić, że to Richard, starała się mieć go choć w ten sposób. Ale za nic nie mogła w to uwierzyć. Wiedziała, że Richard nigdy nie upokorzyłby tak i nie poranił kobiety. Nawet przez sekundę nie potrafiła udawać, że to Richard.

Co więcej, zaczęła rozumieć, że tamte słowa nie były błaganiem o oszczędzenie bólu Kahlan, ale o oszczędzenie bólu jej, Nicci. Choć tak jej nienawidził, zatroszczył się o nią. Choć tak jej nienawidził, nie chciał, żeby cierpiała.

Żadne słowa Richarda nie zapadłyby jej głębiej w serce. Ta troska była największym okrucieństwem, jakie jej mógł wyrządzić.

Późniejszy ból był jej karą. Nicci tak się wstydziła tego, co uczyniła, że udawała przed Richardem, iż wcale nie ucierpiała. Chciała mu oszczędzić rozpaczę płynącej ze świadomości tego, co Kahlan cierpiała wraz z nią. Następnego ranka powiedziała Richardowi, że popełniła błąd. Nie

oczekiwała wybaczenia; chciała, żeby wiedział, że ona wie, iż źle postąpiła, i że żałuje.

Nic nie powiedział; słuchał tylko i patrzył na nią tymi swoimi szarymi oczami, a potem poszedł do pracy.

Krwawiła przez trzy dni.

Gadi pochwalił się przyjaciółom, że ją miał. Żeby ją bardziej upokorzyć, ujawnił wszelkie szczegóły. Ku jego zdumieniu, Kamil i Nabbi byli na niego wściekli. Zamierzali nakapać mu do oczu gorącego wosku i zrobić mu jeszcze coś - Nicci nie była pewna co, ale mogła to sobie wyobrazić. Pogróżki były tak zdecydowane, że Gadi jeszcze tego samego dnia zaciągnął się do Imperialnego Ładu. Akurat na czas, żeby odmaszerować z oddziałem na północ, na wojnę. Naigrawał się z Kamila i Nabbiego, chwalił się, że maszeruje, by zostać bohaterem.

Nicci usłyszała kroki na korytarzu. Uśmiechnęła się i wyjęła z kredensu trzy jajka. Ale Richard nie otworzył drzwi, jak się spodziewała; ktoś zastukał.

Przeszła na środek pokoju.

- Kto tam?

- Nicci, to ja, Kamil...

Zaniepokojenie w jego głosie sprawiło, że dostała gęsiej skórki.

- Jestem ubrana. Wejdz.

Zadyszany Kamil wpadł do środka. Twarz miał równie białą, jak kłykcie zaciśniętych na klamce palców. Łzy spływały mu po policzkach.

- Aresztowali Richarda. Tej nocy. Mają go.

Nicci mgliście zdała sobie sprawę, że jajka upadły na podłogę.

## ROZDZIAŁ 55

Nicci, z Kamilem u boku, weszła po dwunastu kamiennych stopniach do koszarów straży miejskiej. Była to potężna forteca; wysokie mury ciągnęły się wzdłuż całego kwartału. Siostra Mroku nie prosiła Kamila, żeby z nią poszedł. Wiedziała, że powstrzymałaby go chyba tylko śmierć. W żaden sposób nie mogła pojąć, jak Richardowi udawało się wzbudzać w ludziach takie odruchy.

Kiedy wychodzili, była zszokowana, ale zauważyła, że wszyscy mieszkańcy domu wyglądali na spiętych i czujnych. Twarze patrzyły z okien, gdy razem z Kamilem wypadli na dwór i pospieszyli ulicą. Mieszkańcy innych domów wyszli i patrzyli, jak odchodzi. Wszyscy mieli ponure i zawzięte miny.

Co sprawiało, że ludzi tak bardzo obchodził ten jeden człowiek?

Co sprawiało, że ją obchodził?

W brudnych koszarach było pełno ludzi. Starcy - z zapadniętymi, nie ogolonymi policzkami - stali w oszołomieniu i patrzyli w pustkę. Płakały kobiety o pulchnych twarzach i głowach obwiązanych chustami, a chlapiące dzieci czepiały się ich spódnic. Z kolei inne kobiety miały twarze bez wyrazu, jakby stały po chleb lub proso. Mały chłopczyk, ubrany tylko w koszulkę i golutki od pasa w dół, samiuteńki, przyciskał piąstki do buzi i wrzeszczał.

Wyglądało to jak czuwanie przy zmarłym.

Przez tłum przepychali się z obojętnymi minami strażnicy miejscy - w większości rośli i młodzi - idąc ku ciemnym korytarzom pilnowanym przez ich kamratów. Niska, białe jak zbita drewniana ścianka dzieliła pomieszczenie na połowę. W jednej części tłoczyli się ludzie, w drugiej swobodnie rozmawiali strażnicy. Inni przynosili raporty osobom siedzącym za zwykłym stołem, żartowali lub odbierali po drodze rozkazy.

Nicci precyzyjnie się przesuwała przez tłum i dotarła do niskiej przegrody, przy której tkwiły skulone kobiety. Wszystkie miały nadzieję, że je zawołają, że im coś powiedzą, że interweniuje sam Stwórca. Ale tylko wbijały się im drzazgi z nie heblowanej drewnianej przegrody, przy której się tłoczyły.

Nicci chwyciła za rękaw przechodzącego strażnika. Zatrzymał się w pół kroku. Gniewnie spojrzał na jej dłoń, a potem w oczy. Przypomniała sobie, że

nie ma mocy, i puściła rękaw.

- Czy mogę spytać, kto tu jest szefem?

Obejrzał ją od stóp do głów, kobietę, która oto miała być pozbawiona męża i dostępna. Rozciągnął wargi w sztucznym uśmiechu.

- Tam. - Wskazał. - Przy stole. Protektor ludu Muksin.

Starszy mężczyzna siedział schowany za potężną stertą papierzysk. Brodę opuścił na piersi, a jego rozszerzające się ku dołowi ciało wyglądało, jakby się topiło w letnim skwarze. Na luźnej białej koszuli widać było duże, ciemne plamy potu, który dokładał swój zapaszek do zaduchu panującego w gorącym pomieszczeniu. Strażnicy nachylali się i szeptali mu coś do ucha, a on wodził matowymi oczami, na niczym ich nie zatrzymując. Mężczyźni siedzący po obu stronach Muksina skrzętnie pracowali nad własnymi stertami papierzysk, rozmawiali z sobą albo omawiali coś z przepływającym przez salę strumieniem urzędników i strażników.

Protektor Muksin, którego błyszczący czubek głowy osłonięty był jak u starego żółwia drzemiącego pod rzadkimi źdźbłami trawy, obserwował salę. Jego ciemne oczy nie zatrzymywały się ani na chwilę - przesuwały się po strażnikach, urzędnikach, kłębiącym się tłumie. Przesunęły się również po twarzy Nicci, tak samo obojętnie jak po innych. Wszyscy byli obywatelami Ładu, równymi sobie; jako jednostki nie mieli żadnego znaczenia.

- Mogę z nim porozmawiać? - spytała Nicci. - To ważne.

Uśmiezek strażnika stał się kpiący.

- No pewnie, że jest. - Wskazał palcem na grupkę ludzi z boku. - Na koniec ogonka. Czekaaj na swoją kolej.

Nicci i Kamil nie mieli wyjścia, mogli jedynie czekać. Siostra za dobrze знаła takich tuzinkowych urzędników, żeby się awanturować. Tylko czekali na takie okazje, kiedy ktoś urządzał scenę. Oparła się ramieniem o tynkowaną ścianę pokrytą ciemnymi tłustymi śladami po niezliczonych ramionach. Kamil stanął za nią.

Kolejka nie posuwała się, bo urzędnicy nikogo nie obsługiwali. Nicci nie wiedziała, czy aby nie mieli wyznaczonych pór przyjmowania obywateli. Musieli pilnować swojego miejsca w kolejce, nic innego nie mogli zrobić. Ranek się włókł, a kolejka przed nią nie zmniejszała się. Za to z tyłu zrobiło się tłoczniej.

- Kamilu - powiedziała Nicci cicho po paru godzinach - nie musisz ze

mną czekać. Możesz iść do domu.

Miał czerwone i opuchnięte oczy.

- Chcę czekać. - W jego głosie brzmiała zaskakująca nieufność. - Niepokoję się o Richarda - dodał oskarżycielsko.

- I ja się niepokoję. A niby dlaczego tutaj jestem?

- Przyszedłem po ciebie tylko dlatego, że tak się bałem o Richarda, a nie miałem pojęcia, co robić. Wszyscy inni już poszli albo do roboty, albo po chleb. - Kamil odwrócił się i oparł plecami o ścianę. - Nie wierzę, że on cię obchodzi, ale nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić.

Nicci odgarnęła z czoła kosmyk przepoconych włosów.

- Nie lubisz mnie, prawda?

Wciąż na nią nie patrzył.

- Tak.

- Wolno spytać dlaczego?

Chłopak rozejrzał się, czy ktoś nie słucha. Ale wszyscy byli zajęci własnymi sprawami.

- Jesteś żoną Richarda, a go zdradziłaś. Wpuściłaś Gadiego do swojego łóżka. Dziwka z ciebie.

Usłyszawszy to, Nicci aż zamrugła ze zdumienia. Kamil znów się rozejrzał i podjął:

- Nie wiemy, czemu taki mężczyzna jak Richard miałby z tobą być. Każda kobieta bez męża, z naszego domu i z sąsiednich, powiedziała mi, że chętnie zostałaby jego żoną i nie położyła się z innym do końca życia. Wszyscy mówią, że nie rozumieją, czemuś zrobiła to Richardowi. Wszyscy mu współczuli, ale on nie chciał o tym gadać.

Nicci odwróciła się. Nagle poczuła taki wstyd, że nie mogła patrzeć na młodzieńca, który dopiero co dosadnie ją określił... i miał rację.

- Nie rozumiesz całej sprawy - wyszeptała.

Kątem oka dostrzegła, że Kamil wzruszył ramionami.

- A pewnie. Nie rozumiem. Nie rozumiem, jak można tak paskudnie postąpić wobec takiego męża jak Richard, co ciężko tyra i tak się o ciebie troszczy. Skoroś to zrobiła, to musisz być złą babą, co wcale nie dba o swojego męża.

Nicci poczuła, że na jej policzkach łzy mieszają się z potem.

- Richard bardziej mnie obchodzi, niż sobie wyobrażasz.

Nie odpowiedział. Odwróciła się i spojrzała na niego. Lekko uderzał barkami o ścianę. Za bardzo się za nią wstydził - lub na nią złościł - żeby spojrzeć jej w oczy.

- Pamiętasz, Kamilu, jak pierwszy raz przyszliśmy do tego pokoju w twoim domu?

Wciąż na nią nie patrzył, ale skinął głową.

- Pamiętasz, jacy byliście z Nabbim paskudni dla Richarda, coście wygadywali? Jak go przezywaliście? Jak mu groziliście nożami?

- Popełniłem błąd - powiedział tonem świadczącym o tym, że naprawdę tak uważa.

- I ja popełniłam błąd, Kamilu. - Nie próbowała ukryć łez, bo połowa kobiet w sali szlochała. - Nie mogę ci tego wytłumaczyć, ale pokłóciliśmy się wtedy. Byłam na niego zła. Chciałam go zranić. Głupio zrobiłam. Popełniłam okropny błąd.

Pociągnęła nosem i osuszyła go małą chusteczką. Kamil obserwował ją kątem oka.

- Przyznaję, że to był inny błąd niż twój i Nabbiego, ale błąd. I ja źle zrobiłam.

- Nie chciałaś Gadiego?

- Gadi przyprawia mnie o mdłości. Wykorzystałam go, bo byłam zła na Richarda.

- I żałujesz?

Nicci zadrżała broda,

- Pewnie, że żałuję.

- I nie zezłosisz się znowu i nie zrobisz tego jeszcze raz? Z jakimś innym typem?

- Nie. Powiedziałam Richardowi, że się pomyliłam, że żałuję i że już nigdy mu tego nie zrobię. I mówiłam prawdę.

Kamil dumiał nad tym, obserwując, jak jakaś kobieta potrząsa dzieckiem za ramię. Dziecko nie przestawało płakać, bo chciało na ręce. Powiedziała coś cicho i małe, naburmuszone, przytuliło się do jej nogi; już nie płakało.

- Skoro Richard ci wybaczył, to nie mogę się na ciebie gniewać. Jest twoim mężem. Wy powinniście to załatwić, nie ja. - Dotknął jej ręki. - Zrobiłaś głupi błąd. Ale to już skończone. Nie płacz już nad tym, co? Teraz są ważniejsze sprawy.



Nicci uśmiechnęła się przez łzy i skinęła głową.

Uśmiechnął się leciutko.

- Powiedzieliśmy z Nabbim Gadiemu, że nie chcemy już mieć z nim nic wspólnego i że go podziabiemy nożami za to, co zrobił Richardowi. Wyjął nóż i przepuściliśmy go. Gadi kocha swój nóż. Już nim pokaleczył ludzi. Poważnie pokaleczył. Powiedział, żebyśmy go przepuścili, bo idzie się zaciągnąć do wojska. Mówił, że będzie tym nożem rozpruwał brzuchy wrogom, że będzie wojennym bohaterem i że będzie miał mnóstwo kobiet, lepszych od żony Richarda.

- Jestem przekonana, że nie ja jedna będę żałować, że w ogóle poznałam Gadięgo.

Późnym popołudniem protektor ludu Muksin zaczął przyjmować ludzi. Nicci bolały plecy, ale była to drobnostka w porównaniu z jej strachem o Richarda. Dwaj strażnicy zabierali po jednym czekającym i prowadzili go przed oblicze protektora Muksina.

Kolejka posuwała się prędko, bo protektor nie tolerował długich rozmów. Co najwyżej kartkował parę dokumentów, a potem mówił coś petentowi. Tyle było wokół płaczu i zawodzenia, że Nicci nie słyszała, co to było. Kiedy nadeszła jej kolej, strażnik odepchnął Kamila.

- Tylko jeden obywatel może mówić z protektorem Muksinem.

Nicci skinieniem głowy dała chłopakowi znak, żeby został z tyłu i się nie awantuował. Strażnicy złapali ją za ramiona i wręcz zawlekli przed protektora ludu Muksina. Nicci była oburzona, że potraktowano ją tak brutalnie - niczym jakąś zwykłą... obywatelkę.

Zawsze miała swego rodzaju władzę - czasem jawną, czasem ukrytą - i nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiała. Chciała, żeby Richard przekonał się, jak żyją zwykli, ciężko pracujący ludzie. A Richard doskonale sobie z tym poradził.

Obaj strażnicy stanęli tuż-tuż, po obu stronach, na wypadek gdyby zaczęła robić sceny. Pewnie często coś takiego widywali. Nicci poczuła, że rumieni się z oburzenia na takie traktowanie.

- Protektorze Muksinie, mojego męża...

- Nazywa się? - Ciemne oczy przesunęły się po czekających; pewnie oceniał, jak daleko jeszcze do kolacji.

- Richard.

Spojrzał na nią ostro.

- Imię i nazwisko.

- Nazywa się Richard Cypher. Zabrano go wczoraj wieczór.

Nicci wołała nie mówić „aresztowano” z obawy, że doda wagi jakiemuś poważnemu zarzutowi.

Muksin wertował dokumenty, wcale przy tym na nią nie zerkając. Nicci była nieco skonfundowana tym, że ów mężczyzna nie przyglądał się jej równie taksujące jak inni, którzy obliczali w myślach jej wymiary i wyobrażali sobie to, czego nie widzieli, jak gdyby nie wiedziała, czym się zajmują. Za to obaj strażnicy gapili się na przód jej sukni.

- Ach. - Protektor ludu Muksin machnął dokumentem. - Masz szczęście.

- Więc go zwolniono?

Popatrzył na nią, jakby była szalona.

- Jest u nas. Na tym dokumencie jest jego nazwisko. Ludzi zabiera się do różnych miejsc. Nie można oczekiwać, że protektorzy ludu będą znać miejsce pobytu wszystkich.

- Dziękuję ci - powiedziała Nicci, choć nie miała pojęcia, za co mu dziękuje. - Dlaczego go zatrzymano? Jakie są zarzuty?

Muksin zmarszczył brwi.

- Skąd możemy znać zarzuty? Jeszcze nic nie zeznał.

Nicci zakręciło się w głowie. Wiele kobiet mdlało, kiedy rozmawiały z protektorem. Strażnicy mocniej zacisnęli łapy na jej ramionach. Muksin już unosił dłoń, żeby dać znak, by ją zabrali. Nim zdążył to zrobić, Nicci odezwała się tak spokojnie, jak tylko zdołała:

- Protektorze Muksinie, mój mąż nie jest wichrzycielem. On zajmuje się wyłącznie pracą. Nigdy źle o nikim nie mówi. Jest porządnym człowiekiem. Zawsze robi to, co mu każą.

Przez ułamek sekundy - kiedy Siostra patrzyła, jak pot ścieka mu po policzkach - wydawał się coś rozważać.

- Ma jakieś zdolności?

- Jest uczciwym robotnikiem Ładu. Ładuje wozy.

Wiedziała, że to błędna odpowiedź, zanim jeszcze ją dokończyła. Dłoń się uniosła, skinęła, przepędziła ją niczym komara. Strażnicy szarpnęli ją ku górze, unieśli i usunęli przed oblicza dygnitarza.

- Ale mój mąż jest dobrym człowiekiem! Proszę, protektorze Muksinie!

Richard nie przysparza żadnych kłopotów! Był w domu!

Mówiła szczerze i to samo, co wiele kobiet przed nią. Była wściekła, że nie zdołała przekonać Muksina, że jest inna niż one, że Richard jest inny. Teraz już wiedziała, że wszyscy starali się o to samo.

Kamil biegł z tyłu, gdy strażnicy nieśli ją krótkim ciemnym korytarzem do bocznych drzwi kamiennej fortecy. Kiedy je otworzyli, do środka wkradło się przyćmione światło wieczoru. Popchnęli ją. Nicci, potykając się, zeszła po schodach. Kamila wyrzucono tuż za nią. Upadł twarzą na ziemię. Uklęła, żeby pomóc mu wstać. Klęcząc, spojrzała ku drzwiom.

- A co z moim mężem? - dopytywała się.

- Możesz wrócić któregoś dnia - powiedział jeden ze strażników. - Kiedy złoży zeznanie, protektor poda ci zarzuty.

Nicci wiedziała, że Richard nic nie zezna. Prędzej umrze.

- Mogę go zobaczyć? - Złożyła błagalnie dłonie, wciąż klęcząc przy Kamilu. - Mogę go choć zobaczyć?

Jeden ze strażników szepnął coś do drugiego.

- Masz jakieś pieniądze?

- Nie - załkała żałośnie.

Odwrócili się, żeby wejść do środka.

- Czekać! - zawołał Kamil.

Kiedy się zatrzymali, wbiegł po schodach. Podciągnął nogawkę i zdjął but. Przechylił go - na dłoń wypadł pieniądz. Bez wahania podał strażnikowi srebrną monetę. Tamten skrzywił się, kiedy na nią spojrzał.

- To za mało za wizytę.

Chłopak chwycił strażnika za przegub, zanim ten zdążył się odwrócić.

- Mam w domu jeszcze jedną. Pozwól mi po nią pójść, proszę. Pobiegnę. W godzinę wrócę.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie dziś. Wizyty dla tych, co je mogą opłacić, są pojutrze, o zachodzie słońca. Ale wpuszcza się tylko jedną osobę.

- Jego żona. - Kamil wskazał Nicci. - Ona go odwiedzi.

Strażnik przyjrzał się jej taksująco, z uśmiechem, jakby się zastanawiał, co jeszcze pokaże swojemu mężowi.

- Nie zapomnij o opłacie.

Drzwi się zatrzasnęły.

Kamil zbiegł ze schodów i złapał ją za ramię; duże oczy miał pełne łez.

- Co zrobimy? Będzie u nich jeszcze dwa dni. Dwa dni!

Zaczynał płakać z przerażenia. Nie powiedział tego, ale wiedziała, co miał na myśli. Dwa dni więcej, żeby torturami wymusić zeznanie. A wtedy pochowają Richarda w niebie.

Nicci zdecydowanie ujęła chłopca za ramię i pociągnęła go za sobą.

- Posłuchaj, Kamilu. Richard jest silny. Nic mu nie będzie. Tyle już przetrwał. Jest silny. Chyba wiesz, że jest silny?

Kamil potakiwał, zagryzał wargę i szlochał - strach o przyjaciela na powrót zmienił go w dziecko.

Nicci przez całą noc wpatrywała się w sufit. Następnego dnia stanęła w kolejce po chleb. Kiedy tak stała z innymi kobietami, uświadomiła sobie, że jest równie wymizerowana i błędna jak one. Trwała w oszołomieniu. Nie miała pojęcia, co robić. Wszystko wokół niej się rozpadało.

Nocą przespała ledwie parę godzin. Nie mogła się uspokoić, liczyła minuty do wschodu słońca. Kiedy wreszcie weszło, usiadła przy stole, zacisnęła w dłoniach bochenek chleba, który chciała zabrać Richardowi, a dzień włókł się całą wieczność. Sąsiadka, pani Sha'Rim, przyniosła jej miseczkę kapuśniaku. Stanęła nad nią ze współczującym uśmiechem i czekała, aż Nicci zje zupę. Siostra podziękowała pani Sha'Rim i powiedziała, że zupa była pyszna. A nawet nie poczuła smaku.

Wczesnym popołudniem Nicci postanowiła, że zaczeka pod fortecą na czas odwiedzin. Nie chciała się spóźnić. Kamil siedział na schodach i czekał na nią. W pobliżu kręcił się mały tłumek. Chłopak poderwał się na nogi.

- Mam srebrną markę.

Nicci chciała mu powiedzieć, że nie musi płacić, że ona to zrobi, ale nie miała srebrnej marki. Tylko kilka srebrnych pensów.

- Dziękuję, Kamilu. Postaram się oddać te pieniądze.

- Wcale tego nie chcę. To dla Richarda. Postanowiłem to zrobić dla Richarda. Zasłużył na to.

Nicci skinęła głową. Wiedziała, że ona prędzej by zgniła, nim ktoś przyniósłby jej choć pensa - a przecież całe życie poświęciła pomaganiu innym. Matka powiedziała jej kiedyś, że grzechem jest oczekiwać podziękowań, że ma obowiązek pomagać tym ludziom, bo ma po temu możliwości.

Kiedy schodziła po schodach, ludzie zbliżali się i przekazywali życzenia. Prosił, żeby powiedziała Richardowi, by był silny i nie poddawał się. Pytali, czy mogą coś zrobić, czy potrzeba jej pieniędzy.

Trzymali Richarda od kilku dni. Nicci nie wiedziała nawet, czy jeszcze żyje. Okropnie było tak iść, milcząc, do fortecy. Bała się, że się dowie, iż go stracili, lub że go zobaczy i domyśli się, iż umrze długą, straszliwą śmiercią podczas przesłuchań. Doskonale wiedziała, jak Ład przesłuchuje ludzi.

Przy bocznych drzwiach stało w prażącym słońcu sześć kobiet i kilku starszych mężczyzn. Wszystkie kobiety miały torby zjedzeniem. Nikt się nie odzywał. Na wszystkich ciążył ten sam strach.

Słońce powoli zachodziło; Nicci wpatrywała się w drzwi. W zapadającym zmierzchu Kamil zawiesił jej na ramieniu swój bukłak.

- Richard pewnie będzie chciał czymś popić chleb i kurczaka.

- Dziękuję - wyszeptała.

Okute żelazem drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Wszyscy spojrzeli na stojącego w nich strażnika; skinął na nich. Popatrzył na kartę papieru. Kiedy pierwsza kobieta wbiegła po schodach, zatrzymał ją i spytał o nazwisko. Podała je, sprawdził na liście i przepuścił ją. Drugą kobietę zawrócił. Rozplakała się, mówiąc, że zapłaciła za odwiedzin. Odparł, że jej mąż przyznał się do zbrodni zdrady i pozbawiono go odwiedzin. Ze szlochaniem upadła na ziemię. Wszyscy patrzyli na to z przerażeniem, bojąc się tego samego losu. Kolejna kobieta podała nazwisko i wpuścił ją. Potem jeszcze jedną. Trzeciej powiedział, że jej mąż zmarł.

Nicci, na wpół przytomna, ruszyła w górę schodów. Kamil chwycił ją za ramię. Włożył jej w dłoń monetę.

- Dziękuję, Kamilu.

Skinął głową.

- Powiedz Richardowi, że mówiłem... Powiedz mu, żeby wrócił do domu.

- Richard Cypher - powiedziała strażnikowi; serce waliło jej jak młotem.

Mężczyzna spojrzawszy przelotnie na listę i kazał jej wejść.

- Ten żołnierz cię zaprowadzi.

Poczuła ulgę. Żył.

W ciemnym korytarzu czekał drugi żołnierz. Kiwnął rozkazująco głową i rzucił:

- Za mną.

Ruszył w mrok, kołysząc trzymanymi w dłoniach lampami. Nicci trzymała się tuż za nim, kiedy schodził po dwóch długich kondygnacjach wąskich schodów do wilgotnych, ciemnych podziemi.

W małej izbie oświetlonej syczącą pochodnią siedział na ławce protektor ludu Muksin. Pocąc się, mówił coś do dwóch mężczyzn, z pewnością niższych urzędników, sądząc po tym, jak uniżenie odnosili się do pękatego protektora.

Muksin pobieżnie spojrział na kartę podaną mu przez strażnika i wstał.

- Masz opłatę?

- Tak, protektorze Muksinie. - Nicci podała mu monetę.

Spojrział na srebrny pieniądz i dopiero potem schował go do kieszeni.

- Grzywny za pogwałcenie prawa obywatelskiego są bardzo wysokie - rzekł tajemniczo, a jego ciemne oczy znieruchomiały na chwilę, oceniając jej reakcję.

Nicci oblizwała wargi; nagle odżyła w niej nadzieja. Przeszła pierwszą próbę, płacąc za odwiedzin. Teraz ten chciwy łotr żądał pieniędzy za życie Richarda.

- Gdybym знаła wysokość grzywny, protektorze - powiedziała ostrożnie, bojąc się popełnić błąd - sądzę, że mogłabym zebrać pieniądze.

Muksin wpatrywał się w nią tak natarczywie, że aż pot zaczął jej ściekać po czole.

- Obywatel musi udowodnić swoją skruchę. Grzywna, która tnie do żywego, to najlepszy sposób okazania żalu za naruszenie prawa obywatelskiego. Niższa wykaże nam, że skrucha nie jest szczerą. Pojutrze o tej porze staną przede mną ci, którzy wyznają takie występki i mają kogoś, kto może zapłacić grzywnę.

Wymienił cenę: wszystko. Powiedział jej, co Richard ma zrobić. Najchętniej rozszarpałaby temu typowi gardło.

- Dziękuję, żeś wykazał tak wielkie zrozumienie dla karygodnego występkę mojego męża. Jak go zobaczę, to już się postaram, żeby jak najszczerzej okazał skruchę.

Protektor obdarzył ją nikłym, lepkiem uśmiechem.

- Zadbaj o to, młoda damo. Ludzie pozostawieni tutaj zbyt długo ze swoją winą przyznają się w końcu do najokropniejszych rzeczy.

Nicci przełknęła ślinę.

- Rozumiem, protektorze Muksinie.

Tortury potrwiają, dopóki nie dostanie zapłaty. Strażnik gwałtownie złapał ją za ramię i pociągnął zupełnie ciemnym korytarzem; obie latarnie trzymał w jednej ręce. Zeszli jeszcze piętro niżej, na sam dół fortecy. Wąskie przejście wykuto w kamiennych fundamentach; mijali cele specjalnie zbudowane dla przestępców. W pobliżu płynęła rzeka, więc przesączała się tu woda i wszystko stale było śliskie, wilgotne, cuchnące zgnilizną. Nicci widziała, jak jakieś stworzenia uciekają w mrok.

Z daleka wracało echo ich kroków, kiedy rozchlapywali głęboką po kostki wodę. Wzbudzone ich stopami fale kołysały rozkładającymi się ciałami wielkich szczurów. To miejsce przypominało Nicci jej dziecięce koszmary o zaświatach, o losie, który według jej matki czekał tych wszystkich, którzy nie wywiązali się z obowiązków wobec bliźnich.

W niskich drzwiach po obu stronach korytarza znajdowały się małe otwory, mniej więcej rozmiaru dłoni. Nicci przypuszczała, że zrobiono je, by strażnicy mogli zaglądać do środka. Nie było innego źródła światła niż to, które przynosili wartownicy, więc ludzie w celach nie mieli na co patrzeć. Na skraju niektórych otworów widać było zaciśnięte palce. W blasku latarni Nicci dostrzegła wielkie oczy spoglądające z czarnych dziur. Z wielu otworów w drzwiach dobiegały szlochy pełne strachu lub rozdzierającego bólu.

Strażnik zatrzymał się.

- Tutaj.

Nicci czekała, serce tłukło się w niej szaleńczo. Mężczyzna, zamiast otworzyć drzwi, obrócił się ku niej i zacisnął łapy na jej piersiach. Stała nieruchomo, bała się ruszyć. Miętosił ją, jakby sprawdzał melony na targu. Zbyt się bała, żeby coś powiedzieć, bo może nie pozwoliłby jej zobaczyć Richarda. Przycisnął się do niej, wepchnął w dekolt mięsiste łapsko i obmacywał brodawki.

Siostra wiedziała, że tacy ludzie jak on byli potrzebni, jeśli Ład miał zanieść wszystkim swoje nauki. Należało się pogodzić z tym, że natura ludzka jest wypaczona i zła. Należało poświęcić się. Brutale byli niezbędni, żeby narzucić masom moralność. Stłumiła krzyk, kiedy ją uszczypnął.

Strażnik zarechotał, zadowolony ze swoich wyczynów, i obrócił się ku drzwiom. Trochę się naszarpał z zardzewiałym zamkiem, ale wreszcie zdołał

przekręcić klucz. Złapał za brzeg otworu i krzepko szarpnął. Drzwi powoli się uchyliły - na tyle, żeby się przez nie przecisnąć. Wartownik zaraz za nimi zawiesił na ścianie latarnię.

- Wróć, jak załatwię inne sprawy, a wtedy skończą się twoje odwiedziny.  
- Znów zarechotał. - Więc nie trać czasu i zadzieraj kieckę, jeśli jeszcze ma na to siły. - Wepchnął ją do celi. - Masz, Cypher. Rozgrzałem ją trochę dla ciebie.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, który poniósł się echem po krętym korytarzu. Nicci usłyszała zgrzyt przekręcanego klucza i chlupot kroków odchodzącego strażnika.

Kwadratowa cela była tak mała, że mogłaby dotknąć ścian rozpostartymi ramionami. Sufit miała tuż nad głową. Przytłaczała ją ta ciasnota. Chciała się stąd wydostać.

Przeraziła się, że w skulonej u jej stóp postaci nie ma już życia.

- Richardzie?

Usłyszała cichy pomruk. Ręce miał spięte na plecach w jakimś drewnianym imadle. Wystraszyła się, że się utopił. Łzy napłynęły jej do oczu. Osunęła się na kolana. Szlamowata woda, która przedtem wlewała się jej do butów, teraz wsiąkała w suknię.

- Richardzie?

Pociągnęła go za ramię, żeby obrócić na bok. Krzyknął i wyszarpnął się jej. Kiedy go zobaczyła, oburącz zasłoniła usta, żeby stłumić krzyk. Czuła, jak łzy ciekną jej po twarzy, z trudem łapała oddech.

- Och, Richardzie!

Nicci wstała i urwała kawałek bielizny. Znów uklękła i ostrożnie otarła mu płótnem krew z twarzy.

- Słyszysz mnie, Richardzie? To ja, Nicci.

Skinął głową.

- Nicci.

Jedno oko zamykała opuchlizna. Włosy sklejały szlam i błoto z wody, w której leżał. Ubranie miał podarte. W blasku małej latarni dostrzegła obrzmiałe czerwone rany. Zobaczył, że wpatruje się w jego rany.

- Boję się, że już nie dasz rady połatać tej koszuli.

Leciutko się uśmiechnęła z tego smutnego żartu. Drżącymi palcami ocierała mu twarz. Nie wiedziała, dlaczego tak się przejmuje. Widywała



gorsze rzeczy.

Richard odsunął głowę spod jej troskliwej ręki.

- Sprawiam ci ból?

- Tak.

- Przepraszam. Przyniosłam trochę wody.

Skwapliwie potaknęła. Wlewała mu do ust wodę z bukłaka. Pił łapczywie.

Kiedy łąpał oddech, powiedziała:

- Kamil dał mi pieniądze na opłatę, żebyś cię mogła zobaczyć.

Richard tylko się uśmiechnął.

- Kamil chce, żebyś stąd wyszedł.

- Ja też chcę stąd wyjść. - Miał zupełnie nie swój głos, zachrypnięty i ledwo słyszalny.

- Richardzie, protektor...

- Kto?

- Urzędnik kierujący tym więzieniem. Podał mi sposób na wydostanie cię stąd. Powiedział, że musisz się przyznać do złamania prawa obywatelskiego i zapłacić grzywnę.

Chłopak potakiwał.

- Domyśliłem się tego. Pytał, czy mam pieniądze. Powiedziałem, że tak.

- Masz? Odłożyłeś pieniądze?

Skinął głową.

- Mam pieniądze.

Nicci zacisnęła w palcach kołnierz jego koszuli.

- Richardzie, dopiero za dwa dni będę mogła zapłacić grzywnę.

Wytrzymasz? Wytrzymasz tyle?

Uśmiechnął się w nikłym świetle latarni.

- Nigdzie się nie wybieram.

Nicci przypomniała sobie wtedy o chlebie i wyjęła go z torby.

- Przyniosłam jedzenie. Chleb i trochę pieczonego kurczaka.

- Kurczak. Chleb nie da mi na długo sił. Nie karmią mnie.

Oderwała palcami kawałek kurczaka. Wsunęła mu do ust. Nie mogła znieść bezradności Richarda. Gniewało ją to. Bolało.

- Jedz, Richardzie - przynagliła, kiedy odchylił do tyłu głowę; potrząsnął głową, jakby odpędzał sen. - Proszę, jeszcze trochę.

Patrzyła, jak je.

- Możesz spać w tej wodzie?

- Nie pozwalają spać. Oni...

Włożyła mu do ust kawałek kurczaka. Zbyt wiele wiedziała o metodach Ładu. Nie chciała usłyszeć, co dla niego wybrali.

- Wydostanę cię stąd, Richardzie. Nie poddawaj się. Wyciągnę cię.

Wzruszył ramionami, jakby mówił, że to nie ma znaczenia.

- Dlaczego? Pragniesz mieć swojego więźnia? Zazdrościsz, że to inni mnie dręczą, a nie ty? Boisz się, że mnie zniszczą, zanim ty to zdołasz zrobić?

- Richardzie, to nie...

- Jestem tylko człowiekiem. A liczy się jedynie ogólne dobro. To nieistotne, że jestem niewinny, bo życie pojedynczego człowieka nie ma wartości. Skoro muszę cierpieć i umrzeć, żeby przekonać innych do reguł tego twojego Stwórcy i twojego Ładu, to kimże jesteś, żeby ich tego pozbawić? Jakie znaczenie mają twoje pragnienia? Jak możesz przedkładać swoje lub moje życie ponad dobro innych?

Ileż to razy wpajała mu te same zasady moralne? Jakże pogardliwie, perfidnie i jadowicie brzmiały w jego ustach.

W owej chwili nienawidziła siebie. Zadał kłam wszystkiemu, co głosił Ład, wszystkiemu, czemu poświęciła życie. Sprawił, że dobro wydało się... złem. To dlatego był taki niebezpieczny. Samo jego istnienie zagrażało temu, o co walczyli.

Była tak blisko. Tak blisko uświadomienia sobie tego, co chciała zrozumieć. Łzy płynące po twarzy przekonały ją, że było coś, co nadawało wartość tej ciężkiej próbie - czyniło ją niezbędną. Ta nie dająca się nazwać iskra, którą od pierwszej chwili dostrzegła w jego oczach, istniała naprawdę.

Gdybyż tak zdołała się do tego zbliżyć jeszcze odrobinę, mogłaby wreszcie zrobić to, co najlepsze. Tak byłoby lepiej dla niego. Bo jakież życie miałby? Ileż musiałby jeszcze wycierpieć? Było jej przykro, że musi służyć Stwórcy w ten właśnie sposób.

- Rozejrzyj się, Nicci. Chciałaś mi pokazać lepsze zasady Ładu. Rozejrzyj się. Czyż to nie wspaniałe?

Cierpiała, widząc, że opuchlizna zamyka jedno z jego pięknych oczu.

- Potrzebuję pieniędzy, które zaoszczędziłeś, Richardzie. Wszystkich, jeśli mam cię stąd wyciągnąć. Urzędnik powiedział, że to ma być wszystko,

co masz.

Mógł jedynie ochryple szeptać.

- Są w naszym pokoju.

- W naszym pokoju? Gdzie? Powiedz gdzie.

Potrząsnął głową.

- Sama nigdy ich nie wydostaniesz. Musiałabyś wiedzieć, jak to otworzyć.

Idź do Ishaqa.

- Ishaqa? Z kompanii przewozowej? Po co?

- To był kiedyś jego salon. Pod podłogą jest ukryty schowek. Powiedz mu, na co potrzebujesz pieniędzy. Otworzy schowek.

Wsunęła mu do ust kolejny kawałek kurczaka.

- Dobrze. Pójdę do Ishaqa. - Wahala się, patrząc, jak je. - Przykro mi, że musisz oddać to, co zdołałeś zaoszczędzić. Wiem, jak ciężko pracowałeś. Nie powinni ci tego odbierać.

Znów wzruszył ramionami.

- To tylko pieniądze. Wolę życie.

Nicci uśmiechnęła się i otarła łzy. To najwspanialsze, co mogła usłyszeć.

Drzwi się otworzyły.

- Opuść kieckę, kobieto. Czas minął.

Kiedy ją odciągał, wsunęła Richardowi do ust ostatni kawałek kurczaka.

- Złamanie prawa obywatelskiego! - zawołała. - Nie zapomnij!

Musiał się przyznać do zwykłego występku, za który można byłoby zapłacić grzywnę. Wtedy by go puścili. Każde inne przestępstwo oznaczało śmierć.

- Nie zapomnę.

Wywlekana z malutkiej celi, wyciągnęła ku niemu rękę.

- Wrócę po ciebie, Richardzie! Przysięgam!

## ROZDZIAŁ 56

Nicci chodziła tam i z powrotem, a Ishaq pochylał się nad drzwiczkami skrytki w rogu pokoju. Długo już się tak trudził. Odsunął szafę, żeby się dostać do schowka. Czasem pomrukiwał pod nosem, przeklinając sam siebie, że tak utrudnił otwieranie.

- Nareszcie! - krzyknął, wstając.

Nicci miała nadzieję, że skromna sumka, którą się Richardowi udało odłożyć, zadowoli protektora Muksina. Przeglądała w myślach listę ludzi, którzy proponowali pieniądze na pomoc dla chłopaka.

Ishaq podszedł do niej.

- Oto i one.

Pospiesznie włożył jej w dłoń skórzaną sakiewkę. Zdumiał ją jej ciężar. Sakiewka wypełniła całą dłoń. To nie miało sensu. Pomyślała, że Richard musiał dołożyć do oszczędności jakieś metalowe drobiazgi - to by tłumaczyło ciężar. Rozwiązała sakiewkę i wysypała zawartość na dłoń. Aż wstrzymała oddech. Może dwa tuziny złotych marek, żadnej srebrnej monety. Tylko złoto.

- Drogi Stwórco... - wyszeptała, szeroko otwierając oczy. - Skąd Richard wziął tyle pieniędzy?

Tyłu pieniędzy większość bogaczy nie widziała przez całe życie. Spojrzała Ishaqowi w oczy.

- Skąd Richard wziął tyle pieniędzy?

Mężczyzna zdjął z głowy czerwony kapelusz. Machnął nim ze zniecierpliwieniem ku złotu leżącemu na jej dłoni.

- Zarobił je.

Zachmurzyła się jeszcze bardziej.

- Zarobił? Jak? Żaden człowiek nie mógłby zarobić tyle pieniędzy, a przynajmniej nie w uczciwy sposób. - Poczwała, jak rośnie w niej gniew. - Richard ukradł to złoto, prawda?

- Nie bądź głupia. - Ishaq z irytacją machnął ręką. - Richard je zarobił. Kupował i sprzedawał towary.

Zgrzytnęła zębami.

- Skąd wziął te pieniądze?

Mężczyzna wyrzucił w górę ramiona.

- Przecież ci mówię. Zarobił je, sam jeden. Kupował rzeczy i sprzedawał ludziom, którym były potrzebne.

- Rzeczy? Jakie rzeczy? Kontrabandę?

- Nie! Takie jak żelazo i stal...

- Bzdura. Jak by je przetransportował? Przeniósł na plecach?

- Na początku. Ale potem kupił wóz...

- Wóz?

- Tak. I konie. Kupował węgiel i rudę i sprzedawał je odlewniom. Ale głównie kupował metal z odlewni i sprzedawał go kowalowi. Kowal zużywa mnóstwo metalu. Kupował go od Richarda. To tak zarobił te pieniądze.

Nicci złapała go za kołnierz.

- Zaprowadź mnie do tego kowala.

Była wściekła. Przez cały ten czas uważała Richarda za uczciwego, ciężko pracującego człowieka, a teraz przekonała się, że słusznie go aresztowano. Był winien okradania uczciwie pracujących ludzi. Spekulował.

W owej chwili w ogóle nie rozpaczła, nie żałowała go z powodu tego wszystkiego, co mu robili w więzieniu. Zasłużył i na to, i na jeszcze więcej. Był złoczyńcą, który wyłudzał złoto od uczciwych, ciężko pracujących ludzi. Spalała się z upokorzenia, wiedząc, że ją oszukał.

Nicci już przedtem widywała teren budowy pałacu, ale z daleka, kiedy chodziła po mieście, załatwiając swoje sprawy. Nigdy jeszcze nie była tak blisko. To rzeczywiście będzie takie, jak zapowiadał Jagang. Poczwała respekt. Wszystkie natchnione słowa, które słyszała w młodości od Brata Narewa, śpiewały w jej wspomnieniach niczym religijny chór, kiedy patrzyła na pełną rozmachu budowę.

Mury wznosiły się na wysokość pierwszego piętra, otaczały otwory okienne. W niektórych miejscach położono już belki wytyczające wewnętrzne ściany, by wesprzeć na nich następne piętro.

Ale to elewacja zaparła jej dech w piersiach. Tak wielkich rzeźb jeszcze nigdy nie oglądała. I, jak nakazał Brat Narew, były porywające i przekonujące. Nicci widziała ludzi, którzy patrzyli na wyrzeźbione sceny i szlochali nad obrazami nędznej natury człowieka i wspaniałej, niedoścignionej doskonałości Stwórcy. Te wzruszające sceny nie pozostawiały wątpliwości, że Ład jest jedyną nadzieją na zbawienie

wszystkich ludzi. Tak jak zapowiadał Jagang, ów pałac będzie wywoływał w ludziach nieprzewycięzione emocje.

- Dlaczego tkwią tu te pale? - spytała Ishaq, kiedy szli szeroką brukowaną drogą, gdzie jedni stali i obserwowali budowę, a inni klęczeli i modlili się przed przerażającymi scenami wykutymi na ścianach.

- Rzeźbiarze. - Ishaq spojrział na to i zdjął czerwony kapelusz. - Mówiono, że brali udział w buncie.

Nicci powiodła wzrokiem po rozkładających się ciałach przyczepionych do szczytów pali.

- Czemużby rzeźbiarze mieli brać udział w buncie? Mają pracę. Co więcej, pracowali nad scenami ukazującymi chwałę Ładu. Właśnie oni, najlepiej spośród wszystkich ludzi, powinni wiedzieć, że jedyną nadzieją na nagrodę w przyszłym życiu są cierpienia w tym.

- Nie powiedziałem, że wzięli udział. Powiedziałem, że mówiono, że wzięli udział.

Nicci nie poprawiła go. Wszyscy byli zepsuci i nieuczciwi. Wyrok śmierci na każdego człowieka byłby usprawiedliwiony. Na Richarda też.

Pod wieloma daszkami leżały bezużytecznie kamienie, przy których wcześniej pracowali rzeźbiarze. Zbudowano rampy i rusztowania dla budowniczych, żeby mogli wznosić mury pałacu. Gdy układali kamienne bloki, niewolnicy wciągali ku nim po rampach następne, przynosili kosze z zaprawą lub ziemią i kamieniami albo pracowali w wykopach, budując podziemne cele, w których Ład będzie oczyszczał świat z najgorszych grzeszników, a zbrodniarze będą wyznawać swoje przestępstwa.

To był nieprzyjemny obowiązek, ale nie można mieć ogrodu, jeśli najpierw nie ubrudzi się rąk.

Nigdy przedtem Nicci nie widziała tak dużej kuźni jak ta, która wznosiła się na stoku wzgórza nad olbrzymim placem budowy. I było to zrozumiałe przy takim zakresie prac. Została na zewnątrz, a Ishaq poszedł po kowala.

Dźwięk młotów uderzających w stal, zapachy kuźni, dym, oleje, kwasy, solanka - wszystko to przywołało wspomnienia warsztatu jej ojca. Serce Nicci przyspieszyło - znów była dziewczynką. Niemal spodziewała się, że ojciec wyjdzie i uśmiechnie się do niej, z tą cudowną iskrą w błękitnych oczach.

Ale z mroków kuźni na światło dnia wyszedł muskularny mężczyzna. Nie

uśmiechał się, był groźnie zachmurzony. Początkowo pomyślała, że jest łysy. Potem dostrzegła, że włosy ma obcięte tuż przy skórze. Niektórzy z robotników jej ojca, pracujący z rozżarzoną żelazem, też tak robili. Każda inna kobieta cofnęłaby się ze trzy kroki na widok jego gniewnej miny. Kiedy tak szedł ku niej w słonecznym blasku, wytarł dłonie w gałgan i bardziej badawczo niż inni mężczyźni - poza Richardem - wpatrywał się jej w oczy. Gruby skórzany fartuch pstrzyły setki śladów po iskrach.

- Pani Cypher?

Ishaq trzymał się z tyłu, wolał być cieniem.

- Tak. Jestem żoną Richarda.

- Zabawne, Richard właściwie nigdy o tobie nie mówił. Chyba sam uznałem, że musi mieć żonę, ale on nigdy nie mówił...

- Richarda aresztowano.

Mars natychmiast zmienił się w zatroskanie.

- Aresztowano? Za co?

- Najwyraźniej za najpodlejszy występki: oszukiwanie ludzi.

- Oszukiwanie ludzi? Richarda? Chyba powariowali.

- Raczej nie. Jest winny. Mam dowód.

- Jaki dowód?

Ishaq nie mógł się już opanować i podszedł do nich.

- Pieniądze Richarda. Te, które zarobił.

- Zarobił! - Ishaq aż się cofnął, usłyszawszy ten okrzyk Nicci. - Masz na myśli pieniądze, które ukradł.

Kowal znów miał gniewną minę.

- Ukradł? A komu według ciebie ukradł te pieniądze? Kto go oskarża?

Kim są jego ofiary?

- Ty, na przykład.

- Ja???

- Tak, obawiam się, że jesteś jedną z jego ofiar. Przyszłam, żeby oddać ci pieniądze. Nie mogę wykorzystać skradzionych pieniędzy na wykupienie przestępcy od sprawiedliwej kary. Richard będzie musiał okupić swoje występki. Ład już się o to postara.

Kowal odrzucił rącznik i wsparł się pod boki.

- Richard nigdy nikomu nie ukradł ni srebrnego pensa, a tym bardziej mi! Zarobił te pieniądze.

- Oszukał cię.

- Sprzedawał mi żelazo i stal. Potrzebuję żelaza i stali na różne rzeczy dla Ustronia. Przychodzi tu Brat Narev i warczy, żebym zrobił to czy tamto, ale nie dostarcza potrzebnego na to żelaza. A Richard tak. Zanim się zjawił, omal mnie nie pochowano w niebie, bo ten tu Ishaq nie mógł mi dostarczyć odpowiedniej ilości żelaza i stali.

- Nie mogłem! Komitet daje mi pozwolenie tylko na to, co przywożę. Pochowano by mnie w niebie, gdybym przywiózł więcej, niż mi pozwolono. Każdy w kompanii przewozowej patrzy mi na ręce. Donoszą na mnie grupie robotniczej, jeśli krzywo splunę.

- Czyli - Nicci skrzyżowała ramiona - jesteś na łasce Richarda. Przywozi ci nocą żelazo, a ty nie masz wyjścia. Musisz zapłacić mu tyle, ile żąda, on zaś o tym wie. Zarabia to złoto, oszukując cię. To tak się wzbogacił: oszukując cię na cenie. To najgorszy rodzaj złodziejstwa.

Kowal przyglądał się jej, jakby była szalona.

- Richard sprzedaje mi żelazo i stal o wiele taniej, niż musiałbym zapłacić normalnej kompanii przewozowej, na przykład Ishaqowi.

- Liczę tyle, ile mi każe komitet prawidłowych cen! Nie mam nic do gadania!

- To wariactwo - powiedziała Nicci do kowala, ignorując Ishaqą.

- Nie, to sprytne. Widzisz, odlewnie wytwarzają więcej, niż potrafią sprzedać, bo nie mogą tego przewozić. A ich piece muszą płonąć, czy wytwarzają jedną tonę czy dziesięć. Muszą wyprodukować tyle żelaza, żeby palenie się opłacało, żeby wypłacić pensje robotnikom i nie wygaszać piecy. Jeśli nie kupią dużych ilości rudy, przestaną działać kopalnie, a wtedy odlewnie w ogóle nie będą miały rudy. Nie mogą istnieć bez surowców. Ale Ład nie pozwala przewieźć ani Ishaqowi, ani innym tyle, ile chcą sprzedać odlewnie. Ład potrzebuje tygodni na rozpatrzenie najprostszego zapotrzebowania. Biorą pod uwagę każdą osobę, która mogłaby ucierpieć, gdyby Ishaq zrealizował to zamówienie. Odlewnie były w beznadziejnej sytuacji. Zaproponowały Richardowi, że taniej sprzedadzą nadwyżki...

- A więc i oni wzięli udział w oszustwie Richarda!

- Nie, bo skoro Richard to kupuje, oni więcej sprzedają i produkcja mniej ich kosztuje. Zarabiają więcej, niżby zarabiali w innym przypadku. Richard sprzedaje mi to taniej niż oficjalne kompanie przewozowe, bo taniej kupuje



od odlewni.

Nicci wykonała gest pełen obrzydzenia.

- I na dodatek odbiera innym pracę. Jest najgorszym ze złoczyńców: bogaci się kosztem biednych, potrzebujących i robotników!

- Co takiego?! - sprzeciwił się Ishaq. - Nie mogę dostać odpowiedniej liczby ludzi do roboty i pozwoleń na przewiezienie tylu towarów, ile ludziom potrzeba. Richard nikomu nie odbiera pracy, on pomaga dostarczać ją ludziom. Odlewnie, dla których przewozi, mogły najać więcej robotników, od kiedy sprzedają swoje wyroby za pośrednictwem Richarda.

- To prawda - poparł go kowal.

- Ale wy tego po prostu nie dostrzegacie - upierała się Nicci, odgarniając do tyłu włosy. - Mydli wam oczy. Oszukuje was, wykorzystuje. Ubożejecie, bo Richard...

- Nie pojmuje pani tego, pani Cypher? Dzięki Richardowi zarabia sześć odlewni. Wszystkie pracują wyłącznie dzięki niemu. Przewozi ich towary wtedy, kiedy oni tego chcą, a nie kiedy dostaną w końcu jakieś idiotyczne pozwolenie z mnóstwem pieczęci. Richard sam umożliwił wielu węglarzom zarabianie na życie, bo zaopatrują te odlewnie. Dzięki pani mężowi zarabia też wielu górników i innych ludzi. A ja? Dzięki Richardowi zarobiłem więcej pieniędzy, niż spodziewałem się zarobić w życiu. Richard pozwolił się nam wszystkim wzbogacić, robiąc to, co jest bardzo potrzebne, i robiąc to lepiej od innych. To dzięki niemu mamy pracę. Nie dzięki Ładowi, jego komitetom, radom i grupom, ale dzięki Richardowi. Dzięki niemu mogłem zatrzymać robotników. Nigdy nie mówi, że czegoś się nie da zrobić, tylko wymyśla sposób, jak to zrobić. Zdobył zaufanie wszystkich, z którymi ma do czynienia. Jego słowo ma tę samą wartość co złoto. O, nawet Brat Narev powiedział Richardowi, żeby zrobił, co trzeba, by dostarczyć mi żelazo, którego potrzebuję. Richard odparł mu, że tak zrobi. Budowa pałacu nie byłaby tak zaawansowana, gdyby Richard nie dostarczał nam na czas tego, czego potrzebujemy. Ład ma wobec Richarda dług wdzięczności, nie powinien go torturować i karać. Pomógł Ładowi, robiąc to, co należało zrobić. O, te tam filary jeszcze by nie stały, gdyby Richard nie przywiózł mi żelaza na wzmocnienia. A rzeźby na pałacowych ścianach nie byłyby jeszcze gotowe, gdyby nie dostarczył mi stali na narzędzia do ich wykonania. Te wszystkie rzeczy są przewożone wozami. Ich koła mają żelazne obręcze,

które zrobiłem dzięki temu, że Richard przywiózł mi stal. Richard uczynił więcej niż ktokolwiek inny, żeby pałac wznosił się ponad ziemię. A jeszcze przy tym zyskał przyjaciół.

Nicci nie potrafiła tego pojąć. Ale to musiała być prawda; pamiętała, że Richard spotkał Brata Nareva. Jak ktoś mógł zarobić tyle pieniędzy, wspomóc Ład i jeszcze zdobyć zaufanie ludzi, z którymi robi interesy?

- Ale ten jego zysk...

Kowal potrząsnął głową, jakby Nicci była węzłem, który wkradł się między nich.

- „Profit” jest brudnym słowem wyłącznie dla pijawek tego świata. Chcą, by widziano w tym zło, żeby łatwiej mogli zawładnąć tym, czego nie zarobili.

- Mars powrócił, kiedy kowal pochylił się ku niej. Głos miał równie pełen żaru, jak żelazo, które kuł. - Chciałbym wiedzieć, pani Cypher, czemu Richard jest w jakimś śmierdzącym więzieniu, gdzie torturami chcą wymusić na nim zeznania, a jego żona sterczy tutaj i odgrywa idiotkę, bo zarobił pieniądze, uszczęśliwiając nas przy tym i wzbogacając?

Nicci poczuła rosnącą w gardle kulę.

- I tak mogę zapłacić grzywnę dopiero jutro wieczorem.

- Dopóki cię nie poznałem, uważałem, że Richard nigdy nie popełnił błędu. - Kowal zdjął skórzany fartuch i oparł go o ścianę kuźni. - Takimi pieniędzmi możemy go wcześniej wykupić. Mam nadzieję, że w sam czas. Idziesz ze mną, Ishaqu?

- Jasne. Znają mnie. Wierzą mi. Pewnie, że idę.

- Daj pieniądze - zażądał kowal.

Nicci bez zastanowienia wsypała je w nadstawioną dłoń; Richard naprawdę nie był złodziejem. To był cud. Nie rozumiała jak, ale ci wszyscy ludzie byli dzięki niemu szczęśliwi. Pozwolił się im wzbogacić. Nie mogła tego pojąć.

- Będę ci ogromnie wdzięczna, jeżeli zdołasz pomóc.

- Nie robię tego dla ciebie, pani Cypher. Pomagam przyjacielowi, którego cenię, któremu warto pomóc.

- Nicci. Mam na imię Nicci.

- A ja jestem pan Cascella - burknął, odchodząc.

Pan Cascella położył przed protektorem ludu Muksinem cztery złote monety. Powiedział Nicci i Ishaqowi, że chce mieć coś w rezerwie, żeby

mogli „dmuchnąć miechem”, gdyby „potrzebowali więcej zaru”.

Kowal górował nad człowiekiem siedzącym za stołem. Kilku urzędników wetknęło nos w robotę. Wszyscy obecni w sali strażnicy bacznie się im przyglądali.

- Richard Cypher. Macie go. Przyszliśmy opłacić grzywnę.

Protektor Muksin mrugnął na monety jak tłusty karp, zbyt najedzony, żeby się skusić na robaka.

- Grzywny wymierzamy dopiero jutro wieczorem. Wtedy wróćcie i jeżeli ten człowiek, Cypher, nie zezna, że jest zamieszany w coś poważniejszego, będziecie mogli zapłacić.

- Pracuję przy nowym pałacu - oznajmił pan Cascella. - Brat Narev nie pozwala mi tracić czasu. Jestem tu teraz więc może tak byśmy załatwili tę sprawę, skoro wszyscy tu jesteśmy? Brat Narev bardzo by się cieszył, gdyby jego główny kowal nie musiał tu znów jutro wracać, skoro już dziś się tutaj zjawił.

Ciemne oczy protektora Muksina spojrzały w jedną i w drugą stronę sali pełnej zawodzących ludzi. Krzesło zaskrzypiało, kiedy przysuwał je bliżej stołu. Splótł serdelkowate palce na stercie postrzępionych papierzysek.

- Nie chciałbym przysparzać kłopotów Bratu Narevowi.

- Spodziewam się, że nie - uśmiechnął się kowal.

- Jednakże Brat Narev nie życzyłby sobie, bym nie dopełnił obowiązku wobec ludu.

- Oczywiście, że nie! - wtrącił się Ishaq; zdjął czerwony kapelusz, kiedy ciemne oczy spojrzały w jego stronę. - Nikt tego, rzecz jasna, nie sugerował. Wierzymy, że wypełnisz swój obowiązek.

- Kim jesteś? - protektor zapytał Nicci.

- Jestem żoną Richarda Cyphera, protektorze Muksinie. Byłam tu przedtem. Wniosłam opłatę, żeby się z nim zobaczyć. Wyjaśniłeś mi sprawę grzywny.

Kiwnął głową.

- Spotykam tylu ludzi.

- Mamy mnóstwo pieniędzy na grzywnę - odezwał się pan Cascella. - To znaczy, jeżeli możemy teraz zapłacić i dziś wydostać stąd Richarda Cyphera. Część z tych pieniędzy należy do innych ludzi, a oni jutro mogą już nie chcieć się dołożyć.

Kowal przesunął po stole kolejne cztery złote marki. Ciemne oczy protektora pozostały obojętne.

- Wszystkie pieniądze należą do ludu. Potrzeby są wielkie.

Nicci podejrzewała, że to jego kieszeń jest w wielkiej potrzebie i że on chce wyciągnąć jak najwięcej. Jakby w odpowiedzi na te zarzuty protektor Muksin odsunął po blacie osiem złotych monet - fortunę według wszelkich miar.

- Pieniądze nie tu powinny być wpłacone. Nam one na nic. Jesteśmy jeno pokornymi sługami Ładu. Wysokość grzywny zostanie zapisana w rejestrze, ale będziecie ją musieli zapłacić komitetowi obywatelskiemu, by rozdzielił ją wśród potrzebujących.

Nicci była zaskoczona, że pomyliła się co do niego. Rzeczywiście był uczciwym urzędnikiem. To zmieniało całą sprawę. Odżyła w niej nadzieja. Może w końcu nie będzie tak trudno wydostać Richarda.

Za Nicci, po drugiej stronie niskiej ścianki, zawodziły kobiety, płakały dzieci, ludzie się modlili. Ledwie mogła oddychać w cuchnącym, nagrzanym pomieszczeniu. Pragnęła, żeby urzędnik przyspieszył tę sprawę i mógł wrócić do spraw tłumu strażników czekających w bocznych korytarzach na dokumenty i rozkazy.

- Ale popełniacie błąd - dodał protektor Muksin - jeżeli sądzicie, że pieniądze wykupią tego mężczyznę. Ład nie troszczy się o życie jednego człowieka, bo nie ma człowieka, którego życie miałyby znaczenie. Skłaniam się do powiedzenia wam, byście zatrzymali te pieniądze, dopóki nie zbadamy, skąd ktoś wziął tak dużą sumę. Uważam, że ten człowiek musi być niebezpieczny dla porządku społecznego, skoro ma takie poparcie. Żaden człowiek nie jest lepszy od drugiego. Fakt, że może dostarczyć tyle pieniędzy, żeby się wykupić od sprawiedliwej kary, utwierdza mnie w podejrzeniu, że ma coś do wyznania. - Krzesło zaskrzypiało, bo odchylił się na oparcie, żeby na nich spojrzeć. - Wygląda na to, że wy troje jesteście innego zdania i uważacie, że on jest lepszy od innych.

- Nie - odparł bezceremonialnie kowal - on jest po prostu naszym przyjacielem.

- Ład jest waszym przyjacielem. Potrzebujący są waszą troską. Nie powinniście dbać o jednego bardziej niż o innych. Takie niestosowne postępowanie to bluźnierstwo.

Stali w milczeniu przed stołem. Za ich plecami bezustannie trwały szlochy, zawodzenia i pełne niepokoju modły o uwięzionych w ciemnych lochach. Wszystko, co mówili, tylko nastawiało tego człowieka przeciwko nim.

- Gdyby miał jakieś zdolności, mogłoby być inaczej. Ład bardzo potrzebuje wkładu tych, którzy mają jakieś zdolności. Tyłu trzyma się na uboczu, choć powinni z całego serca wносить swój wkład w naszą sprawę. Utalentowani mają obowiązek...

Nicci nagle olśniło.

- Ależ on ma dar - wyznała.

- Jaki? - spytał protektor, niezbyt zadowolony, że mu przerwała.

Nicci podeszła bliżej.

- Jest największym...

- Wielkość to złudzenie grzeszników. Wszyscy ludzie są tacy sami. Wszyscy są z natury źli. Wszyscy muszą próbować pokonać swą nędzną naturę i bezinteresownie poświęcać życie pomocy bliźnim. Tylko bezinteresowne czyny zapewnią człowiekowi nagrodę na tamtym świecie.

Pan Cascella zacisnął dłonie. Zaczął się pochylać ku protektorowi. Jeżeli się wtrąci, pomyślała Nicci, wszystko nieodwracalnie popsuje. Kopnęła go solidnie, mając nadzieję, że to przekona go, by był cicho i pozwolił jej mówić, zanim będzie za późno. Skłoniła głowę i cofnęła się, odpychając niepostrzeżenie kowala.

- Jesteś mądrym człowiekiem, protektorze Muksinie. Wszyscy możemy się od ciebie wiele nauczyć. Wybacz, proszę, niestosowne słowa biednej żony. Jestem prostą kobietą, pokorną i zmieszaną przed obliczem tak mądrego przedstawiciela Bractwa Ładu.

Zdumiony protektor milczał. Nicci posługiwała się takimi słowami przez ponad sto lat i знаła ich wartość. Dała temu człowiekowi - zwykłemu urzędniczynie - pozycję w rdzeniu Ładu, w samym bractwie. Dała mu pozycję, której nigdy nie osiągnie. Człowiek tego rodzaju na pewno pragnie okryć się płaszczem społecznych zasług. Dla kogoś takiego uznanie, że zajmuje tak wysoką pozycję, było jej równoważne, bo to, jak go postrzegano, było dlań rzeczywistością. Liczyło się to, jak go widziano, a nie istotne dokonania.

- Jakież dar ma ów człowiek?

Nicci ponownie skłoniła głowę.

- Richard Cypher jest marnym rzeźbiarzem. Kuje w kamieniu, protektorze Muksinie.

Obaj stojący przy niej mężczyźni z niedowierzaniem wytrzeszczyli oczy.

- Rzeźbi w kamieniu? - zapytał protektor, dumając nad jej słowami.

- Jest nędznym rzemieślnikiem, który marzy o tym, by pewnego dnia móc oddać w kamieniu ludzką niegodziwość. Chce w ten sposób uzmysłwić innym potrzebę poświęcania się dla bliźnich i dla Ładu, a tym samym zyskać nadzieję na nagrodę na tamtym świecie.

Kowal prędko odzyskał kontenans i dorzucił:

- Jak na pewno wiesz, okazało się, że wielu rzeźbiarzy z Ustronia to zdrajcy, a trzeba wykonać wiele roboty na chwałę Ładu. Brat Narev może to potwierdzić, protektorze Muksinie.

Ciemne oczy urzędnika przesuwają się po nich.

- Ile macie pieniędzy?

- Dwadzieścia dwie złote marki - odrzekła Nicci.

Protektor zerknął na nich potępiająco, przysunął rejestr i zanurzył pióro w wyszczerbionym kałamarzu. Nachylił się i wpisał grzywnę w księgę. Potem napisał nakaz na kartce papieru i podał ją kowalowi.

- Zabierz to do siedziby związku w porcie - wskazał gdzieś za nich piórem - przy tej ulicy. Wypuszczę więźnia, kiedy dostarczycie pieczęć grupy robotników na dowód, że grzywna trafiła do tych, którzy najbardziej na nią zasługują, do potrzebujących. Należy pozbawić Richarda Cyphera nieuczciwie zdobytych pieniędzy.

To Richard Cypher najbardziej na nie zasługiwał, pomyślała gorzko Nicci. To on je zarobił, a nie tamci. Myślała o tych wszystkich nocach, kiedy pracował, nic nie jedząc, zamiast spać. Pamiętała, jak się krzywił, układając do snu, bo plecy bolały go od ciężkiej pracy. Richard zarobił te pieniądze - teraz to wiedziała. Ci ludzie, którzy je dostaną, nie kiwnęli nawet palcem. Oni tylko chcą je mieć i głoszą, że mają do nich prawo.

- Dobrze, protektorze Muksinie - rzekła, kłaniając się. - Dziękuję za mądrą sprawiedliwość.

Pan Cascella cicho westchnął, Nicci pochyliła się ku protektorowi.

- Natychmiast wypełnimy twoje słuszne zalecenia. - Uśmiechnęła się potulnie. - Skoro byłeś dla nas tak łaskawy i sprawiedliwy, to czy mogę

poprosić o coś jeszcze? - Całe to złoto przypiszą jego wysiłkom, on je zdobył dla Ładu; wiedziała, że w takiej chwili będzie łaskawy. - To tylko zwykła ciekawość.

Westchnął ze znużeniem.

- Czegóż chcesz?

Pochyliła się jeszcze bliżej, aż poczuła woń jego zatęchłego potu.

- Nazwiska osoby, która wydała mojego męża. Osoby, która niesłusznie sprowadziła Richarda Cyphera przed sąd.

Nicci wiedziała, że jego zdaniem chętniej przyjmowano do bractwa tych, którzy pomogli zebrać większe sumy dla potrzebujących. Sprawa nazwiska to tylko brzęczenie komara zakłócające jego rozkoszne myśli. Przyciągnął bliżej jakieś papiery i przeglądał je, odkładając kolejno na bok.

- O, jest - powiedział w końcu. - Richard Cypher został wymieniony przez młodego żołnierza, który zaciągnął się ochotniczo do armii Imperialnego Ładu. Ów żołnierz nazywa się Gadi. Raport jest sprzed wielu miesięcy. Czasem trochę trwa, zanim dokona się sprawiedliwość, ale Ład dba o to, żeby zawsze triumfowała. To dlatego nazywamy naszego wielkiego imperatora Jagangiem Sprawiedliwym.

Nicci wyprostowała się.

- Dziękuję, protektorze - Muksinie.

Jej spokojna twarz skrywała furię, że nie może osiągnąć tego łotra. Gadi zasłużył na cierpienia.

Protektor wypisał wyrok za pospolity występki i oznajmił:

- Zanieście nakaz grzywny, który wam dałem, związkowi robotników w porcie i wróćcie z pieczęcią potwierdzającą, że wpłaciliście całą sumę, dwadzieścia dwie złote marki. Richard Cypher zgłosi się potem do związku rzeźbiarzy po skierowanie do pracy. - Podał Nicci dokument i nakazy. - Richard Cypher jest teraz rzeźbiarzem Ładu.

Słońce zachodziło, kiedy wrócili z dokumentami i pieczęciami. Kowal był pod wrażeniem tego, jak Nicci poradziła sobie z urzędnikiem, kiedy złoto nic nie dało. Ishaq dziękował jej ze sto razy. A dla niej liczyło się wyłącznie to, że Richard będzie wolny. Ulgę przyniosła jej świadomość, że się myliła, że Richard wcale nie jest oszustem i złodziejem. To było takie okropne, myśleć źle o Richardzie. Na jakiś czas skaziło to cały jej świat. Jeszcze nigdy się tak nie cieszyła, że nie miała racji.

A co więcej, dopięli swego - odzyska go.

Pan Cascella, Ishaq i Nicci czekali przy bocznych drzwiach fortecy. Mrok gęstniał. Wreszcie drzwi się otworzyły. Na podest wyszło dwóch strażników, podtrzymując Richarda. Gdy zobaczyli, w jakim stanie jest chłopak, pan Cascella zaklął pod nosem, a Ishaq wyszeptał modlitwę.

Wartownicy puścili i popchnęli Richarda. Ruszył chwiejnie do przodu. Kowal i Ishaq skoczyli ku schodom, żeby mu pomóc.

Richard złapał równowagę, wyprostował się - ciemna postać dumnie wyprostowana w gasnącym świetle, lekceważąca okoliczne długie cienie. Uniósł dłoń, nakazując obu mężczyznom, by zostali, gdzie są. Zatrzymali się na najniższym stopniu, gotowi skoczyć ku niemu w razie potrzeby. Nicci nawet nie próbowała sobie wyobrazić, ile bólu kosztowało Richarda kroczenie pewnym, dumnym, równym krokiem, zejście ze schodów bez pomocy, jak przystało wolnemu człowiekowi.

Jeszcze nie wiedział, co mu zgotowała.

Zdawała sobie sprawę, że to będzie dla niego najgorsze. Tortury w podziemiach fortecy były niczym w porównaniu z tym, na co go skazała.

Nicci była przekonana, że właśnie to wreszcie wymusi odpowiedź, której poszukiwała; jeżeli naprawdę istniała jakaś odpowiedź.



## ROZDZIAŁ 57

Brat Narev zatrzymał się za ramieniem Richarda niczym przybyły na inspekcję cień. Często czyhał w pobliżu, upewniając się, że rzeźbiarze pracują zgodnie ze wskazówkami. Po raz pierwszy dostojna osoba przystanęła, by obserwować pracę Richarda.

- Czy ja cię znam? - Głos przypominał zgrzyt kamienia o kamień.

Richard opuścił rękę, w której trzymał młotek, i podniósł wzrok. Grzbietem lewej dłoni otarł z czoła pot zmieszany z pyłem, wciąż trzymając w niej pazurzaste dłutko do kamienia.

- Tak, Bracie Narewie. Przedtem byłem robotnikiem przewożącym żelazo. Pewnego dnia przywiozłem ładunek kowalowi i miałem zaszczyt cię spotkać.

Brat Narev zmarszczył się podejrzliwie. Nic nie zmąciło niewinnego spokoju Richarda.

- Robotnik, a teraz rzeźbiarz.

- Mam umiejętność, którą z radością oddaję bliźnim. Jestem wdzięczny, że Ład dał mi możliwość zdobycia nagrody na tamtym świecie przez poświęcenie się na tym.

- Z radością. - Neal, cień cienia, wysunął się naprzód. - Z radością rzeźbisz, tak?

- Tak, Bracie Nealu.

Richard cieszył się, że Kahlan żyje. Nie myślał o całej reszcie. Był więźniem i robi wszystko, co trzeba, żeby ona żyła; teraz mógł zrobić wyłącznie to i to jedno się liczyło. A co było, to było.

Brat Neal uśmiechnął się z wyższością na pokłon Richarda. Często zjawiał się, żeby nauczać rzeźbiarzy, i chłopak aż za dobrze go poznał. Ich dzieła, pokrywające ściany pałacu, miały oddziaływać na uczucia i postawy ludzi, toteż były niezmiernie ważne dla Bractwa Ładu. Richard często bywał adresatem oracji Neala. Neal - czarodziej, a nie czarownik jak Brat Narev - najwyraźniej czuł potrzebę udowodnienia swojej moralnej przewagi nad Richardem. Chłopak nie dawał mu okazji do zaczepek, a mimo to Neal uporczywie na to dybał.

Brat Narev z nieugiętą stanowczością wierzył we własne słowa: ludzie są

źli, nadzieję na odkupienie na tamtym świecie można zyskać wyłącznie przez bezinteresowne poświęcenie się dla bliźniego. W jego wierze nie było radości, jedynie bezlitosny obowiązek.

Za to Neal zachwycał się swoimi przekonaniem. Wierzył w doktrynę Ładu z namiętą, żarliwą, butną wyniosłością. Przepęniała go radosna pewność, że światu niezbędna jest żelazna władza, którą mogą mu zapewnić jedynie tacy oświeceni intelektualiści jak on - z wymuszonym szacunkiem dla Brata Narewa, rzecz jasna.

Richard wiele razy słyszał, jak Neal z przekonaniem głosił, że gdyby musiał nakazać obciąć języki milionowi niewinnych ludzi, zrobiłby to, bo byłoby to lepsze, niż pozwolić, żeby jeden człowiek bluźnił przeciwko oczywistym, słusznym zasadom Ładu.

Brat Neal, młodzieniec o gładkiej twarzy - bez wątpienia pozornie tylko młody, skoro Nicci twierdziła, że niegdyś mieszkał w Pałacu Proroków - często towarzyszył Bratu Narewowi, rozkoszując się aprobatą swojego mentora. Neal był głównym zastępcą Brata Narewa. Twarz czarodzieja była świeża, ale poglądy nie: tyrania była pradawna, choć Neal łudził się wiarą w jasną, zbawczą przyszłość ludzi, jaką przyniesie tyrania wprowadzona przez niego i jego towarzyszy. Jego idee były dlań niczym kochanka, którą obejmował z niepohamowaną, ślepą namiętnością; były prawdą odkrytą z pożądliwością kochanka. Nic szybciej nie wzbudzało w nim gniewu niż dyskusja czy zaprzeczenie, choćby nie wiadomo jak logicznie uzasadnione. Neal, żarliwie oddany swoim poglądom, najchętniej zniszczyłby każde odstępstwo, skazał na męki każdego oponenta i zabił wszystkich, którzy nie skłoniliby się przed piedestałem, na którym ustawił swoje nieodparcie szlachetne ideały. Żadna nędza, żadne niepowodzenie ani niezliczone lamenty, udręki i śmierci nie mogły zaćmić jego niezłomnego przekonania, że zasady Ładu to jedyna właściwa droga dla ludzkości.

Wszyscy pozostali uczniowie, podobnie jak Neal odziani w brązowe szaty z kapturem, stanowili dziwaczne zbiorowisko okrutników, napuszonych idealistów, zawziętych chciwców, ludzi pełnych urazy, mściwych, bojaźliwych, a przede wszystkim niebezpiecznie omamionych. Wszyscy żywili zasadniczą, zjadliwą, ukrytą odrazę do ludzi, która ujawniała się w przekonaniu, że wszystko, co sprawia człowiekowi przyjemność, może być wyłącznie złe i że w związku z tym jedynie poświęcenie może być dobre.

Wszyscy oni - z wyjątkiem Neala - byli ślepo oddani Bratu Narewowi i znajdowali się całkowicie pod jego urokiem. Wierzyli, że Brat Narev jest bliższy Stwórcy niż człowiekowi. Chciwie chłonęli jego słowa, uważając, że każde jest dziełem boskiego natchnienia. Richard był przekonany, że gdyby Brat Narev kazał im się zabić dla sprawy, skreśliliby sobie karki, pędząc po najbliższy nóż.

Tylko Neal wierzył w boskość także swoich słów, a nie wyłącznie w boskość słów Brata Narewa. Każdy przywódca musi mieć następcę. Richard był pewny, że Neal już zdecydował, kto będzie najlepszym przyszłym wcieleniem Ładu.

- Szczególnie dobrane słowo „radość”. - Brat Narev wskazał serdelkowatym paluchem skulone, zdeformowane, wystraszone postaci, nad którymi pracował Richard. - To cię czyni... radosnym?

Chłopak wskazał na Światło, które wyrzeźbił, żeby spływało na nieszczęsnych ludzi.

- To czyni mnie radosnym, Bracie Narewie. Raduję się, że mogę ukazać ludzi drżących przed doskonałością Światła Stwórcy. Raduję się, że mogę ukazać wszystkim nikczemność ludzi, by dzięki temu pojęli, że ich obowiązki wobec Ładu stoją ponad wszystkim.

Brat Narev chrząknął podejrzliwie. Blask słońca sprawiał, że jego ciemne oczy wydawały się jeszcze bardziej zapadnięte, i pogłębiał rysy wokół ust, kiedy przyglądał się Richardowi z nieufnością i odrazą zmieszany z lękiem. Tylko ów lęk różnił to spojrzenie od tego, którym obrzucał wszystkich innych. Richard odwzajemnił się nieobecny wzrokiem. Wargi brata skrzywiły się wreszcie, co świadczyło, że odpędził jakieś myśli.

- Pochwalam... Zapomniałem, jak się nazywasz. Ale nazwiska i tak nie mają znaczenia. Ludzie nie są ważni. Każdy człowiek jest jedynie nic nie znaczącym zębkiem na wielkim trybie ludzkości. To obroty owego trybu są ważne, a nie ząbki.

- Richard Cypher.

Uniosła się brew, krzaczasta, przyprószona siwizną.

- Tak... Richard Cypher. Pochwalam twoją pracę, Richardzie Cypherze. Lepiej niż większość rozumiesz, jak należy właściwie przedstawić człowieka.

Richard pokłonił się.

- To Stwórca prowadzi moją dłoń, by Ład lepiej ukazał nam drogę.

Powróciło podejrzliwe spojrzenie, ale mina Richarda sprawiła, że Brat Narev w końcu uwierzył jego słowom. I Brat, splótny dłonie za plecami, odpłynął, by zająć się innymi sprawami. Neal - jak dziecko trzymające się spódnicy matki - pospieszył, by trwać blisko szat Brata Narewa. Łypnął gniewnie przez ramię. Richard prawie się spodziewał, że Neal pokaże mu język.

O ile Richard dobrze to oszacował, było około pięćdziesięciu uczniów w brązowych szatach. Widywał ich na tyle często, żeby poznać ich charaktery. Victor wspomniał chłopakowi, że jedna z odlewni wykonała z czystego złota - ze wzoru, który on sporządził z żelaza - niemal tyle samo matryc czarów. Kowal sądził, że to po prostu ozdoby. Richard widział, jak kilka owych złotych matryc czarów montowano na szczycie wielkich ozdobnych kamiennych filarów rozstawionych wokół terenów Ustronia. Filary - z lśniącego marmuru - miały wyglądać jak upiększenia wspaniałej budowli, ale Richard podejrzewał, że były czymś więcej.

Chłopak wrócił do rzeźbienia grubej, sztywnej kończyny. Teraz przynajmniej jego kończyny znów były sprawne. Trochę to potrwało, ale wydobrał. Choć i to była nie mniejsza udręka.

Każdego dnia gromadzili się ludzie, żeby oglądać widoczne już na ścianach płaskorzeźby. Niektórzy klękali na wybrukowanych drózkach i modlili się tak długo, aż ich kolana zaczynały krwawić. Byli i tacy, którzy kupowali kawałki materiału i podczas modłów podkładali je sobie pod kolana. Wielu po prostu wpatrywało się bezwolnie w przedstawioną w kamieniu naturę ludzką.

Richard dostrzegał w wielu twarzach, że ludzie ci przybyli tu z nieuchwytną, nieokreśloną nadzieją, pragnąc zasadniczej odpowiedzi na pytanie, którego nie potrafili sformułować. Kiedy odchodzili, pustka w ich oczach rozdzierała serce. Owym ludziom tak samo odebrano życie jak tym, których wykrwawiono na śmierć w lochach Ładu.

Niektórzy z nich zbierali się i patrzyli na pracę rzeźbiarzy. Przez dwa miesiące, kiedy Richard rzeźbił dla Ustronia, gromadził się przy nim większy tłum niż przy innych. Niekiedy ludzie szlochali, widząc, co wynurza się spod dłuta chłopaka.

Przez te dwa miesiące Richard poznał tajniki pracy w kamieniu. To, co rzeźbił, było przygnębiające, ale sam akt rzeźbienia pomagał to znieść.

Chłopak delectował się świadomym, celowym działaniem stałą na kamień. Chociaż nienawidził tego, co musiał wykuwać, uwielbiał obrabiać kamień dłutem. Marmur ożywał pod jego dotknięciem. Często rzeźbił jakiś detal z pietyzmem - wdzięcznie uniesiony palec, świadomie patrzące oko, pierś z bijącym sercem. A potem okaleczał ów wdzięk, dostosowując to do zasad Ładu. To wtedy najczęściej ludzie płakali.

Chłopak wymyślił nienaturalnie sztywnych, sztucznych, pokrzywionych ludzi uginających się pod brzemieniem winy i wstydu. Skoro miał w ten sposób ocalić życie Kahlan, chciał sprawić, żeby każdy, kto zobaczy te rzeźby, wypłakał sobie oczy. A oni płakali za niego, cierpieli, widząc rzeźby za niego, i za niego tracili nadzieję, patrząc na to.

Dzięki temu mógł znieść udrękę.

Kiedy cienie wydłużały się, zapadał półmrok i dzień się kończył, rzeźbiarze odkładali narzędzia do zwykłych drewnianych skrzynek i wracali na noc do domów. Zjawiali się ponownie tuż po brzasku. Naczelnym budowniczym mówił im, co ma być pokryte rzeźbami, żeby mogli nadać kamieniom właściwe rozmiary. Przychodzili uczniowie Brata Narewa, żeby podać szczegóły opowieści, które należy oddać w kamieniu.

Richard pracował nad rzeźbą do głównego wejścia Ustronia. Marmurowe schody zataczały półkole, prowadząc na olbrzymi okrągły plac. Przeciwległą stronę placu otaczała półkolem kolumnada stanowiąca odpowiednik schodów. Chłopak rzeźbił sceny, które miały być umieszczone nad owymi kolumnami.

Miało to być wejście, które nada ton całemu pałacowi. Brat Neal powiedział Richardowi, że według Brata Narewa pośrodku placu powinna stać rzeźba dominująca nad wejściem do Ustronia i wywołująca w każdym widzu przygniatające poczucie winy i wstydu z powodu nędznej natury ludzkiej. Owo dzieło, w swej potworności, miało być wezwaniem do bezinteresownego poświęcania się. Planowano nadać mu formę zegara słonecznego, na którym ludzie kuliliby się ze strachu przed Światłem swego Stwórcy.

Neal opisał to z takim zachwytem, że Richarda zemdliło, kiedy to sobie wyobraził.

Chłopak ostatni opuścił plac budowy. Jak to często robił, ruszył stokiem wzgórza, krętą drogą, ku kuźni. Victor jeszcze był w środku, zabezpieczał

ogień na noc. Nadeszła jesień, upał już tak nie doskwierał za dnia, więc kuźnia nie była tak okropnym miejscem jak w pełni lata. Tak daleko na południu Starego Świata zima nigdy nie była ciężka, ale kuźnia stanie się podczas niej przyjemnym miejscem; będzie się tu można ogrzać w chłodne deszczowe dni.

- Richard! Jak miło cię widzieć. - Kowal wiedział, po co chłopak przyszedł. - Idź na tył. Przyjść posiedzieć z tobą, kiedy skończę?

- Oczywiście. - Richard uśmiechnął się do przyjaciela.

Chłopak otworzył dwuskrzydłowe drzwi, żeby gasnące światło wypełniło izbę, w której stał marmurowy blok. Często przychodził, żeby nań popatrzeć. Czasem, po całym dniu rzeźbienia brzydoty, musiał przyjść, spojrzeć na marmur i wyobrazić sobie ukryte w nim piękno. Tylko to w takich wypadkach podtrzymywało go na duchu.

Pokrytymi kamiennym pyłem palcami dotknął marmuru z Cavatury. Był odrobinę inny niż ten, który rzeźbił tam, na placu budowy. Teraz miał już tyle doświadczenia, że potrafił wyczuć tak subtelną różnicę. Blok Victora miał delikatniejszą, bardziej spoistą ziarnistość; wyraźniej odda detale.

Kamień pod palcami Richarda był równie chłodny, jak księżycowa poświata i tak samo nieskalany.

Podniósł wzrok i zobaczył w pobliżu Victora; kowal uśmiechał się w zadumie, obserwując chłopaka i marmur.

- Po rzeźbieniu tych paskudztw dobrze popatrzeć na mój piękny marmur?

Richard zaśmiał się w odpowiedzi. Victor przeszedł przez izbę, zachęcił go gestem.

- Usiądź przy mnie i zjedz trochę lardo.

Siedzieli na progu w gasnącym świetle dnia i jedli cienkie plastry smakotyku, rozkoszując się chłodnym powietrzem docierającym w górę stoku.

- Wiesz, wcale nie musisz tu przychodzić, żeby patrzeć na mój piękny posąg - odezwał się Victor. - Możesz patrzeć na swoją piękną żonę.

Richard nie odpowiedział.

- Nie pamiętam, żebyś kiedy wspominał o żonie. Nie wiedziałem o niej, dopóki się wtedy u mnie nie zjawiała. Z jakiegoś powodu zawsze sądziłem, że masz dobrą kobietę... - Zachmurzył się, patrząc na Ustronie. - Czemu nigdy o

niej nie wspomniałeś?

Richard wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za okropnego typu, Richardzie, ale ona jakoś nie pasuje do mojego wyobrażenia o kobiecie, co powinna być z tobą.

- Nie uważam cię za okropnego typu, Victorze. Każdy powinien mieć prawo do swojego zdania.

- Mogę o nią spytać?

Richard westchnął.

- Jestem zmęczony, Victorze. Wolałbym nie rozmawiać o mojej żonie. Poza tym nie mam nic do powiedzenia. Jest moją żoną. I tyle.

Mistrz mruknął coś, żując spory kęs czerwonej cebuli. Kiedy przełknął, machnął połową cebuli, która mu została.

- Niedobrze, kiedy mężczyzna rzeźbi za dnia takie rzeczy, a potem musi na noc wracać do domu do... Co też ja mówię! Co mnie naszło? Wybacz, Richardzie. Nicci jest piękną kobietą.

- Tak, chyba tak.

- I zależy jej na tobie.

Richard nic nie odpowiedział.

- Ishaq i ja staraliśmy się wykupić cię stamtąd twoim złotem. To nie wystarczało. Typ był nadętym urzędasem. Nicci wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Posłużyła się słowami, żeby przekręcić klucz w zamku drzwi twojej celi. Gdyby nie Nicci, to by cię pochowali w niebie.

- Czyli żeby ocalić mi życie, powiedziała im, że potrafię rzeźbić.

- Tak. Dzięki niej dostałeś robotę rzeźbiarza. - Victor czekał na dalsze słowa i w końcu westchnął z rezygnacją, kiedy nie padły.

- Jak te dłuta, które posłałem?

- W porządku. Dobrze się nimi pracuje. Ale wolałbym pazurzaste dłuto z mniejszymi zębami.

- Dostaniesz.

Mistrz podał Richardowi kolejny plasterek lardo.

- A co ze stalą?

- Nie martw się. - Victor machnął swoją cebulą. - Ishaq dobrze sobie radzi, zastępując cię. Nie tak dobrze jak ty, ale nieźle. Przywozi mi, czego potrzebuję. Wszyscy go lubią i cieszą się, że postanowił cię zastąpić. Ład tak

desperacko pragnie, żeby roboty postępowały, że przymyka oczy na jego działalność. Węglarz Faval o ciebie pytał. Lubi Ishaq, ale brakuje mu ciebie.

Richard uśmiechnął się na wspomnienie nerwowego węglarza.

- Rad jestem, że Ishaq kupuje od niego węgiel.

W Starym Świecie było mnóstwo porządných ludzi. Richard zawsze widział w nich nieprzyjaciół, a teraz zaprzyjaźnił się z wieloma. Tak często mu się to zdarzało i zawsze w ten sam sposób; w gruncie rzeczy ludzie wszędzie okazywali się tacy sami, kiedy już się ich poznało.

Byli tacy, którzy kochali wolność, którzy pragnęli żyć własnym życiem, trudzić się, dochodzić do czegoś, coś osiągać - oraz tacy, którzy uginali się pod ciężarem bezmyślnej, monotonnej stagnacji, wymuszonej sztucznej szarej jednolitości; tacy, którzy chcieli wybić się własnym wysiłkiem - i tacy, którzy chcieli, żeby inni za nich myśleli, i byli skłonni zapłacić za to najwyższą cenę.

Kiedy Richard wchodził po schodach, Kamil i Nabbi wstali i uśmiechnęli się.

- Pracowaliśmy z Nabbim nad naszą rzeźbą. Chcesz zobaczyć?

Richard uśmiechnął się i otoczył ramieniem barki Kamila.

- Pewnie. Popatrzmy, co dzisiaj zdziałaliście.

Poszedł za nimi czystym korytarzem na tyły domu, gdzie rzeźbili twarze w starej kłodzie. Ich dzieło było okropne.

- Całkiem nieźle wygląda, Kamilu. Twoje też, Nabbi.

Rzeźbione twarze uśmiechały się i to jedno było dla Richarda bezcenne. Bez względu na to, jak fatalnie je wykonano, miały w sobie więcej życia niż wykute w cennym marmurze dzieła mistrzów rzeźbiarskich, które chłopak widywał każdego dnia.

- Naprawdę, Richardzie? - spytał Nabbi. - Myślisz, że Kamil i ja zostaniemy rzeźbiarzami?

- Może kiedyś. Musicie więcej ćwiczyć i jeszcze wiele się nauczyć, ale wszyscy rzeźbiarze muszą ćwiczyć, żeby nabrać wprawy. Spójrzcie na przykład na to. Co tu jest źle?

Kamil skrzyżował ramiona, zmarszczył brwi i ze skupieniem wpatrywał się w twarz, którą wyrzeźbił.

- Nie wiem.

- Nabbi?



Nabbi, zażenowany, wzruszył ramionami.

- To nie przypomina prawdziwej twarzy. Ale nie umiem powiedzieć czemu.

- Spójrz na moją twarz, na moje oczy. Czym się różnią?

- Wydaje mi się, że twoje oczy mają inny kształt - powiedział Kamil.

- I są bliżej siebie, a nie z boków głowy - dodał Nabbi.

- Znakomicie. - Richard wygładził ziemię w miejscu, skąd wyrwano marchew, a potem ukształtował twarz. - Widzicie? Kiedy się umieści oczy bliżej, o tak, to bardziej przypomina to ludzką twarz.

Obaj chłopcy przytaknęli, pilnie przyglądając się jego dziełu.

- Rozumiem - odezwał się Kamil. - Zacznę nową i lepiej ją zrobię.

- Bystry chłopiec. - Richard klepnął go w plecy.

- Może i my pewnego dnia zostaniemy rzeźbiarzami - powiedział Nabbi.

- Może - odparł Richard.

Na stole czekała na niego kolacja. Przy zapalanej lampie stała miseczka zupy. Reszta pokoju tonęła w wieczornym mroku. Nicci też czekała, siedząc przy stole.

- Jak poszło dzisiaj rzeźbienie? - spytała, kiedy Richard poszedł umyć ręce w miednicy.

Ochlapał twarz mydlinami, zmywając marmurowy pył.

- Rzeźbienie jak rzeźbienie.

Nicci potarła kciukiem podstawę lampy.

- Wytrzymasz to?

Chłopak wytarł dłonie.

- A jaki mam wybór? Mogę albo to znieść, albo ze wszystkim skończyć. Cóż to za wybór? Czyżbyś pytała, czy jestem gotów popełnić samobójstwo?

Spojrzała na niego.

- Nie to miałam na myśli.

Położył ręcznik obok miednicy.

- A poza tym, jak mógłbym nie być wdzięczny za pracę, którą mi załatwiłaś?

Błękitne oczy Nicci spojrzały na blat stołu.

- Victor ci powiedział?

- Nietrudno było się domyślić. Victor powiedział tylko, że jesteś piękna i że ocaliłaś mi życie.

- Nie miałam wyboru, Richardzie. Wypuściliby cię tylko wtedy, gdybyś miał jakiś dar. Musiałam im powiedzieć.

Bardziej niż kiedykolwiek czuł istotę walki z nią, ów taniec. Czowała się bezpieczna za tarczą „musiałam im powiedzieć”. Mogła go obserwować, patrzeć, jak zareaguje.

Wszystkie trudy tego dnia - przepychanie ciężkich bloków, unoszenie młota - podkopały jego siły. Czuł drzenie dłoni po tych wszystkich uderzeniach. A teraz znów zaczął potyczkę z Nicci. Poddał się zmęczeniu, usiadł na swoim łóżku.

Zmęczenie było częścią każdej bitwy. Równie mocno odczuwał to teraz jak wtedy, kiedy dzierzył miecz: ów taniec na życie lub śmierć. Była to taka sama walka jak tamte, które kiedyś toczył. Nicci stała na przeszkodzie wolności, życiu.

To był taniec ze śmiercią.

Taniec ze śmiercią był w gruncie rzeczy definicją samego życia, skoro wszyscy ludzie musieli w końcu umrzeć.

- Chcę się czegoś dowiedzieć, Nicci.

Spojrzała nań wyczekująco.

- To znaczy?

- Możesz powiedzieć, czy Kahlan żyje?

- Oczywiście. Cały czas czuję to poprzez nasze zespolenie.

- Czyli wciąż żyje?

Nicci obdarzyła go swoim zadufanym uśmiechem.

- Z Kahlan wszystko w porządku, Richardzie. Nie martw się o to.

Richard wpatrywał się w nią jakiś czas. Potem odwrócił wzrok i położył się na swojej więziennej pryczy. Ułożył się plecami do Nicci, do tańca.

- Richardzie... ugotowałam ci zupę. Zjedz.

- Nie jestem głodny.

Wyrzucił ją z umysłu i starał się myśleć o zielonych oczach Kahlan, kiedy ogarnęło go znużenie i zapadł w sen.

## ROZDZIAŁ 58

Richard czuł na karku oddech Neala. Młody uczeń patrzył mu przez ramię, kiedy chłopak stukał w dłutko, rzeźbiąc rozwarte usta grzesznika krzyczącego z przeraźliwego bólu, gdyż Opiekun zaświatów rozdzierał na strzępy jego ciało.

- Całkiem niezłe - mruknął Neal zachwycony tym, co widzi.

Richard wsparł przegub dłoni z dłutem o kamienny blok i wyprostował się.

- Dziękuję, Bracie Nealu.

Brązowe oczy Neala - tego samego koloru co jego szaty - patrzyły arogancko, zaczepnie. Chłopak nie dał się sprowokować.

- A wiesz, Richardzie, nie lubię cię.

- Żaden człowiek nie zasługuje na to, żeby go lubić, Bracie Nealu.

- Zawsze masz gotową odpowiedź, co, Richardzie? - Młody czarodziej uśmiechnął się, wsunął rękę pod kaptur i podrapał się w głowę. Miał krótko ostrzyżone włosy. - Wiesz, dlaczego dostałeś tę pracę?

- Bo Ład dał mi możliwość...

- Nie, nie - przerwał mu Neal, nagle zniecierpliwiony. - Chodzi mi o to, czy wiesz, dlaczego było wolne miejsce? Czy wiesz, dlaczego potrzebowaliśmy rzeźbiarzy? Co dało ci okazję zdobyć tę pracę?

Richard doskonale wiedział, dlaczego potrzebowali rzeźbiarzy.

- Nie, Bracie Nealu. Byłem wtedy robotnikiem.

- Wielu z nich zostało straconych.

- Musieli zdradzić naszą sprawę. Cieszę się, że Ład ich złapał.

Czarodziej wzruszył ramionami; na jego usta znów powrócił szczwany uśmieszek.

- Być może. Powiedziałbym, że mieli nieodpowiednią postawę. Zbyt wiele myśleli o sobie, o tym, co samolubnie uważali za swój... talent. Bardzo staromodne pojęcie, nieprawdaż, Richardzie?

- Nie umiem powiedzieć, Bracie Nealu. Wiem tylko, że potrafię rzeźbić, i jestem wdzięczny, że dano mi możliwość wypełniania obowiązku pomagania bliźnim, że mogę się do tego przyczynić.

Neal cofnął się, obrzucił Richarda badawczym spojrzeniem, jakby się

chciał przekonać, czy to kpina, czy nie. Chłopak nie dał mu żadnego pretekstu, więc uczeń Nareva po prostu przeszedł do sedna.

- Uważałem, że niektórzy z nich swoimi rzeźbami wyszydzą Ład. Że posługują się nimi, żeby wykpić i ośmieszyć naszą szlachetną sprawę.

- Naprawdę, Bracie Nealu? Nigdy bym na to nie wpadł.

- To dlatego jesteś i na zawsze pozostaniesz nikim. Jesteś zerem. Tak jak ci wszyscy rzeźbiarze.

- Zdaję sobie sprawę, Bracie Nealu, że nie jestem kimś ważnym. Grzechem byłoby myśleć, że mam jakąś inną wartość niż ta, że mogę wnieść wkład do wspólnego dzieła. Pragnę jedynie ciężko pracować w służbie Stwórcy, żeby móc zasłużyć na nagrodę w przyszłym życiu.

Zapalczywe, gniewne spojrzenie zastąpiło uśmiech.

- Skazałem ich na śmierć, ale najpierw od każdego wydobyłem torturami zeznanie.

Richard mocniej zacisnął dłuto w dłoni. Na pozór spokojny, rozważał, czyby nie wbić dłuta Nealowi w czaszkę. Wiedział, że zdążyłby to zrobić, zanim tamten by zareagował. Ale co by to dało? Nic.

- Rad jestem, Bracie Nealu, żeś zdemaskował zdrajców pośród nas.

Czarodziej przez chwilę podejrzliwie mrużył oczy. Wreszcie odpędził domysły skrzywieniem ust, a potem nagle odwrócił się, łopocząc szatą.

- Chodź ze mną - rozkazał poważnym głosem, odchodząc.

Richard poszedł za nim przez plac rozdeptany w błoto przez spieszących tam i z powrotem robotników, przez niesione, wleczone lub toczone na miejsce budowy materiały. Szli wzdłuż nie kończącej się fasady pałacu. Kamienne ściany wznosiły się coraz wyżej, okalając coraz to nowe szeregi otworów okiennych. Budowla zaczynała nabierać kształtów. Wiele belek drugiego piętra umieszczono już w zagłębieniach w ścianach. Wyrastał już labirynt wewnętrznych ścian, wyznaczając komnaty i korytarze. W pałacu będą całe mile korytarzy. Tuziny klatek schodowych znajdowały się w rozmaitych fazach budowy.

Już wkrótce nad niektórymi pomieszczeniami budowniczowie położą dębowe podłogi, zamykając je tym samym. Ale najpierw ponad tymi partiami pałacu należało skończyć dach, żeby deszcz nie zniszczył podłóg. Dachy niektórych zewnętrznych pomieszczeń będą niżej niż dach głównego trzonu budynku, który miał się wznieść na imponującą wysokość. Richard

spodziewał się, że przed zimowymi deszczami łupkowe i ołowiane dachy osłonią niższe partie pałacu.

Kiedy szli ku głównemu wejściu budowli, trzymał się blisko Brata Neala. Tu mury były wyższe i bardziej wykończone, wiele wymyślnych upiększeń znajdowało się już na miejscu. Czarodziej wbiegał po dwa stopnie po półkolistych marmurowych schodach prowadzących na kolisty plac przed wejściem. Białe marmurowe kolumny tworzyły już imponujące półkole, na kapitelach wielu z nich zdążono ustawić rzeźby. Owe wynurzające się z kamienia postaci torturowanych ludzi wywierały zastraszające wrażenie - i tak miało być.

Plac wyłożono białym, poznaczonym szarymi żyłkami marmurem z Cavatury. Promienie słoneczne uderzające w marmurową powierzchnię otoczoną półkolem olbrzymich kolumn jaśniały oślepiającym blaskiem. Pokraczni ludzie z rzeźb okalających plac zdawali się krzyczeć z bólu, paleni tym blaskiem - taki właśnie efekt zamierzył Brat Neal.

Brat zatoczył łuk ręką.

- Tu stanie wielki posąg, co uwieńczy wejście imperatora do Ustronia. - Wyciągniętym ramieniem dokończył kreślenie pełnego kręgu. - To będzie miejsce, w którym ludzie będą wchodzić do wspaniałego pałacu. Tędy będą szli na audiencję u urzędników Ładu. Tu znajdą się bliżej Stwórcy.

Richard milczał. Neal przyglądał mu się przez chwilę, a potem stanął pośrodku placu i wyciągnął ramiona ku słońcu.

- Tu! Tu stanie posąg na chwałę Stwórcy i wykorzysta jego Światło w zegarze słonecznym. Światło będzie wskazywać obmierzłe postaci: ludzi. To będzie pomnik grzesznej istoty, człowieka skazanego na nędzną egzystencję na tym świecie, niegodziwego z natury, kulącego się w upokorzeniu, kiedy Światło Stwórcy demaskuje jego znienawidzone ciało i duszę nieodwracalnie zdeprawowane ponad wszelkie wyobrażenie.

Richard pomyślał, że jeżeli istniał mistrz szaleństwa, to był nim Ład i ludzie, którzy tak samo myśleli.

Neal opuścił ramiona niczym kapelmistrz kończący triumfalny występ.

- A ty, Richardzie Cypherze, wyrzeźbisz ów pomnik.

Richard był aż do bólu świadomy, że w krzepko zaciśniętej pięści trzyma młotek.

- Tak, Bracie Nealu.

Czarodziej pomachał palcem tuż przed swoim nosem, uśmiechając się z okrutną uciechą.

- Nie sądzę, byś rozumiał, Richardzie. - Wykonał rozkazujący gest. -  
Czekaj. Nie ruszaj się.

Odszedł, a brązowe szaty falowały za nim jak błotniste wody. Zabrał coś z marmurowych kolumn i wrócił, trzymając to w dłoni.

Była to mała figurka. Postawił ją pośrodku placu, w punkcie, z którego rozbiegały się promieniście linie przecinające marmurową posadzkę. Był to gipsowy model tego, o czym właśnie opowiedział Richardowi. Chłopak gorąco pragnął rozbić ów model młotkiem - zaraz, teraz. Niemal warto było umrzeć za zniszczenie takiej ohydy.

Niemal.

- To właśnie to - oznajmił czarodziej. - Brat Narev kazał naczelnemu rzeźbiarzowi wykonać model zegara słonecznego według swoich wskazówek. Projekt Brata Narewa jest naprawdę znakomity. Doskonałe, nieprawdaż?

- Jest dokładnie tak przerażające, jak mówiłeś, Bracie Nealu.

- A ty masz to wyrzeźbić. Zmienić ten model w olbrzymi posąg z białego marmuru.

Odrętwiały Richard potaknął.

- Tak jest, Bracie Nealu.

Palec znów się poruszył, znamionując wielką uciechę.

- Nie, nie, jeszcze tego w pełni nie rozumiesz, Richardzie.

Neal uśmiechał się jak praczka stojąca przy płocie z koszem pełnym brudnych plotek.

- Bo widzisz, trochę się o ciebie popytałem. Brat Narev i ja nigdy ci nie ufaliśmy, Richardzie Cypherze. Nie, nigdy. Teraz wszystko o tobie wiemy. Poznałem twój sekret.

Richard zdrętwiał. Napięte mięśnie były twarde jak kamienie. Przygotował się do walki. Wydawało się, że teraz nie ma innej możliwości. Neal zaraz umrze.

- Rozmawiałem z protektorem ludu Muksinem.

- Z kim? - spytał zaskoczony chłopak.

Neal wyszczerzył się w triumfalnym uśmiechu.

- Z człowiekiem, który skazał cię na pracę rzeźbiarza. Znał twoje

nazwisko. Pokazał mi akta sprawy. Przyznałeś się do pospolitego występku. Podał mi wysokość grzywny: dwadzieścia dwie złote marki. Niezła sumka. - Znow pokiwał palcem. - To była pomyłka sądowa, Richardzie, i wiesz o tym. Żaden człowiek nie zdobędzie takiej fortuny w wyniku pospolitego występku. To musiały być nieuczciwie zdobyte pieniądze.

Richard nieco się rozluźnił. Palce go bolały, tak mocno ścisnął młotek.

- O nie - rzekł Neal - musiałeś zrobić coś o wiele gorszego, żeby zebrać dwadzieścia dwie złote marki. Bez wątpienia popełniłeś jakieś bardzo poważne przestępstwo. - Czarodziej rozpostarł ramiona niczym Stwórca przed jednym ze swoich dzieci. - Zamierzam okazać ci miłosierdzie, Richardzie.

- Czy Brat Narev pochwała to twoje miłosierdzie?

- O, tak. Bo widzisz, posąg ma być twoją pokutą wobec Ładu, sposobem zadośćuczynienia za zły uczynek. Wykonasz ów posąg w czasie, kiedy nie robisz innych rzeźb dla pałacu. Nie otrzymasz za to zapłaty. Rozkazujemy, byś nie kradł żadnego marmuru z tych, które Ład nabył na budowę Ustronia, ale byś kupił marmur za własne pieniądze. Jeśli będziesz musiał pracować dziesięć lat, żeby zdobyć tę sumę, tym lepiej.

- Masz na myśli, że za dnia mam rzeźbić tutaj, w pracy, a ten posąg wykonać w moim wolnym czasie, nocą?

- Twoim wolnym czasie? Cóż za niegodziwy pomysł.

- Kiedy mam spać?

- Ład nie troszczy się o sen, ale o sprawiedliwość.

Richard głęboko odetchnął dla uspokojenia. Wskazał młotkiem na stojący na ziemi model.

- I to mam wyrzeźbić?

- Właśnie. Sam kupisz marmur, a praca będzie twoim wkładem w dobro bliźniego. To będzie twój dar dla ludu Ładu w pokucie za twoje grzeszne uczynki. Ludzie tacy jak ty, mający jakieś zdolności, muszą z zapałem oddawać wszystko Ładowi. - Brat Neal wyciągnął przed siebie ramię. - Tej zimy odbędzie się poświęcenie pałacu. Lud potrzebuje widomego dowodu, że Ład potrafi urzeczywistnić tak doniosły projekt jak ten oto wspaniały pałac. Ludzie desperacko chcą nauk, które wyczytają z murów Ustronia. Brat Narev gorąco pragnie wyświęcić pałac. Chce tej zimy urządzić wspaniałą ceremonię, w której weźmie udział wielu dygnitarzy Ładu. Wojna się nasila i

lud powinien widzieć, że pałac rośnie. Ludzie muszą widzieć efekty swoich poświęceń. Ty zaś, Richardzie Cypherze, masz wyrzeźbić wielki posąg przed główne wejście Ustronia.

- Czuję się zaszczycony, Bracie Nealu.

Neal uśmiechnął się z wyższością.

- I powinienes.

- A co, jeżeli... nie dorosnę do zadania?

Brat wyszczerzył się szeroko.

- Wtedy wrócisz do aresztu i śledczy protektora Muksina będą się tobą zajmować, póki nie złożysz zeznań. A kiedy wreszcie się przyznasz, zawiśniesz na palu. Ptaki będą ucztować na twoim ciele. - Wskazał na groteskowy model. - Podnieś to. Właśnie temu powinienes poświęcić życie.

Nicci podniosła wzrok, bo usłyszała głos Richarda. Mówił do Kamila i Nabbiego. Słyszała, jak powiedział, że jest zmęczony i nie może rzucić okiem na ich rzeźby, że zrobi to dopiero jutro. Wiedziała, że będą zawiedzeni. To było niepodobne do Richarda.

Zanurzyła łyżkę w pogiętym garnku i nałożyła do miseczki kaszy gryczanej i grochu. Postawiła miseczkę na stole, obok położyła drewnianą łyżkę. Chleba nie było.

Żałowała, że nie mogła mu przygotować nic lepszego, ale po odebraniu im dobrowolnych składek nie mieli pieniędzy. Gdyby nie ogród, który kobiety z tego domu utrzymywały na tyłach, byłiby w poważnych tarapatach. Nicci nauczyła się hodować różności i miała co dawać mu jeść.

Ramiona miał przygarbione, spojrzenie nie widzące. Niósł coś w ręce.

- Mam dla ciebie kolację. Usiądź i zjedz.

Richard postawił to coś na stole obok lampy. Była to mała rzeźba przedstawiająca kulące się ze strachu postaci. Z jednej strony okalał je wycinek okręgu. W środku tkwiła długa błyskawica - powszechnie znany symbol kary zadawanej przez Stwórcę - przeszywająca wiele bez wątpienia grzesznych kobiet i mężczyzn i przyszpilająca ich do ziemi. Był to porażający obraz grzesznej natury ludzi i gniewu Stwórcy na ich rozwiązłe obyczaje.

- Co to jest? - spytała Nicci.

Richard osunął się na krzesło. Ukrył twarz w dłoniach, wsunął palce we włosy. Po chwili spojrział na nią.

- To, czego chciałaś - odparł spokojnie.



- Czego chciałam?

- Mojej kary.

- Kary?

Skinął głową.

- Brat Narev dowiedział się o grzywnie w wysokości dwudziestu dwóch złotych marek. Powiedział, że musiałem popełnić jakieś przestępstwo, żeby zdobyć tyle pieniędzy, i skazał mnie na wykonanie posągu przed główne wejście do pałacu imperatora.

Nicci spojrzała na stojącą na stole małą statuetkę.

- Co to jest?

- Zegar słoneczny. To pierścień z oznaczonymi godzinami. Błyskawica rzuca cień Światła Stwórcy na krąg i wskazuje porę dnia.

- Dalej nie rozumiem. Dlaczego to jest wyrok? Jesteś rzeźbiarzem. To twoja praca.

Richard potrząsnął głową.

- Mam kupić marmur za własne pieniądze i rzeźbić nocami, w wolnym czasie, jako dar dla Ładu.

- A dlaczego uważasz, że właśnie tego chciałam?

Richard powiódł palcem po błyskawicy, przyglądał się rzeźbie.

- Przeprowadziłaś mnie tutaj, do Starego Świata, bo chciałaś, żebym zrozumiał swoje błędy. I tak się stało. Powinienem się przyznać do jakiejś zbrodni i pozwolić, by położyli temu kres.

Nicci bez zastanowienia sięgnęła przez stół i położyła dłoń na jego dłoni.

- Nie, Richardzie, wcale nie tego chciałam.

Cofnęła dłoń.

- Jedz, Richardzie. - Przysunęła mu miseczkę. - Musisz być silny.

Bez protestów zrobił, jak powiedziała. Niczym więzień wykonujący rozkaz. Przykro jej było widzieć go takim.

Iskra zniknęła z jego oczu, jak przedtem z oczu jej ojca.

Pozbawionymi wyrazu, martwymi oczami patrzył na rzeźbę stojącą pośrodku stołu. Jakby opuściły go życie, energia, nadzieja. Skończył jeść, wstał bez słowa, podszedł do łóżka i położył się, odwracając od niej.

Nicci siedziała przy stole, słuchała skwierczenia płomienia lampy i obserwowała, jak zasypiający Richard oddycha miarowo.

Zdawało się, że złamano w nim ducha. Tak długo wierzyła, że dowie się

czegoś cennego, gdy doprowadzi go do ostateczności. Miała wrażenie, że się pomyliła, że w końcu się poddał. Teraz już niczego się od niego nie dowie.

Niewiele jej pozostało. Właściwie nie miała po co tego ciągnąć. Przez chwilę czuła przygniatający ciężar rozczarowania; potem nawet to minęło.

Nicci - wypalona i odrętwiała - wzięła miseczkę i łyżkę i zaniósła do cebrzyka, żeby je umyć. Nie robiła hałasu, żeby spał; z rezygnacją postanowiła wrócić do Jaganga.

To nie była wina Richarda, że nie mógł jej niczego nauczyć; po prostu w życiu nie było już nic do odkrycia. Było wyłącznie takie, jakie było. Matka miała rację.

Nicci wyjęła nóż rzeźnicki i położyła go cicho na stole. Richard dość się już nacierpiał. Tak będzie najlepiej.

## ROZDZIAŁ 59

Nicci całą wieczność siedziała przy stole, dotykając noża. Obserwowała plecy Richarda. Jego pierś unosiła się powoli w oddechu życia, potem znów opadała. Było wystarczająco dużo czasu, żeby zatopić ten nóż w jego plecach, pomiędzy żebrami, i przebić serce.

Wystarczająco dużo czasu do świtu.

Śmierć była czymś tak ostatecznym. Chciała nań jeszcze chwilę popatrzeć. Nigdy nie miała dość patrzenia na Richarda.

Bo kiedy już to zrobi, nie będzie mogła na niego patrzeć. Chłopak odejdzie na zawsze. I nawet nie była pewna, czy dusza nadal może odejść do świata duchów, skoro demony wyrządziły tyle szkód światom i ich wzajemnym powiązaniom. Nie wiedziała nawet, czy zaświaty dalej istnieją i czy duch Richarda tam odejdzie, czy po prostu... zniknie na zawsze, gdy przestanie istnieć i on, i to, co było jego duszą.

W odrętwieniu straciła poczucie czasu.

Kiedy w końcu wyjrzała za okno, które Richard zainstalował za zarobione pieniądze, zauważyła, że niebo przybrało kolor tygodniowego siniaka.

Nicci była zespolona z Kahlan, więc nie mogła się posłużyć magią. Choć czuła do tego odrazę i wiedziała, jakie to będzie okropne, musiała użyć ostrego noża. Zacisnęła palce na drewnianym trzonku. Chciała, żeby szybko było po wszystkim. Nie mogła znieść myśli, że będzie cierpiał. Już dość się nacierpiał za życia - nie chciała, żeby i umierał w męcz.

Stawi krótki opór, a potem będzie po wszystkim.

Richard zniemacka przetoczył się na plecy i usiadł. Nicci zamarła, dalej siedziała na krześle. Przecierał zaspane oczy. Czy może go teraz zabić, kiedy już się obudził? Czy potrafi spojrzeć w te jego oczy, wbijając mu nóż w pierś?

Powinna.

Tak będzie najlepiej.

Richard ziewnął i przeciągnął się. Zeskoczył z łóżka.

- Nicci. Co ty robisz? Nie kładłaś się?

- Ja... ja chyba zasnęłam na krześle.

- Och, ja... tu jest. Jest mi potrzebny. - Wyrwał jej nóż z ręki. - Mogę

pożyczyć? Potrzebuję go. Potem pewnie będę musiał ci go naostrzyć. Nie znajdę na to czasu przed wyjściem. Możesz mi zrobić coś do jedzenia? Spieszę się. Muszę się zobaczyć z Victorem, zanim zacznę pracę.

Nicci była zdumiona. Nagle odżył. W blasku lampy i słabym świetle brzasku widziała, że znów ma w oczach tę iskierkę. Był... stanowczy, zdeterminowany.

- Tak, dobrze - powiedziała.

- Dziękuję! - zawołał przez ramię, pospiesznie wychodząc.

- Dokąd ty...

Ale już go nie było. Uznała, że pewnie poszedł na tyły domu, po trochę jarzyn. Ale po co mu do tego taki wielki nóż? Była skonfundowana, ale i w nią wstąpiło nowe życie. Richard znów był sobą.

Wyjęła ze spiżarni kilka jajek, które tam przechowywała, i żelazny rondel, po czym pospieszyła do kuchennego paleniska. Węgłe wciąż się jeszcze żarzyły od wieczoru, dawały nieco światła. Nicci ostrożnie dołożyła trochę patyczków i rozpałki, a potem ułożyła na tym grube jak palec gałązki. Kiedy drewno się zajęło, postawiła na nim żelazny rondel, rezygnując z podstawki - jajka szybko będą gotowe.

Gdy czekała, aż rondel się rozgrzeje, usłyszała jakieś dziwaczne skrobanie. W migotliwym świetle ognia nie widziała Richarda w ogrodzie. Nie wiedziała, ani gdzie się podział, ani co robi. Wbiła jajka do gorącego rondelka i wrzuciła skorupki do stojącego obok cebrzyka na odpadki. Drewnianą łyżką mieszała smażące się jajka.

Wyprostowała się, trzymając rozgrzany uchwyt rondelka przez spódnicę - i ze zdumieniem zobaczyła Richarda wychodzącego zza szerokiego kuchennego paleniska.

- Co tu robisz, Richardzie?

- Z tyłu jest parę luźnych cegieł. Poprawiłem to przed pójściem do pracy. Oczyszciliem spojenia. Przyniosę trochę zaprawy i potem to skończę.

Wyrwał garść trawy o szerokich źdźbłach i wziął przez nią rondel od Nicci. Drugą ręką rzucił w powietrze nóż, złapał go za czubek i podsunął Nicci trzonek. Wzięła od niego ciężki nóż, podrapany i stępiony od skrobania cegieł. Richard jadł drewnianą łyżką.

- Nic ci nie jest? - spytała.

- Wszystko w porządku - odparł z pełnymi ustami. - A co?

Nicci wskazała na dom.

- Tej nocy... wydawałeś się taki... zdruzgotany.

Spojrzał na nią chmurnie.

- To już nie mam prawa od czasu do czasu poużalać się nad sobą?

- Chyba... chyba masz. A teraz...?

- Przemyślałem to sobie.

- I...?

- To ma być mój dar dla ludzi, prawda? Dam ludziom dar, którego pragną.

- O czym ty mówisz?

Richard machnął drewnianą łyżką.

- Bracia Narev i Neal powiedzieli, że to ma być mój dar dla ludu, i tak będzie. - Włożył do ust kolejną porcję jajek.

- Czyli masz zamiar wyrzeźbić taki posąg, jakiego chcą?

Zanim dokończyła pytanie, już wbiegał po schodach.

- Muszę wziąć model posągu i iść do pracy.

Nicci pobiegła za nim po schodach. Richard dalej jadł, idąc. Zatrzymał się w ich pokoju; patrzył na stojący na stole model i kończył jajka. Nicci nic nie pojmowała - uśmiechał się. Postawił ronderek na stole i wziął rzeźbę.

- Pewnie późno wrócę. Jeśli mi się uda, to zacznę tę pokutę dla Ładu. Może będę musiał pracować całą noc.

Patrzyła ze zdumieniem, jak pospiesznie wychodzi do pracy.

Ledwie mogła uwierzyć, że kolejny raz wymknął się śmierci. Nicci nie pamiętała, by kiedykolwiek była za coś tak wdzięczna. Nie potrafiła tego zrozumieć.

Richard dotarł do kuźni wkrótce po tym, jak Victor ją otworzył. Jego robotnicy jeszcze się nie zjawili. Kowal wcale się nie zdziwił, gdy go zobaczył - Richard czasami przychodził wcześniej i obaj siadali na progu, żeby patrzeć, jak słońce wschodzi nad placem budowy.

- Richardzie! Rad cię widzę.

- I ja ciebie, Victorze. Muszę z tobą pogadać.

Kowal wydał chrapliwy pomruk.

- Posąg?

- Taak - powiedział trochę zaskoczony Richard. - Posąg. Wiesz?

Chłopak poszedł za Victorem przez ciemną kuźnię, wśród rozgardiaszu

stołów, zaczętej pracy i narzędzi.

- A tak, słyszałem.

Po drodze kowal schylał się, żeby tu podnieść młotek, tam żelazną sztabę i położyć je na stole lub wrzucić do skrzyni; zupełnie jakby można było posprzątać górę, odkładając na miejsce kilka kamyków i podnosząc odłamany konar.

- Co słyszałeś?

- Wczoraj wieczorem złożył mi wizytę Brat Narev. Oznajmił, że odbędzie się poświęcenie Ustronia, by okazać Stwórcy szacunek i wdzięczność za to, co nam zsyła. - Obejrzał się przez ramię, mijając wielki blok marmuru z Cavatury. - Powiedział, że masz wyrzeźbić posąg na plac przed paradnym wejściem. Wielki posąg. Że to ma być gotowe na poświęcenie. Z tego, co słyszałem od ludzi, wynika, że Ład przypisuje bunt obciążeniom wynikającym z realizacji tak monumentalnej budowy jak Ustronie i jednoczesnego prowadzenia wojny. Mają całe armie ludzi pracujących na rzecz tej budowy: nie tylko tutaj, ale i w rozlicznych kamieniołomach, w kopalniach złota i srebra, w lasach przy ścinaniu drzew. Nawet niewolników trzeba żywić. Czystka przeprowadzona po buncie wśród urzędników, naczelników i wykwalifikowanych robotników drogo ich kosztowała. Myślę, że Brat Narev chce tym poświęceniem ukazać ludziom postępy, zainspirować ich, wciągnąć do uroczystości dalej położone krainy. Wierzy, że to zażegna dalsze kłopoty.

Tylko świetlik znajdujący się w wysokim suficie wpuszczał światło do ciemnego pomieszczenia; spadało wprost na monolit. Marmur wchłaniał blask w głąb swojej drobnokrystalicznej struktury i odsyłał go niczym w miłosnym darze.

Victor otworzył dwuskrzydłowe drzwi wychodzące na Ustronie.

- Brat Narev powiedział mi również, że twój posąg ma być zegarem słonecznym, w którym Światło Stwórcy będzie padać na katusze ludzi. I że mam nadzorować wykonanie gnomonu i tarczy, na którą będzie padać jego cień. Mówił coś o błyskawicy...

Kowal okręcił się, wiodąc wzrokiem za Richardem, który stawiał model rzeźby na biegnącej wzdłuż całego pomieszczenia wąskiej półce na narzędzia.

- Drogie duchy... - wyszeptał. - Ależ to monstrualne.

- Chcą, żebym to wyrzeźbił. Żeby to był posąg dominujący nad głównym wejściem.

Victor kiwnął głową.

- Brat Narev też mi o tym mówił. Powiedział także, jakiej wielkości ma być metalowa tarcza. Chce, żeby to był brąz.

- Umiesz odlać brąz?

- Nie. - Kowal postukał grzbietami palców w ramię Richarda. - A teraz najlepsze. Niewielu ludzi potrafi odlać coś takiego, więc Brat Narev rozkazał, żeby uwolniono Priskę, który ma się tym zająć.

Richard zamrugął ze zdumienia.

- To Priska żyje?

Victor potaknął.

- Wysoko postawieni ludzie na pewno nie chcieli, żeby go pochowano w niebie, na wypadek gdyby potrzebowali jego umiejętności. Kazali zamknąć go w lochu. Ład dobrze wie, że są mu potrzebni utalentowani ludzie. Uwolnią go, żeby to zrobił. Jeśli chce zachować życie i nie wrócić do lochu, powinien odlać ten brąz na własny koszt, jako dar dla ludu. Mówią, że to jego pokuta. Mam mu dać specyfikację i zadbać o zmontowanie i umieszczenie zegara w rzeźbie.

- Chcę kupić twój marmur, Victorze.

Na twarz kowala wypłynął nieprzyjazny grymas.

- Nie.

- Narev i Neal dowiedzieli się o mojej grzywnie. Uważają, że za łatwo się wykręciłem. Rozkazali, żebym wyrzeźbił to jako pokutę; tak jak Priska ma zrobić odlew. Muszę sam kupić marmur i rzeźbić po skończeniu dnia pracy na budowie. Chcą, żeby to było gotowe na zimowe poświęcenie Ustronia.

Victor spojrział na stojący na półce model, jakby to był jakiś potwór, który przybył, by sprowadzić nań zgubę.

- Wiesz, Richardzie, ile ten marmur dla mnie znaczy. Ja nie...

- Posłuchaj, Victorze...

- Nie. - Kowal wysunął dłoń ku chłopakowi. - Nie prosz mnie o to. Nie chcę, żeby ten marmur zamienił się w paskudztwo, jak wszystko, czego dotyka Ład. Nie pozwolę na to.

- Ani ja.

Victor wskazał gniewnie na model.

- Oto, co masz wyrzeźbić. Jak mogłeś w ogóle pomyśleć, żeby zmienić mój cudowny marmur w takie ohydztwo?

- Bo i nie pomyślałem.

Richard postawił gipsowy model na podłodze. Podniósł duży młot oparty trzonkiem o ścianę i jednym potężnym ciosem rozbił paskudztwo na tysiące części. Stał, a biały pył powoli wypływał za próg i w dół wzgórza, ku Ustroniu - niczym powracający do zaświatów zły duch.

- Sprzedaj mi swój marmur, Victorze. Pozwól mi uwolnić ukryte w nim piękno.

Kowal podejrzliwie zmrużył oczy.

- W bloku jest skaza. Nie można w nim rzeźbić.

- Myślałem o tym. Znalazłem sposób. Wiem, że potrafię to zrobić.

Victor położył dłoń na swoim marmurze, jakby pocieszał w smutku ukochaną osobę.

- Znasz mnie, Victorze. Czy kiedykolwiek cię zdradziłem? Skrzywdziłem?

- Nie, Richardzie - powiedział łagodnie kowal. - Nigdy.

- Potrzebny mi ten marmur, Victorze. To najwspanialszy kawał marmuru: najlepiej wchłania światło i potem je oddaje. Dzięki odpowiedniej ziarnistości dobrze pokaże detale. Na ten posąg potrzebuję najlepszego kamienia. Przysięgam, Victorze, że jeśli mi go powierzysz, nie zdradzę twojej wizji. Nie zdradzę twojej miłości do tego marmuru, przysięgam.

Kowal delikatnie powiódł potężną sękatą łapą po białym, niemal dwukrotnie wyższym od niego bloku.

- A gdybyś im odmówił?

- Neal powiedział, że zabiorą mnie do więzienia i będą tam trzymać, dopóki nie wydobędą ze mnie zeznania albo póki nie umrę od tortur. I pochowają mnie w niebie, nadaremnie.

- A jeśli zrobisz, jak postanowiłeś - Victor wskazał na szczątki modelu - nie wyrzeźbisz im tego, co chcą?

- Może znów chciałbym zobaczyć piękno, nim umrę.

- Ba. Co wyrzeźbisz? Co chciałbyś zobaczyć przed śmiercią? Co będzie warte twojego życia?

- Szlachetność człowieka, najbardziej wysublimowana forma piękna.

Dłoń kowala znieruchomiała na marmurze, szukał wzroku Richarda, ale milczał.



- Potrzebuję twojej pomocy, Victorze. Nie proszę, żebyś mi cokolwiek dawał. Jestem skłonny zapłacić twoją cenę. Wymień ją.

Tamten spojrział czule na marmur.

- Dziesięć złotych marek - powiedział zdecydowanie, wiedząc, że Richard nie ma pieniędzy.

Chłopak sięgnął do kieszeni i odliczył dziesięć złotych marek. Podał tę fortunę Victorowi. Kowal zmarszczył brwi.

- Skąd wzięłeś tyle pieniędzy?

- Pracowałem i zaoszczędziłem. Zarobiłem je, pomagając Ładowi budować ich pałac. Pamiętasz?

- Przecież zabrali wszystkie twoje pieniądze. Nicci im powiedziała, ile masz, i wszystko zabrali.

Richard przekrzywił głowę na bok.

- Chyba nie myślisz, że jestem na tyle głupi, żeby trzymać wszystkie pieniądze w jednym miejscu? Pochowałem złoto w rozmaitych skrytkach. Jeżeli to za mało, dopłacę, ile zechcesz.

Chłopak wiedział, że marmur jest cenny, choć nie był wart aż dziesięciu marek. Ale Victor na tyle go wycenił, więc nie zamierzał się targować. Zapłaci, ile kowal zechce.

- Nie mogę przyjąć od ciebie pieniędzy, Richardzie. - Victor z rezygnacją machnął ręką. - Nie umiem rzeźbić. To było tylko marzenie. Dopóki tego nie wyrzeźbię, mogę śnić o pięknie ukrytym w marmurze. Pochodzi z mojej ojczyzny, w której niegdyś panowała wolność. - Nie patrząc, wyciągnął rękę i dotknął monolitu. - To szlachetny kamień. Chętnie zobaczę szlachetność w tym marmurze z Cavatury. Jest twój, przyjacielu.

- Nie, Victorze. Nie chcę odbierać ci marzenia. Chcę je urzeczywistnić. Chcę kupić ten marmur.

- Ale dlaczego?

- Bo będę go musiał oddać Ładowi. Nie chcę, żebyś to ty dał go Ładowi; ja będę musiał to zrobić. Poza tym nie mam wątpliwości, że zechcą to zniszczyć. A wtedy musi być mój. Chcę, żeby zań zapłacili.

- No, to dziesięć marek. - Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Dziękuję, Victorze - wyszeptał Richard.

Kowal uśmiechnął się.

- Gdzie mam ci go dostarczyć?

- Mogę wynająć to pomieszczenie? - Chłopak podał mu kolejną złotą markę. - Chciałbym tutaj rzeźbić. A kiedy skończę, będzie go można stąd przeciągnąć na płozach na plac przed wejściem.

Victor wzruszył ramionami.

- Zgoda.

Richard podał mu dwunastą markę.

- I chcę, żebyś mi zrobił narzędzia rzeźbiarskie, najlepsze, jakie kiedykolwiek przygotowałeś. Jakimi w twojej ojczyźnie rzeźbiono piękno. Do tego marmuru trzeba najlepszych. Zrób je z najwspanialszej stali.

- Rylce, ząbkowane dłuta i dłutka do precyzyjnej roboty. Potrafię je dla ciebie zrobić. Jest tu mnóstwo młotków, z których możesz korzystać.

- Potrzebne mi też skrobaki o najrozmaitszych kształtach. I gładzaki. Proste, wygięte, najróżniejsze, najdelikatniejsze. Chciałbym też, żebyś mi zdobył pumeks: biały, o drobnoziarnistej, zwartej strukturze. O takich samych kształtach jak skrobaki i gładzaki. I sporą ilość sproszkowanego pumeksu.

Victor szeroko otworzył oczy. Kowal pochodził ze stron, gdzie kiedyś tak rzeźbiono. Dobrze wiedział, co Richard zamierza.

- Chcesz zamienić marmur w ciało?

- Tak.

- Wiesz, jak to zrobić?

Richard wiedział - z posągów widzianych w D'Harze i w Aydindril, z tego, co mu powiedzieli niektórzy rzeźbiarze, i z własnych prób przy pracy nad pałacem Ładu - że jeśli odpowiednio wyrzeźbi się marmur wysokiej klasy, a potem wygładzi go i wypoleruje do połysku, to wchłonie on światło i wypromieniuje je, pozornie tracąc przy tym swoją twardość, miękając... jakby zmieniał się w ciało. Jeżeli wykonało się to odpowiednio, marmur zdawał się ożywać.

- Widziałem to wcześniej, Victorze. Rzeźbiłem już. Nauczyłem się, jak to zrobić. Całymi miesiącami o tym rozmyślałem. Ten pomysł zaprzęta moje myśli, od kiedy zacząłem dla nich rzeźbić. Wykorzystywałem pracę dla Ładu, żeby coraz wprawniej stosować to, co widziałem, czego się nauczyłem, co sam wymyśliłem. Nawet przedtem, kiedy mnie przepytawali... rozmyślałem o tym marmurze, o ukrytym w nim posągu, żeby trzymać umysł z dala od tego, co mi robili.

- Chcesz powiedzieć, że pozwoliło ci to znieść ich tortury?

Richard potaknął.

- Potrafię tego dokonać, Victorze. - Uniósł pięść na znak zdecydowania. - Zamienić kamień w ciało. Ale muszę mieć odpowiednie narzędzia.

Kowal zabrzączał trzymanym w garści złotem.

- Zgoda. Zrobię narzędzia odpowiednie do tego, co zamierzasz. To właśnie umiem. Nie potrafię rzeźbić, ale to będzie mój wkład, to, co mogę zrobić, żeby wydobyć piękno z kamienia.

Richard i Victor uściskiem dłoni przypieczętowali umowę.

- Ale jest coś, o co chciałbym cię poprosić. Pewna przysługa.

Kowal wybuchnął grzmiącym śmiechem.

- Muszę cię karmić lardo, żebyś miał siłę rzeźbić ten szlachetny marmur?

- Lardo nigdy bym nie odmówił - uśmiechnął się chłopak.

- Cóż to więc jest? - spytał kowal. - Co to za przysługa?

Palce Richarda czule dotknęły marmuru. Jego marmuru.

- Nikt tego nie może zobaczyć, dopóki nie skończę. Ty również. Chciałbym mieć płócienną zasłonę na posąg. Chciałbym cię prosić, żebyś nie patrzył na to, dopóki nie skończę.

- Dlaczego?

- Bo chcę, żeby to było wyłącznie moje, póki będę rzeźbić. Muszę być sam z powstającym posągiem. Kiedy skończę, oddam go światu, ale dopóki będę nad nim pracować, musi być tylko mój. Pragnę, by nikt go nie widział, póki nie skończę. Przede wszystkim jednak nie chcę, żebyś go zobaczył, bo nie życzę sobie, żebyś był w to wplątany, jeśli coś się nie powiedzie. Nie chcę, żebyś wiedział, co robię. Jeśli go nie zobaczysz, nie pochowają cię w niebie za to, że im nie powiedziałaś.

Victor wzruszył ramionami.

- Skoro sobie tego życzysz, tak będzie. Powiem robotnikom, że pomieszczenie na tyłach jest wynajęte i że nie wolno tam wchodzić. Założę zamek w wewnętrznych drzwiach. Na zewnętrzne, dwuskrzydłowe, założę łańcuch i dam ci klucz.

- Dziękuję. Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Kiedy chcesz mieć dłuta?

- Najpierw potrzebny mi gruby rylec, żeby wszystko naszkicować. Zdasz do wieczoru? Muszę już zacząć. Nie mam dużo czasu.

Kowal zamaszystym gestem zbył niepokój Richarda.

- Gruby rylec to drobnostka. Zrobię go bardzo szybko. Będzie gotowy, kiedy wrócisz z tamtej roboty, od tych paskudztw. A dłuta przygotuję dużo wcześniej, niż ich będziesz potrzebować do rzeźbienia piękna.

- Dziękuję, Victorze.

- Co to za „dziękuję” i „dziękuję”? To interes. Zapłaciłeś mi z góry: rzetelna wymiana między uczciwymi ludźmi. Nawet nie wiesz, jak wspaniale jest mieć innego klienta niż Ład. - Kowal podrapał się w głowę i spoważniał. - A nie będą chcieli zobaczyć twojej roboty, Richardzie? Mogą zechcieć sprawdzić, jak ci idzie z ich rzeźbą.

- Nie wydaje mi się. Wierzą w moje umiejętności. Dali mi model do powiększenia. Już go zatwierdzili. Zapowiedzieli, że od tego zależy moje życie. Neal z zachwytem opowiedział mi, jak to rozkazał, żeby torturowano i zabito tamtych rzeźbiarzy. Chciał mnie przestraszyć. Wątpię, czy się jeszcze będą nad tym zastanawiać.

- A jeżeli jakiś Brat przyjdzie i zechce to zobaczyć?

- To będę musiał mu owinać wokół szyi żelazną sztabę i pozwolić, żeby się marynował w solance.

## ROZDZIAŁ 60

Richard dotknął rylcem czoła, podobnie jak przedtem robił to Mieczem Prawdy. Bo to też była walka. Na śmierć i życie.

- Nie zawieźdź mnie, ostrze - wyszeptał.

Rylec miał ośmiokątny uchwyt, żeby łatwiej go było zaciskać w spoczonej dłoni. Victor zrobił mu odpowiedni, gruby, stępiony czubek. Na jednej ze ścianek umieścił swoje inicjały - „VC” - ogłaszając tym dumnie, że jest twórcą narzędzia.

Takie ciężkie dłuto pomoże łupać kamień i szybko usunie nadmiar tworzywa. Był to oręż, który mógł narobić wiele szkód, niszcząc strukturę marmuru na trzy palce w głąb. A nieopatrzne uderzenie w nie zauważoną skazę mogło roztrzaskać cały blok.

Cieńsze ostrza wchodziłyby płycej, ale usuwałyby mniej materiału. Richard wiedział, że nawet najdelikatniejszymi dłutkami nie może dotrzeć do ostatniej warstwy tworzywa, że wolno mu się zbliżyć tylko na pół palca. Pozostawiana przez ostrze sieć pajęczych pęknięć naruszała krystaliczną strukturę marmuru. Tak uszkodzony kamień tracił własności przepuszczania światła i nie można go już było wypolerować.

Żeby zmienić marmur w ciało, należy niezmiernie ostrożnie zbliżać się do ostatnich warstw i nie można uszkodzić ich żadnym narzędziem.

Kiedy ciężkie dłuto usunie większość zbędnego tworzywa, delikatniejsze dłuta pozwolą zbliżyć się do celu, precyzyjniej nakreślić kształty. Kiedy dotrze na pół palca od ostatniej warstwy, wykorzysta ząbkowane dłuta, którymi będzie zdrapywał tworzywo, nie niszcząc struktury marmuru. Grubsze ząbki usuną większość kamienia, pozostawiając chropowate wgłębienia. Będzie używał dłut o coraz delikatniejszych ząbkach. Na koniec weźmie gładko zakończone dłutka, niektóre szerokie ledwie na pół małego palca.

Tam, na placu budowy, gdzie kuł sceny do fryzu, rzeźbiarze na tym kończyli. Pozostawiało to brzydkią powierzchnię, niezdarną i chropowatą, nadając ciału drewniany wygląd, bez zaznaczenia mięśni czy kości. Odzierało to postaci z rzeźb z ich człowieczeństwa.

W wypadku tego posągu Richard tak naprawdę dopiero zacznie tam,

gdzie rzeźbienie dla Ładu się kończyło. Posłuży się skrobakami, żeby zaznaczyć kości, mięśnie, a nawet żyły na ramionach. Delikatne gładzaki usuną ślady zostawione przez skrobaki i wyczyszczą najsubtelniejsze kontury. Pumeks usunie ślady gładzenia, przygotowując powierzchnię do polerowania pumekсовą papką zawiniętą w skórę, płótno i na koniec w słomę.

Jeśli wszystko zrobi jak należy, urzeczywistni w marmurze swoją wizję. Kamień przemieniony w ciało. Szlachetność.

Richard, przyciskając ciężkie dłuto kciukiem do wnętrza dłoni, dotknął marmuru, poczuł chłód jego powierzchni. Wiedział, co było w środku - nie tylko w kamieniu, ale i w nim.

Nie miał żadnych wątpliwości; było jedynie oczekiwanie przyspieszające rytm serca.

Chłopak, jak często to robił, myślał o Kahlan. Minął już prawie rok od chwili, kiedy patrzył w jej zielone oczy, dotykał jej policzka, trzymał ją w ramionach. Już dawno opuściła ich bezpieczną chatę i wystawiała się na niebezpieczeństwa, które sobie żywo wyobrażał. Przez chwilę przygniatała go rozpacz, dławiał smutek niezmiernej tęsknoty za nią, przytłaczał ogrom miłości do niej. Wiedział, że musi usunąć ją z myśli, by móc się całkowicie poświęcić swojemu zadaniu. Więc tak jak zwykle życzył Kahlan w myślach dobrej nocy.

Potem przyłożył szpic pod kątem ostrym do powierzchni marmuru i potężnie zamachnął się stalowym pobijakiem. Trysnęły odłamki kamienia.

Oddychał głębiej i szybciej. Zaczęło się.

Richard gwałtownie atakował marmur.

Zatracił się w pracy; w blasku zostawionych przez Victora lamp zsyłał deszcz uderzeń. Ostre odłamki marmuru odbijały się od drewnianych ścian i kłuły, kiedy trafiały chłopaka w ramiona lub tors. Odłupywał zbędne tworzywo, doskonale wiedząc, co chce osiągnąć.

W uszach huczały mu uderzenia stali o stal i stali o kamień. To była muzyka. Odpadały odłamy i odłamki o ostrych brzegach. Były powalonymi wrogami. W powietrzu kłębił się biały bitewny pył.

Richard dokładnie wiedział, co chce osiągnąć. Wiedział, co i jak należy zrobić. Miał jasny cel, wyraźnie wytkniętą linię postępowania. Kiedy to się zaczęło, zatracił się w pracy.

Pył kłębił się wokół niego i w końcu jego ciemna odzież stała się biała, jak gdyby kamień go wchłaniał, jak gdyby chłopak się wraz z nim przekształcał - aż stali się jednością. Ocierały się o niego odpadające ostre odłamki. Nagie ramiona chłopaka, równie białe jak marmur, wkrótce splamiła krew przelana w walce.

Od czasu do czasu otwierał dwuskrzydłowe drzwi i wymiatał sięgający kostek gruz. Białe kawałki staczały się ze wzgórza, dźwięcząc jak mnóstwo małych dzwoneczków. Oblepiający Richarda biały pył znaczyły ciemne strumyczki potu i czerwone zadrapania. Chłodne powietrze mile odświeżało wilgotną skórę. Ale raz-dwa zatrzaskiwał drzwi przed nocą i przed światem; chciał zostać sam.

Po raz pierwszy od niemal roku czuł się wolny. Tu nad wszystkim panował. Nikt go nie obserwował. Nikt mu nie mówił, co powinien robić.

To był jego osobisty zamysł, w którym dążył do osiągnięcia doskonałości. Nie było żadnych okowów, żadnych ograniczeń, niczyich żądań, przed którymi musiałby się ugiąć. W owej walce o doskonałość był absolutnie wolny.

To, co zamierzył, będzie całkowicie przeciwne wszystkiemu, co reprezentował Ład. Richard zamierzał ukazać im życie.

Wiedział, że Bracia skazą go na śmierć, kiedy zobaczą posąg.

Z każdym uderzeniem leciał deszcz marmurowych odłamków, z każdym uderzeniem był bliżej celu. Musiał stanąć na drewnianym taborecie, żeby dosięgnąć szczytu bloku; przesuwał taboret wokół monolitu, obrabiając wszystkie płaszczyzny, zwężając kamień do tego, czym się miał stać.

Richard uderzał metalowym pobijakiem z bitewną furią. Dłoń, w której trzymał dłuto, bolała od drgań wywołanych ciosami. Ale atak, choć gwałtowny, był w pełni kontrolowany. Do wstępnej obróbki dobry byłby trzymający młot zwany ciosakiem. Szybciej usuwał zbędne tworzywo niż ciężkie dłuto, ale Richard obawiał się - ze względu na skazę - uderzać aż tak mocno. Początkowo blok usztywniała sama jego masa, jednak chłopak i tak uważał, że trzymający młot jest zbyt niebezpieczny dla tego szczególnego marmuru.

Richard chciał, żeby Victor zrobił mu wiertła do wiertaka. Kiedy uchwyt wiertła okręci się linką, można mu nadać ruch wirowy i przeborować marmur. Chłopak bardzo długo rozmyślał nad skazą w bloku. Postanowił

odciąć z owego miejsca jak najwięcej kamienia. Najpierw, żeby zapobiec ewentualnym pęknięciom, wyboruje otwory w rysie, co zlikwiduje przeciążenia. Kolejną serią umieszczonych blisko siebie otworów osłabi kamień na dużym obszarze wokół skazy i większość usunie.

Będą to dwie postaci: mężczyzna i kobieta. Przestrzeń między nimi wypadnie w miejscu, z którego Richard usunął najbardziej osłabiony skazą materiał. Kiedy wytnie najsłabsze partie bloku, reszta będzie na tyle mocna, by wytrzymać naprężenia powstające przy obróbce. Ponieważ skaza zaczynała się u podstawy, nie mógł usunąć jej całej - musiał zmniejszyć ją tak, by nie stanowiła większego problemu. Na tym właśnie polegał sekret tego bloku marmuru: wyeliminować słaby punkt, a potem pracować w mocnym tworzywie.

Richard uważał, że to pomyślna skaza: przede wszystkim dlatego, że zmniejszyła wartość monolitu i Victor mógł go kupić. A dla niego samego - bo kazała mu myśleć o tym bloku i o tym, jak go wyrzeźbić. Dzięki temu powstał cały projekt. Bez tej skazy mógłby powziąć zupełnie inny zamysł.

Chłopak pracował, pełen bitewnego zapału, gnany bojową zawziętością. Marmur stał pomiędzy nim a tym, co chciał rzeźbić, i Richard pragnął usunąć nadmiar tworzywa, by zabrać się do postaci. Oddzielił się duży fragment zbędnego materiału, zaczął się osuwać - najpierw powoli, potem runął w dół. Tryskały odłamy i odłamki, grzebiąc tego powalonego wroga.

Jeszcze kilka razy musiał otwierać drzwi i wymiatać rumowisko. Obserwowanie, jak z nieregularnego bloku wyłaniają się kształty, dodawało mu sił. Postaci wciąż jeszcze tkwiły w kamieniu; ramiona i nogi wciąż jeszcze miały uwięzione, ale już zaczynały się wynurzać. Będzie musiał ostrożnie wiercić otwory, żeby nie odłamać ramion.

Richard ze zdumieniem stwierdził, że przez świetlik w suficie wpada światło. Nawet nie wiedział, że pracował całą noc.

Cofnął się i przyjrzał posągowi mającemu teraz stożkowaty kształt. W miejscu ramion były jeszcze bryły. Chciał, żeby ich ramiona wznosiły się swobodnie, a ciała wyrażały wdzięk i ruch. Życie. To, co rzeźbił dla Ładu, nigdy nie było swobodne, zawsze mocno spojone z kamieniem, zawsze sztywne, niezdolne do wykonania ruchu - niczym zwłoki.

Zniknęła połowa tego, co stało tutaj wieczorem. Richard bardzo chciał zostać i dalej pracować, wiedział jednak, że nie może. Wziął z kąta



przygotowane przez Victora płótno i okrył posąg.

Energicznie otworzył drzwi i biały pył wydobył się na zewnątrz. Victor siedział wśród odłamków swojego monolitu.

Kował zamrugał ze zdumienia.

- Byłeś tu całą noc, Richardzie?

- Na to wygląda.

Victor uśmiechnął się, wskazał na pomieszczenie.

- Wyglądasz jak dobry duch. Jak walka z marmurem?

Chłopak nie potrafił znaleźć słów. Mógł się tylko rozpromienić z radości. Victor wybuchnął swoim grzmiącym śmiechem.

- Twoja twarz wszystko zdradza. Musisz być zmęczony i głodny. Chodź. Usiądź i odpocznij, zjedź trochę lardo.

Nicci usłyszała, jak Kamil i Nabbi głośno pozdrawiają nadchodzącego ulicą Richarda, a potem dotarł do niej ich tupot, kiedy zbiegali z frontowych schodów. Wyjrzała przez okno i w gasnącym świetle zmierzchu zobaczyła, jak spotykają się z Richardem. I ona cieszyła się, że tak wcześnie wracał do domu.

Przez ostatnie tygodnie, od kiedy podjął obowiązek wyrzeźbienia posągu dla Brata Nareva, Nicci prawie w ogóle nie widywała Richarda. Nie potrafiła pojąć, jak mógł ścierpieć tworzenie posągu, który był dlań męczarnią - nie tyle ze względu na swoje rozmiary, ile ze względu na charakter.

A Richard wydawał się pełen animuszu. Często po całym dniu pracy nad umoralniającymi scenami na fasadę pałacu do późna w nocy rzeźbił posąg na plac przed głównym wejściem. Choć musiał być bardzo zmęczony, gdy wracał do domu, niekiedy chodził tam i z powrotem po pokoju. W niektóre noce przesypiał zaledwie parę godzin, po czym wstawał i szedł rzeźbić posąg, nim zaczynała się dniówka na budowie. Kilka razy pracował całą noc.

Richard tryskał energią. Nicci nie pojmowała, jak on to robił. Czasem przychodził coś zjeść, spał godzinę i wracał do pracy. Nakłaniała go, żeby został i spał, ale on mówił, że musi odpokutować swój występki, bo inaczej znów zamkną go w lochu. Nicci też się tego bała, więc nie nalegała, żeby zostawał w domu i spał. Lepiej, by tracił sen niż życie.

Zawsze był muskularny i silny, od kiedy jednak przybył do Starego Świata, jego mięśnie nie miały ni grama zbędnego tłuszczu. Praca przy ładowaniu żelaza, a teraz przy przesuwaniu bloków marmuru i rzeźbieniu

jeszcze bardziej wzmocniła i rozwinęła jego muskulaturę. Kiedy szedł na tyły domu i zdejmował koszulę, by wodą z balii spłukać z siebie kamienny pył, Nicci na jego widok miękły kolana.

Usłyszała zbliżające się korytarzem kroki i podekscytowane głosy Kamila i Nabbiego, którzy się o coś dopytywali. Nie rozumiała odpowiedzi Richarda, ale łatwo rozpoznała tembr jego głosu.

Chociaż był tak zmęczony i tak długo zostawał w pracy, zawsze znajdował czas, żeby porozmawiać z Kamilem i Nabbim oraz z mieszkańcami domu. Bez wątpienia szedł teraz, żeby udzielić obu młodzieńcom porad co do ich rzeźbienia. Przez cały dzień kręcili się wokół domu, sprzątając i dbając o wszystko. Przekopywali ziemię w ogrodzie, dodając kompostu, kiedy już był gotowy. Kobiety doceniały to, że wykonywali za nie ciężkie prace ziemne. Myli, malowali i naprawiali wszystko w nadziei, że Richard pochwali to i nauczy ich nowych rzeczy. Zawsze proponowali Nicci pomoc we wszelkich pracach - w końcu była żoną Richarda.

Richard wszedł, kiedy Nicci stała przy stole, krojąc do garnka marchew i cebule. Padł na krzesło stojące po drugiej stronie stołu. Wydawał się wyczerpany całodzienną pracą - i wcześniejszymi godzinami spędzonymi przy posągu.

- Przyszedłem coś zjeść. Muszę wracać i pracować nad posągiem.

- To jest do jutrzejszego gulaszu. Dziś ugotowałam trochę zupy z prosa.

- Jest jeszcze coś do tego?

Potrząsnęła głową.

- Dziś wystarczyło mi pieniędzy tylko na proso.

Skinął głową, nie narzekał.

Choć był tak wyczerpany, w jego oczach było coś szczególnego, jakaś wewnętrzna pasja, która sprawiła, że Nicci gwałtownie zabiło serce. To, co dostrzegła w nim już w pierwszej chwili, spotężniało od owej nocy, kiedy to o mało nie wbiła mu noża w serce.

- Jutro będziemy mieć gulasz - powiedziała; jego szare oczy wpatrywały się w coś, co tylko one widziały. - Z ogrodu.

Postawiła przed Richardem drewnianą miseczkę, wzięła garnek i nałożyła mu do pełna papki z prosa. Dla niej zostało niewiele, ale on bardziej tego potrzebował. Cały ranek stała w kolejce po proso, a całe popołudnie

wybierała zeń robaki. Niektóre kobiety rozgotowywały to wszystko na jednolitą papkę. Ale Nicci nie chciała tak karmić Richarda.

Stała przy stole i kroїła marchew, ale w końcu nie zdołała się powstrzymać.

- Richardzie, chciałabym pójść z tobą i zobaczyć posąg, który rzeźbisz dla Ładu.

Milczał, póki nie przełknął stawy. Kiedy się ostatecznie odezwał, w jego głosie był ton pasujący do owego szczególnego wyrazu oczu.

- Chcę, żebyś zobaczyła ten posąg, Nicci. Żeby wszyscy go zobaczyli. Ale dopiero wtedy, gdy go skończę.

- Dlaczego?

Mieszał łyżką w miseczce.

- Mogłabyś spełnić to życzenie, Nicci? Pozwól mi skończyć i wtedy zobaczysz rzeźbę.

Serce Nicci tłukło się jak szalone. To było dla niego ważne.

- Nie rzeźbisz tego, co ci kazali, prawda?

Richard uniósł głowę, spojrzał jej w oczy.

- Nie. Rzeźbię to, co pragnę wyrzeźbić, co ludzie powinni zobaczyć.

Nicci przełknęła ślinę. Wiedziała: to było to, na co czekała. Gotów był się poddać, potem wybrał życie, a teraz gotów był za to umrzeć.

Skinęła głową, odwracając wzrok, bo nie mogła patrzeć w jego szare oczy.

- Zaczekam, aż skończysz.

Teraz wiedziała, dlaczego ostatnio działał jak pod przymusem. Czuła, że było z tym związane owo „coś”, co błyskało w oczach jej ojca i płonęło w oczach Richarda. Sama myśl o tym upajała ją.

Pod wieloma względami była to sprawa życia lub śmierci.

- Jesteś całkowicie pewny, Richardzie?

- Tak.

Znów skinęła głową.

- Dobrze, spełnię twoje życzenie.

Następnego dnia Nicci wstała wcześniej, by kupić chleb. Chciała, żeby Richard miał chleb do gulaszu, który gotowała. Kamil zaproponował, że pójdzie za nią, ale chciała wyjść z domu. Poprosiła Kamila, żeby pilnował gulaszu, który powoli dusił się na wolnym ogniu.

To był pochmurny i chłodny dzień - zapowiedź szybko zbliżającej się zimy. Ulice były zatłoczone ludźmi szukającymi pracy, wózkami wożącymi wszystko: od gnoju po sztuki grubego, ciemnego materiału oraz wozami przewożącymi głównie materiały budowlane dla pałacu. Musiała iść ostrożnie, żeby nie wdepnąć w łajno, i przeciskać się wśród tych wszystkich ludzi, którzy poruszali się równie wolno, jak ciecz w otwartych ściekach.

Na ulicach było pełno biedaków; wielu bez wątpienia przybyło do Altur'Rang w poszukiwaniu pracy, chociaż w siedzibie związku robotników znajdowało się mało osób. Kolejki przed piekarniami były długie. Ład zadbał wreszcie o to, żeby ludzie dostawali chleb, choć był bury i twardy. Ale trzeba było wcześniej wstawać, żeby go dostać. Ludzi wciąż przybywało, więc sklepy co tydzień wcześniej go wyprzedawały.

Krążyły pogłoski, że kiedyś będą mogli dostarczać więcej rodzajów chleba. Nicci miała nadzieję, że może dziś będą mieli trochę masła. Bo czasami sprzedawali masło. Chleb i masło były tanie, więc mogła kupić trochę Richardowi, o ile je mieli. Ale masła prawie nigdy nie było.

Nicci przez sto osiemdziesiąt lat starała się pomagać ludziom, a nie wyglądało na to, żeby im było choć trochę lepiej. Za to tym w Nowym Świecie nieźle się wiodło. Pewnego dnia, kiedy Ład będzie władał światem i bogatsi będą musieli pomagać bliźnim, wszystko wreszcie odpowiednio się ułoży i wszyscy ludzie będą nareszcie żyć godnie. Ład już o to zadba.

Piekarnia znajdowała się u zbiegu dwóch ulic, więc kolejka skręcała za róg. Nicci stała za tym rogiem, wsparta o ścianę, i obserwowała spieszących obok ludzi, kiedy jej uwagę przyciągnęła dostrzeżona w tłumie twarz. Wyprostowała się, szeroko otworzyła oczy. Ledwo mogła uwierzyć w to, co widziała. Cóż ona robi w Altur'Rang? Nicci zakryła jasne włosy ciemną chustą i zawiązała ją ciasno pod brodą. Schowała się za rozłożystą kobietą i przylgnęła do ściany; wyglądała spomiędzy ludzi.

Obserwowała Siostrę Alessandrę, która z dumnie uniesioną głową badawczo przyglądała się wszystkim twarzom. Wyglądała jak górski lew na łowach.

Nicci wiedziała, na kogo poluje Alessandra.

W innych okolicznościach nadzwyczaj chętnie by się z nią spotkała, ale nie teraz.

Przylgnęła do nie heblowanych desek szalunku i kryła się za stojącymi

przed nią ludźmi, dopóki Siostra Alessandra nie zniknęła w ludzkim morzu przelewającym się ulicą.

## ROZDZIAŁ 61

Kahlan po raz ostatni wyjeżdżała z rodzinnego Aydindril; mocniej otuliła się peleryną z wilczych futer, chroniąc ciało przed ostrym wichrem. Przypomniła sobie, że ostatni raz widziała Richarda właśnie o tej porze roku - tuż przed nadejściem zimy. Światem wstrząsała nieustanna zawierucha, wrzała wojna - i myśli dziewczyny z konieczności były stale zaprzątnięte pilnymi bieżącymi sprawami. Niespodziewane wspomnienie o Richardzie było miłym - choć gorzkim - odpoczynkiem od wojennych trosk.

Zanim zjechała ze wzgórza, spojrzała raz jeszcze na widoczny na odległym stoku wspaniały Pałac Spowiedniczek. Ilekroć widziała olbrzymie białe marmurowe kolumny i rzędy wysokich okien, czuła, że to jej dom. Widok pałacu budził w innych ludziach respekt lub strach, ale Kahlan zawsze robiło się ciepło na sercu. Tam dorastała, z tym miejscem łączyło się wiele szczęśliwych wspomnień.

- To nie na zawsze, Kahlan.

Dziewczyna obejrzała się na Verne.

- Wiem.

Bardzo chciałyby w to wierzyć.

- Poza tym - uśmiechnęła się Verna - zabieramy ludzi Imperialnemu Ładowi, a o nich przecież nade wszystko im chodzi. Reszta to tylko kamień i drewno. A cóż znaczy kamień i drewno, jeśli ludzie są bezpieczni?

Choć Kahlan płakała z żalu, musiała się uśmiechnąć.

- Masz rację, Verno. Tak naprawdę tylko to się liczy. Dziękuję, że mi o tym przypomniłaś.

- Nie martw się, Matko Spowiedniczko - odezwała się Cara. - Berdine z resztą Mord-Sith i żołnierzami będzie czuwać nad ludźmi i przeprowadzi ich bezpiecznie do D'Hary.

Kahlan uśmiechnęła się szerzej.

- Chciałabym zobaczyć minę Jaganga, kiedy przywitają go duchy, gdy tu wreszcie dotrze przyszej wiosny.

Kończyła się pora odpowiednia na wojnę. Choć lato z Richardem w ich górskiej chacie było cudownym snem, lato nie kończącej się wojny było koszmarem. Walki były zaciekle, intensywne i krwawe. Czasami Kahlan

myślała, że i ona, i armia nie dadzą rady, że już po nich. I za każdym razem udawało się im przetrwać. Bywały chwile, kiedy radośnie powitałaby śmierć, byle tylko koszmar się skończył, byle już nie widzieć cierpiących i umierających ludzi, byle nie patrzeć na niszczenie drogocennego życia.

Armia Imperialnego Ładu miała miliony żołnierzy, zdawała się nie do pokonania, a mimo to siły imperium D'Hary zdołały na tyle opóźnić jej marsz, by wróg w tym roku nie zajął Aydindril. Stracili tysiące ludzi - ale kupili tym setkom tysięcy mieszkańców Aydindril i innych miast leżących na trasie Ładu czas potrzebny na ucieczkę.

Jesień dobiegała kresu, kiedy olbrzymia armia Imperialnego Ładu dotarła do rozległej doliny u zbiegu Kernu i jego dużego dopływu; ukształtowanie terenu, jego rozległość pozwalały na wygodne ulokowanie tu całego wojska. Nadciągała zima, a Jagang był za mądry na to, żeby się jej dać zaskoczyć. Rozbili więc obóz, skoro trafiła im się taka możliwość. Wojska d'harańskie zajęły pozycje obronne dalej na północ, zagradzając drogę do Aydindril.

Tak jak to przewidział Warren, armia Jaganga nie zdołała w tym roku połączyć stolicy. Imperator po raz kolejny dał dowód mądrej cierpliwości; wołał zachować siłę i żywotność wojsk, żeby potem, kiedy warunki na to pozwolą, móc odnosić zwycięstwa. Na krótszą metę dało to Kahlan i jej żołnierzom szansę wytchnienia, na dłuższą - przypieczętuje ich los.

Kahlan czuła ulgę na myśl, że choć Aydindril - według przepowiedni Warrena - padnie w przyszłym roku, nie stanie się to kosztem rzezi mieszkańców. Nie wiedziała, jakie trudy czekają uciekinierów w drodze do D'Hary, ale i tak było to lepsze niż niewola i rzeź, jakie by ich czekały w Aydindril. Wiedziała, że niektórzy nie zechcą odejść. W miastach leżących na szlaku marszu Ładu w głąb Midlandów część ludzi wierzyła w „Jaganga Sprawiedliwego”. Inni ufali, że bez względu na wszystko będą ich chronić dobre duchy albo i sam Stwórca. Kahlan zdawała sobie sprawę, że nie można ocalić wszystkich przed nimi samymi. Ci, którzy pragnęli żyć i chcieli słuchać rozsądku, mieli szansę. Ci, którzy dostrzegali tylko to, co chcieli zobaczyć, dostaną się pod władzę Ładu.

Kahlan dotknęła sterczącej zza ramienia rękojeści Miecza Prawdy. Takie dotknięcie dodawało jej otuchy. Pałac Spowiedniczek już nie był jej domem. Dom będzie zawsze tam, gdzie ona i Richard będą razem.

Walka była często tak zażarta, strach tak dotykający, że czasami przez wiele dni o nim nie myślała. Niekiedy musiała całą fizyczną i psychiczną siłę poświęcać na to, by przeżyć choć jeszcze jeden dzień.

Niektórzy żołnierze zdezerterowali, uznawszy, że w tej wojnie nie ma nadziei. Kahlan potrafiła zrozumieć ich odczucia. Kiedy tak cofali się w głąb Midlandów, mogli jedynie walczyć o własne życie z przytłaczającymi siłami wroga.

Galea padła. Z żadnego miasta nie docierały wieści, co mówiło samo za siebie.

Stracili również Kelton. Zdołało ujść wielu Keltończyków z Winstead, Penverro i innych miast. Większość keltońskiej armii wciąż była przy Kahlan, choć sporo żołnierzy w desperacji pospieszyło do ojczyzny.

Dziewczyna starała się nie myśleć o tym, co poszło źle, bo poddałaby się. Ocalili mnóstwo ludzi - usunęli ich z trasy Ładu. Przynajmniej na razie. Tyle tylko mogli zrobić.

Podczas długiego odwrotu na północ dziesiątki tysięcy żołnierzy sprzymierzonych wojsk straciły życie w zaciętych walkach. Ład utracił wielokrotnie więcej ludzi. Sama gorączka zabiła w pełni gorącego lata ćwierć miliona wrogów. Ale to niewiele dało; stale ich przybywało i toczyli się naprzód.

Kahlan przypominała sobie, co mówił jej Richard: że nie zdołają zwyciężyć, że Nowy Świat dostanie się pod władzę Ładu i że jeśli będą stawiać opór, doprowadzą tylko do większego rozlewu krwi. Zaczynała, choć niechętnie, rozumieć ów pesymistyczny punkt widzenia. Obawiała się, że jedynie skazuje ludzi na bezcelową śmierć. Ale rezygnacja wciąż jeszcze nie wchodziła dla niej w rachubę.

Dziewczyna spojrzała przez ramię - za długą kolumnę eskortujących ją żołnierzy, za drzewa, w górę stoku - na potężną ciemną sylwetkę Wieży Czarodzieja rysującą się nad Aydindril.

Zedd się tam znajdzie. Muszą oddać Imperialnemu Ładowi Aydindril, ale nie pozwolą, żeby Ład zajął też wieżę.

Dziesięć dni później, o zmierzchu, Kahlan wraz z towarzyszami wróciła do obozu D'Harańczyków. Od pierwszej chwili było jasne, że coś się działo. Przez obóz biegli żołnierze z dobytymi mieczami. Inni spieszyli na umocnienia z pikami i włóczniami. Biegący na posterunki wkładali



kolczugi i skórzane pancerze. Była to scena pełna napięcia, ale Kahlan widywała ją tak często, że stała się dla niej czymś zwyczajnym.

- Ciekawa jestem, co się dzieje - rzekła chmurnie Verna. - Wcale by mi się nie spodobało, gdyby Jagang zepsuł mi kolację.

Kahlan nagle poczuła się obnażona bez swojego skózanego pancerza. Podczas długich konnych podróży było w nim niewygodnie, więc - skoro jechali przez przyjazne terytorium - przytroczyła go do siodła. Zsiadły z koni i Cara przysunęła się bliżej. Podały wodze żołnierzom, którzy otoczyli je ochronnym kręgiem.

Dziewczyna nie mogła sobie przypomnieć, jakie barwy miały znakować namioty dowództwa. Nie pamiętała, jak długo jej tu nie było. Chyba ponad miesiąc. Dotknęła ramienia oficera stojącego wśród otaczających ją żołnierzy.

- Gdzie dowódco?

- Tędy, Matko Spowiedniczko. - Wskazał drogę mieczem.

- Wiesz, co się dzieje?

- Nie, Matko Spowiedniczko. Zabrział alarm. Kiedy spieszyła tędy Siostra, usłyszałem od niej, że jest prawdziwy.

- Wiesz, gdzie są moje Siostry lub Warren? - spytała go Verna.

- Wszędzie dokoła widziałem biegnące Siostry, Ksieni. Nie widziałem czarodzieja Warrena.

Mrok gęstniał, tylko ogniska wytyczały im drogę. Jednakże większość ognisk zgaszono po alarmie i obóz stawał się czarnym labiryntem.

Mijali ich konni D'Harańczycy gnający na patrol. Piesi żołnierze wybiegali z obozu na zwiady. Nikt nie wiedział, skąd nadciąga zagrożenie, ale nie było w tym nic dziwnego. Ataki - częste i urozmaicone - były zazwyczaj dezorientujące i na dodatek niosły strach.

Ponad godzinę trwało, zanim Kahlan, Cara, Verna i ochronny pierścień żołnierzy dotarli przez rozległy obóz do oficerskich namiotów. Jednak nie było tu żadnego oficera.

- Takie szukanie na oślep nie ma sensu - mruknęła Kahlan; odnalazła swój namiot ze stojącą na stoliku „Potęgą ducha” i wrzuciła do środka juki oraz pancerz. - Zaczekajmy tutaj, aż nas odnajdą.

- Zgoda - oznajmiła Verna.

Spowiedniczka dała znak żołnierzom, którzy otoczyli ją obronnym

pierścieniem.

- Rozproście się i odnajdźcie oficerów. Powiedzcie im, że Matka Spowiedniczka i Ksieni są w namiotach dowództwa. Zaczekamy tutaj na meldunki.

- Powiedzcie każdej Siostrze, którą zobaczycie - dodała Verna. - A jeżeli zobaczycie i Warrena lub Zedda, im też powiedzcie, że wróciłyśmy.

Żołnierze rozbiegli się w noc, żeby wykonać rozkazy.

- Nie podoba mi się to - mruknęła Cara.

- Mnie też - powiedziała Kahlan, wracając do swojego namiotu.

Cara stała na straży z żołnierzami, a Kahlan zdjęła futrzaną pelerynę i włożyła skórzany pancerz. Tak wiele razy ocalił ją przed ranami, że nie wstydziła się go nosić. Wystarczyło, by jeden człowiek prześliznął się w jej pobliże i pchnął ją mieczem, a byłoby po wszystkim. Gdyby miała szczęście i raniliby ją w nogę lub w brzuch, któraś z Sióstr mogłaby ją uzdrowić, ale były i takie rany - w serce, w głowę, w którąś z głównych tętnic, kiedy upływ krwi był zbyt szybki - których nawet ci z darem nie mogli uleczyć.

Skórzany pancerz był niezwykle twardy i choć nie mógł zatrzymać kling, włóczni czy strzał, zapewniał znakomitą ochronę i niezbędną do walki swobodę ruchów. Pchnięcie mieczem musiałoby być niezwykle celne, każde inne ześliznęłoby się po skórze, nie czyniąc jej szkody. Wielu żołnierzy nosiło kolczugi zapewniające lepszą ochronę, ale były one zbyt ciężkie dla Kahlan. W walce szybkość i zwinność zapewniały życie.

Dziewczyna była zbyt mądra, by niepotrzebnie ryzykować życie. Dla ich sprawy była o wiele cenniejsza jako wódz niż jako wojownik. Ale choć rzadko wyruszała do walki, walka często ją odnajdywała.

Wreszcie zjawił się sierżant z meldunkiem.

- Asasyni - powiedział jedno słowo.

I to jedno przerażające słowo wystarczyło. Tego się domyślała i to wyjaśniało stan obozu.

- Jakie straty w ludziach? - spytała Kahlan.

- Na pewno wiem tylko tyle, że jeden zaatakował kapitana Zimmera. Kapitan jadł przy ognisku ze swoimi żołnierzami. Zdołał uniknąć morderczego ciosu, ale został paskudnie raniony w nogę. Stracił mnóstwo krwi. Chirurdzy się nim zajmują.

- A co z asasynem? - spytała Verna.

Pytanie najwyraźniej zdziwiło sierżanta.

- Kapitan Zimmer zabił asasyna. - Skrzywił się z niesmakiem na myśl o tym, co musiał powiedzieć. - Asasyn był w d'harańskim mundurze. Nie zauważony przeszedł przez obóz, aż znalazł swój cel, kapitana Zimmera, i zaatakował.

Verna westchnęła z z troskaniem.

- Może któraś z Sióstr pomogłaby kapitanowi.

Kahlan skinieniem głowy odprawiła sierżanta. Zasalutował, przykładając pięść do serca, i pospieszył do swoich obowiązków.

A wtedy Kahlan dostrzegła zbliżającego się Zedda, Przód szaty czarodzieja był wilgotny i ciemny - bez wątpienia od krwi. Łzy płynęły po twarzy Zedda. Dziewczyna dostała gęsiej skórki.

Verna zachłysnęła się oddechem, kiedy Zedd na krótko się zatrzymał, gdy ją zobaczył, a potem pospieszył ku nim. Chwyciła ramię Kahlan.

Czarodziej ujął dłoń Verny. Powiedział jedynie:

- Szybko.

Więcej nie musiał mówić; wszyscy zrozumieli.

Verna, ciągnięta przez starego czarodzieja, krzyknęła żałośnie. Kahlan i Cara biegly z tyłu, a Zedd prowadził je krętym szlakiem wśród krzyczących żołnierzy, galopujących koni, pędzących w różnych kierunkach sformowanych oddziałów i przyjmujących apel dowódców jednostek.

Apel był niezbędny, skoro asasyni mieli d'harańskie mundury, co pozwalało im podkradać się do ofiar. Należało sprawdzić wszystkich żołnierzy, by oddzielić obcych. Było to trudne i żmudne, ale konieczne.

Dotarli do krzątany wokół namiotów, w których opatrywano rannych. Jedni żołnierze wykrzykiwali rozkazy, inni przynosili rannych krzyczących z bólu lub nieprzytomnych, których bezwładne ramiona wlokły się po ziemi. W każdym namiocie mogło się pomieścić od dziesięciu do dwunastu żołnierzy.

Panika wzięła górę nad zwykłym opanowaniem Verny. Zedd ujął ją za ramiona, zatrzymał. Głos miał zdławiony z emocji.

- Jakiś człowiek pchnął Holly. Warren był w pobliżu i próbował ocalić dziewczynkę. Przysięgam na duszę zmarłej żony, Verno... zrobiłem, co mogłem. Wybaczcie mi, drogie duchy, ale to ja muszę ci powiedzieć... nie potrafię już mu pomóc. Pytał o ciebie i o Kahlan.

Kahlan stała nieruchomo, serce podeszło jej do gardła; poczuła na plecach rękę Zedda nakazującą pośpiech. Poszła za niknącą w namiocie Verną.

W drugim końcu namiotu leżało sześciu martwych żołnierzy przykrytych kocami. Tu i ówdzie spod przykrycia wystawała okrwawiona dłoń. Jednemu ze zmarłych brakowało buta. Kahlan wpatrywała się w to, nie mogąc myśleć, nie mogąc pojąć, jak ów żołnierz stracił but. To było takie głupie - umrzeć i stracić but. Tragedia i komedia pod jednym całunem.

Warren leżał na plecach na położonym na ziemi sienniku. Po jednej stronie pochylała się nad nim wysoka Siostra Philippa, trzymając młodego czarodzieja za rękę. Po drugiej tkwiła Siostra Phoebe i trzymała go za drugą dłoń. Obie kobiety uniosły zalane łzami twarze i zobaczyły Vernę.

- To Verna, Warrenie - odezwała się Siostra Philippa. - Jest tutaj. Kahlan też.

Obie Siostry prędko ustąpiły miejsca Vernie i Kahlan. Zasłoniły usta, tłumiąc szloch, i wybiegły z namiotu.

Warren był tak biały jak leżący w pobliżu stos czystych bandaży. Oczy miał szeroko otwarte, wpatrzone w górę... jakby już nic nie widział. Faliste jasne włosy sklejał mu pot. Szaty były przesiąknięte krwią.

- Warrenie - załkała Verna. - Och, Warrenie.

- Verna? Kahlan? - wyszeptał z trudem.

- Tak, kochanie. - Verna całowała jego dłoń.

- I ja tu jestem, Warrenie - Kahlan uścisnęła drugą bezwładną rękę.

- Musiałem wytrwać. Aż przyjdziecie. Żeby wam powiedzieć.

- Co powiedzieć, Warrenie? - spytała Verna przez łzy.

- Kahlan... - wyszeptał.

Nachyliła się nad nim.

- Jestem, Warrenie. Staraj się nie mówić, po prostu...

- Wysłuchaj mnie.

- Słucham, Warrenie. - Dziewczyna przytuliła jego dłoń do policzka.

- Richard ma rację. Ta jego wizja. Musiałem ci powiedzieć.

Kahlan nie wiedziała, co odpowiedzieć. Uśmiech rozjaśnił poszarzałą twarz.

- Verno...

- Słucham, kochanie?

- Kocham cię. Zawsze kochałem.

Ksieni ledwie mogła mówić przez dławiące ją łzy.

- Nie umieraj, Warrenie. Nie umieraj. Błagam cię, nie umieraj.

- Pocałuj mnie - wyszeptał czarodziej - póki jeszcze żyję. I nie opłakuj końca, ale pomyśl, jakie piękne życie mieliśmy. Pocałuj mnie, moja miłości.

Verna pochyliła się nad nim, dotknęła wargami jego ust, pocałowała go delikatnie i czule; jej łzy kapały na twarz Warrena.

Kahlan nie mogła na to patrzeć; wyszła chwiejnie z namiotu wprost w czekające na nią, niosące pociechę ramiona Zedda. Ukryła w nich swój szloch.

- Co my robimy? - łkała. - Po co to wszystko? Co osiągamy? Tylko wszystko tracimy.

Zedd nie znalazł słów, by ukoić jej płacz nad daremnością ich działań.

Wlokły się minuty. Kahlan zmusiła się, by znaleźć siły i być Matką Spowiedniczką. Nie mogła pozwolić, żeby żołnierze widzieli jej słabość.

W pobliżu stali milczący gwardziści; nie chcieli patrzeć w kierunku namiotu, w którym umierał Warren.

Kiedy z mroku wynurzył się generał Meiffert, na twarzy Cary odmalowała się wyraźna ulga. Podszedł do niej pospiesznie, ale nie dotknął jej.

- Rad jestem, że bezpiecznie wróciłaś - powiedział do Kahlan. - Jak Warren?

Kahlan nie mogła mówić. Zedd potrząsnął głową.

- Nie sądziłem, że pożyje tak długo. Myślę, że wytrzymał, żeby zobaczyć żonę.

Generał ze smutkiem skinął głową.

- Złapaliśmy człowieka, który to zrobił.

Kahlan natychmiast się tym zainteresowała.

- Przeprowadź go! - warknęła.

Generał bez wahania ruszył po asasyna. Kahlan dała znak i Cara pospieszyła za nim.

- Co ci powiedział? - spytał Zedd tak cicho, by inni nie dosłyszeli. - Chciał ci coś powiedzieć.

Dziewczyna głęboko odetchnęła dla uspokojenia.

- Powiedział „Richard ma rację”.

Zedd, zboląły i nieszczęśliwy, odwrócił wzrok. Warren był jego przyjacielem. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała, by stary czarodziej okazywał komuś taką sympatię jak Warrenowi. Mieli wspólne sprawy, których ona nigdy nie zdołała pojąć. Choć Warren wyglądał tak młodo, miał ponad sto pięćdziesiąt lat: prawie tyle samo co Verna. Dla Zedda - którego zawsze poważano jako starego, mądrego czarodzieja - omawianie spraw dotyczących magii z kimś, kto rozumiał takie rzeczy i nie wymagał bezustannych wyjaśnień oraz prowadzenia, musiało mieć szczególny urok.

- Mnie powiedział to samo - wyszeptał płaczliwie.

- Dlaczego Warren nie skorzystał z daru? - zapytała Kahlan.

Zedd potarł palcem policzek.

- Akurat tamtędy przechodził, kiedy ów człowiek złapał Holly i pchnął ją nożem. Może asasyn nie mógł odnaleźć swojej ofiary, może się zgubił i wypłoszył, a może po prostu spanikował i postanowił pchnąć kogokolwiek, a Holly akurat znalazła się pod ręką.

Kahlan otarła policzki dłońmi.

- A może kazano mu szukać czarodzieja w takich szatach, więc kiedy zobaczył Warrena, pchnął Holly, by wywołać zamieszanie i dostać swoją ofiarę.

- Całkiem możliwe. Warren sam nie wiedział. To się stało tak nagle. Warren tam był i po prostu zadziałał. Pytałem, ale nie umiał powiedzieć, dlaczego nie użył swojej mocy. Może po tym straszliwym błysku noża bał się, że przy okazji zabije i Holly, bo tamten ją trzymał i kłuł. Instynktowna chęć ocalenia dziecka kazała mu spróbować wyrwać nóż. To był fatalny błąd.

- Może Warren się po prostu zawahał, zanim użył swej mocy.

Zedd ze smutkiem poruszył ramionami.

- Sekunda wahania zgubiła wielu czarodziejów.

- Gdybym się nie zawahała - rzekła Kahlan, zapatrzona w gorzkie wspomnienie - Nicci by mnie nie dopadła. I nie miałaby teraz Richarda.

- Nie staraj się naprawić przeszłości, skarbie, tego się nie da zrobić.

- A przyszłość?

Zedd spojrzął jej w oczy.

- To znaczy?

- Pamiętasz, jak z końcem zimy opuszczaliśmy obóz, kiedy Ład się ruszył? - Czarodziej skinął głową, więc podjęła: - Warren wskazał na mapie

to miejsce. Powiedział, że musimy się tu znaleźć, żeby zatrzymać Ład.

- Sugerujesz, że wiedział, że tutaj umrze?

- To ty mi powiedz.

- Jestem czarodziejem, a nie Prorokiem.

- Ale Warren jest Prorokiem. - Zedd milczał, więc spytała szeptem: - Co z Holly?

- Nie wiem. Właśnie się zjawiłem, żeby pogadać z Warrenem. Tuż po tym wszystkim. Żołnierze rzucili się na tamtego. Warren krzyczał, żeby go nie zabijali. Sądzę, że uważał, że asasyn może znać jakąś cenną informację. Zobaczyłem zakrwawioną, zszokowaną Holly. Natychmiast kazałem przynieść tu Warrena i zająłem się nim. Przybiegły Siostry i zabrały dziewczynkę do innego namiotu. - Zedd wbił zrozpaczone oczy w zmarzniętą ziemię. - Zrobiłem, co w mojej mocy.

Nie wystarczyło. Kahlan pocieszająco objęła ramieniem jego barki.

- Od samego początku nic na to nie mogłeś poradzić, Zeddzie.

Dziwnie było patrzeć na źródło jej sił, teraz tak nieszczęśliwe i zbolące. Trudno się było spodziewać, by w takich okolicznościach pozostał silny i nieczuły, ale mimo wszystko było to niepokojące. W tej chwili Kahlan poczuła brzemień tego, co Zedd wycierpiał w życiu; wyczytała to w jego wilgotnych orzechowych oczach.

Żołnierze rozstąpili się przed powracającymi generałem Meiffertem i Carą. Za nimi dwóch krzepkich gwardzistów wlokło młodego zylastego człowieka, który jeszcze niedawno był chłopcem. Był muskularny, ale nie dorównywał trzymającym go żołnierzom. Zmierzwione włosy opadały na czoło nad ciemnymi, pogardliwymi oczami. Szcherzył się dumnie, szyderczo.

- Wygląda na to - oznajmił chłopiec, starając się pozować na zucha - że w mojej służbie dla Ładu dźgnąłem kogoś ważnego. Stałem się przez to bohaterem Ładu.

- Niech uklęknie przed Matką Spowiedniczką - spokojnie rozkazał generał Meiffert.

Dwaj żołnierze podbili mu kolana, żeby się osunął na ziemię. Prychnął, kiedy przed nią ukląkł.

- A, to ty jesteś tą naczelną dziwką, o której tyłem słyszałem. Szkoda, żeś nie była w pobliżu, bo chętnie bym cię dźgnął. Coś mi się zdaje, żeś pokazał

paru ludziom, jakim dobry w nożu.

- Czyli zamiast mnie pchnąłeś nożem dziecko - odezwała się Kahlan.

- Tak dla wprawy. Dźgnąłbym więcej ludzi, gdyby tym wielkim tępym wołom nie udało się mnie złapać. Ale i tak wykonał mój obowiązek wobec Ładu i Stwórcy.

Była to zuchowatość kogoś, kto wiedział, że zapłaci najwyższą cenę za swoje uczynki. Usiłował przekonać sam siebie, że oddał Ładowi cenną przysługę. Chciał umrzeć jak bohater i udać się wprost do Stwórcy po nagrodę w przyszłym życiu.

Z namiotu wyszła Verna. W jej ruchach nie było pośpiechu. Twarz miała poszarzałą i ściągniętą. Kahlan ujęła ją za ramię, gotowa podeprzeć, gdyby Ksieni tego potrzebowała.

Verna dostrzegła klęczącego młodziana i zatrzymała się.

- To on? - spytała.

Kahlan łagodnie dotknęła drugą dłoń jej pleców, milcząco udzielając jej wsparcia.

- To on - potwierdziła.

- A pewnie, że ja. - Młodzieniec szyderczo wyszczerzył się do Verny. - To jam zadźgał czarodzieja. Jestem bohaterem. Ład przyniesie ludziom pomoc i sprawiedliwość, a ja w tym pomogłem. Wyście zawsze nas tłamsili.

- Tłamsiliśmy was - powtórzyła głucho Verna.

- Ci, co się rodzą szczęśliwi i bogaci, nigdy nie chcą się dzielić. Czekałem, ale nikt mi nie dał w życiu szansy, dopiero Ład. Jestem bohaterem wszystkich poniewieranych ludzi. Zadałem cios ciemności. Pomogłem nieść sprawiedliwość tym, co nigdy nie mieli szansy. Zabiłem złego człowieka. Jestem bohaterem!

Milczenie otaczających go ludzi stanowiło ponury kontrast z krzątaniem żołnierzy szukających po obozie innych asasynów. Oficerowie wywoływali nazwiska, otrzymywali krótkie odpowiedzi. W ciemnościach biegali żołnierze szukający napastników; ich kolczugi i oręż brzęczały jak tysiące maleńkich dzwoneczków.

Klęczący młodzian uśmiechnął się do Verny.

- Stwórca da mi nagrodę w przyszłym życiu. Nie boję się śmierci. Zasłużyłem na wieczność w jego wiekuistym Świetle.

Verna spojrzała w oczy wszystkim obecnym.



- Nie obchodzi mnie, co mu zrobicie - powiedziała - ale chcę przez całą noc słyszeć jego wrzaski. Chcę, żeby ten obóz przez całą noc słyszał jego wrzaski. Żeby zwiadowcy Ładu słyszeli jego wrzaski. To będzie mój hołd dla Warrena.

Asasyn oblizwał wargi; zdał sobie sprawę, że nie będzie tak, jak oczekiwał.

- To niesprawiedliwe! - zaprotestował. Zaczął się trząść ze strachu. Był przygotowany na szybki koniec. Tego się nie spodziewał. - On szybko umarł. Mnie powinno spotkać to samo! To niesprawiedliwe!

- Niesprawiedliwe? Złe jest to - powiedziała ze straszliwym spokojem Verna - że twoja matka w ogóle rozłożyła nogi przed twoim ojcem. Poniewczasie naprawimy jej błąd. Niesprawiedliwe jest to, że zacny i miły człowiek zginął z ręki biadolącego, nędznego tchórza do tego stopnia pozbawionego rozumu, że nie potrafi rozpoznać kłamstw, którymi nas teraz obraża. Chcesz oddać życie za to, które zabrałeś? Chcesz umrzeć za sprawę, którą głupio uważasz za szlachetną? Spełni się twoje życzenie, młodzieńcze. Ale zanim umrzesz, w całej pełni zrozumiesz, czego się wyrzekłeś, jak cenne jest twoje życie i jak straszliwie zmarnowane. Równie mocno pożałujesz, że matka cię poczęła, jak my tego żałujemy. - Verna zdecydowanie spojrzała na otaczających ją ludzi. - Takie jest moje życzenie. Proszę, byście je spełnili.

Cara wysunęła się przed innych.

- Pozwólcie, że ja się tym zajmę. - Ponura mina Mord-Sith świadczyła, że nie budzi to jej zachwyty. - Najlepiej spełnię twoje życzenie, Verno.

Młodzian zaśmiał się histerycznie.

- Kobieta? Myślicie, że jakaś wielka blond dziwka da mi nauczkę? Jesteście tacy szurnięci, jakem słyszał.

Verna skinęła głową.

- Będę ci wdzięczna, Caro. - Już miała odejść, ale się zatrzymała. - Nie pozwól, żeby umarł przed świtem. Wtedy przyjdę, żeby być przy jego śmierci. Chcę patrzeć w jego oczy i przekonać się, czy ten młody człowiek rozumiał rzeczywistość i to, że brak jej sprawiedliwości. Że to rozumiał, zanim odda życie za coś, co tego nie jest warte, i za swój udział w olbrzymim złu.

- Obiecuję ci - odpowiedziała jej łagodnie Cara - że chociaż w twoim bólu ta noc wyda ci się wiecznością, dla niego będzie nieskończenie dłuższa.

Ksieni tylko dotknęła ramienia Cary, kiedy ją mijiała. Kiedy zniknęła w

mroku, Mord-Sith spojrzała na Kahlan.

- Proszę o namiot. Nikt nie powinien widzieć, co mu zrobię. Jego wrzaski będą dostatecznie wymowne.

- Zgoda.

- Matko Spowiedniczko! - Młodzian szarpał się rozpaczliwie, ale żołnierze trzymali go krzepko. - Okaż mi litość, jeśli jesteś tak dobra, jak twierdzisz!

Ślina ciekła mu z kącików ust, kołysała się w rytm jego przerywanego oddechu.

- Ależ okazałam ci litość - rzekła Kahlan. - Pozwalam ci wycierpieć to, na co skazała cię Verna, a nie to, na co ja bym cię skazała.

Cara, odchodząc, pstryknęła palcami i wskazała asasyna. Żołnierze powlekli za nią wrzeszczącego chłopca.

- A inni, których pojмалиśmy? - generał spytał Kahlan.

- Podetnijcie im gardła - poleciała, odchodząc do swojego namiotu.

## ROZDZIAŁ 62

Kahlan usiadła; uświadomiła sobie, że już nie słyszy odległych wrzasków. Do świtu było jeszcze kilka godzin. Może nieoczekiwanie przestało mu bić serce.

Nie, Cara była Mord-Sith, i to dobrze wyszkoloną w tym, co Mord-Sith robiły.

Kiedy tak leżała na posłaniu - ubrana, słuchając mrozących krew w żyłach wrzasków, współczując Vernie i żałując Warrena - pot rosił jej czoło za każdym razem, gdy pomyślała, że niegdyś Richard był tak wydany na Agiel Mord-Sith.

Spojrzała na „Potęgę ducha”, żeby przepędzić nieproszone okropne sceny wdzierające się do jej umysłu. Lampa wisząca na kalenicy rzucała na posążek ciepły blask, uwydatniając wdzięczne linie rozwianych szat, zaciśnięte w pięści dłonie, odrzuconą do tyłu głowę. Kahlan nigdy nie miała dość przyglądania się rzeźbie. Za każdym razem wzruszała ją i porywała.

Richard wołał taki obraz życia od straszliwej goryczy, w którą mógł popaść. Trwanie w takim rozgoryczeniu pozbawiłoby go zdolności odczuwania szczęścia.

Kahlan usłyszała na zewnątrz jakiś tumult. Właśnie podrywała się na nogi, kiedy Cara wsunęła głowę w nie zasznurowane wejście do namiotu. W niebieskich oczach Mord-Sith płonęła mordercza furia. Weszła do środka, wlokąc za sobą, za włosy, chłopaka. Trząśił się i mrugał, oślepiiony krwią zalewającą mu oczy. Cara zgrzytnęła zębami i popchnęła go. Upadł na ziemię u stóp Kahlan.

- O co chodzi? - spytała Matka Spowiedniczka.

Wyraz oczu Cary świadczył, że jest na granicy dzikiej furii, że ledwo nad sobą panuje, że dotarła do najodleglejszych rubieży człowieczeństwa. Stąpała po ziemi innego świata - szaleństwa.

Mord-Sith padła na kolana i złapała młodzieńca za włosy. Szarpnęła go do tyłu, oparła o siebie i przycisnęła mu Agiel do gardła. Krztusił się i kaszłał. Na usta wystąpiła mu krwawa piana.

- Powiedz jej! - warknęła.

Wyciągnął ramiona w geście uległości.

- Znam go! Znam go!

Kahlan spojrzała chmurnie na przerażonego asasyna.

- Kogo znasz?

- Richarda Cyphera! Znam Richarda Cyphera! I jego żonę Nicci!

Dziewczyna miała wrażenie, że świat runął dokoła niej. Jego ciężar sprawił, że osunęła się na kolana przed więźniem Cary.

- Jak się nazywasz?

- Gadi! Jestem Gadi!

Cara przycisnęła mu Agiel do pleców, więc wrzasnął dziko. Rzuciła go twarzą na ziemię. Kahlan uniosła dłoń.

- Caro, zaczekaj... musimy z nim pogadać.

- Wiem. Właśnie dbam o to, żeby chciał z nami rozmawiać.

Kahlan jeszcze nigdy jej takiej nie widziała; takiej... rozszalałej. Robiła więcej, niż chciała Verna. To była osobista sprawa Cary. Lubiła Warrena, ale na nieszczęście dla Gadiego Richard był życiem Cary.

Mord-Sith znów szarpnęła młodzieńca w górę. Wokół złamanego nosa gromadziły się czerwone bąble. Kiedy światło padało na Carę pod odpowiednim kątem, Kahlan widziała krew połyskującą na jej czerwonym skórzanym uniformie.

- Chcę, żebyś opowiedział wszystko Matce Spowiednicze.

Chlipał i kiwał głową, jeszcze zanim Cara dokończyła rozkaz.

- Mieszkałem tam, gdzie oni przyszli. Mieszkałem tam, gdzie Richard i jego żona...

- Nicci - poprawiła go Kahlan.

- Nicci. - Nie pojmował, o co jej chodziło. - Dostali pokój w naszym domu. Nie lubiliśmy go, ja i moi przyjaciele. Potem Kamil i Nabbi zaczęli z nim gadać. Zaczęli lubić Richarda. Byłem zły...

Zaczął tak płakać, że nie mógł mówić. Kahlan złapała go za śliską od krwi brodę i potrząsnęła.

- Mów! Bo Cara znów się tobą zajmie!

- Nie wiem, co powiedzieć, co chcesz wiedzieć - wyszlochał.

- Wszystko, co wiesz o nim i o Nicci. Wszystko! - wrzasnęła Kahlan tuż przed jego twarzą.

- Powiedz jej resztę - rzekła mu do ucha Cara, stawiając go na nogi.

Kahlan też wstała, bojąc się, że nie dosłyszysz jakiegoś cennego słowa.

- Richard zaczął przekonywać ludzi, by porządkowali dom. Pracuje dla Ishaq, w kompanii przewozowej. Jak wraca wieczorem do domu, to naprawia różne rzeczy. Pokazał Kamilowi i Nabbiemu, jak to robić. Nienawidziłem go.

- Nienawidziłeś go, bo dbał o wszystko?

- Przez niego Kamil, Nabbi i inni zaczęli myśleć, że mogą coś zrobić dla siebie, a przecież nie mogą. Ludzie nie mogą nic dla siebie zrobić. To okropne oszukaństwo. Ludziom powinni pomagać ci, co coś mają. To ich obowiązek. Richard mógł i powinien naprawiać rzeczy, bo to umiał, ale nie wolno mu było wbijać Kamilowi, Nabbiemu i innym do głów, że sami mogą zmienić swoje życie. Nikt tego nie może zrobić. Ludzie potrzebują pomocy, a nie takich okrutnych i bezdusznych nadziei. Wyśledziłem, że Richard pracuje po nocy. Woził dodatkowe ładunki dla zachłannych ludzi. Zarabiał pieniądze, których mu nikt nie pozwolił zarabiać. Potem, któregoś wieczoru, siedziałem na schodach i usłyszałem, jak Nicci się wściekła na Richarda. Przyszła do mnie i powiedziała, żebym się z nią przespał. Kobiety zawsze na mnie leciały. Zadziera nosa, a jest taką samą dziwką jak inne. Mówiła, że Richard to nie chłop, co potrafi jej dogodzić, i chciała, żebym z nią spał, bo on nie może. No, to jej dogodziłem, dokładnie tak, jak chciała. Dogodziłem tej dziwce. Porządziłem ją poharatał, jak sobie zasłużyła...

Kahlan z całej siły grzmotnęła go kolanem w krocze. Gadi zgiął się wpół, stracił oddech. Wywrócił oczami i ciężko runął na ziemię.

Cara uśmiechnęła się.

- Pomyślałam, że chętnie byś to usłyszała.

Kahlan otarła łzy z policzków.

- To nie był Richard. Wiedziałam, że to nie był Richard. To była ta świnią.

Zaczął przychodzić do siebie i Kahlan kopnęła go w zębra. Wrzasnął. Dała niecierpliwie znak. Cara złapała go za włosy i jednym szarpnięciem postawiła na nogi.

- Dokończ swoją opowieść - poleciła Matka Spowiedniczka z lodowatą furią.

Kaszlał, krztusił się i ślinił. Cara musiała go utrzymywać w pionie. Wykręciła mu ręce do tyłu, żeby nie mógł rozmasować zbolątego krocza. Twarz miał wykrzywioną bólem.

- Mów albo znowu to zrobię!

- Błagam! Mówiłem, kiedy mi przerwałaś.

- Gadaj!

Gorączkowo przytaknął.

- Kiedy skończyłem z tą dziw... kiedy poszedłem od Nicci, Kamil i Nabbi oszaleli.

Kahlan uniosła mu podbródek.

- Co to znaczy, oszaleli?

- Byli strasznie źli, że się przespałem z żoną Richarda. Lubią go, więc okropnie się na mnie wściekli. Chcieli mi coś zrobić. Okaleczyć. No, to postanowiłem się zaciągnąć do wojska i walczyć dla Ładu z poganami i...

Kahlan czekała. Spojrzała na Carę. Mord-Sith zrobiła coś za plecami Gadiego, a ten wrzasnął i zachłysnął się oddechem.

- I wtedy podałem nazwisko Richarda!

- Co zrobiłeś?

- Podałem jego nazwisko, zanim odszedłem. Powiedziałem strażnikom miejskim w urzędzie protektora Muksina, że Richard to przestępca, że kradnie robotę ludziom, że zarabia więcej, niż wynosi jego sprawiedliwa działka.

Kahlan zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy? Co się dzieje, kiedy poda się czyjeś nazwisko?

Gadi dygotał z przerażenia. Wyraźnie nie chciał odpowiedzieć. Cara wbiła mu Agiel w bok. Krew pociekła po przesiąkniętej potem koszuli. Nie mógł zaczerpnąć powietrza, choć próbował. Jego poszarzała twarz zaczęła purpurowieć.

- Powiedz jej - nakazała zimno Cara.

Cofnęła Agiel i Gadi chciwie wciągnął powietrze.

- Aresztuj taką osobę. I... wydobywają... zeznanie... spowiedź.

- Spowiedź? - spytała Kahlan, lękając się odpowiedzi.

Asasyn niechętnie skinął głową.

- Torturami wydobywają zeznanie. Mogą nawet powiesić jego ciało na palu, żeby ptaki odziobały mu kości, jeżeli się przyzna do czegoś złego.

Kahlan zachwiała się. Myślała, że zwymiotuje. Świat pograżył się w obłądzenie. Kopnięciem wywróciła kosz z mapami i grzebała w nich, aż znalazła tę, której szukała. Wyjęła z kasetki pióro i kałamarz, postawiła na ziemi „Potęgę ducha” i rozłożyła na stoliku małą mapę.

- Podejdz tu - rozkazała, pstrykając palcami i wskazując miejsce przed stolikiem; kiedy przyczłapał, włożyła mu pióro w trzęsące się palce i wskazała punkt na mapie. - My jesteśmy tutaj. Pokaż, którądy szedłeś z Ładem.

- Ta rzeka. - Wskazał. - Przyszedłem ze Starego Świata z posiłkami, po krótkim szkoleniu. Przyłączyliśmy się do armii imperatora i latem szliśmy w górę doliną tej rzeki.

- A teraz chcę, żebyś zaznaczył miasto, w którym mieszkałeś. - Kahlan wskazała na Stary Świat.

- Altur'Rang. To tutaj.

Patrzyła, jak moczy pióro w kałamarzu i rysuje kółko wokół punktu i nazwy Altur'Rang - daleko na południu, w sercu Starego Świata.

- A teraz - poleciała - zaznacz drogi, którymi szedłeś w Starym Świecie, i wszystkie miasta i miasteczka, przez które przechodziłeś.

Kahlan i Cara patrzyły, jak zaznacza drogi i zakreśla sporo miast i miasteczek. Warren i Siostry pochodzili ze Starego Świata i sporo wiedzieli o topografii terenu, więc można było narysować szczegółowe mapy.

Gadi skończył i spojrział na nie. Kahlan odwróciła mapę.

- Narysuj Altur'Rang. Główne ulice, wszystko, co wiesz.

Młodzieniec natychmiast zaczął rysować. Kiedy skończył, znów na nią spojrział.

- A teraz pokaż mi, gdzie jest ten pokój, w którym mieszka Richard.

Asasyn zaznaczył to na mapce.

- Ale nie wiem, czy tam będzie. Mnóstwo ludzi podaje nazwiska podejrzanych o krzywdzenie rodaków. Jeżeli zapisali nazwisko i aresztowali go... Bracia mogą nałożyć pokutę albo przesłuchiwać, a potem skazać na śmierć.

- Bracia? - spytała Kahlan.

Gadi kiwnął głową.

- Brat Narev i jego uczniowie. Są głową Bractwa Ładu. Brat Narev jest naszym duchowym przewodnikiem. On i Bracia to serce Ładu.

- Jak wyglądają? - spytała Kahlan, już wybiegając myślami naprzód.

- Bracia noszą ciemnobrązowe szaty z kapturami. To zwykli ludzie, co zrezygnowali z rozkoszy życia, żeby służyć woli Stwórcy i potrzebom ludzi. Brat Narev jest najbliżej Stwórcy ze wszystkich ludzi. Jest zbawcą ludzkości.

Gadi najwyraźniej bał się tego Nareva. Kahlan słuchała, jak młodzieniec opowiada wszystko, co wie o Bractwie Ładu, o Braciach i o Bracie Narevie. Wreszcie skończył i dygotał w milczeniu. Kahlan nie patrzyła na niego, ale gdzieś w dal.

- Jak wyglądał Richard? - zapytała chłodno. - Jest zdrowy? Dobrze wygląda?

- Tak. Jest wielki i silny. Jak każdy głupek.

Kahlan okręciła się i uderzyła go nasadą dłoni w twarz tak mocno, że zbiła go z nóg.

- Zabierz go stąd - powiedziała do Cary.

- Ale teraz musisz mi okazać łaskę! Powiedziałem ci, co chciałaś wiedzieć! - rozbeczał się Gadi. - Musisz mi okazać łaskę!

- Masz robotę do skończenia - przypomniała Kahlan Carze.

Kahlan odchyliła zasłonę przy wejściu i zajrzała do środka. Siostra Dulcinia cichutko pochrapywała. Holly spojrzała na nią. W oczach dziewczynki pojawiły się łzy, błagalnie wyciągnęła rączki. Kahlan uklękła obok i pochyliła się, żeby ją przytulić. Holly zaczęła płakać. Siostra Dulcinia chrapnęła i zbudziła się.

- Matko Spowiedniczko.

Kahlan dotknęła ramienia Dulcinii.

- Już późno. Idź się trochę przespać, Siostrze.

Siostra Dulcinia uśmiechnęła się na zgodę i - posapując z wysiłku - z trudem wstała w niskim namiocie. Z oddali, z drugiego krańca obozu, Kahlan słyszała mrozące krew w żyłach wrzaski Gadiego.

Dziewczyna odgarnęła z czoła Holly puszyste kasztanowe włosy i pocałowała ją w to odsłonięte miejsce.

- Jak się czujesz, kochanie? Już wszystko dobrze?

- Och, Matko Spowiedniczko, jakie to było okropne. Czarodziej Warren został ranny. Widziałam to.

Kahlan utuliła ją, bo mała znowu zaczęła płakać.

- Wiem, Holly. Wiem.

- Co z nim? Uzdrowili go tak jak mnie?

Dziewczyna przytuliła dłoń do policzka małej, starła zeń kciukiem łzę.

- Przykro mi, Holly, ale nie. Warren umarł.

Małe czołko zmarszczyło się boleśnie.



- Nie powinien mnie ratować. To moja wina, że nie żyje.

- Nie - uspokajała ją Kahlan. - To wcale nie tak. Warren oddał życie, żeby nas wszystkich ocalić. Zrobił to, bo kochał życie. Nie chciał, żeby zło swobodnie grasowało wśród tych, których kochał.

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście, że tak. Zapamiętaj, jak kochał życie i jak pragnął, by ci, których kocha, sami decydowali o swoim losie.

- Tańczył ze mną na swoim weselu. Był najprzystojniejszym panem młodym, jakiego widziałam.

- Rzeczywiście, był przystojnym panem młodym. - Kahlan uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Był jednym z najlepszych ludzi, jakich znałam, i oddał życie za naszą wolność. Uczymy to poświęcenie, żyjąc najzaciej, jak potrafimy.

Chciała się podnieść, ale Holly przytuliła się do niej z całej siły, więc położyła się obok niej. Pogładziła jej czołko, cmoknęła w policzek.

- Zostaniesz ze mną, Matko Spowiedniczko? Zostaniesz?

- Na chwilę, kochanie.

Holly zasnęła wtulona w Kahlan. Dziewczyna płakała gorzko nad śpiącą dziewczynką, która powinna mieć prawo do decydowania o własnym życiu. A tymczasem inni chcieli jej to prawo odebrać mieczem, ukraść.

Potem, kiedy już zdecydowała, co musi zrobić, cicho wyśliznęła się z namiotu, żeby się spakować.

Zaczynało jaśnieć, kiedy Kahlan wyszła ze swojego namiotu, niosąc śpiwór, juki, miecz d'harański, Miecz Prawdy, skórzany pancerz i plecak z resztą rzeczy. „Potęga ducha” była bezpiecznie zawinięta w śpiwór.

Akurat zaczął prószyć leciutki śnieg, oznajmiając cichemu obozowi, że do północnych Midlandów zawitała zima.

Jakby wszystko się kończyło. Nie tyle śmierć Warrena przekonała o tym Kahlan, ile raczej daremność, którą ta śmierć symbolizowała. Już nie mogła się dłużej ludzić. Prawda była prawdą. Richard miał rację.

Ład wszystko zagarnie. Prędzej czy później złapaliby ich i zabili wraz z tymi, którzy wspólnie z nią walczyli. To tylko kwestia czasu, kiedy ujarzmią cały Nowy Świat. Już mieli większość Midlandów. Niektóre krainy poddały się z własnej woli. Nie można się było opierać tak przeważającej sile, straszliwemu zagrożeniu i pogróżkom lub kuszącym obietnicom.

Warren potwierdził to przed śmiercią: Richard miał rację.

Łudziła się, że zdoła wpłynąć na bieg wydarzeń. Że odepchnie nacierającą hordę - w razie potrzeby samą siłą woli. To była z jej strony arogancja. Siły wolności były stracone.

Wielu ludzi w pokonanych krainach zaufało Ładowi kosztem swojej wolności.

Co jej pozostało? Ucieczka. Schronienie. Strach. Śmierć.

Tak naprawdę nie miała już nic do stracenia. Prawie wszystko już przepadło lub wkrótce przepadnie. Zamierzała zrobić właściwy użytek z życia, dopóki je jeszcze miała.

Zamierzała dotrzeć do samego serca Ładu.

- A gdzie to się wybierasz?

Kahlan obróciła się i zobaczyła przyglądającą się jej pochmurnie Carę.

- Ja... odjeżdżam, Caro.

Mord-Sith skinęła głową.

- Dobrze. I ja uważam, że czas na to. Raz-dwa się spakuję. Weźmiesz konie i spotkamy się...

- Nie. Jadę sama. Ty zostajesz.

Cara gładziła blond warkocz spływający jej z ramienia.

- Dlaczego odjeżdżasz?

- Nie mam tu już nic do roboty, nic już nie mogę zrobić. Chcę wbić miecz w serce Ładu: w Brata Nareva i jego uczniów. Tylko tak mogę się na nich odegrać.

- I myślisz, że zechcę tu zostać? - uśmiechnęła się Cara.

- Zostaniesz tu, gdzie będziesz mogła być... z Benjaminem.

- Przepraszam, Matko Spowiedniczko - powiedziała delikatnie Cara - ale nie mogę wykonać takiego rozkazu. Jestem Mord-Sith. Przysięgałam chronić lorda Rahla. Obiecałam lordowi Rahlowi, że będę cię bronić, a nie, że zostanę, żeby całować Benjaminą.

- Caro, chcę, żebyś została...

- To moje życie. Skoro to może być koniec, a wszystko na to wskazuje, chcę przeżyć resztę życia według mojej woli. To moje życie, nie twoje, żebyś za mnie decydowała. Idę i koniec.

Kahlan dostrzegła w jej oczach, że to ostateczna decyzja. Nie przypominała sobie, żeby Cara kiedykolwiek mówiła o własnych życzeniach.

To istotnie było jej życie. Poza tym wiedziała, dokąd Kahlan chce pojechać. Gdyby dziewczyna odeszła bez niej, Cara podążyłaby jej śladem. Czasem trudniej było skłonić Mord-Sith do wykonania rozkazu, niż spędzić w jedno miejsce mrówki.

- Masz rację, Caro. To twoje życie. Ale gdy się już dostaniemy do Starego Świata, będziesz musiała jakoś ukryć to, kim jesteś. Czerwona skóra w Starym Świecie oznaczałaby nasz koniec.

- Zrobię, co trzeba, żeby chronić ciebie i lorda Rahla.

Kahlan w końcu się uśmiechnęła.

- Wierzę w to, Caro.

Mord-Sith była poważna, więc uśmiech dziewczyny zniknął.

- Przepraszam, że chciałam odejść bez ciebie, Caro. Nie powinnam tak postąpić. Jesteś siostrą w Agielu. Powinnam z tobą o tym porozmawiać. Tak należy postępować wobec kogoś, kogo się szanuje.

Cara wreszcie się uśmiechnęła.

- Teraz mówisz do rzeczy.

- Możemy nie wyjść z tego cało.

Tamta wzruszyła ramionami.

- A uważasz, że jak zostaniemy, to będziemy sobie wspaniale żyć? Moim zdaniem, tutaj czeka nas tylko pewna śmierć.

Kahlan skinęła głową.

- I ja tak myślę. Dlatego muszę odejść.

- Nie mogę temu zaprzeczyć.

Kahlan spojrzała na prószący śnieg. Kiedy nadeszła poprzednia zima, zdołały z Carą uciec w sam czas. Zebrała się w sobie i spytała:

- Caro, naprawdę wierzysz, że Richard wciąż żyje?

- Oczywiście, że lord Rahl żyje. - Mord-Sith uniosła Agiel, przetoczyła go w palcach. - Pamiętasz?

I wtedy sobie przypomniała: Agiel miał moc tylko wtedy, kiedy żył lord Rahl, któremu Cara złożyła przysięgę.

Podążyła Mord-Sith część bagażu.

- Gadi?

- Umarł tak, jak sobie życzyła Verna. Nie okazałam mu litości.

- To dobrze. Litość wobec winowajcy jest zdradą wobec niewinnego.

Niedługo po świcie Kahlan dotarła do namiotu Zedda. Cara poszła po

konie i zapasy. Dziewczyna zawołała i czarodziej zaprosił ją do środka. Wstał z ławy, na której siedział obok Adie, starej czarodziejki.

- Co się stało, Kahlan?

- Przyszłam się pożegnać.

Zedd nie okazał zdziwienia.

- A dlaczego trochę nie wypoczniesz? Wyruszyłabyś jutro.

- Nie ma już jutra. Znow nadeszła zima. Skoro mam zrobić to, co muszę, nie mogę już zmarnować ani dnia.

Zedd łagodnie ujął ją za ramiona.

- Warren chciał cię zobaczyć, Kahlan. Czuł, że musi ci powiedzieć, że Richard miał rację. Wiele dla niego znaczyło, żebyś się o tym dowiedziała. Richard mówił nam, że nie wolno atakować wprost Ładu, dopóki ludzie nie udowodnią mu, ile są warci, bo inaczej wszystko będzie stracone. A to jest dzisiaj jeszcze mniej prawdopodobne niż wówczas, kiedy to mówił.

- A może Warren mówił, że Richard miał rację i że stracimy Nowy Świat na rzecz Ładu, więc po co tutaj zostawać? Może Warren w ten sposób dawał mi do zrozumienia, żebym szła do Richarda, póki jeszcze żyję i póki nie jest za późno, żeby choć spróbować.

- A Nicci?

- Przekonam się, kiedy tam dotrę.

- Przecież nie możesz liczyć...

- A cóż mi tu pozostało, Zeddzie? Patrząc, jak upadają Midlandy? Uciekać przez resztę życia? Żyć jak pustelnica i każdego dnia kryć się przed Ładem? Nawet gdyby Warren tego nie powiedział, i tak uświadomiłam sobie, że Richard miał rację, choćbym nie wiadomo jak chciała, żeby było inaczej. Ład będzie przykuty do miejsca tylko przez zimę, kiedy pomożemy ludziom uciec z Aydindril. Wiosną wróg wejdzie do mojego miasta. Wtedy ruszą na D'Harę i już nie będzie dokąd uciekać. Choć na razie uciekną, Ład i tak podporządkuje sobie tych ludzi. Nie ma tu dla mnie przyszłości. Richard miał rację. Mogę tylko przeżyć resztę życia dla siebie i dla niego. Nic innego mi nie pozostało, Zeddzie.

Łzy wypełniły oczy czarodzieja.

- Będę bardzo za tobą tęsknić. Przywróciłaś mi dobre wspomnienia o mojej córce i dałaś tyle miłych chwil.

Kahlan objęła go.

- Kocham cię, Zeddzie.  
Nie mogła powstrzymać łez. Tylko ona mu pozostała, a i ją tracił.  
Nie - to nie była prawda. Kahlan cofnęła się.  
- Nadszedł czas, Zeddzie, żebyś i ty odjechał. Musisz dotrzeć do wieży i strzec jej.  
Przytaknął bardzo niechętnie, z ogromnym smutkiem.  
- Wiem.  
Kahlan uklękła przed czarodziejką, wzięła ją za rękę.  
- Pojedziesz z nim, Adie, i dotrzymasz mu towarzystwa?  
Piękny uśmiech rozjaśnił zniszczoną twarz starszej kobiety.  
- Cóż, ja... - Spojrzała nań. - Zeddzie?  
Zedd łypnął gniewnie.  
- Kurczę, zepsułaś mi niespodziankę.  
Kahlan trąciła go w nogę.  
- Nie klnij w obecności dam i przestań się bocyć. Chcę wiedzieć, że nie będziesz tam sam.  
Uśmiechnął się przelotnie.  
- Jasne, że Adie jedzie ze mną do wieży.  
Teraz zachmurzyła się Adie.  
- Takiś tego pewny, staruszkule? Wcale nie pytałeś mnie o zgodę. A ja chciałam...  
- Uspokójcie się - powiedziała Kahlan. - Oboje. To zbyt poważna sprawa, żeby się przekomarzać.  
- Mogę się przekomarzać, jeśli tego chcę - sprzeciwił się Zedd.  
- A pewnie. - Adie pogroziła jej chudym palcem. - Jesteśmy dostatecznie starzy, żeby się przekomarzać, jeśli tego chcemy.  
Kahlan uśmiechnęła się przez łzy.  
- Oczywiście, że możecie. Tylko że po Warrenie... To mi przypomina, jak nie cierpię, kiedy ludzie marnują życie na nieważne sprawy.  
Tym razem Zedd naprawdę się zirytował.  
- Musisz się jeszcze paru rzeczy nauczyć, skarbie, skoro nie wiesz, jak ważne jest przekomarzanie się.  
- Racja - poparła go Adie. - Przekomarzanie się nie pozwala ci otępieć. A gdy się starzejesz, musisz zachować bystrość.  
- Adie ma rację - stwierdził Zedd. - Cóż, myślę...

Kahlan uciszyła go uściskiem, do którego przyłączyła się Adie.

- Jesteś zdecydowana, skarbie? - spytał czarodziej, kiedy go puściły.

- Tak. Wbiję miecz prosto w brzuch Ładu.

Zedd kiwnął głową, położył kościste palce na szyi Kahlan. Przyciągnął ku sobie jej głowę i pocałował dziewczynę w czoło.

- Skoro masz odejść, to jedź co koń wyskoczy i uderzaj z całej siły.

- Myślę tak samo - stwierdziła Cara, wchodząc do namiotu.

Kahlan pomyślała, że niebieskie oczy Cary są nieco bardziej przejrzyste niż zwykle.

- Nic ci nie jest, Caro?

- A cóż to niby ma znaczyć? - zmarszczyła brwi zapytana.

- Nic - odparła dziewczyna.

- Generał Meiffert dał nam sześć najszybszych koni, jakie znalazł. - Cara uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Będziemy mieć konie na zmianę i prędzej pokonamy większe odległości. Już załadowano wszystkie nasze zapasy. Jeśli wyjedziemy teraz, uciekniemy zimie. Mamy mapę, więc możemy się trzymać z dala od dróg używanych przez Ład i od większych skupisk ludzkich. Są tam dobre drogi i puste tereny. Jeżeli pojedziemy co koń wyskoczy, dotrzemy na miejsce w parę tygodni, najdalej w miesiąc.

Zedd miał zatroskaną twarz.

- Ale Ład kontroluje większość południowych Midlandów. Tam teraz niebezpiecznie.

- Mam lepszy pomysł. - Cara uśmiechnęła się przebiegle. - Pojedziemy do znanej mi krainy, do D'Hary. Stamtąd ruszymy na wschód, przedostaniemy się przez góry, a potem pojedziemy na południe przez D'Harę, głównie otwartymi przestrzeniami, gdzie będziemy mogły szybko podróżować. Pokonamy równiny Azrith i w końcu osiągniemy Kern, daleko na południu. A kiedy dolina rzeki dotrze poza góry, skęcimy na południowy wschód, w samo serce Starego Świata.

Zedd skinieniem głowy pochwalił ów plan. Kahlan czule dotknęła ramienia starego czarodzieja.

- Kiedy wyruszyacie do wieży?

- Adie i ja ruszymy rankiem. Myślę, że lepiej tu dłużej nie marudzić. Dzisiaj omówimy sprawy wojska z oficerami i Siostrami. Uważam, że gdy tylko ludzie opuszczą Aydindril i śnieg będzie na tyle głęboki, że będziemy

mieć pewność, że Ład nie ruszy się nigdzie przed wiosną, nasi ludzie będą się mogli wymykać z obozu i przedostawać przez góry do bezpiecznej D'Hary. Zimą będzie to powolna podróż, ale nie tak trudna, jak byłaby, gdyby musieli jeszcze walczyć.

- Tak będzie najlepiej - przyznała Kahlan. - To choć na razie zapewni naszym żołnierzom bezpieczeństwo.

- Nie będę mógł być dla nich magią przeciwko magii, ale będą przy nich Verna i jej Siostry. Wiedzą już dostatecznie dużo, żeby chronić armię przed magią.

Przynajmniej na razie. Te nie wypowiedziane słowa wisiały w powietrzu.

- Chcę się zobaczyć z Verną, zanim odjadę - powiedziała Kahlan. - Dobrze, że będzie się musiała troszczyć o ludzi. Potem spotkam się z generałem Meiffertem i później już wyruszamy. Przed nami długa droga, a chcę dotrzeć na południe, zanim śnieg nas spęta.

Po raz ostatni mocno uściskała Zedda.

- Jak go zobaczysz - szepnął jej na ucho - to mu powiedz, że bardzo go kocham i strasznie za nim tęsknię.

Kiwnęła głową przytuloną do jego ramienia i zdecydowanie powiedziała:

- Znów nas zobaczysz, Zeddzie. Przyrzekam.

Kahlan wyszła w brzask pierwszego tchnienia zimy. Wszystko było przyprószone śniegiem - miało się wrażenie, że świat jest wyrzeźbiony z białego marmuru.

## ROZDZIAŁ 63

Jednym płynnym ruchem, kierując zręcznie czubkami palców koniec gładzaka, Richard przesunął stalowe narzędzie w dół fałdy szaty na zawsze zastygłej w białym marmurze. Pogrążony w pracy, starał się wywierać na gładzak równomierny nacisk, żeby ściąć cieniutką warstwę.

Na gładzaku znajdowały się setki prążków, rząd za rzędem maleńkich ostrzy z hartowanej stali, które zdejmowały warstewki i kształtowały szlachetny kamień. Tymi ostrzami władał równie sprawnie, jak każdym innym. Na oślepie wyciągnął rękę do tyłu i położył gładzak na drewnianej ławie, uważając, żeby nie uderzyć stalą o inną stal, żeby trafić na drewno - inaczej przedwcześnie stępiłby narzędzie. Wziął inny gładzak, o jeszcze delikatniejszych ząbkach, i usunął chropowatość pozostałą po poprawce wykonanej poprzednim.

Palcami tak białymi jak palce pracującego z mąką piekarza Richard zbadał powierzchnię ramienia mężczyzny, szukając rys. Dopóki nie wypolerowało się powierzchni, mniejsze rysy i fasetki łatwiej było wyczuć palcami, niż dostrzec okiem. Kiedy coś takiego wyczuwał, przesuwał po tym mniejszym gładzakiem, a palcami drugiej dłoni wiódł po wybrzuszeniu marmurowego mięśnia, badając subtelną różnicę. Teraz usuwał wyłącznie warstewki cienkie jak papier.

Dotarcie do owej końcowej warstwy zajęło mu kilka miesięcy. Bliskość przemiany kamienia w ciało radowała. Mijały dni - jeden po drugim - nie kończącej się pracy, rzeźbienia za dnia śmierci, tam, na placu budowy, i rzeźbienia po nocach życia. Rzeźbienie dla Ładu było równoważone rzeźbieniem dla siebie - niewola i wolność, przeciwstawione sobie. Ilekroć któryś z Braci pytał o posąg, Richard starannie ukrywał zadowolenie z tego, co tworzył. Zawsze z szacunkiem pochylał głowę i relacjonował postępy w swojej pokucie, zapewniając, że praca postępuje zgodnie z planem i rzeźba będzie gotowa na czas, żeby można ją było ustawić na poświęcenie na pałacowym placu.

Akcentowanie słowa „pokuta” pomagało nakierować myśli Braci na ów temat, odciągnąć je od posągu. Bracia byli niezmiennie o wiele bardziej zadowoleni ze zmęczenia Richarda mazołem narzuconej mu pracy, niż



zainteresowani kolejną ponurą rzeźbą. Rzeźby były wszędzie; ta będzie tylko kolejnym obrazem beznadziejnej ułomności człowieka. W ich pojęciu nie liczył się ani pojedynczy człowiek, ani pojedyncze dzieło. To wielka liczba rzeźb miała być ostatecznym dowodem Ładu na nieudolność człowieka. Posągi stanowiły jedynie tło, na którym Bracia moralizowali o poświęceniu i zbawieniu.

Richard zawsze pokornie opowiadał o nocach - prawie bez snu i jedzenia - kiedy to pracował nad pokutą po całym dniu rzeźbienia. Bracia byli z tego zadowoleni, bo bezinteresowne poświęcenie to właściwe lekarstwo na niegodziwość.

Chłopak wziął mniejszy gładzak, wygięty w łuk o zmniejszającym się promieniu, i pracował nad mięśniem przechodzącym w ścięgno, ukazując naprężenie ramienia ujawniające wewnętrzną budowę. Za dnia obserwował innych rzeźbiarzy, żeby poznać wygląd napinających się mięśni. Nocą wzorował się na własnych ramionach, unosząc je ku płonącym lampom, żeby dokładnie odtworzyć rysujące się na ich powierzchni żyły i ścięgna. Czasami korzystał z niewielkiego lustra. Powierzchnia skóry, którą rzeźbił, była wspaniałym pejzażem rozciągającym się ponad kośćmi i mięśniami: zmarszczona w załamaniach, gładka na wygięciach i krągłościach.

Jego wspomnienie o Kahlan było na tyle wyraziste, że prawie w ogóle nie potrzebował innych odnośników do postaci kobiety.

Chciał ukazać w tym posągu zdolność ruchu, determinacji, spełnienia. Poza obu postaci ujawniała ich świadomość. Wyraz ich twarzy, a szczególnie oczu, powinien ukazać najwspanialszą ludzką właściwość: myśl.

Jeżeli posągi, które widywał w Starym Świecie, sławiły niedolę i śmierć, ten był hołdem dla życia.

Mężczyzna i kobieta, których rzeźbił, byli schronieniem przed rozpaczą wywoływaną niewolą. Ucieleśniały wolność ducha. Ucieleśniały rozum wyzwalający się, żeby zatriumfować.

Richard, ku swemu wielkiemu strapieniu, dostrzegł, że przez świetlik ponad posągiem wpada światło, gasząc blask płonących całą noc lamp. Całą noc; znów to zrobił.

To nie rodzaj światła - które teraz, prawdę mówiąc, bardzo go cieszyło - go zirytował, ale fakt, że oznaczało koniec pracy nad posągiem; musiał już iść rzeźbić brzydotę na fasadę pałacu. Ale ta praca na szczęście nie wymagała

ani myślenia, ani celowego wysiłku.

Kiedy przeciągał gładzakiem po mięśniach barku mężczyzny, ktoś zapukał do drzwi.

- Richardzie?

To był Victor. Chłopak westchnął; musiał kończyć. Zsunął z nosa i ust czerwone płótno obwiązane wokół szyi, które chroniło go przed wdychaniem marmurowego pyłu. To Victor mu o tym opowiedział; tak robili rzeźbiarze w jego rodzinnym mieście, Cavaturze.

- Zaraz wyjdę.

Richard zszedł ze stopnia utworzonego przez podstawę posągu, z której - od połowy łydek - wynurzały się nogi obu postaci. Przeciągnął się i dopiero teraz poczuł, jak bardzo go bołą plecy od pochylania się, od braku snu. Podniósł płócienną osłonę i otrzepał z pyłu. Nim zarzucił osłonę na posąg, przyjrzał się obu postaciom. Podłoga, półki i narzędzia były pokryte cieniutką warstwą marmurowego pyłu. Ale marmur, oświetlony padającym z góry blaskiem, jaśniał wspaniale na tle czarnych ścian.

Chłopak zarzucił osłonę na obie nie ukończone postaci i otworzył drzwi.

- Wyglądasz jak duch - oznajmił Victor z krzywym uśmiechem.

Richard się otrzepał.

- Zapomniałem o upływie czasu.

- Zagłądałeś tej nocy do kuźni?

- Do kuźni? Nie, a co?

Kował znów się uśmiechał, tym razem szerzej.

- Wczoraj Ishaq przywiózł od Priski tarczę z brązu. Chodź, popatrz.

Po drugiej stronie kuźni, w magazynie, złożono fragmenty brązu. Był zbyt duży, żeby Priska mógł go odlać w całości, więc zrobił kilka części, które Victor miał zmontować. Podstawa pod tarczę zegara była masywna. Priska wiedział, że to pod rzeźbę Richarda, więc wykonał robotę, z której mógł być dumny.

- To piękne - powiedział chłopak.

- Prawda? Widywałem już jego wspaniałe dzieła, ale tym razem Priska przeszedł samego siebie. - Victor kucnął i przesunął palcem po dziwnych znakach wypełnionych czernią. - Priska powiedział, że niegdyś, dawno temu, jego rodzinne miasto, Altur'Rang, było wolne, ale utraciło tę wolność jak wiele innych miast. W hołdzie dla tamtych czasów wykonał ów odlew ze

znakami w swoim rodzimym języku. Brat Narev to widział i był zadowolony, bo myślał, że to w hołdzie dla imperatora, który też pochodzi z Altur'Rang.

Richard westchnął.

- Słowa Priski są równie gładkie jak jego odlewy.

- Zjesz ze mną trochę lardo? - zapytał Victor, wstając.

Słońce było już dość wysoko. Richard wyciągnął szyję i spojrzał na plac budowy.

- Lepiej nie. Muszę iść do pracy. - Ugiął kolana i uniósł jeden skraj podstawy. - Ale najpierw pokaż mi, jak to będzie.

Victor podniósł drugi brzeg i razem ponieśli ciężki brąz dokoła kuźni. Kiedy Richard otworzył dwuskrzydłowe drzwi, kowal po raz pierwszy zobaczył posąg, co prawda zakryty; widać było tylko dwa okrągłe wybrzuszenia - głowy. Ale i tak mężczyzna sycił oczy. Ich wyraz świadczył, jak wyobraźnia podsuwa mu obrazy odpowiadające jego najśłodszym nadziejom.

- Jak tam twój posąg? - Victor stuknął Richarda łokciem. - Piękno?

Richard nie mógł powstrzymać błogiego uśmiechu.

- Ach, Victorze, sam wkrótce zobaczysz. Poświęcenie już za kilka tygodni. Zdążę. To będzie coś, co sprawi, że nasze serca zaśpiewają... zanim tamci mnie zabiją.

Kowal zamaszystym gestem zbył te słowa.

- Mam nadzieję, że to pochwalą, kiedy znów zobaczą takie piękno w swoim pałacu.

Chłopak nie miał takich złudzeń. Coś sobie przypomniał i wyjął z kieszeni kawałek papieru. Podał go Victorowi.

- Nie chciałem, żeby Priska umieszczał napis na otoku zegara, by tych słów nie zobaczyli niewłaściwi ludzie. Proszę, żebyś je wygrawerował z tyłu, tej samej wysokości co znaki w przedniej części.

Kowal wziął kartę papieru, rozłożył ją. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Z nie ukrywanym zdumieniem spojrzał na Richarda.

- To zdrada.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Mogą mnie zabić tylko raz.

- Mogą cię długo torturować, zanim cię zabiją. Mają też okropnie nieprzyjemne metody zabijania ludzi, Richardzie. Czy widziałeś kiedy

pochowanego w niebie jeszcze żywego człowieka, krwawiącego z tysiąca ran, ze związanymi rękami, żeby sępy mogły się sycić jego żywym ciałem?

- Ład już związał mi ręce, Victorze. A kiedy pracuję tam, na dole, i widzę wokół siebie śmierć, krwawię z tysiąca ran. Sępy Ładu już sycą się moim ciałem. - Stanowczo spojrział kowalowi w oczy. - Zrobisz to?

Victor znów popatrzył na kartkę. Głęboko wciągnął powietrze, a potem powoli je wypuścił, wpatrując się w napis.

- Może te słowa to zdrada, ale podobają mi się. Zrobię to.

Richard klepnął go w ramię i uśmiechnął się doń z wdzięcznością.

- Dobry z ciebie chłop. A teraz spójrz tutaj, gdzie będzie mocowany cokół. Chłopak uniósł pokrowiec, odsłaniając podstawę.

- Wyrzeźbiłem ci płaską powierzchnię nachyloną pod właściwym kątem. Nie wiem, gdzie są otwory w odlewie, więc tobie pozostawiłem wywiercenie ich i wypełnienie ołowiem, żeby to potem można było spać. Kiedy już osadzisz cokół, będę mógł ocenić, pod jakim kątem wywiercić otwór do zamocowania gnomonu.

Victor skinął głową.

- Gnomon wkrótce będzie gotów. Zrobię ci wiertło tych samych rozmiarów.

- Dobrze. A okrągły skrobak, żebyś mógł dokładnie dopasować otwór?

- Będziesz go mieć - powiedział kowal, kiedy się podnosili; wskazał osłonięty posąg. - Wierzysz, że nie zerknę, kiedy ty będziesz rzeźbił tamte paskudztwa?

Richard zaśmiał się.

- Wiem, Victorze, że najbardziej chciałbyś zobaczyć posąg w całej krasie, kiedy już będzie skończony. Za nic nie zepsujesz sobie tej przyjemności.

Mistrz wybuchnął swoim grzmiącym śmiechem.

- Masz rację. Przyjdź po robocie. Zjemy lardo, pogadamy o pięknie w kamieniu i o tym, jaki był niegdyś świat.

Richard prawie nie słyszał Victora. Wpatrywał się w to, co tak dobrze znał. Teraz było to zakryte przed jego oczami, ale nie przed jego duszą.

Mógł już rozpocząć polerowanie. Przemianę marmuru w ciało.

Nicci pochyliła głowę, otuliła się szalem przed lodowatym zimowym wiatrem i pospiesznie szła wąską boczną uliczką. Jakiś idący z przeciwka człowiek potrącił ją - nie dlatego, że się spieszył, ale dlatego, że nie dbał,

gdzie idzie. Nicci spojrzała gniewnie w jego puste oczy. Jej groźne spojrzenie utonęło w bezdennej studni obojętności.

Mocniej przycisnęła do brzucha torbę z ziarnami słonecznika i spieszyła błotnistą uliczką. Trzymała się blisko nie heblowanego szalunku budynków, żeby nie potrącali jej ludzie podążający w przeciwnym kierunku. Ludzie, opatuleni ze względu na nagłe ochłodzenie, szli zaułkiem ku ulicy, szukając pokoi, żywności, odzieży, pracy. Nicci widziała dalej, poza zaułkiem, ludzi siedzących na ziemi, opierających się o domy po drugiej stronie ulicy: patrzyli, nie widząc, na wozy transportujące materiały na budowę pałacu imperatora.

Chciała dotrzeć do piekarni. Powiedziano jej, że może dziś będzie masło. Chciała dostać masło, żeby Richard miał je do chleba. Będzie w domu na kolacji, obiecał. Chciała mu przyrządzić smaczny posiłek. Powinien jeść. Trochę schudł, ale to mu tylko dodało uroku. Wyglądał jak ożywiony posąg - posąg podobny do tych, które widywała dawno temu.

Przypomniała sobie, że kiedy była mała, służące jej matki piekły słonecznikowe ciasteczka. Udało się jej kupić wystarczającą ilość ziarna, żeby upiec Richardowi takie ciasteczka; a może dostanie też do nich masła.

Nicci stawała się coraz bardziej niespokojna. Poświęcenie miało się odbyć za kilka dni. Richard mówił, że posąg będzie gotowy. Był zbyt spokojny, jakby odnalazł wewnętrzny spokój.

Wyglądał jak ktoś, kto pogodził się z zagrażającą mu śmiercią.

Ilekczo z nią rozmawiał, był myślami gdzie indziej, a jego oczy miały ów wyraz, do którego przywiązywała taką wagę. Na pustkowiu, którym było życie, w niedoli, którą było istnienie, była to jedyna nadzieja, jaka Nicci pozostała. Ludzie wokół niej wyglądali wyłącznie śmierci. Tylko w oczach ojca, kiedy była dzieckiem, i teraz w oczach Richarda widziała dowód, że istnieje coś, co nadaje wszystkiemu wartość, jakiś powód do życia.

Nicci zwolniła i w końcu zatrzymała się, usłyszawszy grzechoczące w kubku kamyczki. Był to łatwy do rozpoznania szczepek jej okowów. Całe życie była służką biednych i choć bardzo starała się tego nie słyszeć, nie potrafiła - oto grzechoce jakiś biedny żebrak, czekając na jej pomoc.

Nie mogła pozostać obojętna.

Łzy napłynęły jej do oczu. Tak chciała podać Richardowi chleb i masło. Ale miała tylko jednego srebrnego pensa, a ów żebrak nie miał nic. Poza tym

miała trochę chleba i ziaren słonecznika. Jakże mogła chcieć jeszcze masła do chleba i ciasteczek, skoro ten człowiek nie miał nic?

Wiedziała, że źle robi, chcąc zatrzymać srebrnego pensa, monetę zdobytą przez Richarda potem i wysiłkiem. Była grzeszna, skoro chciała za to kupić Richardowi trochę masła. Kimże był Richard, żeby jeść masło? Był silny. Był sprawny. Dlaczego miał mieć więcej, skoro inni nie mieli nic?

Nicci niemal widziała, jak matka z wolna potrząsa głową, gorzko zawiedziona, że pens dalej tkwi w dłoni Nicci, zamiast wspomóc potrzebującego.

Jak to się działo, że nigdy nie potrafiła dorównać przykładowej moralności matki? Że nigdy nie mogła pokonać swej grzesznej natury?

Odwróciła się powoli i wrzuciła srebrną monetę do kubka żebraka.

Ludzie omijali mężczyznę z daleka. Nie dostrzegali go i starali się nie podejść blisko. Byli głusi na grzechotanie w jego kubku. Jak to możliwe, że jeszcze nie poznali nauk Ładu? Jak mogli nie wspomagać tych w potrzebie? To zawsze zostawiano jej.

Wtedy na niego spojrzała i cofnęła się, dostrzegłszy ohydneho człowieka okutanego w brudne szmaty. Cofnęła się jeszcze bardziej, bo zobaczyła wszy skaczące w strzesze jego tłustych włosów. Łypnął na nią przez szparę w szmatach przesłaniających mu twarz.

A to, co dostrzegła w tej szparze, zaparło jej dech w piersiach. Blizny były okropne, jakby go opaliły ognie samego Opiekuna, ale to oczy zrobiły na niej takie wrażenie; żebrak podniósł się powoli. Brudne paluchy zacisnęły się na jej ramieniu jak szpony.

- Nicci - syknął z przerażającą radością, przyciągając ją ku sobie.

Nie mogła się poruszyć, unieruchomiona jego krzepką łapą i pałającym gniewem spojrzeniem. Była tak blisko, że widziała, jak wesz na nią przeskakuje.

- Kadar Kardeef.

- Więc mnie poznałaś. Nawet teraz?

Milczała, ale oczy musiały zdradzić, iż myślała, że nie żyje, bo odpowiedział na nie zadane pytanie.

- Pamiętasz tamtą dziewczynkę? Tę, o którą tak się troszczyłaś? Nakłoniła mieszkańców miasta, żeby mnie ocalili. Nie pozwoliła, żebym zginął w ogniu, na co mnie skazałaś. Tak cię nienawidziła, że była

zdecydowana mnie uratować. Bezinteresownie się mną zaopiekowała, pomogła swojemu bliźniemu, jak to nakazałaś mieszkańcom. O, chciałem umrzeć. Nie miałem pojęcia, że można tak cierpieć i nadal żyć. I choć tak bardzo chciałem umrzeć, żyłem, bo jeszcze bardziej pragnąłem twojej śmierci. To ty mi to zrobiłaś. Chcę, żeby Opiekun zatopił kły w twojej duszy.

Nicci umyślnie przyjrzała się jego okropnym bliznom.

- I dlatego się zjawiłeś, żeby szukać pomsty.

- Nie, nie za to. Chcę pomsty za to, że zmusiłaś mnie do błagań, które słyszeli moi ludzie. Że pozwoliłaś, by inni słyszeli, jak błagam o życie. To dlatego mnie uratowali. I jeszcze dlatego, że cię nienawidzili. Właśnie za to szukam pomsty: że mi nie pozwoliłaś umrzeć, że skazałaś mnie na życie dziwoląga, któremu przechodzące kobiety wrzucają pensy do kubka.

Nicci uśmiechnęła się doń słodko.

- Skoro chcesz umrzeć, Kadarze, mogę ci wyświadczyć tę przysługę.

Puścił jej ramię, jakby mu paliło palce. Jego wyobraźnia nadawała jej moc, której nie miała. Plunął na nią.

- No to mnie zabij, brudna dziwko. Uśmierć mnie.

Nicci poruszyła nadgarstkiem i już miała w dłoni dakrę. Dakra była noszonym przez Siostry orężem przypominającym nóż. Kiedy ostry czubek wbił się w ofiarę, dotknięcie dakry mocą natychmiast zabijało zranionego. Kadar Kardeef nie wiedział, że Nicci nie ma mocy. Ale dakra - nawet bez wspierającej ją mocy - stanowiła groźną broń, którą można było wbić w serce, a nawet w czaszkę.

Mężczyzna roztropnie się cofnął. Chciał umrzeć, ale bał się tego.

- Czemuś nie poszedł do Jaganga? Nie pozwoliłby ci zostać żebrakiem. Jagang był twoim przyjacielem. Zaopiekowałby się tobą. Nie musiałbyś żebrać.

Kadar Kardeef roześmiał się.

- Podobałoby ci się to, prawda? Patrząc, jak żyję z ochłapów ze stołu Jaganga? Uwielbiałabyś siedzieć u jego boku, napawać się, że widzi mnie w tym stanie, i rzucać mi wspólnie z nim resztki?

- W jakim stanie? Poznaczonego ranami? Przecież obaj byliście już ranni.

Znów złapał ją za przegub.

- Dla Jaganga umarłem jako bohater. Nie chciałbym, żeby wiedział, że błagałem jak każdy słaby głupek, którego miażdżyliśmy pod butami.

Nicci przytknęła mu dąkę do brzucha i cofnęła się.

- No, zabij mnie, Nicci. - Rozłożył ramiona. - Skończ to, jak powinnaś. Nigdy przedtem nie zostawiłaś nie dokończonych roboty. Zabij mnie, bo już dawno powinienem być martwy.

Siostra znów się uśmiechnęła.

- Śmierć to żadna kara. Każdy przeżyty dzień to tysiąc śmierci. Ale ty to przecież wiesz, nieprawdaż, Kadarze?

- Byłem dla ciebie aż taki odpychający, Nicci? Aż taki okrutny?

Jakże mogła mu powiedzieć, że był i że tak bardzo nienawidziła go za to, że czynił z niej swoją zabawkę? To dla dobra wszystkich Ład posługiwał się takimi ludźmi jak Kadar Kardeef. Jakże mogła przedłożyć siebie, swoje sprawy, ponad dobro wszystkich ludzi?

Nicci odwróciła się i pospiesznie odeszła zaułkiem.

- Dziękuję za pensa! - zawołał za nią drwiąco. - Powinnaś spełnić moją prośbę! Powinnaś, Nicci!

Ale ona chciała jedynie dotrzeć do domu i pozbyć się wszy z włosów. Czowała, jak się jej wwiercają w głowę.



## ROZDZIAŁ 64

Richard odsunął od posągu dłoń ze słomą. Strzepał źdźbła ze skórzanego fartucha. Ramiona go bolały od tarcia o marmur słomą lekko namoczoną w delikatnym ścierniwie.

Kiedy jednak zobaczył blask marmuru, jego lśniący połysk, to, jak jaśniał, wchłaniając głęboko światło i oddając je - ogarnęła go radość.

Postaci wynurzały się z iskrzącej się podstawy z surowego marmuru. Na dolnych partiach łydek, tam gdzie nogi wylaniały się z kamienia, wciąż były widoczne ślady ząbkowanych narzędzi używanych do zdzierania cienkich warstw marmuru. Chciał, żeby posąg nosił ślad ludzkiej ręki i tego, że postaci powstały z kamiennego monolitu.

Były niemal dwukrotnie wyższe od niego. Posąg wyrażał również miłość Richarda do Kahlan - nie potrafił inaczej, bo Kahlan była dla niego ideałem kobiety - ale marmurowa postać nie była nią. Byli to prawi, pełni godności ludzie - mężczyzna i kobieta - celowo połączeni. Uzupełniali się. Symbolizowali dwie odrębne części jednej całości: człowieczeństwa.

Przed kilkoma dniami, kiedy Richard pracował na placu budowy Ustronia, Victor i jego robotnicy zamontowali kolistą część zegara słonecznego. Nie zdjęli pokrowca z rzeźby. Potem chłopak umocował pręt służący jako gnomon i dokończył trzymającą go rękę. Pręt tkwił w złotej kuli.

Victor dopiero miał zobaczyć posąg. Nie mógł się doczekać.

Richard patrzył na postaci oświetlone wyłącznie światłem wpadającym przez otwór w suficie. Zwolniono go na ten dzień z pracy na dole, żeby przygotował posąg do przewiezienia wieczorem na plac. Z pomieszczeń za drzwiami prowadzącymi do kuźni nieustannie dobiegały dźwięczne uderzenia młotów - to robotnicy Victora pracowali nad zamówieniami dla pałacu.

Chłopak stał w mroku, słuchał odgłosów kuźni i patrzył na siłę zamkniętą w swoim dziele. Było dokładnie takie, jak postanowił.

Kobieta i mężczyzna sprawiali wrażenie, jakby lada moment mieli zacząć oddychać i zejść z kamiennego cokołu. Mieli kości i mięśnie, ścięgna i ciało.

Kamień przemieniony w ciało.

Brakowało tylko jednego - tylko jedno pozostało do zrobienia.

Richard wziął młotek i ostre dłuto.

Kiedy patrzył na ukończone postaci, chwilami niemal mógł uwierzyć, że - jak się upierała Kahlan - przy rzeźbieniu korzystał z magii. Ale wiedział, że tak nie jest. To był świadomy akt ludzkiego intelektu, nic więcej.

Stał, trzymając w dłoni młotek i dłuto, i patrzył na urzeczywistnioną w marmurze swoją wizję; w owej chwili rozkoszował się największym z dokonań: tym, że jego zrealizowana wizja była dokładnie taka, jak ją sobie wyobraził.

W owej szczególnej chwili była ostatecznie spełniona i tylko jego.

W owej szczególnej chwili była doskonała i niepokalana, nie skażona oceną innych. Było to jego dokonanie i Richard sercem i rozumem czuł jego wartość.

Opadł na kolano przed postaciami. Dotknął czoła chłodnym stalowym dłutem i zamknął oczy; skoncentrował się na tym, co pozostało do zrobienia.

- Nie zawieź mnie dzisiaj, ostrze.

Czerwonym płótnem obwiązany wokół szyi zasłonił usta i nos, żeby nie wdychać marmurowego pyłu. Potem przyłożył dłuto do znaków na płaszczyźnie, którą przygotował tuż nad rdzeniem skazy. Uderzył młotkiem i zaczął rzeźbić na cokole nazwę posągu, by wszyscy ją zobaczyli.

Nicci, ukryta za węglem budynku stojącego za zakolem drogi, patrzyła, jak niżej, na stoku wzgórza, Richard wychodzi z warsztatu, gdzie rzeźbił posąg. Pewnie szedł po zaprzęg, żeby przewieźć swoje dzieło. Zamknął drzwi, ale nie założył łańcucha. Najwyraźniej nie zamierzał na długo odchodzić.

W warsztatach rozrzuconych na stoku wzgórza pracowali robotnicy. Rzemieślnicy - od rymarza po złotnika - bez przerwy czynili zgiełk, piłując, szlifując i stukając młotkami. Nieustanny hałas szarpał nerwy. Choć wielu z przechodzących mężczyzn gapiło się na nią bezczelnie, odstraszała ich gniewnym spojrzeniem.

Gdy tylko Richard zniknął za kuźnią, Nicci zaczęła schodzić drogą. Obiecała mu, że poczeka, aż skończy, i dopiero wtedy przyjdzie zobaczyć. Dotrzymała słowa.

Ale i tak czuła się nieswojo. Miała wrażenie - choć nie wiedziała, skąd się ono bierze - że wdziera się do sanktuarium. Richard nie poprosił jej, żeby

przyszła obejrzyć posąg. Chciał tylko, żeby zaczekała, aż skończy. Skoro skończył, to już nie będzie czekać.

Nicci nie chciała zobaczyć posągu na pałacowym placu, razem z wszystkimi. Pragnęła być z nim sama. Nie obchodził jej Ład i ich zamysły wobec rzeźby. Nie chciała stać z wszystkimi, wśród ludzi, którzy mogliby się nie poznać na jej doniosłości. To była jej osobista sprawa i chciała w samotności obejrzyć posąg.

Dotarła do drzwi; nikt jej nie zaczepił ani nawet nie zwrócił na nią uwagi. Rozejrzała się w jasnym, nieco mglistym świetle popołudnia, ale zobaczyła wyłącznie ludzi zajętych pracą. Uchyliła drzwi i wśliznęła się do środka.

Pomieszczenie było ciemne, o czarnych ścianach, lecz światło wpadające przez okno w wysokim dachu znakomicie oświetlało posąg. Nicci nie podniosła nań wzroku; patrzyła w podłogę i pospiesznie obeszła wysoką rzeźbę, chcąc ją po raz pierwszy zobaczyć od przodu.

Stała i odwróciła się, serce jej łomotało.

Przesuwała wzrok po nogach, strojach, rękach i ciałach dwojga ludzi, aż dotarła do ich twarzy. Miała wrażenie, że jej serce się zatrzymało, ściśnięte olbrzymią dłonią.

To było to, co widziała w oczach Richarda - urzeczywistnione w jaśniejącym białym marmurze. Ta zrealizowana wizja porażała jak błysk pioruna.

W owej chwili do Nicci w jednym gwałtownym błysku powróciło całe jej życie: wszystko, co się jej kiedykolwiek przydarzyło, wszystko, co zobaczyła, usłyszała lub zrobiła. Krzyknęła, boleśnie porażona pięknem posągu, a zwłaszcza wspaniałością tego, co symbolizował.

Spojrzała na tytuł widoczny na cokole:

**ŻYCIE.**

Osunęła się na ziemię, zalana łzami, strasznie zawstydzona, pełna odrazy, przerażona w nagłym oślepiającym zrozumieniu... Przepelniona wielką radością.

## ROZDZIAŁ 65

Kiedy Richard wrócił z cienkim, białym lnianym płótnem, które kupił, żeby zakryć posąg aż do ceremonii, pomógł Ishaqowi i wielu innym, których znał z budowy, w żmudnym i powolnym przeciąganiu rzeźby na plac. Na szczęście od jakiegoś czasu nie padało i ziemia była twarda.

Ishaq dobrze znał się na takich sprawach; przywiózł nasmarowane drewniane płozy, które umieszczono przed masywnymi drewnianymi szynami podtrzymującymi drewnianą platformę z posągiem. Dzięki temu koniom łatwiej było ciągnąć ciężar. Kiedy posąg przeciągano na drugi zestaw nasmarowanych płóz, robotnicy przenosili do przodu te wykorzystane i tak oto - „skokami” - przesuwano rzeźbę.

Stok wzgórza był biały od marmurowego rumoszu, więc posąg ważył o wiele mniej niż blok, w którym kiedyś tkwił. Victor musiał przedtem wynająć specjalne platformy, żeby przewieźć monolit. Nie mogli teraz z nich skorzystać, bo posągu nie można było położyć na boku ani się z nim zbyt obcesowo obchodzić.

Kiedy przeciągali rzeźbę, Ishaq wymachiwał trzymanym w garści czerwonym kapeluszem, wyrzaskiwał nakazy, ostrzeżenia i błagalne prośby. Richard wiedział, że jego posąg nie mógł trafić w lepsze ręce. Pomocnikom udzieliło się nerwowe napięcie Ishaqa. Czuli, że to coś ważnego, i - choć praca była ciężka - czerpali z niej większe zadowolenie niż z codziennego trudu na budowie. Dopiero późnym popołudniem posąg dotarł do stóp schodów prowadzących na plac.

Robotnicy zbudowali tam mocno ubitą ziemną rampę, żeby ułatwić zmianę kąta nachylenia. Za kolumnami ustawiono dziesięciokonny zaprzęg. Przez puste jeszcze otwory okien i drzwi przeciągnięto długie liny i zamocowano je wokół marmurowego cokołu, żeby wciągnąć sanie po stopniach. U szczytu rampy ułożono dodatkowe płozy, które potem - w miarę jak posąg będzie się posuwał w górę - zostaną przeniesione na schody. Na ponagląjące krzyki Ishaqa zbiegło się niemal dwustu ludzi, żeby ciągnąć liny wraz z końmi. Posąg cal po calu wstępował po schodach.

Richard ledwo mógł na to patrzeć. Gdyby coś się nie udało, jego dzieło przewróciłoby się i roztrzaskało na kawałki. Skaza całkowicie by je

zniszczyła. Uśmiechnął się do siebie, uświadamiając sobie, jaką głupotą było trapienie się, że mógłby się zniszczyć dowód jego występku przeciwko Ładowi.

Kiedy rzeźba w końcu dotarła bezpiecznie na plac, pod platformę nabito piachu, żeby ją podtrzymywał. Dopiero wtedy wyjęto ciężkie płozy i zsunięto platformę z usypanego wzgórką. Teraz już względnie łatwo było ściągnąć rzeźbę z drewnianej podstawy. Wreszcie stanęła na placu, marmur na marmurze. Grupy robotników, ciągnąc za liny umocowane wokół cokołu, przesunęły posąg na miejsce przeznaczenia, na środek placu.

Kiedy było już po wszystkim, Ishaq stanął obok Richarda i otarł czoło czerwonym kapeluszem. Posąg i tarczę okrywało białe lniane płótno przytrzymywane liną, więc Ishaq jeszcze nic nie widział. Czuł jednak, że wznosi się przed nim coś doniosłego. Zadał tylko jedno krótkie pytanie:

- Kiedy?

Richard wiedział, o co chodzi.

- Sam nie wiem. Brat Narev ma poświęcić pałac Stwórcy jutro, w obecności wszystkich urzędników, którzy się tu zjechali, żeby zobaczyć, na co idą pieniądze wyduszane przez nich z ludzi. Wydaje mi się, że ci urzędnicy i wszyscy, którzy przyjdą na ceremonię, zobaczą rzeźbę i resztę pałacu. To tylko kolejny przykład zdania Ładu o miejscu człowieka, więc nie sądzę, żeby planowali odsłonięcie albo coś w tym rodzaju.

Z wiadomości Richarda wynikało, że ceremonia była dla Braci sprawą wielkiej wagi. Olbrzymie wydatki na pałac, połączone z kosztami wojny, wymagały usprawiedliwienia przed ludźmi, którzy płacili nie tylko daninę potu, ale i krwi. Bractwo Ładu rządziło za pośrednictwem Imperialnego Ładu przy niezbędnym współudziale zbirów, którym udzielało moralnego przyzwolenia. Okrutnicy mogli bez trudu zmiażdżyć ciała tych, którzy się zbuntowali, ale Bracia chcieli również zniszczyć idee, które ów bunt wyrażał. Nie chcieli, żeby zdążyły się rozprzestrzenić - bo to właśnie owe idee stanowiły dla nich największe zagrożenie. I właśnie dlatego należało odpowiednio umotywić urzędników: służalców tyranii Ładu.

Richard sądził, że Bracia - wspomagając się tysiącami stóp płaskorzeźb ukazujących moralne zepsucie ludzi - będą nauczać stadko przybyłych z daleka urzędników o wszelkich niedoskonałościach człowieka i przymuszać ich tym do obowiązku oddania pieniędzy, które zdążyli już skonfiskować

pod groźbą miecza. Miecza, który dzierżyli za moralnym przyzwoleniem Braci z Bractwa Ładu. Takim pomniejszonym urzędnikom pozwalano zostawiać sobie część łupu za służbę Ładowi, ale Bracia bez wątpienia chcieli ich skutecznie odstraszyć od zbytniego powiększania przywłaszczonej części.

Kierowany przez Braci kolektyw Ładu, jak każda autokratyczna władza, rządził w końcu za przyzwoleniem ludzi, nad którymi panowano albo moralnym zastraszeniem, albo fizycznym zagrożeniem, albo jednym i drugim. Tyrania wymagała stałej pieczy, bo inaczej ponura rzeczywistość rozwiałaby złudzenie sprawiedliwej władzy i lud pokonałby okrutników, nad którymi górował liczebnie.

Właśnie dlatego Richard uznał, że nie może być wodzem: nie zdołałby zmusić ludzi, by zrozumieli, że przymus jest złem, ponieważ ich życie jest bardzo cenne; za to Ład mógł ich zmusić do posłuszeństwa, wmawiając im najpierw, że ich życie nie ma żadnej wartości. Nad wolnymi ludźmi nie można panować. Żeby żądać wolności, trzeba ją najpierw zacząć cenić.

- Słyszałem, że to ma być wielkie wydarzenie - powiedział Ishaq. - Ludzie ściągają zewsząd na poświęcenie pałacu imperatora. W mieście pełno jest przybyszów z bliska i z daleka.

Robotnicy wracali do swoich obowiązków, a Richard rozejrzał się po terenie budowy.

- Dziwię się, że żaden z urzędników nie przyszedł, żeby wcześniej obejrzyć pałac.

Ishaq lekceważąco machnął kapeluszem.

- Wszyscy są na zgromadzeniu Bractwa Ładu. W centrum Altur'Rang. To wielkie przyjęcie. Jedzenie, picie, przemowy Braci. Przecież wiesz, jak Ład lubi zebrania. To musi być okropnie nudne. Z tego, co wiem o takich wydarzeniach, wynika, że urzędnicy będą musieli słuchać o potrzebach Ładu i o tym, że mają obowiązek nakłaniać ludzi, by poświęcali się dla tych potrzeb. Bracia będą ich trzymać w ryzach.

To oznaczało, że wszyscy Bracia będą zajęci - zbyt zajęci, żeby się zjawić na placu budowy tylko po to, by sprawdzić posąg wyrzeźbiony przez jednego z ich niewolników. W końcu dzieło Richarda samo w sobie nie miało znaczenia. Miało być jedynie punktem wyjściowym procesji wokół ciągnących się całymi milami ścian, pokrytych pełnymi rozmachu scenami

ukazującymi doniosłość sprawy Ładu, nad którą czuwali Bracia kierowani przez Brata Nareva.

Nawet jeśli urzędnicy i Bracia byli zbyt zajęci, żeby tego dnia zjawić się w Ustroniu, to mieszkańcy miasta nie. Większość z nich prawdopodobnie zamierzała wziąć udział w uroczystościach, ale najpierw chcieli się wszystkiemu sami przyjrzeć, bez nudnych przemów, które przedłużają ceremonię. Richard widział, jak wielu z nich przechodzi od jednej sceny na murach do drugiej; twarze mieli udręczone tym, co widzieli.

Strażnicy trzymali ludzi we właściwej odległości, z dala od labiryntu pałacowych komnat i korytarzy przykrytych już stropem wyższego piętra, a w niektórych miejscach i dachem. Posąg stał teraz na swoim miejscu i strażnicy zjawili się, żeby oczyścić wejście na plac.

W minionym tygodniu Richard spał jedynie parę godzin. Teraz, kiedy posąg stał już na miejscu, dopadło go zmęczenie. Wyczerpany ciężką pracą, brakiem snu i skąpym pożywieniem, był prawie gotów położyć się tam, gdzie stał.

Z wydłużających się cieni wyłonił się Victor. Niektórzy robotnicy odchodzili, ale inni zostawali jeszcze na kilka godzin. Richard nawet nie zdawał sobie sprawy, że przeciągnięcie rzeźby zajęło większą część dnia. Ochłonął już po wysiłku i teraz przesiąknięta potem koszula wydawała mu się zimna jak lód.

- Proszę - powiedział Victor, podając mu plaster lardo - zjedz. Dla uczczenia twojego dzieła.

Richard podziękował przyjacielowi i pochłonął lardo. W głowie mu huczało. Zrobił, co tylko mógł, żeby ukazać ludziom to, co powinni zobaczyć. Wykonał zadanie i nagle poczuł się zagubiony. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak żałuje, że już skończył, jak mu brakuje wspaniałej pracy. Dodawała mu ducha.

- Ledwie się trzymam na nogach, Ishaqu. Mógłbym część drogi do domu przejechać twoim wozem?

Ishaq klepnął go w plecy.

- Chodź, przejedziesz się w tyle wozu. Jestem pewny, że Jori nie będzie miał nic przeciwko temu. Zaoszczędzi ci część spaceru. Ja muszę tu zostać, zając się wozami i końmi.

Richard podziękował uśmiechniętemu Victorowi.

- Rankiem, przyjaciele, w pełnym blasku, zdejmemy osłonę i po raz ostatni zobaczymy piękno. A potem... no cóż, któż to wie.

- No, to do jutra - odparł kowal ze swoim szelmowskim śmiechem. - Chyba dziś nie zasnę! - zawołał za Richardem.

Chłopak miał wrażenie, że nagle zważyło się nań wielomiesięczne wyczerpanie. Wdrapał się na tył wozu Ishaq'a i życzył mu dobrej nocy. Kiedy Ishaq odszedł, Richard zwinął się w kłębek pod brezentem, żeby się osłonić od światła, i zasnął przed powrotem Joriego. Wóz jechał, a on nie miał pojęcia, co się wokół niego dzieje.

Nicci patrzyła, jak Richard odchodzi z Ishakiem. Chciała to zrobić sama. To miała być jej część zadania. Też chciała zrobić coś wartościowego.

Tylko wtedy będzie mu mogła spojrzeć w oczy.

Doskonale wiedziała, jak Ład zareaguje na posąg. Potraktują to jako zdradę. Nie pozwolą, żeby ludzie to zobaczyli. Ład zniszczy posąg. Rzeźba przestanie istnieć. Nikt nigdy się o niej nie dowie.

Splotła palce i zastanawiała się, jak postąpić - od czego zacząć. I nagle zrozumiała. Już u niego była. Pomógł Richardowi. Był jego przyjacielem. Nicci pospieszyła przez rozległy teren budowy, a potem w górę stoku.

Zadyszana dotarła do kuźni. Ponury kowal porządkował narzędzia. Już obsypał węgle w palenisku. Zapachy, widoki, a nawet warstwa żelazistego pyłu i sadzy wywołała radosne wspomnienia warsztatu ojca. Teraz rozumiała ów wyraz ojcowskich oczu. Wątpiła, czy on sam w pełni to rozumiał, ale ona teraz pojmowała. Kiedy wpadła do kuźni, mistrz spojrział na nią bez uśmiechu.

- Panie Cascella! Jest mi pan potrzebny.

Jeszcze bardziej się zachmurzył.

- O co chodzi? Czemu krzyczysz? Idzie o Richarda? Czy oni...

- Nie. To nie to. - Złapała jego krzepką dłoń i starała się go pociągnąć za sobą; jakby chciała ruszyć z miejsca skałę. - Chodź ze mną, proszę. To bardzo ważne.

Drugą dłonią wskazał kuźnię.

- Ale muszę to uprzątnąć na noc.

Znow go szarpnęła. Czuła, jak łyzy palą jej oczy.

- Błagam! To ważne!

Otarł twarz wolną ręką.



- No, to prowadź.

Nicci trochę głupio się czuła, pędząc w dół wzgórza i ciągnąc za rękę krzepkiego kowala. Spytał, dokąd idą, ale nie odpowiedziała. Chciała dotrzeć na miejsce, zanim zrobi się ciemno.

Kiedy tam dotarli, strażnicy chodzili u szczytu schodów i nikogo nie wpuszczali na plac. Nicci dostrzegła w pobliżu Ishaqą ładującego na wóz długie deski. Zawołała go; zobaczył przy niej kowala, więc przybiegł.

- Nicci! Co się stało? Okropnie wyglądasz...

- Muszę wam pokazać posąg. Natychmiast.

Victor znów się zasepił.

- Ma być odsłonięty jutro, kiedy Richard...

- Nie! Musicie go zobaczyć teraz.

Obaj zamilkli. Ishaq nachylił się ku niej i ukradkiem wskazał na schody.

- Nie możemy tam wejść. Pilnują.

- Ja mogę. - Nicci gniewnie otarła łzy z policzków; jej głos odzyskał władczy ton, którym tak często się posługiwała, ponurą intonacją, z którą decydowała o życiu tylu ludzi i wysyłała ich na śmierć. - Zaczekajcie tutaj.

Groźba w jej oczach sprawiła, że się cofnęli.

Nicci wyprostowała się. Dumnie uniosła głowę. Była Siostrą Mroku.

Spokojnie wstąpiła po schodach, jakby pałac należał do niej. Była Królową-Niewolnicą. Mogła im rozkazywać. Była Panią Śmierci.

Strażnicy podeszli do niej ostrożnie; wyczuwali, że ta kobieta w czerni stanowi zagrożenie. Odezwała się, zanim oni zdążyli to zrobić.

- Co wy tu robicie? - syknęła.

- Co my tu robimy? - zapytał jeden z nich. - Pilnujemy pałacu imperatora, oto, co robimy.

- Jak śmiesz mi impertynencko odpowiadać?! Wiesz, kim jestem?!

- Nooo... Nie wydaje mi się...

- Jestem Pani Śmierci. Może o mnie słyszałeś?

Dwunastu strażników znieruchomiało. Widziała, jak patrzą na jej czarną suknię, długie blond włosy, błękitne oczy. Nicci nie miała wątpliwości - zdradziła to ich reakcja - że wyprzedziła ją jej sława. Odezwała się, zanim oni zdążyli to zrobić.

- A co według was robi tutaj małżonka imperatora Jaganga? Uważacie, że zjawiłam się bez mojego pana? Jasne, że nie, głupcy!

- Imperator... - wymamrotało kilku, wstrząśniętych.

- Otóż to, imperator przybywa na jutrzejsze poświęcenie. Zjawiłam się, żeby najpierw sama wszystko sprawdzić, i cóż widzę? Głupcy! Tkwicie tutaj niczym ślepi i głusi, a powinniście czekać, żeby powitać Jego Ekscelencję, który za kilka godzin wjedzie do miasta.

Strażnicy szeroko otworzyli oczy.

- Ale... nikt nam nic nie mówił. Z której strony nadjedzie? Nie powiedziano nam.

- Wydaje się wam, że ktoś tak ważny jak Jagang życzy sobie, by ujawniać jego miejsce pobytu i tym samym ułatwiać asasynom odnalezienie go? Wy tutaj, głupcy, sterczycie, a co, jeżeli tam czyhają asasyni?

Wszyscy żołnierze pospiesznie się skłonili.

- Gdzie? - spytał sierżant. - Skąd nadjeżdża Jego Ekscelencja?

- Od północy.

Sierżant oblizał wargi.

- Ale którą drogą od północy? Jest wiele dróg...

Nicci wsparła się pod boki.

- Sądzisz, że Jego Ekscelencja z góry anonsuje trasę podróży? I to takim jak ty? Gdyby pilnowano tylko jednej drogi, każdy asasyn wiedziałby, skąd się spodziewać imperatora, czyż nie? Wszystkie drogi mają być strzeżone! A wy tu stoicie!

Żołnierze nerwowo kłaniali się i kiwali głowami, chcąc pospieszyć do swoich obowiązków, ale nie mieli pojęcia, dokąd iść. Nicci zgrzytnęła zębami i pochyliła się ku sierżantowi.

- Zabierz swoich ludzi na jedną z północnych dróg. Natychmiast. To twój obowiązek. Wszystkie drogi mają być strzeżone. Wybierz którąś!

Żołnierze znów się skłonili i cofnęli. Przeszli kilka stóp, a potem ruszyli biegiem. Nicci patrzyła, jak po drodze zwołują innych.

Kiedy zniknęli z placu, odwróciła się ku obu zaskoczonym mężczyznom. Weszli po schodach, teraz już bez przeszkód ze strony strażników. Część osób chodzących po brukowanych drózkach i oglądających płaskorzeźby na ścianach usłyszała wrzaski i patrzyła, co Nicci robi. Kobiety - klęczące i modlące się przed scenami ukazującymi Światło padające na zdeprawowanych ludzi - spoglądały przez ramię.

Victor i Ishaq znaleźli się na placu; Nicci rozwiązała linę, chwyciła płótno

i zerwała je z posągu.

Obaj mężczyźni znieruchomieli.

Mury otaczające półkolem plac pokrywały sceny ukazujące niedociągnięcia człowieka. Wszędzie wokół człowiek był przedstawiony jako marny, zdeprawowany, zdeformowany, nieudolny, przerażony, okrutny, pozbawiony rozumu, niegodziwy, zachłanny, zepsuty i grzeszny. Wiecznie rozdarty między mocami spoza tego świata, które kontrolowały każdy aspekt jego nędznej egzystencji, niepojętego bytowania wśród kłębiącego się zła, skąd jedyna droga do zbawienia wiodła poprzez śmierć.

Ci zaś, którzy odnaleźli prawość na tym świecie, chronieni przez Światło Stwórcy, wyglądali na pozbawionych życia; ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć ni rozbudzonej świadomości, ciała były równie sztywne, jak u trupów. Patrzyli na świat w bezrozumnym otępieniu, a wokół nich tańczyły szczury, pod ich nogami wiły się węże, nad ich głowami natomiast unosiły się sępy. A na tle owego kłębowiska udręczonego życia, owego kataklizmu zepsucia moralnego, owej deprawacji i wyuzdania - wznosił się posąg Richarda, zuchwale i płomiennie się temu przeciwstawiając.

Był druzgocącym oskarżeniem tego wszystkiego.

Cała brzydota otaczająca posąg Richarda straciła jakiegokolwiek znaczenie. Zło z płaskorzeźb ujawniało teraz, w obliczu nie skażonego piękna i prawdy, jakim było oszustwem.

Obie postaci tworzyły harmonijną całość. Jedna szczyciła się swoją męskością. Druga, ubrana, nie tajiła swojej kobiecości. Oboje odzwierciedlali umiłowanie człowieczeństwa: cielesnego, szlachetnego, nieskażonego. Otaczające ich zło cofało się w przerażeniu przed tą szlachetną czystością.

A poza tym w posągu Richarda nie było sprzeczności; obie postaci przejawiały świadomość, rozumność, wolę. Manifestowały ludzką energię, możliwości, stanowczość. To była sama istota życia. Ludzie stojący dumnie przed innymi z własnej, nieprzymuszonej woli.

To było dokładnie to, co oznaczało słowo na cokole:

**ŻYCIE.**

To było życie takie, jakie powinno być: dumne, rozumne, wolne. Rzeźba była słuszną pochwałą jednostki i szlachetności ludzkiego ducha.

Płaskorzeźby ze ścian miały jedną odpowiedź: śmierć.

Posąg zaś przedstawiał życie.

Victor i Ishaq klęczeli i szlochali.

Kowal wyciągnął ręce ku stojącemu przed nim posągowi i śmiał się przez łzy.

- Zrobił to. Zrobił, jak zapowiadał. Kamień przemieniony w ciało. Szlachetność. Piękno.

Ludzie, którzy przyszli obejrzyć płaskorzeźby, zaczęli się teraz gromadzić, by zobaczyć, co stoi pośrodku placu. Patrzyli szeroko otwartymi oczami; wielu z nich po raz pierwszy zetknęło się z pojęciem człowieka jako istoty prawej z natury. Owa deklaracja była tak niepodważalna, że unieważniała wszystko, co przekazywały ściany. Zrealizował ją w marmurze człowiek, co jeszcze podkreślało jej prawdziwość.

Wielu ludzi doznało tego samego objawienia co Nicci.

Rzeźbiarze porzucali pracę i szli zobaczyć, co stoi na placu. Murarze schodzili z rusztowań. Pomocnicy odstawiali cebrzyki z zaprawą. Cieśle przestawali osadzać belki i schodzili na dół. Kaflarze odkładali dłuta. Woźnice wiązali konie. Robotnicy kopiący i obsadzający okoliczne tereny odkładali łopaty. Ze wszystkich stron ludzie ciągnęli ku posągowi na placu.

Coraz więcej ludzi nadchodziło schodami. Płynęli wokół posągu, patrząc nań z zachwytem i podziwem. Wielu ze szlochaniem padało na kolana; płakali nie z udręki, jak przedtem, ale z radości. Wielu, jak kowal, śmiało się, a łzy zachwytu płynęły po ich szczęśliwych twarzach. Nieliczni w przerażeniu zasłaniali oczy.

Kiedy się już napatrzyli, rozbiegali się po innych. I wkrótce robotnicy nadchodzili z warsztatów na wzgórzu, by zobaczyć, co stoi na placu. Mężczyźni i kobiety, którzy przyszli zobaczyć budowę, biegli do domów po bliskich, żeby im pokazać, co stało przed pałacem imperatora.

To było coś, czego większość z nich nigdy nie widziała.

To był wzrok dla ślepego.

To była woda dla spragnionego.

To było życie dla umierającego.

## ROZDZIAŁ 66

Kahlan wyjęła mapę i rzuciła na nią okiem. Trudno było mieć pewność. Spojrzała w górę i w dół ulicy: inne domy nie były tak dobrze utrzymane.

- Jak myślisz? - spytała cicho Cara.

Kahlan wsunęła mapę pod pelerynę. Poprawiła okrycie na ramionach, upewniając się, że zakrywa rękojeść przytroczonego na plecach Miecza Prawdy. Jej własny miecz też był ukryty pod peleryną. Na szczęście właśnie zaszło słońce.

- Nie wiem. Jest już dość ciemno. Chyba tylko w jeden sposób możemy się upewnić.

Cara zerknęła na popatrujących na nie ludzi. Większość mieszkańców Altur'Rang odznaczała się zadziwiającą obojętnością. Konie zostawiły poza miastem, więc w razie nagłej potrzeby nie mogłyby szybko uciec. Obojętność ludzi zmniejszyła niepokój Kahlan.

Postanowiły, że będą się jak najmniej rzucać w oczy. Kahlan sądziła, że w swoich podróżnych strojach wyglądają całkiem zwyczajnie, ale w miejscu tak bezbarwnym jak Altur'Rang raczej trudno im było się nie wyróżniać. Teraz żałowała, że nie miały czasu, by znaleźć jakieś podniszczone ubrania. Czują, że rzucają się w oczy równie mało, jak para wymalowanych dziwek na wiejskim jarmarku.

Weszła po schodach tak pewnie, jakby wiedziała, dokąd idzie, i miała do tego prawo. Korytarz był czysty. Pachniała świeżo umyta drewniana podłoga. Kahlan - Cara deptała jej po piętach - ruszyła ku pierwszym drzwiom po prawej. W głębi korytarza widziała schody. Jeżeli to był właściwy dom, to powinny to być właściwe drzwi.

Matka Spowiedniczka rozejrzała się i delikatnie zastukała. Żadnej odpowiedzi. Ponownie zapukała, trochę mocniej. Poruszyła klamką - zamknięte. Znów sprawdziła korytarz, wyjęła zza pasa nóż i wsunęła ostrze pomiędzy drzwi a framugę; podważała zasuwkę, aż drzwi się otworzyły. Złapała Carę za rękaw i wciągnęła za sobą do środka.

Wewnątrz stanęły w gotowości do walki. Pokój był pusty. W świetle padającym z dwu okien Kahlan zobaczyła najpierw dwa łóżka. A potem plecak Richarda.

Uklęka przy nim, otworzyła go - w środku były rzeczy chłopaka. Na samym dnie leżał strój czarodzieja wojny. Bliska łez, przycisnęła plecak do piersi.

Nie widziała go od ponad roku. Nie było go przy niej przez niemal połowę ich znajomości. Nie zniesie już ani chwili rozłąki.

Nagle usłyszała jakiś hałas. Cara złapała za przegub młodziana, który wpadł do pokoju, zamierzając się na nie nożem. Jednym płynnym ruchem Mord-Sith wykręciła mu rękę za plecy. Kahlan wyciągnęła ramię.

- Caro! Nie!

Ta wykrzywiła się i cofnęła Agiel od szyi chłopca. Jego oczy rozszerzały strach i oburzenie.

- Złodziejki! Jesteście złodziejkami! To nie wasze! Odłóż to!

Kahlan podbiegła do niego, gestem nakazując, żeby ściszył głos.

- Jesteś Kamil czy Nabbi?

Chłopiec zamrugał ze zdumienia. Oblizął wargi i obejrzał się przez ramię na górującą nad nim kobietę.

- Kamil. Kim jesteś? Skąd znasz moje imię?

- Jestem przyjaciółką. Gadi mi powiedział...

- To żadna z ciebie przyjaciółka!

Zanim zdążył wrzasnąć o pomoc, Cara zatkała mu dłonią usta. Kahlan uciszyła go.

- Gadi zamordował naszego przyjaciela. Schwytaliśmy go i podał mi twoje imię.

Kiedy zobaczyła, że zaskoczyły go te wieści, dała znak Carze, żeby cofnęła dłoń.

- Gadi kogoś zabił?

- Właśnie - potwierdziła Cara.

Zerknął na nią przez ramię.

- Co mu zrobiłyście? Gadiemu, znaczy.

- Straciliśmy go - odparła Kahlan, nie ujawniając, jak to dokładnie było.

Chłopiec uśmiechnął się.

- No, to naprawdę jesteście przyjaciółkami. Gadi to zły człowiek. Skrzywdził mojego przyjaciela. Mam nadzieję, że cierpiał.

- Długo trwało, zanim umarł - odezwała się Cara.

Młodzieniec przełknął ślinę, kiedy zobaczył jej uśmiech. Kahlan dała

znak Carze, żeby go puściła.

- A wy kim jesteście?

- Ja jestem Kahlan, a ona Cara.

- Co tu robicie?

- To trochę skomplikowane, ale szukamy Richarda.

- Taaa? - Znow stał się podejrzliwy.

Kahlan uśmiechnęła się. Naprawdę był przyjacielem Richarda. Spojrzała mu w oczy i położyła dłoń na ramieniu.

- Jestem jego żoną. Jego prawdziwą żoną.

Chłopiec osłupiał.

- Ale, ale...

- Nicci nie jest jego żoną - powiedziała twardo Kahlan.

Uśmiechnął się, łzy napłynęły mu do oczu.

- Wiedziałem. Wiedziałem, że jej nie kocha. Nigdy nie mogłem pojąć, jak Richard mógł się z nią ożenić.

Kamil nagle objął Kahlan i z całej siły ją uściskał, ciesząc się ze względu na Richarda. Dziewczyna zaśmiała się cicho i pogładziła go po głowie. Cara złapała go za kołnierz i odciągnęła, ale przynajmniej zrobiła to delikatnie.

- A ty? - zapytał ją Kamil.

- Jestem Mord...

- Cara jest dobrą przyjaciółką Richarda.

Nieoczekiwanie Kamil uściskał też Carę. Kahlan wystraszyła się, że Mord-Sith rozłupie mu czaszkę, ale ta zniosła to uprzejmie, choć najwyraźniej czuła się nieswojo. Spowiedniczka pomyślała, że Cara może i zacznie się uśmiechać. Kamil znow spojrzał na Kahlan.

- No to co Richard robi tu z Nicci?

Kahlan głęboko odetchnęła.

- To długa historia.

- Opowiedz.

Przez chwilę wpatrywała się badawczo w jego ciemne oczy. Spodobało jej się to, co w nich zobaczyła. Ale i tak uznała, że lepiej to zawrzeć w kilku słowach.

- Nicci jest czarodziejką. Posłużyła się magią i zmusiła Richarda, żeby z nią poszedł.

- Magią? Jaką magią? - dopytywał się.

Dziewczyna znów głęboko odetchnęła.

- Tą magią mogła mnie zranić, a nawet zabić, gdyby Richard nie zgodził się z nią pójść.

Kamil wzniosł oczy ku niebu i rozmyślał nad jej słowami. Wreszcie kiwnął głową.

- To możliwe. To pasuje do Richarda. Zrobiłby wszystko, żeby ocalić swoją ukochaną. Wiedziałem, że nie kocha Nicci.

- A skąd to wiedziałeś?

Chłopak wskazał na dwa łóżka.

- Nie spał z nią. Założę się, że z tobą śpi, jak jesteście razem.

Kahlan poczuła, jak się rumieni po tych zuchwałych słowach.

- Skąd wiesz?

- Hmm. - Podrapał się w głowę. - Wyglądasz jak jego druga połowa. Kiedy wymawiasz jego imię, czuję, jak ci na nim zależy.

Dziewczyna musiała się uśmiechnąć, choć była ogromnie zmęczona. Od tygodni gnały na złamanie karku. Straciły po drodze kilka koni i musiały kupić nowe. W ostatnim tygodniu mało co spały. Trudno jej było skupić myśli.

- Więc wiesz, gdzie teraz jest Richard? - spytała.

- Na pewno w pracy. Zwykle mniej więcej o tej porze wraca do domu, chyba że i w nocy pracuje.

Kahlan pobieżnie rozejrzała się po pokoju.

- A co z Nicci?

- Nie wiem. Może poszła kupić chleb lub coś innego. To zabawne, przeważnie już dawno jest w domu. Prawie zawsze ma gotową kolację na powrót Richarda.

Matka Spowiedniczka wodziła wzrokiem po mroczniejącym pokoju; od stołu po miednicę i kredens. Przykro by jej było, gdyby odeszła, a on zjawiłby się chwilkę później. Kamil uważał, że to dziwne, iż Nicci jeszcze nie ma w domu. Niepokojące, że obojga nie było.

- Gdzie on pracuje? - spytała Kahlan.

- Na budowie.

- Budowie? Jakiej budowie?

Chłopak wskazał gdzieś w dal.

- Tam, na budowie nowego pałacu imperatora. Jutro jest paradne



poświęcenie.

- Nowy pałac jest skończony?

- O, nie. Jeszcze lata miną, zanim go skończą. Tak naprawdę dopiero zaczęli. Ale teraz chcą go poświęcić Stwórcy. Mnóstwo ludzi przybyło do Altur'Rang na uroczystość.

- Richard jest robotnikiem i pomaga budować pałac?

Kamil skinął głową.

- Jest rzeźbiarzem. Przynajmniej teraz. Przedtem pracował w kompanii przewozowej Ishaq, ale go aresztowali...

Dziewczyna chwyciła go za koszulę.

- Był aresztowany? Oni... go torturowali?

Młodzieniec odwrócił oczy od jej wystraszonej twarzy.

- Dałem Nicci moje pieniądze, żeby mogła tam wejść i zobaczyć go. Ona, Ishaq i kowal Victor wydostali go stamtąd. Był porządnie pokiereszowany. Kiedy wydobrzeł, urzędnicy kazali mu rzeźbić.

Słowa Kamila huczały jej w głowie. Te o wydobrzyeniu Richarda przesłoniły pozostałe.

- I teraz rzeźbi?

Młodzieniec potaknął.

- Rzeźbi ludzi w kamieniu, żeby ozdobić ściany pałacu. Doradza mi przy moich rzeźbach. Mogę ci je pokazać, są na tyłach domu.

Dziw nad dziwy. Richard rzeźbi. Ale wszystkie rzeźby, które widziały w Starym Świecie, były groteskowe. Richard nie chciałby rzeźbić takiej brzydoty. Najwyraźniej nie miał wyboru.

- Może później. - Kahlan pocierała czoło palcami i zastanawiała się, co robić. - Możesz mnie tam teraz zaprowadzić? Na tę budowę, na której pracuje Richard?

- Tak, jeśli chcesz. Ale może najpierw zaczekasz, czy nie wróci do domu? Bo może wkrótce tu być.

- Mówiłeś, że czasami pracuje nocą.

- Przez ostatnie parę miesięcy często pracował w nocy. Rzeźbi dla nich jakiś szczególny posąg. - Twarz Kamila pojaśniała. - Powiedział, żebym jutro poszedł to zobaczyć. Jutro poświęcenie, więc może kończy robotę. Nie mam pojęcia, gdzie pracuje, ale może wie Victor, kowal.

- To powinniśmy pójść do kowala.

Chłopak znów podrapał się po głowie, strapiiony.

- Ale kowal pewnie już zamknął na noc kuźnię.

- A jest tam teraz ktoś?

- Może być mnóstwo ludzi. Całe tłumy chodzą oglądać pałac, sam też byłem, a dziś może być jeszcze więcej ludzi, bo jutro jest ta uroczystość.

To była odpowiednia okazja. Skoro są tam takie tłumy, nie będą się tak rzucać w oczy, szukając Richarda. Będą miały pretekst, żeby się rozglądać.

- Damy mu godzinę - powiedziała Kahlan. - Jeśli w tym czasie nie wróci, to znaczy, że najprawdopodobniej pracuje. Jeśli nie wróci, pójdziemy tam i poszukamy go.

- A jeżeli Nicci się zjawi? - spytała Cara.

Kamil machnął ręką na znak, że nie mają się czym martwić.

- Wyjdę na frontowe schody i będę jej wypatrywać. Wy zaczekajcie tutaj, bo tu nikt was nie ujrzy. Ostrzegę was, jak zobaczę, że Nicci nadchodzi. Kiedy zobaczę, że wraca do domu, zawsze zdążę was wyprowadzić tylnym wyjściem.

Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu i lekko je ścisnęła.

- Podoba mi się ten pomysł, Kamilu. Zaczekamy tutaj.

Chłopiec pospieszył na posterunek. Kahlan rozejrzała się po schludnym pokoju.

- Prześpij się trochę - odezwała się Cara. - Ja będę czuwać. Bo ostatnio ty czuwałaś.

Kahlan była wyczerpana. Spojrzała na łóżko, najbliżej którego leżał plecak Richarda, i kiwnęła głową. Położyła się na jego pościeli. W pokoju robiło się coraz ciemniej. Już to, że leżała tam, gdzie on sypiał, dodało jej otuchy. Ale trudno jej było zasnąć - była tak blisko i jednocześnie tak daleko.

Serce Nicci zamarło, kiedy zobaczyła, że Richarda nie ma w ich pokoju. Nigdzie nie mogła znaleźć Kamila. Tak wspaniale się czuła na budowie, patrząc, jak ci wszyscy ludzie nadchodzą, żeby zobaczyć posąg Richarda. Tłumy ludzi przysły go zobaczyć i zostały podniesione na duchu.

Niektórych rozgniewał. I Nicci to rozumiała. Ale i tak trudno jej było uwierzyć w pełne nienawiści reakcje części ludzi na takie piękno. Pewni ludzie nienawidzili życia. I to także rozumiała. Byli i tacy, którzy nie chcieli dostrzec - nie chcieli zrozumieć.

Ale inni reagowali podobnie jak ona.

Wszystko stało się jasne. Po raz pierwszy życie nabrało dla niej sensu. Richard próbował jej to powiedzieć, ale nie chciała słuchać. I wcześniej słyszała prawdę, ale inni - jej matka, Brat Narev, Ład - zagłuszyli to i odwołując się do jej poczucia wstydu, odwiedli Nicci od słuchania. Matka dobrze ją wyszkoliła i od pierwszego spotkania z Bratem Narevem Nicci była żołnierzem w armii Ładu.

Kiedy ujrzała posąg, wreszcie dostrzegła prawdę, której nigdy nie chciała widzieć, a która teraz nagle jej się objawiła. To było właściwe spojrzenie na życie, którego tak łaknęła, a mimo to unikała przez te wszystkie lata.

Rozumiała teraz, dlaczego życie wydawało się jej takie puste i bezcelowe: sama je takim uczyniła, odmawiając myślenia. Nicci była niewolnicą każdego potrzebującego. Dała swoim panom jedyną prawdziwą broń przeciwko sobie; poddała się ich pokretnym kłamstwom, własnoręcznie wkładając sobie na kark przytłaczające jarzmo winy, z własnej woli stając się niewolnicą kaprysów i żądań innych, zamiast mieć takie życie, jak powinna - własne. Nigdy nie pytała, dlaczego jest sprawiedliwe, że powinna być niewolnicą cudzych żądań, tamci zaś nie czynią źle, ujarzmiając ją. Wcale nie przyczyniała się do polepszenia bytu ludzi, ale była służką niezliczonych małostkowych tyranów. Zło to nie jeden duży byt, ale nie kończące się pasmo małych występków, którym nikt się nie przeciwstawia, dopóki nie rozrosną się w monstra.

Całe życie spędziła na ruchomych piaskach, gdzie nie należało ufać rozsądkowi i rozumowi, gdzie jedynie wiara była słuszną, a ślepa wiara - uświęcona. Sama sobie narzuciła bezrozumne podporządkowanie owemu pozbawionemu treści złu.

Pomagała złączyć wszystkich, żeby tamci, najgorsi z ludzi, mogli - w imieniu dobra - tę kolektywną istotę wziąć na smycz.

Richard odpowiedział na stek ich czcnych kłamstw jedną przepiękną deklaracją, którą wszyscy mogli pojąć, i zaakcentował ją prostymi słowami wrytymi z tyłu brązowej tarczy zegara słonecznego.

Jej życie należało do niej. Nikt nie miał do niej praw.

Wolność istniała przede wszystkim w umysłach rozumnych, myślących ludzi - to ukazał Nicci posąg Richarda. Fakt, że on to wyrzeźbił, stanowił wystarczający dowód. Choć był więźniem i jej, i Ładu, jego idee wzniosły się ponad ich poglądy.

Nicci dopiero teraz uświadomiła sobie, iż zawsze wiedziała, że jej ojciec cenił te same wartości - widziała to w jego oczach - choć nigdy nie potrafił ich zracjonalizować. Wyrażał je przez uczciwą pracę; to dlatego od dziecka chciała być zbrojmistrzem, jak on. To jego pogląd na życie zawsze kochała i podziwiała, ale stłumiła to w sobie za sprawą matki i jej podobnych. I to ten sam wyraz w oczach Richarda, to samo umiłowanie życia przyciągnęły Nicci do niego.

Wiedziała teraz, że od śmierci matki ubierała się na czarno z nieustannego, nie uświadamianego sobie pragnienia, by pogrzebać nie tylko matczyną władzę nad sobą, ale i złe idee matki.

Żałowała, że Richarda nie było w domu. Chciała mu powiedzieć, że udzielił jej odpowiedzi, której poszukiwała. Jednak nigdy nie będzie go mogła prosić o wybaczenie. Bo to, co mu zrobiła, było niewybaczalne. Teraz to rozumiała. Teraz mogła tylko naprawić zło, które wyrządziła.

Wyjadą stąd, jak tylko go znajdzie. Wrócą do Nowego Świata. Odnajdą Kahlan. A wtedy Nicci wszystko naprawi. Musiała być blisko Kahlan - przynajmniej w zasięgu wzroku - żeby odczynić czar. Wtedy Kahlan będzie wolna. I Richard też.

Choć Nicci tak kochała Richarda, pojmowała, że powinien być z Kahlan, z kobietą, którą kocha. To, że go pragnęła, nie upoważniało jej do uczynienia tego, co uczyniła.

Nie miała prawa do czyjegoś życia, podobnie jak inni nie mieli prawa do jej życia.

Nicci położyła się na swoim łóżku i płakała, myśląc o okrucieństwie, jakie im obojgu wyrządziła. Przytłaczał ją wstyd. Tak długo była ślepa.

Nie mogła uwierzyć, że potrafiła odrzucić całe swoje życie i walczyć po stronie zła tylko dlatego, iż głosiło, że jest dobrem. Naprawdę była Siostrą Mroku.

Ale przynajmniej mogła się przyczynić do naprawienia krzywdy, jaką wyrządziła.

Kahlan ledwo mogła uwierzyć w ogrom tłumu. Widoczny w blasku księżycy przesączającym się przez cienką warstwę delikatnych chmur i światła palących się tu i ówdzie pochodni, teren - jak daleko mogła sięgnąć wzrokiem - wypełniony był ludźmi. Musiały ich być setki tysięcy.

Oszołomiony Kamil wyrzucił w górę ramiona.

- To środek nocy! Jeszcze nigdy nie widziałem tu tylu ludzi. Co oni tutaj robią?

- A skąd mamy wiedzieć? - docięła mu Cara; była w paskudnym humorze, nieszczęśliwa, że jeszcze nie znaleźli Richarda.

W mieście też było mnóstwo ludzi. Po ulicach biegali strażnicy miejscy zaniepokojeni takim ruchem późno w nocy, więc z ostrożności powściągnęli swój pośpiech. Całe godziny trwało, zanim dotarli na teren budowy bocznymi ulicami, ciemnymi drogami i zaułkami, którymi prowadził ich Kamil.

- To tam - wskazał chłopiec.

Wspinały się za nim drogą, przy której stały warsztaty, w większości ciemne i zamknięte na noc. W kilku, przy blasku lamp lub świec, wciąż jeszcze pracowali robotnicy.

Jakiś człowiek biegł w ich kierunku, więc Kahlan sięgnęła pod pelerynę i zacisnęła dłoń na rękojeści miecza. Dostrzegł ich i zatrzymał się.

- Widzieliście?

- Co mieliśmy wiedzieć? - spytała Kahlan.

- Tam, przy Ustroniu. - Wskazał, podekscytowany. - Na placu. - Pobiegł dalej, ale krzyknął ku nim przez ramię: - Muszę sprowadzić żonę i syna! Powinni to zobaczyć!

Kahlan i Cara spojrzały na siebie w mroku. Kamil podbiegł do kuźni i szarpnął drzwi, ale były zamknięte.

- Nie ma tu Victora. - W głosie chłopca dźwięczał nie tajony zawód. - Jest już zbyt późno.

- Wiesz, co jest na tym placu? - spytała go Kahlan.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Na placu? Znam plac, ale... aaa, to tam kazał mi iść Richard. Na plac. Powiedział, żeby jutro pójść na plac.

- Chodźmy tam teraz i popatrzmy - zaproponowała dziewczyna.

- To najkrótsza droga - wskazał Kamil - w dół wzgórza, za kuźnię.

Wszędzie było tylu ludzi, że ponad godzinę zajęło im zejście ze wzgórza i pokonanie terenów wokół pałacu. Był środek nocy, a mimo to stale nadchodzili nowi ludzie.

Wreszcie dotarli do pałacu i okazało się, że nie mogą wejść na plac. Wielki tłum stał wzdłuż frontowej ściany, czekając na wejście. Kahlan, Cara i

Kamil omal nie wywołali zamieszek, kiedy chcieli obejść wszystkich i dostać się na górę, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Ludzie długo czekali, żeby się dostać na plac, i wcale im się nie podobało, że ktoś próbuje się przed nich wepchnąć. Kahlan widziała, jak kilka osób usiłowało obejść czekający tłum. Przywołano je do porządku.

Cara wyciągnęła rękę spod peleryny i ukradkiem pokazała Kahlan Agiel. Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Duża przewaga armii Jaganga to jedno, ale my troje przeciw kilkuset tysiącom to zupełnie co innego.

- Naprawdę? - spytała Mord-Sith. - A ja myślałam, że siły są z grubsza wyrównane.

Kahlan tylko się uśmiechnęła. Nawet Cara nie była tak szalona, żeby w pojedynkę ruszać na tłum. Kamil zmarszczył ze zdumienia brwi, usłyszawszy dowcip Mord-Sith. Znaleźli koniec kolejki i ustawili się.

Już wkrótce za nimi stało tylu ludzi, że nie mogli dostrzec końca kolejki, która wiła się po okolicznym terenie. Otaczający ich ludzie byli przepełnieni dziwnym nerwowym wyczekiwaniem.

Pulchna kobieta przed nimi, w odzieniu tylko nieco lepszym niż łachmany, uśmiechnęła się do nich. Wyciągnęła ku nim coś, co przypominało bochenek chleba.

- Chcecie trochę? - spytała.

- Nie, dziękuję - odparła Kahlan. - Ale miło, że nas poczęstowałaś.

- Nigdy przedtem czegoś takiego nie robiłam - zachichotała tamta. - Ale teraz chyba tak trzeba, no nie?

Matka Spowiedniczka nie miała pojęcia, o czym ona mówi, ale potwierdziła:

- O tak, na pewno.

Kolejka przesuwawała się powoli. Kahlan bolały plecy. Widziała, że i Cara się skrzywiła, kiedy się przeciągała.

- Dalej uważam, że powinniśmy zdobyć broń i przedrzeć się tam - powiedziała w końcu Mord-Sith.

Kahlan nachyliła się ku niej.

- A co by to dało? Dokąd mamy iść przed świtem? Rankiem będziemy mogli pójść do kuźni albo do rzeźbiarzy i być może odnajdziemy Richarda, ale nocą nic nie możemy zrobić.

- Może on już jest w swoim pokoju.

- Chcesz znów wpaść na Nicci? Wiesz, do czego jest zdolna. Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia, żeby uciec. Nie przebyłyśmy całej tej drogi po to, żeby walczyć z Nicci. Ja tylko chcę zobaczyć Richarda. Nawet jeżeli wrócił do ich pokoju, a wcale nie wiemy, czy to zrobił, to z pewnością rano wróci tutaj.

- To chyba prawda - zrzędziła Cara.

Kiedy dotarli do stóp marmurowych schodów, niebo zaczynało różowieć. Przed sobą słyszeli jęki i zawodzenie. Kahlan nie wiedziała dlaczego, ale ludzie na placu bez skrępowania płakali. Co dziwne, niektórzy śmiali się radośnie. Kilku przeklinało, jakby pod groźbą noża zrabowano im oszczędności całego życia.

Powoli wchodzili po schodach, a Kahlan i Cara starały się chować za ludźmi, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Plac na górze oświetlało mnóstwo pochodni, ich migotliwy blask ukazywał rozmiary tłumu. Woń palącej się smoły mieszała się z kwaśnym zapachem zastarzałego potu.

Gęstwa przed nią rozstała się na chwilę i Kahlan ujrzała to. Zamrugła, ale zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, przesłonięte przez tłum. Ludzie przed nimi płakali - wyglądało na to, że niektórzy z radości.

Kahlan zaczęła rozróżniać uprzejme głosy mężczyzn proszących tłum, żeby się nie zatrzymywał, błagających, żeby i inni mogli zobaczyć. Pstra ludzka zbieranina powoli przesuwiała się ku przodowi po białym marmurze placu niczym zebracy na koronacji. Słońce wynurzyło się zza horyzontu i promienne światło dnia zastąpiło w końcu blask pochodni. Żłociste promienie padały na fasadę pałacu.

Sceny wyrzeźbione na ścianach były wstrząsające. Jeżeli się czymś różniły od tych, które Kahlan widziała w Starym Świecie, to wyłącznie tym, że były jeszcze bardziej makabryczne, bardziej przerażające, pełniejsze beznadziei i smutku, i o wiele liczniejsze.

Dziewczyna przypomniała sobie swoją „Potęgę ducha”. Mdlilo ją na myśl, że Richard musiał rzeźbić to, co widziała na ścianach. Ogarniało ją przygnębienie. To właśnie był Ład: ból, cierpienie i śmierć. To czekało Nowy Świat pod władzą tych potworów. Nie mogła oderwać oczu od scen na ścianach, od losu czekającego ludzi z jej ojczyzny - losu, który wielu z nich tak ślepo przyzywało.

A potem, nagle - kiedy ludzie wolniutko przeszli dalej - zobaczyła wznoszące się przed nią białe marmurowe postaci. Widok zaparł jej dech w piersiach. Oświeślały je promienie jutrzeńki, jakby samo słońce wstało tylko po to, żeby obdarzyć pieszczotą piękno i wspaniałość.

Cara chwyciła Kahlan za ramię, boleśnie wbiła w nie palce, bo i ją poraził ów widok. Posąg kobiety i mężczyzny, wyrażona w nim szlachetność ich ducha, zawładnął wyobraźnią dziewczyny. Poczuli, że łzy płyną jej po twarzy, i wkrótce otwarcie płakała jak otaczający ją ludzie; szlochała, widząc wznoszące się przed nią piękno, godność, majestat. Posąg przedstawiał to, czym nie były rzeźby na okolicznych ścianach. Swobodnie prezentował to, czemu one zaprzeczały.

ŻYCIE - głosił napis na cokole.

Kahlan z trudem oddychała, zalewając się łzami. Czepiała się ramienia Cary, a Cara jej ramienia; podpierały się nawzajem, kiedy niósł je tłum złączony wspólnymi odczuciami. Marmurowy mężczyzna nie był Richardem, ale było w nim wiele z Richarda. Kobieta nie była Kahlan, ale miała tak podobne do niej kształty, że dziewczyna zarumieniła się na myśl, że inni to widzą.

- Proszę popatrzeć i przechodzić, żeby i inni mogli to zobaczyć - nieustannie przypominali stojący z boków mężczyźni.

Nie nosili mundurów; byli równie obdarci jak wszyscy. Na pewno byli to zwykli mieszkańcy miasta, którzy wzięli na siebie ten miły obowiązek.

Kobieta, która częstowała ich chlebem, ze szlochaniem padła na kolana. Podnieśli ją ostrożnie i pomogli jej iść. Ta mieszkanka Starego Świata pewnie nigdy nie widziała czegoś tak pięknego.

Kahlan szła wolno wokół posągu, nie mogła odeń oderwać wzroku; jak wszyscy, wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. Kiedy unosił ją tłum, musnęła palcami gładkie ciało z kamienia; wiedziała, że dotykały go palce Richarda. Jeszcze bardziej się rozplakała. Wtedy dostrzegła słowa wyryte na obrzeżu tarczy:

„Wasze życie należy tylko do was. Powstańcie i przeżyjcie je”.

Odczytała te słowa z ust wielu ludzi, którzy je przeczytali.

Tłum wciąż wchodził po schodach, zmuszając ludzi przy posągu, żeby szli dalej. Mężczyźni w tyle placu kierowali ludzi pomiędzy kolumny, przez częściowo zbudowany pałac, żeby i inni mogli tu wejść i obejrzeć posąg.



- Chciałabym, żeby Benjamin to zobaczył - powiedziała Cara z oczami pełnymi łez.

Kahlan roześmiała się.

- Właśnie miałam powiedzieć: „Chciałabym, żeby Richard to zobaczył”.

Cara śmiała się razem z nią, kiedy obie płynęły z tłumem. Kamil wziął Kahlan za rękę. Zobaczyła, że Carę też.

- Taaa - rzekł z powagą. - Richard to wyrzeźbił.

- Gdzie? - spytała go Kahlan. - Jak myślisz, gdzie go możemy znaleźć?

- Powinniśmy wrócić do kuźni. Miejmy nadzieję, że Richard się tam pokaże. Jeżeli nie, to może Victor będzie wiedział, gdzie jest.

Słowa Kamila - Richard to wyrzeźbił - radośnie śpiewały w myślach Kahlan.

## ROZDZIAŁ 67

Richard wyszedł przez wysoko umieszczone okno i z głuchym tupnięciem wylądował na ziemi. Nie mógł uwierzyć, że całą noc przespał w tyle wozu, pod plandeką. I że Jori go nie obudził, żeby poszedł do domu, kiedy przejeżdżali w pobliżu. Pewnie uznał, że to nie jego robota. Richard westchnął. Może Jori nie wiedział, że on tam śpi.

Otrzeptał się. Stał przed budynkiem kompanii przewozowej, gdzie pracował po przybyciu do Altur'Rang i gdzie był zamknięty całą noc. Spał i nie wiedział, że Jori zamknął go w środku.

Richard nie wiedział, dokąd ma iść - do domu czy do Ustronia. Wschodzące słońce barwiło niebo na pomarańczowo i fioletowo. Przypuszczał, że nie ma po co wracać do domu; tylko by się spóźnił do pracy. Uznał, że lepiej od razu iść do pracy.

Praca. Jaka praca? Dziś jest uroczystość, poświęcenie. Kiedy Brat Narev zobaczy posąg, Richard już nigdy nie będzie się musiał martwić o pracę.

Wiedział, że gdyby spróbował uciec, tylko obudziłby gniew Nicci i Kahlan straciłaby życie. Richard spędził z Nicci rok - tyle samo czasu co z Kahlan - i wielokrotnie jasno stawiała sprawę. Ceną zawsze było życie jego żony.

Nie miał wyboru. Mógł jedynie zobaczyć twarz Victora, kiedy kował po raz pierwszy ujrzy posąg. Uśmiechnął się na tę myśl. To jedyne miłe wydarzenie w tym dniu.

Dniu, który najprawdopodobniej zakończy się w wilgotnym czarnym lochu, w którym już był. Aż się potknął na to wspomnienie. Nie chciał tam wracać. Cella była taka malutka. Richard nie lubił wpadać w zasadzkę - a zwłaszcza tkwić w jakichś ciasnych klitkach. Nie zachwycała go żadna z tych możliwości, a połączone - były przerażające.

Choć perspektywa takiego losu przerażała, chłopak wyrzeźbił posąg świadomie, z premedytacją, wiedząc, jaką cenę będzie prawdopodobnie musiał zapłacić. Ukończone dzieło było tego warte. Niewola to nie życie. Nicci obiecała mu kiedyś, że jeżeli umrze lub wybierze śmierć, to będzie to dla niej odpowiedź i nie skrzywdzi Kahlan. Teraz pozostawało mu jedynie ufać tej obietnicy.

Posąg istniał. To było ważne. Życie istniało. Ludzie musieli to zobaczyć.

Tak wielu ludzi w Starym Świecie powinno wiedzieć, że życie istnieje i że trzeba je świadomie przeżyć.

Jak na tak wczesny ranek na ulicach Altur'Rang panował niezwykle ruch. Pospiesznie maszerowały oddziały uzbrojonych po zęby strażników miejskich. Mnóstwo ludzi przybyło do miasta na uroczystość poświęcenia. Richard przypuszczał, że dlatego ulice są tak pełne.

Strażnicy nie zwracali na niego uwagi. Wiedział, że wkrótce się to zmieni.

Kiedy dotarł do Ustronia, wstrząsnęło nim to, co zobaczył. Cały otwarty teren był zatłoczony. Ludzie roili się wokół pałacowych murów jak mrówki wokół rozlanego miodu. Nawet nie próbował ocenić, ilu tkwiło na okolicznych wzgórzach. Dziwnie było widzieć mieszaninę barw tam, gdzie jeszcze niedawno była tylko brązowa ziemia i zielone ozime żyto. Richard nie miał pojęcia, że aż tylu ludzi zamierzało przyjść na poświęcenie. Ale w końcu od miesięcy pracował dniami i nocami, więc skąd miał wiedzieć, co ludzie zamierzają?

Ominął największy tłum i szedł drogą ku kuźni. Chciał znaleźć Victora i pójść z nim popatrzeć na posąg, nim Ład zacznie ceremonię. Victor na pewno niecierpliwie czeka.

Na drodze tłoczyli się ludzie. Wyglądali na podekscytowanych i szczęśliwych. Na coś czekali. Jakaż ogromna różnica w porównaniu z tym, jak mieszkańcy Starego Świata zazwyczaj wyglądali i zachowywali się. Może uroczystość, nawet taka jak ta, była lepsza niż reszta ich ponurych dni.

Pół mili od kuźni Victora na drogę wyskoczył rozwścieczony Brat Neal i wskazał Richarda:

- To on! Brać go!

Przepychający się przez tłum strażnicy dobyli broni. Kiedy go otaczali, Richard instynktownie chciał walczyć. W mgnieniu oka ocenił wroga i obmyślił swój atak. Musiał tylko wyrwać miecz jednemu niezdarnemu strażnikowi i po nich. W jego umyśle to przerażające zdarzenie już się dokonało. Musiał je tylko urzeczywistnić.

Strażnicy biegli ku niemu. Ludzie uciekali im z drogi, niektórzy krzyczeli z przerażenia.

Ale był jeszcze Neal. Neal był czarodziejem. Richard poradziłby sobie jednak i z tym zagrożeniem - wystarczyło, żeby odwołał się do swojej mocy.

Potrzeba i gniew. Gniewu by mu na pewno starczyło. Już płonął w nim mroczny, gwałtowny gniew, obudziła się ta część jego osobowości, do której odwoływał się Miecz Prawdy.

Ale Nicci zapowiedziała mu, że Kahlan umrze, jeśli on posłuży się swoją magiczną mocą. Dowiedziałyby się o tym?

Tak, prędzej czy później.

Richard stał spokojnie, kiedy strażnicy brutalnie chwycili go za ramiona. Inni złapali go za koszulę na plecach.

Jakież to miało w gruncie rzeczy znaczenie? Gdyby się opierał, tylko zaszкодziłby Kahlan. Jeżeli go uśmiercą, Nicci pozwoli Kahlan żyć.

Nie chciał jednak wracać do tamtej czarnej dziury. Neal przyskoczył i pomachał palcem przed twarzą Richarda.

- Co to ma znaczyć, Cypher?! Coś chciał przez to osiągnąć?!

- Wolno mi spytać, Bracie Nealu, o czym mówisz?

Twarz Neala była szkarłatna.

- Posąg!!!

- Nie podoba ci się?

Czarodziej z całej siły grzmotnął Richarda pięścią w brzuch. Trzymający go strażnicy zaśmiali się. Chłopak widział zbliżającą się pięść i napiął mięśnie, ale i tak cios pozbawił go oddechu. W końcu zdołał zaczerpnąć powietrza.

Nealowi bardzo spodobało się wymierzanie kary i powtórzył to.

- O, zapłacisz za swoje bluźnierstwo, Cypher! Tym razem nie ujdzie ci to na sucho. Do wszystkiego się przyznasz, zanim skończymy. Ale najpierw popatrzysz na zniszczenie swojej grzesznej okropności. - Brat, krzywiąc twarz w pyszałkowatej, obłudnej złości, dał znak krzepkim strażnikom. - Zaprowadźcie go tam. I śmiało torujcie sobie drogę przez tłum.

W połowie ranka Kahlan straciła nadzieję, że kowal się pojawi.

- Przykro mi - powiedział ponuro Kamil, patrząc, jak ona chodzi tam i z powrotem. - Nie wiem, czemu Victora nie ma. Myślałem, że przyjdzie, naprawdę.

Kahlan w końcu przystanęła i poklepała strapionego chłopca po ramieniu.

- Wiem, Kamilu. Jestem pewna, że to nie jeden z tutejszych zwyczajnych dni, bo to i uroczystość, i to, co się dzieje przy posągu.

- Patrzcie - odezwała się Cara; Matka Spowiedniczka zobaczyła, że Mord-Sith spogląda ku pałacowi. - Strażnicy z włóczniami spychają ludzi z placu.

Kahlan zmrużyła oczy i spojrzała.

- Masz lepszy wzrok niż ja. Nie widzę tego. - Popatrzyła gniewnie na zamkniętą kuźnię. - Czekanie tutaj nic nam nie da. Przekonajmy się, czy zdołamy tam dotrzeć i zobaczyć, co się dzieje. - Położyła dłoń na ramieniu Cary. - Ale nie wdasz się w bójkę z tym tłumem?

Mord-Sith skrzywiła się z rozdrażnieniem. Kahlan spojrzała na chłopca kopiającego czubkiem stopy ziemię i zawstydzonego, że nie udało mu się pomóc im odnaleźć Richarda.

- Zrobisz coś dla mnie, Kamilu?

- Pewnie. A co?

- Zaczekasz tutaj, aż przyjdzie Richard albo kowal? Jeżeli kowal się tu zjawi, to może będzie coś wiedział.

Kamil wyciągnął szyję i popatrzył w dół, na pałac.

- Dobrze. Jak Richard tu przyjdzie, to nie chciałbym, żeby się z tobą minął. Co mu mam powiedzieć, jak się zjawi?

Kahlan uśmiechnęła się. Że go kocham, pomyślała, ale powiedziała:

- Że tu jestem, z Carą, i że poszłyśmy go szukać. Jeśli się pokaże, to nie chciałabym się z nim minąć. Niech tutaj na nas zaczeka. Wrócimy.

Dziewczyna myślała, że dotrą na plac i zobaczą, co się dzieje, ale wszyscy wpadli na ten sam pomysł. Wieki trwało, zanim zeszły ze wzgórza. Im bliżej podchodziły, tym bardziej zwarty stawał się tłum. Kahlan utknęła w miejscu. Ciężko było nawet zachować kontakt z Carą. Cały tłum parł na plac. I bez przerwy gęstniał.

Kahlan szybko uświadomiła sobie, że utknęły w ciżbie.

Wszyscy mówili tylko o jednym: o posągu.

Było dość późno, kiedy Nicci udało się przepchnąć przez część drogi ku schodom wiodącym na plac. Walczyła o każdy cal. Była na tyle blisko, że widziała ludzi wokół posągu, ale bliżej już nie mogła podejść. Choć starała się ze wszystkich sił, nie mogła się już ani odrobinę przesunąć do przodu. Wszyscy, tak jak ona, chcieli się dostać bliżej. Była wciśnięta pomiędzy ludzi, unieruchomili jej ręce. Czasami było to przerażające, czuła się zupełnie bezradna. Zdołała uwolnić jedną rękę i łatwiej jej było utrzymać równowagę. Pomyślała, że upadek w takich okolicznościach oznaczałby śmierć.

Gdybyż tak miała swoją moc.

Pozbyła się jej przez własną butę. Ale w zamian dostała życie. Co Kahlan i Richarda kosztowało ich wolność. Nicci nie mogła ot tak wycofać swojej mocy z zespolenia, żeby znów móc posługiwać się darem, bo to zabiłoby Kahlan. Nie chciała ratować swego życia kosztem czyjś - zrozumiała, że to jest prawdziwe zło.

Szukała Richarda. Nie znalazła go. Nie udało się jej również odszukać ani kowala, pana Cascelli, ani Ishaqa. Gdy tylko znajdzie Richarda, powie mu, że się myliła, że powinni opuścić Altur'Rang. Tak ogromnie chciała zobaczyć jego twarz, kiedy mu powie, że zabiera go do Kahlan i że odczyni czar. Ze wszystkich ludzi to właśnie oni nie powinni cierpieć za to, czego się nauczyła.

Pozostała jeszcze tylko jedna możliwość - posąg. Może jest właśnie tam. Ale choć starała się ze wszystkich sił, nie mogła się zbliżyć ani o krok. Zdała też sobie sprawę, że najprawdopodobniej nie zdoła się wyrwać z kilkuset tysięcy tłumu. Wokół pałacu było prawdopodobnie ponad pół miliona ludzi.

I wtedy Nicci zobaczyła, jak na placu pojawia się Brat Narev i jego uczniowie, wszyscy w ciemnobrązowych szatach. Brat Narev był w plisowanym birecie, twarze reszty ocieniały głęboko nasunięte kaptury. W tyle placu tłoczyło się kilkuset urzędników Ładu, którzy przybyli, by uczestniczyć w poświęceniu pałacu - wszyscy ogromnie ważni.

Gdyby miała swoją moc, mogłaby ich zabić tam, gdzie stali.

Wtedy przelotnie dostrzegła za urzędnikami Richarda otoczonego przez strażników. Teren okalający plac gęsto wypełniali gburowaci wartownicy.

Brat Narev podszedł do skraju placu; skóra i kości pod ciemnymi szatami. Spod opuszczonego nisko na czoło plisowanego biretu omiół spojrzeniem ciemnych oczu wszystkich zgromadzonych. Ludzie byli hałaśliwi, rozemocjonowani. Brat Narev nie wyglądał na zadowolonego; ale on nigdy nie wyglądał na zadowolonego. Zadowolenie, jak zwykł mówić, było grzeszne. Uniósł ramiona, nakazując ciszę.

Kiedy tłum umilkł, Narev rozpoczął przemowę swoim przeraźliwym, skrzypiącym głosem; głosem, który straszył ją od owego dnia w rodzinnym domu, kiedy jeszcze była mała; głosem, któremu oddała władzę nad swoim umysłem; głosem, który - wraz z głosem jej matki - wypowiadał za nią jej

myśli.

- Współobywatele Ładu. Zaplanowaliśmy dla was dzisiaj szczególne wydarzenie. Ukazujemy wam pokusę... i coś jeszcze. - Wyciągnął ramię ku posągowi. Wyprostował długie, chude palce. W głosie pojawiła się odraza. - Zło we własnej osobie.

Tłum zamruczał niespokojnie. Brat Narev uśmiechnął się; wąska szczelina ust rozciągnęła się, fałdując zapadłe policzki - szczyrzył się jak sama śmierć, jak czaszka kościotrupa. Oczy miał równie ciemne, jak szaty. Zachodzące słońce uciekało od owej sceny, zabierało blask; zostawało jedynie chybottliwe światło pochodni, rzucające pomarańczową poświatę na potężne kolumny w tyle placu, i księżycowa poświata padająca na ponure oblicza urzędników. Oziębilo się powietrze przesycone ciężkimi woniami tłumu.

- Współobywatele Ładu - rzekł Brat Narev głosem, który, jak pomyślała Nicci, mógł skruszyć kamienne ściany - dzisiaj zobaczycie, co spotyka zło, kiedy stanie wobec cnót Ładu.

Wykrzywił trupi palec, dając znak ponad głowami urzędników. Strażnicy wypchnęli do przodu Richarda. Nicci krzyknęła, ale jej głos utonął we wrzawie tysiąca innych głosów.

Brat Neal butnie ruszył naprzód, taszcząc oburęczny młot kowalski.

Nicci rozejrzała się na boki - w pobliżu było kilka tysięcy uzbrojonych strażników. Jeszcze więcej odgradzało plac od ludzi. Brat Narev nie ryzykował. Neal, z uprzejmym uśmiechem i pełnym szacunku ukłonem, podał młot Bratu Narewowi.

Brat Narev podniósł młot nad głowę, jakby to był triumfalnie uniesiony miecz.

- Zło należy zniszczyć bez względu na to, gdzie się je znajdzie. - Skierował młot ku posągowi. - Oto wizerunek zła stworzony przez fanatyka, co nienawidzi bliźniego. Stworzony, żeby oszukać słabych. Nie przyczynia się on do ogólnego postępu i wspomagania bliźnich, do ich nauczania i ułatwiania im życia. Podsuwa jedynie sprośne i bluźniercze obrazy, by wodzić na pokuszenie prostaczków i podatnych na pokusy.

Tłum milczał, zdumiony i rozczarowany. Z tego, co Nicci słyszała, kiedy chodziła wśród nich za dnia, wynikało, iż zaczęli wierzyć, że ten posąg to jakiś nowy dar Ładu dla ludzi - wspaniałość, którą mogliby oglądać przed

pałacem imperatora, jakaś cudowna nadzieja. Byli oszołomieni i skonfundowani tym, co usłyszeli.

Brat Narev podniósł młot.

- Zanim ciało przestępcy zawisnie na słupie za zbrodnie przeciwko Ładowi, zobaczy on, jak ku radości cnych ludzi zostanie zniszczone jego niegodne dzieło!

Ostatnie promienie słońca zniknęły za horyzontem; Brat Narev wysoko uniósł ciężki oburęczny młot w chybotliwym świetle pochodni. Młot zastygł na chwilę w górze, a potem gwałtownie opadł. Tłum westchnął, kiedy stalowy rąb z brzękiem uderzył w nogę wyrzeźbionego mężczyzny.

Opadło kilka małych odłamków. Młot uczynił zadziwiająco małe szkody.

W absolutnej ciszy Richard zaśmiał się urągliwie z nieudolnego ciosu Brata Narewa.

Nicci nawet z tej odległości dostrzegła, jak twarz czarownika spurpurowiała, kiedy Richard tak na niego patrzył i się śmiał. W tłumie rozległy się pomruki; nie mogli uwierzyć, że ktoś mógł się śmiać z Brata Ładu - i to z samego Brata Narewa.

Brat Narev również nie mógł w to uwierzyć.

Strażnicy trzymający Richarda pod pikami też nie mogli.

W pełnej napięcia ciszy śmiech Richarda odbił się echem od półkola kamiennych ścian i potężnych kolumn. Powrócił trupi uśmiezek. Brat Narev ujął młot za rąb - ów ciężar dziwacznie wyglądał w jego kościstej dłoni - i podsunął trzonek chłopakowi.

- Sam zniszczysz swoje grzeszne dzieło.

Słowa „albo padniesz trupem” nie zostały wypowiedziane, ale każdy się ich domyślił.

Richard przyjął młot. Nie wyglądałby przy tym szlachetniej, gdyby przyjmował zdobny klejnotami miecz.

Drapieżne spojrzenie Richarda ześliznęło się z Brata Narewa i przesunęło po tłumie; zrobił kilka kroków ku schodom. Brat Narev uniósł palec, dając znak strażnikom, żeby nie czynili użytku z pik. Kpiące uśmiezki Brata Narewa i Brata Neala świadczyły, że nie sądzą, by tłum dbał o to, co grzesznik ma do powiedzenia.

- Rządzą wami - powiedział Richard głosem, który zagrzmiął ponad



tłumem - godni pogardy, małostkowi ludzie.

Wszyscy wstrzymali oddech. Krytykowanie Brata było najprawdopodobniej zdradą, a już na pewno herezją.

- Popełniłem zbrodnię? - spytał głośno Richard. - Dałem wam coś pięknego, ośmieliłem się sądzić, że macie prawo to zobaczyć, jeśli zechcecie. Co gorsza... powiedziałem, że macie prawo decydować o własnym życiu.

Przez tłum przetoczył się pomruk. Głos Richarda nabrał mocy, żeby było go słychać ponad szeptami.

- Zło to nie jeden duży byt, ale nie kończące się pasmo drobnych występków wyciąganych z blocka przez nędznych ludzi. Żyjąc pod władzą Ładu, zamieniliście bogactwo wyobraźni na burą pospolitość; płodną inspirację dążeń i rozwoju na bezrozumny marazm i powolny upadek; nowe horyzonty odważnych dokonań na bagno bojaźliwej apatii.

Tłum słuchał wpatrzony w niego, milcząco. Richard wskazał młotem ponad ich głowami, młotem, który dzierzył z taką gracją, jakby to był królewski miecz.

- Przehandlowaliście wolność nawet nie za miskę zupy, ale za puste słowa, że powinniście mieć pełną miskę zupy, którą dostarczy wam ktoś inny. Szczęście, radość, spełnienie, dokonanie to nie towary, które można podzielić. Czy śmiech dziecka należy podzielić i rozdać? Nie! Wystarczy wzbudzić więcej śmiechu!

Przez tłum przebiegł śmiech, zadowolony śmiech. Brat Narev stawał się coraz bardziej chmurny.

- Dość już mamy twojego fanatycznego gładzenia! Zniszcz swój pogański posąg! Natychmiast!

Richard przechylił na bok głowę.

- O? Zgromadzenie urzędników Ładu i Braci boi się usłyszeć, co ma do powiedzenia jeden nic nie znaczący człowiek? Aż tak boisz się zwykłych słów, Bracie Narewie?

Ciemne oczy pospiesznie spojrzały na tłum - nachylony, ciekawy jego odpowiedzi.

- Nie obawiamy się słów. Racja jest po naszej stronie i zwycięży. Mów swoje bluźnierstwa, żeby wszyscy mogli zrozumieć, dlaczego cni ludzie staną przeciwko tobie.

Richard uśmiechnął się do ludzi, ale przemówił z brutalną szczerością:

- Życie każdego człowieka należy wyłącznie do niego. Życie każdego człowieka może i powinno należeć tylko do niego, a nie do jakiejś społeczności czy wspólnoty, bo wtedy byłby ledwie niewolnikiem. Nikt nie może odmawiać innym praw do ich życia lub siłą zabierać tego, co wytworzą, bo w ten sposób okrada ich ze środków do życia. To zdrada wobec ludzi, przykładać im nóż do gardła i dyktować, jak mają żyć. Żadna społeczność nie może być ważniejsza od ludzi, którzy ją tworzą, bo wtedy największe znaczenie przypiszecie nie człowiekowi, ale czemuś, co zaspokaja zachcianki owej społeczności, i to za bezustannie ponoszona cenę życia. Rozum i rzeczywistość to jedyna podstawa sprawiedliwych praw. Bezrozumne kaprysy, jeśli da się im władzę, stają się morderczymi władcami. Podporządkowanie rozumu ufności wobec tych ludzi pozwala im stosować siłę, żeby was ujarzmić, żeby was zabijać. W waszej mocy jest decydować, czy chcecie po swojemu przeżyć życie. Ci mali, nędzni ludzie staną się zaledwie karaluchami, jeśli tak postanowicie. Nie mają innej władzy, by nad wami panować, niż ta, którą sami im daliście! - Richard wskazał młotem na posąg. - Oto życie. Wasze życie. Życie, jakie sobie wybieriecie. - Zatoczył młotem łuk, wskazując na mury pokryte rzeźbami. - A oto, co oferuje wam Ład: śmierć.

- Dość się już nasłuchaliśmy twoich bluźnierstw! - wrzasnął Brat Narev. - Niszcz swoją grzeszną rzeźbę, natychmiast, lub giń!

Uniosły się piki.

Richard spokojnie, bez strachu powiódł wzrokiem po strażnikach i podszedł do swojego posągu. Serce Nicci tłukło się szaleńczo. To było zbyt wspaniałe, żeby ulec zniszczeniu. To się nie mogło wydarzyć. Nie mogli im tego odebrać.

Richard oparł młot o ramię. Drugą ręką wskazał posąg i po raz ostatni przemówił do tłumu:

- Oto, co Ład wam odbiera: wasze człowieczeństwo, indywidualność, wolność decydowania o własnym życiu.

Potem przelotnie dotknął młotem czoła.

Stalowy rąb śmignął w potężnym zamachu. Nicci słyszała świst rozcinanego przezeń powietrza. Posąg się zatrząsł, kiedy młot z hukiem uderzył w cokół.

W sekundzie kruchej ciszy Nicci usłyszała najdelikatniejszy dźwięk -

szemrzący, trzeszczący szept samego marmuru.

A potem posąg runął z hukiem w gradzie odłamków i kłębach białego pyłu.

Urzednicy na tyłach placu krzyknęli radośnie. Strażnicy wrzeszczeli i gwizdali, wymachując bronią.

Tylko oni się cieszyli. Tłum milczał, kiedy pył przetaczał się przez plac. Właśnie zniszczono jego nadzieje ucieleśnione w posągu.

Nicci patrzyła w oszołomieniu. Gardło miała ściśnięte. Oczy pełne łez. Wszyscy wpatrywali się w tamto miejsce, jakby właśnie byli świadkami tragicznej, bezcelowej śmierci.

Strażnicy ruszyli ku Richardowi z nastawionymi pikami, spychając go ku czekającym z kajdanami kamratom.

Z tłumu koło schodów zabrzmiał mocny głos:

- Nie! Nie pozwolimy dłużej na to!

W gęstniejącym mroku Nicci zobaczyła człowieka, który krzyknął. Był w pobliżu czoła zdumionego tłumu i energicznie przepychał się przez ciżbę; chciał się wydostać na plac.

To był kowal, pan Cascella.

- Nie będziemy tego dłużej znosić! - ryknął. - Nie pozwolę dłużej sobą rządzić! Słyszycie?! Jestem wolnym człowiekiem! Wolnym człowiekiem!

Cały tłum przed pałacem wybuchnął ogłuszającym wrzaskiem.

A potem wszyscy rzucili się naprzód.

Tłum, ze wzniesionymi pięściami i gniewnymi okrzykami, jak lawina toczył się w stronę placu. Szeregi ciężkozbrojnych żołnierzy zeszły po schodach na spotkanie z jego czołem. Zniknęły pod ludzką lawiną.

Nicci krzyczała ile sił w płucach, starając się zwrócić na siebie uwagę Richarda, ale jej głos nikał w ryku huraganu.

## ROZDZIAŁ 68

Richard nie wiedział, co go bardziej zdziwiło: szczątki posągu czy tłum pędzący w górę schodów, kiedy Victor oznajmił, że jest wolnym człowiekiem.

Tłum przetaczał się po schodzących mu na spotkanie strażnikach. Wielu ludzi zostało rannych lub zginęło. Napierająca cizba stratowała ich. Ci z przodu nie mogli się zatrzymać, nawet gdyby chcieli - dziesiątki tysięcy prących z tyłu pchały ich przed siebie. Ale oni wcale nie chcieli się zatrzymać. Ryk był ogłuszający.

Bracia wpadli w panikę. Stojący w tyle placu urzędnicy wpadli w panikę. Kilka tysięcy strażników też wpadło w panikę. W owej chwili porządek świata uległ przemianie z wszechwładzy zgromadzonego na placu Ładu w pojedynczych, decydujących o sobie ludzi.

Richard chciał dopaść Brata Nareva. Jednak zobaczył biegnących ku sobie żołnierzy. Zamachnął się i wbił młot w pierś żołnierza pędzącego nań z wysoko uniesionym mieczem. Żołnierz - ze sterczącym z dziury w piersi trzonem młota - minął go, a chłopak wyrwał mu z garści miecz i rzucił się w wir walki.

Mała grupa strażników uznała za stosowne chronić Braci. Richard runął na nich, zabijając każdym ciosem. Każdy sztych lub cięcie powalały strażnika.

Ale to nie strażnicy go interesowali. Jeśli miał wszystko stracić, chciał w zamian głowy Nareva. Przebijał się przez pęczniejący tłum, ale nigdzie nie mógł znaleźć czarownika.

Z kłębowiska wynurzył się Victor trzymający jakiegoś Brata za włosy. Do kowala przyłączyli się inni - każdy trzymał któregoś z Braci. Mars krzepkiego kowala mógłby wygiąć żelazo. Brat przewracał oczami, jakby dostał po głowie, i nie mógł oprzytomnieć.

- Richardzie! - zawołał Victor.

Ludzie - niektórzy nadal trzymając Braci za szaty - pospiesznie otoczyli chłopaka. Stanęli wokół niego kręgiem „grubym” na dziesięć, może piętnaście osób.

- Co mamy z nim zrobić? - spytał któryś.

Richard powiódł wzrokiem po otaczających go ludziach. Zobaczył mężczyzn, których znał z budowy. Byli wśród nich Priska i Ishaq.

- Dlaczego mnie pytasz? To wasz bunt. - Wyzywająco spojrzał im w oczy.  
- A co według ciebie powinniście z nim zrobić?

- Ty nam powiedz, Richardzie - odezwał się jeden z rzeźbiarzy.

Chłopak potrząsnął głową.

- Nie. To ty mi powiedz, co zamierzacie z nim zrobić. Ale powinniście wiedzieć, że to czarodziej. Jak oprzytomnieje, zacznie zabijać ludzi. To sprawa życia lub śmierci i on o tym wie. A wy? To dotyczy waszego życia. I wy powinniście decydować, co robić, a nie ja.

- Chcemy, żebyś tym razem był z nami, Richardzie! - zawołał Priska. - Ale jak dalej nie chcesz się do nas przyłączyć, to mamy nasze odzyskane życie i zrobimy ten bunt bez ciebie. Tak właśnie będzie!

Wszyscy potrząsnęli uniesionymi pięściami i wrzasnęli, popierając Priskę.

Victor przycisnął otumanionego Brata do piersi i wykręcał jego głowę, dopóki nie skręcił mu karku. Ciało czarodzieja zwiotczało.

- To właśnie zamierzamy z nim zrobić - oznajmił.

Richard uśmiechnął się, wyciągnął rękę.

- Zawsze z radością widzę wolnego człowieka. - Uścisnęli sobie dłonie; chłopak spojrzał kowalowi w oczy. - Jestem Richard Rahl.

Victor zamrugał, a potem rozległ się jego grzmiący śmiech. Drugą ręką klepnął Richarda w ramię.

- Jasne, że tak! Wszyscy nim jesteśmy! Przez chwilę mnie nabrałeś, Richardzie. Naprawdę.

Napór tłumu zniósł ich ku kolumnom. Chłopak złapał szaty martwego Brata i ciągnął ze sobą ciało. Potężne kamienne ściany i marmurowe kolumny trochę chroniły przed rozszalałą ludzką rzeką.

Ziemia zadrżała. Gwałtowne uderzenie od środka wybiło dziurę w ścianie. Mrok zapłonął blaskiem. W powietrze ze świstem poleciały kamienne odłamki. Odrzuciło do tyłu wielu okrwawionych ludzi.

- Co to było?! - Victor pokonał krzyki, wrzaski i grzmot wybuchu.

Tłum, ignorując niebezpieczeństwo, wciąż szedł na ludzi, którzy go ujarzmili. Wiele osób roło się tam, gdzie stał posąg, zbierając kawałki marmuru. Całowali czubki palców, a potem dotykali nimi słowa wyryte na

brązowej tarczy zegara. Wybierali życie.

Hordy mieszkańców wyłapały sporo Braci i urzędników i kamienowały ich kawałkami białego marmuru wybranymi z resztek posągu.

- Brat Narev jest czarownikiem - powiedział Richard. - Victorze, weź kilku ludzi i zapanuj nad tym tłumem. Narev może użyć potężnej magii. Pochwalam ich pragnienie wolności, ale będziemy mieć bardzo wielu zabitych i okaleczonych, jeżeli nad tym nie zapanujemy.

- Rozumiem - rzekł kowal, walcząc, żeby tłum nie poniósł go z sobą.

Wielu mężczyzn otaczających Richarda ochronnym pierścieniem usłyszało, co mówi, i kiwnęło głowami na zgodę. Wśród tłumu zaczęło się rozprzestrzeniać polecenie, żeby się organizować. Ci ludzie chcieli zwyciężyć. Pragnęli osiągnąć swój cel i rozumieli potrzebę oraz przyczynę poleceń, które zaczęto wydawać. Sporo z nich kierowało dużymi grupami robotników. Wiedzieli, jak organizować ludzi.

Richard zaczął zdejmować szaty z martwego Brata.

- Musicie utrzymać ludzi z dala od pałacu. Narev jest w środku. Każdy, kto tam wejdzie, może zginąć. Nie wolno wam wpuścić tam ludzi. To byłaby śmiertelna pułapka, z Braćmi.

- Rozumiem - powtórzył Victor.

- Nie wpuścimy ich! - zawołali inni do Richarda.

Chłopak włożył szatę martwego Brata. Victor chwycił go za ramię.

- Co robisz?

- Idę tam. W ciemnościach Narev weźmie mnie za któregoś z Braci i będę mógł się do niego zbliżyć. - Wetknął w szatę skonfiskowany miecz, żeby ukryć klingę; rękojeść zakrył nadgarstkiem. - Nie wpuszczajcie tam ludzi; Narev włada groźną magią. Muszę go powstrzymać.

- Uważaj na siebie - rzekł kowal.

Ci, którzy wzięli na siebie dowodzenie, zaczęli się rozpraszać w tłumie i nakłaniać ludzi, żeby słuchali ich poleceń. Niektórzy się podporządkowali, a wtedy następni poszli w ich ślady. Wyłapani urzędnicy już nie żyli i tłum powoli pozwalał się opanować - i w samą porę. Przerażliwa cisza wciąż napływająca na plac zagrażała każdemu.

Przechodzący ludzie szlochali, podnosząc odłamki marmurowego posągu i przyciskając je do piersi - pamiątki wolności i piękna - po czym usuwali się, żeby inni mogli zrobić to samo. To byli ludzie, którym

zaproprowano życie, i oni je przyjęli. Udowodnili swoją wartość.

Victor spostrzegł, co robią.

- Richardzie... tak mi przykro...

Przez plac przeleciał ognisty błysk, zabijając ponad sto osób. Gwałtowność wybuchu porozrywała ciała na strzępy. Zwaliała się wielka kolumna, przygniatając ludzi, którzy nie mogli uciec ze względu na ścisk.

- Później! - wrzasnął Richard, zagłuszając pandemonium. - Muszę powstrzymać Narewa! Nie wpuszczajcie ludzi! Tylko tu zginą!

Victor kiwnął głową i pospieszył wraz z innymi, żeby postarać się zapanować nad tym wszystkim.

Richard zostawił za sobą tumult i zamieszanie i przez otwór ziejący pośród kolumn wstąpił... w mrok.

Były tam całe mile nie wykończonych korytarzy - niektóre z nich blokowały zwłoki. W pierwszym porywie, kiedy ludzie wpadli na plac, pognali za Braćmi i urzędnikami w labirynt pałacu. Wielu z nich miało nieszczęście trafić na Brata Narewa. Śwąd przypalonych ciał wypełniał nozdrza Richarda idącego cicho przez mrok.

Richard był leśnym przewodnikiem na długo przedtem, nim został Poszukiwaczem, nim został lordem Rahlem. Ciemność była jego żywiołem. W myślach otulał się tym płaszczem mroków.

Grube kamienne ściany, ciężkie belki, częściowo ukończone drewniane podłogi i łupkowe dachy sprawiały, że wrzawa tłumu zmieniła się w odległy pomruk. Za ziejącymi otworami na drzwi znajdowały się komnaty bez dachów lub stropów, które wpuszczały do wnętrza księżycową poświatę. Tworzyło to plątaninę cieni i słabego światła, w której można się było dopatrzeć najrozmaitszych zagrożeń.

Richard natrafił na leżącą w korytarzu zakrwawioną starszą kobietę, która płakała z bólu. Przyklęknął, łagodnie dotknął jej ramienia, nie spuszczać oka z ciemnego korytarza przed nimi i czarnych dziur po obu jego stronach. Czuł, jak kobieta drży pod jego palcami.

- W co jesteś ranna? - wyszeptał; zsunął kaptur, żeby mogła dostrzec jego twarz w księżycowym blasku padającym z góry przez nie ukończone belkowanie. - Jestem Richard.

Poznała go i uśmiechnęła się.

- W nogę.

Podciągnęła suknię. Zobaczył ciemną ranę tuż nad kolanem. Odciał mieczem skraj jej sukni, żeby posłużyć się nim jak bandażem i zamknąć ranę.

- Chcę żyć. Chciałam pomóc. - Wzięła pas tkaniny, odepchnęła dłonie Richarda. - Dzięki, że to odciałeś. Teraz sobie poradzę. - Chwyliła go za szatę, przyciągnęła ku sobie. - Twoim posągiem ukazałeś nam życie. Dzięki.

Uśmiechnął się i ścisnął jej ramię.

- Próbowałam dopaść tego karalucha. Zrobisz to za mnie?

Richard dotknął palcem ust i przeniósł ten pocałunek na czoło kobiety.

- Zrobie. Obandażuj nogę i leż spokojnie, dopóki nie opanujemy sytuacji. Wtedy przyślemy tu ludzi z pomocą.

Znów ruszył przed siebie. Z oddali dobiegły go wrzaski gniewu i bólu. To strażnicy, którzy uciekli w labirynt nie wykończonego pałacu, bili się z ludźmi, którzy za nimi pobiegli.

Richard dostrzegł za rogiem dygocącego Brata. To nie był Narev - miał kaptur, a nie biret. Chłopak, udając Brata, znów naciągnął kaptur i podszedł do tamtego. Brat wyraźnie nabrał otuchy, widząc kamrata.

- Kim jesteś? - szepnął ku Richardowi, unosząc rękę, żeby magią zapalić ogienek nad wnętrzem dłoni.

- Sprawiedliwością - odparł chłopak, wbijając mu miecz w serce.

Potem wyciągnął miecz i ponownie ukrył go pod szatą.

Nicci na pewno się zemści. Nic nie mógł na to poradzić. Często jasno dawała mu to do zrozumienia. Twardo postanowił, że przynajmniej zniszczy Ład. Gdybyż tak istniał sposób przekonania Nicci, nakłonienia jej, żeby mu pomogła. Czasami wyraz jej błękitnych oczu świadczył, że była o krok od zrozumienia. Znał jej uczucia do niego. Chciałby je wykorzystać, by ukazać jej prawdę, uzyskać od niej pomoc, skłonić ją, by zrzuciła okowy - ale nie wiedział, jak to zrobić.

Richard zniknął w mrocznej komnacie, bo usłyszał, że biegną ku niemu strażnicy. Kiedy skręcili w korytarz, ponownie dobył miecza. Gdy znaleźli się wystarczająco blisko, wyskoczył i ściał głowę pierwszemu z nich. Drugi zamachnął się mieczem, chybił i zamierzył się do kolejnego ciosu. Richard wbił mu miecz w brzuch. Raniony strażnik cofnął się, zsunął z klingi. Zanim chłopak zdążył go dobić, wpadli następni. Ranny w brzuch już nikomu nie zagrozi; umrze po wielu godzinach cierpień.



Richard wycofał się przez ciemny otwór na drzwi, nęcąc ich, by poszli za nim. Stał nieruchomo w ciemności, kiedy wpadli do środka, dysząc i depcząc z chrzęstem gruz. Zlokalizował ich po odgłosach i zabił. Sześciu ludzi zginęło w czarnych jak smoła mrokach, zanim reszta uciekła.

Chłopak pobiegł ku odgłosom wybuchów. Za każdym razem, kiedy kule ognia rozbłyskiwały wśród płataniny korytarzy, osłaniał dłonią oczy, żeby móc widzieć w mroku. Kiedy oślepiający blask zniknął, biegł w stronę, z której pojawił się ogień.

W pałacu były całe mile korytarzy. Niektóre otwierały się na pusty teren, gdzie jeszcze nic nie wybudowano. Inne biegingy wśród ścian, otwarte u góry. Jeszcze inne prowadziły przez mrok, przykryte stropem lub dachem. Richard schodził schodami w czerń, do podziemi pałacu, idąc za rykiem magicznego ognia.

Pod parterem znajdowała się cała sieć łączących się z sobą pomieszczeń, utworzona przez dezorientującą płataninę pokoi i wąskich korytarzy. Richard przemierzał labirynt ciemnych pokoi, przechodził przez dziury w nie ukończonych ścianach i puste odrzwia - i nagle natknął się na otulonego peleryną człowieka z mieczem. Wiedział, że nikt z tłumu nie był uzbrojony.

Tamten okręcił się, gotów zadać cios, ale Richard, przebrany za Brata, zrozumiał, że to nie wróg.

W błysku księżycowej poświaty dojrzał ze zdumieniem rękojeść Miecza Prawdy ponad ramieniem owego człowieka. To była Kahlan.

Znieruchomiał, zaskoczony.

Ona widziała tylko postać w szatach - Brata - stojącą w snopie księżycowej poświaty. Kaptur ocieniał twarz.

W tej samej chwili, nim zdążył krzyknąć jej imię, zobaczył poza ramieniem Kahlan, że ktoś ku nim biegnie. Nicci.

W jednym straszliwym, oślepiającym błysku Richard pojął, co ma uczynić. To była jego jedyna okazja - jedyna szansa Kahlan - żeby odzyskać wolność. W tej krystalicznie jasnej chwili zrozumienia poczuł dreszcz strachu. Nie wiedział, czy zdoła to zrobić.

Musiał.

Richard dobył miecza i zablokował cios Kahlan.

A potem ją zaatakował.

Uderzał z kontrolowaną gwałtownością, uważając, żeby jej nie zranić.

Wiedział, jak ona walczy. Wiedział, bo sam ją tego nauczył. Udawał niezgrabnego, lecz mającego szczęście przeciwnika.

Nicci się zbliżała.

Richard nie mógł tego przeciągać. Musiał wszystko dobrze rozłożyć w czasie. Odczekał, aż Kahlan się lekko zachwieje, i potężnie uderzył w jej miecz, tuż pod jalcem. Krzyknęła, kiedy oręż wyleciał jej z ręki, a siła ciosu okręciła ją - dokładnie tak, jak Richard to zaplanował.

Nie wahała się ani przez chwilę. Natychmiast sięgnęła po Miecz Prawdy. W powietrzu zabrzmiał charakterystyczny szcęk stali, który Richard tak dobrze znał.

Kahlan kończyła obrót, gotowa do zadania ciosu. Przez sekundę widział w jej oczach straszliwą furię. Ciężko było to oglądać w jej pięknych oczach. Wiedział, co miecz robi z człowiekiem.

Richard zanurzył się we własnym świetle. Wiedział, co musi uczynić. Był zupełnie obojętny. Zablokował cios; kontrolował jej atak i prowadził klingę tam, gdzie miała uderzyć. Musiała ją wbić tam, gdzie zaplanował, jeśli ma to coś dać.

Kahlan, zaciskając zęby, wbiła miecz w rozmyślnie odsłonięte miejsce.

Kahlan znajdowała się w świetle niepohamowanej furii. Gdy tylko chwyciła rękojęść, Miecz Prawdy wypełnił ją szaleńczą wściekłością. Nic nie było miłsze od świadomości, że nim zabije. Miecz też pragnął krwi.

Ci ludzie mieli Richarda. Ci Bracia powikłali im życie. Ci ludzie wysłali morderców do jej ojczyzny. Asasynów, żeby zabili Warrena.

Teraz jeden był w jej mocy.

Krzyczała, krzyczała z wściekłości, z żądzy krwi. Cudownie było mieć w zasięgu ciosu przyczynę tej wściekłości.

Popęłnił błąd - odsłonił się. Bez wahania, z zimną wściekłością wykorzystała to.

Był jej.

Richard poczuł, jak wbija się weń klinga. To było wstrząsające. Zupełnie inne, niż oczekiwał. Pewnie to właśnie czuł posąg uderzony z całej siły młotem.

Otworzył usta. Teraz był właściwy moment; powinien ją powstrzymać - żeby już przestała. Musiał to zrobić teraz. Jeżeli przebije go mieczem, wepchnie ostrze jeszcze głębiej, Nicci może nie zdołać go uleczyć. Jej moc

wystarczy tylko na taką ranę.

Nicci będzie musiała zdjąć czar z Kahlan, żeby odzyskać swoją moc - i żeby móc go uleczyć.

Uważał, że zależy jej na nim na tyle, iż to uczyni.

Richard nie zamykał ust, czuł, jak klinga dalej się weń wbija. To było okropne. Choć się tego spodziewał, wciąż wydawało mu się to nierealne. Wciąż go dziwiło.

Musiał jej powiedzieć, kim jest. Żeby przestała. Powinien przynajmniej wymówić jej imię, żeby się powstrzymała i nie wyrządziła zbyt wiele szkód. Wciąż miał otwarte usta. Nie oddychał. Nie mógł wymówić jej imienia.

Kiedy Nicci szukała Richarda, zobaczyła dwóch walczących. Jeden z nich był Bratem. Drugiego nie rozpoznała, ale było w tym coś niepokojącego. Siostra czuła się dziwnie poruszona. Było to zadziwiająco znajome odczucie, ale nie rozpoznała go w tej plątaninie emocji.

Byli daleko przed nią.

Człowiek w pelerynie stracił miecz. Wyglądało na to, że Brat go zabije. Nicci chciała pomóc - ale jak? Musiała odnaleźć Richarda. Ktoś mówił, że widziano, jak wchodził do pałacu. Musiała go odnaleźć.

Biegła ku walczącym. Człowiek w pelerynie wyciągnął drugi miecz przytroczony za ramieniem. W Nicci wezbrało dziwne uczucie. Coś było przeraźliwym błędem, ale nie wiedziała co.

A potem zobaczyła, jak Brat popełnia błąd. Zatrzymała się.

Z okrzykiem morderczej wściekłości ten w pelerynie przebił Brata mieczem.

Kiedy siła ciosu popchnęła mężczyznę do tyłu, blask księżyca padł na jego osłoniętą kapturem twarz.

I wtedy nagle rozpoznała to uczucie.

Nicci szeroko otworzyła oczy. Wrzasnęła.

- Kahlan. Przestań.

Kahlan, wstrząśnięta, zamrugła. Zobaczyła jego twarz w blasku księżyca. W tej samej chwili on usłyszał krzyk Nicci.

Matka Spowiedniczka cofnęła się, puściła rękojeść Miecza Prawdy, jakby poraziła ją błyskawica.

Cofnęła się, krzycząc z przerażenia.

Richard złapał klingę miecza, swojego miecza, żeby się w nim nie okręcił

pod własnym ciężarem. Wbiła go weń niemal po gardę. Ciepła krew ściekała mu z klingi na palce.

- Richard! - krzyczała Kahlan. - Neeee! Neeee!

Poczuł, jak uderza kolanami o kamienną podłogę. Był zdumiony, że miecz nie sprawia mu więcej bólu. To wywołany ciosem wstrząs zaciemniał mu umysł. Trudno mu było zebrać myśli. Starał się nie upaść na twarz, na klingę, i nie przekręcić jej we wnętrzościach. Pokój się kołysał.

- Wyciągnij miecz - wyszeptał.

Chciał, żeby wyciągnęła miecz. Jakby to coś pomogło. Chciał się pozbyć tej okropnej rzeczy. Czuł w sobie ostre jak brzytwa krawędzie klingi. Czuł, jak wystaje mu z pleców.

Kahlan, bliska hysterii, podpełzła, żeby zrobić, jak chciał. Richard zobaczył wynurzającą się z mroków Carę. Trzymała go za ramiona, kiedy Kahlan jednym szybkim szarpnięciem wyrwała miecz; jakby miała nadzieję, że cofnie tym to, co zrobiła.

- Co się stało?! - krzyknęła Cara. - Coś ty zrobiła?

Świat chwiał się i wirował. Richard czuł, jak ścieka po nim jego ciepła krew. Czuł, jak całym ciężarem wspiera się o Mord-Sith. Kahlan nachyliła się nad nim.

- Richardzie! Och, drogie duchy, nie. To się nie może dziać. Nie może. - Łzy przerażenia spływały po jej pięknej twarzy.

Nie mógł pojąć, co ona tu robiła. Dlaczego była w Starym Świecie? Co robiła w pałacu imperatora?

Nie mógł się nie uśmiechać, patrząc na nią.

Zastanawiał się, czy widziała posąg, zanim go zniszczył.

Zastanawiał się, czy popełnił okropny błąd.

Nie, to była jedyna możliwość zwrócenia Kahlan wolności.

Jedyna możliwość złamania czaru Nicci. Siostra wciąż ku nim biegła.

- Pomóż mi, Nicci! - zawołał Richard; był to ledwie cichy szept. - Chcę, żebyś mnie uratowała, Nicci. Proszę cię.

Nicci usłyszała jego prośbę, choć szept był tak cichy.

Nicci jeszcze nigdy nie biegła tak szybko. Była przerażona. Kahlan przebiła go mieczem. To był straszliwy błąd. To wszystko było taką okropną pomyłką. Ściągnęła na nich takie cierpienie. To była jej wina.

Nawet w takim szoku dokładnie wiedziała, co musi zrobić.

Potrafi go uleczyć. Kahlan tu była. Nicci nie miała pojęcia, skąd ani jak, ale przybyła. I dlatego mogła odczynić czar. A kiedy to zrobi, będzie się mogła posłużyć mocą. Uleczy Richarda. I wszystko będzie dobrze. Uratuje go. Będzie, jak trzeba. Wszystko naprawi. Na pewno.

Choć raz mogła zrobić coś dobrego i pomóc - naprawdę pomóc. Mogła pomóc im obojgu.

Z ciemności wynurzyło się czyjeś ramię, zagięło wokół jej szyi, zbiło ją z nóg. Krzyknęła, kiedy wciągnięto ją w czerń. Czowała pod palcami, którymi szarpała to ramię, napięte twarde mięśnie. Mężczyzna cuchnął. Skaczące z niego wszy uderzały o jej twarz.

Ogarnęło ją przerażenie. Takie nagłe i gwałtowne przerażenie było zupełnie nieznanym uczuciem; porażało jej umysł.

Zapierała się piętami o kamienną podłogę, kiedy ciągnął ją w czarny labirynt. Kopala go wściekle. Próbowwała wysunąć z rękawa dakrę, ale złapał ją za rękę i wykręcił do tyłu jej ramię.

Przedramię napastnika uciskało szyję Nicci, uniemożliwiało oddychanie, kiedy uniósł ją w powietrze.

Nie mogła oddychać. Rechotał radośnie, dźwigając ją w mroczne zakamarki pomieszczeń pod pałacem Jaganga.

Ich oczy spotkały się, kiedy nagle i gwałtownie porwano ją w ciemność. Richard dostrzegł w tych oczach coś doniosłego, wyczytał z nich, że Nicci zamierza mu pomóc. Ale zniknęła.

Cara w rozpaczy wpijała dłonie w jego ramiona, kiedy wspierał się o nią całym ciężarem. On marzył. Od niej promieniowało ciepło.

Kahlan upadła do tyłu, wiła się w ciemnościach. Szarpała szyję. Słyszał, jak się krztusi.

- Matko Spowiedniczko! Matko Spowiedniczko! Co się dzieje?

Richard wyciągnął rękę, oparł ją na karku Cary. Przyciągnął ku sobie jej twarz.

- Ktoś porwał Nicci. Duszą ją. Musisz odnaleźć i ocalić Nicci, Caro, bo inaczej Kahlan umrze. I tylko Nicci może mnie uratować. Idź. Pospiesz się.

Czuł, jak Cara skinęła głową, zanim cofnął rękę.

- Rozumiem - powiedziała tylko, delikatnie, lecz pospiesznie układając go na zimnym kamieniu. I zniknęła. Było mokro. Nie wiedział, czy to była krew, czy woda.

Byli pod ziemią, w dolnych zakamarkach Ustronia. Z góry, spomiędzy belek, na których legną podłogi, wpadało światło księżyca, oświetlając szarpiącą się w pobliżu Kahlan. I wtedy, gdy walczyła z niewidzialnym przeciwnikiem, dostrzegł, że to była woda. Właśnie tak. Nie krew. Woda. Pałac był nad rzeką. W podziemnych komnatach i korytarzach była wilgoć.

- Kahlan - wyszeptał; nie odpowiedziała. - Trzymaj się...

Zaciskał dłonie na brzuchu, zamykając brzegi rany, żeby nie wypłynęły mu wnętrzności, i cał po calu przesuwiał się przez zimną kamienną podłogę, przez wodę. Ból wreszcie się pojawił. Chłopak czuł straszliwe wewnętrzne obrażenia. Mrugał, żeby pozbyć się łez przeraźliwego bólu. Musiał wytrzymać. Lodowaty pot zalewał mu twarz. Kahlan musiała wytrzymać.

Wyciągnął okrwawioną dłoń ku jej dłoni. Poczul pod palcami jej palce. Niemal nie zareagowała, ale w końcu jej palce się poruszyły. Był niewypowiedzianie wdzięczny, że poruszyła palcami.

To był dobry plan. Był o tym przekonany. Udałoby się, gdyby ktoś nie porwał Nicci. Udałoby się.

Głupio tak umierać. Uważał, że to powinno być bardziej... wzniosłe.

Nie w ciemnych, zimnych, mokrych podziemiach pałacu.

Tak chciałby móc powiedzieć Kahlan, że ją kocha i że to nie ona go zabiła, że sam się na to wystawił. To była jego sprawka, nie jej. On ją tylko wykorzystał w swoim planie. Który powinien się udać.

- Kahlan - wyszeptał, nie wiedząc, czy ona jeszcze go słyszy. - Kocham cię. Nikogo innego. Tylko ciebie. Cieszę się, że byliśmy razem. Nie zamieniłbym tego na nic.

Richard otworzył oczy i jęknął z bólu. Chciał, żeby to się skończyło. Zbyt bolało. Teraz chciał tylko, żeby to się skończyło. Nie udało się. Musi za to zapłacić. Ale chciał, żeby ustał mdlący, szarpiący, straszliwy ból.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Popatrzył - Kahlan leżała na mokrej podłodze. Nie poruszała się.

Padł na niego cień.

- No, no, no, Richard Cypher - zarechotał Neal. - Kto by pomyślał. - Znów zarechotał i spojrzał na Kahlan. - Kim jest ta kobieta?

Richard czuł obecność Miecza Prawdy, jego magię. Nie był daleko od jego palców.

- Nie wiem. Zabiła mnie. Pewno to jedna z waszych. - Jego palce dotknęły

miecza. Objęły oplecioną szychem rękojeść.

Neal stanął na klindze.

- Tylko bez takich. Już dość narobiłeś kłopotów.

Wokół palców Neala pojawił się blask. Przywoływał magię. Śmiercionośną magię. Richard, z trudem utrzymując świadomość, nie mógł - mimo naglącej potrzeby - zogniskować umysłu i przywołać własnej mocy, żeby jakoś powstrzymać Neala. Przynajmniej skończy się ból. Przynajmniej Kahlan nie pomyśli, że to ona go zabiła.

Nagle Richard usłyszał straszliwy trzask pękającej kości. Neal ciężko padł na kolana.

Chłopak miał już w dłoni rękojeść, więc wyszarpnął miecz spod nóg tamtego i jednym silnym pchnięciem wbił go w serce czarodzieja.

Neal ze zdumieniem spojrział szklistymi oczami. Richard zorientował się wówczas, że tamten był już niemal martwy, zanim weszła weń klinga. Chłopak wyrwał miecz. Oczy Neala uciekły w głąb czaszki i Brat osunął się na bok.

Za Nealem stała kobieta, której Richard pomógł. Obandażowała nogę. Oburącz trzymała marmurową dłoń kobiety, którą wyrzeźbił. Pamiątką z posągu zmiażdżyła Nealowi czaszkę.

## ROZDZIAŁ 69

Richard usłyszał, jak ktoś idzie ku niemu korytarzem, rozchlapując wodę. Kobieta poszła po pomoc. Może ją znalazła.

Z odległych pokoi i korytarzy słyszał czasami wrzaski, a czerń rozrywały błyski magicznego ognia; ludzie ginęli lub odnosili rany.

W księżycowej poświacie stanęła jakaś kobieta.

- Richard? Richard?

Patrzył, mrużąc w mroku oczy.

- Kim jesteś? - udało mu się wyszeptać.

Podbiegła do niego, uklękła. Zachłysnęła się oddechem, dostrzegłszy leżącą obok Kahlan.

- Co się stało Matce Spowiedniczce?

Richard zmarszczył brwi. Znała Kahlan.

- Kim jesteś?

Znów na niego spojrzała.

- Jestem Siostrą. Siostra Alessandra. Byłam od jakiegoś czasu w mieście, szukałam Nicci i... nieważne. Tu zaraz, w korytarzu, znalazła mnie jakaś kobieta i powiedziała, że jesteś ranny. Człowiek, który wyrzeźbił posąg. Staralam się już wcześniej do ciebie dostać, ale nie mogłam, i teraz znów próbowałam. Powiedz, gdzie cię raniono. Spróbuję cię uleczyć.

- Przebito mnie mieczem.

Przez chwilę trwała nieruchoma, milcząca.

- Pod moimi rękami.

Popatrzyła i szeptem odmówiła modlitwę.

- Chyba zdołam ci pomóc. Bałam się...

- Nicci musi to zrobić.

- Nicci? - Siostra Alessandra rozejrzała się. - No, to gdzie jest? Szukałam jej. Ann mnie wysłała, żebym ją odnalazła.

Richard spojrzał na leżącą nieruchomo Kahlan.

- Możesz jej pomóc?

Widział, jak Alessandra odwraca oczy.

- Nie. Nie mogę. Jest magicznie zespolona z Nicci. Spotkałam ją wcześniej i powiedziała mi o tym. Nie mogę nic zrobić przez osłonę



zespoleńia.

- Czy... czy ona...

Alessandra sprawdziła i pochyliła się nad nim.

- Ona żyje, Richardzie.

Zamknął oczy, pełen ulgi i bólu.

- Leż bez ruchu - poleciła.

- Ale to Nicci musi...

- Krwawisz. To źle, Richardzie. Jeszcze trochę i stracisz zbyt dużo krwi. Jeżeli będę czekać, nikt nie zdoła ci pomóc. Za bardzo oddalisz się od tego świata, żeby jakikolwiek dar zdołał ci pomóc. Nie mogę zwlekać. Poza tym zjawiłam się tu, żeby przeszkodzić Nicci. Znam ją lepiej niż inni. Nie możesz składać życia w jej ręce. Nie możesz jej ufać.

- To nie ufność. Wiem...

- Jest Siostrą Mroku. I to ja ją sprowadziłam na mroczną ścieżkę. Przybyłam, żeby ją z niej zawrócić. Zanim to się stanie, nie możesz jej ufać. Nie zostało ci już wiele czasu. Chcesz żyć czy nie?

Wszystko na nic. Poczuł, jak łza spływa mu po policzku.

- Wybieram życie - odparł.

- Wiem - szepnęła z uśmiechem. - Widziałam posąg. Cofnij dłonie. Muszę tam położyć swoje.

Richard pozwolił, żeby ręce zsunęły się z brzucha; dłonie Alessandry przykryły ranę. Czuł się bezradny. Wypełniał go rozdzierający ból.

Poczuł mrowienie magii wnikającej głęboko w ranę. Zacisnął zęby, tłumiąc krzyk.

- Wytrzymaj - szepnęła. - To nieprzyjemne. Zaboli, ale za chwilę wszystko będzie dobrze.

- Rozumiem - powiedział; gwałtownie wciągnął oddech. - No, to zrób to.

Wnikająca weń magia sprawiła taki ból, jak rozżarzone do białości węgle rzucone na gołe ciało. Ledwo zdołał powstrzymać krzyk, a potem ból nagle ustał. Richard leżał z zamkniętymi oczami, ciężko oddychał i czekał, aż znów się zacznie. Poczuł, jak ześlizgują się jej dłonie.

Otworzył oczy - Siostra Alessandra miała szeroko otwarte oczy. Przez chwilę zastanawiał się dlaczego.

Potem dojrzał klingę sterczącą z jej piersi. Alessandra uniosła dłonie ku szyi, z jej otwartych ust pociekła krew. Wargi zastygły w niemym krzyku.

Koścista dłoń odepchnęła ją na bok.

Została przebita mieczem, którym Richard walczył z Kahlan. Na oślep sięgnął po rękojeść, ale tamten odkopnął na bok Miecz Prawdy.

Wyszczrzyła się doń trupia czaszka.

- Ależ z ciebie kłopotliwy człek, Richardzie Cypherze - powiedział w mroku zgrzytliwy głos. - Ale nareszcie to się skończy.

Chłopak leżał bezradnie na zimnej, mokrej podłodze, a nad nim wznosiła się koścista postać w brązowych szatach i plisowanym birecie.

- Ten twój bunt zostanie zgnieciony, tyle mogę ci obiecać, zanim umrzesz. Ich nieodpowiedzialny napad gniewu dobiegnie końca. Ludzie prędko się opamiętają. Tacy jak ty znajdują posłuch wyłącznie u nielicznych radykałów. Większość ludzi rozumie swoje obowiązki wobec bliźnich. Twoje wysiłki pójdą na marne. - Brat Narev zatoczył łuk ręką. - Odpowiednie miejsce na twoją śmierć, nieprawdaż, Richardzie? Te pomieszczenia to przyszłe cele przesłuchań. Kiedyś zdołałeś ujść, ale nie tym razem. Umrzesz w jednej z nich, jak powinieneś już wtedy. Ja zaś będę tutaj jeszcze długo, długo żyć i zobaczę, jak Ład zaprowadza na świecie porządek moralny. A w tych celach tacy fanatycy jak ty będą się spowiadać ze swoich grzechów. Chciałem, żebyś się o tym dowiedział, zanim na wieki trafisz w objęcia zimnych łap Opiekuna.

Brat Narev szponiasto wygiął kościste palce i przywołał swoją magiczną moc. Richard ujrzał, jak wokół dłoni arcykapłana pojawia się biały blask i spływa w dół. Ścisnął dłoń Kahlan i patrzył, jak płynie ku niemu białe światło śmierci.

Światło zmieniło barwę na miodową. I - jakby powietrze zgęstniało - spłynęło nagle na boki.

Narev ryknął z wściekłości. Gniewnie potrząsnął pięściami.

- Masz dar czarodzieja? Kim jesteś?

- Twoim najstraszliwszym koszmarem. Myślącym człowiekiem, którego nie zwiodą twoje kłamstwa, podobnie jak nie może mnie spopielić twoja odrażająca magia.

Brat Narev starał się zmiażdżyć stopą twarz Richarda, ale chłopak zdołał się uchylić. Złapał Narewa za kostkę. Tamten utrzymał równowagę i wściekle próbował uwolnić nogę. Wyśitek sprawił, że Richard poczuł rozdzierający ból wnętrza.

Usiłował nie rozluźnić chwytu, ale palce ześliznęły się z mokrej skóry.

Narev - nareszcie wolny i poza zasięgiem Richarda - nachylił się i chwycił rękojeść miecza sterczącego z pleców Siostry. Szarpnął, ale nie wyciągnął klingi. Warczał z wściekłości, buty ślizgały mu się na szlamowatej podłodze, starał się wydobyć miecz.

Richard wiedział, że uzbrojony Brat natychmiast go uśmierci.

Zebrał siły i gwałtownie uderzył w nogi Narewa. Tamten runął na plecy na mokrą podłogę. Richard, szarpany przeraźliwym bólem, przygniótł nogi czarownika, żeby nie pozwolić mu wstać. Kościste palce drapały mu twarz, usiłowały wyłupić oczy. Odwrócił głowę. Czepiał się ciężkich szat i z ogromnym wysiłkiem podciągał w górę, nie zwracając uwagi na ciosy.

Złapał Narewa za gardło. Brat wściekle zacisnął kościste palce na jego szyi. Dyszeli z wysiłku, starając się wzajemnie udusić. Richard kręcił głową, nie pozwalając, by Narev zdołał śmiertelnie zacisnąć uchwyt, i jednocześnie próbował trafić kciukami na tchawicę tamtego, by ją zmiażdżyć.

Narev starał się przetoczyć, zrzucić z siebie Richarda. Chłopak rozsunął nogi, żeby tamtemu trudniej się było go pozbyć, i trzymał się z całej siły, kiedy Brat szamotał się i wyrывał. Czuł, jak rozdzierają mu się wnętrzności.

Richard wiele miesięcy pracował młotkiem i dłutem dla Ładu. Był silniejszy, ale stracił mnóstwo krwi i siły go opuszczały. Zaciskał dłonie z całych sił. Palce na jego gardle odrobinę poluzowały ucisk.

Narewowi oczy wyszły na wierzch, kiedy chłopak wreszcie zaczął zeń wyduszać życie. Kościste dłonie biły go po barkach.

Dłonie znienacka silnie złapały Richarda za włosy. Narev uwolnił nogę i uderzył kolanem w ranę chłopaka. Świat przesłonił biały rozbłysk bólu.

Nicci ocknęła się, otumaniona, i usłyszała głuchy, ohydny śmiech. Znała ten głos. Znała tę woń. Kadar Kardeef.

Słyszała jakiś syczący, trzeszczący dźwięk. Uświadomiła sobie, że to pochodnia. Machał nią przed jej twarzą tak blisko, że czuła na skórze straszliwy żar. Na jej nogę leciały krople płonącej smoły.

Nicci wrzasnęła z bólu, kiedy jedna z nich wżarła się jej w udo.

- Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie - powiedział jej na ucho Kadar.

- Nie dbam o to, co ze mną zrobisz! - krzyknęła ze złością Nicci. - Cieszę się, że cię przypiekłam. Cieszę się, że musiałeś błagać.

- Ooo, ty też wkrótce będziesz błagać. Może w to nie wierzysz, ale zdziwisz się, do czego ogień potrafi zmusić człowieka. Przekonasz się, jak to jest. Będziesz błagać.

Nicci wyrywała się, ile sił. Gdyby Kahlan była bliżej, mogłaby odczynić czar. Dziewczyna była tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Podsuwany pod oczy ogień budził w niej przeraźliwy strach. Musiała tylko zerwać zespolenie z Kahlan. Mogła to zrobić. Nie musiała odczyniać czaru, żeby odzyskać moc. Wtedy by tego uniknęła. Kahlan straciłaby życie, ale Nicci odzyskałaby moc i uniknęła płomieni.

Ale musiałyby zabić Kahlan.

- Czy najpierw mam ci przypiec twarz, Nicci? Twoją piękną twarz? A może zacząć od nóg? Jak uważasz? Wybieraj.

Siostra ciężko dyszała i szarpała się, próbując cofnąć przed piekącym żarem. Sycząca pochodnia chwiała się przed jej twarzą. Wiedziała, że zasłużyła na taki los, ale straszliwie się tego bała.

Nie chciała zrywać zespolenia, zabijając Kahlan - i nie chciała w ten sposób umrzeć. Nie chciała się spalić.

- Raczej zacniemy od dołu, żeby słyszeć twe wrzaski.

Kadar opuścił pochodnię i dotknął rąbka sukni Nicci. Czarna tkanina zajęła się i kobieta wrzasnęła. Takie przerażenie było dla niej czymś zupełnie nowym; po raz pierwszy od najwcześniejszego dzieciństwa miała coś, co było dla niej ważne i czego nie chciała stracić: życie.

W chwili przerażającego strachu Nicci zrozumiała, że choćby nie wiadomo jak bolało, choćby było to nie wiadomo jak okropne, nie odbierze Kahlan życia. Richard udzielił jej odpowiedzi, której szukała. Już i tak zbyt wiele odebrała. Nie mogła zbrukać tego, co rozumiała.

Choć zespolona z nią Kahlan będzie tak samo cierpieć, zginie tą samą śmiercią, to nie Nicci będzie za to odpowiedzialna. Nie odbierze Kahlan życia. To Kadar odbierze im życie. Nie zabije Kahlan, żeby ratować siebie.

Kadar Kardeef śmiał się, patrząc, jak zapala się suknia. Trzymał ją krzepko, żeby Nicci nie mogła uciec.

I wtedy spadła na nich jakaś ciemna postać. Polecili do tyłu otoczeni płomieniami. Nicci przetoczyła się i dzięki temu płonąca suknia znalazła się w wodzie.

Ta, która się z nimi zderzyła, właśnie wstawiała, potrząsając głową, jakby

chciała oprzytomnieć. Nicci ją poznała. To była Mord-Sith, Cara.

Kadar usiadł, zobaczył, że to kobieta, i rzucił się na nią z pochodnią.

Nicci rzuciła się na Kadara, chwyciła oburącz pochodnię i pchnęła ją w twarz wielkoluda. Smoła prysnęła na maskę ze szmat. Z głośnym sykiem zajęły się gałgany wokół jego głowy i torsu.

Kadar wrzeszczał, kiedy płomienie paliły jego spieczone już ciało. Nicci słyszała, że przypiekanie wygojonych oparzeń było gorsze niż pierwsze oparzeliny. Sądząc po jego wrzaskach, musiała to być prawda.

Cara podniosła się; Nicci złapała ją za rękę.

- Szybko! Muszę dotrzeć do Richarda!

Wrzaski Kadara - duszącego się w płomieniach - zmieniły się w stłumione skamlenie. Kiedy wyszły z tego pomieszczenia, Cara złapała Nicci za włosy i niebezpiecznie zbliżyła Agiel do jej twarzy.

- Podaj mi choć jeden powód, dla którego mogłabym ci powierzyć życie lorda Rahla.

Nicci spojrzała jej w oczy.

- Widziałam jego posąg i teraz rozumiem, jak bardzo się myliłam. Czy kiedyś źle czyniłaś, Caro? Naprawdę źle? Czy pojmujesz, jak to jest uświadomić sobie, że bezmyślnie służyłaś złu i krzywdziłaś zacnych ludzi? Że Richard ukazał mi, że jest coś, dla czego warto żyć?

Nicci zastała Richarda leżącego na plecach i nieprzytomnego, a przynajmniej bliskiego utraty przytomności. Pod głową miał marmurową dłoń. Kahlan leżała obok, wczepiona weń, i szlochała, a z niego powoli uchodziło życie.

Nicci, wstrząśnięta, patrzyła na leżące wokół nich ciała. Siostra Alessandra, Brat Neal, Brat Narev. Po wyglądzie Richarda zorientowała się, jak niewiele zostało czasu; o ile już nie było za późno.

Uklękła obok Kahlan. Dziewczyna była w straszliwym stanie - desperacko czepiała się resztek nadziei, gotowa wpaść w najczarniejszą rozpacz. Przebyła całą tę drogę, chciała być z nim bez względu na cenę. A on leżał tutaj i wraz z krwią wysączało się zeń życie; jej ukochany ginął z jej ręki.

Nicci ujęła Kahlan za ramiona i łagodnie odsunęła ją. Matka Spowiedniczka spojrzała na nią z zażenowaniem, nienawiścią i nadzieją.

- Muszę odczynić czar, Kahlan, jeżeli mam mu pomóc. Nie ma zbyt dużo czasu.

- Nie wierzę ci. Dlaczego miałabyś pomóc?

- Bo jestem mu to winna; wam obojgu.

- Nie sprowadziłaś nic prócz cierpienia i...

Cara ujęła ramię Kahlan.

- Nie musisz jej ufać, Matko Spowiedniczko. Ufaj mi. A ja ci powiadam, że Nicci może go uratować. Wierzę, że zrobi, co w jej mocy. Pozwól jej działać, błagam.

- Dlaczego miałabym jej powierzać ostatnie minuty jego życia?

- Proszę, daj Nicci taką samą szansę, jaką lord Rahl dał kiedyś mi.

Kahlan przez chwilę patrzyła badawczo w oczy Cary, a potem spojrzała na Nicci.

- Wiem, jak to jest być tam, gdzie on teraz jest. Byłam tam. Wybrałam życie. Teraz on musi to zrobić. Co powinnam uczynić?

- Ty i Richard uczyniliście już wystarczająco wiele. - Nicci ujęła w dłonie zalaną łzami twarz Kahlan. - Nie ruszaj się i pozwól mi działać.

Kahlan drżała z rozpacz. Długie włosy miała splątane, ociekające wodą. Była poplamiona krwią Richarda. Już nic nie mogła dla niego zrobić i wiedziała o tym.

Nicci musiała.

Kahlan patrzyła jej w oczy, a Nicci ponownie rozjarzyła magiczną pępowinę, żywiąc nadzieję, że wystarczy jej czasu.

Dziewczyna zeszywniała z bólu. Siostra dokładnie wiedziała, jak to jest, bo czuła to samo.

Mleczny blask połączył serca obu kobiet. Migotliwy blask rozjarzył się oślepiająco, ból stał się intensywniejszy.

Kahlan otworzyła usta w niemym krzyku. Szeroko rozwarła zielone oczy, udręczona szalejącym w nich obu bólem - magiczne niteczki oplatające każde włókienko ich ciał zawibrowały w odzewie na sygnał blasku.

Nicci położyła dłonie na sercu, w rozjarzonym snopie blasku, i zaczęła wycofywać swoją moc.

## ROZDZIAŁ 70

Richard wciągnął powietrze i otworzył oczy. Leżał jakoś tak, że nie czuł bólu. Bał się poruszyć, żeby rozdzierający ból nie powrócił.

Jak to możliwe? Przebito go mieczem.

Ciemności wokół niego były ciche i spokojne. Z oddali dobiegały odgłosy szalejącej walki. Ziemia pod nim zadrżała od jakiegoś potężnego wstrząsu.

Dokoła byli ludzie. Na mokrej podłodze leżały ciała. Uświadomił sobie, że leży na desce, ponad wodą. Był okryty ciepłą peleryną. Widział ciemne postaci przygarbionych ludzi stłoczonych w małej izbie.

Pod palcami miał rękojeść Miecza Prawdy. Magiczna burza ucichła, więc wiedział, że miecz jest w pochwie.

Spojrzał w górę i przez szpary pomiędzy belkami, przez rozłupany kamień i strzaskane drewno zobaczył różowy świt.

- Kahlan? - wyszeptał.

Trzy postaci poderwały się, jakby nagle ożył kamień.

Najbliższa pochyliła się ku niemu.

- Jestem. - Wzięła go za rękę.

Drugą dłonią ostrożnie dotknął rany. Nie znalazł jej. Nie czuł bólu, jedynie trwałe pobołowanie. Nachyliła się ku niemu druga postać.

- Lordzie Rahlu? Obudziłeś się?

- Co się stało?

- Tak mi przykro, Richardzie. Tak mi przykro. Pchnęłam cię mieczem. To wszystko moja wina. Powinam się była zastanowić, zanim to zrobiłam. Tak mi przykro.

Richard zmarszczył brwi.

- Pozwoliłem ci zwyciężyć, Kahlan.

Odpowiedziała mu cisza.

- Richardzie - odezwała się w końcu Kahlan - nie staraj się pomniejszyć mej winy. Wiem, że jestem winna. Przebiłam cię mieczem.

- Nie - upierał się. - Pozwoliłem ci zwyciężyć.

Cara poklepała go po ramieniu.

- Oczywiście, że tak, lordzie Rahlu. Oczywiście.

- Nie, naprawdę.

Trzecia postać obróciła się ku niemu i zacisnęła palce na rękojeści miecza.

- Jak się czujesz? - spytała Nicci tym swoim jedwabistym głosem, który tak dobrze znał.

- Uwolniłaś Kahlan?

Siostra uniosła rękę i wykonała palcami gest cięcia.

- Zespolenie zniknęło na zawsze.

Richard odetchnął.

- No, to czuję się świetnie.

Chciał usiąść, ale powstrzymała go dłoń Nicci.

- Nigdy nie będę cię mogła prosić o wybaczenie, Richardzie, bo nigdy nie zdołam zwrócić ci tego, co skradłam, chcę jednak, byś wiedział, że teraz rozumiem, jak się myliłam. Przez całe życie byłam jak ślepa. Nie tłumaczę się. Po prostu chcę, żebyś wiedział, że przywróciłeś mi wzrok. Udzielając mi odpowiedzi, której szukałam, oddałeś mi życie. Dałeś mi powód, dla którego warto żyć.

- I co zobaczyłaś, Nicci?

- Życie. Tak wspaniale je wyrzeźbiłeś, że zobaczył je nawet ktoś, kto, tak jak ja, ślepo służył złu. Już nie musisz mi udowadniać, ileś wart. Teraz ja i ci, których obudziłeś, musimy się wykazać przed tobą.

- Już zaczęliście to robić, bo inaczej bym nie żył.

- I... znów jesteś Siostrą Światła? - spytała Kahlan.

Nicci potrząsnęła głową.

- Nie. Jestem Nicci. Dana mi moc czarodziejki jest tylko moja. Dzięki niej jestem, kim jestem. Moja moc nie czyni mnie niewolnicą innych tylko dlatego, że oni tak chcą. To moje życie. Nie należy do nikogo, może z wyjątkiem was. Bo pokazaliście mi wartość życia, racjonalne podstawy wolności. Jeżeli mam się teraz opowiedzieć po czyjejś stronie, to wybiorę służbę u boku tych, którzy cenią te same wartości.

Richard położył dłoń na ręce Nicci.

- Dziękuję za uratowanie życia. Przez chwilę myślałem, że popełniłem błąd, kiedy pozwoliłem, by Kahlan przebiła mnie mieczem.

- Richardzie - sprzeciwiła się Kahlan - nie musisz w ten sposób umniejszać mojego poczucia winy.

Nicci, wpatrując się w oczy chłopaka, powiedziała do niej:

- Wcale tego nie robi. Mówi prawdę. Widziałam, jak to zrobił. Zmuszał



mnie do dokonania wyboru. Żeby go uratować, musiałam odczynić zespalający nas czar. Przykro mi, że musiałeś przez to przejść, Richardzie. Już wcześniej dokonałam wyboru, wtedy gdy zobaczyłam twój posąg.

Znów próbował usiąść. Nicci raz jeszcze go powstrzymała.

- Trochę potrwa, zanim całkiem wyzdrowiejesz. Ciągle jeszcze cierpisz. Żyjesz, ale to nie znaczy, że nie trzeba czasu, byś całkiem wydobrzył. Straciłeś mnóstwo krwi. Musisz odzyskać siły. Jeszcze możesz umrzeć, jeśli się nie będziesz oszczędzać.

- No dobrze - ustąpił Richard; ostrożnie usiadł przy pomocy Kahlan. - Zapamiętam sobie twoje rady, ale i tak muszę się dostać na górę. - Popatrzył na Kahlan. - A nawiasem mówiąc, co tu robisz? Skąd wiedziałaś, gdzie jestem? Co się dzieje na północy, w Nowym Świecie?

- Potem o tym porozmawiamy - odparła. - Musiałam być z tobą. Uznałam, że to moje życie i że chcę być przy tobie. Miałaś rację co do wojny w Nowym Świecie. Długo trwało, zanim to pojęłam. Ale wreszcie zrozumiałam. Zjawiłam się tutaj, żeby być przy tobie, bo tylko to mi pozostało.

Spojrzał na Carę.

- A ty?

- Zawsze chciałam zobaczyć świat.

Richard uśmiechnął się, kiedy wstał przy pomocy Kahlan i Cary. W głowie mu się kręciło, ale zdecydowanie wolał to niż swój niedawny stan. Kahlan podała mu miecz. Przełożył pendent przez głowę, ułożył skórzany pas na ramieniu, a pochwę u biodra. Teraz, kiedy bliżej zapoznał się z mieczem, nabrał dla niego nowego respektu.

- Nie umiem powiedzieć, jak jestem szczęśliwa, że ci go zwracam - powiedziała Kahlan; uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - To znaczy, w ten sposób.

Głębiej w korytarzu, w mroku rozjaśnianym przez parę świec, czekał niespokojnie Kamil. A wraz z nim kilku innych. Richard ich nie znał. Położył dłoń na ramieniu uśmiechniętego chłopca.

- Miło cię widzieć, Kamilu.

- Widziałem to, Richardzie. Widziałem posąg. - Uśmiech zniknął. - Tak mi przykro, że jest zniszczony.

- To był tylko kawałek marmuru. Prawdziwe piękno tkwi w ideach, które

wyrażał.

Stojący w ciemnym korytarzu ludzie skinęli głowami. I Richard zobaczył kobietę ze zranioną nogą. Uśmiechnął się do niej. Czubkami palców odesłała mu pocałunek, który wcześniej złożył na jej czole.

- Błogosławionyś za męstwo w rzeźbieniu posągu - powiedziała. -  
Wszyscy się cieszymy, Richardzie, że przeżyłeś po tej nocy.

Podziękował im za troskę.

Ziemia znów się zatrzęsała.

- A to co takiego? - zapytał Richard.

- Mury - odparł jeden z mężczyzn. - Ludzie burzą mury z obrazami śmierci.

Niektórzy burzyli mury, inni wciąż zazarcie walczyli. W nikłym blasku poranka Richard widział walki na odległych wzgórzach. Wyglądało na to, że wielu ludziom wcale nie podobały się idee, które zawarł w swoim posągu. Byli i tacy, którzy obawiali się wolności i woleli byle jaką egzystencję od samodzielnego decydowania o sobie.

Ale tereny pałacu były w pewnych rękach. Rozbiegały się stąd płomienie wolności, wyzwajając przemiany.

Na placu wciąż stały półkolem mury i kolumny, oprócz jednej. Jednak było tu jakoś inaczej. To właśnie na tym placu ludzie zobaczyli posąg i wybrali życie. Tej części pałacu nie niszczone.

Richard przeciągnął butem przez marmurowy pył. W centrum placu pozostała jedynie warstwa białego pyłu. Każdy cenny odłamek zabrano na pamiątkę.

Z dołu, gdzie stało kilku mężczyzn, Victor dostrzegł Richarda, Kamila i Nicci, którą znał. Pobiegnął ku nim razem z Ishakiem.

- Richardzie! - wołał, wbiegając po schodach. - Richardzie!

Chłopak wspierał się na Carze i Kamilu. Nie miał siły, żeby krzyknąć, więc czekał, aż mężczyźni dobiegną, zasapani.

- Zwycięzamy, Richardzie! - Victor wskazał na wzgórze. - Już po tych wszystkich urzędnikach, a my...

Zobaczył Kahlan i umilkł. Ishaq też się w nią wpatrywał, a potem zdjął z głowy czerwony kapelusz.

Victor przez chwilę poruszał ustami, nim zdołał coś powiedzieć. Jego dłoń, zwykle czyniąca tak wymowne gesty, teraz tylko na nią wskazywała,

jakby dziewczyna mogła nie być żywą osobą.

- Ty... ty jesteś ukochaną Richarda.

Kahlan uśmiechnęła się.

- Skąd wiesz?

- Widziałem posąg.

Richard zobaczył w blasku poranka, jak się zarumieniła.

- Wcale nie była do mnie podobna - zaprotestowała.

- Nie chodzi o wygląd, ale o... charakter. Są w tobie te same zalety.

Kahlan uśmiechnęła się, ucieszyły ją te słowa.

- Victorze, Ishaqu, to Kahlan, moja żona.

Zamrugali z osłupieniem, a potem jednocześnie spojrzeli na Nicci.

- Jak wiecie - odezwała się Nicci - nie jestem zbyt ząną osobą. Jestem czarodziejką. Wykorzystałam moją moc, żeby zmusić Richarda, by tu ze mną przybył. A Richard i mi, i wielu innym ludziom ukazał szlachetność życia.

- Czyli to ty ocaliłaś mu życie? - zapytał Victor.

- Kamil nam powiedział, że byłeś ranny, Richardzie - odezwał się Ishaq - i że czarodziejka cię uzdrowiła.

- Nicci mnie uzdrowiła - potwierdził Richard.

Victor wreszcie wykonał zamaszysty gest.

- No cóż, to się liczy. Ocalić Richarda Cyphera.

- Richarda Rahl - poprawił go chłopak.

Rozległ się grzmiący śmiech kowala.

- Racja, dziś wszyscyśmy Richardem Rahllem.

Nicci nachyliła się ku niemu.

- To naprawdę Richard Rahl, panie Cascella.

- Richard Rahl - potwierdziła Kahlan.

- Lord Rahl - wtrąciła się zirytowana Cara. - Okażcie właściwy szacunek Poszukiwaczowi Prawdy, władcy imperium D'Hary, czarodziejowi wojny i mężowi Matki Spowiedniczki. - Wdzięcznym, dumnym gestem wskazała Richarda: - Oto lord Rahl.

Richard wzruszył ramionami. Uniósł lśniącą, oplecioną srebrem rękojeść swojego miecza, pokazując złote litery słowa PRAWDA, a potem znów wsunął go do pochwy.

- Jaki piękny! - zawołał Kamil.

Victor i Ishaq znów zamrugali, a potem opadli na kolano. Nisko pochyłili

głowy.

Richard przewrócił oczami.

- Może byście się uspokoili. - Łypnął gniewnie na Carę.

Victor niepewnie nań popatrzył.

- Nie mieliśmy pojęcia. Przepraszam. Nie gniewasz się, że z ciebie żartowałem?

- Victorze, to ja, Richard. Ileż to razy jedliśmy razem lardo?

- Lardo? - zainteresowała się Kahlan. - Umiesz robić lardo, Victorze?

Kowal się podniósł; patrzył na nią i zaczynał się uśmiechać.

- Wiesz o lardzie?

- Oczywiście. Mężczyźni, którzy obrabiali biały marmur w Pałacu Spowiedniczek, jedli lardo, które sami przyrządzali w dużych marmurowych faskach. Siadałam przy nich, kiedy byłam mała, i jadłam razem z nimi. Mówili, że jak urosnę, to pewnego dnia przywdzieję białą szatę Matki Spowiedniczki, bo jem ich lardo, a ono da mi siły.

Victor uderzył się w pierś wielkim kciukiem.

- I ja robię lardo w marmurowych faskach.

- I pozwalasz mu przez rok dojrzewać? - spytała. - Bo prawdziwe lardo musi dojrzewać rok.

- Jasne, że tak! Robię wyłącznie prawdziwe lardo.

Kahlan obdarzyła go najpiękniejszym uśmiechem.

- Chciałabym go kiedyś skosztować.

Kowal otoczył potężnym ramieniem jej barki.

- Chodź, żono Richarda. Pozwolę ci posmakować mojego larda.

Cara, zasepiona, dotknęła dłonią piersi mężczyzny, zatrzymując go. Zdjęła jego ramię z barków Kahlan.

- Nikomu poza lordem Rahlem nie wolno dotknąć Matki Spowiedniczki.

Victor spojrział na nią figlarnie.

- Jadłaś kiedy lardo?

- Nie.

Kowal klepnął ją w plecy i zaśmiał się.

- No to chodź, a i tobie go dam. Wtedy się przekonasz, że każdy, kto zje ze mną lardo, staje się na całe życie moim przyjacielem.

Kahlan zajęła miejsce Kamila pod jednym ramieniem Richarda, a Victor pod drugim. I ruszyli przez świeżo wyzwolone tereny do kuźni, na lardo.

## ROZDZIAŁ 71

Verna przysunęła świecę. Przez chwilę grzała nad nią dłonie, potem położyła na stole książkę podróżną. Rozlegające się wokół małego namiotu odgłosy wojskowego obozu stały się czymś tak znajomym, że prawie ich nie słyszała.

Była mroźna zimowa d'harańska noc, ale przynajmniej i oni, i wszyscy ludzie, którym pomogli, bezpiecznie przebyli góry. Verna pojmowała ich cichy niepokój: to było nowe i tajemnicze miejsce, D'Hara, niegdyś tylko źródło koszmarów. Przynajmniej na razie byli bezpieczni. W oddali słychać było długie, żalosne wycie wilków niosące się echem wśród lodowatych gór, wśród zalanych księżycową poświatą ośnieżonych, bezkresnych, odludnych, olbrzymich stoków.

Była właściwa faza księżyca, chociaż był to księżyc nowej - dziwnej i nieznannej - krainy. Verna sprawdzała od wielu miesięcy, ale nigdy nie było wieści. Tak naprawdę żadnej nie oczekiwała, skoro Kahlan wrzuciła w ogień sprzęgniętą z tą książką podróżną Ann. W końcu jednak była to książka podróżna, starożytny magiczny przedmiot, a Ann była pomyslową i zaradną kobietą. Cóż szkodziło sprawdzić.

Verna na wszelki wypadek otworzyła małą książeczkę.

I oto na pierwszej stronie widniała wiadomość.

Tylko tyle:

*Czekam, Verno, jeśli tam jesteś.*

Verna wyjęła rysik z grzbietu książki i natychmiast zaczęła pisać:

*Ksieni! Udało ci się naprawić książkę podróżną? To wspaniale. Gdzie jesteś? Co u ciebie? Odnalazłaś Nathana?*

Verna czekała. Wkrótce zaczęła się pojawiać odpowiedź:

*U mnie wszystko w porządku, Verno. Zdołałam zrekonstruować książkę podróżną z pomocą pewnych... ludzi. Osobliwych ludzi. Ale najważniejsze, że jest w większości zrekonstruowana. Wciąż szukam Proroka. Mam kilka dobrych wskazówek co do miejsca pobytu Nathana i sprawdzam to. Ale co u ciebie, Verno? Jak się toczy wojna? Co u Warrena? Kahlan? Zedda? Czy Zedd sprawia ci wiele kłopotów? Ten człowiek wyprowadziłby z równowagi nawet kamień. Wiesz coś o Richardzie?*

Verna wpatrywała się w tę wiadomość. Na imię Warrena upadła łza.

Znów ujęła rysik i zaczęła pisać:

*Och, Ksieni, wydarzyło się tyle okropieństw.*

Ann odpisała:

*Przykro mi, Verno. Ale jestem tutaj. I przez noc nigdzie się nie wybieram. Masz tyle czasu, ile chcesz. Opowiedz mi, co się wydarzyło. Ale najpierw napisz, co u ciebie. Tak się o ciebie martwię, Verno. Kocham cię jak córkę. Wiesz o tym.*

Verna skinęła głową. Wiedziała.

*I ja cię kocham, Ksieni. Ale mam złamane serce.*

Kahlan stała w milczeniu obok niego, w ciepłym wietrze, w południe, a Richard patrzył na rzekę, na rozciągające się dalej miasto. W mieście panował teraz spokój. Wiele tygodni trwały walki: rozmaite frakcje walczyły o władzę, pragnąc stać się nowym wcieleniem Ładu; każda z frakcji przysięgała, że leży jej na sercu dobro ludzi, każda obiecywała, że będzie rządzić łagodnie, że życie pod jej władzą będzie łatwiejsze, bo zadba, by każdy zasobny świadczył na rzecz wspólnego dobra. Po dziesięcioleciach takiej altruistycznej tyranii działania na rzecz wspólnego dobra przyniosły jedynie zniszczenia i śmierć. Ci kandydaci do władzy - nie bacząc na cmentarze pełne dowodów i zbiedniałych ludzi - proponowali właściwie to samo, a mimo to wielu im wierzyło, wierzyło tylko dlatego, że głosili tak cne zamiary.

Chociaż zabito bardzo wielu Braci i urzędników, niektórzy zdołali uciec. Ci zaś z nich, którzy nie uciekli, chcieli wykorzystać zamieszanie i odzyskać kontrolę, sądząc, że zdołają stłumić pragnienie wolności, nowe idee i przywrócić to, co było.

Wolni ludzie z Altur'Rang - z każdym dniem liczniejsi - wytępilli jedną po drugiej te frakcje, w miarę jak wychodziły z ukrycia. Nicci bardzo pomagała w tych krwawych walkach. Znała zwyczaje takich ludzi, wiedziała, gdzie się czają, i spadała na nich jak jastrząb.

Siły pragnące dbać o szczęście i pomyślność ludzi zaczęły się ogromnie bać tej, którą same stworzyły: Pani Śmierci.

Jeszcze nie było wiadomo, czy płomień wolności rozprzestrzeni się na cały Stary Świat. Na razie był to mały ogienek na rozległych i mrocznych terenach, ale Richard wiedział, jak jasno płonie taki ogień.

Na północy sprawy nie miały się tak pomyślnie. Nicci odczyniła czar, więc Richard sądził, że D'Harańczycy będą wiedzieć, gdzie jest, i przyślą mu

wieści. Cara czuła ogromną ulgę, że znów wyczuwa jego obecność dzięki więzi.

W milczeniu wysłuchał Kahlan i Careę, które opowiedziały mu szczegółowo o wojnie i o tym, że wysłały ludzi z Aydindril w długą i trudną podróż do D'Hary, zanim Jagang wiosną zajmie miasto. Doda im otuchy wieść, że lord Rahl zadał potężny cios Staremu Światu, że jest przy nim Matka Spowiedniczka i że oboje cieszą się dobrym zdrowiem. Wielu ludzi ubiegało się o to, żeby zanieść te cenne wieści na północ.

Imperium D'Hary i ludzie, których chroniło i którzy musieli opuścić swe domy, dowiedzą się wkrótce o zwycięstwie na południu. Posłańcy powiozą coś jeszcze cenniejszego od tych wieści - nadzieję.

Richard wysłał dziadkowi te same wieści.

Nie mógł uwierzyć, że nie ma już jego przyjaciela Warrena. Wiedział, że przeraźliwy smutek i żal długo jeszcze nie zblakną.

Chłopak wysłał na północ coś jeszcze.

Nicci powiedziała mu, jak ważny był dla imperatora Brat Narev, ile czasu razem spędzili, że mieli tę samą wizję przyszłości ludzi. Kiedy wiosną Jagang wreszcie wjedzie triumfalnie do Aydindril, żeby zająć Pałac Spowiedniczek, będzie tam nań czekać nie tylko czcze zwycięstwo, ale i zatknięta przed pałacem na pice głowa jego mentora w plisowanym brązowym birecie.

Nicci rzuciła na nią czar, żeby się zachowała i żeby nie tknęli jej padlinożercy. Richard chciał, żeby Jagang, kiedy wreszcie ją ujrzy, nie miał wątpliwości, do kogo należała.

Do rojnego Altur'Rang powróciły spokój i wolność. Powróciło życie. Ludzie zaczęli otwierać nowe firmy. W kilka tygodni istotnie zaczęły być dostępne rozmaite gatunki chleba. Codziennie zaczynały działać nowe przedsiębiorstwa. Ishaq robił fortunę, przewożąc towary, ale raz-dwa wyrosła mu konkurencja. Nabbi zaczął u niego pracować. Ishaq błagał Richarda, kiedy ten odzyskał siły, żeby wrócił do niego do pracy, ale chłopak tylko się śmiał.

Faval, węglarz, uprosił Ishaqą, żeby przekazał Richardowi zaproszenie na kolację z nim i jego rodziną. Kupił furę i jego synowie rozwozili węgiel.

Richard oparł się o balustradę na skraju mola i spoglądał na kłębiącą się w dole wodę, jakby próbował przewidzieć, co kryje przyszłość.

Wychodzące w rzekę molo i plac - to niemal wszystko, co pozostało z pałacu. Richard zadbał o to, żeby z kolumn usunięto matryce uroków, i nakazał Prisce je stopić.

Chłopak już prawie odzyskał siły. Kahlan była silna i tak piękna, jak pamiętał. Choć się zmieniła. Przez ten rok, kiedy byli rozdzieleni, jej twarz dojrzała. Kiedy na nią patrzył, chciał mieć marmur i dłuta, żeby móc wyrzeźbić jej twarz.

Kamień przemieniony w ciało.

Richard odwrócił się i popatrzył wzdłuż mola, na plac z półkoliście ustawionymi kolumnami. Utrąconą kolumnę odbudowano. Plac, zgodnie z pomysłem Victora, nazwano placem Wolności. Richard spytał, czy nie lepszy byłby Krąg Wolności, bo teren był okrągły, a nie czworokątny. Kowal obstawał jednak przy placu Wolności, więc Richard tak go nazwał. W końcu to Victor, właśnie tam, pierwszy ogłosił się wolnym człowiekiem.

Kahlan spojrzała wraz z chłopakiem w stronę placu.

- I co myślisz? - zapytał.

Potrząsnęła głową, najwyraźniej zażenowana.

- Sama nie wiem, Richardzie. Dziwnie widzieć to takie... duże. Takie... białe.

- Nie podoba ci się?

Pospiesznie położyła mu dłoń na ramieniu, żeby rozproszyć to wrażenie.

- Nie, nie w tym rzecz. Po prostu to takie... - znów spojrzała w tamtą stronę - duże.

W centrum placu, tam gdzie niegdyś tak krótko stał posąg wyrzeźbiony przez Richarda, znajdowała się teraz wielka marmurowa statua, nad którą pracowało wielu rzeźbiarzy odtwarzających przedtem nieszczęście i śmierć. Był tam Kamil, ucząc się rzeźbienia od mistrzów. Naukę zaczął od zamiatania.

Richard wynajął rzeźbiarzy. Mógł sobie na to pozwolić, bo zbił fortunę, pomagając Ładowi budować pałac. Rzeźbiarze byli zadowoleni z takiej pracy - z obopólnej wymiany.

Biegli rzeźbiarze powiększali statuetkę „Potęgi ducha”, którą zrobił dla Kahlan w ich górskiej chacie, kiedy musiała mieć przed oczami symbol witalności, odwagi i nieugiętego ducha. Teraz ów symbol wynurzał się ponownie z najprzedniejszego białego marmuru z Cavatury.



Brązowa tarcza zegara słonecznego przetrwała bez szkody; wykorzystano ją teraz. Stojący pośrodku posąg będzie rzucać cień na tarczę. I wszyscy będą mogli zobaczyć słowa, których tak wielu ludzi dotykało owego dnia.

Kahlan ogromnie się ów pomysł spodobał, ale spędziła tyle miesięcy z posążkiem Richarda, że teraz dziwnie się czuła, patrząc na jego olbrzymią kopię. Niecierpliwie oczekiwała dnia, kiedy rzeźbiarze zakończą skalowanie, i znów odzyska swój posążek, swoją „Potęgę ducha”.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko dzieleniu się nim ze światem.

Kahlan uśmiechnęła się tęsknie.

- Nie, zupełnie nic.

- Wszystkim bardzo się podoba - zapewnił ją.

W powietrzu popołudnia popłynął jej śliczny melodyjny śmiech.

- Muszę się przyzwyczaić, że pokazujesz ludziom moją duszę i ciało.

Patrzyli razem, jak rzeźbiarze pracujący nad rozwianymi szatami sprawdzają swoją dokładność cyrklami kalibrowymi, przykładając je do posążku Richarda i odpowiednich punktów na drewnianych klamrach używanych do powiększania.

Kahlan rozmasowała mu plecy.

- Jak się czujesz?

- Wspaniale. Kiedy jesteś przy mnie, to już nie mógłbym się czuć lepiej.

Znów się roześmiała.

- Dopóki cię znów nie przebiję mieczem?

Richard śmiał się razem z nią.

- Kiedy opowiemy dzieciom, jak ich mama przebiła ojca mieczem, to dostaniesz za swoje.

- A będziemy mieć dzieci, Richardzie?

- Tak, będziemy.

- To zniosę tę opowieść.

Ciepły wiatr rozwiewał jej włosy; Richard ucałował jej czoło.

Chłopak spojrzał na rząd drzew, których liście lśniły w słonecznym blasku, i obserwował, jak ptaki śmigają ponad brzegiem rzeki, zbijają się w stadko i unoszą wspólnie nad wyrastającym z zielonej trawy półkolem białych marmurowych kolumn.

Kahlan przytuliła się do jego ramienia i patrzyli na dumnych,

uśmiechniętych ludzi pracujących nad posągiem stojącym przed owymi kolumnami.

W Altur'Rang obudził się nowy duch.

W dawnym sercu Ładu rozkwitała wolność.

# Spis treści

ROZDZIAŁ 1  
ROZDZIAŁ 2  
ROZDZIAŁ 3  
ROZDZIAŁ 4  
ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6  
ROZDZIAŁ 7  
ROZDZIAŁ 8  
ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10  
ROZDZIAŁ 11  
ROZDZIAŁ 12  
ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14  
ROZDZIAŁ 15  
ROZDZIAŁ 16  
ROZDZIAŁ 17  
ROZDZIAŁ 18  
ROZDZIAŁ 19  
ROZDZIAŁ 20  
ROZDZIAŁ 21  
ROZDZIAŁ 22  
ROZDZIAŁ 23  
ROZDZIAŁ 24  
ROZDZIAŁ 25  
ROZDZIAŁ 26  
ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28  
ROZDZIAŁ 29  
ROZDZIAŁ 30  
ROZDZIAŁ 31  
ROZDZIAŁ 32  
ROZDZIAŁ 33  
ROZDZIAŁ 35  
ROZDZIAŁ 36  
ROZDZIAŁ 37  
ROZDZIAŁ 38  
ROZDZIAŁ 39  
ROZDZIAŁ 40  
ROZDZIAŁ 41  
ROZDZIAŁ 42  
ROZDZIAŁ 43  
ROZDZIAŁ 44  
ROZDZIAŁ 45  
ROZDZIAŁ 46  
ROZDZIAŁ 47  
ROZDZIAŁ 48  
ROZDZIAŁ 49  
ROZDZIAŁ 50  
ROZDZIAŁ 51  
ROZDZIAŁ 52  
ROZDZIAŁ 53  
ROZDZIAŁ 54  
ROZDZIAŁ 55  
ROZDZIAŁ 56  
ROZDZIAŁ 57  
ROZDZIAŁ 58  
ROZDZIAŁ 59  
ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61  
ROZDZIAŁ 62  
ROZDZIAŁ 63  
ROZDZIAŁ 64  
ROZDZIAŁ 65  
ROZDZIAŁ 66  
ROZDZIAŁ 67  
ROZDZIAŁ 68  
ROZDZIAŁ 69  
ROZDZIAŁ 70  
ROZDZIAŁ 71